BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

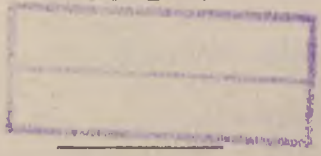
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 203.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE NAUKOM, SZTUKOM I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1891.



Tom trzeci.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Foksal Nr. 6.

1891.

4620. 1891. 3
II.



30.000/-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Іюля 1891 года.

X-14304
4620/II 3.
/1891.

W drukarni E. Lubowskiego i S-ki, Mazowiecka № 8.

Indywidualizm i przedmiotowość w sztuce.

(Talent i szkoła).

Jako objaw ludzkiéj działalności, sztuka obejmuje dwa czynniki zasadnicze: *podmiotowy* i *przedmiotowy*, *indywidualność* działającą i *otoczenie*, z którego czerpie materyał dla swéj działalności. Oba te czynniki wpływają bezpośrednio na rozwój sztuki i, stosownie do swego udziału w jéj utworach, nadają im odmienny charakter. Dlatego też zbadanie każdego z tych czynników i wyjaśnienie ich wzajemnego do siebie stosunku należy do najważniejszych zadań estetyki. Podnosimy tę kwestyę obecnie tylko ze stanowiska ogólnych dążności artyzmu.

Indywidualizm i *przedmiotowość* stanowią jeden z owych kontrastów pojęciowych, które dają pochop do wytworzenia całego szeregu sprzecznych z sobą teoryi estetycznych, a szczególniéj w chwili obecnéj rozdzielają teoretyków sztuki na różne obozy. Teorye *realistyczne* kładły zawsze główny nacisk na czynnik *przedmiotowy* w sztuce, dowodząc z jednéj strony, że indywidualność jest prostym wytworem otoczenia, a z drugiéj, że odtworzenie przedmiotowéj prawdy powinno być pierwszém zadaniem sztuki. *Idealizm*, przeciwnie, bronił zazwyczaj czynnika *podmiotowego* twórczości artystycznéj, więc obstawał przy samorodności tego czynnika i jego niezależności od otoczenia, a w zakresie artyzmu oddawał pierwszeństwo podniosłemu na-

strojowi ducha, treści wewnętrznéj indywidualności przed wierną charakterystyką faktycznych danych świata zewnętrznego.

Postępy nowszéj psychologii i wogóle głębsza znajomość człowieka łagodziły coraz bardziéj ten antagonizm i wciągnęły wreszcie samą indywidualność z bogatym zasobem jéj treści wewnętrznéj w zakres realistycznego pojęcia sztuki. Dziś już estetyk realista, obeznany z naukową psychologią, nie może zaprzeczać potężnemu udziałowi indywidualności w twórczości artystycznéj. Dawna zasada empirycznego realizmu, że dusza ludzka jest *tabula rasa*, że cała jéj treść pochodzi z jéj otoczenia, ostać się nie mogła wobec głębszéj analizy objawów psychicznych, a szczególniéj wobec prawa dziedziczności, wykazującego w sposób niezbity, że każda indywidualność przynosi z sobą na świat pewną odrębną kombinacyę zdolności umysłowych, odziedziczoną po przodkach i nadającą jéj charakter oryginalny, różny od innych indywidualności. Ztąd pochodzi fakt bardzo prosty, nie uwzględniany dawniéj należycie przez doktrynerów realizmu, że wśród jednakowych warunków otoczenia rozwijają się jednak zupełnie różne indywidualności, jak z różnych zarodków wyrosnąć mogą na jednym i tym samym gruncie różne rośliny—lilia i głóg.

Takie uznanie samoistnego znaczenia indywidualności, jéj przyrodzonych czynników, niezależnie od wpływów zewnętrznego otoczenia, jest jedném z najpotężniejszych zwycięztw idealnego poglądu na sztukę i wogóle na twórczość artystyczną. Jeżeli bowiem indywidualność nie jest tylko biernym wynikiem zewnętrznych warunków rozwoju, lecz przedstawia czynnik samoistny, przyjmujący rozliczny charakter, stosownie do swojéj treści wewnętrznéj, natenczas ta treść wewnętrzna rozwijającéj się indywidualności, jéj myśli, uczucia i dążności, wogóle jéj nastrój umysłowy, muszą być bardziéj niż dotąd przyjmowane w rachubę, zarówno przy ogólnym poglądzie na istotę twórczości artystycznéj, jak i szczególnie przy krytycznym rozbiorze jéj pojedyńczych utworów.

Obecnie już dla należytego objaśnienia działalności poety, artysty, nie wystarcza skrzętne zbieranie danych, dotyczących zewnętrznych warunków jego rozwoju, lecz uwzględnić należy zarazem przyrodzone czynniki jego uzdolnienia, talentu, geniuszu, przetwarzające w sposób indywidualny wszelkie wpływy przedmiotowe. Wychowanie, stosunki osobiste, otoczenie, duch czasu, moment dziejowy, wzory przeszłości, koleje życia, —są to wszystko czynniki, niewątpliwie nader ważne, twórczości pierwszorzędnych nawet geniuszów, ale czynniki nie jedyne, nie wyłączne. Indywidualność równoważy je, przerabia na swój ład, potęguje lub osłabia, stosownie do uzdolnienia i nastroju swych władz umysłowych.

W ten sposób ostatecznie grunt przedmiotowy, z którego dzieło wyrasta, nie określa bynajmniéj wystarczająco jego charakteru, nie rozwiązuje wogóle wielkiéj zagadki twórczości artystycznéj. Do tego potrzeba uzupełnić analizę przedmiotowego gruntu rozbiorem owego podmiotowego zarodu ducha, który jest właściwym czynnikiem życia i twórczości, który z gruntu wyciąga tylko pierwiastki, odpowiadające jego naturze, przyczyniające się do rozwoju i ukształtowania jego treści wewnętrznéj, do wydania właściwego kwiatu i owocu. Grunt może wpłynąć silnie na barwę kwiatu i smak owocu, może im nadać swój odcień odrębny; ale o samym ustroju kwiatu i charakterze owocu stanowi indywidualna natura rośliny. Podobnież i dzieła sztuki są przedewszystkiém wyrazem indywidualności, ducha ich twórców: wyrazem oryginalnego zespolenia władz umysłowych, rozwijających się nie tylko pod wpływem przedmiotowych warunków otoczenia, lecz i według swego przyrodzonego nastroju podmiotowego.

Na polu krytyki estetycznéj powyższa przeciwstawność pomiędzy zasadami *indywidualizmu* i *przedmiotowości* wyraża się dobitnie w różnych poglądach znakomitych współczesnych krytyków, *Brandesa* i *Taine'a*, na istotę twórczości. *Brandes* pod tym względem kładzie główny nacisk na indywidualność poety, artysty; w niéj widzi główne źródło twórczości; ona-to czerpie nowe idee z głębi swego ducha; materyał zaś, zaczerpany z ogółu, przeistacza na dzieło oryginalne, nadaje mu żywą formę, przemawiającą znowu do ogółu. *Taine* natomiast dopatruje się głównego czynnika twórczości w działaniu otoczenia, ogółu, narodu, czasu, na indywidualność, która staje się tylko biernym wyrazem tego działania i podlega prawie zupełnie jego wpływowi. Jest to pogląd demokratyczny, któremu *Brandes* przeciwstawia arystokracyę ducha, wynoszącą się swém uzdolnieniem, talentem, geniuszem, wysoko po nad tłumy, nie ulegającą im, lecz, przeciwnie, przyciągającą je do siebie i kierującą niemi [1]).

W téj też myśli niewątpliwie genialny nasz wieszcz powiedział: Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...

Wśród pozytywnych estetyków naszego czasu, *Eugeniusz Véron* podniósł wysoko to znaczenie indywidualności w sztuce; przyjął ją za zasadę całéj swéj estetyki i doszedł w tym względzie nawet do ostateczności. Według niego, sztuka jest poprostu tylko ożywionym wyrazem osobistości ludzkiéj. *L'art*, mówi *Véron*, *n'est autre chose que l'expression émue de la personalité humaine*. Prawdziwy poeta, artysta, nie ma żadnych innych celów, żadnych innych dążności i zamia-

[1]) Zob. odczyty *Jerzego Brandesa O krytyce nowoczesnéj* w „Kraju" za rok 188[illegible]

rów, jak tylko wypowiedzieć to, co w nim żyje, t. j. swoję treść wewnętrzną, indywidualną, w sposób jak najżywszy.

W imię tego poglądu *Véron* z jednéj strony potępia namiętnie wszelkie wzorowanie się na najznakomitszych nawet utworach przeszłości, wszelki konwencyonalizm akademicki, i nadaje wogóle pięknu w sztuce znaczenie zupełnie podrzędne; *il est complétement impossible*, mówi, *que la conception du beau suffise aux aspirations des artistes.* Z drugiéj zaś strony krytykuje zarazem ze stanowiska indywidualizmu i teoryę *Taine'a* o rysach charakterystycznych przedmiotu, odtwarzanych przez sztukę, i widzi w téj teoryi tylko niewłaściwe pomieszanie sztuki z nauką. Dążnością artysty, według *Véron*a, nie jest wcale wierne odtwarzanie przedmiotów, lecz wyrażanie swéj osobistości. *Au lieu de s'appliquer à manifester l'essence et le caractère dominant des choses, l'artiste manifeste spontanément et sans le savoir l'essence ou le caractère dominant de sa propre personalité... L'art personnalise la réalité, c'est là son caractère éminent.* Jedném słowém, z trzech rodzajów sztuki, mówi *Véron*, jakiemi są: sztuka konwencyonalna, realistyczna i osobista, tylko ostatnia zasługuje istotnie na miano sztuki [1]).

Dla uzasadnienia powyższych poglądów, Véron rozpatruje przedewszystkiém przedhistoryczne początki sztuki i zaznacza w całym jéj rozwoju przeważny udział czynników indywidualnych człowieka. Na téj zasadzie dochodzi do wniosku, że sztuka jest nawskroś przedmiotową (*l'art est essentiellement subjectif*). Następnie poddaje szczegółowemu rozbiorowi zarówno upodobanie estetyczne, jak smak, geniusz twórczy, styl, oraz pojedyńcze sztuki, i dopatruje się wszędzie szczegółowego potwierdzenia zaznaczonych ogólnych zasad indywidualizmu w sztuce, t. j. udziału przedewszystkiém czynników osobistych w twórczości artystycznéj.

Wprawdzie już dawno przed *Véronem*, jak wzmiankowano powyżéj, teorye idealistyczne domagały się należytego uwzględnienia indywidualności, ducha, przy rozbiorze utworów poezyi i sztuki pięknéj. Już *Kant* widział w bogato uposażonéj twórczéj indywidualności, w geniuszu, jedynego *prawodawcę* sztuki. Według niego natura przepisuje sztuce prawa, daje jéj przepisy postępowania jedynie za pośrednictwem przyrodzonego twórczego uzdolnienia artysty, za pośrednictwem talentu, genialnéj indywidualności. Dlatego téż, według *Kanta*, twórczego geniuszu nie można krępować abstrakcyjnemi regułami, lecz przeciwnie, wszelkie reguły czerpać należy z jego utwo-

[1]) *Eugène Véron, L'esthétique.* Wydanie 2-gie 1883. Zob. szczególniéj *Wstęp*, oraz str. 38, 89 i nast. 106 i nast. 158.

rów. Utwory bowiem geniuszu nie są sztucznemi wyrobami przemysłu, techniki, mozolnie przez człowieka obmyślanemi, lecz są bezpośredniemi dziełami saméj natury, wydanemi za pomocą szczególnego nastroju władz umysłowych człowieka, t. j. oryginalnéj indywidualności [1]).

Do tych zdań *Kanta* i najgorętsi obrońcy indywidualizmu nic zgoła nowego w zasadzie dodać nie mogą. Mogą tylko te zdania zastosować do swych poglądów na sztukę i poprzeć je bardziéj szczegółowemi argumentami, zaczerpanemi z rozbioru psychologicznego twórczości artystycznéj. To też czyni *Véron* i na tém polega głównie doniosłość jego estetyki.

W saméj rzeczy, dzieło sztuki odpowiada swemu zadaniu i budzi nasze zajęcie głównie jako wyraz żywéj, bogato uzdolnionéj i oryginalnéj indywidualności. Tylko taka indywidualność zawiera w sobie dane, czyniące zadość wysokim wymaganiom artyzmu. W niéj tylko działają w sposób należyty czynniki umysłowe, zdolne wytworzyć treść i formę prawdziwego dzieła piękna.

Jeżeli bowiem treść utworu artystycznego polega zawsze na idei, jaką sobie artysta wyrobił o przedstawionym przedmiocie, to naturalnie idea ta będzie tém pełniejszą, tém wszechstronniéj będzie charakteryzowała rzecz, tem głębsze da o niéj pojęcie, im wyżéj uzdolnioną jest indywidualność artysty, im umysł jego obejmuje szersze widnokręgi, im jest wrażliwszy na tętno życia powszechnego, przenikającego naturę, społeczeństwo, ludzkość, wszechświat. Z większą zaś bystrością w chwytaniu znamion rzeczy i z żywszą wyobraźnią, odgadującą głębokie analogie między zaznaczonemi szeregami bodźców, oddziaływających na umysł twórczy, i forma jego utworów nabiera więcéj wyrazu, siły, urozmaicenia. Dopatruje się on w przedmiotach takich rysów, które uchodzą uwagi zwyczajnych śmiertelników, a wskutek tego przedstawia rzeczy z oryginalnéj, niezwykłéj strony, wywołuje nowe myśli i uczucia, lub też porusza dawno uśpione, ożywia je, potęguje i nadaje im nowy blask.

W ten sposób utalentowana, genialna indywidualność zdolną jest obudzić nasze zajęcie często dla rzeczy najprostszych, powszednich, koło których tłumy przechodzą dzień w dzień bezmyślnie, nie widząc w nich nic zasługującego na uwagę. A cóż dopiero, gdy taka indywidualność wzniesie się na wyżyny ogólnie ludzkich ideałów, gdy się przejmie treścią, niepokojącą całe jestestwo człowieka, dotyczącą je-

---

[1]) *Kant*, *Kritik der Urtheilskraft*. 1790. § 46. Myśl tę rozwija *Kant* szczegółowo w dalszych paragrafach do 49 włącznie.

go doli i niedoli, jego dążeń tytanicznych i rozczarowań, jego walki z sobą i światem, jego wiary, miłości, nadziei! Wtedy-to poeta, artysta, śmiało o sobie powiedzieć może:

Nazywam się milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze!

A miliony w saméj rzeczy całemi wiekami od pokolenia do pokolenia karmią się duchowo utworami geniuszu, znajdują w nich rozkosz uszlachetnioną, zapomnienie trosk, zachętę do podnioślejszych dążeń, świetlaną wskazówkę na ciemnéj drodze życia, wiarę w zwątpieniu, ukojenie w rozpaczy.

Jakże tedy wniknąć w myśl przewodnią utworu artystycznego, przejąć się jego duchem, wyjaśnić wpływ jego na daną społeczność lub nawet na ludzkość całą, nie zdając sobie sprawy przedewszystkiém z nastroju umysłowego poety, artysty? Bez zrozumienia wewnętrznych potrzeb, porywów i dążeń ducha twórczego, jego odrębnéj indywidualności, mowy być nie może o należytém zrozumieniu jego utworów i ich doniosłości dziejowéj. Każde dzieło prawdziwego talentu, geniuszu, nosi na sobie pewne cechy indywidualne, jemu tylko właściwe, i tylko w związku z temi cechami objawia nam w zupełności treść swoją, daje nam poznać swą piękność prawdziwą.

* * *

Pomimo takiéj niezaprzeczonéj doniosłości czynnika indywidualnego w twórczości artystycznéj, *Véron* wpada w przesadę, gdy wprost utrzymuje, że sztuka nie jest niczém więcéj, jak tylko ożywionym wyrazem (*l'expression émue*) osobistości ludzkiéj. Jest to określenie tak szerokie, że obejmuje całe szeregi objawów, nie mających nic wspólnego ze sztuką, a nawet często rozchodzących się rażąco z jéj prawdziwą istotą. Bo w czémże nie wyjawia się w sposób ożywiony osobistość ludzka? czego z tego stanowiska nie należało-by nazwać sztuką? I płacz dziecka, i niesforność chłopięcia, kłótnie uliczne i osobiste polemiki, praca wieśniaków, robota rzemieślników, ruch zakładów przemysłowych, potyczki wojenne, nawet napaści zbójeckie, wraz z całą statystyką kryminalną,— to wszystko i wiele innych objawów ludzkiéj namiętności i energii odpowiada w zupełności określeniu *Véron*, a więc wpadało-by w zakres sztuki. Już to jedno wykazuje rażący brak ścisłości w zasadniczych poglądach *Véron* na sztukę.

Ale i przy takiém zbyt szerokiém określeniu sztuki okazuje się jednakowoż potrzeba oznaczyć pewne rysy znamienne, odróżniające sztukę w powszechnie przyjętém znaczeniu tego słowa od wspomnia-

nych powyżej działań, które są wprawdzie także ożywionym wyrazem indywidualności ludzkiéj, lecz o charakterze zupełnie różnym, wprost nawet przeciwnym. Możemy się tedy w zupełności zgodzić na to, że sztuka jest jednym z wielu różnorodnych sposobów uzewnętrzniania się człowieka, jednym z wyrazów jego indywidualności; pomimo to, zapytać musimy, jakim właściwie wyrazem indywidualnym jest sztuka w różnicy od tylu innych wyrazów, nie zasługujących na to miano i nie mogących być samowolnie z nią pomieszanemi?

Jeden z takich rysów znamiennych sztuki, w różnicy od innych przejawów treści wewnętrznéj człowieka, zaznaczyliśmy już powyżéj, mówiąc o indywidualności utalentowanéj, genialnéj. W gruncie rzeczy i *Véron* w swym dodatku, że sztuka jest ożywionym wyrazem osobistości ludzkiéj, miał na oku osobistość utalentowaną lub genialną, wynoszącą się po nad zwykły poziom, zdolną do żywszego od innych wyrazu swéj treści indywidualnéj. Zwyczajny, że tak powiem, prozaiczny nastrój władz umysłowych, i według *Vérona*, nie wytwarza sztuki. Nie są téż do tego wystarczającemi podrażnienia powierzchowne, rozstrzelone, zlokalizowane w pewnych odosobnionych komórkach jestestwa psychicznego, wyrażające się tylko urywkowo, jednostronnie. To wszystko są zaledwie zawiązki prawdziwie ożywionego wyrazu osobistości. Aby wywołać taki wyraz, potrzeba głębszych poruszeń, silniejszych emocyi; emocyi skoncentrowanych, sięgających samego ośrodka bytu indywidualnego i obejmujących wskutek tego syntetycznie szersze zakresy jego potrzeb i dążeń Takie zaś głębsze i szersze poruszenia są tylko udziałem osobistości wyżéj uzdolnionéj, bardziéj wrażliwéj na bodźce, przyśpieszające tętno życia umysłowego. Więc z tego wynika, że sztuka, jako *ożywiony* wyraz indywidualności, jest właściwie wyrazem indywidualności utalentowanéj, genialnéj. Totéż *Véron* wprost mówi, że w dziele sztuki podziwiamy właściwie nie samo dzieło, lecz tylko zdolność, talent, geniusz jego twórcy. *Quel talent il a fallu pour faire un pareil ouvrage!* Oto wykrzyknik, do którego, według *Vérona*, sprowadzają się w gruncie rzeczy wszelkie admiracye artystyczne.

Można wprawdzie i temu określeniu podziwu artystycznego zarzucić wielki brak ścisłości. Bo gdyby uznanie dla dzieła sztuki nie wypływało z działania samego dzieła na nasz umysł i serce, lecz miało na oku jedynie sposób jego dokonania, a szczególniéj przezwyciężenie pewnych w tym względzie trudności, natenczas nie było-by żadnéj różnicy pomiędzy podziwem dla sztuk łamanych ekwilibrystyki lub dla prostéj zręczności technicznéj, a zadowoleniem estetycznem, wywołaném samą treścią i formą utworu artystycznego. Pominąwszy jednak ten brak ścisłości, czyż przy powyższym poglądzie nie było

prościéj i zrozumialéj powiedzieć od razu: *sztuka jest wyrazem talentu, geniuszu?* Po co wygłaszać ogólniki, obejmujące chaotyczną różnorodność szczegółowych objawów, bałamucące umysły swą pozorną nowością, skoro prędzéj czy późniéj, przy bliższém rozpatrzeniu rzeczy, okazuje się potrzeba porzucić takie nieokreślone ogólniki i powrócić znowu do prawd starych, powszechnie przyjętych? Bo któż dziś wątpi o tém, że do sztuki potrzeba nie tylko indywidualności wogóle, lecz przedewszystkiém talentu, geniuszu, więc indywidualności o pewném, określonem uzdolnieniu? Każdy wie o tém, że talent, geniusz, jest podmiotowém źródłem wszelkiéj twórczości artystycznéj, jednym z koniecznych warunków istnienia i rozwoju sztuki. Nie jest to tedy nic nowego; widzieliśmy, że już stary *Kant* oparł na téj prawdzie swe poglądy estetyczne. Gdyby tedy współczesny indywidualizm nie obejmował żadnéj innéj treści, prócz téj prostéj prawdy, natenczas nie mógłby mieć pretensyi do oryginalności i nie zwrócił-by téż na siebie szczególnéj uwagi.

Co stanowi tedy nowość i oryginalność indywidualizmu *Véron*a i jego naśladowców u nas? Przesada i wyłączność w rozwinięciu powyższéj prawdy! Indywidualizm w saméj rzeczy nie kontentuje się prostą treścią téj prawdy, lecz idzie daléj i uznaje indywidualność artysty za *jedyne* źródło sztuki. *La seule source de l'art*, mówi *Véron, c'est toujours l'artiste.* W imię zaś takiéj wyłączności występuje zarazem z obroną bezwzględnéj niezależności artysty od wszelkich z zewnątrz pochodzących przedmiotowych reguł, od wszelkich czynników, ograniczających jego swobodę tworzenia co i jak mu się nadarza, stosownie jedynie do swych własnych potrzeb, życzeń i upodobań. W téj właśnie obronie bezwzględnéj swobody tworzenia według czysto osobistych pobudek twi rewolucyjna zasada współczesnego indywidualizmu w sztuce, jego radykalizm i namiętna oppozycya względem wszystkiego, co się nazywa ustaloném, niezmiennem, prawdziwém w dotychczasowéj estetyce, względem wszelkich konserwatywnych czynników artyzmu, ale zarazem i względem najistotniejszych podstaw dotychczasowéj kultury estetycznéj.

Zasadę, że talent, geniusz, jest sam sobie prawem, indywidualizm doprowadza tedy do ostateczności i domaga się w imię téj zasady wyłączenia talentu z pod wszelkich praw przedmiotowych, obowiązujących dotąd twórczość artystyczną; broni więc już nie tylko samodzielności, lecz poprostu *samowoli* talentu. Siła wyrazu, z jaką talent uzewnętrznia swoją treść indywidualną, — oto, według téj teoryi, czynnik najważniejszy twórczości artystycznéj. Czynnik ten ma nam dać zapomnieć zarówno o przedmiocie utworu, jak i nawet o różnorodnych jego usterkach, a w każdym razie ma więcéj znaczyć, niż

poprawność wykończenia lub staranność o zadosyćuczynienie jakimś ideałom piękna. Co kto tworzy i jak tworzy, to jest w gruncie rzeczy obojętném, aby tylko dawał dowody talentu i to talentu z temperamentem. Co taki talent zrobi, musi być dobrém i budzi podziw, bez względu na wszelkie reguły teoretycznéj estetyki. „Telle euvre, pleine d'incorrection et de défauts,—mówi *Véron*,— garde des droits à notre admiration par cela seul que la personalité de l'artiste y éclate par une originalité puissante et par l'énergie avec laquelle elle manifeste le tempérament et le caractère d'une impression individuelle".

Wiadomo wszystkim, do jakich wyników praktycznych na polu współczesnéj poezyi i sztuki doprowadza ta niczém nie ograniczona autokracya talentu, ta bezwzględna wiara w jego nieomylność, to lekceważenie przedmiotowych regulatorów twórczości.

Nie krępując się żadną idealną regułą, talenta naturalistyczne naszéj doby, przejęte swoją bezwzględną niezawisłością od wymagań dotychczasowéj estetyki, obdarzyły poezyę i sztukę szeregiem utworów, nie będących w gruncie rzeczy ani wierną kopią rzeczywistości lub krytycznym zbiorem dokumentów, dotyczących opracowanego przedmiotu, ani dziełem wyobraźni, natchnionéj jakąś ideą przewodnią, lecz czemś pośredniém między nauką i poezyą, między sztuką naśladowniczą i wyzwoloną, czémś nieokreśloném, niezdolném należycie zadowolić ani zmysłu prawdy, ani zmysłu piękna zwykłego śmiertelnika, a drażniącém jedynie jego nerwy wcale niewybrednemi bodźcami. Gdy zaś obecnie, właśnie przy udziale samego indywidualizmu, ustala się przekonanie, że publiczność przesyciła się utworami naturalizmu i na nich się zdenerwowała, cóż czyni talent niepodległy, nie krępujący się żadnemi wzorami przedmiotowemi, żadnemi wskazówkami „staréj" estetyki, ufający znowu bezwzględnie samemu sobie, swéj indywidualności i temperamentowi? Otóż goni również za zwodnemi marami, bałamuci siebie i innych wymuszonemi utworami samowoli, skazanemi z góry na efemeryczne istnienie. Świadczą o tém adepci intuicyonizmu, symbolizmu, dekadentyzmu, impresyonizmu, wibryzmu i tylu innych kierunków współczesnéj poezyi i sztuki, szukający nowych dróg, aby tylko nie kroczyć po utorowanym gościńcu, aby koniecznie uchodzić za oryginalnych, jak gdyby oryginalność nie była już możliwą w granicach dotychczasowéj kultury estetycznéj.

Jak tu wyjść z zaczarowanego koła, trzymając się wyłącznie zasad indywidualizmu? O talencie sądzić można tylko po utworach; utwory zaś uchylają się od wszelkiéj oceny, powołując się na powagę talentu, któremu istnienie zawdzięczają. Po czém tedy poznać talent? Czy w istocie po saméj sile temperamentu, albo może po wielkich

pretensyach i przesadnych aspiracyach, po pewności siebie i bezwzględnéj zarozumiałości? Prawda, już *Göthe* powiedział: *Nur ein Lump ist bescheiden*, a *Véron* skorzystał z téj myśli w zastosowaniu do sztuki, mówiąc: *Dans l'art la modestie qui se cache n'est le plus souvent que de l'impuissance.* Ale czyż z tego wynika, że brak skromności, pycha i zuchwalstwo są nieomylnemi znamionami talentu? Czyż dlatego każdemu, kto występuje śmiało z pretensyą do talentu, mamy wierzyć na ślepo bez rozbioru jego utworów? A jeśli taki rozbiór, bądź co bądź, jest koniecznym, jako legitymacya talentu, to z czém należy porównać utwory nowo występujące na widownię sztuki? jaką miarę przyłożyć dla ich oceny? zkąd tę miarę wziąć? jedném słowem: jak się przekonać o ich istotnéj wartości?

Nie trudno zrozumieć, że sama zasada indywidualizmu tu już nie jest wystarczającą, bo ona nie wyprowadza twórcy po-za samego siebie, nie daje ani jemu, ani innym możności zastosowania jakiejkolwiek krytyki do jego utworów, gdyż do tego niezbędnym jest czynnik przedmiotowy, coś stałego, niezależnego od zmiennych porywów, zachcianek, a często i mamidel ograniczonéj jednostkowéj indywidualności. Przecież i wyższe, genialne talenta mogą podlegać rozlicznym zboczeniom, mogą puścić wodze swemu subjektywizmowi i przez to w sposób samobójczy marnować najbogatsze nieraz zasoby przyrodzonego uzdolnienia. Historya literatury i sztuki nie szczędziła nam i takich przykładów, a z żalem wyznać należy, że obfitują w nie szczególnie nasze czasy.

Bo też dziwne sprzeczności przedstawia nam nastrój umysłowy naszych czasów, a wraz z nim i współczesna twórczość artystyczna. Z jednéj strony napotykamy poczucie indywidualnéj niezależności od wszelkich więzów przedmiotowych, posunięte do ostatecznych granic samowoli, igrające nawet z własném życiem, jak kot z myszą; a z drugiéj strony uwydatnia się na każdym kroku bezwzględna czołobitność przed ogołoconą z myśli przyrodą, przed niemym mechanizmem świata przedmiotowego, podziwianego jako bezduszne bożyszcze, nie mające zgoła nic wspólnego z życiem wewnętrznem człowieka, z najgłębszemi poruszeniami jego umysłu i serca. W ten sposób i najbardziéj utalentowany poeta, artysta, w chwilach spokoju, zastanowienia, refleksyi, nie wie co czynić, w jakim kierunku opieką i pracą swoją poprzeć naturalne uzdolnienie. Czy we wszystkiém polegać wyłącznie na talencie, ufać bezwzględnie swéj indywidualności i, nic zresztą nie robiąc, czekać spokojnie, jak derwisz turecki, na chwilę natchnienia, i wtedy, niby w tańcu szalonym, puścić wodze podnieconemu temperamentowi i tworzyć, co i jak do głowy przyjdzie? Czy też czepić się zewnętrznéj przedmiotowości, świata rze-

czywistego, jak pijany płotu, i w subtelném oddaniu jego objawów widzieć alfę i omegę twórczości artystycznéj?

Naturalizm dawał tę ostatnią radę; *Véron* zaś z całą otwartością przyznaje się do pierwszéj. Ale czyż w saméj rzeczy niéma wyjścia dla artysty z powyższéj ostateczności? Czy z powołania swego koniecznie skazany jest bądź na mistyczną samowolę, bądź na bezmyślne naśladownictwo? Nie sądzę! Przeciwnie, zaznaczyć należy, że kultura estetyczna prawie trzech tysięcy lat wyzwoliła narody cywilizowane oddawna z tych pierwocin twórczości artystycznéj. Naturalizm i *Véron* mają to wspólnego, że z przesadném zamiłowaniem biorą za podstawę swych poglądów człowieka przedhistorycznego, ale wskutek tego wytwarzają téż teorye, dające się zastosować właściwie tylko do barbarzyńców; bo oni jedynie idą ślepo za wskazówkami niepohamowanego instynktu i zmysłów. U nich tylko twórczość sprowadza się z jednéj strony do samowolnych porywów temperamentu, a z drugiéj do chęci niewolniczego naśladowania przedmiotów zewnętrznych. U narodów zaś cywilizowanych te czynniki twórczości nie działają już chaotycznie, w sprzeczności z sobą, lecz, równoważąc się nawzajem, łączą się organicznie i wydają dzieła, w których odtworzenie rzeczywistości służy tylko za tło dla przejawu samodzielnéj myśli, a ta znowu nie powoduje się wyłącznie motywami indywidualnemi, lecz wdraża się chętnie w przedmiotowy porządek rzeczy, pojmując łączność swoją z tym porządkiem. Téj organicznéj spójni między indywidualnością i światem przedmiotowym, między ideą i rzeczywistością, w twórczości artystycznéj rozerwać już nie można bez nadwerężenia normalnego rozwoju sztuki wogóle i podkopania fundamentów całéj naszéj kultury estetycznéj.

Czémże w istocie byłby dzisiaj wśród nas najgenialniejszy nawet talent, gdyby się nie rozwijał w odpowiedniém otoczeniu, gdyby z bogatych zasobów kultury umysłowéj i artystycznéj nie zaczerpał danych dla swéj twórczości?

Véron napada wprawdzie z wielką namiętnością na dzisiejszy sposób wykształcenia artystów. Domaga się on wyzwolenia artysty z pod wpływu szkoły. Paryska *Ecole des beaux-arts* jest dla niego wzorem zacofania w sztuce, a *Cabanel* głównym prorokiem szkolarstwa, podkopującego w młodych artystach wszelką indywidualność, wszelką szczerość uczucia i poryw do samodzielnéj twórczości. W zawziętości swojéj stworzył *Véron* nawet osobne słowo *encabanelliser*, aby oznaczyć zabicie polotu natchnienia rutyną akademicką. Któż w tém wystąpieniu *Véron*a nie dopatruje się wzoru dla naszych indywidualistów, którzy, pomimo wszelkiéj pretensyi do oryginalności, zastąpili tylko *Ecole des beaux-arts* akademią krakowską, a na kozła ofiarnego, zamiast *Cabanela*, wzięli *Matejkę*.

Nie mamy powodu bronić konwencyonalizmu i rutyny akademickiéj, o ile wpadają w sztywne, skostniałe formy, sprzeczne z wymaganiami prawdziwego piękna. Zawsześmy otwarcie wady tego rodzaju potępiali w utworach naszéj sztuki. Ale od nagany dla takich zboczeń aż do potępienia wszelkiéj w ogóle szkoły dla artystów, wszelkiego korzystania ze wzorów przeszłości, wszelkiéj kultury estetycznéj, jest skok tak wielki, że nań zdobyć się mogą jedynie indywidualności, ufające bardziéj podszeptom rozgorączkowanego temperamentu, aniżeli głosowi rozumu, przesadnym doktrynom bardziéj, aniżeli doświadczeniu dziejów.

Cóżbyśmy powiedzieli na to, gdyby jakiś pedagog współczesny, niezadowolony obecnym stanem szkolnictwa, zamiast zażądać reformy szkół i nauczania, potępiał wogóle istnienie szkół i widział w samém nauczaniu źródło wszelkiego złego, t. j. systematyczne przytępianie samodzielnéj indywidualności ucznia, przytłumienie jego zmysłu badawczego, jego zamiłowania i uzdolnienia do nauki! Powiedzielibyśmy niewątpliwie, że to jakiś dziwak, nie mający pojęcia o tém, że najsamodzielniejsza praca nad nauką nie jest dzisiaj możliwą bez przyswojenia sobie jéj dotychczasowych zdobyczy, bez odpowiedniego wykształcenia naukowego, które staje się dostępném dla młodego pokolenia tylko w szkołach, przy pośrednictwie nauczycieli.

Do takiego właśnie dziwactwa dochodzą na polu artystyczném *Véron* i jego ślepi adepci, potępiając wszelkie wogóle wykształcenie akademickie artystów, z powodu niektórych wad, którym ono podlega. Precz, wołają, ze szkołami sztuk pięknych, z akademiami, z estetyką urzędową (wyrażenie to nasi doktrynerzy zaczerpali również z *Véróna*); precz ze studyowaniem utworów najgenialniejszych nawet mistrzów przeszłości. To wszystko zabija tylko samodzielność i talent młodych artystów! Oni sami lepiéj sobie poradzą, idąc za wskazówkami swéj indywidualności temperamentu, aniżeli gdy zmuszeni będą ulegać kierownictwu profesorów akademii, propagujących tylko swoje pojęcie o sztuce i swoją rutynę. Zapatrując się na obce wzory, wychwalane w akademiach i nagromadzane w galeryach, młody artysta marzy tylko o tém, aby im dorównać, a przy tém zapomina zupełnie, że sam sobie stworzyć winien formę dla wyrażenia swéj indywidualności, że powinien być przedewszystkiém sobą i nie oglądać się wcale na innych. Nawet studyom z natury *Véron* nie przydaje szczególnego znaczenia, gdyż i w nich widzi pewne ograniczenie indywidualnego wyrazu osobistości.

Nadto i ścisła spójnia młodych artystów w szkole podkopuje, według *Véróna*, samodzielny rozwój ich indywidualności. Jeden przej-

muje od drugiego technikę i pomysły, jeden kopiuje drugiego, a ocierając się o siebie, wyrównywają swoje odrębności i tracą na charakterze, aż w końcu żaden nie wyraża swéj indywidualności w sposób sobie właściwy, oryginalny. Już *Rembrandt* pojmował dobrze złe skutki wspólnego nauczania i dlatego odosabniał swych uczni, żeby jeden nie szukał wzorów u drugiego, lecz wedle swych indywidualnych zdolności rozwijał się samodzielnie. Tą metodą należy się posługiwać i dzisiaj, według indywidualistów, porzucając raz na zawsze wykształcenie szkolne, akademickie, będące główną przyczyną wynaturzenia się talentu w naszych czasach, upadku oryginalnéj twórczości na polu poezyi i sztuki.

Tak więc w celu przyczynienia się do samodzielnego rozwoju talentów twórczych, indywidualizm zrywa z całą dotychczasową tradycyą wykształcenia akademickiego i sądzi, że najskuteczniejszym środkiem pobudzenia młodych artystów do wydania prawdziwie oryginalnych utworów jest ascetyczne odosobnienie młodzieży i zaszczepienie w niéj lekceważenia dla wszelkich „mistrzów“. Tylko trzymając się zasady *nil admirari*, wyrzekając się z góry wszelkiego podziwu dla obcych utworów, choćby to były i utwory pierwszorzędnych geniuszów świata, można pozostać sobą, można rozwinąć należycie własną indywidualność, rozżarzyć w sobie iskrę talentu i wydać dzieła znakomite,—oto aksyomat pedagogiczny jednostronnego indywidualzmu. Podziwiać obce dzieła jest rzeczą jedynie zwykłych śmiertelników; talent zaś nie krępuje się żadnym podziwem dla jakichkolwiek *miarodajnych* wzorów, lecz idzie tylko za wskazówkami własnego temperamentu!

Wspomniane powyżéj „oryginalne“ kierunki współczesnéj twórczości wykazują dobitnie, jakich owoców na przyszłość spodziewać się możemy na niwie poezyi i sztuki z takiego samouctwa talentu, połączonego z przesadnie podniecona samowiedzą i z wielką dozą samochwalstwa. W każdym razie dotąd nie można powiedzieć, aby ten zasiew indywidualizmu, tak szumnie reklamowany, przyczynił się do wydania dzieł niezwykłych, uderzających swą genialną oryginalnością. Przeciwnie, wyznać należy, że większość utworów współczesnych, odznaczających się prawdziwym artyzmem, podniosłą treścią i wykończoną formą, zawdzięczamy poetom, artystom, wykształconym na mistrzowskich wzorach przeszłości, przyłączającym się ochoczo do wielkich twórców naszéj kultury literackiéj i artystycznéj, świadomym swéj duchowéj spójni z nimi. Talenta zaś negacyjne, rozwijające się w sprzeczności z tą tradycyą przeszłości, dobijające się sztucznego rozgłosu swoją opozycyą względem wszystkiego, co ludzkość dotąd uznawała za najdroższy dobytek swéj pracy dziejo-

wéj, za konieczną podstawę dalszego postępu ku możliwie pełnemu urzeczywistnieniu ideałów prawdy, piękna i dobra, takie talenta nie zdołały dotąd dziełami swemi utorować przyszłym pokoleniom nowych dróg, odsłaniających szersze widnokręgi od tych, jakie dotychczasowa kultura artystyczna już obejmuje.

Bo téż w saméj rzeczy, niéma żadnéj racyi sądzić, aby gwałtowne rozerwanie naturalnego związku z pozostałą ludzkością, a szczególniéj z jéj przewodniczącemi osobnikami, mogło się przyczynić do rozwoju czynników twórczości w młodém pokoleniu talentów i nadać im charakter bardziéj samodzielny. Znajomość jak najgruntowniejsza utworów wielkich mistrzów przeszłości nie osłabiła dotąd oryginalności żadnego prawdziwego talentu; przeciwnie, podniecila ją, jeżeli tylko istniała rzeczywiście jako zaród przyrodzony. I geniusz nawet staje się twórczym tylko pod wpływem właściwego otoczenia, i on bez mistrzów i wzorów nie mógłby się wznieść na dany szczebel kultury umysłowéj i wyczerpał-by najbogatsze zdolności bezskutecznie, bez spełnienia swéj misyi dziejowéj. Indywidualność sama przez się, wzięta w odosobnieniu, niczego dotąd nie dokonała i dokonać nie może. Przedstawia ona zbiór pewnych władz i zdolności umysłowych, które rozwijają się w sposób normalny i stają się czynnemi jedynie pod opieką innych, dojrzalszych jednostek, i wogóle przy udziale życia umysłowego danego narodu i czasu. Cały postęp dziejowy ludzkości polega na przekazaniu dobytków pracy i geniuszu z pokolenia na pokolenie. Bez szacunku dla téj spuścizny po poprzednikach bylibyśmy dotąd tak ubodzy umysłowo i tak nieudolni w technice, jak ów człowiek przedhistoryczny, który służy za punkt wyjścia dla zaznaczonéj pedagogiki indywidualizmu.

Realistyczny nastrój naszego czasu ceni wysoko przedmiotowość, uznaje ją słusznie za stałą podstawę bytu naszego, obejmującą niezbędne warunki życia i rozwoju jestestw, a więc i człowieka. Ale pojęcie téj przedmiotowości sprowadzamy zazwyczaj do zbyt szczupłych granic, widząc w niéj wyłącznie przyrodę, świat fizyczny. Tymczasem przedmiotowością jest dla nas wszystko, co ma byt niezależny od naszéj indywidualności, co z zewnątrz wpływa na jéj rozwój i bogaci ją swoją treścią odrębną. A do tego należy nie tylko przyroda fizyczna, lecz i cały zasób kultury umysłowéj, moralnéj i estetycznéj, nagromadzony przez wieki, służący za niezbędny punkt wyjścia dla naszéj działalności w chwili teraźniejszéj i dla wszelkich postępów na przyszłość. Przedmiotowością są tedy i wytwory dziejów, widzialne i dotykalne objawy pracy ludzkiéj, więc przemysł, sztuka, nauka, religia, ustrój społeczny,—jednem słowem, całe otoczenie, wśród którego żyjemy i rozwijamy się nie tylko fizycznie, lecz i umysłowo.

Tendencya do przyznania wytworom przyrody więcej znaczenia, niż wytworom kultury i do lekceważenia ostatnich dla tamtych, nie jest niczém usprawiedliwioną. Wytwory kultury, dzieła geniuszu, są takiemi samemi objawami powszechnych praw istnienia, jego treści zasadniczéj, jak i wytwory przyrody. W każdym razie są one na polu twórczości artystycznéj wzorami nie mniéj doniosłemi. Co więcéj, *Kant* ma słuszność, gdy mówi, że w dziełach geniuszu przemawia do nas sama natura twórcza i że z tych właśnie dzieł powinniśmy czerpać ogólne zasady sztuki i prawidła twórczości artystycznéj. Kto zatém lekceważy przeszłość poezyi i sztuki i nie rozpatruje się sumiennie, z zamiłowaniem, w dziełach wielkich mistrzów ludzkości, ten nie może mieć jasnego pojęcia o istocie i zadaniach sztuki i we własnych próbach twórczych nie przyczyni się nigdy do należytego rozwiązania tych zadań.

Nie zaprzeczając bynajmniéj dalszym postępom na polu sztuki, wyznać jednak należy, że przeszłość wydała już takie bogactwo typowych dzieł piękna, taką rozmaitość utworów, iż najsilniejsza pogoń za oryginalnością nie zdoła stworzyć rzeczy bezwzględnie nowych, różnych zasadniczo od czynników dotychczasowéj kultury artystycznéj. Jak w naturze, tak i w sztuce, niéma skoków, lecz istnieje jedynie rozwój organiczny, polegający na *stopniowém* przetwarzaniu materyałów i form przeszłości. To prawo rozwoju objawia się najdobitniéj właśnie na geniuszu twórczym, prawodawczym w dziedzinie sztuki. Geniusz bowiem prawdziwy nie lekceważy ani wzorów, ani nauki dziejów, nie robi rzemiosła z jałowéj opozycyi względem dotychczasowych dobytków ludzkości. Przeciwnie, geniusz rozwija się i wyrasta zawsze organicznie z gruntu, uprawionego pracą swych poprzedników. Ze czcią oddaje się wszystkiemu, co jest wzniosłém i wielkiém wśród ludzi, i korzysta skrzętnie z zasobów przeszłości dla wszechstronnego rozwinięcia swego jestestwa. Ztąd téż, tworząc najdoskonalsze dzieła, nie łamie gwałtownie form dawnych, lecz wdraża się w nie bez trudu, a przeistacza je tylko o tyle, o ile tego wymaga *treść* nowa, twórcza, którą z głębi swego ducha dobywa. W ten sposób geniusz prawdziwy nie przerywa naturalnéj ciągłości w rozwoju spraw ludzkich, lecz skupia w sobie zawsze najżywotniejsze zarodki przeszłości, bogaci je swoją nową treścią i doprowadza do wspaniałego rozkwitu.

Jasną jest tedy rzeczą, że o postępie i normalnym rozwoju na polu sztuki mowy być nie może, jeżeli młode pokolenie artystów nie będzie się kształciło na wzorach przeszłości, jeżeli nie przyswoi sobie przedewszystkiém zarówno wiedzy, jak i wyrobienia technicznego swych poprzedników. Z pod tego wymagania żaden talent, żaden

nawet geniusz wyłamać się nie może, jeżeli chce stanąć na wysokości swych zadań, jeżeli chce przyjąć udział dodatni w dziejowym rozwoju twórczości artystycznéj.

Jakże atoli zadosyć uczynić temu wymaganiu bez pomocy zakładów naukowych, bez szkół sztuk pięknych i akademii, bez profesorów i mistrzów, bez naśladowania nawet wzorów, aby je następnie prześcignąć? Można nie uznawać sztuki akademickiéj za szczyt artyzmu; należy się domagać, aby młody artysta nie ograniczał się samemi studyami akademickiemi, lecz nawykał zawczasu do samodzielnéj twórczości. Podniesienie tego czynnika indywidualnego wobec wszelkiego przesadnego szkolarstwa stanowi niezaprzeczoną zasługę *Véron* i pod tym względem każdy zdrowo myślący pedagog stanie niewątpliwie po stronie indywidualizmu. Ale pomimo to, należy uznać, że studya akademickie wraz ze studyami z natury są niezbędnemi środkami wykształcenia młodego artysty, których się dla żadnych doktryn wyrzéc nie można; że bez przebycia téj szkoły największy talent dziczeje i staje się podobnym bądź do poety, nieznającego gramatyki i metryki swego języka, bądź do myśliciela, zabierającego się do rozwiązania na własną rękę najzawilszych zagadnień nauki, nie mając pojęcia o badaniach swych poprzedników.

Potrzeba powtórzenia tak prostych prawd, zespojonych ściśle z całą naszą kulturą i cywilizacyą, świadczy najwymowniéj o rozprzężeniu, spowodowaném w umysłach przez doktrynerów indywidualizmu. Wśród większości adeptów tego kierunku stało się modą już nie tylko krytykować swych mistrzów, lecz poniewierać nimi i całą wogóle kulturą przeszłości, jak gdyby oryginalność i samodzielność talentu polegały na podkopaniu obcéj pracy i burzeniu obcych dzieł. Nie uznawać żadnych mistrzów, ale za to własne, lub też przyswojone od innych poglądy wygłaszać z namiętném poczuciem nieomylności i sobie jedynie przypisywać mistrzowstwo, — oto zwykła praktyka, spowodowana przez ten doktryneryzm. A jak wszędzie i zawsze, tak i tutaj pachołkowie krzyczą głośniéj od prowodyrów, pragną być od nich śmielszymi, być *plus pape que le pape*. Sam *Véron*, pomimo całéj nienawiści dla dotychczasowéj kultury artystycznéj, zachowuje jednak miarę w swych sarkastycznych wycieczkach przeciw inaczéj myślącym i rozwija wogóle swoje poglądy systematycznie, z pewnym przedmiotowym spokojem. Adepci jego natomiast wzięli rozbrat z wszelką ogładą literacką i brak argumentów na poparcie swoich doktryn zastępują zarozumiałém lekceważeniem innych i przesadą, która ma świadczyć o wychwalanéj sile temperamentu i niezależności sądu.

Przyszłość wykaże prawdziwe przyczyny tych objawów chwili, ich dobre i złe strony. Póki jednak radykalizm artystyczny pozostaje w granicach saméj tylko negacyi, dopóty obowiązek nakazuje prawdziwym miłośnikom sztuki bronić dotychczasowéj kultury estetycznéj, jako koniecznéj rękojmi dodatniego rozwoju i postępu artyzmu na przyszłość.

Henryk Struve.

IRENA.[1]

Na obiad przyjechało kilka osób; posiedzenie wieczorne przeciągnęło się długo, aż do chwili, w któréj Eugeniusz wyjechał na nocny pociąg do pobliskiéj stacyi kolei żelaznéj.

Amelia odprowadziła Irenę do jéj mieszkania.

— Przyznaj—zagadnęła ją, gdy się znalazły same—że Eugeniusz tak krótko bawił, boś ty go przyjęła tym razem niezwykle chłodno.

Irena rzuciła się była na szezlong. Ramiona podniosła, na skrzyżowanych rękach oparła głowę. Uśmiechała się, nawpół przysłoniwszy powiekami oczy. Zdawało się, że w pełni używała chwili jakiegoś moralnego wypoczynku i czuła się zupełnie zadowoloną. Patrzała ze spokojem na nerwowe ruchy Amelii, chodzącéj po pokoju.

— Czy ci tak bardzo żal, że odjechał? — zapytała powolnym głosem.

— Nie o mnie tu chodzi, ale to wszystko jest bez sensu. Od roku oczekuje twojéj odpowiedzi i gdy się już czuje bliskim ostatecznéj decyzyi, wtedy ty oblewasz go zimną wodą i cała rzecz znowu zostaje w zawieszeniu. Po prostu mi go żal!

— Nic mu nie będzie.

— Ależ bo ty jesteś nieznośna! On tam teraz po nocy jedzie, zmartwiony i zraniony, a ty masz minę taką, jakbyś dopełniła czynu, przynoszącego prawdziwą zasługę.

---

[1]) Zob. Zeszyt 6 tomu II z r. b.

— Czuję się wolną — odparła Irena, leniwie się przeciągając, przyczém jéj imponująca piękność jaśniała w całéj pełni.

— Wczoraj mi mówiłaś, że ci rozsądek nakazuje...

— A gdybym też wolała zostać starą panną?

— To mu raz daj odmowną odpowiedź! Nie psuj mu życia... ma lat czterdzieści, nie może czekać.

— Niech nie czeka!

— Gdyby też on cię opuścił, toby dopiero twoja duma cierpiała! Ale ja na jego miejscu zrobiła-bym to z największą pewnością! Jużbyś mię nie zobaczyła! Bez żadnych scen, bez żadnych historyi... Pierwszego tygodnia była-byś spokojna, potém poczęła-byś się niecierpliwić, potém chodziła-byś od okna do okna, gryząc się wewnętrznie... potém wychodziła-byś na drogę... wreszcie napisała-byś list...

Irena, ciągle z pod przymkniętych powiek patrząc na siostrę, uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Oo...

— Co? nie przypuszczasz takiego wypadku? Żeby ten Eugeniusz miał trochę męskiéj dumy, to-by tak uczynił!

— Znalazł-by się kto inny.

— Czy masz jaką oznaczoną liczbę koszów, które rozdać zamierzasz?

— Może.

— Nie można wiedzieć?

— Chcę się doczekać takiego, któremu dać stanie mi się niepodobieństwem.

— Jeżeli się nie mylę, to znaczy, że chcesz sentymentalnie zawrzéć małżeństwo z miłości, jak jaka heroina romansu.

— Czy mógłby mi to kto poczytać za złe?

— Za złe... nie, ale za śmieszne.

— Doprawdy?

— Naturalnie. Dobrze jest, jeżeli ośmnastoletnia dziewczyna zwierza się gwiazdom, księżycowi, a czasem przyjaciółce od serca, że pójdzie za mąż *„tylko z miłości“*; ale gdy się ma rok 34-ty i miało się tłum starających, z których niejeden mógł najwybredniejszy gust zadowolnić, i kiedy, odrzuciwszy ich wszystkich, wygląda się jeszcze pięknego rycerza, dla którego serce żywiej-by zabiło, wtedy jest się po prostu śmiesznym! Nie przeczę, że jesteś piękna, że wyglądasz młodo, ale samaś mi nieraz mówiła, że nie jesteś zdolna pokochać.

— Nie jestem, ale może będę!

— Moja Irenko! postanowiłaś dziś mię drażnić i gniewać! Mówisz umyślnie niedorzeczności! Czekaj sobie na tego ukochanego, który ci ma spaść z nieba, ale wyklaruj na czysto położenie z Euge-

niuszem. Widzę, żeś cała uszczęśliwiona z jego wyjazdu... wyciągasz się z takiém uczuciem dobrobytu i zadowolenia, jakby ci ciężar spadł z ramion... Więc mu powiedz, że go nie chcesz! Ty go tak dręczysz, jak mnie dręczy Boliwa!

— Są ludzie, którzy lubią swoje katusze.

— Uciekam od ciebie, bo mię do reszty wyprowadzisz z cierpliwości!

— Czas do ucieczki bardzo właściwy. Wszak to już druga? Porządni ludzie śpią oddawna.

— Otóż to! Rozdrażnić kogoś, rozburzyć, a potém wymagać od niego, by mógł spać...

— Po co się rozdrażniać? Widzisz, przecie to o mnie chodzi, a nie jestem rozdrażniona.

— Po co się rozdrażniać! To bardzo dobra rada!... Zupełnie, akbyś powiedziała: po co chorować? po co kochać, po co nienawidzieć... Zrób, żeby Wacio stał mi się obojętnym, lub pan Boliwa. Niech przestanę kochać Wacia, a nienawidzieć tego człowieka! Po co umierać! Chciała-bym, o, chciała-bym, żeby cię prawdziwa miłość złapała za serce... żeby cię tak oprowadziła po swojéj Golgocie!

— Myślę, że w każdym razie jabym ją prowadziła, nie ona mnie.

Po tych słowach podniosła się nagle nawpół i wsparła się na łokciu.

— A wiesz—dodała z błyskiem w swych szeroko teraz rozwartych oczach—że chciała-bym jéj jednak zajrzéć w oczy... chciała-bym się z nią zmierzyć... chciała-bym się téż przekonać...

Amelia stanęła naprzeciwko siostry.

— Przekonać się o czém?

— Czy jest co prawdy w tych bajkach, któremi nas karmią powieściopisarze. Wiecznie ten sam mają temat i tak do tego przyzwyczaili czytelników, że powieść bez perypetyi miłosnych wydawała-by się nudną, niemożliwą. Ja wobec tych opowiadań zachowuję się bardzo sceptycznie, ale czasem doznaję takiego uczucia, które-bym mogła porównać z zabobonnością niektórych niedowiarków. Nie wierzą, a jednak swemu własnemu niedowiarstwu nie ufają. Wiem, że chodzą po świecie ludzie zakochani, nie mogę jednak w siebie wmówić, by tyle cierpieli, by to uczucie dawało tyle szczęścia, lub tyle niedoli i... chciała-bym się napić z téj czary. Niech tam sobie na dnie będzie trucizna, ale niech czarę poczuję przy swoich ustach!

— Irenko!

— Niech poczuję, że mi się krew burzy od wsączonego w nią napoju... niech przez jedną dobę chodzę po tym obłoku, który unosi

po-nad wszystko, co się czuło i myślało dotychczas; niech zejdę na ten kraniec, na którym szał własny mądrością nam się wydaje; niech raz mam w piersi to światło, które cieniem mi przyrzuci wszystko, com dotąd lubiła i ceniła; niech raz poczuję pod nogami drogę, wiodącą do szczęścia! Do téj drogi tęskno moim stopom! Wiesz, żem dumna, wiesz, jak bardzo dumna... Dumie chcę powierzyć wybór własnéj przyszłości, ale czuję, że ona nie może zagłuszyć we mnie jakichś pragnień, których dobrze nie rozumiem, a które sama nazywam sentymentalizmem. Ale jeżeli ani nienawiści, ani przywiązania wyrzucić z serca nie można, to i sentymentalizmowi walkę wypowiada się napróżno. Nie wyglądam na osobę sentymentalną—prawda? Ośmieszam się téż sama we własnéj myśli i bez twoich uwag wiem, że w moim wieku kobieta, myśląca o kochanku, nazywa się w medycynie histeryczką, a w języku nienaukowym romantyczną starą panną. Ale cóż? niejeden wzdycha do takiego serdecznego pożaru, któryby objął wszystkie uczucia i stopił je w swym ogniu. Wyznaję ci, że bohaterki powieściowe, kochające bez miary, a nawet takie, co cierpią i są nieszczęśliwe przez miłość, wzbudzają we mnie zazdrość!..

— I widok mojego życia nie jest dostatecznym, żeby cię z téj zazdrości wyleczyć?

— Kiedy ty nie miłujesz, ty nienawidzisz... A ja chcę kochać!

— Więc powiedz to wyraźnie Eugeniuszowi, odpraw go raz na zawsze, a sama idź w świat szukać tego ukochanego, który się gdzieś tak dobrze ukrywa, żeś go dotąd jeszcze nie ujrzała!

— Żebym tak była wolna...

— Jakto, nie jesteś wolna? Któż ci kiedykolwiek stawił jaką tamę?

— Piękna mi wolność! Wolność dla kobiety, to jest otrząśnięcie się ze wszystkich przesądów, ze wszystkich obyczajów, ze wszystkich nawyknień, ze wszystkich próżności, a ja tém wszystkiém żyłam i żyję. Czyby za mną nie pogonił wszędzie mój strach przed tém, co nie jest *comme il faut*, co nie ma piętna arystokratycznego wykwintu, co się nie zgadza z tradycyami wielkiego świata? Ja jestem niewolnica! I myślisz, że gdybym nawet uczyniła wycieczkę po-za moje koło, po-za mój świat, po-za moje dotychczasowe ideały i znalazła rycerza, którego-bym pokochała, że nawet wtedy potrafiła-bym znaleźć nową miarę do mierzenia? Nie, gdyby rycerz nie miał historycznego nazwiska i wychowania salonowego, tobym wolała ból rozłąki, niż upokorzenie pysznych zamiarów całego mego życia. Z miłością, potępioną przez rozsądek i dumę, poszła-bym za Eugeniusza. Więc się o niego nie lękaj! Pójdę za niego. Nietylko marzycielskie zachcianki, ale nawet miłość we własnéj osobie nie miała-by dość siły do zerwa-

nia tych łańcuchów, które mię okuwają. A coby to powiedział ten i ów? Coby powiedział świat? A ciòcia Drahomirska, a księżna Podolska? Szczególniéj coby powiedziała moja własna duma. Znienawidziła-bym prędko mojego rycerza, gdyby mię sprowadził w mieszczańską sferę i posadził obok kumoszek matki swéj i siostry, gdyby mię otoczył interesami rodziny o zaściankowym horyzoncie, gdyby mi kazał słuchać ohydnéj francuskiéj wymowy swych siostrzenic i siostrzeńców. Ja czuję, że to jest małe z méj strony, że albo się ma podniosłość uczuć, albo się jéj nie ma; ale sama ta francuzczyzna, okraszona grubym polskim akcentem, jużby lodem oblała mój zapał miłosny. I ty mówisz, że my przy takich pojęciach nie jesteśmy niewolnicami? Nie każda z nas przyzna się do swych uczuć tak, jak się w téj chwili przed tobą przyznaję... Przyszła na mnie godzina szczerości...

— To jest godzina, w któréj się dowiaduję, że ty nigdy szczęśliwą być nie możesz, bo zapewne nie spotkasz wcale rycerza, a tęsknota za nim będzie cię prześladowała nawet w objęciach Eugeniusza.

— Nie mów mi o jego objęciach! Ah, nigdy nic podobnego mi nie mów, bo gotowam potargać wszystkie moje zamiary... bo rozsądek gotów mi się w szał obrócić! Eugeniusz dla mnie, to nie męskie objęcie, to idea! To nazwisko, które mi będzie przyjemnie czytać na własnych biletach wizytowych, to ramię, które moją dumę oprowadzać będzie po najpierwszych salonach, to pałac, ze śladami starych zwodzonych mostów, to wreszcie przywiązanie, które dogadza méj miłości własnéj i budzi w mém sercu uczucie wdzięczności; ale to nie rycerz, to nie kochanek, i sama myśl o tém, że mąż ma prawo wziąć żonę za rękę i powiedzieć: „tyś moja“, podnosi bunt w mém sercu. Nazwisko, majątek, podzielić z nim jestem gotowa, ale uznać się jego własnością... widzisz, na to chyba trzeba miłości!

— Więc, mówię ci, idź w świat i szukaj rycerza!

Amelia miała nazajutrz silną migrenę.

— Cóż to jest? — zapytywała pani Solska z niepokojem. — Co drugi dzień migrena? Nie miewała jéj dotąd tak często. Ona-by może powinna pojechać do Warszawy, zebrać konsylium pierwszych powag medycznych i poddać się systematycznéj kuracyi...

— Panna służąca Amelki mi mówiła — ozwała się Cesia, — że czekała wczoraj do piątéj. Dopiero o piątéj Amelka do łóżka się położyła...

— Jakże ona ma być zdrowa przy takiém życiu? Żeby to mógł na nią kto wpłynąć!.. Ona się zabije takim trybem! Moja Cesiu, jak mnie nie będzie, pilnuj ty Amelki... Niech ona się kładzie spać przed dwunastą... zawsze Ujazdów zajmie nam ze cztery lub pięć dni...

Pani Solska z Ireną wyjeżdżały na parę tygodni do dalekich krewnych, ludzi młodych i rozbawionych, którzy, wróciwszy z Warszawy, gdzie mieszkali przez zimę, chcieli skorzystać z dni majowych, jeszcze nieupalnych, żeby zgromadzić liczne towarzystwo. Miał być teatr amatorski, wieczór tańcujący i majówka. Irena miała występować jako aktorka. Miała ona ustaloną reputacyę artystki dramatycznéj i na nią głównie liczono co do udania się zabawy.

P. Solska z niechęcią opuszczała zwykle Mirsk, czuła się jednak obowiązaną do towarzyszenia Irenie i wiele już razy miesiącami całemi dla jéj zabawy i bywania w świecie zadawała sobie przymus w tym względzie. Odważnie spełniała rolę matki, śledzącéj tryumfy swojéj córki, choć owe tryumfy bardzo ją zimną znajdowały. Pragnęła szczęścia Ireny, ale go bynajmniéj nie widziała w salonowém królowaniu, a nawet upatrywała w niém powód téj niemożności ustalenia życia, na którą chorowała jéj córka. Ale, jak zawsze, bała się coś zepsuć w przyszłości Ireny, czyniąc zadosyć swym upodobaniom czy przywidzeniom, i tym więc razem, bez jednego słowa oporu czy skargi, przygotowywała się do drogi.

Cesia, ściskając matkę, uspakajała ją ile mogła.

— Będę pilnowała Amelki — mówiła. — Wuja będę się starała utrzymać w dobrym humorze. Teraz nastały różne inspektowe nowalijki... z ich pomocą może mi się to uda.

— Tak, moje dziecko, pamiętaj o nim... widzisz, my starzy, mamy nasze nawyknienia... Jedna rzecz mnie pociesza, to, że tego chorego chłopca zostawiam na dobréj drodze. Pilnuj Andrzeja, żeby mu nie dawał za wiele jeść... żeby mu przypadkiem nie dał czego niestrawnego. Zresztą we wszystkiém odnoś się do cioci Józi...

— Ten żarłok nie dostanie nic szkodliwego... będziemy go trzymali na dyecie, ale to szczęście, że się jeszcze ruszyć nie może i nie ma siły chodzić, bo-by z pewnością wyszukiwał sobie w sekrecie jedzenie.

Irena bez zapału opuszczała Mirsk. Była bardzo wymagająca co do towarzystwa, co do zabawy, i rzadko znajdowała w niéj prawdziwą przyjemność. Nie należała zresztą bynajmniéj do kobiet, potrzebujących zabawy do życia. Temu, co w świecie za przyjemność było uważane, oddawała się raczéj z chęci zastosowania się do mody, ulegając towarzyskim przesądom, niż z wrodzonéj skłonności. Lubiła tylko od czasu do czasu zaznaczyć, że wrażenie, wywołane jéj ukazaniem się, było zawsze to samo, że nikt nie myślał zaprzeczać jéj pierwszeństwa w piękności. Wkoło niéj podorastały panny, które małemi dziećmi pamiętała, ale nie bała się żadnéj z nich. Wszystkie prawie były małe i nikłe, i mogła patrzéć na nie z góry; te zaś, które

wzrostem jéj dorównywały, były niełądne lub niezgrabne. Ona czuła się i była zawsze jedyną między niemi, zupełnie piękną kobietą. I tym razem, w tém doborowém towarzystwie w Ujazdowie, gdzie się przez dni kilka znajdowała, potwierdzoném jéj zostało to, co lustro mogło jéj powiedzieć codziennie. W teatralnym swym występie zyskała owacye i tryumf zupełny.

Pani Solska wśród tego grona strojnych, zalotnych kobiet i flirtujących mężczyzn, czuła się smutną i chwilami bardzo znudzoną. Myślała o interesach majątkowych, które z obowiązku prowadziła sumiennie, o Amelii, Cesi, Waciu i o swoim Mirsku, w którym roiło się dla niéj tyle maluczkich a tak jednak zajmujących spraw.

Pod jéj nieobecność, Zubecki przyznawał sobie prawo wtrącania się we wszystko, dysponowania, rozporządzania wedle własnego widzi mi się. Służący udawali, że spełniają ściśle jego rozkazy, rządca grał rolę powolnego wykonawcy, a śmiał się pod wąsem; ale ta rola wszechwładnego pana w Mirsku dogadzała próżności Zubeckiego. Dysponował nawet obiady, co czynił z prawdziwém amatorstwem. Cesia jednak i jego w swoją siatkę łapała. Sam nie wiedział, jak przyjmował myśli, poddawane mu przez dziewczynę. Nie mogła ona tylko wymyślić pojednawczego łącznika między Zubeckim a Amelią. Pani Boliwina nie przychodziła nawet na obiad, tak ją niecierpliwił i jątrzył ton rozkazujący wuja i złość, z jaką lubił się rzucać na pierwszą lepszą ofiarę. Amelia lubiła Plewaczka, poczciwego, spokojnego i łagodnego Czecha zniemczonego, który w kuflu piwa widział swe szczęście, a przy fortepianie stawał się inteligentnym i czułym na wszystkie odcienie muzyków. Akompaniował jéj do śpiewu na zawołanie. Czasem w nocy budzić go kazała i poczciwe Niemczysko, z uśmiechem dobroduszuym, przychodziło wyciągnięte z łóżka akompaniować zdenerwowanéj kobiecie, szukającéj w śpiewie lekarstwa, zapomnienia i zabicia czasu, którego jéj sen skrócić nie chciał. Zubecki widział sympatyę Amelii do Plewaczka, lubił w jéj obecności upokarzać biednego nauczyciela muzyki, który ani się obrazić, ani się bronić nie umiał. Amelia podejmowała wtedy rękawicę, przyczém i jéj dostawały się rozmaite przykre przycinki; Plewaczek zaś, zaraz po obiedzie, zgadzał się towarzyszyć w przechadzce staremu tetrykowi i być ciągle i wiecznie kozłem ofiarnym. Cesia nieraz próbowała wyjednać przynajmniéj zawieszenie broni między Amelią a Zubeckim, ale zawsze kończyło się nagłém zerwaniem i migreną, albo spazmami Amelii.

Pomimo te wszystkie kłopoty i trudy, Cesia była uszczęśliwiona. Odkryła, że w Wielewiczu przybył jéj wyborny towarzysz. Był ze wszystkich w domu jedynym, którego wiek zbliżał do niéj. Zdrowie

wracało mu jak na skrzydłach; codzień spostrzegać się dawał nowy postęp. Wśród natury rozwijającéj się i codzień w nowe strojącéj się liście i kwiaty, i ta młodość nabierała sił, życia. Zdawała się być jakąś jéj cząstką, posłuszną potężnemu wołaniu wiosny. Cesia mu czytywała głośno, ale książka najczęściéj była pretekstem; czytanie przerywała rozmowa wesoła, opowiadanie wzajemnych wrażeń i wydarzeń z przeszłości. Cesia mówiła o swoich lekcyach, o nauczycielkach, o zamiarach na przyszłość. Wspólnie układali zawód dla Franka i dla jego zdolności szukali pola; rojenia Cesi znajdowały oddźwięk w zapalonéj i entuzyastycznéj duszy młodzieńca. I on był fanatycznym przyjacielem ludu, widzącym w nim przyszłość narodu. Oświata ludowa była jego najdroższym celem. Rozumieli się z Cesią wybornie. Może, gdyby ich był podsłuchał jaki doświadczony sceptyk, byłby się roześmiał i ochrzcił ich mianem dwojga dzieciaków, ale oni wierzyli mocno w obietnice swych marzeń i było im słodko roić je wspólnie.

Wielewicz mówił téż Cesi o sobie. Wiedziała, z jakiemi musiał walczyć przeszkodami, nim się nareszcie dostał do szkoły sztuk pięknych, jak się potém musiał bronić nędzy... Jak przez parę tygodni przed zachorowaniem na dobre, czuł, że życie jego jest w mocy jakiejś niewidzialnéj siły, chcącéj go powalić o łóżko. On się jéj opierał, szamotał się z nią, walczył i coraz bardziéj ustawał w walce. Chodził do szkoły, dawał korepetycye, a za nim chodziło wciąż to widmo, które, to mu przed oczyma ciemnością stawało, to mu chodziło po plecach dreszczem, to mu uderzało do głowy krwią jak młotem, to mu do nóg sięgało stufuntowym ciężarem, to w ręce jego ołówek febrycznem drganiem potrząsało. Potém już mało pamiętał. Wiedział, że matka uczyniła coś nadzwyczajnego, by znaleźć pieniądze na przyjazd i przywiezienie go do domu... może duszę zapisała... Zresztą wszystko przed nim jak przez mgłę przeciągnęło. Odzyskiwał czasem przytomność, wiedział, że go z Warszawy znów gdzieś wieźli, ale naprawdę wyraźnie zobaczył dopiero starą twarz Andrzeja, pochyloną nad sobą... A potém dopiero różne doskonałości, różne rozkosze, różne szczęścia: okno otwarte, fiołki, tacy dobrzy ludzie wkoło... potém wyjazd w wózku pod lipy i biała panienka, którą nagle ujrzał przed sobą, otworzywszy oczy z pół-drzemki, kołyszącéj go na świeżém powietrzu. Przytém Maj, wiosna! Ah, jaka rozkosz czuć, że się zmartwychwstaje, że się ożywa! Ani się wiedziało, że życie to taka rzecz dobra! Doprawdy dobra!..

Przy tych słowach uśmiechali się do siebie i rozglądali się wkoło. Oboje byli rozrzewnieni tą łaską, która blademu, bezsilnemu, wycieńczonemu biedakowi pozwalała odczuwać, jako rozkosz, każde tętno obiegającego w nim życia. Wiosna dawała im swoje jasne spoj-

rzenia, swoje rozmarzone uśmiechy, które otwierały ich serca do przyjaźni. Bawili się czasem, jak dzieci; szukali szczęścia w bzie, urządzali koncerta na fujarkach, układali bukiety. Noiret często się do nich przyłączał z Waciem, który z wiosną miał się gorzéj, niż w zimie. Podejrzliwy Francuz z pod oka patrzał na częste przebywanie Cesi z nowym przyjacielem. Może się bał, by miłość nie popsuła ich swobody i wdzięku tego wiośnianego stosunku? Nie wiedział, że Wielewicz miał się za zabezpieczonego przeciwko jéj intryganckim manewrom. Kochał.

Z tém się Cesi nie zwierzył, ale gdy był w ostatniéj klasie gimnazyum, polubił namiętnie wodę sodową, podawaną rękami dziewczyny, niegustownie ale pretensyonalnie i jaskrawo ubranéj, a ogromnie wesołéj i zalotnéj. Dziewczyna lubiła czytać powieści, co mu dało pewność, że wykształceniem znowu nie tak bardzo się od niego różniła, chodziła czasem do teatru i poznawała na ulicy wszystkich aktorów. Poprzysiągł, że się z nią ożeni i kochać nie przestanie. Dziewczyna była córką piekarza, tak jak Fornaryna, a żony wielkiego malarza nikt nie pyta, czém była i skąd wyszła. Wielki malarz na palecie swéj ma to, czém się kobietę w jedną z wybranek losu przemienia. Ożeni się z tą, a nie z inną, i dopiero pokaże światu! Jeszcze gdy z wielkim dreszczem, przebiegającym całe jego ciało, i z piekłem w głowie kładł się na łóżko szpitalne, ostatnią jego myślą była Fornaryna, tak bowiem nazywał swą dziewczynę z budki z sodową wodą. W gorączce widział kipiące wodą i syczące syfony: potém, gdy w Mirsku przychodził do samowiedzy, przypomniał sobie, że miał coś drogiego... coś, co jak perłę nosił w myśli... Obejrzał się za siebie... Co to było takiego? Fornaryna! Chciał o niéj myśléć, nie miał jednak siły ani na zapał, ani na tęsknotę; potém zaś do walki z Fornaryną wystąpił współzawodnik potężny — głód. Myślał więcéj o różnych pożywnych potrawach, niż o niéj. Gdy się znalazł wśród prześlicznego parku Mirskiego, gdy go otoczyła wiosna i głosem ptaków i owadów mówić mu poczęła jakieś cudowne rzeczy, których nie rozumiał, ale które go zachwycały, gdy zaczął upatrywać między drzewami jasnéj sukni Cesi i oczekiwać godziny skończenia się lekcyi; wtedy Fornaryna pobladła mu, choć tego przed sobą nie zeznawał. Uważał swoją miłość jako fakt historyczny, o którym wiedział umysł jego. Serca swego nie badał. Gdy wszakże mówił sobie jako przypomnienie: „Aha, a Fornaryna?“, wtedy nie myślał jakoś o niéj, jako o towarzyszce życia, tylko jako o modelu do obrazu. Kiedy mogła sobie sławę europejską zdobyć dziewczyna, podająca na tacy filiżankę czekolady, czemuż-by dziewczyna, nalewająca z syfonu pieniącą się wodę, nie mogła uwiecznić malarza? Ale i projekt obrazu

zacierał się powoli w jego umyśle. Mieli z Cesią tyle zajęcia, tyle projektów, a tak mało czasu. Co za niemądry zwyczaj, by dorastające dziewczynki siedziały w Maju godzinami nad nauką i by się nad niemi znęcały aż dwie nauczycielki i jeden nauczyciel muzyki! Jan oczekiwał chwili, w której będzie miał siłę pójść z Cesią na dziedziniec między czworaki, gdzie na widok panienki nadlatywały dzieci, jak stado gołębi. Artystyczna wyobraźnia młodzieńca ukazywała mu tę scenę, jako wdzięczny obrazek. Ta Cesia! Takie miała słabe pojęcie o sztuce! Projektowali jakąś w przyszłości podróż artystyczną, w której on-by był dla niéj przewodnikiem przy zwiedzaniu galeryi i muzeów. Kiedy to miało być, jak i dlaczego, tego bliżéj nie określali. Ubogi chłopak, często głodny z braku kawałka chleba, ani na chwilę się nie zatrzymywał w podróżniczych swych projektach. O wycieczkach artystycznych marzył, jak wielki pan, dla którego kwestya pieniężna nie istnieje wcale.

Rozwinięcie w Cesi zmysłu piękna i rysunku było konieczne. Przyniosła ona Janowi swoje kajety, gdzie kopiowała z natury: kałamarze, lampy, postumenty, ramy i t. p. Panna Forgett zajmowała się jéj kształceniem w tym względzie i sama podobno ładnie rysowała, ale Cesia tak nic nie miała zdolności! Pokazała też już bez wskazówek i kierunku narysowanego konia, którym miała uszczęśliwić Franka. Widok tego zwierzęcia wyprowadził Jana ze spokoju. Takiemi prezentami można było sprowadzić w dziecku zaniknięcie na zawsze uczucia piękna! Ten koń był czémś obydném!

— Prawda? Ja tak źle rysuję! Nie mam żadnych zdolności. Za to Irenka! Żeby pan widział, jak Irenka maluje!

Noiret coraz bardziéj czuł się w obowiązku pilnować młodéj pary. Czarne, przenikliwe oko Francuza, za lada wybuchem śmiechu Cesi i Jana, wymierzało ku nim strzałę podejrzliwego spojrzenia. Zdawało mu się, że był obowiązany do czuwania w nieobecności pani Solskiéj. Z oburzoną uwagą udał się do Józefy, ale stara panna, idealistka, optymistka i wiecznie niewierząca w żadne niebezpieczeństwo, w żadne zło, zawołała z przestrachem:

— A, na miłość Boską, nie okaż pan Cesi żadném słowem, żadném spojrzeniem, że pan jéj postępowanie potępiasz, że pan się boisz o następstwa! Nie brudźmy wyobraźni i uczuć tego dziecka. Ona oddaje się towarzystwu tego chłopca z taką naiwnością! Najprzód przez dobroć zajęła się nim, jako chorym, teraz ma w nim towarzysza, dziecinnego jak ona! Ah, nie poddawajmy jéj myśli, które nigdy nie postały w jéj głowie! Panna, która unika mężczyzny, z obawy wzbudzenia lub doznania miłości, jest znającą życie, doświadczoną kobietą; a to dziecko bawi się, bo zabawa jest koniecznością dla dziecka. Nie

ma tu towarzystwa stosownego dla swego wieku i młodość jéj szuka téj drugiéj młodości... Dajmy im pokój, panie Noiret! Niech pana nie łudzi wspomnienie paryskich dziewcząt, zepsutych od kolebki. To jest zdrowe, wiejskie dziewczę, nie rozumiejące co kokieterya! Byłoby zbrodnią ostrzegać ją przed niebezpieczeństwem, które wcale jéj nie grozi i którego ona nie pojmuje!

— Jestem zdania, że czy polska wiejska dziewczyna, czy zepsuta Paryżanka, zawsze jéj grozi niebezpieczeństwo. Każda siedmnastoletnia zakochać się może.

— To są sprawy, któremi kieruje Bóg! Proszę, panie Noiret, zostaw pan rzeczy, jak są. Odpowiem za nie przed matką Cesi.

Noiret nie łatwo ustępował.

— Nie rozumiem po polsku — rzekł — a ten młody człowiek nie umie po francusku, rozmowa więc z nim panny Cecylii toczy się po polsku, ale ostrzegam panią, że oczy tych dwojga młodych i ich wesołość bardzo podobna do poczynających się zalotów.

— Ten Noiret to musi być bardzo zepsuty człowiek — mówiła Józefa do Amelii — uważałam, że zepsuci mężczyźni zawsze podejrzewają każde spojrzenie, każde słowo zamienione... Wyobraził sobie, że Cesi grozi niebezpieczeństwo, dlatego, że po skończonych lekcyach rozmawia czasem z Wielewiczem.

— Może Noiret zepsuty, ale pani zanadto jesteś łatwowierna! Zresztą tu się rzecz wcale nie z téj strony przedstawia. Co za bieda, że ja w upał wcale wychodzić nie mogę i dopiero po zachodzie słońca! Była-bym zapobiegła temu niedorzecznemu zaprzyjaźnieniu się Cesi z nieznajomym chłopcem. Ja się dla niéj nie boję miłości! Panienka w jéj położeniu!.. Co za pomysł! To tylko Noiretowi mogło przyjść do głowy! Ale z innego względu to nie ma sensu, żeby ona z nim przebywała! Jakiś pierwszy lepszy... Wielewicz...

Amelia zrobiła pogardliwą minę.

— Zdaje mi się, że to chłopak zupełnie przyzwoity. Nie mówię, by był partyą dla Cesi, ale nie widzę, by towarzystwo jego było dla niéj nieprzyzwoite.

— Jest zupełnie nieprzyzwoite! Dlaczego nie przebywa ona z panną służącą, z kasyerem, z gorzelnikiem? I to są może przyzwoici ludzie.

— To zupełnie co innego!

— Nie widzę różnicy. Syn rządcy domu... Jakiś może bardzo dobry chłopak, ale przecie nie człowiek z towarzystwa! I gorzelnik uczył się chemii w jakimś specyalnym zakładzie, i kasyer skończył szkoły, a przecie nawet nie jadają u naszego stołu i, spotkawszy którą z nas, zdaleka się kłaniają... tego zaś chłopca, dlatego, że go

tu z malaryą przysłano, mamy dawać Cesi za towarzysza? To musi być zreformowane! Zajęła-bym się tém sama, gdyby mama nie wracała jutro. Muszę tylko zrobić moje uwagi... Przyznam się, że mię odpadła ochota wtrącania się do wychowania Cesi... Kierują niém takie dzikie pojęcia! Mama gotowa uważać rzeczy, jak pani! To bardzo prawdopodobne!

— Prawda, że pod względem Cesi nie mogę się nigdy zgodzić z tobą i Irenką. Dla mnie to dziecko jest tak dobrze wychowane i tak od dobréj natury obdarowane...

— Skończy się na tém, że jéj to panie wmówicie! Już i teraz ma się za figurę! Wtrąca się do wszystkiego i wkrótce ona tu będzie panią... wszystko dziać się będzie tak, jak ona zechce!

— Biedna moja Cesiulka! Ani jéj w głowie nie powstały zamiary despotyczne! Ma wprawdzie swoje królestwo, ale nad sercami tych, co ją poznać umieli.

Amelia rozśmiała się szyderczo. Miała Józefę za egzaltowaną starą pannę i często naśmiewała się z niéj z Ireną, przytaczając jéj nieco przesadne wyrażenia. I teraz to królowanie Cesi nad sercami wydało jéj się wysoce komicznem. Przyrzekła sobie powtórzyć i ten frazes Irenie, o któréj w ostatnich dniach myślała często. Ile razy swoich własnych ran nie otwierała i nie poiła się żółcią, myśląc o Boliwie, tyle razy myśl jéj biegła ku Irenie. Nie mogła zapomnieć pięknéj swéj siostry, gdy, wsparta na łokciu, w pozie, w któréj malują Kleopatrę, wypowiadała dziwne swe myśli. Z tych wyznań Ireny wiało coś niepojętego a strasznego, co przejmowało Amelię dreszczem. Więc może w każdém sercu ludzkiém leżą porywy, których nie domyślają się ani otaczający, ani nawet ten, w którym dotąd obumarłe spoczywały, jak uśpiony i skulony wąż, a dosyć lekkiego potrącenia, by, jak nadeptany wąż, się zerwały. Amelia wiedziała, że Irena pójdzie za Eugeniusza, myślała wszakże dawniéj, że będzie to małżeństwo konwencyonalne, spokojne, mające na względzie nie miłość, lecz świat i jego wymagania; teraz zaś przeczuwała, że Irena do téj spółki przyniesie spokój, wywalczony i pozorny, a w duszy wielkie uczucie próżni i żal za tém, czego zaznać w życiu nie było jéj daném. Gdzież więc jest szczęście na tym świecie? Takie pytania wprowadzały zawsze Amelię na tor własnych smutków, nad które większych nie widziała w życiu.

W dniu, w którym przyszedł telegram od pani Solskiéj z rozkazem wysłania powozu na stacyę w oznaczonéj godzinie, Jan doczekał się chwili, w któréj już nie wózkiem wyjechał do ogrodu, ale wyszedł, wsparty na ramieniu Andrzeja. Wielka już była zmiana w wyglądzie rekonwalescenta. Lekki rumieniec krasił jego blade po-

liczki; szczególniéj wyraz pięknéj twarzy chłopca był samém weselem i nadzieją. Codzienny postęp ku zdrowiu ciągłą napawał go radością. Wiosna, młodość i powrót sił otaczały go aureolą szczęścia. Był jeszcze drżący, trochę pochylony, niepewny własnych kroków, co mu dawało pozór wielkiego dziecka, probującego chodzić po raz pierwszy. Śmiał się przytém, jak dziecię. Żartował z własnego niedołęztwa, cieszył się przejściem szczęśliwém przez próg, zejściem ze schodów... Boże, co za rozkosz stąpać po ścieżce i poruszać się o własnych siłach! Cesia chciała koniecznie być świadkiem pierwszéj próby. Radowała się i truchlała, jak młoda matka, któréj dziecię nagle na odwagę stanięcia na nogach się zebrało. Śmiała się wraz z Janem, a potém nagle, mimowolnie, wyciągała ręce, gotowa do pomocy przy każdym chwiejnym kroku. I znowu śmiech z jéj strachu i ochoty podtrzymania wielkiego dziecka.

— Panno Cecylio?

— Niech pan nie mówi, niech się pan ku mnie nie zwraca, bo się pan przewróci!

— Nie, nie, idę coraz lepiéj! Czy pani ma jaką władzę nad... Nie mogę mówić przy Andrzeju.

— Aha — gderał Andrzéj, rozweselony radością dwojga dzieci — jak się było chorym, to się ze wszystkiém udawało do Andrzeja... A teraz, to już było-by lepiéj, żeby go nie było.

— Kiedy, widzi Andrzéj, to idzie o sąd... o wydanie wyroku... Andrzéj może być stronny... Panna Cecylia zrozumie moją surowość i użyje swych praw, by sprawiedliwość wymierzoną została. Ja go skazuję na stos!

— Cóż to? Kacerz jaki? Andrzeju, nie traćmy nadziei, że pan zostanie księdzem, bo ma inkwizytorskie zachcianki.

Andrzéj nic nie zrozumiał. Uśmiechał się jednak dobrodusznie.

— Więc na stos? — pytała Cesia — żadnego ułaskawienia być nie może?

— O! gdybym słuchał głosu mojéj nienawiści, tobym jeszcze przed spaleniem na stosie skazał na tortury. Sam-bym ćwiartował! Nie domyśla się pani? Chodzi o wózek, w którym przez te dwa tygodnie jeździłem. Dopiero teraz wyznam pani, żem go nienawidził, jak więzień nienawidzi stróża więziennego, jak pacyent nienawidzi oprawcy!

— Nic nie winien. Sąd pono nie potwierdzony.

Ławka pod lipami była pierwszą stacyą. Nie chciano Janowi pozwolić na dłuższy spacer. Zmęczył się tak, że aż pobladł. Ale to nic, to przejdzie... Od wszystkiego się odwyka i potém na nowo przyzwyczajać się trzeba.

Dzień ten zaznaczył się dla Jana nieprzyjemną chwilą. Poznał Zubeckiego. Dbały o swe zdrowie, wuj Cesi unikał do téj pory Jana, wyobraziwszy sobie, że rozsiewał on jeszcze wkoło siebie bakterye tyfoidalne. Dopiero gdy mu powiedziano, że rekonwalescent chodził już prawie o własnéj sile, Zubecki skierował kroki ku altanie lipowéj, gdzie wiedział, że znajdzie Jana. Szedł z podnieconą złośliwością, gdyż gniewało go to, że Andrzéj zaniedbywał go teraz, a przesiadywał u Wielewicza, że Jan mógł jeść obficie siedm razy na dzień, gdy on nie był zdolen zasiadać do stołu częściéj, jak pięć razy na dzień, i to nie zawsze przynosząc do aktu tego pożądany apetyt. Złościło go téż, że Cesia z Józefą wiecznie układały jadłospis dla Wielewicza, naradzały się, co mógł jeść a czego jeść nie mógł, i że dnia tego opowiadały o jego chodzeniu z pomocą Andrzeja, jak o fakcie, który powinien był uszczęśliwić całe towarzystwo. Zubecki tak był pełen siebie samego, że wysuwanie przy nim na pierwszy plan kogo innego z jakiegobądź powodu uważał sobie za osobistą obrazę. Cesia, widząc wuja zmierzającego pod lipy, pobiegła za nim, bojąc się o swego przyjaciela.

— Wujaszku — zawołała, gdy się do Jana zbliżyli — przedstawiam wujaszkowi pana Wielewicza.

— Trop d'honneur — bąknął przez zęby Zubecki, nie skinąwszy nawet głową.

— To jest wuj pani? — spytał Jan, którego czoło się zmarszczyło. — Nie zrozumiałem, co powiedział.

— To jest dziwak — szeptała zalękniona Cesia, trzeba mieć dla niego wyrozumiałość... Jak nas pan lepiéj pozna, to pan się przekona, że on ma manię robienia wszystkim przykrości... Nie można go niczém przebłagać.

— I dla pani jest przykry?

— I dla mnie także, choć może trochę dla mnie łaskawszy, niż dla moich sióstr... robi mi przykrości, szczególniéj dla tego, by tém dotknąć tych, co mnie lubią: mamę, pannę Józefę, moje nauczycielki... I teraz... wie pan... on taki niegrzeczny był dla pana, nietylko dlatego, że lubi być złym, ale żeby mnie dotknąć.

Z twarzy Jana znikł chwilowy wyraz gniewu. Uśmiechnął się do naiwnego dziewczęcia. Jakiż to potwór być musiał ten człowiek, który umyślnie temu dziecku wyrządzał przykrości!

— Szkoda, że jest stary! — zawołał z ogniem w oku.

— Szkoda? Starym zawsze gorzéj, niż młodym.

— Tym razem mu lepiéj, bo gdyby był młodym, miałby do czynienia ze mną, gdy mi siły całkiem powrócą!

Cesia spojrzała zdziwiona. Tym razem w oku Jana błyszczał gniew prawdziwy. To już nie był w jego ustach żart, to było coś, co płynęło z samego dna wzburzonéj duszy.

— Niech się pan nie gniewa... biedny wuj... on taki nieszczęśliwy... nikt go nie lubi!

— A, prawda, to okropne nieszczęście nie być lubionym przez nikogo! Za to pani szczęśliwa, panno Cecylio.

— Szczęśliwa! Jestem bardzo szczęśliwa. Lubią mię, prawie wszyscy mię lubią... nie wiem za co...

— Zdaje mi się, że ja wiem za co... Ja już panią lubiłem wtedy, gdym jeszcze pani nie widział. Czar pierwszym bukiecikiem fiołków rzuciła mi pani... Widziałem wyraźnie, jak wpadał przez okno.

— Nieproszony gość! Tak jak ja w téj chwili przy panu, podczas gdy proszona jestem do pokoju szkolnego. Panna Forgett nie lubi, gdy się spóźniam choćby na minutę, a tu już pięć upłynęło.

I frunęła, jak biały ptak. Jan pomyślał: „Czy jéj powiedzieć, czy jéj nie powiedzieć?“

Zapytanie to zadawał sobie często od dni paru. Nie umiał się zdecydować. Czy miał lub nie—powiedzieć o Fornarynie? Wraz z przyjaźnią dla Cesi obudziła się w nim potrzeba czynienia jéj zwierzeń. Nigdy jeszcze do nikogo nie miał takiego zaufania, przed nikim tak duszy otwierać nie lubił. Opowiedział jéj już był wszystko, co dotyczyło jego rodziny, dzieciństwa i dotychczasowego życia. Znała już imiona trzech jego sióstr, wiedziała, jakiego która była usposobienia, do jakich przygotowywały się powołań; wiedziała wszystko, prócz „tego.“ Gdy dochodził do historyi Fornaryny, na samym brzegu zatrzymywał się. Coś mu na ustach więziło wyrazy, zostawiał opowiadanie do jutra. A jednak pokusa powracała. Czasem gwałtem chciało mu się oznajmić Cesi, że on nie był dzieciakiem, którego przyszłość od okoliczności zależała. Niechby wiedziała, że o przyszłości téj już on postanowił nieodwołalnie. Zamiary jego, oprócz Fornaryny, znała tylko jego siostra starsza i dwóch przyjaciół, z którymi się rozłączył, kończąc gimnazyum. Rodzice mieli się dowiedzieć dopiero w chwili, kiedy umożliwienie projektu nastąpi. Powiernicy jego dawni byli daleko, a tu serce jego tak się wylać potrzebowało. Przytém niemało zastanowi Cesię taka stała miłość, mająca być uwieńczoną małżeństwem za lat kilka dopiero! Trochę mu to nie dogadzało, że będzie musiał wyznać Cesi, że Fornaryna sprzedawała wodę sodową, ale miał wytłómaczyć swéj nowéj przyjaciółce, że jego ukochana należy do licznego zastępu ludzi, przerastających umysłem i sercem stanowisko, zajmowane przez nich na drabinie społecznéj. Od kilku dni więcéj myślał o tém, czy ma powiedzieć Cesi tajemnicę swego życia,

niż o saméj Fornarynie i o swojém z nią małżeństwie. Czasem jeszcze myślał o obrazie, chociaż co do niego zaszły w jego umyśle pewne zmiany. Fornaryna zawsze za model służyć miała, ale chciał jéj dać kolor włosów Cesi i ręce téj ostatniéj. Cesia bowiem miała takie ręce, jakie tylko u marmurowych bogiń widywał. Nawet jedną z tych rączek musi przerysować, gdy tylko zupełnie silnie i pewnie będzie mógł trzymać w ręce ołówek. Dziesięć razy na dzień mówił sobie: „Odkryję jéj tajemnicę mego życia“, a gdy Cesia zjawiała się, znowu odkrycie owéj tajemnicy stawało mu się niepodobieństwem. Wahania się jego nagły i niespodziany znalazły koniec. Odebrał już był odpowiedź od rodziców i nie spodziewał się żadnego listu, gdy Andrzéj, z miną matki, niosącéj choremu dziecku cukierek, oddał mu list, zaadresowany niewprawnie i krzywo. To Fornaryna, uwiadomiona przez siostrę Jana o jego adresie, pisała do niego. Był to pierwszy list od niéj. Jan nie znał jéj pisma i stylu, który okrył jego czoło rumieńcem wstydu. Biedna dziewczyna pisała w sposób trywialny i wymuszony zarazem. Jan podarł list w drobne kawałeczki i znalazł dość siły, by go okutym kijem, który trzymał w ręku, zakopać w ziemi. Potém mu się żal zrobiło Fornaryny. Zawstydził się swego wstydu. Cóż była winna biedna dziewczyna, że ortografii nie znała i nie umiała trzech zdań z prostotą ułożyć? Nic nie była winna, jednak tajemnicy swego życia narzeczony jéj Cesi powierzyć nie mógł. Czuł, że już z pokusą otwartości był koniec. Nie powie Cesi nigdy, nigdy o Fornarynie!

Wyrwał go z rozmyślania Andrzéj, przychodzący po niego, bo na wieczornym chłodzie zostawać było niebezpiecznie.

— Tylko co przyszedł drugi telegram od pani... przyjedzie nie południowym, ale nocnym pociągiem... Pewno tam jakiéj sukni z magazynu nie odnieśli, albo co!..

— Żebym był panem, tobym nigdy listów nie pisał, tylko-bym posyłał telegramy.

Mimowoli pomyślał, że biednéj Fornarynie lepiéj-by się był zapewne udał telegram, niż list.

— Panem! — mruczał Andrzéj. — Jużci panom dobrze na świecie... Toć i nasza pani, wielka pani!

— Bogata?

— I bogata bardzo, i to wielkie państwo!.. z wielkiego rodu!..

— Ja nic nie wiedziałem, do kogo tu jechałem i czy to wielkie państwo — rzekł Jan, trochę drwiąco.

— O, ho, ho! Takiego wielkiego państwa to rzadko! Wielkie tony! To się znają tylko z hrabiami, z książętami... I pani, hrabianka z domu. Krewnych téż mają samych wielkich panów...

Jan był wychowany w skromném mieszczańskiém kółku i wyrazy: *wielki pan*, *wielka pani*, miały dla niego trochę niejasne znaczenie. W zasadzie kochał lud i uważał go za pokrzywdzonego, ludzi zaś warstw wyżéj położonych—za krzywdzicieli. Własne ubóztwo, które przy życiu w mieście narażało go na zachcianki nigdy nie zaspokojone, a przytém ocierało się ciągle o widok zbytku i przepychu, nie mogło usposabiać serca jego tkliwie dla obdarowanych przez los. Znał z ulicy kilku wielkich panów, których nazwiska przypadkiem się dowiedział; widywał bogate, wystrojone panie w karetach; był to wszakże dla niego świat nieznany a zaciekawiający, wreszcie, jak mu się zdawało, zupełnie inny, niż ten, w którym żył. Świat ten zasługiwał, jak sądził, na jego pogardę. W tém uczuciu bywał utwierdzany przez kolegów, mających też same przekonania i te same uczucia, co on. Czasem przed nimi podniecał się do słów, które mogły świadczyć o nienawiści jego dla tych nieznajomych, co mieszkali w pałacach, w gruncie jednak nienawiści bynajmniéj nie czuł. Był na to zanadto szczęśliwym, pomimo ubóstwa. Młodość, powodzenia szkolne, zdolności i wiara w świetną artystyczną przyszłość, oczyszczały jego serce od uczuć gorzkich. Czasem szarpnęła niém chwilowa zazdrość dla wykwintnego stroju, ocierającego się o jego wyszarzaną odzież; czasem, gdy przechodził błotnistą ulicą, miał żal do przejeżdżającego dorożką nieznajomego. Prędko się otrząsał. I on kiedyś... Tak, będzie jeździł własnym ekwipażem, a damy wielkiego świata będą się dobijały...

Czy Cesia była wielką panią? O! nie, z pewnością nie. Taka dobra, wesoła, pełna prostoty dziewczynka! Przecie to nie takie są wielkie panie! A te dwie niemłode kobiety, które go odwiedzały, gdy jeszcze z łóżka podnieść się nie mógł? Cóż one miały w sobie wielkopańskiego? Poczciwe, siwe kobieciny, ubrane czarno, z dobremi, słodko patrzącemi oczami... także pełne prostoty i mówiące tak zwyczajnie!

Nazajutrz dowiedział się od Andrzeja, że pani z panną Ireną powróciły nad ranem. Stary sługa zapewnił go, że się pani bardzo ucieszy, gdy zobaczy, że chory, co się ruszyć nie mógł, chodzi już w najlepsze. Rzeczywiście kij już wystarczał Janowi do podpory. Ramię Andrzeja było zbyteczne. Nie chciał tylko jeszcze przychodzić do stołu, choć Cesia mu to proponowała, bo ręka czasem go jeszcze zawodziła. Mógł coś rozlać lub stłuc, coby mu było bardzo przykre wobec zgromadzonego towarzystwa. Lada dzień wszakże i ręka się wzmocni. Jaki on już teraz był silny! O kiju, z odpoczynkami na ławkach lub murawie, chodził po całym parku. Czasem Andrzéj z jedzeniem odnajdował go w leśnéj, sztucznéj gęstwinie, kończącéj park

z jednéj strony, nad kanałem, w ogrodzie owocowym... Co za rozkosz iść za własną myślą, za własną zachcianką, bez pomocy niczyjéj! Ci, którym ta możność przenoszenia się z miejsca na miejsce nigdy odjętą nie była, nie znają swego szczęścia.

Jan czuł je w całéj pełni. Zostawiony samemu sobie przez większą część dnia, odkrywał park w Mirsku. Co chwila przedstawiały mu się nowe piękności, nowe widoki, które on duszą artysty odczuwał. Czasem, wśród monotonnéj pieśni much i komarów, odurzony ciepłem, zachęcony miękkością trawy, leżał w cieniu drzew wpółsenny, pozwalając godzinom ubiegać niepostrzeżenie; czasem obserwował mrówki lub inne jakie żyjątka, zapracowane, dążące z pośpiechem i tchnące taką wyraźną pewnością, że świat dla nich jedynie stworzonym został. Ogarniało jego duszę coś takiego, czego nigdy jeszcze nie był doświadczył. Niczego nie pragnął, za niczém nie tęsknił, niczego nie oczekiwał. Był jak łódka, która zwinęła żagle i stoi w ciszy. Natura zabierała go sobie, a on nie probował się bronić. Wsiąkał w nią duszą, oddawał się jéj i pozwalał się kołysać jéj pieśniom. Pierwszy raz w życiu znajdował się na wsi na czas dłuższy. Wieś widywał tylko w illustracyach, w kilku wycieczkach kilkogodzinnych w okolice Warszawy, wreszcie przez okno wagonu, w drodze do Petersburga. Wzdychał do niéj jako artysta; teraz pokochał ją, uczył się jéj tajemnic, podglądał, podsłuchywał i marzącą głowę składał na jéj łonie. Ona brała go w ramiona, jak dziecię.

Czego sam domyślić się nie mógł, tłómaczyla mu Cesia. Śmiała się z niego, że nie umiał rozróżnić pszenicy od żyta i nie wiedział, jakie miejsca w lesie lubią grzyby, a jakich szukają rydze i maślochy. Pokazywała mu kwiat grabiny, orzeszyny, klonu, jaworu. Przyjaźń ich coraz to była głębszą. Przyzwyczajali się do siebie i śmieli się teraz z wyobrażenia, jakie jedno o drugiém z początku sobie robiło.

O przyjaźń ich pani Solska musiała stoczyć walkę z córkami. Amelia, zaraz po powrocie Ireny, udzieliła jéj wiadomości o nietaktownem postępowaniu Cesi. Obie udały się do matki z przedstawieniami. Pani Solska zgodziła się na odsuwanie Cesi od Jana, ale tylko zajmując ją gdzieindziéj, dając jéj inne rozrywki. Na otwieranie jéj oczu nie pozwoliła. Co jéj miała powiedzieć? Nic tak nie odejmuje naiwnéj nieświadomości złego, jak ostrzeganie przed niém. Co zaś do nierówności położenia towarzyskiego, można ją było pominąć, ze względu na okoliczności. Tymczasowość pobytu w Mirsku chorego chłopca sprawiała, że był to stosunek chwilowy, nie pociągający za sobą dalszéj znajomości.

Irena gniewała się jeszcze mocniéj, niż Amelia. Pozwalać téj Cesi tak się „encanaillować!“ Nie znała dotąd Jana, a była pełna gniewnego usposobienia względem niego. Żeby go jaknajprędzéj wyprawić!

— Wyprawić go? Przecież mu nakazane zostało wiejskie powietrze! Ledwie o kiju chodzić zaczął, jeszcze bardzo mizerny. Nawet do stołu jeszcze przychodzić nie może.

— Co? mama go myśli do stołu zapraszać?

Pani Solska nigdy nie mogła zrozumiéć swych córek starszych. Pojęcia ich zawsze ją zdumioną pozostawiały. Czém mogły żyć te serca kobiece, kiedy nawet dobre uczynki tylko ze stanowiska próżności im się przedstawiały? Często, ukorzona przed ołtarzem wiejskiego kościoła, prawie sama jedna wśród jego ścian, o rannéj godzinie, pani Solska modliła się gorąco o łaskę, zwracającą dusze jéj córek starszych ku zawsze czystéj, zawsze wzmacniającéj krynicy miłości bliźniego. Niech wśród głupoty, próżności, nędzy i kłamstwa tego wszystkiego, co się życiem światowém nazywa, doświadczą nareszcie czystéj rozkoszy, wypływającéj ze współczucia!

Ile razy pani Solska przebyła dłuższy czas wśród rozbawionego świata, tyle razy czuła się zranioną. Małe próżnostki, zawiści, obmowy, powierzchowność stosunków, w których przyjaźń i sympatya taką zdawkową, taką konwencyonalną grały rolę, przyprawiały ją o cierpienie. Zdawało jéj się, że za jéj młodości było inaczéj. W młodych kobietach było więcéj duszy, w mężczyznach więcéj głębokości, honoru, obywatelskich uczuć. Dziś tylko używanie, używanie; i to w sposób jakiś gorączkowy, niespokojny, szukający nowości, przerafinowania... jakby każdy był goniony przez nudę i wymyślał sposoby, aby przed nią uciec. I ten sposób uciekania od niéj najmniéj szlachetny: obmawianie i ośmieszanie wspólnych znajomych!

Uczucia te matki Amelia i Irena miały za chorobliwą mizantropię staréj kobiety, która tak się zżyła ze swoim Mirskiem i z działalnością, jaką w nim rozwijała, że jéj dobrze było tylko we własnym domu.

— Eugeniusz był naturalnie cały czas z tobą? — pytała Amelia siostry, bacznie obserwując wyraz jéj twarzy.

— W Ujazdowie był. Potém spotkałyśmy go w Warszawie.

— I wszystko dotąd w zawieszeniu? Jakże się to skończy?

— Że wszystko na świecie ma swój koniec, więc i to się skończy jakoś... Nie wątpię, że się skończy, jak w moralnéj powieści — małżeństwem. Coraz bardziéj cenię Eugeniusza... coraz bardziéj mi się podoba. Z przedziwnym taktem zrozumiał moje obecne usposobie-

nie. Przeczuł, że gdyby mi mówił o swojéj miłości i zamiarach, gotowa-bym mu raz na zawsze dać odprawę.

— Nie spotkałaś wymarzonego rycerza?

— Amelko!.. Gotowaś mię zniechęcić do zaufania względem ciebie! Są rzeczy, które się zaledwo przed sobą wyznaje, lub przed osobą najbliższą, w chwili napadu otwartości. W zwyczajnych godzinach nie dobrze o nich wspominać!

Zmarszczka wystąpiła na czoło Ireny. Wyszła od siostry, nie chcąc dłuższéj z nią rozmowy.

Piękna panna lubiła ukrywać zmienność humoru w samotności, a gdy była poruszona, potrzebowała fizycznego ruchu, który jéj nerwy do równowagi doprowadzał. Wyszedłszy od Amelii, udała się do ogrodu, gdzie zawsze wybierała odległe i mało uczęszczane zakątki. Niedyskretne zapytanie siostry, które innym razem za żart-by była przyjęła, nasunęło jéj znowu na myśl konieczność postanowienia o własnéj przyszłości. Szła zamyślona, kierując się ku laskowi, o którego gęstwinę opierał się park. Były to zarośla, sadzone ręką ludzką, wśród stojących z rzadka starych drzew dawnego lasu. Zwyczajne leśne ścieżki, wydeptane w murawie, przerzynały lasek, tak zarosły miejscami, że się wśród gałęzi z trudem przecisnąć było można. Na takiéj ścieżce Irena spotkała się nagle oko w oko z Janem. Młodzieniec szedł niepewnym jeszcze krokiem, zmęczony daleką wycieczką. Na widok nieznajomej stanął. Zdziwienie, zachwyt, przykuły go do miejsca. Zabłąkany wśród zieleni promień słońca oświetlał całą postać Ireny, i wrażenie, uczynione przez nią na młodzieńcu, potęgowało się jeszcze przez zachwyt artysty. W aureoli słonecznych blasków wydała mu się tak piękną, że zachwyt jego przeszedł na chwilę w osłupienie. Irena zmierzyła go dumnym wzrokiem, domyśliwszy się w nim od razu protegowanego Cesi, lecz spostrzegłszy na jego twarzy wyraz gorącego uwielbienia, strzelającego mu z oczu mimowolnym hołdem dla niéj, rozchmurzyła oblicze i czekała, by Jan zeszedł z drogi. Domyślił się on wreszcie, że mu to uczynić wypadało, ale gąszcz był z dwóch stron tak trudny do przebicia, że siły jego podołać mu nie mogły. Na usta Ireny wybiegł uśmiech, który był jednym z jéj czarów. Rozchyliła gałęzie, wciskające się na ścieżkę, i usunęła się na bok, ustępując Janowi. Młody człowiek przeszedł z ukłonem, ociągając się jakby,—wzrok jego zwracała ku Irenie magnetyczna siła. Ona uśmiechała się ciągle, po-nad głową trzymając nieposłuszne gałęzie i zdając się być uosobieniem wdzięku i siły. Brała hołd podziwu Jana, jako rzecz zwykłą i należną sobie, a jednak zrobił on jéj przyjemność. Dawniéj może-by go była przyjęła obojętnie; teraz, gdy lata jéj biegły już po téj dziesiątce, która dzieli

lat 30 od 40-tu, wrażenie, uczynione na spotkanym przypadkiem młodzieńcu, było dla niéj rodzajem chwilowego tryumfu, który połechtał jéj dumę. Poszła daléj ścieżką leśną. Uśmiech, wywołany trudném przejściem, z którego ratować się musiała za pomocą zręczności i siły, niezupełnie zszedł jéj z ust. Twarz ślicznego chłopca, z wyrazem niezmiernego zachwytu, o wielkich oczach, stała jéj w pamięci. Co za piękny i jaki sympatyczny dzieciak! Bladość Jana, okraszona nagle rumieńcem, zapalonym przez jéj widok, trochę jeszcze przeciągnięte rysy, twarz zeszczuplała, w któréj oczy wydawały się bardzo wielkiemi, dawały mu wygląd zastanawiający i Irena przy doznaném wrażeniu zapomniała o swych troskach. Dobrze, że go śmierć nie zabrała, szkoda-by było takiéj twarzy... szkoda-by było tego chłopca!

Wróciła do domu i zaraz sarkazmem zapragnęła zaprzeczyć chwilowéj sympatyi, doznanéj dla Jana. Trochę ją to gniewało, że się do niego uśmiechnęła i że jego twarz została jéj w oczach, jak gdyby był jakim następcą tronu, a nie ubogim studentem. Chciała się zemścić za to, że zwrócił jéj uwagę.

— Spotkałam waszego łazarza — rzekła do Cesi, przechodząc. — W istocie ma w tym domu prawa wyjątkowe... nie usuwa się ludziom z drogi.

Wyszła, nie czekając odpowiedzi przerażonéj i zdumionéj siostry.

— Czém on mógł ją obrazić? — zapytywała siebie Cesia. — Musiał to chyba uczynić przypadkiem.

Umyślna niesprawiedliwość i sarkazm Ireny nie uspokoiły jéj bynajmniéj. Była wzburzona i niespokojnie wybiegała myślą w przyszłość. Tryumfy, jakich doświadczyła podczas ostatniéj wycieczki, na chwilę zagłuszyły uczucie niezadowolenia, które ją coraz częściéj w ostatnich czasach dręczyło. Powróciło ono teraz w całéj sile.

— Amelka miała słuszność, pytając mię o mego rycerza — mówiła sobie, krytykując własne usposobienie i umyślnie ośmieszając się we własnych oczach. — Wychodzę na jakąś wzdychającą i zapoznaną marzycielkę. Czego mi potrzeba? Mam i miałam zawsze wszystko, co najbardziéj wymagającą kobietę uszczęśliwić-by powinno... Dla innych *wybór męża* jest tylko językową grzecznostką dla płci pięknéj. Nie mogą wybierać, bo w szrankach niéma nikogo, lub jeden jaki niedobitek. Ja mogłam zawsze jedném skinieniem przyciągać, a czuję, że coś w mojém życiu pozostało i pozostanie zawsze niespełnioném. Czyżby już dla mnie przyszła epoka staropanieńskich żalów?

Od dawna projektowane przedstawienie Janowi dzieci na dziedzińcu folwarcznym mogło już przyjść do skutku. Rekonwalescent podjął się odbyć bez nadużycia sił wycieczkę do téj ziemi obiecanéj Cesi. Już gdy się zbliżali, doszły do ich uszu okrzyki: „panienka! panienka!“ Przednia straż dzieci wybiegła naprzeciw Cesi z oznakami radości, którą krępował widocznie nieznajomy młody pan o kiju. Potém, gdy z zebranym po drodze orszakiem odwiedzający znaleźli się wśród dziedzińca, przypuszczony został istny szturm do rączek Cesi. Coraz to nowe stworzenia różnego wzrostu i wieku ukazywały się, wychodzące z różnych kątów, i powiększały grono otaczające. Powoli ukazały się i matki z malcami na ręku. Cesia znała ten cały światek, wypytywała o chorych, o różne szczegóły życia tych swoich przyjaciół, wlepiających w nią oczy i opowiadających jéj swoje nędze, potrzeby i radości. Matki dziwowały się głośno mądrości i sprytowi swoich dzieci: „Już takie mądre, że się musi nie wychowa!“ Inne skarżyły się. Mianowicie z tymi chłopaczyskami była bieda. „Ladacy, proszę panienki, że aż strach! Już i biję, i ręką, i kijem, i czém popadnę, a on swoje i swoje!“ Cesia dla każdego znajdowała słówko dobre i przychylne. Broniła „ladacego chłopca“: „Uderzyć jak zasłuży, ale kijem bić takie dziecko!“ „O, żeby to tylko kijem! Często i drewnem go przejadę! Raz, jak mię w złość wprowadził, to myślałam, że mu łeb rozwalę wałkiem od ciasta!“

Cesia poczęła mówić. Zwracała uwagę matki na wątłe zdrowie chłopca, prosiła ją, by probowała postępować z nim łagodnie i cierpliwie.

Przemowa „panienki“ zawierała same zwyczajne rzeczy, ale grono słuchało jéj jednak z przejęciem.

Jan poprosił, by mu wskazano Franka. Chciał z nim pomówić i przekonać się o jego zdolnościach. Dziecię było niezwykle interesujące. Sama powierzchowność jego zastanawiała. Czysta odzież i wielka powaga w całéj postaci wyróżniały go z pośród innych. Jego matka poczęła zaraz opowiadać, jak się sam czytać nauczył, jak go od książki ani odegnać. Jan obiecywał sobie, że często z nim będzie rozmawiał... że wiele rzeczy kształcących mu opowie... Franek odpowiadał z wielkim spokojem, rozwagą i sprytem. Uczynił na nowym swym przyjacielu niezmiernie korzystne wrażenie.

Już teraz, gdy Jan dalsze wycieczki mógł odbywać, nie było powodu, by odmawiał siadania do stołu wraz z całém towarzystwem. Na ponowną propozycyę pani Solskiéj oświadczył, że będzie posłuszny jéj życzeniu. Myśl jednak o tym pierwszym obiedzie przejmowała go nieśmiałością i niejakim niepokojem, którym towarzyszyło też trochę ciekawości. Widział Andrzeja w uroczystym codzień stroju, przystę-

pującego do ważnego aktu usłużenia swym państwu do stołu, wiedział, że się panie do obiadu przebierały i że akt najobfitszego w dniu posiłku otoczony był pewnego rodzaju ceremoniałem; on zaś miał tylko jedno, wyszarzane ubranie; wiedział też od Andrzeja, że przy stole często rozmowę prowadzono po francusku i cierpiał w swéj miłości własnéj, że tego języka nie rozumie. Przytém bał się ze strony Zubeckiego niegrzeczności, na którą, jako człowiekowi staremu, nie mógł dać ostréj odpowiedzi, a która wobec licznego grona podwójnie-by go zranić musiała. Z grona tego dwie osoby onieśmielały go: Irena, któréj piękność go olśniła, i Amelia, którą sobie jako dziwaczkę wystawił. Z opowiadań Cesi o wiecznie choréj i bardzo nieszczęśliwéj siostrze, z dziwactw, jakiemi otoczone było wychowanie Wacia, zrobił sobie o Amelii dziwaczne wyobrażenie, w którém go utwierdziły dobroduszne relacye Plewaczka. Poczciwy Czech łamaną polszczyzną opowiadał o zachciankach pani Boliwiny, zmuszających go czasem do muzykowania wśród nocy, o jéj śpiewie, wprowadzającym ją samą w gorączkę... Plewaczek nie skarżył się bynajmniéj, mówił o Amelii z admiracyą; Jan jednak bał się téj nerwowéj osoby. Może ją jego widok drażnić będzie? Może pomyśli, że intruz przy stole rodziny był zbytecznym? A jeżeli go posadzą naprzeciw Ireny? Myśl ta onieśmielała go i zachwycała zarazem. Będzie mógł spojrzéć czasem i zobaczyć ten uśmiech, który jéj usta okalał niewysłowionym urokiem...

Przyczesał włosy i co mógł poprawił w stroju. Wszedł jednym z pierwszych do stołowego pokoju. Dnia tego było kilka przybyłych osób na obiedzie, między niemi Eugeniusz, którego tak prędko się nie spodziewano. Przedstawiono Jana paniom i panom, wymieniając po prostu jego nazwisko. Poczuł się stropiony i nieśmiały. Naraz tyle nieznajomych twarzy! Wskazano mu miejsce między Noiretem a Plewaczkiem. Naprzeciwko siebie miał jedną z nauczycielek Cesi. Irena siedziała daleko, mając obok siebie Eugeniusza. Jan wiedział od Plewaczka, że to w niedalekim czasie jéj narzeczony, i począł mu się przyglądać z wytężoną ciekawością. Narzeczony téj cudnéj kobiety! Człowiek, któremu ona z uśmiechem, niedającym się zapomnieć, gdy go się raz widziało, powie: kocham... który tę boginią uwiezie z domu rodzinnego i zaprowadzi pod swój dach. Jakaś dzika ciekawość budziła się w Janie, podczas gdy oczy miał wlepione w twarz Eugeniusza. Co z niéj chciał wyczytać? Sam dobrze nie wiedział. Czy chciał zrozumieć, dlaczego Irena Eugeniusza kochała?

Rozmowę ogólną i bardzo ożywioną podtrzymywała Amelia. Była dnia tego pełna życia i dowcipu; patrząc na nią, ani się domyślić było można istoty, która często dnie i noce na żalach i smutnych rozmyślaniach spędzała. Mówiła o artystach, którzy na niéj najsil-

niejsze wrażenie wywarli, o śpiewakach i śpiewaczkach... Opowiadała o śmiesznem zachowaniu się jednego z nich w towarzystwie, do którego go zaproszono w nadziei, że się da usłyszéć.

— Dziwna rzecz — dodała — jak czasem nawet genialny artysta bywa jednostronny. Ma swój talent i po za nim nic. Jest często grubym, nieokrzesanym prostakiem, nie zdającym sobie sprawy z wielkości i czystości płomienia, który nosi w piersi. Płomień ten nie oświeca mu żadnych ciemności. Rozgrzewa i olśniewa nim innych, sam pozostaje zimny, jak machina.

— Pani mówi o wykonawcach—ozwał się Eugeniusz. — Prawda, że są między nimi tacy, którym intuicya artystyczna i złożone w nich naturalne obdarowanie zastępuje duszę i intelligencyę, bo ani jednéj, ani drugiéj nie mając, umieją wyrazić je głosem, wydostać je z instrumentu... Ale artyści-twórcy do téj kategoryi zaliczeni być nie mogą. Są to w większéj części ludzie pociągający osobliwym czarem. Jest w nich zwykle coś, co ostrzega, że to są wybrańcy, że to kwiat ludzkości! Uważałem to wszędzie. Koła świata, rozporządzającego dostatkami, dyktującego mody, ubiegają się o towarzystwo ludzi wybitnych w artystycznym czy literackim zawodzie. Wnoszą oni do jednostajności i płytkości ogólnéj jakiś ton żywszy. Czasem jest w nich szorstkość. To nie przeszkadza do oryginalności, a czasem podnosi nawet niezwykłą charakterystykę ich osoby. Jest tylko jeden typ, który mi był zawsze nieznośny: typ próżnego zarozumialca i wielkiego człowieka z powołania i w całéj świadomości. Nawet geniusz na tronie, na którym rozpiera się, sam się na nim umieściwszy, jest wstrętny. Ale artyści, nie będący karyerowiczami a miłujący sztukę bezinteresownie, mają specyalną łaskę, dodaną sobie do genialności lub talentu — umieją być żywą, towarzyską indywidualnością, pociągającą i skupiającą wkoło siebie.

Jan patrzał na Eugeniusza z rodzącą się sympatyą. Czuł się w przyszłości jednym z tych wybranych, którym talent otwiera serca, salony, najciaśniejsze koła towarzyskie... którym nietylko oświeca artystyczną drogę, ale opromienia ich słowa, uśmiechy i spojrzenia wyjątkowym wdziękiem. Zarozumialcem? Nie, on nim nigdy nie będzie! Tylko pozwoli temu wielkiemu porywowi ku pięknu, który czuł w sobie, iść swobodnie między ludzi... da im swoje obrazy i da im swoją duszę wszędzie, gdzie się z nimi zejdzie. Da im ją całą, bez skąpstwa, bez zazdrości, bez małych próżnostek, bez głupich wymagań miłości własnéj... Da ją i tym, do których ma zaufanie — ubogim, pokrzywdzonym od losu; i tym, którym niedowierza—bogatym, obsypanym darami wszelkiemi...

Zubecki, swym suchym, zimnym głosem, począł dowodzić, że do arystokratycznych salonów francuskich, ani artyści, ani literaci wstępu nie mają; że żadna prawdziwa pani gryzipiórkom, komedyantom, bazgraczom na płótnie i wyprawiaczom rozmaitych muzykalnych hałasów ręki-by nie podała...

Wszczęła się krótka, pełna taktu ze strony Eugeniusza utarczka, zaprawiona ze strony Zubeckiego żółcią. Eugeniusz zamilkł, ustępując staremu tetrykowi; dyskusya z nim była niemożliwa. Amelia poczynała być rozdrażnioną. Sam głos Zubeckiego, podobny do skrzypienia starego koła, był jéj nieznośnym. Cesia usiłowała zażegnać niebezpieczeństwo. Bała się, by odezwanie się Amelii nie sprowadziło ze strony wuja wprost do niéj wymierzonych niegrzeczności.

Eugeniusz na boku prowadził rozmowę z Ireną, co do wściekłości doprowadzało Zubeckiego, który chciał być słuchanym, gdy mówił. Irena uśmiechała się i zdawała się być dobrze usposobioną dla swego sąsiada. Mówił on jéj właśnie, że nigdy u żadnéj z pań z towarzystwa nie spotkał na stworzenie wielkiéj artystki dramatycznéj warunków takich, jak u niéj.

— Wzrost, postawa, głos, wielka wyrazistość i gra fizyognomii... W jednym fałdzie na czole umie pani zamknąć cały majestat, w jednem spojrzeniu—błyskawicę gniewu, w jednym uśmiechu...

Zatrzymał się. Irena obdarzyła go uśmiechem, jak gdyby mu dopomódz chciała do znalezienia właściwego określenia.

— Pozwala pani dokończyć?

— Proszę.

— W jednym uśmiechu—niebo obietnic...

— Których może nigdy nie spełnię.

Nie zachmurzyła się jednak przy tych słowach. Patrzała w jakiejś zadumie na kwiaty, zaścielające środek stołu. Potém nagle, jakby tknięta prądem magnetycznym, podniosła wzrok i spojrzała prosto w twarz Jana, z którego spojrzeniem oczy jéj się spotkały. Znowu w bladém obliczu pięknego chłopca, w jego wielkich oczach, dostrzegła owo naiwne wzruszenie, ów zachwyt, płynący z głębi duszy, który ją był zastanowił wśród leśnéj ścieżki. Drgnęła i odwróciła wzrok, chmurząc czoło, zdziwiona i niepojmująca, co z oczu tego chłopca wyglądało takiego, co na niéj robiło wrażenie.

— Nie przeczę — rzekła do Eugeniusza — że gdybym puściła wodze marzeniom artystycznym, które może napadają każdego w danéj godzinie, tobym sama gotowa przyznać sobie zdolności dramatyczne. Nie wystawiam sobie własnéj osoby, szczebiocząceéj, jak naiwny podlotek; ale mogła-bym żegnać dworzan, jak Marya Stuart, podpisy-

wać wyrok śmierci, jak Elżbieta, lub na zimno sprowadzać na ludzi talentu opętanie, jak księżna Falconieri.

— Słusznie pani powiedziała, że każdy człowiek ma czasem marzenia, dotykające jakiejś złożonéj w nim zdolności. Chciałby ją widzieć przemieniającą się w talent, w geniusz, w ów piorun, który z naszéj duszy uderza w duszę bliźniego!

Cesia już była odwróciła złość Zubeckiego. Spędzał on ją teraz na Noirecie, który zaczął z nim sprzeczkę o ojczyznę najsławniejszych kapłonów i pulard. Zubecki po polsku zapewniał Cesię i rządcę, że ten francuski głodomorek pewno pierwszego kapłona jadł dopiero w głupiéj Polsce, sprowadzającéj takich, jak on, pędziwiatrów, by im powierzać wychowanie znakomitych potomków rodu. Przytém chciał dotknąć Amelię, gdyż ze złośliwą ironią wskazywał przy ostatnich słowach na nieszczęśliwego, schorzałego Wacia.

Tym razem jednak Amelia nie słyszała przymówki. Wmieszała się do rozmowy Ireny z Eugeniuszem, który mówił właśnie:

— Jestem przekonany, że pani Boliwina niejedną godzinę strawiła na marzeniu zostania wielką śpiewaczką.

— Nieraz, gdym śpiewała, zdawało mi się, że mię słuchają tłumy — zawołała Amelia. — Była-bym może rzuciła się nawet na drogę artystyczną, gdyby nie to, że nie mogłam być pewną, iż będę pierwszą w świecie. Już drugą być-bym nie chciała.

— Nie była-byś nigdy została śpiewaczką — rzekła Irena — tak jak ja nigdy nie była-bym artystką dramatyczną. To są marzenia i za takie uważane zawsze były przez nas same. Mówiłam ci już... my nie jesteśmy wolne!

Eugeniusz spojrzał pytająco.

— Niewola nasza leży w przyzwyczajeniach rodzinnych i towarzyskich, a szczególniéj w braku odwagi do przełamania pewnych wyobrażeń, pewnych przesądów. Żadna z nas nie zdobyła-by się na postanowienie zerwania z życiem dotychczasowém, wstąpienia na deski teatralne, poddania się wymaganiom sceny... wreszcie sprzedawania talentu swego publiczności. To trudno, na to trzeba mieć inne pojęcia, lub czuć w sobie niezwalczone powołanie, przełamujące wszelkie zapory. Chciała-bym być wielką malarką, lub rzeźbiarką, jak któraś z księżniczek orleańskich...

— Bo też malarstwo to najwdzięczniejsza ze sztuk — ozwał się Eugeniusz. — Muzyka? Jéj dźwięk trwa krótko i ginie na zawsze. Kompozycye muzykalne, zamknięte w księgach i zeszytach, to martwa litera, czekająca na interpretacyę; rzeźba—to sztuka umarła, jak są języki umarłe. Malarstwo ma trwałość rzeźby, wdzięk życia; prze-

mawia najłatwiéj do pojęcia wszystkich! Któżby nie pragnął być wielkim malarzem?

Jan utkwił wzrok w Eugeniuszu. Chciał zawołać, że malarstwo— to natura, podniesiona do ideału, to realizm życia, zamieniony w poezyę; ale czuł się zanadto skrępowanym i onieśmielonym, by się mógł zdobyć na słowa. Wszakże Irena dostrzegła, że oczy jego, zwrócone na Eugeniusza, strzelały myślą, któréj wypowiedzieć nie śmiał.

Co to była za myśl?

Irena zaledwo półuchem słuchała dalszéj rozmowy Eugeniusza z Amelią. Piękny chłopak z wymownemi oczyma, którym niedawno przebyta choroba dodawała wyrazu głębokości i zadumy, zajmował jéj myśl. Nie patrzała w jego stronę, ale zdawało jéj się, że czuje jego wzrok na sobie. Po chwili otrząsnęła się wysiłkiem woli ze stanu marzycielstwa, w który wprawiało ją poczucie obecności nieznajomego dzieciaka przy stole rodziny. Rozmawiała z ożywieniem z jedną z przybyłych pań, a gdy dano znak wstania od stołu, nie rzuciła ani razu wzrokiem za siebie. Udawała, że Jan nie istniał dla niéj. Na werandzie, gdzie podano kawę, była wciąż bardzo ożywiona i mówiąca więcéj, niż zwykle. Przytém myślała:

— Co jest w tym chłopcu, że, choć odszedł, zostaje w pamięci i w oczach?

Zaproponowano przechadzkę. Towarzystwo dobrało się parami. Amelia zwerbowała Eugeniusza, którego rozmowę bardzo lubiła. Irena prowadziła pod rękę niemłodą damę, bardzo dużo mówiącą i zadowoloną choćby z niemego słuchacza. To téż piękna panna korzystała z położenia. Myśl jéj wróciła do Jana.

— Wiem, co jest w tym chłopcu — mówiła sobie. — Jest piękny i zatrzymuje wzrok na sobie, jako pociągający kształt zewnętrzny. Przytém ma ten takt, że milczy, więc nie rozwiewa uroku. Bo musi to być gbur pospolity i trywialny. Zapewne nigdy z nim mówić nie będę, jestem jednak pewna, że przy pierwszéj rozmowie czar prysnął-by od razu. Tyle razy mi się to zdarzało!

Irena przypomniała sobie, że nieraz już, przy pierwszém spotkaniu się z nowopoznanym mężczyzną, doznawała chwilowego zajęcia się, ciekawości, jakiegoś podniecenia, które brała za początek żywszego uczucia, a które przy bliższém poznaniu przechodziło powoli w zupełną obojętność, a nawet niesmak. I tym razem był to interes, obudzony naprzód pociągającą powierzchownością, potém samém bezmiernem oddaleniem towarzyskiém tego chłopca. Niejedna rzecz zaciekawia nas w stosunku do swéj odległości. Gdy się do niéj zbliżymy, przekonywamy się, że jest pospolitą i wcale niezabawną.

Eugeniuszowi, za obecną bytnością w Mirsku, zdawało się, że pomyślniejszy zwrot dla niego nastąpił w umyśle Ireny; lecz gdy sprobował dotknąć przedmiotu wspólnéj przyszłości, przekonał się, że jego spostrzeżenia były zwodnicze. Odjechał, uwożąc zaledwie nadzieję, nie obietnicę.

Tymczasem horyzont małżeński Amelii znowu się zachmurzył. Boliwa żądał, by syn jego, na mocy sądowego wyroku, oddanym mu został. W razie odmowy, groził przedsięwzięciem środków stosownych. Rozeszła się przytém wieść we dworze, że w parku widziany był jakiś obcy człowiek, ubrany z pańska, który zmierzał ku skrzydłu pałacowemu, zajmowanemu przez Amelię i Wacia. To wystarczyło, by odjąć biednéj kobiecie zupełnie równowagę. Strzeżono chore dziecię noc i dzień, do zdenerwowanéj matki musiano wezwać lekarza, który zalecił wyjazd do morza. Cały dom był przejęty nowém wystąpieniem Boliwy i nieszczęściem Amelii. Irena całe dnie przesiadywała u siostry.

Jana spotykała w ogrodzie, widywała go przy obiedzie, ośmielał się teraz, mianowicie gdy nie było gości, odezwać się czasem. Odpowiadał ze swobodą i spokojem na dane sobie zapytania, przyczém Irenę przejmował dźwięk jego głosu. Wrażenie wzrastało, nie zabijało go bliższe poznanie, lecz im było silniejsze, tém twardszym puklerzem nieprzystępności okrywała się Irena. Ona-by się miała interesować bliżéj jakimś biedakiem, nieznanym, ubogim?.. ona miała-by żywszą sympatyę okazać człowiekowi, nie należącemu do towarzystwa? Sama myśl takiego dziwactwa zachmurzała jéj czoło. Gniew ją przejmował, ile razy spotkane spojrzenie młodzieńca, lub głos jego, usłyszany znienacka, sprowadzał jéj wzruszenie, któremu nazwy dać nie umiała. Mściła się czasem na chłopcu zaocznym sarkazmem.

Raz zobaczyła w ręku Cesi arkusz papieru, na którym rzucony był szkic: kobieta uśmiechnięta, rozsuwająca nad głową swą gałęzie. Las otaczał ją wkoło, u jéj stóp wiła się ścieżyna wśród trawy.

Cesia spojrzała na Irenę z przestrachem. Przed chwilą zapewniała Jana, że „to zupełnie Irenka, zupełnie podobna“; teraz przelękła się na myśl, że się jéj siostra obrazi, iż śmiano bez jéj pozwolenia...

Irenę widok szkicu wzruszył bardzo. Poznała od razu kogo i co przedstawiał, i uznała, że Jan taktownie postąpił, nie umieszczając na ścieżce przechodnia. Opanowała się i zapytała ironicznie:

— Co ma przedstawiać ten rysunek i kto jest jego twórcą, jeżeli wolno zapytać?

— Pan Wielewicz to zrobił... Nie wiem, co chciał przedstawić... Piękną kobietę, która komuś ustępuje przejścia...

— Jakaś postać fantastyczna! Oddał-by jednak przysługę temu młodzieńcowi ten, coby mu wyperswadował karyerę artystyczną. Ah, prawda, zawsze może malować częstochowskie obrazy! Może zresztą i sam nie ma wyższéj ambicyi...

— Mnie się zdaje, że to bardzo dobry szkic... Trzeba zresztą wziąć na uwagę, że mu się jeszcze ręka bardzo trzęsie... Zdrów już jest, ale nie uwierzysz, jaki osłabiony... Chciał przebiedz kilka kroków... myślałam, że zemdleje potém... zbladł jak trup i oddechu złapać nie mógł.

— Mogła-byś mi oszczędzić tych szczegółów... wcale mnie one nie interesują—rzekła niedbale Irena.— Szkic ten, nawet z łagodzącą okolicznością trzęsącéj się ręki, jest po prostu ohydny.

Cesia pomyślała, że szkic był dobry, ale Irena była w złym humorze. Nie chciała pogorszać go uporem. Zamilkła. A nużby Irenę doprowadziła do wyraźnéj niegrzeczności względem Jana? Cesię otoczenie osób kapryśnych uczyniło dyplomatką.

— Nie powiedział więc Cesi o pierwszém spotkaniu ze mną! — myślała Irena. — Nie brak mu taktu!

Rada była, iż nikt nie wiedział, że z uśmiechem przyjęła hołd młodzieńca, wyrażony w spojrzeniu.

— To dziecko ma talent! — myślała daléj z radością, któréj w sobie nie rozumiała. — Ma talent! Podniesione ramiona téj kobiety zakreślone z wielką śmiałością, lekkością i wdziękiem... i ta twarz tak wybornie pochwycona... Więc to „*coś*“, co w nim jest, to może talent... geniusz...

Pewnego dnia w jednéj z przechadzek, które łubiła odbywać samotnie, ujrzała śpiącego w cieniu drzew Jana. Potrzebował on, przy pracy organizmu na odzyskanie sił, niezmiernie wiele snu, i często, ukrywszy się w jakiś kąt ogrodu, zasypiał na trawie. Irena, nie będąc pewną, czy chłopiec śpi twardo, przeszła koło niego z taką miną, jak gdyby niegodzien on był zwrócenia jéj uwagi. Potém jednak obejrzała się wkoło, upewniając się, że na nią nikt nie patrzy, wróciła ku miejscu, gdzie spoczywał Jan, i długo stała, przypatrując mu się. Była w téj twarzy, któréj wierzchnią wargę okrywał ledwie lekki puszek, pogoda przedziwna. Chłopiec miał minę niewinnego dziecka, ułożonego do snu przez matkę. Oddychał spokojnie, na ustach jego błąkał się łagodny uśmiech, policzki sen zabarwił rumieńcem.

Irena patrzała chciwie. Bała się usłyszéć kroki po-za sobą; bała się, by chłopiec oczu nie otworzył, a wzroku od niego oderwać nie mogła. Zdawało się, że chce się napatrzyć za te wszystkie spojrzenia, którym biedz ku niemu zabraniała, za wszystkie udane ślepoty swoje. Coś niezmiernie tkliwego i rzewnego napełniało jéj piersi

Czuła dla uśpionego młodzieńca jakieś macierzyńskie porywy. Szepnęła: „dziecię!“ i wzięła ją ochota szalona uklęknąć obok śpiącego, schylić się i pocałować jego usta.

Przelękła się myśli swojéj, płomień wstydu objął jéj policzki, odeszła prędko, nie oglądając się, z głową spuszczoną ku ziemi, z rękoma przyciskającemi piersi. Co się w niéj działo, co się w niéj działo!

Szła coraz prędzéj, biegła prawie. Nagle z wiru niepewności myśl jéj wyrwaną została przez rozlegające się krzyki. Ujrzała kilku ludzi z kijami, ekonoma ze strzelbą i psa ze zwieszonym ogonem przemykającego wśród drzew. W jednéj chwili zdała sobie sprawę z położenia i pędem zawróciła w stronę, skąd przybywała. Biegła ku miejscu, gdzie spał Jan, podniosła leżący na trawie kij, na którym się podpierał, i stanęła przed śpiącym chłopcem, gotowa go bronić. Krzyki zbliżały się; pies, przebiegając, natrafiwszy na ścieżkę, biegł nią prosto na Irenę. Zrównawszy się z nią, zadrażniony może kijem, który ku niemu wystawiała, rzucił się nagle w jéj stronę. Broniła się odważnie i zręcznie, ciałem swojem zasłaniając śpiącego. Jan, obudzony nagle, zerwał się, ale siły go zawiodły, zachwiał się i dopiero po chwili krzyknął i wysunąć się chciał naprzód.

— Stój za mną! — zawołała rozkazująco Irena. — Ludzie zaraz nadbiegną! Nie wychylaj się!

W istocie cała gromada parobków folwarcznych, z ekonomem na czele, była już blisko. Pies, z pyskiem całym w pianie, z błędnym wzrokiem, poczuł jednak niebezpieczeństwo. Pobiegł daléj, za nim podążyli ludzie.

Irena rzuciła kij na trawę.

— Niech pan nie dotyka tego kija — rzekła spokojnie, — ślina psa na nim zostać mogła.

Chciała odejść bez dalszych eksplikacyi, przystanęła wszakże i lekko odwróciła głowę, usłyszawszy błagalne i nieśmiałe: „pani!“ wyrzeczone głosem, którego dźwięk ją wzruszał.

— Pani ocaliła mi może życie! — zawołał Jan. — Ten pies był wściekły!

— Podniosłam kij dla własnéj obrony—rzekła Irena tak zimno, że każdy zapał ugasić-by musiała.—To tylko przypadek zrządził, żem jednocześnie broniła pana.

Wewnętrznie jednak była rozrzewniona i z niezmiernem wzruszeniem powtarzała sobie:

— Jakie to szczęście, żem ja tam była! Jakie szczęście!

Na myśl, że pies mógł ukąsić Jana, serce zamierało jéj w piersi. Nie płakała nigdy, teraz chciała-by była zapłakać.

Tymczasem wieść o błąkającym się psie wściekłym rozeszła się we dworze. Służba biegła szukać Ireny.

— A chwała Bogu! — wołał Andrzéj — pannę Irenę znaleźliśmy, ale gdzie pan Wielewicz? Już jakbym wiedział, że się tam dostał temu psu na zęby! Łazi po całym świecie... mówiłem mu że się biedy napyta, bo to sił jeszcze nie ma za grosz...

Stary poszedł, nie otrzymawszy od Ireny żadnéj wskazówki co do Jana. Nie raczyła wspomnieć, że go spotkała.

Wkrótce za służącymi pobiegła Cesia, przerażona, wołająca już zdala Ireny. Zajęta była w pokoju szkolnym i w téj chwili dopiero dowiedziała się o psie, biegającym po ogrodzie, i o samotnéj wycieczce Ireny.

— Moja droga, moja droga!—wołała Cesia—wracajmy prędko!.. podobno pies wściekły...

— Dlaczego wybiegłaś?—rzekła zimno Irena—mnie nic pomódz nie możesz, a sama się narażasz!

— Nie pomyślałam, co robię... straciłam przytomność, gdym się dowiedziała, żeś wyszła... Jesteśmy przynajmniéj razem na niebezpieczeństwo narażone!

Ciągnęła Irenę za ramię.

W téj chwili rozległ się strzał oddalony.

— Pies był daleko — rzekła Irena — a teraz już nie żyje. Nie było czego robić takich historyi.

— Noiret mówi, że go widział. Wacia zaraz zabrał do domu. Pies wściekły to już chyba najstraszniejsze ze wszystkich niebezpieczeństw!

Irena dała się pociągnąć ku domowi, chcąc co najprędzéj pozbyć sią towarzystwa Cesi. Potrzebowała być samą. Znalazłszy się u siebie, rzuciła się na szezlong i ukryła twarz w poduszki, jakby się wstydziła światła dziennego, które zaglądało jéj w oczy.

Tymczasem służący, pod przewodnictwem Andrzeja, odszukiwali Jana. Rozmyślał on nad postępkiem Ireny. W duszy klękał przed kobietą, która znalazła odwagę do walki z szaloném zwierzęciem i uważała to za rzecz zwyczajną. Mówiła, że myślała tylko o własnéj obronie. To było wspaniałomyślne kłamstwo. Nie chciała wdzięczności ani podziękowań, ale ona broniła nie siebie tylko; wołała: „nie wysuwaj się“, więc myślała szczególniéj o bliźnim, który sił do obrony nie miał. Szlachetna! szlachetna!

— A jakże! — wołał Andrzéj — nie mówiłem? Ot, chodzi sobie najspokojniéj, i to jeszcze bez kija! Pan nie wie? Pies wściekły tu był!

— Widziałem go.

— I nic? Nic panu nie powiedział?

Jan się śmiał z przerażonéj miny Andrzeja.

— Nie powiedział nic wprawdzie... Położył się u moich nóg i byłby lizał rany moje, gdybym miał rany. Cóż kiedy ich nie mam.

— Ej, pana się tam zawsze żarty trzymają!

— Dobre mi żarty! Miałem duszę na ramieniu.

— Nie... widział pan psa doprawdy?

— Jak mię Andrzéj widzi żywego.

— To już za przyczyną Ś-go Dominika Bóg odwrócił od pana to nieszczęście.

Jakieś uczucie skomplikowane: delikatności, obawy i chęci posiadania wspólnéj tajemnicy z Ireną, skłoniło Jana do zamilczenia prawdziwego wypadku. Nie znał charakteru Ireny, domyślał się tylko, że była to dusza wielka, dumna, wspaniałomyślna, odważna. Może-by ją obraziło, gdyby bez jéj zezwolenia opowiadał, że zasłaniała go własną osobą. Zbył Andrzeja tysiącem żartów. Rzecz mogła pozostać w tajemnicy, bo nadbiegający i krzyczący ludzie spłoszyli psa, który się zwrócił na lewo i którego nie widzieli po-za kłąbami rzucającego się na Irenę. Niech ona sama rozporządza tajemnicą. Przecie nie weźmie jego milczenia za niewdzięczność. Oczyma jéj powie, że... Nie, nie! ani potrafi mówić oczyma, ani-by, choćby potrafił, ośmielił się powiedzieć...

Nazajutrz rządca opowiedział przy stole towarzystwu, jaka wersya krążyła między służbą folwarczną. Chłopak stelmacha zakradł się do parku, gdzie miał gniazdo kosów, o którém nikt nie wiedział. Miał już wracać i przebierał się właśnie przez fosę, gdy odwrót został mu odcięty przez biegnących i krzyczących ludzi. Strach go zdjął, począł uciekać, chcąc się skryć gdziekolwiek w gęstwinie. Przebiegając widział wyraźnie śpiącego pana, a przed nim jakąś panią w białéj sukni. Pies się rzucał ku niéj, a ona tylko fartuszek rozpostarła, zasłaniając śpiącego pana. Chłopiec nie wiedział, jaka to była pani, bo była tyłem ku niemu odwrócona, spojrzał zresztą raz tylko, bo ludzie za nim krzyczeli, a on uciekał... Z tego opowiadania chłopca wyrosło podanie, że młody malarz spał pod drzewem, a Matka Boska fartuszkiem go swoim osłoniła przed wściekłym psem, bo chciała, żeby żył i malował obrazki na jéj chwałę.

Przy tém opowiadaniu rządcy, Irena z Janem zamienili spojrzenie i uśmiech. Obojgu przy tém spojrzeniu wpłynęło do duszy coś niezmiernie słodkiego, czego może za skarby świata nie byli-by oddali. Poczuli między sobą jakieś porozumienie, jakąś wspólność. Było to coś zupełnie nieświadomego, nieokreślonego, co, jak mocny napój, poszło im do głowy, działając usypiająco na zdrowy rozsądek, a roz-

budzając tę trochę szału, któremu się nieraz poddają najzdrowsze umysły.

Rozmowa przy stole toczyła się na temat łatwowierności ludu i jego upodobania do cudowności. Cesia znała różne ludowe podania, które przytaczała z upodobaniem. Zubecki, który wcale nie widział psa w ogrodzie, ani żadnych co do niego nie miał danych, utrzymywał, że on wcale nie był wściekły, dlatego jedynie, że rządca był pewien iż było przeciwnie. Stary złośnik nie byłby spożył obiadu, gdyby nie był sobie wynalazł tematu do dyskusyi i przycinków. Żeby dogryźć rządcy, utrzymywał, że pomysł psa wściekłego, którym może być najzdrowsze przebiegające zwierzę, jest zawsze z radością przyjmowany przez próżniaków, którzy chętnie porzucają pracę, by odbyć zajmujący wyścig za psem. Szczególniéj sport taki lubią dozorcy i kierownicy gospodarscy, którzy zwykle mają w sobie trochę szlachetczyzny, trochę zawadyjactwa, upodobanie do burd, polowań i rozlewu krwi choćby psiéj.

— W to im graj! Byle sobie przerwać monotonność zajęcia, gotowi każdą bajkę przyjąć za prawdę!

Rządca się obraził, pani Solska musiała wmieszać się do sprawy, co nową wywołało kolizyę. Amelia, wzrokiem przeprosiwszy matkę i Irenę, wstała od stołu. Jéj nerwy, bardzo teraz natężone, nie mogły znieść obejścia się Zubeckiego. Sam głos jego był jéj do najwyższego stopnia nieprzyjemny. Między współbiesiadnikami panował niesmak. Rządca siedział ze zmarszczoném czołem i nie tknął już żadnéj potrawy; Cesia była cała rozczerwieniona i wzburzona; na końcu stołu tylko uśmiechnięta dobrodusznie twarz Plewaczka stanowiła dywersyę. Wyraz zmęczenia i smutku, który pani Solskiéj pozostał po stracie synów, powiększał się zwykle przy każdéj nowéj przykrości. I teraz niemiłe zajście pogłębiło zmarszczki jéj twarzy, na którą z bólem i smutkiem patrzała Józefa.

Całe to wydarzenie nie uczyniło na Irenie najmniejszego wrażenia. Siedziała spokojna i wyprostowana, panująca nad sobą i wyrazem swéj twarzy. Po obiedzie poszła do Amelii. Jéj jednéj udawało się czasem uspokoić i rozweselić siostrę.

Jeżeli na rodzinie Solskich i jéj otoczeniu podanie o Matce Boskiéj nie zrobiło wrażenia, na folwarku, w kuchni, w kredensie i garderobie powtarzano z przejęciem i jakąś grozą wieść, przyniesioną przez syna stelmacha. Tylko jeden z lokai śmiał się i nie wierzył, co skłoniło innych do spoglądania na niego, jak na niedowiarka, którego mogła dotknąć kara Boża. Andrzéj nic nie mówił, lecz wiedział, co ma o tém sądzić. Już to naprzód nie bez kozery było, że Jan uchodził z początku za kleryka. Może to téż było za sprawą Matki

Boskiéj, bo każdy lepiéj chodzi koło takiego, co ma zostać duchowną osobą... Teraz nie kto inny, tylko Najświętsza Panienka fartuszkiem go zasłoniła!

Andrzéj obiecywał sobie zaraz jutro pomówić z panienką Cesią i wraz z nią zabrać się do nawracania Jana.

Była już noc zupełna. Irena, wypiwszy herbatę u Amelii, wracała do siebie. Obrała sobie drogę naokoło, to jest nie wewnętrznem przejściem, lecz przez ogród i werandę. Szła w ciemności powoli, oddychając zapachem kwitnących jeszcze bzów i roztwierających zaledwie kwieciste grona akacyi. Przystanęła. Do jej uszu doszedł dźwięk głosu, jakiego nie słyszała jeszcze u nikogo w życiu. Przejęła ją żądza słuchania. Była-by rada do każdéj zgłoski, biegnącéj ku niéj, wyciągnąć ramiona, nie stracić żadnego dźwięku, żadnego odcienia... Ale oto Jan przestał mówić, teraz usłyszała głos Cesi. Zbliżyła się cicho, rozpoznawszy po dźwiękach i ich kierunku, że Cesia z Janem i jedną z nauczycielek siedzieli na wschodach, zbiegających z werandy na ścieżkę ogrodu.

— Nikt we dworze o niczém inném nie mówi — twierdziła Cesia. — I może doprawdy, gdy pan spał, broniła pana Matka Boska.

— Nie jestem godzien, by się mną zajmowała nawet zwykła śmiertelna pani, a cóż dopiero pani niebieska. Zachwyca mię jednak poetyczna ludowa wyobraźnia, umiejąca stworzyć taki naiwny, cudowny obrazek z niczego. Przestraszony chłopczyna, z wyobraźnią w popłochu, widzi mię śpiącego i zaraz zjawia mu się przed oczyma Matka Boska w bieli... Widział może kiedy matkę własną, okrywającą fartuszkiem stado kurcząt przed napadem jastrzębia, i ztąd zaufanie do obronnych własności fartuszka... Obrazek, jako ludowa poezya, prześliczny. Matka Boska, idealnie piękna kobieta w białych szatach, rozpostarciem fartuszka broniąca przed niebezpieczeństwem swojego malarza... człowieka, który jéj cudne rysy na płótno przenieść potrafi i przedstawić ją wiernym taką, jaką się ona chce im pokazać.

Zaszeleściło coś w krzakach. Irena przestraszyła się, że ją ktoś na podsłuchywaniu znaleźć może. Podeszła spiesznie ku werandzie i poczęła wstępować na wschody. Gdy ją tylko Jan wśród ciemności rozpoznał, zerwał się, usuwając się na bok, jakby to uczynił dworzanin przed królową. Był niezmiernie zmieszany nagłém jéj zjawieniem się, co ona przeczuła tylko, nie mogąc rozróżnić twarzy młodzieńca. Jednakże zmieszanie to udzieliło się téż i jéj, choć usiłowała być zupełnie spokojną.

— Proszę... niech pan siedzi... mam tu dość miejsca do przejścia...

Zadziwiła się sama miękkości i słodyczy głosu, którym wypowiedziała te słowa. Równie jak ona, zadziwiła się Cesia. Dziewczyna podniosła nagle twarz ku starszéj siostrze i odprowadziła ją wzrokiem, aż póki nie znikła we drzwiach salonu. Co się stało Irenie, że z taką dobrocią i grzecznością przemawia?

Zapytania tego Cesia nie uczyniła głośno. Ciągnęła daléj rozmowę z Janem, z którym ułożyli projekt, napełniający ich oboje radością. Jan miał dla Andrzeja wymalować obraz święty. Cesia sprowadzi farby i potrzebne przybory i oboje wybadają Andrzeja, do jakiego świętego miał szczególne nabożeństwo. Cesia zapewniała, że najczęściéj wspominał Ś-go Dominika. Łatwo to zresztą było sprawdzić. Staremu należał się jakiś dowód wdzięczności ze strony Jana.

— Nie przypuszczałem, że kiedy w życiu będę malował świętych—zakończył Jan.

Zaczął układać projekta co do obrazu i tak mu było pilno wybadać delikatnie Andrzeja, że poszedł go szukać. Nie było starego sługi. On i para innych służących rozbiegli się po ogrodzie, gdzie poszedł się chłodzić Plewaczek. Trzeba go było znaleźć, bo pani Boliwina chciała śpiewać. Była téż już późna godzina, a choć ogród ciągnął chłodem, ciszą, wonią kwiatów, rozsądek kazał iść na spoczynek. Cesia się wypraszała, zaręczała, że jéj się zupełnie spać nie chce i z pewnością zasnąć nie będzie mogła; jednakże sen ją schwycił, ledwie głowę do poduszki przyłożyła.

Irena, wszedłszy do swego pokoju, nie zapaliła w nim światła, stanęła w otwartém oknie i patrzała w ciemność ogrodu. Czuła w piersiach jakąś pełnię pragnień i ochoty do życia. Dawniéj często się zdarzało, że myślała o śmierci, bez wstrętu, jako o naturalnym końcu wszystkiego; teraz gdyby w słowa była ujęła to, co duszę jéj napełniało, była-by, wyciągnąwszy ręce, wołała: żyć! żyć! To co z bólem za niespełnione w życiu swém uważała, spełnić się miało, spełniało się. Ona sobie tego bynajmniéj nie powiedziała, nie nazwała po imieniu żadnego ze swych uczuć, tylko się czuła młodą, szczęśliwą! Wszystkie dawniejsze jéj niepewności nie istniały. Ona teraz była pewną szczęścia. Zkąd, dla czego, na jakiéj zasadzie? Nie wiedziała, ale była pewną. Doznawała nieobliczającéj jeszcze niczego radości ubogiego, który-by na swéj drodze znalazł skarb. Nie wie on jeszcze, co z nim zrobi, jakie są w nim złożone nadzieje, jaką dolę mu przyniesie, i tylko mu w piersi serce bije niezmierną radością.

Rano, gdy oczy ze snu otworzyła, nie wiedziała w pierwszéj chwili, co to było takiego, co jéj życie nagle innem, młodém i radosném uczyniło, ale pierwszém uczuciem była chęć wyskoczenia spiesznie z łóżka, bo ją życie wołało, bo ją czekało coś dobrego. Usiło-

wała uspokoić się i wytrzeźwić, marzenie nieokreślone porywało jednak jéj myśli. Nie wiedziała, że się do własnéj postaci, odbitéj w lustrze, uśmiecha. Włożyła strój poranny i wybiegła do ogrodu. Wszystko wydało jéj się jakiémś inném niż dotąd. Doprawdy było inném. Rosa na liściach i kwiatach migała jakiemiś radosnemi blaskami; wielki, jasny uśmiech słońca nigdy takiego życia, jak dziś, wkoło siebie nie rozlewał. Takie wszystko było piękne!

Irena, jakkolwiek malowała krajobrazy i „martwe natury“, w ogrodzie ceniła i lubiła tylko to, co było sztuką, kunsztem, szykiem. Klomby dywanowe, trawniki strzyżone, rośliny zamorskie, prowadzone umiejętnie ścieżki, na których nie postała trawka, ani spadły listek, były dla niéj ideałem. Owego ranka jakieś nowe pojęcie piękna i natury wpłynęło do jéj duszy. Odczuła przyrodę nie jako skrępowaną i konwencyonalną, do mody stosującą się piękną niewolnicę, lecz jako wolną przedwieczną panią, twórczynią, mistrzynią, któréj potężnym, samodzielnym rzutom żadna sztuka nie dorówna. Zawsze surowo sądziła sentymentalność i w całém swém obejściu się była pełną trochę sztywnéj i wyniosłéj prostoty. Strzegła się uczuć swych wylewać na zewnątrz. I teraz nie pochyliła ust ku pierwszéj rozkwitłéj róży, wstrzymała się od śmieszności takiego pocałunku, miała jednak taką ochotę! Co się z nią działo? Ona – całująca róże! Łzy zabłąkały się w jéj oczach. Jak słodko, jak dobrze, jak roskosznie czuć taką żądzę położenia ust na kwiecie, być młodą, żywą, szczęśliwą wśród téj młodości, życia i szczęścia przyrody! Zerwała kwiat jaśminu i przypięła go do piersi. Nie czyniła tego nigdy. Nieraz jéj suknie okryte bywały kwiatami, ale to wtedy, gdy wymagała tego całość toalety, a chęć przytulenia kwiatka, nacieszenia się nim, nie postała nigdy w jéj myśli. Usłyszała głos Cesi, zwołującéj ulubione gołębie, które dostawały zawsze groch na śniadanie. Wyśmiewała się zwykle z upodobań sielskich i pasterskich swéj siostry. Teraz zapragnęła popatrzyć na gołębie. Poszła w stronę dziedzińca, który w języku domowego towarzystwa zwany był „Eldoradem Szczupalskiéj“.

Wśród drzewin wybladłych, w wiecznéj będących walce z kurami, które ciągłém grzebaniem i obnażaniem ich korzeni zadawały im rany u samych podstaw życia, stała Cesia z koszykiem grochu, który garściami rzucała na wszystkie strony. Gołębie otaczały ją wkoło. Niektóre już z pośpiechem dziobały groch rozsypany, inne nadlatywały jeszcze; samce wśród jedzenia nadymały chwilami gardziołki, gruchając i zabiegając drogę swym samiczkom. Cesia znała niektóre pary, miała swoich ulubieńców, sympatycznych powierzchownością lub charakterem; te były przez nią wyróżniane, wołane po

imieniu, witane. Inne wyróżniały się złością, popędliwością, żarłoctwem; tym dostawały się słowa prawdy.

Irena patrzała z uśmiechem. Innym razem była-by z pewnością wyszydziła Cesię za jéj rozmowy z gołębiami i granie roli Mickiewiczowskiéj Zosi. „Eldorado Szczupalskiéj“ byłc-by podnieciło jéj złośliwą werwę. Teraz odczuła wdzięk obrazka. Zbliżyła się, z zajęciem patrząc na walki, podlatywania i pospiech egoistyczny wychowańców Cesi. Uśmiech zadowolenia, dobroci, otworzył jéj usta. Cesia postawiła koszyk i przypadła do siostry. Całowała ją na dzień dobry.

— Irenko, moja złota, jakaś ty dzisiaj śliczna!

Irena uściskała Cesię. Wiedziała, że była śliczną, czuła to, inaczéj wszakże dzisiaj, niż zwykle; bo nie duma i pewność siebie rozpierała jéj piersi, ale wielka jakaś wdzięczność, rozrzewnienie, szczęście. Dobrze jest być piękną wśród najpiękniejszych tworów natury: ptaków, motyli, kwiatów!

— O, słyszysz?—zawołała Cesia, do któréj uszu doszedł turkot powozu--mama wróciła już z kościoła!

Obie poszły ku domowi. Cesia, widząc siostrę taką jakąś dobrą i słodką, ujęła jéj ramię, co znowu Irena odczuła z jakąś błogością i zadowoleniem w głębi duszy. Chciała tak, ni z tego ni z owego, wziąć Cesię w objęcia i ucałować ją po mieszczańsku—głośno, mocno; ale nie miała tego we zwyczaju i jakaś nieśmiałość ją wstrzymała.

Siostry zastały panią Solską w jadalnym pokoju.

— Moja Irenko—rzekła matka po przywitaniu—dziś w kościele przyszła mi myśl, któréj ci zaraz udzielić pragnę. Musisz uczynić poświęcenie dla Amelki... ona jest tak chora i tak rozdrażniona, że jéj saméj do wód puścić nie można, musi miéć opiekę rozsądną i energiczną... Chyba ty pojedziesz z nią do morza.

Irenie krew nagle uderzyła do głowy. Coś jedynego, coś najdroższego chciano jéj zabrać... dotykano do czegoś, co lada podmuch mógł zwalić, a czego ona bronić musiała. Chciała zawołać: „nie, nie pojadę! nie ruszę się ztąd“, lecz przejął ją strach, by nie wyczytano prawdy na jéj obliczu, rzekła więc wymijająco:

— Nie wiem, mamo, trzeba nad tém pomyśléć... pomówimy z Amelką... zobaczymy...

— Niéma innéj rady... Ja nie mogę odjechać domu i Cesi... nikt prócz ciebie nie ma wpływu na Amelkę.

Irenie przyszła nagle myśl. Była biegłą dyplomatką, odezwała się więc:

— I ja mogę miéć sprawy, zatrzymujące mię w domu.

Matka spojrzała na nią bacznie. Eugeniusz! Tak, ona niezawodnie na myśli miała Eugeniusza.

— Ha, to już nie wiem, jak temu zaradzimy. Noiret, to opieka dla Wacia, dla Amelki nic! Żadne towarzystwo. Ona towarzystwa potrzebuje.

— Nie pojadę! — mówiła sobie w duchu Irena i czuła, że byłaby prędzéj wystąpiła do walki z całym światem, niżby była zadosyć uczyniła życzeniom matki.

Pierwsze śniadanie bywało zwykle spożywane w mniéj licznem gronie, niż obiad, i wolne od obecności Zubeckiego, któremu je noszono do jego pokoju. Zwykle téż panowała przy niém mniéj ciężka atmosfera, niż przy obiedzie. Plewaczek przyszedł niewyspany. Opowiadał ze skupieniem ducha i jakąś trwożną powagą, że pani hrabina (nigdy nie mógł uwierzyć, że Amelia hrabiną nie była) śpiewała do trzeciéj w nocy. Wtedy kazała mu pić z sobą herbatę i jeść zimne pieczyste. Jego poczciwa płaska twarz wyrażała poszanowanie, prawie cześć, któréj żadną krytyką zaprawić nie czuł się godnym.

— Ona się zabija takiém życiem! — wołała pani Solska, zwracając się do Józefy, na któréj łonie przywykła składać wszystkie swoje bóle — to jest zdenerwowanie w najwyższym stopniu!.. trzeba ją koniecznie do morza wyprawić! Zaręczam, że w nocy była żwawa, wesoła i dużo mówiąca...

— Pani hrabina *mówiła*... dużo *mówiła*.

— Teraz śpi; potém wstanie z bólem głowy. To prawdziwe nieszczęście!

Cesia z Janem półgłosem rozmawiali o obrazie. Cesia wiedziała już, że św. Dominik ocalił niegdyś Andrzeja w bardzo ciężkim wypadku, i od tego czasu Andrzéj miał do niego szczególne nabożeństwo. Chodziło o dostanie żywota tego świętego, by jakiego anachronizmu w obrazie nie popełnić.

Irena, wyprostowana jak zwykle, z wyrazem twarzy obojętnym, z oczyma nie szukającemi nikogo z obecnych, wytężała słuch i łowiła słowa Jana, znajdując w ich dźwięku czar niewysłowiony. Pierś jéj oddychała nieco śpieszniéj, niż zwykle. Myśli jéj mniéj więcéj wyrazić-by się dały w słowach:

— Taki piękny... taki młody... artysta czujący piękno... pełen taktu... pełen delikatności... Jak dobrze, że nie powiedział, żem go broniła... Trzeba być bardzo ostrożną... bardzo oględną.

Dano znać, iż pani Boliwina prosiła, by posłano po doktora. Zrobiło się zamieszanie, panie pobiegły do choréj... Przebyła ona atak nerwowy bardzo silny, a teraz głowa pękała jéj z bólu, lekarz zaś zabronił częstego użycia antypiryny.

— Musisz jechać do morza — jęczała pani Solska.

— Jakże ja mogę jechać... to nad moje siły... nie mogę chodzić po upale, a nad morzem wiecznie na otwartém słońcu się chodzi... To zanadto męczące dla mnie... Sama nie pojadę... Chyba Irenka...

Pani Solska spojrzała na Irenę, jakby chciała powiedzieć: „a co? nie mówiłam?“

— Ja jechać nie mogę — rzekła spokojnie Irena — ale możemy ci znaleźć kogoś... może panna Józefa zgodziła-by się...

— Otóż to! Panna Józefa! Czemu nie wuj Zubecki? Chciałabyś mi dobrać najnudniejsze towarzystwo! Pojadę z tobą, albo nie pojadę wcale!

— Jaka jest dobra przyczyna do tego, bym ja ci towarzyszyła, nie kto inny? — zapytała gwałtownie Irena. — Może jechać mama, może jechać Cesia!

— Mama, w swoim wieku, sama w podróży potrzebuje opieki... Cesia dziecko!

— Nie mogę jechać! Żądaj ode mnie wszelkiéj innéj ofiary... teraz jechać nie mogę!

— Gdybyś tylko skinęła, Eugeniusz pojechał-by za tobą.

— Nie chcę skinieniem mojém szafować... może-by pojechał, ale ja nie chcę... nie mogę... nie mogę!

— Tak, zostaje mi już tylko wuj Zubecki — jęczała Amelia. — Ten-by mnie zamęczył i był-by przynajmniéj raz koniec ze wszystkiém... koniec z życiem! Między wspomnieniem pana Boliwy, a wujem Zubeckim, wiodła-bym chwile rozkoszne! Gdzie Wacio?

Rozglądała się niespokojnie, jak-by tysiące zbirów czyhały na Wacia.

— Jest Wacio... tu niedaleko... mogła-byś go widzieć z okna...

— Otwórz okno... zawołaj na Noireta... niech mi przyprowadzi Wacia...

Niezadługo do pokoju wtoczył się wózek, za którym szedł Noiret. W wózku siedziało mizerne, blade, skulone dziecię, z głową nieproporcyonalnie wielką, pochyloną na jeden bok. Gdyby nie jakiś smutny wyraz starości i cierpienia, dziecię to bardzo ładném nazwać-by można. Wiek jego z pozoru trudno było określić. Widziało się odrazu istotę bez jutra, skazaną na mniéj lub więcéj długie dogorywanie, budzącą litość i sympatyę. Wacio uwielbiał matkę. Było dla niego jedno szczęście na świecie — być przy Amelii. Ukrywano przed nim nieszczęśliwą historyę niezgody rodziców, on wszakże albo coś od służby zasłyszał, albo coś przeczuwał, bo o ojca nie pytał nigdy. Odsuwano téż od niego wszystko, coby go przestraszać lub niepokoić

mogło, jednak biedne dziecko często, jak matka, oglądało się z trwogą wkoło siebie. Wiecznie się czegoś lękało, przed czémś drżało i tylko przy matce czuło się bezpieczném. Wyraz niezmiernego szczęścia rozlewał się zawsze na twarzy Wacia, ile razy się do niéj zbliżał; wszyscy byli pewni, że rozłączenie z nią przypłacił-by życiem.

— Ciepło dziś, pogodnie — mówiła Amelia, głaszcząc chudą, malutką, przezroczystą rękę syna — dobrze ci w ogrodzie... na słońcu... Takie śliczne kwiaty... Zrobisz dla mnie bukiet... nawet kilka bukietów... Dwa niewielkie na moje biurko i jeden do salonu.

— Zrobię mamo... pan Noiret podprowadza wózek pod akacye, podwozi mnie pod klomby i ja sam zrywam... Ciocia Cesia pomaga mi układać bukiety, bo ja tak nic nie umiem...

— Umiesz doskonale. Mnie najmilsze te, które sam ułożysz... Jedź, kochanie, do ogrodu... Chciałam cię tylko uściskać... jak doktor przyjedzie, to cię każę zawołać.

Wywieziono Wacia. Amelia kochała go szalenie, ale ją jego obecność rozdrażniała. Udawanie wesołości i spokoju, gdy jego widok rodził ból i smutek, męczyło biedną kobietę.

— Co to będzie z nim za kłopot w podróży — mówiła, ściskając w dłoniach głowę, która bolała ją coraz bardziéj.

Pani Solska i Irena dały sobie znak porozumienia i wyszły, widząc, że rozmowa pogorsza niezdrowie Amelii.

Zofia Kowerska.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teorya a praktyka w wychowaniu.

(**M. Guyau**: *Wychowanie i dziedziczność.* Studyum socyalne. Przełożył J. K. Potocki. Warszawa 1890. — **B. Perez:** *Psychologia dziecka.* I. Trzy pierwsze lata życia dziecka. Przeklad z 4 wydania Maryi Dzierżanowskiéj. Warszawa 1890.— **Ferd. Nicolay:** *Dzieci źle wychowane.* Przerobił E. Lubowski. Warszawa 1890).

Ciekawy to a zastanawiający objaw, że na schyłku wieku bieżącego poczynamy się równie gorąco zajmować sprawami wychowania, jak na schyłku w. XVIII. Nie tylko pedagogowie z zawodu a rodzice z potrzeby, ale nawet rządy i sejmy roztrząsają kwestye nauki szkolnéj i rozwoju fizycznego młodzieży; a z wysokości tronu padają ciężkie zarzuty względem przeciążenia i fizycznego zaniedbania szkole powierzonych dzieci. Więc przez stosowne ćwiczenia ciała i zabawy, przez hygieniczne urządzenie zakładów naukowych, podnieść zdrowie uczniów, a przez rewizyę planu naukowego, a ewentualnie przez odrzucenie lub skoncentrowanie nauki języków klasycznych, zyskać czas na naukę języków nowożytnych, z równoczesném zniżeniem ogólnéj liczby godzin—oto hasła, pod któremi się dzisiaj toczy walka na polu wychowania i nauczania.

Przyczyny tego ruchu wcale nie tajne. Z jednej strony rozwój fizyologii i psychologii, z drugiéj postęp nauk przyrodniczych i ich wpływ na wszelkie gałęzie wiedzy; z jednéj strony teorya wychowa-

nia, z drugiej praktyczne życia potrzeby i jego ideały, zmuszają nas do zastanawiania się nad tém, jakby młode pokolenie uczynić zdolném do osiągnięcia celu życia z możliwie najmniejszym wysiłkiem i utratą sił żywotnych. I wtedy prawie bezwiednie zwraca się myśl nasza do wychowania, owego czynnika potężnego, któremu Kant przypisuje tajemnicę doskonalenia ludzkiéj natury, a który Plato po prostu „boskim“ nazywa.

Jestże wychowanie tą potęgą, która człowieka uszlachetnia i czyni prawdziwym człowiekiem? Czyż niezawodnie od wychowania zależy dobro społeczeństw i narodów, a szczęście jednostek? Jestże wychowanie wszystkiém i wszystkie zagadnienia życia rozwiązującą wyrocznią? Nie dając się unosić idealnéj teoryi, spojrzyjmy na praktykę życia. Iluż-to ludzi dobrze wychowanych nie osiągnęło ideału, przez wychowawców wskazanego, a ilu bez wskazówek, wśród trudów i przeszkód, wzniosło się ponad pospolity poziom. Ale te fakta nie ubliżają teoryi, a teorya nie zawsze mija się z praktyką — prawda po środku leżéć zwykła. Teorya powinna stawiać cele, praktyka wyszukiwać najprostsze drogi i wskazywać przeszkody i zawady, na nich napotykane; teorya powinna badać wpływ otoczenia, praktyka nadawać mu właściwe i odpowiednie formy; teorya stawiać zasady dziedziczności, praktyka je utrwalać i stosować. W tym wzajemnym stosunku jednéj do drugiéj leży umiejętny charakter nowoczesnéj pedagogii, z któréj trzy wyżej przytoczone dzieła dostarczają nam materyału do niniejszej rozprawki.

1. Kwestya dziedziczności.

Nie może być dla wychowawcy rzeczą obojętną, jaki jest stan duszy nowo narodzonego dziecięcia. Stojąc na stanowisku biblijném, musielibyśmy przyjąć, że dziecię, rodząc się w grzechu pierworodnym, rodzi się złém, a przynajmniéj do wszystkiego złego skłonném; idąc za teoryą starożytnych, uważalibyśmy duszę jego za białą kartę, na której świat dobre lub złe zapisuje pojęcia i w ten sposób nadaje życiu kierunek; hołdując nowszym teoryom, przenosilibyśmy z pokolenia na pokolenie drogą dziedziczności wszystko złe i dobre i dochodzili do kastowości i przywilejów „dobrze urodzonych“.... W pierwszym i drugim razie zadanie wychowania polegało-by na ustawicznem „wykorzenianiu“ złego, stosownie do owéj przypowieści o naginaniu drzewka, lub na malowaniu pięknych obrazków na białej duszy wychowanka,—rola wychowania była-by pierwszorzędną; wobec dziedziczności wychowanie było-by bezsilne.

Nie tykając spraw wiary, przypatrzmy się, jak nowa psychologia, głównie na mocy obserwacyi i eksperymentu, przedstawia stan duszy noworodka.

Otóż podług *Pereza*—a o niego nam tu chodzi przedewszystkiém,—„na dość długo przed urodzeniem jeszcze dziecko zapoznało się już z bólem i zadowoleniem fizycznem“, a więc doznaje już pewnych uczuć, zawisłych od zmysłu dotykania. Pierwsze zetknięcie się ze światem jest znowu bardzo bolesném dla niego doświadczeniem. „Niespodziewane wrażenia uderzają raz po raz o wszystkie zmysły dziecka, które słabym płaczem zdaje się świadczyć, że je boleśnie odczuwa.“ Od pierwszej chwili życia na świecie „musi dziecię rozpocząć walkę o byt.“ „Pragnienie, głód, zimno, ból, oddychaniem i trawieniem spowodowany, cierpienie z dotyku i z ruchu mięśni wynikające, przykre podrażnienia narządów wzroku i słuchu dokuczają mu, ilekroć się ocknie z głębokiego uśpienia. Wszystkie te mniéj lub więcej silne i świadome wrażenia wystawiają na bolesną próbę *niewydoskonalone jeszcze* i delikatne jego narządy.“ [1]) Skoro tedy wszystkie zmysły są niedoskonałe, a nawet zmysł smaku jest początkowo bierny i tępy, bo zlewa się w jedno z instynktem żywienia się,—*można tedy mówić o pewnych własnościach psychicznych tylko w zarodku, które, stosownie do otaczającego je świata, albo rozwinąć się, albo zaniknąć mogą.*

Nie da się natomiast zaprzeczyć, że noworodek przynosi z sobą instynkty karmienia się i spania, które o tyle za wrodzone uważać należy, o ile każdy instynkt jest skłonnością, „jest nieświadomie przez przodków nabytém doświadczeniem, które z większą świadomością i samodzielnością łączy się z osobiście przez potomków nabytém doświadczeniem“. [2]) Z uczuć wcześnie bardzo występuje na jaw zadowolenie, wskutek zmysłu smaku doznane, a obok niego prawie instyktowne uczucie bojaźni, które często bywa dziedziczne, określane przez niektórych jako instynkt samozachowawczy. Jest ono istotnie wynikiem doświadczenia przodków i jest ochroną przed rzeczywistemi, z osobistego doświadczenia nieznanemi, niebezpieczeństwami; bezpośrednim zaś zmysłem, który na jego rozwój wpływa, może być tylko zmysł słuchu. Do téj saméj kategoryi wrodzonych uczuć należy policzyć popędliwość, płynącą z pobudek samozachowawczości i będącą niejako bronią odporną przeciwko wszystkiemu, co niemiłe; pociąg do zwierząt, w których dziecko widzi niewyraźne odbicie własnéj osoby, i pewna doza zazdrości, wynikająca z chęci posiadania [3]).

---

[1]) *Perez* w dziele cytowaném w tytule, str. 7—11 (passim).

[2]) *Perez* w dz. przyt. str. 55.

[3]) *Perez* w dz. przyt. str. 76—103

Mniéj jasno przedstawia się wpływ dziedziczności na rozwój mowy. „Że ustawiczne używanie mowy i ustrojowość narządów duchowych może przechodzić z pokolenia na pokolenie, jest równie prawdopodobném, jak to, że dziedzicznym bywa charakter pisma, zależny po części od ukształcenia ręki a po części od usposobienia umysłu; wiadomo zaś, że charakter pisma jest cechą, ulegającą prawu dziedziczności.“ [1]) Dziedziczność ta nie może się jednak rozwinąć bez wpływu otoczenia, jak o tém świadczą przykłady dzieci, wychowanych w miejscach odludnych, a nawet nie musi być potężną, skoro niemi od urodzenia nie są anomalią. Wreszcie uważa Perez za wrodzoną do pewnego stopnia wadę wyśmiewania przez naśladownictwo, chęć przypodobania się, delikatność uczuć, a nawet i zmysł moralny, który jednak najłatwiéj ulega zmianie pod wpływem najbliższego otoczenia.

Nie wiele odmienne co do stopnia dziedziczności są poglądy *Guyau*; różnica leży w sposobie obserwacyi i stanowisku pisarza. Opierając się na wpływie poddawania (suggestyi), przez którą można drugiej osobie poddawać czucia, a nawet wyobrażenia, czynne chęci i uczucia, idzie Guyau jeszcze daléj i nie wątpi, że w podobny sposób można wytwarzać prawdziwe instynkty i instynkty moralne. Dla Guyau „stan dziecka w chwili przyjścia na świat daje się mniéj lub więcéj porównać ze stanem zahypnotyzowanego; („Taki sam tutaj brak wyobrażeń, czyli „bezwyobrażność (aideizm), takież panowanie jednego tylko wyobrażenia, czyli „jednowyobrażność“ (monoideizm)“ [2]) a które, „zorganizowane należycie i kierowane, może oczywiście sprzyjać skutkom dziedziczności, albo też je hamować“. Hołdując potędze wychowania, nie przeczy jednak dziedziczności, ale dziedziczności fizycznéj, a poniekąd i intellektualnéj; uważa ją jednak za nic innego, jak tylko za „nabyte nałogi, czyli działanie nagromadzone“. „Każdy osobnik, za sprawą szeregu działań, stanowiących wątek jego życia, a koordynujących się ostatecznie dla jego potomków w dziedziczne nałogi, znieprawia albo umoralnia potomstwo swoje, podobnie jak sam umoralnionym był, albo znieprawionym przez przodków własnych“ [3]). „Dziedziczność.... nic nie stwarza; utrwala ona i gromadzi pewne przymioty, które nawet nabytemi niekiedy bywały właśnie przez owo wychowanie w znaczeniu szerszém.“ [4])

Polemizując z Ribotem,[5]) który dziedziczność rozciąga na wszystkie dziedziny ducha, twierdzi Guyau stanowczo, że ona „wystarczyć

[1]) Perez str. 309—310.
[2]) Guyau, Wychow. i dziedz. str. 46.
[3]) Guyau, Wych. i dziedz. str. 75.
[4]) Guyau, w dz. przyt. str. 150.
[5]) Dziedziczność psychologiczna. Warszawa 1884.

może do wytworzenia geniuszu, lecz nie wystarczy nigdy do wytworzenia prawdziwej moralności"; uznaje jednak za pewne, że „istnieją *skłonności* dziedziczne, tak moralne, jak niemoralne", że przeto „dziedziczność ma również *niejakie* znaczenie w sprawie powstawania zmysłu moralnego". Ale godzić się na pewne quantum, a odnosić wszystko do jednéj przyczyny, to wielka różnica. Idąc śladem rozumowań Ribota, musielibyśmy się zgodzić na to, że się rodzimy cnotliwymi dziedzicznie, że więc zbrodniarze płodzą zbrodniarzy, a pobożni lub skeptycy—pobożnych lub skeptyków. Zasada „ausrotten!" była-by tu w pełném prawie—i należało-by urządzić obławy, jak na dzikich Indyan!.... Wobec dylemmatu przeciwników dziedziczności, że albo dzieci nie są podobne do rodziców, a w takim razie niéma mowy o dziedziczności, albo są podobne, a wtedy jedyną przyczyną jest wychowanie (właściwie powinno-by być: a wtedy uznać trzeba dziedziczność), zachowuje Guyau stanowisko pośrednie i widzi w nim potwierdzenie, „że wpływ dziedziczności w bardzo wielu wypadkach nie daje się również wykazać, i że najczęściéj niepodobieństwem jest dokonać sprawiedliwego podziału pomiędzy dwoma temi wpływami". „Wychowanie—mówi na inném miejscu—posiada moc ogromną w sprawie rozwijania w nas owéj skłonności wspierającéj, owego ustawicznego sursum corda; dziedziczność przelewa usposobienie do łagodności, uprzejmości, tak samo, jak przekazuje usposobienia gwałtowne i brutalne." [1]) „Geniusz nie może być wytworem wychowania, ale też wychowanie nie żywi uroszczeń do nadawania geniuszu; ono go tylko rozwija, wprowadza w czyn,—może zaś wytworzyć talent" [2]).

Nicolay [3]) kwestyą dziedziczności nie zajmuje się szczegółowo, ale, potrącając o nią mimochodem, mniéj więcéj stoi na stanowisku Guyau. Dziedziczność określa, jako „skłonność natury do wytworzenia w dziecku pewnych cech charakterystycznych, właściwych organizacyi rodzicielskiéj", a dzieląc ją na fizyczną i moralną, dopatruje się jéj w pierwszym razie w rysach, w chodzie, w głosie, pewnych szczegółach w postawie, w drugim—w namiętnościach, jak gniew, trwożliwość, zazdrość, zawiść, chęć do rozpusty, upijania się, które odziedziczyć można po rodzicach. Czasami podobieństwa omijają jedno lub dwa pokolenia; stopnia przewagi wpływu ojca czy matki dotąd nie zbadano [4]).

Ale „dziecię jest wynikiem nie tylko samych rodziców, ale i przodków dalszych całego rodu"; oprócz dziedziczności bezpośredniéj,

---

[1]) Guyau, str. 156 i 157.
[2]) Guyau, str. 153.
[3]) Dzieci źle wychowane.
[4]) Nicolay, str. 399 i 400.

należy, zdaniem p. N., uwzględnić i atawizm. „Każda rasa, każda rodzina przelewa na dziecko jakieś swe właściwości, a dwa te wpływy walczą z sobą dopóty, dopóki jeden z nich nie zwycięży, ustalając charakterystycznie cechy ogólne i trwałe“ [1]). W ten sposób rozszerzając prawo dziedziczności na dalekie pokolenia, osłabia Nicolay istotny wpływ jego i, pomimo przykładów, w powyższém miejscu przytoczonych, nie zdaje się być zwolennikiem absolutyzmu dziedzicznego p. Ribota. Dowód na to znajdujemy w inném miejscu, gdzie czytamy: „Nie zapoznaję też oryginalności i szczególności pewnych charakterów, ale sądzę, że *wychowanie może odnieść zwycięzstwo* nad skłonnościami wrodzonemi, pod warunkiem, iż rodzice zajmują się dzieckiem od pierwszéj chwili“ [2]). Dlatego-to przestrzega przed teoryami „dzieci niepoprawnych“, z natury złych; bo gdyby podobne teorye były prawdziwe, „potrzeba-by logicznie zaprzeczyć moralności i odpowiedzialności człowieka. Człowiek byłby w takim razie ślepém narzędziem natury złéj i ofiarą ciężącéj nad nim fatalności...“ [3]).

Oto w ogólnym zarysie teorya dziedziczności, jak ją powyżéj wymienieni trzej autorowie pojmują. Można tedy na podstawie ich badań i wniosków uważać za rzecz pewną, że dziecię nowonarodzone przynosi z sobą duszę całkowitą, lecz w stanie zarodkowym, ze znamionami atawizmu i dziedziczności, których rozwój lub stłumienie leży w mocy wychowania. Szczególniéj występują na jaw zaraz w pierwszych chwilach życia pewne skłonności, świadczące o jakości temperamentu, i niektóre uczucia, w ścisłym zostające związku ze zmysłami. Do tych-to właściwości należy odnosić z dawna utarte wyrażenia i przysłowia: „wyrodek,“ „takie się to wyrodziło“ „nie urodzi sowa sokoła“, „niedaleko pada jabłko od jabłoni“, „jakie drzewo taki klin“ i t. p. o ile, naturalnie, nie stosuje się ich do postaci fizycznéj. W ogólności jednak za mało się w praktyce zastanawiamy nad sprawą dziedziczności, a nawet z faktów w oczy bijących rzadko korzystać umiemy.

---

[1]) Nicolay str. 401.

[2]) Nicolay str. 199.

[3]) Nicolay, str. 140.—N. porusza jeszcze (na str. 402 n.) sprawę pokrewieństwa w małżeństwach, wykazując statystycznie szkody, wynikające stąd dla potomstwa. Kwestyę tę pomijamy, jako za daleko leżącą od naszego celu.

2. Wpływ otoczenia.

Jasny a przeto zupełnie zrozumiały jest wpływ, jaki na zdrowie dziecięcia wywiera otoczenie, a więc z jednéj strony mieszkanie, z drugiéj osoby, niém się zajmujące i dostarczające mu pożywienia. Hygiena mieszkań i dyetyka dziecięca nie wchodzą jednak w zakres dzieł, z których sprawę zdajemy, i dlatego dłużéj nad niemi zatrzymywać się nie będziemy; ale że jednę z kwestyi tego rodzaju omawia Guyau, i że ona stanowi dziś przedmiot wszechstronnych pedagogicznych badań, pominąć jéj milczeniem nie możemy. Chodzi o *wartość wychowawczą swobodnego ruchu na świeżém powietrzu.*

Do niedawna uważano gimnastykę szwedzką, a tém bardziéj ćwiczenia gimnastyczne w salach, ku temu celowi urządzonych, za dodostateczny środek rozwoju sił fizycznych młodzieży, do pracy umysłowéj przeznaczonéj. Przekonano się jednak rychło, że środek ten jest przynajmniéj niewystarczający, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o zachowanie niezbędnéj równowagi między wykształceniem fizycznem a umysłowém. „Przeciążanie pracą umysłową—mówi Guyau—nużąc ciało, może zakłócić równowagę nawet umysłu". „Niekiedy cierpi na tém przeważnie serce: częste palpitacye, tętno słabe, zmniejszenie się liczby uderzeń do 72, 50 a nawet niżej. Czasem znów najwięcéj cierpi żołądek, okazuje się niestrawność, obrzydzająca życie, a którą wyleczyć można z biegiem czasu... Prawie zawsze sen bywa krótki i przerywany, pospolicie téż spostrzega się pewien upadek ducha" [1]). Rozpatrując następnie wszystkie trzy rodzaje ćwiczeń fizycznych najgłośniejszych: gimnastykę szwedzką, niemiecką i sport angielski, przypisuje Guyan ostatniemu z pewnemi modyfikacyami największą wartość, bo pozwala swobodnie na wolném powietrzu oddawać się młodzieży grom i zabawom, w które wchodzi częściowo i gimnastyka szwedzka i niemiecka. Również i praca ręczna („slöjd" szwedzkie) miewa donośne skutki hygieniczne; zbawienne zaś pod wielu względami, przedewszystkiém dla dzieci miejskich, t. zw. kolonie wakacyjne, zwłaszcza jeżeli pobyt w nich połączony jest z wycieczkami w góry. „Ideałem jest jak najczęstsze zespalanie zabawy z pracą, rekreacyi z nauczaniem" [2]).

W praktyce spotykamy się pod względem wychowania fizycznego z dziwnemi nieraz przesądami i uprzedzeniami. Przedewszyst-

---

[1]) Guyau w dr. przyt. str. 188 i 189,

[2]) Guyau str. 213.

kiém utylitaryzm, rozciągający się dzisiaj na wszystkie dziedziny wychowania, nie widzi *dotykalnych* korzyści w ćwiczeniach fizycznych. Zdrowy nie uzyska wcześniéj stanowiska, niż słabowity, ani zręczny nie będzie rychléj awansował w urzędzie; więc na co to wszystko? lepiéj niech się uczy, aby prędzéj osiągnął patent dojrzałości. Są nawet takie matki (raczéj macochy!) dla których przesiadywanie dzieci po 5 godzin w ciasnych i dusznych izbach szkolnych jeszcze jest za krótkie, a ślęczenie dziecka 8 lub 10-letniego nad książką przez cały wieczór jedynym ideałem i szczęściem. Każde wyrywanie się dziecka na wolne powietrze, każdy zamiar zabawy karcony bywa surowo, i kończy się zawsze rozkazem bezczasownikowym: „A do książki!“ A przecież dom tylko i nie kto inny może i powinien się zająć rzetelnie wychowaniem fizycznem. Dopóki dziecię nie uczęszcza do szkoły, należy to wychowanie wyłącznie do rodziny, a potém w znacznéj części; to znaczy, że na rodzinie ciąży wielki obowiązek wypełnienia tego zadania, którego szkoła wypełnić nie może. Jeżeli rodzina obowiązki swe względem wychowanka przelewa na jakich zastępców, powinna im obowiązek kształcenia fizycznego położyć na pierwszém miejscu i uważać go za kardynalny warunek. Pensyonaty czy internaty, uważające uzyskanie stopnia przez elewa za wyłączny i najwyższy swój cel, bez względu na wychowanie fizyczne i moralne, nie spełniają swego obowiązku, ale owszem szkodę przynoszą rodzinie i społeczeństwu. Przy dotychczasowym systemie zaniedbania zupełnego, tak ze strony domu, jak i szkoły, względu na fizyczne wychowanie, mogły-by pokolenia następne dojść do zupełnego zwyrodnienia, a słabsze rasy do zagłady. Dlatego-to wszelką szkodę, dobrowolnie wyrządzoną zdrowiu, należy uważać za „grzech fizyczny“.

Razem prawie z wychowaniem fizycznem postępuje *wychowanie moralne*. Zgodziliśmy się na to powyżéj, że dziecię przynosi na świat z sobą duszę całkowitą, chociaż w stanie zarodkowym; słuszna tedy aby, równocześnie z podjęciem starań o fizyczne życie téj istoty, podejmowano starania o moralny rozwój duchowéj połowy. Ideałem wychowawcy musi być wytworzenie charakteru moralnego na gruncie religijnym; jego składniki—to wyobrażenia i uczucia, rodzące silną wolę. Obok przymiotów osobistych, jak skromność, prawdomówność, czystość moralna, poczucie honoru i poczucie obowiązku, należy rozwijać w wychowanku przymioty towarzyskie, jak grzeczność, zgodność, sprawiedliwość i współczucie, które jedynie mogą równoważyć egoistyczne popędy. Słusznie mówi Guyau: „Ponieważ człowiek stworzony jest tak, iżby żył pomiędzy ludźmi, przeto nie powinniśmy nigdy ustawać w kształtowaniu dziecka do życia towarzyskiego, w przeciwważeniu jego najpierwéj wykwitających popędów samolubnych,

przez rozwijanie w nim altruistycznych i społecznych popędów, jakie z czasem odegrają tak znaczną rolę nawet w jego życiu osobowém“[1]) „Wychowanie polega na pielęgnowaniu tego ciążenia ku innym, nie zaś ciążenia dokoła samego siebie. Uczy nas ono znajdować radość w radości innych, a w ten sposób dokonywać wyboru pomiędzy naszemi uciechami, przekładać radości najwznioślejsze i najbardziéj nieosobiste, a tém samém takie, które ogarniają okres najdłuższy, jak gdyby wieczność całą“ [2]).

Pomiędzy środkami, prowadzącemi do tego celu, najpotężniejsze bezsprzecznie i stanowcze są: wpływ otoczenia i potęga przykładu. „Jeżeli prawdą bywa, że na wychowanie składają się także wszystkie wyrazy, które dochodzą do uszu, wszystkie myśli, podsunięte umysłowi, wszystkie przykłady, widziane na własne oczy, i wszystkie nareszcie czyny tego życia; to jakiegoż znaczenia muszą być dla nas zasady tych, których codzienna obecność wywiera na dziecko wpływ niezmierny i nie dający się zatrzéć“ [3]). Istotnie „obcowanie z rodzicami, których się szanuje, z nauczycielem, z jakimkolwiek zwierzchnikiem, musi stwarzać poddawania, których skutki rozciągają się późniéj na całe życie“ [4]). „Wpływ, przez wychowawców wywierany, nigdy, ani ilością, ani jakością swą, nie pozostanie obojętnym dla sprawy rozwoju wszelakich instynktów, przejawiających się w wychowańcach“ [5]). „Wszystkie poddawane im myśli jawią się przed niemi (dziećmi) w dotykalnéj postaci i natychmiast téż biorą się one do naśladowania ich, lub téż do wprowadzania w czyn. To właśnie tłómaczy nam *wszechmocny wpływ przykładu* na te słabiutkie umysły, oraz i wszechmocne przejmowanie uczuć, wyrażonych bądź to słowami bądź ruchami. Fizycznie, umysłowo i moralnie ulega dziecko myślom, poddawanym mu tak przez osoby, jak i przez rzeczy, stanowiące zwykłe jego otoczenie; ulega im tak samo, jak magnetyzowany ulega magnetyzerowi, chociaż w mniejszym stopniu i nie tak nieprzerwanie. Prawdziwy to automat, który po większéj części, świadomie lub nieświadomie, z mniéj lub więcéj zupełną uległością, posłuszny bywa silnemu wpływowi obrazów, okazanych mu, wywołanych lub narzuconych“ [6]):

Wobec tego nie trudno ocenić, jakie zadanie przypada w udziale rodzicom, a zwłaszcza matce. Od pierwszych pieszczot i pierw-

---

[1]) Guyau str. 223.
[2]) Guyau str. 131.
[3]) Nicolay „Dzieci źle wych.“ str. 106.
[4]) Guyau str. 36.
[5]) Perez str. 61.
[6]) Perez str. 211.

szego słowa, do chwili, kiedy pojmującemu już niemowlęciu powie: „a fe! to brzydko!“, lub „tak cacanie“, albo później wytłómaczyć musi po swojemu, dlaczego tego nie wolno a to wolno — wpływ matki jest potężny, bo prawie wyłączny. *Od niego też zależy w zupełności moralna wartość przyszłego człowieka-obywatela;* on chlubić się będzie później w życiu, że „to z piersi matki wyssał“, a między wspomnieniami chwile roskosznych dziecinnych pieszczot pozostaną mu na zawsze niegasnącemi gwiazdkami. A ten przywiléj matek „przychylania nieba“ swym dzieciom nakłada zarazem na nie ciężkie obowiązki, o których, niestety, nie zawsze wiedzą, albo wiedzieć nie chcą. „Istnieją zasady dresury dla koni i psów, hodowli dla bydła. Tworzą one niejako kodeks, a tylko gdy chodzi o zrobienie z dziecka człowieka, zdaje się każdemu, że posiadł przez intuicyę tę sztukę, tak trudną i zagmatwaną... Wszystkiego się ludzie uczą, z wyjątkiem téj nauki, najtrudniejszéj ze wszystkich, a któréj ważność tak jest niezmierną!“ [1]). Możemy być zwolennikami t. zw. emancypacyi kobiet w duchu prawdziwie racyonalnym, ale właśnie dlatego nie możemy zapominać, że „kobieta ma w rodzinie rolę, od któréj nigdy wyłamać się nie będzie mogła: musi ona dokonać moralnego i fizycznego wychowania dzieci. Do téj-to właśnie czynności powinniśmy ją przygotować, jak należy. *Pedagogia praktyczna wraz z zawierającą się w niéj hygieną rodziny jest prawie jedyną nauką, niezbędną kobietom,* a właśnie jest to jedyna może, któréj się im nie wykłada“ [2]). Dodać-by do tego wypadało potrzebę znajomości psychologii dziecka, jako gruntu postępowania pedagogicznego, jako téj nauki, która wykazuje siłę pierwszych przyzwyczajeń, pierwszych zarodów uczuć religijnych i moralnych, objawiających się w poczuciu porządku, skromności, grzeczności i współczuciu.

Która z matek jednak spełnia swe obowiązki wychowawcze w sposób zgodny z psychologią i pedagogią, która nawet ma o tych obowiązkach właściwe pojęcie? Nie chcąc brać przykładów z życia— bo nie to obecnie naszém zadaniem—musielibyśmy w znacznéj części przepisać tu książkę p. Nicolay'a, aby bez uprzedzeń i pesymizmu przykładami złe wskazać. Zaznaczyć tu tylko musimy coraz więcéj rozpowszechniającą się fatalną w skutkach modę oddawania niemowląt mamkom przez matki zdrowe i do karmienia sposobne, a po odkarmieniu—bonom dla wychowania! Kiedy się o tém myśli, mimowolnie przychodzi na myśl kukułka... A przecież „jedynie kobieta, głęboko poważna i moralna, może leczyć rany naszego czasu, przero-

[1]) Nicolay str. 141 i 142.
[2]) Guyau str. 356.

bić wychowanie mężczyzny, rozbudzić w nim zamiłowanie dobra i piękna. Do tego potrzeba znowu wziąć się do dziecka, nie powierzać go rękom najemnym, i rozłączać się z niém tylko na czas godzin, przeznaczonych na nauczanie szkolne“ [1]).

Wpływ ojca na pierwiastkowe wychowanie, jest nieporównanie mniejszy, zwłaszcza w wychowaniu córki; co do syna zaś, można-by z pewném prawdopodobieństwem orzéc, że w miarę słabnięcia wpływu matki rośnie wpływ ojca. Są jednak przecież pewne wspólne miejsca, na których wpływ obojga rodziców jest równy i zawsze znaczny, i tam to potrzeba przedewszystkiém zgody i harmonii w działaniu. Oto nie może np. matka przyobiecać a ojciec nie dotrzymać, ojciec ukarać a matka popieścić, ojciec rozkazywać a matka wykonaniu przeszkadzać,—bo bez harmonii w działaniu i bez konsekwencyi wychowa się cudaka, ale nie człowieka. „To też ze wszystkich błędów, jakie popełniać można w wychowaniu, najgorszym jest niekonsekwencya.., Matka słaba, grożąca często a działającą rzadko—powiada Spencer—stanowiąca pospiesznie prawa i żałująca tego później, okazująca się względem tego samego błędu już to łagodną, już to surową, stosownie do przelotnego usposobienia swego, gotuje przykrości tysiączne dla siebie saméj i dla dziecka. Czyni ona siebie godną pogardy w jego oczach. Gdyby-to o tém rodzice przynajmniéj w większości wypadków pamiętać chcieli!

W podobnych warunkach najmniéj można się spodziewać wyrobienia posłuszeństwa u wychowanka. Dlaczegoż miał-by on słuchać ojca, skoro mu matka na wszystko pozwoli? dlaczegoż miał-by się ograniczać w zachciankach, skoro je wszystkie matka zadowolni? Guyau uważa posłuszeństwo „za wynik poddawania zwycięskiego“, zwłaszcza tych temperamentów, które wiele i stanowczo twierdzić umieją, czyli słowem usposobień energicznych, silnych. Téj siły nieraz brak zupełny rodzicom, i wtedy dopiero spostrzegają skutki téj słabości, kiedy już o naprawie trudno myśléć. „Jeżeli się dzieciaka nie weźmie w karby, gdy ma lat trzy lub cztery, to prawie rzecz pewna, że się do tego nie dojdzie już nigdy. Posłuszeństwo bowiem jest tak samo przyzwyczajeniem, jak ciekawość.“ [3])

Jakim sposobem to osiągnąć—podają zgodne rady psychologowie-pedagodzy. Oprócz przyzwyczajania do dobrego z nieubłaganą konsekwencyą, należy najpierw używać środków zapobiegawczych a potém zaradczych; starać się najpierw o to, aby niedopuścić do złego,

---

[1]) Guyau str. 167.
[2]) Guyau str, 66 (przypisek).
[3]) Nicolay str. 135.

bo złemu trudniéj zaradzić. Przestrzédz tu wypada przed zbytkiem łagodności lub surowości, bo jedno i drugie szkodzi. „Za pośrednictwem uczucia wychowa się może dzieci łagodne, przychlebne raczéj aniżeli przywiązane—i to jeszcze pod warunkiem, że się od nich wymaga tego tylko, co im na rękę... Przez użycie władzy wyrabia się synów pełnych uszanowania i ludzi pojmujących obowiązek. Z uczuciem udaje się czasami, z użyciem władzy daleko częściéj.“ [1]) Ale nadużycie władzy nie prowadzi również do celu. Zbyteczna surowość i pedagogia, oparta na ustawicznem strofowaniu i karaniu, wytwarza w wychowanku rzeczywisty upór i nieposłuszeństwo—a więc cel wręcz zamierzonemu przeciwny. „Spowszedniała to, a jednak często w praktyce zapominana prawda, że sprawiedliwością i dobrocią wszystko prawie z dzieckiem zrobić można. Będzie ono grzeczne, jeżeli ma do nas zaufanie; nie będzie szukało wymówek dla swoich przewinień, jeżeli wié, że sprawiają one przykrość rodzicom i że przykrość ta jest najnieprzyjemniejszém następstwem, jakie dla niego z przewinienia wyniknąć może. Zresztą nie należy nigdy dziecka łajać za winę, mimowolnie popełnioną.“ [2]) „Dzieci mają wrodzoną delikatność uczuć, któréj dobry wychowawca umiejętnie bodźca dodaje, a która u dzieci, najmniéj nawet nią obdarzonych, stanowi najlepszy środek pomocniczy i najużyteczniéj równoważy wszelkie środki przymusowe... Bierne posłuszeństwo albo obawa kary i połajania nie osiągnęły-by bez trudu podobnego rezultatu, który z taką łatwością otrzymać można, odwołując się do szlachetnych instynktów, człowiekowi wrodzonych.“ [3]) „Przypuszczać z góry dobroć i dobrą wolę“ — każe również i Guyau (str. 51), twierdząc, że „wszelkie wychowanie winno dążyć do tego celu: przekonać dziecko, iż jest ono zdolne do dobrego, oraz niezdolne do złego... i uważać je za tak dobre, jakby się je chciało widzieć. [4]) Natomiast ciągłe podejrzewanie przynosi najszkodliwsze owoce. „Częstokroć dość jest powiedzieć lub pozwolić mniemać dzieciom albo młodzieży, że się podejrzewa w nich takie lub inne przymioty lub wady, a będą one usiłowały usprawiedliwić to mniemanie.“ [5])

Po wyczerpaniu środków zapobiegawczych, posunąć się trzeba do przestróg, a wreszcie gróźb, po których już nieodwołalnie następuje kara. Groźba niespełniona jest pierwszą szkołą kłamstwa i osłabia stanowczo wpływ rodziców na dzieci; niespełniona obietnica oburza również wychowanka i odbiera mu wiarę w szczerość słów wy-

[1]) Nicolay str. 129.
[2]) Perèz str. 114.
[3]) Perez str. 372.
[4]) Guyau str. 48 i 50.
[5]) Guyau str. 49.

chowawcy. Niemniéj szkodliwie działa kara niesprawiedliwa, wymierzona w uniesieniu i powtarzana zbyt często. „Uczucie sprawiedliwości objawia się czasem u dziecka bardzo silnie, zwłaszcza w epoce, gdy potrafi już wyrazić dość jasno to, co czuje... Zresztą dzieci nienawidzą niesprawiedliwości, szczególnie zaś takiéj, którą im wyrządzono, lub którą za wyrządzoną sobie uważają; widzą w niéj tylko niezgodność pomiędzy przypadkowym a zwykłym sposobem obchodzenia się z niemi.“ [1]) To też kontrast między postępowaniem, kiedy się jest w dobrym humorze a w rozdrażnieniu lub w gniewie, uderza dzieci gwałtownie i niepokoi. Już samo gniewanie się wobec dzieci nietylko usposabia je do naśladownictwa, ale wzbudza obawę, czy nie nastąpi potém kara. „Rodzice nie mają się zdradzać z jakimś szorstkim gniewem wobec dziecka; w przeciwnym razie, biorąc z nich przykład, dziecko poczuje się upoważnioném samo do gniewania się i szorstkości. Rodzice mogą się oburzać na postępek zły lub niesprawiedliwy o tyle, o ile dziecko może działać źle albo niesprawiedliwie, ale nie powinni okazywać żadnéj gwałtowności.“ [2]) „Niech (dziecię) widzi i czuje, że rodzice z prawdziwym tylko żalem i z wielkim smutkiem burczą go (!) albo wymierzają mu karę, i niechaj karę tę, o ile możności, zatają przed wszystkimi, a będzie prawdziwie wzruszone... Tylko w ten sposób da się pogodzić podwójna rola: surowego sędziego i kochającego ojca.“ [3])

Kara traci swe znaczenie wychowawcze, jeżeli jest za częsta. „Wszelka kara, aby była skuteczną, musi być niezwykłą, wyjątkową, zachowywaną jedynie na wypadek jawnego nieposłuszeństwa. Ten-to właśnie charakter wyjątkowości czyni karę czémś strasznem i może zrobić z niéj potężny środek działania na umysł dziecka. Uczyńcie z waszych upomnień i chłost rzecz codzienną, a dziecko przyzwyczai się do nich, jak do lekarstw, i to kosztem swego charakteru... Kara powinna być tylko symbolem... Nie potrzeba też upominać dziecka raz po raz, albo wymierzać mu karę w odstępach czasu zbyt krótkich, bądź za takie samo wykroczenie, bądź za wykroczenie odmienne; w ten sposób bowiem stępia się moralny wpływ upomnienia i wytwarza się w dziecku nałóg być karanym (!), co jest już najgorszém... Należy tak oszczędzać się z napomnieniami, jak żołnierz powinien oszczędzać się pod względem (!) swych środków na wojnie. [4])

[1]) Perez str. 372 i 374.

[2]) Guyau str. 63.

[3]) Nicolay str. 96.

[4]) Musimy tu zwrócić uwagę Szan. Czytelników na niepoprawność stylistyczną przekładu, z którego czerpiemy, ale którego w cytatach zmieniać nie możemy. Z pomiędzy trzech dzieł rozbieranych, książka Nicolay'a jest najlepiéj po polsku oddana.

Napomnienie albo kara nigdy nie mogą wywrzéć swych skutków natychmiast. Potrzeba zostawić im czas pewien, aby mogły zająć właściwe miejsce w rzędzie zwykłych pobudek dziecka. Kara działa nie sama przez się, lecz o tyle, o ile przeobrazi się już w pamięci; czas jest czynnikiem rdzennym w wytwarzaniu się moralności dziecięcia, wychowawca téż, tak samo jak i przyroda, nie powinien postępować drogą przewrotu, lecz drogą prawidłowego rozwoju.“ [1])

Zupełnie zgodne są poglądy Nicolay'a. „Kary częste — mówi on—narażają na podwójne niebezpieczeństwo. Najpierw są za łagodne, bo kary zbyt surowe nie mogą następować bez wielkich szkód zbyt często po sobie; i powtarzają się za często, bo okazały się niedostatecznemi. I odtąd-to dzieciak, którego się burczy ciągle, żartuje sobie z kar drobnych, któremi mu grożą. „Nie umiera się od tego — mówi do siebie — więc niéma się i czego lękać.“ To téż się i nie lęka.“ [2]) „Zamiast grozić karami, zarówno licznemi jak nijakiemi, zamiast ganić ciągle, z regularnością remontoaru, zamiast wiecznie głosić kazania, lepiéj karać bardzo rzadko, ale bardzo surowo. Korzyść podwójna i niezaprzeczona. W istocie, karząc bez słabości, za pierwszą oznaką nieposłuszeństwa, natchnie się malca zbawiennym strachem. Z drugiéj wreszcie strony, strach ten, skuteczny już przez to, że słuszny, nakloni do posłuszeństwa, zwalniając na czas długi od uciekania się do innych środków. W ten sposób dziecię będzie żyło stale w spokoju rodzinnym.“ [3])

Godne uwagi są poglądy Guyau i Nicolay'a na karę chłosty cielesnéj. „Kara cielesna — mówi Guyau [4]) — odnośnie do dzieci bardzo młodych, może stanowić pierwiastek składowy uczucia władzy moralnéj, ale pierwiastek ten nie powinien mieć zbyt wielkiéj wagi, ani téż rozpościerać się nad innemi, gdyż inaczéj zmieni on uczucie moralnéj władzy, zastępując je tchórzliwą obawą, albo duchem buntu.“ „Zatém rózga zdaje się w zasadzie nieuniknioną, ilekroć dziecko, nieczułe na dyalektykę, opiera się i buntuje; nieuniknioną zwłaszcza wtedy, gdy nie ma ono jeszcze dosyć rozumu, ażeby zgłębiać uwagi ojcowskie... Konieczność ta istnieje, według mego zdania, *tylko w pierwszych latach dziecka i to w bardzo rzadkich wypadkach.*“ [5]) Nicolay, przechodząc historycznie od starożytności użycie chłosty, rzuca mimochodem uwagę lekarzy, że „gdy dzieciak znajduje się w napadzie gniewu, *wyjątkowa* ta kara działa zbawiennie, bo chłosta

[1]) Guyau str. 65 i 66.
[2]) Nicolay str. 168.
[3]) Nicolay str. 167 i 168.
[4]) str. 63.
[5]) Nicolay str. 183.

krew uderzającą do głowy odciąga na dół“ — i kończy: „Co do mnie, sądzę, że jeżeli chłosta potrzebną jest dla dziecka dwu lub trzechletniego, to jest *szkodliwą*, gdy dziecko ma lat dziesięć, a później *skandaliczną*...“ [1]) Tak tedy znany wierszyk elementarza: „Różdżką Duch św. dzieteczki bić radzi“ okazuje się w skutkach praktycznym środkiem po wszystkie czasy, a rozumna pedagogia nie gardzi nim w *wyjątkowych* razach i we właściwym wieku. W naszém stuleciu tyle już na ten temat napisano i tak poczciwą „różdżkę“ osławiono, że nietylko nauczyciela, używającego tego argumentu, ale nawet ojca uważa się za barbarzyńcę. Tymczasem chłosta, wymierzona bez obcych świadków, z zupełnym spokojem, a nawet z żalem, że się ją wymierzyć musi, dokonywa niekiedy z upartemi dziećmi prawdziwego cudu, bo odtąd ich posłuszeństwo względem rodziców staje się nieraz wzorowém. Ma to swoje uzasadnienie w tém, że dziecko ból fizyczny, choćby nie bardzo dotkliwy, uczuje żywo i pamięta o nim, moralnych zaś pobudek w tym wieku szukać u niego niepodobna.

Przez posłuszeństwo łatwo osiągnąć i rozwinąć inne przymioty, jak grzeczność, zgodność, poczucie porządku, prawdomówność, pilność; jednak to jeszcze nie wszystko. Współczucie, sprawiedliwość, skromność, honor i ambicya, o ile nie są wrodzone, innemi środkami rozwijać potrzeba. Tu zwłaszcza działa przykład samych rodziców. „Dziecko, przejmując od nas wszystko, dobre i złe zarówno, prędko téż przejmie tak sądy nasze, jak i sposób postępowania; nie należy jednak sądzić go podług tego, jak ocenia ono niektóre postępki i jak całkiem wypadkowo naśladować je będzie.“ [2]) „Gdyby rodzice wiedzieli, że są sami twórcami modły, wedle któréj kształtują się idee dziecka, to niezawodnie strzegli-by się zuchwałości pewnych twierdzeń, które się lekkomyślnie powtarza, tak sobie, w pogawędce, bez przywiązywania do nich wagi... Pierwsze te wskazówki staną się podstawą czynności intellektualnych a zarazem punktem oparcia dla dalszych indukcyi logicznych, rządzących umysłami.“ [3]) Zaraźliwość przykładu sprawia cuda albo klęski; jest równie silną, jak natura.“ [4])

Ale jak świecić przykładem, jeżeli się ma tyle złych przyzwyczajeń i nałogów, wprawdzie niezbyt szkodliwych, a przecież przeszkadzających konsekwentnemu wychowaniu? Jeżeli się uważa rodzinę za główne ognisko wychowania, niepodobna inaczéj, jak tylko zacząć od siebie. Nicolay nazywa to dowcipnie „wychowaniem rodziców przez

[1]) str. 192.
[2]) Perez str. 118.
[3]) Nicolay str. 119.
[4]) Nicolay 272.

dzieci“ i poświęca temu osobną Księgę XVII. Wskazuje najpierw na potrzebę przyzwoitego zachowania się i obejścia, jeżeli się chce, aby napomnienia ciągłe nie były bezowocne; przestrzega przed nieprzyzwoitemi wyrażeniami, przed plotkami i odczytywaniem głośném skandalów gazeciarskich, albo, co gorsza, przed pozwalaniem dzieciakowi, aby je czytał; wykazuje niemoralną siłę rzeźb i malowideł „dekoltowanych...“, zły wpływ przyjaciół domu i sług i t. p. Wreszcie w ustępie 10 mówi: „Ze wszystkich oddziaływań korzystnych, wywieranych na dzieci, niéma skuteczniejszych, jak dawanie dobrego przykładu. Chcąc nie chcąc, trzeba się krępować, wstrzymywać się od tego, co jest przyjemne, a nakładać na siebie to, co jest nieprzyjemne. Rodzice czują, że tak trzeba koniecznie. Jeżeli chodzi o wlanie dziecku w gardło niesmacznego lekarstwa..., trzeba najpierw skosztować samemu. Jeżeli chodzi o nauczenie go miarkowania się, cierpliwości, spokoju, trzeba się samemu miarkować; o zachęcanie go do pracy? najlepszym na to sposobem—pracować samemu.“

„Obowiązek nauczania, nie słowy, ale czynami, jest tak jasny i konieczny, że trzeba mu się poddać, choćby to było przykre i nudne. W tym sensie mógł wyrzéc Pascal, że udoskonalenie potomków zaczyna się od udoskonalenia rodziców. A tym ukrytym nauczycielem, dokończającym w ten sposób wychowania rodzicielskiego, nie jest kto inny, tylko dziecię.“ [1])

Jeżeli się o tych kardynalnych zasadach wychowania zapomina,— a dzieje się to, niestety, zbyt często! — nie trzeba się potém dziwić, że się z dzieci, zamiast pociechy, ma kłopoty, a niekiedy i wstyd. Smutki ojca, ani gorzkie łzy matki nie wynagrodzą późniéj tego, co, we wczesném dzieciństwie, z małém poświęceniem egoizmu, osiągnąć się dało-by łatwo. „Wizerunki dzieci źle wychowanych“, w Ks. I Nicolay'a umieszczone, nauczą każdego, do czego się dochodzi przez zaniedbanie najświętszych rodzicielskich obowiązków.

A cóż powiedzieć o rodzicach, którzy własnowolnie wyrzekają się wpływu na swe dzieci i, jak niemowlę nie z konieczności oddali w ręce mamki obcéj, tak dziecię i podrostka oddają w opiekę bonom i guwernantkom, albo nawet zupełnie go usuwają od ogniska domowego i oddają do pensyonatu lub internatu, znajdującego się w miejscu ich pobytu. Może to być wygodne: mieć tylko jedną troskę zapłacenia umówionéj kwoty i, o niczém więcéj nie myśląc, oddać się swym przyjemnościom; ale czy równie korzystne dla wychowanka? — to inne pytanie, na które dokładnéj odpowiedzi nie dają nam cytowane powyżéj dzieła. Nicolay, mówiąc o pensyonatach, uważa je w o-

[1]) Nicolay str. 462 i 463.

gólności za nieszczęście dla dziecka. „Życie w pensyonacie zmniejsza z każdym dniem działalność rodziców i to właśnie w wieku, w którym uczucia zaczynają się wytwarzać. Chcąc nie chcąc, dziecię przyzwyczaja się do obywania się bez rodziny, a gdy stamtąd wyjdzie, jedno tylko żywi życzenie: swobody jak największéj.“ [1])

Guyau uważa internaty za malum necessarium, dla rodziców jednak, którzy nie mieszkają w miejscu zakładu naukowego; wszelakoż przenosi nad niego opiekę domową i rodzinną, jakiéj przykłady widział Bréal w Niemczech, byle tylko domy opiekunów-wychowawców były do takiego podjęcia obowiązków usposobione i nie żądały wygórowanéj zapłaty. [2]) Wogólności zgodzić się trzeba na to, co mówi Nicolay, że „nauka w szkole, a wychowanie w domu — oto system mieszany, który wysławiać należy“ [3]); szkoda tylko, że dodać trzeba do tego dalszą uwagę tego autora: „jedynie rodziny zamożniejsze z téj szczęśliwéj kombinacyi korzystać mogą.“

„Nauka w szkole“ — czy tylko sama nauka? Jeżeli chcemy we właściwém świetle przedstawić sobie stosunek szkoły do domu i rozdział między nie wychowawczego zadania, to powiedzieć musimy, że w zasadzie wychowanie fizyczne należy wyłącznie do domu, wychowanie umysłowe, czyli lepiéj wykształcenie — do szkoły, wychowanie zaś moralne jest sferą, wchodzącą w zakres i domu, i szkoły. Używając porównania, wyobrażamy sobie zakres działania domu i szkoły, jako dwa koła ekscentryczne, których powierzchnie częściowo się pokrywają, i owo pole wspólne — to wychowanie moralne. Po za tém z jednéj strony stoi wykształcenie ciała właściwe domowi, z drugiéj wykształcenie umysłu właściwe szkole; nie wynika jednak stąd, jakoby szkoła nie miała popierać domu i ułatwiać mu zadania, a dom szkole.

W zakresie wychowania moralnego szkoła budować musi na podstawach przez dom danych; musi suponować karność, która dla niéj jest ważnym czynnikiem, i licząc na nią, posuwać dalszy rozwój władz moralnych we właściwym kierunku. Środkiem kształcenia charakteru w szkole niższéj, a zwłaszcza w średniéj, jest przedewszystkiém żywy przykład nauczyciela, a potém idealne wzory, czerpane z dziejów. Nie jest tedy rzeczą małoznaczną osobistość nauczyciela. Jego wpływ, zwłaszcza w razie wysokiéj inteligencyi, może być przemożny, byle był tego świadom i celu z oka nie tracił. Kilku nauczycieli, zajętych w téj saméj klasie, powinno przynajmniéj działać zgo-

[2]) Nicolay str. 441 i 442.
[1]) Guyau str. 163—185.
[3]) Nicolay str. 443.

dnie, w duchu zasad pedagogicznych, których znajomość ma dla nich pierwszorzędną wagę; w przeciwnym razie odbije się to na uczniach i wytworzy z nich istoty bez charakteru. Obok przykładu działają wzory idealne, stawiane przed oczy młodzieży, tak w dziejach, jak i w literaturze, przedewszystkiém naturalnie narodowéj. Tego celu wychowawczego nie wolno nauczycielowi tracić z oka, jeżeli cała nauka nie ma być szychem bez wartości. Samo wykształcenie naukowe nie czyni człowiekiem, ale wychowanie moralne i estetyczne. Co więcéj — „nadużywanie wychowania zbyt wyłącznie umysłowego, nietylko nie zawsze umoralnia, ale częstokroć mnoży jedynie liczbę wykolejonych.“ [1])

Niektórzy wychowawcy uważają książki dla młodzieży za ów czynnik wielkiéj wagi, który na stopniu średnim w nauce nietylko rozszerza i pogłębia wiadomości wychowanka, ale daje mu wzory idealne ludzi dobrych, czynów wielkich i bohaterskich i, działając nietyle na wyobraźnię, co na uczucie, kieruje wolę wychowanka ku czynom szlachetnym. Naturalnie mniemają tak ci, którzy w wychowaniu i wykształceniu widzą coś więcéj nad przysposobienie—do rzemiosła... Otóż pod tym względem nie można lekturze młodzieży odmówić wpływu potężnego—i dlatego nie można być dosyć ostrożnym w wyborze dzieł, podawanych młodzieży do czytania. Nicolay jest stanowczym nieprzyjacielem powieści, jako lektury dla młodzieży, „chyba, że autorowie posługują się tą formą w tym wyłącznie celu, ażeby dobrą naukę ubrać w formę zabawnéj fikcyi.“ [2]) Co do naszéj literatury, śmiemy twierdzić, że znajduje się w niéj dosyć powieści, które pod względem moralnym nie zawierają nic niemożliwego, a artystyczną swą formą mogą dać młodzieży wzór kompozycyi i stylu. Natomiast nie bardzo-byśmy się godzili na owijanie w bawełnę powiastek prawdy naukowéj, formy téj bowiem już do zbytku nadużyto bez oczywistego pożytku. Wybór jakości lektury zależy od wielu warunków indywidualnych, przestrzédz trzeba jednak przed wczesném działaniem na wyobraźnię i pochłanianiem książek, z którego się nieraz rodzice cieszą, nie wiedząc, jak szkodliwy to wpływ wywiera na naukę samą.

Pominęliśmy poprzednio wpływ otoczenia rodzeństwa, aby go tu przedstawić razem z towarzystwem kolegów i przyjaciół. Czém bowiem rodzina dla dziecięcia, tém przyjacielskie koło dla młodzieńca. Guyau, widząc w wychowaniu moralném głównie skutki podsuwania, ocenia wpływ otoczenia z tego stanowiska i uważa za naczelną za-

[1]) Guyau str. 246.
[2]) Nicolay str. 287.

sadę wychowania „wybór towarzystwa wśród takich ludzi, którzy będą od nas wyższymi moralnie.“ [1]) Dlatego przytacza zdanie St. Claire de Ville co do niemoralności internatów i nie wierzy we wzajemną naprawę charakterów, o jakiéj mówią obrońcy internatów. [2]) „Owoc zepsuty, pomieszczony obok owoców nienaruszonych, nie nabierze od nich zdrowia, ale zarazi inne... Rzecz pożałowania godna, że przyjaciele naszych synów zostają nimi nie przez wybór, ale przez okoliczności... Syn kolegi, chociażby był najgorzéj wychowany, jest już z prawa przyjacielem.“ [3]) Stare to a niczém niezbite przysłowie nasze: „z jakim się wdajesz, takim się stajesz...“

Zostaje nam jeszcze do rozwagi pytanie, o ile wpływa na ukształtowanie się charakteru to, co pospolicie „światem“ zowią, mniejsza z tém, świat-li to „wielki“ czy „mały.“ Na to pojęcie składają się przedewszystkiém wizyty i zabawy domowe i widowiska wszelkiego rodzaju, szczególniéj teatralne. W tym względzie dostarcza nam Nicolay wielu i głębokich obserwacyi. Oto np. jak maluje przyjaciela domu, wpływającego najniekorzystniéj na dzieci. „Bardzo często zachęcany bywa (chłopiec) w swém zuchwalstwie i w swych zachciankach niepodległości przez pewną kategoryę poufałych przyjaciół domu, których trzeba-by odpędzić jak febrę, ponieważ wywierają oni najopłakańszy wpływ na dzieci, a wpływ tém niebezpieczniejszy, że się powtarza często i zdaje się miéć poparcie w saméj-że rodzinie...“ „Ojciec zakazał synowi wychodzić z domu. Rozkaz był stanowczy i nieodwołalny. Tymczasem ów próżniaczy przyjaciel przyszedł na śniadanie, nie na słuchanie przykréj sceny. Chcąc przytém być chętnie widzianym przez chłopca, którego lubi po swojemu, rozkaz ów własnowolnie znosi.—Dobrze już, skończono, nie mówmy więcéj o tém. Drugi raz poprawi się i będzie grzeczniejszy. Temi słowy rozstrzygnie ów Mentor przypadkowy i wręcz woli ojca pójdzie z chłopcem na przechadzkę. Łatwo zgadnąć, że wieczorem rozpocznie się walka na nowo, jeszcze gorętsza, niż wprzódy.“ Nie dosyć na tém; „po-za plecami rodziców będzie mu dostarczał zakazanych przysmaków, da mu pokryjomu przedmiot lub zabawkę zakazaną, ułatwi skrycie rozrywkę, któréj matka nie dozwoliła, i zapewne nie bez powodu, nareszcie dostarczy uniewinniających objaśnień, o których ojciec uważał za stosowne zamilczéć... I tak daléj, i tak daléj... Poczém, zaspokoiwszy ciekawość chłopca, nie omieszka dodać téj najfatalniejszéj uwagi: Tylko pamiętaj, ani słowa o tém przed rodzicami!.. Psuje

[1]) Guyau str. 72.
[2]) str. 167.
[3]) Nicolay str. 104 i 105.

go, bawiąc się sam przytém, a czasem widzi zabawę w tém właśnie, ażeby go psuć... On taki zabawny! — ciągle się słyszy, jako najwyższą pochwałę, bo lubimy rozrywkę za jakąbądź cenę...“ Takiemu przyjacielowi, choćby się ojcu sprzeciwiał, „z pewnością nikt i słówka wyrzutu nie uczyni, z obawy, aby go nie obrazić, ponieważ jest on tu w domu jak krewny, a lubo rodzice czują się nieraz dotknięci, a nawet obrażeni, schylają jednak głowę i zatykają uszy... Skończy się na tém, że lekkomyślny przyjaciel zastąpi w końcu zupełnie ojca, który odtąd podrzędną zaledwo odgrywać będzie rolę.“ [1])

„Rodzice przyjmują w ciągu tygodnia innych poufałych przyjaciół, a wszyscy, począwszy od młodego próżniaka aż do zużytego starca, nie żałują sobie przy malcu najhaniebniejszych wyrażeń.“ [2]) Przy malcu? — Tak, niestety! — od jakiegoś czasu postęp w wychowaniu na tém się zasadza, aby dzieci przy gościach równe w salonie zajmowały miejsce i w ten sposób „przywykały do ludzi“ i „nabierały manier.“ Istotnie nabiorą one nie manier, ale zwyczaju i wprawy w obmawianiu bliźnich lub służących, bo to najpospolitszy przedmiot rozmów. „Repertoar dykteryjek zawsze ten sam, czy go powtarza młokos, czy dojrzały. Wszystkie one dobrze już stare, świeżym tylko powleczone pokostem, a są niby kroniką dnia, pełną skandalów, rozbieranych szczegółowo. Zazwyczaj ten ktoś opowiadający, ażeby wydać się zajmującym, zapewnia, że szczególiki wie od samego bohatera skandalu... lub, że był jednym ze świadków, albo jednym z czynnych wspólbohaterów i t. p., i t. p.“ [3]) Ojciec na to uśmiechnie się pobłażliwie, matka zwróci uwagę choć późno, że „słuchają uszy, które tego słyszéć nie powinny“ — i na tém koniec.

Podobny wpływ, jeźli nie gorszy, wywierają na dzieciaka skandale, plotki i procesy pieprzne, spisywane w dzienniku, czytanym głośno w domu. Zresztą wystarczy samo istnienie podobnego dziennika w domu, a dzieciak, gdy podrośnie, potrafi z tego skorzystać i czytać z zajęciem kronikę, i przeglądać inseraty, zwłaszcza drobne ogłoszenia... Niektórym rodzicom zdaje się, że to pociąg do wiedzy, ciekawość do książki, więc prócz żartu, że politykuje, innéj uwagi nie zrobią wyrostkowi, a o zakazie, a ewentualnie o usuwaniu z przed oczu jego dziennika—ani mowy.

Dla urozmaicenia nudy codziennego życia, urządza się baliki dziecinne. Na nich-to uczą się dzieci, jak nie być dziećmi, ale komicznymi sensatami, a dziewczęta wcześnie zaprawiają się do kokie-

[1]) Nicolay str. 17—20.
[2]) Nicolay str. 22.
[3]) Nicolay str. 23.

teryi i obmowy. Ale rodzicom się zdaje, że spełnili więcéj, niż ich obowiązki wymagają, są ze siebie zadowoleni, a niemniéj bawią zakłopotaniem dzieci lub późniéj odświeżanemi wspomnieniami. „Po co jednak tak przyśpieszają dojrzałość téj dziewczynki, zaledwo rozkwitłéj, i rozwianie dziecinnych jéj złudzeń?... Po co zasiewać w niéj zazdrość i próżność, jak gdyby smutki i zawody nie zjawiały się i tak dosyć wcześnie w życiu? Po co ograniczać lata młodości, i tak już przelotnéj.“ [1])

Wpływ teatru na niedojrzałą młodzież jest z wielu względów bardzo zgubny. P. Lubowski, jako tłómacz Nicolaya, w stosownêm miejscu tego dzieła robi od siebie przypisek, w którym dramat i komedyę uważa za „zawczesną rozrywkę dla kilkunastoletnich wyrostków“ i gorszy się słusznie zachowaniem się tych „znawców“ w teatrze; wreszcie przytacza zdanie p. Kowerskiéj z jéj dzieła „O wychowaniu macierzyńskiém.“ „Czy wam rodzicom — mówi Nicolay — przyszło kiedy na myśl zbadać rozsądnie wrażenia dwunastoletniego dziecka po wyjściu z owych widowisk, na których czar sztuki, pomysły olśniewające, urocza muzyka, tańce szalone a lubieżne, słowem: nagromadzenie efektów uwodzenia, roztoczywszy nadzwyczajny blask przed jego oczami, zawróciły nareszcie młodziutką jego głowę? To jakieś upojenie senne i pełne marzeń!... Jedne dzieci pozostają olśnione, drugie wpadają w zapał gorączkowy, jeszcze dla innych — a tych wielu — było to niezręcznêm objaśnieniem i przedwczesnêm wtajemniczeniem, dla wszystkich zaś, bądź co bądź, złym obrazem, psującym wychowanie, jeśli miało być poważne... Szalony wir zuchwałe tańczonego baletu, przepych dekoracyi, złudzenia optyczne, zbytek lśniących i błyskotliwych kostiumów, napastują uporczywie wyobraźnię dziecka i pochłaniają wszystkie jego myśli do tego stopnia, że przez kilka dni o czém innêm myśléć nie zdolne. Nie, stanowczo nie. Praca pilna, a wydać mająca owoce, stała się teraz niemożliwą.“ [2])

Niemniéj i teatra amatorskie dla niedorostków obojéj płci uważać należy za szkodliwe, zwłaszcza dla panienek, bo „rozbudzenie wyobraźni, podniecanie mimowolne kokieteryi, nie może nigdy wyjść na dobre.“ Na próbach „będzie panienka miała prawo — z upoważnienia swych rodziców—mówić i odpowiadać, jako „osoba w sztuce“, to, czego-by powiedziéć nie odważono się w zwykłych stosunkach życia. Lecz ponieważ tak jest w roli... Ba! najciekawszą komedyą jest ta, którą się gra bez wiedzy panny! Wybór sztuk, role żądane lub już

[1]) Nicolay str. 153.
[2]) Nicolay str. 27 i 28.

rozdane, wszystko stanowi zajmujący przedmiot ciekawych odkryć, dla bystrego spostrzegacza.“ [1])

Oto, co w ogólności powiedzieć można o wpływie otoczenia na kształtowanie się charakteru moralnego młodzieży. Nie są to prawdy nowe, ale choćby ich odnowienie i przypomnienie przydać się może w czasie, kiedyśmy się bardzo pod tym względem od racyonalnéj a wiekami stwierdzonéj teoryi odsunęli w praktyce, głównie przez niepokonane dążenie do wygody i unikanie rozdrażnienia nerwowego, które nas tyle kosztuje. Dobrze-by było nie zapominać o téj prawdzie, którą autor „Irydyona“ wyraził tak pięknie w liście do Kaj. Koźmiana:

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko
Cios jéj dłuta wiecznotrwały...

3. Ideał wychowania wobec ideałów życia.

Wszelkie środki muszą być stosowane do celu, który się osiągnąć pragnie. Mówiąc o tworzeniu charakteru wychowanka, nie dwuznacznie kładliśmy nacisk na stronę etyczną wychowania, uważając ją za istotę tego, co w ogólności przez „wychowanie“ rozumiéć zwykliśmy. Tu raz jeszcze zaznaczamy, że od wychowania odłączamy wykształcenie, zwane także wychowaniem umysłowém, które ma własne cele, a poniekąd tylko wspiera kształtowanie się charakteru moralnego. W szerszém znaczeniu pojęte wykształcenie, zowiemy oświatą; można być oświeconym a źle wychowanym.

Jakiż jest tedy ideał wychowania? Przed wiekiem przeszło określiła go krótko a trafnie Komisya Edukacyjna, twierdząc, że wychowanie ma tak usposobić wychowanka, „aby jemu było dobrze i aby z nim było dobrze.“ Część pierwsza tego określenia nie wystarcza bez drugiéj, druga niemożebna bez pierwszéj.

Gdybyśmy kształcili duszę wychowanka w takim kierunku, jaki jemu dogadza, gdybyśmy spełniali jego zachcenia i wolę, nie doszlibyśmy do celu, a popadali w ciągłe sprzeczności. Dziecko kieruje się tylko logiką instynktu, i pragnie usuwać od siebie to, co je krępuje i co mu przeszkadza. „Ojciec przeto powinien pośpieszyć z podsunięciem mu przekonania całkiem przeciwnego, a mianowicie, że woli i wolności każdego człowieka mogą stanąć na drodze przeszkody,

[1]) Nicolay str. 153 i 154.

i że w pewnych wypadkach przeszkody te istnieć *powinny*, ponieważ zachcenia i widzimisię należą do wyjątków, zarówno rzadkich, jak krótkotrwałych.“ [1]) Odtąd rozpoczyna się wyjaśnianie dziecku ogólnych praw Boskich i ludzkich, rządzących człowiekiem, którym on uledz musi. „Trzeba jak najprędzéj zaszczepić w téj młodéj duszy pewną liczbę prawd elementarnych i ogólnych, które dziecko objaśnią, czém jest i czego się po niém spodziewają.“ „Po daniu mu pojęcia o Bogu, *skoro tylko inteligencya jego na to pozwala*, należy obudzić w dziecku uczucie głębokiéj radości i prawdziwéj wdzięczności za wszelkie dobro, z którego korzysta, a którego tyle rodzin nie zna nigdy.“ Zasady te nie mogą miéć formy reguł etycznych, ale przykładów łatwych a codziennych, praktycznych i przygodnie stosowanych, a granicami, wśród których się mieścić muszą, to życie i jego objawy. Nicolay ujmuje je w szereg tez, z których najważniejsze przepisujemy.

„Należy dziecku objaśnić, że:

„— Życie jest raczéj szeregiem doświadczeń, aniżeli używaniem... że na tym padole najszczęśliwszym jest ten, który najmniéj cierpi, i że niéma niezamąconego szczęścia.

„— Że w cnocie mieści się i zasługa, i że niéma zasługi bez ofiar...

„— Że poświęcenie jest koniecznością, a walka nieuchronną.

„— Że powodzenie bywa rzadkie, a niewdzięczność częsta.

„— Że praca jest wielkiém prawem ludzkości, i że bynajmniéj nie wolno zrzekać się pracy dlatego, że niebo udzieliło nam więcéj od innych...

„—Że trzeba być pobłażliwym dla grzesznika, ale surowym dla winy...

„— Że nie jest ani mądrze, ani sprawiedliwie, uważać się za uprawnionego do wszelakiego użycia dlatego, że się ma na to pieniądze, że ta zasada fatalna wyradza samolubstwo, wysuszające serce, próżność, psującą ducha, i miękkość, osłabiającą ciało...“ [2])

Słowem „celem wychowania moralnego jest właśnie to sprawić, aby dzieci znajdowały przyjemność w cnocie, a przykrość w przewinieniach. Nie o *użyteczności* dobrego uczyć je należy nadewszystko, ale o jego *piękności*, która czyni, że dobro samo przez się sprawia uciechę bezpośrednią.“ [3])

---

[1]) Nicolay str. 240.
[2]) Nicolay str. 242—244.
[3]) Guyau str. 252.

Komu dzisiaj na wzmiankę o wychowaniu przesunie się przed oczyma duszy ten ideał etyczny człowieka? W walce o byt, w pogoni za dobrami materyalnemi, wytężyliśmy wszystkie siły ducha, i dlatego szukamy w wychowaniu tylko wykształcenia umysłowego, tylko możliwie rychłego i obfitego nabycia mnóstwa wiadomości, aby się tym kramem popisywać i na każde zawołanie coś z każdego gatunku towaru pokazać. Całym ciężarem wzmagających się potrzeb życia, sztucznie wytworzonych, przygniatamy mózg, a zapominamy o sercu, a nawet, co dziwniejsza, o pielęgnowaniu zdrowia fizycznego. Hasłem wychowania—patent, stanowisko, łatwy dochód, słowem karyera... Od niemowlęctwa obijają się o uszy dzieci tezy rodziców i domowników, czém być warto, a czém nie warto, czego sobie od dziecka rodzice życzą, a czém go miéć nie pragną W latach szkolnych rozumują razem z malcem, który przedmiot nauki potrzebny, a który niepożyteczny, stawiają nowe systemy, które-by ludzkość zbawiły, gdyby... naturalnie mogły! Nareszcie chłopiec ukończył studya — „w głowie roi się od różnych wiadomości, ale serce puste jest, jeżeli, co gorzéj, nie zepsute.“ [1])

„Najlepszém wychowaniem jest to, które nie bywa li tylko nauczającém, ale poddawczém, a przeto kierowniczém, które wprowadza do mózgu nietylko wiadomości przydatne do „podwójnego użytku“, jak mawiał Sokrates, ale i uczucia towarzyskie, i nałogi działania, związane z nałogami podnioślejszego myślenia. Innemi słowy: nie należy dawać tylko wykształcenia rozpierzchłego, wytwarzającego tylko dążności sprzeczne, rozrywające umysł, ale wykształcenie skoordynowane, ześrodkowane, w kierunku jednego punktu kierowniczego, prowadzącego do wskazówek i napomknień praktycznych.“ [2]) „Oświata, choćby była najdoskonalszą, nie zastąpi nigdy moralności i wiary — oświata sama nie wystarcza na umoralnienie dziecka. Potrzeba koniecznie połączyć ją z wychowaniem... Dajcież dzieciom, obok silnej wiary, prawdziwe wychowanie i nie poświęcajcie ich nigdy dla wyjątkowego i pochłaniającego ich zupełnie kształcenia.“ [3]) Każdemu narodowi potrzeba jednostek fizycznie zdrowych, umysłowo tęgich, ale nadewszystko moralnie zacnych i dobrych. Podług ilości charakterów moralnych ocenia się wartość narodu; gdzie tych brak, tam, mimo wysokiego wykształcenia, panuje prawo pięści, tam podnoszą się barbarzyńskie hasła „ausrotten!“, bo w sercu niéma ideału chrześciańskiéj miłości bliźniego, lecz pycha, brutalnego usposobienia znamię!

[1]) Nicolay str. 488.
[2]) Guyau str. 243.
[3]) Nicolay str. 490.

„Oświata bez wychowania staje się początkiem różnych zboczeń i niekarności młodzieży“, — przechodzi potém w życie i zakłóca jego spokój. Przewrotnym w dziejach wychowania porządkiem uczymy dziś dzieci „najpierw ich *praw* to jest tego, czego wymagać mogą od innych na swą korzyść, ale mówi się za mało o *obowiązkach*, albo zanadto ogólnie i banalnie. Wypływa stąd, że młodzież nauczyła się jako najwyższéj moralności dochodzenia swych praw, i że wytwarza się społeczeństwo, w którém porządek staje się niemożliwym, w którém nie widzi się nic, prócz antagonizmu praw, zbijania się zdań, rywalizacyi interesów, czyli konkurencyi życiowéj, uczty nareszcie, przy któréj każdy bez zapłacenia za to zasiąść pragnie.“ [1])

Przedstawiwszy najważniejsze zasady trzech dzieł, w nagłówku wymienionych, uważamy za rzecz właściwą kilku słowy przedstawić ich tendencye i środki.

Perezowi chodzi przedewszystkiém o przedstawienie stanu duszy dziecka w pierwszych trzech latach życia. Obserwacye swoje i innych uczonych, poczynione w tym przedmiocie, układa w 13 rozdziałów, idąc stopniowo od pierwszych wrażeń do obudzenia się zmysłu moralnego. Uwagi wychowawcze rzuca tu i owdzie tylko mimochodem, bo one nie są istotną zawartością jego dzieła psychologicznego.

Natomiast *Guyau*, pragnąc wykazać potęgę otoczenia, czyli, jak on to nazywa, „poddawania moralnego“, i uważając je za środek modyfikujący dziedziczność, która o wszystkiém nie stanowi, poświęca przedewszystkiém tym sprawom prawie połowę swego dzieła, zostawiając dla drugiéj połowy rozpatrzenie wychowania fizycznego i umysłowego. Jego uwagi wychowawcze płyną nietylko ze znajomości psychologii, ale nadewszystko z porównania systemów wychowawczych narodów cywilizowanych Europy i dlatego tém silniejszy budzą interes i tém pewniejszą mają podstawę.

Najciekawszą, bo wyłącznie praktyce wychowawczéj poświęconą, jest książka *Nicolaya*, pozornie aforystycznie traktowana, a przecież, oprócz bystrych obserwacyi, złożonych w luźnych obrazkach, mieszczącą cały system wychowania moralnego. Nie przepisami, ale wskazówkami, znowu z życia czerpanemi, naucza, jak osiągnąć ideał wychowawczy, a wykazywaniem skutków działa tak silnie na uczucie,

---

[1]) Nicolay, str. 472.

że owłada w zupełności czytelnikiem, który zasady jego za swoje uznać widzi się zmuszonym. Jest to książka, która z pomiędzy wielu podobnéj treści powinna najwięcéj znaléźć czytelników i — oby jak najwięcéj zwolenników!

Roman Zawiliński.

KRONIKA GALICYJSKA.

Temi dniami zestawione zostały ostatecznie główne wyniki spisu ludności, odbytego w Galicyi, tak samo jak w całéj Austryi, 31 Grudnia 1890 r. Daty te w zwięzłych lecz wiele mówiących cyfrach podają niejako zasadnicze kontury do obrazu naszych stosunków społecznych. Umieszczam je tedy na czele niniejszéj kroniki, przyłączając obliczone z nich najważniejsze cyfry stosunkowe, i objaśniam je niezbędnemi uwagami, tudzież porównaniem z wynikami spisu, odbytego przed dziesięciu laty.

Ludność Galicyi, krajowa i obca, obecna w chwili spisu r. 1870, wynosiła ogółem (wraz z wojskiem) 5,958,907 osób. Z końcem r. 1880 taż sama ludność wynosiła 6,607,816 mieszkańców, przyrost w ciągu lat dziesięciu wynosi 648,909, czyli w przecięciu rocznie 64,890. Przyrost to wcale znaczny, wskazuje on bowiem, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia ludność Galicyi wzrosła więcéj niż o dziewiątą część (10.9%) cyfry ludności z r. 1880, podczas gdy w okresie między spisami z r. 1869 i 1880 ludność galicyjska wzrosła w ciągu lat jedenastu tylko o trochę więcéj niż jedenastą część (9.4%) ludności z r. 1869.

Znaczniejszy przyrost ludności Galicyi w ostatnich dziesięciu latach należy przypisać temu, że podczas gdy liczba urodzeń była stale wysoką w stosunku do ludności, wynosiła bowiem ciągle ponad 40 urodzeń rocznie na 1000 mieszkańców, (w r. 1889—43 urodzenia na 1000), to liczba wypadków śmierci zmiejszała się powoli, lecz stale, w ciągu

tego czasu, i od wysokiéj cyfry roku 1882, wynoszącéj blisko 36 wypadków śmierci na 1000 mieszkańców, zeszła stopniowo do 29 wypadków śmierci na 1000 mieszkańców w r. 1889, ostatnim, z którego daty te zostały ostatecznie zestawione.

Napływ ludności z zewnątrz nie przyczyniał się do przyrostu ludności Galicyi w okresie 1880 — 1890, przeciwnie, spis ludności z r. 1890 wykazał mniéj o 35,010, niżby wypadało po doliczeniu do ludności z r. 1880 przewyżki urodzeń nad wypadki śmierci w ciągu dziesięciolecia 1880 — 90. Cyfra ta wyraża zmniejszenie, jakiego w ostatniém dziesięcioleciu doznał przyrost ludności w Galicyi wskutek przewyżki wychodztwa z tego kraju ponad napływ ludności z zewnątrz. Wyrazem napływu ludności z zewnątrz do Galicyi jest cyfra 61,054 obco-krajowców, pochodzących bądź z innych krajów austryackich, bądź z innych państw, których naliczono przy spisie jako obecnych w kraju. Cyfra to niewielka, nie dochodzi bowiem do 1% całéj ludności. Natomiast cyfra krajowców, nieobecnych w kraju podczas spisu, którą spis podaje na 45,250, jest niewątpliwie za niską, gdyż, jak wszędzie, tak i u nas, zapiski, odnoszące się do nieobecnych, są mniéj dokładne. O istotnéj ilości nieobecnych krajowców dowiemy się dopiero z nieogłoszonych dotąd wyników spisu w innych krajach austryackich, tudzież ze spisów ludności w innych państwach.

Skutkiem znacznego przyrostu ludności Galicyi jest znaczna gęstość zaludnienia. W przecięciu wypadało w Galicyi na jeden kilometr kwadratowy w r. 1858—58 mieszkańców, w r. 1869 — 69, w r. 1880—76, w r. 1890 - 84 mieszkańców. Aby tę cyfrę należycie ocenić, trzeba przypomnieć, że państwo Pruskie miało w r. 1885 — 81 mieszkańców na kilometr kwadr., Francya 72, Bawarya 71, a z innych państw europejskich tylko Belgia, Holandya, Wielka-Brytania, Saksonia i mniejsze państwa niemieckie, tudzież Włochy, wreszcie pięć krajów austryackich wykazują wyższe cyfry gęstości zaludnienia, niż Galicya. Niéma w Europie kraju tak przeważnie rolniczego, któryby miał tak gęstą ludność, jak Galicya. Na 74 powiaty galicyjskie 22 mają gęstość zaludnienia ponad 100 mieszkańców na kilometrze kwadr. Zwłaszcza na zachodnim krańcu, gdzie są powiaty najgęściéj zaludnione, jak Wielicki powiat z cyfrą 154 mieszkańców na kilometr kwadr., Bialski ze 145, Krakowski (bez miasta Krakowa) 142, Włodawski 121, można śmiało powiedzieć, iż zachodzi już przeludnienie w stosunku do zarobków, nastręczających się ludności przy nader słabym rozwoju przemysłu. Lokalne przeludnienie zachodniego krańcu Galicyi jest téż u nas główną przyczyną objawów emigracyi, o któréj tyle było mowy w ostatnich czasach, a któréj innym razem chcę więcéj miejsca poświęcić. Dziś tylko wspomnę o tém, że wskazane tu

stosunki wymagają koniecznie zaradzenia w dwojakim kierunku: raz przez ułatwienie parcelacyi większych majątków i ułatwienie nabywania ziemi przez włościan w mniéj zaludnionych powiatach środkowéj i wschodniéj części kraju, i powtóre: podwojenia usiłowań około rozwoju tych gałęzi przemysłu, które, mając warunki miejscowe za sobą, zdołały-by wzrastającéj ludności otworzyć nowe źródła zarobku w kraju.

Ze wzrostem ludności w całéj Galicyi wzrosła także, i to w szybszém jeszcze tempie, ludność miast większych. Mianowicie wzrosła ludność:

Lwowa	z	109,746	w r.	1880	na	127,638	w r.	1890
Krakowa. . .	„	66,075	„	„	„	75,514	„	„
Przemyśla . .	„	22,040	„	„	„	35,250	„	„

Wzrost ludności Przemyśla wypada policzyć w znacznéj części na karb powiększenia załogi wojskowéj.

Z dwudziestu jeden miast, liczących ponad 10,000 mieszkańców, dwa miasta doznały zmniejszenia ludności w ciągu dziesięciolecia 1880—90: Brody, których ludność zmniejszyła się z 26,071 na 17,475, głównie wskutek zmiany w stosunkach handlowych i zniesienia okręgu, wolnego od cła, który czynił to miasto składem towarów nieoclonych; a następnie Drohobycz, również miasto o ludności przeważnie żydowskiéj, w którém śmiertelność stale jest nader wysoka.

Z ogólnéj cyfry ludności obecnéj, w któréj mieści się też i wojsko, przypada 3,260,438 na płeć męską, a 3,347,385 na płeć żeńską. W przecięciu wypada tedy na tysiąc mężczyzn 1027 kobiet. Galicya należy do krajów, które pod względem stosunku liczebnego obu płci zajmują środkowe stanowisko między krajami europejskiemi. W roku 1880 stosunek obu płci był jak 1000 : 1031, w r. 1869 zaś taki sam, jak w r. 1890.

Najwięcéj interesu obudzają wśród naszych stosunków daty spisu, odnoszące się do podziału ludności podług wyznań, podług mowy i podług wykształcenia elementarnego, i te chcę tu jeszcze podać, przypuszczając, iż, ze względu na znaczenie tych dat, nigdzie dotąd nieogłoszonych, wraz z cyframi stosunkowemi, które uwydatniają dopiero ich doniosłość, nie spotka mię zarzut, że zanadto liczb nagromadziłem w swojéj kronice.

Według spisu z r. 1890 było w Galicyi:

ludności	rzymsko-katolickiéj	2,997,430	czyli	45	procent
„	grecko-katolickiéj .	2,792,449	„	42	„
„	izraelskiéj. . . .	772,213	„	11.6	„

Prócz tego, jeszcze tylko ewangelicy wykazują 40,190, nie dochodzą jednak do 1% całéj ludności; na inne wyznania przypadają bardzo drobne cyfry.

W porównaniu z 1880 wzrosła stosunkowo najwięcéj liczba ludności izraelskiéj, gdyż przybyło jéj 85,617, czyli blisko 12.5% liczby żydów w r. 1880. Liczba katolików rzymskich wzrosła o 282,453, czyli o 10.4%, liczba katolików greckich (unitów) o 282,041, czyli o 11.23%. Trzeba jednak zaznaczyć, że w ostatniém dziesięcioleciu wzrost ludności żydowskiéj był znacznie powolniejszy, niż w jedynastu latach od 1869 do 1880, kiedy przybyło jéj 110,678, czyli przeszło 19%, natomiast zaś wzrost ludności katolickiéj, tak rzymskiéj, jak greckiéj, był szybszym, niż w okresie poprzednim, w którym wynosił tylko trochę więcéj, niż 8%.

Podział ludności według mowy używanéj odnosi się tylko do ludności, mającéj obywatelstwo austryackie (6,582,716 wynosi cyfra téj ludności). Podług spisu z r. 1890 było, z wliczeniem dzieci niemówiących, ludności:

używającéj języka polskiego . .	3,516,698	czyli 53.4%
„ „ rusińskiego . .	2,832,043	„ 43.0%

Prócz tego wypada jeszcze tylko na mowę niemiecką znaczniejsza cyfra, bo 227,600. W porównaniu z r. 1880 wzrósł udział procentowy ludności używającéj języka polskiego o blisko 2%, udział procentowy ludności używającéj języka rusińskiego o blisko 1%, natomiast zmniejszyła się ogólna liczba używających mowy niemieckiéj z 323,612 na 227,600, czyli o przeszło 30%. Znaczna ta zmiana tłómaczy się rozszerzeniem się języka polskiego między ludnością żydowską w Galicyi.

Jaki skutek odniosły prace dotychczasowe około rozszerzenia oświaty ludowéj w Galicyi, wykazuje porównanie liczby nieumiejących czytać i pisać w 1890 z liczbą ich z r. 1880. Przy tém porównaniu należy jednak brać w rachubę tylko ludność po ukończonym 6-tym roku życia, gdyż dopiero od tego czasu zaczyna się nauka szkolna. Otóż z téj ludności nie umiało ani czytać, ani pisać:

w r. 1880 —	1,792,559	mężczyzn	czyli	74.2%
„ 1890 —	1,738,970	„	„	64.8%
„ 1880 —	1,994,739	kobiet	„	79.9%
„ 1890 —	1,981,350	„	„	71.5%

Zmniejszyła się zatém w ciągu lat dziesięciu, pomimo wzrostu ludności, liczba nieumiejących czytać i pisać u mężczyzn o 53,589, u kobiet o 13,389, ogółem o 66,978.

W stosunku do znacznego nakładu kraju, powiatów i gmin, na cele szkolne i do zwiększenia się liczby szkół i klas szkolnych, rezultat ten wydaje się na pierwszy rzut oka trochę za małym, oczekiwaliśmy więcéj. Jednakże zważyć téż trzeba, że rezultaty nauki, udzielanéj dzieciom w wieku nad 6 do 12 lat, tylko powoli wpływać mogą na zmniejszenie się ilości nieumiejących czytać i pisać w ogólnéj liczbie ludności, i że dopiero w ciągu dziesięciolecia 1880 — 90, a mianowicie po zmianie ustawy szkolnéj w r. 1885, ilość szkół ludowych zaczęła szybciéj wzrastać.

Wzrost liczby szkół ludowych w ostatnich latach, mniéj krępowany względem na mniéj pomyślny stan finasów krajowych i znaczne obciążenie ludności podatkami wszelkiego rodzaju, obecnie natrafia z innéj strony na ważną przeszkodę. Jest nią brak nauczycieli, skutkiem którego dziś już przeszło 200 szkół jest nieczynnych. Brak ten znowu tylko stopniowo da się uchylić, jeśli posady nie mają być powierzane, ze szkodą nauki, ludziom niewykwalifikowanym. Zaradzić tu będzie można po części przez podwyższenie najniższych płac nauczycielskich w tak zwanych szkołach filialnych, i płac młodszych nauczycieli, 250 i 200 zlr. wynoszących, a następnie przez pomnożenie seminaryów nauczycielskich. Seminarya te ściągają zawsze tylko młodzież najuboższą z niezbyt odległego otoczenia, nie mogą przeto wystarczyć dla zwiększonéj potrzeby. Prócz tego starać się trzeba, aby dla szkół wiejskich przysposabiać kandydatów nauczycielskich ile możności z pośród ludności wiejskiéj, przyzwyczajonych do warunków życia wiejskiego i znających ludność wiejską, jéj stosunki i potrzeby, nie zaś, jak to dotąd bardzo powszechnie bywało, gimnazyastów, w mieście wychowanych, którym trudno włożyć się w warunki życia wiejskiego i stworzyć sobie w nich znośną egzystencyę. Projekt podniesienia najniższych płac nauczycielskich jest przygotowany i przedłożony będzie w jesieni sejmowi; utworzenie dwóch nowych seminaryów nauczycielskich ze strony państwa ma również nastąpić.

Wobec tego, że wpływ szkół na rozszerzenie wykształcenia elementarnego może być tylko powolnym, a spotęgowanie tego wpływu przez powiększenie liczby szkół także tylko stopiowo może postępować, musi się nasuwać myśl rozszerzenia nauki elementarnéj przez nauczanie dorosłych. Myśl tę w samych początkach nowszego rozwoju szkolnictwa ludowego, przed r. 1870, podnoszono obszernie w dziennikach, późniéj jednak przestano wskazywać na ten kierunek pracy na polu oświaty ludowéj. Z natury rzeczy usuniętą jest przy tym kierunku organizacya urzędowa; jest tu pole działania dla inicyatywy prywatnéj, która może stworzyć sposobność do takiéj nauki, a następnie dla miejscowych towarzystw oświaty ludowéj, dla czytelni i szkó-

łek rolniczych. Przykładem pracy w tym kierunku, podejmowanéj w ciaśniejszym zakresie, lecz z powodzeniem, jest istniejąca we Lwowie szkoła dla sług, kierowana przez prof. d-ra J. Żulińskiego.

Jeżeli na polu oświaty elementarnéj chodzi u nas przeważnie o spotęgowanie i rozszerzenie prac na drodze już wytkniętéj, o przysporzenie dostatecznéj liczby dobrych nauczycieli, o zwiększenie ilości szkół i zapobieżenie ich przepełnieniu przez pomnożenie ilości klas, wreszcie o nadzór ściślejszy nad nauką przez pomnożenie dalsze liczby inspektorów okręgowych; to, co do szkolnictwa średniego, gimnazyów i szkół realnych, kwestye, wymagające rozwiązania, dotyczą przedewszystkiém zakresu nauki i sposobu traktowania przedmiotów, w ten zakres wchodzących. Wielkie i ważne zagadnienie: jak urządzić szkoły średnie, a zwłaszcza gimnazya, mające za sobą wiekowe tradycye, aby odpowiadały jak najlepiéj potrzebom dzisiejszego społeczeństwa, aby dawały należytą podstawę wiedzy i wyrobienia umysłu dla téj części społeczeństwa, która osiąga wyższe wykształcenie i powołaną jest zająć w społeczeństwie najważniejsze stanowisko, zajmuje dziś cały świat cywilizowyny, wywołuje całą literaturę książek, broszur i artykułów we wszystkich językach, dyskusye na zgromadzeniach naukowych i w parlamentach, ankiety i komisye fachowe, z których najgłośniejszą stała się narada, zwołana przez cesarza Wilhelma II i jego osobistym udziałem uświetniona. Na czele szeregu pytań, na które dzieli się owo zagadnienie, staje zasadniczéj wagi kwestya: czy i o ile języki i literatury starożytności klasycznéj, łacina i greka, winny i nadal stanowić podstawę wykształcenia t. zw. humanitarnego, czy oba języki, czy jeden z nich, czy też tylko literatury klasyczne w tłómaczeniach?

Na te szerokie horyzonty kwestyi średniego wykształcenia wstępowała także niekiedy dyskusya, która toczy się o tym przedmiocie w naszym kraju, począwszy od roku 1880, kiedy sprawę tę poruszył w sejmie Józef Szujski. Przeważnie jednak wobec tego, że ustawodawstwo o gimnazyach należy do rady państwa, obracają się dążenia reformy i prace, w tym kierunku podejmowane, w nierównie ciaśniejszych granicach. Chcąc zaradzić praktycznym potrzebom i ulepszyć to, co najbardziéj ulepszenia potrzebuje, a da się w życie wprowadzić bez zmiany ustawodawczéj, zastanawiają się u nas władze szkolne, powoływane przez dwie komisye, a wreszcie stowarzyszenia naukowe, nad ulepszeniem sposobów nauczania, nad stosowniejszym rozkładem przedmiotów i czasu, tym przedmiotom poświęcanego. Praca ta zaś prowadzi koniecznie do zastępowania używanych dotąd podręczników innemi, ktorych układanie i rewizya stanowią główne zadanie komisyi naukowych, obradujących w radzie szkolnéj. Praca to

mozolna i długa, a nie nastręczająca sposobności do rozgłosu, lecz obiecująca w przyszłości znaczną poprawę wychowania publicznego, jeśli, jak spodziewać się należy, równocześnie z nią postępować będzie polepszenie sił nauczycielskich. Usiłowania około stopniowego ulepszenia szkół średnich pod każdym względem objawiają się, szczególnie od czasu, odkąd hr. Badeni, interesujący się żywo tą gałęzią szkolnictwa, jest namiestnikiem Galicyi, a zastępcą jego w radzie szkolnéj krajowéj jest dr. Bobrzyński, który porzucił poważne stanowisko polityczne w radzie państwa, aby poświęcić się w kraju ciężkiéj pracy około podniesienia naszego szkolnictwa i temu zadaniu oddaje się, jak mu przyznają i przeciwnicy polityczni, z energią, taktem i na podstawie gruntownego zbadania każdéj sprawy.

W politycznych stosunkach austryackich, a przeto i w stanowisku posłów galicyjskich w izbie deputowanych rady państwa, ubiegłe od ostatniéj kroniki trzy miesiące nie przyniosły żadnéj zmiany. Trzy kluby: lewica niemiecka, Polacy i klub Hohenwarta, złożony z konserwatystów niemieckich i słoweńców, tudzież posłów wielkiéj własności czeskiéj, zajmują przychylne względem rządu stanowisko, nie stanowią jednak stronnictwa rządowego, ani téż między sobą nie tworzą stałego związku, lecz porozumiewają się w różnych wypadkach, przy czém pośredniczące ogniwo tworzą Polacy. Żeby ta sytuacya parlamentarna rychło zmienić się miała w kierunku wytworzenia stałéj, bliżéj z rządem związanéj większości, nie sądzę, gdyż rząd nie będzie chętnym do zamiany dzisiejszego stanu rzeczy na taki, w którym-by z krańcowych elementów owéj trójki klubowéj, albo lewica, albo, co prawdopodobniejsza, klub Hohenwarta, był zniewolony zająć stanowisko oppozycyjne. Zmiana w ministeryum, która nastąpić-by musiała wrazie przechylenia się rządu na jedną lub na drugą stronę, nie jest zresztą niemożebną przy dzisiejszém stanowisku rządu wobec wielkich klubów. Mianowicie dotyczy to zmiany, zamierzonéj przez utworzenie nowego ministeryum komunikacyi. Na tę posadę wymieniono tylko jednego kandydata, a to profesora d-ra Leona Bilińskiego, który jest obecnie jeneralnym sprawozdawcą budżetu, a poprzednio był sprawozdawcą znakomicie ułożonego adresu, do którego uchwalenia w izbie nie przyszło ze względu na niemożliwość porozumienia się między lewicą, a klubem Hohenwarta. Nie ulega wątpliwości, że w kraju powitano-by tę nominacyę z radością, ze względu na przymioty osobiste d-ra Bilińskiego, jak niemniéj dlatego, że znowu, jak za d-ra Dunajewskiego, dwóch Polaków zasiadało-by w Ministeryum.

Powszechne podniesienie się cen zboża i bydła i pewne widoki na zniżenienie ceł zbożowych ze strony Niemiec, wskutek zawartego

świeżo traktatu, poprawiły położenie rolników w Galicyi. Zachodzi tylko obawa, aby obecne słoty, burze i zimna nie pogorszyły znacznie stanu zasiewów, który dotąd, mimo przedłużonéj zimy, przedstawiał się wcale nieźle. Ceny majątków ziemskich poszły w górę i powszechnie płacą za majątek dzisiaj, po przeniesieniu prawa propinacyi na kraj, tyle a nawet i więcéj, niż poprzednio za ten sam majątek razem z dochodem propinacyjnym. W roku zeszłym dużo majątków nabyto za wynagrodzenie, otrzymane za prawo propinacyi, i słusznie wskazać można było na ten fakt, jako na oznakę lepszego obchodzenia się z groszem, wzrastającéj oszczędności i gospodarności u naszego obywatelstwa. Niestety, obecny tydzień wyścigowy we Lwowie dostarcza dowodów, iż poważniejszy pogląd na nasze stosunki krajowe nie dość przemaga w zgromadzoném licznie zamożniejszém obywatelstwie.

Społeczeństwa szczęśliwsze i zamożniejsze, w których byt rodzin i rozliczne potrzeby społeczne, pracą i przezornością wieków sowicie są zaspokojone, nie doznają szkody, jeśli ci, których stać na to, a i nie jedni tacy, których na to nie stać, wydają na kosztowne zabawy i hołdują żyłce gry, czy to na arenie wyścigowéj, czy też przy zielonym stoliku. W położeniu naszego społeczeństwa, wobec naszych stosunków ekonomicznych i tylu najpilniejszych potrzeb publicznych, które wyglądają czynnéj inicyatywy z łona wykształconéj i zamożnéj warstwy naszego społeczeństwa, sąd o takich zabawach wypaść musi koniecznie inaczéj, tak z indywidualnego, jak tém więcéj ze społecznego stanowiska. Mniéj niż gdzieindziéj może nam być to obojętne, że głośne nazwiska, wymieniane na torze wyścigowym i przy stolikach gry w kasynie narodowém, świecą nieobecnością w sprawach publicznych i przy ofiarach na cele dobra społecznego. Posiadanie majątku, a zwłaszcza majątku ziemskiego, jest, jak to pięknie wywiódł w swoim czasie p. Ludwik Górski, ważną funkcyą społeczną, a od tego, jak ta funkcya jest sprawowaną, zawisł szacunek, jakim reszta ludności otacza warstwę zamożniejszą, zawisł wpływ i znaczenie téj warstwy w społeczeństwie.

Zwracam się ku innéj, dodatniejszéj stronie naszych stosunków ekonomicznych. Brak było dotąd u nas, wśród licznych usiłowań podniesienia naszéj produkcyi rolniczéj i przemysłowéj i niejakich w tym względzie bez zaprzeczenia rezultatów, organizacyi handlowéj, któraby w należyty sposób i z korzyścią dla producentów ułatwiała odbyt naszych produktów. Pośrednictwo spekulantów, liczących na wyzysk jak największy w pojedyńczym wypadku, a nie na stworzenie stałéj klienteli przez rzetelną obsługę producentów, ze szkodą dla kraju zastępowało taką organizacyę. W kilku okolicach kraju, po-

tworzone spółki komisowe nie rozwinęły się na szerszą skalę, a parę razy nieoględném postępowaniem naraziły członków swoich na straty. Obecnie, pod patronatem czterech największych instytucyi finansowych w kraju: banku krajowego, banku kredytowego, towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń i galicyjskiéj kasy oszczędności, powstaje towarzystwo handlowe, spółka akcyjna o akcyach, na imię opiewających. Spółka ta ma zadanie ułatwiać odbyt płodów krajowych przez pośrednictwo między producentami a odbiorcami w kraju i za granicą, organizować spółki dostaw dla rządu i wojska, urządzać miejsca sprzedaży wyrobów przemysłu krajowego, uorganizować handel naftą przez zapewnienie odbytu stałego na targach zakrajowych i t. d. W zakres spółki ma wejść przedewszystkiém handel solą, któréj całą produkcyę roczną w Galicyi spółka ma nabywać od rządu, mającego, jak wiadomo, monopol soli, i sprzedawać po jednostajnéj cenie w całym kraju, uwalniając ludność od wyzysku przez dzisiejszych handlarzy, którzy dowolnie nakładają ceny. Nazwiska kierowników instytucyi finansowych, które wymieniłem, dają wszelką nadzieję, że czynności towarzystwa, które stopniowo będą się rozwijały, będą prowadzone ze znajomością danych interesów i stosunków krajowych.

Ze spraw miejscowych dworskich zapisać wypada, że z polecenia ministeryum spraw wewnętrznych złożoną została komissya z delegatów namiestnictwa i gminy miasta Lwowa, celem rozpatrzenia stosunków sanitarnych miasta, które wykazuje śmiertelność znaczniejszą od innych miast większych w Austryi, zwłaszcza zaś w ubiegłym roku. Komisya ta ma zbadać przyczyny niepomyślnych stosunków sanitarnych i obmyślić środki poprawy. W tym przedmiocie odbyło się przed kilku dniami posiedzenie niedawno zawiązanego towarzystwa przyjaciół zdrowia, na którém członek owéj komisyi, referent spraw sanitarnych w namiestnictwie, dr Józef Merunowicz, miał wykład zajmujący o asenizacyi miasta Lwowa. Zebranie, złożone z radnych miejskich, lekarzy i techników, odbyło następnie obszerną dyskusyę nad tym przedmiotem.

Lwów otrzymał teraz osobny teatr letni, budynek drewniany, lecz urządzony wygodnie, a nawet wykwintnie. Położenie teatru letniego w bliskości najprzyjemniejszego spaceru lwowskiego, Wysokiego Zamku, a przy samém śródmieściu, przyczyni się niewątpliwie do większéj frekwencyi. Lwów nie będzie pozbawiony teatru przez dwa lub trzy miesiące letnie, jak to bywało dotąd, za to jednak Krynica, gdzie gościł zwykle teatr lwowski, nie będzie miała téj rozrywki, chyba że inna trupa dramatyczna zajmie opróżnione miejsce.

U.

Obrona granic Rzeczypospolitéj od Tatarów.*)

7-go Stycznia 1522 r., wyjechał król Zygmunt do Wilna. Ztamtąd, gdy ciągłe dochodziły wieści o zamiarach Tatarów wtargnięcia do Polski, posłał na imię wojewodów wici na posp. ruszenie, naznaczając miejsce zboru w Medyce. A ponieważ hetman W. Koronny, Mikołaj Firléj, był chory, komendę nad wyprawą powszechną polecił wojewodom Poznańskiemu, Mikołajowi Lubrańskiemu, i Sandomierskiemu, Andrzejowi Tęczyńskiemu, przydawszy im za pomocników Jana Świerczowskiego, K-rza Wiślickiego, i Stanisława z Chodcza, M-ka Koronnego [1]).

Mało jednakże rycerstwa zebrało się w Medyce, a Wielkopolanie zupełnie nie przyszli [2]). Z tego powodu pisze król do senatorów, w Medyce zebranych: „wzrastający z każdym dniem względem nas opór, z wielką obrazą powagi naszéj i szkodą R-ptéj, gdy rozkazy nasze nie są wykonywane, największe wywołuje w nas oburzenie. Musimy w swoim czasie, wspólnie z wami i innymi panami rady, przedsięwziąć jakieś kroki, ażeby podobne zuchwalstwo i nieposłuszeństwo

*) Zob. Zeszyt 6 tomu II z r. b.

[1]) Tomic. V.

[2]) Szlachta już po raz drugi nie stawi się na posp. ruszenie, pod pretekstem, że król nie staje na jego czele. Tymczasem, na zasadzie konstytucyi sejmu Lubelskiego: „Ordinatio bellicae motionis“ 1506 r., władzę zwoływania posp. ruszenia mógł król przenosić na swego zastępcę—Vicesgerens. Do króla także należało prawo mianowania wodza dla posp. ruszenia i zaciężnych.

władzy naszéj więcéj się nie powtarzało“ [1]). Ale co mógł właściwie król przedsięwziąć, idąc legalną drogą, przeciwko możnemu stanowi? Miał wprawdzie, w obecnym razie, w swych rękach konfiskatę, niepodobieństwem jednak było zastosować jéj do całego stanu. A przecież de jure stan ten ulegał téj karze i właściwie, za nie wyjście na pospolite ruszenie za rozkazem króla, stracił prawo na władanie ziemią.

Posłowie Wielkopolscy, poczuwając się do winy, przybyli do Wilna i tłómaczyli się przed królem, że byli już w drodze do Medyki, ale, doszedłszy do Piotrkowa i usłyszawszy, że Małopolanie rozeszli się, sami téż wrócili do domu. Byli przytém tak bezwstydni, że, nie stawiwszy się na posp. ruszenie, prosili Zygmunta, aby ich od poboru 6 gr. uwolnił i wpłynął na duchowieństwo, ażeby zdjęło z nich ekskomunikę za grabieże w dobrach duchownych, w czasie ciągnienia do Medyki poczynione [2]).

Król odpowiedział na te wymagania w uniwersale do senatorów, urzędników i szlachty Wielkopolskiéj: że, otrzymując ciągle wieści o zamiarach Tatarów wkroczenia do Polski i pomnąc, że stany na sejmach zawsze powoływały się na posp. ruszenie, jako na jedyny sposób obrony państwa, uważał za konieczne powołać je do broni, lubo znana mu jest uciążliwość wyprawy powszechnéj dla rycerstwa i szkoda, jaką państwu przynosi. Ekskomunika jest rzeczą duchowieństwa, on zaś wie tylko o tém, że jest zasłużoną za ogromne szkody, dobrom duchownym wyrządzone. Co zaś do podatków, to dziwi się, że dotąd nie zostały wniesione, gdyż z nich musi opłacać służebnych żołnierzy [3]).

Widzimy tu na przykładzie, jaką-to klęską było dla kraju pospolite ruszenie, które ledwie zdążyło dojść do połowy drogi, a już tyle szkód wyrządziło, że aż wywoływało ekskomunikę.

W r. 1523 dwa razy zbierały się sejmy, ale zupełnie bezowocnie, gdyż szlachta, zasłaniając się posp. ruszeniem, żadnych poborów uchwalić nie chciała [4]).

Na początku 1524 roku zaczęły dochodzić wieści, że Turcy, przeprawiwszy się przez Dunaj, w połączeniu z Tatarami, zapewne Budziackimi, zamierzają wtargnąć w granice R-ptéj. Król, za pożyczone pieniądze, zaciągnął 1,600 jazdy i 400 piechoty, i przydawszy

---

[1]) Tomic. VI. 107.
[2]) Ib. 118.
[3]) Ib. 164.
[4]) Ib. 299, 305.

im 430 żołnierzy swego dworu, oraz 10 dział, wyprawił na spotkanie nieprzyjaciela, a tymczasem rozesłał pierwsze i drugie, a 7-go Marca trzecie wici na posp. ruszenie, któremu kazał się zebrać na Niedzielę drugą po Oktawie Bożego Ciała, u Kosowego Stawu, pomiędzy Buskiem a Glinianami. Starostom zaś kazał się stawić ze swemi pocztami pod chorągiew Firleja [1]).

Wtém przybyli posłowie z Wielkopolski, skarżąc się przed królem, że wyprawa powszechna będzie dla nich wielce uciążliwą, i prosili, aby kazał zebrać sejmiki po powiatach, na których-by jakiś inny, dogodniejszy sposób obrony mógł być obmyślony. Zygmunt, może uwiedziony nadzieją ziszczenia dawnych swych marzeń o reformie posp. ruszenia, przychylił się do żądania Wielkopolan i naznaczył sejmiki nietylko dla Wielko, ale i dla Mało-Polski. Nic jednakże od nich, prócz poborów na zaciąg służebnego żołnierza, nie otrzymał, a tymczasem posp. ruszenie zaniechaném zostało [2]).

Pierwéj jednak, nim pieniądze z poborów wpłynęły, na co długiego trzeba było czasu, wtargnęli w początkach Lipca Turcy i Tatarzy, i nie spotykając nigdzie oporu, dotarli aż do Komorna, a zebrawszy plon obfity, poszli spokojnie do domu. Służebni z pocztami paniąt, których się trochę zebrało, puścili się za uchodzącymi, lecz że na czele stał niedołężny Firléj, potykać się z nimi nie śmieli, chociaż liczba nieprzyjaciela, jak się zdaje, tak dalece imponującą nie była [3]).

Ale ledwie że wynieśli się Turcy, gdy tęż Ruś nieszczęśliwą najechali Tatarzy Krymscy w liczbie 40,000. Ci, że bliższe od granic okolice były już spustoszone, zapędzili się aż do Mościsk, i tam kosz położywszy, rozpuścili swe zagony w Przemyskie i Sanockie, a gdy służebni nawet przeciwko oddzielnym zagonom wystąpić nie śmieli, zebrali łup ogromny w ludziach i dobytku i dopiero w początkach Sierpnia poszli z powrotem do Krymu. Służebni poszli wprawdzie za nimi, ale pomimo to, że i ks. Ostrogski przyjmował udział w pościgu, nic przeciwko ogromnie przeważnéj potędze przedsięwziąć nie śmieli. Krzycki, naówczas biskup Przemyski, Sobieski, Bal i inni, bronili się od Tatarów, okopując się i urządzając zasadzki w lasach.

Po ujściu Tatarów rozeszła się pogłoska, jakoby, złożywszy gdzieś łup zebrany, powracają na nowy rabunek. Król, zatrwożony tą wiadomością, wezwał szlachtę do zbierania się pod chorągwie i nakazał z kmieci i mieszczan dziesiątego, uzbrojonego w oręż, prowadzić

[1]) Ib. VII. 21, 23, 24, 29.
[2]) Ib. 31.
[3]) Ib. 52, 55.

w pole [1]). Zgromadziwszy tym sposobem, jakie mógł, siły, udał się z niemi osobiście z Sandomierza ku Lwowu i tu pod Jaworowem stanął obozem; a potém, gdy ludność tych okolic zaczęła narzekać na uciążliwość w utrzymaniu żołnierzy, z którymi musiała się dzielić resztkami chleba, pozostałemi po Tatarach, posunął się po-przed Lwów i tam zajął stanowisko obronne. Wieść o Tatarach okazała się jednak mylną i król Zygmunt, rozpuściwszy wojsko, wrócił do Krakowa [2]).

Czy może być coś bardziéj oburzającego nad to przekorne zachowanie się owoczesnéj szlachty polskiéj? Gdy od niéj wymagają poborów, odmawia onych, zasłaniając się posp. ruszeniem, a gdy pospolite ruszenie powołują do broni, wykręca się i iść nie chce, i te niecne igraszki swych obrońców lud nieszczęśliwy łzami i krwią opłacać musi.

Sejm, zebrany w r. 1524 na Ś-go Tomasza w Piotrkowie, pod świeżém wrażeniem klęsk dotkliwych, których Podole i Ruś doznały, okazał się łaskawszym w udzieleniu poborów. Ale konstytucyę, w tym przedmiocie powstałą, umotywował w szczególniejszy sposób. Brzmi ona tak: Zważywszy, że posp. ruszenie, będąc uciążliwém dla szlachty i szkodliwém dla poddanych J. Kr. Mości, zarazem przez swą powolność nie odpowiada warunkom walki z szybkim, zwinnym i obrotnym nieprzyjacielem, jakim są Tatarzy, mała zaś ilość służebnych nie zdolna jest opierać się przeważnym siłom tego wroga; zważywszy przytém, że chociaż powinność obrony R-ptéj obowiązuje właściwie szlachtę, ale że sama jedna nie może wydołać ogromowi nieprzyjaciela: wypada tedy z konieczności rozciągnąć obowiązek obrony na wszystkie stany. Wskutek tego uchwala się podatek w ilości 18 złotych, licząc w każdym po 30 groszy, od każdych 30-tu włók ziemi, czyli po 18 gr. z łanu, z których 9 gr. zapłaci właściciel lub dzierżawca, drugie zaś 9 gr. jego poddani.—Takim sposobem, każde 30 włók stanowiły jednostkę, zabezpieczającą utrzymanie jednego jeźdźca w ciągu trzech kwartałów [3]).

Uchwałą tą, jak widzimy, szlachta rozciąga powinność wojenną, w formie podatku, nie na inne stany, które ją dotąd dźwigały, lecz właściwie na siebie. Jeśli zaś jéj się zdało, że wkłada ciężar wojenny na inne stany, to powinna była je dopuścić do używalności praw i przywilejów. Ale i ten skromny datek z własnéj kieszeni, uczyniony dobrowolnie, uważać należy za heroiczną ofiarę ze strony szlachty

[1]) Ib. 49, 50, 60.
[2]) Ib. 66, 68.
[3]) Ib. VIII. 15.

polskiéj. Zapewnie, że tą drogą jednorazowéj ofiary nie można było osiągnąć ustalenia bezpiecznéj obrony granic. Niewiadomo też, ile istotnie w tym roku trzymano zaciężnych; liczba ich jednak nie mogła przenosić 4—5 tysięcy, i to w tym razie, gdyby pobory w całości wpłynęły i były użyte na utrzymanie żołnierzy. Ale, niestety, podług świadectwa Tomicyanów: „w pobieraniu i szafowaniu poborów działy się ogromne nadużycia i kradzieże. Król, pobłażliwy do słabości, nikogo nie karał, senatorowie zaś i urzędnicy nie mogli, czy też nie chcieli, zapobiegać kradzieży grosza publicznego, bo — „corvus corvo oculos non configit“ [1]).

Na tymże sejmie zapadło inne jeszcze, bardzo ważne i doniosłe, postanowienie, mianowicie: taksacya dóbr wszystkich, tak miejskich, jako też i wiejskich, dla sprawiedliwego rozkładu poborów i równomierności w wypełnianiu obowiązku obrony R-ptéj [2]).

Niedługo jednak trwało to podniesienie temperatury serc i umysłów; po uczynionéj bowiem taksacyi, lubo nie zupełnie słusznéj, taki gwałt powstał z jéj powodu na następnym zaraz sejmie, że postanowiono, za zgodą nawet tych, którzy właśnie najzawzięciéj nastawali na konieczność powszechnéj dóbr oceny, spalić księgi taksacyjne, tak, ażeby nawet żadnego śladu po nich w pamięci nie zostało [3]).

Podobnyż los spotkał i powiększone pobory. Na sejmiku generalnym dla Wielkopolski w Poznaniu, który poprzedził sejm, zwołany na Ś-go Mikołaja do Piotrkowa w r. 1525, rycerstwo o nowych podatkach na utrzymanie żołnierza słyszéć nawet nie chciało, wskazując na 10,000 złot., których duchowieństwo jeszcze nie zapłaciło, tudzież na zaległości z przeszłych poborów, a także szos i czopowe z miast. Zgadzało się ono wybrać posłów jedynie dla należytego praw oprawienia. Przypominało przy tém, że po wojnach pruskich, które 14 lat trwały, przez 30 lat żadnych nie było poborów, „a przecież królestwo było takoweż, jako i dzisiaj, tokoweż dochody i pożytki, jako i dzisiaj są, i nadto się jeszcze więcéj dochodów przyczyniło, jako cło nowe, nowy skład i przedawanie soli w Bydgoszczy“ [4]).

Pomimo tego oporu ze strony Wielkopolan, podatek na obronę został uchwalony, ale już tylko w ilości 12 gr. od łanu, a do tego szos i czopowe na dwa lata. Do téj uchwały przystąpili późniéj i Wielkopolanie [5]). Sejm ten przyniósł nowy sposób formowania zaciągów.

---

[1]) Ib.
[2]) Ib. 31.
[3]) Ib.
[4]) Ib. VIII. 1, 4.
[5]) Ib. 9—18.

Postanowiono: aby każdy wojewoda spisał ludzi wojskowych w swojém województwie, zdatnych do służby na Rusi, robiąc taki wybór, aby możniejsi nie więcéj nad 8 koni, mniéj możni na 7, 6, 5, 4, 3 i 2 konie popisali się. Uchwalono przytém, aby województwo Krakowskie wystawiło 150 koni, Sandomierskie tyleż, Lubelskie 100, Ruś, Podole i Bełzka ziemia 600, Poznańskie 160, Kaliskie 160, Sieradzkie 160, Łęczyckie 100, Brzeskie i Inowrocławskie 130, ziemia Dobrzyńska 50, Płockie 110, Rawskie 110. Taką liczbę winien był ogłosić każdy wojewoda żołnierzom swego województwa, nazywając każdego po imieniu i na ilu koniach miał służyć. Król zaś z pobranych pieniędzy miał tym żołnierzom żołd wypłacać. Zaciężni obowiązani byli stawić się we Lwowie i Busku na Ś-go Wojciecha, gdzie ich Mikołaj Firléj i Jakób Secygniowski, popisawszy, mieli przyjąć pod swą komendę [1]).

Jaki cel miała ta ustawa wojskowa, trudno zrozumieć. Nie wnosiła ona żadnego ulepszenia w tworzenie i organizacyę wojską. Owe chorągwie wojewódzkie bardzo przypominają przyszłe chorągwie powiatowe, które zwykle były nędzne, a to głównie dlatego, że miały rotmistrzów słabych, wiadomo zaś, że jaki rotmistrz, taka chorągiew. W tym razie rotmistrze musieli także być obieralni po województwach, a przytém odgrywały zwykle rolę kolligacye, sąsiedztwa i t. d. Rotmistrze, wybierani przez króla, według rekomendacyi hetmana, ze starych zasłużonych żołnierzy, byli odpowiedniejsi dla służby. Sejm wkraczał w prerogatywę króla w przypowiadaniu służby. Ograniczył on i władzę hetmana, stawiąc obok niego Secygniowskiego. Wprawdzie Secygniowski więcéj wart był od Firleja, ale był to szkodliwy precedens. Narobiwszy tyle wcale niepotrzebnéj gmatwaniny, sejm liczbę żołnierzy ograniczył do 1,980 jeźdźców. Gdy tymczasem tu chodziło głównie o powiększenie siły zbrojnéj. Na szczęście ta bałamutna konstytucya miała niedługi żywot, przetrwała bowiem tylko do następnego sejmu.

Tatarzy w tym roku najechali Polskę z poduszczenia Sułtana, który tym sposobem chciał powstrzymać Zygmunta od podania pomocy królowi Węgierskiemu, Ludwikowi. Tym razem spustoszyli oni Wołyń, tudzież Bełzkie i Lubelskie województwa. Król, który wtenczas bawił w Prusach, użył przeciwko nim wojska, zebranego dla pomocy Ludwikowi; lecz siły te były za słabe, aby mogły stawić opór nieprzyjacielowi, który odszedł z łupem spokojnie do domu.

Pod świeżym wpływem tego napadu, oraz strasznéj klęski, poniesionéj przez Węgrów pod Mohaczem, sejm, zebrany w r. 1527

[1]) Ib. 6.

na Trzech Króli w Krakowie, postanowił powtórnie taksacyę dóbr i uchwalił znaczne pobory po 18 gr. od łanu, które w połowie posiadacze ziemscy, a w drugiéj połowie ich poddani płacić mieli, i z miast podatki zwyczajne. Za te pieniądze utrzymywano na Podolu 400 ludzi piechoty i 3,608 koni [1]).

Owocem tego sejmu była ordynacya wojskowa, motywowana w następujący sposób: ponieważ zbiegiem fatalnych przeszkód nie mogliśmy dotąd ustanowić stałéj i pewnéj obrony przeciwko następującym na nas prawie rok rocznie nieprzyjaciołom i zmuszeni jesteśmy ustawicznie zwoływać sejmy dla naradzenia się o téj właśnie obronie, a tymczasem państwo nasze ponosi ogromne szkody i dąży do zupełnéj ruiny, jako to i w przeszłym roku, z powodu słabości straży na granicach, wielkiemu spustoszeniu uległo; zgromadziliśmy sejm obecny, dla obmyślenia jakiejś trwalszéj i pewniejszéj obrony. W tym celu obieramy i wyznaczamy wspólnie z hetmanem W. Koronnym, przełożonych wojskowych, zwanych porucznikami, biegłych i doświadczonych w sztuce wojennéj i przy tém posiadających dobra ziemskie, oni zaś werbują po województwach żołnierzy, podług swego upatrzenia.

Każdy porucznik, mający rotę, z 200 jezdnych złożoną lub nieco mniejszą, będzie pobierał żołd na 10 koni, licząc dla siebie po 10 zł. na konia na kwartał, żołnierzom zaś swoim będzie wypłacał za tenże okres czasu od konia po 6 zł.

Każdy porucznik obowiązany będzie rotę swoją osobiście, nie wyręczając się zastępcami, tak idąc na Ruś, jak téż wracając ztamtąd do domu, prowadzić i pilnować tego, aby żołnierze jego w dobrach

---

[1]) Tu zachodzi nieporozumienie. W „Trzech rozdziałach“ powiedziano co do sejmu 1526 r. „Na czele téj konstytucyi stoi odpowiedź na edykt r. 1525, którym, prócz szlachty, król powołuje do broni stany miejski i wiejski; konstytucya z r. 1526 wygłosiła, że obrona R-ptéj należy wyłącznie do stanu szlacheckiego. Co było z wielką szkodą dla siły zbrojnéj polskiéj, którą pozbawiła na zawsze piechoty“. O tym edykcie nigdzie żadnéj wzmianki nie spotykamy, wiemy tylko, że Zygmunt powoływał mieszczan i chłopów do broni podczas dwókrotnego najazdu Turków i Tatarów w r. 1524.

Tamże w „Trzech rozd.“ p. 83, powiedziano, że „sejm 1526 r. uchwalił pobór na 2 lata, pominąwszy opodatkowanie szlachty, włożył pobory tylko na stany miejski i wiejski“. (Metr. kor. ks. 39. Decret. Conv. Piotr. f. 3 prox. ante fest. Conversionis S-ti Pauli).

Tym tedy kosztem, przez czas letni, utrzymywano na Podolu, pod Marcinem Kamienieckim, 2015 jazdy i 800 piechoty. Na zimę zaś zmniejszano zaciąg do 800 koni.

świeckich i duchownych żadnych szkód nie czynili, ani też poddanym, do dóbr tych należącym, żadnych krzywd nie wyrządzali. W przeciwnym razie obowiązany będzie za wszystkie poczynione ubytki z własnéj kieszeni wynagradzać.

Ażeby zaś porucznik mógł ponosić te koszta bez swéj szkody i nie odpowiadał za cudze winy, ma zatrzymać u siebie pewną część z należnego jego żołnierzom żołdu, tak idąc na Ruś, jako też wracając ztamtąd do domu, na przypadek, aby w razie, gdyby kto z jego towarzyszy lub pachołków wyrządził jakieś szkody lub krzywdy i nie chciał sam ich zaspokoić, wynagrodzić mógł za niego pokrzywdzonych, w obecności innych towarzyszy, a potém z żołdu jego potrącić.

Porucznicy, wracając do domu ze swą rotą, dwa tygodnie przed upłynieniem terminu służby, zachowują nad nią swą władzę i utrzymują ją w ryzie wojennéj, ażeby mogli łatwiéj od czynienia nadużyć powstrzymać.

Porucznicy nie mają przyjmować towarzyszy, służących więcej niż na 8 koniach, ale mogą brać tych, którzy zechcą pełnić służbę, na 7, 6, 5 i 4-ch koniach. Powinni przy tém pilnować, aby każdy towarzysz sam osobiście służył, a nie przez zastępcę lub sługę.

Ani żołnierze, ani ich porucznicy nie mają być zmuszani do jakiejkolwiek komukolwiek przysięgi przez hetmana W. Koronnego, ale winni mu uległość i posłuszeństwo.

Świadectwa o wynagradzanie szkód nie mają być wydawane ani żołnierzom, ani porucznikom; lecz o wynagrodzenie tych szkód ma poszukiwać sam hetman W. Koronny, a wojewodowie i podskarbiowie obowiązani za nie płacić.

Dla ziemi Krakowskiéj, Sandomierskiéj i Lubelskiéj, ma być wyznaczony przez króla szafarz, który, po zebraniu pieniędzy z poborów, powinien je na Ruś odwieźć i służebnym podług regestrów popisowych wypłacić. Województwa zaś Wielkopolskie mają odsyłać pieniądze, z poborów zebrane, do Łęczycy, a ztamtąd pisarz, od króla wysłany, odwiezie je na miejsce przeznaczenia i wypłaci służebnym podług regestrów popisowych.

Konstytucya ta początkiem swym zdaje się obiecywać jakieś ulepszenia w obronie granic, a tymczasem chodzi tu o obronę od własnych żołnierzy. Ale dobrze i to, że przypowiadanie służby i wyznaczenie poruczników wróciły we właściwe ręce. Lecz odstąpiwszy od tego prawa, szlachta stara się zabezpieczyć swe wolności i przywileje od nadużycia siły zbrojnéj ze strony króla, zabraniając wojsku przysięgi,—nieufność, na którą król Zygmunt wcale nie zasługiwał.

Na tym kończymy nasz przegląd obrony granic od Tatarów, daléj bowiem Tomicyana, główne źródło naszéj wiedzy, nie sięgają. Ale

i tych lat dwudziestu (od 1507 — 1527) aż nadto dosyć, ażeby utworzyć sobie pojęcie i o napadach Tatarów, i o szkodach przez nich wyrządzanych, i o walkach z nimi, i o rozmaitych formach i sposobach obrony, równie jak o przebiegu i uchwałach dwudziestu sejmów, powoływanych do obmyślenia skutecznéj i pewnéj obrony granic od tego okrutnego wroga.

Wiemy już, że napady tych ptaków drapieżnych, połączone z okrucieństwami, których szczegółowy opis może poruszyć nawet najtwardsze serce, wypleniały pograniczne kraje z ludu, ogołacały z dobytku i mienia i tym sposobem rujnowały ich stan ekonomiczny i utrudniały kolonizacyę najżyźniejszych Rzplitéj prowincyi. Była to prawdziwa plaga, istny bicz boży, jakby przeznaczony na to, ażeby podniecić w najwyższym stopniu instynkt samozachowawczy Polaków i pobudzić ich do przedsięwzięcia skutecznych środków obrony, w postaci np. wojska stałego, które tu było niezbędne, a które zarazem odpowiadało-by potrzebie ogólnéj obrony i, raz ustanowione, mogło-by zapewnić nazawsze całość, byt i wielkość Rzplitéj.

Ale, jak mówi przysłowie: większa jest głupota i egoizm ludzki, aniżeli miłosierdzie Pańskie. Żadne, jak najboleśniejsze nawet, doświadczenie i próby nie były już zdolne poruszyć serc tych zakamieniałych grzeszników, w swawoli i egoizmie rozpasanych i stawiających swą złotą wolność i przywileje wyżéj nad dobro ojczyzny. W ciągu dwudziestu lat rok rocznie zbierają się sejmy w jednym jedynym celu obmyślenia skutecznéj obrony granic od Tatarów. I cóż obmyślili — nic, zgoła nic. Król prosi, nawołuje, upomina, wysilając się tak w orędziach, jak w przemówieniach swych mówców na jak najdobitniejsze argumenta o konieczności opatrzenia granicy od Tatarów. I cóż otrzymuje w odpowiedzi? pobory od 6 do 18 gr. od łanu, za które może utrzymywać wcale niewystarczającą liczbę żołnierzy, i posp. ruszenie. O téj niedołężnéj milicyi mówiliśmy już dosyć, ale najlepszym dowodem jéj nieużyteczności jest to, że w ciągu 20 lat ani razu nie wystąpiła do boju z nieprzyjacielem, bo, albo król, unikając spustoszenia kraju, wzdragał się je powoływać, albo, gdy powołał, nie usłuchało rozkazu i nie wyszło. Była więc to fikcya, którą stany same siebie oszukiwały.

Co zaś do poborów, to na pierwszy rzut oka uchwały sejmowe o nich wyglądają jakby na jakąś igraszkę. Potrzeba zawsze jest stałą i jednakową. Nieprzyjaciel zagraża w każdéj chwili i niewiadomo dnia, ani godziny, kiedy wtargnąć zamierza. Stany zaś to dają więcéj, to mniéj, a czasami i zupełnie odmawiają poborów, okazując w tém jakby łaskę lub niełaskę królowi. W istocie przyczyna tych targów mogła tkwić głębiéj. Być może, że ówczesny chłop pol-

ski nie był w stanie w niektóre lata zapłacić 12 a nawet 6 gr. od łanu. A tymczasem nietylko tych 12 ale 18 gr. było za mało. Szlachta wiedziała i rozumiała dobrze, że tu trzeba było sięgnąć do własnego mieszka; ale na ten krok heroiczny zdobyć się nie mogła. I o to zahaczyła się cała sprawa. Bo obrona granic wymagała wojska, a wojsko bez pieniędzy istnieć nie mogło.

Zdarzały się trafne i szczęśliwe pomysły, jak np. projekt królewski zamiany powinności wojennéj na pieniądze, i parę razy podniesiona na sejmach taksacya dóbr. Gdyby te reformy przeprowadzić się dały, Polska była-by zbawiona. Niewiadomo, jaką-by otrzymała siłę zbrojną, ale w każdym razie rozwiązała-by kwestyę rozumnie i uczynila, co tylko mogła, dla swojego dobra. Nie dały się jednakże te zbawienne reformy w życie wcielić. I ztąd, gdy W. Ks. Moskiewskie opasało się od Tatarów całą długą linią zasiek, za którą utrzymywało 35,000 wojska, a Austrya dla obrony od Akindzów, takichże rabusiów jak i Tatarzy, urządziła granicę wojenną, Polska pozostała otworem na łasce dzikiego wroga, który, uważając ją za swój folwark, gospodarował w nim, jak i kiedy chciał. Rząd i lud przyzwyczaiły się do téj plagi i znosiły ją, jak każdą inną elementarną plagę, jak grady, posuchy, powodzie, i taki stan rzeczy trwał prawie do końca istnienia Rzplitéj, aż póki sąsiednie państwo nie zrujnowało tego gniazda łotrów i rabusiów, żyjącego, jak każdy pasożyt, kosztem cudzéj krwi i soków, znoju i potu.

Dalsze losy obrony granic od Tatarów znamy już tylko urywkowo z Kroniki Bielskiego i Aktów Metryki Koronnéj, cytowanych w „Trzech Rozdziałach Historyi Skarbowości w Polsce“.

W r. 1528 utrzymywano na Podolu 3200 koni i 300 piechoty. Ale w roku następnym już znacznie mniéj, mianowicie: w pierwszéj ćwierci 1000 jazdy, w drugiéj 1600, a w trzeciéj tylko 500 koni i 150 piechoty, pod dowództwem Jana Koła z Dolejowa, który objął komendę po Marcinie Kamienieckim, hetmanie polnym. Pobory w tym roku złożyła tylko Małopolska, Wielkopolska zaś nic dać nie chciała.

W r. 1530 uchwalono pobory na wojnę wołoską, a w r. 1531 toczyła się ta wojna. Tatarzy zachowali się oba lata spokojnie.

W latach 1532 i 1533 odbywały się sejmy; ale sejm ostatniego z lat pomienionych, za nieobecnością posłów wielkopolskich, nie chciał pozwolić na pobory i ledwie za usilném naleganiem króla, który na wszystko upraszał, aby nie zostawiano granicy bez opatrzenia, zgodził się na podatki, ale z tym warunkiem, aby na sejmikach generalnych w Kole i Korczynie aprobowane były.

W r. 1534 sejm postanowił podatek po 16 gr. od łanu i za te pieniądze utrzymywano na Podolu nieco znaczniejsze siły. Tatarzy,

dowiedziawszy się, że Ruś posiada jaką taką obronę, obrócili się na Wołyń, gdzie wyrządzili znaczne szkody i uprowadzili do 15,000 ludu.

W r. 1536 król nakazał pospolite ruszenie, pozostawiając stanom, jeżeli zechcą, uchwalić pobory. To też rycerstwo, zebrawszy się na sejmiki w Kole i Korczynie, wolało uchwalić podatek po 8 gr. od łanu, które chłop płacił, aniżeli iść swemi osobami na wojnę.

W r. 1537 sejm, zwołany dla obmyślenia środków na wojnę z Wołochami, którzy, wtargnąwszy na Pokucie, poczynili znaczne szkody, nie chciał postąpić poborów. Król tedy zmuszonym się widział powołać pospol. ruszenie do Trębowli. Szlachta, zebrawszy się pod Lwowem w liczbie około 150,000, zamiast iść na wroga, zaczęła narzekać na Zygmunta, że wielu rzeczy nie czyni, z ubliżeniem praw i wolności narodu, i że panowie rada jemu w tém pomagają. Podali też artykuły spisane i wymagali, aby je król zatwierdził, bo inaczéj przeciwko nieprzyjacielowi nie pójdą. Zygmunt na niektóre z żądań pozwolił, inne zaś odesłał do przyszłego sejmu i przez Tarnowskiego upominał szlachtę, przedstawiając jéj, że bezkarność najezdcy ośmieli innych nieprzyjaciół i poda Rptą w lekceważenie i pogardę, aby, albo własnemi osobami szła, albo złożyła pieniądze, gdyż pobory z miast nie wystarczały na zapłatę zaciągniętym na wyprawę 3500 żołnierzy, na co król ze swéj szkatuły 30,000 złotych dodać musiał. Ale napróżno Tarnowski wyzyskiwał całą siłę swéj wymowy i poważnych argumentów; rycerstwo, nie widząc nieprzyjaciela na swéj ziemi, nie chciało iść za granicę, aż póki mu, na miejscu we Lwowie, po 5 grzywien na kopię zapłacono nie będzie. Król, widząc, że nic na szlachcie nie wskóra, rozpuścił ją do domów.

Wykonała tu szlachta przytoczoną wyżéj pogróżkę podczas najazdu Tatarów w r. 1516. Miała też pewną racyę, zasłaniając się przywilejami króla Loisa, ale za to nie miała prawa zwać się filarem narodowéj obrony. Nim bowiem filar ten z miejsca się ruszył, nieprzyjaciel mógł spustoszyć i zrujnować kraj cały; a gdy umknął, trzeba było płacić takie sumy, na jakie, jak słusznie powiada komentator Tomicyanów, ani Krezus, ani Daryusz zdobyć się nie mogli.

Słowa też znakomitego mówcy i prawnika, Tuszyckiego, wypowiedziane przy pożegnaniu króla we Lwowie: „Co się tyczy wyprawy wojennéj, tego przedewszystkiém potrzeba, abyś dobrze trzymał, że ci żołnierze (posp. ruszenia, pod Lwowem zebranego), których widzisz, są potęgą i twierdzą państwa twojego“, słowa te, powiadam, zakrawają na ironię. A już zupełnie bredzi Tuszycki, gdy mówi, dobijając się skasowania cła nowego: „sprawiedliwie nam to pozwolone było (wolność od cła), nam, mówię, którzy orężem, dzielnością i radą utrzymujemy zaszczyt i dobro Rzplitéj“.

W ciągu ostatnich lat panowania Zygmunta I, sejmy, podobnie jak i przedtém, to uchwalały pobory, które nie przenosiły 12 gr. od łanu, to zupełnie onych odmawiały, kierując się względami ubocznemi, a nie potrzebami obrony, a tymczasem ziemie pograniczne, tak samo, jak w poprzednie lata, były najeżdżane i niszczone.

Po wstąpieniu na tron Zygmunta Augusta, na sejmie 1550 roku podniesiono tak zwaną egzekucyę praw koronnych, przez królów Albrechta i Aleksandra postanowionych, względem alienacyi dóbr stołu królewskiego. Nie wiedziano jednak, jak się wziąć do egzekwowania tych praw, nie wyjaśniono téż sobie, kogo one mianowicie dotkną. Skończyło się tedy na postawieniu tylko kwestyi, bez jéj rozwiązania.

Na sejmie 1552 r., gdy król zaczął mówić o obronie granic, posłowie odpowiedzieli, że o żadnéj obronie od postronnego wroga słyszéć nie chcą, póki się od domowego nie oswobodzą. Zdało-by się, że rozum polityczny powinien-by był podyktować rycerstwu opinię odwrotną; ale ono miało właściwą sobie logikę.

Nareszcie, gdy położenie rzeczy, wskutek nieuchwalania poborów i ciągłych najazdów tatarskich, stało się niemożebném, szlachta prosiła króla o zwołanie sejmu. Pozwolił na to Zygmunt August i 22 listopada 1562 roku zebrał się w Piotrkowie ów sławny sejm, na którym rozpoczęły się obrady o egzekucyi praw.

Urządzenia wojskowe.

Nie jest moją rzeczą wdawać się w przebieg rozpraw sejmowych, które się przeciągnęły do następnego 1563 r. i skończyły się w Warszawie. Rezultat ich był taki, że król, ze wszystkich dóbr stołu swego, jako: gołe dożywocia, dzierżawy i tenuty, a także z ceł i innych dochodów, ustąpił czwartą część, na którą zostały podniesione ceny dzierżawne dóbr królewskich, wskutek czego czwarta część stała się piątą częścią, utrzymawszy nazwę kwarty. Takim sposobem został zapewniony dochód stały na utrzymanie tak zwanéj obrony potocznéj, czyli wojska kwarcianego, przeznaczonego do obrony od Tatarów.

Sposób wydawania kwarty został określony konstytucyą w roku 1569. W myśl téj ustawy, pieniądze kwarciane dzielono na dwie części: jedną połowę odwoził deputat z Rawy do Lwowa, na opłacenie półrocznego żołdu żołnierzom podolskim, drugą na następne półrocze zatrzymywano na miejscu. We Lwowie zaś deputat oddawał tylko połowę przywiezionych przez siebie pieniędzy do rąk pisarza polnego, dla zapłacenia żołdu kwartalnego, a drugą składał na ratuszu

lwowskim, pod pieczęcią tegoż pisarza, starosty i burmistrza lwowskiego, przeznaczając ją na następny kwartał. Na drugie półrocze znowu zjeżdżał do Rawy podskarbi wraz z deputatami i pozostałą połowę dla wojska przeznaczał.

Ponieważ starostwa znajdowały się przeważnie w rękach panów, podniesienie na piątą część płacy, oraz wypłata takiejże części z gołych dożywoci, uszczupliła nieco dochody magnackie. Ale zapewnienie stałego dochodu na utrzymanie wojska uwolniło królów od wypraszania ciągłego poborów u sejmów, a stan kmiecy od ich wypłacania. Rzplita uzyskała wprawdzie wojsko stałe, ale już nie w mierze, zakreślonéj reformą, projektowaną przez Zygmunta I; liczba bowiem tego wojska, jak to widać z załączonego w przypisku [1]) rachunku kwartalnéj płacy żołnierzom kwarcianym, nie dosięgała nawet 4000.

---

[1]) Z M S. nienumerowanego Biblioteki Krasińskich. Comitivae equestres et pedestres ad Quartuale septimum (niewyraźnie, trudno odczytać) stipendium facientes in Russiae et Podoliae finibus, conscriptae in Trembowla die 12 Septebp. Anno 1569

Equestres.

Comitiva M D. Georgic a Bucacz et in Jazłowiec Palatini Russiae et exercituum regni Capitanei . . . . . Eques 200
Ioannis Koźmiński 150
Ioannis Białoskorski 100
Ioannis Gorajski 150
Christophori Lipski 50
Martini Kunot 150
Mathei Kozielski 150
Ioannis Iordan 100
Ioannis Wolski 100
Martini Czuriłło 50
Mathei Ossowski 150
Martini Ossoliński 150
Nicolai Potocki 150
Nicolai Herburt 100
Michaël. Iazłowiecki 150
Christophori Tarnowski 150
Summa Equitum 2200 Inter quos gravis armaturae Equ. 176 per fl. 12 facit flor 2,112
Levis vero armaturae Eq 2024 per fl. 9 facit fl. . . 18,216
In sagittarios M. D. Pal. Russiae . . . . . 500 per fl. 6 facit fl. 3,000

D-s Gosławski in sagittarios leviores 40 per fl. 6/719 et eques graviores 8 per fl. 9 facit fl. 322.

Moschos in equos 50 per fl. 5 fac. 250. In bombardos D. Koźmiński 24 per fl. 9 facit. 216.

Petihorcom in equos 70 per fl. 8 fac. 630.

Summa praemissorum facit fl. 24,746.

Skład kwarcianego wojska w r. 1569 był następujący:

Jazdy różnéj	2320 koni
Piechoty	1390
Koni przy piechocie	25
Artyleryi	24
Summa ludzi konnych i pieszych . . .	3759.

Płacono na koń na kwartał: usarzowi po 12 zł., kozakowi i petyhorcowi po 9, pieszemu po 6 zł., artylerzyście po 9 zł. Na furmanów zapisano pod działa 200 złotych. Komenderujący tém wojskiem hetman polny, Jerzy Buczacki, wojewoda ruski, pobierał kwartalnie po 350 zł., pisarz polny po 100 zł. Widzi mi się niesprawiedliwością

Comitivae pedestres.

Comitiva G. D.

Nicolai Uherski . . . . . pedit.	50
Iacobi Strzemieski	50
Ioannis Koźmiński	50
Ioannis Fraktni (nieczytelne)	100
Ioannis Kulca	100
Ioannis Szipowski	100
Adam Rozen	100
Ioannis Rembowski	100
Cziołek	100
Ioannis Trębicki	100

Summa pedit. 850 per fl. 5 facit fl. 4,250.

Eisdem in eques gravis armaturae ad quodlibet centum pedites, per equ. 2• facit equ. 17 per. fl. 12 fac. fl. 204.

Summa praemissorum fac. fl. 4,454.

Summarium itaque in equites et pedites summarium, pro uno Quartuale fuit fl. 29,200. De quibes detrahuntur skarbnego p. M. D. regni Thesauriario fl. 292 Incumbunt pro milit. fl. 28,908.

Officialibus.

D. Campi prefecto p. Quart.	350
Eidem roue (?) (trudno wyczytać) pro custodia finium	352
Notario Campestri	100
Summa horum facit fl. 802.	
Summa pro Quartuale uno fac. 30,002 per fl. . . .	60,004
Summa rocuis (?) expeditionis in milites et officiales, pro uno quartuale facit	29,710
pro utraque vero	59,420
Na furmany fl.	200
Na strawę	350
facit Summa	59,790

(Na rachunku oryginalnym podpisany Jan Gorecki Króla IMci pis. pol. Cust. Dobrzyński).

potrącenie z chudych zwykle żołnierzy skarbnego na rzecz tłustego podskarbiego.

Była to bardzo odpowiednia chwila do pociągnięcia także i stanu rycerskiego do powinności wojennéj stałéj i rzetelnéj, czy to w naturze, czy w pieniądzach, pełnił ją bowiem, jak już widzieliśmy, tylko fikcyjnie; ale ani jednéj duszy pobożnéj nie znalazło się, która-by w téj kwestyi, o pomstę do Boga wołającéj, głos zabrała, i w ten sposób szlachta na zawsze wyłamała się z pod jarzma „jus militaris", a Rzplita otrzymała obronę, która ani jéj przestrzeni, ani rozciągłości granic, ani znaczeniu politycznemu nie odpowiadała.

Z tém wszystkiém wojsko kwarciane, lubo nieliczne, miało dla Rzplitéj ogromne znaczenie; a naprzód, jako szkoła, w któréj odbierał wykształcenie żołnierz polski i z któréj wyszło wielu sławnych hetmanów, regimentarzy i rotmistrzów; a powtóre, jako kadr, z którego, w razie potrzeby przyczynienia wojska zaciężnego, na przypadek wielkiéj wojny, otrzymywała Rzplita wykształconych rotmistrzów, poruczników i chorążych.

W rozprawie „O rozwoju sztuki wojennéj w Polsce w wieku XV" starałem się udowodnić, że pierwszym hetmanem W. koronnym dożywotnim był Mikołaj Kamieniecki. Po nim buławę wielką otrzymał Mikołaj Firléj, który niedołężnie prowadził wojnę pruską, opieszale, jeśli nie tchórzliwie, występował przeciwko Tatarom i wcale nie odpowiadał wysokiemu stanowisku naczelnego wodza Rzplitéj. Po jego śmierci godność hetmańską piastował mąż wielkich zdolności, któremu równego Europa współczesna nie miała, a był nim Jan Tarnowski. Tomicyana dochowały nam patent, wydany Tarnowskiemu przez Zygmunta I na urząd hetmana W. koronnego; brzmi on jak następuje: „Litere super palatinatum Russie et Capitaneatum seu prefecturam exercituum regni magnifici Joannis comitis de Tarnow. Sigismundus etc. Significamus tenore presentium, quibus expedit universis. Quia nos habentes rationem eximiarum virtutum et meritorum et in rebus agendis dexteritatis magnifici Joannis comitis de Tarnow, castellani Vojnicensis et capitanei Sandomiriensis, sincere nobis dilecti, ejusqe in re militari peritiam et animi fortitudinem, singularem que solertiam perpendentes simul ac memoria repetentes singularia merita majorum ipsius, quibus se predecessoribus nostris et nobis commendatos reddiderunt, dignum esse censimus, ut eundem magnificum Joannem comitem, ad majora ipsarum virtutum suarum premia et testimonia referamus majoribusque honoribus et titulis decoramus. Ut proinde cum vocatio palatinatus Russie generalis, per promotionem magnifici Otto de Chodecz ad palatinatum Sandomiriensem, nec non prefectura seu capitaneatus generalis exercituum regni nostri

per mortem magnifici olim Nicolai de Dambrovycza, castellani Cracoviensis ut obtulit... prefecturam exercituum regni generalem dedimus, contulimus... de jure et consvetudine spectantibus, nullis penitus exceptis, tenendum, habendum et possidendum, dantes et concedentes eidem magnifici Joanni de Tarnow plenam et omni modum potestatem omnes es singulos exercitus regni gubernandi, nobiles et milites mercenarios, equites et pedites, aliosque quos libet subditos nostros, in ipsis exercitibus congregatos et ad bellicam servitutem obnoxios, pro eorum demeritis et excessibus, secundum jura, consvetudine et disciplinam militarem castigandi et puniendi, aliaque omnia et singula faciendi, gerendi et crescendi, que ad officium campiductoris regni nostri de jure vel consvetudine pertinent... Datum Cracovie in conventu generali feria tertia proxima, post dominicam Letare Anno 1527 Maji 21".

Dyplom ten ma być uważany za jedyną podstawę i źródło władzy hetmana W. koronnego, żadnych bowiem innych ustaw, określających atrybucye téj władzy, nie posiadamy. Podług tego orzeczenia hetman W. K. sprawuje rządy całéj siły zbrojnéj Królestwa i jéj działów, karze za winy i wykroczenia wszystkich należących do wojska, podług prawa, zwyczaju i reguł dyscypliny wojennéj, i czyni wszystko, co do jego hetmańskiego urzędu należy. Kary za przestępstwa wyznaczały się szczegółowo w artykułach, które hetman ogłaszał, po wstąpieniu wojska do obozu, odkąd też zaczynały się funkcye jego władzy.

Po śmierci Tarnowskiego, Zygmunt August, zrażony może ciągłą jego oppozycyą i przekornością, zdaje się nikomu dożywotnio tego ważnego i wpływowego urzędu nie powierzał. Mieliśmy odtąd tylko czasowych hetmanów, jak np. Mikołaja Mielęckiego, podczas wielkiéj wyprawy przeciwko mistrzowi inflanckiemu, jak Floryana Zebrzydowskiego na jednéj z wojen z Moskwą, jak w czasie tychże wojen tymczasowo Leśniewolskiego, młodego Sieniawskiego. Kto zaś był porucznikiem królewskim w wielkiéj wyprawie pod osobistym dowództwem Zygmunta Augusta, która spełzła na niczém u Radoszkowic, nie jest nam wiadomo.

Podobnie, jak urząd hetmana wielkiego, powstało za Zygmunta i hetmaństwo polne koronne, i pierwszym, podniesionym na tę godność, był, jak już wiemy, Marcin Kamieniecki w r. 1520. W myśl swego pierwszego przeznaczenia i dalszéj roli, byli hetmani polni stróżami granic od Tatarów i znajdowali się zwykle przy wojsku zaciężném, a późniéj kwarcianém, na Podolu.

Po Marcinie Kamienieckim, który po kilkakrotnie występował dość chlubnie przeciwko Tatarom, buława polna dostała się w r. 1529

Janowi Kołowi z Dolejowa, kasztelanowi halickiemu, o którego czynach wojennych nic nam nie wiadomo. Współcześnie z Tarnowskim był także hetmanem polnym, zdaje się, Mikołaj Sieniawski. Wiemy także, że w roku 1569 dowodził wojskiem kwarcianém Jerzy Buczacki, wojewoda ruski, tytułowany w przytoczonym wyżéj rachunku „Capitaneus regni exercituum“, a także „Campi prefectus“, może hetman polny. Dalszego następstwa hetmanów polnych nie znamy. Żołd hetmana polnego w roku 1569 wynosił 350 złotych i zdaje się na szpiegów 352 złote kwartalnie.

Za króla Zygmunta Starego ustanowione także zostało pisarstwo polne, którego przeznaczeniem było popisywanie ludzi i koni, po zebraniu się wojska do wielkiego obozu, tudzież przed wydaniem żołdu za ćwierć.

Pisarze polni składali przysięgę podług następującéj formy: „Ego Nicolaus Lutomierscius juro, quod Seren. regi et regno Polonie fideliter serviam, et omnia damna in exercitibus et stipendiariis equitibus et peditibus S. M. et Reg. Pol. evenientia, diligenter providebo et custodiam omnes equos tam perdamnificatos, quam ad servitium stipendii conductos et conducendos veraciter conscribam, et hec omnia diligenter et fideliter faciam, nec eadem negligam vel obmittam, causa timoris, odii, furoris, amoris lucri aut donorum, sed omnia damna regie Mtis et regni, que inter equites et eorum equos ac pedites evenerint diligenter custodiam et ea regni Mti, aut domino capitaneo exercituum regni, fideliter revelabo. Sic me Dominus Deus adjuvat et hec sancta crux“.

Kiedy mianowicie został ustanowiony urząd pisarza polnego — niewiadomo. W Tomicyanach T. I. ust. 121 czytamy, że Zygmunt posyła pieniądze dla służebnych żołnierzy Lanckorońskiemu przez Wacława, którego nazywa „Notarius Castrensis“ — pisarzem obozowym czyli polnym. Było to w r. 1510. Podług „Trzech Rozd. Skarb.“ następstwo pisarzy polnych miało być takie: Ambroży Ormiańczyk, Wacław z Baworowa, może ten sam, którego Zygmunt do Lanckorońskiego posyłał, i Zbigniew Słupecki, zdobywca Gwoździca. Czy tak istotnie było — nie wiem; ale w każdym razie opuszczony tu został Lutomierski, wspomniany w przysiędze; Gwoździec bowiem został zdobyty w r. 1531, a Lutomierski składał przysięgę w r. 1520. Wyjaśnienie téj kwestyi, równie jak następstwo hetmanów wielkich i polnych za Zygmunta Augusta, odkładam do dalszych badań.

Konstanty Górski.

BALLADA.

Na dworcu samotnym kniaziowa mieszkała,
A dworzec miał baszty i mury...
Kniaź w puszczach czas spędzał, na koniu, jak strzała,
Gnał żubry, jelenie i tury.

— „Mój mężu — mówiła, gdy łuk brał i zbroję
I ręką łby gładził psów lotnych —
Ja pustki tych komnat, snów własnych się boję
I boję się marzeń samotnych.

„Gdy ciebie tu niéma, w tych dużych komnatach
Cień jakiś w zbroicy się snuje;
Szept słyszę w powietrzu, łzy widzę na kwiatach
I serca lękliwy stuk czuję.“

— „Co tobie, niewiasto?.. sen mara!.. a znasz ty
Zaklęcia na złudne widzenia?
Każ ciężkie zwieść mosty, niech patrzy straż z baszty,
Co chwila na czatach się zmienia.“

— „Ej! nie wierz wrzeciądzom, ni mostów łańcuchom...
I czaty wieżowe spać mogą;
Straż dobra, mur dobry — nie cieniom, nie duchom,
Co płyną powietrzną gdzieś drogą.“

„Zdejm z ramion łuk turzy, psy odgoń od siebie,
Chodź ze mną pomarzyć nad zdrojem;
Ja piosnkę miłosną zaśpiewam dla ciebie,
Swych ramion otoczę powojem.“

Daremnie tak szepce — nie słucha mąż stary,
Nie szuka ust lubych słodyczy...
Róg dzwoni — koń parska, skowyczą ogary
I charty się wiją na smyczy.

Daleko — daleko, gdzie las ten sosnowy
Niezwiędlą zielenią wciąż patrzy,
Brzmi trąbka myśliwska, róg dzwoni kniaziowy,
Wciąż cichszy—wciąż dalszy—wciąż rzadszy...

Nie prędko te dźwięki znów w pieśń się ułożą...
Na dworcu się cisza rozsiadła;
Kniaziowa strach czuje, sny własne ją trwożą
I marzeń niesforne widziadła.

Napełnia szmer dziwny milczące komnaty,
W gwar senny uderza noc cicha —
To drzewa coś szepcą, całują się kwiaty,
To pierś jéj samotna tak wzdycha!

Aż oto, w noc jedną, gdy ciszą ujęty
Stał dworzec, na bramach straż spała,
Zagrzmiały w dziedzińcach nóg końskich tętenty,
Miecz szczęknął i zbroja zabrzmiała.

I rycerz na koniu przesadził w lot mury,
Coś tulił w swych ramion uścisku...
Kniaź z łowów powrócił, wiódł żubry i tury,
Lecz żony nie zastał w zamczysku!

Kazimierz Gliński.

ZIEMIA I JÉJ ODŁUŻENIE

w Królestwie Polskiém[1]).

STOPY PROCENTOWE.

I.

Nie wdając się w zbyt długie wywody teoretyczne, zaznaczamy tu fakt, znany zresztą ekonomistom, że pieniądze, zabezpieczone na hypotece, rzadko kiedy bywają zwracane właścicielowi, a jeszcze rzadziéj, przy normalnym biegu rzeczy, znika z księgi hypotecznéj dług, raz tam zapisany—zmienia się nazwisko wierzyciela, ale dług po dawnemu zostaje.

Taka jest natura tego kredytu. Kapitał, wypożyczony na hypotekę, traci swoją samodzielność, unieruchomia się niejako, zamienia się poprostu na źródło dochodów.

Łatwo to zrozumieć. Mając stały i pewny dochód od swoich pieniędzy, wierzyciel nie pragnie zwykle zwrotu. Żądania zaś wypłaty zaczynają się wtedy dopiero, kiedy dłużnik przestaje opłacać procent. Kapitał w takim razie wzrasta, bo go powiększają zaległości, a środkiem zmuszenia dłużnika do spłaty, jeżeli jéj nie chce lub nie może uczynić dobrowolnie, jest sprzedaż majątku sądownie przez licytacyę. Pierwszy krok do téj operacyi nazywa się *wypowiedzeniem kapitału*.

[1]) Zob. Zeszyt 6 tomu II z r. b.

Zobaczmy więc, przy jakich warunkach wypowiedzenie to odbywa się, lub odbywać się może.

Pamiętać przedewszystkiém należy, iż wysokość stopy procentowéj znajduje się w stosunku odwrotnym do pewności zabezpieczenia kapitału i dochodów. Tak się zresztą dzieje nietylko przy kredycie hypotecznym, toż samo zjawisko spotykamy wszędzie — do ryzyka skłania zazwyczaj chęć i nadzieja większego zysku. Bezpieczeństwo zaś kapitału, umieszczonego na hypotece, zależy od miejsca, na którém on został zapisany, gdyż, jak wiadomo, w razie sprzedaży przymusowéj, spłacani są wierzyciele, wprzód do księgi wciągnięci, albo ściśléj: znajdujący się na pierwszych numerach. Jeżeli otrzymana suma nie starczy, pozostali wierzyciele tracą swoje pieniądze ostatecznie.

Pod względem więc bezpieczeństwa, możemy podzielić miejsca w księdze hypotecznéj na trzy klasy. Do pierwszéj, najlepszéj, należą te początkowe numery hypoteki, na których ulokowane sumy, razem wzięte, nie przenoszą połowy szacunku. Kapitały, znajdujące się na tym stopniu ubezpieczenia, są całkiem pewne, właściciele obawiać się ich utraty nie potrzebują w żadnym wypadku.

Stopień drugi zaczyna się w księdze hypotecznéj zaraz po stopniu pierwszym i ciągnie się przez całą drugą połowę szacunku, aż do jego wyczerpania. Daje on mniejszą znacznie pewność, niż pierwszy. Właściciel sumy, w jego granicach ubezpieczonéj, musi się obawiać, że w razie spadku cen, w razie dewastacyi, w razie niepomyślnego obrotu licytacyi, pieniędzy swoich nie odzyska. Ale jednocześnie może miéć nadzieję, że rzeczy nie wezmą tak złego obrotu, że sprzedaż przyniesie tyle, ile majątek wart, i jego suma zostanie mu zwróconą. Ma zresztą środek ratunku, nie zawsze oczywiście skuteczny: licytować aż do pokrycia własnéj należności. Procenty są tu oczywiście wyższe, niż na pierwszym stopniu ubezpieczenia.

Nareszcie istnieje jeszcze stopień trzeci, w naszym kraju, niestety, rzadkością nie będący; sumy, na nim oparte, znajdują się po-za wysokością szacunku dóbr. Bez wypadku nadzwyczajnego, kapitału, tak daleko w księdze zapisanego, nigdy wierzyciel nie odzyska; może on wrazie najlepszym rachować na wypłatę przez czas pewien procentów, które oczywiście w tym razie są bardzo wysokie.

Teraz zobaczmy, z którego stopnia najbardziéj grozi właścicielowi dóbr wypowiedzenie pożyczki. Wierzyciele najmniéj pewni — ze stopnia ostatniego — wypowiadać często mają *potrzebę*, ale nigdy prawie nie mają *celu*, bo subhastacya, która jest ostatnim aktem dochodzenia ich pretensyi na drodze sądowéj, najprawdopodobniéj nic im nie da. Dłużnik o tém wie, jeżeli więc nie ma środków uiszczenia

wszystkich procentów, to wypłaty zawiesza, od szarego końca poczynając, t. j. najdłużéj zaspakaja wierzycieli z pierwszych numerów. Ci więc ostatni, chociażby mogli osiągnąć *cel*, nie mają *potrzeby* rozpoczynać procesu. W razie gdyby wierzyciel ze stopnia pierwszego zapotrzebował zwrotu sumy z powodów innych, właściciel majątku łatwo znajdzie zastępcę, w księdze hypotecznéj zmieni się jedynie nazwisko, ale wszystko reszta: stopień odłużenia i stopień pewności każdéj pożyczki, pozostaną zupełnie takie same, jak dawniéj.

Widzimy więc, że się tworzy rodzaj koła zaczarowanego, które częstokroć długo odwleka ostateczną katastrofę wywłaszczenia dawnego posiadacza na rzecz wierzycieli. Ale z drugiéj strony, im gorsza jest klasa, tém niebezpieczniejsze jest wypowiedzenie pożyczki przez wierzyciela, do niéj należącego. Jeżeli zażądanie zwrotu pieniędzy wyjdzie z numeru pierwszego, dłużnik szuka zastępcy, kosztuje go to nieco pieniędzy i ambarasu, ale groźném nie jest. Wypowiedzenie ze stopnia drugiego już stanowi niejakie niebezpieczeństwo. Na pewno niepodobna liczyć, czy na numery dalsze, po-za połową szacunku, znaléźć będzie można w każdéj chwili nową pożyczkę. W każdym razie koszta są znacznie większe i kłopoty poważne. Jeśli do subhastacyi postanowił doprowadzić wierzyciel ze stopnia trzeciego—właściciela majątku czeka niechybna ruina.

II.

Taki jest mechanizm kredytu hypotecznego. Wysokość stopy procentowéj jest wprost zależną od miejsca zajmowanego w hypotece, t. j. od wysokości numeru zapisu. Ponieważ, jak widzieliśmy, u nas wiele hypotek dźwiga ciężary, przenoszące szacunek, więc téż z góry przypuszczać należy, iż spotkamy się ze stopami procentowemi znacznéj wysokości. Odwrotnie: suma płaconych odsetków rzuci światło na stan odłużenia—gdzie one są duże, tam z pewnością księgi hypoteczne zawierają długie litanie pożyczek, zobowiązań i zastrzeżeń.

A przy tém nie można znać dokładnie stanu odłużenia i kredytu hypotecznego w danym kraju, jeżeli się nie zna wysokości procentów, opłacanych od pożyczek. Z tego powodu przystępujemy teraz do zbadania, o ile dane na to pozwolą, wysokości odsetków, pobieranych przez kapitał od rolników.

Staraliśmy się z cyfr wyprowadzić wyniki ostateczne, jednakże wszelkie obrachunki należy uważać tu za przybliżone, gdyż w tym razie, zapewne bardziéj jeszcze niż w innych, dokumenty hypoteczne nie ujawniają istotnego stanu rzeczy. Wedle wszelkiego prawdopo-

dobieństwa, istnieje wiele układów ustnych lub piśmiennych, ale po za hypoteką zawartych, które znacznie podnoszą wysokość opłat, do ksiąg urzędowych wniesionych.

Przedewszystkiém poznać należy ilość dóbr, opłacających odsetki różnéj wysokości. Zobaczymy to z następującéj tablicy:

Ilość majątków opłacających stopy procentowe.

Stopa procentowa	Majątki do 60 mórg	Majątki od 60 do 600 mórg	Majątki wyżéj 600 mórg	Majątki z przestrzenią nieokreśloną	Majątki w rękach żydów	Razem
4%	—	11	3	—	—	14
5%	203	699	428	872	209	2411
6%	28	174	137	212	94	645
7%	2	16	24	4	3	49
8%	5	66	50	13	13	147
9%	—	14	15	4	—	33
10%	23	136	44	49	25	277
11%	—	—	2	—	—	2
12%	1	—	22	21	21	65
15%	4	—	3	—	2	9
16%	1	—	—	—	—	1
18%	—	—	5	—	—	5
20%	—	—	2	—	—	2
Razem . .	267	1116	735	1175	367	3660

Nie powtórzyliśmy tu dotychczasowego podziału naszego na pięć grup, gdyż w tym wypadku nie zachodziła potrzeba tego. Pozostawiliśmy 2 grupy dóbr małych, których w jedną całość połączyć nie mogliśmy, bo mająteczki do 60 mórg, wskutek osad fabrycznych i młynarskich, posiadają odmienny charakter kredytowy, trzy zaś grupy ostatnie objęliśmy jedném mianem, gdyż pod względem opłacania od-

setek od należności zahypotekowanych, pomiędzy dobrami średniemi i większemi żadna zasadnicza różnica nie zachodzi.

Z tabliczki powyższéj widzimy, iż w księgach hypotecznych figuruje najwięcéj wypadków opłacania procentów niskich, 5% i 6% od sta. Następnie nie są wcale wyjątkami odsetki od 7%—10%. Stopy wyższe są już stosunkowo rzadkością, którą najczęściéj spotykamy w dobrach średnich i większych. Dobra żydowskie bardziéj pod tym względem zbliżają się do majątków, przenoszących 600 mórg, niż do dóbr z mniejszym obszarem.

Dla bardziéj wyrazistego przedstawienia rzeczy, ujmijmy stosunki powyższe w liczby procentowe, t. j. ogólną ilość znanych nam wypadków opłacania pewnéj stopy procentowéj oznaczmy w każdéj grupie przez sto, wtedy łatwiéj będzie porównać ze sobą liczby:

Wysokość stopy procentowéj	Dobra do 60 mórg	Dobra od 60 do 600 mórg	Dobra wyżéj 600 mórg	Dobra z przestrzenią nieokreśloną	Dobra żydowskie
4%	—	1.0	0.4	—	—
5%	76.0	62.6	58.1	74.1	57.0
6%	10.5	15.6	18.7	18.0	25.7
7%	0.7	1.4	3.3	0.4	0.8
8%	1.9	5.9	6.8	1.1	3.5
9%	—	1.3	2.0	0.4	—
10%	8.6	12.2	6.0	4.2	6.8
11%	—	—	0.3	—	—
12%	0.4	—	3.0	1.8	5.7
15%	1.5	—	0.4	—	0.5
16%	0.4	—	—	—	—
18%	—	—	0.7	—	—
20%	—	—	0.3	—	—
	100	100	100	100	100

Stopy procentowe 4%, 5% i 6% uważać można w stosunkach, u nas istniejących, za niskie; 7% do 10% włącznie — za średnie; po nad 10% — za wygórowane, a nawet, jeśli cyfrę ostatnią przenoszą, za lichwiarskie. Przyjąwszy ten podział, otrzymamy, że na 100 wypadków:

dobra najmniejsze	odsetki niskie opłacają w			86.5,	średnie w	11.2,	wysokie w	2.3
„ małe	„	„	„	79.2	„	20.8	„	0.
„ średnie i duże	„	„	„	77.2	„	18.1	„	4.7
„ z przestr. nieokr.	„	„	„	92.1	„	6.1	„	1.8
„ żydowskie	„	„	„	82.7	„	11.1	„	6.2

Ogółem na 100 wypadków stopy procentowe niskie znajdujemy . . . . . w 83.5% średnie w 13.5% wysokie w 3 %

Z tego widzimy, iż — o ile naturalnie księgi hypoteczne dokładnie odbijają istotny stan rzeczy—dobra małe wcale nie opłacają procentów wysokich, przenoszących 10%, kiedy tymczasem własność średnia i duża na dwadzieścia wypadków zmuszoną jest raz uciekać się do tak drogiego kredytu; majątki żydowskie płacą więcéj niż 10% raz na szesnaście wypadków, czyli są w położeniu jeszcze gorszém; wreszcie dobra najmniejsze stoją lepiéj od posiadłości dużéj i żydowskiéj, bo raz na 44 wypadki zaciągają pożyczkę na procent wyższy od 10%.

Procenty średnie, od 7%—10%, najczęściéj płaci własność mała, która do pożyczek lichwiarskich wcale się nie ucieka; na pięć wypadków zdarza się jéj raz ponosić takie odsetki. Dobra żydowskie znajdują się pod tym względem w tém samém położeniu, co i dobra najmniejsze, a mianowicie: do kredytu średnio-drogiego uciekają się raz na dziewięć razy.

Z kredytu najtańszego korzystają najczęściéj mająteczki najdrobniejsze, potém idą żydowskie, w najgorszém położeniu znajdują się dobra średnie i duże, tylko w 77 wypadkach na 100 mają one kredyt tani, czyli od czwartéj blisko części pożyczek opłacają procenty, przenoszące 6%.

We wszystkich grupach, razem wziętych, procenty wysokie stanowią $^1/_{33}$ ogólnéj liczby wypadków, średnie—$^1/_8$, niskie $^5/_6$.

Widzimy z tego, iż im dobra są rozleglejsze, tém mniéj płacą procentów niskich, a tém więcéj średnich i wygórowanych. Różnica pomiędzy grupą pierwszą i trzecią wynosi na niekorzyść trzeciéj aż 9 wypadków na 100.

Wiemy już, jaki ztąd wniosek wyciągnąć: procenty wysokie płacą się przy zaciąganiu pożyczki na wysokie numery w księgach hypotecznych. Te więc tylko dobra zmuszone są uciekać się do kredytu drogiego i lichwiarskiego, które odłużyły się do wysokości szacunku i po za wysokość szacunku.

Najlepsze położenie wogóle znajdujemy w dobrach z przestrzenią nieokreśloną.

Zestawmy jeszcze ilość wypadków na 100 opłacania różnych stóp procentowych przez dobra chrześciańskie wszystkich trzech grup połączonych z takiemiż liczbami dla dóbr żydowskich:

	% niski	% średni	% wysoki
Dobra chrześciańskie	81.0	16.7	2.3
„ żydowskie	82.7	11.1	6.2

Przy niskich odsetkach mamy w obu rodzajach dóbr liczby prawie jednakie. Chrześciańskie płacą wyżéj procentów średnich, żydzi — bardzo wysokich. Różnic jednak uderzających, jakieśmy już w poprzednich tabliczkach widzieli—niéma.

Ażeby kwestyę bardziéj jeszcze wyświetlić i uwyraźnić, obliczmy, jaką sumę opłacała-by każda z grup naszych, gdyby dobra, do niéj należące, obarczała suma 100,000 rs. Otrzymamy taki rezultat:

Stopy procentowe	Dobra do 60 mórg	Dobra od 60 do 600 mórg	Dobra wyżéj 600 mórg	Dobra z przestrzen. nieokreśloną	Dobra żydowskie
	Wrazie pożyczki 100,000 rs. płaciłyby rocznie:				
4%	—	40	16	—	—
5%	3800	3130	2905	3705	2850
6%	630	936	1122	1080	1542
7%	49	98	231	28	56
8%	152	472	544	88	280
9%	—	117	180	36	—
10%	860	1220	600	420	680
11%	—	—	33	—	—
12%	48	—	360	216	684
15%	225	—	60	—	75
16%	64	—	—	—	—
18%	—	—	126	—	—
20%	—	—	60	—	—
Razem .	5828	6013	6237	5573	6167

Wynika ztąd, że od należności jednakowéj dobra średnie i większe płacą rocznie o kilkaset rubli więcéj procentów, niż małe. Przy długach istniejących, które, jak wiemy, sięgają milionów, różnica ta wynosi dziesiątki i setki tysięcy rubli. To znaczy, że gdyby ogół własności hypotecznéj opłacał takie odsetki, jakie ponoszą dobra małe, ziemia zużywała-by znacznie mniejszą część swoich dochodów na opłacenie potrzebnego jéj kredytu.

Procenty dóbr żydowskich najbardziéj zbliżają się do sum, opłacanych przez majątki największe, t. j. do wypadku najmniéj pomyślnego.

III.

Wobec tego, że żydzi w kraju naszym pod względem kredytu odgrywają rolę znaczną i odrębną, i ponieważ nadto projektowane ograniczenia wywołają prawdopodobnie zmiany w kredycie rolnym, uważaliśmy za potrzebne poznać, o ile różnią się pomiędzy sobą odsetki, pobierane przez żydów i chrześcian. Kwestya, bez względu nawet na związek z całością pracy naszéj, czytelników, zdaje się, interesować będzie:

od pożyczki na dobra	chrześcianie pobierają przeciętnie	żydzi pobierają przeciętnie
do 60 mórg	5.6%	6.3%
od 60—600 mórg.	5.7%	6.5%
wyżéj 600 mórg	6.1%	6.4%
z przestrzenią nieokreśloną .	5.4%	5.7%
dobra żydowskie.	6.1%	6.3%
ogół dóbr	5.7%	6.2%

Widzimy zatem, że przeciętne stopy procentowe, pobierane przez żydów, są prawie jednostajne, t. j. daleko mniéj zależą od rozmiaru dóbr, niż odsetki należności chrześcian. Zbyt wielkich różnic niéma, przewyżka w liczbie ogólnéj wynosi $^1/_2$ procentu.

Z powyższéj tablicy okazuje się, że chrześcianie, zarówno jak żydzi, najtaniéj użyczają kredytu na hypoteki dóbr najmniejszych do 60 mórg; im dobra większe, tém wierzycielom chrześciańskim płacić muszą odsetki wyższe. Żydzi procent najznaczniejszy pobierają od majątków, liczących 60—600 mórg, a mianowicie 6.5%, od majątków średnich i dużych (po nad 600 mórg) — 6.4%. Dobra żydowskie żydom płacą 6.3%, chrześcianom zaś nieco mniéj, gdyż 6.1%.

Mówiliśmy przedtém, iż wysokość stopy procentowéj pozostaje zwykle w prostéj zależności od miejsca długu w księdze hypotecznéj. Należało-by więc obecnie zbadać, czy w tym wypadku zachodzi jednoczesność, a więc prawdopodobnie i przymusowa zależność obu zjawisk. Ponieważ jednak do kwestyi téj wrócimy w następującym rozdziale, gdzie będzie mowa o udziale żydów w kredycie hypotecznym, tu więc ograniczamy się do zaznaczenia jedynie, iż, o ile wierzyć można danym z ksiąg hypotecznych, sumy żydowskie istotnie słabiéj, a nawet znacznie słabiéj, są ubezpieczane, niż chrześciańskie.

IV.

Cyfry, otrzymane dla kraju naszego, porównać możemy w danym wypadku z rezultami obrachunku, dokonanego w Austryi w roku 1879.

W Galicyi znajdujemy różne stopy procentowe, poczynając od 0 aż do 200%, pobierane od sum, ubezpieczonych zarówno na dobrach ziemskich, jak na domach i posiadłościach górniczych. Do tabliczki poniższéj wciągamy tylko wypadki ważniejsze, a mianowicie wybieramy te stopy procentowe, na które pożyczono więcéj, niż 50 tysięcy guldenów:

stopa procentowa	ilość pożyczek	suma wypożyczona w tysiącach guldenów
0	308	345
5%	240	5440
6%	622	3441
6½%	2	50
6¾%	2	900
7%	381	3147
7½%	47	63
8%	245	452
9%	330	199
10%	492	514
12%	1622	727
15%	270	126

Cyfry powyższe zdają się wskazywać, że kredyt hypoteczny droższy jest w Galicyi, niż w Królestwie Polskiém; pamiętać jednak należy, iż cyfry dla Austryi obejmują szerszy zakres hypotek, niż nasze, a wskutek tego porównanie i wnioski mogą być tylko bardzo przypuszczalne, tem więcéj, że tu i tam stosunki prawne są inne.

Okaże się to, gdy przytoczymy liczby przeciętne dla różnych rodzajów własności hypotecznéj:

Większa (tabularna) własność ziemska płaciła w Galicyi w r. 1879 średnio 6.07%

Mała (Rusticalgüter) własność ziemska płaciła w Galicyi w r. 1879 średnio 9.71%

Własność górnicza płaciła w Galicyi w r. 1879 średnio 5.46%

„ miejska „ „ „ „ 7.00%

Właściwie do porównania z rezultatami naszych obrachunków nadaje się tylko liczba pierwsza, t. j. majątki większe, gdyż własność drobna obejmuje gospodarstwa włościańskie, naszemi danemi nie objęte. Myśmy średnio znaleźli, iż dobra ziemskie w Królestwie płacą wierzycielom chrześcianom 5.7% i 6.2% wierzycielom żydom. Między temi dwiema cyframi właśnie mieści się liczba, otrzymana dla własności tabularnéj (6.07%). Własność większa i średnia w Królestwie płaci przeciętnie 6.1% i 6.4%. Są to wszystko liczby do galicyjskich niezmiernie bliskie.

Gdyby obrachunek dokonany był w czasach obecnych, prawdopodobnie nie otrzymała-by się taka wysoka liczba dla odsetków, płaconych przez własność drobną w Galicyi w r. 1879.

W Królestwie wypadki pożyczek po za 10% już były rzadkie. Tymczasem w Galicyi widzimy największą liczbę należności, zaciągniętych na 12%. Zwrócić jednak należy uwagę, iż suma pieniędzy, wzięta na tych warunkach, jest stosunkowo bardzo nieznaczna, – na jedną pożyczkę wypada przeciętnie zaledwie około 450 guldenów. Przypuszczać więc można, że to są pożyczki, zaciągnięte na gospodarstwa drobne.

Co więcéj, jeżeli pójdziemy niżéj, to się okaże, iż na 10%, 9% i 8% nawet zaciągane są pożyczki kilkuset-guldenowe. Pożyczki większe kończą się na 7%. Największe sumy wypożyczone są na 5%, 6% i 7%, co się bardzo zbliża do stosunków, znalezionych w Królestwie.

Wspomnieliśmy, że stopy procentowe w kredycie hypotecznym Galicyi dochodzą nawet do 200%. Bardzo jednak wygórowane odsetki stanowią rzadkie wypadki. Od 20% do 200% figuruje zaledwie 75 pozycyi na sumę 13,000 guldenów. Te wysokie procenty, jak widzieliśmy, liczb przeciętnych nie podniosły, i jeżeli zasługują na przytoczenie, to tylko jako curiosa, nie zaś jako objaw charakterystyczny.

Przytoczymy jeszcze cztery wypadki odsetków najwyższych; każdy z nich obejmuje tylko jedną pożyczkę:

na 66% wzięto 44 guldeny
„ 72% „ 100 guldenów
„ 110% „ 45 „
„ 200% „ 5 „
wyraźnie pięć guldenów.

Ograniczamy się do przytoczenia cyfr dla Galicyi, gdyż naprzód: porównanie z prowincyą sąsiednią ma największe znaczenie, a powtóre: w innych częściach państwa Rakuskiego stosunki są prawie też same. Przeciętne liczby różnią się nie wiele, rzadziéj się tylko spotykają stopy procentowe rażąco wysokie.

UDZIAŁ ŻYDÓW W KREDYCIE HYPOTECZNYM.

Podaliśmy wyżéj cyfry, wykazujące, z jak drogiego kredytu korzysta u nas własność ziemska. Należyte jednak poznanie warunków odłużenia wymagało-by jeszcze niejakich wiadomości o samych wierzycielach prywatnych. Jedni z nich są to ludzie spokojni, zajęci rzemiosłem, urzędem lub gospodarką; z drobnego zazwyczaj kapitaliku chcą miéć jakiś zysk, lokują go więc na hypotece i nic więcéj nie pragną, jak w terminie otrzymać należny procent. Inni wierzyciele z udzielania pożyczek robią proceder; jest to rodzaj specyalistów, którzy nie kontentują się prostém zajęciem odpowiedniego numeru w hypotece, lecz się ubezpieczają zastrzeżeniami w postaci ewikcyi; prócz aktów urzędowych, zawierają umowy pokątne, ustnie lub piśmiennie; w ten lub inny sposób pragną wydusić z pożyczki jaknajwiększy zysk. Pomiędzy temi dwoma skrajnemi typami mieści się wielka rozmaitość rodzajów pośrednich. Niéma kraju i narodu, niéma okolicy, która-by ich wszystkich nie znała. Na wielu pojedyńczych, bardziéj odłużonych hypotekach, spotykają się na różnych numerach i w różnych pozycyach wierzyciele przypadkowi i wierzyciele specyaliści. Każdy rodzaj wierzycieli inaczéj się zapatruje na swoją rolę dostarczyciela kredytu i inaczéj ją spełnia.

Każda statystyka rozróżnia pożyczki towarzystw lub banków kredytowych od długów prywatnych, właśnie dla odmiennych warunków umowy, dla innego zupełnie rodzaju wymagalności i sposobu do-

chodzenia w razie potrzeby. Gdyby rozróżnianie posunąć można było daléj i rozgatunkować wierzycieli prywatnych, zdobyło-by się wiele rysów niezmiernie ważnych dla poznania charakteru odłużenia w danym kraju. Widziało-by się dokładnie, jaką i u kogo znajduje pomoc rolnik w razie potrzeby; czy uzyskany grosz da mu jakiś ratunek, czy téż przynieść musi zgubę.

Takie zapuszczenie sondy daleko w głąb stosunków nie jest bynajmniéj niemożliwe. Późniéj, w jednym z artykułów następnych, przytoczymy rezultat dochodzenia tego właśnie rodzaju o dostarczycielach kredytu posiadłości drobnéj w Cesarstwie, i zobaczymy, jak obfite światło spłynie odrazu na stosunki odnośne. Ale badania tak daleko posunięte wymagają wyłącznie temu poświęconéj ankiety, któréj środki i powaga osoby prywatnéj nie podołają. Księgi hypoteczne pod tym względem są dla ekonomisty ledwie tém, czém jakiś martwy odłamek dla archeologa: dają tu i owdzie jakieś mgliste wskazówki, pozwalają się tego i owego domyślać, ale pewności żadnéj na ich podstawie zdobyć niepodobna, ani odtworzyć obrazu całości.

I.

Nie mogąc uskutecznić wszystkiego, pragnęlibyśmy jednak zrobić cokolwiek. To téż do ogólnéj masy wierzycieli wprowadzamy te chociaż rozróżnienia, na które pozwalają dane nasze. Mianowicie podajemy niektóre wskazówki co do udziału żydów w odłużeniu hypotecznem.

Wprawdzie beznamiętna nauka i bezstronne świadectwo cyfr przeczy krążącym wśród ogółu mniemaniom, jakoby pewne praktyki w rzeczach ekonomicznych właściwe były temu wyznaniu, a inne innemu; w tym jednak wypadku odróżnienie jest całkiem uzasadnione.

Żydzi w kraju naszym reprezentują—na prowincyi szczególniéj—handel. Oni zakupują zboże, lasy i t. d. Oni są przeważnie dostarczycielami tego najbardziéj krótkoterminowego kredytu, którego potrzebę rodzi brak gotówki w chwilach dla gospodarza najważniejszych. Niéma dziś pieniędzy na podatki, na ratę Towarzystwa, na opłatę robotników, a jutro zboże będzie już w stodole i wszystko się połata.

Ta rola wyróżnia żydów faktycznie wśród ogółu wierzycieli. Wypada więc oczywiście poznać, jak to odmienne stanowisko zaznacza się w księgach hypotecznych i jak się odbija w rachunku statystycznym. Udział żydów w kredycie hypotecznym, to do pewnego stopnia stosunek handlu do rolnictwa.

Co więcéj i co ważniejsza, projektowane prawa ograniczeń żydów co do nabywania ziemi odetną ich bardzo wyraźną linią od ogółu wierzycieli hypotecznych. Albo żydzi zmuszeni będą całkiem zaprzestać dawania pieniędzy na hypoteki rolne, albo wytworzy się całkiem odrębny gatunek kredytu, który pozbawiony będzie najważniejszego przywileju: ratowania swéj sumy przez nabycie dóbr, a więc wyrobi sobie nową całkiem praktykę postępowania.

Dla tych przyczyn wyróżnienie żydów w naszym obrachunku jest nietylko pożądane, ale konieczne. Przedmiot ten zresztą opracowaliśmy już dawniéj, wtedy jednak w posiadaniu naszém były cyfry tylko dla 46 powiatów; obecnie wiadomości obejmują 50 powiatów, poprzestajemy jednak na zestawieniach pierwotnych, gdyż obrachunki nowe pochłonęły-by wiele czasu, a tymczasem 46 powiatów, to już jest 56% Królestwa; ze stosunków więc w nich istniejących zupełnie zasadnie wyprowadzać można wnioski dla kraju całego [1]).

Nie utrzymamy tu podziału własności na pięć grup, gdyż w tym wypadku zbytnie zapuszczanie się w szczegóły nie miało-by celu, przeciwnie, cyfry ogólniejsze ułatwią ocenę całości zjawiska. Rozróżniać téż będziemy tylko posiadłość najdrobniejszą (do 60 mórg), małą (60—600 mórg) oraz większą (średnią i dużą od 600 mórg). Prócz tego muszą oczywiście stać odrębnie majątki z przestrzenią nieokreśloną i dobra żydowskie. Osobny rachunek dla ostatnich pozwoli nam poznać odwrotną stronę zjawiska: o ile z pożyczek u chrześcian korzystają żydzi - rolnicy.

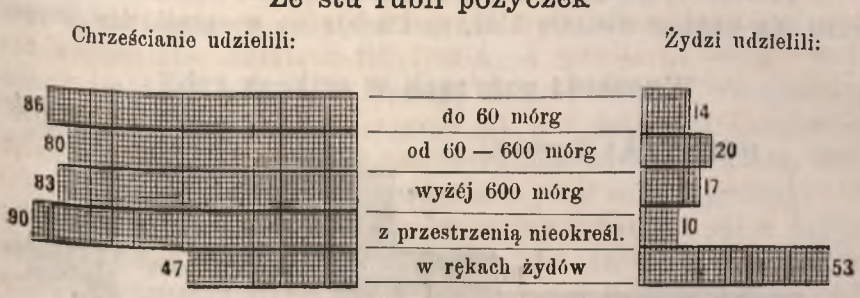
II.

Ogólną należność długów prywatnych [2]) w każdym rodzaju dóbr oznaczmy przez sto, wtedy w 46 powiatach rozpatrywanych wypadną następujące stosunki, które podajemy tu w zestawieniu graficznem:

---

[1]) Powiaty te są następujące: wszystkie 7 powiatów gub. Kieleckiéj, wszystkie 8 pow. gub. Piotrkowskiéj, wszystkie 7 powiatów gub. Radomskiéj, 7 powiatów gub. Siedleckiéj (Siedlecki, Bialski, Węgrowski, Garwoliński, Konstantynowski, Łukowski i Sokołowski), 5 powiatów gub. Suwalskiéj (Suwalski, Augustowski, Sejneński, Kalwaryjski, Wiłkowyski) 7 powiatów gub. Lubelskiéj (Lubelski, Nowo-Aleksandryjski, Biłgorajski, Krasnostawski, Chełmski, Hrubieszowski, Tomaszowski), 3 pow. gub. Kaliskiéj (Kolski, Koniński, Słupecki) oraz 2 pow. gub. Warszawskiéj (Włocławski i Łowicki).

[2]) A więc z całéj masy długów wyłączamy pożyczki Towarzystwa Kredytowego, oraz należności skarbowe i bankowe.



Dla ogółu dóbr suma, pożyczona przez żydów, wynosi 16%, t. j. przeszło *pięć* razy mniéj, niż suma, pożyczona przez chrześcian. Widzimy więc, że udział żydów jest bardzo niewielki. Nawet majątki żydowskie 47% pożyczonych pieniędzy wzięły od chrześcian, a tylko 53% od żydów.

Z danych naszych wynika prócz tego, że żydzi stosunkowo pożyczają więcéj właścicielom dóbr średnich i dużych, aniżeli drobnych. Z ogólnéj sumy, ciążącéj na majątkach najdrobniejszych, na żydowską należność przypada zaledwie 14%, w dobrach od 60 — 600 mórg 20%, a na posiadłości większéj 17%.

Rozpatrując stosunki te guberniami, znajdujemy, że największy udział w kredycie hypotecznym biorą żydzi w gub. Suwalskiéj, gdzie na 100 rs. 58 zaciąga się u żydów. W gub. zaś Radomskiéj i Lubelskiéj pożyczki żydowskie dochodzą ledwie do 5% i 8%.

Nasuwa się teraz pytanie: czy słaby udział żydów w odłużeniu jest skutkiem niewielkiéj liczby ludzi, udzielających pożyczki, czy téż pochodzi ztąd, że sumy, przez nich dawane, są drobne, drobniejsze, niż kiedy wierzycielem jest chrześcianin?

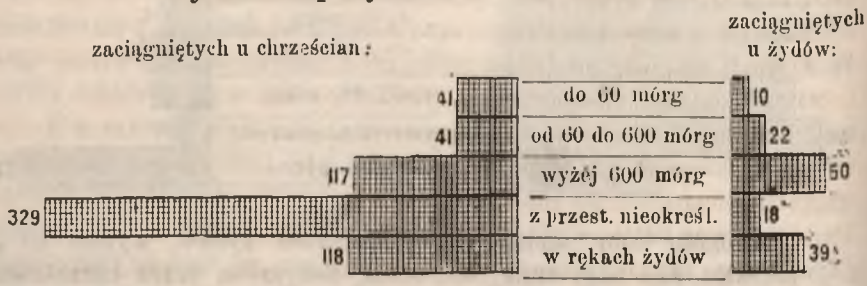
Dane nasze dają całkiem stanowczą odpowiedź. Liczba pożyczających żydów, lub ściśléj, liczba pożyczek, udzielanych przez żydów, wynosi 4,382, przez chrześcian—4,838. Liczby te są prawie równe, kiedy tymczasem przeciętnie na jedną pożyczkę żydowską przypada 2,797 rub., na chrześciańską — 13,174 rub., a więc blisko *pięć* razy więcéj.

Otrzymaliśmy ten sam stosunek, co poprzednio. Taki wynik zdaje się wskazywać, iż żydzi, biorąc wogóle, posiadają niezbyt wielkie kapitały [1]).

[1]) Do tego samego wniosku doprowadzają nas inne wskazówki z ksiąg hypotecznych. Mianowicie: należności i ubezpieczenia żydów bardzo często obarczane są wpisami, co oczywiście dowodzi braku gotówki. Wielka część operacyi handlowych (szczególniéj kupno lasów), przez żydów dokonywanych, prowadzona jest siłami zbiorowemi. Jedni składają się na potrzebny kapitał, inni dają pracę.

Liczby, wykazujące przeciętny rozmiar jednéj pożyczki w setkach rubli dla każdego rodzaju dóbr, rozkładają się w sposób następujący:

Wysokość pożyczek w setkach rubli

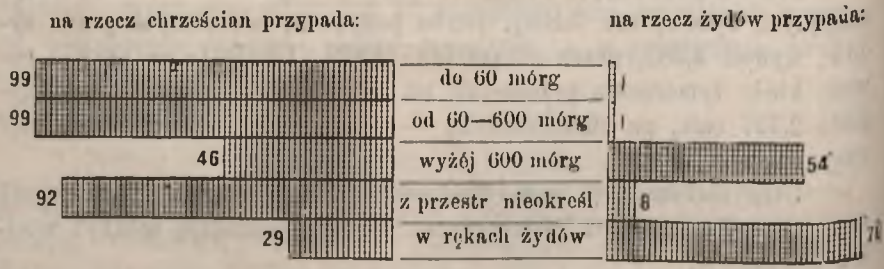


Niéma ani jednéj pozycyi, aby rozmiar pożyczki żydowskiéj zbliżał się do przeciętnéj liczby długu, zaciągniętego u chrześcian. W dobrach żydowskich przeciętna liczba chrześciańskiego długu jest trzy razy większa, niż żydowskiego.

Ze względu na to, że żydzi u nas na prowincyi reprezentują handel, wypada nam zwrócić szczególną uwagę na zapisy, zamieszczane w księgach pod tytułami kaucyi i ewikcyi. To nam właśnie dać może niejakie pojęcie o zawieranych umowach i tranzakcyach handlowych.

Następujące zestawienie graficzne daje nam takiż sam obraz stosunków w dziale kaucyi i ewikcyi, jak uprzednio mieliśmy dla ogółu długów, t. j. ogólną sumę kaucyi i ewikcyi w każdéj grupie dóbr oznaczamy przez 100, liczby zaś poszczególne wskazują nam w procentach udział chrześcian i żydów w kredycie:

Ze stu rubli kaucyi i ewikcyi



Oto przykład, dowodzący braku kapitału przy dokonywanych operacyach. W gub. Suwalskiéj, w pow. Sejnońskim. 6-ciu wspólników żydów nabyło 1430 mórg lasu za 34,400 rs. Jeden ze wspólników zaliczył na ten interes 10,000 rs. Na zaliczenie zaś to, oraz na dobra własne, zaciąga pożyczkę i płaci 12%. Tego rodzaju

Okazuje się, że na dobrach małych, żydzi wpisów kaucyjnych prawie nie robią, natomiast na dobrach średnich i dużych większość zobowiązań tego rodzaju (54%) dokonana była na ich rzecz. Wynika to ztąd, iż żydzi pod tytułami kaucyi i ewikcyi ubezpieczają tranzakcye i sumy handlowe, zawierane z właścicielami ziemskiemi. W dobrach małych, produkujących przedewszystkiém na własny użytek, tego rodzaju ubezpieczenia zjawiać się nie mają przyczyny.

Większość wpisów kaucyjnych zrobiona była na rzecz żydów także w dobrach ich współwyznawców, ale tam kaucye i ewikcye odgrywają bardzo małą rolę, bo wynoszą 2.6 milionów rubli, t. j. w całéj masie wpisów tego tytułu stanowią 3% zaledwie.

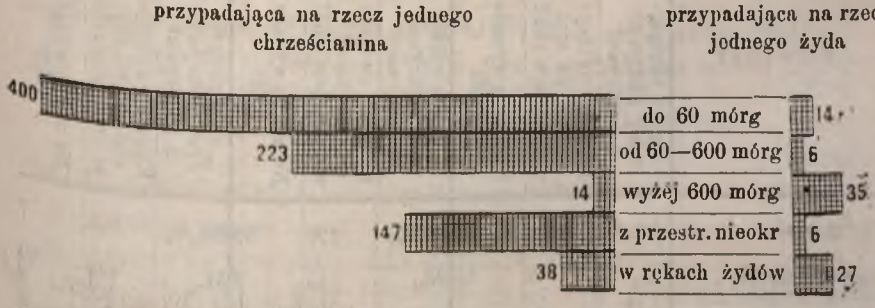
Z tego wnosić można, jak nieznaczna cyfra wypada na żydów w ogólnéj sumie kaucyi i ewikcyi. W saméj rzeczy, kiedy do chrześcian należy ich 92%, do żydów tylko 8%. Z pojedyńczych gubernii najmniejszy udział żydów był w gub. Piotrkowskiéj, największy w Kaliskiéj i Siedleckiéj.

Mimochodem wtrącimy, że wogóle znaczna większość wpisów kaucyjnych i ewikcyi obciąża dobra drobne [1]); z 81.7 milionów na dobrach większych znajdujemy tylko 4.4 mil. rub, t. j. 5% zaledwie.

Zobaczmy jeszcze, jakie sumy wpisów kaucyjnych i ewikcyi przypadają przeciętnie na jednego wierzyciela żyda i nieżyda.

Wysokość kaucyi i ewikcyi

w setkach rubli.



tranzakcyi, gdzie żydzi-kupcy muszą w sposób rozmaity spekulować, aby dostać pieniędzy, i płacą za nie wysokie odsetki, spotyka się duża liczba.

Niejednokrotnie dla udzielenia pożyczki na hypotekę, nieznacznéj nawet, tworzą się współki. W téjże gubernii i w tymże co wyżéj powiecie, żyd nabywa osadę, obejmującą 46 mórg. Na pokrycie szacunku i koszta prowadzenia gospodarki zaciąga on pożyczkę 1540 rs., na którą składa się 3 jego współwyznawców, z udziałami 62%, 28% i 10%.

[1]) Drobna posiadłość, nieprzenosząca 60 mórg, dźwiga w 46 powiatach rozpatrywanych 18.1 milionów rs. kaucyi i ewikcyi, co stanowi 22% ogółu. Na wła-

We wszystkich grupach majątków na jednego chrześcianina przypada 15,567 rubli, a na żyda 1,469 t. j. przeszło dziesięć razy mniéj. Widzimy i tu, że żydzi tylko w dobrach, przenoszących 600 mórg, mają przeciętnie zabezpieczone sumy większe, niż chrześcianie. Różnica wynosi 2 tysiące rubli, kiedy w majątkach do 60 mórg przewaga na rzecz chrześcian sięga 39 tysięcy rubli, a w majątkach od 60—600 mórg 22 tysięcy rubli. Nawet w dobrach żydowskich na jednego żyda wierzyciela przypada kaucyi o tysiąc rs. mniéj, niż na jednego chrześcianina.

Widzimy słowem, że gdyby z obrachunku usunąć pozycye, będące rezultatem tranzakcyi handlowych, to wśród wpisów i ubezpieczeń kaucyjnych ledwiebyśmy słaby ślad udziału żydów dostrzédz mogli.

---

sności zaś od 60—600 mórg figuruje blisko 40 milionów rubli, t. j. 48% ogółu. Razem na księgi hypoteczne mająteczków drobnych przypada 70% wszystkich kaucyi i ewikcyi. Pochodzi to ztąd, że pomiędzy dobrami do 60 mórg znajduje się wiele osad fabrycznych i górniczych, na których (szczególniéj na górniczych) ciążą olbrzymie nieraz sumy, w ten sposób ubezpieczone. W gub. Piotrkowskiéj, dla któréj podajemy poniżéj wykaz kaucyi i ewikcyi, do ksiąg hypotecznych wpisanych, wyróżnia się powiat Bendziński i nadzwyczajnie od innych odskakuje. Dzięki jemu tylko, utrzymały się powyższe cyfry; gdybyśmy go od obrachunku usunęli, ilość kaucyi i ewikcyi na drobnych majątkach wielokrotnie-by zmalała.

Powiaty	Dobra do 60 mórg			Dobra od 60—600 mórg			Dobra wyżéj 60 mórg		
	% dóbr obciążonych kaucyami i ewikcyami	Kaucye i ewikcye ciążące na nich w tysiącach rubli	Na morgę wypada rubli	% dóbr obciążonych kaucyami i ewikcyami	Kaucye i ewikcye ciążące na nich w tysiącach rubli	Na morgę wypada rubli	% dóbr obciążonych kaucyami i ewikcyami	Kaucye i ewikcye ciążące na nich w tysiącach rubli	Na morgę wypada rubli
Piotrkowski . . .	12.0%	4	16	45.3%	190	13	53.8%	305	7
Noworadomski . .	12.1	3	16	36.6	40	5	51.7	460	10
Częstochowski . .	11.8	14	140	23.7	10	40	22.9	56	5
Bendziński. . . .	26.4	17,369	26,277	24.7	36,755	5,957	20.0	4	3
Łaski.	30.8	82	427	27.3	178	25	50.0	606	23
Łódzki	12.5	21	346	27.0	295	60	39.1	277	32
Brzeziński. . . .	16.0	2	8	34.1	47	5	52.0	156	10
Rawski	13.2	22	136	34.0	93	7	52.2	217	7
Razem. . .	17.1%	17,517	9111	32.1%	37,608	583	47.1%	2081	11

Z okoliczności wreszcie, że kiedy w ogólnéj sumie ciężarów hypotecznych udział żydów był *pięć* razy słabszy, niż chrześcian, a wśród kaucyi i ewikcyi aż *dziesięć* razy, wnosić można, że żydzi stosunkowo daleko rzadziéj i w mniejszym stopniu uciekają się do pośrednich i bardziéj skomplikowanych form ubezpieczenia, natomiast bardziéj i częściéj zadawalniają się prostemi.

Powyższe wyniki wydadzą się może nieprawdopodobnemi, a jednak dziwić one nie powinny; przeciwnie, można je było nawet przewidywać. Chrześcianie u nas wogóle na sprawach finansowych znają się mniéj, niż klasa od wieków trudniąca się wyłącznie handlem, a wskutek tego w dodatku bardziéj ruchliwa, bardziéj znająca stosunki majątkowe oraz przewidywaną wypłacalność ludzi. Dla tego też chrześcianie szukają przedewszystkiém możliwie najpewniejszéj lokacyi na hypotece; żydzi ufają częściéj odpowiedzialności osobistéj.

III.

W badaniach naszych posuńmy się jeszcze o krok daléj. Poznaliśmy liczby ogólne, mówiące o udziale żydów w kredycie hypotecznym; zobaczmy teraz, z jakich się pierwiastków te liczby składają.

Już w pierwszym artykule (str. 255) podaliśmy poszczególne pozycye, na jakie rozpada się ogólna suma 1,200 tysięcy rs. ubezpieczeń, zrobionych w gub. Kieleckiéj na rzecz żydów pod tytułami kaucyi i ewikcyi a mianowicie:

a)	zaliczenia za sprzedane lasy wynosiły	74.4%
b)	ewikcye za sprzedaż gruntów	4.6%
c)	ewikcye za wykonanie umów dzierżawnych	2.8%
d)	ewikcye za różne sprzedane żydom produkta rolne .	2.8%
e)	kaucye na otwarty kredyt wekslowy	4.0%
f)	kaucye i ewikcye bez określonego tytułu	10.9%
g)	tytułem posagu	0.1%
h)	kaucye na przypuszczalne koszta egzekucyi	0.4%

Jeszcze dokładniejsze dane posiadamy dla dwu powiatów gub. Lubelskiéj: Krasnostawskiego i Nowo-Aleksandryjskiego.

W ogóle żydzi mają tam zabezpieczonych 466,500 rs. Z tego na długi proste przypada 367,400 rs. t. j. 78.8%, a na kaucye i ewikcye 99,100 rs. t. j. 21.2%.

Tabliczki, poniżéj zamieszczone, zawierają rozkład zobowiązań i należności zwyczajnych na pierwiastki. Podajemy tam: na ilu dobrach ciąży każda z poszczególnych pozycyi, jaką sumę tworzy, i wreszcie jaki procent wśród ogółu ciężarów swego gatunku stanowi. Zachowujemy bez zmiany nomenklaturę ksiąg hypotecznych.

Długi proste.

POZYCYE.	ilość dóbr obciążonych	wysokość obciążenia w rublach	%
Pożyczki . . .	52	245200	66.74%
Wyroki sądowe .	22	25700	7.00%
Cessye	13	75000	20.41%
Zaległe procenty .	1	300	0.18%
Reszta szacunku .	8	21200	5.77%
Razem	96	367400	100%

Kaucye i ewikcye.

POZYCYE.	ilość dóbr obciążonych	wysokość obciążenia w rublach	%
Ostrzeżenia	19	42600	42.99%
Ewikcye nabywców . . .	3	17600	17.66%
„ na dokonanie umowy	2	17100	17.26%
„ „ operacye bankowe	1	1500	1.51%
„ „ pewność dzierżawy	2	5200	5.35%
„ „ pszenicę . . .	1	1500	1.51%
„ „ ryby	1	1500	1.51%
„ „ las	2	9700	9.79%
„ „ łąkę	1	1500	1.51%
„ „ wełnę	1	900	0.91%
Razem	33	99100	100%

Cyfr powyższych nie uważamy bynajmniéj za odbicie stosunków, w całym kraju istniejących. Ale, nie mogąc otrzymać i obliczyć miliona cyfr, które-by utworzyły obraz skończony i pełny dla kraju całego, zadawalniamy się tu, jak wszędzie poprzednio, tém, co się z danych naszych da wycisnąć. Powtóre: pragnęliśmy przykładem wykazać, co jakiś badacz przyszły zrobić potrafi, gdy mu przeszkadzać nie będą braki, krępujące dziś nasze chęci na każdym kroku.

Cyfry takie, skrupulatnie a umiejętnie zestawione, nietylko wyjaśniły-by nam w znacznym stopniu genezę odłużenia, ale jeszcze pozwoliły-by na wiele ważnych wniosków co do sposobów zbytu, co do zależności producenta od handlarzy i t. d.

Nasze obliczenie obejmuje zbyt małe terytoryum, aby wyciągnięte wnioski mogły miéć jakieś donioślejsze znaczenie.

Możemy przytoczyć jeszcze jeden przykład dokładnego obrachunku i rozklasyfikowania należności oraz zobowiązań wedle ich pochodzenia. Dane w tym razie pochodzą z powiatów Ciechanowskiego i Przasnyskiego gub. Płockiéj i są o tyle dokładniejsze od poprzedzających, że mogliśmy zrobić podział na wierzytelności chrześciańskie i żydowskie.

Długi proste.

Pozycye	Wierzytelności chrześciańskie.			Wierzytelności żydowskie.		
	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%
Pożyczki bez tytułu . .	265	1,521.0	80.46%	68	274.0	76.51%
Reszta szacunku . . .	76	294.0	15.62	8	22.0	6.11
Hypoteka sądowa . . .	28	26.0	1.33	33	62.0	17.30
Hypoteka prawna . . .	4	6.0	0.34	—	—	—
Działy spadkowe . . .	2	1.0	0.08	—	—	—
Darowizny	2	22.0	1.22	—	—	—
Zapisy testamentowe . .	1	1.5	0.10	—	—	—
Fundusz duchowny . . .	1	3.0	0.18	—	—	—
Zapisy na rzecz kościoła .	6	6.0	0.34	—	—	—
Koszta sądowe	1	0.07	0.004	1	0.3	0.08
Koszta procesu	2	0.3	0.02	—	—	—
Opłaty stemplowe . . .	1	1.0	0.08	—	—	—
Opłaty spadkowe . . .	2	0.5	0.03	—	—	—
Pożyczki z fund. emeryt.	1	3.0	0.17	—	—	—
Procenty	1	0.5	0.03	—	—	—
Razem . .	393	1,885.8	100%	110	358.3	100%

Zobowiązania i należności inne.

Pozycye	Wierzytelności chrześciańskie.			Wierzytelności żydowskie.		
	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%	Ilość majątków	Summa w tysiącach rubli	%
Ewikcye	63	236.0	31.5%	19	147.0	80.8%
Kaucye	17	28.0	3.7	—	—	—
Kaucye dzierżawne . . .	9	29.0	3.8	—	—	—
Posagi	77	340.0	45.3	—	—	—
Szacunek za las	—	—	—	1	8.0	4.4
Ostrzeżenia	49	87.0	11.6	33	27.0	14.8
Zaliczki na buraki . . .	6	31.0	4.1	—	—	—
Razem . .	221	751.0	100%	53	182.0	100%

Tu znowu zostawiamy bez zmiany tytuły, znalezione w księgach hypotecznych. Podział na długi proste i zobowiązanie może nie jest zupełnie ścisły, ale z krótkich tytułów niepodobna było całkiem na pewno domyślić się natury zobowiązania.

Ogół długów i zobowiązań, ciążących na dobrach ziemskich w powiatach: Ciechanowskim i Przasnyskim, jak z powyższego wynika, daje sumę 3,177 tysięcy rs., z tego na rzecz chrześcian wypada 83% (2,637 tys. rs.), a na rzecz żydów 17% (540 tys. rs.)

Ogół długów prostych tworzy 2,244 tys. rs.; na chrześcian z tego przypada 84% (1,886 tys. rs.), a na żydów 16% (358 tys. rs.)

Zobowiązania wszelkiego rodzaju wynoszą 933 tys. rs.; na imię chrześcian uczyniono z tego przeszło 80% (751 tys. rs.), na imię żydów blisko 20% (182 tys. rs.) Widzimy więc, że w tych dwóch powiatach dzieje się nieco inaczéj, niż w 46, wyżéj rozpatrywanych, mianowicie tu żydzi więcéj korzystają z ubezpieczeń w formie ewikcyi i kaucyi, niż z zapisów pod tytułem długów prostych.

IV.

Żydzi, jakeśmy to widzieli w rozdziale o stopach procentowych, pobierają nieco wyższe odsetki od swoich kapitałów, na hypotekach

lokowanych, niż chrześcianie. Różnica była niewielka, wynosiła w przecięciu jakiś ułamek jednostki, ale istniała.

Powstaje pytanie: czy wypadek ten był skutkiem, jak się to zawsze i wszędzie dzieje, gorszego, mniéj pewnego, zabezpieczenia pożyczek żydowskich?

Odpowiedź dają nam cyfry, wyjęte z ksiąg hypotecznych gub. Kieleckiéj.

Na 209 majątkach tam badanych, których wartość wynosi 7,419 tysięcy rs., ciążą długi, zaciągnięte u chrześcian w sumie 3,849 tys. rs., t. j. pokrywają przeszło połowę szacunku. Potém dopiero idą pożyczki żydowskie w sumie 1,389 tys. rubli.

Wogóle więc biorąc, pieniądze, od chrześcian pochodzące, ubezpieczone są w ogromnéj większości na pierwszéj połowie hypotek, t. j. w klasie pierwszéj, jakeśmy nazwali w rozdziale o stopach procentowych. Długi zaś żydowskie w całości należą do klasy drugiéj.

W poszczególnych majątkach spotykamy znaczne odstąpienie od środkowéj linii, przeprowadzanéj przez wypadki i liczby przecięte. Niektóre pożyczki, udzielane przez żydów, znajdują się w pierwszéj klasie, inne wysunęły się daleko po-za szacunek, nawet kilkakrotnie wzięty. Rozkład całéj należności żydowskiéj, 1,389 tysięcy rubli, na pozycye wedle stopnia odłużenia podaje następująca tabliczba:

			ubezpieczone są na:
28,8	tys. rs. t. j.	2,1% całego długu żydowskiego	20% szac. hyp.
118,2	„ „ „	8,6% „ „ „	od 20% do 40% „ „
328,9	„ „ „	23,7% „ „ „	40% — 60% „ „
232,0	„ „ „	16,7% „ „ „	60% — 80% „ „
226,0	„ „ „	16,3% „ „ „	80%—100% „ „
182,3	„ „ „	13,2% „ „ „	100%—150% „ „
121,8	„ „ „	8,7% „ „ „	150%—200% „ „
71,9	„ „ „	5,1% „ „ „	200%—250% „ „
16,0	„ „ „	1,1% „ „ „	250%—300% „ „
18,7	„ „ „	1,3% „ „ „	300%—350% „ „
24,2	„ „ „	1,7% „ „ „	350%—400% „ „
14,6	„ „ „	1,0% „ „ „	400%—450% „ „
2,5	„ „ „	0,2% „ „ „	450%—500% „ „
3,0	„ „ „	0,3% „ „ „	wyżéj 500% „ „
1,389	tys. rs. t. j.	100%.	

A więc na pierwszéj połowie szacunku hypotecznego opartą jest mniéj niż trzecia część ogółu pożyczek, u żydów zaciągniętych. O utratę tych pieniędzy wierzyciele, jak wiemy, obawiać się nie po-

trzebują. Nieco więcéj niż część trzecia należności żydowskich znajduje się w klasie drugiéj. Tu już niebezpieczeństwo zagraża, ale odzyskanie pożyczki jest możliwe. Wreszcie cała trzecia część występuje po-za wysokość szacunku, t. j. nigdy przez wierzycieli odzyskaną nie będzie, i jedyną pobudką do udzielenia owych pożyczek mogła być nadzieja pobierania przez czas jakiś znacznego procentu.

Rezultat taki nikogo dziwić nie powinien. Żydzi, jako w kraju całym klasa handlująca, z ryzykiem przez codzienną praktykę oswojona, z natury rzeczy jest przeznaczoną na dostarczycielkę kredytu w razach najbardziéj krytycznych i najmniéj pewnych.

Właściciela majątku taka pożyczka nie uratuje, ale jest ostatnią dawką lekarstwa dla śmiertelnie chorego; zdrowia nie przywróci, życia nie zatrzyma, ale na chwilkę uśmierzy cierpienia agonii.

PARCELACYA I PARCELANCI.

Wobec tych danych, które przytoczyliśmy w rozdziałach poprzedzających, ulegać wątpliwości nie może, iż wielka ilość ziemi jest, a jeszcze większa w czasie niedługim będzie do sprzedania. Nadmierne odłużenie, z najrozmaitszych przyczyn powstałe, musi doprowadzić do przejścia niemałéj liczby dóbr w ręce inne. Jednocześnie ograniczenia, wydane już względem cudziemców i projektowane względem żydów, niezmiernie wzmogą gwałtowność przesilenia i spotęgują podaż ziemi. Też same przyczyny, które wywołają zaofiarowanie, ograniczą bardzo ilość możliwych nabywców ziemi. Nie będą jéj kupowali posiadacze więksi, nie będą kupowali cudzoziemcy i żydzi; na nabywców przyjezdnych z prowincyi sąsiednich, jak zobaczymy, liczyć nie można. Pozostaje zbadać, czy własność drobna palącéj téj potrzeby nie zaspokoi i pożądanych nabywców nie dostarczy.

Niejakie wskazówki mieliśmy co do tego już w poprzednich rozdziałach. Kiedy, dzięki nieprzyjaznym warunkom, większa własność robi — jak to mówią — bokami, a końca z końcem związać często nie jest w stanie, drobni posiadacze trzymają się. Ziemia jest widocznie dobrą lokacyą dla ich oszczędności i dobrym warsztatem dla ich pracy, gdyż nieustannie nabywają wspólnemi siłami dobra większe lub

ich części, płacą dosyć znaczne szacunki, i pomimo to wychodzą na swoje.

Wypada więc nam teraz poznać liczbę i zamożność tego rodzaju pożądanych nabywców.

I.

Za pierwszy kontyngens przypuszczalnych cząstkowych nabywców większéj własności uważać można, gęsto w różnych częściach kraju naszego rozsiane, wioski i osady szlachty t. z. zagonowéj.

W r. 1870 jenerał Anuczyn posiadłość drobnéj szlachty podał na 704 tysiące mórg. W r. 1878 posiadłość ta obliczona już jest na 881 tysięcy mórg; wnosić więc można, że w ciągu lat 8-miu wzrosła o jakie 180 tys. mórg [1]). Od owego czasu, t. j. przez lat przeszło 13 liczba osad i gruntów, do drobnéj szlachty należących, musiała się powiększyć, a więc znowu nastąpiło uszczuplenie i rozdrobnienie własności dużéj.

O zamożności i sposobie gospodarowania téj kategoryi właścicieli gruntowny znawca stosunków w téj sferze, p. Ludwik Górski, powiada [2]): „Osady i grunta drobnéj, zagonowéj szlachty, są zupełnie do włościańskich podobne. Charakterystyczną cechą jest rozpołożenie wioskowe, pomieszanie gruntów ornych, przy tém wogóle ubóstwo większe i stan gospodarstwa gorszy, niż u włościan".

Drugi kontyngens możliwych nabywców stanowią mieszczanie-rolnicy. W kraju naszym jest ich dosyć poważna liczba. Uwłaszczenie objęło 58,457 przedstawicieli gospodarstw i nadało im 443,309 mórg. Zamożność jednak mieszczan, przeciętnie biorąc, nie jest lepsza od zamożności drobnéj szlachty. Zarobki w miastach są trudne i małe, konkurencya z żydami, wobec taniości ich pracy, bardzo je obniża.

Wynika ztąd, że chociaż własność większa, na sprzedaż przeznaczona, znajdzie nieco kupców wśród drobnéj szlachty i trochę wśród mieszczan, to jednak oba te stany nie zdołały-by nawet w drobnéj cząstce sprostać wielkim rozmiarom potrzeby. Główna armia nabywców rekrutować się musi i może z pomiędzy mas włościańskich.

---

[1]) Dokładny wykaz własności drobnéj szlachty w r. 1878 jest następujący:

niżéj	30 mórg	38,187	właścicieli, posiadających razem	534 tys.	mórg
od 30 —	50 „	5,240	„ „ „	202 „	„
„ 50 —	100 „	2,159	„ „ „	145 „	„
		45,586	właścicieli, posiadających razem	881 tys.	mórg

[2]) „Pogląd na stan i potrzeby drobnéj własności w Królestwie Polskiém".

W r. 1878 statystyka rządowa rachowała 611,028 osad (gospodarstw) włościańskich, uprawiających obszar 8,783,658 mórg [1]).

Liczba więc osad włościańskich jest blisko 6 razy większa, a obszar gruntów blisko 7 razy większy, niż znaleźliśmy wśród drobnéj szlachty i mieszczan razem wziętych. Ze stanu więc włościańskiego wyjść może główny zastęp konkurentów na obszary większéj własności. Od czasu uwłaszczenia stosunki uległy niemałéj zmianie: wzrosła ludność, wzrosła liczba osad, wzrósł wreszcie i obszar posiadanéj ziemi, ale jednocześnie zrobiło się ciaśniéj — posiadłość zdrobniała. Liczb dokładnych dla całego Królestwa niéma. Tylko Izba Skarbowa Kielecka, wskutek zapytania Ministra finansów o przyczyny nawalnéj emigracyi, zebrała szczegółowe cyfry o stanie ludności i ziemi włościańskiéj. Zestawiamy dane dzisiejsze z liczbami z epoki uwłaszczenia. Wtedy włościanie gubernii Kieleckiéj posiadali 646,285 mórg, obecnie mają 696,382 morgi, czyli przyrost wynosi 7.7%. Liczba osad wtedy była 70,466, dzisiaj — 79,089, przyrost — 12.2%. Dusz włościańskich rachowano wtedy 418,643, dziś— 641,881 czyli przyrost stanowi aż 53.3%. A więc ilość ludzi wzrastała kilka razy szybciéj, niż ziemia, z któréj oni środki bytu czerpią. Chat téż przybyło, ale w nich jest 4 przeszło razy ludniéj, niż ćwierć wieku temu. Gospodarki zeszczuplały. W chwili uwłaszczenia na jedną głowę przypadało 1.54, obecnie zaś 1.08 morgi.

Tak się przedstawiają stosunki liczbowe. Zobaczmy teraz, jak nabywaniu przez włościan gruntów sprzyjały warunki inne.

Do wydania prawa z r. 1858, określającego na jakich zasadach zawierane być mogą umowy dobrowolne pomiędzy właścicielami dóbr a włościanami o zniesienie pańszczyzny i zaprowadzenie stosunku czynszowego, parcelacya miejsca prawie nie miała i miéć nie mogła. Pierwsze téż jéj ślady w księgach hypotecznych spotykamy dopiero w 1859 roku.

Ustawy z r. 1861 o okupie prawnym i z r. 1862 o oczynszowaniu z urzędu jeszcze szerzéj otworzyły zamknięte dotąd dla włościan wrota do nabywania ziemi. Właściciele, a przynajmniéj pewna ich część, utraciwszy bezpłatne siły robocze, musiała ścieśnić granice swych dotychczasowych posiadłości. Trzeba było téż zmienić nieje-

---

[1]) Własność ta rozpada się na następujące kategorye według rozległości:

do 10	mórg	osad	247,403	z obszarem	1,363 tys. mórg
od 10—20	„	„	230,646	„	3,464 „ „
„ 20—30	„	„	93,510	„	2,396 „ „
„ 30—40	„	„	25,878	„	892 „ „
wyżéj 40	„	„	13,591	„	668 „ „

dnokrotnie system gospodarki, odciąć i sprzedać obszary, nieprzynoszące odpowiednich, a często i żadnych zysków. Pomimo to ruch nie mógł odrazu przybrać szerokich rozmiarów. Krajem do głębi wstrząsały wypadki ówczesne. Ukaz z r. 1864, pozostający z niemi w ścisłym związku, nadał posiadłość ziemską wszystkim włościanom, którzy w owym czasie chwilowo choćby siedzieli na roli, a przeto zniósł ostatecznie wszelkie prawne przeszkody do rozwoju własności włościańskiéj. Pozostały jednak przeszkody natury moralnéj, których wpływ hamujący widzimy jeszcze przez lat parę.

Włościanie nie rozejrzeli się jeszcze na nowém stanowisku. Pozostawanie przez ciąg tylu wieków pod władzą i opieką patryarchalną dziedziców nie usposobiło ich do czynów samoistnych. Z pewném niedowierzaniem patrzyli na zaofiarowanie im ziemi przez dawnych swych panów. Po kraju przeciągały wciąż głuche wieści o nowych nadaniach; lud słuchał, wierzył czy nie wierzył, ale się ociągał i czekał. Z drugiéj strony i właściciele majątków nie mogli zbyt nagle i stanowczo przystępować do regulowania swoich gospodarstw, bo nie wiedzieli, w jakich rozmiarach na dobrach ich zaciążą służebności.

Każdą chwilę przejściową cechuje brak pewności w postępowaniu, chwiejność i niedowierzanie. Tu musiało to wszystko przybrać rozmiary tém większe, że przejście było nagłe, zaostrzone wieloma zmianami innego rodzaju, połączone z wieloma nienormalnościami. Pomiędzy władzami włościańskiemi, wprowadzającemi w życie Ukaz z r. 1864, a właścicielami dóbr, panowała wzajemna nieufność i rozgoryczenie. Z włościanami stosunki nie były lepsze. Jeden i drugi rok minął, zanim skłócone żywioły przyszły do jakiéj takiéj równowagi.

W dodatku ubóstwo włościan nie pozwala na razie myśléć o nabywaniu nowych gruntów. P. Ludwik Górski w znakomitém swojém cytowaném studyum o „stanie ekonomicznym drobnéj własności ziemskiéj w Królestwie Polskiém“, tak opisuje stan gospodarstw włościańskich w czasach pańszczyźnianych: „były zaniedbane, ściśle w trójpolówce zamknięte, na produkcyi jedynie pośledniejszych gatunków zboża i kartofli oparte, uprawy roślin pastewnych nieznające, wystarczały zaledwie na nędzne wyżywienie rodzin, ale warunków postępu i polepszenia bytu włościan wcale nie miały. O inwentarz pociągowy troszczył się cokolwiek właściciel, bo on służył do uprawy pól dworskich, natomiast inwentarz dochodowy był nad wszelki wyraz lichy. Budowle w nędznym stanie; chałupy szczupłe i niskie; w jednéj izbie i przyległéj komorze mieściła się cała rodzina gospodarza; małą izdebkę obok zajmował z rodziną parobek, którego gospodarz dla odrabiania pańszczyzny utrzymywał. Rok jeden nieurodzaju ni-

szczył całe mienie włościanina, wtedy właściciel z konieczności w pomoc mu przychodził. Na przednówku włościanie często nawet chleba własnego do jedzenia nie mieli. Pijaństwo było niezmiernie rozpowszechnione: wódką zachęcało się ludzi do roboty, wódką nagradzało dobre jéj wykonanie, to też karczmy przynosiły znaczne właścicielom dochody. Pomimo jednak tak upadłego stanu materyalnego i braku oświecenia, przyznać trzeba, że występki i zbrodnie były stosunkowo rzadkie. Obyczaje były ogólnie dobre, łagodne, posłuszeństwo wielkie, ale i niezaradność także wielka.

„Gospodarstwa włościan czynszowych były w lepszym stanie. Górowali wśród nich włościanie dóbr rządowych i donacyjnych, w których oczynszowanie połączone było z racyonalném urządzeniem osad. Odznaczali się także dobrobytem włościanie Ks. Łowickiego i włościanie czynszowi dóbr prywatnych, którzy płacili czynsze bardzo niskie i prócz tego korzystali darmo, lub za bardzo tanią opłatą, z używalności pastwiskowych i leśnych. Przypomnieć tu należy, że liczba włościan czynszowych w całém Królestwie równoważyła już wówczas liczbę włościan pańszczyźnianych [1]). Okoliczność ta, połączona z postępem gospodarstw folwarcznych, coraz więcéj rąk do uprawy wymagających, sprawiła, że ogólny stan ludności wiejskiéj, obejmując w nim włościan bezrolnych, był w liczebnym i materyalnym postępie, o czém świadczy szybkie powiększenie się téj ludności. Kiedy bowiem w r. 1816 było całéj ludności wiejskiéj w Królestwie około 2-ch milionów, w r. 1858 ludność ta wynosiła 3,600,000 dusz; wzrosła zatém w ciągu lat 42-ch o 80%“.

Wywód powyższy, oceniający rozwój dobrobytu na zasadzie wzrostu ludności, posiada tylko względną wartość. Okres lat 42 jest zbyt długi, ażeby obrachunek podobny mógł dać dokładne pojęcie o zamożności włościan w epoce, kiedy nabywanie ziemi przez nich mogło się było rozpocząć. Trzeba wziąć odstępy czasu mniejsze. Okres od 1816 do 1831 pozostawiamy na boku. Od 1832 po 1846 ludność powiększyła się znacznie: na każdy tysiąc mieszkańców przybywało rocznie 17. W następném dziewięcioleciu nie tylko nie było przyrostu, lecz, przeciwnie, statystyka zanotowała stratę ludności. Od roku 1856 do 1862 spotykamy znowu przyrost 9.6 głów na tysiąc rocznie; w dziesięcioleciu 1863—1872 wzrastanie ludności dochodzi do 23 na

[1]) W rzeczywistości w r. 1859 było:

osad czynszowych	52,506
„ pańszczyźniano-czynszowych	31,636
„ pańszczyźnianych	124,840
Razem . . .	208,982

tysiąc rocznie. Od 1873 do 1882 przyrost stanowi 15. Od r. 1883 do r. 1886 otrzymujemy prawie tęż samą liczbę — 14. W roku zaś 1887 przyrost wynosi 17 na tysiąc, w 1888 r. — 15; w 1889, ostatnim, dla którego posiadamy dane, przyrost stanowi około 14.

Cyfry porównawcze przekonają nas, że podobną szybkość wzrastania ludności nazwać można bardzo wielką. W Rossyi (1881 — 1885) przyrost ludności wynosi rocznie na tysiąc głów — 15; w Prusach — 12; w Austryi — 7; w Anglii — 14; we Włoszech i Belgii — 9; we Francyi — 2.

Opierając się tylko na podstawie tych danych, musielibyśmy przyjść rzeczywiście do wniosku, że dobrobyt mas w okresie od 1847 — 1855 zmniejszał się; w 7-leciu, poprzedzającém uwłaszczenie, był już dosyć znaczny (przyrost ludności wynosi 9.1 na tysiąc rocznie), a w czasach ostatnich znakomicie poszedł w górę. A więc — co ztąd wynika — środki włościan do dalszego nabywania ziemi powinny były również znacznie się powiększyć. Zjawiska inne przypuszczenie to stwierdzają, ale tylko do pewnéj granicy. Postęp dobrobytu, przez lat blisko lub przeszło 20 po uwłaszczeniu, był istotnie znaczny, lecz potém zatrzymał się i dziś zachodzi obawa, czy nie wrócimy do czasów i stosunków gorszych.

Cyfry o nabywaniu ziemi przez tak zwanych parcelantów, które zamierzamy poniżéj przytoczyć, twierdzenie to poniekąd udowodnią.

II.

Parcelacya wywołała w kraju naszym najrozmaitsze, a całkiem z sobą sprzeczne sądy, zdania, a nawet uczucia. Było to zupełnie naturalném, prawie koniecznem. Każde nowe zjawisko, zarysowujące się ledwie na horyzoncie życia, każde przetwarzanie się stosunków, którego początek znamy powierzchownie, a końca domyślać się musimy, budzi entuzyazm w jednych, podejrzenia i obawy — w drugich. Entuzyazm jest najczęściéj przedwczesny, obawy przesadzone, ale ustrzédz się od nich niepodobna. Sąd słuszny opierać się może jedynie na spokojném, bezstronném, objektywném badaniu, na faktach i cyfrach; tymczasem dopóki zjawisko jest w ebmryonie niejako, dopóki szuka tylko dróg najwłaściwszego rozwoju, niéma faktów, niéma cyfr, są tylko bardziéj lub mniéj trafne przypuszczenia.

Tymczasem parcelacya już wstępny okres przebyła. Nastała konieczność dokładniejszego badania. Z 9,429 dóbr, objętych wiadomościami naszemi, 1465, a więc 15%, uległo rozparcelowaniu.

Bank ziemski w Poznaniu, ogłosiwszy parcelacyę za jedno z najgłówniejszych, za najgłówniejsze może zadanie swoje, a więc za skuteczny środek obrony ziemi przed zamachami Komisyi kolonizacyjnéj, zapisał ją w programie społecznym.

Komisya, wyznaczona przez Zjazd prawników i ekonomistów w Krakowie w r. 1887, orzekła jednomyślnie, iż zlikwidowanie téj części większych własności ziemskich, które w dotychczasowych rozmiarach nie są w stanie się utrzymać, należy nie tylko do zakresu osobistéj działalności interesowanych, lecz stanowić powinno przedmiot troski całego społeczeństwa. Nienarażając wcale kapitału, może ono i ma obowiązek umożliwiać i ułatwiać czynności, w tym celu przedsiębrane, lub nawet zamierzone tylko.

Nie odmówiliśmy grosza na wprowadzenie w życie wskazań powyższych w Poznańskiém, a jednocześnie nie przyszło nam na myśl, że ekonomiczny stan Królestwa Polskiego wymaga działalności podobnéj. Jest to témbardziéj dziwne, że w owym czasie dojrzało już wśród nas przeświadczenie o potrzebie uregulowania jednostek gospodarczych, o konieczności odstąpienia na rzecz drobnych nabywców pewnéj części posiadłości większych.

Wyklęcia parcelacyi w znacznéj części wtedy już umilkły; wytwarzał się wspólny dla ogółu całego punkt widzenia—ale badań dokładnych jak nie było, tak niéma. Parcelacya, ogłoszona przez wielu za jedyny sposób rozwiązania kryzysu rolnego, za jedyny i racyonalny środek ratowania ziemi, pozostaje i dotychczas światem nieznanym, a wskutek tego dziedziną wciąż bardzo dostępną dla domysłów, fantazyi, błędnych nadziei.

Nie pomógł i do dziś dnia nie wywołał pożądanego skutku nawet wymowny i wpływowy głos p. Ludwika Górskiego, który już parę lat temu w artykule, wyżéj cytowanym o własności drobnéj [1]), nawoływał do poważnych badań nad tym przedmiotem. Znajduje się tam twierdzenie, „że własność mniejsza powołaną jest w kraju do nabrania coraz większego znaczenia, że zatém jéj stan i warunki pomyślnego rozwoju zajmować powinny uwagę myślących i dbałych o przyszłość tego kraju obywateli, a poważne studya w tym przedmiocie zająć miejsce lekkomyślnego, a często nawet namiętnego sądu“.

Szanowny Prezes Towarzystwa Kredytowego wskazuje na dzieła niemieckich i francuskich autorów, które mogły-by służyć za wzór do badań odpowiednich, oraz zachęca do przedsięwzięcia téj „poważnéj, a wcale nie trudnéj pracy“.

---

[1]) Pogląd na stan i potrzeby własności drobnéj w Królestwie Polskiém „Niwa“ Nr. 6 z r. 1889.

Wyznać musimy, iż nie wydaje się nam, aby sposoby badań, przez p. Górskiego zalecone, doprowadzić mogły do pożądanych rezultatów. W dalszym ciągu pracy niniejszéj, gdy dojdziemy do wykazywania potrzeb, domagających się załatwienia, i my sprobujemy rozwinąć plan, według którego— naszém zdaniem— łatwiéj i pewniéj dojść będzie można do zgromadzenia niezbędnych w tym wypadku danych.

Obecnie ograniczyć się musimy do skreślenia ogólnego poglądu na stan majątkowy własności drobnéj, powstałéj z rozparcelowania 1465 dóbr w 50 powiatach Królestwa, o ile naturalnie pozwolą na to wykazy, z ksiąg hypotecznych wyjęte.

Materyał nasz staje się tutaj mniéj jeszcze pewnym, niż gdy chodziło o własność większą, a to dlatego, że tutaj stosunki są bardziéj zawikłane, a niedokładności, wynikające z niedopełnienia form, przez ustawy hypoteczne nakazanych, częstsze.

III.

Przedewszystkiém poznać nam wypadnie, jak się parcelacya rozwijała z biegiem i w jakim szła kierunku, t. j. czy odrywała tylko od dóbr większych jakieś ich części, czy téż pochłaniała całe?

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w „Pamiętniku“ swoim za r. 1884 stwierdza, iż od lat dwudziestu prąd kommasacyjny odwrócił się stanowczo w kierunku *parcelowania* dóbr większych na mniejsze, odrębne własności, a zatém zgodnie z danemi naszemi, które przytoczymy niebawem, początek ruchu parcelacyjnego dostrzega w 1864 r.

W inném miejscu tegoż Pamiętnika czytamy: „W ostatniém zwłaszcza dziesięcioleciu spotykamy się z faktem, który coraz szerzéj rozpościera się na całéj przestrzeni Królestwa i stosunkom jego ekonomicznym do pewnego stopnia odmienną nadaje postać. Mówimy tutaj o rozdzielaniu dóbr większych na mniejsze, samodzielne gospodarstwa folwarczne, jak również o rozdzielaniu całkowitém lub częściowém folwarcznych przestrzeni na małe gospodarstwa, która-to ostatnia czynność znaną jest powszechnie pod mianem *parcelacyi*“.

Niejakie pojęcie o rozwoju ruchu parcelacyjnego miéć możemy ze sprawozdań Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Kredytowego. Właściwie dobra (lub części dóbr) przed parcelacyą winny być zwolnione z odpowiedzialności za pożyczkę Towarzystwa. Wprawdzie formalność ta nie zawsze bywa dopełnianą, a z drugiéj strony zwolnie-

nie może mieć inne powody niż parcelacya; to jednak jest to przyczyna najgłówniejsza i w statystyce odbija się wyraźnie. Do roku 1867 ilość dóbr zwolnionych w żadném półroczu nieprzechodziła 7-u, w drugiém zaś półroczu 1867 r. mamy już liczbę 25. Cyfry te stale rosną:

w 1-m	półroczu	1879 r.	znajdujemy	dóbr	zwolnionych	65
„ 2-m	„	„	„	„	„	79
„ 1-m	„	1880 r.	„	„	„	60
„ 2-m	„	„	„	„	„	84
„ 1-m	„	1881 r.	„	„	„	106

Na nieszczęście, od daty ostatniéj Dyrekcya Główna zaprzestała podawać w sprawozdaniach liczbę dóbr zwolnionych [1]).

Daleko dokładniejsze i doprowadzone do czasów ostatnich dane znaleźć można w księgach hypotecznych. Wybieramy gub. Radomską, gdyż wypisy nasze uzupełnić możemy cyframi ze wspomnianéj już cennéj pracy p. Romanowskiego, drukowanéj w Gazecie Radomskiéj. Najpierwsze ślady parcelacyi w tamtejszych księgach hypotecznych noszą datę r. 1859. W pow. Radomskim rozparcelowały się wtedy dwa majątki całkowicie i jeden częściowo. Następnie znowu w roku 1861 spotykamy wypadek parcelacyi jednych dóbr w pow. Kozienickim i części dóbr w pow. Sandomierskim.

Potém aż do r. 1865 zachodzi przerwa. Dopiero od daty ostatniéj parcelacya ukazuje się w kilku naraz powiatach, a wreszcie i w całéj gubernii występuje jako zjawisko stałe. Dotychczas były to wypadki odosobnione, sporadyczne, żadnego znaczenia społecznego i ekonomicznego nie mające.

Z tychże danych widzimy daléj, iż całe dobra ulegają parcelacyi daleko rzadziéj, niż części majątków. Od r. 1859 do r. 1889 włącznie, rozparcelowano w gub. Radomskiéj dóbr całkowitych 94, liczących 42 tysiące mórg; w tymże czasie rozsprzedano części 512 majątków, co wyniosło 105 tysięcy mórg, t. j. $2^1/_2$ razy więcéj, niż obszar całkowitych rozparcelowanych dóbr.

Następujące zestawienie wskazuje, jaką część ogółu rozparcelowanéj ziemi sprzedawano do r. 1865, oraz w następnych okresach pięcioletnich. (Ogół rozparcelowanéj ziemi oznaczymy przez 100):

Okresy	% sprzedanego obszaru przy parcelacyi dóbr całkowitych:	% sprzedanego obszaru przy parcelacyi części dóbr:
do r. 1865	3.7	0.6
1865 — 70	10.4	10.5
1870 — 75	24.0	17.1

[1]) Przypisek na str. 20 „Pamiętnika“.

Okresy	% sprzedanego obszaru przy parcelacyi dóbr całkowitych:	% sprzedanego obszaru przy parcelacyi części dóbr:
1875 — 80	27.9	28.0
1880 — 85	30.7	34.9
1885 — 90	3.3	8.9
	100%	100%

Jeżeli odrzucimy okres ostatni, to się okaże, iż parcelacya z roku na rok nieustannie wzrastała. Drobni posiadacze rozkupują coraz więcéj zarówno całkowitych dóbr, jak i pojedyńczych ich części. Przestrzeń rozparcelowana w okresie 1880—1885 jest przeszło trzy razy większa, niż między latami 1865 a 1870.

Rok 1885 stanowi punkt zwrotny: parcelacya dokonywa się we wszystkich powiatach, księgi hypoteczne notują ją co rok — nieprzestała więc być zjawiskiem stałém, ale się znacznie zmniejsza. Niejedna zapewne przyczyna wywołała zmianę podobną. Zniżenie cen w tym właśnie czasie na produkty rolne nie mogło pozostać bez wpływu: ziemia poczęła słabiéj procentować, mniéj téż ciągnęła ku sobie nabywców. Można téż przypuszczać, iż pewna wstrzemięźliwość i oczekiwanie czasowe spowodowane zostały zapowiedzią banku włościańskiego; chwila jego otworzenia bardzo się odwlokła, a następnie działanie było bardzo powściągliwe. Na dobitkę korzystne zarobki postronne, na które w następstwie wskażemy, urwały się w tym właśnie czasie. Nagromadzone oszczędności drobnych rolników, u nas najchętniéj w ziemi lokowane, wzrastać przestały; a nawet może zasoby dawniejsze w latach ciężkich poczęły topnieć.

Jest więcéj niż prawdopodobne, że pewna część ziemi ulega rozdrobnieniu, na razie nie wywołując w księgach hypotecznych żadnéj zmiany. Zdarza się bardzo często, że drobni nabywcy obowiązują się za kupioną ziemię płacić częściowo; z uiszczania rat pojedyńczych właściciel kwituje dokumentami, prywatnie sporządzonemi, a dopiero, gdy już cały rachunek uregulowany, następuje przepisanie tytułu własności w księgach hypotecznych. Następnie często w majątkach, obarczonych służebnościami, odprzedają się części na zasadzie prywatnych umów, z tém zastrzeżeniem, że regulacya hypoteki ma nastąpić po zniesieniu służebności, na co nieraz trzeba długo bardzo czekać, a przez ten czas dokonana już tranzakcya wcale w hypotece nie jest zaznaczoną.

Dopiero badania szczegółowe, przeprowadzone na gruncie i w każdym zakątku kraju, wykryły-by dokładnie ilość i rozmiar wszystkich podobnych tranzakcyi. To jednak za pewne uważać można, iż cyfry nasze wskazują mniéj wypadków, niż ich rzeczywistość zawierała.

IV.

Pod względem społecznym i gospodarczym wielka zachodzi różnica pomiędzy dwoma rodzajami parcelacyi: rozprzedawaniem całych majątków i pozbywaniem się mniéj dogodnych i mniéj potrzebnych części dóbr.

W pierwszym wypadku pożytek zaszłéj zmiany może podlegać bardzo zakwestyonowaniu. Znikanie w jakimś kraju z oblicza ziemi własności większéj, i to znikanie z roku na rok stale, więcéj może mieć stron szkodliwych i niebezpiecznych. Posiadacze ziemscy, rozporządzający większemi środkami intelektualnemi i materyalnemi, zajmujący wynioślejsze a niezależne stanowisko społeczne, mają do spełnienia zadanie poważne. Oni przechowują też zazwyczaj—co bynajmniéj małoważném nie jest — w łonie swojém pewne tradycye, przez życie wieków minionych przekazane, a bez których naród byłby, jak okręt bez balastu, w każdéj chwili pozostający w równowadze niestałéj. W całym kraju rozrzucone być winny posterunki, w których znaleźć-by mogły odbicie ogniska wiedzy i postępu, rozniecane w dobie dzisiejszéj w miastach; nietylko rozwój, ale byt wymaga, aby w każdym zakątku ziemi naszéj znalazły się umysły, chcące i umiejące ocenić doniosłość ulepszeń technicznych, zdolne wreszcie pojąć wszystkie tony haseł potężniejącéj wciąż cywilizacyi. Drobna własność nie wyklucza oczywiście wysokich zdolności w posiadaczu, nie broni przejść przez ławy i egzaminy szkół wyższych; ale drobna posiadłość wymaga całego czasu, wymaga pracy twardéj, nie pozostawia chwili wolnéj i myśli swobodnéj, nie daje wreszcie środków na wprowadzenie udoskonaleń gospodarczych, które zawsze pociągają za sobą znaczny nakład, kosztują wiele prób i niepowodzeń czasowych.

Każdy rodzaj warsztatu wymaga pewnego poziomu umysłowego; zdarzają się wypadki pojedyńcze, iż czasem człowiek przenosi zajmowane stanowisko, czasem nie dorasta do niego; zwykle po pewnym przeciągu czasu, szczególniéj w wypadku pierwszym, przychodzi do równowagi; zawsze prawie człowiek przebywa znaczną większość dzielącéj odległości, zniża się do tego poziomu, jakiego wymaga rodzaj pracy, do jakiego usposabia otoczenie.

Właściciel drobnéj działki ziemi może mieć w jakimś wypadku znaczne zasoby; w takim razie, albo za nie rozszerzy warsztat swéj pracy i utworzy własność większą, albo środki jego, nie znalazłszy pola zastosowania właściwego, społecznie procentować nie będą. Biorąc zaś rzeczy nie tak, jak one być mogły, lecz tak, jak są, wiemy, iż u nas posiadacze drobnéj własności stoją na niskim poziomie umysłowym,

rolę uprawiają i wogóle gospodarstwo prowadzą sposobami najpierwotniejszemi. Znikanie dóbr większych równało-by się gaśnięciu świateł.

Wszelkie względy i zarzuty powyższe nie znajdują zastosowania, gdy część tylko większéj całości zostaje rozparcelowaną.

Oczywiście zdarzyć się mogą i zdarzają się wypadki, że sprzedanie pierwszéj cząstki jest tylko wstępem, za nią pójdzie druga, trzecia i wreszcie dobra całe; bywa i tak, że właściciel, przyciśnięty potrzebą, odrywa niewłaściwie szmat ziemi i kaleczy sobie dobra. W większéj jednak liczbie wypadków parcelacya częściowa jest raczéj uregulowaniem gospodarstwa. Zmienia się rozległość majątku, ale charakter jego pozostaje ten sam, co dawniéj.

Kontury dóbr są często bardzo dziwaczne, poszarpane; drogą parcelacyi jakiegoś bardziéj odległego kawałka zaokrągla się całość, a ów kawałek, zbyt odsunięty od oka pańskiego, zaczyna teraz w ręku nowonabywców znacznie lepiéj procentować. Często część poświęca się dla uratowania całości; wzięte ze sprzedaży pieniądze idą na spłatę długów, na melioracye i t. d. U nas, jak to już zauważyliśmy, obszary majątków są zbyt duże, nie odpowiadają pieniężnym i administracyjnym siłom właściciela. Drogą wyprzedaży cząstek, kawałków, nowonabywcom drobnym można najwłaściwiéj stosunek ten uregulować.

Słowem, kiedy parcelacya dóbr całkowitych, pochłaniając własność większą, przetwarza całkiem stosunki rolne, parcelacya częściowa jest w wielu wypadkach doskonałym środkiem ratowania majątku, stosunków nie zmienia, a tylko jednostki gospodarcze doprowadza do rozmiarów właściwych.

Wróciwszy jeszcze do naszego zestawienia rozwoju parcelacyi w okresach pięcioletnich, przekonywamy się, iż od r. 1865—1870 uległo rozprzedaży zarówno dóbr całych, jak i części, 10% całego rozparcelowanego obszaru. W okresie następnym parcelacya części dóbr całkowitych wzrasta znacznie, $2^1/_2$ raza prawie, i tworzy już 24%, parcelacya zaś cząstkowa stanowi tylko 17%. Od r. 1875 — 1880 znowu się liczby procentowe wyrównały, a więc teraz szybciéj wzrasta parcelacya części dóbr, i takie szybkie stosunkowo wzrastanie mamy już aż do końca. Z tego wznosić-by można było, iż obecnie parcelacya gub. Radomskiéj rozwija się więcéj w kierunku pożądanym.

Długo zatrzymaliśmy się nad przedmiotem powyższym, bo téż wobec doniosłości procesu parcelacyjnego posiada on wielkie znaczenie. Chcieliśmy téż zwrócić uwagę, że ruch ten, pozostawiony, jak to się dotychczas dzieje, samemu sobie, powierzony wyłącznie wpływom zmiennych i nieobliczonych przyczyn naturalnych, nieujęty w plan, nie-

uregulowany dobrze obmyślaną interwencyą rozumu ludzkiego, zamiast wielkich korzyści, przynieść może gospodarstwu narodowemu znaczne straty. Dopóki zaś wszystko jest oparte na domysłach, na pobieżnéj znajomości paru wypadków, dopóty nic pewnego przedsięwziąć niepodobna.

Wszystkie cyfry, przez nas przytoczone, są tylko mniéj lub więcéj zbliżone do prawdy i niewystarczają zupełnie do dokładnego poznania wewnętrznéj strony zjawiska. Nie może naprzykład ulegać wątpliwości, że serwituty muszą wpływać, i to zapewne silnie wpływać, na przebieg parcelacyjnego procesu. W jaki to zaś sposób się odbywa i w jakim sensie, niewiadomo, bo brak danych. Domyślać się tylko można, że ciężary serwitutowe przeszkadzają rozdrabnianiu całkowitych majątków. Jednocześnie układy o usunięcie serwitutów były prawdopodobnie przyczyną niejednéj parcelacyi cząstkowéj.

Powtóre: niezmiernie ważném jest w danym razie pytanie, jakie cele, jakie zamiary wywołują parcelacyę częściową? Czy dzięki jéj znikają, czy też tworzą się szachownice?—t. j. czy jednostki gospodarcze zaokrąglają się, czy téż tracą kształty właściwe; czy parcelacya jest rozumnym, obmyślanym, dobrowolnym postępkiem, czy téż chwytaniem się tonącego za ostrze brzytwy?

Nic także nie wiemy o skutkach parcelacyi cząstkowéj, o wpływie jéj na pomyślność lub upadek tych dóbr, które się do niéj uciekły.

Lecz, co jeszcze ważniejsza, brak danych nie pozwala nam z dostateczną siłą wykazać, że utrudnienia, napotykane przy usuwaniu serwitutów i separowaniu gruntów, szkodzą więcéj włościanom, niż własności większéj. Dokąd badania przyszłe nie wypełnią w zupełności luk, dziś istniejących, zadowolnić się musimy tém, co jest; niejakiego światła udzielą nam obliczenia, dokonane na zasadzie posiadanych przez nas wypisów hypotecznych o cenach, płaconych przez parcelantów, zarówno przy nabywaniu części dóbr, jak i całych majątków.

V.

Przedewszystkiém zwrócić uwagę należy, że, o ile idzie o sumy szacunkowe, księgi hypoteczne drobnéj własności są dokładniejsze i podają cyfry bliższe prawdy, niż w majątkach dużych. Tylko w bardzo rzadkich wypadkach może się tu zdarzyć, iż, dla oszczędzenia sobie jakiejś części opłat stemplowych, wykazywaną bywa wartość niższa od rzeczywistéj. Chodzi o zbyt małe rzeczy, aby się ryzyko opłaciło. Włościanie przytém, w rzeczach procedury hypotecznéj nie-

biegli, względem doradców nieufni, nie godzą się na wpisanie kwot mniejszych, jak te, które płacą.

Zmiany, jakim uległy ceny na ziemię, nabywaną przez parcelantów w guberni Radomskiéj, były następujące:

		przy parcelacyi dóbr całkowitych płacono przeciętnie za morgę:	przy parcelacyi części majątków płacono przeciętnie za morgę:
	do r. 1865	20	51
w okresie	1865—70	25	26
„ „	1870—75	32	28
„ „	1875—80	38	27
„ „	1880—85	55	52
„ „	1885—90	45	46
	przeciętnie	40	38

Widzimy, iż ceny, płacone za morgę przy parcelowaniu całych dóbr i części majątków, niezbyt się od siebie różnią. Czas przed r. 1865 w rachubę brany być nie może, gdyż parcelacya była wtedy wypadkiem wyjątkowym. W czasach późniejszych, tylko w okresie 1875—80, różnica w cenach morgi wynosi 11 rs., w innych stanowi rubla, dwa, najwyżéj cztery. Z wyjątkiem lat początkowych i ostatniego pięciolecia, wszędzie przy kupnie całych dóbr znajdujemy ceny wyższe, niż przy nabywaniu części. Skąd to pochodzi—trudno wiedzieć; zapewne w różnych wypadkach działają różne przyczyny. Znowu dla wyjaśnienia zjawiska czekać musimy, aż przeprowadzone zostaną badania szczegółowe. Zwraca jeszcze uwagę okoliczność, że przy parcelacyi części dóbr spotykamy wahanie się cen większe, niż przy parcelowaniu całych majątków.

W drugim wypadku cen rażąco niskich w danych naszych prawie nie znajdujemy. Parę razy tylko cyfra szacunku za morgę niższą jest od 20 rs., i to w wypadkach wyjątkowych, przy sprzedaży dóbr przez licytacyę, lub w latach dawnych, w 1861, 1865. Równie rzadko zdarzają się ceny wyższe od 80 rs.

Przy parcelacyi częściowéj dosyć często trafia się 8, 9, 10 rs. za morgę, z drugiéj zaś strony mamy wypadek (sprzedaż łąki), iż za morgę zapłacono 197 rs.; cyfry, o parę dziesiątków przenoszące sto, nie stanowią osobliwości. Niskie ceny mogą pochodzić stąd, że właściciele dóbr rozprzedają jakieś nieużytki, bagniska i t. d.; lub może owe 8 rs. za morgę stanowią dopłatę do zamian serwitutowych.

Ceny, odskakujące daleko w górę od cyfr przeciętnych, prawdopodobnie płacone były przy nabywaniu najlepszych części majątku: łąk, lasów, zabudowań i t. d., co można uważać za pewnego rodzaju dewastacyę majątku.

Przeciętne cyfry cen, które powyżéj zestawiliśmy w dwóch kolumnach, zmieniają się dosyć prawidłowo: do r. 1885 idą w górę—czego się można było spodziewać, gdyż do téj epoki parcelacya z roku na rok rosła, więc popyt na ziemię wzmagał się; po r. 1885 osłabnięcie ruchu parcelacyjnego obniża ceny. Tu zresztą znowu przy kupnie całych dóbr spotykamy prawidłowość większą, niż przy nabywaniu części majątku. W pierwszym wypadku wzrost cen jest nieustanny i niemal równomierny; w drugim zaś, od r. 1865 aż do 1880, szacunki nie zmieniają się prawie, — widzimy tam liczby 26, 28, 27 rs. Nagle w okresie 1880—1885 skok w górę jest znaczny, otrzymujemy cenę morgi—52 rs., t. j. prawie dwa razy więcéj, niż w okresie poprzedzającym.

Początkowo więcéj płacono za ziemię przy parcelacyi części majątków, w końcu przy nabywaniu dóbr całkowitych, wreszcie w ostatniém pięcioleciu cyfry są prawie jednakowe.

Czy jednak wykazane zmiany i różnice odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy w kraju całym?—to pytanie nie bez znaczenia dla gospodarstwa narodowego.

Przy parcelacyi całych dóbr do ogólnego szacunku wchodzi wartość budynków; przy parcelacyi części majątków ma to miejsce zapewne tylko kiedy niekiedy. Ta jest niewątpliwie przyczyna, dlaczego cena ziemi w pierwszym wypadku jest wyższą, niż w drugim. Dziwić się tylko należy małym rozmiarom różnicy, gdyż wynosi ona przeciętnie ledwie rs. *dwa*.

Von der Goltz [1]) oblicza dla Niemiec, iż wartość budowli jest:

niską, jeżeli nowe stanowią 20—25%, a stare 15—20% ogólnego szacunku dóbr;

średnią, „ „ „ 26—32%, „ 21—24% „

wysoką, „ „ „ 33—40%, „ 25—30% „

Kraft [2]) wartość budowli nazywa:

niską, jeśli tworzą —20% ogólnéj wartości dóbr;

średnią, „ „ 25—40% „ „ „

wysoką, „ „ 40—50% „ „ „

Papst przyjmuje też same cyfry.

W Księstwie Poznańskiém [3]) wartość gruntu obliczaną jest przeciętnie 570 marek za morgę. Szacunek zaś budynków na całym obszarze wynosi na morgę 121 marek, t. j. 21% liczby poprzedniéj.

---

[1]) „Betriebslehre.“ Berlin 1886 str. 114.

[2]) „Betriebslehre.“ 2 wydanie 1879 r. str. 32.

[3]) Seelhorst. „Die Belastung der Grundrente durch das Gebäudekapital in der Landwirthschaft.“ Jena 1890.

Wobec tego przypuszczać można było, iż szacunek morgi u nas w dobrach, nabywanych całkowicie, będzie, licząc wyrozumiale, o 20, 15, a niechby tylko o 10% wyższy, niż przy parcelowaniu cząstek. Tymczasem na 40 rs. znaleźliśmy różnicę 2, a więc 5% zaledwie. Albo więc budynki w dobrach parcelowanych były w stanie bardzo lichym i faktycznie stanowić nie mogły żadnéj wartości dla nowonabywców— słowem było to zdarzenie w części wypadkowe; albo też przy tego rodzaju tranzakcyach budynki nie są wogóle brane pod uwagę, a parcelanci szacują tylko grunt. Za ostatniém przypuszczeniem przemawiać się zdają cyfry z gub. Płockiéj, wyższe znacznie, niż ceny morgi w dobrach rozparcelowanych w gub. Radomskiéj.

W artykule poprzednim (str. 556) przytoczyliśmy przeciętne ceny, otrzymane przy sprzedaży ziemi z wolnéj ręki i na licytacyach w gub. Płockiéj. Widzieliśmy tam, że cena ziemi w r. 1885 jest wyższa znacznie niż w latach następnych; wynosi ona wtedy średnio 57 rs. za morgę, w roku zaraz następnym suma szacunkowa spada odrazu na 48 rubli, a w r. 1890 nawet na 45. Przeciętna cena morgi w tym okresie tworzy 50 rs., t. j. o 7 rubli mniéj od szacunku r. 1885.

Widzimy przytém, że w Płockiéj gubernii ceny ziemi, sprzedanéj z wolnéj ręki (57 rs. za morgę), nawet w czasach spadku cen, wyższe są od szacunków, płaconych przy parcelacyi za cały okres od 1859—1890 r. Co więcéj: w Płockiéj gubernii ziemia, przechodząca przez licytacyę, szła wyżéj, niż w Radomskiéj, przy cząstkowém sprzedawaniu działek majątków.

Oczywiście porównywać cen z dwu okolic, różnych co do gleby i co do położenia, nie można. A przytém zwrócić musimy uwagę, że w gub. Płockiéj drobna własność od dawnych czasów dużą odgrywa rolę. W roku 1890 posiadłość ziemska składała się z następujących pierwiastków:

	Gruntów użytkowych	Lasów i krzaków	Nieużytków
	w tysiącach mórg		
W dobrach szlachty i duchowieństwa . .	580	226	44
„ szlachty zagonowéj	319	42	21
„ włościan i kolonistów . . .	548	10	17
„ kupców i mieszczan i t. d. .	21	0.1	0.2

A zatém gruntów użytkowych znajduje się:

W dobrach szlachty i duchowieństwa .	39.5%
„ szlachty zagonowéj	21.7%
„ włościan i kolonistów . . .	37.4%
„ kupców, mieszczan i t. d. .	1.4%
	100%.

Razem więc do właścicieli drobnych, włościan i szlachty zagonowéj, należy blisko 60% gruntów użytkowych. Zobaczmy teraz, jakie są rozmiary w gub. Płockiéj mająteczków szlachty zagonowéj i chłopów. Zaczniemy od szlachty. Należy do niéj 41,237 głów—8,700 osad i 382 tysiące mórg. Na jedną więc osadę przypada blisko 44 morgi, na jedną głowę—9.3 morgi.

Włościanie liczą 448,000 głów, posiadają 49,681 osad i 575 tysięcy mórg. Jedna osada przeciętnie obejmuje 12 mórg, na głowę zaś wypada 1.3 morgi. [1])

Nadmienić trzeba, że do obrachunku powyższego nie weszła znaczna liczba osad, rozdzielonych w tabelach likwidacyjnych na kilka własności.

Zachodzi teraz pytanie: czy wysokie ceny ziemi w gub. Płockiéj nie były właśnie wynikiem wielkiéj liczby drobnéj własności, a wskutek tego większego tam, niż w innych częściach kraju, popytu na ziemię?

Jeszcze jednę okoliczność zbadać-by należało. Dochodzenie urzędowe, wszczęte z powodu emigracyi, wykryło, iż znaczna liczba włościan od lat już wielu wyjeżdżała do Stanów Zjednoczonych Ameryki i zaoszczędzone tam pieniądze, w kwotach względnie wysokich, nadsyłała lub przywoziła do kraju. Taki dosyć znaczny przypływ gotówki mógł miéć wpływ; za bardzo prawdopodobne uważać należy, że szczęśliwi odbiorcy lokowali ją, wedle zwyczaju, w gruntach.

Przejdźmy teraz do gub. Piotrkowskiéj. Tam ceny ziemi rozparcelowanéj bardziéj są jeszcze zmienne, niż w gub. Radomskiéj. W pow. Łódzkim np. sprzedano 34 morgi po 5 rs. za morgę; w Noworadomskim 168 mórg po 6 rs.; w Będzińskim 96 mórg po 7 rs.; i w Łaskim 1,309 mórg również po 7 rs. Są to ceny nadzwyczajnie niskie; a obok tego znajdujemy 311 i 321 rs. za morgę (w pow. Łódzkim), a nawet 500 i 833 rs. za morgę (w pow. Będzińskim). Dwa ostatnie wypadki zresztą w rachubę brane być nie powinny, gdyż za 500 rs. sprzedano jednę morgę, po 833 rs.—trzy. W każdym razie cena morgi, przenosząca o parę dziesiątków sto rubli, rzadkością tu nie jest. Pochodzi to niewątpliwie stąd, iż w gub. Piotrkowskiéj

---

[1]) Własność szlachty drobnéj i włościan w gub. Płockiéj rozpada się na następujące grupy wedle rozmiarów:

	Własność szlachty zagonowéj:	Własność chłopska:
do 3 mórg	600 osad	27,249 osad
od 3—15 „	3,000 „	19,245 „
wyżéj 15 „	5,100 „	3,187 „
Razem . .	8,700 osad	49,681 osad

jest wiele osad fabrycznych, noszących nazwy wsi, ale faktycznie posiadających stosunki miejskie, gdzie się ziemia pod budynki kupuje na łokcie kwadratowe. Dosyć wspomnieć o Sosnowcu, liczącym dziś pewnie do 20,000 mieszkańców, a niebędącym nawet osadą. W dodatku, w pow. Będzińskim znajdują się kopalnie. Średnia cena morgi w gub. Piotrkowskiéj waha się pomiędzy 40 a 89 rublami.

Widzimy przytém, że tu, odwrotnie niż w gub. Radomskiéj, ceny, płacone za ziemię przez parcelantów, wyższe są, niż przy ogóle tranzakcyi w gub. Płockiéj.

VI.

Teraz z kolei poznać nam wypada, jakich rozmiarów dobra najczęściéj ulegają sprzedaży cząstkowéj.

Najwięcéj dóbr parceluje się z naszéj grupy II-éj t. j. od 60 do 600 mórg. Na ilość stanowią one wśród ogółu dóbr rozparcelowanych 68.3%, na obszar aż 71.9%.

Po téj grupie najwięcéj przestrzeni ustępuje parcelacyi grupa posiadłości średnich (od 600—1,500 mórg). Chociaż na ilość daje ona 5.6%, na obszar jednak 18.8%.

Wielka posiadłość parceluje się bardzo mało. Majątki rozparcelowane z grupy od 50 do 100 włók tworzą ledwie 0.8% wszystkich dóbr rozparcelowanych, a obszar 6.8%.

W grupie fortun magnackich, przenoszących 100 włók, parcelacyi już wcale nie spotykamy.

Parcelują się nawet majątki najmniejsze, niesięgające 60 mórg, i to parcelują się w znacznéj liczbie. Dane nasze wykazują 227 wypadków, co stanowi 25.3% ogółu, a pod względem terytoryum daje 2.5%, t. j. półtrzecia raza więcéj, niż grunta téj grupy tworzą wśród ogółu gruntów hypotecznych (1%).

Rezultat powyższy można było przewidywać. Duże obszary, które-by właściciele rozparcelować chcieli, są tak odłużone, że niełatwo je, nawet przy pomocy pośredników-przedsiębiorców, sprzedać w całości nabywcom, mniéj niż średniéj zamożności, którzy z wysiłkiem mogą zdobyć się na kupno jednéj lub dwu włók; dla sprzedania majątku, np. liczącego 3,000 mórg, tego rodzaju kupców trzeba-by znaleźć 50—100, co już jest rzeczą niełatwą. Daléj ciżba różnorodna musiała-by się porozumieć co do podziału bardzo niejednorodnemi, w większości wypadków, częściami majątku: rolą rozmaitéj wartości, pastwiskami, łąkami, wreszcie nieużytkami, których w dużych folwarkach najczęściéj nie brak. Pewną przeszkodę stanowi niezawodnie i to,

że majątki duże posiadają częściéj odpowiednie domy mieszkalne, zabudowania dworskie, ogrody kosztownie urządzone, oranżerye, parki i t. d. Przy rozparcelowaniu, rzeczy te musiały-by prawdopodobnie iść narówni z lepianką lub chlewkiem drewnianym, a parki i ogrody oszacowane-by zostały wedle rozległości gruntu i wartości opałowéj lub budulcowéj drzewa. Przekonaliśmy się już z cyfr, iż nawet przy kupowaniu dóbr mniejszych, gdzie budynki mogą być nowonabywcom bardziéj przydatne, nie wywierają one widocznego wpływu na szacunek ziemi.

Z drugiéj strony i parcelowanie drobniutkich mająteczków téż nie może być bardzo częste i powszechne, więc téż otrzymujemy największą ilość wypadków parcelacyi wśród majątków, nieprzenoszących włók 20-tu, które nabyć może kółko drobnych właścicieli, zwykle znających się między sobą i znających bezpośrednio wartość majątku.

Postawmy obok siebie liczby następujące:

		wśród rozparcelowanych
Dobra najdrobniejsze wśród ogółu majątków tworzą	22%,	25%
„ małe „ „ „ „	49%,	68%
„ średnie „ „ „ „	20%,	6%
„ większe „ „ „ „	6%,	1/5%

Czyli z grupy majątków od 2—20 włók parceluje się nietylko absolutnie najwięcéj dóbr, coby mogło być rezultatem największéj ilości wogóle dóbr w tych granicach zawartych; lecz i stosunkowo najwięcéj, bo kiedy wśród ogółu majątki téj grupy stanowią 49%, wśród parcelowanych 68%, a więc obszary pomiędzy 60—600 mórg, jak się okazuje, w obecnych warunkach najbardziéj kwalifikowały się do parcelacyi.

Prócz tego, tylko w grupie do 60 mórg znajdujemy stosunek podobny: dóbr wogóle jest 22%, rozparcelowanych zaś aż 25%.

Wśród posiadłości średniéj dóbr wogóle jest stosunkowo prawie 4 razy więcéj, niż dóbr parcelowanych, wśród dużéj—aż przeszło 7 razy.

Przyjrzyjmy się zjawisku temu, o ile cyfry nasze pozwolą, jeszcze bliżéj:

W grupie I-éj	przeciętny	majątek	wogóle	wynosi . 22.6 mórg
„ —	„	„	parcelowany	„ . 22.3 „
„ II-éj	„	„	wogóle	„ . 260 mórg
„ —	„	„	parcelowany	„ . 230 „
„ III-éj	„	„	wogóle	„ . 925 mórg
„ —	„	„	parcelowany	„ . 748 „
„ IV-éj	„	„	wogóle	„ . 1,791 mórg
„ —	„	„	parcelowany	„ . 1,945 „

W pierwszéj grupie przeciętny majątek rozparcelowany jest prawie równy przeciętnemu majątkowi wogóle; znaczy to, że parceluje się równomiernie posiadłość wszelkich, pod względem obszaru, stopni - największa i najmniejsza, o ile naturalnie ostatnie jest możliwém.

W grupie II-éj i III-éj przeciętna rozległość rozparcelowanych dóbr niższą jest od przeciętnéj rozległości wszystkich majątków; a więc w każdéj z tych grup, pojedyńczo wziętych, parceluje się przedewszystkiém własność mniejsza, leżąca bliżéj dolnéj granicy.

Gdybyśmy więc grupę II-gą rozdzielili jeszcze na dwie części, to większa część parcelowanych posiadłości przypadła-by w części pierwszéj, t. j. w granicy pomiędzy 2-ma a 11-ma włókami; a więc takie parcelacye odbywają się obecnie wogóle najczęściéj.

Nie koniec na tém; równomierne parcelowanie się własności bardzo drobnéj, częstsze wypadki parcelacyi drobniejszych majątczków w grupie II-éj i szybki spadek ilości wypadków parcelacyi w grupie III-éj, dowodzą, iż posiadłość, najłatwiejsza do parcelowania, która też głównie ulega tego rodzaju procesowi rozkładowemu, typ niejako dóbr parcelujących się obecnie, liczy mniéj niż 300 mórg, czyli 10 włók. Im daléj posuwać się będziemy w dół lub w górę od tego typu, tém ilość parcelacyi zdarzać się będzie rzadziéj: w górze np. już po 1,500 morgach staje się sporadyczną, może wypadkową, a w końcu po 3,000 nie spotykamy jéj już zupełnie. [1])

To nas doprowadza do wniosku, że wskutek parcelacyi znikają zupełnie całe folwarki, t. j. że ona nie reguluje, lecz przekształca stosunki rolnicze, w sposób, jak to dowodziliśmy, wcale niepożądany. Na okoliczność tę baczną uwagę zwrócić powinni dbali o dobro kraju sterownicy społeczeństwa.

---

[1]) Z tego, że w grupie dóbr większych przeciętna majątków parcelowanych przenosi przeciętną majątków wogóle, nie należy zbyt pospiesznie wyciągać wniosku, iż parcelują się tam przeważnie majątki duże, gdyż liczby absolutne są zbyt małe, aby pozwolić mogły na jakiś wniosek ogólny, a mianowicie: w grupie té rozparcelowano ledwie 7 dóbr, jeden więc majątek rozparcelowany duży mógł wysoko podnieść liczbę przeciętną.

Tak się też stało. Z 7-u majątków, rozparcelowanych w téj grupie, 4 nie sięgają 2,000 mórg, a z nich trzy ledwie, ledwie, przekraczają dolną granicę (1,521—1,535 i 1,545 mórg), 2 nieco przenoszą 2,000 mórg (2,027 i 2,135 mórg), a tylko jeden zbliża się mocno ku granicy górnéj i ten spowodował taką wysokość liczby przeciętnéj. Oczywiście jeden wypadek, może jakiś wyjątkowy, nie dowodzi niczego.

Największy ten z majątków, rozparcelowanych w 50 naszych powiatach, leży w powiecie Mławskim gub. Płockiéj, liczy mórg 2,987 i nazywa się Wietuń. Obciążony jest długiem Towarzystwa, wynoszącym 5,200 rubli i prywatnym — 3,300 rubli.

VII.

Wypada nam jeszcze poznać, jak wielkiemu podziałowi ulega ziemia przy procesie parcelacyjnym. Znowu weźmiemy gub. Radomską, gdyż posiadamy dla niéj największą liczbę danych. Gdybyśmy całą ziemię rozparcelowaną podzielili na 5 grup, stosownie do obszarów kolonii, a mianowicie: I na parcele sięgające 10 mórg, II liczące od 10—20 mórg, III liczące od 20—30 mórg, IV od 30—60 mórg i V przenoszące 60 mórg; toby się przedewszystkiém okazało, iż od samego początku aż do ostatniéj chwili rozpadanie się dóbr na gospodarstwa drobne wszystkich pięciu kategoryi szło całkiem równomiernie. Do r. 1885 ilość tranzakcyi na parcelacyę wszelkich rozmiarów wzrasta — od téj daty maleje. Poniżéj zestawiamy liczby, otrzymane dla każdéj z wymienionych grup i zebrane za cały czas, w którym się parcelowania odbywały.

	Ilość dokonanych tranzakcyi	%	Ilość nabytych przez parcelantów mórg w tys.	%	Cena morgi	Przeciętny obszar kolonii w morgach
Kolonie liczące mniéj niż 10 mórg	255	42.2	28	19.0	41	6
„ od 10 — 20 „	209	34.6	65	44.7	37	15
„ „ 20 — 30 „	74	12.3	29	19.9	41	24
„ „ 30 — 60 „	46	7.6	16	11.0	33	37
„ „ wyżéj 60 „	20	3.3	8	5.4	41	150
		100		100		13 ogólna przeciętna rozległość parceli.

Największa ilość kolonii, prawie połowa liczby ogólnéj, nie przenosi 10 mórg, najwięcéj zaś ziemi — znowu połowę niemal — zajmują parcele od 10 do 20 mórg. Połączywszy zaś obie te grupy, otrzymamy, iż ogromna większość ziemi, nabytéj przez parcelantów, rozpada się na działki drobniutkie, niewynoszące nawet $^2/_3$ jednéj włóki.

Gospodarstw, liczących więcéj niż włókę, pozostaje z parcelacyi ledwie $^1/_{10}$ część, obejmują zaś one trochę więcéj niż $^1/_6$ część gruntów rozparcelowanych.

Ogólna przeciętna niższa jest o 2 morgi od połowy włóki. Wśród cen widzimy różnice, ale powiedzieć nie można, aby przy parcelacyi na kolonie mniejsze płacono drożéj lub taniéj [1]).

Zupełne wyjaśnienie danéj kwestyi wymagało by jeszcze poznania: czy wytworzone przez parcelacyę jednostki gospodarcze odpowiadają wymaganiom i potrzebom ekonomii krajowéj? w ilu wypadkach nowonabyte działki przyłączone zostały do osad już istniejących, i jakich rozmiarów były ostatnie? jak również: w ilu wypadkach powstały gospodarstwa nowe i niezależne i jakie zajmują obszary? Dla ocenienia

---

[1]) Kolonizacya w gub. Radomskiéj. Wykaz ogólny z podziałem na peryody i grupy:

OKRESY.	Na 1-ną kolonię do 10-ciu mórg			Na 1-ną kolonię od 10 do 20 mórg			Na 1-ną kolonię od 20 do 30 mórg		
	Ilość tranzakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgę	Ilość tranzakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgę	Ilość tranzakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgę
do r. 1865	„	„	„	„	„	„	2	1029	38
1865 — 1870	12	1436	30	19	5477	24	15	6412	28
1870 — 1875	36	4445	27	39	12662	30	17	6363	30
1875 — 1880	66	8285	33	58	21869	26	10	4959	39
1880 — 1885	89	9351	55	79	22809	53	25	9802	57
1885 — 1890	52	4471	45	14	2690	46	5	724	55
	255	27988	41	209	65507	37	74	29289	41
% stosunek do ogólnych sum za cały okres	42.2 %	19.0 %	„	34.6 %	44.7 %	„	12.3 %	19.9 %	„
Średnio na 1 kolonię mórg:		6.			15.			24.	

roli i skutków parcelacyi pytania powyższe posiadają doniosłość wielką, ale i tu brak danych zaraz na samym brzegu zagradza drogę i dojść nie pozwala do rezultatów dostatecznie pewnych.

VIII.

Parcelacya nie we wszystkich częściach kraju naszego rozwijała się jednostajnie i równomiernie. Przeciwnie, istnieją znaczne różnice: w niektórych guberniach znajdujemy dotkniętych przez nią parę setek dóbr, w innych znowu cyfry bardzo drobne. Na poniżéj zamieszczonéj tablicy wypisaliśmy z wykazów hypotecznych ilość dóbr rozparcelowanych w każdéj grupie majątków i w każdéj gubernii, a obok zamieściliśmy liczby, wyrażające, w jakim stosunku ta ilość pozostaje do ogółu dóbr hypotecznych w danéj kategoryi własności i w danéj miejscowości.

OKRESY.	Na 1-ną kolonię od 30 do 60 mórg			Na 1-ną kolonię więcéj niż 60 m.		
	Ilość tranzakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgę	Ilość tranzakcyi	Ilość mórg	Szacunek za morgę
do r. 1865	2	665	17	1	495	22
1865 — 1870	5	1503	16	3	592	32
1870 — 1875	9	2680	30	6	1849	35
1875 — 1880	10	2600	33	5	3338	40
1880 — 1885	13	5950	36	5	1684	60
1885 — 1890	7	2894	43	„	„	„
	46	16292	33	20	7958	41
% stosunek do ogólnych sum za cały okres	7.6 %	11.0 %	„	3.8 %	5.4 %	„
Średnio na 1 kolonię mórg:		37.			150.	

Ilość dóbr rozparcelowanych.

Gubernie	Do 60 mórg	Od 60—600 mórg	Od 600—1500 mórg	Od 1500 do 3000 mórg	Razem dóbr z przestrzenią określoną	Dobra z przestrzenią nieokreśloną
Lubelska . . . (bez 2-u powiatów)	58	152	5	1	216	42
Kaliska . . .	71	136	3	—	210	66
Piotrkowska . .	46	110	14	1	171	71
Siedlecka . . .	12	111	19	2	144	102
Płocka	23	80	8	1	112	256
Suwalska . . .	16	22	1	2	41	16
Warszawska . . (tylko 2 powiaty)	1	1	—	—	2	16
Razem . .	227	612	50	7	896	569

Ale cyfry absolutne w danym wypadku wystarczyć nie mogą; aby mieć pojęcie o rozmiarach ruchu parcelacyjnego w różnych częściach kraju, musimy jeszcze poznać, w jakim stosunku pozostaje ilość dóbr rozparcelowanych do ogółu dóbr w każdéj z grup i w każdéj z gubernii, przez nas badanych.

% jaki dobra rozparcelowane tworzą wśród ogółu dóbr danéj grupy i w danéj gubernii.

Gubernie	Dobra do 60 mórg	Dobra od 60—600 mórg	Dobra od 600—1500 mórg	Dobra od 1500 do 3000 mórg	Razem dóbr z przestrzenią określoną	Dobra z przestrzenią nieokreśloną
Lubelska . . . (bez 2-u powiatów)	13.3	34.4	3.0	1.3	19.0	11.4
Kaliska. . . .	18.0	17.6	1.0	—	13.2	19.3
Piotrkowska . .	12.3	17.8	6.4	1.6	13.3	18.0
Siedlecka . . .	48.0	37.5	13.1	3.0	25.7	46.0
Płocka	13.2	8.8	2.8	2.7	7.9	29.5
Suwalska . . .	15.8	5.4	1.2	9.0	6.6	6.0
Warszawska . . (tylko 2 powiaty)	4.3	1.1	—	—	1.3	18.6
Przeciętnie .	17.5%	21.1%	4.2%	1.9%	15.4%	27.1%

Najwięcéj dóbr, przeszło ćwierć ich ogółu, pochłonęła parcelacya w gub. Siedleckiéj. Najmniéj w gubernii Warszawskiéj, bo tylko 1%. Majątków najdrobniejszych cząstkowéj rosprzedaży w gub. Siedleckiéj uległa blisko połowa (48%), w Kaliskiéj 18%, w dwu zaś powiatach gub. Warszawskiéj ledwie 4.3%.

Majątków od 60—600 mórg rozparcelowano przeszło trzecią część w guberniach Siedleckiéj i Lubelskiéj (37.5% i 34.4%); przeszło szóstą część w Piotrkowskiéj i Kaliskiéj (17.8%, 17.6%), w Warszawskiéj tymczasem ledwie setną część (1.1%).

Dobra od 600 — 1500 mórg parcelują się znacznie słabiéj: tylko w gub. Siedleckiéj znajdujemy liczbę procentową przenoszącą 10% (13.1%), we wszystkich innych są one mniejsze. W gub. Kaliskiéj i Suwalskiéj parcelacya dotknęła setną tylko część ogółu majątków; w Warszawskiéj wcale jéj nie było.

Dóbr od 1500—3000 mórg najwięcéj sprzedaży cząstkowéj ulega w gub. Suwalskiéj — 9%; dopiero potém idzie Siedlecka (3%), Płocka (2.7%); w gub. Kaliskiéj dobra tych rozmiarów nie parcelują się już wcale.

Jeżeli połączymy dobra z przestrzenią określoną, to się okaże, iż parcelacya zabrała z pomiędzy nich blisko $^1/_6$ część (15.4%). Jest to liczba olbrzymia. Składa się na nią 17% majątków najdrobniejszych, 21% małych, 4.2%—średnich, i blisko 2% dużych. Prócz tego rozparcelowano jeszcze 27% dóbr z przestrzenią nieokreśloną.

Widzimy więc, że percelacya doszła do rozmiarów bardzo dużych i tworzy zjawisko, z którém teoretycy i praktycy, dbali o pomyślny bieg spraw ekonomicznych społeczeństwa, rachować się bardzo powinni.

Toż samo, cośmy wyżéj zrobili dla ilości dóbr, powtórzymy jeszcze dla ich obszarów, to jest: obok ilości rozparcelowanych w każdéj gubernii mórg (już bez podziału na grupy) podajemy procentowy ich stosunek do ogółu ziemi, posiadającéj księgi hypoteczne w danéj miejscowości.

Gubernie	Ilość ziemi rozparcelowanéj w tysiącach mórg	% stosunek do ogółu ziemi w danéj gubernii
Lubelska . . . . (bez 2 powiatów)	36.0	6.7%
Kaliska	39.1	4.6
Piotrkowska . . .	37.0	6.3
Siedlecka	48.6	8.7
Płocka	30.0	5.1
Suwalska	8.7	3.0
Warszawska . . . (tylko 2 powiaty)	0.5	0.5
Razem . . .	199.9	5.7%

Otrzymaliśmy, że parcelacyi uległo tylko 5.7% ogółu przestrzeni, kiedy dla dóbr wypadła liczba blisko trzy razy większa—15.4%. Jest to jednak rezultat bardzo naturalny, gdyż średnie i większe dobra mniéj ulegają sprzedaży cząstkowéj, niż dobra małe, największe zaś fortuny są całkiem niedostępne dla parcelacyi. W każdym razie i tu rezultat nie jest mały; w tym wypadku liczba, tworząca blisko 6%, jest ilością całkiem poważną.

Prócz tego pod tym względem posiadamy jeszcze dane dla gub. Radomskiéj, w któréj parcelacya doszła do znacznych rozmiarów, gdyż zabrała aż 147 tysięcy mórg. Z tego wynikało-by, że w gubernii Radomskiéj ruch parcelacyjny doszedł do rozmiarów znacznie większych, niż w 7-iu guberniach, co do których posiadamy dane bezpośrednie w księgach hypotecznych. Z takim wnioskiem jednak spieszyć się zbytnio nie należy, gdyż cyfry, z różnych źródeł pochodzące i z rozmaitém pojmowaniem rzeczy zbierane, najczęściéj nie nadają się do porównań i zestawień bardzo ścisłych.

Z gubernii, dla których dane są całkiem jednorodne, najwięcéj absolutnie i stosunkowo pochłonęła parcelacya zarówno dóbr jak i obszarów w gubernii Siedleckiéj, mianowicie przeszło czwartą część majątków i blisko jedenastą część ziemi. Potém idzie gubernia Lubelska, w któréj rozparcelowano blisko piątą część dóbr i czternastą część obszaru. Prócz tego jeszcze w gub. Piotrkowskiéj rozparcelowano ziemi więcéj, niż wskazuje cyfra przeciętna, ale dóbr mniéj. Najmniéj absolutnie i stosunkowo sprzedaż cząstkowa zabrała dóbr i mórg w gubernii Suwalskiéj oraz w dwu powiatach gub. Warszawskiéj, co do których posiadamy dane.

IX.

Równie ważne, a może i ważniejsze od poprzednich, były-by badania nad przebiegiem procesu parcelacyjnego, t. j. wiadomości o sposobach kupowania dóbr, dzielenia się niemi przez drobnych nabywców, a wreszcie i o gospodarce parcelantów. Niestety, jednak wiadomości takich brak zupełny. Wypisy z ksiąg hypotecznych niewiele oczywiście pod tym względem objaśnić mogą, najwyżéj tu i owdzie da się odszukać jakaś bardzo ogólnikowa wskazówka. I tą drobnostką jednak, jaką znaleźliśmy, podzielimy się z czytelnikami, gdyż innego materyału dla dokładniejszego poznania rzeczy dotychczas niéma.

Nie wytworzył się jeszcze typ najodpowiedniejszego postępowania przy parcelowaniu dóbr. To téż stosunki pomiędzy parcelantami kształtują się w sposób najrozmaitszy, nieraz nawet bardzo dziwaczny.

Częstokroć w księgach hypotecznych figuruje parę tylko osób w charakterze nabywców; prawa reszty spólników ubezpieczają się za pomocą ewikcyi nieograniczonych zaraz po Towarzystwie Kredytowém. Powstaje nawet przypuszczenie, że wskutek tego hypoteka nie wykaże nam wszystkich wypadków parcelacyi, gdyż tytuł własności może być przepisany na jednego nowonabywcę, lub może nie być przepisany wcale i w książce figuruje daléj właściciel dawny.

Zdarza się, iż wszyscy, a przynajmniéj znaczna część nabywców zapisuje nazwiska swoje w księgach hypotecznych. I w takim wypadku nie obywa się bez zabezpieczeń w postaci ewikcyi, za pomocą których współwłaściciele regulują swoje stosunki wewnętrzne. Najczęściéj dług Towarzystwa pozostaje. Spotkać można wypadki, że 130 właścicieli mieści się na przestrzeni kilkudziesieciu włók dawnego dominium. Jako przykład możemy wskazać dobra Ostrów i Jeziorko, które 49 współwłaścicieli nabyło za 43,500 rs. Ubezpieczeń kaucyjnych zapisano 69. Dług Towarzystwa pozostał i wynosi 14,650 rs.

Pomiędzy parcelantami wśród chrześcian nie rzadko spotkać można żydów. W niektórych wypadkach stało się to dlatego, że żyd sprzedawał majątek i zachował sobie drobną cząstkę jego. W innych żydzi są takimiż nabywcami, jak i chrześcianie. Nie można objaśnić tego faktu jakąś kombinacyą kredytową, gdyż wpisy kaucyjne wcale na to nie wskazują; powtóre: zdarza się, iż znajdujemy pojedyńczych żydów wsród 30 chrześcian w dobrach, które, oprócz pożyczki Towarzystwa, długu innego nie mają.

Uregulowanie zupełne ruchu parcelacyjnego wymagało-by także wprowadzenia go wszędzie na drogę najwłaściwszą, ażeby jak najmniéj potrzebował pokonywać przeszkód bezużytecznych i ażeby, jako fakt już dokonany, największy pożytek mógł przynosić jednostkom interesowanym i ogółowi.

X.

Dotychczas obliczaliśmy ilość ziemi, nabytéj w różnych latach przez parcelantów, a następnie ceny, które oni płacili za grunta. A więc badaliśmy rozwój ruchu parcelacyjnego w kraju naszym, a wskutek tego rozmiary oraz warunki popytu na ziemię, jakie ruch ten wytworzył, wytwarza dziś i wytwarzać będzie w przyszłości najbliższéj.

Badanie takie było konieczne wobec pytania, wynikającego ze stanu nadmiernego odłużenia: kto i na jakich warunkach nabędzie ziemię, która w wielkiéj ilości znaléźć się będzie musiała w ten lub inny sposób na rynku?

Ta strona kwestyi jest oczywiście bardzo ważna, większą jednak jeszcze doniosłość posiada strona inna: co się stanie z ziemią w rękach nowonabywców? Zagadnienie pierwsze dotyczy przedewszystkiém większéj własności, chodzi w niém o to, czy dzisiejsi odłużeni posiadacze znajdą ratunek i jaki? Zagadnienie drugie zahacza wprost o przyszłość warsztatu rolnego, o byt najważniejszéj dziś części bogactwa narodu. Łatwo to zrozumieć. Parcelacya zmieni tylko rozmiary dóbr, jeżeli odłużenie po niéj pozostanie takież samo, jak było przed nią. Kwestya nie przestanie być raną otwartą, jeżeli ziemia dźwigać będzie nadal ciężary, przenoszące jéj siły.

O społeczne, cywilizacyjne skutki parcelacyi potrąciliśmy, o ile się dało, wyżéj. Teraz wypada rozpatrzéć rezultaty czysto ekonomiczne i finansowe.

Właściwie należało-by nietylko zbadać stan odłużenia dóbr rozparcelowanych całkowicie, ale poznać również zmiany, jakie zaszły w hypotekach majątków, które w ten sposób odprzedały tylko jakieś części swojego obszaru.

To-by nam dało dopiero pełny obraz skutków parcelacyi. Niestety jednak musimy znowu powiedzieć to, cośmy już tyle razy, w tylu ważnych wypadkach poprzednio powtarzali: brak objaśnień do danych naszych, wyjętych z ksiąg hypotecznych. Poprzestać więc musimy na tém, co zrobić pozwala nasz materyał statystyczny, t. j. rozpatrzéć stan odłużenia hypotecznego nomenklatur hypotecznych, które powstały z parcelacyi.

Tutaj jednak jest to zadanie znacznie trudniejsze, niż gdy chodziło o własność większą. Tam stopień odłużenia mierzyliśmy wysokością pożyczki Towarzystwa Kredytowego.

W mająteczkach, powstałych z parcelacyi, miara ta nie może mieć już tego znaczenia, a nawet jest poprostu nieodpowiednią. Właściwie przed rozparcelowaniem majątku dług Towarzystwa powinien być spłacony. W większości jednak wypadków tak się nie dzieje dlatego, że tranzakcye dokonywane są pocichu [1]). Władze Towarzystwa stają już wobec faktu dokonanego i muszą, chcąc nie chcąc, nań się zgodzić; zdarza się też, że o parcelacyi wiedzą wcześniéj, ale patrzą przez szpary na dokonywaną, bardzo dla siebie niepomyślną, sprzedaż, bo z jednéj strony nie chcą przeszkadzać stowarzyszonemu w akcyi ratunkowéj, a z drugiéj — niezbyt się kwapią do rozpoczynania subhastacyi, która również, przy braku nabywców, zbyt pożądaną nie jest i niewiadomo, jaki da rezultat. Zresztą

[1]) „Rocznik Towarzystwa Kredytowego“, str. 22.

w razie regularnego opłacania rat przez wspólników dla Towarzystwa jest wszystko jedno, ilu ludzi dobra nabyło; kłopot wtedy dopiero wielki, kiedy wypadnie tradować kilkunastu lub kilkudziesięciu współwłaścicieli.

Zresztą znaleźć można sposoby obejścia przepisów. W czasie, gdy reskrypt Komisyi Sprawiedliwości z Lipca 1867 r. nie dozwalał rejentom spisywać aktów sprzedaży części majątków, na których ciążyła pożyczka Towarzystwa, radzono sobie w ten sposób, iż układano akta przyrzeczenia sprzedaży lub zastawu, t. j. pisało się: „po zupełném zamortyzowaniu lub spłacie pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego będą mieli prawo przepisać na siebie tytuł własności dóbr niniejszych następujący właściciele cząstkowi: A, B, C i t. d.“ Następnie parcelanci działki swoje pod osłoną takiego wyminięcia przepisu odprzedawali, lub dzielili, zaciągali na nie zobowiązania, zastawiali.

Faktycznie więc parcelacya odbywała się bez spłaty w wielu wypadkach należności Towarzystwu.

To też, chociaż wśród dóbr rozparcelowanych wogóle ilość majątków, korzystających z pożyczki Towarzystwa, znacznie jest mniejsza, niż wśród dóbr nierozparcelowanych, jednakże wśród obszarów większych spotykamy ich dosyć znaczny procent. Wykazuje to następujące zestawienie:

	rozparcel.	nierozparc.
z dóbr do 60 mórg w Towarz. zaciągnęło pożyczkę	8.8	25.0
„ od 60—600 mórg „ „ „	21.7	72.5
„ od 600—1500 „ „ „ „	46.0	94.8
„ od 1500—3000 „ „ „ „	71.4	94.3
„ z przestrz. nieokreśl. „ „	15.8	42.9
Wogóle . .	18.5%	61.6%

A więc stan odłużenia, biorąc za miarę wysokość pożyczki Towarzystwa Kredytowego, stosował-by się do mniéj niż czwartéj części (18%) ogółu dóbr rozparcelowanych. [1])

[1]) Tém niemniéj, ażeby umożliwić porównanie, powtórzymy obrachunek, dokonany w artykule poprzednim, t. j. za miarę odłużenia weźmiemy znowu pożyczkę Towarzystwa Kredytowego. Dobra wolne od wszelkich ciężarów, oraz takie, których ogół odłużenia nie przenosi dwukrotnie wziętéj należności Towarzystwa, zaliczamy do stanu pomyślnego. Pozostałe, t. j. te, w których ciężary więcéj niż dwa razy przewyższają pożyczkę Towarzystwa, uważamy za znajdujące się w stanie wątpliwym lub krytycznym. Obrachunek daje następujące rezultaty (bierzemy tylko majątki z przestrzeniami, ujawnionemi w księgach hypotecznych):

XI.

Wobec tego poprzestać na obrachunku poprzedzającym niemożna i należy szukać sposobów poradzenia sobie inaczéj.

Mianowicie: obrachujemy, w jakim stopniu różne rodzaje należności i zobowiązań obarczają hypoteki dóbr rozparcelowanych i zestawimy to z cyframi dla dóbr nieparcelowanych; przytém z wysokości ciężarów, spadających na morgę, sądzić będziemy mogli, do jakiego stopnia pogrążyła się już w długi ta kategorya majątków.

Przedewszystkiém okazuje się, iż wśród posiadłości parcelowanych daleko większy procent wolny jest całkiem od wszystkich ciężarów, niż wśród dóbr nieparcelowanych. Mianowicie, majątków całkiem nieodłużonych znajdujemy:

	wśród parcelowanych	wśród nieparcelowanych
W grupie do 60 mórg	55.0%	40.2%
„ od 60—600 mórg	24.8%	10.8%
„ od 600—1500 „	12.0%	2.0%
„ od 1500—3000 „	14.3%	2.3%
„ z przestrz. nieokreśl.	17.0%	28.0%
Ogółem . .	26.0%	18.4%

W guberniach:	W stanie pomyślnym znajduje się: dóbr	mórg w tysiącach	W stanie wątpliwym lub krytycznym znajduje się: dóbr	mórg w tysiącach
Kaliskiéj	79	$10._3$	21	$5._8$
Lubelskiéj	117	$15._3$	7	$4._3$
Piotrkowskiéj	70	$14._4$	22	5_0
Płockiéj	31	$7._7$	11	$3._7$
Siedleckiéj	59	$18._3$	18	$9._0$
Suwalskiéj	29	$5._5$	1	$0._1$
Razem . .	385	71.527	80	28,066
	dóbr	mórg	dóbr	mórg
%	$82._8$%	$71._8$%	$17._2$%	$28._2$%

Widzimy, że w stanie niepomyślnym znajduje się ogółem $17._2$% dóbr, odłużonych w Towarzystwie Kredytowém, i $28._2$% ziemi. Są to cyfry niższe niż te, które analogiczny obrachunek daje nam dla dóbr nierozparcelowanych. Tam mamy $32._4$% dóbr i $42._6$% ziemi. I tu, tak samo jak w kategoryi gorszéj, znajduje się więcéj dóbr dużych, wskutek tego dla ilości ziemi otrzymujemy stosunek procentowy większy, niż dla ilości dóbr.

W pojedyńczych guberniach stosunki są bardzo rozmaite. W gubernii Płockiéj majątki w stanie niepomyślnym stanowią dóbr rozpatrywanych w tejże gubernii aż czwartą część, w gubernii Piotrkowskiéj blisko czwartą; tymczasem w Lubelskiéj ledwie $^1/_{18}$, a w Suwalskiéj nawet $^1/_{30}$ część ogółu dóbr, odłużonych w Towarzystwie Kredytowém.

Z wyjątkiem grupy ostatniéj wszędzie wypadają cyfry pomyślniejsze dla dóbr parcelowanych.

Taki rezultat—t. j. lepsze położenie majątków rozparcelowanych, niż nierozparcelowanych—był do przewidzenia i właściwie nic jeszcze nie dowodzi. Wiemy, iż ruch parcelacyjny jest zjawiskiem stosunkowo świeżém, wiele z dóbr rozpatrywanych przeszło do nowonabywców w roku ostatnim, przedostatnim, lub dwa lata temu. Jeżeli kupno miało miejsce na licytacyi, co wcale rzadkiém nie jest, to część długów została spłaconą, część spadła z hypoteki — nowych w wielkiéj ilości nie było czasu zaciągnąć. Przy parcelacyi częściowéj nowonabywcy zwykle kupują ziemię, całkiem wolną od ciężarów, i tylko w pewnéj liczbie wypadków zaciągają dług na spłacenie szacunku. Słowem, nie można wyciągać wniosku pewnego i stanowczego z porównania hypotek, świeżo regulowanych lub świeżo założonych, z hypotekami, na których ciężary gromadziły się od bardzo dawna i są rezultatem mnóstwa czynników, wypadków, nieszczęść. Wpływ takiéj pierwszorzędnéj przyczyny odłużenia, jak równy podział schedy w dobrach, kilka lat temu nabytych, mógł być albo żaden, albo słaby, a przynajmniéj słaby w porównaniu z tém, co zdziałał w majątkach, pozostających oddawna w rękach jednéj rodziny.

Dane nasze nie pozwalają nam rozstrzygnąć pytania: czy stan lepszy jest skutkiem parcelacyi, czy téż skutkiem świeżéj daty nabycia? Moglibyśmy co najwyżéj przypuszczać, iż dobra rozparcelowane w końcu znajdą się w takim stanie, jaki widzieliśmy poprzednio wśród dóbr drobnych, niepochodzących z parcelacyi. Tymczasem jednak stan ogółu dóbr parcelowanych gorszy jest, niż stan majątéczków drobnych, niezawdzięczających bytu swego parcelacyi: tam mamy 40.6% dóbr całkiem nieodłużonych, tu—26.0% tylko.

Przejdźmy do pozycyi innych. Długi prywatne, niewiadomego pochodzenia, ciążą:

	w dobrach parcelowanych	w dobrach nieparcelowanych
w grupie do 60 mórg na	34.8%	36.6%
„ od 60—600 mórg na	56.7%	59.6%
„ „ 600—1500 „ „	74.0%	68.8%
„ „ 1500—3000 „ „	85.7%	72.1%
„ „ z przestrz. nieokr. . . .	66.4%	45.9%
Ogółem . .	57.8%	54.2%

Tu wielkich różnic nie mamy, we wszystkich grupach liczby są bardzo bliskie, i chociaż w większości wypadają korzystnie dla dóbr parcelowanych, to jednak w grupie majątków większych i dóbr z przestrzenią nieokreśloną spotykamy fakt odwrotny. Wogóle

w dobrach parcelowanych pożyczki prywatne ciążą na 57.8% majątków, w nierozparcelowanych zaś na 54.2%. Z tego wynika, iż w danym wypadku zasadniczéj różnicy prawie żadnéj niéma. I bynajmniéj nie mamy prawa przesądzać, co się stanie przy dotychczasowym biegu rzeczy za lat 5, 10 lub 20; liczby mogą odskoczyć od siebie na korzyść dóbr parcelowanych, ale mogą się też i wyrównać. Można to lub owo przypuszczać, przewidywać, ale do twierdzenia stanowczego niéma podstawy.

Inaczéj rzecz się przedstawia, gdy chodzi o długi szacunkowe. Dobra parcelowane, jako przeważnie świeżo nabyte i częstokroć przez ludzi niezasobnych, w większéj liczbie są niemi obarczone. Różnice przytém pomiędzy dwoma rodzajami dóbr większe są, niż w pozycyi poprzedniéj. W grupie dóbr większych zachodzi wypadek szczególny: dobra parcelowane nie mają długu szacunkowego wcale, z nieporcelowanych zaś dźwiga go 8.4%. Oto liczby:

	w dobrach rozparcelow.	w dobrach nierozparcel.
Reszty szacunków ciążą w grupie do 60 mórg na	6.2%	4.8%
„ „ „ „ od 60 — 600 „ „	18.4%	9.8%
„ „ „ „ „ 600 — 1500 „ „	26.0%	9.6%
„ „ „ „ „ 1500 — 3000 „ „	—	8.4%
„ „ „ „ „ z przestrz. nieokreśl. „	24.2%	9.3%
Ogółem	19.0%	8.7%

Mniéj trochę spodziewany jest wypadek, iż zbyt wielkich różnic nie spotykamy w pozycyi długów posagowych. Ciążą one:

	na dobrach rozparcelow.	na dobrach nierozparcelow.
w grupie do 60 mórg na	3.5%	1.5%
„ od 60 — 600 „ „	7.7%	8.8%
„ „ 600 — 1500 „ „	8.0%	17.1%
„ „ 1500 — 3000 „ „	—	13.5%
„ „ z przestrz. nieokreśl. „	16.6%	7.1%
Ogółem . .	10.5%	8.6%

Podobne zestawienie dla kaucyi i ewikcyi utworzy tabliczkę następującą:

	w dobrach rozpar.	w dobrach nierozpar.
Kaucye i ewikcye w grupie do 60 mórg ciążą na	3.5%	11.5%
„ „ „ od 60 — 600 „ „ „	21.7%	29.7%
„ „ „ „ 600 — 1500 „ „ „	46.0%	38.2%

		w dobrach rozpar.	w dobrach nierozpar.
Kaucye i ewikcye w grupie	od 1500—3000 mórg ciążą na	42.9%	39.4%
„ „ „	z przestrz. nieokreśl. „ „	31.2%	18.2%
	Ogółem	23.5%	25.6%

Niezbyt znaczna przewyżka liczb, jaką spotykamy po stronie dóbr parcelowanych w majątkach większych. pochodzi ztąd, że, jak to już powiedzieliśmy, przy nabywaniu dóbr przez parcelantów bardzo często stosunki wewnętrzne wśród nowonabywców regulują się i równoważą w formie zapisów kaucyjnych i ewikcyi.

Wreszcie:

		w dobrach parcelow.	w dobrach nieparcel.
Należności skarbowe w grupie	do 60 mórg ciążą na	0	1.2%
„ „ „	od 60— 600 „ „ „	2.9%	3.7%
„ „ „	„ 600—1500 „ „ „	2.0%	3.1%
„ „ „	„ 1500—3000 „ „ „	0	4.2%
„ „	z przestrz. nieokreśl. „ „	1.0%	3.6%
	Ogółem.	1.7%	3.3%

Tu znowu przewyżka pada na stronę dóbr nieparcelowanych, ale tak samo, jak w wypadkach poprzednich, różnicy wyraźnéj i znaczącéj niéma.

Przytoczone liczby dowodzą jasno, że nowo-nabywcy ziemi zbyt bogaci w gotówkę nie są i nie posiadają środków dostatecznych, by kupować grunta i zagospodarowywać się na nich bez zaciągnięcia pożyczki. W dzisiejszych zaś warunkach jest więcéj niż prawdopodobne, że pożyczka taka musi być drogo opłacaną. Ułatwienie parcelantom taniego kredytu długoterminowego było-by więc bardzo na czasie i mogło-by wywrzéć skutki zbawienne.

Bez wyjaśnienia jednak kardynalnych punktów wytycznych żadne rozumne odziaływanie jest niemożliwe. Mocno téż żałować należy, iż dotychczas błądzimy po omacku, zastępując faktyczną znajomość przedmiotu przypuszczeniami, opartemi na pobieżnéj, częstokroć bardzo odległéj obserwacyi, lub, co gorzéj, na jakichś ogólnych poglądach społecznych, które w danym wypadku mogą wcale nie mieć zastosowania.

A jednak niemożliwość nie staje na przeszkodzie do zgromadzenia wszelkich potrzebnych danych. W dalszéj części pracy do przedmiotu tego wrócimy i postaramy się wykazać, jaką drogą dojść można w danym wypadku do posiadania pewnego, faktycznego materyału.

XII.

Ale oczywiście ilość dóbr, obciążonych różnemi rodzajami należności, nie wystarcza do poznania stopnia odłużenia ziemi, bo ciężary mogą być duże, mogą być małe. Wypada więc zbadać wysokość należności różnego rodzaju, przypadających na morgę.

Przedewszystkiém zobaczmy, jak ciężary rozkładają się na ogół ziemi w każdéj kategoryi, t. j. wyrachujmy, jak wysokie było-by odłużenie, gdyby należności istniejące rozdzielone zostały równomiernie na wszystkie dobra i wszystkie morgi.

Rodzaj długów	Rodzaj dóbr	Dobra do 60 mórg	Dobra 60 — 600 mórg	Dobra 600—1500 mórg	Dobra 1500 do 3000 mórg	Przeciąt.
		na morgę wypada rubli				
Towarz. Kredytowe	parcel.	*3.9*	*6.2*	*7.9*	*8.6*	*6.6*
	nieparcel.	9.0	21.0	21.0	17.0	18.0
Długi prywatne	parcel.	*35.2*	*11.3*	*11.7*	*25.3*	*12.9*
	nieparcel.	42.0	21.0	16.0	15.0	16.0
Reszty szacunku	parcel.	*1.8*	*2.5*	*1.9*	*0*	*2.2*
	nieparcel.	7.9	2.9	2.0	1.9	2.0
Posagi	parcel.	*1.2*	*0.7*	*0.1*	*0*	*0.6*
	nieparcel.	3.0	3.5	3.5	2.5	2.7
Kaucye i ewikcye	parcel.	*1.7*	*3.5*	*2.9*	*1.3*	*3.2*
	nieparcel.	14.0	6.0	5.0	4.9	5.0
Należności skarbowe	parcel.	*0*	*1.1*	*0.9*	*0*	*0.9*
	nieparcel.	1.1	0.9	0.4	0.8	0.6
Ogółem	parcel.	*43.8*	*25.3*	*25.1*	*35.2*	*26.4*
	nieparcel.	77.0	55.3	47.9	42.1	44.3

Ze wszystkich szeregów i kolumn tabliczki powyższéj wynika, iż ziemia, objęta dobrami rozparcelowanemi, jest odłużona mniéj, niż ogół gruntów nierozparcelowanych. Z wyjątkiem pozycyi niedopłaconych szacunków i należności skarbowych, gdzie sumy są prawie równe — morga majątków rozparcelowanych dźwiga we wszystkich rodzajach należności ciężar mniejszy, niż morga dóbr nierozparcelowanych. We wszystkich grupach dóbr, poczynając od najdrobniejszych, liczących mniéj niż 60 mórg aż do 3000 mórg, odłużenie majątków rozparcelowanych jest znacznie słabsze.

Kiedy ogółem morga nierozparcelowanych majątków obciążona jest sumą 44.3 rs., morga dóbr rozparcelowanych tylko—26.4 rs.

Szczególniéj znaczna różnica zachodzi w należnościach Towarzystwa. Dług ten na jednostkę ziemi nieparcelowanéj przypada w sumie blisko 3 razy większéj.

W długach prywatnych różnica jest już znacznie mniejsza, gdyż wynosi niespełna 25%. A przytém w dobrach od 1500—3000 mórg grunta rozparcelowane obciążone są sumą stosunkowo znaczniejszą, a różnica jest niemała (25 i 15 rs).

W hypotekach dóbr parcelowanych sumy posagowe nie odgrywają prawie żadnéj roli, bo na morgę wypada ledwie kilkadziesiąt kopiejek, wtedy, kiedy dla nieparcelowanych mamy 2 rs. i 70 kopiejek.

Następnie zwrócić należy uwagę na pewną równoległość liczb. Odłużenie na morgę maleje w miarę wzrastania obszaru zarówno wśród dóbr rozparcelowanych, jak i nieparcelowanych, tak, jak gdyby w obu wypadkach stopień odłużenia w ten sam sposób, tylko w różnych rozmiarach, zależał od przestrzeni majątków. Ale pomimo takiéj równoległości, liczby są tém bliższe siebie, im obszar większy. W grupie do 60 mórg różnica pomiędzy odłużeniem jednostki ziemi w dobrach parcelowanych i nieparcelowanych wynosi aż 43%, w grupie od 1,500—3,000 mórg—zaledwie 16%.

A teraz zobaczmy, jak różne rodzaje długów rozkładają się nie na całą ziemię, lecz tylko na grunta tych dóbr, które danym ciężarem są obarczone. Rezultaty tego obrachunku zestawiamy w następującéj tabliczce:

Rodzaj długów	Rodzaj dóbr	Dobra do 60 mórg	Dobra 60 — 600 mórg	Dobra 600—1500 mórg	Dobra 1500 do 3000 mórg	Przeciętn.
		na morgę wypada rubli				
Towarz.	parcel.	*36*	*24*	*15*	*12*	*20*
Kredytowe	nieparcel.	30	26	22	17	20
Długi	parcel.	*68*	*18*	*14*	*28*	*20*
prywatne	nieparcel.	99	36	23	21	24
Reszty	parcel.	*20*	*13*	*6*	*0*	*11*
szacunku	nieparcel.	164	32	19	22	23
Posagi	parcel.	*15*	*8*	*1*	*0*	*7*
	nieparcel.	162	31	20	18	21
Kaucye i	parcel.	*29*	*14*	*5*	*3*	*10*
ewikcye	nieparcel.	108	19	12	12	13
Należności	parcel.	*0*	*26*	*42*	*0*	*28*
skarbowe	nieparcel.	70	23	12	17	16

Jakkolwiek ogólny rezultat w tym wypadku musiał oczywiście wypaść ten sam, co i w poprzedzającym, to jednak tu różnice są przeważnie mniejsze. Łatwo odszukać przyczynę tego złagodzenia się różnic. Wśród dóbr parcelowanych mieliśmy znaczniejszy procent majątków całkiem wolnych od wszelkiego ciężaru, a więc na pozostałą część spadają ciężary stosunkowo większe.

Szczególniéj bliskie są liczby pożyczek Towarzystwa. W grupie dóbr najmniejszych jednostka ziemi rozparcelowanéj dźwiga nawet sumę znaczniejszą, mianowicie 36 rs., kiedy na morgę w dobrach nieparcelowanych przypada 30 rubli. Przeciętne liczby w téj pozycyi są identyczne.

Toż samo prawie, co o należności Towarzystwa, powiedzieć można o długach prywatnych. Tylko znaczniejsza suma pożyczki w majątkach parcelowanych przypada na morgę w grupie dóbr dużych t. j. od 1,500 do 3,000 mórg.

Należności skarbowe ziemię rozparcelowaną obciążają silniéj niż nieparcelowaną.

Różnice najbardziéj rażące znajdujemy w grupie majątków najdrobniejszych. Winna tu okoliczność, na którą wskazywaliśmy już wielokrotnie: wśród posiadłości, liczących mniéj niż 60 mórg, w dobrach nieparcelowanych znajduje się wiele młynów, osad fabrycznych i t. d., na które zaciągają się pożyczki na całkiem innych zasadach, niż w gospodarstwach czysto rolnych. Stąd długi niepomiernie w stosunku do przestrzeni wysokie.

XIII.

Czy z faktu pomyślniejszego stanu odłużenia ziemi w dobrach rozparcelowanych można, bez odpowiednich, bardziéj szczegółowych badań, wyprowadzić wnioski optymistyczne — trudno orzekać. Sam fakt, iż w jednéj jakiéjś chwili znaleźliśmy ciężary mniejsze, pozwala może na pocieszające przypuszczenie, ale dowodem wystarczającym i ostatecznym być nie może.

Że majątki rozparcelowane zaraz po nabyciu ich przez dzisiejszych właścicieli miały hypoteki opisane mniéj, niż za właścicieli dawnych; że, powtóre, krótki czas od rozpoczęcia się ruchu parcelacyjnego nie wystarczył do zbyt głębokiego zanurzenia się w zobowiązania wszelkiego rodzaju—to leży w porządku rzeczy. Decydującą była-by odpowiedź na pytanie: czy hypoteki dóbr w rękach parcelantów oczyszczają się, czy też obciążają się jeszcze bardziéj? Jeśli zaś owo obciążanie ma rzeczywiście miejsce, to czy odbywa się żywszym, czy też słabszym tempem, niż w odpowiednich majątkach nierozparcelowanych? Dopóki zaś te kwestye okryte są tajemnicą, wiemy tylko, iż sam proces parcelacyi oczyszcza nieco hypoteki dóbr; ale czy następnie wszystko powoli nawraca do stanu dawnego? czy też idzie ku lepszemu?—musimy się tylko domyślać.

Z cyfr, poprzednio przytoczonych, widać było, iż zachodzi pewna równoległość w odłużeniu dóbr parcelowanych i nieparcelowanych: małe dobra jednéj kategoryi są bardziéj zbliżone do małych drugiéj, średnie—do średnich, duże—do dużych. Niezmiernie jest rzeczą ważną, czy to podobieństwo przeniesione zostało z czasów przedparcelacyjnych i dotąd zatrzéć się nie zdążyło? czy też wytworzyło się ono późniéj? czy dziś wzrasta, czy znika?

Jednem słowem, zawadziwszy o kwestyę parcelacyjną, doszliśmy do niewielkiéj stosunkowo liczby wiadomości pozytywnych i do całego szeregu pytań, bardzo ważnych, a dotychczas przez nikogo nawet nie postawionych. Wynik podobny tém bardziéj dziwić musi, jeżeli się rozważy, czém u nas parcelacya jest i jak zarysowuje się w przyszło-

ści. Odmieniano ją przez lat tyle przez wszystkie przypadki, zrobiono z niéj artykuł programu społecznego—co zaś ona daje własności ziemskiéj i gospodarce narodowéj, nikt dowiedzieć się nie probował.

Z tego faktu wysuwa się sporo przykrych konsekwencyi. Najważniejsza gałąź wytwórczości naszéj—rolnictwo, znajduje się w stanie ciężkiego przesilenia; bez nadzwyczajnych środków ratunkowych nie wybrniemy z niego bez znacznego szwanku. Czy można zaś myśléć o skutecznych środkach, jeżeli w najważniejszych punktach zagadnienia trzeba kręcić się po omacku?

Dochodzimy więc i z téj strony do tego, iż przedewszystkiém do bytu i pomyślności potrzeba światła, jak najwięcéj światła!

Dziwić się doprawdy należy, iż dotychczas nie zrobiono nic, aby masy ludowe, wkładające swoje oszczędności w ziemię karmicielkę, ochronić od zawodów, kłopotów i strat. Tembardziéj to dziwne, że wiele dało-by się uskutecznić bez wysiłków nadzwyczajnych. Bardzo np. użytecznym byłby *przewodnik dla parcelantów*, t. j. rodzaj podręcznika, w którym-by się zawierał popularny wykład i praktyczne wskazówki najwłaściwszego sposobu postępowania przy załatwianiu formalności prawnych, a następnie przy dzieleniu cząstek, zakładaniu nowych gospodarstw i t. d. Znaléźć się więc tam powinny: najważniejsze ustępy z przepisów hypotecznych i z ustawy Towarzystwa Kredytowego, tablice spłat amortyzacyjnych, rady co do uregulowania stosunków wewnętrznych pomiędzy nowonabywcami oraz włościanami, którzy posiadają serwituty na dobrach kupionych. Plany domków mieszkalnych dla kolonistów, budynków, ogrodów i sadów, oraz inne wskazówki gospodarcze były-by w takiéj książce bardzo na miejscu. Sądzimy, że wobec rozmiarów, jakie parcelacya przybrała, i wobec roli ekonomicznéj, jaką u nas odgrywa, *przewodnik* podobny miałby nie mniejszą racyę bytu i nie mniejszą przyniósł-by korzyść, jak istniejące tego rodzaju podręczniki np. dla wyjeżdżających do wód zagranicznych. Niechaj pomyślą o tém wydawcy i ludzie, znający stosunki rolne, a o dobro społeczne dbali. Oczywiście słowo powinno być tylko wstępem do czynu; gdy plan zostanie w książce skreślony, każdy, kto może, współdziałać jego urzeczywistnieniu powinien. Późniéj, przy omawianiu wniosków ostatecznych, do przedmiotu tego wrócić nieomieszkamy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Bloch.

JAN VERGA

I JEGO POWIASTKI WIEŚNIACZE (NOWELE RUSTICANE).

Północ była, kiedyśmy odpływali z portu w Palermo. Z nastaniem świtu, na krańcach widnokręgu wynurzyła się z morza, niby obłok, Sycylia.

Znagła Etna w dali zapłonęła wśród powodzi złota i rubinowych blasków, rozjaśniając zarysy zatok i przylądków. Bliżej nas, wybrzeża Kalabryjskie wieńczyły się pianą przy wschodzącém słońcu, a Charybda wyciągała białe ramiona ku Scylli, dumnie królującéj na swém urwisku.

Wzrokiem mogłem ogarnąć góry Licodii, dolinę Catanii, wyniosłą płaszczyznę Lentini, spływającą ku morzu łagodną pochyłością,— daléj góry, rozpływające się wśród błękitu, i szeroko bielejące posępne równiny, wśród których szarzały tu i owdzie na pagórkach kępy drzew oliwnych; na pierwszym zaś planie —strome skały, zrzadka porosłe grubolisciastemi roślinami, a u stóp ich zieleniejące przepaściste ścieżyny, któremi pasterze pędzali swe trzody ku pastwiskom Camemi.

Wydało mi się wtedy, że góry te i doliny ożywiały się pod tchnieniem, wiejącém od wielkich okresów legendowych przeszłości. Byli tu saraceńscy piraci, gnający, jak bydło, ku swym łodziom, do brzegu przytwierdzonym, kobiety i dzieci z równin Marsali; — daléj normandzcy rycerze, uzbrojeni na krucyatę, ale do podbojów gotowi i wykrawający dla siebie królestwa, aż po za Messyńską cieśninę;—

Fryderyk Hohenstauffen ze swym dworem włosko saraceńskim w Palermo, namiestnicy Hiszpanii, wyludniający i gnębiący brzemieniem podatków europejskie jéj posiadłości, dla tém prędszego przykucia do Eskuryalu Indyi i Ameryki; — potém wreszcie owo długotrwałe wyczerpanie, które nastąpiło po wyniszczających rządach Madrytu, kiedy neapolitańscy Burbonowie, nie mogąc już wydostać z tego dawnego spichlerza Europy ani zboża, ani złota, ani żołnierzy, znieśli tam nawet opłaty celne i podatki od soli, pozostawiając w ten sposób przez lat dwieście leżącą odłogiem tę ziemię tak bogatą, podczas gdy większość jéj ludności żywiła się jałmużną klasztorów, wyłącznych prawie posiadaczy gruntu.

Owa dolina Józafatowa zadrżała jednak odrazu, jakby na odgłos trąby Archanioła, gdy Garibaldi, ze swemi „czerwonémi koszulami“, przebiegał wyspę niby huragan, od Marsali do Messyny.

Dla Sycylii z roku 1860, szło przedewszystkiém o ziemię; spodziewano się podzielać jéj używanie z baronami i ze szlachtą (possessionati);—co zaś do klasztorów, te posiadały jéj również za wiele, ale to można było później rozpatrzyć.

Złudzenia owe trwały nie długo. Pierwszym wynikiem przyłączenia do wielkiego królestwa północnego stała się sprzedaż wszystkich większych obszarów (latifundia); dawało to wprawdzie upragnione rozdrobnienie własności ziemskiéj, ale zarazem przywracał rząd Turyński komory celne, opłatę od soli, zaprowadził obowiązkową służbę wojskową, oraz podatek gruntowy i dochodowy.

W pierwszych latach nowego stanu rzeczy, znaczna większość popisowych uciekła od poboru i trzeba było z nimi zbrojną ręką się rozprawiać, zanim się udało zaciągnąć ich w szeregi. Wieśniak, który potrafił pochwycić kawałek ziemi przy rozszarpywaniu większych posiadłości, żyjąc w kraju, w którym rolnictwo jest istną grą hazardową, z powodu braku wody, musiał wchodzić w otwartą walkę z poborcami podatków, aby mógł się jako tako utrzymać przy ich opłacaniu. Ostatecznie tedy przyszło do powstania i, podczas gdy w roku 1866 Włochy skupiały wszystkie swe żywotne siły na weneckich równinach, utworzyły się zbrojne bandy, które ruszyły ku Palermo, rozpinając po drodze poborców na krzyżach i pijąc krew karabinierów. Skoro tylko w Październiku pokój z Austryą został zawarty, Pallavicini z trzydziestu tysiącami ludzi wylądował u brzegów Sycylii. Rudini opanował Palermo, zdobywając w niém barykady jedną po drugiéj, a włościanin znowu powrócił pod jarzmo rolniczéj pracy, uprawiając niwę niewdzięczną i zaledwie mogąc jéj ciężarom podołać.

Wybitniejsze okresy Sycylii miały swoich dziejopisów a nawet i poetów, ale nikt jeszcze nie zbadał zbliska i nie umiał opisać ostatniego przekształcenia owego plemienia, złożonego z trzech tak odmiennych pierwiastków, któremu przypadł udział w wielkiéj walce nowożytnéj o zdobycie jutra.

Wtedy-to Jan Verga, urodzony w Palermo roku 1840, więc liczący lat dwadzieścia w porze powstania Sycylijskiego, przystąpił, z całym zasobem swéj badawczéj przenikliwości i z całém bogactwem swéj artystycznéj palety, do rozpatrywania owéj odrodzonéj krainy, rzucającéj się po dwóch wiekach odrętwienia w olbrzymie morze nowożytnego życia.

Wieśniacze jego powiastki przedstawiają nam szereg tchnących życiem typów, pośród których rozróżniamy wyraźnie atawizm saraceński, normandzki lub hiszpański;—czasami nawet ślady owych trzech pierwiastków dają się dostrzegać w téjże saméj istocie.

— Bądź co bądź,—powiada nam Verga,—na tém uśpieniu, w którém pozostawała tak długo pogrążona Sycylia, zyskała ona podwójną siłę nerwów i muszkułów. Kraj ten wydaje dziś ludzi takiéj energii, jak Crispi, Rudini, lub ów Wiktor Florio, na którego pogrzeb wyległo temi dniami całe Palermo,—człowiek, który z ubogiego subjekta handlowego potrafił w ciągu lat dwudziestu stać się panem wszystkich linii morskiéj żeglugi, łączących Sycylię za stałym lądem.

I czyliż nie pochodzą wprost od Saracenów z Al-Kamo owi chłopi, którzy, wyprzedzając przybycie „czerwonych koszul“, rzucają się na szlachtę (galantuomini) swojéj okolicy, zarzynając wszystko, co tylko nosi kapelusz, siekierami wyrąbują drzwi domu notaryusza i kosami sieką jego jedenastoletniego synka, którego wreszcie drwal jakiś, dla prędszego załatwienia się z nim, jedném cięciem siekiery na ziemię powala, jak młodą dębu latorośl.—„Nie wielka to szkoda!—woła rozjuszony tłum,—byłby i on notaryuszem, jak jego ojciec, i tak samoby nas wtedy obdzierał“.

Takim jest obraz, który oczom naszym przedstawia Verga w Nowelli, zatytułowanéj *Wolność*. Cała ta zgraja, krwią pijana, pędzi na spotkanie „czerwonych koszul“,—a tymczasem jenerał, butnie siedząc na swym koniku, z białą chustką na szyi, każe spokojnie roztrzeliwać bez sądu tych, których ręce wyglądają najbardziéj zakrwawione. Ludzie ci umierają obojętnie, pod pierwszym lepszym murem, nie domyślając się nawet, dla czego są zabijani, skoro trójbarwna chorągiew powiewa na ratuszu, a lud pozyskał swobodę robienia wszystkiego, co mu się tylko spodoba.

Często też bardzo atawizm normandzki—osobliwie jednak przekształcony — odzywa się w postaciach, przedstawionych przez Vergę.

Przebiegły i tyle do pieniactwa skory, co chłop z okolicy Caux, Kanonik Don Pinu, postanowił kuchenkę swą powiększyć kosztem przytykającego do niéj przybudówka, w którym nędzne ma schronienie sąsiad jego, ubogi pasterz, Arcangelo.—Słuchaj no, mości Arcangelo,— powiada,—ja się bez kuchni obejść nie mogę; sprzedaj mi zatém swoją budę, ale bądź tylko rozsądny".

Imć pan Arcangelo upiera się przy pozostaniu aż do śmierci w domku, w którym na swiat przyszedł. — „W te zakute chłopskie głowy, — woła przewielebny, — tylko młotem można wbijać poczucie sprawiedliwości! Da się wkrótce widzieć, co z tém daléj będzie".

Don Pinu każe u siebie wybić nowe okno z widokiem na przybudówek, stawia na niém doniczki z kwiatami, i odtąd co dzień deszcz z brudnéj wody i z kuchennych odpadków zlewa dach pasterza, przesiąka przezeń i spływa na nędzne posłanie biedaka. Nie pozostaje mu ostatecznie innego środka ratunku, jak odwołać się do sądów o sprawiedliwość. Oby nie był tego nigdy probował! Schodzi na miejsce kommissya: urzędnik sądowy, sekretarz i znakomity Don Licciu Papa ze swym białym pasem, u którego wisi malutka szabelka, kołysząc się na jego wydatnym brzuchu. Dygnitarz ów piastuje jednocześnie godność żandarma, woźnego przy sądzie i nadzorcy porządku w mieście; — oprócz tego miewa on wypłacaną pewną kwotę za każdą świnię, złapaną na wędrówce po ulicach samopas, i służy mu wtedy prawo zabrania jéj na korzyść urzędu miejskiego. Wiedząc zawczasu, kiedy ma zejść komissya, Don Pinu usuwa chwilowo z okna swoje kwiaty; — następnie zaś udaje wielkie zdziwienie i żąda, aby zapisano w protokóle, że to właśnie z dachu sąsiada spływa woda na ścianę jego domu. Arcangelo ze swéj strony domaga się powtórnego zbadania stanu rzeczy;—dwa tygodnie schodzi na spisywaniu protokółów, a tymczasem owce pasterza, bez dozoru pozostawione, zdychają jedna po drugiéj na swych wygonach, co go do ruiny doprowadza.

— „Bierz sobie tedy moją chatkę,—rzecze on wreszcie do kanonika; oczywiście sprawiedliwość jest rzeczą za drogą na moją kieszeń".

Don Pinu będzie mógł zatém powiększyć swoją kuchnię, — ale w nadziejach tych nie brał on w rachubę sąsiada od drugiéj strony domku, który ma też na niego chętkę, lecz czeka przezornie, aby ktoś inny wydobył za niego kasztany z gorącego popiołu. Don Pinu porozumie się jakoś z Baronem, a imć pan Arcangelo przeniesie się z córką i z resztą owiec do jakichś pieczar, sąsiadujących z obszernemi pastwiskami. Tam przynajmniéj nie będzie już miał żadnych sąsiadów.

— Dopieroż to nie rada będzie z tego Nina! — szepcą pomiędzy sobą kumoszki na wieczornych pogawędkach; — przerwą jéj się teraz miłe schadzki z paniczem. — Nina, która wie dobrze, że ją panicz wziąłby z chęcią do siebie, stawia się hardo ojcu: — Idź sobie sam zamieszkać w tych twoich norach, — powiada mu,—ja tu wolę zostać.

Arcangelo mysli znowu, że mu i tym razem wypada poszukać u władzy sprawiedliwości. Lepiéj mu było i tego wyrzéc się nazawsze! Sędzia, jego pisarz i Don Licciu Papa, jednozgodnie zawyrokowali, że Nina, przestawszy być dzieckiem, ma zupełne prawo postępować, jak się jéj spodoba.—„Kiedy tak, więc wolno i mnie zrobić to, co mi dogadza,—odparł Arcangelo, i przy pierwszéj sposobności, napotkawszy panicza na głównéj ulicy wioski, rozbija mu czaszkę jedném uderzeniem pałki.

— Skoro go należycie skrępowano powrozami, — opowiada Verga,—Don Licciu Papa, który nadbiegł pierwszy, przedziera się przez tłum, wołając: — „Miejsce dla sprawiedliwości!“ — Rozpoczęto więc sprawę, dawszy obwinionemu obrońcę z urzędu.—„Tym razem przynajmniéj,—rzecze Arcangelo,—sprawiedliwość nic mnie nie będzie kosztowała.“ — Adwokat potrafił dowieść, jasno jak na dłoni, że klient jego nie zrobił tego z umysłu, że z zawodu swego będąc pasterzem owiec, nabrał zwyczaju karać je po grzbietach pałką, gdy się okazywały niesforne, i że tym razem nadto może silnie jéj użył;—jedném słowem, dzięki jego wymowie, Arcangelo wywinął się z tego kłopotu za cenę pięciu lat więzienia.

Nina poszukała sobie mieszkania w pańskim dworze; Don Pinu zaś i Baron rozszerzają swe posiadłości kosztem lepianki, o którą było przedtem tyle hałasu, i żyją z sobą w najprzykładniejszéj zgodzie sąsiedzkiéj.

Ileż dowcipnego szyderstwa mieści w sobie cała ta opowieść! Są téż inne, na których rozbiór brak mi tu miejsca; zdaje się w niejednéj z nich odżywać cała surowość religijna Hiszpanii. Widzimy tam córkę, która, nie mogąc zostać równie świetnie wyposażoną, jak jéj siostry, musi, chcąc nie chcąc, wstąpić do klasztoru (Storia d'una Capinera); następnie doroczne rekolekcye obowiązkowe, które urządzają zamożniejsi dzierżawcy dla swéj służby, nie tyle dla jéj duchowego pożytku, jak w celu zmuszenia jéj do zwrotu tego, co przez cały rok potrafiła rozdrapać. A cóż tu powiedzieć o powieści: „Chleb czarny“ (Pane nero), o téj odyssei biedaków, ciągle przez złą dolę prześladowanych, która wtedy dopiero, jakby za sprawą czaru, od nich się odsuwa, gdy piękna Łucya przystaje wreszcie na przyjęcie od starego rozpustnika Don Venerando kwoty, potrzebnéj na posag,

mający dać jéj możność poślubienia kuchcika Brasi, przebiegłego chłopaka, którego marzeniem jest nabyć kiedyś stajnię lub karczmę.

Synteza jednak owego duchowego ustroju, nawskroś sycylijskiego, z tak różnorodnych złożonego żywiołów, dochodzi rzeczywiście do zupełnego rozwoju swego dopiero w powieści ludowéj, zatytułowanéj: „Rycerskość wieśniacza“ (Cavalleria rusticana).

Piękny, młody chłopak Turriddu, opuszcza swą rodzinną wioskę, dla odbycia wojskowéj służby, pokochawszy poprzednio ładną dziewczynę, Lolę. Jak się to często zdarza, podczas gdy Turriddu przebiegał Włochy ze swym batalionem „bersaglierów“, Lola została narzeczoną furmana Alfio, właściciela trzech pysznych mułów, z których pomocą sporo zarabiał przewozami. Odbywszy swą służbę, Turriddu wraca do wsi. Widział niemało świata, oglądał wielkie miasta, więc téż co Niedziela z dumą przechadza się po rynku, butnie nasunąwszy na czoło wojskową czapeczkę i puszczając dym z paradnéj fajki porcelanowéj z wizerunkiem Wiktora Emmanuela, tak wybornie namalowanym, że się zdawał jakby żywy. Turriddu nauczył się wielu rzeczy w wojsku, mianowicie zaś tego, iż, zapalając fajkę, pociągał zapałkę wzdłuż nogi, którą podnosił przytém ze swobodą, wprawiającą w zdumienie wieśniaków. Na tych wszystkich gburów patrzy on z wyniosłym wstrętem, i nawet żadnéj uwagi nie raczy zwracać na piękne dziewczęta, które zerkają na niego zalotnie z pod swych zasłon (mantelline), uchylając je na chwilę tylko i zaraz potém nasuwając znowu na twarz. Ale gdzież jest Lola? — niepodobna mu jéj dostrzédz—rzéc-by można, że z umysłu od niego ucieka. Pewnego dnia wreszcie niespodzianie spotyka ją na drodze, powracającą z pielgrzymki do „Madonny del pericolo.“

— Szczęśliwi ci, którym dano was ujrzéć! — woła Turriddu.

— Wszak od miesiąca już prawie z wojska powróciłeś — odpowiada mu Lola; — cóż nowego?

— Co nowego pytacie? oto podobno wybieracie się za tego Alfia, który furmani mułami?

— Jeśli taką jest wola Boża...

— Och! dajcie z tém pokój! Tę wolę Bożą tłómaczy sobie każdy na swój sposób. Czy to ona także z powrotem mię tu przywiodła na to, abym się dowiedział o tak pięknych rzeczach?

Biedny Turriddu chciał, jak to mówią, miną nadrabiać, ale mu to nie szło jakoś; głos miał zdławiony i szedł za młodą dziewczyną chwiejnym krokiem. Przykro było Loli widziéć go tak zasmuconym, ale nie mogła się zdobyć na serdeczniejsze dla niego słowa.

— Słuchajcie-no, Turiddu, — rzekła mu wreszcie, — pozwólcie mi złączyć się z mojemi towarzyszkami i nie szukajcie więcéj ze mną rozmowy. Cóżby to powiedziano, widząc nas z sobą sam na sam!

— Macie słuszność, zarówno wybierając się za Alfia, posiadacza trzech pięknych mułów, jak i w tém, że się nie chcecie na złośliwe plotki narażać. Matka moja tymczasem, podczas kiedym odbywał wojskową służbę, sprzedać musiała naszego gniadego muła—jedynaka w naszéj stajence,—i kawałek winnicy, który mieliśmy po-nad drogą. To, co minęło, nie powraca. Trzeba więc zapomnieć o tych najpiękniejszych w życiu wieczorach, gdy schodziliśmy się z sobą u okna od podwórka, i kiedyście to mi dali tę chustkę na pamiątkę. Ileż ją razy tam daleko skrapiałem łzami, kiedym był żołnierzem! Bywajcie mi tedy zdrową, Lolo! — przyjaźń nasza musi mieć swój kres...

Lola została tedy żoną właściciela pięknéj trójki mułów. W niedzielę po południu wychodziła na ganek domu, dla pochwalenia się przed całą wsią złotemi kolczykami, jakie dostała od męża. Turriddu daléj przechadzał się po ulicy z fajką w zębach i z rękami w kieszeniach, z pozoru całkiem obojętny. Niemniéj jednak wściekłość szarpała mu serce, gdyż małżonek Loli był bogaty, a ona, przechodząc koło swego dawnego kochanka, udawała, że go nie widzi.

— Zobaczymy, jak się to skończy? — mruczał do siebie.

Naprzeciw domu Alfia mieszkał zamożny właściciel winnicy, Cola, mający córkę jedyną, imieniem Santa. Turriddu pracował u niego przy gospodarstwie i, nawiedzając często jego dom, począł zalecać się do Santy.

— Zachowajcie te wszystkie słówka dla Loli, — powiadała mu dziewczyna. Za pierwszym razem, ojciec zatrzasnął drzwi przed nosem żołnierzowi, ale tacy, jak on, umieją oknem powracać, co tém łatwiéj jeszcze przychodziło Turriddowi, że mu je sama otwierała Santa.

— Chciał-bym być synem Wiktora-Emmanuela na to, abym was mógł poślubić, — powiadał jéj urlopnik, a Lola słuchała tych miłosnych gruchań, skryta po za sąsiednim płotem, czerwieniąc się i blednąc naprzemian.

— Cóż się z wami dzieje? — rzekła mu pewnego dnia — czy się to godzi tak zapominać o dawnych przyjaciołach?

— Nie idą oni wcale u mnie w niepamięć, tylko niepodobna jest widywać się z nimi.

— Kto chce mnie widzieć, łatwo trafi do mego mieszkania.

Turriddu tak dobrze potrafił znaleźć do niego drogę, że mu Santa niebawem okno swoje zamknęła — o czém wiele rozprawiały kumoszki na swych wieczornych pogadankach. Alfio tymczasem wędrował ciągle po drogach z mułami.

Skoro do domu powrócił, zarobiwszy niemało na swoim przemyśle, przywiózł żonie piękną suknię w podarunku.

— Słusznie czynicie, że ją tak obdarzacie, — rzekła do niego Santa, — ona też dobrze was oporządza w waszéj niebytności.

Alfio nie należał do ludzi bardzo potulnych. Usłyszawszy to, pobladł mocno i zawołał:

— Na wszystkich czartów przysięgam, Santo, że jeśli mylne są wasze słowa, nie zostawię wam nawet oczu do płakania, i tak samo uczynię z całą waszą rodziną.

— Czegoż-bym miała teraz łzy wylewać? Toż nie płakałam nawet wtedy, kiedym widziała Turridda, wchodzącego nocą do waszego mieszkania.

— W takim razie należy wam się tylko ode mnie podziękowanie.

Turriddu ducha w sobie zatаił od powrotu Alfia; wcale się już nie przechadzał około domu Loli i czas swój spędzał z przyjaciołmi w zajeździe.

Pewnego razu siedział tam spokojnie nad talerzem wędliny, kiedy wszedł Alfio i dziwnie jakoś spojrzał na niego. Turriddu zrozumiał od razu, co się tu święci, i odkładając na bok widelec, rzekł:

— Czy macie mi co do rozkazania?

— Nie może być ode mnie dla was ani rozkazu żadnego, ani prośby,—odpowiedział mu tamten.—Powracam tu po długiéj niebytności i chcę rozmówić się z wami co do tego, o czém wiecie dobrze,— odpowiedział mu Alfio.

Turriddu chciał go poczęstować szklanką wina, napełnioną po brzegi, ale furman ręką ją odtrącił od siebie. Wtedy wstał z miejsca Turiddu i rzekł:

— Jestem na wasze usługi.

Alfio zarzucił mu obie ręce na szyję.

— Jutro z rana, pod figowemi drzewami w Canzizia.

— Czekajcie na mnie przy gościńcu, o wschodzie słońca; pójdziemy daléj razem.

Przy tych słowach zamienili z sobą zwyczajowy przed walką uścisk i Turriddu zlekka ścisnął zębami brzeg ucha swego przyszłego przeciwnika, na dowód, że się stawi w sam czas na umówione spotkanie.

Nazajutrz dwaj zapaśnicy, udając się na nie razem, szli długo w milczeniu obok siebie.

— Słuchajcie-no, kumie Alfio,—rzekł wreszcie urlopnik do swego towarzysza,—Bóg mi świadkiem, że czuję moją winę i nie broniłbym się nawet, gdyby nie to, żem na samém wyjściu z domu napotkał moją matkę, która niby-to wybrała się po coś do kurnika, chcąc mię

raz jeszcze zobaczyć. Dalibóg, nie myślę darować wam życia, bo mi żal się zrobiło téj biednéj kobiety, i łez jéj nie chcę być przyczyną.

— Tém lepiéj; do roboty zatém! — odpowiedział Alfio, zrzucając z siebie kurtkę — będziemy tęgo walczyli obadwa.

Byli z nich co się zowie dzielni zapaśnicy; Turriddu pierwsze jednak otrzymał zadraśnięcie, ale odbił cios ręką i rzucił się na swego przeciwnika.

— Cóż to, kumie — zawołał Alfio, — czy mię chcecie zabić naprawdę?

— Wszak-że wam to już zapowiedziałem; mam ciągle przed oczyma moją starą matkę, stojącą przy kurniku.

— Kiedy tak, to wytrzeszcz-że dobrze oczy, — wrzasnął wściekle Alfio, — bo ja ci się tak samo wypłacę; — i schyliwszy się szybkim ruchem aż do ziemi, chwycił garść piasku, którą w twarz cisnął swemu przeciwnikowi.

— Ach! — zawołał oślepiony Turriddu, — teraz koniec już ze mną!

Chciał umykać, ale mu Alfio nie zostawił do tego czasu, zadając mu dwa pchnięcia nożem, jedno w piersi, drugie w szyję.

— Masz to za zhańbienie mojego domu! — zawołał. — Twoja matka będzie mogła teraz zapominać o swoich kurczakach.

Czy słusznie uczynił Verga, przeistaczając swą nowellę w dramat? — Może nie zupełnie. W tytule, jaki dla niéj obrał: „Rycerskość wieśniacza“ — przebija wyraźnie szyderstwo. Verga lubuje się w niém nieraz; przekonany on jest przecież, że „rycerskość“ nie polega na tém, aby wśród walki garścią piasku oczy zasypać przeciwnikowi, dla ułatwienia sobie zwycięztwa. W dramacie zresztą, trwającym ledwie dwadzieścia pięć minut, niepodobna było mieszać satyry z tragedyą.

Po długim namyśle nad tym przedmiotem, Verga wydał swój dramat w Turynie, w roku 1884. Pozyskał on we Włoszech ogólne powodzenie, dzięki znakomitéj tragiczce, Checchi Duse, która potrafiła uczynić z postaci Santuzzy jedną z najlepszych ról swoich. Dla dosięgnięcia wyżyn dramatycznego nastroju, osoby działające w nowelli przejść musiały przez ogniową próbę. Santuzza nie jest tu już dziedziczką zamożnego właściciela winnic, Coli, ale ubogą dziewczyną, uwiedzioną i następnie opuszczoną, w chwili, kiedy spodziewać się musi fatalnych skutków swego błędu. Nietylko, że zamyka już ona swoje okno dla Turriddu, ale go ściga zazdrością nawet wobec ludzi; a gdy Alfio nie chce dawać wiary jéj oskarżeniu, wyznaje mu własną hańbę. Równie śmiało nakreślona sytuacya dramatyczna nie często spotyka się na scenie.

Co zaś do Turridda, nie zapala on już fajki, z charakterystycznym gestem Wiktora Emmanuela; zgryzoty sumienia odebrały mu dawne upodobanie do tytóniu. Jakkolwiek sporo widział świata, nie spogląda już tak wyniośle, jak kiedyś, na wszystkich wieśniaków, i nawet raczy w święta uroczyste do karczmy na wino ich zapraszać. U Loli skończyło-by się może wszystko na zalotności, gdyby nie to, że jéj męża nigdy niéma w domu... W dramacie swoim Verga prześlizguje się zlekka po tym drażliwym przedmiocie; co zaś do Alfia, ten przedstawia się chłodnym i powściągliwym, jak prawdziwy Arab, i jeśli zabija wroga swego w pojedynku, czyni to niezawodnie w sposób całkiem uczciwy i bez żadnego podstępu.

Obserwacya realistyczna ma w dramacie dwoje tylko przedstawicieli, uczestniczących w nim epizodycznie: matkę Turridda, która nic nie chce wiedzieć o „tych konszachtach“ i dba przedewszystkiém o to, aby się na mszę nie spóźniła w dzień Wielkiéj-Nocy, — i wuja Brasi, zapewne dawnego naszego znajomego z nowelli o „Czarnym chlebie“ (Pane Nero), który nabył nareszcie swoją stajnię i wozownię za cenę posagu pięknéj Łucyi.

Należy tu nadmienić, że z wyjątkiem Turridda, o którego tragicznéj śmierci przynosi wieść zadyszana wieśniaczka, tworząc tém końcowy obraz dramatu, pozostajemy w zupełnéj nieświadomości po zapuszczeniu kurtyny, co do losów innych postaci w nim występujących, jak: Santuzza, Lola i Alfio; brak ten czuć się daje tém więcéj, że chodzi tu o rozprawę, odbywającą się pomiędzy czterema osobami.

Ów pojedynek, a raczéj — że tu użyjemy dowcipnego określenia dostojnika dawnéj szkoły — owa walka czterech lwów w żelaznéj klatce trwa niespełna pół godziny, w ciągu którego-to czasu nieustanny zgrzyt ścierających się z sobą namiętności zmusza widza do ciągłego wytężania umysłu, tamując mu nieraz oddech w piersiach. Trwa to wszystko bardzo krótko, ale w naszym wyścigu końcowiekowym (fin de siècle) na złamanie karku, fakta nawałą jedne na drugie spadają, z szybkością błyskawicznego pociągu; cóż więc na to poradzić? Może właśnie dlatego lubi publiczność zyskiwać na czasie słuchając teatralnego utworu.

Bądź co bądź, choćby i nie każdy widz dał się porwać szybkością téj akcyi, umieli ją wyzyskać dwaj wytrawni libreciści. Mascagni zaś, za sprawą swego talentu, zdołał ująć dramat sceniczny w formę jednego z najznakomitszych utworów muzycznych nowożytnego teatru. Niéma wątpliwości, że w owéj robocie Santuzza przeistoczyła się nieco w mleczną siostrę Giocondy Ponchiellego, Alfio zaś wyszedł na dosyć bliskiego kuma torreadora Bizeta; ale stało się tutaj z winy

Vergi to samo, do czego przed dwudziestu laty dał był powód twórca „Carmeny“ Mérimée.

Owo pokuszenie, które pociągnęło Vergę w kierunku teatru, pozostanie zapewne odosobnionym objawem w jego literackim zawodzie. Przywódca szkoły „werystów“ nie posiada dostatecznego dla sceny zasobu psychologii, a jeśli mu jeszcze potrzeba występować do walki z librecistami i z wydawcami muzykalnych utworów [1]), to już stanowczo owa praca staje się dla niego zbyt niewdzięczną. — „Żyję dzisiaj jakby na publicznym placu, — pisał niedawno Verga do swego przyjaciela, — i muszę nawet zgodzić się na to, aby moje nazwisko od czasu do czasu rzucało się w oczy każdemu na ulicznych afiszach.“ — Oświadczenie to dobrą jest wróżbą, pozwalającą przypuszczać, że utalentowany pisarz powróci do owych rodzajowych obrazków, które zdają się być najwłaściwszém polem dla jego twórczości

Zanim nadszedł dla włoskiego piśmiennictwa nowożytnego zwrot ku „weryzmowi“, pławiło się ono wyłącznie w błękitach idealizmu romantycznego.

Naczelnik szkoły idealistycznéj, De Amicis, stał się szybko popularnym we Włoszech, idealizując wojsko w swych „Szkicach wojennych.“ Było to zaprawdę czynem patryotycznym, stanowczo zapewniać, zaraz po wypadkach roku 1866, że bohaterstwo żołnierzy zagłuszyło w ich wspomnieniu nieudolność dowódców. Opowiadał mi ktoś w Medyolanie, że po przeczytaniu „Szkiców wojennych“ de Amicisa, czuł w sobie chęć uściskania każdego bersagliera, którego napotkał na ulicy. Cykl podróży do Hiszpanii, Marokko, Hollandyi i Konstantynopola, znalazł wnet tłómaczów na wszystkie języki. Czuć w nich wzruszenia podporucznika, cokolwiek poety, zaglądającego po raz pierwszy w krainy odległe i cokolwiek tajemnicze. Uczucie owo, całkiem idealistyczne, przelewa w nas De Amicis kropla po kropli, gdy opowiada „interview“ swoje z Zolą. Wrażeń podobnych doznał-by bretoński wieśniak, niespodzianie wszedłszy do pagody. Cóż tam złota i jak zdumiewająca bogactwem budowa! — Ale o ileż on woli skromny kościołek swojéj wioski, zielenią przysłoniony, skąd tak dobrze dostrzédz można modre tonie morza! To téż, zaledwie powrócił De Amicis do swéj samotni turyńskiéj, jakże mu jednym rzutem wybiega z pod pióra owa symfonia idealistyczna, którą zatytułował „Serce“, przypisując ją całéj młodzieży swojego kraju!

---

[1]) Wiadomo, iż sądy medyolańskie skazały autorów libretta do opery „Cavalleria Rusticana“, oraz jéj wydawcę na odstąpienie na rzecz Vergi połowy swoich praw autorskich.

Wszystko to czystym jest lazurem, ale we Włoszech widnokrąg szybko się zaciemnia. Opłacić teraz należy koszta wielkiéj uczty politycznéj i zlikwidować pierwszy przystęp kolonialnéj gorączki. Chorobliwa niemoc ekonomiczna już się zbliża; trzeba, chcąc nie chcąc, na ziemię zstąpić z rozpromienionych wyżyn apoteozy, sprowadzić marzenia przyszłości do stosunku rozmiarów odwagi, — zapomnieć o łatwych powodzeniach roku 1860 i uzbroić się w skalpel anatoma dla zbadania ran z późniejszych ciężkich czasów.

Tutaj-to przypada miejsce zwrotu werystycznego. Schodzi się on z chwilą, w któréj Włochy, sprzykrzywszy sobie szkołę politycznego i społecznego oportunizmu, dopełniają zbawiennego rozpatrzenia się w sobie. Pisarze weryści mieli tę zasługę, iż się zjawili we właściwéj chwili psychologicznéj i że pracowali zawsze w dobréj wierze, nie obierając sobie nigdy za cel księgarskiego powodzenia swoich utworów, przy pomocy pieprznych przypraw, używanych przez francuskich naturalistów. Poczucie estetyczne, wrodzone we włoskiém plemieniu, zdołało zawsze odróżnić prawdę żywą od wystudyowanéj nagości literackiéj. Zwracając swą soczewkę w stronę owego ludu włoskiego, tak mało znanego — nawet w jego ojczyźnie — warstwom wykształconym, przez to, iż naturę jego przedstawiała zawsze, jakby z umysłu, w fałszywém świetle literatura idealistyczna wszystkich krajów, — szkoła werystów zdziwiła nas od razu trylogią: rzemieślnika, marynarza i wieśniaka, wypukło uwydatniając trzy nazwiska, całkiem nowe w świecie piśmienniczym: — Cavallotti, Jack La Bolina (pseudonim) i Verga.

Przekształcenie warunków pracy, urządzeń marynarki kupieckiéj i stosunków agrarnych,—oto są zadania, będące dziś na porządku dziennym we Włoszech. Szkoła werystów zdaje na samych tych, o których sprawę tu chodzi, staranie bronienia praw swoich przed sądem opinii ogółu, przedstawiając ich w szczerém świetle prawdy, bez podniecań i bez przesady; — na podobieństwo owego rzeźbiarza, który na jednéj z ostatnich wystaw w Medyolanie śmiało pomieścił swój posąg robotnika z ryżowych pól Lombardyi, o zapadłych policzkach i wychudłém ciele, wśród marmurowego Olimpu nimf i bogiń, wypisawszy tylko na podstawie: „Ten jest bratem twoim.“ (Questo è il tuo fratello).

— „Główną jest rzeczą na tym świecie: działać“, — powiada Verga w jednym ze swych ostatnich listów — i wzrok jego zdaje się gubić na ogromnych obszarach latyfundyi Sycylii, które co rok opuszcza ludność bystra i zahartowana do twardéj pracy, dla zakładania w Ameryce owych ruchliwych i niespokojnych kolonii, często sprawiających tyle kłopotu dyplomacyi i swéj pierwotnéj ojczyźnie.

Verga jest zwiastunem nowéj ery; przeczuwa on przeistoczenie się stosunków rolniczych, do którego jego „Nowelle Wieśniacze“ przynoszą tyle ludzkiego materyału i dokumentów. Uznany został dziś przez ogół za przewodnika nowéj szkoły, całkiem wbrew woli swojéj; pióro ma jędrne i gorący żywi patryotyzm; ale jest to pracownik pełen skromności, nie urodzony na trybuna, jak Cavallotti, i nie stanie się nigdy, jak ten ostatni, politycznym działaczem. Niemniéj przecież nazwisko jego pozostanie związaném z jednym z najważniejszych zwrotów, jakich dokonało piśmiennictwo jego ojczyzny.

Zygmunt Rzyszczewski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

H. von Wissmann *Meine zweite Durchquerung Aequatorial Afrika's vom Congo zum Zambesi während der Jahre 1886 und 1887. Frankfurt a. Oder Trowitzsch u. Sohn.* 1891.

W szeregu licznych tegoczesnych konkwistadorów, którzy, jak błędni rycerze Aryosta, przebiegają teraz wszerz i wzdłuż Afrykę, z przyrządem astronomicznym i mieczem w jednéj, z piórem w drugiéj ręce, czasem wracają jako założyciele ogromnych (co do rozległości) państw lub kolonii europejskich, a co najmniéj przywożą gotowy materyał do ciekawéj książki, rozjaśniającéj tajemnice „ciemnego kontynentu“,—major Herman Wissmann zajął jedno z pierwszych miejsc. Od r. 1890 stał się osobą powszechnie znaną, jako naczelny wódz milicyi, która przytłumiła powstanie w zachodnio-afrykańskiéj kolonii niemieckiéj. W karyerze urzędowéj przewyższył zatém swych sławnych rywalów, Angloamerykanina Stanleya, Portugalczyka majora Serpe Pinto, Francuza hr. Brazzę, Włocha hr. Antonellego, naszego Szolca-Rogozińskiego, Niemca Petersa i t. d. i t. d. Zanim jednak wystąpił jako komisarz cesarski na czele legionu niemieckiego we Wschodniéj Afryce, p. Wissman odznaczył się jako śmiały podróżnik i poważny explorator. W r. 1881 i 1882 dokonał pierwszéj przeprawy przez środkową Afrykę od zachodniego do wschodniego brzegu. W latach 1884 i 1885 zbadał bieg rzeki Kassaju i założył stacyę Luluaburg nad rzeką Luluą, na południowym krańcu wolnego państwa Kongo. Z dwóch dzieł, które zawierają dokładny opis tych pier-

wszych wypraw afrykańskich p. Wismanna, zdaliśmy sprawę w zeszytach majowym i czerwcowym „Biblioteki“ r. 1889-go.

Świeżo ukazał się opis trzeciéj wyprawy, a drugiéj przeprawy majora Wissmanna przez całą środkową Afrykę. Zaledwie wyleczony na wyspie Maderze z ciężkiéj choroby, któréj się nabawił przy zbadaniu dolnego Kassaju, p. Wissmann, z polecenia króla belgijskiego, władzcy wolnego państwa Kongo, stanął na czele nowéj wyprawy. Instrukcya opiewała: „skorzystać ze szczególnych stosunków politycznych w kraju Balubów (gdzie Wissmann był założył stacyę Luluaburg), celem utworzenia punktu oparcia dla dalszych przedsiębiorstw na południowéj granicy państwa Kongo, ewentualnie daléj aż do wschodnich granic tego państwa, tudzież skłonić tubylców do uznania zwierzchnictwa państwa Kongo; badać losy, względnie handel niewolników, i ile możności zapobiedz mu, tudzież zdać sprawę z ekonomicznéj wartości południowo-wschodnich okolic państwa Kongo“.

Opuściwszy 8 Stycznia 1886 r. Maderę, pod koniec tegoż miesiąca p. Wissmann do Banany nad ujściem Kongo przybył, właśnie w chwili, kiedy generalny gubernator, Sir Francis de Winton, zdawał urząd następcy swemu, Jansenowi, Belgijczykowi. Tu p. Wissmann dowiedział się, że oddział Balubów, którzy mu towarzyszyli na przeprawie po Kassaju, odesłany ze Stanley-Pool na parowcu „Stanley“, szczęśliwie dostał się do domu, a zatém także w zamierzonéj nowéj wyprawie będzie mógł na nich liczyć. Pomiędzy Bananą a Vivi na rzece Kongo obiegają już liczne parowce i czółna. Daléj na wschód, od Vivi aż do Stanley-Pool, przy któréj-to zatoce leży z jednéj strony stolica państwa Kongo, Leopoldville, a z drugiéj francuska Brazzaville, z powodu licznych prądów żegluga na rzece Kongo jest niemożliwa. Dlatego też, chociaż ujście Kongo znane było Europejczykom od 4-ch wieków, aż do niedawna nikt w górę téj olbrzymiéj rzeki nie puszczał się po za Vivi na wschód. Dopiero Stanley, przybywszy ze wschodu od Ugangwy, odkrył bieg téj głównéj wodnéj drogi środkowéj Afryki. Wkrótce trudności komunikacyi pomiędzy Vivi a Leopoldville zaradzi kolej żelazna, którą budują od dwóch lat. W r. 1886 p. Wissmann jeszcze tę przestrzeń musiał przebyć piechotą. Przybył zatém do Leopoldville dopiero 23 Lutego. Następne dni zeszły na różnych przygotowaniach; 15 Marca p. Wissmann czółnem udał się w górę Kongo do stacyi Kwa-Mouth, przy połączeniu się Kassaju z Kongo, gdzie wypadło czekać tydzień na wracający ze stacyi Ekwatoryi parowiec „Peace“.

Wreszcie 22 Marca rozpoczęła się wyprawa w górę Kassaju. W tych stronach, które pierwszy z Europejczyków zwiedził p. Wissmann w r. 1885, roi się od zwierzyny. „Przedpotopowy panuje tu

spokój. Bez trwogi na wyspach rzeki grzały się w słońcu ogromne hipopotamy, słonie pojedyńczo lub w stadach przesuwały się zwolna po brzegu, lub chłodziły na miałkich miejscach rzeki, bawoły spokojnie krzątały się pomiędzy temi olbrzymami. Tu pelikan bez ruchu czeka na łup, tam na lagunach trzepocą setki dzikich kaczek i czarnych, podobnych do łabędzi, gęsi. Na brzegu, na suchych gałęziach drzemią kormorany i białoglowe sępy, dokoła świegoce drobne ptactwo. Zamyślone bociany uważnie kroczą po zalanych wyspach, a w powietrzu krąży orzeł rzeczny. Gdziekolwiek spojrzysz, na pozór cichy, niezakłócony spokój ogarnia te tysiączne jestestwa, które zwabia potężna rzeka, bądź to chłodzącemi falami swemi, bądź bogactwem pożywienia. Dreszcz przejmuje nas, gdy przeciągły ryk hipopotama przerwie nagle zupełną ciszę. Odzywają się tu dźwięki, które potęgą i niezwykłością silnie oddziaływają na nerwy. Raz ubiliśmy kilka słoni, same samice i młode. W nocy, szukając swych rodzin, zbliżały się do obozu samce. Zapewne z woni suszonego przy ogniskach mięsa dowiedziały się słonie o stracie, jakiéj doznały, bo wydawały jęki takie niezwykłe i żałosne, że, obudzony ze snu, głęboko się czułem wzruszonym".

Kassaj w tych stronach często dosięga ogromnéj szerokości 1200 metrów, płynąc to śród sterczących brzegów, pokrytych lasami palmowemi, to śród rozległych, gołych stepów, rzadko zamieszkałych przez różne plemiona murzyńskie. W niektórych okolicach tubylcy, zebrani na brzegu, przyjmowali parowiec obelgami i groźbami, wkładając na łuki strzały; w innych znowu zapraszali podróżników, przynosili żywność na sprzedaż i zachowywali się całkiem przyjaźnie. Dnia 1-go Kwietnia parowiec dotarł do kraju wojowniczych Bassongo-Minów, z którymi Wissmann na pierwszéj przeprawie po Kassaju staczał krwawe walki [1]). Teraz, ilekroć „Peace" przybił do lądu, bądź to celem nabrania drzewa na opał machiny, bądź też celem zakupu żywności, Bassongowie śpiesznie uchodzili.

Płynąc całemi dniami, a zatrzymując się tylko nocą dla zbierania drzewa na opał, „Peace" 12-go Maja dotarł do miejsca, gdzie rzeka Lulua wpada do Kassaju. Tutaj Wissmanna przywitał lekarz sztabowy, dr. Wolf, który w r. 1885 był odprowadził z Leopoldville Balubów do domu i pozostał w kraju Lubuku, jako szef stacyi Luluaburg. W czasie nieobecności Wissmanna, dr. Wolf zbadał po części bieg wielkiéj rzeki Sankurru, jednéj z głównych arteryi przy rzece Kongo, tudzież przy ujściu rzeki Luebo do Lului, która tam dopiero

[1]) Porów. „Bibl. Warsz.", tom 12°, str. 386.

staje się przystępną parowcom, założył stacyę Luebo [1]). Do téj stacyi Wissmann dotarł 14-go Maja. „Szeroki, wolny od drzew plac nad brzegiem sprawił nam niespodziankę, bo od 5 dni nie widzieliśmy nic, jak tylko odwieczne gęste lasy, które teraz, w porze deszczów, sięgały aż do fal rzeki, tworząc jakoby prostopadłe ściany. Z wierzchołka przylądku, utworzonego przez połączenie się Luebo z Luluą, z wywyższonego bastyonu groziło moje małe działo, podarunek p. Kruppa. Cztery zabudowania z desek, pomalowanych gliną, o szerokich dachach z trawy, zajmowały wolny plac, od strony lądu bronione wysokim płotem, od Lului do Luebo. W stu metrach po za płotem zaczynał się dopiero las. Zbliżenie się parowca naszego wywołało wielki ruch na stacyi. Żołnierze, ubrani w czyste białe mundury, przybiegali z bronią, aby stanąć w szeregu, i gdyśmy przybili do lądu, zbliżył się do mnie komendant stacyi, porucznik belgijski Bateman, aby zdać rapport. Następnie w pawilonie, wzniesionym w kształcie grzyba, zasiedliśmy do chłodnego wina palmowego“.

Parowiec „Peace“, własność missyonarzy angielskich, osiadłych w Leopoldville, odpłynął z Luebo do Kongo, Wissmann zaś z d-rem Wolfem 22 Maja udał się w dalszą drogę do Luluaburga. W górę od stacyi Luebo, Lulua, z powodu licznych progów nie jest spławną. Trzeba zatém było odbyć tę podróż pieszo po brzegu rzeki. Dotarłszy do rzeczki Mujeau, Wissmann napotkał posterunek trzech weteranów swéj dawniejszéj wyprawy, na drugiéj zaś stronie rzeczki czekał przysłany z Luluaburga bryk, na którym przed 2 laty odbył przeprawę z Angoli do Luluaburga. Na szerokiéj, prostéj drodze, nazajutrz Wissmann dotarł do stacyi Luluaburga, gdzie go przywitał z zapałem naczelnik, puszkarz Bugslag, towarzysz drugiéj wyprawy.

Założoną przed 2 laty stacyę kapitan Wissmann zastał w stanie kwitnącym. Ze wszystkich stron prowadziły do niéj proste, szerokie drogi. Już po pierwszych żniwach Bugslag mnóstwo ryżu wysłał był do Luebo. „Na miejscach, które w méj pamięci tworzyły pustynie, powstały dobrze uprawione pola. Wzdłuż trzech strumyków u podnóża stacyi rozciągały się obszerne plantacye ryżu, wystarczające na 6 miesięcy tak dla Luluaburga, jako téż dla stacyi Luebo. Pochyłość wzgórza pokrywały: kukurydza, proso i *maniok* (z którego się wyrabia wyborną mąkę). W trzech ogrodach rosły ogórki, tomaty, ćwikła, sałata, *yam*, ananasy i tytoń. Drzewa *bananowe* i pomarańczowe, sprowadzone z Angoli, stały przy drogach. Krowy znajdowały się w dobrym stanie, 28 owiec, 30 kóz, mnóstwo kaczek, kur,

[1]) Dr. Wolf umarł w r. 1889 w Dahome.

gołębi, papug, zaludniało stacyę. Najwięcéj ucierpiały psy,—z 15 sprowadzonych z Europy żyło już tylko 5".

Odpocząwszy dzień w Luluaburgu, Wissmann udał się do pobliskiéj Mukengi, stolicy kacyka Kalamby, który go przyjął był tak gościnnie na pierwszéj i drugiéj wyprawie do Afryki i ułatwił mu najprzód przeprawę do Nyangwy, potém zbadanie Kassaju. „Gdyśmy się zbliżali do stolicy—opowiada podróżnik niemiecki—tysiące ludzi tworzyły szpaler, witając mię głośnemi okrzykami radości. Na *Kiocio* (rynku) po obu stronach, w długich rzędach, siedzieli mężowie, podając sobie fajki, i w ogłuszający sposób tłukąc w bębny. Na salwy moich, odzianych w świeże białe mundury, 20 żołnierzy, odpowiedziały nieustanne wystrzały tubylców. Niebawem z gęstego tłumu, liczącego około 5,000 głów, przy ogólnych oklaskach, przystąpili do mnie kacyk Kalamba z swą siostrą Sangulą. Nie wstydzę się wzruszenia, jakiego doznałem, ściskając dłoń tych wyprobowanych przyjaciół. Nie było końca pytań i radośnych okrzyków. Dosiadłszy byka mego, widny całemu zebraniu, wygłosiłem przemowę, oświadczając, że jak tylko morze przywróciło mi zdrowie, posłuszny głosowi serca, powróciłem do mych przyjaciół. Kalamba następnie wyraził radość, że mnie znowu widzi u siebie. Gdy skończył słowami „to wola" (powiedziałem), ponownie odezwały się salwy, huk bębnów i okrzyki radości, po czém rozpoczęły się wielkie tańce. Z Kalambą, siostrą jego Sangulą-Metą, i następcą tronu Kalamba-Moaną, wszedłem do wybudowanego w czasie mojéj nieobecności pięknego domu, aby się rozmówić co do dalszych planów. Kalamba natychmiast oświadczył gotowość dostarczenia mi posiłków, chociaż sam, jako mąż podeszłego wieku, nie może się już podjąć dalekich podróży".

Powróciwszy do Luluaburgu, dokąd nie przybyły jeszcze zamówione w Leopoldville towary, które w tych strefach środkowéj Afryki zastępują monetę, p. Wissmann zbadał nasamprzód górny bieg Kassaju od połączenia się z nim Lului aż do wodospadów Wissmanna. Za powrotem, na stacyi Luebo zastał parowiec „Stanley", z którym przybyli Belgijczycy, kapitan de Macar i porucznik Le Marinel, pierwszy przeznaczony na naczelnika stacyi Luluaburg, drugi na towarzysza Wissmanna w dalszych wyprawach, Szwedzki profesor von Schwerin, kapitan parowca „Stanley" Anderson, także Szwed, jego sternik de Latte, Francuz, inżynier Szkot, Walker, i Luksemburczyk p. Stehlemann. Doliczywszy Niemców Wissmanna i dr. Wolfa, naczelnika stacyi, porucznika Batemana, Anglika w służbie belgijskiéj, i osiadłego w pobliżu stacyi kupca Portugalczyka, Carvalho, otrzymamy dokładny obraz międzynarodowego towarzystwa, za pomocą którego wolne państwo Kongo wywiązuje się ze swego zadania cywili-

zacyjnego. „Stanley“ przywiózł także oczekiwane towary. Dnia 28 Maja dr. Wolf na tymże parowcu odpłynął ku północy, p. Wissmann zaś ze swymi oficerami i towarami w pierwszych dniach Czerwca przeprawił się do Luluaburga i przystąpił do uporządkowania politycznych stosunków kraju.

Dotychczasową taktyką jego było: utrzymywać w kraju Lubuku dwa stronnictwa, aby ewentualnie jedném zaszachować drugie. „Naczelnikiem jednego stronnictwa zrobiłem Kalambę, drugiego Czyngenga. Doświadczenie nauczyło mnie, że ta dynamika była zbyteczna. Nie ulegało też z góry wątpliwości, komu należało powierzyć pierwszeństwo. Kalamba był najpotężniejszym, najwięcéj poważanym i najbardziéj do nas przywiązanym z ościennych kacyków, a jeszcze mocniéj sprzyjała nam siostra jego, Sangula-Meta, wielka kapłanka kultu *niamby* (t. j. palenia tytoniu z konopi, to złagodziło obyczaje mieszkańców Lubuku), która wywierała wpływ przeważny na brata swego. Oboje oni dali nam już tyle dowodów wierności, że wszelkie podejrzenie było nieusprawiedliwioném. Nadto następca tronu, Moana, inteligentniejszy od ojca, zdawał się stać zupełnie po naszéj stronie, jakoż w mojéj nieobecności względem Bugslaga zachował się chwalebnie. Rozpocząłem przeto pracę od tego, że ościennych kacyków utwierdziłem we władzy nad 5 do 15 siołami. Każdy z nich otrzymał sztandar gwieździsty wolnego państwa Kongo, wszyscy razem mieli uznawać zwierzchnictwo Kalamby, który się zobowiązał dostarczać nam posiłków na wyprawy, tudzież robotników dla stacyi, utrzymywać drogi w porządku, czółna przy przeprawach przez rzeki, skłaniać ludność do uprawy ryżu i t. d. Celem wykonania tych planów, do 50 ościennych kacyków wysłałem po jednym z moich weteranów od brzegu wschodniego, którym towarzyszyło 4 do 5 żołnierzy Kalamby. Już w dwa dni po wyprawieniu poselstw, zaczęli przybywać do stacyi kacykowie, po większéj części z liczną świtą, przynosząc na znak haraczu to kilka owiec lub kóz, to kość słoniową, to wieprza i t. d. Każdy z nich wypowiadał obawy, które należało rozchwiać, skargi na podwładnych naczelników, którym trzeba było zaradzić, prośby o to i owo. Każdy dumnie powracał do domu ze sztandarem gwieździstym, w różnokolorowym mundurze i z najlepszą wolą stania się członkiem sztabu, którym miał dowodzić Kalamba, jako główny lennik państwa Kongo“.

Tylko trzech kacyków ociągało się, aż im Wissmann zagroził wojną, po czém przybyli do stacyi. Całego tego przewrotu oficer niemiecki dokonał za pomocą 25 do 30 żołnierzy, weteranów od wschodniego brzegu, którzy odbyli z nim dwie pierwsze przeprawy. Układy trwały jednak około 2 miesięcy. Dopiero we Wrześniu na walném

zebraniu kacyków w stoliey Kalamby, Mukendze, liczącéj już przeszło 10,000 mieszkańców, stanęła ostateczna organizacya kraju Lubuku, i to na podstawie następującéj: Wszelkie dawne spory pójdą w niepamięć; kacykowie posiadają wszelką władzę nad swymi poddanymi; opłacać będą Kalambie regularnie, raz na rok, stały, umiarkowany haracz i ewentualnie skargę przeciwko niemu wytoczyć winni przed naczelnikiem stacyi Luluaburga; bez jego pozwolenia nie wolno rozpoczynać wojny; przestępcy, którym grozi kara śmierci, odstawiani będą do stacyi; zakazane ordalie; na wojnę lub do potrzebnych robót Kalamba dostarczy ludzi, w pierwszym razie bezpłatnie, w drugim według ustanowionéj taksy; ceny w całym kraju mają być równe.

Uporządkowawszy w ten sposób sprawy publiczne w kraju Lubuku, który ma się stać głównym punktem oparcia zabiegów cywilizacyjnych na południowéj granicy państwa Kongo, i zdawszy dowództwo nad stacyą Luluaburgiem kapitanowi de Macar, dnia 16-go Listopada p. Wissmann wyruszył na zachód. Karawana jego składała się z porucznika Le Marinela, puszkarza Bugslaga, 17 weteranów Zanzybarczyków, 42 nosicieli od brzegu zachodniego, 38 uwolnionych niewolników, 280 nosicieli plemienia Baszylangów, wreszcie 600 poddanych Kalamby, pomiędzy nimi około 100 kobiet i dzieci, pod dowództwem odważnéj Sanguli-Mety, Kalamby-Moany i kacyka Czyngengi. Licząca przeszło 900 osób karawana rozporządzała 500 karabinami. Gdy Wissmann ostatni wyjeżdżał na byku z bramy Luluaburga, dawny towarzysz, starzec Zanzybarczyk o bielutkim włosie i brodzie, pożegnał go słowami: Deus guarda vossa excellencia!

Przeprawa na wschód z kraju Lubuku do Nyangwy nad górnym Kongo, czyli, jak się nazywa w tych stronach: Lualabą, któréj p. Wissmann w r. 1882 dokonał był śród dosyć pomyślnych warunków, teraz stała się uciążliwą. Aż do tych bowiem ustroni środkowéj Afryki, dotarły już zbójeckie wyprawy Arabów na niewolników, wyludniające kraj i zamieniające kwitnące osady w martwą pustynię.

Już nad rzeką Lubefu, dokąd karawana dotarła 31-go Grudnia, napotkała nieszczęśliwych rozbitków tych okrutnych wypraw arabskich. W obozie Wissmanna stawił się tam potężny niegdyś kacyk plemienia Bassongów, Kassongo, i oświadczył mu, że cały liczny szczep Beneki został wyniszczony. Kassongo w tych stronach przebywał od 2-ch miesięcy, czekając na odwrót napastników arabskich, względnie gotów schronić się w północne lasy odwieczne. Odtąd karawana już nie napotkała na sioła, lecz tylko na koczujące oddziały zdziesiątkowanych przez bandy Tibbu-Tibba Bassongów, którzy, poznając Wissmanna, dzielili z nim swe szczupłe zapasy. W takich oko-

licznościach na nic nie przydały się zabrane towary, gdyż zupełny brak żywności uniemożliwał wszelką zamianę.

W dalszym pochodzie na wschód, karawana dotarła do miejsca, gdzie w czasie pierwszéj wyprawy Wissmanna i Poggego (r. 1888) stało ogromne miasto plemienia Beneki Kafungoi. „Wszystko się zmieniło. Gdzie dawniej witały nas przyjaźnie gęste tłumy mieszkańców pięknego i olbrzymiego miasta, gdzie nam dostarczano wszelkiéj żywności, jakiéj zdolny dostarczać najlepiéj uprawiony kraj afrykański, i gdzie spokojnie i przy okrzykach radości maszerowaliśmy z sioła do sioła, teraz zastaliśmy wyludnioną mordem i pożogą pustynię. Te same potężne lasy, które dawniéj otaczały wielką stolicę plemienia Beneki, przyjęły nas w swe cieniste ramiona. Ale złowroga cisza, zakłócana tylko niekiedy swiergotem ptastwa, zastąpiła dawniéj witające nas okrzyki ludności. Wyręby z obu stron prostych, szerokich dróg, zapełnione przed kilku laty czystemi zagrodami Beneków, teraz pokrywała wysoka trawa, z któréj tu i owdzie sterczał opalony pal, bielejąca czaszka i połamane sprzęty,— ostatnie ślady naszych dawnych przyjaciół. Dokąd się podziało tysiące i tysiące pracowitéj ludności, która, dzięki swéj znacznéj liczbie, zdawała się być zabezpieczoną od napadu? Zgroza i głęboki żal przejęły mię na ten ponury widok i na wspomnienie najpiękniéjszych dni mojéj pierwszéj wyprawy, spędzonych w tych stronach. Opanowało mię gorące oburzenie na zabójczą szajkę chciwych niewolników arabów, sprawców téj strasznéj zmiany.“

Ogniskiem tych łupieżczych wypraw w głąb Afryki jest dobrze znana z opisów Camerona, Stanleya i Wissmanna wielka osada Ngangwa nad górném Kongo. Ztamtąd dwaj możni Arabowie: Hamed bin Mohamed, więcéj znany pod przydomkiem Tibu-Tibb, tudzież Famba, najprzód niby to w celach handlowych, wysłali swe karawany na zachód. Wrzekomy pokojowy cel nabywania niewolników i kości słoniowéj, wskutek okrucieństwa i wyuzdanéj chciwości czarnych siepaczy kupców arabskich, zamienia się nie tylko w krwawą wojnę, lecz także w systematyczne pustoszenie kraju. Kacyk Bassongów, Mona Lupungu, nad rzeką Lomami, był zapłacił haracz wymienionemu arabowi Fambie Za to został napadnięty przez siepaczy Tibbu-Tibba i wyparty na zachód. Gdy doznał przyjaznego przyjęcia u kacyka Kakesy, hordy arabów napadły i tego i obu kacyków Bassongów ścigały, rabując i mordując aż do kraju Beneki. Ci, ilekroć wreszcie opuściły ich okolice, powracali do swych zagród, odbudowywali chaty i uprawiali rolę. Ilekroć jednak żniwo dojrzewało, łupiepieżcy pojawiali się ponownie, mordując najodważniejszych, zabierając żony i dzieci, a resztę

wypierając do lasów. Skutkiem tych nieustannych napadów było zupełne wyludnienie kraju, głód, dżuma i ospa.

Przebywszy 3 Stycznia r. 1887 rzękę Lubefu (mniejwięcéj $5^3/_4{}^0$ południ. szerokości a $24\frac{1}{2}{}^0$ wschodniéj długości), celem dotarcia do okolic mniéj wyludnionych i spustoszonych, Wissmaan zboczył od pustéj drogi na wschód i, maszerując w kierunku południowym, d. 6-go Stycznia dotarł do obozu wymienionych kacyków Kakesy i Lupungu, którzy schronili się przed siepaczami Arabów. W obozie znajdowało się kilka tysięcy ludzi, prawie wyłącznie mężczyzn, z których 300 uzbrojonych w karabiny, reszta w dzidy i łuki. Jednak na zapytanie Wissmanna, czy z nim razem wystąpili-by do walki z hordami Tibbu-Tibba, oddalonemi o dwa marsze dzienne, obaj kacykowie odpowiedzieli przecząco, nie przypuszczając zresztą, aby biali ludzie na prawdę zamierzali walczyć z Arabami. Zaopatrzywszy się w obozie Kakesy w żywność, karawana Wissmanna w północno-wschodnim kierunku zdążała do dawnéj drogi z r. 1882, i dotarłszy do niéj 12 Stycznia, szła dalej wzdłuż rzeki Lukango prosto na wschód. Dnia 15 Stycznia Wissmann zbliżył się do obozu Arabów.

Wojskiem Tibbu-Tibba, złożoném 500 Zanzybarczyków i niewolników od brzegu, tudzież kilku tysięcy ludożerczych Kalebuów, którzy z nienawiści do swych zachodnich sąsiadów i z żądzy łupu połączyli się z Arabami, dowodził młody Said, mieszaniec krwi arabskiéj i murzyńskiéj. „Z kilku towarzyszami, odzianymi również w białe koszule, Said wyszedł naprzeciwko mnie i z ową grzecznością, któréj Arab nie wyrzeka się, aż się chwyci broni, przyrzekł mi uczynić zadość wszystkim moim życzeniom. Said wyglądał na młodego chłopca. Towarzysze jego byli równie grzeczni i skromni, gdyż nie wiedzieli jeszcze, jakiemi rozporządzam siłami i pragnęli zbadać powód mego przybycia.“ Gdy obaj usiedli przed domem zbiegłego kacyka Lupungu, Said w narzeczu Suahelów (używaném na brzegu wschodnim) tłómaczył Wissmannowi powody wojny. Twierdził, że Lupungu, uznawszy poprzednio zwierzchnictwo Tibbu-Tibba, następnie wszedł w związki handlowe z Fambą, wysłańcom Tibbu-Tibba kazał ściąć głowy i oddał ich swym ludożercom na strawę. Dlatego Tibbu-Tibb postanowił ukarać krnąbrnego kacyka. Said jednak wahał się, czy go ścigać daléj na zachód, proponował Wissmannowi spólną wyprawę, a tymczasem ćwiczył się w strzelaniu do więźniów, których trupy rozdzielali ludożerczy Kalebuowie.

Wśród wzmagającego się niedostatku żywności i nieustannych deszczów, karawana Wissmanna 23 Stycznia stanęła nad rzęką Lomami, przez którą przeprawiła się na czółnach, aby odtąd w północnym kierunku spieszyć do Nyangwy. Tutaj Wissmann, za pomocą

weksli, zamierzał zaopatrzyć się przeważnie w towary, aby ewentualnie zbadać górny bieg Kongo, czyli, jak się ta rzeka nazywa na południe Nyangwy, Lualaby. W drodze jednak dowiedział się, że kilka miesięcy przedtém wywiązała się walka pomiędzy władzami państwa Kongo a Tibbu-Tibbem, którego synowiec zdobył i spalił stacyę Stanley-Falls. Położenie Wissmanna, maszerującego pod gwieździstym sztandarem państwa Kongo, stawało się zatém bardzo trudném, zwłaszcza, że niebawem dowiedział się, że sam Tibbu-Tibb, z którym się zaprzyjaźnił na pierwszéj wyprawie, odjechał do Zanzybaru, a drugi magnat arabski, Famba, na którego poparcie najwięcéj liczył, złożony ciężką chorobą. W tak niepomyślnych okolicznościach, dnia 15 Lutego karawana Wissmanna, przebywszy na czółnach Kongo, stanęła w wielkiéj osadzie Nyangwie.

Nazajutrz odwiedził go gubernator tych okolic, syn Tibbu-Tibba z murzynki—Zefu. „W poczuciu swéj przemocy,—opowiada Wissmann—namiętny ten młodzieniec traktował mnie tak, że było bardzo trudno zachować zimną krew. Rozpoczęła się formalna indagacya o powody i cele naszej podróży. Zefu i młodzi jego towarzysze wyszydzali trochę ociężałe ruchy uczciwego marynarza, Bugslaga, i w dobrze nam zrozumiałém narzeczu Suahelów krytykowali ubiór Le Marinela i mój. Wreszcie zawołano znanego tutaj z pierwszéj méj podróży służącego mego, Sankurru, i zapytano, czy powiedzieliśmy prawdę lub kłamstwo? Słowem, całe to obejście było do żywego obrażające, zwłaszcza gdy się zważy zwykłą ceremonialną grzeczność Arabów. Następnie Zefu ze wszystkiemi szczegółami opowiedział nam napad na stacyę Stanley-Falls i wskazał na jednego ze swych towarzyszy, który w téj potyczce zastrzelił Europejczyka“. Arabowie postanowili zatrzymać Wissmanna, jako zakładnika. Że zaś w danych okolicznościach nie było podobieństwem podjąć się z wycieńczoną karawaną dalszych wypraw, Wissman, uprzedzając niejako zamysły Arabów, uwiadomił, że z Bugslagiem i kilku towarzyszami pozostanie w Nyangwie, byle mógł odesłać Baszylangów do domu. Zakupiwszy zatem od Famby towarów i pereł (zastępujących w środkowéj Afryce pieniądze), dnia 21 Lutego swój oddział pod dowództwem porucznika Marinela wyprawił do domu, dokąd ten szczęśliwie dotarł już 18-go Kwietnia.

Tymczasem Wissmann od Famby dowiedział się owych szczegółów o potyczce pod Stanley-Falls, lecz także o wzburzeniu na wschodnim brzegu, mianowicie o zastrzeleniu kupca Gieseckego w Taborze przez Araba, znajdującego się teraz w orszaku Tibbu-Tibba. Syn i zastępca tegoż, Zefu, rezydował w pobliskiém Kassongo. Tam udał się Wissmann 26 Lutego i dzięki hojnym podarunkom umiał o tyle wpłynąć na Arabów, że, chociaż nie pozwolono mu udać się ani w górę Kongo, ani

do Stanley-Falls ku północy, jednak nie sprzeciwiano się już odjazdowi jego do brzegu wschodniego. W Kassongo poznał Wissmann także owego Araba Mohameda bin Kassima, który w Taborze zastrzelił kupca niemieckiego, Gieseckego; w r. 1890, jako wódz naczelny we wschodnio-afrykańskiéj kolonii, Wissmann Kassima kazał powiesić w Saadami.

Z Bugslagiem, 10 sługami z Anglii, i 20 wyzwolonymi niewolnikami Balubów, dnia 7 Marca wyruszył z Nyangwy na wschód i, maszerując zwykłym szlakiem karawan, 7 Kwietnia przybył do jeziora Tanganiki. Na téj przeprawie nieustannie spotykał karawany, wiozące broń i naboje od brzegu wschodniego w głąb Afryki, tudzież wracające z tamtąd z trochą kości słoniowéj a setkami niewolników, po 10 lub 20 skrępowanych łańcuchami, niewiasty i dzieci powrozami. „Trudno opisać nędzny stan „czarnego towaru“. Ramiona i łydki prawie bezmięsne, zapadły brzuch pokryty zmarszczkami, oko przygasłe, głowa schylona, — tak wloką się w nieznaną przyszłość na wschód i ciągle na wschód, coraz daléj od kraju rodzinnego, oddaleni od żony i dzieci, od ojca i matki, którzy może zdołali uciec w lasy, może polegli w walce. Straszliwy obraz w obozie takim, wieczorem, przy rozdzielaniu pokarmu.... Zaledwo czwarta część tych nędzarzy dociera do lądu, gdzie ich czeka albo export, albo ciężka praca na plantacyach nadbrzeżnych. Wielkie osady arabskie w Taborze i Udżyży pochłaniają bardzo znaczną ilość niewolników, zwłaszcza Udżyże z powodu niezdrowego klimatu; robotnik tam zwykle nie przeżyje roku„ *).

W angielskiéj missyi na wysepce Kawaki, wśród jeziora Tanganiki, p. Wissmann doznał gościnnego przyjęcia. Tu od przełożonego p. Horna dowiedział się, że na brzegu wschodnim przygotowują się rozruchy. P. Horn winę składał na świeżo utworzoną niemiecką kompanię, któréj urzędnicy, tak wobec Arabów, jako też wobec tubylców, postępują sobie samowolnie i szorstko, nie posiadając dostatecznéj siły, aby śród nich obudzić trwogę; Arabowie zwłaszcza do żywego oburzeni, że sułtan Zanzybaru odstąpił Niemcom część kraju, i dlatego zamierzają wypowiedzieć mu posłuszeństwo; także potyczka pod Stanley-Falls przyczyniła się do pogorszenia opinii o Europejczykach; głównem ogniskiem wzburzenia jest Tabora (główna stacya na szlaku, wiodącym od jeziora Tanganiki do wschodniego brzegu), gdzie, jak

*) Porównać list misyonarza Vinckego z r. 1888, ogłoszony w „Bibliotece Warsz.“ tom 199, str. 341 w mojéj rozprawie: „Niemcy i Anglia w Afryce wschodniéj“.

Wissman dowiedział się już w Nyangwie, poniósł śmierć kupiec niemiecki.

Tak ostrzeżony, podróżnik niemiecki postanowił dążyć do brzegu we wschodnio południowym kierunku. Na najętém w Udżyży czółnie, pozostawiwszy w Kawalli wyzwolonych Balubów, od 15 do 19 Kwietnia z Bugslagiem, 10 murzynami z Angoli i 4 kobietami, przeprawił się przez jezioro Tanganikę, zwiedziwszy w drodze stacyę katolicką Mpale, gdzie go przyjęli gościnnie ojcowie Landeau i Moinit, tudzież kapitan belgijski Joubert. Wystarawszy się o nosicieli, dnia 10 Maja Wissmann z swą szczupłą karawaną, tak zwaną drogą Stephensona, która teraz tworzy południową granicę strefy niemieckiéj od angielskiéj, wyruszył ku jezioru Nyassy, do którego przybył 3 Czerwca, przyjęty uprzejmie na stacyi angielskiéj „African Lakes Compagnie“ w pobliżu sioła kacyka Karangi.

Tu wypadło czekać na parowiec wymienionéj kompanii „Ilalę“. Przybył on dopiero 11 Lipca, i w dwa dni potém Wissmann z towarzyszami odpłynął na południe. Jezioro Nyassa, tak pod względem konfiguracyi, jako też stosunków meteorologicznych, przedstawia uderzające podobieństwo z Tanganiką. I tu zrywają się gwałtowne burze. Liczne skały i mielizny żeglugę na Nyassie wielce utrudniają. Czysta i słodka woda jeziora, jak stwierdzili misyonarze angielscy przez 12 lat, corocznie opada o 0.9 stóp angielskich; nie sprawdzono tylko jeszcze, czy tak samo, jak powierzchnia Tanganigi, po pewnym czasie znowu się podnosi? Brzegi Nyassy są gęsto zaludnione, w niektórych miejscach roją się od zwierzyny. Na zachodnim brzegu jeziora znajdują się wielkie osady arabskich handlarzy niewolników. W zamian za broń, naboje, perły i towary, od dzikiego plemienia Wawembów otrzymują niewolników, których wywożą do Kilwy i Lindi, osad na brzegu wschodnim Afryki w strefie niemieckiéj.

Z trzech stacyi misyi angielskich, założonych na brzegach Nyassy, najstarszą jest Livingstonia, na południowym brzegu, dokąd „Ilala“ dotarła 25 Lipca, przebywszy 65 mil niemieckich. Następnego dnia parowiec Wissmana wpłynął do rzeki Szyre, łączącéj jezioro Nyassę z Zambezą, a zatém też z oceanem indyjskim. Jednakże już przy osadzie Mutope, dokąd „Ilala“ przybyła 28 Lipca, ogromne wodospady przecinają żeglugę na Szyre. Następnego dnia, lądem, Wissmann dotarł do wielkiéj stacyi angielskiéj „Kompanii jezior„ Mandali. Z pobliską stacyą Blantyrą Mandala tworzy w tych stronach główną podstawę wpływu angielskiego. W rok po przeprawie Wissmana przez tę okolicę, wybuchnął tam zatarg pomiędzy Anglikami a Portugalczykami, dotąd nieuśmierzony. Nie dziw jednak, że Anglicy, chociaż na południowym brzegu Nyassy rozgościli się

dopiero od lat 20, już wypierają Portugalczyków, panujących nominalnie nad tą strefą od 4 wieków, ale gnuśnych i nieudolnych w rzeczywistém utwierdzeniu swéj władzy. Wissman obie te stacye angielskie zastał w stanie kwitnącym. „Szerokie drogi o śladach kół, aleje o wysokich, cienistych drzewach, liczne, na sposób europejski z cegieł wystawione, zgrabne dwory, o szybach szklanych w oknach, otoczone ogrodami, pola o europejskiém zbożu, i wiele cennych rzeczy sprawiło na mnie wrażenie, jak gdybym nagle ze sfery dzikiéj był zawitał do Europy. Dwie wymienione osady są najpiękniéj rozwinięte, jakie widziałem na kontynencie afrykańskim. Znaczny zastęp kupców, misyonarzy, nauczycieli, rzemieślników, pięć pań, wszystko rodowici Szkoci, tworzyło imponującą, jak na tamtejsze stosunki, kolonię, a czerstwością ciała świadczyli o zdrowym klimacie. W stacyi misyi (Blantyrze) uprawiają przeważnie zboże, warzywa i kwiaty, jako też zajmują się chowem bydła; w Mandali zajęto się przedewszystkiém uprawą kawy i sprowadzono wszystkie potrzebne do czyszczenia ziarna przyrządy. Prawda, że obie stacye rozporządzają znacznemi kapitałami, przeznaczonemi na cele dobroczynne, a nie na uzyskanie wysokich procentów; to tłómaczy komfort, a nawet zbytek, jakim się odznaczają obie stacye“.

Otrzymawszy od pewnego kupca holenderskiego czółno, Wissmann ze swoimi towarzyszami 22 Lipca opuścił Mandalę, i poniżéj wodospadów odpłynął po Szyre w kierunku południowym, żywiąc się zabranemi ze stacyi angielskiéj kartoflami, chlebem i cebulą, tudzież zwierzyną, ubitą w drodze. Dnia 28 podróżnik niemiecki zatrzymał się w pierwszéj stacyi portugalskiéj, którą dowodził porucznik Cardoso. Cała zresztą załoga składała się z jednego żołnierza, przydanego komendantowi do usług osobistych! Obdarzony przez gościnnego Portugalczyka kilku butelkami wina, dnia 31 Lipca Wissmann wpłynął do ogromnéj rzeki Zambezy. Dnia 2 Sierpnia odwiedził wzniesioną na brzegu rzeki starożytną warownię portugalską Chupangę, gdzie go przyjął uprzejmie komendant Alferez Machado Leal. W pobliżu warowni skromny krzyż zdobi grób zmarłéj żony sławnego misyonarza i podróżnika, Livingstona. Wreszcie, płynąc północną odnogą Zambezy, Kwakwą, dnia 8 Sierpnia p. Wissmann przybył do portu Kwilimany, skąd przez Mozambik odpłynął do Zanzybaru. Tutaj dopiero dowiedział się o szczegółach założenia niemieckiéj kolonii na wschodnim brzegu, ale zarazem o wzmagającém się wzburzeniu śród Arabów, które w r. 1890 miał stłumić jako komisarz cesarski i wódz naczelny zwerbowanéj pomiędzy Sudańczykami milicyi.

Pogromca powstania w Afryce wschodniéj nie otrzymał, jak powszechnie przewidywano, godności generalnego-gubernatora wschodniéj

afrykańskiéj kolonii niemieckiéj. Godność tę od 1 Kwietnia r. b. piastuje baron Soden, były gubernator Kamerunu. Major Wissmann, b. gubernator egipskiéj prowincyi niemieckiéj basza Emin, tudzież właściwy założyciel kolonii niemieckiéj dr Peters, który świeżo wydał ciekawy opis swéj przeprawy od brzegu wschodniego do Ugandy *), pod naczelném kierownictwem generalnego gubernatora Sodena działać będą samodzielnie, każdy na innym punkcie ogromnie rozległéj strefy, którą traktat angielsko-niemiecki z 1 Lipca przyznał Niemcom.

Tymczasem jednak major Wissmann za trzymiesięcznym urlopem powrócił do Europy, aby odpocząć po trudach wojennych, a zarazem wykończyć czwarte z rzędu dzieło, zawierające już nie wrażenia z przeprawy przez Afrykę, lecz opis operacyi wojennych w kolonii niemieckiéj. P. Wissmann nie jest tak zagorzałym szowinistą teutońskim, jak np. dr Peters, jednak ostatni okres swéj działalności w Afryce uważa jako najświetniejszy. Jako Niemcowi i z zawodu wojskowemu, nie weźmiemy mu tego za złe. Co do nas, wyżéj cenimy jego trzy pierwsze wyprawy, podjęte w celach pokojowych i cywilizacyjnych. Opis trzeciéj, którą powyżéj streściliśmy, jest wprawdzie może pobieżniejszy od dwóch pierwszych dzieł Wissmanna, jednak zawiera mnóstwo pouczających szczegółów i trafnych spostrzeżeń. Dzięki tym wyprawom i opisom Wissmanna, ta rozległa przestrzeń pomiędzy górnym Kassajem a górnym Kongo, pomiędzy 5-ym a 6-ym stopniem południowéj szerokości, która przed 10-ciu laty na kartach Afryki tworzyła wielką białą plamę, teraz należy do najdokładniéj zbadanych stref równikowéj Afryki. Droga z Lubuku do Nyangwy, którą pierwszy odkrył w r. 1887 Wissmann i którą ponownie przeprawił się w r. 1887, jest teraz powszechnie znanym szlakiem. Niestety, tymże szlakiem od wschodu, od Nyangwy, coraz brutalniéj posuwa się ku zachodowi ohydna zbrodnia łowów na niewolników, śród mordów, pożogi i dżumy.

E. Lipnicki.

---

*) „Die deutsche Emin Pascha's Expedition", Monachium, 1891 r., 560 stron. z rycinami.

Pier di Nolhac e Angelo Solerti Il viaggio ni Italia di Enrico III, e le feste a Venezia, Ferrara, Mantova e Torino. Roma 1890. Editori L. Roux et C-ie.

Cała książka poświęcona opisowi ośmiotygodniowego pobytu Henryka Walezyusza w północnych Włoszech, zatém chyba nie grzeszy niedokładnością, gdyż autorowie z mrówczą pracowitością i sumiennością, godną może poważniejszego przedmiotu, pozbierali wszystko do najdrobniejszych szczegółów, co dotyczyło podróży Walezego w r. 1574 przez Wenecyę, Padwę, Ferrarę, Turyn, aż do granicy francuskiéj. Wygląda to trochę na reporterkę dzisiejszą, na uganianie się dzisiejszych dziennikarzy *minorum gentium* za głowami koronowanemi podczas wielkich uroczystości, robi wrażenie jakby obszernych korespondencyi, a w rzeczy saméj jest dowodem pewnego amatorstwa w spisywaniu drobnych szczegółików, odnoszących się do postaci, bądź co bądź, historycznéj. Nas książka rzeczona dlatego interesuje, że bohaterem tych uroczystości włoskich jest rozpieszczony i rozbawiawiony młodzieniaszek, który uciekł w nocy z zamku krakowskiego, kiedy się dowiedział, że na niego spadła korona francuska! Takim téż zepsutym młodzieńcem, chcącym przedewszystkiém się bawić, przedstawia się nam w ciągu tych wszystkich festynów, takim przedstawia się na portrecie Jakóba Robusti (Tintoretta), malowanym z natury podczas pobytu w Wenecyi, a zawieszonym w pałacu Dożów (w sali degli Stucchi). Szczupły, dwudziestodwuletni brunet, z początkami zarostu nad ustami i na brodzie, z twarzą bez powagi i bez charakteru, mieszanina Włocha (po matce Katarzynie Medycejskiéj) i Francuza, Henryk sprawia niesympatyczne wrażenie młodzieńca, niedojrzałego do tronu, hulaki, pojmującego życie jako nieustanną rozrywkę, nadewszystko zaś niestworzonego do dźwigania polskiego berła. Bardzo wyraźnie zaznaczył to współczesny świadek, następującemi słowy mówiąc o nim: „Król, acz przychodził do senatu, nieumiejący innego języka, prócz swego i cokolwiek po włosku, siedział jak niemy, niecierpliwy, by wyjść coprędzéj. Całe zaś noce trawił bezsennie, już to na biesiadach, już grając w karty, gdyż karty nadzwyczajnie lubił. Nie smakował on w społeczeństwie Polaków i troskliwie ich unikał, tak dalece, iż, gdy król z Francuzami swymi używał krotofil w pokojach swoich, senatorowie polscy, nieprzypuszczeni, dnie całe w przysionkach bawili". (Zbiór pamiętników historycznych J. U. Niemcewicza t. I Warszawa 1822 roku).

Zbyt znanemi są opisy ucieczki Henryka, abyśmy nad nią zatrzymywać się mieli. Autorowie nie dorzucają téż nowych szczegółów,

ale idą za opowiadaniem de Noailles'a. (Marqui de Noailles: Henri de Valois et la Pologne en 1572. Paris 1867), oraz za późniejszemi od pobytu Henryka relacyami Nicolo Lucangelego (Successi del viaggio d'Henrico III) i Pietro Buccio (Le coronationi di Polonia et di Francia del Christianiss. Re Henrico III).

Rzeczywista praca autorów rozpoczyna się z chwilą, kiedy Henryk wstąpił na ziemię włoską. Biblioteki weneckie, archiwa włoskie, paryska Biblioteka Narodowa, wszystko to przetrzęsioném zostało starannie, jak świadczy dołączony do książki bibliograficzny spis 17 rękopisów i 86 dzieł łacińskich i francuskich, z których czerpali.

Rzplta wenecka i Francya były w związkach przyjaźni. Obiedwie miały wspólny interes wobec wzrastającéj ciągle potęgi Hiszpanii, zresztą stanowisko Francyi już wtedy, przed Ludwikiem XIV, było tego rodzaju, że ambasador dworu paryskiego miał pierwszy krok przed innymi posłami, z wyjątkiem legata papieskiego. Królowa matka była Włoszką, dość więc było powodów, aby wystąpić z nader uroczystém przyjęciem. Zresztą Wenecya nigdy nie pryjmowała królów francuskich, choć oglądała papieży i cesarzy niemieckich. Z swojéj znowu strony Henryk słyszał tyle o Królowéj mórz, o jéj wspaniałości, bogactwach, o pałacach, że ciekawość jego musiała być mocno zaostrzoną. Zatém Senat (Signoria) postanowił wystąpić po królewsku. Znać w tém sadzeniu się na bogaty i wspaniały występ spanoszonych kupców weneckich, dla których rozwinięcie nadzwyczajnego przepychu było punktem honoru. Tymczasem ambasador francuski w Wenecyi starał się pospiesznie o pożyczkę dwóch kroć stu tysięcy skudów dla swego młodego monarchy, spotykał się wszędzie z odmową, i u bogatych bankierów włoskich, i u książąt, nie bardzo ufających w przyszłość królewicza, wracającego do ojczyzny, zamieszanéj przez wojny religijne.

Ośmnastego Lipca 1574 r. Henryk wjechał tyumfalnie do Wenecyi, na Bucentaurze, otoczony gondolami i okrętami, z kilku książętami włoskimi, z Dożą, kardynałem San Sisto i z orszakiem swoim, wśród salw armatnich, przez łuki tryumfalne, powitany mowami, śpiewami i t. d. Odtąd nie ubiegł ani jeden dzień bez biesiad, uroczystości, przedstawień, — co noc młody Henryk z księciem Ferrary potajemnie wymykali się gondolą, aby użyć swobody i uciech w *belle cortigione*, które także zdaje się były jedną z osobliwych specyalności Wenecyi. Wspomina o tych wybrykach młodego monarchy nawet Torquato Tasso, który bawił naówczas w Wenecyi. Nie brakło także i balów, gdzie patrycyat wenecki zaprodukował najpiękniejsze tancerki i tancerzy swoich, tak, że wśród nieustających zabaw Henryk spędził całe dziesięć dni. Nie tak wspaniałe, ale świetne zawsze przyjęcie

czekało króla w stolicy książąt d'Este, w Ferrarze, u książąt Gonzagów w Mantui. Tutaj podziwiał konie, słynne naówczas w całéj Europie, tutaj dogonił go kuryer z Paryża z wezwaniem od Królowéj matki do szybszego powrotu. W granice Sabaudyi wkroczył 12 Sierpnia, przyjęty był w Turynie przez księcia Karola Emanuela, pożegnawszy się poprzednio z ks. Ferrary (Alfonsem d'Este) który marzył o koronie polskiéj i w tym celu pilnie chodził około króla.

W Lyonie Henryk spotkał się z matką. Dlaczego tak gwałtownie uciekał z Polski, kiedy w samych Włoszech zapomniał o pośpiechu i strawił całe dwa miesiące na zabawach—z tego przed nią zapewne wytłómaczyć się nie potrafił. Wierzymy, że opuszczał Włochy z żalem, że się nudził na zamku krakowskim. Jemu potrzeba było przedewszystkiem rozrywek, a tych użył do syta na klasycznéj włoskiéj ziemi. Ten wzgląd, więcéj niż jakikolwiek inny, tłómaczy nam jego tak pospieszną i śmieszną ucieczkę.

A. Darowski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dzień 28 Czerwca 1891 roku zapisał się w historyi, jako data odnowienia potrójnego przymierza. Pogłoski, obiegające od pewnego czasu o tym przedmiocie, sprawdziły się prędzéj, niż przypuszczali ich rozpowszechniacze. 28-go Czerwca, w niedzielę, monarchowie Niemiec, Austryi i Włoch podpisali teksty układów traktatowych, a nazajutrz Europa dowiedziała się o wydarzeniu. Nie potrzebujemy rozwodzić się szeroko nad jego doniosłością. Im gdzie bardziéj spodziewano się, że się potrójne przymierze rozpadnie, tém większe tam wrażenie sprawiła wiadomość, że ma nadal byt zapewniony. Dla Francuzów była ona do tego stopnia nieoczekiwaną, że jeszcze w pamiętną niedzielę i następujący po niéj poniedziałek, dzienniki paryskie gorąco wychwalały opozycyę włoską za jéj opór przeciwko trójprzymierzu i zachęcały ją do dalszéj walki, nie tając, że oczekują po niéj dobrych owoców; jakoż liczyły one, że letnia kampania opozycyi włoskiéj będzie tak energiczną i gwałtowną (upoważniały do takich przypuszczeń hałaśliwe skandale w parlamencie rzymskim podczas rozpraw nad polityką zagraniczną), że Rudini zawaha się w swoich postanowieniach i nie odważy się przymierza odnowić. To téż, gdy we wtorek rano depesze przyniosły wiadomość o fakcie dokonanym, prasa poprostu straciła miarę sądu o położeniu politycznem. Wiele najpoważniejszych dzienników, w téj liczbie *Journal des Débats*, nie zdobyły się dotychczas ani na jedno słowo komentarza do niespodziewanéj wieści. Czekają, aż się wzrok oswoi z mrokiem, który zapadł.

Zakłopotania prasy francuskiéj nie podziela naturalnie prasa mocarstw sprzymierzonych. U téj owszém zaczęło się święto. Przymierze potrójne wzrasta w jéj oczach do wymiarów poczwórnego, ponieważ Anglia zupełnie się z niém solidaryzuje. W chwili, kiedy to piszemy, cesarz Wilhelm bawi właśnie w Windsorze i doznaje serdecznego przyjęcia. W Berlinie, Wiedniu, Rzymie i Londynie wszystkie kola polityczne i prasowe, z wyjątkiem nielicznych odłamów opozycyi skrajnéj, śpiewają tę samą pieśń radosną. Wychwalaniu blogich następstw odnowionego sojuszu niéma końca. Ono-to jest gwarancyą pokoju, ono chroni Europę od wybuchu, który jéj grozi, zaczajony w tysiącach luf armatnich. Nie można się zresztą dziwić, że opinia publiczna w państwach sprzymierzonych radośnie odczuła nowinę. Wie ona, jakie korzyści zapewnia przymierze potrójne, nie wie, co było-by, gdyby się rozpadło. Prawda, że pokój obecny jest pokojem zbrojnym, uciążliwym i kosztownym; ale sprzymierzeni zawdzięczają mu bezpieczeństwo. Ta liga czterech państw, toć to potęga nie lada, któréj bez koniecznego powodu nikt nie zaczepi, a bez wielkiego chyba wysiłku nikt nie pokona. Czy i z wysiłkiem zdołał-by ją kto pokonać, niewiadomo. To poczucie bezpieczeństwa sprawia interesowanym taką przyjemność, że wobec niéj milknie nawet żal po milionach, wydawanych co rok na uzbrojenia. Skoro zaś zapowiadane z wielu stron rozpadnięcie się trójprzymierza stawiało-by sprzymierzonych w nowéj zupełnie a zagadkowéj co do następstw sytuacyi, łatwo zrozumieć, że po odnowieniu sojuszu odetchnęli swobodnie, jakby im spadł z serca kamień.

Oczywiście jednak to poczucie ulgi ma za podstawę tylko porównanie jednego zła z drugiém, wiadomego z niewiadoméw. Rozważane albowiem samo w sobie, położenie Europy przez odnowienie przymierza potrójnego w niczém się nie polepszyło. Przedłużono sojusz w przewidywaniu wojny, ta więc nie przestanie wisieć w powietrzu. Będą szły daléj uzbrojenia, będzie po dawnemu panowała niepewność ogólna. Prasa petersburska jest zdania, że w następstwie odnowienia trójprzymierza przyjść musi do zawarcia przymierza stanowczego między Rossyą i Francyą. Jakoż przeciwieństwo dwóch wielkich politycznych obozów, na które podzielona jest Europa, zaostrza się dziś bardziéj, niż kiedykolwiek, nie budząc bynajmniéj otuchy, że nowe pięciolecie sojuszu dobiegnie do końca bez katastrofy wojennéj. Sprzymierzeni ubezpieczyli się właśnie na ten wypadek, przewidując możliwość wybuchu. Czy i jak zespolą swoje siły ku obronie Francya i Rossya, to się z czasem pokaże. W każdym razie stosunek tych ostatnich państw do siebie musi teraz uledz ostatecznéj regulacyi, i albo przymierze między niemi jest wogóle niemożliwe, albo obecnie zostanie zawarte.

Rozprawy budżetowe w austryackiéj radzie państwa przyniosły tryumf polityce hr. Taaffego. Z wygłoszonych mów pokazało się, że marzona przez niego kombinacya rządów z lewicą, jak się zdawało, już poważnie zachwiana, może przyjść i przychodzi do skutku. Lewica nie połączyła się wprawdzie w zwartą całość z innemi stronnictwami; było to niemożliwe, bo wszystkie one w téj niepewnéj i trudnéj sesyi starały się nie pozbywać swobody ruchów, co-by je na przyszłość krępowało. Przy zachowaniu jednak téj swobody, lewica ujawniła gotowość wspólnego działania z kołem polskiém, przy współudziale drobnych umiarkowanych klubów prawicy. Możliwość współdziałania lewicy z kołem polskiém oparła się na kilku wspólnych obu tym klubom zasadach programu. Mówcy liberalni stwierdzili, że lewica jest tak samo „stronnictwem państwowém“, jak koło galicyjskie, że ona i koło obstają przy dualizmie, że mają wspólne poglądy na politykę zagraniczną, że wreszcie i w stosunkach wewnętrznych łączy ich wiele poglądów, zaczynając od tego, że i lewica, i koło przeciwne są zaprowadzeniu szkół wyznaniowych. Mówcy koła potwierdzili to wszystko mniéj więcéj wyraźnie i oświadczyli gotowość wspólnéj pracy „ze wszystkiemi stronnictwami, które oddadzą kołu poparcie za poparcie.“ Powiedziano sobie wiele wzajemnych grzeczności, na jesieni zaś ma przyjść do zmian w gabinecie, które dadzą niejako wyraźną sankcyę dokonanemu zwrotowi, a zarazem przyczynić się mogą do zacieśnienia łączności między grupami, które wspólnie mają rządzić, ale dziś jeszcze niczém nie są z sobą związane, prócz tego, że nie mają do siebie uprzedzeń, że gotowe są wspólnie pracować i że spodziewają się stąd dla siebie korzyści.

Interesującym epizodem tych rozpraw była mowa posła młodoczeskiego, Waszatego, który w długim wywodzie starał się przekonać swoich słuchaczy, że trójprzymierze jest dla Austryi szkodliwe, że powinna ona zerwać z Niemcami a zbliżyć się do Rossyi, i że dopóki to zbliżenie nie nastąpi, słowianom austryackim nie będzie się dobrze działo. Mowa ta była tak niespodziewana, że wprawiła w kłopot nawet klub młodoczeski. To téż po chwili deputowany Tischler oświadczył imieniem klubu, że Waszaty przemawiał we własném tylko imieniu, skąd wypadało, że młodoczesi z poglądami jego nie solidaryzują się.

Wkrótce dzienniki doniosły, że Waszaty otrzymał od klubu naganę za wyrwanie się samopas z mową drażliwéj treści politycznéj, a nawet że ma być wydalony z klubu. I nie wiadomo, coby się było stało, gdyby nie to, że ujęła się energicznie za Waszatym prasa petersburska, poddając surowéj krytyce zachowanie się klubu wogóle, a Tischlera w szczególności. Pytała ona, dlaczego klub wyparł się

Waszatego, gdy ten przemawiał w duchu wyznawanych dawniéj przez młodoczechów zasad? Czy się już tych zasad wyparli, albo może już utracili odwagę wyznawania ich. Jeśli tak, to naród czeski, który stoi po stronie Rossyi, odmówi im wkrótce zaufania, jak go niedawno odmówił staroczechom.

W ten sposób monitowany, klub młodoczeski nietylko wstrzymał się od wydalenia ze swego łona Waszatego, ale ogłosił w dziennikach deklaracyę, że wszelkie doniesienia, jakoby między członkami klubu panowały jakieś nieporozumienia, pozbawione są podstawy; wszyscy posłowie młodoczescy są z sobą we wszystkiém jednomyślni.

Ratowało to Waszatego, ale nie poprawiło w opinii dzienników petersburskich zachwianéj reputacyi klubu. *Nowoje Wremia* powtórnie wówczas bierze pod krytykę jego postępowanie. Klub, według tego pisma, cofnął się, bo naród czeski stoi za Waszatym i wreszcie trzeba było naprawić złe wrażenie, sprawione w Rossyi przez deklaracyę Tischlera. Prócz tego pozostanie faktem, że klub dwa razy kłam sobie zadał i że sam nie wie, czego chce. Potępiając w parlamencie Waszatego, klub skłamał swoim dawniejszym zasadom, w imię których został wybrany; deklarując się później solidarnym z Waszatym, klub znowu zaparł się owego potępienia. Kiedy był szczery, a kiedy udawał? *Nowoje Wremia* nie wie. W rezultacie wystąpienie Waszatego przyczyniło się do skompromitowania klubu młodoczechów, nietylko w oczach wielu stronnictw austryackich, ale, przez towarzyszące mu okoliczności, i w opinii prasy petersburskiéj. Pierwszą kompromitacyę młodoczesi znieśli-by zapewne z poddaniem się; druga jednak zabolała ich, gdyż o życzliwość opinii publicznéj w Rossyi bardzo dbają. To też *Narodni Listy* starają się, jak mogą, naprawić złe wrażenie postępków klubu młodoczeskiego na publicystach petersburskich. Deklaracya Tischlera, powiada to pismo, dotyczyła nie zasad ogólnych, bo z temi wszyscy młodoczesi zgadzają się, ale niektórych zdań poszczególnych. Jakich? — pyta *Nowoje Wremia*. Na pytanie to zresztą nie spodziewa się ono odpowiedzi, uważając z góry wyjaśnienie *Narodnich Listów* za prosty wykręt.

Co właściwie kryje się za tą dwukrotną zmianą pozycyi przez klub młodoczeski? Podobno w istocie jest on podzielony na trzy grupy, które walczą o uzyskanie przeważnego wpływu; ale żadna go dotąd nie osiągnęła. W deklaracyi Tischlera odezwało się echo dążeń tych członków klubu, którzy chcieli-by niejako upraktycznić jego politykę, przystosować ją do okoliczności, uczynić z młodoczechów stronnictwo parlamentarne, z którém-by się liczył rząd i inne frakcye bardziéj, a zwłaszcza inaczéj, niż to się obecnie dzieje. W późniejszém

stwierdzeniu solidarności wszystkich członków klubu między sobą znać było znowu wpływ innego jego odłamu. Posłowie młodoczescy widocznie nie zdołali sobie jeszcze należycie sformułować programu taktyki parlamentarnéj i stąd te nieufności i te wahania w ich ruchach. Z opóźnienia w tym względzie korzystają roztropnie ich przeciwnicy, ze staroczechami włącznie, starający się przekonywać społeczność czeską o zupełnéj niedojrzałości obecnych jéj w parlamencie przedstawicieli, których nierozum i nietakt przyprawił naród czeski o utratę powagi i wpływu w państwie i naraża go na nieobliczone straty w przyszłości. Jeżeli więc posłowie młodoczescy nie pośpieszą się z wynalezieniem jakiéjś stałéj dla siebie drogi, budzącéj większe zaufanie, mogą, wpośród namysłów, wahań, rozterek i prób niezręcznych, doczekać się zupełnego dyskredytu.

Telegramy i korespondencye rozniosły po całym świecie smutną wiadomość o zawaleniu się mostu z pociągiem osobowym na rzece Birs pod Mönchenstein, w pobliżu Bazylei, na linii Jura-Simplon. Szpalty dzienników są przepełnione szczegółowemi opisami rozdzierających serce walk ze śmiercią, tudzież tonących w nurtach rzeki, przygniecionych odłamami wagonów lub ocalonych a rozpaczających po stracie ukochanych. Od tego czasu zaszło znów kilka wypadków kolejowych, mianowicie trzy w Europie zachodniéj, trzy zaś w Ameryce północnéj. Nie naszą jest rzeczą grać na uczuciach i nerwach ogółu opisywaniem takich katastrof; zaznaczamy tedy tylko fakta, jako dowody karygodnéj lekkomyślności, niezwracającéj w dostatecznéj mierze uwagi na bezpieczeństwo osób, które swoje życie kolejom powierzają.

Godném jest uwagi, iż najmniéj bywa wypadków na naszych kolejach. Prawda, że u nas ruch jest najpowolniejszy, a więc i niebezpieczeństwo stosunkowo najmniejsze. Natomiast coraz częściéj zdarzają się wypadki na Zachodzie Europy, a stały się prawie powszedniemi w Ameryce, gdzie zysk z kolei na pierwszym, a bezpieczeństwo pasażerów na drugim stoi planie.

O ile pamiętamy, przyczyną wszystkich nieszczęść na kolejach prawie zawsze bywała wadliwość strony technicznéj lub wyczerpanie sił służby, czuwającéj nad bezpieczeństwem publiczności. Ale widocznie nauka, wynikająca ze smutnych doświadczeń, tu idzie w las, o zmianach na lepsze ani słychać. Zarówno przy budowie kolei, jako i przy eksploatacyi, pierwszą zasadą jest taniość. Byle taniéj, byle prędzéj! Z tém hasłem odbywa się budowa i eksploatacya dróg, tak dalece, że nawet głośna i poważna firma Eiffel, któréj dziełem był most na rzece Birs, nie stanowi wyjątku. Większa jednak w tym

razie ciąży odpowiedzialność na zarządzie, który podobno wiedział o niebezpieczeństwie mostu. Wiedzą również dobrze wszystkie zarządy kolejowe o niebezpieczeństwie największém, wynikającém z przeciążenia pracą i z nieodpowiedniéj liczby obsługi. Na tę stronę zwrócono dopiero niedawno uwagę, ale tylko w formie westchnień lub projektów. Obszerniéj tę sprawę traktowano przed dwoma laty w Paryżu na kongresie międzynarodowym pod przewodnictwem Leona Say'a i Juliusza Simona, i postawiono szereg bardzo skromnych żądań co do redukcyi ruchu i pracy w dni świąteczne. Żądania te wszelako nie znalazły posłuchu. Jedna tylko Anglia, dzięki zakorzenionéj tam tradycyi ścisłego świętowania, gorliwie stosuje ten zwyczaj i na kolejach, dając tym sposobem wypoczynek służbie. Gdzie indziéj przeciwnie się dzieje,—w dni świąteczne ruch się wzmaga, skutkiem rozmaitych pociągów nadzwyczajnych. Było-by to dobre, gdyby jednocześnie powiększono odpowiednio personel roboczy. Ale ucierpiała-by na tém... dywidenda. Dała się ona we znaki ogółowi, skoro ten, w nadziei lepszych warunków, powitał z radością upaństwowienie kolei w Niemczech. Zdawało-by się, iż tutaj stan rzeczy powinien byłby zasadniczo się zmienić. Niéma akcyonaryuszów, niéma zatém dywidendy i dążności do jéj zwiększenia. Rząd powinien przedewszystkiém miéć na celu dobro i wygody publiczności, którą łatwo jest zadowolnić i zapewnić jéj bezpieczeństwo, poprzestając na umiarkowanych zyskach. Minister komunikacyi dążył do jak najwyższych zysków, aby tylko nie zmniejszyć dochodów skarbu, którego wydatki z roku na rok się zwiększają. Tu tedy wystąpiła na jaw jedna z niebezpiecznych stron systemu kolei skarbowych: fiskalizm. Prawda, że skarb państwa w trudném znajduje się położeniu wobec miliardowych długów, jakie na kupno kolei zaciągnął, a które dla gospodarstwa państwowego niemałe stanowią niebezpieczeństwo. W Prusach np. koleje dawały dotychczas wielkie zyski, tymczasem obecnie potrzeba znacznych sum na odnowienie taboru, a nowy Minister skarbu, Miquel, bardzo pesymistycznie na dochody kolei skarbowych się zapatruje. Czy wobec tego zdoła pomyśléć o powiększeniu bezpieczeństwa?

Nie mało przeraziły publiczność niemiecką, a nawet i zagraniczą, relacye, poczynione podczas świeżego a głośnego procesu w Bochum, gdzie redaktor pisma „Westphäl-Volkszeitung“, p. Fussangel, podczas rozpraw sądowych w procesie, wytoczonym mu o obrazę pewnéj komisyi podatkowéj, podniósł zarzut, iż w sławnéj fabryce stali w Bochum, pozostającéj pod dyrekcyą przemysłowca niemieckiego Baarego, podrabiają się stemple, przeznaczone do odbioru szyn, tak, iż kolejom bywają dostarczane szyny inne, oczywiście gorsze od tych, jakie odbierają wydelegowani przez zarządy kolei znawcy.

Z powodu zarzutu tego, który p. Fussangel w dalszym ciągu poparł różnemi dowodami, przytoczonemi w piśmie swojém, zostało wytoczone śledztwo, które dotychczas nie jest ukończone. Nie wiadomo, czy śledztwo wykryje wszystkie nadużycia, Niemcy bowiem bardzo są w tém zainteresowani, aby nie wykryto szachrajstw w ich fabrykach, dostarczających także materyału zagranicy. Jedyna nadzieja w tém, że p. Fussangel sprawy téj dopilnuje, bo osobiście w tém jest interesowany.

Tak to nie jeden szczegół rzuca światło na bezpieczeństwo na kolejach. Ale nie tylko pasażerowie są narażeni na wypadki; w wyższym jeszcze stopniu zagrażają one robotnikom.

Smutne położenie robotników w innéj dziedzinie maluje nam inspektor przemysłowy dla Galicyi, p. Nawratil, w ostatniém swojém sprawozdaniu rocznem. Według jego danych oficyalnych, w ciągu roku ubiegłego było w fabrykach tamtejszych 387 nieszczęśliwych wypadków, i to tylko takich, o których doszła wiadomość p. N. Wszelkie wymagania inspektora i skargi jego na przedsiębiorców najmniejszego skutku nie wywierają. Położenie warstw pracujących pod każdym względem jest opłakane, według słów p. Nawratila, o hygienie mowy niéma, ubóstwo, a nawet nędza, na każdym kroku. Wymagane przez ustawę kasy chorych albo wcale nie istnieją, albo, jeżeli są, nie przynoszą najmniejszego pożytku. Czasu pracy skontrolować nie podobna, stosunek pracodawców do robotników w większości wypadków jest nieprzyjazny. Takie są uwagi objektywne osoby oficyalnéj, dotykającéj tych spraw zblizka. Trzeba jednak przyznać, że ciągłe ujawnianie zakulisowych stosunków rolniczo-fabrycznych nie wynika z prostéj ciekawości. Ścisłe badanie warunków pracy poprzedza zwykle reformę, dążącą do przyniesienia jakiéj takiéj ulgi warstwom pracującym. W ostatniém dziesięcioleciu działalność w tym kierunku rozpostarła się względnie dość szeroko, ogarnęła znaczną część zachodu, przejawia się i u nas. Aczkolwiek robota jest jeszcze niekompletną, ma jednak na względzie złagodzenie ciężaru pracownikom i ograniczenie wyzysku przemysłowców. Obok warunków pracy obecnéj, zwrócono uwagę na przyszłość robotników. W Niemczech nowe prawo w tym względzie od 1-go Stycznia r. b. już obowiązuje; „przodująca“ Francya spóźniła się w téj ważnéj sprawie, ale dziś szczerze się nią zajmuje, pod naciskiem przedstawicieli warstw interesowanych. „*Protection ouvrière*“ jest teraz na porządku dziennym i, według szkicowego przedstawienia p. Constans'a, odznacza się większą humanitarnością, niż prawo niemieckie. Robotnik francuski może otrzymać emeryturę w 56 roku życia, niemiecki—dopiero w 70-m

i przy tém pierwszy ma dwa razy większą pensyę emerytalną (300—600 fr.), niż ostatni (120 — 180 marek, kobiety tylko $^2/_3$ tego). Pozornie jednak prawo niemieckie przedstawia się imponująco: skutkiem przyłączenia robotników rolnych, liczba kandydatów do emerytury w Niemczech wzrosła przeszło do *jedenastu milionów*; we Francyi zaś, wedle obliczeń p. Constans'a, wynosi ona przeszło sześć milionów. Przychodzi koléj na Anglię. Zauważono tam, że na 7 osób sześćdziesięcioletnich jedna musi szukać schronienia w domu ubogich, zaś z 75-letnich — jedna na trzy, czyli pierwszych 14%, drugich 33%. Odkrycie to ma być bodźcem do opracowania prawa, zabezpieczającego starość robotników. U nas w ostatnich czasach objawił się ruch w kierunku ubezpieczenia bytu robotników i ich rodzin w razie śmierci lub kalectwa. Nad tą sprawą obraduje rada państwa. Według projektu tych przepisów, właściciele fabryk, zakładów górniczych i przemysłowych, jak również przedsiębiorcy budowlani, będą musieli wynagradzać robotników lub ich rodziny w razie śmierci albo kalectwa. Obowiązek ten ciąży na pracodawcy mianowicie wtedy, gdy nieszczęście wynikło przy robocie, prowadzonéj w warunkach zabronionych przez prawo, przy maszynach źle urządzonych, aparatach, kotłach i t. d. Do przyczyn pociągających ten obowiązek należą także: niezastosowanie sposobów niezbędnych przeciwko działaniu szkodliwych wpływów środków chemicznych, wreszcie—niedostateczna wprawa lub zupełna nieznajomość rzeczy pracownika, któremu powierzono dozór w takich oddziałach, gdzie łatwo może nieszczęście wyniknąć. We wszystkich takich wypadkach robotnik otrzyma wynagrodzenie pieniężne w stosunku do rocznych zarobków i rozmiarów kalectwa. Tylko gdy wchodzi w grę „wyższa siła żywiołowa“, pracodawcy będą zwolnieni od wynagrodzenia poszkodowanych. Niewątpliwie i w tym razie wykonawcy tego prawa doniosłego będą mieli wiele trudności do pokonania przy ocenianiu niedbalstwa i oddzielaniu go od „siły żywiołowéj“. Wybuchy gazów w kopalniach również dadzą się zaliczyć do sił żywiołowych, a jednak pochodzą one z niedbalstwa, jak np. niedawna katastrofa w kopalniach Rykowskich, w pobliżu Jazówki. Bądź co bądź, już samo włożenie obowiązku usprawiedliwienia się na fabrykanta jest ważnym krokiem w prawodawstwie fabrycznem; dotychczas bowiem odpowiedzialność pracodawców była bardzo niepochwytną z powodu natury samych wypadków, zacierających wszelkie ślady po sobie. Zwykle najbliżsi świadkowie katastrofy giną, maszyny, kotły i całe oddziały fabryk ulegają zupełnemu zniszczeniu, utrudniając wszelkie sposoby przeprowadzenia śledztwa. W Niemczech i Austryi te same trudności długo były przedmiotem troski prawodawców, wreszcie obmyślono na to względnie skuteczne środki. Od

lat kilku (w Niemczech od r. 1884, w Austryi od 1887) utworzono państwowe instytucye ubezpieczeń robotników od wypadków nieszczęśliwych, do których muszą obowiązkowo przystępować wszelkie przedsiębiorstwa przemysłowe i zakłady fabryczne. Instytucye powyższe mają tę zaletę, że, bez względu na „siłę wyższą“ lub niedbalstwo ludzkie i nieostrożność, poszkodowany zawsze otrzymuje wynagrodzenie. Bardzo sprawiedliwy jest podział procentowy składek w stosunku do zamożności i stopnia odpowiedzialności: fabrykant wnosi 90%, robotnik 10%. W Warszawie staraniem wybitniejszych osobistości miejscowych powstaje Towarzystwo ubezpieczeń na życie pod nazwą „Przezorność“. Nowe Towarzystwo ma uprawiać wszystkie rodzaje ubezpieczeń życiowych, a nie należy wątpić o tém, że, tak jak inne towarzystwa, zajmie się także asekuracyą robotników fabrycznych, co, gdy odpowiedzialność przedsiębiorcy w należyty sposób przez prawo będzie określoną, może być z ogólną korzyścią połączone.

Nowe Towarzystwo ubezpieczeń, krom życiowego, innego działu mieć nie będzie, co niewątpliwie za dobrą jego stronę uważać należy. Dla rozpoczęcia czynności musi być przez założycieli złożony kapitał gwarancyjny, na akcye zebrany, w sumie 500,000 rs, który będzie przynosił akcyonaryuszom 6% i drobny udział w czystych zyskach. W miarę wzrastania dochodów „Przezorność“ ma spłacać swych akcyonaryuszów i w końcu, załatwiwszy się z nimi, przybrać całkowicie formę wzajemnego ubezpieczenia. Ma to wpłynąć na pomyślniejszy rozwój instytucyi, a oszczędność na dywidendach od kapitału zakładowego zużytkowaną będzie na podwyższenie wynagrodzenia poszkodowanym lub zmniejszenie rozmiarów opłat asekuracyjnych. Nowéj instytucyi, pierwszéj u nas w kraju, życzyć należy powodzenia, a poszkodowanym (oby ich najmniéj było!)—wielkiéj z niéj korzyści.

Pracownicy przemysłowo-handlowi w Tomaszowie, którzy nie przedstawiają nic ponętnego dla operacyi kapitalistycznych, sami utworzyli Towarzystwo wzajemnéj pomocy i uzyskali już zatwierdzenie wyższéj władzy. Nie ma ono nic wspólnego z przedsiębiorstwem, zadaniem zaś jego jest wyłącznie – pomoc towarzyszom cierpiącym materyalnie: wyszukiwanie miejsc dla tych, którzy utracili posady nie z własnéj winy, udzielanie członkom zapomóg w razie choroby, pożyczki, zajmowanie się pogrzebem ubogich członków.

Jak widzimy, cel i program piękny, a sam fakt powstania takiego stowarzyszenia godzien jest jak najszerszego naśladowania, tém bardziéj, że wogóle byt warstw pracujących niezbyt ponętnie u nas

się przedstawia. Nie wesoło także się zapowiada okres letni dla pracowników fabrycznych w okręgu łódzkim: po kilkomiesięcznem ożywieniu ruch w przemyśle znowu słabnie, czego pierwszą jest oznaką redukcya rąk roboczych. (Między innemi z fabryki Geyera wydalono 38 tkaczy). Owo ograniczenie wynika jeszcze z innéj przyczyny — rozwoju techniki. Jest to rzecz nieunikniona i z góry przewidziana w urządzeniu obecném; każdy robotnik wie o tém dobrze, iż maszyny wypierają pracę ręczną, a jednak uważa ten objaw za krzywdę swoją i trudno wymagać, aby inaczéj na to patrzył. Obecnie świeży taki fakt zaszedł w Łodzi, gdzie jedna z większych fabryk wprowadza maszyny przędzalne, oszczędzające znaczną liczbę robotników. Maszyny te (ogółem 22) wymagają dla obsługi tylko dwóch ludzi dorosłych i 15 — 20 nieletnich. Robotnicy tamtejsi strachem są zdjęci na myśl, że nowość ta może się rozpowszechnić w innych fabrykach; a że się rozpowszechni, wątpić o tém nie można, będzie to zwyczajném następstwem współzawodnictwa. Cóż pozostanie usuniętym? — Charakterystyczna u nas wędrówka na oślep za chlebem; bo takiéj instytucyi, która-by wskazywała robotnikom rynki pracy, pośredniczyła w jéj uzyskaniu, dotąd jeszcze nie mamy. To samo widzimy w głębi Rossyi, gdzie w miesiącach letnich odbywa się w większym niż u nas stopniu gromadna wędrówka najmitów na chybił trafił. Skutkiem tego nagromadza się zazwyczaj w guberniach południowych taka masa poszukujących pracy, że większość ich musi głód cierpieć i o żebraninie wracać do domu. Są to przeważnie włościanie małorolni, którym liche i szczupłe szmaty ziemi, obciążonéj podatkiem, nie wystarczają na wyżywienie siebie i rodzin. Na to smutne zjawisko zwróciło uwagę ministeryum spraw wewnętrznych i postanowiło wprowadzić w życie odpowiedni środek zaradczy. Osnowa tego środka, według doniesień pism ruskich, jest następująca: Gromada wiejska nie pozwoli oddalać się na zarobki tym, którzy wbrew woli rodziców lub starszych członków rodziny zechcą opuścić swoje strony. Nie krępowani temi warunkami powinni uzyskać odpowiednie upoważnienie gromady wiejskiéj, poczém decyzyę naczelnika ziemskiego. O takiém upoważnieniu powinna być zrobiona wzmianka w paszporcie, wydanym przez wójta gminy (*starszynę*), tudzież wyszczególniony fach okaziciela. Zgromadzenia włościańskie, dla ułożenia listy robotników wędrownych, powinny się zbierać co rok, najdaléj w połowie Lutego. Robotnicy, trudniący się jednakowém rzemiosłem, wyruszając do pewnego z góry określonego punktu, powinni z pomiędzy siebie wybrać starostę artelowego, który zawiera umowy o roboty i kieruje gospodarstwem arteli. Ziemstwa i ich naczelnicy obowiązani są donosić zarządom gminnym o punktach, wymagających największéj liczby rąk ro-

boczych, udzielać wskazówek starostom artelowym i starać się wogóle o jak najdokładniejsze informacye co do pewności zarobków i zapotrzebowania najmitów w danéj okolicy. Prasa ruska różnorodnie zapatruje się na projekt powyższy. Między innemi zasługuje na uwagę zdanie „Rusk. Wied.“, które z tego tylko się cieszą, iż ograniczona będzie samowola głowy rodziny i wójtów, których opinia wielkie ma znaczenie w uzyskaniu paszportów. Co do reszty punktów nowego prawa, to, zdaniem powyższéj gazety, można się spodziewać, iż nadzór naczelników ziemskich nad zarobkowaniem wędrownem znajdzie się pod kierunkiem wpływów, nie wiele mających wspólnego z potrzebami istotnemi. Wiadomo np., że w wielu miejscowościach Rossyi, szczególnie w guberniach czarnoziemnych pasu środkowego, właściciele ziemscy są bardzo zainteresowani w zatrzymywaniu jak największéj liczby robotników. Wszelkie dowolne krępowanie ubocznych zarobków nie tylko stworzy sztuczne przywileje dla jednych miejscowości ze szkodą innych, ale z natury rzeczy dotknie prawa swobodnéj zmiany miejsca, co od czasu zniesienia zależności pańszczyznianéj stało się istotną cechą wolnego stanu włościańskiego.

Nie tylko do robót polnych najmici gromadnie latem dążą. Nęcą ich również miasta wielkie, gdzie mają nadzieję znaleźć dorywczy zarobek przy budowie i odnawianiu domów, naprawianiu bruków, a jak w Warszawie, obok tego, przedmiotem przyciągającym jest kanalizacya, która, gdyby nawet objęła wszystkie przedmieścia nowo przyłączone i szerokie okolice miasta, jeszcze-by nie zdołała dać pracy wszystkim kandydatom, od prostych robotników z łopatą i dozorcy, do uzdolnionych techników, i wogóle ludzi z uniwersyteckiém lub gimnazyalnem wykształceniem, nie gardzących zarobkiem, właściwym dla analfabetów. W sezonie bieżącym zarząd kanalizacyi w Warszawie wprowadza po raz pierwszy w Królestwie system robót „artelowy“,—dość dawna forma spółek robotniczych. Spółka będzie utworzona z robotników miejscowych bez udziału przedsiębiorcy, dla uniknięcia wyzysku; otrzyma ona od administracyi wszystkie narzędzia, które powinna zwrócić po ukończeniu robót. Każdy robotnik otrzyma określoną płacę dzienną, przy oznaczeniu ilości roboty dla całéj kompanii. Wynagrodzenie za robotę, wykonaną przez całą spółkę po nad normę, będzie dzielone między stowarzyszonych w stosunku do pracy zarobkowéj każdego z nich. Środek ten ma na celu zapobieżenie nadużyciom, wobec braku jeszcze solidarności pośród członków nowéj spółki. Spółka będzie miała prawo żądać, iżby ze składu jéj usuwano takich członków, „których uzna za leniwych lub nie moralnych i których nie będzie chciała mieć w liczbie swych uczestników.

Ten ostatni szczegół przypomina nieco większe masy ludzkie, związane nie z góry nakreślonemi przepisami, ale warunkami bytu. Ta tylko zachodzi różnica zasadnicza, że podczas gdy „artel“ może wykluczyć szkodliwych ze swego grona jednym wyrokiem gromadnym, społeczeństwo od dawien dawna pasuje się z jednostkami zbrodniczemi i dotąd nie może się uwolnić od nich. Sprawa ta, najdotkliwsza dla ogółu, w ostatnich latach żywo zajęła umysły socyologów, antropologów i prawników, usiłujących znaleźć skuteczny środek uwolnienia społeczeństwa od tego zarazku, szybko się rozrastającego. Dwa zjazdy specyalistów, w Rzymie i Paryżu, oprócz garści ciekawych uwag i zestawienia badań kilku uczonych, nic nie dały takiego, coby natychmiast w życie weszło. Najżywiéj zajmują umysły ludzkie przestępstwa powtarzane, jako najdotkliwsze dla ogółu; w tym też kierunku największe ożywienie przejawia się w przekształceniu kodeksów. Dotąd w chaosie paragrafów wogóle nie zdołano jeszcze dostatecznie rozpoznać kategoryi zbrodni powtórzonych i wedle tego stosować stopień kary. Obecnie prawodawstwo ruskie wprowadza ważną reformę w tym duchu, nadając większą jasność przepisom i usuwając sprzeczności. Recydywę, jak dawniéj, uznano za przestępstwo, zasługujące na surową karę, ale ujednostajniono jéj pojęcie. Recydywą jest popełnienie powtórne przestępstwa tego samego lub téj saméj kategoryi, po odbyciu kary za pierwsze. Winy podzielono na sześć grup. Po upływie terminu, określonego dla każdéj z tych grup, zbrodnia nowa nie będzie uważana za recydywę. Ustanowiono okres dziesięcioletni dla zbrodni, karanych pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów i oddaniem do ciężkich robót lub zesłaniem na osiedlenie w Syberyi. Następnie, względnie do przewinienia, idą terminy: ośmioletni, pięcioletni, trzyletni, dwuletni i roczny. Wogóle nowe prawo ogranicza karę surową, chociaż zastrzega, iż w wyjątkowych razach nie będzie ono stosowane.

Obok téj reformy przedsięwzięto zmiany w ustawie o adwokaturze. Chodzi tu głównie o ustanowienie pewnéj określonéj liczby adwokatów przysięgłych w każdym okręgu sądowym i zabronienie samodzielnéj praktyki pomocnikom adwokatów przysięgłych. Nadto ważnym jest ten warunek, iż na przyszłość procesujące się strony będą zwolnione od bezpośredniego zawierania umowy z adwokatem w sprawie prowadzenia procesu, wynagrodzenia i t. d. Każdy interesant powinien się udać do rady obrończéj, która następnie poleca prowadzenie sprawy jednemu ze swych członków, określając przy tém wysokość wynagrodzenia. Tym sposobem, jak twierdzi „Graždanin“ — będzie usunięta demoralizująca obecnie procedura bezpośrednich sto-

sunków klienteli z adwokatami, ta procedura, przy któréj adwokat, nie posiadający bogatego otoczenia w swojéj kancelaryi i mieszkaniu, pozbawiony jest praktyki. Z drugiéj strony zyskają na tém znacznie klienci, nie mający odwagi fatygować znakomitości ze zbytkownem otoczeniem i nie mający pojęcia o sumiennych obrońcach bez piórek bogatych. Reforma ta między innemi ma na celu polepszenie bytu wogóle wszystkich adwokatów. Niwelacya owa atoli nie osłabi powodzenia zdolnych, z wyrobioną opinią. Za to niesumienni i nieudolni, wyzyskujący klientów, będą pozbawieni pola do nieuczciwych działań i—albo się poddadzą nowemu porządkowi rzeczy, który im wyjdzie na dobre, albo znajdą sobie inne drogi zarobkowania, zgodne z ich usposobieniem i dążnością.

Podobna reforma wkrótce dotknie lekarzy, mająca również na względzie uregulowanie praktyki i dobro pacyentów. Niedawno właśnie departament ekonomiczny rady państwa roztrząsał projekt ustanowienia ściśle określonéj taksy obowiązkowego honoraryum za pomoc lekarską. Wysokość wynagrodzenia ma zależéć od stopnia zaludnienia danéj miejscowości, tudzież od zamożności i stanowiska społecznego pacyentów. W tym celu przyjęto podział miast wedle ludności: Pierwsza kategorya—wyżéj pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, następnie druga—od pięćdziesięciu do pięciu tysięcy, i wreszcie miasta, miasteczka i wsie z ludnością niżéj pięciu tysięcy. Pod względem położenia społecznego, podzielono pacyentów również na trzy grupy: do pierwszéj należą kapitaliści, więksi właściciele ziemzcy, kupcy pierwszéj gildyi i bankierzy, fabrykanci i wyżéj opodatkowani właściciele domów, wreszcie urzędnicy, należący do pierwszych sześciu rang. Do drugiéj grupy: urzędnicy rangi siódméj i ósméj, przedstawiciele tak zwanych wolnych profesyi, komisanci handlowi, kupcy drugiéj gildyi i t. d. Do trzeciéj — wszyscy pozostali obywatele. Co do taksy, proponowaném jest najwyższe honoraryum 5 rs. za wizytę lekarza w mieszkaniu pacyenta, a 3 za poradę u lekarza. Najniższe honoraryum dla robotników i innych klas odpowiednich oznaczono na 30 kop. Nie można z góry wiedzieć, jakie zajdą trudności lub niezgodności z pewnemi warunkami przy wprowadzeniu tego projektu w życie. To tylko pewna, że jedna i druga strona zyska na tém wiele. Nie wchodzimy w praktyczność lub niepraktyczność szczegółów powyższych, ale podnosimy sam fakt określenia obowiązkowéj taksy lekarskiéj w stosunku do zamożności warstw i stopnia intratności stanowisk społecznych. Jak się dzisiaj rzecz przedstawia? Przyznać trzeba bezstronnie, że dzieje się często wyzysk, zarówno ze strony pacyentów, jak i lekarzy. Dowolność honoraryum robi to, iż

lekarze (mówimy tu o mniejszości) stają się częstokroć panami położenia i nie uwzględniają zamożności pacyentów, albo znowu ci ostatni zbywają lekarza półrubelkiem lub złotówką, a nawet, korzystając z „drażliwości“ płacenia honoraryum, poprzestają na rzuceniu „Bóg zapłać!“ Wreszcie najliczniejsza klasa uboga, robotników, wyrobników i włościan, zaniedbuje choroby, lub udaje się do znachorów i felczerów, jak w sprawach sądowych do pokątnych doradców, bojąc się żądania wysokiego wynagrodzenia. Projekt reformy określa najniższą skalę honoraryum lekarskiego 30 kop. Niewątpliwie znajdzie się bardzo wielu takich, dla których i ta suma będzie za wielką. Ale przecież i dziś lekarze częstokroć nie patrzą, jaką im biedak monetę położy, a nawet znaczną część swego czasu poświęcają na poradę bezinteresowną dla tych ludzi. Z natury swego fachu, lekarze zajmują pierwsze miejsce w tak zwaném „miłosierdziu publiczném“. Jako przysięgli stróże zdrowia, nie mogą nikomu odmówić swéj pomocy, chociażby upadali ze znużenia; wówczas, gdy inni ludzie, bez względu na swoją zasobność w środkach moralnych czy materyalnych, nadających się do zużytkowania na rzecz cierpiących, mogą zamknąć swoje szkatuły i serca, i nikt ich za to nie będzie śmiał potępiać, ani odsądzać od miana „godnych obywateli kraju“. Nie wszyscy jednak korzystają z tak wygodnych prerogatyw dla pielęgnowania sobkowstwa. Oto niedawno p. Biliński uczynił zapis stu tysięcy złotych reńskich na ufundowanie i wybudowanie „Domu dla nieuleczalnych“ we Lwowie. Pod budowę gmachu już położono kamień węgielny. Zacny ofiarodawca nie tylko przeznaczył pieniądze na budowę zakładu, ale jeszcze go zabezpieczył oddzielnym znacznym kapitałem, tak, iż same odsetki zupełnie wystarczają na wygodne utrzymanie pensyonarzy i pomoc lekarską. Gdzie jest tyle nędzy, co w miastach galicyjskich, gdzie chorzy skazani są na powolne długoletnie konanie w norach wilgotnych i dusznych, tam zakład taki jest nieocenionym skarbem. W Warszawie działalność filantropijna również świeżo się zaznaczyła pomnożeniem zakładów dobroczynnych. Przybywają stałe przytułki noclegowe, w szerszym zakresie niż uprzednie czasowe, które służyły tylko na schronienie nocne żebrakom i wszelkiego rodzaju włóczęgom. Pomoc taka nie wiele się różniła od datków groszowych dla nędzy ulicznéj, które nie tylko jéj nie zapobiegają, ale przeciwnie, utrwalają pewnego rodzaju fachowość żebraczą. Zadaniem nowych przytułków nie jest pomoc doraźna i bezowocna; mają one na celu zapewnienie trwałego istnienia nędzarzom, danie im zarobków. W tym celu dom noclegowy, obok sypialni, obfitujących w powietrze, będzie mieścił sale do pracy, a nadto ambulatoryum do udzielania pomocy bezpłatnéj ubogim. Kosztorys budowy

tego zakładu na Pradze obliczono na rs. 15,000. Dotąd na ten cel jest tylko 7,000 gotówki, a więc o resztę, t. j. 8,000, kołatać trzeba do ofiarności publicznéj. Prawdopodobnie i w tym razie nie zawiedzie ona. Ale ponieważ nie jest to źródło niewyczerpane i obficie płynące, więc sączyć się będzie powoli wąską strugą i prawdopodobnie nie wypełni do zimy żądanéj kwoty, chyba, że się zjawi niespodzianie z ofiarą jaki nowy Biliński i odrazu załatwi sprawę naglącą. Jest ona istotnie jedną z najpilniejszych, bo tu chodzi nie tylko o danie ciepłego kąta na parę godzin i strawy dla biedaków, ale także o zmniejszenie, chociaż w małym stopniu, przyjaznego podścieliska dla występków (z kategoryi nie „antropologicznéj"), których zaczątkiem bywają zwykle brudne szynkownie, owe przytułki niefilantropijne, gdzie nędza, alkohol i próżniactwo przymusowe są pierwiastkami rozkładowemi dodatnich cech ludzkich. Jest nadzieja, że nasze Towarzystwo dobroczynności w Warszawie, dość zasobne i często obdarzane zapisami filantropów, także będzie mogło w przyszłości oddać usługi na drodze wyszukiwania pracy ludziom ubogim, dzięki nowéj ustawie usankcyonowanéj, która rozszerza prawo działalności téj instytucyi dodaniem dwóch nowych punktów: 1) wyszukiwanie zatrudnień i roboty dla osób zdolnych do pracy i 2) dopomaganie do nabycia materyałów do roboty, tudzież starania o korzystny zbyt wyrobów. Jest to wiele. Nadarza się bowiem sposobność stworzenia z czasem pewnéj giełdy pracy, która poprostu środkami instytucyi dobroczynnéj mogła-by się szybko rozwinąć i dać pożądane rezultaty.

Taka forma giełdowa przybiera dziś coraz szersze i różnorodniejsze rozmiary, a zawsze po wzór trzeba się uciekać do Ameryki, gdzie się (w New-Yorku) pomyślnie rozwija „giełda kamieniczna" i zyskuje coraz większe uznanie, dzięki rzetelnym informacyom i umiejętnemu pośredniczeniu. „Przegląd tygodniowy" zapytuje, czyby się nie dała na takiéj podstawie urządzić w Warszawie giełda... majątków ziemskich? „Jeżeli istnieje giełda dla pieniędzy, zboża, chmielu, cukru i wełny, czemu nie ma istnieć dla ziemi, tego najważniejszego w naszym kraju towaru?" Zdaniem tego pisma, spadanie ceny ziemi wynika głównie z braku dostatecznéj jawności i uprzystępnienia w nabywaniu. Niéma tu mowy o jawności, zastrzeżonéj przez prawo. „Paragrafom staje się zadość, ale ztąd dla sprawy korzyść niewielka, lub nawet żadna. Poza ową bowiem jawnością jest duża sfera nieświadomego, czyli tak zwanéj mętnéj wody, w któréj interesowani a zabiegli łowią ryby. Ile-to obecnie majątków ulega sprzedaży z licytacyi jedynie dla braku kupujących, lub téż prze-

chodzi za jedną trzecią wartości w ręce lichwiarskie z tego samego powodu! Tym czasem konkurenci do kupna może-by się znaleźli, gdyby jawność, wymaganą przez prawo, zastąpiono jawnością faktycznie". W tym razie mogła-by, zdaniem pisma, przyjść z pomocą giełda ziemska. Co tu marzyć o jakiéjś giełdzie rzetelnéj, o tranzakcyach uczciwych, skoro u nas system połowu w mętnéj wodzie przeciwdziała wszelkim dobrym usiłowaniom. Polowanie na lekkomyślność lub brak zmysłu rachunkowego i rzutkości jest dziś najlepszym interesem, a kto się mu szczerze, ze znajomością rzeczy, poświęcił, z pewnością nie zbankrutuje, lecz się sam wzniesie wysoko na barkach bankrutów. Oto próbka: Korespondent „Słowa" zapytuje bardzo bogatego kupca kijowskiego, jaki procent przynosi mu handel zbożem. Co tu mówić o procencie, to żaden interes—odpowiada. „Co ja mogę zarobić, kupując na stacyi kolei zboże po 70 kop. pud, kiedy w Odessie sprzedaję po 80 kop. Dostawa, skład w Odessie, procent od kapitału, wyłożonego na wiosnę, a odebranego w jesieni, pozostaje w rezultacie zysk tak mały, że mówić o nim nie warto. Ja takich obywateli, którzy kontrakt zrobią, a na termin zboże dostawią, nie lubię. Ale kiedy obywatel sprzeda 80,000 pudów pszenicy na pewien termin, w kontrakcie zastrzeżona kara za każdy dzień zwłoki po kop. 2 od puda, a rolnik na czas zboża dostawić nie może, bo albo nie wymłócił, albo podwód nie dostał, albo złego urodzaju nie przewidział, wtedy po obliczeniu kar zostaje na moją korzyść 20, 30, no czasem i 40 kop. na pudzie". Tacy kupcy, których na nieszczęście jest spora liczba, są właściwie w innéj formie lichwiarzami przedniego gatunku, pobierającymi około 60% na pół roku za udzieloną na zboże zaliczkę. I tak musi być zawsze, dopóki wytwórca rolny będzie potrzebował gwałtownie gotówki w rozmiarach, przechodzących jego siły produkcyjne. Nawet organizacya elewatorów, czyli banków zbożowych na wzór amerykańskich, gdzie wytwórca może brać bezpośrednio udział w rynkach wszechświatowych, niewielką będzie pociechą dla tych, którzy muszą wziąć zaliczkę na pół roku lub na ośm miesięcy przed żniwami.

W podobném położeniu są dostawcy wełny na jarmark świętojański w Warszawie, gdzie ich kupcy strzygą niemiłosiernie, wiedząc, że się dadzą. W tym roku znaczną ich większość ostrzyżono haniebnie przy saméj skórze, dzięki właśnie téj typowéj potrzebie gotówki. Szlachta zrazu trzymała się dobrze i przy pierwszym ataku kupieckim ani drgnęła. Wiedziała ona, że kurs rubla i tranzakcye na rynkach wełnianych za granicą miały się odbić pomyślnie na jéj interesach. Ale i kupcy trzymali się ostro, dnia pierwszego nie

przystępując natarczywie do targu. Nazajutrz bieda! Ofiarowano ceny ze zniżką 4-ch talarów w stosunku do zeszłorocznych. Dostawcy jeszcze nie upadają na duchu; ale gdy pod wieczór zaproponowano jeszcze o dwa talary niżéj za centnar, dostawcy spochmurnieli bardzo, a kupcy, wprawni w czytaniu ich uczuć na twarzy, rzekli sobie: „dobrze jest!“ Jakoż na trzeci dzień wytwórcy się poddali, jak oblężone miasto, przyciśnięte głodem. Kupcy dyktowali warunki, a wytwórcy przyjmowali je bez oporu, biorąc za wełnę czesankową do 15 talarów, a za wysoko cienką do 40-tu niżéj w stosunku do cen z r. 1889. Znaleźli się wszelako śmieli duchem, niezbyt łaknący gotówki, którzy dowiedli, że hartowna wola kupców może zmięknąć, gdy dostawcom nie zabraknie cierpliwości i odwagi. Oto garstka tych zuchów doczekała dnia ostatniego, w którym kupcy, widząc, że nic nie poradzą z ich stanowczością, jęli podnosić ceny po dwa talary wyżéj w stosunku do dnia poprzedniego, a nawet nazajutrz po jarmarku o 4 talary. Można sobie wyobrazić zadowolenie téj garstki i smutek większości. Co jednak tutaj wpłynęło na pomyślność interesów tych dostawców, którzy się do końca nie poddali? To, że się doczekali przewagi popytu nad podażą w terminie do tranzakcyi bardzo ograniczonym, bo w dniu ostatnim jarmarku. P. Aleksander Witkowski w „Słowie“ dowodzi, że chcąc osiągnąć pożądane rezultaty przy obrotach z wełną, należy „trzymać się z podażą *biernie, wstrzemięźliwie*“ i nadto postarać się o sprowadzenie na nasz targ warszawski choćby dwóch *poważnych* fabrykantów wyrobów wełnianych z za granicy. A więc dwa środki, trudne do przeprowadzenia. Zalecmy *wstrzemięźliwość* zgłodniałemu, stawiając mu przed oczyma strawę i dając do zrozumienia, że nazajutrz może dostać mniéj, albo nic, jak się on wtedy zachowa? Rzecz prosta, że się skusi na strawę, nie wglądając w jéj jakość i ilość. Tak samo się zachowa ogołocony z gotówki dostawca wełny, gdy mu kupiec podyktuje stanowcze warunki. „Kto wie, jakie tam będą konjunktury na rynkach zagranicznych jutro i po jutrze i jak one wpłyną na moją wełnę nieszczęśliwą; może ją trzeba będzie oddać za cenę produkcyi lub nawet niżéj?“ Taka myśl przyjdzie niejednemu z dostawców. W rzeczy saméj, co on zrobi ze swoim towarem, gdy do samego końca nie zwycięży stanawczości kupieckiéj? Wprawdzie p. Witkowski radzi zostawić w takim wypadku wełnę w składzie bankowym i wziąć na nią zaliczkę. „Fabrykanci — powiada on — wełny *potrzebują*, a więc musieli-by kupno rozpocząć ze zwyżką cen, skoro ze zniżką kupić jéj nie mogą“. Ale pamiętajmy zawsze o tém, że dostawca potrzebuje gwałtownie gotówki, że najniższa cena, ofiarowana przez kupca, będzie jeszcze wyższą od zaliczki, udzielonéj przez skład bankowy. Je-

żeli przy tranzakcyi zbożowéj daje się kupcom lichwiarski procent, byle-by pieniądze natychmiast otrzymać, to samo musi być i przy sprzedaży wełny. Co to za pociecha dla takiego wytwórcy, że kiedyś tam otrzyma resztę sumy za swój towar, chociaż-by świetnie sprzedany! Co do rady p. Witkowskiego — sprowadzania na jarmark *poważnych* fabrykantów wyrobów wełnianych z za granicy, sam projektodawca twierdzi, że to było-by wielce trudném, gdyż „panowie ci mało posiadają do nas zaufania. Najprzód nie znają naszéj instytucyi bankowéj, potém przypuszczają, że z wełną źle się obchodzimy, a często nieuczciwie“. Dla doprowadzenia więc do skutku tego środka, p. W. widzi jedyną drogę prywatną przekonywania tych kupców o naszéj uczciwości. Ciężkie to zadanie! W każdym razie należałoby poruszyć wszelkie środki możliwe dla wybrnięcia z zależności monopolowéj, która od dwóch lat dręczy naszych dostawców wełny. Ową kliką sprzysiężoną jest sześciu kupców zagranicznych i dwóch fabrykantów, również obcokrajowców. Według ich chorągiewki kierują się miejscowi fabrykanci drobni i przekupnie.

Przyznać trzeba, że hodowla niepoślednie miejsce zajmuje u nas w rolnictwie; oprócz owiec, dających dochód pierwszorzędny, sporo jest takich gospodarstw rolnych, gdzie wszelkie gatunki inwentarza wzorowo są prowadzone, o czém nieraz przekonały wystawy rolnicze. Że się one przyczyniają do rozwoju hodowli w kraju, nie trzeba dowodzić. To też wielka krzywda stała się naszym rolnikom z powodu zniesienia tych wystaw, urządzanych dawniéj w Warszawie przez Towarzystwo wyścigów konnych. Obecnie możemy się podzielić z czytelnikami pomyślną wiadomością, iż Towarzystwo rzeczone uchwaliło wskrzesić ten pożyteczny zwyczaj. W roku przyszłym postanowiono znowu urządzić wystawę koni, bydła, owiec, drobiu i wogóle przedmiotów, mających związek z hodowlą. Strona materyalna jest już poniekąd zabezpieczona, gdyż na ten cel asygnowano w formie zaliczki 4000 rs. Tak wiec najpożyteczniejsza dla kraju strona działalności Towarzystwa wyścigów konnych znowu się rozwinie. Jeżeli mówimy o dodatniéj stronie wyścigów, nie możemy pominąć milczeniem i ujemnéj, tém bardziéj, że się ona przyczynia do ruiny setek ludzi, rozbudzających w sobie namiętność totalizatorską. Wprawdzie zrobiono tu pewną ostrożność, mianowicie podniesiono stawki totalizatora do dziesięciu rubli, aby tym sposobem dać możność zgrywania się tylko ludziom zamożniejszym; ale okazało sią, że środek ten zupełnie chybił celu. Podniesiona stawka rozpaliła jeszcze bardziéj namiętność biedaków, którzy zastawiali lub sprzedawali najniezbędniejsze ubranie, zaciągali pożyczki i zgrywali się do ostatka, do szału i rozpaczy.

Ci szczęśliwsi, którzy pensyę stałą pobierają, przegrywali ją także, polecając rodzinę opatrzności bożéj, albo... opiece lichwiarzy. Dzięki temu, totalizator dał obrotu przeszło 200,000 rs. Towarzystwo wyścigów w roku bieżącym święciło 50-tą rocznice swego istnienia. Oby, rozpoczynając drugą połowę stulecia, nie mnożyło już nadal tych nieszczęśliwych szaleńców.

Jeden z grona literatów naszych obchodził niedawno niepospolity jubileusz, bo 50-letniéj pracy na niwie dziennikarskiéj. Kto zna tego rodzaju pracę, trawiacą umysł i energię, pochłaniającą człowieka bez chwili wytchnienia, ten tylko może ocenić niepospolitą wytrwałość Jubilata, który pół wieku przetrwał na tém stanowisku i jeszcze nie stracił zdolności do pracy. Zważmy, że nie była to machinalna robota dziennikarska, posługująca się nożycami; ale praca sumienna, poparta wiedzą gruntowną. Józef Kenig należy do tych ludzi, którzy szerzyli skutecznie zamiłowanie do czytelnictwa w epoce, kiedy w wielu zakątkach poprzestawano na literaturze kalendarzowéj. Szanowny jubilat urodził się w r. 1820 w Płocku; w Krakowie ukończył gimnazyum św. Anny, a potém kursa filozoficzne pod kierunkiem Ehrenberga i Wrześniowskiego. W r. 1839 osiedlił się w Warszawie, gdzie przez dwa lata utrzymywał się z lekcyi i aplikatury w sądzie pokoju. W r. 1841 jął się pracy literackiéj i pierwszy artykuł p. t. „Sztuka i artyści“ umieścił w „Nadwiślaninie“, wydawanym przez Filleborna, a następnie w „Gazecie Warszawskiéj“ rzecz satyryczną p. t. „O dandyźmie w Warszawie“. Od tej chwili wszedł w poczet stałych współpracowników owego dziennika, do którego przez dwa lata pisywał artykuły literackie, zaś w r. 1843 objął dział polityczny i niepospolitemi artykułami zainteresował szerokie koło czytelników. W r. 1859-ym, po śmierci Lesznowskiego, objął naczelne kierownictwo „Gazety Warszawskiéj“ i na tém stanowisku przetrwał lat trzydzieści, w niezmordowanéj i sumiennéj pracy. W obu dziedzinach, polityki i sztuki, Kenig zachował dotąd jeszcze bystrą zdolność oryentowania się, dar obrania zawsze takiego punktu, z którego światło, rzucone przezeń na daną kwestyę, na traktowany przedmiot, wydobywało odrazu na jaśnię najcharakterystyczniejsze rysy. Nie łatwo dziś znaleźć u nas publicystę, który-by z taką doraźnością i jędrnością umiał ująć i przedstawić sytuacyę polityczną; w krytyce literackiéj i artystycznéj strzegł zawsze Kenig i strzeże niezachwianie zdrowych ideałów. Władając świetnie formą, jubilat nie należał nigdy do rzędu tych, którym forma wystarcza, w literaturze nie poprzestawał na powodzeniu literata; miał szlachetniejsze ambicye pisarza. Od lat paru pracuje Kenig w „Sło-

wie“ a przeglądy jego polityczne i teatralne są prawdziwą tego pisma ozdobą.

W Petersburgu obchodzono jeszcze jeden jubileusz—25-letniéj pracy adwokackiéj p. Włodzimierza Spasowicza, któremu z tego powodu prasa russka poświęciła dość obszerne i życzliwe artykuły. Poprzestaniem na przytoczeniu „Now Wr.“: „Szanowny jubilat stał się adwokatem nie tyle z powołania, ile z przyczyny zbiegu okoliczności. Katedra uniwersytecka była niewątpliwie odpowiedniejszą dla p. Spasowicza, niż ława adwokacka. Ogromna erudycya, ścisłość analizy, zamiłowanie nauki, wszystko to kazało przypuszczać, że na drodze naukowéj jubilat dojdzie do bardzo wysokiego stanowiska. Losy zrządziły inaczéj; wszelako i na polu adwokackiéj działalności p. Spasowicz nie przepomniał o nauce. Wiele jego przemówień, wiele rozpraw naukowych, świadczy, że adwokatura russka ma w osobie p. Spasowicza nie tylko wzór poważnego prawnika-teoretyka, lecz i człowieka, który opracowywa poważne kwestye prawne. Zawsześmy cenili w p. Spasowiczu umysł poważny i talent wybitny, które przy wysokiéj erudycyi dały mu możność zajęcia stanowiska nauczyciela i kierownika adwokatów przysięgłych. Jako członek i prezes Rady adwokackiéj, p. Spasowicz był zawsze szczerym, energicznym i obrońcą praw korporacyi, a bronił ich zawsze z taktem i delikatnością. Życzymy adwokaturze russkiéj, iżby na długie lata zachowała w swém gronie tego świetnego i utalentowanego przedstawiciela, jakkolwiek nie jest on wolnym od pewnych uniesień.“

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Na posiedzeniu Wydziału historyczno-filozoficznego krakowskiéj Akademii umiejętności, odbytém w dniu 11 Maja pod przewodnictwem profesora D-ra W. Zakrzewskiego, profesor Dr Edmund Krzymuski odczytał rzecz p. t. „Józef Szymanowski“ *przyczynek do reformy prawa i procesu karnego w Polsce, w końcu XVIII wieku.*

Celem téj pracy jest wyjaśnienie rzeczywistego znaczenia dwóch pism Józefa Szymanowskiego, członka deputacyi, powołanéj ustawą z d. 28 Czerwca 1791 r. dla ułożenia *„Kodeksu praw cywilnych i kryminalnych Stanisława Augusta.“* Jedno z nich zawiera prospekt prawa karnego p. t. *„O winach, zbrodniach i karach“*, drugie ma tytuł *„O prawie kryminalném“* i podaje zasady w przedmiocie unormowania najważniejszych stosunków, wchodzących w skład tego procesu. Oba te pisma wydał i opatrzył odpowiedniemi uwagami Dr Ostrożyński w rozprawie drukowanéj w XXV tomie rozpraw i sprawozdań Wydziału filozoficzno-historycznego Akademii umiejętności w Krakowie, p. t. *Ostatni projekt prawa i procesu karnego w Polsce“* (1890), a praca D-ra Ostrożyńskiego dała właśnie D-rowi Krzymuskiemu powód do zajęcia się wspomnianemi wyżéj pismami Szymanowskiego i uczynienia ich przedmiotem samodzielnego rozbioru.

— Na posiedzeniu z d. 12 Czerwca, któremu przewodniczył prof. F. Zoll, profesor Dr R. Ulanowski złożył treść swéj pracy p. t. *„Geneza Statutów Kazimierza Wielkiego.“*

Statutami Kazimierza W. zajmowali się kolejno: Lelewel, Kownacki, Bandtkie, Hube, Helcel, Stadnicki i kilku innych badaczów, ale nikt wytrwaléj od senatora Hubego, który w każdym kierunku tyle zdziałał dla historyi prawa polskiego. Mimo to jednak, dotychczas osiągnięte rezultaty zadowolnić nie mogą. Hube obalił hypotezę Helcla, tak samo, jak Helcel przed nim szczęśliwie polemizował ze swymi poprzednikami; ale to, co w zamian Hube o genezie statutów Kazimierzowskich twierdzi, choć mniéj naciągnięte, pewném jednakże nie jest. W ogólności powiedzieć można, że tak Helcel, jak Hube, zanadto byli pod wpływem tradycyi, przypisującéj Kazimierzowi W. kodyfikacyę prawa ziemskiego w dzielnicy Mało i Wielkopolskiéj, aby którykolwiek z tych znakomitych badaczów mógł z całą swobodą i bezstronnością z zadania się wywiązać. Stanowisko, zajmowane przez wymienionych uczonych, wpłynęło oczywiście także na sposób, w jaki każdy z nich opracował sam tekst statutów. Rozpatrując się dzisiaj w znanych rękopisach statutów Kazimierzowskich, oraz w uskutecznionych na ich podstawie edycyach, dochodzimy do przekonania, że t. zw. krytyczne wydania statutów nie odtwarzają bynajmniéj ściśle tekstów, zawartych w najlepszych kodeksach, lecz noszą na sobie wyraźne piętno indywidualnych zapatrywań wydawców; do badań prof. Ulanowskiego najbardziéj przydatnemi były przedruki rękopisu B IV przez Bandtkiego i kodeksu Floryańskiego przez Ireczka, jako dokładne kopie dwóch rozmaitych układów.

Przystępując do ponownego opracowania przedmiotu, autor oddziela kwestyę genezy statutów od ustalenia ich tekstu. Téj drugiéj części pracy będzie można dopiero dokonać po ogłoszeniu najważniejszych rękopisów i po zebraniu materyałów do ostatecznego wydania zabytków, które przywykliśmy nazywać statutami Kazimierza W. Na razie Dr Ulanowski poświęca swoją uwagę sprawie wyświecenia, kiedy i w jakich warunkach statuty te zostały zredagowane. Najprzód tedy autor zastanawia się nad władzą ustawodawczą w Polsce w XIV wieku, następnie nad temi zabytkami, które nazywamy statutami Kazimierza W. i wyraża wątpliwość, ażeby król wydawać mógł w XIV w. tak obszerne statuty, oraz żeby ogłaszał jeden statut Małopolski, wspólny dla ziemi Krakowskiéj i Sandomierskiéj; łatwiejszą już byłaby do wytłómaczenia egzystencya statutu Wielkopolskiego, obowiązującego w ziemiach: Poznańskiéj, Gnieznieńskiéj i Kaliskiéj.

Autor, chcąc sprawdzić, o ile wątpliwości jego są uzasadnione, uciekł się do rękopisów i doszedł do rezultatów odmiennych od zdania senatora Hubego, co do genezy statutu Małopolskiego. Nie odmawiając królowi wpływu na wydawanie poszczególnych statutów, kładzie jednak prof. Ulanowski główny nacisk na działalność w tym

względzie wieców, a co się tyczy całości, to widzi w nich prace prywatne notaryuszów, którym ze względów technicznych zależało nietylko na zbieraniu ustaw, ale także na ujednostajnieniu prawa we wszystkich ziemiach, gdzie istniały odrębne sądy.

Badanie statutu Wielkopolskiego utrudnia brak rękopisów, któreby sam statut zawierały; ostatecznie, zdaniem autora, statut Wielkopolski powstał podobnie jak Małopolski, ale znacznie później, i to pod wpływem kompilacyi statutów krakowskich i sandomierskich, które notaryusze przywozili z sobą do Wielkopolski.

Kończąc, wyraża prof. Ulanowski mniemanie, że sława, jaką sobie Kazimierz W. zdobył w historyi, jako ustawodawca, nie może ucierpieć nawet w razie, jeśliby wywody autora w części lub całości uznano za słuszne. Notaryusze, przypisując dokonane przez siebie kompilacye Kazimierzowi W., w części tylko mijali się z prawdą. Materyał, z którego czerpali, pochodził przecież albo z ustaw królewskich lub wiecowych, albo nareszcie z wyroków; wiece zaś, czy wydając ustawy, czy wymierzając sprawiedliwość, czyniły to w imieniu i w zastępstwie królewskiém.

— Do Biblioteki pisarzów polskich, wydawanéj przez Akademię Umiejętności w Krakowie, przybyła: „Krzysztofa Putzmana Historyja barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi 1551.“ Jest to dokonany staraniem D-ra Z. Celichowskiego przedruk unikatu z biblioteki Kórnickiéj, stanowiący interesujący przyczynek do literatury popularnéj z XVI w. Krzysztof Putzman, Krakowczyk „na posługach i na dworze Jego M. Pana Bielickiego“, uskutecznił widocznie przeróbkę jakiegoś nieznanego obcego utworu, opartego na Piśmie św. Książeczka ozdobiona jest w oryginale pięciu drzeworytami.

— *Berka Aleksander.* „Słownik kaszubski porównawczy.“ Warszawa, 1891.

— *H. von Samson-Himmelstjerna:* „Revanche ou ligue douanière.“ Fribourg. i. B. 1891.

Polityka ekonomiczna Europy zachodniéj, prowadzona obecnie przez wielkie państwo, a polegająca na systemie ceł importowych, dała autorowi poważnéj broszury broń do ręki. Zastanawiając się nad rezultatami i postulatami kongresu rolniczego, który odbył się w Wiedniu, autor przychodzi do wniosku, że dalsza polityka, prowadząca tylko do podwyższenia cen na produkta zbożowe i w wysokich cenach upatrująca zbawienie, jest w gruncie rzeczy złem, a cała walka celna nie ma najmniejszego praktycznego znaczenia. Wysokie cła zaradzają chwilowo potrzebom gotówki państwa, ale ubożą ludność

wogóle, gdyż niéma prawidłowego stosunku między płacą zarobkową a wytwórczością produktów spożywczych. W celu zaradzenia złemu, autor proponuje utworzenie związku celnego państw zachodnio-europejskich, który mógłby zażegnać wszelkie kryzysy i kłopoty, mające źródło swoje we współzawodnictwie Ameryki i Australii. Bliższego określenia, w jaki sposób radykalna kuracya ekonomiczna może być przeprowadzoną, autor nie podaje.

Upatrując przeszkodę do utworzenia europejskiego związku celnego w niemożności zbliżenia się Francyi z Niemcami, autor wysuwa na pierwszy plan kwestyę polityki. Radzi mianowicie Francyi wyrzéc się Alzacyi i Lotaryngii,—tembardziéj, że jakoby prowincye te zadowolone są zupełnie z rządów niemieckich,—i w ten sposób przyczynić się do ułatwienia zawarcia ligi celnéj.

— *Edouard Drumont.* „Le testament d'un antisémite.“ Paris, 1891, p. 456.

Po napisaniu kilku sensacyjnych dzieł w kwestyi żydowskiéj, autor w niniejszéj książce oddaje się nader pessymistycznym rozmyślaniom, w gruncie rzeczy niemającym związku z kwestyą żydowską. Autor wkracza w dziedzinę, że tak powiem, tajemnic domowych, zarówno pojedyńczych ludzi, jak korporacyi i stanów, napada z niesłychaną zjadliwością na różne stronnictwa, zarówno Bulanżystów, jak republikanów, obrzuca żółcią mieszczaństwo, arystokracyę a nawet duchowieństwo, któremu najwięcéj miejsca poświęca. Całe społeczeństwo francuskie napastuje z ironią gryzącą, wypełniając całe dzieło plotkami i oszczerstwami, wiążąc cały ten chaos wiadomości refleksyami na temat antysemityzmu. Dzieło całe napisane w tonie łającym. Autor powraca do nienawistnych mu osobistości—do Rotszyldów, Meiera, Erlangera, ale też nie przebacza Lessepsowi, którego nazywa „królem oszustów.“

— *Bilczewski Józef ksiądz dr.* „Archeologia chrześciańska wobec historyi kościoła i dogmatu.“ Z 8-ma illustracyami w tekście i 2-ma tablicami. Kraków, 1890.

— *Borzemski Antoni.* „Kronika Miechowity“, rozbiór krytyczny. Kraków, 1890.

— *Górski Konstanty.* „Sztuka wojenna w Polsce za Zygmuntów.“ Warszawa, 1891.

— *Bronisław Dembiński.* „Upadek rycerstwa“ — odczyt wygłoszony w Warszawie w Ratuszu na dochód Osad rolnych.

— *Tadeusz Sternal.* „O autorze *Dyaryusza* z lat 1696—1697.“ Lwów, 1891.

— *Skrzyńska K.* „Kobieta w pieśni ludowéj.“ Biblioteka „Wisły“, Tom VIII. Warszawa, 1891.

— *Świeżawski (Sulimczyk Ernest) i Wenda Kazimierz.* „Wojciech Oczko, syfilidolog polski XVI w.“ Odbitka z Pamiętnika Tow. Lekar. Warsz. Warszawa, 1891.

— *Ingram John Kells dr.* „Historya ekonomii politycznéj“, przełożyła z angielskiego Zofia Daszyńska. Warszawa, 1891.

— *Głąbiński Stan. dr.* „Pojęcia nauki skarbowéj. Teorya i praktyka skarbowa.“ Lwów, 1890.

— *Bełza Stanisław.* „O upadłościach i bankructwach.“ Wykład księgi III éj obowiązującego kodeksu handlowego. T. I. (Artykuły 437—485). Kraków. Nakład Gebethnera i Spółki. 1891.

— *Celichowski A.* „Nauka czytania i pisania według zasad za najlepsze uznanych.“ Wydanie II. Warszawa, 1891.

— *Roszkowska Zofia.* „System Froebla. Stopniowanie wyższéj nauki. Zatrudnienie i zabawa dla dzieci w domu i w zakładach Froeblowskich.“ Warszawa, 1891.

— *Gwiaździc.* „Rozmowy u starego Stacha o wzajemnych stosunkach sług i gospodarzy.“ Warszawa, 1891.

— *Lombroso C.* „Człowiek-zbrodniarz w stosunku do antropologii, jurysprudencyi i dyscypliny więziennéj.“ Zbrodniarz urodzony. Obłąkaniec zmysłu moralnego. Z włoskiego przełożył J. L. Popławski. Tom I. Warszawa 1891.

— *Polikier B. dr.* „O poszukiwaniach Brown-Sequarda nad działaniem płynu jądrowego oraz jajnikowego i o sperminie.“ Warszawa, 1891.

Kneipp Sebastyan ks. „Moje leczenie wodą na podstawie 30-letniego doświadczenia, napisane dla leczenia chorób i utrzymania zdrowia. Przełożył J. A. Łukaszewicz. Kempten (w Bawaryi) 1891.

— *Grossel J.* „O zawrocie głowy, zależnym od zmian w naczyniach, oraz o stwardnieniu tętnic w ogólności.“ (Odczyty kliniczne, serya III). Warszawa, 1891.

— *Rydygier L.* „O leczeniu ran.“ (Odczyty kliniczne. Serya III, zeszyt 3). Warszawa, 1891.

— *Broniewski.* „O wytrzymałości i bezpieczeństwie mrówek.“ Warszawa, 1890.

Kadyi Henryk dr. „O potrzebie zasadniczéj reformy studyów weterynaryi.“ Lwów, 1890.

— *Jastrzębowski L.* „Warunki dochodności z uprawy kartofli.“ Warszawa, 1891.

— *Bogucki Adolf.* „Prawidłowy sposób zasiewu i hodowli morwy.“ Warszawa, 1891.

— *Nowicki M. dr.* „O wzorowym sposobie hodowania karpia w stawach, zaprowadzonym przez Tomasza Dubischa.“ Warszawa, 1891.

— *Ślaski J. i Wasilkowski F.* „Tablice dla użytku chemików przy cukrowniach, zawierające obliczone ilości cukru i niecukru, jakotéż współczynniki czystości soków burakowych o gęstości od 8—21 Brix'a. Kijów, 1890.

— *Stanisław Belza.* „Za Apeninami“ (wiązka wspomnień podróżnych). Kraków. Gebethner i S-ka, 1890.

— *Rawita Fr.* „Poszukiwacze szczęścia.“ Powieść współczesna. Kraków, 1891.

— *Artur Lewandowski.* „Na gołoledzi“, powieść. Nakład księgarni Centnerszwera. 1891.

Myriel J. „Miś“, powieść w 3-ch częściach. Warszawa, 1891.

Kasprowicz Jan. „Świat się kończy“, dramat z życia ludu wielkopolskiego, w 5-ciu odsłonach. Lwów, 1890.

— *Sudermann Herman.* „Honor“, dramat w 4-ch aktach. Warszawa, 1891.

— Zeszyt 3 tomu III„ Prac filologicznych“, wydawanych kosztem Kassy imienia Mianowskiego, zawiera: Kaliny Antoniego „Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiéj“ (dokończenie); „Prostych ludzi w wierze nauka“; Ciszewskiego St. „Przyczynek do słownictwa polskiego“; Baudouina de Courtenay: „O zadaniach językoznawstwa“,

„O ogólnych przyczynach zmian językowych“ i „Jedna z kwestyi spornych pisowni polskiéj“; Przyborowskiego J.: „Formulae colloquiorum“; Kryńskiego Ad. Ant.: „Żywot Ś-téj Eufrazyi, zabytek języka polskiego z r. 1524“; Brücknera A.: „Głosy wrocławskie“ i „Trzy rękopisy z wieku XVI“ oraz „Kazania Świętokrzyskie“; Ziemby J. S. „Słownik prowincyonalizmów powiatu będzińskiego“; Berki Al. „Słownik kaszubski porównawczy“ i Malinowskiego L.: „Studya nad etymologią ludową“ (dokończenie).

— Część druga Tomu III „Dziejów literatury nowożytnéj“, wydawanéj nakładem S. Lewentala, wyszła z druku i zawiera: Literaturę angielską, Feliksa Jezierskiego; Literaturę niemiecką w wieku XVI i XVII przez D-ra A. Zippera i Literatury słowiańskie Bronisława Grabowskiego.

— Roczników Poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk wyszedł Zeszyt 2 Tomu XVII i zawiera: Dicksteina S. „Foronomia Wrońskiego“; J. Zakrzewskiego „Bitwa pod Grunwaldem“; Józefa Tyszkiewicza „Podręcznik numizmatyczny“ (1506—1795); „Wyjątki z listów z Boliwii“ Józefa Jackowskiego; Michała Witanowskiego: „Historya miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego“; Bolesława Trepki: „Urywek z księgi rozchodów podrzęctwa niepołomickiego (1388—1389).“

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:
Józef Weyssenhoff.

INTRYGA SALOMONKA

Kartka z dziejów Jana Mazepy.

Mikołaj Kostomarów: „*Mazepa i Mazepińcy*". Petersburg 1885. — Paczka rękopisów współczesnych, odnoszących się do sprawy Salomonka, pochodzących z kancelaryi podkanclerzego lit. Antoniego Szczuki.

I.

Świetna karyera otwarła się dla dawnego pazia króla Jana Kazimierza z chwilą, kiedy został hetmanem Zaporoskim Ukrainy nadnieprzańskiéj. Świetna dlatego, że splynął na niego najwższy zaszczyt, jaki mógł spaść na kozaka, skoro hetman mógł nie bez słuszności powiedzieć o sobie, że „jest mało co mniejszą osobistością od króla Polskiego", przy którego drzwiach od sypialni niegdyś stawał i sypiał; świetna także dlatego, że godność ta otwierała zawsze szerokie pole do dostatków i bogactw. Korzyści materyalne, jakie plynęły z posiadania buławy, nie musiały być tak małe, kiedy wszyscy hetmani kozaccy zostawiali po sobie grube majątki.

Jeżeli Jan Mazepa przebiegł myślą tak skromną fortunę swoją, od chwili, gdy był na dworze J. Kazimierza i Maryi Ludwiki, kiedy potém podróżował po Europie z Marcinem Kąckim, jeśli sobie przypomniał wstydliwą i bolesną awanturę z Falbowskim na Wołyniu, poczém zerwał zupełnie z Polską i oddał się sercem i duszą kozaczyźnie; musiał z dumą i zadowoleniem chwycić za tę buławę, sadzoną drogiemi kamieniami, widzieć wkoło siebie klejnoty hetmańskie, cho-

rągiew, kotły i buńczuk, z których mu daném było korzystać przez blisko dwadzieścia lat.

Że jednak niéma szczęścia bez zgryzot, a róż bez kolców, więc i hetman wojska Zaporoskiego ujrzał niebawem zaciągające chmury na jasném niebie swego hetmaństwa i niezadługo przekonać się był zmuszony, jak trudném było zadanie przodowania téj kozaczyźnie, któréj niesforne i wiecznie gotowe do buntu żywioły nurtowały jego popularność, szarpały mu spokój, a korzystając z jego trudnego i dwuznacznego stanowiska politycznego, uderzały w każdą słabiznę, narażając go na przykrości i ubliżające jego godności tłómaczenia, nie bardzo licujące z powagą przedstawiciela kozaczyzny.

Wyklula się nawet przeciwko Mazepie w półtrzecia roku po jego wyborze polityczna, na szerszą skalę obmyślana, intryga, śmiała, lubo dość zresztą niezręczna, która, jak pp. późniejsza, za czasów Stanisława Augusta, Dugrumowéj, nabrała rozgłosu skutkiem wciągnięcia do niéj takich osobistości, jak samego króla Jana III, biskupa J. Szumlańskiego, w Moskwie zaś kilku znaczniejszych figur, znanych w dziejach Piotra Wielkiego. Niéma téż historyka Mazepy, który-by nie potrącił o tę niefortunną intrygę; nikt jednak dotychczas, zapewne z powodu braku odpowiednich materyałów, nie zdołał rozwikłać ciemnéj i zagadkowéj sprawy. W obszernem dziele swojém p. t. „Historya Piotra Wielkiego“ russki historyk Ustrjałów mylnie przedstawia głośny epizod z dziejów Mazepy, dochodzi téż do błędnych wniosków. Intrygą Salomonka zajmuje się także powołany na wstępie historyk, Mikołaj Kostomarów, w obszernéj monografii swojéj, ale i ten, lubo rozporządzał obfitym materyałem rękopiśmiennym z archiwów Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości w Moskwie, poczytuje sobie za obowiązek nadmienić, że sprawa czerńca Salomona, o któréj zresztą obszernie się rozpisuje, została dotychczas niewyjaśnioną i zagadkową [1]). Taką byla-by rzeczywiście i dla nas także, gdyby nie szczęśliwa okoliczność, która pozwoliła nam wejrzéć w tę sprawę dokładniéj, a mianowicie za pomocą autentycznych współczesnych dowodów. Materyał, jaki mamy pod ręką, pozwala nam rzucić na to całe zajście tyle światła, abyśmy mogli wykazać sprężyny, jakiemi się posługiwali nieprzyjaciele J. Mazepy, chcąc go zgubić w oczach russkiego dworu i strącić z tego piedestału, na jaki ten zręczny i zabiegliwy człowiek się wspiął, przyczyniwszy się sam poprzednio w znacznéj części do podkopania stanowiska swego poprzed-

[1]) Patrz: Dr Antoni J. „Opowiadania“ serya czwarta t. III z dziejów Polesia str. 365 — 6, oraz Ustrjałów: „Istoria carstwowania Pietra Welikago“. Petersburg, 1858, str. 478—485.

nika, sposobami wprawdzie niezupełnie godziwemi, ale niemniéj leżącemi jak najzupełniéj w tradycyach kozactwa, lubującego się wiecznie w denuncyacych, oskarżeniach i wzajemnych udzierkach.

Podobno już w r. 1674, a więc w czasach, kiedy kozacy prawobrzeżnéj Ukrainy uciekli się pod protektorat turecki, Mazepa, należący do starszyzny Piotra Doroszenki, atamana czechryńskiego, zaczął w Moskwie skarbić sobie łaski bojarów. Już wtedy miał on rzucać podejrzenia na Samojłowicza, a sam jednocześnie nadstawiał się, jako pokorne narzędzie polityczne po obu brzegach Dniepru. Zaloty te i umizgi trwały prawdopodobnie dłuższy czas; potém przechodzi on na drugą stronę Dniepru, widzimy go wojskowym towarzyszem Popeńki t. j. Samojłowicza, potém generalnym asawułą, a w końcu jego następcą po buławie, dzięki protekcyi wszechwładnego i ulubionego ministra carownéj Zofii (w czasie małoletności carewiczów), Wasyla Golicyna.

Strącenie Iwana Samojłowicza z tych wyżyn, na które się miał wspiąć jego generalny asawuła, przyszło zresztą bez większych trudności. Hetman Samojłowicz był ogólnie znienawidzonym. Zarzucano mu, że się pyszni, przedewszystkiém zaś, że drze łyka z kozaków, gromadzi skarby dla siebie i najbliższéj swojéj rodziny. Jeśli wierzyć skargom całéj starszyzny, przedajność kwitła w Baturynie i dokuczyła wszystkim do tego stopnia, że, wskutek ogólnych skarg, Golicyn uznał za konieczne aresztować Popeńkę i odesłać go do Moskwy, zkąd, po przeprowadzeniu śledztwa, wysłanym był do Niżnego-Nowogrodu, a ztamtąd jeszcze daléj.

W końcu Lipca 1687 r., a więc blisko w rok po zawarciu pokoju Grzymułtowskiego, Samojłowicz złożonym był z urzędu, a zaraz potém odbył się wybór jego następcy, pod przewodnictwem Golicyna, w obozie nad rzeką Kołomakiem. Czerń kozacka okrzyknęła hetmanem Mazepę, nastąpiły zwykłe w razach takich ceremonie, poczém nowokreowany dygnitarz zjechał do Baturyna, rezydencyi swoich poprzedników. Spieszno mu było objąć buławę zadnieprską w posiadanie, albowiem teraz nastąpić miał rozdział majątku po Samojłowiczu, majątku, jak powiedzieliśmy, zgromadzonego w sposób niezupełnie godziwy, ale leżący także w tradycyach kozactwa, bardzo zawsze chciwego na korzyści pieniężne i dostatki. Według zwyczaju, połowa fortuny skonfiskowanéj kozakowi szła do skarbu carskiego. A było czém się dzielić, bo Samojło zostawił znaczną gotówkę, bogatą odzież, broń i rozmaitego gatunku bogactwa. Ile dostał z tego Mazepa, nie wiemy, najpewniéj się obłowił; część zapewne rozdrapało otoczenie Mazepy; dość, że zdaje się, iż najgorzéj na tém wyszedł skarb carski, jak tego zresztą przy bezładnéj i swywolnéj gospodarce koza-

ckiéj spodziewać się można było. Za to kn. Wasyl Golicyn nie wyszedł z próżnemi rękami; ten człowiek przedajny opuścił Baturyn z bardzo znaczną, jak na owe czasy, łapówką w kieszeni, bo z gotowizną, przyniesioną mu „w podarunku“ od szczęśliwego spadkobiercy, w kwocie dziesięciu tysięcy rubli. Z relacyi, jaką podaje M. Kostomarów, wypływa, że Golicyn wymusił po prostu na Mazepie rzeczoną sumę pieniężną.

O ile więc początek dobrze się zapowiadał dla wybrańca kozaczyzny, o tyle wkrótce potém, jak nadmieniliśmy, kiedy ucichły uroczystości wyboru, hetman przekonać się musiał, jak przykry i dokuczliwy ciężar wziął na barki swoje. Na Zaporożu, na Ukrainie saméj, ciągle były powody do niepokojów, buntów i nieposłuszeństwa dla władzy hetmańskiéj. Z tém jeszcze było pół biedy, ale nowobrany musiał miéć się na baczności przed dawnymi wspólnikami, czy też przyjaciołmi Samojłowicza, liczącymi widocznie jeszcze na możliwość powrotu, musiał liczyć się z konkurentami, których w pamiętnym dniu prześcignął. Zwolenników dawnego porządku było jeszcze tylu, iż mogli zatruwać życie naszemu hetmanowi, a więc w pierwszym rzędzie: krewny Popeńki, były hadziacki półkownik, Michał Halicki, mieszkający teraz w futorze swoim na Ukrainie Słobodzkiéj (zadnieprzańskiéj); potém przyjaciel także, Połubotek, obaj psy wieszający na hetmanie, obaj zażarci i ztąd mocno podejrzani; wreszcie, najmniéj może przedsiębiorczy, ale także intrygujący, kniaź Jerzy Czetwertyński, zięć Samojłowicza. Czetwertyński, wmieszany do upadku swego teścia, skazany był na lżejszą karę, t. j. na mieszkanie pod nadzorem w Moskwie, tam szczuł na Mazepę i ten ostatni o tém wiedział. Przyszło nawet do tego, że hetman, zmuszony oganiać się przed nieprzyjaciółmi, udawał się listownie do Golicyna, skarżąc się, iż słyszał, że Czetwertyński rozpowiada o nim nieprzyzwoite rzeczy, że chwali się, jako byłego hetmana postawi znowu na hetmańskim urzędzie, a wtedy ten potrafi oddać wet za wet wrogom swoim. Nadmienił przy tém hetman, że prystaw, który ma polecenie pilnować Czetwertyńskiego, niedbale wypełnia swoje zadanie, „bo ciągle z nim pije“...

Niepokój, jakiego doświadczał hetman baturyński, doprowadzał go do tego, że, jak to się zdarza w razach takich, rzucał nawet podejrzenia nieżyczliwości na takich, którzy byli dlań przyjaznymi, i tym sposobem, zamiast zjednywać sobie zwolenników, owszem przysparzał malkontentów. Mazepa, czy dlatego, że niezręcznie postępował, czy też że głęboko sięgająca demoralizacya i rozkład, nurtujące kozaczyznę, tak już były zakorzenione, że nie było prawie sposobu oczyścić téj dusznéj atmosfery zdrady, podejrzeń i denuncyacyi, dość, że wpadał teraz w te same dołki, jakie kopał pod swoim po-

przednikiem. To mu psuło fantazyę, nie dozwalało zażywać spokojnie słodyczy dostatniego żywota, do którego pewno wzdychał w marzeniach swoich, nadewszystko zaś szarpania te rzucały na jego stosunek do dworu carskiego cień nieufności i gnębiły jego kozacką ambicyę.

Zaczęły się więc sypać denuncyacye. Obracały się one zwykle około jednych i tych samych zarzutów: że hetman jest w gruncie duszy Polakiem, że przygotowuje sobie zawczasu majątki w Polsce, że prosił np. ojca szwagra swego, Wojnarowskiego, starostę ziemskiego Włodzimierskiego (na Wołyniu), aby osiedlał ludnością wieś Mazepińce, gdzie się Mazepa urodził, i t. d. Była to zawsze jedna i ta sama piosnka. Mazepa posiadał rzeczywiście niedaleko Białocerkwi, za rzeką Kamionką, majątek rodzinny, gdzie przemieszkiwał kiedyś jego ojciec, podczaszy czernihowski, co pamiętał jeszcze Władysława IV. Być może więc, że syn czynił jakie starania celem podniesienia wartości Mazepiniec przez kolonizacyę, w czém szedł za przykładem tylu panów i szlachty, korzystając skrzętnie z prądu emigracyjnego, kierującego się naówczas z różnych stron na żyzną a z rzadka zamieszkałą Ukrainę.

Druga taka zjadliwa denuncyacya przyszła z Putywla. W oskarżeniu tém przwiedziano było znowu, że hetman znosi się potajemnie z Polakami, że kupuje majątki w Polsce i t. d. i t. d. W. Golicyn, widocznie jak najlepiéj usposobiony dla swego protegowanego, odesłał mu denuncyanta, aby był ukarany więzieniem. Widocznem było jednak, że Mazepa nie cieszył się wielką popularnością za Dnieprem, przeszłość jego i stosunki rodzinne, jakie go łączyły z Polską, ciążyły nad nim jak zmora i podawały przebiegłym a skrytym wrogom broń w rękę, zaczepki nie mało go też frasowały. Mazepa miał jeszcze siostrę, która za trzecim mężem była za Polakiem, Wojnarowskim, i mieszkała prawdopodobnie gdzieś na Wołyniu. „Pani Matka“ zaś hetmana, t. j. matka żony, staruszka, była inumenką Kijowskiego peczerskiego monasteru, pod imieniem Magdaleny.

Fatalność jeszcze chciała, że z drugiéj strony Dniepru, a raczéj w Koronie, u kilku domorosłych polityków, mianowicie u biskupa lwowskiego (w głębi duszy nawróconego do unii) Józefa Szumlańskiego, elekcya nowego hetmana obudziła, jak się zdaje, nadzieje, zresztą całkiem nieuzasadnione.

Powiedzieliśmy powyżéj, że metropolita Kijowski, Gedeon, był związany węzłami przyjaźni z Samojłowiczem i że teraz stanął w rzędzie mniéj lub więcéj otwarcie działających wrogów nowego wodza kozaków. Otóż biskup Szumlański także rościł sobie prawa do tytułu metropolity Kijowskiego, używał nawet tego tytułu, gdyż miał

pod swoją juryzdykcyą Ukrainę prawobrzeżną, gdzie trzymał namiestnika. Aspiracye swe do metropolii łączył biskup z programem religijnym, wręcz przeciwnym (a dopiero w r. 1700 jawnie postawionym). Nie zdaje się nam więc nieprawdopodobném, że oddany Polsce władyka lwowski, jak niegdyć pracował przez posłów i osobiście w Czehrynie nad Piotrem Doroszenką, chcąc go przeciągnąć do unii, tak teraz uznawał chwilę za korzystną dla siebie i myślą nieraz do ulubionego programu się zwracał. Czy miał pod tym względem sformułowane jakie kombinacye?—nie wiemy, to tylko pewna, że skoro mu postawiono polapkę, wpadł w nią dość nieoględnie, na to, aby się niebawem przekonać, że się dał wywieść w pole przez zwyczajnego — intryganta.

II.

Na wiosnę 1689 r. przedsiębrała Rossya kampanię przeciwko Tatarom. Nawoływania świętéj ligi, korzystna chwila, zachęcająca do zadania śmiertelnego ciosu niebezpiecznemu sąsiadowi a lennikowi sułtana, porażki, jakie półksiężyc ponosił od r. 1683, wpłynęły na decyzyę zrobienia „dywersyi“, t. j. ekspedycyi wojennéj do Krymu. Wojskami russkiemi miał dowodzić ks. Golicyn, naturalnie ze współudziałem wojsk kozackich, zawsze chętnych, kiedy szło o wyprawę na Tatarów. Do długich przygotowań wojennych należało przedewszystkiém spalenie na jesieni trawy w stepach, tak, aby wojska na wiosnę po pierwszéj zieleni postępowały i nie odczuwały dotkliwego braku paszy. Rady téj, podanéj przez doświadczonych kozaków, nie usłuchano. Wyprawa puściła się lewą stroną Dniepru, w zamiarze spustoszenia Perekopu. W d. 24 Maja wojska russkie i chorągwie Mazepy dotarły do Zielonéj Doliny i tam się dowiedziano, zasięgnąwszy języka, że han krymski stoi nad rzeką Kałanczakiem, orda zaś rozłożyła się w Czarnéj Dolinie. Niebawem téż pokazała się orda, zaszły małe potyczki nierozstrzygające i bez większego znaczenia. W kilka dni późniéj, wojska połączone doszły do Czarnéj Doliny, gdzie ukazał się han z całém wojskiem swojém. Bitwa, którą wydali perekopcy, wypadła niekorzystnie dla russkich; mimo to Tatarzy cofnęli się, kupiąc siły swoje około samego Perekopu. Cała okolica była spaloną do szczętu, pochód żołnierza i bez tego bardzo uciążliwym; Golicyn donosił téż do Moskwy, że zapasy się wyczerpały, a wody do picia braknie.

Natomiast współczesni świadkowie twierdzą, że kniaź fałszywe posyłał raporty; dość na tém, iż w stanowczéj chwili, kiedy miały się

rozstrzygnąć losy kampanii, a wojska spodziewały się wejść do Perekopu, Golicyn wszedł w układy z hanem i cofnął się. Wiarogodne źródła dowodzą, iż faworyt wziął od hana okup w postaci dwóch beczek dukatów (tak przynajmniej twierdzi Patryk Gordon, świadek naoczny, oficer russki, który niegdyś był w służbie u Jana Kazimierza), poczém wrócił na Ukrainę, aby wojsko rozpuścić. Mazepa, zdaje się, nie był w tę brudną sprawę wmieszanym; dyplomatyzował, nie chciał się narażać, patrzył przez szpary na sprawki swego przełożonego, i w saméj rzeczy innéj roli nie był w możności odgrywać, jeżeli nie chciał narażać swego stanowiska. Kiedy Golicyn posłał do niego z zapytaniem, czy układy toczące się z hanem nie będą hasłem buntu dla kozaków, zażartych wrogów ordy, Mazepa odpowiedział wymijająco, objaśniając, że wprawdzie kozacy są niezadowoleni, ale prawdopodobnie się nie zbuntują. Być wreszcie może, że Mazepa ubocznie i ostrożnie, bez brania na siebie odpowiedzialności, starał się o to, aby w Moskwie byli nieco dokładniéj poinformowani o przedajności naczelnego wodza; gdyż niebawem ujrzymy W. W. Golicyna silnie skompromitowanym, kredyt zaś Mazepy lepiéj jeszcze ugruntowanym, jego samego przyjmowanym ostentacyjnie, jakby dla oddalenia przypuszczenia, iż wina nie dość pomyślnego przebiegu kampanii na niego także spaść może. Nie może ulegać żadnéj wątpliwości, iż hetman musiał być z takiego obrotu wyprawy krymskiéj mocno niezadowolonym; wojsko kozackie, stojące u szczytu marzeń swoich, spodziewające się zniszczenia i zrabowania Perekopu, szemrało, być może nawet, że przypisywało część winy dowódcy swemu. Dość, że prawdziwe wiadomości o „dywersyi“ trafiły do uszu młodego, ale bystrego i energicznego, carewicza Piotra, który krzywém okiem spoglądać począł na ulubieńca swojéj siostry i już wtedy przemyśliwał, wraz z oddanymi mu bojarami i patryarchą, nad pochwyceniem władzy naczelnéj w swoje ręce. Polegająca zupełnie na ministrze swoim, carewna Zofia, przywitała faworyta z wszelkiemi honorami, pochód do Krymu przedstawionym był jako szereg zwycięskich potyczek z nieprzyjacielem, a uczestnicy wyprawy otrzymywali nawet hojne podarunki.

Wspomnieliśmy o téj ekspedycyi dlatego, że ona pewien związek ma z późniejszą intrygą, uknutą przeciwko Mazepie.

W Sierpniu tegoż roku przyszło do jawnéj i gwałtownéj różnicy zdań między carewiczem Piotrem, a carewną Zofią. Zjawił się naówczas Mazepa, po raz pierwszy po doręczeniu mu buławy, w Moskwie. Liczny orszak, jaki go otaczał, pewien aparat świetności, rozwinięty przy téj sposobności, dodawały mu uroku. Trafił na chwilę zamachu stanu, kiedy Piotr stanął sam na czele rządu. Tłómaczenia

Golicyna nie zostały przyjęte; wszechwładny dotychczas bojaryn skazany był na wygnanie na Sybir. Zupełnie inaczéj postąpił Piotr z atamanem: pogłaskał go, ostentacyjnie wyróżniał, okazując wyraźnie, jak wysoko sobie ceni przyjaźń i wierność kozaków. Pierwsze wrażenie, jakie wyniósł Piotr ze spotkania się z Mazepą, musiało być niezwykle korzystném, gdyż utrzymało się długo niewzruszoném, nawet w późniejszych czasach, wtedy, kiedy były poszlaki, że hetman zaczyna chwiać się w uczuciach dotychczasowéj uległości i posłuszeństwa. Ośmielony powodzeniem, skarżył się baturyński gość na zdzierstwa Golicyna, opowiadał, jak ciągnął z niego „podarki". Bezpośredniém następstwem zbliżenia tego były obszerniejsze umowy z Piotrem co do spraw kozackich, przy czém mowa była i o kłopotach, jakich przysparza kozaczyzna, wiecznie niaspokojna, a zwłaszcza Zaporożcy, posyłający do Warszawy o pomoc przeciwko wkraczającemu w sfery ich interesów północnemu sąsiadowi, działającemu na podstawie pokoju Grzymułtowskiego

Ugruntowanie stanowiska u młodego władcy Rossyi i kilkumiesięczny pobyt w Moskwie nie przeszkodziły przecież temu, że na nowo zaczęły ukazywać się oszczercze oskarżenia. Hetman Zaporoski wprawdzie domyślał się, że jego nieprzyjaciele robią kabały, ale się nie domyślał, że już wtedy uknutym był formalny, szeroko obmyślany spisek przeciwko niemu, i że daleko, bo gdzieś w Polsce, zastawiono nań chytrą zasadzkę. Tymczasem pewnego poranku zjawił się u niego p. Bazyli Iskrzycki, z listem od biskupa Szumlańskiego ze Lwowa. Pan Bazyli Iskrzycki był szlachcicem, należącym do jednéj z tych rodzin kozackich, co się trzymały wiernie Rzeczypospolitéj; miał dobra pod Kijowem i stał w randze pułkownika kozackiego, przy tém był *grata persona* w Polsce... Biskup wyrażał się ostrożnie, dyplomatycznie, ale napomykał o sprawach pierwszorzędnéj wagi, które musiały nie mało dać do myślenia w Baturynie. Wszakże tu szło o głowę. Działo się to w początkach 1690 roku.

Co tam zaszło między hetmanem a tym Iskrzyckim (który nie działał w porozumieniu ze spiskowymi) nie wiemy; domyślać się tylko możemy, że Mazepa uznał za stosowne skręcić kark téj korespondencyi, nie wyjawiać jéj, aby nie podawać broni w rękę nieprzyjaciołom swoim, ale także nie odpowiadał wcale Szumlańskiemu. Możemy łatwo domyślić się, co było w tych listach. Z jednéj strony odbijały się w nich żale po niefortunnym pokoju z r. 1686, z drugiéj strony były obietnice dla kozaczyzny zadnieprzańskiéj, horoskopy polityczne lepszéj przyszłości, opartéj na porozumieniu się z Rzplitą. Iskrzycki, który mieszkał zapewne chwilowo we Lwowie, miał majątek swój w prawobrzeżnéj (polskiéj) Ukrainie, a za Dnieprem posiadał piękne

kolligacye. Teściem jego był pułkownik Paweł Hercyk, a córkę swoją Iskrzycki wydał był za pułkownika mirgorodzkiego, Daniela Apostola. Rozmówiwszy się i oddawszy list, a czekając może na odpowiedź, p. Iskrzycki pojechał do siebie, w téj pewno intencyi, że, doczekawszy się odpowiedzi, wyśle ją lub sam z nią pojedzie do Lwowa. Tymczasem odpowiedź opóźniała się. Nie domyślał się Mazepa, że jego nieprzyjaciele, działając z obmyślonym planem, nie pozwolą ukryć kompromitującéj go, bądź co bądź, misyi z Czerwonéj Rusi. W tym samym prawie czasie, jak wypływa z porównania dat, otrzymał wojewoda kijowski, kn. Romadanowski, denuncyacyę, skierowaną znowu przeciw hetmanowi. Paszkwil ten przypominał z naciskiem, że Mazepa jest polskiego pochodzenia, że do siostry swojéj do Polski posyłał jakiegoś Lipnickiego w interesie kupna majątku, że wojsko go nie lubi i że jest wrogiem kozaków. Inna denuncyacya, nadesłana podobno z prawobrzeżnéj (polskiéj) Ukrainy, dowodziła, że teraźniejszy ataman ongi ruskich ludzi prawosławnych na Podolu i Wołyniu chwytał (za czasów P. Doroszenki), że rabował obrazy w cerkwiach; pismo to przywodziło na pamięć, jak swego pana zniesławił, godność jego objął i z funduszów zagarniętych po nim kupił siostrze majątek w Polsce; że wreszcie łączył się z Golicynem, który przeciw Piotrowi występował. Dodane były zjadliwe słowa, streszczające wyraźnie intencyę tego listu: „dokąd-że wy tego złodzieja i zatrańca trzymać będziecie? U nas w Koronie polskiéj oddawna taki zwyczaj, że źle myślących względem króla karzą śmiercią, a rodziny ich, konstytucyami sejmowemi skazane, są pod wieczną banicyą, i dlatego tylko trzyma się je przy życiu, aby drudzy, widząc hańbę, jaka na nie od Boga i Rzpltéj spadła, bali się i nie śmieli przemyśliwać złego dla swego króla. Oto i Szumlański, nasz unita, a w gruncie duszy rzymianin, objawia życzenie poddania się pod władzę patryarchy moskiewskiego, a to wszystko dlatego, aby przez swą wilczą pokorność, wstąpiwszy pod namaszczoną rękę, mógł razem ze złodziejem hetmanem przygotować zgubę naszemu tronowi".

Ta denuncyacya, także, jak widzimy, bardzo zjadliwa, a widocznie skombinowana z przybyciem Iskrzyckiego, chybiła właściwie celu. Piotr I kazał podejrzane pismo przez djaka Borysa Michajłowa doręczyć w Baturynie, przy czém djak miał wybadać prawdziwy stan rzeczy. Były więc różne domysły. Michajłow — nie wiemy na jakiéj podstawie—skierował odrazu podejrzenie autorstwa na polskiego szlachcica, Iskrzyckiego, przybyłego, jak wiemy, niedawno na lewobrzeżną Ukrainę, a który chciał widzieć się, czy téż widział z hetmanem; w braku dowodów, wskazywał także na jakiegoś duchownego, który przyjeżdżał do Kijowa w interesie cerkwi w Korsuniu.

Były to wszakże tylko czcze domysły, wyraźnych śladów jakiegoś autorstwa nie było. Mazepa wprawdzie nie wpadł także na właściwy trop, ale przecie trafniéj ocenił sytuacyę. Odpierał te domysły, twierdząc, że list ten nie był pisany w Polsce, ani w prawobrzeżnéj Ukrainie, i nie przez Polaka, ale gdzieś na lewéj stronie Dniepru, a kierując się zasadą: *is fecit cui prodest*, wskazywał w pierwszym rzędzie na Miszkę, t. j. Michała Halickiego, byłego pułkownika, który jeszcze za czasów, kiedy Mazepa był asawułą, szczuł na niego, a teraz mieszkał pozornie spokojnie w majątku swoim. Podejrzewał także kn. Jerzego Czetwertyńskiego, już ułaskawionego i siedzącego także u siebie na wsi. „Oto jeszcze (powiada) ten kn. Juryj Czetwertyński, pijanica, rozsiewa między narodem złe wieści na mój rachunek. Mówił on baturyńskiemu duchwnemu: gdzie była przedtém woda, tam znów będzie woda.... Były hetman znowu posiada carską miłość, zobaczysz, co się stanie z tymi, co go okradli!“ Djak ze swojéj strony, stosownie do danéj sobie instrukcyi, zwalał konsekwentnie podejrzenia na Iskrzyckiego.... Tak mu było powiedziano.

Na wysłanego przez lwowskiego biskupa posłańca padały tém większe podejrzenia, że w jakiś czas po Bazylim Iskrzyckim przyjeżdżał znowu szlachcic z Polski do hetmana, jakiś Domaradzki, i przywiózł od Szumlańskiego znowu taki list, że każdy, przeczytawszy go, mógł w saméj rzeczy myśléć, iż między unickim (w duszy) władyką, a Mazepą, są jakieś tajne zmowy na korzyść Polski a na szkodę caratu. Do tego w tymże liście była mowa o poprzedniéj posyłce do hetmana, przez wspomnianego wyżéj Iskrzyckiego. Lwowski władyka wyrażał się ogólnikowo ostrożnie: „Wasza Miłość już masz wiadomość od P. Iskryckiego, ale Iskrzycki nas o niczém jeszcze nie uwiadomił, czemu się dziwujemy. Albo może nowy posłaniec nasz, oddawca niniejszego pisma, będzie szczęśliwszy i przyniesie nam dobre wieści i t. d.“

Mazepa nic nie rozumiał, co ta cała korespondencya miała znaczyć. Na pierwszą, w przejrzystych ogólnikach otrzymaną korespondencyę biskupa, dostarczoną mu przez p. Bazylego Iskrzyckiego, nie odpowiedział, bojąc się cienia podejrzenia, schował ją do kieszeni, a i Iskrzycki téż się nie zgłaszał i na russką stronę Dniepru nie wracał. Wątpić zresztą bardzo trzeba, czy egoistyczny w gruncie duszy hetman miał jaką kolwiek ochotę wchodzenia w danych okolicznościach w plany i intencye religijne Szumlańskiego. Jeśli ten ostatni rzeczywiście nosił się z intencyami chwycenia, bądź co bądź, metropolii kijowskiéj w swoje ręce, co było o tyle łatwiejszém, że metropolita kijowski, Gedeon, był w otwartéj rozterce z hetmanem; to

jesteśmy przekonani, że nie byłby znalazł w oględnym Mazepie pożądanego narzędzia czy poparcia swoich zamysłów.

Druga przesyłka, za pośrednictwem Domaradzkiego, o ile była niezrozumiałą, o tyle jeszcze więcéj kompromitującą. Brzmienie powtórnego listu dawało znowu do myślenia, było zagadkowém, a wyglądało jakby ostrożna odpowiedź na rzeczy dawniéj proponowane; wprawdzie znał Szumlańskiego z Czehryna jeszcze, ale nie spodziewał się takich posyłek. Hetman zwęszył tym razem wyraźnie zdradę i podstęp, wprawdzie nie ze strony, z któréj się nie mógł czegoś podobnego spodziewać, ale z jakiejś niewidzialnéj ręki. Osądził trafnie, że najlepiéj będzie, jeśli całą rzecz, nic zważając na Szumlańskiego, jawnie będzie traktował i Domaradzkiego razem z listem biskupa do Moskwy odstawi. Nie wiedział jeszcze, że biskup Szumlański wpadł w zastawioną połapkę i o mało nie wpędził w przepaść Mazepy, używając dwóch pośredników, czy posłańców, jednego po drugim, dopraszając się o bliższe objaśnienia.

Najgorzéj na tém wyszedł biedny szlachcic Domaradzki, oddawca listu, prawdopodobnie nie wtajemniczony w całą sprawę, gdyż dostał się do więzienia. Hetman doniósł był do Moskwy o przybyciu Domaradzkiego do Baturyna, wziął szlachcica na pytki i razem ze zdjętą z niego konfesatą (nieznaną nam bliżéj) odesłał go do Moskwy.

Djak Michajłow uznał za potrzebne zwrócić uwagę hetmana:

— Wezwać-by wam trzeba (rzekł), panie hetmanie, tego Iskrzyckiego. Z nim wy-by mogli rozmówić się i wywiedzieć, kto go do was posyłał.

Trzeba było wezwać szlachcica na tę stronę Dniepru, zwabić go, bo tam, gdzie obecnie się schronił, juryzdykcya hetmana nie sięgała i ścigać go nie było można.

— Jskrzycki, (odrzekł hetman), ma tutaj teścia swego, Pawła Hercyka. Iskrzycki chciał tu jechać, ale wrócił się nazad, może dlatego, że usłyszał, jako Domaradzki został zatrzymany. Ja wezwę teścia jego, Hercyka, powiem mu, aby zięcia swego wezwał. Kiedy mi się uda zajechać Iskrzyckiego i skoro pokaże się, że jest w porozumieniu z Domaradzkim, każę go wyprowadzić za miasto w Kijowie i powiesić koło drogi, wiodącéj ku polskim grodom. Tylko napróżnoby było szukać tego, co list napisał, na polskiéj stronie, i ja, i cała starszyzna, wiemy dobrze, że to pisał Michał Halicki...

Na tém skończyła się oględna misya djaka Michajłowa, oględna i deliktna dlatego, że nie leżało wcale w interesie russkiego dworu narażać dotychczasowe dobre stosunki z kozaczyzną i jéj prowodyrem na oziębienie. Dowodzi ona wszakże, jak łatwą było rzeczą zasiać i rozdmuchać obopólną nieufność i jak najmniejszy powód

wywoływał rozdrażnienie jednéj czy drugiéj strony. Hetman już się żegnał z djakiem, zatrzymał list, o który tu chodziło, a na odjezdném, tak się wywnętrzał przed carskim gońcem:

— Podejrzewają mnie (mówił) dlatego, że ja w młodości swojéj byłem pokojowcem u poprzedniego Króla polskiego, Jana Kazimierza, i że mam w Polsce siostrę. Dlatego-to węszą u mnie skłonność na polską stronę. Prawda, w młodości mojéj, ojciec wyprawił mnie na dwór J. Kazimierza, tylko z tego nie wypływa jeszcze, abym popadł w podejrzenie. Dobrze się stało, że się nauczyłem obcować z ludźmi w otoczeniu królewskiéj osoby, a nie gdzieś w szynkach, popełniając różne bezczeście. Chociaż ja byłem przy polskim Królu, jednak potém, z własnéj chęci, przeszedłem na tę stronę Dniepru, i tu pozyskałem łaski i wszelkie dobro i dosłużyłem się godności hetmańskiéj, a z nią wszelkich dostatków i czci u J. C. Wieliczestwa, a nie u polskiego Króla... Czegóż mam sobie jeszcze życzyć? Przedtém hetmani inaczéj myśleli i zaszkodzili sobie, a ja to nieustannie mam w pamięci. A że moja siostra siedzi w Polsce, to dlatego, że ona się tam osiedliła i wracać tu nie ma po co. Przecież nietylko u mnie, hetmana, ale i u wielu innych starszyzn naszych, są krewni w Polsce. Obożny Borkowski np. ma tam rodzonego brata... na nich jednak podejrzenie nie pada. Nie trzeba mnie podejrzewać, że ja jestem życzliwy na polską stronę“.... To, co się tu powiedziało, było, (zdaniem naszém), szczerą prawdą i szło z przekonania. Z postępowania Mazepy w niespełna dwadzieścia lat późniéj, natchnionego radykalną zmianą sytuacyi politycznéj, co do jego sposobu myślenia w epoce, o któréj mówimy, zupełnie przesądzać nie można.

Starania, przedsiębrane z Baturyna, aby ściągnąć Iskrzyckiego za Dniepr, nie miały powodzenia. Czeladnik, posłany gońcem do majątku Iskrzyckiego, oddał mu list, napisany przez Domaradzkiego. Ale Iskrzycki zwąchał, jak to mówią, pismo nosem, a że był harda sztuka, więc rzekł posłańcowi: „a gdzie Domaradzki?... znamy was, chytre lisy! Gdyby nie to, że zawarty jest pokój, wiedział-bym, co z tobą robić, listonoszu!“ Iskrzycki wygnał czeladnika i na tém jego rola się skończyła. Iskrzycki siedział spokojnie na Ukrainie prawobrzeżnéj, bezpieczny, że go władza hetmańska nie dosięgnie, więc też już potém o nim nie słychać. Zresztą Jan Mazepa może zbyt szanował tak znaczną i wydatną osobistość, jaką był niewątpliwie Bazyli Iskrzycki, aby upierać się przy śledztwie co do listu; jakoż sprawa, o ile tyczyła się Iskrzyckiego, przycichła.

III.

Tymczasem bawiła w Polsce już od kilku miesięcy, przysłana jakoby od Mazepy, zagadkowa postać, bohater naszego opowiadania, awanturnik lichego gatunku, jacy się po wszystkie czasy trafiali, jeden z tych bezczelnych oszustów, z pomiędzy których rekrutowali się np. samozwańcy za czasów Zygmunta III—nawet podobno pijanica. Był to człowiek średniego wzrostu, z brodą, długiemi wąsami, w ubiorze czerńca, wieku lat około czterdziestu. Nazywał siebie Salomonkiem. Dwa razy zwrócił na siebie uwagę, najprzód we Lwowie, potém w Warszawie; pierwszy raz na schyłku samym 1689 roku, drugi zaś w kilka miesięcy później.

Mamy przed sobą współczesny dokument p. t. „*Konfesata dobrowolna*“ t. j. protokół sądowy, zdjęty z niego w Warszawie, w chwili, kiedy się przekonali, że mają do czynienia ze śmiałym oszustem, „wisielcem,“ jak go biskup Szumlański sam nazywa. Z zeznań tych dowiadujemy się nasamprzód o dość burzliwém, jak u tylu innych awanturników, *curriculum vitae* intryganta, który zapewne, za stosownem wynadgrodzeniem, lub też w nadziei przyszłéj nadgrody, podał się za narzędzie chytréj intrygi. „W konfesacie dobrowolnéj czerńca Salomona Grodzkiego[1])“ spisanéj w Warszawie w d. 13 Maja 1690 r., zeznaje podsądny jak następuje:

„Urodziłem się w Polsce, w Brodach. Ojciec mój, Iwan Grodzki, był mieszczaninem tamecznym brodzkim, ale podczas Doroszenka i polskiéj wojny (prawdopodobnie zatém około r. 1666) przeniósł się do Czehryna, i mnie, podczas bytności tam księdza Szumlańskiego, episkopa lwowskiego, oddał tamże do hetmana Doroszenka, przy którym byłem lat sześć“.

„Potém przystałem pod chorągiew Bulug Baszy i byłem z nim natenczas w Konstantynowie, kiedy się poddał panu Modrzejowskiemu. Ztamtąd uszliśmy do Czehryna, a z Czehryna wyszliśmy na wiosnę i chodziliśmy całe lato po-nad Bohem w trzechset ludzi, a w jesieni zaszliśmy do Berszady, gdzie zabrawszy wszystkich ludzi, wracaliśmy się nazad do Czehryna, ale nas zaskoczył Kwasza (zapewne oddział zaporożców, grasujących za czasów I. Sierki) i zabrał nas. A potem napadł p. Łaziński, który i Kwaszę, i nas rozgromił pod Osiejówką. Jam uciekł z tego pogromu do Kalnika, a ztamtąd

[1]) Nik. Kostomarow nazywa go Trockim. W konfesacie sprostowaliśmy tylko archaizmy ortograficzne.

do Czehryna i mieszkałem przy ojcu. Ale gdy przystąpił seraskier (w r. 1673?) pod Czehryn, to mnie Tatarowie wzięli na futorach i zaprowadzili do Białohroda (w Krymie), gdzie kupił mnie Turczyn i zaraz w drugim roku, idąc z wezyrem na wojnę pod Czehryn, wziął mnie z sobą. Pod Czehrynem uciekłem od Turczyna do Romadanowskiego, który kazał mi dać podwodę do ojca za Dniepr aż do Połtawy, bo się tam był przeniósł".

„Zabawiwszy dwie lecie przy ojcu, zostałem czerńcem w Kozielcu za Kijowem; tam w monasterze lat półtora zabawiwszy, jechałem do stolicy moskiewskiéj, gdzie znowu w monasterze Symonowskim lat ośm przemieszkałem. Z tego monasteru wyszedłszy, bawiłem się w Sawińskiém podwórzu na Twerskiéj ulicy, zkąd często chodziłem na służbę do Carów na Zamek; bywałem często i u Galiczyna tak na służbie, jako też i na obiedzie".

„Gdy potém stary Galiczyn pojechał na wojnę i na swém miejscu zostawił Aleksego Wasylewicza, syna swego, pisał do tegoż syna z Kałanczaku, aby mnie posłał do Samojłowicza z pewnemi listami. Wysłał mnie tedy młody Galiczyn ze stolicy (Moskwy) w roku przeszłym przed Majem do Niżna, gdzie Samojłowicz siedział, i dał mi listy do niego, w których co było, nie wiem, bo po moskiewsku były pisane. Przecież taką mi dał Galiczyn młody instrukcyę, że i ztamtąd powróciwszy, pojedziesz do Polski, osobliwie do swoich, gdzie masz znajomość, a potém i do Króla z pewnemi, które tam odbierzesz, listami, i wyrozumiesz, jeżeli się Polacy będą chwytać tych listów i przyjaźni z Mazepą? Jeśli się będą radować tym listom? i jaką odprawę dadzą? W ostatku nauczy cię Samojłowicz, jak masz sobie postąpić?"

„Na tę całą drogę dano mi u Galiczyna złotych półtorasta dobrej monety. Z tą ekspedycyą jechałem do Samojłowicza, którego w Niżnie zasawszy, oddałem listy od Galiczyna i bawiłem tam trzy dni."

„Ten tedy Samojłowicz z rozkazania Galiczyna kazał mi przy sobie listy zmyślać i pisać, niby od Mazepy, do Króla JMości i do Xiędza Szumlańskiego, które ja przy nim pisałem i własną ręką podpisałem. Potém dał mi fałszywą pieczęć, którą te listy pieczętowałem. Tęż pieczęć kazał mi wziąć z sobą dla dalszego, jeśli-by trzeba było, listów zmyślania. Ustnie zaś tak mi powiedział Samojłowicz, że: skoro na te pisma odbierzesz listy odprawne od Króla JMości, tedy z niemi prosto jedź do Galiczyna starego do wojska i oddaj je we własne ręce jego. Za któremi listami zaraz miano wziąć Mazepę na stolicę, jako zdrajcę."

„Taką od Samojłowicza wziąwszy informacyę, powróciłem do stolicy i mieszkałem z tydzień, gdziem znowu z młodym Galiczynem

miałem konferencyę, który pochwalał wszystkie dzieła moje i kazał mi, abym z tém, cokolwiek tu w Polsce sprawię, prosto do ojca jego do wojska się przebierał. Wybrałem się zatém w drogę i, przejechawszy Smoleńsk, przybyłem do Mohilowa, mając list przejezdny, zmyślony także, niby to z Czernihowa od archidyakona tamecznego. W Mohilowie, ojciec Chomętowski, poznawszy zmyślony list przejezdny, zatamował mię i wsadził do więzienia; ale gdym powiedział i statecznie twierdził, że do Króla jadę, wypuszczono mnie. Listy fałszywe od Mazepy i pieczęcie zakopałem był tamże w więzieniu, gdziem siedział, które potém, gdy mnie wypuszczono, wykopałem. Z Mohilowa udałem się w bok ku Orszy, żeby mnie nie goniono. Z Orszy na Mińsk pojechałem i przyjechałem do Perehińska, pod Skit, do księdza Szumlańskiego, któremu oddałem list do niego, zmyślony od Mazepy. Ten list ks. Szumlański i drugi do Króla odebrał, a potém i sam zaraz ze mną jechał do Króla JMości".

Objaśniamy tutaj, że Perehińsk był wsią kapitulną lwowskiéj dyzunickiéj Katedry, Skitem zaś, położonym w województwie ruskiém, (w obecnym powiecie Stanisławowskim) nazywano wielki monaster bazyljanów nieunitów, gdzie była szkoła teologiczna dla czerńców. Skit miał swoje filie.

Zkąd inąd wiadomo, jaką była treść listu, oddanego przez pośrednika Janowi III, pisanego jakoby przez Mazepę w czasie powrotu z Perekopu i oddanego temuż czerńcowi, który miał rzekomo uczestniczyć w tym pochodzie z obrazem Chrystusa. W liście tym hetman skarżył się na uciski, jakie kozacy cierpią od Moskwy, żądał ponownego połączenia Ukrainy zadnieprzańskiéj z Rzplitą, obiecywał usposobić do tego Kozaków, prosił o królewską protekcyę i obiecywał, że Tatarzy jednego są z nim zdania. Król, niemało zdziwiony treścią zręcznie widocznie sfałszowanego listu, kazał Szumlańskiemu zatrzymać czerńca, odprawić go do Krechowskiego monasteru nieopodal Żółkwi, wkrótce zaś potém, nie przywiązując widocznie większéj wagi do téj dwuznacznéj misyi, polecił odprawić go i wydać mu list na odjazd na Ukrainę, jako zbierającemu jałmużnę, gdyż za takiego Salomonek pewno się przedstawił.

Jednocześnie zaś Szumlański wyprawił do Mazepy p. Bazylego Iskrzyckeigo, aby zbadał, jakie ma znaczenie misya Salomonka. Nie zdaje nam się, aby Iskrzycki sam podsunął się biskupowi na gońca do Baturyna, lubo domysł ten potwierdzały-by stosunki, łączące tego szlachcica z zadnieprzańskimi pułkownikami, z których jeden, Daniel Apostol, był źle usposobiony dla hetmana.

Nie otrzymując odpowiedzi, władyka pchnął nowego posłańca, także zdaje się niewtajemniczonego w intrygę, Domaradzkiego, któ-

rego losy już nam są znane. Tymczasem Salomonek, niezadowolony z małego skutku dyplomatycznego posłannictwa, przemyśliwał daléj, jakby doprowadzić do tego, aby wyciągnąć czy to biskupa, czy też wreszcie samego Króla na list do Mazepy, i z tym poszukiwanym dowodem wrócić tryumfalnie do tych, co go do Polski posłali.

Oto jak podsądny zeznał w dalszym ciągu:

„Bawiłem niedziel jedenaście, niżeli mi dano odprawę, i to od Króla JMości żadnego nie miałem responsu, a nawet ks. Szumlański dał mi tylko list przejezdny, a ustnie kilka punktów powiedział, osobliwie względem Paleja, o którym ja nie wiedziałem. To też przydał, że gdy drugi raz przyjadę od Mazepy, tedy będę miał respons i listy rzetelne. Takową odprawę wziąwszy, jechałem do Brodów, a ztamtąd do Brześcia, gdziem mieszkał niedziel trzy. Z Brześcia zaś przeniosłem się do Zakorowskiego monasteru, w którym-to monasterze znowu drugie listy zmyśliłem i napisałem niby to powtórnie od Mazepy do Króla JMości i do księdza Szumlańskiego, i tąż fałszywą pieczęcią, którą miałem od Samojłowicza, przypieczętowałem".

W istocie, awanturnik ukazał się na wiosnę 1690 r. na nowo w Koronie, w téj widocznie nadziei, że tym razem może uda mu się otrzymać pożądane dowody na hetmana.

„Z temi listami (ciągnął on daléj) powróciłem znowu do księdza Szumlańskiego do Lwowa, ale go nie zastałem, bo był na sejmie teraźniejszym w Warszawie. Gdym jednak list o bytności mojéj napisał, zjechał sam do Lwowa i, odebrawszy ode mnie listy pomienione, odesłał je do Króla JMości do Warszawy, a mnie kazał czekać na respons w monasterze Krechowskim. Ja zaś, w tém nie słuchając go, miasto do Krechowa, pojechałem prosto do Warszawy do Króla JMości, z którego woli dano mi stancyę na Solcu, gdzie sześć niedziel mieszkałem. A nie mogąc się doczekać odprawy, znowu trzecie listy zmyślałem i napisałem od Mazepy do Króla JMości, do księdza Władyki (Szumlańskiego) i do p. Podolskiego, dworzanina JKMości, aby mnie jako najprędzéj odprawiono. Te listy ja sam pisałem i pieczęcią fałszywą wielką i małą drugą zapieczętowałem, a do jednego listu miałem studenta Mereckiego, aby o czeladnika rzekomo Lizohubowego do mnie (od Mazepy) napisał, oznajmując, że mi posyła listy pomienione i pieniędzy 20 talerów bitych".

Obwiniony pominął w konfesacie różne szczegóły. I tak, kiedy jechał do Warszawy, nie dojeżdżając do stolicy, na Solcu, zgodził tego studenta i ten mu napisał jeden czy kilka listów. Powtóre: odezwy Mazepy zawierały znowu oświadczenia przyjaźni i poddaństwa Koronie polskiéj. Student rzeczony służył za chłopca u jakiegoś Włocha, a potém uczył dzieci gospodarza tego domu, gdzie stanął

kwaterą Salomonek. Po napisaniu listów oszust pił na Solcu, a student pojechał do Warszawy, stawił się sam do królewskiego dworu i doniósł o popełnioném fałszerstwie. Niedługo czekać, zjawił się sam Salomonek i oddał listy. Król był już uprzedzonym, kazał wezwać studenta i postawić go przed rzekomym agentem dla naocznéj konfrontacyi. Nie dość na tém; przypatrzywszy się czerńcowi, Jan III przypomniał sobie, że to ta sama figura, która przyjeżdżała w Grudniu do Żółkwi. Salomonek z początku się zapierał i wykręcał, ale, kiedy mu zagrozili pytką, zeznał to, cośmy wyżéj przytoczyli.

Ponieważ jego pierwsze zeznania nie budziły dostatecznie zaufania, gdyż od takiego łotra trudno było dowiedzieć się prawdy, przeto badany był powtórnie:

„*In particulari zaś interrogatus est et serio admonitus*, aby prawdę powiedział:

Ad primum: interrogatus, jeżeli carewna Zofia wiedziała o téj jego wyprawie z Moskwy?

Resp: Nie wiem. To tylko wiem, że w dobréj przyjaźni była z Galiczynami i, lubo widziała niewinność jawną Samojłowicza, że go niesłusznie wzięto i synowi jego szyję ucięto, przecież dla przyjaźni Galiczynów przez szpary na to patrzyła.

Secundo: Jeżeli stary Galiczyn w téj okazyi z nim czego ustnie nie mówił, niżeli na wojnę poszedł?

Resp: Że się ze mną w rzecz długo nie wdawał, a tylko raz podczas obiadu, przy bojarach, mówił, że: ty Salomonie będziesz miał drogę kiedyś do Polski, — i poczęstował mnie.

Tertio: Dlaczego drugie listy zmyślał ze swojéj głowy?

Resp: Żem chciał wyciągnąć Króla JMościa na list, żebym go oddał Galiczynowi albo Carowi.

Quarto: Jeżeli czego nie pisał z Polski do stolicy i ztamtąd nie miał jakiéj wiadomości?

Resp: ad utrumque—że nie.

Quinto: Co za przyczyna Galiczynowi zmyślania tych listów?

Resp: Największa rozumiem, żeby Mazepę zgubić, o którym miał to podejrzenie Galiczyn, że się na zgubę jego zmówił z Borysem Szeremetem.

Sexto, admonitus recognovit: Kiedy mnie wyprawował Galiczyn młody, kazał mi trzy razy przysiądz na wiarę, że nie wydam zdrady téj.

Septimo. Resp: Kazali mi powiadać przed Królem JMością, że jadę od Mazepy z obozu z pod Kałanczaku.

Octavo: Gdybym listy przywiózł od Króla JMości takie, jakich chcieli, obiecywali mnie episkopem albo archimandrytą uczynić, i sam Galiczyn obiecywał mi własną wioskę puścić.

Nono: Czemu nie jechał prosto przez Ukrainę?

Resp. Bom się bał kozaków, żeby mi nie wytrzęśli listów i pieczęci fałszywych.

Decimo, *resp*: że bywał u Doroszenka, ale o tém nic z nim nie mówił, tylko Galiczyn pytał, jeżeli Doroszenko nie napisze czego do Polski".

Oprócz tego dokumentu, służy nam jeszcze inny, mniéj już wiarogodny, ze względu na charakter téj osobistości, która go pisała, przeznaczony może dla przyjaciół z za Dniepru, na to, aby go mieć na usprawiedliwienie i poparcie czynności swojéj w Polsce, jako piśmienny dowód. W konfesacie przytoczonéj powyżéj znalazło-by się zapewno nie jedno kłamstwo; więcéj dopatrzyć-by się można w dyaryuszu, który Salomonek spisywał sobie dla pamięci, w czasie pobytu w Koronie. Zeszyt ten schwycono u niego i dołączono do innych dowodów, dlatego znalazł się między papierami referendarza koronnego (późniéj podkanclerzego lit-go) Antoniego Szczuki. Dokument nosi tytuł: *Dyaryusz Actyi Salomona czerńca, przez niego samego spisany, a z ruskiego na polski język genuine* (wiernie) *od słowa do słowa przetłomaczony.*

Ciekawy i dość obszerny, dopełniający poprzednie zeznania, nieraz widocznie kłamliwy, miejscami nawet brednie zawierający, dzienniczek, opowiada jego pobyt w Polsce:

„Podczas mojego przyjazdu do Lwowa, na wieczór, abo w nocy, stanąłem sobie gospodą u krawca na przedmieściu we Lwowie. Nazajutrz poszedłem do Episkopa Szumlańskiego. Wysłuchawszy służby Bożéj, ojciec ihumen (Humen) prosił mnie do celi z sobą w tymże monasterze. Pytałem się tedy o Episkopie Szumlańskim; odpowiedział mi tedy ojciec ihumen: odjechał do wielkiego Skitu, i nie rychło będzie. Jam jemu powiedziałem: w sukni mam listy Ojca Archidyakona o wielkich sprawach z Moskwy.... I oni mnie tymczasem dali świeżych koni do samego Skitu ze Lwowa i przewodnika ze mną *et caet*..."

„Przeczytawszy te listy cicho sobie, kazał czeladzi wynijść wszystkiéj, tylko ja z nim został, i mówił do mnie bardzo wesoło Episkop, te słowa mówił mi: Zaraz, ojcze Salomonie, posłaliśmy już z Królem do Imci Pana Hetmana Mazepy, Skrzyckiego (Iskrzyckiego); skoro został hetmanem, on wtenczas nie zezwolił na nasze rzeczy, i bardzo surowo odpowiedział panu Skrzyckiemu (Iskrzyckiemu) etc...

„Potém kazał sekreta mówić z sobą etc..., potem ja jego wyrozumiawszy, że szczerze rozmawia o tych rzeczach, sobie jeszcze

lepiéj poprawiam, jakoby sekretów tych wywiedzieć się dobrze, jeżeli szczerze oni żyją z wielkiemi carami naszemi?“

„Nazajutrz po ranu, wysyła on swego Chorążego dniem i nocą z pod Skitu do Króla z swemi listami, a mnie przy sobie zostawił. Że zachorowałem był wielce, kazał mi Król Jmć doktora przysłać.“

„Potém z pod Skitu przyjechaliśmy do Lwowa. Wtenczas Król z hetmanem koronnym (Stanisław Jabłonowskim) przed moim przyjazdem gniewali się. Skoro te listy Królowi do rąk doszły, Król zgodę wziął z hetmanem, potém hetman mnie prosił na obiad, i z biskupem, i wielu było panów na tym obiedzie. Po obiedzie zaraz hetman koronny, Jabłonowski, za zdrowie pana hetmana naszego, Mazepy, począł pić, a ja za hetmana koronnego zdrowie i za Rzeczpospolitą (!!), jaki tam zwyczaj, a w sercu mojém myśl insza. Nazajutrz poszedłem na bankiet do pana kuchmistrza koronnego i tamże hetman był koronny.“

„Potém Król jegomość pisze do hetmana koronnego i biskupa lwowskiego, żeby ze mną jechali do Żółkwi, a mnie kazano przebrać się po świecku, żeby nasz rezydent nie poznał.“

Rezydentem russkim przy Janie, III o którym tu mowa, naówczas był Wołkow.

„Przyjechawszy do Króla, witałem jego, jaki tam zwyczaj jest, i kazano mi listy czytać przed Królem. Był i hetman, był marszałek, był podskarbi, był kuchmistrz, a inszym panom kazano wynijść. Potém kazał Król bankiet sprawić tego dnia, a mnie tylko kazano z hetmanem pić i rozmawiać i z panem marszlkiem koronnym. Po tym bankiecie państwo poszło do Króla i kazano mi przynieść na dwie parze sukien purpury i tuzynku dostatnio, ze skarbu kazano dawać po sto złotych na miesiąc, a gospodę kazano dać Rezydentowi naszemu w monasterze Krechowskim, żeby mnie jako nie poznał, za milę od Żółkwi. A mnie dano konia swego ze stajni, aby jechać do Episkopa lwowskiego, abo gdzie zechcę“.

„Potém przysłano za mną list od pana podskarbiego koronnego*) do ojca Ihumena Krechowskiego; w hramocie dołożono tym kształtem, żeby ze mną zakonnik nie rozmawiał, skąd przyjechałem i za jaką sprawą, tylko kazano u tego zakonnika gospodę mi dać, który był w ssyłce pięć lat, Theodozy Chratkiewicz, Nierozdzielnéj Trójcy w Czernihowskim monasterze, który był także listy poprzywoził. A w tydzień kazano mi przyjechać do Króla z monasteru w nocy.“

*) Marka Matczyńskiego, przyjaciela Jana III.

„Wziąwszy mnie p. Podskarbi koronny do karety, przyjechaliśmy do zamku. Téjże nocy przyszedł list do Króla. Powitawszy ja Króla, kazał Król list czytać, który przysłał Rezydent polski od carstwa przesławnego o Galiczynie, jako go posłano na wygnanie.“

Rezydentem polskim w Moskwie był Jerzy Dominik Dowmontt, stolnik kowieński.

„Potém Król kazał drzwi pozamykać i Królową kazał przyprowadzić do siebie, a mnie pozwolono Królową witać; potém Król wiele mówił z Królową po francusku, potém mi Król mówił: „ojcze Salomonie, posłałem ja pana Skrzyckiego (Iskrzyckiego) do pana hetmana Mazepy, już tak tydzień.“ Wtenczas jam bardzo zwątpił.— Potém mówiłem tym fortelem: Miłościwy Królu, nie będzie pan hetman nasz wierzył panu Iskrzyckiemu, bo z jego zięciem w wielkim gniewie pozostaje.—Król odpowiedział: a któż tam jego zna?—Jam mówił: to jego zięć, Daniel Appos, (Apostoł Daniło), półkownik mirhorodzki etc. Potém Król kazał mi dać wina na gospodę etc.“

„Skoro posłali Iskrzyckiego za Dniepr, biskup lwowski przejeżdżał się to tam, to sam, ze Lwowa do Żółkwi, a z Żółkwi do mnie, i mówił mi tak: o Boże mój! kiedy-by moi zakonnicy wyjechali zawczasu z Moskwy!“

„Potém ciż zakonnicy przyjechali z Moskwy przed Bożém Narodzeniem (w 1689 r.) w Niedzielę do Żółkwi, i kazano nam wtenczas do Króla JMci; skoro poszli od Króla zakonnicy, i mnie odprawa była tegoż dnia niedzielnego, przed Narodzeniem Chrystusowém. W tęż Niedzielę kazano mi i konie kować na drogę, i rozkazano mię z wielką ucztą odprowadzić pod Brody na dwadzieścia mil od Żółkwi.“

W dalszym ciągu dowiemy się z listu Szumlańskiego, czego zakonnicy, wysłani przez niego, chcieli w Moskwie.

„Skoro mnie odprawili z Żółkwi w drogę, wysłali za mną p. Domaradzkiego z listami do p. hetmana Mazepy“.

„Jam o tém nie wiedział, nie szedłem ja tamtym traktem, zaraz kinąłem się w bok przez Litwę na Brześć litewski. A pan Domaradzki rozumiał, że ja dniem i nocą bardzo pobiegł do p. hetmana Mazepy. Były u mnie listy, tylko że mi się nie takich jeszcze chciało. Jako mówił sam Król: jak przyjedziesz drugi raz od pana Mazepy, to już podam swój przywiléj i z większemi pieczęciami swemi, tylko teraz ja poślę do Hana po twoim wyjeździe, żeby tu do mnie przysłał posła na sejm do Warszawy, a panu Mazepie powiedz ustnie o Palimie (Paleju), że go uwolnię, bo już z hetmanem pojednałem się. Jeżeli się tak stało, z Moskwą trzeba mądrze począć, takim-by kształtem, jak pod Czudnowem. Ja teraz z Hanem dobrze żyję, a swego

posła sekretnie poślę, a tatarski *publice* niechaj jedzie na sejm, żeby wszyscy panowie wiedzieli!... etc.“

„Przygotowawszy ja listy, jakem się dowiedział, że Iskrzyckiemu nie dano wiary, a o Domaradzkim nie wiedziałem, że on u Mazepy, albo na Moskwie, przyjechawszy do Lwowa w Niedzielę, biskupa nie zastałem. Jąłem pisać do samego Króla, a we Lwowie przestawam z tym zakonnikiem, co był na Moskwie, a ten zakonnik mówił mi: a pan Domaradzki czemu z tobą nie przyjechał?—Kazano mi ze Lwowa dać podwody świeże do Warszawy na sejm, a oni rozumieli, że ze mną w kupie i pan Domaradzki przyjechał od Mazepy.“

„Przyjechawszy ja po raz wtóry na sejm do Warszawy, pierwszego tygodnia tego czasu, kazano mi do Króla przyjść powitać.“

„Po przywitaniu, pan podskarbi koronny wziął mię na obiad etc, dano mi Gospodę na Solcu we dworze pana podskarbiego i dano ze mną czterech żołnierzy dla mojéj posługi przez post wielki etc.“

„Potém ja te trzy listy zmyśliwszy, przez jednego człowieka dałem ich do Króla, wtenczas obiecał mnie odprawić z Warszawy, potém poseł tatarski jedzie, a ten mnie wydał człowiek, listów tych oddawca, i kazano mnie wziąć do więzienia w nocy do pałacu Kazimierowskiego, na sam świętny dzień, w poniedziałek.“

„Nazajutrz kazano mi dać kajdany, a Król bardzo się zafrasował.“

„W trzeci dzień, przyszedłzy p. Myśliszewski do mnie, mówił od Króla. Strażnik koronny tejże nocy przyszedł i mówił mi przez okno: powiedz tak prawdę o rzeczach, że ciebie wysłał bywszy hetmanem Popowicz (Samojłowicz), to będziesz wolnym. Bo tu będzie na inkwizycyéj p. podskarbi nadworny, i p. Okrasa, i ja będę. A i to jeszcze mów, że bojarowie o tém wiedzą“.

„Przyszły do mnie na Inquizitią te wszystkie osoby i p. Ostroszkiewicz, sędzia mohilewski etc., a oni to, co sami chcieli, pisali, a strażnik usadził się był tak przy panu Okrasie, że i powiedz koniecznie, że i carowie o tém wiedzieli..., a jam tak mówił: nie prawdę mówisz!... etc.“

„Potém kazano mnie na Ruś odprawić, do Żółkwi, a tymczasem mnie cieszą wszystko uwolnieniem.“

„Potém przyjechali komisarze od pana Mazepy, zakonnik Rusanowicz z pieczerskiego monasteru (w Kijowie) i kozak od Mazepy, i kazano mi przyjść do siebie.“

„Przyszedłem tam do nich, aż tam byli biskup lwowski, biskup przemyski, p. Brochowski i p. Okrasa etc, a jak przyjechali komisarze z Ukrainy, dali mi znać, żebym przed niemi mówił te same słowa, co w Warszawie, i uwolnieniem mnie cieszyli. A ja tak mówiłem, jak

w Warszawie. I mówił mi biskup lwowski, od Króla przyszedłszy: ojcze Salomonie, dokąd ty chcesz? czy do Carów, czy do Mazepy?— Przy panu Okrasie to było, a jam mówił tak: skądem ja pryjechał, niech mnie tędy Król odeśle. A pan Brochocki mówił tak i biskup lwowski: Wilka w ług, a on w ługu! I kazano mi dać drugie kajdany na to słowo".

„Potém w dwie niedziele przysłali do mnie pana Chalepińskiego i mówił mi: chce cię Król do Moskwy posłać; a jam tak powiedział: mości panie! wolał-bym ja być przy Królu, niżeli do Moskwy! A on mówił: jeżeliby to prawda była, jak mówisz... etc." (??)

„Potém to zakazano mi, z nikim żebym nie mówił, ani pisał nigdzie."

„Potém nierychło przyszedł do mnie jeden człowiek z Moskwy, który służy przy panu Brochockim, i powiedziałem jemu ustnie, i wyprawiłem jego do Kijowa od pana Brochockiego, wtenczas i za nim gonili silno po wszystkich gościńcach, a mnie kazano przestrzegać w słowach, co będę mówił".

„Potém nie słychałem już nic od Króla i wesele zaczął z Cesarzem chrześciańskim. Po staremu Król polski chciał okpić Cesarza chrześciańskiego. Cesarz spostrzegł się i kazał Królowi polskiemu kupić księstwo na granicy węgierskiéj. Tedy ja (mówi) dam swoją szwagierkę za syna twego!.. [1])".

„Po odjeździe królewskim nie rychło trafiła się ta okazya na mnie wielka etc., w post wielki, w piątek, obelgali mnie u Króla i kazał Król dniem i nocą mnie prowadzić do Warszawy, trzy kajdany i kłódkę dać na ręce *publice*, żeby ludzie widzieli, gdyż rozgniewał się za to słowo" (?).

„Przyprowadziwszy mnie do Warszawy, oddali mnie pod węgierską wartę. Przyszedłszy do mnie rotmistrz węgierski, mówił mi: gotuj się, ojcze Salomonie, do Malborka etc."...

„Nazajutrz kazano mi na *Inquizitią* iść przed pana referendarza, i przed pana Brochockiego. Przyszedłszy ja przed nich, powitawszy się z nimi, zaraz mówił mi pan referendarz koronny: pójdź do pokoju tego!—i poszedłem ja z nimi, i dał mi naukę łgarską etc. Potém kazano wszystkim wynijść precz i mówił mi pan referendarz: tak ty mówisz na naszego Króla, w niewoli bywszy; a jam mówił tak: tom tu mówił w Żółkwi na króla te słowa, że wasz król szalbierz, z Tatarami fakcyę ma i zdradę chce uczynić z Moskwą, a swoich królewiczów wynosi, że to jedyni królewiczowie sławni na wszystkim

[1]) Aluzya do małżeństwa królewicza Jakóba z księżniczką Nejburską.

świecie. A jam tak mówił: Mości panie, wtedy słuchanie i widzenie uwierzą, kiedy jest, że tego doszli (?). A za drugiemi drzwiami Król słucha moich rzeczy i słów. I mówił mi (referendarz) te słowa: chciał cię Król puścić wolnym, a teraz gotuj się na sąd i na śmierć... Ja jeszcze odpowiedziałem: Mości panie! Sąd nie wasz, sąd jest Boży, nie wyście mnie ciało i duszę dali, tylko Bóg, a ja waszego sądu się nie boję. — A ja tego nie wiem, może i pan Okrasa tam był z królem".

Przytoczyliśmy tutaj tę dziwną mieszaninę prawdy i fałszu, naiwności i czelności, w której i domyślników wiele zostawiono, także i z tego powodu, że p. Okrasa, któremu, stosownie do żądania Mazepy i russkiego dworu, powierzonym został przestępca, celem wydania go sąsiedniemu mocarstwu, wspomina o tym dokumencie w liście, który niżéj podajemy. Przy bliższém rozpatrzeniu tegoż dzienniczka, nastręcza się sama z siebie uwaga, że Salomonek, widząc, iż rzeczy zaszły daleko, a jego szalbierstwo wykrytém zostało, i że grozi mu kapitalna kara, sprobował udawać lekkie pomieszanie zmysłów, i dlatego, chcąc się tym sposobem, śladem wielu złoczyńców, ratować, wplótł do dyaryusza rozmaite brednie. Nie pomogło mu to wiele, gdy nie uratowało od kary, a więc i tutaj przebiegłość go zawiodła.

Pan Jan Okrasa, łowczy nowogrodzki, wspomniany powyżéj, był dworzaninem JKMości, używanym wielokrotnie jako goniec, w sprawach ważniejszych, do Moskwy.

Skoro Mazepa został zawiadomionym o przebiegu intrygi, posłał, jak wiemy z naszych dokumentów, (w Czerwcu 1690 r.) jednego z zaufanych czerńców pieczerskiego monasteru, Rusanowicza, razem z kozakiem swoim, do Szumlańskiego, aby zasięgnąć języka. Kopiom zeznań Salomonka, przesłanym mu przez p. Dowmontta, nie bardzo wierzył i radził rządowi carskiemu, aby zażądał wydania złoczyńcy. W téj saméj sprawie udawał się także do hetmana w. koronnego, Stan. Jabłonowskiego, prosząc o ekstradycyę czerńca, sam zaś ze swojéj strony zwalał uporczywie podejrzenia nie na wykazanych przez winowajcę spólników, ale na kilku kozackich przyjaciół Samojłowicza. Perswazye Mazepy odniosły tym razem skutek i doprowadziły do aresztowania Halickiego.

Tymczasem Salomonek siedział w więzieniu w Polsce, a Domaradzki w Moskwie. Bojarzy zwrócili się do przebywającego stale w Moskwie od dwóch lat rezydenta polskiego, p. Jerzego Dominika Dowmontta, i zażądali wydania Salomonka. W Warszawie zgodzono się naturalnie bez trudności na wydanie oszusta, z tém zastrzeżeniem, że w zamian uwolnionym będzie Domaradzki, który, jak zaznaczyli-

śmy, pełniąc funkcyę zwykłego gońca biskupa, nie odgrywając żadnéj ważniejszéj roli, w gruncie rzeczy pewno ducha Bogu był winien.

Zeznał on przy badaniu, że go władyka Szumlański na Ukrainę wysłał, z rozkazu JKMości i polecenia p. Marka Matczyńskiego, podskarbiego koronnego, że obiecał, stosownie do instrukcyi, hetmanowi zaporoskiemu trzydzieści chorągwi z regimentarzem p. Bazylim Iskrzyckim. Dla ostatecznego zaś porozumienia się, episkop lwowski kazał zapewnić, że sam przybędzie do Baturyna.

W początkach Sierpnia 1691 r. p. Jan Okrasa oddał komisarzom polskim, wydelegowanym do kwestyi rozgraniczeń (wskutek pokoju Grzymułtowskiego), w oryginałach listy i pieczęcie, pochwycone u podsądnego, oraz i jego samego, a od pp. komisarzy odebrali go, wraz z dowodami winy, komisarze russcy [1]). Po niejakim czasie, wydanym był polskim panom Domaradzki, z tą uwagą, że król winien go ukarać śmiercią, przeprowadzić śledztwo co do biskupa Szumlańskiego, a w rezultacie i tego także ukarać. Powód do tych zastrzeżeń dał naturalnie list biskupa do Mazepy.

Listem z d. 7 Augusti 1691 r. donosił z Mohilowa p. Okrasa referendarzowi koronnemu, Antoniemu Szczuce, do Warszawy:

Jaśnie Wielmożny Mci Panie Referendarzu Koronny

Mój Wielce Mci Panie i Dobrodzieju!

Luboć już przez kilka poczt żadnéj ode Dworu nie mam wiadomości, ja jednak odzywam się z uniżonością moją i WMM. Panu donoszę, że czerńca tego zdrajcę, którego wiozłem z sobą, oddałem IchMościom pp. Komisarzom, do rozgraniczenia naznaczonym, którzy, zjechawszy się tu, zupełnie dziś go ode mnie odebrali. Jego dyarjusz, po rusku ręką jego własną pisany, który, z Warszawy wyjeżdżając, jakoś nieostrożnie podobno upuścił, przysłał mi ImP. Podskarbi Koronny P.; ten tedy przetłomaczony WMM. Panu téż posylam, a sam jutrzejszego da Bóg dnia, ztąd wyjechawszy, pospieszę, luboć nie ze wszystkiém taką, jaka miała być, z sobą wiozę ekspedycyę. Atoli uniżenie o częstą WMM. Pana upraszam korespondencyą, a bardziéj informatią.

Do Smoleńska wysłałem przodem swego, przeszłéj Soboty, dając znać o sobie. Jakie mnie potka przyjęcie, nie omieszkając, o wszystkiem uwiadomię, a teraz przy zwykłéj mojéj uniżoności, tém kończę, żem jest

WMMCi Pana
uniżonym sługą
Jan Okrasa.

[1]) Z powodu ciągłych sporów granicznych, ustanowione były w r. 1676 sądy pograniczne, na które zjeżdżali się komisarze z obu państw.

IV.

Nic możemy powiedzieć na pewno, jaką była rola biskupa Szumlańskiego w całéj téj sprawie, to tylko stwierdzić wypada, że nieopatrzną i porywczą inicyatywą wobec Mazepy ściągnął podejrzenia na siebie, a po części i na dwór królewski. Nie chce nam się prawie wierzyć, aby rola, jaką odgrywał władyka, była dwuznaczną. Nie mniéj jednak Jan III, mocno niezadowolony z biskupa, uznał za stosowne zmonitować go i kazać mu się wytłómaczyć z postępowania, tém więcéj, iż w toku sprawy wydało się, że Szumlański czerńców posyłał do stolicy sąsiedniego państwa. Doniósł o tém p. Dowmontt z Moskwy w relacyi, w któréj przebijało coś z tego żalu, jaki na niego wyleli bojarzy. Stanowisko jego i tak już było bardzo trudném, bo i on, jak jego poprzednik, p. Michał Paweł Świderski, zmuszony był nawoływać nieustannie do wykonania zaciągniętych zobowiązań, ztąd kwasy i rozterki, dlatego należało unikać wszelkich kwestyi, drażniących i jątrzących. Z jednéj strony była obawa, iż samodzielna, nierachująca się z położeniem politycznem, a nawet, jak w tym razie, kompromitująca inicyatywa biskupa narazi oba państwa na nieufność i podejrzliwość; z drugiéj strony mogło się wydawać, iż władyka w samolubnych celach przechyla się ku sąsiedniéj stronie. Na Józefa Szumlańskiego przychodziły do Moskwy skargi ze strony metropolity kijowskiego, Barlaama, że tytuluje się metropolitą kijowskim i przywłaszcza sobie w Polsce (t. j. na Ukrainie) majątki, należące do téj metropolii. W Warszawie także władyka był trochę podejrzanym, miał swoich zresztą nieprzyjaciół. Dowodem tego list jego, pisany do Króla, pozostający w styczności z sprawą Salomonka.

List pisanym był w chwili, kiedy Salomon siedział w więzieniu i wykryło się jego szachrajstwo. Pisał więc Szumlański do króla:

„Najjaśniejszy Miłościwy królu, Panie mój Miłościwy i Dobrodzieju! List WKMości, Pana mego Mściwego i Dobrodzieja, z teraźniejszéj poczty przez ręcę Jaśnie WMM. Pana Wojewody ruskiego MMPana i Dobrodzieja z Warszawy, d. 5 Julii *currentis anni*, datowany, odebrawszy *et cum omnia reverentia* Mjtu WKMości WMMciwego tenże przyjąwszy, podpis ręki Pańskiéj całuję i na *contenta* jego, przy tém oraz *ad varia objecta* z Moskwy, które mi były przez tegoż JWielm. Imci Wojewodę ruskiego, czytane, tak odpisuję:

„Naprzód: jakobym miał list WKM., do JMP. Wojewody mazowieckiego przed laty kilku pisany, świeżo przez Archidyakona mego na „stolicę“ posyłać, oraz i o protekcyę prosić, tego nietylko tamtej-

sze wymysły i niepotrzebne do zamieszania chrześciańskiego i dania dyffidencyi tychże ludzi fikcye dowieść mi nie mogą, ale i główny mój nieprzyjaciel tém mnie nie pokona, ażebym ja miał miłą i wolną Ojczyznę moją (w któréj dobrzem się nietylko z przodków moich urodził, ale i sam ugruntował) rzucać i Dobrotliwego Pana, Waszą Królewską Mość WMMciwego, od którego *tot beneficia*, łaski i dobrodziejstwa doznaję, opuścić, a w niewolę dobrowolnie się poddawać? Wielki to, Miłościwy Królu, Panie MMciwy, fałsz i, po tamtejszemu im odpowiadając, (*cum venia* Majestatu WKMości PMM-go) tamtejsza „łoż". Bo jeślim ja posyłał archidyakona mego, posyłałem, Miłościwy Królu, przy czerńcach krechowskich, *motivo* pana woźniczynego (woźniczyna), Rezidenta na ten czas w Polsce, który, bywszy u mnie we Lwowie u Ś-go Jura na traktamencie i przy dobréj myśli, wyperswadował mi, abym przy nim wysłał kogo do carów IchM., widząc jakieśkolwiek około Cerkwi Bożéj staranie moje i pożałowanie i na podźwignienie zrujnowanéj Kathedry Halickiéj, o któréj powiedziałem mu, że ją *quondam* książętą mscy byli wystawili, a teraz *funditus* przez nieprzyjaciela krzyża Ś-go zrujnowana.

A rozumiejąc, iż mi się to nadać może, i spodziewając się jakiegośkolwiek poratowania, z poradą wielu godnych ludzi i za samego JMP. kuchmistrza koronnego radą, w niebytności natenczas WKMości WMMciwego w ruskich krajach, wyprawiłem tegoż archidyakona mego, napisawszy listy, których mam kopie, nie o żadną protekcyę prosząc, tylko *absolute* o „pożałowanie" na poprawę i restauracyą zrujnowanéj Kathedry Kryłoskiéj Halickiéj.

Doznałem tedy, Miłościwy, Najjaśniejszy Królu, pożałowania, bo mi się Carowie IchM. złożyli na osiem par soboli, szacunek im położywszy na półtorasta rubli, tu zaś w Polszcze nie szacowano ich więcéj nad sześćset złotych polskich. Widział te sobole IMPan kuchmistrz koronny. To takie pożałowanie Miłościwy królu od Carów IchM. otrzymałem, i gdyby nie był przyłożył się O. Patryacha moskiewski aparatem, mantyą i omophorem, droga-by się była archidyakona mego nie opłaciła.

A co do listu, Miłościwy Królu, od WKMości do JP. wojewody mazowieckiego pisanego, aby go miał archidjakon mój zawozić na stolicę i oddawać, cała tamtejsza Chaos tego mi nie dowiedzie i w wielkiém kłamstwie przez to zostanie, bo ja, Miłościwy Królu, z JP. wojewodą mazowieckim żadnéj konferenciéj, żadnéj korespondenciéj, ani znajomości nie mam, skądże-by mi się ten list dostać miał? *Sufficit*, że *bona conscientia*, *fide et honore*, to WKMości piszę Panu i Dobrodziejowi memu, żem żadnego listu od WKMości pod tytułem do JP. wojewody mazowieckiego nigdy nie widział, anim o nim słyszał *sic*

me *Deus adjuvet*. Nie wiem tedy, skąd się to tam urodziło i z jakiéj raciéj takową na mnie kabałę ci ludzie tamtejsi kłamliwie kładą. W sekretne rady WKMości PMMciwego nie wchodziłem, oprócz w Żółkwi. Pamiętam, żeś mnie WKMość Pan Mściwy *in presentia* JMPana Wojewody Ruskiego i JMPana Podskarbiego W-go Koronnego [1]) *vocował*, i o tém, że w Moskwie wiedzą nie wiem skąd, bo mój już archidyakon z Moskwy powrócił, kiedy to było w Żółkwi. Nie korespondowałem zaś nigdy ani przed bytnością mego archidyakona, ani po powrocie z Moskwy tegoż. Boże mnie pobij, jeżeli to nie prawdziwie WKMości Panu MMcwemu piszę, ani o tém z ludźmi z Moskwy nigdy, tu w Polszcze będącymi, nie mówiłem. Obawiam się, Miłościwy królu PMMciwy, jeśli kogo nie masz takiego, albo nie było na ten czas na pokojach WKMości, który-by to albo nie podsłuchał, albo nie podejrzał?

Więc, Miłościwy Królu, w głowie mi są teraz nieprzyjaciele tamtejsi, niechaj mnie albo pismami swojemi jakiemi konwinkują, albo zdradę jakową prawdziwie odkryją, podpadnę nietylko pod karę, jakową mi WKMość Pan Mmciwy naznaczysz, ale i pod miecz publicznego sądu kark mój śmiele nachylę.

Wierzę, Miłościwy Królu Panie MMść, że teraz, z okazieį niewinnie zmęczonego nieboraka Domaradzkiego, wiele fałszywych od tamtych zarzutów przeciwko wiernéj mojéj ku Majestatowi WKMości PMMciwego osobie wynachodzić będzie, chcąc mnie w pańskiéj PMciwego zrujnować łasce; jednak dufam, że mię Pańska WKMości PMMciwego od tych złych ludzi obroni dextera, o co pokornie WKM. PMMściwego supplikuję.

Zarzut zaś ten ze strony nieboraka zmęczonego Domaradzkiego mego, racz WKMość, PMMściwy, na mnie zwalić, żem to ja *inscio Majestatu* WKMości czynił i do Mazepy przez tegoż Domaradzkiego pisał, i ponieważ sprawiedliwości ze mnie u WKMości żądać zechcą, pozwól WKMść, PMMściwy, wydać mi na przyszły sejm mandat *ad instantiam Instigatori Regni*. Mam ja takowe racye, że się tamtejszym na sejmie obronię, a w głowach tę największą: ponieważ się kozacy (jako u nas słychać było) poczęli byli nachylać na stronę tatarską, *satius* tedy, aby się byli nakłonili na stronę WMMości do Pana Chrześcijańskiego dziedzicznego swego. Pisałem po chrześcijańsku, jako pasterz, do Mazepy, alem osób Carów JchM. nie tykał, zachowaj Boże! Domaradzki też nieborak dobrze tam stanął (stawił się), jakom wyczytał z pisma JP. Rezidenta, przysłanego od JKMości,

[1]) Wojewoda ruski: hetman w. kor. Stan Jabłonowski. Podskarbi w. kor. Marek Matczyński.

a tak WKMść PMMciwy z téj okkaziéj z Carami JCM-mi nie zwadzisz się, kiedy to wszystko na mnie zwalić raczysz.

Interim, Miłościwy królu, jako mam ztąd expedyować Ojca Rusjanowicza, wielkiego konfidenta p. Mazepy (który tu już niedziel kilka czeka na deklaracyę WKMości), ze strony czerńca owego wisielca, Salomona, jakom już o tém pisał do WKMości, niedziel temu trzy, upraszam WKMość P. MMściwego o rezolucyę, co mam przez tego O. Rusjanowicza do p. Mazepy nakazać i jakową o tym czerńcu Salomonie, na prośbę pana Mazepy, żeby mógł do niego być wydanym, rezolucyę dać. Informować mnie w tém będzie Miłościwa WKM. Pana MMściwego ręka, którą pocałowawszy, upadam do nóg Majtu WKMości Pana mego Mściwego i sam znam się do skonu życia mego

Waszéj Królewskiéj Mości Pana
Mego Mciwego i Dobrodzieja, wiernym
poddanym i Bogomodlcą,
J. Szumlański Ep. lwowski.

Z Lwowa d. 13 Julii 1690.

Niewątpliwie władyka oczyścić się musiał bez większych trudności ze stawianych mu przez jego wrogów z różnych stron zarzutów, do których być może wreszcie, że i Jan III zbytniéj także wagi nie przywiązywał, ale zmuszony był zażądać wyjaśnień od tego, który dał się tak łatwowiernie wyprowadzić w pole.

Za to Salomonka czekała sprawiedliwa i zasłużona kara. Z Moskwy, po przeprowadzeniu surowego śledztwa, posłanym był do Baturyna. Mazepa, zawsze ostrożny, oświadczył wręcz, że go bez współudziału starszyzny sądzić nie będzie, że tak oddawna jest we zwyczaju wojskowym.

Salomon zeznał w Moskwie inaczéj, niż w Warszawie, a mianowicie zwalił całą winę téj intrygi na zaciętego wroga Mazepy, Michała Halickiego, skutkiem czego ostatni wysłanym był na Sybir, a majątek poszedł na podział.

W Baturynie miało miejsce po raz trzeci badanie naszego podsądnego, Szymona, t. j. Sienka Grodzkiego czy Trockiego. Sędzia wojskowy zaporoski wezwał go uroczyście, aby szczerze wyznał, co wie.

— Pomnij na straszny Sąd Boży i na czas śmierci! Powiedz prawdę. Oprócz Miszki Wasylewicza (Halickiego), kto jeszcze był z tobą w porozumieniu?

— Ja już zeznałem w Moskwie — odrzekł podsądny — żadnych nie miałem wspólników. Gdyby kto w czém był ze mną, to ja-bym

jeszcze w Moskwie wszystko był powiedział, nie ścierpiał-bym takich ciężkich pytek ogniem...

Siedział on jeszcze dłuższy czas w więzieniu. Karę śmierci poniósł w Październiku 1692 r., pod okiem hetmana i starszyzny.

Prawdopodobnie na tém zakończyła się ta cała niemiła sprawa. Mazepa tryumfował. Jego najzaciętszy wróg był zmiażdżony. Nie wiemy, czy biskup dostał, jak sam o to prosił, wezwanie sądowe na sejm. Być może, że sprawę umorzono, nie chcąc jéj daléj rozwałkowywać ze względów politycznych.

Jeden atoli skutek jest widocznym z całéj téj sprawy. Znudzony ciągłemi podejrzeniami, chcąc raz temu koniec zrobić, postanowił Mazepa zlikwidować w tym czasie familijne stosunki swoje z Rzpltą, a to na to, aby raz na zawsze zamknąć usta podszczuwaczom, którzy ze związków rodzinnych jego brali asumpt do szkalowania go w Moskwie. Zanadto cenił sobie buławę, dostatki, które skrzętnie zbierał, zamało widział korzyści w utrzymaniu związków z dawnymi panami swymi, aby miał narażać się na podejrzenia. Dziwić mu się nie można: ciążył przedewszystkiém ku kozaczyźnie, drżał o swoje stanowisko. Ściągał więc teraz do siebie rodzinę swoją, któréj był dobrodziejem.

Siostra jego, wspominana już przez nas, była nasamprzód za mężem za niejakim Obidowskim. Z małżeństwa tego był syn, służący przy dziadku, w późniejszym czasie nieżyński pułkownik, obdarzony nie tylko odznaczeniami, ale i ziemią, póki zdrada i ruina luminarza rodziny nie pociągnęła wszystkich jego krewniaków za sobą. Wszystko to garnęło się do niego. Po śmierci pierwszego męża, Mazepianka wyszła za niejakiego Witusławskiego, z nim miała córkę Maryannę; potém nareszcie trzeci raz wydała się za Polaka, Wojnarowskiego, syna starosty ziemskiego Włodzimierskiego, i z nim dochowała się już podrostka, Andrzeja, faworyta hetmana. Nie co innego chyba, tylko instancye Mazepy skłoniły ją do rozstania się z tym trzecim mężem, — może być wreszcie, że i pożycie nie było szczęśliwe— ona jednak za powód rozstania ostentacyjnie podawała skrupuły sumienia, dlatego, że Wojnarowski nakłonił ją do porzucenia prawosławia. Zjawiła się w Kijowie niezadługo po awanturze Salomonka (w Grudniu 1691 r.) u „pani matki“ hetmana, ihumenki peczerskiéj, Magdaleny, i objawiała publicznie gorący zamiar pokłonienia się kijowskim świętym w peczerskiéj ławrze.

Matka żony Mazepy przedstawiła córkę wojewodzie kijowskiemu, kn. Romadanowskiemu. Pisała wtedy do syna: „Teraz-by należało porachować się z naszymi wrogami, dlaczego łgą, że matka twoja wysyła siostrze twéj do Polski pieniądze, a siostra twoja że kupuje

tam dla siebie majątki. Trzeba-by zapytać siostrę twoją i czeladź, chociażby pod strachem pytki, ogniem wybadać, jakie to tam są te nowo kupione majątki?“ Widocznie i matka staruszka czuwała nad losem jedynaka, który był jéj chwałą i dumą.

Wojnarowska wróciła jeszcze na jakiś czas do męża, a potém znowu do Kijowa, gdzie w monasterze u matki w kilka lat umarła, nie dożywszy téj burzy, co w r. 1709 zmiotła Mazepę, jego skarby i aspiracye.

Adam Darowski.

IRENA.[1]

Dnia tego obiad miał się zaznaczyć bardzo nieprzyjemnym wypadkiem. Józefa, wystawiając sobie przez dobroć serca, że Jan potrzebował być ośmielony do rozmowy i że zrobi mu przyjemność, wyciągając go na nią, poczęła go wypytywać o jakieś szczegóły, dotyczące malarstwa. Jan odpowiedział z prostotą i spokojem. Tak się nawet rozwiódł nad przedmiotem, że obudził złego ducha, siedzącego w Zubeckim i czyhającego tylko na ofiarę. Zgryźliwy tetryk począł zaprzeczać Janowi, a gdy ten grzecznie i skromnie pozostał przy swojém zdaniu, Zubecki zabrał głos i potrafił tak pokierować mowę, że uczynił Janowi zjadliwą przymówkę. Mówił o darmozjadach i pieczeniarzach, którzy pod pozorem choroby zjadają smaczne obiadki przy stole zamożniejszych rodzin.

Blada twarz Jana stała się bledszą jeszcze, oczy spuścił ku ziemi, nozdrza mu zadrgały, usta zaciął konwulsyjnie. Był dotknięty do żywego, lecz milczał.

Wszyscy przy stole doznali niesłychanie przykrego uczucia, gdyż wszyscy lubili młodzieńca; Irena spłonęła szkarłatnym rumieńcem i spojrzała na matkę, czekając z jéj strony odpowiedzi. Ale pani Solska bała się brata, wiedziała zresztą, że jéj przemówienie doprowadzi go tylko do większéj złości, milczała więc. Irena podniosła rękawicę.

[1]) Zob. Zeszyt 7 Tomu III z r. b.

— Wuj pozwoli, — rzekła — że z nim po obiedzie pomówię o ostatniém jego wystąpieniu.

— Czy może znalazłaś je nieprzyzwoitém — zapytał Zubecki suchym swym, nieznośnym głosem.

— Jeślim je znalazła wysoce nieprzyzwoitém i do najwyższego stopnia nie w miejscu, to uczynię nad tém po obiedzie wujowi stanowczą uwagę.

Twarz jéj przybrała wyraz takiéj siły, że Zubecki nie śmiał wystąpić z otwartą zaczepką. Pierwszy raz widział Irenę taką, jaką była w téj chwili.

— Zawsze mi było przyjemnie, gdy mnie piękne panie odwiedzać raczyły. Będę czekał na rozkazy mojéj siostrzenicy — rzekł ironicznie.

Cała złość jego duszy widniała teraz w jego oczach, których spodnia powieka odwracała się trochę, ukazując czerwone brzegi, ile razy coś zjadliwego wychodziło z jego ust.

Irena dostrzegła, że chciałby jéj był teraz rzucić jedną ze swych strzał zatrutych, ale nie śmiał, bał się. Był więc na niego sposób, a skoro był, ostatni już raz w życiu powiedział on coś ostrego Janowi. Póki ona żywa, więcéj tego nie będzie!

Obiad skończył się w przykrym nastroju. Rzucano spojrzenia na Jana, który wciąż miał oczy spuszczone, usiłował być spokojnym, jadł nawet, ale twarz mu się mieniła co chwila. Gdy tylko wstano, ukłonił się towarzystwu i wyszedł. Cesia pobiegła do ogrodu, mając nadzieję tam go spotkać i rozweselić. Irena wrzała wciąż wewnętrznie, zaraz téż rzekła zimno i wyniośle do Zubeckiego.

— Proszę wuja, musimy się rozmówić.

Zubecki podał jéj rękę z wyszukaną grzecznością, błyskając na nią swemi złemi oczyma, których spodnią powiekę spazm złości odwijał i ognistą obwódką otaczał.

Gdy się znaleźli sami, Irena rzekła głosem drżącym, który spokojnym być usiłował:

— Znosimy wszyscy nieprzyjemne towarzystwo wuja i złość jego zanadto cierpliwie. Mama milczy, gdy jéj gości wuj obraża, ja więc podejmuję obowiązek powiedzenia: że jeśli powtórzą się zaczepki względem rządcy, który jest człowiekiem potrzebnym, lub względem Wielewicza, który jest gościem i protegowanym ciotki Drahomirskiéj, wtedy ściany tego domu przestaną być mieszkaniem wuja.

— Widzę, że ten młody człowiek bardzo cię interesuje! — rzekł Zubecki ze śmiechem suchym i złośliwym.

— Wuj dobrze wie, ile on mnie interesuje. Nie przemówiłam dotąd do niego ani słowa... O, przepraszam, przemówiłam słów

parę... nigdy z nim jednak nie rozmawiałam... Nie mogę tylko znieść, by nasze obiady stawały się ucztami tragarzy w szynkowni, którą to cechę nadaje im obecność wuja.

Zubecki zawrzał gniewem. Śmiano mu zarzucać złe wychowanie! Usta mu się zatrzęsły i miały wyrzucić jakąś obelgę. Spojrzenie w twarz Ireny wstrzymało go. Wyczytał z niéj wyraz tak silnego postanowienia i takiéj odwagi, że złość swą utopił w niemiłym uśmiechu, który nawet silne nerwy Ireny dotknął nieprzyjemnie.

— Ha, ha, ha, nie wszyscy goście w tym domu mają te same przywileje — rzekł, błyskając oczami na tle czerwonéj jak krew powieki — są tacy, których się traktuje bardzo źle.

— Dla siwych włosów wuja nie chcę przeciągać téj rozmowy — ozwała się Irena wyniośle — przykro mi, żem była do niéj zmuszona. Groźba w niéj zawarta nie była jednak czczém słowem. Umiem dotrzymywać moich obietnic.

Wyszła, zostawiając Zubeckiego, który pogroził jéj pięścią, gdy się odwróciła. Przy wieczornéj herbacie był dla niéj wyjątkowo słodki i usłużny.

— Podły—myślała Irena—boi się... potrzeba na niego strachu, by go uczynić przyzwoitym.

Nazajutrz, Irena była u Amelii, która, po jakimś środku, zastosowanym przez lekarza, miała się bardzo dobrze, gdy weszła pani Solska z miną skłopotaną.

— Ah, co ja mam zawsze przykrości z powodu Seweryna — rzekła z niezadowoleniem. — Wyobraźcie sobie, że ten biedny Wielewicz chce koniecznie wyjechać. Nie można mu tego wyperswadować. Ciocia go nam przysłała... zresztą polubiłam bardzo tego chłopca.

Irenie krew uderzyła do głowy, potém serce jéj się zatrzymało. Zbladła śmiertelnie, słowa przemówić nie mogła. Na szczęście, sztory, jak zwykle w dzień w pokoju Amelii, były spuszczone, nikt nie zauważył bladości Ireny.

— Cóż-to się stało? — spytała Amelia.

— Nie byłaś wczoraj przy stole... mój brat prawie wyraźnie wypowiedział dom temu chłopcu.

— Trzeba było powiedzieć, że to nie jest dom wuja, że zgryźliwość tego charakteru wszyscy znosimy...

— Powiedziałam to wszystko, wreszcie prosiłam nawet tego chłopca...

— Tego rodzaju ludzie bywają obraźliwi.

Irena milczała, patrzała spokojnie na pozór w twarz rozmawiających, w duszy zaś zawołała: „nie pojedzie! nie pojedzie!“ Czuła znowu w całéj sile, że zawieszona była groźba nad czémś, co jéj było

drogie, i że ona tego czegoś bronić musi, bronić będzie i obroni! Obroni, bo inaczéj?...

Jakiś strach niepojęty, bezmierny, zastąpił nagle w jéj duszy początkową, dumną pewność wygranéj. A jeżeli on pojedzie i nie wróci nigdy... i zginie dla niéj wśród tego tłumu ludzkiego, który pochłania, jak śmierć, jak wieczność... Ona go szukać nie pójdzie i nigdy już więcéj na niego patrzéć nie będzie... nigdy nie usłyszy jego głosu.

— Boże, Boże! — zawołała w duszy.

Siedzieć w téj chwili na miejscu i panować nad wyrazem swéj twarzy było jéj niepodobném. Wstała i wyszła, spokojna na pozór.

— Jakże się mamie zdaje? — spytała po jéj wyjściu Amelia. — Czy Irenka da się namówić do pojechania ze mną do Ostendy?

— Nie wiem. Mnie się zdaje, że ona nie chce zerwać z Eugeniuszem, a boi się, że gdyby wyjechała... zobaczyła nowych ludzi... Nie można krępować jéj woli.

— Pojedzie! — zawołała gwałtownie Amelia — musi pojechać! Szepnę Eugeniuszowi, by jechał także. Ah, co za myśl doskonała! Będziemy mieli bardzo przyjemnego towarzysza podróży... i Irenka będzie miała swój flirt!

— Ależ to nie będzie sensu!

— To niech nie jedzie z nami; niech w parę dni po nas przyjedzie. Każdemu wolno kąpać się w morzu! To już rzecz ułożona, skończona! Tak musi być!

— Róbcie, jak chcecie, moje dzieci.

Irena, znalazłszy się w swoim pokoju, chodziła po nim przez chwilę niespokojnie, potém poszła szukać Cesi. Dziewczyna była z panną Forgett w pokoju szkolnym. Irena nie zaglądała tam prawie nigdy; teraz, przeprosiwszy, że lekcyę przerywa, zapytała Cesi, czy nie wzięła z ławki ogrodowéj zostawionego tam miesięcznika.

— Nie wzięłaś? Ah, to pewno ten Wielewicz!

— On-by nie dotknął cudzéj książki! — zawołała Cesia — do przesady jest delikatny!

— A propos, wiesz, że wyjeżdża?

— Wyjeżdża? Gdzie?

— Całkiem sobie z Mirska jedzie.

— Dlaczego?

— Obraził się na wuja Seweryna i nie chce dłużéj tu być!

— To trzeba mamie powiedzieć! Trzeba mu wyperswadować... on jeszcze bardzo osłabiony!

— Mama podobno mu perswadowała... nie chce ustąpić... Ale mniejsza o to! Przepraszam, żem ci przerwała lekcyę. Andrzéj musiał sprzątnąć moją książkę.

Cesia była roztargniona przy lekcyi. Panna Forgett po raz pierwszy była z niéj niezadowolona. Dziewczę chciało conajprędzéj biedz ratować przyjaciela od nierozsądnéj myśli wyjeżdżania z Mirska. Przecie sam mówił, że go wieś tak raduje, jak nic go jeszcze nigdy nie radowało w życiu, że mu daje zdrowie, którego przez wakacye zrobi sobie zapas taki, że mu na całe życie wystarczy. A teraz chce wyjeżdżać, piec się w Warszawie podczas najgorętszych miesięcy! Nie, na to ona, Cesia, pozwolić nie może!

W parę godzin potém wracała z ogrodu ze smutną minką. Poszła użalić się pannie Józefie.

— Moja ciociu, cóż to za uparciuch! Proszę go, namawiam; powiada, że mu bardzo przykro, ale że wyjechać musi. Już wysłał do rodziców list, oznajmując im swoje przybycie. Otrzymałam to tylko, że dla mnie, dla mojego rozkazu, dla dobroci, jakiéj ode mnie doświadczył, zostanie jeszcze trzy dni. Ś-go Dominika odeśle późniéj Andrzejowi.

— Ja jeszcze pójdę, sprobuję go namówić — rzekła panna Józefa — tyś prosiła, ja przemówię do jego rozsądku. To prawdziwe szaleństwo, w jego położeniu odrzucać gościnność w domu, gdzie mu są radzi, gdzie go wszyscy lubią. Bo tu wszyscy bardzo dobrzy dla niego. Oprócz pana Seweryna, przykrego dla wszystkich, i może... Irenki, któréj on wcale nie interesuje.

— Irenka go téż lubi; ja widzę, że go lubi, tylko ona już taka...

— Cesiu, Cesiu!

Irena wołała siostry.

— Zaraz, zaraz!

Cesia wybiegła na werandę, skąd dochodziło wołanie.

— Wyobraź sobie, że téj książki znaleźć nie mogę, a tak mię tam jeden artykuł zainteresował.

Irena nie powiedziała, że sama książkę schowała.

— Poczekaj, będę szukać! Pytałaś Andrzeja?

— Mówię ci, że to Wielewicz...

— Nie, nie, pytałam się go. Wyobraź sobie, na żaden sposób zostać nie chce. Za trzy dni wyjeżdża. Mówiłam mu, że wuj ma taki charakter... On powiada, że jakikolwiek jest ten charakter, on nie ma prawa być natrętnym bratu mamy i ustąpić powinien i musi. Przytém przyznaje, że nie może znieść niegrzeczności od nikogo. Gotów nawet starszemu człowiekowi powiedzieć ostre słowo. Boi się swego własnego popędliwego usposobienia. Widzę, że go nic nie zdoła nakłonić do zostania. Ciocia Józia jeszcze będzie probowała, ale wątpię, czy to do czego posłuży.

— Robicie z tego prawdziwą sprawę stanu! — rzekła Irena, ruszając ramionami.

Niepokój, którego opanować nie mogła, napełniał jéj duszę. A jeżeli nie pomogą niczyje prośby, niczyje pragnienie zatrzymania Jana? Na taką myśl mąciło jéj się w głowie.

Było około trzeciéj po południu; upał dokuczał nieznośny. Wszyscy chronili się pod dach, szukali chłodu, pokoi. Irena wiedziała, że tylko Jan przebywa z pewnością na świeżém powietrzu, bo mu to przez lekarza przepisaném zostało, dogadzało to zresztą jego upodobaniom. Wzięła kapelusz ogrodowy i wyszła.

— Irenko! — zawołała za nią pani Solska -- nie wychodź teraz, spieczesz się na słońcu!

— Sprobuję stawić czoło upałowi... jeżeli będzie silniejszy ode mnie, wrócę.

Krążyła po ogrodzie, przebiegła aleje, zaglądała w cieniste miejsca. Słońce paliło żarem, ona jednak szła ciągle, coraz prędzéj, coraz niespokojniéj. Wreszcie odkryła Jana w jakimś zakącie lasku. Siedział na ławce, czytając książkę. Gdy ją spostrzegł, zerwał się zmieszany mocno, a że jéj dnia tego nie widział jeszcze, więc się ukłonił. Ona ukłon oddała, i nic nie mówiąc przeszła, chwilę na nim wzrok zatrzymawszy.

Tylko po to jedno spojrzenie przyszła po upale, który jéj policzki oblał kolorem szkarłatu. Od téj chwili zdarzało się, że parę razy na dzień Irena przechodziła koło Jana, rzucając mu spojrzenie, czasem uśmiech; on zawsze podnosił się z pośpiechem, jakby czekał od niéj rozkazu. Ale nie rozkazywała nic i nic nie mówiła.

Wiedziała przez Cesię, że Jan terminu odjazdu zmienić nie chciał i że wyjeżdżał stanowczo. Raz nawet była o tém mowa przy stole, przyczém młodzieniec spokojnie, lecz bardzo seryo oświadczył, że jechać musi i pojedzie.

Trudno sobie wystawić niepokój Ireny. Łamała sobie głowę, szukając sposobu, męczyła się i cierpiała. Przytém między nią a Amelią zapanował chwilowy chłód. Amelia pojąć nie mogła oporu siostry co do podróży do morza. Wyrzucała jéj egoizm i kaprysy. W wilię wyjazdu Jana, przyjechał Eugeniusz, którego obecność do reszty rozstroiła Irenę.

Jan nie przychodził do salonu. Sztywność Ireny i nierówność humoru Amelii onieśmielały go. Nie lubił się narzucać, nie miał w sobie najlżejszéj arogancyi. Usuwał się i zajmował zawsze skromne stanowisko, nie z uczucia pokory wszakże, raczéj z dumnéj obawy, by się nie wydać natrętnym lub zbytecznym. To unikanie salonu, którego nikt przed nim nie zamykał, zdawało się zaznaczać między

nim a domownikami wyraźny przedział towarzyski i umieszczać Jana na niższym szczeblu towarzyskiéj drabiny. Przedział ów, jakby przyznawany przez młodzieńca, utrudniał jeszcze Irenie zbliżenie się do niego.

Wieczorem po przyjeździe Eugeniusza, siedziała ona w salonie, gdzie się też znajdowało kilka osób, przybyłych z sąsiedztwa. Czuła na sobie obowiązek rozmawiania i bawienia gości, umiała panować nad sobą; jednak myśl, że jutro skończy się na zawsze sen, którym się pieściła chwilę zaledwie, doprowadzała ją do takiego stanu roztargnienia i niepokoju, iż baczne oko Eugeniusza dostrzegło, że była w niezwykłém usposobieniu. Mówiła i śmiała się w jakiś sposób nerwowy, nienaturalny, oglądała się wkoło, jakby czegoś szukała, wreszcie dotknęła ręką czoła, jak ktoś, kogo głowa boli, i wyszła. Spiesznym krokiem udała się ku werandzie; deszcz drobny padał, mieszkańcy domu musieli więc być pod dachem. Weszła napowrót do domu i spiesznie przebiegła pokoje. W bibliotece zastała Jana, chodzącego w zamyśleniu wkoło wielkiego stołu.

— Pan będzie jutro w Warszawie? — spytała go spiesznie.

— Tak, pani.

— Miała-bym niektóre polecenia... Pan musi koniecznie jutro wyjechać?

Jan spojrzał z wyrazem prośby i dziękczynienia zarazem. Pierwszy raz Irena dobrowolnie, umyślnie przemówiła do niego.

— Muszę — wyszeptał.

— Dlaczego?

— Było mi tu zanadto dobrze... zapomniałem, że nie mam prawa, będąc już zdrowym, korzystać z tego, co było ofiarowaném choremu... Przypomniał mi to pan Zubecki... Pani chciała mnie obronić przeciw niemu, jak mnie pani przeciwko zębom psa broniła... To ukąszenie poczułem jednak.

— Pan jeszcze tak osłabiony...

— Osłabiony, prawda, ale zdrów.

— Więc kiedy nie chcesz pan zostać jako rekonwalescent, zostań pan jako... przyjaciel.

Dostrzegła we wzroku Jana, że chciał-by był się przed nią rzucić na kolana. W jego rysach był wyraz szczęścia i pokory zarazem.

— Zostanę — rzekł cicho — kiedy pani każe, zostanę.

Usta Ireny rozchylił jeden z tych uśmiechów, który nieprzepartym czarem zdobił jéj twarz.

— Dziękuję — szepnęła.

Potém spiesznie opuściła pokój.

Jan został, oszołomiony jeszcze i zaledwie zdający sobie sprawę z tego, co zaszło. Jak się to stało, że on tak od razu, tak bez namysłu zgodził się zostać przy pierwszém słowie Ireny, kiedy ani prośbie i namowie Cesi, ani serdecznym uwagom pani Solskiéj nie uległ? O, bo to nie było to samo! Tamtym mógł się opierać i miéć wobec nich swoją własną wolę; téj jedno skinienie palca wystarczało, by go zaprowadzić, gdzieby chciała!

Ona chciała, by został! A więc był dla niéj czémś!.. nie jakimś sprzętem, na który nie zwraca się uwagi, ale istotą, któréj postanowienia i istnienie ją interesowały! Czuł się rozrzewnionym, pełnym wdzięczności i szczęśliwym bez miary. Ta istota najpiękniejsza, najwznioślejsza ze wszystkich, ta wielka pani, przemówiła do niego, odwoływała się do jego przyjaźni, życzyła sobie, by został! Była to naturalnie tylko dobroć serca z jéj strony... O, bo ona miała wielkie, współczujące serce, nie lubiące wylewać się w czułostkach, ale takie dzielne, odważne serce, odczuwające i bóle, i zniewagi drugich! Co uczynić, co uczynić, o Boże, żeby doprawdy być jéj przyjacielem, jéj sługą? żeby odgadywać jéj chęci, jéj myśli, wiedzieć, co się jéj podobać może?

Irena zanadto była wzruszona, wychodząc z biblioteki, by mogła zaraz wrócić do gości. Poszła na werandę, okrytą nieprzemakalném płótnem, po którém spływały z lekkim szelestem krople drobnego deszczu. Całą piersią wciągała wilgotne, nocne powietrze, wpatrując się w ciemności rozszerzonemi oczyma. Potrzebowała się uspokoić, uciszyć w sobie to wielkie uczucie szczęścia, które inni mogli wyczytać na jéj twarzy. Przyciskała rękami piersi i po raz pierwszy w życiu czuła się w szczęściu pokorną. Gdyby była pobożną, była-by dziękowała Bogu, zwracała się jednak do Niego tylko w godzinach na modlitwę przeznaczonych. Nie odniosła więc do Niego swéj wdzięczności, ale była wdzięczną w głębi duszy. Jan zgodził się zostać i uczynił to bez wahania, na jedno słowo prośby! Jéj prośby! To uwielbienie, które miały dla niéj jego oczy, nie było więc kłamstwem!

Nieraz już w życiu jedno jéj słowo decydowało o czynach i postanowieniach ludzkich. Wtedy brała to za należny jéj hołd, jak królowa, która się nie dziwi posłuszeństwu poddanych. Teraz zmiana projektów biednego chłopca, będącego dla niéj niczém, przejmowała ją niewysłowioném szczęściem. Czuła się u wrót raju, którego jeszcze nazwać nie umiała, ani do jego głębi zajrzéć się nie siliła. Ochłodziwszy się trochę na dżdżystém powietrzu, wróciła do salonu. Eugeniusz, bystro ją obserwujący i znający dobrze, ujrzał na jéj twarzy wyraz, którego dotąd nigdy nie był dostrzegł, wyraz słodyczy i rozmarzenia.

— Co się dziś w jéj duszy dzieje? — pomyślał.

Zaraz potém tę zmienność dzisiejszą wyrazu twarzy Ireny odniósł do siebie. Może uczucia jéj względem niego przechodziły wreszcie w fazę miękkości, powolności...

Nazajutrz pani Solska wróciła z kościoła nieco później, niż zwykle. Wstąpiła w powrocie do biednéj staruszki, którą wspierała datkami i słowami pociechy. Gdy weszła do jadalnego pokoju, zwykłe ranne towarzystwo już w nim było zgromadzone. Wszyscy wstali, by ją powitać. Ostatni przybliżył się Jan.

— Pragnę od razu się oskarżyć — rzekł młodzieniec — i prosić o przebaczenie. Byłem szalony, a co więcéj, niemądry i niewdzięczny, chcąc stąd wyjeżdżać. Dziś proszę o pozwolenie pozostania dłużéj.

W słowach chłopca, w jego głosie był wdzięk i taka jakaś dziecinna pokora, że wszyscy, prócz Ireny i Zubeckiego, wydali okrzyk ukontentowania.

— To nas pan tylko tak straszył? — zawołała, udając nadąsanie, Cesia.

Irena nie powiedziała ani słowa, miała minę nawet tak zimną i obojętną, że Zubecki ozwał się do niéj po francusku, wiedząc, że Jan języka tego nie rozumie:

— Widzę, że oboje zdziwieni jesteśmy arogancyą tego przybłędy. Daje się prosić, pozwala sobie odmawiać gościnności, a potém raczy ją przyjmować... Doprawdy, to oburzające!

Irena nie odpowiedziała. Jéj czarne oczy rzuciły Zubeckiemu spojrzenie, które zatrzymało potok jego wymowy.

Amelia zupełnie tak, jak Zubecki, odczuła postępek Jana. Nie było jéj przy śniadaniu i sądziła o nim tylko z opowiadania.

— Trochę za wiele sobie pozwala — rzekła z niechęcią. — Myśli może, że łaskę nam wyświadcza, zostając. Piękny, jak Endymion, ale gbur, parweniusz i arogant!

Eugeniusz z jakąś nadzieją w sercu powitał dnia tego Irenę. Pomimo szczeréj miłości, którą dla niéj żywił, męczyły go już długie konkury i ciągłe opuszczanie interesów dla przebywania z Ireną. Pragnął ustalenia przyszłości, uspokojenia się co do niéj, wreszcie założenia rodziny, na co w czterdziestu latach był już czas wielki. Niepokoił się i niecierpliwił, wszakże takt wrodzony strzegł go od popełniania niezręczności i okazywania pośpiechu, który mógł sprowadzić mu wyraźną odmowę.

Irena wiedziała, że w jéj wieku było-by śmiesznością, na wzór młodych panienek, trzymać się boku matki i uważać za rzecz nieprzyzwoitą znalezienie się sam na sam z mężczyzną, lub samotne z nim przechadzki. Nie udawała téż bynajmniéj, iż nie wie, że dla

niéj jedynie Eugeniusz znajdował się w Mirsku. Zostawiano ich często samych.

I tego dnia poszli we dwoje do parku, korzystając z ochłodzonego przez nocny deszcz powietrza. Eugeniusz mówił o starym swym pałacu i potrzebnych w nim odnowieniach. Zaczął już był z wiosną niektóre roboty i pragnął zdania Ireny w niektórych szczegółach.

— Bo pani wie — dodał, widząc że słuchała z owym słodkim uśmiechem, który spostrzegał na jéj twarzy po raz pierwszy — pani wie, że wszystko, co przedsiębiorę, czynię jedynie z myślą o pani.

— To źle! — zawołała — to na mnie wkładać-by powinno jakieś obowiązki, a ja nie jestem usposobiona do przyjęcia ich! Jest mi to przykro, że się tak dzieje! Niech pan pałac odnawia dla siebie, nie myśląc o mnie!

— Nie jest możliwe, bym ja o pani nie myślał... Ciężar odnawiania domu tylko z pomocą téj myśli może mi być miłym. Odnowię go i — niech czeka!

— Panie Eugeniuszu... tyle razy mówiłam panu... jeżeli czekanie jest panu ciężkie...

— Bardzo ciężkie, pani, ale cięższa-by mi była jeszcze zupełna utrata nadziei.

— Kiedy ja nie wiem... Takie ze mnie kapryśne stworzenie...

— A więc nie mówmy o tém... Strzegę się dotykać w rozmowie kwestyi, które mogą być pani niemiłe; czasem jednak słowa mimowolnie na usta wypływają... I teraz... niech mi pani daruje... Powinno mi wystarczać to, co mi pani parę miesięcy temu powiedziała...

— Co?

— Że jeżeli pani wogóle kiedykolwiek na małżeństwo się zdecyduje, to...

— To pana wybiorę na męża — dokończyła spokojnie Irena. — Tak, ja to powiedziałam.

Patrzała gdzieś w dal, na ciągnące się za stawem łąki, śledząc wązką wstążkę wijącéj się rzeczułki, migocącéj w słońcu, jak wygrzewający się w jego promieniach wąż. Milczała przez chwilę zadumana.

— Jak taka rzeczułka w blaskach słonecznych hypnotyzuje — rzekła w końcu — zdaje się, że się myśl rzuciło na fale i potém śledzi się tę myśl, jakby była cudzą i jakby płynęła do morza.

— Dobrze-by ją było tak rzucić czasem ze związanemi rękami i nogami, obezwładnioną, i odpocząć od bólu i udręki, które sprawia. Sen jest takim dobroczynnym darem, szczególniéj dlatego, że odejmuje nam myśl świadomą siebie.

— Tyle pan tu bluźnierstw wypowiedział na tę jedyną, prawdziwą, niepodzielną własność człowieka — jego myśl, do której nikt zajrzéć, nikt sobie prawa rościć nie może!

— Nie zawsze myśl jest własnością wyłączną. Czy pani nie zdarzyło się nigdy wyczytać jéj wyraźnie na czole bliźniego?

Irena pomyślała o chwili, w której była-by przysięgła, że Jan miał zamiar rzucić się przed nią na kolana i ona zamiar ten wyczytała mu z czoła. Nie odpowiedziała Eugeniuszowi, uśmiechnęła się tylko, patrząc na wstęgę wijącéj się rzeki.

Nikt na jéj czole nie mógł wyczytać, że ona, ambitna i bogata dziedziczka, mająca u nóg swoich wielkiego pana, poszukiwaną, rzadką partyę, marzyła o ubogim chłopcu, którego nawet za człowieka ze swéj sfery nie uważała. Nie pamiętała, kim był i skąd przychodził, pieściła się tylko w marzeniu jakąś nieujętą nadzieją szczęścia. Czuła, że stoi u drzwi raju.

Eugeniusz nie przerywał jéj zadumy. Znowu ten miękki, słodki wyraz, którego dotąd nie znał na jéj twarzy! I znowu tknęło go przeczucie, że w téj duszy coś wyrastało nowego, coś powstawało.

Irena się opamiętała.

— Co za śmieszna rzecz — rzekła — stać tak w zadumie. Jak gdybyśmy byli dwojgiem marzycieli, a z nas taka para pozytywnych ludzi!.. Chodźmy daléj; chodzenie, choćby bezcelowe, daje jakiś pozór czynności...

— Pani dużo malowała w tych czasach?

Zapytanie Eugeniusza wskazywało, że rozmowa wchodziła na tory zwyczajnéj, trochę naprężonéj pogawędki, pod którą często ludzie ukryć pragną rzeczywiste swe myśli. Między tą parą spacerujących rozmowa ten właśnie cel mieć się zdawała. Eugeniusz mówił o malarstwie, łamiąc sobie głowę nad końcem swoich o rękę Ireny zabiegów; Irena odpowiadała i usiłowała wydawać się zainteresowaną przedmiotem rozmowy, w rzeczywistości zaś była roztargniona i niespokojna. Zatrzymywano ją tu, a jéj trzeba było gdzieś biedz, spieszyć się... czekało na nią życie, otwierało do niéj ramiona... a tu więzy... na wszystkie strony więzy...

Uczuła je znowu wyraźnie, gdy Amelia, tém więcéj do swéj myśli przywiązana, im ją trudniéj było przeprowadzić, z nowym zapasem argumentów wystąpiła, usiłując namówić ją do towarzyszenia sobie do wód. Błagała ją w imię uczucia siostrzanego... Prosiła, by Irena nie odpowiadała, nie odbierała jéj nadziei, ale by się namyśliła... Ufała jéj sercu; nie mogło być, by się ono w końcu zmiękczyć nie dało!

Irena nie odpowiedziała, nie z powodu wahania się, lecz nie chcąc dać Eugeniuszowi widoku swéj zaciętości i gniewu, a może lękając się spazmów Amelii. Obiecała za dziesięć dni o decyzyi swéj stanowczéj siostrę uwiadomić.

Eugeniusz wyjechał; miała przed sobą tydzień bez burzy, bez żadnéj chmury. Nie potrzebowała już teraz szukać Jana w parku, dość jéj było wyjść, by go natychmiast spotkać na swéj drodze. Gdzieś zawsze był w pobliżu. Dawała mu uśmiech przechodząc, czasem przemówiła słów parę. On nie śmiał jéj w przechadzce towarzyszyć, ona nie chciała przy nim się zatrzymywać. Został w Mirsku w imię przyjaźni dla niéj, a szukając się bezustanku, udawali, że się unikają. Pomimo, że z sobą przebywali tak mało, a pragnęli-by byli przebywać ciągle, były to dla obojga chwile pełne rozkoszy. Żadne z nich nie powiedziało sobie jeszcze, że kocha, żadne nie myślało o jutrze, tylko instynktownie, jak jaskółki za morze, tak oni ciągnęli ku sobie. Irena była pewna, że gdy wieczorem wyjdzie do ogrodu, zobaczy wśród ciemności postać oczekującego młodzieńca. I nigdy nie było jéj dosyć ponawianego doświadczenia. Widząc go wysuwającego się z cieniu, jakby przypadkiem, nie doznawała tryumfu, ogarniało ją tylko za każdym razem bezmierne rozrzewnienie — uczucie zupełnie nowe dla niéj, którém się jeszcze nacieszyć nie mogła. Tkliwość, napełniająca serce, do jéj umysłu wnosiła marzycielski i poetyczny nastrój. Ona, rozsądna niegdyś i zimna, teraz nie pragnęła badać własnych uczuć, nie pytała, dokąd one prowadzą i gdzie mają swój początek. Była jak lunatyczka, która, czepiając się dachów, chodzi spokojna, jak po równéj drodze, i o żadném niebezpieczeństwie w śnie swoim nie wie. A wszystko tak było piękne wkoło niéj. Nigdy jeszcze takie kwiaty w ogrodzie nie kwitły, takich cieniów tajemniczych nie rzucały drzewa, takich chórów żabich i ptasich nie miały stawy i lasy. A noc! Letnia noc cicha, ukrywająca głębie tajemnic, rzucająca w świat tysiące snów, które czepiają się głów, ułudę zamieniając im w prawdę, marę w rzeczywistość! Żal było Irenie czas poświęcać na spanie; czasem pół nocy przesiedziała w otwartém oknie, uśmiechając się do wspomnień, wychylających się ku niéj z cieniów ogrodu. Była dojrzałą kobietą, a marzyła, jak młode dziewczę. Jakieś słówko Jana, jego uśmiech, spojrzenie, zalęknienie wobec niéj, wystarczały jéj jako temat do rozmyślań. To wszystko nie miało związku ani z przeszłością, ani z przyszłością, tylko kołysało ją do rojeń rozkosznych, kładło jéj w serce owo zadziwione roztkliwienie, tak nowe dla niéj. Chciała-by była uczynić dla Jana jakieś wielkie poświęcenie; jak dziecię roiła sobie wypadki, w których swoje życie za jego życie kładła, w których jéj ręka otwierała przed nim przy-

szłość wielkości i sławy. Chciała-by była mieć koronę do włożenia mu na skronie. Wszyscy dostrzegli w Irenie zmianę, której przyczyny dobadać się nie mogli. Sen na jawie, który śniła jéj dusza, opromieniał wszystkie jéj słowa i czyny jakimś nowym, pociągającym urokiem. Stała się miękką i uległą dla matki, tkliwą dla Cesi, wyrozumiałą dla Zubeckiego, uprzejmą dla domowników. Wszystko to bezwiednie i mimowoli. Litowała się teraz nawet nad niedolą zwierzęcia. Jednego dnia z dziecinną troskliwością wyniosła do ogrodu pająka, którego dostrzegła na ścianie w swym pokoju i bała się, by przez sprzątającą dziewczynę dostrzeżonym i zabitym nie został.

— Żyj sobie, żyj!

Przenikało ją głębokie poczucie prawa, które każda istota ma do życia, do szczęścia. Wogóle tyle szczęścia widziała teraz w naturze! Unosiło się ono wkoło niéj wraz z powietrzem. Lada muszka bajająca w słońcu, lada pająk układający w sieć swoją przędzę, wydawały się jéj teraz takiemi szczęśliwemi stworzeniami! Dość było żyć, by być szczęśliwym!

Pani Solskiéj przychodziło na myśl, że rozpromienienie i słodycz Ireny pochodziły z powziętego już postanowienia zostania żoną Eugeniusza.

— Ja to wiem — mówiła do Józefy — często ukojenie się i uciszenie uczuć oznacza koniec walki. Irenka przestała się dręczyć wewnętrznie, zdobywszy się na stały zamiar. Nigdy jéj taką, jak teraz, nie widziałam... wyrosły jéj nagle skrzydła anielskie.

Irena nie słyszała tego porównania matki, ale była-by je uznała za słuszne. Ona sama czuła w duszy to, co Krasiński *rozanieleniem* nazywa: jakieś porywy ku dziedzinom ideału, jakąś anielską dobroć, tkliwość i współczucie dla wszystkiego, co ją otaczało.

Miłość, któréj dotąd nie nazwała po imieniu, któréj nie zajrzała w oczy wyraźnie, dała jéj też to, co w uczuciu tém jest najwdzięczniejszego: zdolność stwarzania sobie wielkiéj radości z lada drobiazgu. Radość tę karmiło i podniecało jedno spojrzenie, słowo, dźwięk głosu. A już coś, co zakrawało na wydarzenie, było dla Ireny całém niebem rozkoszy.

Pewnéj niedzieli zdarzyła się jéj sposobność wypróbowania swéj władzy nad Janem. Był on w religii zupełnie obojętnym i od praktyk religijnych stroniącym. Zapytany, czy do kościoła pojedzie, odpowiedział, że woli zostać w domu. Stał na ganku, podczas gdy Irena z Cesią wsiadały do powozu. Irena walczyła z sobą. Dawna jéj duma wyrobiła w niéj przyzwyczajenia pewnéj nieprzystępności; coś się

w niéj buntowało na myśl, by mogła nieznajomego młodzieńca, nienależącego nawet do jéj towarzystwa, zaprosić do powozu, w którym siedziała. Dawny ostry wyraz ukazał się na jéj obliczu. Czuła, że mogła być w téj chwili dobrą dla żebraka, ale pierwszy krok uczynić ku młodemu chłopcu, do którego ciągnęło ją nieprzeparte uczucie, na to nie pozwalała wyniosłość duszy. Gdy furman cmoknął na konie, opanował ją nagle żal niewytłómaczony. Czuła, że jedném słówkiem sprawić mogła, by Jan usiadł naprzeciwko niéj, na przedniém siedzeniu powozu, a słówka tego usta jéj wymówić nie chciały. Rzuciła ku stojącemu na ganku młodzieńcowi spojrzenie, które wołało, które mówiło wyraźnie: chciała-bym mieć cię przy sobie! Eugeniusz byłby umiał zachwycić się wymową tego spojrzenia, którego siłę uznawał za godną zachwytu tłumów. Jan je zrozumiał, przynajmniéj odczuł w niém siłę nieprzeparcie ciągnącą. Stała właśnie przed gankiem bryczka, na którą miał siąść Plewaczek, grywający na organach podczas nabożeństwa. Gdy dobrodusznie uśmiechnięty Czech siedział już na bryczce, ujrzał nagle wskakującego za sobą Jana, który z uśmiechem prosił go o trzecią część siedzenia dla wielkiego grzesznika, którego nagle napadła ochota poprawy.

Irena siedziała w kolatorskiéj ławce, stojącéj przy drzwiach zakrystyi. Chciała się modlić, lecz myśl jéj uciekała od słów rozłożonéj przed nią książki. Jakieś niewyraźne marzenie i tęsknota napełniały jéj duszę. Nie przeczuwała, że Jan stał przy ławce, tuż za nią, że potrzebowała tylko głowę zwrócić, by go ujrzéć. Po mszy zabrzmiał śpiew: „Święty Boże“, przy którym wszyscy ugięli kolana. Ona uklękła także na wschodku, umieszczonym w ławce, i po raz pierwszy w życiu zapragnęła głos swój połączyć z głosem śpiewającego ludu. Z wielkiém wzruszeniem śpiewała, zapominając, że Cesia i matka spoglądały na nią zdziwione. Nie wiedziała téż, że inne jeszcze oczy patrzały ku niéj; Jan ukląkł obok ławki, z któréj podwyższenia Irena górowała nad nim o całe ramiona i głowę. Można było sądzić, że wzrok zwracał ku ołtarzowi, wzrok pełen błagania, pokory, wzrok człowieka, który się oddaje; Irenę przebiegł naraz dreszcz radośnego przeczucia. Zwróciła głowę i spotkała jego spojrzenie. Spojrzenia tego nie zapomniała już nigdy w życiu. Płomień rumieńca oblał ją całą. Nie spodziewała się ujrzéć u swych stóp prawie klęczącego Jana, zapatrzonego w nią, jakby ona była bóstwem, do którego się modlił. To jedno zamienione spojrzenie, wzruszenie nagłe, nad którém zapanować nie mogła, rumieniec, który okrył bladą twarz Jana, i ten, który poczuła ogniem obejmujący jéj twarz, były tematem do późniejszych marzeń, rodzących uczucie niezmiernéj szczęśliwości. Wracając z kościoła, wsunęła się w głąb

powozu, odpowiadając półsłówkami na uwagi i wesołe żarty Cesi. Jeszcze ją spojrzenie Jana przejmowało do głębi, jeszcze drżała wewnętrznie przed niemém błaganiem, które zawierało. Policzki jéj pałały, oddychała śpiesznie i, choć nie zdawała sobie sprawy ze swych uczuć, jakiś instynkt zmuszał ją do ich ukrywania. Wgłąb powozu wsunięta, na twarz spuściła woalkę, by świat swój wewnętrzny jaknajbardziéj utaić.

Jan, choć o tyle lat młodszy od Ireny, daleko dokładniéj rozumiał siebie i wcześniéj, niż ona, to, co czuł, nazwał miłością. Fornaryna zbladła mu i zbrzydła zupełnie, towarzystwo Cesi straciło dla niego dawny urok. Nie myślał już ani o kształceniu Franka, ani o przyszłości wielkiego malarza; myślał tylko o znalezieniu się na drodze Ireny wszędzie, gdzie się ona obróciła. Widział, że go witała uśmiechem, że się nie gniewała, że jéj nie obrażało jego natręctwo, i to mu wystarczało. Miał nadzieję, że powoli, oprócz uśmiechu i powitania, dumna panna dawać mu zacznie coraz dłuższe chwile rozmowy. Krążył wkoło, czekał i czuł się szczęśliwym.

Jego położenie wobec towarzystwa w Mirsku zmieniło się téż nagle, z powodu kaprysu Amelii. Gdy raz, po zachodzie słońca, wybrała się do ogrodu, wsparta na ramieniu Cesi, usłyszała śpiew męski. Zatrzymała się zdumiona. Głos był tenorowy, a Amelia wiecznie marzyła o znalezieniu tenora, z którym-by mogła śpiewać duet z „Fausta“ i z „Romeo i Julii.“ Tenor! Zkąd się tu wziął tenor?

— To pan Wielewicz śpiewa — rzekła Cesia. — Umie mnóstwo piosenek studenckich, ludowych, brukowych...

— Ależ on ma tenor, moja droga! Chodź, muszę ten głos wypróbować. Słyszysz, jaką wziął wysoką nutę i *timbre* czysto tenorowy!

W téjże chwili, z nerwowym pośpiechem i zapałem, zaciągnęła Wielewicza do siebie. Pod wpływem myśli, że odkryła głos rzadki, zapomniała, że ma do czynienia z człowiekiem, którego niedawno do drugiego stołu odesłać radziła. Siedziała przy fortepianie, probując głosu młodzieńca i marząc, że jéj-to przypadło w udziale szczęście znalezienia takiego rzadkiego skarbu, jak piękny i silny tenor, posiadający przytém ucho wyśmienite.

Od téj chwili z zapałem oddała się nauczaniu Jana. Rozkoszowała się jego młodym, dźwięcznym głosem, postępami, które czynił. Wśród nauki rozmawiała z nim czasem, znajdując w jego towarzystwie przyjemność i zapomnienie swoich cierpień. Była nim poprostu zachwycona i rozentuzyazmowana. Irena rozmarzona słuchała jéj zachwytów. Lubiła być obecną hymnom pochwalnym, wygłaszanym na cześć Jana, nie dodając do nich ze swéj strony ani jednego słowa.

— Mówię ci, że to jest nadzwyczajny egzemplarz — wołała Amelia. — Ty jesteś obojętna na takie odkrycia, ale mnie unoszą one i w zapał wprawiają. Bo pomyśl: przywożą nam tu umierającego chłopca, który nam wszystkim jest ciężarem... I ani się domyślamy, że to jest najprzód Endymion pod względem powierzchowności... Tak, moja droga, nie ruszaj ramionami... Czy widziałaś piękniejsze i szlachetniejsze rysy? Myśmy były uprzedzone, ale przypatrz się tylko... toć jego oczy, to dwie gwiazdy... a jaka postawa! Istny król teatralny... Romeo, Raul!... A co za bogactwo natury, co za obdarowanie! Istny Leonardo da Vinci! Kształci się na malarza i utrzymuje, że to jego wyraźne i niezaprzeczone powołanie... przytém ma głos złoty! A żebyś wiedziała, jaki to umysł rzadki!.. Mówię ci, jeden z tych ludzi, co to ich tworzy natura w chwili wspaniałomyślnego kaprysu... Wszystko ten człowiek posiada, nawet takt towarzyski i umiejętność rozmowy zajmującéj, nie wkraczającéj na pole dyskusyi! Jedno mu zarzucam, że ma trochę trywialną rękę, nie powiem jednak, by była zupełnie niesympatyczna... jest w niéj siła i pewna szlachetność, ale jest téż niskie pochodzenie... Zresztą ideał! *Timbre* jego głosu to plusz, to aksamit, to pieszczota, to...

— Moja Amelko, że téż ty nie piszesz powieści!

Irena słuchała siostry zagłębiona w fotel, z głową wspartą o jego poręcz, z oczami nawpół przymkniętemi, z rozchylonemi nieco ustami, pochłaniająca jéj słowa, bo gdy nie widziała Jana, trawiła ją żądza rozmawiania o nim. Żądzy téj nie dawała folgi, bała się, chodziła jak po węglach, ale była uszczęśliwiona, gdy nieznacznie i dyplomatycznie wyciągnęła Cesię na temat ulubiony. Zachwyty Amelii były jéj nad wyraz słodkie, chciała jednak utaić swoje zadowolenie i od czasu do czasu rzucała słowo szydercze.

— Masz słuszność, że to istna powieść — mówiła coraz bardziéj zapalając się Amelia. — Spada nam tu z nieba ten młodzieniec, pełen przymiotów... Trzeba-by tylko było, by się wykryło przy końcu, że to nie zwyczajny Wielewicz, syn rządcy domu, ale książę, który z powodu różnych okoliczności...

— Widzisz, powieść gotowa, brak tylko bohaterki.

— Dla takiego Romea nie trudno o Julię! Już dla samego głosu jego, można-by za nim pójść do piekła. Nie uwierzysz, jak mię unosi myśl, że ja pierwsza ten skarb odkryłam! Co ja duetów z tym moim tenorem śpiewać będę! Posłałam już księgarzowi cały ich spis i czekam na nie lada dzień... Głos to jeszcze surowy, ja go trochę okrzeszę, i zobaczysz, jaki efekt wywoływać będziemy.

W kilka dni potém pani Solska przypomniała Irenie, że upływał właśnie termin, w którym się zdecydować miała na towarzysze-

nie siostrze do morza, lub na danie jéj odmownéj odpowiedzi. Irena postanowiła sprawę tę jasno postawić.

— Amelko—zaczęła spokojnie—wiesz, że gdybym mogła, wielebym poświęciła dla twojéj wygody i przyjemności, ale...

— Do czego to zmierza? — zawołała zdziwiona Amelia.

— Twoja podróż do morza...

— Poplynęła, utonęła, doznała zupełnego rozbicia! Za nic w świecie teraz nie pojadę! Patrz!

Pokazywała Irenie zaadresowany list.

— Do Peronellego? Czego od niego chcesz?

— Sprowadzam go! Chciałam sama przeprowadzić edukacyę tego głosu, ale nie umiem. Czuję, że męski głos potrzebuje osobnéj uprawy...

— Co? sprowadzasz Peronellego dla Wielewicza?

— No, naturalnie. Nie mogę sobie sama dać rady... boję się dać mu fałszywe nocye... po prostu mechanizm męskiego głosu jest mi obcy.

— I dla tego tenora poświęcasz zaleconą ci kuracyę?

— Moja choroba—to nerwy! Najlepsza kuracya to to, co nerwy w posłuszeństwie utrzymuje. Prowadziłam życie bezczynne... już mi w końcu i muzyka była niemiła. Teraz zaczęłam kształcić tego chłopca i mam zajęcie, mam podnietę do pracy nad moim własnym głosem... Ciągle pcha mię i podnieca myśl, że dam ludzkości nowego Rubiniego... dam uszom ludzkim tyle rozkoszy, tyle przyjemności! Ogromnie mię to zajmuje i zapełnia mi życie! Nie chcę ani morza, ani żadnéj kuracyi! Waciowi zalecone tylko wiejskie powietrze, przebywanie cały czas na dworze i słone kąpiele. To wszystko może miéć w Mirsku. Siedzę tu i ani się ruszę. A jak przyjedzie Peronelli, — a on przyjedzie, bo lubi spędzić lato w Mirsku i wziąć za to dobrą zapłatę — to dopiero będę miała życie prawdziwe! Zależałam pole w śpiewie... potrzebuję moje gardło odświeżyć... śpiewając, zapomnę o moich biedach!

Kaprys Amelii i zachwyt jéj nad głosem Jana wprowadził go nagle do grona rodzinnego, zebranego wieczorem w salonie. Amelia popisywała się swym uczniem, chwaliła się nim. Cała rodzina, oprócz Zubeckiego, cieszyła się z nią wspólnie. Naprzód, w milczeniu i nie czyniąc nad tém uwag, radowano się ożywieniem Amelii, potém lubiono już Jana i patrzono z przyjemnością na jego osobę, przyjętą już zupełnie do towarzystwa. Pani Solska, Józefa i Cesia podzielały też zupełnie nadzieje Amelii, co do wielkiéj przyszłości wokalnéj Jana. Jego głos zachwycał je i przenikał swym czarem. Wszyscy, aż do znudzenia, czynili sobie uwagi nad naturalném uposażeniem

Jana, zdumiewającém swojém bogactwem. Wszystko miał ten chłopiec, wszystko... Skąd się to bierze takie dziwactwo natury, że jednym daje tyle, a innym tak mało!

Fizyczny wdzięk chłopca wzrastał w istocie z dniem każdym. Przy powracającém zdrowiu, młodość jego jaśniała coraz żywszym urokiem, i nawet ten zewnętrzny powab przyczyniał się do sympatyi, jaką wzbudzał koło siebie.

Irena zachowywała się najzupełniéj biernie. Zdawała się nie słyszéć rozmów dotyczących Jana, ani uważać wzrastającéj dla niego sympatyi. Upajała się wszakże myślą, że wszystko, co mówił, co czynił Jan, mówił i czynił z myślą o niéj. Odczuwała dokładnie każdą jego intencyę, każdą myśl, ukrytą w obojętném napozór słowie. Wiedziała, że wszystko, co go spotykało dobrego i przyjemnego, przyjmował on i odczuwał przez wzgląd na jéj opinię. Zachwyty Amelii, sympatyę innych członków rodziny, brał on tylko, jako sposób zbliżenia się do niéj. U jéj stóp składał wibrujące uczuciem, rozrzewnione tony swego głosu, dla niéj odzywał się czasem z jakąś delikatną lub dowcipną uwagą, czuła, że dla niéj prostował swoją wyniosłą, wysmukłą postać, że jego rysy jaśniały wdziękiem, jego oczy rzucały błyski tylko dla niéj. Było jéj słodko podglądać myśl, ukrytą w obojętném słowie, w nacisku położonym na wyrazie, w uśmiechu, w spojrzeniu. Wiedziała dokładnie, że się nie myli, że ten młodzieniec siebie samego, wszystkie swoje myśli, wszystkie uczucia, a także to, co mu przychodzi od innych w życzliwości i sympatyi, składa jako hołd u jéj stóp, nic nie żądając w zamian, tylko wzrokiem pełnym pokory i błagania przepraszając ją za to, że wielbić ją się ośmiela.

Ten jego wzrok błagalny zapadał jéj aż do głębi serca. Gdy się na chwilę podniósł ku niéj, czuła roztkliwienie niezmierne i słodkie uczucie szczęśliwości przenikające ją całą.

— Dziecię moje, dziecię moje! — powtarzała często w głębi duszy. Chciało jéj się śmiać i płakać zarazem i patrzéć w oczy chłopca, od których jednak odwracała wzrok w poczuciu jakiéjś bezwiednéj ostrożności, godności kobiecéj i obawy wydania się z własną tajemnicą. Ta trzydziestoczteroletnia kobieta czuła zupełnie tak, jak młoda dziewczyna, w któréj sercu budzi się uczucie nowe dla niéj, którego nie rozumie, a które ją nagle czyni inną, niż była dotąd. Praktyczna, przemyśliwająca o świetném małżeństwie panna, stała się nagle rozmarzoną, żyjącą w jakimś osobnym świecie, idealistycznie nastrojoną, młodzieńczym czarem życia oddychającą istotą.

Umiała teraz podzielać radości i troski Cesi. Była z nią nawet u biednego, niemiłosiernie bitego przez matkę dziecka, które teraz

nie wstawało z posłania. Matka uderzyła je tak silnie kawałkiem drewna, że dziecię upadło na miejscu i już powstać nie mogło, co zobaczywszy, kobieta, z krzykiem i płaczem pobiegła do dworu. Zawiadomiona Cesia pośpieszyła z ratunkiem. Posłano natychmiast po doktora, który nie odkrył wprawdzie siedliska złego, ale podejrzewał jakieś ważne uszkodzenie któregoś z głównych ośrodków, i bardzo małą miał nadzieję uratowania dziecka. Nieśmiałe dotąd dziecię, które tylko łzawemi oczami zdala na Cesię spoglądało, gdy się znalazła na dziedzińcu folwarcznym, teraz, gdy już się matki nie bało, widząc ją zawodzącą i łamiącą nad niém ręce, okazało nagle dla panienki tak wielkie przywiązanie, że chciało-by było ciągle mieć ją przy sobie. Gdy przyszła, nie spuszczało z niéj oczu, i płakało, gdy odchodziła. Zdawało się nie słyszéć krzyków i lamentów matki, całą uwagę wytężając ku Cesi.

— Popatrz ty się na mnie choć jeden raziczek! — wołała kobieta — przecie nie kto ci matka, jeno ja! Bo już tobie, musi, niedługo patrzenia na tym świecie... bo już na ciebie żółta glina czeka i deszczek tych już wiatr nie wysuszy, co z nich dla ciebie chałupę zrobią!

Dziecko cicho rozmawiało z pochyloną nad niém Cesią. Prosiło, żeby mu przyniosła *obrazików*, i książkę, i cukru... Cesia trzymała biedną, brudną, drżącą rączkę chłopczyny w swojéj ręce i szeptała mu, usiłując od łez się wstrzymać, że jak on wyzdrowieje, to już nie zostanie tu w chałupie u matuli, że go ona weźmie do siebie, że on już będzie jéj!..

Układali plany, jakie to oni będą w *pańskim sadzie* robić ogródeczki, jakie będą sadzić *kwiotecki*... Biedna dziecina uśmiechała się, a za każdym jéj uśmiechem, Cesia miała ochotę wybuchnąć płaczem. Łkanie dławiło ją za gardło, ale i ona uśmiechać się usiłowała.

— Mnie nic nie boli, panienko, — mówiło dziecię — czy to mię tak matula nieraz łupnęli?.. teraz aby raz mię wyrznęli... taki jeno jestem czegoś słaby i nogami nic ruszyć nie mogę... Czego tak krzyczycie, matulu? Mnie nic nie będzie... ja sobie pójdę od was do panienki...

Cesia obiecała przynieść *obraziki* i cukier. Wyszła z izby, gdzie leżało chore dziecię, lecz nie od razu powróciła do domu; zagłębiła się w cienistą część ogrodu, zanosząc się od płaczu. Była do głębi wzruszona widokiem chorego dziecka, tak śmiało teraz okazującego jéj swoje przywiązanie. Pani Solska, szukająca jéj, zastała ją wśród tego paroksyzmu płaczu.

— Co ci jest, Cesiu? — zawołała przestraszona.

— Ah mamo, Marcyś pewno umrze!

— Biedny chłopczyna... wierzę, że ci go żal...

— I żal mi go, i wyrzucam sobie tyle!

— Ty sobie wyrzucasz?

— Wyrzucam sobie moją obojętność, mój brak serca!

— Co znowu, moja Cesiu?

— Ah, tak, mamo! to moja wina, że to dziecko umiera! Ja wiedziałam, że je matka bije... powinnam była temu zaradzić... obronić to dziecię... odebrać je téj złéj matce! To moja wina!.. moja wina!

Zanosząc się od płaczu, Cesia ukryła twarz na ramieniu matki.

— Ależ dziecko, cóż ty mogłaś zrobić przeciwko okrucieństwu téj kobiety? Nie ma się prawa odbierać dziecka matce!

— Ja mogłam mieć wpływ na nią!.. mogłam chodzić tam codzień i nad dzieckiem tém rozciągnąć opiekę! To moja wina, czuję że to moja wina! Tak mi go żal, tak mi go żal, mamo!

Pani Solska patrzała na rozpacz Cesi i wszystkie jéj własne straty przyszły jéj na myśl. Wiedziała, że śmierć jest nielitościwa, że jéj żadne łzy, żadne wołania, żadne jęki przebłagać nie zdołają. Musi dostać ofiarę, po którą wyciągnęła rękę!

— Chodź, moje dziecię — rzekła pani Solska, obejmując Cesię ramieniem. — Jeżeli nie uratowałaś dziecka od złości matczynéj, to nie z braku dobrych chęci... nie wiedziałaś, że mu grozi śmierć...

— Nie wiedziałam...

— Pan Bóg sądzi nas tylko za czyny, ze złą intencyą spełniane.

— Ah, Boże, Boże, gdybym mogła uratować to biedactwo!

Pani Solska prowadziła ku domowi łkającą i chwiejącą się Cesię.

— Obmyj oczy, kochanie, zaraz podadzą obiad.

— Pozwól mi, mamo, nie jeść obiadu! Ten biedny Marcyś tak prosił o obrazki... Uspokoję się trochę i pójdę do niego!

Matka miała przez chwilę myśl zatrzymania Cesi, zmuszenia jéj do przyjścia na obiad, ale po chwili namysłu rzekła:

— Idź, jeżeli chcesz... zostawię ci obiad.

Wszyscy zgromadzeni w stołowym pokoju domownicy zauważyli od razu nieobecność Cesi, wszyscy pytali, dlaczego nie przyszła. Czy chora?

— Nie chora, ale prosiła, by mogła nie odstępować chorego chłopczyny, do którego przyjeżdżał doktor.

— Co znowu? — zawołała Amelia — i mama pozwoliła na taki wybryk?

— Pozwoliłam — odparła łagodnie i spokojnie pani Solska. — Cesia nie zasługuje na ostre obchodzenie się z nią, a widziałam, że sprawiła-bym jéj była wielką przykrość rozkazem przyjścia na obiad.

— Ależ to z jéj strony egzaltacya, to przesada! Już i tak spełnia dość dobrych uczynków... już i tak dość się zajmuje chłopami i służącymi!.. ale jeszcze żeby miała przesiadywać godzinami przy chorych?..

— Nie miejcie jéj za złe... to potrzeba jéj serca... lubiła tego chłopczynę... choroba jest niezaraźliwa, więc pozwoliłam.

— Ha, ha, ha! — śmiał się Zubecki. — Zawześmy w tym domu lubili komedyę litości, poświęcenia, miłości bliźniego, miłosierdzia i abnegacyi! Aż mię to cieszy, że ta dziewczyna tak wybornie roli się wyuczyła! To prawdziwa kobieta! dla pozy, dla oka ludzkiego, zdolna się nawet wyrzéc obiadu, choć młody żołądek głodny!

— Ah, mój Sewerynie...

— Wiem, wiem, co powiesz!.. że nie samym chlebem człowiek żyje!.. słyszałem to już nieraz...

Zubecki rzucał siostrze złośliwe spojrzenia z pod wywróconéj, krwawéj powieki.

— Nie samym chlebem, nie samym chlebem — powtarzał — kobieta żyje jeszcze komedyą, przyglądaniem się saméj sobie w roli, przez siebie obranéj...

— Wuj zupełnie z fałszywego stanowiska Cesię sądzi — zawołała Amelia. — Tu nie chodzi bynajmniéj o komedyę, ale o rozwijanie się w niéj egzaltacyi i sentymentalizmu. Ona gotowa na tém skończyć, że zostanie siostrą miłosierdzia!

Irena milczała. W gruncie znajdowała śmieszną gorliwość Cesi, niechcącéj odstąpić chorego dziecka, pomimo, że mu żadnego ratunku udzielić nie mogła; ale obok tego zdania, pozostałego jéj z przekonań dawnych, budziła się w niéj tolerancya, zrodzona z własnego jéj dzisiejszego usposobienia. Pojmowała niejasno, że uczucie idzie, gdzie chce, że szczęście jest tam, gdzie się je widzi...

Spojrzała na Jana. W oczach jego, które przenosił z Amelii na Zubeckiego, spostrzegła oburzenie. Jan więc rozumiał Cesię; ani mu się śmieszną, ani dziwaczną nie wydawała!

— Zostawmy każdego tam, gdzie mu miejsce naznacza jego serce, jego przekonanie... gdy nie czyni nic złego, uszanujmy jego chęci, jego postępowanie...

Głos Ireny był miękki i słodki. Przemawiała nie do Jana, lecz dla Jana. Czuła, że ulega w téj chwili jego zdaniu, jego myślom, i było jéj przyjemnie poddać swój sąd jego sądowi. Pokora była jéj słodką w téj chwili. Spojrzał na nią z wdzięcznością, z uwielbieniem.

— Gdybyś, Amelko, zobaczyła Cesię przy nędznym tapczanie tego dziecka, od razu-byś się pogodziła z jéj postępowaniem. Biedny chłopiec, poniewierany przez matkę, widocznie miał w Cesi jedyną

obronę i ucieczkę. Przywiązał się do niéj jakiémś wyłącznem i doprawdy rozczulającém uczuciem. Nie spuszcza z niéj oczu, do niéj tylko zwraca się z zaufaniem, coś jéj szepce do ucha, żeby matka nie słyszała, błaga ją tak wzruszająco, żeby nie odchodziła, żeby go samego nie zostawiała...

— Co? — zawołał Zubecki — i ty chodziłaś odwiedzać to dziecko?.. To już świat do góry nogami się przewraca!

— Stoi w mierze — rzekła wyniośle Irena — mam tego dowód w nigdy nieustającéj krytyce wuja.

Przy tych słowach spojrzała na Zubeckiego wzrokiem, który go przejął trwogą, czy Irena nie zechce gróźb swoich wykonać, jeżeli się on za pobitego nie uzna. Zamilkł.

Inni jednak współbiesiadnicy, nie wyłączając nawet pani Solskiéj, byli zdania Zubeckiego. Nie mogli się oprzéć uwadze, że się chyba świat przewraca, skoro Irena wchodzi w progi mieszkań wieśniaczych. Tylko Jan wiedział, co miał sądzić o egoizmie i dumie Ireny. Ona ukrywała swoje dobre czyny, a umiała bliźniego nawet własném ciałem zasłonić przed niebezpieczeństwem. Była dumna, ale duma jéj zasadzała się na tém, że nie chciała podziękowań ani wdzięczności, nie znosiła głośnego sławienia swoich postępków. A może była ona w istocie czarodziejką, która potrzebowała tylko rąbek swéj sukni rozciągnąć nad człowiekiem, by go ocalić? W téj chwili przyszedł mu do głowy pomysł obrazu, przedstawiającego mistyczną legendę. Jan miał w sztuce hołdować przedewszystkiém realizmowi, ale jeden poetyczny wybryk był pozwolony. Przedstawi Irenę w całym cudownym rozkwicie piękności, owianą czarem, tchnącym z jéj oblicza, z oczami wzniesionemi ku górze, rąbkiem swéj białéj szaty...

— Nie, nie Irenko, ty nie masz racyi! — wołała Amelia. — Mówiłyście mi, że doktor nie czyni nadziei dla dziecka, więc lada chwila może tam przyjść katastrofa! Cesia jest wrażliwa, jest wątła... Gdyby była moją córką, a być-by nią mogła, strzegła-bym ją od wzruszających widoków... Gdyby jeszcze zachodziła konieczna potrzeba... ale to dziecię ma matkę.

— Wyrodną — ozwała się Józefa.

— Tak, dziś jednak ta kobieta wydaje się być w rozpaczy i pragnie uratować dziecko. Dla Cesi te lamenty wkoło, ten chłopiec umierający... ja sama jestem, niestety, nerwowa, i wiem, jak czasem jednéj chwili, jednego wrażenia nigdy w życiu zapomnieć nie można.

Pani Solska westchnęła.

— Masz w tém słuszność, Amelko — rzekła — przy swéj wrażliwości Cesia przecierpi bardzo, odjąć jéj jednak tego wrażenia, tego widoku, nie mogłam! Pan Bóg ją wesprze... Miała-bym prawo zabro-

nić jéj tylko wtedy, gdyby się chorobą zarazić mogła... a i w takim razie...

— Co? i w takim razie była-by ją mama tam puściła?

— Gdybym postępowała w duchu miłości chrześciańskiéj, ale, dzięki Bogu, téj walki z sobą staczać nie potrzebowałam.

Amelia się zapalała, dyskusya groziła przerodzeniem się w sprzeczkę, przy pomocy Zubeckiego, dorzucającego zarzewia do ognia. Irena postanowiła położyć jéj koniec.

— Uspokój się, Amelko, — rzekła — pójdę po obiedzie do Cesi i podejmuję się albo ją ztamtąd wyprowadzić, albo tam z nią pozostać, by jéj być wsparciem, pomocą.

Amelia była do najwyższego stopnia podniecona, zawołała więc:

— Co się z tobą dzieje, Irenko? Zupełnie cię od jakiegoś czasu nie poznaję! Istna sentymentylizująca pasterka!

Irena nie podniosła rękawicy. Jakimś rozmarzonym, zamyślonym wzrokiem spojrzała na siostrę. Działo się z nią w istocie coś takiego, co ją samą zdumiewało... Ale to coś, to było szczęście, to było jakieś błogosławieństwo nieba, spływające na nią nagle, jak rosa spływa na spieczoną słońcem, usychającą trawę.

Amelia przyglądała jéj się badawczo. Była w rysach Ireny jakaś rozrzewniona słodycz, jakieś rozmarzenie, ukojenie, którego w niéj nie znała i zrozumieć nie mogła.

Gdy wstano od stołu, Jan nieśmiało zbliżył się do Ireny.

— Może-bym ja mógł zastąpić panią przy chorém dziecku—ozwał się głosem pełnym błagania. — Pielęgnowałem raz kolegę, złożonego długą chorobą... znam się trochę na tém... zresztą może tam potrzeba siły do podnoszenia chłopca... ciało chorego bywa takie bezwładne, takie ciężkie...

Irena podniosła trochę ręce i spojrzała na nie z uśmiechem:

— Prawda, że nie są wielkie — rzekła — ale znajdę siłę do podniesienia siedmioletniego dziecka... Gdybym potrzebowała pomocy pana, przyjęła-bym ją chętnie, ale damy sobie radę z Cesią.

Postąpiła kilka kroków ku werandzie, przez którą wyjść miała. Jan nie śmiał iść za nią, lecz zwracała ku niemu głowę i wzrok, więc odważył się wyjść także i postępował obok niéj ścieżką ogrodową, prowadzącą do bramki, przez którą przejść chciała.

Irena coprędzéj pierwszy lepszy temat do rozmowy schwyciła.

— Ta matka, która swoje dziecko zabiła, jest zupełnie ciekawém zjawiskiem — ozwała się — i psychologiczne studya nad nią nie są pozbawione interesu. Póki jéj dziecię było zdrowe i silne, póty je biła i męczyła, teraz, gdy jéj grozi jego strata, okazuje się zrozpaczoną i nieszczęśliwą.

— Doświadczeni ludzie mówią, że uczymy się cenić to, co posiadamy, dopiero wtedy, gdy tę posiadaną rzecz tracimy.

— Jaka upakarzająca dla ludzkiego serca i sądu teorya! Gdyby była prawdziwą, dowodziło-by to, że człowiek jest istotą niewdzięczną i samolubną do gruntu! Dopóki coś posiada, ani cenić, ani wdzięczności odczuć nie potrafi, i dopiero pod groźbą utraty, boleje nad krzywdą, która-by mu się przez tę stratę stała. Czy wszyscy ludzie mieli-by być tacy?

Zwracała na Jana pytające oczy. Zdawała się mówić:

— A ty, czy umiał-byś być wdzięcznym, czy umiał-byś zapomnieć o sobie i kochać niesamolubnie?

— Nie wiem... żyłem niedługo i tym wszystkim mądrościom i frazesom ludzi doświadczonych tak mało wierzę... Gdyby wszyscy ludzie byli niewdzięczni, nikt-by się temu nie dziwił, jak nikt się nie dziwi, że jedzą, śpią, umierają... Że niewdzięczność zadziwia i oburza, dowód to, że nie jest ogólną; raczéj jest wyjątkową. Ja czuję, że jest wyjątkową!

Ten ostatni wykrzyknik, przy którym Jan mimowoli rękę podniósł do piersi, zapadł w duszę Ireny. Mówiła sobie wewnętrznie:

— Ja wiem, że ty tak czujesz, dziecię, wiem, wiem, wiem! I ja tak czuję przy tobie!.. Przy tobie zdaje mi się, że samolubstwo i niewdzięczność to czcze słowa, że wszyscy ludzie są godni miłości...

Szła, spuściwszy nieco głowę, z jakimś błogim uśmiechem na ustach. U drzwi czworaku, w którym leżał Marcyś, odwróciła się do Jana i rzekła:

— Kiedy są na świecie takie istoty, jak Cesia, to jest w sercach ludzkich litość, dobroć i zaparcie się siebie.

Jan nie odpowiedział. Nie śmiał wejść za Ireną do mieszkania chorego dziecka, ukłonił się, spoglądając znowu z tym wyrazem błagania, wierności i pokory, który czasem w oczach psów widzieć można, gdy spoglądają na swych panów. Obojgu żal było się rozstawać; pierwszy raz rozmawiali z sobą, jak dwoje przyjaciół, równych sobie, i to zbliżenie zostawiło im w duszy jakąś błogość niewymowną. Dlaczego trzeba było się rozstawać? Oboje buntowali się w duszy przeciwko konieczności i stali chwilę naprzeciw siebie, jakby czekali jakiegoś cudu, który-by im poczucie téj konieczności zdjął z serca. Cud nie przyszedł. Irena weszła do chaty, Jan wrócił do ogrodu. Był szczęśliwy, nic nie wiedział, nic nie czuł, nic nie pamiętał, prócz tego, że jego pani raczyła z nim mówić, uśmiechać się do niego... że przeszli ścieżkę ogrodową obok siebie i że potém stała jeszcze w progu, jakby jéj żal było odchodzić. Znikła mu z oczu, ale on ją widział ciągle. Jéj jasna suknia migała w słońcu przed jego wzro-

kiem, jéj usta rzucały mu uśmiechy, jéj oczy—błyski. Był tak rozmarzony i tak uniesiony radością, że potrzebował ten nadmiar uczuć, czyniący go prawie nieprzytomnym, ukryć przed światłem dziennem. Rzucił się na trawę, twarz zasłonił rękami i zapomniał o wszystkiém, co nie było Ireną.

Ona tymczasem stała obok Cesi przy tapczanie Marcysia. Na tapczanie z grochowinami, okrytemi płachtą, leżał blady, chudy chłopczyna, który tém boleśniejszy sprawiał widok, że nie cierpiał wcale i szedł z uśmiechem na ustach w tę czarną krainę, która taką grozą przejmuje żyjących. Widząc przestrach w oczach otaczających, krzykliwą rozpacz matki, powtarzał ciągle, że go nic nie boli i roił szczęśliwą przyszłość, gdy już nie będzie u matuli, ale u panienki Cesi. Wraz ze swoją panienką układali różne plany. Dziewczę z powiększonemi przez podkrążające je sińce oczyma, schylone nad dzieckiem, usiłowało mu uczynić lekkiém i przyjemném samo nawet przejście do śmierci. Z czułością matki, z dobrocią siostry miłosierdzia, trzymając coraz bezwładniejszą rączkę chorego, patrząc w jego smutnie uśmiechniętą twarzyczkę, Cesia mówiła mu o ogródkach, obrazkach, wiankach z bławatów, o plecionych z badyli wózkach, o kółkach, które dworskiemu stelmachowi zrobić każe... Dziecię było w ciągłym zachwycie. Nic go nie bolało, tylko takie jakieś było słabe, już teraz nietylko nogami, ale rękami ruszać nie mogło... ale się wyśpi i będzie zdrowe.

— Kiedy mię panienka zabierze?

— Jak tylko będziesz mógł chodzić... Gdzieżby takiego dużego chłopaka kto nosił?.. to-by trzeba konie zaprzęgać...

— Ej, tatuś-by przenieśli... tatuś bardzo mocny, on się nawet matuli nie da i jeszcze ją zbije... Panienka mię bić nie będzie?

— Nie, moje dziecko, nie będę cię bić.

— Ani mię panienka tknie?

— Ani cię tknę!

— Jak będę taki duży, jak tatuś...

Chłopczyna puszczał wodze marzeniu. Posiniałe usta z uśmiechem szeptały obietnice na przyszłość. Nie widział już nikogo wkoło siebie, prócz swojéj panienki. Pochylała się ona ku niemu coraz bardziéj, bo szept jego stawał się coraz cichszym.

Irena stała wyprostowana, z okiem utkwionem w grupę umierającego chłopca i Cesi, rzucającéj skarby swego serca w czarną otchłań, którą przed okiem Marcysia zasłonić chciała. W umyśle dumnéj i samolubnéj kobiety, ugiętéj i rozmiękczonéj przez wielkie uczucie, które niespodzianie pierś jéj napełniło, powstały nagle myśli, których dotąd nie znała. Poczuła, że oprócz próżności, rozmiłowania

się w sobie, wielkiego świata, świetnego małżeństwa, mogły być inne cele, inne marzenia, inne zamiłowania. Jakieś nowe widnokręgi odkrywały się przed nią, ukazywało się jéj jakieś nowe życie, które pierś jéj napełniało przeczuciem głębszych wzruszeń, wyższych pojęć, szlachetniejszych dążności.

Do chaty weszła pani Solska. Niespokojna o Cesię, przyszła sama się przekonać o stanie rzeczy.

— Czy próbowałaś Cesię stąd odciągnąć — zapytała Ireny.

— Nie próbowałam i... niech ją mama tu zostawi. Cierpiała-by więcéj, gdyby to dziecię opuścić musiała — odparła Irena.

Potém nagle, po krótkiém milczeniu, wśród którego obie z matką wpatrywały się w Cesię, dodała wzruszona:

— Dobrześ ją mamo wychowała!.. Zazdroszczę jéj, że umie się tak litować i tyle z siebie dawać ludziom!

Pani Solska spojrzała z wdzięcznością i rozrzewnieniem na Irenę. Łzy zabłysły w jéj oczach. Przez tyle lat cierpiała nad krytyką córek swych starszych, teraz to słówko uznania ze strony Ireny wzruszyło ją i rozradowało. Potém zaraz zadźwięczała w niéj ta smutna nuta, która nigdy nie ustępowała z jéj uczuć i myśli.

— Nie wiem, czy wychowałam ją taką dla jéj szczęścia — ozwała się cicho — może tylko dla pociechy tych, co się do niéj zbliżać będą.

— Dla jéj szczęścia także, dla jéj szczęścia! — rzekła stanowczo Irena. — Samolubna oschłość nie wiele człowiekowi gotuje rozkoszy!

Cesia mówiła teraz pacierz z dzieckiem. Złożyła mu na piersiach bezwładne rączyny i wspólnie z niém powtarzała słowa modlitwy. Pierwszy raz w życiu była przy umierającym, śpiesznie jednak postępująca bezwładność i widocznie coraz bardziéj utrudniona mowa ostrzegały ją o bliskim końcu.

— Jak zmówię pacierz, to już będę spać — szeptało dziecię.

Zamknęło w istocie oczy, lecz je wkrótce otworzyło szeroko. Poczęło doświadczać duszności i wzrok jego stał się błędnym. Wodziło nim po otaczających. Poznało panią Solską:

— Już ja nie będę u matuli... już pójdę do panienki — rzekło przerywanym, świszczącym i niewyraźnym głosem.

To były ostatnie słowa chłopczyny. Skonał lekko, jak gdyby zasnął. Izbę napełnił krzyk matki, poczęły schodzić się kumy. Cesię Irena z matką wyprowadziły. Była ona wzruszona niezmiernie. Nie płakała, lecz bladość śmiertelna zwykle i tak bladéj twarzy, podsiniałe oczy, zaciśnięte, zbielałe usta, przestraszyły matkę i siostrę. Irena niosła ją prawie w objęciach, szepcąc jéj tak tkliwe wyrazy,

że gdy je sobie potém przypomniała, zadziwiła się, skąd je umiała i gdzie znalazła czułość, potrzebną do ich wymówienia. Cesia przez dni kilka nie mogła przyjść do siebie. Od téj śmierci, któréj była świadkiem, jakiś cień padł dla niéj na wszystko, co ją otaczało. Była smutna i przygnębiona.

— Więc może doprawdy nie dla jéj szczęścia wychowała ją matka? — myślała Irena. — Kto wie, kto wie? A może czuć wiele, choćby cierpieć wiele, lepiéj życie zapełnia, niż próżność i używanie?..

Na list Amelii Peronelli odpowiedział natychmiastowym przyjazdem. Przez trzy lata z rzędu spędzał letnie miesiące w Mirsku, gdy Amelia była dorastającą panną, i zostało mu z téj epoki tak dobre wspomnienie, że zachował przyjaźń dla całéj rodziny Solskich, Amelię uważał za swą ulubioną uczennicę, Mirsk za najprzyjemniejsze miejsce pobytu.

Był to niemłody Włoch, z ustaloną już sławą znakomitego nauczyciela śpiewu. Chlubił się wykształceniem dwóch znakomitych gwiazd teatralnych i umęczony był pracą, która mu się ze wszech stron narzucała. Powierzchowność jego była sympatyczna i zastanawiająca. Przy siwych włosach, miał czarne oczy pełne ognia, ocienione wielkiemi czarnemi brwiami. Towarzystwo jego było pełne powabu. Umiał rozmawiać łatwo, z ożywieniem i z jakąś ciepłą werwą, która była jakby promieniem włoskiego słońca, wnoszonym przez niego do duszy słuchaczy. Był wykształcony, oczytany i miał nawet pewną głębokość sądu, którą łagodził dobrocią i wyrozumiałością.

Amelia pomyślała o urządzeniu mu miłego i wesołego mieszkania, z wyjściem do ogrodu. Była uszczęśliwiona jego przyjazdem. Przywiózł on jéj dużo wokalnych nowości, które zamierzali przestudyować razem.

Próba z Janem wypadła bardzo korzystnie dla jego głosu, ale stary nauczyciel nalał zimnéj wody na marzenia Amelii. Jan nie miał prawie żadnego muzykalnego wykształcenia, a dla śpiewaka było ono co najmniéj tyle, co głos, potrzebne. Praca więc musiała być podwójna i bardzo usilna. Jan jednak bardzo mu się podobał. Oświadczył on nawet Amelii, że sama powierzchowność jego przyczyniła-by się ogromnie do jego powodzenia.

— Ten zbierał-by bukiety i wieńce — dodał — a coby się to na niego wonnych bilecików i listów sypało! Będzie pani miała na sumieniu potępienie wielu dusz, jeżeli pani z niego zrobi operowego kochanka.

— Niech-no maëstro powtórzy to Irenie. Ona nie chce widzieć, że mój protegowany to fenomen, to nadzwyczajność!

Peronelli, któremu wszyscy tytuł maëstra dawali, mówił wprawnie po francusku, robiąc błędy i wymawiając miękko, z włoska, niektóre spółgłoski. Z Janem porozumieć się mógł bezpośrednio tylko po niemiecku, którym to językiem obadwaj bardzo źle i z trudnością mówili.

Zaraz nazajutrz po jego przyjeździe rozpoczęły się lekcye. Odbywały się one w salonie Amelii. Jako akompaniatora używano Plewaczka. Jan stał przy fortepianie, naprzeciw zaś niego w dwóch wygodnych fotelach siedzieli Peronelli i Amelia, łowiąc uchem i oczami każdą nutę, wychodzącą z jego ust. Maëstro był niesłychanie wymagający, Jan często z lekcyi wychodził zmęczony i znudzony. Czasem znowu, gdy spojrzał na całe, otaczające go decorum, na pełnego powagi maëstra, siedzącego obok seryo nastrojonéj Amelii, na Plewaczka, przejętego ważnością chwili, i między nimi wystawił sobie siebie z otwartemi ustami, na które aż trzy osoby spoglądały ze skupieniem i powagą; wtedy chciało mu się parsknąć śmiechem, który tłumiąc w sobie, popełniał rozmaite niedokładności w śpiewie. Zwierzył się Cesi z téj dławiącéj go chwilami wesołości.

— Pani nie ma wyobrażenia, jaką ja teraz przez dwie godziny dziennie jestem ważną figurą w salonie pani Boliwiny! Gdy porównam moje dotychczasowe skromne położenie socyalne z tą wybitną sytuacyą, dławię się ze śmiechu. Wcale mnie to nie skłania do rozmyślania nad zmiennością losów ludzkich i nie nastraja filozoficznie, tylko mnie po prostu śmieszy ogromnie.

Cesia jeszcze nie mogła wrócić do swéj dawnéj wesołości. Pierwsza śmierć, któréj była świadkiem, jeszcze na jéj sercu ciężyła kamieniem. Rozumiała to, co jéj mówiła Józefa, że śmierć dziecka nie jest smutna w znaczeniu chrześciańskiém. Niesie ona czystą, niewinną duszę do nieba i nawet oszczędzoną mu jest trwoga śmierci, któréj nie rozumie. Ale Cesia wyrzucała sobie, że dziecka przed złością matki nie zasłoniła i ciągle przed oczyma miała jego bladą twarzyczkę.

Peronelli, który nie znał Cesi, gdyż w Mirsku był jeszcze przed jéj urodzeniem, szczególniejszą do niéj odrazu powziął sympatyę. Proszono go o wypróbowanie jéj głosu. Obiecał, iż pół godziny dziennie poświęcać jéj będzie, choć prawdopodobnie będzie to strata czasu.

— Wielkich rzeczy obiecywać sobie nie możemy — mówił swoją spieszczoną francuzczyzną, trzymając malutką i śliczną rączkę Cesi w swéj dłoni i patrząc na nią ojcowskim wzrokiem — ale może zbierać będziemy małe kwiatki... Czasem śpiew jest taką potrzebą...

tak się chce rzucić w powietrze nutę melodyjną... Prawda, moje dziecko? Więc przyjemnie ci będzie uczynić to w sposób estetyczny...

— Bardzo-bym chciała, ale tak mało mam głosu.

Peronelli wyczytał w jéj oczach ten przestrach i smutek, który jéj został po śmierci Marcysia.

— Dlaczego to dziecię nie ma wesołości swego wieku? — zapytał Ireny.

Opowiedziała mu przyczynę, użalając się nad tém, że perswazye nie działały na Cesię.

— Bo téż to dziwne — odparł Włoch — że ludzie zachowali jeszcze wiarę w perswazye... Rozsądek taką mizerną odgrywać musi rolę przy uczuciu... przy prawdziwém uczuciu! Zostawić to trzeba czasowi, to niezawodny środek... leczy on wszystko, nawet wyrzut sumienia! To dziecię wasze, to materyał na świętą, ma nawet powierzchowność świętéj Agnieszki.

— Co pan chcesz powiedzieć? — zawołała Irena. — Ś-ta Agnieszka to męczennica... Czy pan myślisz, że dla Cesi życie będzie męczeństwem?

— Nie, nie — odparł Peronelli, z uśmiechem, który jego ogniste oczy uczynił nagle słodkiemi — o, nie! To, co ona nosi w swéj duszy, to owszem dobra cząstka szczęścia, obrana na ziemi... Tylko nam, ludziom leniwego serca, może się zdawać, że godnymi litości są ci, co siebie oddają idei... Nie, moja piękna signoro, idea, to słońce życia! Zęby dzikich zwierząt, rozdzierające ciała męczenników, włosiennice i dyscypliny, to są rozkosze w porównaniu z głodem duszy, z jéj próżnią, gdy jéj braknie idei.

Zapał artystyczny, który jak płomień objął Amelię, pod wpływem pełnego zapału maëstra, do pewnego stopnia udzielił się całemu towarzystwu. Spędzano wieczory na słuchaniu muzyki, sąsiedzi téż wiedzieli naprzód, że, przyjechawszy do Mirska, będą nakarmieni muzyką aż do przesytu. Nawet Plewaczek był teraz rozentuzyazmowany, Peronelli bowiem, podczas przerw, potrzebnych dla wypoczynku śpiewaków, prosił go o grę fortepianową. Poczciwy Czech wstawał teraz bardzo rano i, gdy wszyscy jeszcze spali, grywał etiudy i gamy, żeby odzyskać giętkość i wprawę palców nieco zesztywniałych. Towarzystwo w Mirsku, które lekceważyło dotąd Plewaczka, jako artystę, i wyznaczyło mu miejsce nauczyciela, akompaniatora i tapera na improwizowanych wieczorkach, przekonało się teraz, że w grubém

ciele poczciwca siedział duch prawdziwéj sztuki. Szczególniéj utwory starych klasyków niemieckich Plewaczek wykonywał z prawdziwém zrozumieniem i uczuciem. Umiał on nawet poświęcać się dla sztuki. Pił teraz piwo przy obiedzie tylko, wiedząc z doświadczenia, że kufle, które spełniał, rzucając marzenia swoje w przestrzeń wraz z dymem krótkiéj porcelanowéj fajki, czyniły go ociężałym i niezdolnym do wniknięcia w ducha mistrzów muzyki. Nawet jego płaska, rozlana twarz, nabrała teraz inteligentniejszego wyrazu. Zdawało mu się, że był czémś dla towarzystwa i pochlebiało mu to. Chciał być godnym okazywanego sobie uznania.

Jedynie Zubecki, wojujący zwykle i przesiąkły złością, stał się teraz zajadlym. Widząc Peronellego, zajmującego wybitne miejsce w sympatyi domowników i w salonie, Jana wyróżnianego i pieszczonego, Plewaczka wychodzącego z kąta i słuchanego uważnie, jako pianistę, począł nienawidzieć wszystkich i bryzgać na wszystko żółcią. Posuwał się do tego, że z jednym z lokai, malkontentem, szydził i obgadywał całe towarzystwo, nawet własną siostrę. Lokaj ten znosił mu plotki, powtarzał, co mówiono o pani Boliwinie, na którą mąż wymyślił jakąś ohydną potwarz. Razem spiskowali przeciwko pannie Józefie, któréj wpływowi przypisywali niektóre, jak im się zdawało, godne nagany postępki pani Solskiéj; urągali Irenie, obliczając jéj lata i utrzymując, że jéj piękność nie była naturalną, że się musiała malować. Nawet Cesi nie darowywali, szydząc z jéj zadawania się z chamami i mówiąc o niéj, jako o fałszywéj świętéj. Zubecki czuł dobrze, jak nisko upadał, spiskując ze służącym swéj siostry; doznawał jednak pewnego zadowolenia z własnego upadku, który wstydem spływał na jego dumną rodzinę. Myśl, że brat pani Solskiéj się upadlał, sprawiała mu przyjemność. Gdy się znajdował wśród domowego grona, błyskał na wszystkie strony swoją krwawą powieką i czyhał tylko na ofiarę. Gotowa zawsze przedstawiała się w Peronellim, na którego, w jego obecności, po polsku walił największe szyderstwa: „Taki Włoch, co w ojczyźnie małpy pokazujące sztuki oprowadzał, przyjeżdża po polskie pieniądze... basuje kobietom nerwowym, z przewróconemi głowami, wmawia im, co chce... Lubił, by Amelia słyszała te znieważające słowa, bo ona zawsze najmocniéj odczuwała każdą urazę; wpadała w rozdrażnienie, nie kończyła obiadu, zrywała się z rumieńcem oburzenia.

Pani Solska cierpiała podwójnie nad złośliwym szałem brata, nietylko bowiem odczuwała jego docinki, nietylko czuła się upokorzoną i zawstydzoną przez niego, jeszcze sobie wyrzucała, że ten jéj brat, z jéj woli w Mirsku przebywający, męczy i kwasi całe grono towarzyskie i rodzinne.

Stary Jędrzéj przyszedł pewnego dnia z prośbą i nieśmiałą radą, by lokaj Michał oddalony został koniecznie.

— On tylko innych ludzi buntuje — mówił stary sługa — taki się zrobił hardy, taki nieposłuszny... rozprożnował się...

— Był z niego spokojny człowiek — zauważyła pani Solska.

— Był spokojny; ale jest tu taki... co mu w głowie przewraca.

— Jakim sposobem?

— Podszczuwa go na państwo... pozwala mu nosić plotki... gadają takie rzeczy, że aż uszy więdną...

— Któż to taki?

— Niech jaśnie pani pozwoli nie mówić.

— Któżby to był?.. nikogo nowego niéma... Jan Wielewicz.

Pani Solskiéj przyszła nagle myśl, że Jan mógł mieć głowę napełnioną socyalistycznemi teoryami i że, ulegając żądzy propagandy, wybrał sobie lokaja Michała na prozelitę.

Ale Jędrzéj aż się wyprostował z oburzenia i ręce wzniósł do góry.

— Co? — zawołał — pan Jan? A toć żeby to był zły człowiek, toby go Matka Boska nie chciała na swego malarza! On mi takiego ślicznego św. Dominika wymalował, że modlitwa sama z duszy idzie, jak człowiek na obraz patrzy! Kiedy tak, kiedy ma być na niego, to już powiem! Michał wnęcił się do pana hrabiego... pan hrabia mu gada i na jaśnie panią, i na panią Boliwinę, i na pannę Irenę, i na panienkę Cesię!..

— Pan Zubecki? mój brat? — zawołała pani Solska.

— Ja się sam dziwię — zaczął Jędrzéj.

— Idź już, mój Jędrzeju... Michał dostanie pensyę do Nowego-Roku i będzie odprawiony zaraz. Idź już, idź!

Pani Solska rękami przyciskała głowę. Wiedziała, że Jędrzéj nie kłamał, czuła zresztą, że Zubecki zdolny był do wylewania złości nawet na łono służącego swéj siostry. Oburzała się wewnętrznie, miotała nią pogarda, aż nareszcie wszystka ta gorycz stopiła się w wielkiém uczuciu litości. Tyle razy zranione jéj siostrzane serce stanęło nagle w obronie brata. Taki był nieszczęśliwy, nie miał rodziny własnéj, musiał przez całe życie przyjmować dobrodziejstwa siostry, przez nikogo nie był lubiony, — nie umiał wzbudzić w sobie sympatyi do nikogo... opuszczony, próżnujący, zwichnięty, tracił równowagę i takt... Biedny, biedny człowiek! Zdawało jéj się, że to nie jéj, ale jemu wyrządzoną została dojmująca przykrość, i przemyśliwała o jakiéjś zmianie w jego życiu, o jakiéjś radzie na jego rozgoryczone uczucia... Może-by go wysłać na parę miesięcy za granicę, żeby się trochę rozerwał... może wśród obcych ludzi zatęsknił-by do

ciele poczciwca siedział duch prawdziwéj sztuki. Szczególniéj utwory starych klasyków niemieckich Plewaczek wykonywał z prawdziwém zrozumieniem i uczuciem. Umiał on nawet poświęcać się dla sztuki. Pił teraz piwo przy obiedzie tylko, wiedząc z doświadczenia, że kufle, które spełniał, rzucając marzenia swoje w przestrzeń wraz z dymem krótkiéj porcelanowéj fajki, czyniły go ociężałym i niezdolnym do wniknięcia w ducha mistrzów muzyki. Nawet jego płaska, rozlana twarz, nabrała teraz inteligentniejszego wyrazu. Zdawało mu się, że był czémś dla towarzystwa i pochlebiało mu to. Chciał być godnym okazywanego sobie uznania.

Jedynie Zubecki, wojujący zwykle i przesiąkły złością, stał się teraz zajadłym. Widząc Peronellego, zajmującego wybitne miejsce w sympatyi domowników i w salonie, Jana wyróżnianego i pieszczonego, Plewaczka wychodzącego z kąta i słuchanego uważnie, jako pianistę, począł nienawidzieć wszystkich i bryzgać na wszystko żółcią. Posuwał się do tego, że z jednym z lokai, malkontentem, szydził i obgadywał całe towarzystwo, nawet własną siostrę. Lokaj ten znosił mu plotki, powtarzał, co mówiono o pani Boliwinie, na którą mąż wymyślił jakąś ohydną potwarz. Razem spiskowali przeciwko pannie Józefie, któréj wpływowi przypisywali niektóre, jak im się zdawało, godne nagany postępki pani Solskiéj; urągali Irenie, obliczając jéj lata i utrzymując, że jéj piękność nie była naturalną, że się musiała malować. Nawet Cesi nie darowywali, szydząc z jéj zadawania się z chamami i mówiąc o niéj, jako o fałszywéj świętéj. Zubecki czuł dobrze, jak nisko upadał, spiskując ze służącym swéj siostry; doznawał jednak pewnego zadowolenia z własnego upadku, który wstydem spływał na jego dumną rodzinę. Myśl, że brat pani Solskiéj się upadlał, sprawiała mu przyjemność. Gdy się znajdował wśród domowego grona, błyskał na wszystkie strony swoją krwawą powieką i czyhał tylko na ofiarę. Gotowa zawsze przedstawiała się w Peronellim, na którego, w jego obecności, po polsku walił największe szyderstwa: „Taki Włoch, co w ojczyźnie małpy pokazujące sztuki oprowadzał, przyjeżdża po polskie pieniądze... basuje kobietom nerwowym, z przewróconemi głowami, wmawia im, co chce...“ Lubił, by Amelia słyszała te znieważające słowa, bo ona zawsze najmocniéj odczuwała każdą urazę; wpadała w rozdrażnienie, nie kończyła obiadu, zrywała się z rumieńcem oburzenia.

Pani Solska cierpiała podwójnie nad złośliwym szałem brata, nietylko bowiem odczuwała jego docinki, nietylko czuła się upokorzoną i zawstydzoną przez niego, jeszcze sobie wyrzucała, że ten jéj brat, z jéj woli w Mirsku przebywający, męczy i kwasi całe grono towarzyskie i rodzinne.

Stary Jędrzéj przyszedł pewnego dnia z prośbą i nieśmiałą radą, by lokaj Michał oddalony został koniecznie.

— On tylko innych ludzi buntuje — mówił stary sługa — taki się zrobił hardy, taki nieposłuszny... rozprożnował się...

— Był z niego spokojny człowiek — zauważyła pani Solska.

— Był spokojny; ale jest tu taki... co mu w głowie przewraca.

— Jakim sposobem?

— Podszczuwa go na państwo... pozwala mu nosić plotki... gadają takie rzeczy, że aż uszy więdną...

— Któż to taki?

— Niech jaśnie pani pozwoli nie mówić.

— Któżby to był?.. nikogo nowego niéma... Jan Wielewicz.

Pani Solskiéj przyszła nagle myśl, że Jan mógł mieć głowę napełnioną socyalistycznemi teoryami i że, ulegając żądzy propagandy, wybrał sobie lokaja Michała na prozelitę.

Ale Jędrzéj aż się wyprostował z oburzenia i ręce wzniósł do góry.

— Co? — zawołał — pan Jan? A toć żeby to był zły człowiek, toby go Matka Boska nie chciała na swego malarza! On mi takiego ślicznego św. Dominika wymalował, że modlitwa sama z duszy idzie, jak człowiek na obraz patrzy! Kiedy tak, kiedy ma być na niego, to już powiem! Michał wnęcił się do pana hrabiego... pan hrabia mu gada i na jaśnie panią, i na panią Boliwinę, i na pannę Irenę, i na panienkę Cesię!..

— Pan Zubecki? mój brat? — zawołała pani Solska.

— Ja się sam dziwię — zaczął Jędrzéj.

— Idź już, mój Jędrzeju... Michał dostanie pensyę do Nowego-Roku i będzie odprawiony zaraz. Idź już, idź!

Pani Solska rękami przyciskała głowę. Wiedziała, że Jędrzéj nie kłamał, czuła zresztą, że Zubecki zdolny był do wylewania złości nawet na łono służącego swéj siostry. Oburzała się wewnętrznie, miotała nią pogarda, aż nareszcie wszystka ta gorycz stopiła się w wielkiém uczuciu litości. Tyle razy zranione jéj siostrzane serce stanęło nagle w obronie brata. Taki był nieszczęśliwy, nie miał rodziny własnéj, musiał przez całe życie przyjmować dobrodziejstwa siostry, przez nikogo nie był lubiony, — nie umiał wzbudzić w sobie sympatyi do nikogo... opuszczony, próżnujący, zwichnięty, tracił równowagę i takt... Biedny, biedny człowiek! Zdawało jéj się, że to nie jéj, ale jemu wyrządzoną została dojmująca przykrość, i przemyśliwała o jakiéjś zmianie w jego życiu, o jakiéjś radzie na jego rozgoryczone uczucia... Może-by go wysłać na parę miesięcy za granicę, żeby się trochę rozerwał... może wśród obcych ludzi zatęsknił-by do

swoich... może, po czasowém jego oddaleniu, stosunki łączące go z rodziną ułożyły-by się lepiéj... Taki jest biedny z tą konieczną potrzebą nasycania próżności, z tą złością na tych, co go za centrum i gwiazdę towarzystwa uznać nie chcą! Jemu rzeczywiście smutno i pusto być musi wśród grona ludzi, którzy zaledwie go cierpią. Wszak ona sama straciła zupełnie możność okazania mu czułości najmniejszéj. Coś ją wiąże w jéj uczuciach, zbliża się do brata z obawą i podejrzliwością... Więc i ona winna! Nie umie otoczyć go atmosferą serdeczniejszą. Wygoda i dostatek—to wszystko, co w jéj domu znaléźć może, po za tém—nic! A przecie człowiekowi potrzeba téż coś dla duszy... Tylko Cesia, co z siebie coś dla niego daje i zawsze gotowa pośpieszyć z dobrém słowem, z usunięciem przykrości, która-by mogła na niego spłynąć, lub z jego powodu dotknąć innych. Żeby wszyscy byli tacy, jak Cesia... Każdy z członków towarzystwa w Mirsku umiał być dobrym dla kogoś, miał dla kogoś uśmiech, tylko nikt, prócz Cesi, nie miał go dla jéj brata. Nawet Irena... Zmieniła się względem wszystkich, złagodniała, zmiękła; dla wuja jednak pozostała dawną dumną i nieprzystępną Ireną. Niéma większéj niedoli, jak nie miéć oddanéj sobie, przywiązanéj, kochającéj a kochanéj ani jednéj ludzkiéj duszy! Wszyscy wkoło mieli coś, co ich wiązało do życia, tylko on—nie miał nic! Muzykalność domu go męczyła, niecierpliwiło go wszystko... mścił się nawet nad pędzlami Ireny, które, znalazłszy w ogrodzie, gdzie malowała daleki widok na łąki, rzucił podobno na ziemię i podeptał nogami.

Irena w istocie oddawała się teraz malarstwu, wziąwszy na doradcę i pomocnika Jana. Miała od niego bez porównania więcéj nauki,— wszak brała lekcye od pierwszych nauczycieli, — ale on o całe niebo stał od niéj wyżéj pod względem zdolności naturalnych. Talent jego błyskał w najdrobniejszym szkicu; ołówek w jego ręku był różdżką czarodziejską, tworzącą łatwo i oryginalnie. Pod cieniem lip, gdzie ustawione były sztalugi, oboje przebywali godzinami całemi. Lato kwitło w całéj pełni, otaczając tę parę ludzi rozmarzonych wszystkiemi urokami swojemi. Nad głowami ich świeciło jasném słońcem, pod stopy kładło im miękkie trawniki, dla oka ich miało tysiące barw, dla ucha szelesty, szepty, śpiewy... Tylko na wezbraną falę rozbujałego lata rzucić marzenia swoje i zapomnieć o jutrze! Irena przyznała już sama przed sobą, że kocha Jana, była pewną jego miłości; tylko, że oboje czuli się w wyjątkowych okolicznościach, w których o zwykłych konkurach nie mogło być mowy, więc każde ze swéj strony usiłowało nie wyjawić tajemnicy. Irenę od pierwszego kroku strzegła duma, Jana—obawa obrażenia wielkiéj pani. Malowali razem, rozmawiając przytém godzinami całemi. Bywały dnie, w których

robota nie postępowała ani na krok. Było gorąco, więc Irena siadała na ławce, Jan na murawie, prawie u jéj nóg, i toczyła się rozmowa coraz ufniejsza, coraz szczersza. Irena nie ukrywała swego wieku, mówiła o nim, wyliczając, że była od Jana starsza o całe lat 12.

— W Indyach, gdzie kobiety wcześniéj dojrzewają, mogła-bym być matką pana... W Europie jakąś ciocią... Była-bym dumną z takiego wielkiego siostrzeńca.

Układali sobie, że przyjaźń ich trwać będzie zawsze.

— Jak się pan ożeni, to mi pan swoją żonę przywiezie...

— Nie ożenię się nigdy!

— Nigdy?

— Nigdy, nigdy!

Irena miała na ustach zapytanie: „dlaczego?“, ale uczynić go nie śmiała. Wiedziała dobrze, co myślał Jan.

Ciągle mówiąc o przyjaźni, mieli ją za puklerz niezawodny. Już teraz Jan ośmielał się podawać rękę Irenie do wieczornego spaceru. Często, podczas gry Plewaczka, którą Peronelli głośno admirował, obchodzili ogród wkoło. Jana wtedy prześladowało pragnienie wzięcia ręki, spoczywającéj na jego ramieniu, i przyciśnięcia jéj do bijącego przyśpieszoném tempem serca. Nie śmiał jednak. Przyjaźń gorąca pozwalała wprawdzie na takie objawy czułości, ale odwagi mu brakło. Irenie zbliżenie się do Jana, jego rozmowa i spojrzenie, wystarczały zupełnie do szczęścia.

A co będzie, gdy się skończy lato, gdy się skończą wakacye?

Tego zapytania nie zadawała sobie. Wcale jéj nie przychodziły na myśl konsekwencye; pragnęła tylko jaknajwięcéj, jaknajdłużéj przebywać z Janem.

Pewnego dnia była świadkiem rozmowy o nim Peronellego z Amelią. Maëstro chciał wiedzieć, jakiemi środkami materyalnemi rozporządzać może jego uczeń.

— Od tego bardzo zależy jego przyszłość i karyera — mówił. — Potrzebuje on ogromnie wiele pracy, całych lat pracy, nim dojdzie do tego, co Niemcy nazywają *Kehlfertigkeit*. Czy on może tyle czasu tracić bez zarobku? Dla biednego chłopca karyera śpiewaka bardzo śliska. Ileż-to śpiewaków i śpiewaczek ginie, nie dosięgnąwszy celu! Jedno zapalenie gardła, dyfteryt, a już karyera stracona. Widziałem dziewczynę, co takiego zawodu przeżyć nie mogła; odebrała sobie życie. Jeżeli ten chłopiec jest ubogi, a przytém o tyle dumny, że pomocy-by przyjąć nie chciał...

— No, naturalnie, że zupełnie ubogi — odparła Amelia — biedak... Ale w takich ludziach duma nie bywa znowu taka rogata... Jabym chętnie łożyła na początki. Potém może on sobie znaléźć jaką

bogatą kupcównę, lub coś podobnego... jakąś taką bogatą kobietę, która, wyszedłszy sama z niska, będzie mogła oddać mu rękę.

— Oo!.. dzisiaj, pochodzenie... społeczeństwa pozbyły się przesądów pod tym względem. Często widzimy ludzi z gminu, sięgających po rękę kobiet urodzonych.

— Wielewicz jest obsypany darami natury, jest piękny i przyznaję mu wszystkie cnoty i przymioty, a pomimo to nie wierzę, by panna, mająca tradycye rodzinne...

Irena spłonęła rumieńcem. Zdanie, wypowiedziane w téj chwili, było przecie także jéj zdaniem... Tak, ten piękny chłopak był dziecięciem nędzy, był dziecięciem gminu!..

Coś jak uczucie niezmiernego wstydu objęło Irenę i aż powieki jéj do spuszczenia się zmusiło. W jednéj chwili, jak okolica nagle oświecona blaskiem błyskawicy, przed oczyma jéj stanął cały ogrom przedziału, leżącego między nią a Janem, cała bezdenna przepaść, istniejąca między jéj dzisiejszemi uczuciami, a przekonaniami, wzrosłemi z nią razem, pojonemi od kolebki: dumą, pychą, próżnością. Coby to powiedział świat, gdyby wiedział, że ona... ona... Jak się to mogło stać? jak się to stało?

Wyszła śpiesznie z mieszkania Amelii i jednemu z lokai kazała sprzątnąć z ogrodu sztalugi, które tam stały. Wiedziała, że był przy nich Jan, oczekujący na nią. Tak, to, co ona czuła, to była miłość; pierwsza, głęboka, niezmierna miłość jéj życia, a oddawała ją ona nieznanemu, ubogiemu chłopcu, noszącemu bardzo wytarte odzienie, nieumiejącemu po francusku i krającemu rybę nożem!

Jéj wzburzone uczucia nagliły ją do szukania ruchu i samotności gdzieś w głębi cienistych alei, ale nie chciała teraz spotkać Jana, chodziła więc po swoim pokoju, nie mogąc uciszyć niespokojnych myśli. Trzeba było zaprzestać niebezpiecznéj gry!.. przestać przewracać w głowie temu chłopcu i saméj uczuć swych nie szargać u nóg jakiegoś... jakiegoś...

Chwytała się za głowę rękoma, bo po tym buncie rozsądku i dumy przyszło nagle cierpienie i rozpacz. Coś w jéj sercu rozżaliło się na myśl o rozstaniu, o konieczności zerwania. Zerwać, przeciąć ten cudny sen wiosenny, który już jéj dał tyle szczęścia? Nie pójść już nigdy pod cień lip, gdzie czekał na nią? Nie spojrzéć już nigdy, nigdy w życiu na niego?

Z ócz dumnéj kobiety popłynął nagle strumień łez, które sprowadziły zmęczenie i uspokojenie. Trzeba było ubierać się do obiadu, czego nigdy, ani w weselu, ani w smutku, zaniedbać nie było można. Obmyła twarz w zimnéj wodzie i zadzwoniła na służącą.

Jan tymczasem, widząc zabierane przez lokaja sztalugi, zaniepokoił się i zdumiał. Mieli przed obiadem malować, cóż więc się stać mogło? Przebiegał aleję, prowadzącą z domu ku lipom. Czyż nawet nie przyjdzie mu powiedzieć, dlaczego zamiar zmieniła?

Gdy się znaleźli w sali jadalnéj, śledził jéj twarz z tym pokornym przestrachem, którego doznawał względem niéj dawniéj. Czy ją czém obraził? Na twarzy Ireny malowała się duma i nieprzystępność pierwszych dni; Jan czuł, że duma ta wymierzona była przeciwko niemu, i cierpiał, i drżał z obawy. Podnosił ku niéj wzrok błagalny, jego wielkie oczy mówiły: przebacz, daruj, zmiłuj się, spojrzyj! ale ona rozmawiała spokojnie z Peronellim, ani razu nie spojrzawszy na młodzieńca, któremu wieczną przyjaźń obiecywała wczoraj jeszcze. Po obiedzie przeszła do salonu, nie zawoławszy go wzrokiem za sobą. Co się stało? co się stać mogło? Jan, czując się nieszczęśliwym do głębi duszy, ze ściśniętém kurczowo gardłem wyszedł do ogrodu. Wychodząc, zobaczył wjeżdżającego w bramę Eugeniusza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zofia Kowerska.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Za najważniejszą publikacyę tegoroczną uważamy dwutomowe dzieło profesora Gastona Boissier, członka Akademii Francuskiéj i Akademii Napisów, pod tytułem: *La fin du Paganisme* (koniec poganizmu), *badania nad ostatniemi walkami religijnemi na zachodzie, w ciągu IV wieku.* Poprzednie dzieła historyczne autora: *Cyceron i jego przyjaciele, Religia rzymska od Augusta do Antoninów, Przechadzki archeologiczne po Rzymie i Pompei, Horacy i Wirgilli, Opozycya pod Cezarami*, od dawna już zyskały uczonemu profesorowi wysokie uznanie, tak swoich, jak cudzoziemców.

Z podwójném zajęciem odczytaliśmy ostatnią pracę p. Boissier, było to bowiem przypomnienie lekcyi, które słyszeliśmy wygłoszone z katedry kollegium francuskiego; autor przedstawił rzecz w nowém dziele zwięźléj, a zapewne i artystyczniéj.

P. Boissier mało ma poprzedników na wielkiém polu, jakie wybrał: wymienia on szczególniéj pp. Beugnot, Schulze, Rossy, Duray i księcia de Broglie. Ulegając duchowi czasu, uważa autor za potrzebę zapewnić czytelników o niezależności sądu swego od wrażeń, jakie wywołują dzisiejsze rozprawy religijne. „Usiłowałem, mówi on, stać się współczesnym wypadkom, które opowiadam, a rozkosz, jaką czułem, żyjąc wśród przeszłości, pozwoliła mi zamknąć ucho na spory dzisiejsze".

Pragnęlibyśmy szczerze, aby to znakomite dzieło przyswojone zostało choćby w treści literaturze naszéj, wielu bowiem czytelników chciało-by, równie jak autor, żyć wypadkami tego wieku, spotkać się z ludźmi, którzy walczyli gorąco w jednym lub też w drugim kierunku. Ciekawy to obraz tego tryumfującego chrześciaństwa, wśród przeciwników, którzy nie śmieją protestować publicznie, wbrew edyktom nawróconego już Cezara, a usiłują przecież zadowolić miłość własną, udając, że wcale nie wiedzą o tryumfie nowéj wiary; mówią zatém i piszą, jak gdyby wkoło nich nie zaszło nic nowego. Wielki spisek milczenia! nie jeden taki przykład przedstawiają nam dzieje. Tem silniéj uderza nas ówczesny spisek, gdy patrzymy na ogrom przedmiotu, o który toczyła się sprawa. Wiele podobnych pytań, zaciekawiających czytelnika, a dotyczących słabości ludzkich i w naszym czasie, podnosi uczony autor, jakkolwiek żyje wśród ludzi, oddzielonych od nas przebiegiem piętnastu wieków, i to właśnie nadaje nowy urok całéj publikacyi.

W pierwszym rozdziale autor ukazuje stan rzeczy w Rzymie przed wystąpieniem na widownię Konstantyna Wielkiego. W końcu III-go wieku, cesarstwo przebyło ogromne katastrofy, widzimy je bliskiem upadku. Była chwila pod panowaniem Galliena, że gmach runąć miał już w posadach; prowincye, których legiony nie zdołały już bronić, same niejako wyłamały się z uległości Rzymowi. Zmuszone wytrwać o własnych siłach, wybierały w tym celu wodzów, na których mogły liczyć. Autor pokazuje razem trzydziestu panujących Imperatorów. Jakiż to dowód rozstroju w olbrzymiém państwie! I cóż wybawi Rzym? Oto geniusz wojenny, ten sam geniusz, który niegdyś objawił się nad brzegiem Tybru i ztąd zawładnął światem.

Szczęściem dla Rzymu, nie brakło mu nigdy dzielnych wodzów. Oni-to w III-m wieku zatrzymali wylew barbarzyństwa i zdobyli na nowo zatracone prowincye. Takimi byli Klaudyusz (le Gotique), Aurelian, Procus, a przedewszystkiém Dyoklecyan, którego imię tak przerażająco brzmi dotąd w uchu chrześciańskiém. On-to podźwignął walące się państwo, umocnił jego zręby w ciągu dwudziestoletnich rządów.

Jak tu wytłómaczyć taką krwiożerczość w wielkim wodzu i biegłym administratorze? p. Boissier rozwiązuje pytanie: „Dyoklecyan, mówi on, urodzony w stanie niewolniczym, rozmiłowany w etykiecie dworskiéj, strojny w purpurę i bławaty, błyszczący od złota i dyamentów, domagał się czci należnéj bogom, pojmował władzę, jak ją rozumieli pyszni mocarze wschodu“.

W kilku ostatnich słowach autor odmalował tę dziwną a sprzeczną osobistość. Jakoż, gdyby nie te zachcianki wschodnie byłego nie-

wolnika, czyżby Cezar rzymski, tak rozumny jak Dyoklecyan, dopuszczał się najsroższych okrucieństw względem poddanych, tak cichych i uległych władzy, jakimi byli chrześcianie.

Opuszczamy tu mnóstwo charakterystycznych rysów z epoki Dyoklecyana, a przechodzimy do Konstantyna Wielkiego. Autor przedstawia w téj wielkiéj postaci walkę dwóch idei, wstrząsających ówczesnym światem. Tryumf chrześciaństwa spełnił się w opinii publicznéj; ogół, z razu tak surowy dla chrześcian, przekonawszy się, że dziesięcioletnie prześladowania ze strony państwa zniszczyć ich nie zdołały, począł się ku nim skłaniać. W chwili, gdy się zatrzymujemy (r. 311), już oni zdobyli wolność; nawrócenie Konstantyna nadało im władzę.

Autor zapytuje: kiedy właściwie Konstantyn został chrześcianinem? Pytanie ważne, a przecież rozmaicie tłómaczone. Według pogańskiego historyka, Zosima, Cezar ten w pierwszéj połowie rządów swoich wyznawał jeszcze dawną wiarę, ale czynił to raczéj z obawy współczesnych, niźli z prawdziwego przekonania. Kiedy w r. 326, kazał zamordować syna i żonę, uczuł wyrzut sumienia i pytał kapłanów, jak odpokutować popełnioną zbrodnię. Kapłani odrzekli, że za tak okrutny czyn niéma odpowiedniéj pokuty. Był wtedy w Rzymie Egipcyanin, przybyły z Hiszpanii, ten zapewnił Cezara, iż największy grzech może być odpuszczony przez sakramenta religii chrześciańskiéj. Konstantyn posłyszał to z radością, postanowił w téjże chwili wyrzéc się wiary ojców, a przyjąć nową *bezbożność*, jak się wyraża Zosim.

Inne tymczasem dowody świadczą, że skoro tylko podjął Konstantyn władzę, zajmował się żywo sprawami chrześcian i stałe okazywał im względy. W liście do biskupa Kartaginy oznajmia, że złożył znaczne sumy do rozporządzenia kapłanom „świętego katolickiego kościoła". Innym dowodem dekret, naglący wielkorządcę Afryki o zwrot chrześcianom wszystkich dóbr, skonfiskowanych w czasach prześladowania Autor zbija silnie opinię tych, którzy twierdzą, jakoby nawrócenie Konstantyna było skutkiem prostéj rachuby.

„Jakiż pożytek—pyta Boissier—mógł Cezar dopatrzyć, przyjmując wówczas chrześciaństwo? Wyznawcy krzyża tylko co wyszli z prób najstraszliwszych. Zapewne, że bohaterski opór, jaki stawiali prześladowcom, podnosił ich w opinii publicznéj; świat patrzał z podziwem na ludzi, o których niezłomną wolę skruszyły się wszystkie siły państwa! a przecież ta garstka trwożliwa, niepewna jutra, czyżby chciała mieszać się do walki stronnictw politycznych? Zresztą, kiedy wstąpił na tron Konstantyn, poganie stanowili ogromną większość w państwie; gdyby Cezar dla prostéj rachuby oświadczył się za słabą gar-

stką chrześcian, obrócił-by przeciwko sobie tę większość, wyzwał-by do walki sam gród rzymski, tę potężną warownię religii pogańskiéj".

Co do czasu nawrócenia, Boissier zgadza się z historykami kościoła, którzy opowiadają wielki ten fakt dziejowy, według słów samego Konstantyna, powtórzonych przez współczesnego Euzebiusza. Pobudkę do przyjęcia wiary chrześciańskiéj dał Cezarowi tryumf nad Maksencyuszem: w odniesionem zwycięztwie widział on wyraźny dowód opatrzności. Porwany cudem łaski, ukorzył się przed krzyżem.

Ciekawyż to obraz téj walki wewnętrznéj w sumieniu Konstantyna: ogłasza się chrześcianinem, a oto morduje syna i żonę, wzywa augurów, nakazuje igrzyska. Jakże to uporczywie musiała ścierać się idea chrześciaństwa z zakorzenionem pogaństwem, nawet w ludziach wielkiego światła, przygotowanych do przyjęcia prawdy! A przecież w końcu wiara w krzyż, to jest w pozagrobowe wieczne życie, zwyciężyła w duszy wielkiego Cezara: nie uląkł się większości potężnéj w grodzie rzymskim, gdzie na czele opozycyi politycznéj stał silnie patrycyat, wspierany przez retorów.

Tryumf idei chrześciańskiéj miał przebyć jeszcze najcięższą próbę. Oto zjawia się nowy Cezar, wychowany w chrystyanizmie, uczony, a zacięty wróg Krzyża! Któż niewie, że jest nim Julian Apostata! ale co Boissier wykazał dobitniéj, niż jego poprzednicy, to z jednéj strony siłę idei pogańskiéj, z drugiéj nieprzepartą siłę Greków, pokonanych przez Rzymian.

„Powrót do poganizmu,—mówi Boissier,—znalazł potężne wsparcie w zawistném współzawodnictwie ducha greckiego z duchem rzymskim. Podbita Grecya pyszniła się tém, że ucywilizowała barbarzyńskich zdobywców".

— „Pomnij, że jesteś Grekiem, że panujesz nad Grekami!" — mówił Libianus do Juliana. Cezar pamiętał o tém, przeciw nowéj religii stawił Hellenizm, wyrób geniuszu Greckiego.

Umiłował on świetną przeszłość Grecyi, a nadewszystko jéj religię, w któréj czerpało natchnienie tylu genialnych pisarzy. Surowe dogmata nowéj wiary nie mogły w oczach jego zastąpić poetycznych mytów pogańskich. Przekonany był, że literatura grecka więcéj ma w sobie siły do kształcenia młodych umysłów, niż jéj posiada chrześciaństwo, wyganiał zatém ze szkół mistrzów chrześciańskich, zakazał wykładać nauki ich retorom i filozofom.

Julian tém zawzięciéj objawiał nienawiść do chrześciaństwa, im bardziéj dopatrywał szybki a potężny jego rozwój. Usiłuje on odnowić politeizm grecki, biorąc za wzór wstrętną mu religię; stara się podnieść godność kapłaństwa, oczyścić moralność pogańską, nadać mitologicznym bajkom godniejsze bóstwa znaczenie symboliczne.

Na takie naśladownictwo autor szczególną zwraca uwagę. „Wymowne w tém świadectwo, — mówi on, — że chrześciaństwo przyszło w samą porę: widzimy, jak dalece odpowiadało pragnieniom i potrzebom tego społeczeństwa, jak pewne było przyszłości, skoro nienawistny mu Cezar, aby mu stawić opór, musi je naśladować".

Daremne chęci. Podczas gdy Julian otwierał świątynie pogańskie, do których droga zarosła już murawą, podczas gdy usiłował ożywić wyczerpany poganizm iskrą potężnego ducha, co wstrząsnął światem, chrześciaństwo ze swojéj strony przyswajało sobie pomału nabytki cywilizacyi starożytnéj.

„W tych ocalonych szczątkach,—mówi Boissier—kryły się godne zachowania żywioły, które mogły posłużyć do budowy nowożytnych społeczeństw. Żywioły te wsiąkały powoli w chrześciaństwo, miały zlać się z niém, nie naruszając bynajmniéj jego ogólnego charakteru".

Najczujniejsi stróże kościoła pozwalali dziatwie chrześciańskiéj uczęszczać do szkół pogańskich i uczyć się literatury starożytnéj. Ani Tertulian, ani sam Święty Augustyn, słowem nikt nie pojmował, aby można obejść się bez nauki, nagromadzonéj w paśmie wieków, w któréj czerpało światło tyle pokoleń.

„Doktorowie chrześciańscy, — dodaje Boissier, — posiłkowali się dawną literaturą; dla krzewienia religii Chrystusowéj, dobywali ze źródeł starożytnych wszelkie odblyski wiekuistego piękna i wiekuistéj prawdy, głoszone przez usta dawnych poetów, oratorów i filozofów. „Ci filozofowie, którymi się pysznicie,—mówił Municyusz do Pogan,— są i dla nas powagą. Nie potępiamy ich bynajmniéj. Oni przeczuli naszą wiarę, sami nie wiedząc o tém. I wy łączcie się z nami!"

W drugim tomie, autor, zbadawszy głęboko łacińsko-chrześciańską poezyę w utworach Świętego Paulina do Noli, Auzoniusza i Prudencyusza, pokazuje, w jaki sposób z nauki dzieł starożytnych zrodziła się literatura chrześciańska; dowodzi niemniéj, że chrześciańscy mistrze pędzla, dluta i architektury nie mogli, bez znajomości starożytnych arcydzieł, rozwijać sztuki, którą siłą natchnienia do wyższych podnieśli ideałów. „Aby zniewolić wytworne społeczeństwo dla chrześciaństwa,—mówi autor,—należało przedstawiać je w formie ozdobnéj. Poeci wielką w tym względzie oddali posługę, pojednali bowiem z nową wiarą najzawziętszych jéj wrogów, pociągnęli ku niéj umysły obojętne".

W końcu dzieła autor odpiera silnie zarzuty, jakoby chrześciaństwo przywiodło państwo rzymskie do upadku. Nieprzyjaciele oskarżają je, że niszczyło patryotyzm, odwodziło od urzędów, zmniejszało ludność, osłabiało militaryzm. Boissier wykazuje jasno, że na długo

przed tém Rzym nosił w sobie zarody skażenia, które go roztoczyć musiały.

„Nie brakło,— mówi on,—chrześcianom patryotyzmu; w czasach nawet prześladowania sumienie im nakazywało uległość władzy; żadna próba nie zachwiała ich wierności! Tertulian opowiada, jak pod chłostą modlą się za Cezara, błagają Boga o ład i pokój w państwie. Jeśli podówczas nie byli wrogami Rzymu, mogliż nimi zostać, kiedy władcy roztoczyli opiekę nad kościołem?“

Upadek ludności przypisuje autor krwawym wojnom domowym. Rzym opustoszał już za Augusta. Świadczy o tém edykt Cezara, naznaczający karę na bezżennych.

Co do militaryzmu, ten osłabł już przed narodzeniem Chrystusa. Wina w tém samych-że Cezarów: odwodzili możnych od służby wojskowéj, w obawie wpływu ich na armię.

„Jakkolwiek chrześciaństwo jest religią pokoju,—dodaje autor,— nie zabraniało jednakże wojny. Kiedy pytano Ś-go Augustyna, czy prawo ewangeliczne, nakazując odpłacać za złe dobrem, nie stawia zapory władcom chrześciańskim do ocalenia państwa? Święty Biskup odpowiadał na to, że chrześciaństwo nie potępia wojny, gdy ta jest sprawiedliwą, że mylą się ci, którzy twierdzą, jakoby niepodobieństwém było podobać się Bogu w obozach. Wszakże Dawid był wojownikiem!“ Sąd ten własnym przykładem stwierdził Augustyn Święty: obwarował się w biskupim grodzie swoim. Oblężony przez Wandalów, silnie podniecał wodzów i żołnierzy do oporu; przez cztery miesiące stawiał czoło hordom barbarzyńców.

Z żalem przerywamy sprawozdanie z dzieła tak wielkiéj doniosłości. Szczupłe ramy nasze nie pozwalają nam podążać za autorem. Jakże tu w jednym rzucie pióra określić tak olbrzymie postacie, jak Świętego Augustyna, Ambrożego i Hieronima? Azaliż podobna w kilku słowach przedstawić tę zaciętą walkę, toczącą się nie tylko między zmierzchem poganizmu a zorzą chrześciaństwa, ale w duszy tychże samych ojców kościoła, którzy, olśnieni od młodu blaskiem poetów i retorów rzymskich, porwani jednak wyższą siłą, wprzód pokonali siebie, zanim wystąpili jako filary tryumfującego chrystyanizmu.

P. Boissier jaskrawo maluje tę epokę; głęboki erudyt, umie ożywić opowieść pełném barwy obrazowaniem. W zapasach wrogich stronnictw i wewnętrznych walkach potężnych osobistości IV wieku rozstrzygały się też same pytania, jakie i dziś wstrząsają społeczeństwem. Napróżno autor przypomina, że nie trudni się sprawami dzisiejszemi; fakta, jakie przedstawia, wołają same przez się, że walka pogaństwa z chrześciaństwem dotychczas nie skończona!

Z pogrobowych publikacyi Wiktora Hugo ukazała się szósta z kolei, a jak sądzimy ostatnia, pod tytułem *Dieu*. Wydawcy zostawili ją na koniec, nie jest to przecież ostatnia praca poety: obmyślił ją i wykonał na wyspie Jersey w r. 1855, w tym samym czasie, co i „Legendy Wieków".

Wstrzymujemy się od wszelkich uwag, pojęcia bowiem nasze nie zgadzają się bynajmniéj z pojęciami pysznego deisty; poprzestajemy tylko na wskazaniu planu dzieła w najogólniejszych zarysach.

Poeta chce poznać Boga, widzieć go, zbadać cel życia, przyczynę bytu wszelkich rzeczy stworzonych, chce wiedzieć, dlaczego świat raduje się, dlaczego cierpi. Siłą pragnienia uniesiony nad poziom, wzbija się w obszar ciemny, nieprzedarty wzrokiem śmiertelnych. Tam spotyka ducha ludzkości; zadaje mu tysiące pytań. Duch czyni zadosyć poecie, roztacza przed nim niezliczone obrazy bóstw, stworzonych przez myśl człowieka.

„Napróżno — mówi duch — wyzywacie wichry do zapasów, napróżno poruszacie w grobach umarłych, napróżno, dzikim porwani szałem, chcecie przebić oczyma wiekuistą ciemność. Nikt z was nie widział w majestacie chwały wielkiego Boga przebaczenia: Święta Teresa odkryła go westchnieniem!"

Duch znika, — ciemno znowu i głucho; trwoga ogarnia poetę, szamoce się bezsilnie, krąży wśród chaotycznéj przestrzeni, czasami zstępuje na ziemię i kreśli niemniéj chaotyczny jéj obraz. Maluje naprzykład słynną kotlinę w Pirenejach, zwaną cyrkiem *Gawarni*. Mnóstwem hipotez tłómaczy jéj początek: wybieramy z nich jednę.

„W czasach, kiedy ziemia nie była jeszcze całkiem zbudowaną, kiedy jeszcze góra była ogromnym stosem błota, olbrzym jakiś, syn Chama, czy téż Bela, pochwycił w ramiona wieżę Babel, odwrócił ją szczytem na dół, i wpuścił w głąb niestężałéj góry, jak wciskamy pieczęć w roztopioną żywicę. Wieża wrosła we wnętrze góry, jak cysterna; widzimy dotąd jéj spiętrzone zręby i łuki.

I znów poeta wybiega po nad ziemię, znów krąży wśród ciemności. Duch powraca, tenże sam, lecz wzrosły do potwornych rozmiarów, niby jakieś olbrzymie mrowisko, przemawia gwarem tysiąca sprzecznych głosów, rozlegających się w nieskończonych przestrzeniach; poeta chwyta je gorączkowo: jeden oznajmia bezsilność rozumu, drugi szydzi z pysznych zachcianek myśli ludzkiéj; inny głos ukazuje poecie otchłań tajemniczą, bezdenną, w którą porwany umysł nigdy z niéj wypłynąć nie zdoła; inny zapytuje go, czemu chce zbadać tajemnicę? azaliż przyroda, pełna czarodziejskich barw i kształtów, nie starczy mu za wiedzę? Poeta odtrąca te głosy, on musi zbadać wszystko, choćby mu przyszło cierpieć i umrzeć. Wówczas-to

religie i metafizyki zrywają się w formie czarnych ptaków i błyszczących widziadeł, okrążają go szalonym wirem. Nietoperz, symbol ateizmu, rozpaczliwym głosem zapowiada wiekuiste mordy, wiekuistą żałobę: „wszystko, co żyje, walczy, pożera, cierpi, toczy krew, łzy leje“.

Sowa, złowrogie godło sceptycyzmu, szydzi z tych, co gonią za ułudą. „Pozazdrość ślepym,—woła,—zamruż powieki, milcz, niech głos twój nie mąci przerażającéj ciszy!“

Sęp, pożerający wnętrzności Prometeusza, słyszy zdala głos Orfeusza, odbiega łupu, leci za czarodziejskim śpiewem; maluje Olimp, pełen uosobionych bogów i bohaterów.

Orzeł opowiada wielkość Jehowy, Boga sprawiedliwości; gryf oznajmia cud miłosierdzia w ukrzyżowanym Zbawicielu.

Poeta błąka się jeszcze, szuka, bada; ale rozumem nie zbada tajemnicy. W tém anioł rozpostarł nad nim dwa skrzydła, jedno czarne jak noc, drugie śnieżystéj bieli. On zbliży go do Boga, lecz go nie ukazuje. W powietrzu wrzawa, niby szmer miliona głosów: poeta unosi się w górę, coraz wyżéj a wyżéj.

„Widzę! widzę już,—woła,—biały całun roztacza się nad głową moją, słyszę głos dotąd mi nieznany: „Chcesz-li ty, drżąca strzało, dosięgnąć mety twojéj? chcesz-li ujrzéć wreszcie najwyższy ideał, rzeczywistą prawdę, nieskończoność bez granic, odczytać promieniste zgłoski przyrody, wznieść się ponad otaczający ją pomrok? Chcesz-li zmierzyć oczyma światłość przeczystą, niepojętą? Chcesz-li?... Odpowiedz!“...

„O tak!—zawołałem, i uczułem nagle, jak świat stworzony drży pode mną, niby wiotkie płótno. Wtedy anioł podniósł ręką połę welonu, zasłonił przede mną wszelkie przedmioty ziemskie. I dotknął palcem czoła mego...

... Umarłem!“...

Tajemnica została tajemnicą, nie odkrył jéj głos zagrobowy. Poemat, złożony z pięciu tysięcy brzmiących wierszy, nie rzucił najmniejszego światełka w ów czarny pomrok, nieprzedarty rozumem ludzkim. Poeta nawałem antytez, piorunami słów, uraganem rymów, maluje tylko stan umysłu, szamotanego pychą, wyzywającego w zapasy nieskończoność.

Wielbiciele Wiktora Hugo stawiają poemat obok wizyi Ezechiela i Apokalipsy, a przecież wyznają, że te obrazy zbyt jaskrawe dla oka śmiertelnych. Najżarliwszy z chwalców wyraża się temi słowy: „kiedy patrzymy w słońce, źródło światłości, oczy nasze, przyćmione blaskiem, widzą tylko noc czarną. To samo powiemy o téj księdze: niebezpiecznie zatapiać w niéj umysł, gdyż oślepić go może!“

Gdy to piszemy, dwie wielkie wystawy rzeźb i obrazów należą już do przeszłości: pierwsza zamknięta z końcem Czerwca, druga w połowie Lipca. Obie dowiodły, że taż sama ewolucya, jaka odbywa się w innych działach sztuki: w literaturze, poezyi, muzyce, daje się czuć zarówno w utworach pędzla i dłuta. Podczas gdy jedni trzymają się tradycyi, hołdują dawnym ideałom, inni szukają dróg nieutartych, pragną wprowadzić sztukę na nowe tory, zastąpić szkolną rutynę samoistnym poglądem, siłą twórczą, dobytą z piersi własnéj.

Tak w życiu społeczeństwa, jak i w rozwoju sztuki, widzimy raz po raz takie czasy przełomu. Drobna iskierka, jakby na dane hasło, budzi się w duszy jednostek; przy słabym jéj połysku bledniejąą dawne ideały, myśl gorączkowo szuka nowych, wybiega naprzód, rozbija się wśród nieznanych przestrzeni. Ileż-to zagaśnie tych iskierek, nim jedna, rozniecona tchnieniem gieniuszu, potężnym wybuchnie płomieniem i myśli ludzkiéj nowe odkryje widnokręgi.

Taką ewolucyę przebył w początkach wieku bieżącego romantyzm, nim podniósł zwycięską chorągiew; taką samą przy zmierzchu stulecia przebywa sztuka we wszystkich swych gałęziach. Czy wiek obecny powita zorzę nowego odrodzenia, tego nikt nie odgadnie; to tylko pewna, że kończące go lata są świadkami wielkich wysiłków.

Wiadomo, że towarzystwo artystów, rozdzielone na dwa obozy, tak w tym roku, jak w przeszłym, zamiast jednego, urządziło dwa salony, jeden na polach Elizejskich, drugi na polu Marsowém. Współzawodnictwo to, naganiane przez wielu, tę przyniosło korzyść, że dawny salon na polach Elizejskich, który wyglądał, jak bazar, napchany obrazami, ozdobiło wytwornie i uczyniło godnym sztuki przybytkiem.

Obie wystawy obejmują 2684 olejnych obrazów, rzeźb 850, w ogólności 5000 dzieł sztuki, licząc w to pastele, akwarele, rysunki, drzeworyty i t. d. Drugie tyle co najmniéj odrzucono. Zawiedzeni artyści, urządzili osobną wystawę (salon des refusés), odwołując się do sądu publiczności.

W chwili, gdyśmy weszli do salonu na polach Elizejskich, wpadł nam w oczy mały rodzajowy obrazek; przedstawia on kuchmistrza, wobec stosu wszelkiego rodzaju wiktuałów: są tam sarny, zające i bażanty, ćwierć mięsa i wszelkie domowe ptactwo, ryby morskie i rzeczne, rozmaite warzywa, owoce, słowem wszystko, czego potrzeba do najwytworniejszéj uczty. Biedny kuchmistrz stoi przerażony taką obfitością, załamał ręce; ileż-to musi obmyślić przypraw, aby zadowolnić smak Lukullusów dzisiejszych!

Taką samą trwogę, jaką czuje ten kuchmistrz, musi uczuć biedny sprawozdawca, ujrzawszy się wpośród tysiąca mniéj więcéj udatnych dzieł sztuki. Mówimy tu o całym batalionie sprawozdawców

paryskich; każdy wysila swój umysł, jak przyprawić swoją krytykę, to szczyptą soli atyckiéj, to palącym pieprzykiem, to ziarnkiem gorczycy, lub odrobiną cukru, a nadewszystko, jak oryginalnym konceptem ubiedz licznych współzawodników?

Położenie nasze mniéj nasuwa trudności: pisząc dla tych, którzy nie widzieli wystawy, nie mamy potrzeby wytykać usterków tego lub owego utworu. Obowiązkiem naszym uwydatnić ogólny charakter sztuki, zaznaczyć główny jéj kierunek, pokazać kilka pierwszorzędnych dzieł, resztę zostawić w cieniu.

Otóż więc tak w malarstwie, jak poniekąd i w rzeźbie, widzimy ogólną dążność do odtwarzania scen z życia ludu, pracującego bądź w polu, bądź przy warsztacie. *Folklaryzm* stoi dziś na porządku dziennym. Nigdy jeszcze z takiém zamiłowaniem nie badano życia ludu wiejskiego, jak gdyby szeptał głos tajemny, że z tego ogniska ma się rozejść ożywczy płomień, w którym wystygłe społeczeństwo nowe zaczerpnie siły. Nigdy praca ludzka nie była w takiém, jak dziś, poszanowaniu. Zrozumiał to młody malarz Poilleux S-t Ange. Na wielkiém płótnie ukazał on Francyę w postaci krzepkiéj niewiasty z sierpem w ręku, nad snopem użętéj pszenicy. Z pod prostéj odzieży wieśniaczéj wygląda żelazny pancerz. Poniżéj napis: *1891 La France travaille et veille.* Krytycy szydzą z téj zbroi, błyszczącéj z pod grubego bretońskiego kaftana; co do nas, odczuliśmy głęboką myśl artysty. Obraz ten, jakkolwiek nie jest arcydziełem, więcéj przemówił do nas, niż wszystkie Respubliki, z chorągwią w ręku, we frygiskiéj czapce na głowie, jakie spotykamy co krok na placach paryskich.

Francya pracuje i czuwa; temat ten dał malarzom pobudkę do kilkuset obrazków, które widzimy w obu salonach. Obrazki to rozmaitéj wartości, odbija w nich jednak myśl żywotna, a w wielu szczera miłość prostaczków i wiara w przyszłość kraju, dzięki tym pracowitym rojowiskom, rozsianym na wielkiéj przestrzeni od Wogezów po Pireneje, od normandzkich pobrzeży Atlantyku po błękitne fale morza Śródziemnego. Jak pracuje Francya, pokazują to obrazki tych znojnych oraczów, stąpających cicho za pługiem, tych żeńców i żniwiarek, co sierpem zgarniają garście kłosów, tych kosiarzy, co zżęte siano składają w wielkie stogi.

Jak czuwa Francya, pokazuje to mistrzowskim pędzlem Dagnant Bouveret w gromadzie rekrutów, spieszących dziarsko na miejsce przeznaczenia. Najmłodszy biegnie po przedzie z trójkolorowym sztandarem, podczas gdy wysłużony dobosz uderza pałeczkami w stary bęben, świadek dawnych tryumfów.

Ale Francya nie tylko czuwa i pracuje; ta Francya, pomawiana o bezbożność, modli się też gorąco; w modlitwie czerpie ona siłę do

czuwania i pracy. Jeśli w obu *solonach* mało widzimy obrazów, właściwie religijnych, zato spotykamy wiele tchnących duchem religijnym, jakby wyrwanych z duszy wiernego ludu. Tu oto w obec majtków i rybaków, klęczących nad brzegiem oceanu, Biskup na łodzi błogosławi wzburzone fale; tam zakonne siostry uczą w szkółce gromadkę dziewcząt; tu znowu chory Bretończyk, syn ubogich rybaków, przyjmuje z rąk kapłana ostatnią komunię, i przyciska krzyżyk, podany ręką spłakanéj matki; daléj żołnierz, ugodzony śmiertelnie na polu bitwy, oddaje kapłanowi najdroższą pamiątkę: poszarpany sztandar, wydarty z garści pruskiéj. Wśród tych rzewnych obrazków przyświeca jeden, wykonany po mistrzowsku pędzlem Juliusza Bretona, nauczyciela szkoły ludowéj; przedmiotem jego *Odpust w Kergoat.* Malarz obrał chwilę, kiedy processya powraca do wiejskiego kościoła. Wieśniacy postępują z płonącemi świecami, dziewczęta w malowniczych strojach bretońskich niosą chorągwie, inne figurę Najświętszéj Panny i miejscowych patronek. Głowy wszystkie pochylone ku ziemi, każda postać skupiona w duchu. Piękny ten obraz znalazł już nabywcę za 100,000 franków.

Utalentowana córka tego mistrza, Wirginia Demont-Breton, wystawiła obraz trzyletniego Jezusa, w objęciach NPanny. Dziecię rozpostarło rączki w formie krzyża, rozsypuje z nich róże, przy niém skubie trawę biały baranek.

Pan Kowalski, ziomek nasz, urodzony we Francyi, wykonał też pełen natchnienia obraz N. Panny, niedorosłą dzieweczkę.—Cała w bieli, modli się gorąco, zapatrzona w płomienisty krzyżyk, odbijający się na błękicie.

Z religijnych przedmiotów dwa na szczególną zasługują uwagę: jeden przedstawia Matkę Bolesną nad grobem Zbawiciela, drugi Maryę Magdalenę, płaczącą w głębi czarnéj groty. Wykonał je słynny malarz Henner.

Przejdźmy do obrazów historycznych. Kilka ich zaledwie wystawiono; snadź historja nie pociąga malarzy, ale jest między niemi dzieło pierwszorzędnéj wartości. *Skon Babilonu*, pędzla Rochegrossa, Nie pierwsze to już wystąpienie młodego artysty; zamiłowany w przedmiotach archeologiczno-historycznych, kilka lat temu, wystawił *Andromachę* z synem Astyanaxem, na murach palącéj się Troi; później wykonał *Śmierć Cezara*; dziś na ogromném płótnie przedstawił *Ucztę baltazarową.* W pysznéj sali, pomalowanéj w symboliczne godła Wschodu, widzimy rozrzucone bezładnie szczątki biesiady: kwiaty, owoce, poprzewracane amfory, toczące się z nich strugi wina. Dostojnicy chaldejscy, odziani w bisior i złotogłów, w wieńcach z róż na głowie, odurzeni trunkiem, tarzają się po ziemi, zasłanéj mnóstwem różnoko-

lorowych makat. Kobiety, strojne z całym przepychem wschodnim, śpią oparte na jedwabnych wezgłowiach; dwie z nich, nagle zbudzone, wyciągają ręce z przestrachem. W górze, na wysokiéj estradzie, błyszczy tron Baltazara. Mocarz, niby rażony gromem, zerwał się z tronu, wlepił oczy w szeroką bramę, rozbitą taranami Persów. Tłum zbrojny wciska się do sali, miasto całe w płomieniach, kłęby dymu przyćmiewają blask wschodzącego słońca.

Baltazar osłupiał—a oto piekielny potwór ogarnął go mglistemi skrzydły. Uderzyła godzina kary Bożéj: z rozpasanego grodu pozostanie ledwie kupa zwalisk, i straszliwa groźba dla przyszłych, pogrążonych w zbytkach, Babilonów.

Nie sięga tak odległych czasów historyczny obraz Pawła Laurent p. t. *La voute d'acier* (Sklepienie ze stali). Na wielkiém płótnie malarz przedstawił przybycie do Paryża Ludwika XVI w parę dni po wzięciu Bastyli (1789 r.) Król wysiadł z karety przed ratuszem: po obu stronach wschodów stoją szeregiem członkowie Zgromadzenia narodowego, w upudrowanych perukach, podnieśli w górę szpady, tworzą z nich jakby stalowy dach po-nad głową królewską. Prezydent magistratu, Bailly, występuje naprzeciw Króla, podaje mu trójkolorową kokardę. Straż tymczasem rozsuwa groźno zbliżające się tłumy. Obraz malowany wytwornie, ale chłodny, bo téż i Król chłodno przyjmuje trójkolorowe godło, i reprezentanci narodu chłodno wydobyli z pochew oręż,—są tu i przyszli królobójcy. Po-za tą zgodą chwilową rysuje się w myśli gilotyna.

Większe wrażenie sprawia mały obrazek z epoki napoleońskiéj: brzask dzienny świta, znużony żołnierz zasnął na czatach. Zobaczył to cesarz, objeżdżając nocą posterunki: bierze karabin z rąk żołnierza, zastępuje go w służbie. Przestrach żołnierza wybornie oddany. Rzecz dziwna, obrazek ten wykonał Anglik.

Wszystkie działy sztuki świetnie przedstawione w obu salonach. Słynny dekorator Puvis de Chavannes, wystawił poetyczny obraz *Lata*, przeznaczony do sali ratuszowéj, i Robotników w różnych działach ceramiki, do muzeum w Rouen.—Setki krajobrazów pokazują nam całą Francyę, od mglistych wybrzeży normandzkich, do Prowancyi, opromienionéj słońcem południowém. Szkoła pejzażów, podniesiona wysoko przez Corot'a i Rousseau, utrzymuje zdobytą sławę. Tu znowu spotykamy śliczny krajobraz letni p. Kowalskiego, nagrodzony medalem. Wśród ośmiuset wystawionych portretów błyszczą utwory Carolusa Durana, Bonnat'a, Benjamin'a Constant'a, że pominiemy tylu innych. Ziomkowie nasi, kształcący się w tym dziale, mają tu biegłych mistrzów i umieją z nich korzystać. Powszechną uwagę zwraca wielki portret pędzla panny Anny Bilińskiéj, przedstawiający młodziuchnego

fortepianistę, Józia Hoffmana, wykonany śmiało, bez sztucznych efektów, wymowny w swojéj prostocie. Pan Axentowicz wystawił tu bardzo udatny portret męzki.

Ogólnie mówiąc, wystawa tegoroczna w żywém świetle pokazuje sztukę francuską; trudno przecież nie dać poznać i odwrotnéj strony medalu. Uporczywe ubieganie się za nowością doprowadza częstokroć do absurdów. Te wielkie plamy, rzucane pędzlem na płótno, te dziwaczne refleksy, jakiemi *impressyoniści* tłómaczą wrażenia, odebrane chwilowo z gry promieni słonecznych, to szukanie prawdy w brzydocie jak gdyby piękno nie istniało w rzeczywistości a było tylko wymysłem idealistów,—wszystko to dla nas nie zrozumiałe a wstrętne naszemu pojęciu estetycznemu. Wiele takich niesmacznych prób spotykamy w obu salonach, a szczególniéj na polu Marsowém.

Na dowód, jak nowatorowie traktują przedmioty religijne, wspomnimy tu dwa obrazy. Norwegczyk Skredswig na jednym z nich oddał pędzlem słowa Ś-go Łukasza: „A kiedy przechodził, wielu rzucało mu szaty własne pod stopy“. Otóż Chrystus przechodzi przez wieś z gronem uczniów, na ziemi rozesłano jakieś płachty, przytoczono w wózku kalekę, matki przyprowadzają drobną dziatwę, paralitycy wloką się na kulach. Wśród tego tłumu *Syn człowieczy*, w szarym paletocie i okrągłym kapeluszu, odziany jak dzisiejszy turysta.

Na drugim obrazie Jana Berand'a, pod tytułem: *Magdalena u Faryzeusza*, widzimy biesiadników przy uczcie: wszyscy ubrani w surduty i fraki, w kolorowych na szyi krawatach. Po prawéj ręce stoi Chrystus, odziany w tunikę, u nóg Zbawcy uderza w ziemię czołem Magdalena w atłasach i gazach, strojna według dzisiejszéj mody. Artysta pozwolił sobie niewłaściwego żartu: w postaci faryzeuszów uwydatnił znane w świecie tutejszym osobistości: Renana, Franka i wielu innych.

W rzeźbach, zarówno jak w malarstwie, uderza nas wyraźny zwrot do przedmiotów ludowych. Widzimy tu żniwiarki z sierpem przy snopie zboża i kosiarzy z grabiami; widzimy pasterza z gromadą kóz i psem kudłatym, bardzo udatną grupę Henryka Lemerre'a. Uderza téż w oczy grupa Thennissena: bolesny dramat z życia dzisiejszych robotników. Grewista wraca do domu zrozpaczony, odzież jego w bezładzie; patrzy na żonę zalaną łzami, z niemowlęciem na ręku, na starse dziecię, wyciągające rękę po kęs chleba.

Najznakomiciéj uczcił pracę ludu rzeźbiarz Boucher. Wykonał on z szarego marmuru postać robotnika, odwalającego z ziemi kamień. Wytężone muskuły oddane po mistrzowsku, krew zda się kipieć w żyłach. Boucher zajmuje w rzeźbie toż samo miejsce, jakie w malarstwie zajął dawniéj Franciszek Millet; szczęśliwszy od poprzednika, znalazł

umysły lepiéj przygotowane do pojęcia żywotnéj myśli. Kiedy przed laty pięćdziesięciu sąd konkursowy odrzucił obraz Milleta: *Robotnik w zapasach z ziemią*, widząc w nim rękawicę, rzuconą społeczeństwu w imię socyalistycznych zachcianek, sąd tegoczesny nagrodził Boucher'a medalem honorowym.

Ciekawa osobistość laureata zasługuje na wzmiankę. Ma lat czterdzieści. Mały, krępy, z wielką głową, bujne włosy spadają mu w bezładzie na niskie czoło i ramiona, z oczu tylko wytryska dziwny płomień.

Wszystko Boucher zawdzięcza samemu sobie. Syn prostego wieśniaka, urodzony w Szampanii, od dziecka kopał zagon, rąbał drzewo, posługiwał rodzicom. Miał lat siedmnaście kiedy począł lepić z gliny, co mu wpadło pod oczy, ale i to w dni słotne, kiedy nie mógł pracować w polu. Tak było przez trzy lata. Zwrócił jednak uwagę na siebie; departament Aube wysłał go kosztem swoim na naukę do Paryża. Tu uczył się lat pięć pod kierunkiem profesora Dumont'a.—Wystąpił raz pierwszy w salonie r. 1878. W trzy lata potém otrzymał medal i nagrodę pieniężną.

Człowiek to pełen prostoty, na pozór dziki ale wielkiego serca. Sprowadził w tym roku ośmdziesięcioletnich rodziców do Paryża, aby byli świadkami jego tryumfu. Pokazuje z dumą starego ojca w błękitnéj bluzie i starą matkę w ogromnym wiejskim czepcu.

Z żalem patrzymy na cztery piedestały, powleczone czarną krepą; to ostatnie prace dwóch mistrzów dłuta: *Ewa przed grzechem* i *Ś-ty Jan Chrzciciel* Delaplanche'a, i dwa arcydzieła słynnego Chapu: *Grobowy pomnik kardynała Bonnechose* i *Posąg księżny Walii* w siedzącéj postawie, pełen życia i niezrównanego wdzięku.

Znakomity artysta nasz, p. Cypryan Godebski, wystawił piękną grupę p. t. *Rêve de Gloire*. Ognisty Pegaz z rozpostartemi skrzydły unosi chwałę w postaci dziewicy, z ręką wyciągniętą w górę po wymarzone wieńce.

Pan Kossowski z Krakowa wystawił pomnik grobowy z bronzu: kobietę wspartą żałośnie o sarkofag, i ładną statuę gipsową drżącéj od zimna śpiewaczki, która przepłasała wiosnę, a na zimowe zawieruchy znalazła się bez chleba i dachu. Myśl wzięta z bajki Lafontaine'a.

Z prac ziomków naszych, rozrzuconych po różnych działach, wspomnijmy tu jeszcze wybornych *Żydów warszawskich*, pędzla pana Gierymskiego. Portret kobiety na porcelanie, udatnie wykonany przez pannę Helenę Duchyńską, i dwa śliczne pastelowe obrazki pana Mieczysława Rejznera ze Lwowa: *Szczęśliwą matkę* z dziećmi, i *Modlitwę* w postaci staréj babuni z różańcem w ręku,—ostatni obrazek najsłuszniéj został wynagrodzony chlubną wzmianką.

Miejsce zmarłego niedawno Oktawiana Feuillet'a zastąpił w Akademii oficer marynarki Viaud, znany w literaturze pod pseudonimem Piotra Lottiego. Wybór ten dla poważniejszych umysłów był przedmiotem zdziwienia, a jak utrzymują, zdziwił i wybranego, który, mimo że się przedstawił jako kandydat, chcąc utorować sobie drogę na przyszłość, nie spodziewał się przecież tak rychłego zaszczytu. Trudno zaprzeczyć talentu nowemu akademikowi: powieść jego, *Rybacy Islandcy*, żywo zajęła czytający ogół, powieść tymczasem z życia Japończyków: *Le mariage de Lotti*, i inne, jeśli zalecają się żywym stylem i oryginalnością obrazów, nie należą przecież do wyższéj literatury. Wszystkie w ogólności utwory, nie wyłączając „Islandzkich rybaków", zaprawione są chłodnym pesymizmem; w ostatniéj nakoniec pracy, *Wspomnieniach z lat dziecinnych*, autor wyrzeka się cynicznie wiary w jakikolwiek ideał. Jakim sposobem większość głosów przyznała mu palmy akademickie, gdy współzawodniczył z nim razem Henryk Bornier, utalentowany dramaturg, autor *Córki Rolanda* i *Aattyli*, trudno nam to doprawdy wytłómaczyć.

Mówiąc o sprawach akademickich, pominąć nie możemy wystąpienia prasy tutejszéj, która, mimo że nie przedstawiła do wyboru żadnego ze swych koryfeuszów, zżyma się, że tak słabo, gdyż w dwóch zaledwie członkach, reprezentowaną jest w pośród czterdziestu nieśmiertelnych. Powtarzamy tu pyszny panegiryk, poświęcony prasie, jako znamię wyobrażeń dzisiejszych.

„Akademia,—mówi jeden z głośnych publicystów,—powinna być przedstawicielką społeczeństwa francuskiego, najwyższym wyrazem wszystkich żywiołów, w których zachowuje się język i duch plemienny. Patrząc na rzecz z tego stanowiska, Akademia do grona swego, obok złych pisarzy, przyjmowała zawsze wielkich panów, wysokich dostojników, biskupów, samych nawet książąt z krwi panującéj, którzy z tytułu literackiego nie mieli prawa do tego zaszczytu. Uosobiali oni społeczeństwo francuskie: wystarczało to, aby zapewnić miejsce w intelektualnym senacie narodowym.

„Wierna tradycyi, Akademia, i dziś przedstawia żywioły, składające naród: politykę, trybunę, kratki sądowe, ambonę, wojskowość, marynarkę, nauki ścisłe, filozofię, historyę, powieściopisarstwo, poezyę, teatr, ekonomię społeczną, słowem: wszystko tu jest, ale w nierównéj proporcyi.

„Dziś, naprzykład, mamy w uczoném gronie dziewięciu pisarzy dramatycznych. Bez wątpienia teatr zajmuje ważne miejsce w literaturze naszéj i silnie wpływa na obyczaje; ale, wziąwszy go na uwagę, trudno powiedzieć, że w nim objęta czwarta część sił intelektualnych, czwarta część chwały narodowéj.

„Owóż u schyłku wieku, w obecnym stanie idei demokratycznych, powstała siła nowa, olbrzymia, niemal panująca, której akademia nie daje miejsca odpowiedniego jéj potędze. Tą siłą, rozwijającą się bezustanku, rzec można pierwszorzędną, jest niewątpliwie prasa, owa prasa, która sześćdziesiąt lat temu spełniała już przewroty polityczne, a która może jutro, jeżeli zechce, poruszyć masy, kieruje bowiem opinią i trzyma w ręku przyszłe losy Francyi.

„Już za monarchii lipcowéj nazwano prasę czwartym stanem; przez pół wieku przerosła wszystkie inne, dziś stała się potęgą, wciska się do najmniejszéj wioski, wdziera się za progi najuboższéj chaty, zanosi tam swoje sądy, swoje krytyczne spostrzeżenia, swoje poglądy, częstokroć namiętne, ale z niemi rozsiewa myśl, wiedzę i światło.

„Otóż więc ta kolosalna potęga, któréj organa, rozbiegając się codziennie po całéj przestrzeni kraju w milionach egzemplarzy, stały się jakby kęsem chleba dla łaknących, ta niesłychana potęga iluż ma reprezentantów w pałacu Mazaryniego? Przeciwko dziewięciu dramaturgom i dziewięciu historykom liczy tylko dwóch przedstawicieli.

„Dawniéj to wystarczało, ale dziś zmieniły się rzeczy. Dziennik urósł do olbrzymich rozmiarów. Azaliż organ, który zapełnia codziennie salony, warsztaty, kawiarnie, restauracye, wagony pociągów, rozbiega się na wszystkie, miasta i miasteczka wsie i ubogie zagrody, nie waży tyle, co poemat, odbity w pięciuset egzemplarzach dla dyletantów, jak powieść w dwudziestu tysiącach odbić, chwytana przez gawiedź próżniaczą.

„Jeśli potrzeba talentu, aby z głowy, spokojnie, w cichym gabinecie, utworzyć poemat, studyum historyczne lub powieść; czyliż nie potrzeba większego jeszcze talentu, aby zapełnić codziennie kipiące kolumny dziennika, aby zadowolnić miliony chciwych nowości czytelników, aby sądzić wszystkie bieżące wypadki, wszelkie ewolucye umysłowe? Dla poety, powieściopisarza, historyka, filozofa i mówcy, dosyć jest mieć talent w danéj chwili, chociażby raz tylko; gdy tymczasem dziennikarz musi go mieć codziennie, na zawołanie, co wieczór i co rano, rozprawiać o rozmaitych przedmiotach, często nie przewidzianych. Potrzeba siły niesłychanéj, aby przez lat dwadzieścia lub trzydzieści lecieć na złamanie karku i wyjść cało z szermierki!

„A przecież dwóch tylko dziennikarzy, przedstawia prasę w Akademii: Edward Hervé i John Lemoine.

„Jeśli od lat dwustu pięćdziesięciu Akademia przeżyła tyle przewrotów, jeżeli, przygnieciona chwilowo, podniosła znów głowę z pod zwaliska; to jedynie ztąd, że umiała zawsze zastosować się do nowych potrzeb i mieć na względzie rozwój opinii publicznéj.

„Kiedy w naukach ścisłych okazał się we Francyi tak nadzwyczajny postęp, Akademia uczciła nowy prąd, powołując najpierwszych jego koryfeuszów. Fizyologię przedstawił Claude Bernard, chemię Jan Dumas i Pasteur, numizmatykę Bertrand. Tą samą powodowany myślą, Renan wyrzekł niedawno przy poklasku ogólnym: „Niech się przedstawi jenerał, który pomści krzywdy nasze, powróci nam Alzacyę, a przyjmiemy go tryumfalnie, choćby nic innego nie napisał, prócz buletynu odniesionego zwycięstwa!“

„Prasa—to główna sprężyna myśli nowoczesnéj, to najwierniejszy organ nowego społeczeństwa; nie byłoż-by słusznem, aby w nowym areopagu jéj przedstawiciele znaleźli miejsce odpowiednie do swego dzisiejszego znaczenia i do wpływu, jaki wywierają w nowéj organizacyi społecznéj?“

Nie myślimy odmawiać prasie wielkiego rozgłosu, jaki zdobyła w społeczeństwie dzisiejszém, ani wielkiego wpływu, jaki wywiera na umysły; nie chcemy sądzić, czy ten wpływ oddziaływa dodatnio, czy prasa, jaką dziś widzimy, rzuca pożywne ziarno, czy téż rozsiewa wichry, z których rodzą się grady i nawałnice. Ponieważ jednak, powtarzając skargi dziennikarzy, odsłoniliśmy jedną stronę medalu, nie wolno nam ukrywać drugiéj strony. Pokazał ją Axenel w świeżo wydanym „Roczniku prasy z r. 1891“. Wstęp do dzieła skreślił dziennikarz Henryk Maret. Opłakuje on nadużycia prasy, chłoszcze ją ostrym biczem, przychodzi wreszcie do takiéj konkluzyi:

„Pozostaną zawsze godni przedstawiciele dziennikarstwa, szanujący pióro własne, a gdyby nawet prasa upadła niżéj jeszcze i utraciła mir powszechny, upadek ten byłby hasłem jéj odrodzenia. Szarlatanizm pociąga tłumy, ale je nuży i odstręcza. Przychodzi czas, że ogół, przesycony kłamstwem i stekiem błazeństw, załaknie prawdy, zarumieni się, że ją odtrącał nazbyt długo, zwróci się do zapoznanych myślicieli, do wzgardzonych pisarzy. Dziś oczy jego zaprószone kurzawą, ale do ich obmycia nie brak przecież wody krynicznéj.

„Powiedzmy wreszcie prawdę,—dodaje Maret,—kto tu najwinniejszy.—Oto sama publiczność. Mówiono o ludziach, że mają takie rządy, na jakie zasługują; słuszniéj powiedzieć, że mają taką prasę, jaka im do smaku przypada. Wyobraźmy sobie wielki tandetny bazar: wszystkiego tam dostanie; jeśli rzucisz się na wystawione w nim świecidła i szkiełka bez wartości, a pominiesz sklep jubilera, pełen drogocennych rubinów, szmaragdów i pereł, masz-li prawo skarżyć się na nieuczciwość kupców? Tak się ma rzecz z dziennikiem: znajdziesz w nim, czego szukasz.

„Łatwo powiedzieć: ten dziennik znieważa społeczeństwo, a więc godzien pogardy. Czyżby on znieważał, gdyby mu to nie przynosiło

zysku, gdybyś pomijał obojętnie te zniewagi. Łatwo krzyczéć na zepsucie tego, na nieuctwo tamtego, ale czemu ich czytasz. Odwołaj się do opinii publicznéj, każdy nakreśli teoryę idealnego dziennika, w którym sprawy polityczne traktowane być mają przez wytrawnych publicystów, sprawy literackie przez kompetentnych krytyków; z którego wygnane będą wszelkie plotki, bajki i oszczerstwa. Każdy marzy o takim dzienniku, ale kupuje inny.

„Obyczaje dziennikarzy odpowiadają obyczajom ogólnym: nie poprawimy pierwszych, dopóki się drugie nie poprawią. Zarówno jak najmędrsze prawa nie zreformują społeczeństwa, tak i najmędrsze sądy nie zabronią prasie być prostém odbiciem stanu społecznego. Zwierciadło powtarza tylko przesuwające się przed niém obrazy.“

Maret nie myśli o radykalnéj reformie, wie on, że to dzisiaj nie podobna. Jako wytrawny dziennikarz, daje tylko pożyteczne rady współtowarzyszom pióra, aby podnieść godność sponiewieranéj prasy.

„Niechże każdy pisarz,—mówi on,—pisze jedynie to, co myśli, niech uszanuje czytelnika. Przeciwna opinia nie obrazi nikogo, ale niech będzie szczerą,—nie cierpimy tylko złéj wiary. Czy to w polityce, czy w sztuce, kto inaczéj pisze a inaczéj myśli, popełnia grzech przeciw Duchowi Świętemu. A cóż tu powiedzieć o człowieku, który przez zemstę osobistą rozsiewa obrzydliwe potwarze.

„Niegdyś przyzwoitość nakazywała ludziom pióra pisać to tylko, coby wyrazić mogli żywém słowem. Dziś, rzecz szczególna, widzimy literatów dobrze wychowanych, którzy-by za nic w świecie nie pozwolili sobie rozmowy nieprzyzwoitéj, a kreślą piórem wyrazy grubijańskie, jakie-by im z ust nie wybiegły. Przeciwnie było dawniéj: pamiętano wtedy, że słowo ulata, a papier pozostaje. Prawda, że i czytelnicy, a nawet czytelniczki nowy przyjęły zwyczaj. Znam nie jedną uczciwą kobietę, która nie zniosła-by w obecności swojej nieprzyzwoitego słowa, a przecież znosi je, czytając na głos drukowane w książce albo w dzienniku.

„Czego ja pragnę przedewszystkiém,—kończy Maret: oto wygnać z prasy kłamstwo i cynizm. Inne rzeczy zależą od smaku i mody. Trudno wmówić w tych, co lubią wodewile, że więcéj warta poważna tragedya. Możemy tylko ubolewać, że coraz mniéj szlachetne dążenie objawia się w literaturze i widzieć upadek w tém właśnie, co inni nazywają postępem. Wyznajmy, że prasa dzisiejsza godna literatury kończącego się wieku.“

Rocznik prasy pokazuje statystyczne cyfry dzienników i przeglądów na całéj przestrzeni Francyi; podajemy te cyfry.

W Paryżu wychodzi pism peryodycznych 1992. Politycznych dzienników 161, poświęconych wojskowości 39, organów rozmaitych

stowarzyszeń 52, przeglądów politycznych i literackich 121, dzienników mód 95. Pomijamy tu mnóstwo innych.

Od roku przeszłego przybyło wszystkich pism około dwieście.

Na prowincyi liczba pism wszelkiego rodzaju wynosi 3,180.

Do najważniejszych zdobyczy, jakie wiek dziewiętnasty pozostawi następnym, należy niewątpliwie rozbudzenie życia prowincyonalnego. Ewolucya ta odbyła się w całéj Europie, my zaznaczymy ją głównie we Francyi, gdzie promotorem jéj był Józef Roumanille, zmarły dwa miesiące temu w Awinionie.

W pierwszéj połowie bieżącego stulecia, osobne szczepy, składające narodowość francuską, jak-by na dane hasło, przypomniały sobie odwieczne tradycye, poczęły śpiewać na własną nutę, mową podjętą z ust wieśniaczego ludu. Tak uczynili Bretonowie pod kierunkiem Augusta Brisene'a. Z większą jeszcze siłą prąd ten objawił się w całéj południowéj Francyi, od gaskońskich brzegów Oceanu po stoki Alp prowansalskich. Iskra elektryczna wstrząsnęła sercem południowców, zbudziła w nich pamięć trubadurów, głośnych niegdyś po świecie, przypomniała im, że ten język langwedocki, panujący niegdyś na słynnych dworach królów Nawary i niemniéj słynnych dworach królów Prowancyi, że ten język nie skonał, ale, zubożały i przekształcony, drga żywotnie pod strzechą wieśniaczą i przy warsztacie rzemieślnika. W Gaskonii podjął go pierwszy perukarz Jasmin, wyśpiewał w nim mnóstwo pieśni i poematów ludowych, któremi zdobył imię i zasłużył sobie na pomnik w mieście Agen.

W Prowancyi lirę ludową podjął pierwszy Józef Roumanille, syn ubogiego ogrodnika z Saint-Remy. Matka śpiewała mu nad kołyską piosenki w prostéj gwarze ludowéj, innéj bowiem mowy nie znała. W lat dwadzieścia potém syn odwdzięczył się matce. Wykształcony w szkole, przysłuchując się pieśniom téj matki przy kołowrotku, utyskiwał nad ubóztwém sponiewieranego języka, w którym odczuwał prawdziwe skarby poezyi. Ułożył też mnóztwo ślicznych piosenek, zachował w nich barwę i prostotę ludową, odarł tylko język z grubijańskiéj powłoki. Zbiorek tych pieśni, wydany w roku 1847, p. t. *Margarideto* (Stokrotki), rozbiegł się w oka mgnieniu pomiędzy ludem. Zdobyty rozgłos był hasłem do prac nowych. Roumanille otrzymał w szkole katedrę profesorską, poznał tam genialnego ucznia, Fryderyka Mistrala; gorąca przyjaźń połączyła dwa serca, jednakim ożywione zapałem. Porzuca Roumanille katedrę, pracuje pilnie, jako ze-

cer, wkrótce zakłada maleńką drukarnię w Awinionie, odbija broszury i świstki w langwedockim języku prowansalów, rozpowszechnia je między ludem, wydaje kalendarz. Księgarnia jego staje się gniazdem odrodzenia. Ziarno, rzucone w porę, wydaje bujne plony. Trzech poetów: Roumanille, Mistral i Aubanel, wiążą się w towarzystwo tak zwanych Felibrów. Mistral cudnym poematem, *Mireille*, zdobywa sławę w kraju całym, imię jego przebiega poza Ren, po za Alpy. Aubanel pełną zapału pieśnią porywa serca, gromadzi tłumy wkoło sztandaru, powiewającego zwycięzko nad Prowancyą. Roumanille patrzy z radością na wyższych od siebie towarzyszów, drukuje ich książki, rozgłasza ich sławę, pozostaje duszą zebrań i poetycznych sądów. Żona jego, słynna w gronie poetek, Róża Anais, ozdobiona wieńcem konkursowym, podziela jego pracowite zabiegi; patrzą oboje z chlubą rodzicielską na kwiat, rozkwitły pod ich okiem, na córkę D. Teresę, znaną już w literaturze prowansalskiéj.

Felibrowie odnowili dziś epokę trubadurów, język langwedocki podnieśli z upadku, powrócili do dawnéj godności. Mistral ułożył wielki słownik tego języka, nagrodzony przed dwoma laty przez Akademię francuską. W miarę rozrostu towarzystwa, które liczy dziś do pięciu tysięcy członków, powstają na południu coraz nowe ogniska poetyczne, złączone z sobą najściślejszym węzłem. Jedno z nich pod nazwą *Cigaliens* (Koników polnych), istnieje dziś w Paryżu, — składa się z zamieszkałych tu prowansali. Na wzór trubadurów, Felibrowie co rok przebiegają gromadnie miasta, szukają tradycyjnych pamiątek, odgrzebują wspomnienia poetów i artystów południowych; na cześć ich wznoszą posągi lub grobowce. Przed dwoma laty zdeptali całą Gaskonią, przekroczyli nawet granicę Hiszpańskiéj Katalonii, gdzie język langwedocki panuje między ludem. W tym roku przebiegną całą przestrzeń od Lyonu do Marsylii, zatrzymując się w rozmaitych miejscach, a najdłużéj w Awinionie, gdzie odbędzie się stoletni obchód połączenia tego miasta z Francyą.

Józef Roumanille nie doczekał téj pielgrzymki; umarł w końcu Maja, śmierć jego okryła żałobą Felibrów. Z trzech promotorów odrodzenia, sam Mistral dziś pozostał. Aubanel zmarł przed trzema laty. Ale towarzystwo rozkwita i żyje pełném życiem. Zrazu kierunek ten przerażał centralistów tutejszych, którzy w najściślejszéj własnie centralizacyi widzą siłę i bezpieczeństwo kraju. Dziś władze zaczynają pomału ustępować pod naciskiem wszystkich prowincyi francuskich, które, za przykładem południowców, pragną rozwijać się samoistnie na prawach odwiecznych tradycyi. Jak Francya długa i szeroka, zawiązują się coraz nowe towarzystwa, to *Jabłek* bretońskich i normandzkich, to tak zwanéj *Zupy Kapuścianéj*, w górach

Auwernii, to *Kasztanów* ponad Loarą, i wielu innych jeszcze. Mistral wymownym głosem przekonywał paryskich centralistów, że Felibrowie czują się do szpiku kości Francuzami, że daleką od nich myśl separatyzmu, ale pragną jedynie powrotu do praw autonomicznych, jakich niegdyś używali ich praojcowie.

Mamy już liczne objawy ustępstwa władz francuskich. Uderza nas przedewszystkiém dążność do rozbicia przewagi uniwersytetu paryskiego na pożytek uniwersytetów prowincyonalnych. Dość tu przypomnieć, że organizacya Sorbony, jaką dzisiaj widzimy, następstwo wielkiéj rewolucyi francuskiéj, zadała większy cios dawnym wyrobom indywidualizmu, aniżeli centralizacya administracyjna i polityczna. To téż dzisiejsze władze francuskie z ostrożnością, a nawet z obawą, przystępują do téj wielkiéj reformy, która wpłynie silnie i na rozwój literatury francuskiéj. Wyrób prowansalskiéj literatury stał się najdzielniejszym bodźcem do kardynalnych reform w tym kierunku. Ani perukarz Jasmin, ani Roumanille, syn ogronika, ani sam nawet genialny Mistral, nie spodziewali się owoców, jakie wyrosną z ich posiewu!

Folklaryzm, z pola etnograficznych badań, wychodzi widocznie na pole sztuk pięknych i ogarnia wszystkie działy literatury. Wskazaliśmy już ten kierunek na wystawie rzeźb i obrazów. Akademia francuska na konkurs tegoroczny zadała przedmiot, wysnuty ze średniowiecznych podań, których poezya rycersko-ludowa główny stanowi charakter; nowy prąd objawił się i w teatrze. Kilka miesięcy temu, poeta Bouchor przedstawił misteryum *Boże Narodzenie*, odegrane przez maryonetki, i zachwycił niém cały Paryż. Obecnie z innem misteryum wystąpili dwaj poeci: Armand Silvestre i Eugeniusz Morand. Podjęli oni odwieczną tradycyę, osnuli na niéj trzyaktowy dramacik, p. t. *Gryzeldis*. Naiwny ten utwór przypadł dziwnie do smaku publiczności paryskiéj: jedyna to sztuka z tegorocznego repertuara, przyjęta z ogólnem zadowoleniem. Snadź publiczność, znudzona skandalami, jakie cyniczni autorowie rzucali jéj do syta, zapragnęła innego pokarmu; to téż nowy utwór, bez względu na niedostatki i nieprawdopobieństwa, szczerym obsypała poklaskiem.

Przedmiot, oparty na podaniu z czasu krucyat, nie jednemu już poecie dał pobudkę bądź do powieści, bądź do opery lub komedyi. W XIV-m wieku, bezimienny autor przedstawił misteryum o wiernéj Gryzeldzie, przezwanéj *Zwierciadłem małżonek*. Później Bokacyusz

wziął to podanie za wątek do powieści, która tak zachwyciła Petrarkę, że ją przetłómaczył na włoski język. Perault na tymże wątku osnuł popularny poemat. W ciągu XVII wieku, Gryzelda poruszyła werwę czterech kompozytorów włoskich, między nimi Paerza i Picciniego. W obecnym wreszcie wieku, kilku dramatycznych autorów podjęło tę idealnę postać. Wymieniamy wśród nich Krystyna Ostrowskiego.

Dwaj poeci, Silvestre i Morand, zrozumieli, że przedmiot, wzięty z legendy, oderwany od życia rzeczywistego, można tylko przedstawić w formie symbolicznego misteryum. Pomysł ten dał im całą swobodę, uwolnił ich od zarzutu nieprawdopodobieństwa, pozwolił im wprowadzić na scenę piekielne istoty, zaklęte w postać ludzką. Przytaczamy treść w kilku słowach.

Pierwszy akt wprowadza nas do oratoryum Gryzeldy, małżonki hrabiego Saluces. Po prawéj ręce widać tryptyk, a w nim statuę Ś-téj Agaty, opiekunki zamku. U stóp świętéj wyrzeźbiony dyabeł w kornéj postawie.

Hrabia za chwilę wyruszy na krucyatę; klęczy przed tryptykiem, gorącą modlitwą powierza dom, żonę i syna opiece świętéj patronki. Gdy powstał, wierny przyjaciel, stary przeor, upomina go, by nie opuszczał domu.

— Nie dowierzaj kobiecie,—rzecze,—kto wie, co cię może tu spotkać.

— Przysięgła mi przed Bogiem,—odpowie hrabia. — To kobieta roztropna i uczciwa, pewien jestem jéj wiary.

— Ale dyabeł nie śpi,—dodał przeor.

— Wobec samego dyabła, gotów-bym przysiądz za nią,—zawoła z gniewem hrabia.

W téjże chwili rzeźbiony dyabeł zbiega z tryptyku na ziemię. Dyablik to wytworny, gładki, bez rogów, z jasnym utrefionym włosem. Wyzywa hrabiego do zakładu. Hrabia ręczy za wierność i posłuszeństwo żony. Zdejmuje z palca pierścień, podaje go, jako rękojmię.

Dyabeł chwyta pierścień, rzuca sarkastyczne słowo i ucieka rozradowany.

Następuje rzewne pożegnanie małżonków. — „Dni moje,—mówi Gryzelda,—płynąć będą w ciszy domowéj; modlitwą i miłosierdziem ściągnę na głowę twoją błogosławieństwo Boże“.

Hrabia puścił się na wyprawę. W akcie drugim scena przedstawia taras przed zamkiem; na tarasie kwitną pomarańczowe drzewa, daléj widać błękitne fale morza Śródziemnego.

Pół roku upłynęło. Dyabeł nie zasypiał sprawy, ale dotąd nic nie dokonał. Szydzi z niego złośliwie żona, Fiamina, —gdyż ten dyabeł ma godną siebie małżonkę. Piekielna para wymyśla próbę nową. Przebrany za kupca z Lewantu, dyabeł przedstawia Gryzeldzie Fiaminę w stroju branki maurytańskiéj. Oznajmia, że hrabia kupił ją i postanowił zaślubić za powrotem. Na dowód pokazuje pierścień hrabiego. Stroskana Gryzelda chyli głowę w milczeniu, oddaje Fiaminie klejnoty, otrzymane w dniu ślubu od męża. Posłuszeństwo jéj zupełne, idzie teraz o wierność.

Dyabeł zastawia nowe, niebezpieczniejsze sidła. Wie on, że nim Gryzelda, ulegając woli rodziców, oddała rękę hrabiemu, serce jéj w dziecinnych jeszcze latach, skłaniało się do zakochanego w niéj trubadura, Allana. Za podnietą szatańską, trubadur ukaże się niebawem. W chwili stanowczéj próby, kusiciel wywołuje czary, zaklęte w przyrodzie: woń kwiatów, promień miesiąca, śpiew ptasząt i poszmer fali morskiéj, niech, działając z nim razem, wprowadzą w obłęd myśl niezłomnéj dotąd kobiety.

Przybywa Allan; Gryzelda wita z prostotą pełną niewinności towarzysza lat młodych; nagle spotyka wzrok poety, połyskujący żarem, serce jéj bije, głos drży, ogarnia ją niepokój. — „O Boże!—zawoła,—wspieraj mnie, ustrzeż od złego, błagam litości Twojéj!“

I w tejże chwili wbiega na taras mały jéj synek, Lois. Matka porywa go w objęcia, tuli do piersi, ucieka z nim co siły.

Zawiedziony znów, dyabeł, nie daje przecież za wygraną. Naprowadza na zamek korsarzy saraceńskich; ale nie syta łupu horda przez pomyłkę, uprowadza Fiaminę, błyszczącą od klejnotów. Gryzelda ocalona. Pozostał jeszcze ostatni sposób: dyabeł porywa Loisa, oznajmia matce, że syn w ręku korsarzy. Zrozpaczona Gryzelda wybiega co tchu ku wybrzeżom. — Zapóźno, niestety! przed jéj oczyma okręt rozwinął żagle, płynie po pełnéj fali.

Trzeci akt przenosi nas znów do oratoryum. Gryzelda, zalana łzami, powraca do domu, zastaje tu hrabiego, który właśnie wrócił z wyprawy. Rzecz wyjaśnia się w oka mgnieniu; małżonkowie klękają do modlitwy,—tryptyk rozmyka się nagle,—widzą dziecię śpiące u nóg świętéj patronki.

Rozsunięto dekoracye: wbiegają na scenę domownicy, wassale, krzyżowcy w hełmach i strojach rycerskich, pasterze, wieśniacy i wieśniaczki. Wszyscy patrzą zdumioném okiem na cud, tylko co spełniony. Dziwnie to piękny obraz.

Do powodzenia misteryum przyczynił się naprzód wiersz, pełen poetycznego tchnienia, potém mistrzowska gra artystów, nakoniec

przepyszna wystawa. Publiczność, powtarzamy, przyjęła z uniesieniem nowy utwór; uczucia jéj wyraził jeden z pierwszych krytyków, Vitu: „Bądźmy – rzekł on – wdzięczni panom Silvestre i Morand, że nas wyrwali choćby na chwilę z zatrutéj atmosfery, w któréj materyalizm usiłuje zdusić nasz teatr. Serdeczne oklaski publiczności, połączone z jednomyślném uznaniem krytyki, będą może ostrzeżeniem dla autorów, że ogół, przesycony skandalami, domaga się nowego zwrotu na polu dramatyczném“.

ZIEMIA I JÉJ ODŁUŻENIE

w Królestwie Polskiém[1]).

KREDYT I ODŁUŻENIE DROBNÉJ WŁASNOŚCI.

Rozdziały poprzedzające mogły nas przekonać, że losy własności ziemskiéj różnych rozmiarów są z sobą ściśle związane. Mniejsza czy taki stan rzeczy wywołują przyczyny miejscowe lub czasowe, przemijające, czy też wynika to z istoty stosunków rolnych po skasowaniu pracy i zależności pańszczyznianéj w krajach, gdzie granicy dóbr nie strzegą przywileje majoratów. Faktycznie tak jest i przy istniejącém położeniu, przynajmniéj u nas, tak być musi. Posiadłość większa potrzebuje wciąż regulować rozmiary gospodarstw swoich, zaokrąglać granice, wreszcie przez częściową sprzedaż gruntów oczyszczać zbyt obciążoną hypotekę, a nawet ratować się od ruiny ostatecznéj; nabywcami w tych wypadkach mogą być jedynie, lub przynajmniéj głównie, okoliczni drobni właściciele. Odwrotnie posiadłość mała, w ziemi przedewszystkiém składająca swe oszczędności i w ziemi tylko umiejąca na chleb powszedni pracować, potrzebuje nieustannego zaofiarowania gruntów ze strony własności większéj. Można z pewną nawet dokładnością poznać stan hypotek jednéj tylko jakiéjś części dóbr,

[1]) Zob. Zeszyt 7 tomu III z r. b.

wziętéj oddzielnie, obrachować jéj długi i zasoby majątkowe; ale gdy idzie o to, jakie jutro czeka te dobra, jaki ratunek spotka tę część ziemiaństwa, która na powierzchni utrzymać się nie zdoła, — wtedy cząstkowa znajomość stosunków rolnych wystarczyć nie może, trzeba objąć całość.

Dotychczas zajmowaliśmy się tu wyłącznie jedną tylko częścią majątków ziemskich, stanowiących mniéj więcéj połowę całego obszaru rolnego w Królestwie, a należących przeważnie do własności średniéj i większéj. Nie był to jednak rezultat wyrozumowanego, z góry obmyślonego planu; przeciwnie, stało się to skutkiem niepomyślnéj konieczności, iż dla tego tylko rodzaju majątków można było znaléźć dane w hypotekach gubernialnych.

Posiadłość włościańska, szczególniéj najważniejsza jéj część, t. j. grunta, nadane w r. 1864, hypoteki takie posiadają tylko wyjątkowo, a że w kraju naszym niéma również instytucyi kredytowych dla własności drobnéj, więc niéma téż stałych, prawidłowych form kredytu, niéma i nie może być cyfr i danych, które-by się dały ująć w szematy systematycznego obrachunku i stworzyć mniéj lub więcéj wierny i dokładny obraz odłużenia.

I.

Kredyt włościański jest u nas dziełem przypadku i téj fatalności ekonomicznéj, wskutek któréj, w razie braku rozumnéj interwencyi społecznéj, rzeczy układają się zawsze na niekorzyść strony słabszéj, biedniejszéj. W targu pomiędzy potrzebującym pieniędzy na nieodzowne potrzeby życiowe lub gospodarcze włościaninem i zasobnym posiadaczem gotowego grosza, zawsze, przy braku poparcia lub obrony osób trzecich, przetrzyma i postawi na swojém drugi, ustąpić zaś musi pierwszy.

Gdy chodziło o własność większą, główne pytania były: ile ona pożyczyła i na jakich warunkach? Tutaj przedewszystkiém dowiedzieć się trzeba: kto pożyczek udziela? Kto prowadzi połów w mętnéj wodzie nieuregulowanych stosunków? Do kogo ma zwyczaj chłop nasz zwracać się o ratunek w biedzie?

Na pytania powyższe odpowiedzieć dokładnie nie potrafi chyba nikt. Niejakich wskazówek co do pojedyńczych miejscowości mogli-by nam udzielić praktycy, mający z ludem blizkie i codzienne stosunki: więc obywatele ziemscy, obrońcy sądowi, rejenci i t. d.

O ile jednak wiedzieć można z opowieści ustnych i rozpraw piśmiennych ludzi kompetentnych, ze skarg i narzekań w prasie, wre-

szcie z rozpraw sądowych, nie wyrobił się u nas, tak jak gdzieindziéj, typ specyalisty, obdzierającego pod pozorem pożyczek chłopa ze skóry. Nie słychać o jakichś utartych sposobach wyłudzania i wymuszania pieniędzy od biednych wieśniaków, których zły los w chwili nieszczęścia lub przypadku zmusił do zaciągnięcia pierwszéj pożyczki. Jest to wypadek niewątpliwie bardzo pomyślny, gdyż dowodzi, że wyzysk nie jest powszechny, a wyzyskiwacze nie są zbyt zaprawieni i rozzuchwaleni. Pamiętać jednak należy, że co się nie stało dziś, stać się może jutro.

Ustawa Towarzystwa Kredytowego całkiem niemal zamyka włościanom możność korzystania z tego jedynego u nas taniego i porządnie zorganizowanego kredytu. Paragraf 91 téj ustawy brzmi: „Pożyczki udzielane są na osady, posiadane na podstawie Ukazu z dnia 19 Lutego 1864 r., jeżeli własność takich osad jest w hypotece przy Sądzie Okręgowym uregulowaną, jeżeli osady te mają uregulowane granice, nie są przedzielone obcemi własnościami i obejmują przynajmniéj 90 mórg.“ Sam ostatni warunek, oznaczający minimum obszaru, pozbawia 99.96% osad włościańskich i 8,509,074 mórg ziemi włościańskiéj możności korzystania z pożyczki w Towarzystwie Kredytowém. [1])

Dalszy jednak ciąg tegoż paragrafu zdaje się pozwalać na wyminięcie wysokości wymagań powyższych; głosi on: „Na osady, których część składa się z gruntów, nadanych na podstawie Ukazu z dnia 19 Lutego 1864 r., część zaś z gruntów, pod tenże Ukaz niepodpadających, pożyczki mogą być udzielane nawet w takim razie, jeżeli rozległość osad nie dochodzi 90 mórg.“ Żadnego oznaczenia minimalnéj rozległości dóbr tu nie znajdujemy, ale znowu § 94 zastrzega, że „pożyczka nie może być udzieloną, jeśli jéj wysokość nie dochodzi do pięciuset rubli.“ Ostatnie zastrzeżenie równoznaczne z oznaczeniem minimum obszaru majątéczków, na jakie Towarzystwo udziela pożyczki. Ponieważ pożyczka Towarzystwa nie może „przenosić połowy szacunku dóbr“ (§ 98), więc najniższa wartość majątéczku włościańskiego, któremu korzystać wolno z kredytu w instytucyi ziemiańskiéj, wynosić może *tysiąc* rs.; a że przeciętnie taksacya Towarzystwa oznacza wartość morgi na 34½ rs., więc się okazuje, że przy bardzo sprzyjających okolicznościach, ze strony Ustawy nie napotkają przeszkody osady chłopskie przenoszące 30 mórg. Osady ta-

[1]) W Królestwie Polskiém według statystyki z r. 1878 było:

	osad włościańskich	z przestrzenią w morgach
ogółem	611,028	8,570,133
wyżéj 30 mórg	39,469	1,560,038
wyżéj 100 mórg	281	61,059

kie stanowią 6.5% ogółu, czyli bezwzględnie z kredytu Towarzystwa korzystać nie może 93.5% osad włościańskich.

W rzeczywistości jednak, biorąc pod uwagę nie przepisy na papierze figurujące, lecz faktyczne warunki życiowe, dojść musimy do wniosku, że własność drobna tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach korzystać może z pożyczki Towarzystwa, a to z tego powodu, że jéj uzyskanie dużo kosztuje; trzeba zaprowadzić księgi przy Sądzie Okręgowym, dokonać pomiarów gruntowych, taksacyi i t. d., wreszcie w większości wypadków włościanin nie potrafi bez pomocy obcéj przeprowadzić wszystkich starań i formalności prawnych. Wobec tego pożyczka, wynosząca kilkaset, najwyżéj tysiąc kilkaset rubli, stała-by się bardzo kosztowną, tak prawie kosztowną, jak u mniéj wymagającego pokątnego kapitalisty w sąsiedniém miasteczku — kłopoty i ambaras nie opłaciły-by się poprostu.

Nie należy zapominać jeszcze o jednéj okoliczności, w tym razie może najważniejszéj. Włościanin, potrzebujący pieniędzy nie na dokupno ziemi, lecz na podtrzymanie gospodarstwa posiadanego, gdyby miał paręset rubli na załatwienie formalności, poprzedzających uzyskanie pomocy z funduszów Towarzystwa Kredytowego, to-by wcale pożyczki zaciągać nie potrzebował. W chacie chłopskiéj wtedy dopiero powstaje myśl o ratunku, gdy z woreczka lub ze skrzyni wyszły do reszty wszystkie papierki i miedziaki. Niéma ani czasu, ani środków na zwrócenie się do Towarzystwa. Trzeba było-by chyba wprzód dostać paręset rubli u lichwiarza na pomiary i starania, a znowu po otrzymaniu tych paruset rubli znikła-by potrzeba nowéj pożyczki. Wstępne koszta *w skutkach* swoich nietylko znaczą tyle, co opłacenie wysokiego procentu, ale także procentu, pobieranego przed wypłaceniem kapitału, kiedy dłużnik nie ma grosza przy duszy.

Widzimy więc, że organizacya kredytu w Towarzystwie nie była i nie jest bynajmniéj przystosowaną do potrzeb własności drobnéj, to téż tu włościanin w razie potrzeby ratunku nie znajdzie. Innéj zaś instytucyi, jak wiemy, tymczasem niéma.

Zwyczajni posiadacze drobnych kapitalików, którzy-by zadawalniali się procentem nizkim lub średnim i krzywdy dłużników nie pragnęli, na hypotekę własności chłopskiéj pożyczać nie mogą, bo nie posiadają prawa nabycia ziemi, nadanéj Ukazem, a więc nie posiadają wszystkich środków odebrania swéj sumy. Zresztą wogóle hypoteka własności drobnéj nie jest lokacyą pożądaną, bo proces subhastacyjny kosztuje drogo; gdy więc chodzi o sumkę drobną, nie opłaca się ani nakład, ani kłopoty. Pozostaje zatém tylko kredyt osobisty, w tym razie najbardziéj kosztowny, najniebezpieczniejszy, otwierający szeroko wrota wyzyskowi.

II.

Jeden rąbek tajemnicy kredytu włościańskiego odsłonił nam p. Makiejew, dawniéj urzędnik do spraw włościańskich, a obecnie naczelnik kancelaryi gubernatora. Rozpytywał on chłopów w gub. Radomskiéj o ilość i pochodzenie długów, rezultat zaś tego dochodzenia opublikował w dziele (po rusku): „Kredyt włościański, odłużenie prywatne i gminne, kasy zaliczkowo-wkładowe. (Radom 1889 r.). Możemy się stamtąd dowiedzieć nieco, jak na tle, wyżéj skreślonem, układają się faktyczne stosunki.

Autor zwraca uwagę, że chociaż badania jego dotyczą tylko gubernii Radomskiéj, to jednak nadać im można znaczenie ogólniejsze, gdyż prawdopodobnie wszystkie dziesięć guberni nie wiele się pod tym względem od siebie różnią.

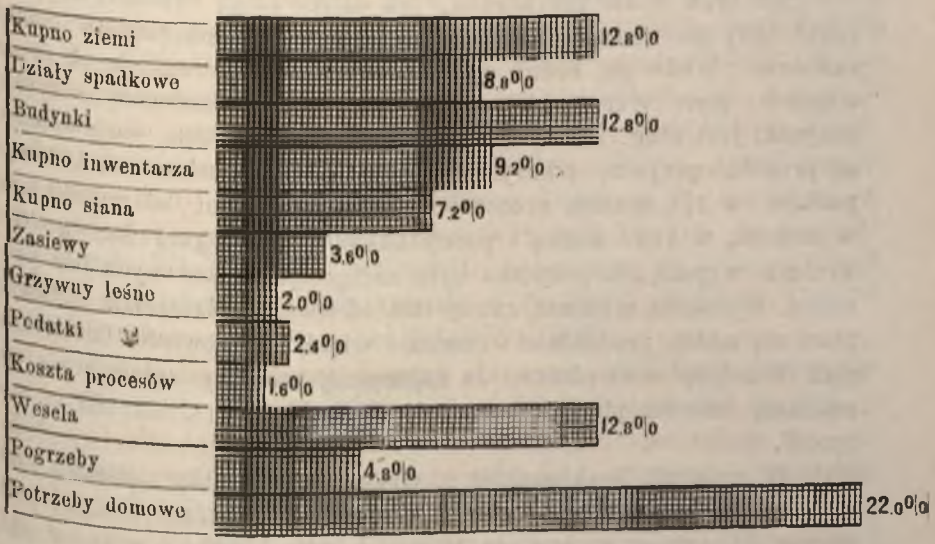
P. Makiejew rozpytywał 543 gospodarzy, z nich 250 t. j. 46%, miało długi prywatne. Dłużnicy ci posiadali 2153 morgi gruntu, należność zaś wynosiła 19,286 rs. i 67 kop. A więc jeden gospodarz zadłużony miał przeciętnie 8 mórg 183 pręty ziemi, winien zaś był 77 rs. i 14 kop. Na morgę więc wypadło blizko 9 rs. długu.

Co się zaś tyczy źródła pożyczki, to z 250-ciu gospodarzy 3-ch zaciągnęło ją u obywateli ziemskich, 41—u żydów, 185—u zamożnych włościan, 9—u włościan i u żydów, 10—u innych różnych osób, w 2 zaś wypadkach wierzycielami byli jednocześnie brat dłużnika i żyd.

Powody zrobienia owych 250 długów były następujące: 32 długi zaciągnięto na kupno ziemi, 22—na spłatę współsukcesorów, 32—na reperacyę i postawienie budynków, 23—na kupno bydła, 32—na sprawienie wesela, 12—na sprawienie pogrzebu, 18—na kupno siana i innych produktów, 9—na zasiew, 5—na uiszczenie kary leśnéj, 6—na zapłacenie podatków, 4—na koszta procesów i 55—na różne domowe potrzeby.

Liczby te są charakterystyczne i wymowne, stosunek ich odbija stosunek różnych potrzeb naszego włościanina. Porównamy je w sposób graficzny. Paski figury i stojące przy nich liczby oznaczają, jaką rolę w ogólnéj sumie długów odgrywają pożyczki, zaciągnięte wskutek każdéj z pojedyńczych przyczyn. Całą więc liczbę należności (250) przyjmiemy za 100 i oznaczymy, jaka cyfra przypadnie w takim razie na pozycye poszczególne.

Z ogólnéj ilości długów przypada na:



„Tym sposobem—mówi p. Makiejew—nieco więcéj niż $^1/_5$ część pożyczek powstała z przyczyny ziemi, t. j. poszła na jéj kupno lub na spłatę działek współsukcesorów, jeżeli scheda nie mogła być podzieloną w naturze i przeszła do rąk jednego tylko właściciela (prawo nie pozwala na podział gruntów chłopskich niżéj 6-ciu mórg)."

Wogóle cyfry przytoczone dowodzą, że większą część pożyczek użyto na cele produkcyjne.

Jak ciężko bywa nieraz w sferze drobnéj posiadłości o kredyt i jak drogo zań płacić trzeba, dowodzi fakt, przytoczony przez p. Makiejewa: włościanie zaciągnęli pożyczkę u inżyniera w sumie 140 rs. na 33%. Spłacali go w ciągu lat 12-tu i nietylko nie spłacili, lecz przeciwnie dług urósł do 400 rs. Samych procentów w ciągu tych lat 12-tu pan inżynier otrzymał 1500 rs.

Pomimo smutnego brzmienia ostatniego przykładu, badania p. Makiejewa bardzo opłakanych stosunków u nas nie wykryły. Ogromną większość wierzycieli stanowią ludzie, do których można mieć całkowite zaufanie. Jest to wypadek bardzo szczęśliwy, ale jednocześnie i bardzo nadzwyczajny. Rachować, że zawsze tak będzie, wobec tego, cośmy wyżéj powiedzieli, w żaden sposób nie można i nie należy. Wykreślenie kwestyi kredytu włościańskiego z liczby spraw, na porządku dziennym będących, stanowiło-by wielką lekkomyślność i grzech społeczny.

III.

Nie brak wcale przykładów, jak dalece mogą zawikłać się stosunki, gdy nie zostały zawczasu obmyślane i przedsięwzięte środki zaradcze. Wedle np. badań statystycznych, przeprowadzonych przez ziemstwo gub. Woroneskiéj, najbardziéj rozpowszechnionym typem pożyczki jest dług, zabezpieczony na nieruchomościach, we zwyczaju są przytém grzywny i kary. W powiecie Ostrogoskim na 400 wypadków w 174 dłużnik procenty uiszczał odrobkami lub produktami w naturze, w 119—wódką i poczęstunkami, w 59 - gotówką, w 48-u wreszcie wypadkach pożyczka była zaciągnięta u krewnych bez procentu. Wysokość procentu zależy tam od sposobu uiszczania; gotówką płaci się mniéj, produktami – znacznie więcéj. W powiecie Orłowskim gub. Wiackiéj stwierdzono, że najczęściéj procenty spłacają się odrobkami, których pieniężna wartość sięga 20—30 rs. za 100 rs. pożyczki.

W gubernii Moskiewskiéj p. Orłow, z polecenia ziemstwa, poczynił z ksiąg gminnych wyciągi „umów i kontraktów.“ Na téj podstawie obliczył on, że w ciągu 10 lat od 1866 do 1876 r. w 14-tu gminach powiatu Moskiewskiego spłacono pożyczek 174,440 rs. Suma ta wszakże jest bezwątpienia daleko niższą od rzeczywistéj, ponieważ nie wszystkie umowy pożyczkowe wpisywane są do ksiąg gminnych. Przeciętnie stopa procentowa w powiecie Moskiewskim wynosi 35½ za 100; zdarzają się rzadkie wypadki pożyczek 10%, ale téż natrafić można i na 105%. Nadto opłaty stemplowe i poczęstunek wynoszą jeszcze 5%. Niezmiernie charakterystyczną jest następująca uwaga Orłowa: „w ostateczności włościanie, według ich własnych zapewnień, gotowi są płacić nawet 100% miesięcznie.“

Tenże badacz przytacza kilka przykładów wsi, zrujnowanych jedynie przez długi. Korzystając z niepiśmienności włościan, lichwiarze zawierają z nimi układy, pociągające za sobą długoletnią niewolę ekonomiczną („kabała“) ostatnich. Pewien tak zwany „kułak“ (lichwiarz-chłop), pobierający 50%, oznacza z rozmysłem terminy zwrotu na taki czas, kiedy włościanin nie może mieć gotówki; skutkiem tego następuje albo przymusowa sprzedaż bydła, albo wystawienie nowego dokumentu z doliczeniem kar za niedotrzymanie umowy. Zdarza się, że lichwiarzem jest sołtys, który do egzekucyi podatku rozmyślnie wybiera porę powszechnego braku gotówki. Zalegający włościanie ratują się w ten sposób, że zaciągają pożyczkę u własnego sołtysa na warunkach, jakie im sam podyktuje.

Włościanie wsi Borysowa, poniósłszy w r. 1871 straty od gradobicia, pożyczyli 2,800 rs. na 20%, zapłacili wierzycielowi 4,400 rs. i w roku 1876 byli mu jeszcze winni 2,600 rs.

P. Orłow obrachował, że w jednéj gminie z 61 zrujnowanych gospodarstw 16% upadek swój zawdzięczało pożyczkom. Najciekawszą jest ta okoliczność, że główną przyczyną odłużenia włościan są pożyczki gminne (zaciągnięte na zapłacenie podatków, lub z powodu klęsk), należności prywatne zajmują zaledwie drugie miejsce. Mianowicie według p. Orłowa z sumy 174,440 rs. długów, zaciągniętych od 1866—76 r. i wpisanych do gminnéj księgi umów, przeszło 72% przypada na pożyczki gminne i nieco więcéj niż 27% na pożyczki prywatne. Większa część należności była użyta na kupno nasienia (44.6%) i na uiszczenie podatków (do 33%), reszta poszła na wynajem gruntów (około 2½%) i na inne potrzeby (19½%).

Podług danych statystycznych ziemstwa, włościanie w pow. Samarskim płacili (1879—1882 r.) wierzycielom prywatnym do 40%, a pomimo to nie zawsze mogli dostać pieniędzy. Dodać należy, że—podług tegoż źródła — zaciągane pożyczki nie są bynajmniéj trwonione, owszem większa ich część idzie na cele produkcyjne; oczywiście jednak żadne ulepszenie gospodarstwa nie jest w stanie zrównoważyć tak wysokiego procentu.

Opisy statystyczne gub. Kurskiéj obfitują w niemniéj charakterystyczne fakty. W pewnéj wsi w pow. Nowooskolskim gmina pożycza pieniędzy od kupca i płaci mu 60% rocznie; w innéj gminie włościanie zaciągają pożyczki u skopców (sekta religijna) na 10% miesięcznie lub za odpowiedni odrobek; zdarza się także, że gmina sama pożycza po 200 lub 300 rubli do jesieni i płaci po 3% miesięcznie. W ogóle w powiecie Oskolskim weszły w zwyczaj pożyczki gminne, zaciągane na opłatę podatków za pierwsze półrocze, gdyż wtedy włościanie nie mają pieniędzy. Bankierami są zamożniejsi włościanie, kupcy, duchowieństwo; stopa procentowa waha się między 36 a 72% rocznie. W jednéj gminie zaledwie 10-ty gospodarz wolny jest od długów prywatnych. Niejednemu zaś sprzedano już bydło. Początek odłużenia sięga zwykle roku nieurodzajnego.

Sprawozdanie biura statystycznego w Obojani konstatuje, że w 24 wypadkach zarejestrowanych pożyczek gminy płacą 60%, w ogóle wszakże stopa procentowa wynosi 40 do 160%. Według obrachowań statystyki twerskiéj, włościanie tamtejsi potrzebują miliona rubli na opłatę podatków, z tego 750 tysięcy zmuszeni są pożyczać od osób prywatnych. Statystyka ziemstwa gub. Ekaterynosławskiéj wspomina o pożyczkach, zaciąganych na wysoki procent w celu uiszczenia

tenuty dzierżawnéj i nabycia sprzężaju. Podług informacyi saratowskiego biura statystycznego, włościanie w tamtejszym powiecie winni są osobom prywatnym 86 tysięcy rubli, co wynosi przeciętnie 58 rubli na głowę. Pożyczki gminne stanowią 9.3% ogólnéj sumy długów; stopa procentowa w pow. Saratowskim wynosi średnio 34%, w pow. Carycyńskim — 22%. Wogóle tam, gdzie istnieją kasy gminne lub banki wiejskie, kredyt prywatny jest tańszy, odsetki nie przenoszą 18%, tam zaś, gdzie niéma ani kas, ani stowarzyszeń, lichwiarze biorą przeciętnie 26% rocznie.

Słowem z liczb, zebranych przez statystykę ziemską, wynika, że kredyt prywatny w Wielkorosyi wypada włościanom po 40 do 60 rubli od 100 rocznie i to od pożyczek, zaciąganych przez gminy; gospodarze zaś pojedyńczy płacą drożéj, nieraz nawet po 150 od 100 rs. W obec trudności dostania pieniędzy na jakichkolwiek warunkach, włościanie muszą się uciekać do najbardziéj rujnujących sposobów, byle tylko zdobyć potrzebną kwotę: wynajmują się na odrobki w lecie, sprzedają zboże, chociaż-by im samym było ono potrzebne do wyżywienia rodziny i na zasiew, nie czekają przytém jakiéjś stosownéj chwili, lecz byle się żniwa skończyły, szukają kupca, naturalnie więc otrzymują ceny jaknajniekorzystniejsze. Taki początek musi mieć ciąg dalszy, długu coraz przyrasta, za nędzą idzie niewola. Dosyć powiedzieć, że odrobki letnie, zamawiane i zapłacone z zimie, są dwa albo i trzy razy tańsze, niż płaca dzienna robotnika w lecie. Z tego korzysta „kułak“ i otrzymuje od 100—300%.

W gub. Wielkorossyjskich „kułak“ mocno wierzy w swoje „prawo“, nie przypuszcza nawet, aby ktokolwiek mógł mieć pretensyę do ograniczenia jego praktyki. Istnieje poprostu jawny handel pracą ludzką.

„Lichwiarze jeżdżą po wsiach, dostarczają włościanom pieniędzy, którzy w zamian zobowiązują się do odrobku w ciągu takiéj a takiéj liczby dni. Ale lichwiarz sam dla siebie pracy chłopskiéj nie potrzebuje. On ją nabył na spekulacyę i odprzedaje osobie trzeciéj za cenę dwa, trzy razy wyższą. Praktyka podobna rozpowszechniona jest zarówno na północy, jak i na południu. W zimie, kiedy włościanom biedniejszym grozi egzekucya za nieuiszczone podatki (gub. Ołonieckа), kiedy jeść niéma co, dziesiętnik (tak się tutaj nazywa handlarz ludźmi) skupuje za bezcen pracę ludzką na lato, zaliczając po 15 do 30 rub. na głowę. Na wiosnę owi dziesiętnicy pędzą całe „artele“ robotników do wyrąbywania lasów, do holowania statków i na fabryki. Oczywiście, stawszy się w ten sposób niejako monopolistami siły roboczéj, mogą do pewnego stopnia warunki swe narzucać na-

wet i wielkim przemysłowcom; słowem lichwiarz tam ściąga podatek i z kapitału, i z pracy.

Fakty przytoczne wymownie świadczą, jak nagłą jest potrzeba w całém państwie, nawet tam, gdzie warunki rolnictwa są pomyślniejsze, instytucyi kredytowych, i jak wielkie zadanie mają one do spełnienia. Gdzieindziéj poziom stosunków społecznych nie pozwoli dojść wyzyskowi tak daleko, ale pole dla praktyk ma i będzie miał otwarte, dopóki naistotniejsze potrzeby najważniejszéj gałęzi gospodarstwa krajowego nie będą zaspokojone w sposób racyonalny.

IV.

Przedstawiliśmy wyżéj opłakane skutki nieopatrzności, teraz wypada nam poznać środki zaradcze. Przyjrzyjmy się więc, jakie wały ochronne bronią gdzieindziéj drobną własność rolną od bezlitośnéj chciwości wyzysku lichwiarskiego.

Pomijając znane urządzenie kas pożyczkowych i pożyczkowo-wkładowych najrozmaitszych typów, zwróćmy tylko uwagę na usiłowania, zrobione w czasach ostatnich, celem zadosyć uczynienia potrzebom kredytu krótkoterminowego w Belgii i w państwach innych, gdzie, pomimo stosunkowo większego dobrobytu ludności rolniczéj, okazała się potrzeba takiéj pomocy.

W Belgii mianowicie wydano w tym celu w r. 1884 specyalną ustawę, na mocy któréj operacye kredytu rolnego powierzone zostały centralnéj kasie oszczędności, rozporządzającéj, jak wiadomo, ogromnemi kapitałami i posiadającéj bardzo rozgałęzioną organizacyę w całym kraju.

Prawo z 15 Kwietnia 1884 r. miało głównie na celu wytworzyć przywiléj dla osób i instytucyi, udzielających pożyczki pod zastaw ruchomości, godząc zabezpieczenie nowego kredytu z prawami dawniejszych wierzycieli hypotecznych i z prawami właściciela majątku, w razie jeżeli z pożyczki korzystał dzierżawca.

Prawo z dnia 15 Kwietnia rozwiązało tę kwestyę w sposób następujący:

Za główną gwarancyę pożyczki uznano *„przywilej rolny“*, czyli tak zwane prawo pierwszeństwa wierzyciela do ruchomości dłużnika, do zasiewów, do owoców niezebranych z drzew; przedmioty jednakże, obciążone tym przywilejem, winny być wyliczone szczegółowo wraz z wymienieniem rodzaju, przeznaczenia i wartości. Ażeby nabyć pra-

wo korzystania z tego pierwszeństwa, wierzyciel winien publicznie o tém ogłosić, przez wniesienie odpowiedniego ostrzeżenia do specyalnego rejestru, znajdującego się u sekretarza hypotecznego (receveur de l'enregistrement). Zastrzeżenie to nadaje mu prawo pierwszeństwa wobec wierzycieli zwyczajnych i prawo następstwa wobec wierzycieli hypotecznych, oraz *właściciela*.

Prawo pierwszeństwa egzekucyi swéj należności właściciel posiada nie dłużéj nad lat 3 po ukończeniu dzierżawy. Prawa zaś właściciela do odszkodowań za straty, wynikłe z niespełnienia zobowiązań dzierżawnych, co do restauracyi zabudowań i uprawy ziemi, mają w każdym razie pierwszeństwo przed wierzycielami uprzywilejowanymi. Wierzyciele hypoteczni, zapisani w rejestrze przed zastrzeżeniem przywileju, mają pierwszeństwo wobec wierzyciela uprzywilejowanego, ten zaś z kolei wobec wierzycieli hypotecznych, po nim zapisanych. Przy tém prawo za ogólną regułę podaje, że udzielający pożyczkę korzysta z praw tych wierzycieli, na zaspokojenie których użytą została suma przezeń udzielona, wskutek czego wierzyciel uprzywilejowany posiadać może więcéj praw na dochodzenie swéj należności, niżeli sam właściciel. Dlatego jednakże koniecznem jest, ażeby przeznaczenie pożyczki wymienione było w akcie pożyczkowym, a zgodne z tém użycie dowiedzioném przez odpowiednie pokwitowanie.

Postępowanie przy wpisywaniu wniosku jest następujące: zastrzeżenie robić należy w kancelaryi hypotecznéj okręgu, w rejestrze urzędowym, sznurowym, kontrasygnowanym przez sędziego pokoju. Akt pożyczki, lub otwarcia kredytu, po wypełnieniu wszystkich formalności i zarejestrowaniu, przedstawiony zostaje sekretarzowi hypotecznemu, który dosłownie wpisuje go do przygotowanego w tym celu rejestru, a na akcie poświadcza, iż zastrzeżenie zostało zrobione, oraz oznacza datę, tom księgi i numer. Zastrzeżenie takie zapewnia przywiléj na lat dziesięć od daty spisania aktu i traci siłę, jeżeli po upływie tego terminu nie zostanie wznowione. Przywilej zabezpiecza całą sumę, w akcie oznaczoną, chociażby była ona spłaconą częściowo, a więc tém samém nadaje pierwszeństwo od daty zastrzeżenia i niezależnie od następnych terminów wypłaty. Suma, zapewniona przez przywilej, może być cedowana osobie trzeciéj, co się znowu dopełnia przez zastrzeżenie takie, jak poprzednio, zaś sekretarz hypoteczny notuje fakt cesyi na dawnym akcie. Zastrzeżenia mogą być unieważnione za zgodą stron interesowanych lub osób upoważnionych, albo téż na mocy postanowienia sądowego, zapadłego w ostatniéj instancyi, ewentualnie po uzyskaniu przez wyrok siły prawnéj.

Godnym jest uwagi sposób rozwiązania kwestyi krótko-terminowego kredytu rolnego w Portugalii.

Fundusze, nagromadzone od wieków w towarzystwach dobroczynności, rząd polecił użyć na uorganizowanie banków, a do współudziału powołał akcyonaryuszów prywatnych.

Celem zapezpieczenia pożyczek, udzielanych na zastaw ruchomości, a zarazem celem ułatwienia włościaninowi możności korzystania z kapitału obrotowego, zawartego w zastawie, wydane zostały bardzo szczegółowe przepisy co do zawierania umów, wypłacania pieniędzy, a wreszcie egzekucyi. Możliwe nadużycia prawo powściąga groźbą surowych kar.

Rolę zastawu odgrywać dozwolono wszystkim przedmiotom, które stanowią niezaprzeczoną własność rolnika, i mogą być sprzedane niezależnie od posiadłości ziemskiéj, więc wszelkie ruchomości, narzędzia rolnicze, bydło i procentowe papiery państwowe.

Pożyczka udzieloną też być może nie tylko na przedmiot, będący własnością zaciągającego dług, lecz także na ruchomość należącą do sąsiada, jeżeli ten na takie rzeczowe pożyczanie się zgadza. W razie, gdy zastawiony przedmiot ma bezpośrednią styczność z zawodem dłużnika, to bank ma prawo go pozostawić we władaniu właściciela.

Wysokość pożyczki nie powinna przekraczać połowy wartości bydła i $^1/_3$ części szacunku ruchomości innych. Można też zabezpieczyć pożyczkę przez zastawienie pewnego rodzaju majętności, do czego potrzebne jest określenie jéj dochodu. W takich razach wydanie pożyczki poprzedza okazanie świadectwa, że majątek należy istotnie do pożyczającego i nie jest zasekwestrowany. Dłużnicy obowiązani są otrzymane z banku pożyczki również przedstawiać do zarejestrowania. Bank udzielać może pożyczkę tylko osobom, zamieszkałym w tym samym okręgu i posiadającym majątek dostateczny do zabezpieczenia długu. Banki mają prawo wypuszczać obligacye z oznaczonym procentem i terminem umorzenia, odpowiadające ogólnéj sumie udzielonych pożyczek. Emissye podobne mogą miéć miejsce tylko w następujących warunkach: wartość ogólna papierów nie powinna przenosić sumy pożyczek; procent od kuponów nie powinien być niższy od procentu, pobieranego przez bank od pożyczających; termin umorzenia nie ma prawa być dłuższy nad lat 5.

Pożyczka na lasy, winnice i inne plantacye nie może przewyższać $^1/_3$ części ich wartości; dłużnik nie jest obowiązany wypłacać więcéj nad 25% wartości swego plonu w danym roku.

Przeprowadzenie egzekucyi wymaga zachowania następujących przepisów:

Jeżeli przedmiot zastawiony znajduje się na przechowaniu w banku, dłużnik obowiązany jest zapłacić dług w przeciągu dni 10-ciu po wyjściu terminu, w razie przeciwnym zastaw ulega sprzedaży.

Jeżeli przedmiot znajduje się u dłużnika, lub też jeżeli ten posiada dochody, któremi mógłby pokryć pożyczkę, to w razie nieuiszczenia długu w ciągu ośmiu dni po upływie terminu, przedmiot ów wystawiony jest na licytacyę.

Za odmowę oddania zastawu grozi wieża w stosunku jednego dnia za 1,000 rejsów[1]).

W razie malwersacyi dłużnik pociągnięty być może do odpowiedzialności karnéj. Bank ma też prawo sekwestrować majątek dłużnika bez zachowania formalności sądowych przedwstępnego powództwa. Dłużnik nie może kwestyonować wniesionego przeciwko niemu przez bank powództwa, aż do zabezpieczenia długu przez złożenie odpowiedniéj kaucyi, lub przedstawienia nowego zastawu albo innych gwarancyi, prawem dozwolonych.

Pożyczki banku korzystają ze wszystkich ulg, nadanych przez prawo hypoteczne i ogólny kodeks handlowy zaliczkom na ruchomości i nieruchomości. Stosuje się to również i do wypadku, kiedy rzecz zastawiona pozostaje w ręku właściciela. Działalność banków nie ogranicza się wyłącznie do roli lombardów, są one prócz tego kasami zaliczkowo-wkładowemi i mają ustawę wspólną ze wszystkiemi instytucyami tego rodzaju. Zarząd banków, które, jakeśmy widzieli, powstały z kapitałów w części dobroczynnych, w części prywatnych, składa się z trzech członków; jeden lub dwu reprezentują towarzystwo dobroczynne, a pozostali lub pozostały—akcyonaryuszów, zależy to od wysokości dostarczonych kapitałów.

Nie można też pominąć rumuńskich instytucyi kredytowych, ze względu na prostotę ich organizacyi.

W każdém mieście powiatowém istnieje kasa kredytu rolnego z prawem mianowania agentów w granicach tego powiatu. Wysokość kapitału akcyjnego w jednéj kasie sięga od 100 do 300 tysięcy franków. Nabywać akcye imienne mogą tylko obywatele państwa, posiadający własność ziemską.

---

[1]) 1,000 rejsów = 5 fr. 55 cent.

Zanim akcyonaryusze wniosą cały kapitał, rząd udziela bez procentu $^2/_3$ części potrzebnéj sumy, miejscowa zaś instytucya ziemska pozostałą $^1/_3$. Termin pożyczki nie może być dłuższy nad 9 miesięcy; dla zyskania zaś jéj potrzebne jest solidarne poręczenie dwóch odpowiedzialnych właścicieli. Po spisaniu odpowiedniego aktu, zastaw powierzony zostaje dłużnikowi pod rygorem odpowiedzialności karnéj, w razie jego roztrwonienia.

W razie uchybienia terminu, zastaw ulega sprzedaży bez zachowania formalności sądowych.

Pożyczki kasy mają w razie egzekucyi pierszeństwo przed długami prywatnemi.

Działalność kasy jest uznaną za operacyę handlową, a więc w razie kwestyi spornych sprawa idzie do sądu handlowego. Egzekucya odbywa się na zasadzie prawa, przysługującego należnościom skarbowym.

Kasa wolną jest od opłaty podatku stemplowego w przeciągu 5 lat od daty założenia. Dłużnik, który-by rozmyślnie uszkodził przedmiot zastawiony, ulega karze, przewidzianéj w paragrafie o nadużyciu zaufania.

Zabezpieczenie pożyczek kasy rolnéj korzysta z pierwszeństwa przed innemi wierzytelnościami z wyjątkiem kosztów sądowych. Wszyscy urzędnicy kasy odpowiedzialni są w tym samym stopniu i podlegają tym samym karom, co wogóle depozytaryusze pieniędzy publicznych.

Zarząd pozostaje w rękach dyrektora płatnego, wybiera go zaś ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów.

WARUNKI PODAŻY I POPYTU NA ZIEMIĘ.

Wiemy, że duża ilość ziemi wśród posiadłości wielkich, średnich i małych, doszła do takiego stopnia odłużenia, iż prędzéj czy późniéj, w ten lub inny sposób będzie musiała szukać nabywców.

W tabliczce następującéj podajemy rozgrupowanie dóbr, danemi naszemi objętych, wedle ich rozmiarów i wedle stopnia odłużenia:

Kategorye majątków.		w stanie pomyślnym	wątpliwym	krytycznym	więcéj niż krytycznym	przestrzeń pozostała [1]	Ogółem
		mórg w tysiącach					
do 60 mórg	chrześc.	16.6	1.2	0.3	0.5	8.7	27.3
	żydow.	*0.76*	*0.04*	*0.03*	*0.07*	*1.4*	*2.3*
	razem	17.4	1.2	0.3	0.6	10.1	29.6
od 60—600 m.	chrześc.	399.2	125.5	43.9	67.4	75.4	711.4
	żydow.	*31.7*	*7.8*	*1.0*	*6.1*	*12.7*	*59.3*
	razem	430.9	133.3	44.9	73.5	88.1	770.7
od 600—1,500 m.	chrześc.	577.3	251.5	62.0	108.1	24.3	1023.2
	żydow.	*36.8*	*16.0*	*1.6*	*11.3*	*10.3*	*76.0*
	razem	614.1	267.5	63.6	119.4	34.6	1099.2
od 1,500—3,000 m.	chrześc.	340.3	178.4	66.6	85.8	15.9	687.0
	żydow.	*23.0*	*12.7*	—	*5.6*	*6.3*	*47.6*
	razem	363.3	191.1	66.6	91.4	22.2	734.6
wyżéj 3,000 m.	chrześc.	321.0	90.2	72.7	68.9	48.9	601.7
	żydow.	*19.1*	*19.2*	*3.3*	*3.9*	*5.1*	*50.6*
	razem	340.1	109.4	76.0	72.8	54.0	652.3
Ogółem . .	chrześc.	1654.4	646.8	245.5	330.7	173.2	3050.6
	żydow.	*111.4*	*55.7*	*5.9*	*27.0*	*35.8*	*235.8*
	razem	1765.8	702.5	251.4	357.7	209.0	3286.4

[1]) Tworzą ją dobra, nieobciążone długiem Towarzystwa Kredytowego, przyjętego przez nas za miarę odłużenia; dobra te wskutek tego do obrachunku wejść nie mogły.

Te same ilości, zestawione w procentowym stosunku, tworzą tabliczkę następującą:

Kategorye majątków.		w stanie pomyślnym	wątpliwym	krytycznym	więcéj niż krytycznym	przestrzeń pozostała
		% stosunek				
do 60 mórg	chrześc.	60.8	4.4	1.1	1.8	31.9
	żydow.	*32.5*	*1.9*	*1.4*	*3.0*	*61.2*
	razem	58.8	4.4	1.0	2.0	33.8
od 60—600 m.	chrześc.	56.2	17.6	6.2	9.4	10.6
	żydow.	*53.5*	*13.1*	*1.7*	*10.3*	*21.4*
	razem	55.9	17.3	5.8	9.5	11.5
od 600—1,500 m.	chrześc.	56.4	24.6	6.0	10.6	2.4
	żydow.	*48.4*	*21.1*	*2.1*	*14.8*	*13.6*
	razem	55.9	24.3	5.8	10.9	3.1
od 1,500 do 3,000	chrześc.	49.5	26.0	9.7	12.5	2.3
	żydow.	*48.3*	*26.7*	—	*11.8*	*13.2*
	razem	49.5	26.0	9.1	12.4	3.0
wyżéj 3,000 m.	chrześc.	53.3	15.0	12.1	11.4	8.2
	żydow.	*37.7*	*37.9*	*6.5*	*7.8*	*10.1*
	razem	52.1	16.8	11.7	11.2	8.2
Ogółem . .	chrześc	54.2	21.2	8.1	10.8	5.7
	żydow.	*47.2*	*23.7*	*2.5*	*11.5*	*15.1*
	razem	53.7	21.4	7.6	10.9	6.4

Przyjmując, iż takież same stosunki zachodzą w reszcie powiatów Królestwa Polskiego, otrzymamy następującą ilość mórg w każdym stopniu odłużenia wedle grup, przez nas przyjętych (naturalnie w bardzo odległém przybliżeniu):

	Ilość mórg w tysiącach					
	w stanie pomyślnym	w wątpliwym	w krytycznym	w więcéj niż krytycznym	pozostała	Ogółem
do 60 mórg . . .	392.9	29.4	6.7	13.4	225.9	668.3
od 60—600 mórg .	860.7	266.4	89.3	146.3	177.1	1539.8
od 600—1,500 mórg }	2374.6	1113.8	316.3	512.3	138.2	4455.2
od 1,500—3,000 „ }						
wyżéj 3,000 „	1709.2	551.1	383.8	367.4	269.0	3280.5
razem . .	5337.4	1960.7	796.1	1039.4	810.2	9943.8 [1]

Za rzecz całkiem pewną uważać można, że obszary, wykazane w kolumnie 3-éj i 4-éj, będą musiały przymusowo lub dobrowolnie zmienić właścicieli — tworzy to blisko 2 miliony mórg. Obawiać się także należy, że je powiększy część ziemi, obrachowanéj w kolumnie drugiéj.

Z drugiéj strony, każdy, kto miał cierpliwość przejrzéć długie szeregi i kolumny cyfr naszych (niestety, wyminąć ich było niepodobna), niewątpliwie ujrzał dosyć wyraźnie, iż przy warunkach istniejących posiadacze dzisiejsi nie będą mogli dostarczyć znacznéj, a tém bardziéj dostatecznéj liczby nabywców; popyt ze strony własności drobnéj — jak widzieliśmy — w latach ostatnich osłabł. Występuje więc pytanie bardzo ważne: czy się inni nabywcy znajdą i kto oni będą?

Ażeby na pytanie to, o ile się da, odpowiedzieć, przystępujemy do zbadania warunków podaży i popytu w kraju naszym w chwili dzisiejszéj.

---

[1]) W pierwszym artykule podaliśmy ogólną liczbę mórg własności niewłościańskiéj inną nieco (10,717 tys.). Pochodzi to stąd, że liczby ta i tamta wzięte są ze źródeł różnych. Ta ze statystyki 1878 r., tamta z obliczeń podatkowych. Niewiedząc, która się bardziéj do rzeczywistości zbliża, podajemy obie. Tamta świeższa, ale w danym wypadku korzystać z niéj nie mogliśmy, gdyż nie wiemy, jak się rozpada na grupy przez nas przyjęte.

I.

Cena, a nawet częstokroć sama możność sprzedaży, gdy chodzi o ziemię, jest tak, jak w każdym innym wypadku, zależną od stosunku podaży do popytu. Wypada nam zatém poznać czynniki, które w danym razie oddziałają na gorszy lub lepszy stan rzeczy.

Przepisy, obostrzające ograniczenia osób pochodzenia polskiego w prowincyach południowo i północno-zachodnich pod względem dziedziczenia, nabywania, oraz dzierżawienia ziemi, mogą wpłynąć na powiększenie popytu w Królestwie. Przepisy te poruszają z miejsca pewną ilość ludzi, którzy chcą, mogą i umieją poświęcić się rolnictwu. Przez cały ciąg lat jednak, poczynając od wydania pierwszych ograniczeń aż do dni naszych, napływ nabywców na ziemię z gubernii zachodnich do Królestwa nie był tak znaczny, jak-by można było przypuszczać.

II.

Zwrócimy teraz uwagę na czynnik nowy wpływający na prawo z roku 1887, zabraniające cudzoziemcom nabywać ziemię w Królestwie Polskiém i przekazywać ją spadkobiercom. Prawo to jednocześnie powiększa podaż i zmniejsza popyt: przybędzie sprzedawców, a zniknie część nabywców dotychczasowych. Nie mamy tu już do czynienia z przypuszczeniami; tu jest zupełna pewność: skutki przyjść muszą i niéma najmniejszéj wątpliwości, że będą takie a nie inne. Pozostaje nam tylko poznać stan dzisiejszy, od którego wprost zależy rozmiar tych pewnych skutków.

Podług ostatniego obrachunku, Królestwo posiada cudzoziemców właścicieli ziemskich 32,342 [1]). Posiadłości ich składają się z 1,164 tys. mórg, tworzących własność większą, i z 537 tys. mórg, należących do kolonistów. Cała więc własność ziemska cudzoziemców wynos 1,701,000 mórg, do czego dołączyć jeszcze należy 9,285 mórg, znajdujących się pod fabrykami. Prócz tego są dzierżawcy w liczbie 249, gospodarujący na 199,000 mórg. Ziemia, uprawiana przez cudzoziemców, rozpada się w sposób następujący na gubernie:

[1]) W ogólnéj liczbie właścicieli i dzierżawców znajdujemy: 29,400 poddanych pruskich, 3,094—austryackich i 97 poddanych innych państw.

Gubernie	*Własność większa w tysiącach mórg*	% stosunek do ogółu właściciel większej	*Dzierżawa własności większej w tysiąc. mórg*	% stosunek do ogółu właściciel większej	*Kolonie w tysiącach mórg*	% stosunek do ogółu posiadłości włościańskiej	*Ziemia pod fabrykami w morgach*	Ogółem mórg
Kaliska	252	22.0%	15	1.3%	104	13.4%	602	372,498
Piotrkowska. . .	122	10.8	38	3.4	107	12.1	4832	271,609
Warszawska . .	133	9.3	20	1.4	73	7.9	1307	227,221
Kielecka.	204	20.4	14	1.4	6	0.9	150	224,211
Lubelska.	81	5.1	40	2.5	65	5.6	12	185,836
Płocka.	102	8.3	17	1.4	63	10.2	1910	183,490
Suwalska	43	5.3	42	5.2	56	4.5	77	141,134
Siedlecka	98	6.4	9	0.6	24	2.7	—	130,097
Radomska	100	10.0	3	0.3	22	2.6	204	125,264
Łomżyńska . . .	29	2.5	1	0.09	17	3.1	191	47,901
Razem. . .	1164	9.7%	199	1.6%	537	6.3%	9285	1.909.261

A więc w posiadaniu cudzoziemców najwięcéj ziemi pozostaje w guberniach: Kaliskiéj, Piotrkowskiéj, Warszawskiéj i Kieleckiéj. Liczby bliskie przeciętnéj wypadają dla gubernii: Lubelskiéj, Płockiéj, Suwalskiéj, Siedleckiéj i Radomskiéj. Najmniéj zaś jest w gub. Łomżyńskiéj [1]).

Cała większa własność ziemska, pozostająca w rękach cudzoziemców, tworzy 9.7% ogółu dóbr w Królestwie Polskiem. Własność zaś mała daje 6.3% ogółu posiadłości włościańskich. Razem majątki, do cudzoziemców należące, stanowią 8.3% (dwunastą część) obszaru całego kraju.

---

[1]) Koloniści cudzoziemcy osiedlają się w kraju naszym, albo w istniejących już osadach, t. j. wśród ludności miejscowéj, albo też tworzą oddzielne zupełnie wsie i kolonie. Poniższa tabliczka podaje ilość właścicieli, ilość ziemi i przeciętny obszar w obu wypadkach dla wszystkich gubernii Królestwa.

Porównywając liczby powyższe, dochodzimy do wniosku, że dobra większe łatwiéj przechodzą do rąk cudzoziemców, niż małe [1]).

Tym sposobem, oprócz majątków, znajdujących się w stanie krytycznym wskutek nadmiernego odłużenia, jeszcze 8.3% ogółu ziemi (16% obszaru własności niewłościańskiéj), nie dziś to jutro będzie musiało szukać nabywców. Wprawdzie część cudzoziemców-właścicieli przyjmie poddaństwo miejscowe, szczególniéj jeżeli ceny na dobra będą zbyt niskie, lecz w każdym razie będzie to tylko nieznaczny procent.

GUBERNIE	W koloniach, zamieszkałych przez samych cudzoziemców			W koloniach mięszanych		
	Liczba kolonistów	Ilość mórg	Na kolonistę mórg	Liczba kolonistów	Ilość mórg	Na kolonistę mórg
Warszawska	971	19,005	20	3,068	53,741	17
Kaliska	980	18,060	18	5,372	86,232	16
Kielecka	58	946	16	422	4,653	11
Suwalska	5	192	38	2,483	56,280	23
Siedlecka	788	13,834	17	541	9,633	18
Piotrkowska	1,664	27,585	17	4,828	79,502	16
Radomska	218	3,819	17	991	18,224	18
Lubelska	223	33,348	149	2,283	31,817	14
Płocka	940	22,390	24	2,431	40,883	17
Łomżyńska	179	6,372	35	495	10,836	22
Ogółem . . .	6,026	145,549	24	22,914	391,801	17

Najmniéj ziemi kolonizacya zagraniczna zajęła w gub. Kieleckiéj i Łomżyńskiéj. W ostatniéj co do rozwoju własności cudzoziemskiéj przeszkadza skład ludności. We wschodniéj części znajdujemy tam dużo posiadaczów drobnych, szlachty zagonowéj, w północno-zachodniéj cały szmat kraju zamieszkany jest przez względnie zamożnych kurpiów. Ani od pierwszych, ani od drugich, cudzoziemiec ziemi nie nabędzie, bo jéj nie mają na sprzedaż, przeciwnie sami chętnie, o ile nastręczy się spobność a zasoby pozwolą—kupują.

[1]) Następujące liczby cudzoziemców rolników znajdujemy w pojedyńczych guberniach:

III.

Inna też kategorya właścicieli oczekuje na wyrok podobny. Są to żydzi, którym projektowane ustawy odjąć mają prawo posiadania ziemi.

Obrachujmy i tu, ile mórg i dóbr pozostaje w stanie zagrożenia, oraz jaką część całego terytoryum rolnego zmiany prawodawcze z tego tytułu wystawić mogą na sprzedaż.

Do roku 1860 żydzi, z niewielkim wyjątkiem, nie mieli prawa posiadania ziemi w granicach Królestwa Polskiego. To też należało do nich tylko trzy dobra, liczące obszaru 3,500 mórg, oraz grunta, podpadające pod późniejsze ukazy o uwłaszczeniu włościan: w miasteczkach 3 tys. mórg, oraz po wsiach 44 tys. mórg. Dopiero Ukaz 24 Maja 1862 roku nadał żydom toż samo prawo, jakie posiadał ogół udności. Od tego czasu posiadłość żydowska, zarówno wśród własności większéj, jak i drobnéj, poczyna szybko wzrastać. W roku 1885 w rękach ich znajduje się już 500,530 mórg. Są to obszary dóbr wielkich, kolonie, oraz grunta, podpadające pod Ukazy z 19 Lutego 1864 roku i 28 Września 1866 r. o nadaniu ziemi stanowi włościańskiemu.

Kaliska.	6,649
(dzierżawców 26), poddanych pruskich 5501, austryackich 120.	
Piotrkowska	6,925
(dzierżawców 31) prawie wszyscy poddani pruscy.	
Warszawska	4,358
(dzierżawców 39), poddanych pruskich 3200, innych państw 1158.	
Kielecka	708
(dzierżawców 33), poddanych pruskich 300, austryackich 282.	
Lubelska	4,406
(dzierżawców 27), poddanych austryackich 2071.	
Płocka	3,580
(dzierżawców 34) sami pruscy.	
Suwalska	2,589
(dzierżawców 39) prawie sami pruscy.	
Siedlecka	1,367
(dzierżawców 8), poddanych pruskich 1328, austryackich około 60.	
Radomska.	1,282
(dzierżawców 9) prawie wszyscy poddani austryaccy.	
Łomżyńska	727
(dzierżawców 3) przeważnie poddani pruscy.	
Razem . . .	32,591

W téj liczbie 249 dzierżawców.

Poniżéj zamieszczona tabliczka zawiera szczegółowy wykaz każdego rodzaju posiadłości żydowskich we wszystkich guberniach Królestwa Polskiego:

Gubernie	Obszar własności większéj w morgach	Obszar kolonii i wógóle własności mniejszéj w morg.		Grunta, nadane przy uwłaszczeniu włościan.	
		po miastach	w osadach i po wsiach	po miastach	w osadach i po wsiach
Warszawska.	61,773	84	2,276	55	1,478
Kaliska.	48,673	142	861	359	1,992
Kielecka	47,127	342	2,771	23	3,516
Łomżyńska	18,791	114	2,048	173	4,303
Lubelska.	27,927	174	913	186	3,221
Piotrkowska.	58,739	291	2,050	8	3,799
Płocka	35,767	104	2,205	15	2,497
Radomska	26,155	—	2,117	184	3,601
Suwalska	51,011	274	5,041	1,830	17,308
Siedlecka.	46,895	25	1,567	168	2,557
Razem. . . .	422,858	1,550	28,849	3,001	44,272

Stosunek procentowy większéj własności żydowskiéj do ogółu takiéj własności w całém Królestwie wynosi 4%. Rolników żydów, uprawiających ziemię, którą im dało uwłaszczenie, Królestwo liczy 4,514 czyli na jednego przypada 10 mórg. Właścicieli zaś żydów mniejszych i większych, którzy sami nabyli grunta, znajduje się 2,642, przeciętnie więc na jednego przypada 171 mórg. Średnio w Królestwie włościanin posiadał w r. 1878 nieco więcéj niż 14 mórg, rolnik zaś niewłościanin — około 185 mórg. Widzimy więc, że przeciętnie własność żydowska w obu wypadkach jest nieco mniejszą, niż chrześciańska.

Zdarzają się miejscowości, a mianowicie dwie osady (Ryki i Komarówka w gub. Siedleckiéj), oraz 88 wsi, w których zamieszkują

wyłącznie żydzi. Prócz tego żydzi stanowią większość: w 149 osadach (na 109,251 chrześcian — 224,851 żydów) i w 131 wsiach (na 11,396 chrześcian—20,782 żydów). W mniejszości znajdują się żydzi w 204 osadach (na 335,007 chrześcian—116,663 żydów).

Obrachunek powyższy mówi nam, że projektowane ograniczenia praw żydów rzucić mogą na rynek pół miliona mórg obszaru. Nie należy zapominać o milionie siedmiukroć stutysiącach mórg w dobrach cudzoziemców i o milionach mórg majątków, które wskutek odłużenia nie mogą pozostawać w rękach posiadaczów dzisiejszych.

IV.

Pozostaje do rozpatrzenia punkt ostatni. Mianowicie: czy ze względów gospodarczych należy dopuszczać żydów do zarządu majątkami mniejszemi i większemi; czy potrafią i zechcą postępować oni tak, jak tego wymaga dobro gospodarstwa ogólno-krajowego i interes państwowy; czy też, odwrotnie, zaczną rabować i gwałcić racyonalne podstawy agronomii i administracyi, aby w krótkim czasie otrzymać wysokie zyski i następnie, obniżywszy wartość ziemi, odstąpić ją komu innemu?

Mniemania niekorzystne pod tym względem dla żydów są bardzo rozpowszechnione, bo mają za sobą pewne pozornie logiczne prawdopodobieństwo. Oczywiście jednak takiéj podstawie wnioskowania, gdy chodzi o rzeczy wielkiéj wagi, nikt ufać nie powinien. Trzeba się oprzéć na faktach, na rzeczywistości—nie na przypuszczeniach.

W tym razie nietylko są fakty, ale fakty sprawdzone i ocenione przez najwyższą kompetencyę w kraju — przez Władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Żaden zarzut ani stronności, ani nieznajomości rzeczy dosięgnąć ich nie może.

Jest to rezultat ankiety, przeprowadzonéj w r. 1885.

W poniżéj zamieszczonéj tabliczce przypominamy ogółowi naszemu liczby, zebrane wówczas przez Władze Towarzystwa Kredytowego.

Gubernia	Liczba właścicieli	Liczba dóbr	Ilość mórg	W jakim stanie znajduje się majątek								
				w bardzo dobrym	dobrym	dosyć dobrym, nieco zapuszcz.	średnim	złym	bardzo złym, zapuszczone	parcelują się	w dzierżawie u włościan	Niewiadomo
Warszawska . .	52	57	48,417	5	21	1	27	1	1	—	—	1
Kaliska	35	37	34,269	1	14	—	5	4	—	2	—	11
Radomska . . .	28	26	14,638	1	—	10	12	1	—	2	—	—
Kielecka . . .	38	34	35,775	—	16	—	10	4	—	—	4	—
Lubelska . . .	20	19	16,670	—	1	—	3	5	3	5	—	2
Siedlecka . . .	31	23	37,146	—	9	12	—	1	—	—	—	1
Płocka	22	36	55,268	7	18	—	6	—	2	3	—	—
Suwalska . . .	53	45	37,299	4	16	—	15	10	—	—	—	—
Łomżyńska . . .	16	16	17,041	—	8	—	5	2	—	1	—	—
Piotrkowska . .	56	43	40,058	1	12	11	6	6	3	4	—	—
Razem . .	351	336	336,581 [1]	19	115	34	89	34	9	17	4	15

Mamy więc następujące stosunki, z ogółu 300 majątków nieparcelujących się, niewydzierżawionych i co do których zebrane zostały dane:

w stanie bardzo dobrym znajduje się 19 dóbr, t. j. 6.3%
„ dobrym „ 115 „ „ 38.3%
„ dosyć dobrym „ 34 „ „ 11.3%
Razem w stanie pomyślnym znajduje się dóbr 168 (56%)
„ średnim „ „ 89 (29.7%)
„ złym znajduje się 34 dóbr, t. j. 11.3%
„ bardzo złym „ 9 „ „ 3.0%
Razem w stanie złym 43 (14.3%)
300 (100%).

[1] Różnica co do obszaru posiadanego przez żydów w dwu liczbach przez nas przytoczonych pochodzi stąd, że w ostatniéj tabliczce mieszczą się tylko dobra odłużone w Towarzystwie, w pierwszéj zaś—wszelka posiadłość.

Według określenia Towarzystwa Kredytowego, najzwyczajniejszym, najczęściéj zdarzającym się, jest stan „dobry“; dóbr w takiém położeniu jest 115, wśród ogółu stanowią one 38.3%.

Wyżéj niż w stanie średnim znajdujemy majątków 168, niżéj — 43; w drugim więc wypadku ilość dóbr jest 4 razy mniejsza, niż w pierwszym.

Celem bardziéj wyrazistego oświetlenia rzeczy przypuśćmy, że dobrom żydowskim wystawiono stopnie. Najlepsze otrzymały-by *szóstkę*, dobre—*piątkę*, dosyć dobre, nieco zapuszczone—*czwórkę*, średnie—*trójkę*, złe—*dwójkę*, bardzo złe, zapuszczone—*jedynkę*. Wtedy średnio wypadłoby 3.89 t. j. prawie stan dosyć dobry, znacznie zaś wyżéj niż stan średni.

Według tych samych danych Towarzystwa Kredytowego, majątki bardzo dobre zajmują 19,371 mórg, dobre 113,202 mórg, razem 132,573 mórg; złe zaś i bardzo złe tylko 34,780 mórg. [1])

Ażeby z danych powyższych wyciągnąć zupełnie dostateczne wskazówki, należało-by je zestawić z odpowiedniemi cyframi dla majątków chrześcijańskich. Niestety, jednak cyfry takie, pomimo całéj oczywistéj ich doniosłości, nietylko dla téj kwestyi nie zostały dotychczas zebrane. Wobec takiego braku, szukać należy innych dróg porównania, choćby tylko pośredniego, ale które-by dało jaką taką odpowiedź na pytanie: czy ograniczenia przewidywane wywołane są istotną potrzebą? Majątek źle gospodarowany i majątek zbyt odłużony nie są to oczywiście synonimy, ale jednak dwa te wypadki siłą naturalnéj konieczności najczęściéj się z sobą spotykają; zła gospodarka musi pociągnąć za sobą ruinę, jeżeli więc ostatniéj niéma, przypuszczać można z wielkiém prawdopodobieństwem, iż i pierwszéj znaleźć tam nie można. Z drugiéj strony krytyczny stan interesów finansowych, zarówno z przyczyn materyalnych, jak i moralnych, musi prowadzić do zapuszczenia i zaniedbania.

Z tych powodów jest pewna podstawa do zestawień liczb, wyżéj otrzymanych dla większego lub mniejszego odłużenia w majątkach chrześciańskich, z danemi Towarzystwa Kredytowego co do stanu gospodarki w dobrach żydowskich.

Tam w stanie pomyślnym znaleźliśmy 57% ogółu dóbr; tu—56%. Nieznacząca ta różnica wyrównała-by się całkowicie, gdybyśmy opuścili grupę I-szą, w któréj niéma prawie majątków żydowskich,

[1]) Zwrócić musimy uwagę, że niektóre kategoryc, przez Towarzystwo Kredytowe oznaczone odmiennemi nazwami, w zestawieniu urzędowém zostały połączone w ten sposób, że odróżniono tylko trzy stopnie prowadzenia gospodarstw: dobry 147 majątków czyli 44%, średni 103 majątki czyli 31%, lichy—63 majątki, t. j. 19% i w rozprzedaży 15 majątków czyli 4%.

w Towarzystwie Kredytowém odłużonych, a w których procent, nas w téj chwili obchodzący, jest bardzo wysoki —61.6%.

W stanie krytycznym majątków chrześciańskich znaleźliśmy 7.4%, żydowskich—3%.

Nie chcemy bynajmniéj—powtarzamy to raz jeszcze—twierdzić, że te liczby istotnie odbijają rzeczywiste stosunki. Nie, ale ten jedyny sposób porównania, jak również liczby same przez się, nie dają bynajmniéj rezultatu takiego, który-by alarmować mógł społeczeństwo, lub sfery prawodawcze.

V.

Nie mniéj interesu przedstawiają i inne szczegóły, zebrane przez Towarzystwo Kredytowe.

Mianowicie, znajdujemy daléj niektóre dane co do sposobu i co do czasu nabycia dóbr przez żydów. Żałować tylko należy, iż wiadomości zbierane były jedynie dla gubernii Kaliskiéj.

Z 37 majątków, posiadanych w téj gubernii przez żydów, 8 nabytych zostało na licytacyach w różnych latach:

w roku	1873	1 dobra	1,551	mórg
„	1881	1 „	259	„
„	1882	2 „	1,466	„
„	1883	1 „	255	„
„	1884	1 „	489	„
„	1885	2 „	1,711	„
Razem . .		8 dóbr	5,731	mórg.

Majątki, wystawione na sprzedaż za długi, zazwyczaj znajdują się w stanie ostatecznego zapuszczenia. Pominąwszy dobra, nabyte w r. 1873, pozostałe 7 zbyt krótko (dane pochodzą z r. 1885) pozostawały w ręku nowonabywców, aby odpowiedzialność za zły stan gospodarki na nich spadać mogła: były opuszczone i nie miały czasu w ciągu lat paru dojść do należytego stanu — kto cokolwiek zna się na rolnictwie, zgodzić się na to musi. Te 7 dóbr wśród ogółu (37) tworzą 19%.

Jeżeli teraz przypuścimy, że w innych guberniach znajdują się stosunki takież same (niéma oczywiście racyi przypuszczać, aby Towarzystwo Kredytowe wybierało do swoich badań gubernię wyjątkową), to nawet tego niezbyt wysokiego procentu dóbr źle prowadzonych niepodobna będzie zapisać wyłącznie na rachunek żydów. Tam w złych rubrykach było 14.3%, a tu 19%; znaczy się, iż jeszcze 4.7%

dóbr zostało doprowadzone do porządku przez żydów w czasie stosunkowo dość prędkim.

W danych Towarzystwa Kredytowego znajdujemy daléj:

W okresie	1860—65	żydzi	w gub.	Kaliskiéj	nabyli	2 dobra
„	1866—70	„	„	„	„	2 „
„	1871—75	„	„	„	„	13 „
„	1876—80	„	„	„	„	7 „
„	1881—85	„	„	„	„	12 „
					Razem . .	36 dóbr

Widzimy więc, że 17 dóbr nabytych zostało do r. 1875. Był więc czas, aby owa przypuszczalna tendencya żydów do rabowania dóbr okazała się w praktyce.

Gdy chodzi o ustawę, posiadającą taką doniosłość dla kraju całego, nie należało-by opierać się na przypuszczeniach, témbardziéj, że istnieje doświadczenie okresu całkiem dostatecznie długiego. Po nad średnią normę znalazło się dóbr 168, średnich — więc mniéj więcéj zbliżonych do przeciętnego stanu gospodarki — 89, i gorszych niż ten stan przeciętny tylko 43. A obok tego okazało się, że owe gospodarstwa liche stanowią pod względem obszaru cząstkę nieznaczną posiadłości żydowskich, i powtóre, że istnieją całkiem uzasadnione podstawy do przypuszczenia, iż część dóbr do tego stanu doprowadzoną została przez dewastacyę, dokonaną poprzednio, przed sprzedażą przymusową.

Dane nasze, wyjęte z hypotek, odnoszą się do 1890 r.; jeżeli porównamy je z liczbami r. 1885, to się okaże, iż własność żydowska przez ten czas aczkolwiek wzrosła, lecz bardzo nieznacznie. Obliczywszy na zasadzie przypuszczenia, iż dobra z przestrzenią nieoznaczoną mają przeciętnie taką samą ilość mórg, jak majątki z obszarem określonym, otrzymamy następujące liczby, które zestawimy z cyframi r. 1885:

	1885 r.	1890 r.	Przybyło lub ubyło
gub. Kaliska . . .	48,673	63,464	+14,791
„ Piotrkowska .	58,739	37,971	—20,768
„ Płocka . . .	35,737	54,212	+18,475
„ Suwalska . .	56,011	62,720	+6,709
„ Siedlecka . .	46,895	34,296	—12,599

A więc własność ziemska żydowska w 5 guberniach, objętych naszemi danemi, w okresie 1885—1890 r. zyskała 39,975 mórg, straciła zaś 33,367, czyli w ostatecznym rezultacie zyskała 6,608 mórg.

Jednakże ponownie zwrócić musimy uwagę, iż 16% wszystkich zobowiązań hypotecznych należy do żydów. Zabezpieczenia, dane tym

ostatnim, tylko w bardzo rzadkich wypadkach mieszczą się na pierwszych numerach hypotek, ogromna większość zaś następuje po wpisach chrześcian, przechodzących znacznie połowę wartości majątków.

Pod tego rodzaju zabezpieczenie nie udzielają pożyczek rzeczywiści kapitaliści, szukający lokacyi — zobowiązania te powstają, jak to wykazaliśmy, po większéj części z tranzakcyi handlowych. Wszelkie więc prawdopodobieństwo, iż w tych razach, kiedy żydzi bronić będą swoich należności, nabywając dobra, zabraknie im środków do odpowiedniego rozwinięcia gospodarstw. Rachunek tego rodzaju nabywców po większéj części zasadzać się może albo na ewentualnie korzystném rozparcelowaniu, albo też na wyzyskaniu bardzo wątpliwych, przy obecnie w modzie będącym systemie dewastacyi majątków, resztek pozostałych jeszcze zasobów.

Nie posiadamy i nie sądzimy, iżby ktokolwiek w téj chwili posiadał pewne dane, na których zasadzie możnaby w téj mierze wypowiedzieć kompetentne zdanie. Jednak jest to kwestya nader ważna. Wiadomości, zebrane przez Towarzystwo kredytowe w r. 1885, są niekompletne. W owym czasie zjawisko obniżki cen na ziemię nie występowało tak wyraźnie, jak obecnie. Nadto, ogólnikowo przez nas przytoczone określenia, użyte przez Władze Towarzystwa dla wyrażenia stanu gospodarstw, nie są wystarczające.

Gdybyśmy posiadali dane o stosunku ziemi ornéj, jéj uprawy do ogólnego obszaru, inwentarza, narzędzi rolniczych, ilości i jakości zabudowań, stanu serwitutów, odłużenia, większego lub mniejszego pomieszania z gruntami włościańskiemi i t. p., wówczas moglibyśmy otrzymać pewne wskazówki, oraz wypowiedzieć gruntowne przekonanie. Zebranie takich wiadomości nietylko dla dóbr w rękach żydów będących, lecz dla kraju całego, uważamy za konieczne.

ODŁUŻENIE W PRZESZŁOŚCI W KRÓLESTWIE, CESARSTWIE I ZA GRANICĄ.

Dla poznania jakiegokolwiek zjawiska nie wystarcza uchwycić je niby aparatem migawkowym w jednym momencie. Naturę faktu wykrywa dopiero przyjrzenie się rozwojowi, drogom, któremi kroczył. Inaczéj naturalnie sądzić będziemy stan odłużenia, jeżeli ono, chociażby w téj chwili największe, maleje; inaczéj, jeżeli wzrasta.

Wiele też światła udzielić nam może porównanie z tém, co się dzieje u sąsiadów bliższych lub dalszych. Zrozumieć dokładnie działania jakiejś przyczyny niepodobna, jeśli raz jeden tylko widzi się jéj skutki. Jak eksperymentator w fizyce musi wielokrotnie powtórzyć doświadczenie, aby pozorów nie wziąć za prawdę, tak samo i tu nie należy poprzestawać na pojedyńczéj obserwacyi.

Porównania jednak takiego, jakie było-by pożądane, jakie pragnęlibyśmy przeprowadzić, uskutecznić niepodobna. Uważaliśmy, że bez rozejrzenia się szczegółowego wsród danych, bez odpowiedniego rozklasyfikowania ich, niepodobna wyrobić sobie trafnego sądu o rzeczy; hurtowne traktowanie dóbr najrozmaitszéj wielkości, a więc liczby jedynie przeciętne nasunąć mogą zaledwie jakąś przybliżoną ideę o rzeczywistości, nigdy zaś nie dadzą jej pełnego, realnego obrazu. Badania więc nasze prowadziliśmy od początku oddzielnie dla kilku rodzajów własności, różnych ze względu na zajmowane obszary. Ta metoda nigdy i nigdzie dotychczas na większą skalę stosowaną nie była. Wszędzie podawane są cyfry przeciętne, ogólne. Co najwyżéj tu i owdzie znajdujemy podział na grunta włościańskie i nie-włościańskie.

Pomimo to sprobujemy jakieś porównanie przeprowadzić. Zaczniemy od zestawienia teraźniejszości z przeszłością.

I.

Według cyfr, zebranych w sposób przybliżony w r. 1824 w Królestwie Polskiém—do czego przy urządzaniu hypotek nastręczała się podówczas dogodna sposobność,—okazało się [1]):

1) że w województwach po-pruskich szacunek dóbr ziemskich wynosił około 588 milionów złp., a obciążenie hypoteczne 390 milionów złp., a więc przeszło 66% szacunku hypotecznego.

2) że w województwach po-austryackich szacunek dóbr przedstawiał cyfrę około 230 milionów złp., a odłużenie 114 mil. złp., czyli przeszło 51%. Razem więc szacunek hypoteczny dóbr ziemskich w Królestwie w r. 1824 (naturalnie z gruntami włościańskiemi, stanowiącemi do r. 1864 nierozdzielną część dóbr ziemskich) dosięgał summy 818 milionów złp., (123 mil. rubli), a odłużenie wynosiło 504 miliony złp. (75,600,000 rub.). Tak więc długi tworzyły około 62 % wartości dóbr, czyli że właścicielom pozostawało 38%, t. j. wartość równającą się 47 milionom rubli.

---

[1]) Czerniński: „O Towarzystwie Kredytowem Ziemskiém“ Warszawa r. 1866.

Taki stan odłużenia, jak na owe czasy, uważać można za pomyślny, przynajmniej względnie. W téj saméj prawie epoce (w r. 1823) odłużenie stanowiło [1]):

W Prusach Wschod. 72% wartości dóbr szlach.; 58% wart. dóbr. chłop.
Na Szląsku 70% „ „ „ 67% „ „ „

Jeżeli ogół dóbr w owym czasie w Królestwie Polskiém oznaczymy przez 100, to wypadnie, iż było:

1) dóbr zupełnie wolnych od długów 7%
2) „ obciążonych do 1/4 szacun. hypot. 28%
3) „ „ „ 1/2 „ „ 20%
4) „ „ „ 3/4 „ „ 18%
5) „ „ do wysokości cał. szacun. 11%
6) „ „ po nad wysokość szacun. 16%

Podczas wydawania pożyczek w roku 1853 Władze Towarzystwa Kredytowego postarały się po raz pierwszy o zebranie wiadomości co do stopnia odłużenia 5,839 dóbr prywatnych, obciążonych podówczas pożyczką Towarzystwa, a które stanowiły prawdopodobnie około 3/4 ogółu dóbr prywatnych w Królestwie. Z danych, zgromadzonych w r. 1857 okazało się, że szacunek hypoteczny owych 5,839 dóbr wynosił około 213 mil. rubli, obciążonych hypotecznie sumą około 130 milionów rubli, zatem odłużenie wynosiło 61% szacunku. Pożyczka Towarzystwa stanowiła 53 miliony rubli. t. j. zaledwie 25%, kiedy długi prywatne równały się prawie 77 milionom rubli, a więc tworzyły 36% szacunku i 1 1/2 raza przenosiły wysokość pożyczki Towarzystwa. — Część zatém wartości dóbr, będąca czystą własnością stowarzyszonych, wynosiła około 39% i przedstawiała summę 83 milionów rubli. Różnica z r. 1824 jest tu prawie żadna, gdyż wynosi zaledwie setną część wartości dóbr. Jest ona jednak znaczną na korzyść czasów późniejszych, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w r. 1857 znaczna część pożyczek zaciągniętą została w Instytucyi, udzielającéj taniego i wogóle nieuciążliwego kredytu, kiedy w r. 1824 wszystkie długi były prywatne, w większości prawdopodobnie wysokoprocentowe.

Dobra, odłużone w Towarzystwie Kredytowém, stanowiły zawsze około 3/4 ogółu dóbr w Królestwie. Dla tego też autor „Pamiętnika Tow. Kredytowego Ziemskiego“ oblicza w przybliżeniu summę szacunkową wszystkich majątków prywatnych na 284.7 mil. rubli. Zwrócić

[1]) Der Boden und die landwirthschaftlichen Verhältnisse des Preussischen Staates (1871). August Meitzen. T. III str. 108.

zbliżoną do rzeczywistości uważać-by można, gdyby $^3/_4$ ogółu dóbr znaczyło toż samo, co $^3/_4$ ogółu ziemi, o któréj szacunek tu chodzi, musimy uwagę, że cyfrę ostatnią w takim tylko razie za dostatecznie tymczasem tak nie jest i nigdy tak nie było. Daleko większy procent majątków dóbr dużych niż drobnych zaciągnął zapewne pożyczkę w Towarzystwie. A wskutek tego $^1/_4$ dóbr nieodłużonych tworzyła może $^1/_{10}$ część obszaru lub mniéj jeszcze.

Wadliwość uważania za jedno stosunków dóbr i stosunków obszarów ujawniła się widocznie po zastosowaniu klasyfikacyi majątków wedle wielkości. Gdyby wziąć tylko dobra średnie, duże i największe, to okazało-by się, że zaledwie $^1/_{10}$ nie korzystała z pożyczki Towarzystwa Kredytowego. Wśród majątków zaś drobnych znajdujemy 73% wolnych od długu towarzystwa. A więc $^1/_4$ majątków nie obciążonych należnością naszéj Instytucyi Kredytowéj bardzo jest daleką od tworzenia $^1/_4$ części obszaru dóbr hypotecznych. Przed r. 1857 różnica wskazana była jeszcze jaskrawszą: dobra większe obejmowały obszary, dziś do włościan należące, a majątki drobne, wskutek ustawy saméj, mniéj niż dziś korzystać mogły z kredytu w Towarzystwie. Przytoczona téż wyżej suma 284 milionów jest prawdopodobnie nieco wygórowaną. Pośpieszamy dodać, że omyłka bardzo znaczną być nie mogła, — w każdym razie suma szacunkowa ogółu dóbr w r. 1857 przenosiła 213 milionów rubli, gdyż taka była wartość dóbr, zadłużonych w Towarzystwie.

W porównaniu więc z r. 1824 otrzymujemy zwyżkę, wynoszącą około lub przeszło 100 milionów rubli, t. j. prawie podwojenie się wartości ziemi. Rezultat taki był całkiem oczekiwany, gdyż w tym czasie szacunek gruntów wszędzie poszedł w górę. W Królestwie (do r. 1857) zwyżka ta mniejsza była niż na Zachodzie, ale zawsze była.

Jak widzieliśmy wyżéj, czysta własność (t. j. różnica między wywysokością szacunku a wysokością odłużenia) wynosiła w r. 1824 wśród ogółu dóbr hypotecznych . . . . . 47 mil. rs.
w roku zaś 1857 taż sama czysta własność na samych dobrach stowarzyszonych wynosi . . . . . 83 mil. rs.

Czyli, że już mamy podwojenie się, a tymczasem sumę ostatnią należy powiększyć przez dodanie czystéj wartości dóbr w Towarzystwie niezadłużonych. Wartość zaś ta będzie prawdopodobnie znaczna, gdyż po większéj części dobra, które się do pomocy Towarzystwa nie uciekały, wolne były prawie całkiem od długów hypotecznych.

Taki wynik zestawienia wskazuje, że od r. 1824 do r. 1857 położenie rolnictwa w Królestwie polepszyło się. W r. 1881 Władze Towarzystwa Kredytowego wydały „Zbiór wiadomości statystycznych“,

w których przedstawionym został stan dóbr stowarzyszonych w r. 1879. W owym czasie liczono 6,360 majątków, obciążonych pożyczką Towarzystwa; składały się one z 9,016 folwarków i zajmowały obszar 6,792,133 mórg. Z rachunku wyłączone były dobra, które, nie odnowiwszy pożyczek dawnych, w r. 1881 z Towarzystwa występowały. Ogólna rozległość dóbr prywatnych w r. 1879 wynosiła (wedle tychże danych) 8,942,447 mórg, wliczając w to ordynacye, majoraty donacyjne, dobra poduchowne i t. d.

Oznaczenie wartości dóbr, jak to na początku pracy naszéj widzieliśmy, nie jest łatwe. Dobra stowarzyszonych przy zaciąganiu pożyczki szacowane były w trojaki sposób: po 1) mnożono, wedle przepisów z r. 1869, podatek gruntowy przez 112, po 2) opierano się na taksie, sporządzonéj zgodnie z przepisami z 1872 roku, i po 3) brano sumę szacunkową z ksiąg hypotecznych, zmniejszając ją o 25%. Przeciętna z tych trzech źródeł daje $34^1/_3$ rs. na morgę.

Obrachunek powyższy przytoczyliśmy już dawniéj, w pierwszéj części naszéj pracy (str. 257), zwracając uwagę, iż daje on szacunek ziemi zbyt niski. Tegoż samego zdania jest autor „Pamiętnika Towarzystwa Kredytowego“; proponuje on ze swojéj strony inny sposób otrzymania wartości dóbr, opierając się na liczbach, we wspomnianym „Zbiorze Wiadomości“ zawartych.

Na 100 jednostek obszaru w Królestwie wypada przeciętnie:

Gruntów ornych	51.57	jednostek
Łąk	8.73	„
Pastwisk	4.69	„
Lasów	30.00	„
Nieużytków	5.01	„
Razem	100.00	

W roku 1883 Władze Towarzystwa ustanowiły dla każdego z tych pojedyńczych rodzajów przestrzeni oddzielną taryfę. Obliczywszy wedle niéj szacunek morgi i dodawszy 25% na wartość budynków, otrzymamy przeszło 49 rubli. Rachunek ten nie uwzględnia jednak stanu kultury dóbr, ich położenia handlowego, a co ważniejsza, także wielu czynników gospodarskich, szacunkiem nieobjętych, jak n. p. fabryki, kopalnie i t. d.

W naszych wywodach, pomimo iż w ostatnich czasach ceny na ziemię spadły, cenę morgi oznaczyliśmy na 50 rubli.

Na zasadzie cyfr i danych Towarzystwa wypada daléj, że w r. 1879 wartość dóbr wszystkich prywatnych wynosiła 438.7 mi-

lionów rs.; wartość zaś dóbr stowarzyszonych—333.3 milionów rubli [1]). Na tem ciężyło 88.4 milionów rs. pożyczki Towarzystwa i 122.1 milionów długów prywatnych. Pożyczka Towarzystwa stanowiła 25%, długi prywatne 39% szacunku kredytowego dóbr. Suma więc obciążenia sięgała 64% wartości.

Znowu nie znajdujemy różnicy wielkiéj w porównaniu z uprzedniemi latami, wziętemi pod uwagę. W r. 1824 odłużenie sięgało 62%, a w 1857 r. 61% wartości. Od daty ostatniéj ciężar pożyczki Towarzystwa nie uległ zmianie, wtedy i w r. 1879 tworzy ona 25% szacunku kredytowego; długi zaś prywatne wzrosły, nietylko absolutnie, ale i stosunkowo, z 36% podskoczyły na 39% w porównaniu z szacunkiem. Czysta własność ziemian stowarzyszonych wynosi w tym czasie 122.8 milionów rubli, a więc przez lat 22 wzrosła przeszło o $^1/_3$ część dawnéj wysokości, tak samo prawie jak szacunek posiadanéj w dwu okresach ziemi.

Zestawiając dwie daty, r. 1857 i r. 1879, zapominać nie należy, iż dzieli je ważny moment dziejowy, który gospodarstwo rolne przeobraził do gruntu—uwłaszczenie włościan. Około połowy przestrzeni, dawniéj do posiadłości ziemskiéj należącéj, odpadło. Nowy sposób prowadzenia gospodarki wymagał nietylko nakładu, ale energii, zapobiegliwości, umiejętności wreszcie. Rolnictwo wchodziło w nową fazę rozwoju, pod względem czysto technicznym niewątpliwie wyższą; opłacać musiało większe koszta, które bez udoskonalenia gospodarki nie mogły być pokryte. Ponieważ zmiana tak nagła nadeszła w znacznéj części niespodziewanie, ponieważ kraj nie był przygotowany do spokojnego jéj ocenienia, więc obawa wielkich strat i znacznego pogorszenia się stosunków była aż nadto usprawiedliwiona. A przecież i inne przyczyny wzrostu odłużenia, które rozpatrywaliśmy, działać nie przestały,—dosyć wspomnieć nowe podziały przy spadkach; więc stan, znaleziony w r. 1879, stanowczo uważać należy za bardzo pomyślny.

Część zasług przypada oczywiście na zmiany i rozwój warunków, od ziemian niezależnych: postęp przemysłu, udoskonalenie komunikacyi i t. d. podniosły ogólny stan ekonomiczny kraju, a więc i część jego—rolnictwo. Ale pomyślne te okoliczności nie zdziałały-by nic, gdyby się nie znaleźli ludzie, umiejący z nich korzystać.

---

[1]) Autor „Pamiętnika Tow. Kredytowego“ przypuszcza, że nie włączone do tabeli czynniki gospodarcze oszacować można w przybliżeniu na 25% cyfr powyższych, w takim razie szacunek ogółu dóbr wyniósłby 548.3 mil. rs., szacunek dóbr stowarzyszonych—416.6 milionów rubli.

Z danych naszych wypada, że w r. 1890 stan rzeczy był, niestety, gorszy, niż jedenaście lat temu. Przyjęliśmy cenę szacunkową ziemi możliwie wysoką, bo aż 50 rubli za morgę, i okazało się że ogół ciężarów tworzy aż 88.4% wartości (44.2 rs. na morgę). Po odtrąceniu dziesiątéj części od długów prostych i trzeciéj części od kaucyi i ewikcyi na możliwą niedokładność ksiąg hypotecznych, jeszcze otrzymaliśmy 38.5 rs. na morgę, czyli 77.0% szacunku. Wreszcie po usunięciu całkiem z obrachunku kaucyi, ewikcyi i należności skarbowych wypadło, że pożyczka Towarzystwa i długi prywatne dają sumę 34.5 t. j. 69.0% szacunku. Czyli od r. 1879 do 1890 odłużenie ziemi przy najwzględniéjszym rachunku wzrosło o 5% jej wartości.

Dodać jednak należy, że dzisiaj pożyczka Towarzystwa Kredytowego odgrywa rolę większą, niż dawniéj. Od r. 1824 do 1857 stanowiła ona zaledwie 25% szacunku; w roku zaś 1890—jak to z danych naszych wynika—tworzy już 35.6% wartości ziemi i to przy użyciu do porównania maksymalnéj cyfry za cenę morgi. Właściwie uważać można należność Towarzystwa przeciętnie za 40% szacunku. Jest to okoliczność w danym razie ważna, gdyż nietylko wysokość długów, ale i warunki pożyczki mają znaczenie. Odłużenie, co prawda, wzrosło, ale miejsce uciążliwych, wysokoprocentowych, nawet lichwiarskich i natrętnych wierzycieli zajęła porządnie zorganizowana instytucya ziemiańska, któréj rata amortyzacyjna wynosi nieraz mniéj, niż sam procent pokątnego kapitalisty. Instytucya ta przytém uwzględnia ciężkie lata klęsk i nieurodzajów.

II.

Porównanie stanu odłużenia dóbr ziemskich w Królestwie z tém, co się dzieje w Cesarstwie, jest bardzo trudne z tego powodu, że tam niéma hypotek, a więc obrachunek całości ciężarów jest niemożliwy.

Niejakie tylko wskazówki wyciągnąć się dadzą z pożyczek, udzielanych na ziemię przez Banki. Doprowadzają one do wniosku, że położenie gospodarstw rolnych i stan odłużenia nie są tam bynajmniéj lepsze, jak w Królestwie Polskiém. Od czasu uwłaszczenia ziemia pochłonęła tam kolosalne sumy.

Za czasów poddaństwa i pańszczyzny kredyt rolny w Rossyi opierał się na zasadach całkiem innych, niż dzisiaj. Wtedy podstawą szacunku, a więc i odpowiedzialności za długi była ilość dusz. Kredyt krótkoterminowy na ulepszenia nie był wcale potrzebny, to też wcale nie istniał.

Przed ćwierć wiekiem więc rozpoczyna się nowy rachunek na czystéj niejako karcie. Zobaczmy, co na niéj napisano.

Za ziemię, nadaną włościanom, właściciele otrzymali od rządu 439 milionów rubli. Akcyjne banki ziemskie, Towarzystwo Wzajem-

nego Kredytu i Bank Chersoński udzieliły ziemianom 462 miliony rs. Banki szlachecki i włościański (za ziemię chłopom odprzedaną) wypłaciły większym posiadaczom 200 milionów. Tym sposobem ziemianie russcy do r. 1888 otrzymali miliard i przeszło sto milionów rubli, i to po odtrąceniu kosztów realizacyi, przy najskrupulatniejszym rachunku.

Poniżéj, na podstawie najświeższych, nieopublikowanych jeszcze cyfr, podajemy: stosunki procentowe ziemi, zastawionéj w bankach, do ogólnego obszaru własności prywatnéj; przeciętną pożyczkę, udzielaną w danéj gubernii na desiatynę; oraz szacunek ziemi według cen, w ostatnich czasach płaconych.

Gubernie	Cena desiatyny w rublach	Pożyczka na desiatynę w rublach	Odłużenie ziemi w procencie szac.	Gubernie	Cena desiatyny w rublach	Pożyczka na desiatynę w rublach	Odłużenie ziemi w procencie szac.
Bessarabska	105	42	57.8	Penzeńska	77	39	55.0
Charkowska	104	35	55.2	Podolska	125	45	54.0
Chersońska	94	18	26.9	Poltawska	106	54	42.9
Czernihowska	87	27	32.5	Pskowska	70	14	20.8
Dońska	55	24	19.7	Riazańska	100	56	29.1
Ekaterynosław.	86	24	65.7	Samarska	32	13	30.0
Grodzieńska	58	22	38.3	Saratowska	59	27	48.6
Jarosławska	33	14	10.7	S.-Petersburska	37	12	27.6
Kazańska	72	30	47.8	Simbirska	76	31	48.1
Kałuska	49	20	21.3	Smoleńska	39	16	25.4
Kijowska	154	44	52.3	Taurycka	76	19	31.2
Kowieńska	65	28	29.1	Tambowska	93	44	50.7
Kostromska	30	3	26.3	Twerska	44	14	17.0
Kurska	124	66	36.3	Tulska	95	51	46.8
Mińska	38	9	29.3	Ufimska	36	8	29.1
Mohylowska	28	13	37.1	Wileńska	50	20	29.4
Niżniegorodzka	63	23	26.1	Witebska	47	15	36.8
Moskiewska	41	26	18.6	Włodzimierska	59	17	11.2
Nowgorodzka	26	6	11.1	Wołyńska	80	21	36.9
Orlowska	91	44	48.7	Woroneska	93	43	37.8

Ale, oprócz długów bankowych, na dobrach ciężą naturalnie zobowiązania inne, nieraz do znacznéj wysokości dochodzące. Niejakie wyobrażenie o tém otrzymać możemy z ankiety, dokonanéj przez Bank państwa. Przy udzielaniu pożyczek pod sola-weksle, okazało się, iż z 768 dóbr, mających kredyt otwarty, 595 t. j. 77.4% ogółu było obciążonych wpisami tego rodzaju. Stopień zaś odłużenia tych 595 majątków był następujący:

Od	10—20%	szacunku—dóbr	6,	co stanowi	0.8% ogółu
„	20—30%	„ „	10	„	1.3
„	30—40%	„ „	21	„	2.7
„	40—50%	„ „	25	„	3.3
„	50—60%	„ „	84	„	10.9
„	60—70%	„ „	167	„	21.7
„	70—75%	„ „	134	„	17.4
„	75—80%	„ „	85	„	11.1
„	80—85%	„ „	47	„	6.1
„	85—90%	„ „	15	„	2.0
„	90—95%	„ „	1	„	0.1
	Razem	„ „	595	„	77.4%

Stopniem odłużenia w danym wypadku nazywa się stosunek do szacunku długów, mających pierwszeństwo przed sola-wekslami, oraz kredyt otwarty na sola-weksle. Pierwszeństwo zaś przed sola-wekslami mają listy zastawne banków i te tylko długi prywatne, na których pozostawienie Bank pozwolił.

Widzimy pomimo to, że kiedy odłużonych poniżéj połowy szacunku jest tylko 62 majątki, odłużonych po-nad 50% wartości znajdujemy aż 533 dobra. Ogólna więc liczba 768 badanych posiadłości rozpada się na następujące części składowe, obrachowane w procentach:

dóbr zupełnie nieodłużonych w bankach	226.%
„ odłużonych w bankach do połowy szacunku .	8.1%
„ „ „ „ po-nad połowę szacunku	69.3%
	100.0%

Ostatnia kategorya przenosi przeszło dwukrotnie dwie pierwsze. Najpospolitszym wypadkiem odłużenia jest 60—75% szacunku, gdyż w tym stanie znajdujemy 301 dóbr t. j. 39% liczby ogólnéj. Od 50—80% szacunku odłużonych jest dóbr 470, a więc przeszło połowa wszystkich dóbr badanych (61.1%). Po za 80% szacunku odłużenie przekroczyło w 63 dobrach, które tworzą przeszło 8% wśród ogółu.

Obrachunek urzędowy nie podaje przeciętnéj cyfry odłużenia dla wszystkich 768 dóbr; z przytoczonych jednak wyżéj obrachunków wnosić można, że (szczególniéj po dołączeniu należności prywatnych) z pewnością przenosi ona 60 a może i 70% szacunku, a więc w każdym razie jest nie niższą, jak odpowiednia liczba dla Królestwa Polskiego (69%).

O złym stanie majątkowym dóbr ziemskich wnosić można również z masy ostrzeżeń, opiek, sekwestrów i t. d., jakie nieustannie w Cesarstwie spadają na posiadłość większą.

Wobec projektowanéj u nas konwersyi listów zastawnych Towarzystwa Kredytowego i pewnéj zależności kursu naszych listów od kursujących w Cesarstwie, uważamy za właściwe podać w tém miejscu kilka liczb, co do ilości i rodzaju wypuszczonych w państwie listów zastawnych, zarówno na ziemię, jak i na domy.

Do dnia 1 Stycznia 1891 roku było w obiegu papierów hypotecznych na 1,285,742,576 rubli kredytowych, na 100,403,450 rubli metalowych i na 7,340,700 marek niemieckich; a więc papiery, wypuszczone w walucie metalowéj (w rublach bez marek), stanowiły 7.8% ogólnéj sumy papierów w walucie kredytowéj.

Oznaczmy ogólną wartość papierów hypotecznych obu walut (po wyłączeniu marek) przez 100 i zobaczmy, jak rozpadają się one na kategorye wedle stopy procentowéj dochodu:

stopa procentowa	waluta kredytowa	waluta metalowa
4%	0.0	0.7
4½%	0.3	92.1
5%	68.4	7.2
5½%	8.4	—
6%	22.9	—
	100	100

Cała prawie masa papierów, wypuszczonych w walucie metalowéj, daje 4½%; przeszło połowa papierów waluty kredytowéj przynosi 5%, ale znaczną jéj część znajdujemy także przy stopie 6%.

Z ogólnéj sumy papierów kredytowych przypada: na rzecz listów zastawnych państwowych 14.4%; instytucyi prywatnych—85.6%. Z liczby ostatniéj 29.6% należy do stowarzyszeń akcyjnych. Wśród zaś papierów banków akcyjnych listy 5% tworzą 30.9%, a listy 6%—69.1% ogólnéj sumy.

III.

Przechodzimy wreszcie do odłużenia dóbr ziemskich u sąsiadów zachodnich.

Pruskie towarzystwa Kredytowe wydały na własność ziemską pożyczek w listach zastawnych w okresie od 1855 do 1865 r.—140 milionów marek; w następném dziesięcioleciu obciążenia dóbr, pochodzące z tego źródła, urosły do 369 milionów, a w okresie od 1875 do 1885 r.— do 396 milionów marek.

D-r. Meitzen oblicza, iż w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia w 8 dawnych prowincyach pruskich długi tworzyły:

66% szacunku dóbr większych
33% „ „ średnich
20% „ „ małych.

Posiadłość więc drobniejsza była tu odłużoną znacznie mniéj, niż duża. Przeciętna zaś liczba wypadała znacznie korzystniéj, niż w kraju naszym.

Wiadomości, zebrane w skutek rozporządzenia Ministeryum i opracowane przez tegoż dra Meitzena, wykazały, że w okresie od 1875—85 r. na ogóle badanych w Królestwie Pruskiém 1413 tysiącach hektarów ziemi odłużenie wynosiło na własności:

większéj	55%	szacunku
średniéj	28%	„
drobnéj	24%	„

Jeżeli cyfrom tym wierzyć można, to okazuje się, że pomimo lat kryzysowych odłużenie ziemi w Prusach w czasach ostatnich nie wzrasta, lecz raczéj maleje. Odłużenie dóbr większych w rozpatrywanym okresie jest znacznie słabsze (o 11%) niż przed 10-ma laty; odłużenie dóbr średnich jest mniejsze o 5%, a nieco podskoczyło (o 4%) odłużenie posiadłości najmniejszéj.

Zjawisko to pozostaje niewątpliwie w związku z zaprowadzeniem ceł wchodowych. Cena na zboże nie obniżyła się do tego stopnia, jak to miało miejsce u nas, a koszta produkcyi jednocześnie nie miały powodu zbytnio wzrastać. Ci więc ziemianie, którzy mają ziarno na sprzedaż, zyskali: przy wydatkach mało co większych, niż dawniéj, mają dochody znaczniejsze. A kultura rolna w Prusach robi postępy nieustanne, więc nie tylko drożéj sprzedają wytwory swego gospodarstwa, lecz także produkują więcéj.

Inaczéj cła na zboże odbiły się na interesach wielkiéj liczby posiadaczów drobniejszych, którzy produkują dla siebie i na sprzedaż

ziarna nie mają. Ci nie zyskali nic, natomiast drobna zwyżka cen na wszystkich pozycyach życia codziennego, wskutek podrożenia jednego z najgłówniejszych artykułów spożycia, na skromnym ich budżecie zaciężyć mogła dotkliwie.

To też jednocześnie z poprawieniem się interesów własności większéj, drobna głębiej zagrzęzła w długi.

Zresztą większa własność w Prusach od dosyć dawnego czasu przynosi dochody coraz większe. Projekt budżetu pruskiego na r. 1888 — 89 zawiera ciekawe pod tym względem zestawienie, z którego wyjmujemy liczby tylko dla prowincyi, bliżéj nas obchodzących.

Ceny dzierżawne w dobrach rządowych w Prusach.

Regencye	Cena dzierżawna za hektar w markach					Powiększenie ceny dzierżawnej w procentach, przyjmując ceny z r. 1849 za 100.				
	1849	1869	1879	1884	1888—89	1849	1869	1879	1884	1888—89
Poznańska . .	7.93	17.12	20.27	20.72	20.74	100	215.89	255.61	261.28	261.54
Bydgoska. . .	8.05	19.04	21.14	22.47	22.21	100	236.52	262.61	279.13	275.90
Wrocławska .	13.96	24.84	34.68	44.81	45.19	100	177.94	248.42	320.99	323.71
Lignicka . . .	13.69	23.82	41.71	42.73	42.50	100	174.00	304.67	312.13	310.45
Opolska. . . .	10.06	17.48	27.32	33.71	35.65	100	173.76	271.57	335.09	354.37
Królewiecka .	8.57	17.89	23.48	25.11	24.48	100	208.76	284.56	293.00	285.65
Kwidzyńska .	7.38	17.68	25.42	27.72	28.58	100	239.57	344.44	375.61	387.26
Gdańska . . .	11.95	28.13	33.22	29.90	31.09	100	235.40	277.99	250.21	260.17
Magdeburska	27.11	47.65	70.84	85.47	91.80	100	175.77	261.31	315.27	338.62

Do roku 1884 znajdujemy wzrost ceny dzierżawnéj we wszystkich regencyach z wyjątkiem Gdańskiéj, gdzie od roku 1879 do 1884 spotykamy drobną obniżkę; w następnym jednak okresie pięcioletnim znowu ukazuje się zwyżka. Za to w regencyach innych: w Królewieckiéj, Lignickiéj, Bydgoskiéj, renty dzierżawne po r. 1884 o drobne bardzo sumki są na hektarze mniejsze.

„Der Deutsche Oekonomist“ podaje następujące cyfry co do obszaru własności ziemskiéj i renty dzierżawnéj w Prusach:

Rok	Obszar w hektarach	Cena dzierżawna za hektar w markach
1850	318.228	14.10
1860	296.538	18.15
1870	346.682	29.63
1880—81	340.283	38.16
1887—88	338.529	42.00
1888—89	340.261	41.65

Tu znowu podnoszenie się ceny dzierżawnéj idzie nieprzerwanie aż do roku 1888, potém napotykamy spadek, wynoszący zaledwie 35 fenigów na hektarze.

Wzrost dobrobytu rolnictwa w Prusach, sztucznie cłami wchodowemi wywołany, nie przeszkadzał, że absolutna cyfra długów na dobrach z roku na rok powiększała się; w latach od 1886—1887 długi na majątkach ziemskich urosły tam znowu o 133 miliony marek.

Zasługuje na uwagę szczegół, że w Poznańskiém w okresie od 1886 do 1887 r. nowo zaciągnięte długi wynosiły 42.3 mil. marek, spłacone zaś 50.4 milionów, czyli ciężary zmniejszyły się przeszło o 8 milionów marek. Rezultat ten był prawdopodobnie skutkiem zakupu majątków ze 100 milionowego funduszu kolonizacyjnego.

W zupełnie inném położeniu znajduje się własność ziemska w tych państwach, które dla podtrzymania cen na produkty rolne nie ustanowiły, jak Niemcy, ceł wchodowych.

W Wielkiéj Brytanii w r. 1876 dochody z własności ziemskiéj, według zestawień sekretarza stanu Giffena, wynosiły $69^1/_2$ milionów funtów sterlingów, — zaś w dziesięć lat późniéj, w roku 1886, tylko 63 miliony, to jest spadły o $6^1/_2$ milionów funtów, więc blisko o dziesiątą część.

James Caird twierdzi, że ostatnia cyfra dochodów powinna być zmniejszona jeszcze przynajmniéj o $^1/_3$ część, a to dlatego, że większość dzierżawców nie wypełniła przyjętych zobowiązań.

Według więc ostatniego statystyka, dochody z własności ziemskich uległy obniżeniu w ciągu dziesięciolecia blisko o 45%. Nie dziw przeto, że i odłużenie własności ziemskiéj wzrosło niepomiernie.

Lord Reay oblicza, iż w Anglii w r. 1866 ciężary stanowiły 33% wartości majątków ziemskich, w dziewiątym zaś lat dziesiątku doszły do 58% wartości.

Widzimy więc, że tam, gdzie nieprzeforsowano sztucznie działania przyczyn naturalnych, jak w Prusach, odłużenie ziemi tak samo, jak u nas, wzrosło. Czyli, pomyślność rolnictwa zależy w Królestwie Polskiém przedewszystkiém od ogólnych przyczyn i praw ekonomicznych, jednakowo objawiających się we wszystkich krajach. A tylko wskutek ciężkich warunków innych, o których mówiliśmy w pierwszéj części pracy niniejszéj, w kraju naszym rzeczy zaszły daléj, niż gdzieindziéj i odłużenie sięga dziś wyższego punktu szacunku, niż np. w Anglii.

IV.

Liczby zagranicznych biur statystycznych i badania specyalnych komisyi, delegowanych bądź przez rząd, bądź przez towarzystwa rolnicze, pozwalają nam dokładniéj i szczegółowiéj poznać przyczyny odłużenia ziemi. O ile wyświetlić się to dało na podstawie danych bezpośrednich dla kraju naszego, nie omieszkaliśmy zrobić w rozdziale „Pochodzenie długów i szacunki.“ Wskazówki jednak nasze wyczerpać kwestyi nie mogły, gdyż ani wiemy, na jaki cel poszły pożyczki, zaciągnięte w Towarzystwie Kredytowém, i z jakich przyczyn zrodziła się ich potrzeba, ani domyślać się możemy, co w sobie kryją sumy, oznaczone tytułem *„długi proste.“* A tymczasem kwestya ta, jak się zaraz przekonamy, w krajach innych wyczerpaną została do dna niejako.

Z góry można mieć pewność, że, po przekroczeniu każdéj granicy politycznéj lub etnograficznéj, napotkamy jakieś różnice w układzie stosunków i zjawisk gospodarczych; różnice te jednak, szczególniéj w krajach względnie bliskich geograficznie i cywilizacyjnie, na wspólnym i niezbyt rozległym kontynencie leżących, nie mogą być zbyt rażące; zmieniają niewątpliwie szczegóły, ale zatrzéć zasadniczego charakteru zjawiska nie mogą. To téż z bardzo wielkiém prawdopodobieństwem, z zupełną pewnością niemal, przypuszczać należy, iż prawa ekonomiczne, wykryte gdzieindziéj, i u nas działają, a przyczyny odłużenia, wyśledzone na Zachodzie, i u nas przy badaniach odpowiednich wyszukać-by się dały.

Pierwszy Rodbertus, znany ekonomista niemiecki, zwrócił uwagę, że bezwzględna większość długów, zaciągniętych na majątki, powstała z dopożyczek na kupno ziemi. Znaczy to, że nie doskonalenie gospodarstwa, lecz nabywanie i niewypuszczanie z rąk własności pochłonęło główną część obciążeń.

Powyższego twierdzenia Rodbertusa nietylko dotychczas nikt nie obalił, lecz przeciwnie poparły je takie powagi, jak Knies, Schäffle, Lorentz von Stein, Adolf Wagner.

Statystyka również je potwierdziła.

W królestwie Pruskiém w 1886/7 r. przedsięwzięto badania względem przyczyn, które wywołały przymusową sprzedaż.

Z zebranych danych o 2,835 zaszłych w owym czasie subhastach okazało się, iż

41.95% pochodzi z winy właścicieli, a mianowicie: z lenistwa, pijaństwa, marnotrawstwa, pieniactwa i t. p.,

19.55% pochodzi z dobrowolnego przyjęcia zobowiązań przy objęciu ziemi w posiadanie, a także wskutek niedostatecznych zasobów do porządnego prowadzenia gospodarstwa,

10.0% sprzedaży wynikło ze stosunków familijnych i chorób,

6.73% spowodowane zostało wskutek nieudolnego prowadzenia interesów (straty z powodu manii budowania, dokonywania nieodpowiednich ulepszeń, mylnych spekulacyi, poręczeń),

6.18% z powodu klęsk od właścicieli niezależnych,

5.72% z powodu niewłaściwych działów rodzinnych,

3.09% wskutek lichwy,

0.86% wskutek przyczyn ściśle określić się niedających.[3]

Tak więc 35% sprzedaży pochodzi z zobowiązań przy objęciu ziemi w posiadanie, ze stosunków familijnych i niewłaściwych działów rodzinnych.

Z winy właścicieli procent sprzedaży bardzo jest znaczny, bo wynosi prawie 42%; wskutek nieudolności blisko 7% i z powodu lichwy 3%, czyli razem przeszło połowa sprzedaży wywołaną została przymiotami, a raczéj wadami właścicieli.

Stosunek to znaczny, a nawet tak znaczny, iż podejrzewać można pewną stronność ze strony osób, które dokonywały badań. Lecz bądź co bądź, gdybyśmy u nas chcieli przeprowadzić takie same dochodzenie, napewno prawie twierdzić-by można, iż wypadłyby rezultaty nieco lepsze.

Zwrócić należy uwagę, iż cyfra sprzedaży z powodu klęsk, od właścicieli niezależnych, wynosi w Królestwie Pruskiém 6%. W kraju naszym spotkalibyśmy dla téj pozycyi wynik nieco gorszy.

W Królestwie Pruskiém podatki w całém państwie rozłożone są bardziéj równomiernie; właściciele nie ponoszą ciężarów ani z powodu ceł ochronnych, ani z powodu taryf przewozowych. Kwestya serwitutów i separacyi gruntów jest dawno uregulowana, a wreszcie kultura ziemi wyższa i klimat bardziéj stały, a wskutek tego i zbiory poważniejsze.

Mimo to jednak, w Królestwie Pruskiém spotykamy się ze wskazaném u nas zjawiskiem, t. j. że subhaście podlegają majątki większe znacznie częściéj, aniżeli małe. Własności drobne, uprawiane przeważnie pracą rąk samych właścicieli i ich rodzin, rzadko kiedy dochodzą do przymusowéj sprzedaży.

W Poznaniu i w Prusach Zachodnich, gdzie dominują dobra wielkie, ma miejsce znaczna większość subhast. W roku 1888 prawie $^9/_{10}$ sprzedanego przymusowo obszaru padało na wschodnie państwa prowincye.

Rozpatrując dane o sprzedażach przymusowych nieruchomości wogóle za dłuższy okres czasu, otrzymujemy niemniéj ciekawe rezultaty:

	Ogólna ilość przymusowo sprzedanych nieruchomości	W téj liczbie rolnych i leśnych	Rola i lasy stanowią wśród ogółu sprzedaży	Rozmiar dóbr i lasów w tys. hektarów [1])
1881	17,473	9,855	56%	106
1882	16,197	8,583	53%	86
1883	13,573	7,162	53%	82
1884	10,528	5,731	54%	79
1885	10,309	5,806	56%	88
1886	10,500	6,036	57%	108
1887	10,233	5,895	57%	114

Widzimy więc, że, poczynając od r. 1881, ilość sprzedaży eksploatacyi rolnych i leśnych ciągle prawie się zmniejsza. W roku 1887 było o 40% mniéj subhastat dóbr i lasów, aniżeli w r. 1881. Lecz kiedy w r. 1881 przeciętna jednéj posiadłości stanowiła zaledwie 11 hektarów, w r. 1887 taż przeciętna dochodzi do 20 hektarów, czyli że coraz żywszém tempem dokonywują się sprzedaże nie drobnych, lecz dużych własności. [2])

[1]) Zaokrąglając cyfry, nie potrącamy gruntów pod nieruchomościami miejskiemi, ponieważ takowe stanowią zbyt drobny ułamek.

[2]) Przypomnieć musimy, iż przeciętna cyfra 20 hektarów jest stosunkowo bardzo znaczną. W Niemczech $^1/_4$ własności (przeszło 76.6%) nie przechodzi 5 hektarów. Od 5 do 10 hektarów jest 10%; od 10 do 20 hektarów 7%. Zatém przeszło 94% własności nie przekracza przeciętnéj 20 hektarów.

Właściciele obszarów od 20 do 50 hekt. stanowią 4.5%; od 50 do 100 hekt. tylko 0.78 procent. Od 100 do 1000 hektarów jest wszystkiego 24,476 dóbr, co stanowi mniéj niż pół procentu (0.46%), a po nad 1000 hektarów wszystkiego 515 dóbr czyli mniéj niż jedna dziesięciotysięczna procentu (0.00009).

Zjawisko to tembardziéj jest rażące, że, jakeśmy to wyżéj wykazali, skutkiem zaprowadzonych w Niemczech ceł ochronnych, dochody własności większéj nie zmniejszyły się wcale. Stan opłakany rolnictwa, wywołany dostawami produktów rolniczych krajów zaatlantyckich, nie dotknął więc większéj własności w Niemczech. Natomiast trzy czwarte ogółu właścicieli, posiadając gruntów mniéj niż 5 hektarów, z dobrodziejstwa ceł nie korzysta wcale, spożywając to, co sami produkują; ponosić jednak oni muszą ciężary większe wskutek oddziaływania ceł na podrożenie najpierwszych potrzeb codziennego życia.

Między innemi ankieta urzędowa w księstwie Badeńskiém w 37 gminach wiejskich znalazła [1]), że w ogólnéj sumie zobowiązań, ciążących na posiadłościach ziemskich:

44.8% stanowią długi, zaciągnięte na zakupno ziemi,
28.1% pozostało z działów rodzinnych,
5.1% wzięto na wznoszenie budynków mieszkalnych,
22.0% przypada na wszelkie pozostałe cele gospodarskie.

Czyli z całéj sumy odłużenia 78% (trzy pierwsze pozycye) przypada na koszta wejścia w posiadanie. Amelioracye więc mogły być dokonane tylko z owych 22%, t. j. w najlepszym razie na podniesienie warsztatu poszła niecała nawet ćwierć ogółu ciężarów.

Podobne rezultaty dały badania i w krajach innych.

Z odmiennéj nieco strony tęż samą kwestyę oświetlają cyfry, zebrane dla Bawaryi w r. 1886 [2]), z których ułożyliśmy poniższe zestawienie graficzne. Znajdujemy tam dokładny wykaz, jaka część ogólnéj sumy dóbr zlicytowanych podległa licytacyi wskutek rozmaitych, wyszczególnionych przyczyn.

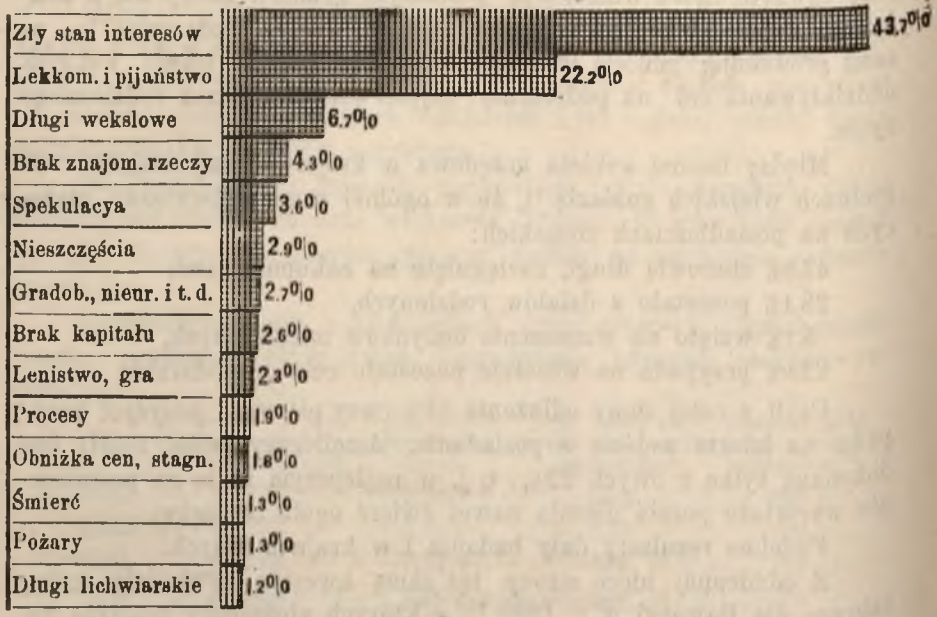
Jakkolwiek kategorye wyszczególnione nie są dość ściśle określone i dosyć wyraźnie rozgraniczone (niektóre z nich zdają się nawet z sobą zlewać), to jednak możemy upadek majątków, zapisanych na pierwszém miejscu, poczytywać za skutek braku środków podtrzymywania nadal warsztatu gospodarczego, braku, nie wynikającego bynajmniéj z nieumiejętności, niedbalstwa, lekkomyślności lub nieszczęścia, bo te wypadki zaliczone są do kategoryi innych. Wskutek tego, oraz wskutek istnienia pozycyi 8-éj (*brak* kapitału i kredytu) godzi się wnosić, iż większa część posiadłości ziemskich ginie wskutek *wyczerpania* kredytu i to nie na cele podniesienia produkcyi i ulepszenie majątku, (bo w takim razie w starannych i umiejętnych ręku kwi-

[1]) „Kredyt amelioracyjny i stan rolnictwa w Rossyi oraz w państwach zagranicznych.“ Petersburg 1890, str. 8.

[2]) Schriften des Vereins für Sozialpolitik B. 24, str. 130—131.

tnął-by on, nie marniał), nie na zbytki i spekulacye, a więc—przynajmniéj wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — na koszta nabycia i zatrzymania własności w swojém posiadaniu.

Ilość dóbr zlicytowanych i przyczyny licytacyi.



Doszliśmy więc i z téj strony do twierdzenia Rodbertusa.

Prócz tego okazuje się z liczb, iż przyczyny ruin majątkowych są liczne i różnorodne. Zwalać wszystko—jak się to nieraz zdarza—na nieoględną gospodarkę i rozrzutność ziemian, znaczy rzecz bez należytéj podstawy przesądzać i dobrowolnie zrzekać się odnalezienia istotnych przyczyn klęski.

W całym szeregu poprzedzających artykułów staraliśmy się uwydatnić te punkty, które potrzebują opracowania, ażeby dojść do celu praktycznego, który też na oku miała i praca obecna, a mianowicie przyjście z pomocą zagrożonéj w bycie własności ziemskiéj.

W następnéj części, kończącéj pracę niniejszą, postaramy się wykazać sposoby praktyczne, które, zdaniem naszém, dopomódz-by mogły do niektórych dodatnich rezultatów.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Bloch.

NA JEZIORZE.

I.

O Zachodzie.

W zachodu złotą płyniem dal,
Po szmaragdowéj fali,
Nad łodzią naszą ogniem zórz
Wielka się łuna pali.

Ogromny słońca płonie stos,
Na saméj nieb krawędzi,
A taka cisza, że bez tchu
Łódź nasza w ogień pędzi.

Z pod róż ucieka, co w jéj ślad
Mdlejące sypią liście,
I w płomień leci, leci w żar,
Co bucha tam ogniście.

Jeżeli na niéj gości duch,
Z tych ogniów wyjdzie cało;
Zginie w płomieniach, jeśli nie,
Jeśli ma tylko ciało.

U rudla stoję. Wiosło me
W toń przezroczystą trąca,
I nie wiem, czy tak serce me,
Czy fala bije drżąca.

I czekam na ten boży sąd,
Na objawienie ducha;
A łódź cichemi pióry mknie,
A stos ogniami bucha.

Chiemsee.

II.
Barka.

Na brzegu strojny, gwarny tłum
Roi się w słońca blasku,
Szerokiéj fali mięki szum,
Na złotym kona piasku.

Wabiące słówka, młody śmiech,
Nad wodą lecą siną,
I z pluskiem, z szumem, nawskróś ech,
W powietrzu modrém giną.

Na każdéj piersi kwiecia puch,
Na każdéj fali słońce;
A pierś i falę w jeden ruch
Podnosi życie wrzące.

Zdmuchnięta z rannéj zorzy mgła
Srebrzyste gazy winie,
A z najdalszego niebios tła
Milcząca barka płynie.

Płynie — i ciężko idzie w toń,
Do burtów, do krawędzi.
Ściągnięty żagiel, silna dłoń
Wiosłem ją tylko pędzi.

Dziwny ładunek dziś na ląd
Ta barka cicha niesie:
Głaz w niéj przy głazie sterczy w rząd,
Jak pnie w zrąbanym lesie.

Z kamieniołomu, z skalnych ław,
Pod jedną cięte miarę,
Grobowe płyty niesie wpław,
Surowe, proste, szare.

Obdarty wioślarz barkę pcha
Powoli, ciężko, zmudnie,
A róże pachną, a śmiech drga,
A żarem tchnie południe.

I zwraca barka tępy bieg,
Z ładunkiem swym cmentarnym,
Wprost na słoneczny, kwietny brzeg,
Szumiący tłumem gwarnym.

Chwieją się główki pięknych dam
Na lewo i na prawo;
Chcą dojrzéć, co téż płynie tam,
Tą ciężką, płaską nawą?

I na paluszki drobnych stóp
Wspinają się boginie,
A barka rzuca cienia słup,
I cicho, cicho płynie.

Gdyby odmuchnąć lekką mgłę,
Zwianą na wód błękicie,
Każdyby własne imię swe,
Na szaréj dojrzał płycie.

I gdyby silnie napiął wzrok,
Jak łucznik łuk napina,
Dojrzał-by, gdzie się czerni rok,
Dzień skonu i godzina.

I gdyby posłał słuch, jak grot,
Po modrych wód upłazie,
Słyszał-by cichy, cichy młot,
Co napis kuje w głazie.

Lecz kto o śmierci myśléć ma
W rozkosznéj téj drużynie?..
I róże pachną, i śmiech drga,
A barka cicho płynie.

I kopie wiosło grzbiety fal
W głębokie, czarne rowy,
I z pluskiem, z szumem leci w dal
Miłosny śmiech perłowy.

A wiatr z głębiny porwał się
I skręcił czarne wiry,
I na śmiejące usta tchnie
Kościelnéj zapach miry...

III.

U staréj tamy.

U staréj tamy, zgięci w łąk
Od długiéj, ciężkiéj pracy,
Od żrących pyłów ślepi wpół,
Mocują się biedacy.

Zapadłe piersi ledwie tchną,
Pot im zalewa oczy,
Gną się kolana zwiędłych nóg,
A każdy głaz swój toczy.

Trzęsą się czaszki łysych głów,
Mdłym, beznadziejnym ruchem,
W schylonym grzbiecie trzeszczy kość
Wiązaniem twardém, suchém.

Każdy z nich dźwiga tyleż lat,
Co i ta stara tama.
Jak dawno żyją — tego śmierć
Nie pomni nawet sama.

I ciągną taczki, pęki lin,
Dębowe ciągną tramy,
Umocnić chcą ten wątły mur
U staréj, staréj tamy.

Lecz próżno sypią gruz i żwir,
I próżno walą kłody;
Z pod rąk im chwyta wartki wir
Zapory i zagrody.

Chwieje się belka, pęka sznur,
Staczają skał odłamy,
Potężna fala rwie się w mur
Téj staréj, staréj tamy.

A wtedy stają, patrzą w dal
Swym osłupiałym wzrokiem
Za tym ogromnym pędem wód,
Za tchnieniem fal szerokiém.

Zwiędłe im wargi jakiś dziw
I jakiś lęk otwiera...
I patrzą, patrzą, jak z pod nóg
Woda im ląd wydziera.

Ani w nich skargi, ani słów,
Tylko milczenie samo
I zadziwionych chwianie głów
Nad starą, starą tamą.

IV.

A fala płacze.

Zeszły już z toni oczy me,
Rybitwy dwie tułacze,
Co o wód modrość biły się
W nieukojonych lotów śnie —
A fala płacze...

I już ściągnęłam myśli me,
Więcierze te rybacze,
Co idą ślepo gdzieś po dnie
I ostrym żwirem ranią się —
A fala płacze...

I wstałam cicha, i tam, gdzie
Nawietrzny orlik kracze,
Szukam méj drogi, wracać chcę,
I czuję chłodną rosy łzę —
A fala płacze...

Ani się skarżę, ani drżę,
Choć świtu nie obaczę,
I w cichéj, szaréj idę mgle,
Na cichém, szarém nocy tle —
A fala płacze...

Marya Konopnicka.

Napoleon a nowożytne państwo.

(**Taine**: *Les origines de la France contemporaine—Le Régime moderne* I Paris 1891).

Nowa książka Taine'a: Le Régime moderne", jest pierwszym tomem trzeciéj i ostatniéj części wielkiego i pomnikowego dzieła: „Les origines de la France contemporaine". Usprawiedliwiając jéj opóźnienie, zaznacza autor w przedmowie, że przedsięwzięcie było hazardowne" i zadanie od poprzednich daleko trudniéjsze. Dwie pierwsze części bowiem, omawiające „dawne rządy" i rewulucyę, zajmowały się „peryodami skończonemi i zamkniętemi." Łatwiéj było poddać krytyce i rozbiorowi wypadki, których następstwa są całkiem widoczne. Kataklizm dawnéj Francyi, wybuch, przebieg, anarchia, a w końcu anemia rewolucyi nadawały się szczególnie do analizy. Rachunek jest tu skończony. Wszystkie dane, activa i passiva, są znane. Rewolucya należy do przeszłości. Natomiast porządek polityczny i społeczny, jaki po i wskutek rewolucyi powstał, istnieje dziś jeszcze, pomimo że ośm razy zmieniała się w ciągu wieku forma państwa, a niewiadomo, jak się skończy i do czego doprowadzi. Dziś są dopiero cztery akty skończone i nie możemy przewidzieć ani przeczuć końca piątego.

Brak nam perspektywy. A chcąc wyrwać się z koła utartych i błędnych pojęć, wniknąć w siebie i poznać instytucye, wśród których żyjemy, potrzeba wielkiego trudu i długiéj refleksyi. Taine pragnął, wierny swemu zadaniu, zostać historykiem i zachować w sądzie

zupełny spokój i zupełną niezależność od politycznych poglądów i sympatyi. A jednak wpłynęły, jak się okaże, przekonania i mniemania polityka na sąd historyka. I nie mogło być inaczéj, skoro teraźniejszość, budowa państwa, w któréj społeczeństwo żyje i oddycha, była przedmiotem badań. Powstanie, charakter, zalety i wady nowożytnego państwa stanowią bogatą treść czterech rozdziałów książki, napisanéj z wielką erudycyą i niezrównanym artyzmem.

Aby dokładnie poznać całą strukturę państwa, zajął się Taine przedewszystkiém „architektem," który, będąc zarazem właścicielem, wszystkie urządzenia stosował do swego gustu, do swych potrzeb i wogóle do całego sposobu życia. Napoleonowi poświęcony więc pierwszy rozdział. Taine bada charakter i temperament Napoleona, całe założenie i usposobienie téj nadzwyczaj bogatéj i skomplikowanéj natury, wnika w tajniki jego duszy, a w celu poznania jéj podkładu i fizyologicznych momentów, ścisłéj poddaje analizie jego krew i wrodzone instynkta. Napoleon nie był, zdaniem autora, ani Francuzem, ani człowiekiem XVIII wieku, tylko Włochem z téj epoki, w któréj naród włoski był najtęższy i najżywotniejszy w Europie i wszystkie ludy zachodnie pobudzał do życia duchowego, do odrodzenia. Rodzina Bonapartych pochodziła z Toskanii, z ojczyzny Danta, Savonaroli i Macchiavella, a w chwili kiedy słabła energia świeżego i krewkiego średniowiecznego społeczeństwa, opuścił jeden z przodków cesarza Włochy, jakby chciał ratować i zachować dawną siłę i sprężystość, i przeniósł się na wyspę prawie barbarzyńską, na Korsykę. Po mieczu Włoch, po kądzieli był Bonaparte wiernym synem Korsyki, a charakterem zbliżał się bardzo do swéj matki, dzielnéj, stanowczéj, gotowéj rzucić się w największe niebezpieczeństwa, a zdolnéj do najśmielszych postanowień, prawdziwéj Kornelii. Z konieczności został Napoleon Francuzem, ale, chociaż kształcił się w szkole francuskiéj, zachował wrodzone skłonności, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Kultura francuska zdołała obciąć tylko niektóre dzikie gałązki krzewu, który na urwiskach wśród skał rósł, a późniéj olbrzymio się rozwinął, ale już nie na małéj wyspie, tylko w wielkim kraju, zoranym strasznym pługiem, poruszonym i wstrząśniętym burzą rewolucyi.

Napoleon patrzał zrazu całkiem obojętnie na rewolucyę, która we Francyi się zerwała, bo nie był właśnie z krwi i kości członkiem narodu, trawionego gorączką a zagrożonego wojną. Narodowi temu był obcy z pochodzenia i usposobienia. Wyobraźnia i myśl jego zwracały się z lubością ku przeszłości ojczystéj wyspy. Uczucia i sympatye jego zwracały się jedynie w tę stronę; zresztą żadnéj nie miał miłości i żadnéj tradycyi. Wśród szałów i gwałtów rewolucyi zachował Napoleon chłód i spokój, a na rozgrywające się krwawe sceny

patrzał, jak widz ciekawy; nie był też wcale entuzyastą, nie przejmował się wielkiemi ideami, tylko odnosił wszystko do siebie. Przez atawizm odezwały się w nim instynkta włoskich kondotyerów a rozwinęły się potężnie. Cała tęgość i wszechstronna zdolność natury włoskiéj z XIV i XV objawiły się raz jeszcze z całą siłą. A nigdy i nigdzie nie tryskała natura ludzka tak bujném i pełném życiem, jak we Włoszech w czasie od Dantego aż do Michała Anioła, Cezara Borgii, Juliusza II i Macchiavella. Umysł człowieka pracował wtedy z niezwykłém naprężeniem i skupieniem.

Po trzech wiekach służby stępiał nasz „mózgowy mechanizm“ i utracił swą sprężystość i wytworność; jest strudzony nadmiarem pracy umysłowéj a obciążony balastem już utartych idei i krępowany rutyną i obowiązkową specyalnością. Bonaparte był szczęśliwym a może ostatnim epigonem duchowych potentatów z najświetniejszéj epoki historyi włoskiego narodu, a pewno wogóle zachodniego społeczeństwa. Mózg jego funkcyonował z nadzwyczajną energią, pracował ustawicznie i z natężeniem, pomimo fizycznego znużenia, nawet wsród wybuchów namiętności i ataków gniewu. Umysł jego celował i zdumiewał, nie tyle przenikliwością, ile giętkością, rzadką zdolnością, aby od razu zmienić kierunek myśli a nic nie uronić z swéj przytomności i sprężystości. Wistocie nie było może nigdy mózgu tak doskonale wyćwiczonego i usposobionego do pracy, skrzętnéj i żywotnéj (jamais il ne fonctionne à vide).

Taine czyni tu głęboką uwagę, że od trzech wieków coraz więcéj tracimy pod wpływem wychowania trzeźwy i bezpośredni pogląd na świat. Nie patrzymy na rzeczywistość, na ludzi czujących i działających, tylko uczymy się statystyki, historyi, literatury i filozofii, zapoznajemy się z różnemi teoryami i pojęciami. Umysł nasz lubuje się coraz więcéj w abstrakcyach, a oddala się od rzeczywistości. Ztąd też są nasze pojęcia o życiu niewyraźne i nedostateczne, ztąd budzą się pragnienia, życiu przeciwne, powstają chimery i utopie w umysłach, przewrotnie kształconych i do życia zgoła nieprzygotowanych. Umysł Napoleona, wciąż ku życiu zwrócony, zachował dawną trzeźwość i jasność. Wszystkie pojęcia wyrobiły się na podstawie własnych doświadczeń i obserwacyi. Książki mogły mu nasunąć niektóre kwestye, ale tylko doświadczenie je roztrzygało. Napoleon czytał mało i pobieżnie; nie szukał w książkach mądrości i natchnienia. Praca jego była zawsze oryginalna i wprost zwrócona ku poznaniu ludzi i świata. Przez zetknięcie się z życiem a nie przez spekulacye wykształcił się jego umysł we wszystkich kierunkach i we wszystkich równą okazywał rzutkość i zdolność, w pokoju i w wojnie, w polityce i w administracyi.—W sztuce panowania i używania

ludzi uwydatniał się szczególniéj jego geniusz. Napoleon przenikał ludzi i umiał po mistrzowsku grać na różnych strunach ludzkiéj natury. Charaktery, zdolność i słabość ludzi były w jego umyśle jakby cyframi wyrażone i oznaczone na tablicy psychologicznéj. To téż rozporządzał ludźmi z matematyczną pewnością, a rozkoszował się w rządzeniu. „Kocham władzę, powiedział sam o sobie, jak artysta, jak muzyk kocha skrzypce, lubię z nich wydobywać tony, akordy i harmonię".

W potężnym mózgu Napoleona mieścił się olbrzymi materyał, topograficzny, statystyczny i biograficzny, ale była to tylko część jego intelligencyi. Po-nad wszystkiemi zdolnościami górowała wyobraźnia. W tym zdumiewająco trzeźwym człowieku był poeta, a polot jego myśli nie znał granic. Napoleon marzył o olbrzymich monarchiach, takich, jakie na wschodzie kiedyś istniały, o przekształceniu świata, o utworzeniu nowéj religi, a przedewszystkiém o wskrzeszeniu w Europie monarchii Karola Wielkiego, o wielkiém państwie francuskiém, które-by było wszystkich państw ojczyzną. Paryż miał zostać stolicą świata i wzrość do olbrzymich rozmiarów. To było najmilsze marzenie Napoleona, unoszące trzeźwego polityka po-nad wszelkie możliwe kombinacye polityczne w świat ułudy i utopii. Pogrobowy brat Dantego, Michała Anioła, zrywał się do tytanicznych przedsięwzięć. Taką była istota jego ducha, taką jest treść intelligencyi.

Ale i z charakteru był Bonaparte nieodrodnym synem swéj włoskiéj ojczyzny. Przez trzy wieki osłabła siła uczuć i namiętności, widoczna w epoce odrodzenia. Człowiek więcéj i głębiéj czuł wtedy, doznawał silniejszych wrażeń i wzruszeń. Ta gwałtowność natury i energia zanikły, ale odżyły i objawiły się raz jeszcze w tym wielkim epignonie XV wieku. Te same są u niego impulsa i te same nerwy, co u przodków włoskich; te same téż u niego powtarzają się wybuchy namiętności i wezbranych uczuć, kończące się czasem konwulsyami. Przyświecała mu jednak wciąż myśl przewodnia i nie pozwalała zboczyć. Wszystkie jego myśli, pragnienia i namiętności, mają ostatecznie jeden cel, tak, jak z jednego wypływają źródła, z egoizmu, który przenikał całą jego istotę.

Egoizm jego nie bierny, ale czynny, rozwinięty przez wychowanie i stosunki, a nadto wciąż potęgowany powodzeniem, był w końcu podobny do potworu, który wszystko pochłaniał. Olbrzymie „ja" łamało wszelki opór, tłumiło wszelką indywidualność i absorbowało całe życie narodu. Już w małym chłopcu objawiał się rażąco egoizm, który ustawicznéj doznawał podniety wśród społecznego i moralnego upadku na Korsyce, gdzie w XVIII wieku taki sam stan rzeczy panował, jak we Włoszech w XV wieku. Pierwsze wrażenia Napoleona

były takie, jakich doznawał Borgia i Macchiavel. W młody umysł wraziło się pojęcie, że życie jest walką. Pojęcie to utwierdziło się później podczas rewolucyi francuskiéj. Nie obałamucony szumnemi teoryami, przeniknął młody umył od razu istotę rewolucyi i zrozumiał, że człowiek przed strasznym staje dylematem: albo zwyciężyć, albo zginąć. Napoleon chciał zwyciężyć i wydobyć się z chaosu, pragnął tego całą duszą, a miał po temu siły, aby nie utonąć w mętnych nurtach rewolucyi. Coraz więcéj wyrabiała się u niego świadomość własnéj potęgi, świadomość dróg, jakie prowadziły do upragnionego celu. Napoleon wiedział, że narodowi francuskiemu potrzeba człowieka czynu, naczelnika, opromienionego sławą, a nie ideologa, walczącego teoryami i frazesami. W Egipcie przywykł już do samodzielnego działania, nie poddanego zgoła żadnéj kontroli, przywykł do absolutnych rządów wschodniego satrapy. Rosła niezmiernie żądza władzy i ambicya, wrodzona jego naturze i złączona ściśle z całą jego indywidualnością. Ambicya przenikała i poruszała do głębi całą jego duszę, całe jego jestestwo, wszystkie jego władze, myśli i uczucia. Nie cierpiał i nie znosił nikogo nad sobą, ani obok siebie. Wszyscy stawali się jego powolnemi i ślepemi narzędziami. Napoleon był absolutnym panem ludzi, ich duszy, i ciała, i życia, i nadużywał według swéj woli aż do zupełnego wyczerpania, rządził absolutniéj i despotyczniéj, niż Ludwik XIV i więcéj jeszcze od niego był zajęty i przejęty swą władzą, swém „wiecznem *ja*.“ Zamiast siebie poddać państwu, poddawał państwo sobie. Wzrok jego nie sięgał po-nad krótkie życie olbrzymiego, ale jednak znikomego „ja“. To téż poświęcał przyszłość teraźniejszości, naród jednostce, umiłowanéj miłością własną a może nawet ubóstwianéj.

Dobro publiczne było w jego mózgu widziadłem i chimerą. Nie chodziło mu o kraj, o byt i spokój przyszłych pokoleń, tylko o siebie, o to, aby uczynić zadość swéj niepohamowanéj ambicyi. Trwałe zdobycze osłabił przez niepotrzebne anneksye i tym sposobem naraził przyszłość państwa. Bonaparte i jako cesarz został tém, czém był z natury—kondotyerem i rycerzem szczęścia. Nad przepaść zaprowadził Francyę, zniszczył i wyczerpał. Znikomém było téż jego dzieło, pomimo piętna geniuszu, bo egoizm był przewodnim motywem całéj budowy. Jakim był architekt, takim jego gmach!

Wprawdzie nie o wszystkiém stanowił architekt; dużo zależało téż od materyału, którym rozporządzał. A jeżeli kto uprawniony do oceny materyału, jaki Napoleon zastał, to autor Jakobinów. Taine nawiązuje w drugim rozdziale rzecz do ostatniego tomu Rewolucyi, charakteryzując raz jeszcze kilku rysami położenie Francyi w krótkim, ale niezmiernie doniosłym okresie, od r. 1789 do 1798, od chwili upadku dawnéj Francyi aż do Napoleona.

Już w chwili zwołania stanów generalnych nie był materyał pocieszający i nie wróżył dobrego końca. Ludzie byli zanadto wrażliwi i zapalni, zanadto wzajem zawistni, nie mieli doświadczenia i przygotowania politycznego. Przez dziesięć lat silili się rewolucyjni prawodawcy, ażeby urzeczywistniać ideały, oderwane od życia. Co zdziałali, było teoretycznie bez zarzutu i logiczną konsekwencyą politycznych teoryi, ale było właśnie dlatego utopijne i niewykonalne. „Konstytuanta“ zniszczyła monarchię i godność królewską; ciało prawodawcze zrzuciło króla z tronu, konwencya zaprowadziła go na gilotynę. Jedni pochłaniali drugich: większości upadały przez mniejszości. Liberalne konstytucye doprowadziły do despotyzmu i centralizmu. Demokratyczne i parlamentarne ideały zawiodły. Rząd posługiwał się fanatykami i awanturnikami, żył z dnia na dzień, znienawidzony i narażony na ustawiczne rewolucye i zdrady. Trzymał się tylko przez brutalny teroryzm. W r. 1799 było położenie gorsze, niż na początku rewolucyi. Materyał ludzki zepsuł się jeszcze znacznie. Widoczne było rozlóźnienie wszelkich węzłów karności i ładu. W kraju była wszelka władza podkopana i zwichnięta. Reprezentacya narodu była coraz gorsza. Od r. 1791, od wprowadzenia i zastosowania pierwszéj konstytucyi, byli rzekomi przedstawiciele kraju intruzami i uzurpatorami. Rozbicie ciała prawodawczego, według fantastycznego pomysłu ks. Sieyès, na trybunat, który dyskutuje, a nie uchwala, na ciało reprezentacyjne, które uchwala a nie dyskutuje i na senat, którego zadaniem było paraliżować wszystko, utrudniało i wprost uniemożliwiało współdziałanie wszystkich czynników i utrzymanie równowagi wewnętrznéj. Respublika nie mogła się ostać na tak chwiejnéj podstawie. Komedya plebiscytów skończyła się cesarstwem. Z anarchii wyłonił się despotyzm. Było to okropne, a jednak nieuniknione ryzyko. Ten sam człowiek był opiekunem i tyranem. Społeczeństwo żyje spokojniéj i bezpieczniéj, ale jest zmuszone poddać się zupełnie samowoli i kaprysom, wyobraźni i ambicyi tego, który opanował burzę. Takie są nieszczęsne owoce rozpasania społecznego.

Ale już dawno przed rewolucyą wyrabiały się we Francyi absolutne rządy. Od trzech wieków i nawet dawniéj, tłumiła władza publiczna samodzielność i samorząd społeczeństwa. Zamierało, czy już całkiem zamarło dawne życie na prowincyi, powstawała i wciąż się wzmagała władza centralna. Od czasów Filipa Pięknego zaczęła się Francya przekształcać w jednolitą i absolutną monarchię, a kiedy ta zachwiała się w drugiéj połowie XVIII wieku, powstała teorya o kontrakcie społecznym, o równości i wszechwładzy ludu. Naturalnym wynikiem tego rewolucyjnego credo była wszechwładza państwa, a w dalszém następstwie absolutyzm tego, który, nie tyle prawem

plebiscytu, ile siłą geniuszu, stanął na czele państwa. Nowa Francya, pisze Taine, nie utopijna, komunistyczna i spartańska Robespiera, ale jednak zniwelowana, jednolita, wykuta jakoby z jednego kruszczu, jedném słowém taka Francya, jakiéj pragnęli Richelieu i Ludwik XIV, była dziełem, przygotowaném przez praktyki i teorye tak monarchii, jak rewolucyi, a ostatecznie skończoném przez alians filozofii i szabli, przez Napoleona.

A stać było na to jego geniusz, aby dzieło, zaczęte i przygotowane wspaniale, wykończyć i prawdziwie klasyczną stworzyć budowę. Zresztą wielki plan budowy, w zarysie w umyśle architekta gotowy, wynikał z jego wrodzonych skłonności i dążności. Instynkt despotyczny, a nadto wychowanie klasyczne, zdecydowały o pojęciach społecznych, zupełnie sprzecznych z duchem starożytnym, pogańskim i rzymskim. Nowożytny Cezar uważał życie społeczne nie za koncert inicyatyw, z dołu pochodzących, tylko za wypływ woli powag, z góry narzuconych. Powstała tedy klasyczna budowa, pełna symetryi, podobna w stylu do dzieł Mansart'a i do pałacu Wersalskiego, przypominająca francuską literaturę XVII i XVIII wieku. W dawnéj porysowanéj, przebudowywanéj i naprawianéj budowie, widoczne były ślady dziesięciu różnych stylów i dziesięciu różnych epok. Nowa Francya była jakoby z jednego głazu wykuta, prawdziwe arcydzieło ducha klasycznego, podobne do dzieł Cezarów rzymskich, owych wielkich parweniuszów, Napoleonów z Sirmium lub Scutari. Jak wielcy rzymscy poprzednicy, uważał Napoleon uniwersalną monarchię za dobrodziejstwo Europy i ludzkości.

W istocie był też Bonaparte niewątpliwie dobrodziejem narodu i zbawcą Francyi w chwili, w któréj się zjawił. Dwa były wtedy rodzaje potrzeb skołatanego społeczeństwa: najprzód i przedewszystkiém te, które istniały dopiero od wybuchu rewolucyi i były wywołane rewolucyą, a daléj te, które już dawno przed rewolucyą były widoczne i ją właśnie wywołały. Pierwsze były naglące, bo wynikały z fizycznéj prawie konieczności, aby odetchnąć po brutalnych gwałtach i strasznych egzekucyach, po szaleństwach i okrucieństwach teroryzmu. Trzeba było spieszyć z pomocą, uciszyć przejmujący krzyk nieszczęśliwych i zagoić świeże rany, zadane dziką amputacyą. Teroryzm i absolutyzm jakobiński zniszczył materyalne i moralne dobra społeczeństwa, wydzierał własność prywatną, krzywdził różne instytucye i instytuty, zagrabił kościelny majątek i fundusze, przeznaczone na szkoły, rozpędził i wygnał tych, którzy wychowaniem się trudnili. Zabrał wszystko społeczeństwu, a nic w zamian nie dał i nie zabezpieczył.

Napoleon wrócił społeczeństwu utracone i wydarte dobra, wrócił spokój publiczny, zapewnił regularną administracyę, wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo osobiste, zapewnił mienie i życie, uposażył szkoły, szpitale i dobroczynne instytucye, jedném słowém: radził o kraju i wszystkich jego potrzebach i usunął to, co dręczyło społeczeństwo od r. 1789. Ta niejako ratunkowa akcya Bonapartego była jego wielką zasługą.

Były jednak potrzeby, które już przed rewolucyą dawały się przykro uczuwać, a mianowicie jedna, najdawniejsza, a do głębi przenikająca całe społeczeństwo, potrzeba sprawiedliwości w rozdzielaniu ciężarów publicznych. Już od kilku wieków nie było we Francyi pod tym względem najmniejszéj proporcyi. Większość pracowała i cierpiała, a mniejszość używała. Rewolucya nie zaradziła temu złemu, tylko je zmieniła. We Francyi rewolucyjnéj było jeszcze mniéj sprawiedliwości, niż w monarchicznéj. Stany, uprzywilejowane za monarchii, były przez rewolucyę uciskane i prawie tępione. Przed rokiem 1789 istniała oligarchia szlachty i notablów, wśród rewolucyi powstała daleko straszniejsza oligarchia jakobinów. Temu ekonomicznemu, społecznemu i moralnemu niebezpieczeństwu potrafił zaradzić genialny architekt, rozumiejący doskonale, że budowa stoi proporcyą. Napoleon opierał swe panowanie na zasadach równości i sprawiedliwości, nie cierpiał pasorzytów, postępował wogóle jako dzielny, oszczędny i oględny zarządzca i przedsiębiorca, a nie jak wielki a rozrzutny pan. Państwo pociągało wszystkich do różnych ciężarów, bo wszystkim w równym stopniu gwarantowało bezpieczeństwo mienia i osoby. Zasada równości, wygłoszona szumnie przez rewolucyę, była dopiero urzeczywistniona przez Napoleona i zastosowana do całego systemu opodatkowania. Doskonały zarząd doprowadził do świetnych rezultatów. W r. 1789 miało państwo tylko 475 milionów dochodu; rewolucya żyła wyłącznie z kapitałów zagrabionych i z długów zaciągniętych. Za konsulatu i w pierwszych latach cesarstwa wynosił dochód 800 milionów. Równocześnie został zmniejszony podatek życia i krwi, z całą bezwzględnością ściągany podczas wojen rewolucyjnych. Napoleon uważał się wprawdzie także za wierzyciela społeczeństwa i stawiał wygórowane wymagania; ale był przecież o tyle rozumnym i wyrozumiałym, że zaprowadził pewne ulgi, uwzględniając pewne położenia i stosunki. Prawo wojskowe było „znośne“, zwłaszcza w pierwszych latach jego rządów. Później urósł jednak strasznie militaryzm i stał się zarazą, szerzącą się z jednego kraju do drugiego.

Z początku ujął jednak Napoleon społeczeństwu ciężaru powszechnéj służby, zaprowadzonéj przez rewolucyą. Urzeczywistnił dopie-

ro w całéj pełni ideał, ogłoszony przez rewolucyę, ale w powietrzu zawieszony, w świecie abstrakcyi i złudnych obietnic, a nadto zeszpecony przez jakobinów, ideał równouprawnienia, odpowiadający szlachetnemu, a narodowi francuskiemu wrodzonemu, uczuciu równości. Wprawdzie plebiscyty były komedyą, ale w téj komedyi mieli przynajmniéj wszyscy równe role; nie istniały i nie miały znaczenia żadne przywileje, żadne różnice stanowe i rodowe. Dla talentu były wszystkie zaszczyty i stanowiska dostępne, wszędzie była droga otwarta. Budzą się téż nowe, dawniéj uśpione i tłumione, ambicye. W człowieku dokonała się rewolucya, w jego do głębi poruszonéj i wstrząśniętéj duszy. Nadzwyczajna siła ducha porusza i popycha człowieka na widownię dziejową, podobnie jak w średnich wiekach podczas wojen krzyżowych, w Arabii za Mahometa, w Hiszpanii w XVI wieku. Powstają i jaśnieją natchnieni bohaterowie, niezwyciężeni świata zdobywcy.

Ale na téj pochyłości upada się szybko i nisko. Jednostka swobodna, przeświadczona o swéj zdolności, a trawiona ambicyą, staje się centrem świata i przestaje istnieć dla świata. Przykład był z góry dany przez tego, który podejmował wyprawy bez końca, bez miary i bez opamiętania. Napoleon usunął dawne zapory, jakie krępowały człowieka, i urzeczywistnił jeden z wzniosłych ideałów rewolucyi; ale wprowadził, jako główną sprężynę w działaniu ludzkiém, ambicyę niepohamowaną i nagi egoizm, tak, jak sam był egoistą.

Cała administracya była téż dziełem egoisty. Władza centralna była „intruzem“, wkraczającym bezwzględnie w całe życie społeczeństwa, w zarząd każdéj prowincyi i gminy. Wszystko, co zostało z dawnéj organizacyi prowincyonalnéj i gminnéj, co centralizacya monarchiczna uszanowała, zniszczyła do szczętu rewolucya, zniszczył ten, który jéj dzieło daléj prowadził i z właściwą sobie logiką przeprowadził,—Napoleon. Społeczeństwo nie należało do siebie, tylko do rządu, który sam cały organizm chciał poruszać i w ruchu utrzymać. Cesarz miał czy chciał mieć „wszelkie atrybucye bóstwa, nie tylko wszechwładzy i wszechobecności, ale także i wszechwiedzy“. Powiedziano o nim: „to więcéj niż człowiek, to szatan“. Magiczny wywierał wpływ nawet na takich, którzy go nie znali i nigdy nie widzieli. Wzrok jego przejmował trwogą i zmuszał do bezwzględnego posłuszeństwa. Z przekonania czy z obawy, zrzekali się ludzie swéj woli dla tego piorunującego olbrzyma. Napoleon stał się panem i duszą całego państwa.

Ale i po upadku cesarstwa, za pierwszéj i drugiéj restauracyi, została władza centralna taką, jaką dawniéj była, zatrzymała te same atrybucye i wkraczała wciąż w ten sam sposób w najdrobniejsze

sprawy. Burbonowie „spoczęli w łożu Ludwika XIV, tylko obszerniejszém, bo rozszerzoném przez rewolucyą i cesarstwo, a zastosowaném do figury Napoleona“. Restauracya nie wskrzesiła owych licznych związków lokalnych (societé locale), stanowiących naturalną i najtrwalszą organizacyę. Uczucie, w Anglii tak bardzo rozwinięte przez selfgovernement, słabnące we Francyi już pod koniec dawnych rządów monarchicznych, słabnące coraz więcéj pod ciosami rewolucyi, zanikło całkiem wśród uścisków cesarstwa. Po rewolucyi nastąpiła reakcya i restauracya, ale nie dźwignęła tego, co było zburzone i nie naprawiła kardynalnego błędu budowy państwowéj. Podstawy jéj i wewnętrzne urządrzenie zostały niezmienione, pomimo przewrotów i rewolucyi, jakie Francyą miotały w XIX wieku. Budowa ta „budzi niechęć społeczeństwa i zbliża do ruiny“.

Złowrogą przepowiednią kończy więc Taine charakterystykę i krytykę nowożytnego państwa. Śmiała krytyka autora wynika z pojęć jego o istocie i kompetencyach państwa, o granicach życia publicznego i prywatnego i o stosunku rządu do społeczeństwa. Pojęcia te nie są rezultatem naukowych badań. Nie chodzi tu bowiem o rozwiązanie ściśle naukowego problematu, tylko o rzeczywisty problemat życiowy, o zadanie, przed jakiém w życiu społeczeństwo staje. Niéma tu i nie może być takiego rozwiązania kwestyi, które-by trzeba uważać za ostateczne i absolutnie dobre. Nie można przecież życia ujmować w niezmienne formy i absolutną przykładać miarę do różnych wieków i różnych narodów. Jeżeli więc w jakiéj kwestyi subjektywizm autora wystąpi z pewnością, to w teoryach o atrybucyach państwa i o stosunku rządu do życia indywidualnego. Taine poświęcił téj staréj, a zawsze jednak nowéj i żywotnéj kwestyi, dwa dłuższe ustępy, uchwycone głęboko, a napisane z całym zasobem historycznego i filoficznego wykształcenia. Przebija się w nich znakomicie zmysł, pragnący dotrzéć do dna rzeczy. Taine sięga do pierwszych potrzeb człowieka i do samych początków życia politycznego i państwowéj organizacyi. Zasadnicze te ustępy należą więcéj do literatury politycznéj, niż historycznéj, a jednéj i drugiéj mogły-by stanowić ozdobę. Ostateczną konkluzyą wywodów Taine'a jest twierdzenie, a raczéj zasada, że państwo ma tylko obowiązek opiekować się poddanym, strzédz go przed zewnętrznym i wewnętrznym wrogiem. Taine mniema zatém, że państwo nie ma prawa mieszać się do walki stanów i samodzielnie starać się o rozwój społeczeństwa. Ta zasada stanowiła kryteryum sądu o nowożytném państwie. Sąd wypadł téż ostro. Słowa potępienia posypały się mianowicie na tego „architekta“, który, zdaniem Taine'a, wzniósł budowę, przygniatającą wszelkie indywidualne życie.

Nasuwa się jednak przedewszystkiém pytanie: czy w istocie można Napoleona uważać za architekta budowy nieszczęsnéj, pozbawionéj miary? czy ambicya i egoizm parweniusza-egoisty zdecydowały charakter państwa nowożytnego? Wprawdzie powiedział Taine, że nigdy w historyi charakter indywidualny nie wpłynął tak stanowczo na „dzieło zbiorowe“; ale, mimo to, przecenia autor ten wpływ i zaczęsto go podnosi. Sam Taine uwydatnił i rozwinął znakomicie, że budowa państwa nowożytnego zaczęła się wcześnie, że pracowali nad nią Filip Piękny, Ludwik XI, Richelieu i Ludwik XIV. Już za monarchii zaczynała się i wyrabiała centralizacya w całém życiu politycznem i duchowém. A co rewolucya zdziałała, co i jak w dawnéj Francyi zburzyła, co natomiast postawiła, tego nikt dokładniéj i barwniéj nie przedstawił, jak Taine. Napoleon nie był twórcą ani inicyatorem dzieła, potępionego przez Taine'a, lecz raczéj genialnym wykonawcą pomysłów i zasad, wygłoszonych wśród rewolucyi. Nie wszystko zależało od jego gustów, instynktów, od jego krwi włoskiéj i natury „kondotyera.“ Taine popada w niekonsekwencyę, przedstawiając Napoleona na samym wstępie, jako „budowniczego“ nowożytnéj Francyi, twierdząc wyraźnie: „il a fait la France moderne“, a rozwodząc się późniéj nad tém, że budowa nowożytnego państwa francuskiego zaczęła się z upadkiem świata feudalnego, że w ciągu wieków pracowali nad nią Filip Piękny, Richelieu i Ludwik XIV, że rewolucya, przez gwałty i szaloną gospodarkę jakobińskich despotów i centralistów, zmierzała na swój sposób do wytworzenia jednolitego organizmu. Zachodziła tu téż wielka trudność, aby zaznaczyć granice, o ile potężna indywidualność wpływa na bieg wypadków, a o ile jest dziejowego rozwoju i procesu wynikiem, o ile na epoce indywidualne wyciska piętno, a o ile jest wyrazem ducha epoki.

Ranke, głoszący nieraz ze znacznych wyżyn wielkie prawdy, powiedział: „Wielcy ludzie nie tworzą swych czasów, ale nie są téż ich wytworem. Są to duchy oryginalne, które w walkę idei i potęg świata wkraczają.“ Mniemamy, że Taine pominął pierwszą część głębokiéj prawdy, wypowiedzianéj przez niemieckiego myśliciela, i za mało uwydatnił, o ile Napoleon „nie stworzył swych czasów“, a natomiast cały nacisk położył na oryginalność jego umysłu i charakteru, na elementarną prawie siłę jego niezwykłéj natury, na to, jak Napoleon wkroczył w walkę idei i potęg, jak zajaśniał na widowni i światem owładnął.

Charakterystyka Napoleona, umieszczona już przed kilku laty w „Revue des deux mondes“, wywołała prawdziwą sensacyę, liczne krytyki i protesty, między któremi szczególną na siebie zwróciła uwagę silnie napisana odpowiedź ks. Hieronima Napoleona: „Napo-

leon et ses détracteurs.“ Zarzut oszczerstwa spotkał historyka téj miary i powagi, co Taine, za jedną z najświetniejszych charakterystyk, jakiemi historyografia poszczycić się może. Nikt nie przedstawił tak po mistrzowsku potęgi geniuszu Napoleona, nikt nie podniósł tak wysoko téj intelligencyi, świadczącéj o zachowaniu całéj świeżości i sprężystości ludzkiéj natury, o niezużytéj i niewyczerpanéj sile władz umysłowych, właściwéj wielkim ludziom w epoce odrodzenia. Ale téż nikt nie wydał o charakterze bohatera tak ostrego sądu, nikt nie odsądził go tak od wszelkiéj myśli, wykraczającéj po za nieszczęsne „ja“, wprawdzie potężne, ale jednak tylko „ja.“ Nikt nie nazwał Napoleona „kondotyerem.“

Taine starał się widocznie przeniknąć istotę i naturę tego „demonicznego geniuszu“, a opierając się na analizie fizyologicznéj, widział w Napoleonie tylko Włocha z epoki odrodzenia i syna Korsyki. Pochodzenie i urodzenie miały już wszystko wytłómaczyć: jego geniusz i wielkość, a zarazem jego potworność i egoizm bez miary. Otóż analiza fizyologiczna, zdaniem naszém, tu zawiodła i doprowadziła do wniosków, zadaleko idących.

Nie myślimy stawać w obronie zasad i etyki Napoleona, ale, wbrew zdaniu Taine'a, który w nim widzi tylko kondotyera z XV wieku, uważamy go za syna téj epoki, w któréj żył i działał, za syna rewolucyi, która Francyą i całém europejskiém społeczeństwem pod koniec XVIII wieku wstrząsnęła; uważamy go za objaw tych niepohamowanych dążeń, z jakiemi kończył się XVIII a zaczynał XIX wiek. Napoleon nie wywołał i nie obudził owéj gorączkowéj potrzeby rzucania się w świat, owéj „rewolucyi wewnętrznéj“, jaka w człowieku się dokonywała, tylko sam właśnie najlepiéj ją wyobrażał i uosabiał. Taine mówi, że nowa siła ducha objawiła się pod koniec XVIII wieku, przypominająca najwspanialsze epoki w historyi świata; ale trzeba zwrócić uwagę na to, że już przed Napoleonem zapowiadała się we wszystkich kierunkach ta siła, która najpotężniejszy znalazła wyraz w tym „pogrobowym bracie“ Michała Anioła, a jednak nieodrodnym synu swéj epoki. Napoleon jest zapowiedzią tych pragnień bez miary „ins Unbetretene nie zu Betretende“, z jakiemi ludy w XIX wiek wstępowały. Z innego kruszcu trzeba-by mu pomnik stawiać, niż włoskim kondotyerom, i inną do niego przykładać miarę.

Bronisław Dembiński.

METEOR

W PIŚMIENNICTWIE NIEMIECKIÉM.

Ponieważ tytuł powyższy mógłby w czytelniku mylne wzbudzić przypuszczenie, że idzie tu o nowe jakieś zjawisko, o nową gwiazdę na widnokręgu literatury niemieckiéj, pośpieszam więc objaśnić, że ten, do którego się ów tytuł odnosi, urodził się przed stu laty (23-go Września 1791 r. w Dreźnie), a umarł lat temu 78, jako młodzieniec niespełna 22-letni, zabłysnąwszy na horyzoncie poezyi, jak meteor, światłem silném, lecz krótkotrwałém.

Młodzieńcem tym był *Teodor Körner*, którego spółcześni skrzywdzili, nazywając go Tyrteuszem niemieckim. Tyrteusz, według podania, pieśni swoje, rozpłomieniające Spartan do walki przeciw Meseńczykom, śpiewał na uboczu, w zaciszu domowém; Körner ogniste swe peany do rodaków tworzył śród huku dział i szczęku oręża.

Wiekową właśnie rocznicę urodzin tego młodzieńca, którego działalność literacka trwała zaledwo lat cztery, obchodzić będą w przyszłym miesiącu Niemcy.

Niewielu ludziom los pomyślny dozwolił wzrastać w okolicznościach tak sprzyjających rozwojowi ducha i umysłu, jak młodemu Körnerowi. Ojciec jego, Bogumir (Gottfried), radca apelacyjny, człowiek wysoko wykształcony, zostający w stosunkach zażyłości w wieloma znakomitościami spólczesnemi, jak Göthe, Schiller, Wilhelm Hum-

boldt, Oehlenschlaäger i inni, pojmował doskonale, że umysł młodzieńca powinien wyrabiać się swobodnie, niekrępowany zbytecznie pedantycznemi wymogami szkolarstwa, które niejednę zdolność, niejeden talent samoistny stłumić lub zwichnąć mogą. System jego wychowawczy polegał na tém, że nie obciążając syna balastem ciężkiéj uczoności, i dziś jeszcze w wielu zakładach naukowych do zbytku stosowanym, nie pomijał jednak niczego, co zdolne było dać mu ogólne wykształcenie humanitarne. Niektóre w niém szczerby pozostawiał do zapełnienia latom dojrzalszym, powodowany przekonaniem, że nieprzetrawione mędrkowstwo wpaja w młodzież zawczesne uroszczenie do męskiéj, głęboko sięgającéj działalności, rozwija w niéj zarozumiałość i sprawia, iż sama właśnie burzy to, co zbudować lub przekształcić zamierzała. Światły wreszcie ojciec dbać musiał nadto i o fizyczne ukształcenie wątłego w dzieciństwie chłopca, wiedząc, że z młodzieńca, przykutego dzień cały do stolika, rzadko kiedy wyrasta mąż dzielny, zarówno krzepki cieleśnie i duchowo.

Przy tak rozumnym trybie wychowania, młody Teodor, jedyny syn swych rodziców, pod kierunkiem dobrych nauczycieli, kształcił się w literaturze ojczystéj, historyi, naukach przyrodniczych i matematyce. Mniéj zato posiadał zdolności do języków, z których zwłaszcza francuski jakimś nieokreślonym przejmował go wstrętem. Chłopczyna nie należał bynajmniéj do tak zwanych dzieci cudownych, okazujących w pierwszém zaraniu życia nadzwyczajne talenta, skierowane najczęściéj tylko ku zadowoleniu próżności rodziców; ale już wtedy łatwo było w nim dostrzédz serce tkliwe, niezłomną siłę woli, gorące umiłowanie celów idealnych, wrażliwą wyobraźnię, a nadewszystko wczesny pociąg do poezyi, który ojciec, mający wysokie o sztuce pojęcie, na razie tylko tolerował, nie zachęcając go wcale.

Mając lat 17, Teodor udał się do akademii górniczéj we Freibergu. Górnictwo pociągało go swoim charakterem poetycznym i związanemi z niém naukami pomocniczemi, jak chemia, fizyka, geologia, do których szczególne czuł zamiłowanie. W lecie 1809-go roku odbył równie przyjemną, jak pouczającą wycieczkę pieszą do Łużyc i w góry szląskie, których wspaniałe widoki potężny wpływ na młodego poetę wywarły. Powstały wtedy jego „*Sonety duchowne*," niewytworne jeszcze formą, lecz ujmujące prostotą i nawskroś przejęte uczuciem religijném.—Z Freibergu Körner w r. 1810-ym przenosi się na uniwersytet lipski, gdzie studyuje z zapałem historyę, filozofię, a nawet anatomię. Wówczas téż ukazał się w druku pierwszy zbiorek ulotnych poezyjek jego, p. t. „*Pączki*" (Knospen), którego wydaniu ojciec nie stawiał przeszkody, pragnąc, żeby poczynający pisarz usłyszał

zdanie krytyki o ujemnych także stronach swych utworów, dotychczas bowiem przyjaciele i znajomi rękopiśmienne jego próby z wygórowanemi nad zasługę przyjmowali pochwałami.

W Lipsku panowały wtedy pomiędzy studentami nieustanne zatargi. Dwie partye, konserwatywna i pseudo-postępowa, z wielkiém rozgoryczeniem stały przeciw sobie. Młody Körner, nie należąc wprost do renomistów, nie mógł jednak uchylić się od udziału w ich sprawach, a czynił to z niekłamanym zapałem i z tak niepowściągnioną gorliwością w obronie swych przyjaciół, że naraził się władzy uniwersyteckiéj i na początku 1811-go r. opuścić musiał miasto. Po krótkim pobycie w Berlinie, przeniósł się ztamtąd do Wiednia, ze stałym już zamiarem poświęcenia się całkowicie poezyi, i nader szybkie na tém polu w stolicy Austryi zyskał powodzenie. Oto co w tym przedmiocie pisze do niego ojciec:

„Daleki jestem od wstrzymywania cię od tego, co uważasz za swoje powołanie; lękam się tylko, że jeśli już teraz produkcyę artystyczną za główny cel sobie obierasz, to łatwo zaniedbać możesz rzeczy niezbędne do ostatecznego wykształcenia się w sztuce. Niebezpieczny to szkopuł dla artysty, jeżeli, zdobywszy sobie pewną już wprawę techniczną, za łatwym gonić poczyna oklaskiem. Grozi mu wtedy pozostanie na niższym szczeblu doskonałości.... Sztuka niech będzie okrasą twego życia. Poświęcaj jéj najpiękniejsze swoje chwile, lecz nie wymagaj od niéj, aby była twoją żywicielką“.

Wcześniéj jeszcze, z powodu owych zatargów w Lipsku, tak z pobłażliwością i powagą do niego się odzywa:

„Wiész, że trudno mi nie wybaczać tobie, nawet wtedy, gdy mam powód do niezadowolenia, chociaż wyznaję, iż tym razem nie spodziewałem się takiego obrotu rzeczy. Po tém, co zaszło, nie dziw, że wolałeś opuścić Lipsk potajemnie, niż narazić się na półroczne uwięzienie; ale inne znów pytanie, czy tego wszystkiego nie można było uniknąć.... Nie posądzisz mnie pewnie o to, że pragnę zrobić z ciebie pedanta; lecz po młodzieńcu blisko 20-to letnim, któremu nie zbywa na rozsądku i sile woli, można w wypadkach ważniejszych spodziewać się pewnéj rozwagi, można oczekiwać, że nie pozwoli porwać się naoślep prądowi namiętności. Spokój mojego życia polega na wierze w twoją wartość osobistą i przywiązanie do mnie. Wiary téj i teraz nie straciłem. Wiem, żeś niezdolny do czynów nieszlachetnych, że boli cię, gdy mię zasmucisz, że owszém najgorętszém twém życzeniem jest sprawiać mi radość. Znajdziesz łatwo po temu sposobność w nowym peryodzie swojego życia, który teraz rozpoczynasz, a wtedy o przeszłości nie będzie już między nami mowy“.

Łagodna ta wyrozumiałość, połączona z ufnością, zbawiennie oddziałała na szlachetną naturę Teodora. Spłaciwszy dług młodości, nie dał już odtąd porwać się burzliwym jéj popędom, jak o tém świadczą jednogłośnie wszyscy, którzy znali go w Wiedniu. Żywy i wesoły, otoczony urokiem wcześnie zdobytéj sławy, rozchwytywany w towarzystwach, których stał się ulubieńcem, dalekim był jednak od zarozumiałości, a zbliżenie się do zacnego domu Wilhelma Humboldta, nadewszystko zaś miłość ku pięknéj i utalentowanéj dziewicy, która zostać miała dozgonną jego towarzyszką[1]), chroniła go od wszelkich zboczeń, zwłaszcza w stosunku do płci niewieściéj.

W Wiedniu dla talentu młodego poety obszerne otworzyło się pole. Oddany poważnym studyom, nie zaniedbał jednak prac literackich, a szczególniéj płodny był w lżejsze utwory sceniczne. Pierwszemi jego próbami były dwie sztuczki jednoaktowe, aleksandrynami (wierszem 13-to zgłoskowym): „*Narzeczona*“ i „*Zielone domino*,“ grane r. 1812-go w Wiedniu, z wielkiém powodzeniem. Szczęśliwy ten debiut zachęcił go do prac poważniejszych; napisał dwa dramaty jambami, jeden trzyaktowy p. t. „*Toni*,“ drugi jednoaktowy t. t. „*Przejednanie*“. Wkrótce nastąpił pięcioaktowy „*Zriny*“, a po nim dramat trzyaktowy „*Jadwiga*“ i tragedya w pięciu aktach „*Rozamunda*“, wszystkie trzy pisane wierszem jambicznym, bezrymowym. Ostatni jego utwór dramatyczny nosi tytuł „*Józef Heiderich*“ (prozą). W przerwach pomiędzy temi pracami znalazł jeszcze dość czasu na wykończenie trzech sztuczek komicznych p. t. „*Kuzyn z Bremy*“, „*Wachmistrz*“ i „*Guwernantka*“, oraz treści do operetek: „*Rybaczka*“, „*Czteroletni posterunek*“, „*Alfred Wielki*“ i „*Walka ze smokiem*“. Powodzenie, jakie te jego dzieła, a szczególniéj Zriny, zyskały w Wiedniu i na innych scenach niemieckich, stało się powodem mianowania Körnera w r. 1812-ym nadwornym poetą teatralnym, z płacą, jak na owe czasy, bardzo znaczną, 1,500 złr., oprócz honoraryów za prace umową nieobjęte, mogących wynieść drugie tyle. Jednocześnie nie przestawał także tworzyć poezyi lirycznych, do ostatniéj niemal chwili krótkiego życia swego.

Mimo tak świetnego atoli rozpoczęcia zawodu literackiego, na pierwszy odgłos wezwania do broni porzucił wszystko i 19-go Marca 1813 roku zaciągnął się do wojska.

Dnia 15-go Marca młodzieniec opuścił Wiedeń, zaopatrzony w listy polecające od kilku znakomitych wojskowych. We Wrocławiu znany major Lützow gromadził właśnie wtedy słynny swój od-

[1]) Biografowie nie wymieniają jéj nazwiska.

dział ochotników, do którego i Körner się przyłączył, początkowo jako szeregowiec piechoty. Dzielny, wesoły kolega, zjednał sobie wkrótce szacunek i miłość towarzyszów. Nie unikając nigdy niebezpieczeństwa, gdzie ramię jego okazywało się potrzebném, umiał przy tém szczęśliwym swym humorem i talentami ożywiać wesołe kółka towarzyskie. Już wówczas jednak w pieśniach jego i listach drga niekiedy struna smutnego przeczucia śmierci. Tak na przykład w liście do pani P. w Wiedniu, pisze dnia 18 Kwietnia: „Wczoraj wieczorem u jednego z mych przyjaciół było nas przy stole trzynastu. Gospodyni przeraziła się tą liczbą ominalną. Co pani na to powie?“

Wysłany w interesie służbowym do Drezna, zobaczył się tam po raz ostatni z rodziną i otrzymał błogosławieństwo ojcowskie. Za powrotem głos kolegów powołał go jednomyślnie na porucznika. Przeznaczeniem oddziału Lützowa, wzmocnionego już wtedy znakomicie, było głównie prowadzenie wojny partyzanckiéj i urywanie nieprzyjaciela na tyłach. Tymczasem generał dowodzący korpusem używał go nieraz do zasłaniania przepraw lub przyczółków mostowych. Körnerowi sprzykrzyła się wkrótce ta rola bierna; gdy przeto Lützow ze czterema szwadronami jazdy przedsięwziął wyprawę podjazdową do Niemiec północnych, młody porucznik prosił usilnie, aby przeniesiono go do kawaleryi, na co też major się zgodził, mianując go swoim adjutantem. Na téj-to wyprawie Körner, wysłany w charakterze parlamentarza, otrzymał zdradzieckie, jak zapewniają niemieccy biografowie, cięcie pałaszem w głowę, które przez kilka tygodni na przymusową skazało go bezczynność. Wyleczony zupełnie, powrócił do swéj chorągwi dnia 17 Sierpnia i odtąd oddział Lützowa codzień prawie walczył z nieprzyjacielem. Na biwuaku poeta napisał wówczas piękną swą *„Modlitwę podczas bitwy“*. Przytaczam ją tu w moim przekładzie:

Ojcze, przyzywam Cię!
Rycząc, dział paszcze miotają pociski,
Ziejąc, ogniste padają z nich błyski.
Tyś władcą bitew, przyzywam Cię!
Ojcze, przeprowadź mnie!

Ojcze, przeprowadź mnie!
Wiedź mnie do bitew, lub wiedź do niedoli,
Panie, poddaję się kornie Twéj woli.
Jako Sam zechcesz, tak prowadź mnie!
Boże, poznaję Cię!

Boże, poznaję Cię!
Zarówno w liści jesiennych przelocie,
Jako w huczącym śród bitew dział grzmocie,
Źródle wszechwładzy, poznaję Cię.
Ojcze, błogosław mnie!

Ojcze, błogosław mnie!
Życie me w Twoje oddaję władanie,
Dałeś je, toćże i wziąć możesz, Panie.
Na śmierć, na życie błogosław mnie!
Ojcze, uwielbiam Cię!

Ojcze, uwielbiam Cię!
My nie walczymy o dobra téj ziemi,
Świętości bronim mieczami swojemi.
Choć padnę w boju, uwielbiam Cię.
Tobie poddaję się!

Tobie poddaję się!
Gdy wróg w me piersi śmiertelny grot ciśnie,
Gdy zdrój obfity krwi z żył mych wytryśnie,
Tobie, o Panie, poddaję się!
Ojcze, przyzywam Cię!

W dziewięć dni później, 26-go Sierpnia, major Lützów, z częścią swéj jazdy, postanowił zabrać nieprzyjacielowi transport amunicyi i żywności, strzeżony, jak doniesiono, przez dwie kompanie piechoty. Körner, jako adjutant, znajdował się przy boku swego wodza. Na godzinę przed rozpoczęciem walki, młody poeta, o brzasku rannym, nakreślił w pugilaresie słynną swą *„Pieśń o szabli“* i odczytywał ją właśnie jednemu z przyjaciół, gdy dano hasło do ataku. Wiersz ten płomienny, nieco mistyczny, pełen siły i zarazem prostoty, rzucony widocznie na papier jednym tchem, pod wrażeniem chwili, niezmiernie trudny jest do przetłómaczenia. Usiłowałem, o ile to było możliwém, odtworzyć główniejsze jego cechy charakterystyczne, przy ścisłém zachowaniu miary oryginału, która, zdaniem mojém, w utworach tego rodzaju jest rzeczą nader ważną. Jeździec rozmawia z szablą swoją.

Pieśń o szabli [1]).

Ty, szablo, przy mym boku,
Co tak połyskasz w mroku?
Wesoło patrzysz w świat,
Jam, szablo, tobie rad.

„Mnie nosi jeździec dzielny,
„Ztąd uśmiech mój weselny.
„Wolnego-m męża broń,
„Więc rada błyskam doń“.

[1]) Po niemiecku „Schwertlied“. Rzeczownik *Schwert*, będący w języku niemieckim rodzaju nijakiego, musiałem oddać przez *szabla*, nie przez *miecz*, dla uniknięcia sprzeczności w niektórych aluzyach, niepozwalających na użycie rodzaju męzkiego.

Tak, wolny-m rzeczywiście
I kocham cię ogniście,
Na dolę dobrą, złą,
Jak narzeczoną swą.

„Toć me żelazne życie
„Oddałam tobie skrycie.
„Ach, długoż u twych stóp
„Mam czekać na nasz ślub?“

Weselnéj nocy zorzę
Głos surm powita może;
Gdy rykną paszcze dział,
Przy tobie będę stał.

„W zacisznéj méj komnacie
„Stęskniona czekam na cię.
„Kochanku, ufaj mi,
„Wianuszek chowam ci“.

Co w pochwy swéj pokrywie
Tak brzęczysz niecierpliwie?
Jak głuchy bitwy szczęk
Rozlega się twój brzęk.

„O pochwy brzęczę ściany,
„Bo z wrogiem chcę iść w tany;
„Do walki daję znak,
„Dlatego brzęczę tak“.

Pozostań w ciasnéj celi,
Wnet będzie ci weseléj;
Nie wychodź z pochwy ścian,
Za chwilę ruszym w tan.

„O, niech nie czekam dłużéj!
„W ogrójcu z krzewów róży,
„U purporowych łon
„Dojrzewa śmierci plon“.

Już chwytam cię z ochotą,
Ty oczu mych pioszczoto.
Zabłyśnij jako grom
I wnijdź w mych ojców dom.

„Ach, ślicznie na swobodzie,
„W weselnym korowodzie!
„Jak jasno w szarą dal
„Dziewicza błyszczy stal!“

Więc gdyście się zebrali,
Wojacy dzielni — daléj!
Was krwawy czeka znój;
Kochankę wiedźcie w bój.

Z lewicy wprzód nieśmiało
Spojrzenie jéj błyskało;
Lecz u prawicy ślub
Jednoczy aż za grób.

Miłośnie już zadrżało
Żelazne szabli ciało;
Przytulcie je do łon,
Na życie i na zgon!

Niech zagra wam swe pieśnie,,
Aż jasne skry z nich krześnie!
Dzień ślubu świta już:
Hej, szablo, w taniec rusz!

Na trakcie do Świerzyna, w wielkiém księztwie meklemburskoświerzyńskiém, ziemi niegdyś słowiańskiéj, przyszło do starcia. Nieprzyjaciel liczniejszy był, niż się spodziewano, pierzchnął jednak, po krótkim oporze, do przydrożnego lasku. Na czele ścigających pędził Körner i tu znalazł śmierć bohaterską, którą w natchnionych swych pieśniach tak często przeczuwał. Tyralierzy francuscy w gęsto podszytym lasku urządzili zasadzkę, z któréj atakujących gęstym gradem kul obsypywali. Jedna z nich, przeszedłszy wprzód przez szyję jego siwka, ugodziła młodzieńca w środkową część ciała, naruszyła wątrobę i kość pacierzową, odbierając mu odrazu mowę i przytomność. Powierzono rannego opiece biegłego chirurga; ale pomoc ludzka okazała się daremną: duch młodego pieśniarza uleciał w krainę błogosławionych.

Pod dębem na drodze do Wöbbelin (Wybielina), zwłoki poety-żołnierza oddano ziemi z honorami wojskowemi, przy gorących objawach czci i miłości ze strony jego towarzyszów broni. Miejsce to podarowane przez panującego księcia meklembursko-świerzyńskiego ojcu zmarłego, obwiedziono później murem i ozdobiono pomnikiem z lanego żelaza.

Pozostaje mi jeszcze ocenić kilka przynajmniéj główniejszych utworów Körnera, na pełny bowiem obraz całéj jego działalności literackiéj nie pozwalają ramy, szkicowi mniejszemu zakreślone. O drobniejszych więc próbach scenicznych, których wyżéj już przytoczyłem tytuły, powiem to tylko, że komedye jego i operetki pełne są werwy i siły komicznéj, polegającéj nietyle na zwrotach i wyrażeniach dowcipnych, ile na artystycznem pochwyceniu i żywém przedstawieniu charakterystycznych zjawisk moralnych. Natomiast zastanowię się pokrótce nad dwoma obszerniejszemi dramatami, wyszłemi z pod pióra Körnera, i nad jego pieśniami wojennemi.

Pierwszym z owych utworów dramatycznych był *Zriny*, przyjęty na teatrze wiedeńskim i innych niemieckich z niesłychanym zapałem, a znany publiczności polskiéj z mego przekładu, wydanego osobno w r. 1867-m. Bohaterem jego jest ban Kroacyi, Mikołaj Zriny (Zrinyj, Zrinsky), który ze szczupłą załogą, wynoszącą zaledwie 2,500 ludzi, bronił przez parę miesięcy powierzonéj sobie twierdzy Szigetu (Szigetwaru), przeciw całéj armii Solimana II-go. Widząc, że dalsza obrona, wobec przemocy i zniszczenia wszystkich fortyfikacyi, stała się niemożliwą, Zriny dał hasło do ostatniéj wycieczki, w któréj poległ wraz z całą swą rodziną, a jednocześnie podpalić kazał prochy, tak iż w ręce Turków tylko gruzy Szigetu się dostały. Sam Soliman nie doczekał się zdobycia twierdzy, zmarł bowiem nagle w nocy z 5-go na 6-ty Września 1556 roku, straciwszy pod jéj murami przeszło 20,000 najlepszego żołnierza.

Na takiém tle dziejowém młody autor rozsnuł treść 5-cio aktowéj swéj tragedyi, trzymając się w ogólności wiernie danych historycznych. W przeprowadzeniu jéj znać naśladownictwo Schillera i pewne ubieganie się za efektami melodramatycznemi. Trudno jednak robić z tego zarzut poczynającemu poecie, bo melodramatyczność była wtedy w modzie i nie gardzili nią ani Göthe, ani Schiller. Ściśle biorąc, nie jest to może nawet tragedya, ale raczéj poemat liryczny, ubrany w formy dyalogu dramatycznego, będący w takim stosunku do tragedyi prawdziwéj, jak piękny portyk odrodzenia, zdobny bogatą ornamentacyą, do wspaniałéj swą prostotą świątyni greckiéj. —

Mimo to utwór cały odznacza się jędrną dykcyą, siłą obrazowania, wyrazistością konturów i trafnością charakterystyki, godną rzeczywiście podziwu w 20-toletnim młodzieńcu. Sułtan Soliman, to usosobienie dzikiéj samowoli pohańca, nieznającego innego prawa, prócz niepohamowanéj swéj ambicyi osobistéj. Gdy Mustafa donosi mu, że janczary nie chcą iść do szturmu, woła wściekły:

To psami poszczuć ich, ustawić działa
Za ich szeregiem, kartaczami grzmotnąć
W oporną zgrajęl Sziget musi paść! (Akt IV, sc. 5).

Zriny znów posągową jest postacią, w któréj walka uczuć czysto ludzkich męża i ojca z obowiązkiem i nieprzepartém przeznaczeniem stanowi żywioł iście dramatyczny. W pięknym monologu aktu V-go osiwiały bohater, gotując się do ostatniéj już walki, mówi z zapałem:

Śród fali czasu przebrzmi głos stuleci,
Zatonie w niéj tych co mnie znają ród;
Lecz przyszłym wiekom blaskiem swym zaświeci
Zasługa tych, co legli za swój lud.
Pomnika, który serca ziomków wzniosą,
I burze wieków w gruzy nie rozniosą. (Akt V, sc. 2).

A potém, gdy szatny podaje mu szable do wyboru, Zriny tak mówi daléj:

Poznaję tę. W rozprawie ją pod Pesztem
Nosiłem w krwawym boju; lecz zaciężka
Do takiéj walki: lżejszéj mi potrzeba.—
I tę znam dobrze. Ona pod Osiekiem
Zjednała mi uznanie; ale znowu
Zanadto skromna na ten dzień świąteczny.—
Ot tę wybieram. Ojciec mi ją niegdyś
Pod Wiedniem dał; gdy pierwsze mi zaszczyty
Zdobyła, niech zdobędzie i ostatnie. —
Brzeszczocie dzielny, kładę na twem ostrzu
Prawicę i przysięgam, że mnie żywcem
Nie weźmie nikt, że wrogom nie pozwolę
Urągać sobie. Téj przysięgi mojéj
Dotrzymam, jak przystoi na rycerza:
Tak mi dopomóż, Panie, w chwili śmierci! (Tamże).

Scena ta wyboru szabel i przystrajania się na śmierć, jak na gody uroczyste, w wysokim stopniu jest poetyczną.

Młodego Juranicza, narzeczonego Heleny, córki Zriny'ego, i małżonkę jego, Ewę, autor wprowadza dla urozmaicenia akcyi. Postacie te, mniéj prawdziwe i wyraziste, trącą nieco sentymentalizmem; ale charaktery niewieście nacechowane są ową delikatnością uczuć, słodyczą i rzewnością, w których kreśleniu Körner był mistrzem.

To samo, mniéj więcéj, da się powiedzieć o *Rozamundzie*, drugiéj większéj tragedyi jego, osnutéj na tle dziejów angielskich wieku XII-go. Henryk II król angielski, żyjący w skojarzoném przez politykę małżeństwie z Eleonorą, rozwiedzioną królową Francyi, ma z niéj czterech synów. Król, pomimo braku przywiązania do swéj małżonki, zachowuje jednak w stosunku z nią wszelkie pozory przyzwoitości. Ale traf zdarza, iż pod osłoną przybranego nazwiska spotyka się z piękną Rozamundą. Namiętną rozgorzały miłością, nakłania ją do potajemnego z sobą ślubu. Mieszkaniem Rozamundy jest zamek Woodstock, ukryty w gęstwi lasu. Nie zawiniła niczém w swéj nieświadomości, a jednak los, niby fatum starożytne, popycha ją ku zgubie. Ryszard, drugi syn Henryka, przypadkiem na polowaniu słyszy rozlegający się z wnętrza zamku czarowny śpiew kobiecy. Zachwycony nim, przeskakuje mur okolny. Towarzysz jego, William, usiłuje powstrzymać go, przeczuwając jakąś złowrogą tajemnicę; ale królewicz odpowiada:

Gdy dusza z nizin swoich się wyzwala,
To duch się rwie ku bóstwa swego czci;
A choćby ono błyskawicy gromem
Roztrzaskać miało życia jego kwiat,
On widzi bóstwo, lekceważąc grom. (Akt I, sc. 1).

Zjawia się Rozamunda. Młodzian królewski pada przed nią na kolana i wyznaje jéj swą miłość — scena trochę naiwna, przypominająca sentymentalnością pieśni minnesängerów niemieckich. Rozamunda oburzona odchodzi, lecz obawia się zawiadomić Henryka o romantyczném tém zajściu. Katastrofa wkrótce wybucha, bo Ryszard, przy powtórnych odwiedzinach swych w Woodstocku, spotyka się z ojcem i następuje straszne dla wszystkich trojga, a szczególniéj dla Rozamundy, odkrycie tajemnicy: nieszczęśliwa postanawia zerwać związek z Henrykiem, który dotychczas uważała za uświęcony przez kościół i prawo.

Spotkanie owo staje się powodem, że szlachetny lecz porywczy Ryszard, oburzony przeciw ojcu, przystępuje do spisku, knowanego oddawna przez matkę i braci jego, celem detronizacyi Henryka. Nie bez wahania się jednak, bo, podpisując zobowiąznie, mówi sam do siebie:

Tym rzutem pióra honor mój skalany. (Akt III, sc. 2).

Jednocześnie królowa dowiaduje się o miłości małżonka ku Rozamundzie i znajduje w tém usprawiedliwienie swych przeniewierczych zamiarów. Wojna z rokoszanami toczy się pomyślnie dla Henryka. Sprzymierzone z królową wojska francuskie i szkockie pokonane. Jeden tylko Ryszard walczy jeszcze z powodzeniem, ale szla-

chetna natura jego bierze górę: niezwyciężony w boju, rzuca się ojcu do nóg i błaga o przebaczenie. W téj właśnie chwili król otrzymuje wiadomość, że Eleonora z hufcem zbrojnym pociągnęła do Woodstocku. Henryk i Ryszard, przewidując czyn potworny, pośpieszają za nią, aby złemu zapobiedz. Teraz Rozamunda, w całym uroku swéj czystości, staje naprzeciw dyszącéj zemstą królowéj, która poprzednio już kazała zamordować starego kasztelana zamku, Nesle'a. Następuje scena, w któréj Rozamunda, wobec trupa starca, mówi z godnością i rezygnacyą do swéj nieprzyjaciółki:

Usprawiedliwić Henryk się nie zdoła,
Lecz czyn twój cząstkę winy jego maże.
. . . . . .
. . . . . Wszak sama,
Poznawszy prawdę, ofiaruję siebie:
Pod sztylet twój nadstawiam pierś bez trwogi. (Akt V, sc. 10).

Eleonora porywa przyprowadzone przez piastunkę dzieci Rozamundy i grozi ich zasztyletowaniem, jeżeli rywalka jéj nie wypije podanéj sobie trucizny. Rozamunda wychyla czarę. Przybywający zapóźno z pomocą Henryk i Ryszard mogą już tylko pożegnać konającą, która ostatniemi słowami swemi stara się powstrzymać króla od gwałtownéj pomsty względem trucicielki.

Taką jest architektonika tego utworu, złożona dosyć dowolnie, lecz wykonana umiejętnie. Charaktery śmiałemi skreślone są rysami, lubo więcéj wymarzone, niż wzięte z życia. Ku Rozamundzie zwłaszcza zwraca się całe spółczucie czytelnika. Postać to subtelna, nieskalana, będąca w każdéj chwili tragicznego losu swego na wysokości sytuacyi. Pociągającym także jest młody Ryszard, namiętny, ale nawskróś szlachetny, niezdolny do najlżejszego fałszu. Inne również postacie, jak króla Henryka i starego Nesle'a, maluje autor z widocznem zamiłowaniem; królową zaś Eleonorę, mściwą i bezduszną, wprowadza głównie jako narzędzie wyroków przeznaczenia.

Z poezyi Körnera niescenicznych najwyższą niewątpliwie wartość ma zbiór jego pieśni wojennych, znany p. t. *„Lutnia i miecz“* (Leyer und Schwert), z którego dwie w przekładzie zamieściłem powyżéj. Z pozostałych wymieniam jeszcze celniejsze, jak: Śmierć Andrzeja Hofera; — Dęby; — Na polu bitwy pod Aspern; — Ojczyzna moja;—Pociecha;—Hasło (Aufruf);—Pieśń czarnych strzelców;—Przed bitwą;—Pieśń jeźdźców;—Pożegnanie z życiem;—Co nam pozostaje;—Męże i piecuchy. Znamiennemi ich cechami są: jędrna oryginalność, siła uczucia i zapał, w niektórych zaledwo miejscach rozbrzmiewając zbyt głośnemi może wybuchami młodzieńczości. Obok gorącego przywiązania do kraju, tchną one tkliwą miłością ku rodzinie, ku

ludzkości całéj, głęboką wiarą w sprawiedliwość wyroków Bożych, gotowością do najwyższego poświęcenia i wieszczém przeczuciem śmierci, które niestety zbyt wcześnie sprawdzić się miało. Proroczym duchem śpiewa Körner w końcu „przypisania“ swego do „Lutni i Miecza“:

A gdybym nie powrócił z pola chwały,
Zazdrośćcie mi,—z niemęskim żalem precz!
Co *lutni* struny wieszczo zaśpiewały,
To ma wywalczyć wolnym czynem *miecz*.

I nie powrócił młodzieniec. W latach, w których inni zawód swój zaledwo rozpoczynają, zdobył on stanowisko, dla wielu, jako ostateczny cel dążenia, godne zazdrości, zdobył sławę jako pisarz, miłość powszechną jako człowiek. Zmarł zawcześnie, aby pozostawić dzieła, godne utworów wielkich koryfeuszów poezyi. Dzieje poezyi, zarówno jak dzieje narodów, wspominać zawsze będą imię jego z szacunkiem, a dzieła jego, chociaż są one napół tylko rozwiniętemi kwiatami młodości, nie zaginą.

Ludwik Jenike.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Zur eigenen Lebensgeschichte“ Von Leopold von Ranke. Herausgegeben von Alfred Dove. Leipzig 1890. XII i 731.

Znaczna postać Leopolda Rankego należy do historyi, a nietylko do krytyki historycznéj. Rozległy wpływ jego działalności naukowéj nie ma sobie bodaj równego w bieżącém stuleciu. Obok tego zalicza się R. do tych niewielu uczonych, którzy zarazem pisali historyę i pomagali ją robić. Dzieje tego znakomitego umysłu uzupełniają w pewnym stopniu genezę Niemiec dzisiejszych.

Urodził się w 1795 r., roku pokoju bazylejskiego, który za zgodą Prus, uczynił Ren granicą francuską i uzewnętrznił rozdwojenie Niemiec południowych i północnych. Dziesięcioletni malec już widział téj uczonéj polityki skutki, kiedy 1806 r. przez rodzinną mieścinę turyngską, Wiehe, przeciągały pułki strzelców napoleońskich na pola pod Auerstädtem i Jeną. Mały Ranke z towarzyszami wybiegł na wzgórze za miasto i doły kopał, by lepiéj usłyszéć grzmot dział francuskich. Z żywością wspomina także dziewięćdziesięcioletni starzec, jak w 1807 r., oddany do klasztoru Donndorf na naukę, ciekawie czytał buletyny Napoleona z Hiszpanii i wypisywał je na swojéj tabliczce łupkowéj, jak następnie w słynnéj Schulpforcie stu-

dyował Monitora; jeszcze 1813 r. uczniowie téj arcyniemieckiéj szkoły „podczas gry w kręgle dawali sobie nazwy marszałków francuskich, nie było tu ani śladu tego zapału wojennego, jaki wtedy ogarnął młodzież pruską.“ [1]) R. w tym czasie z zamiłowaniem poświęca się studyom klasycznym, zgłębia liryków i tragików greckich, ojcu na imieniny przynosi własny przekład misterny „Elektry“ i „Filokteta“ w pięciostopowych jambach. Potém w Lipsku pod kierunkiem Hermanna kontynuował zajęcia filologiczne, i tą dopiero drogą, po Tucydydesie czytając Niebuhrà, do właściwego swego powołania doszedł.

Obojętnie przyjął R., gdy go traktaty wiedeńskie uczyniły z poddanego saskiego pruskim. Skromny nauczyciel gimnazyalny we Frankfurcie nad Odrą, już 1824 r. zwraca na siebie uwagę „Dziejami narodów giermańskich i romańskich od 1494—1514“ oraz „Krytyką dziejopisów nowożytnych.“ Duża, samodzielna erudycya, styl oryginalny, lubujący się w zwrotach archaicznych, nadewszystko zaś śmiało zarysowane przez młodego pisarza nowe zasady metodyki dziejopisarskiéj cechowały te pierwsze prace. Jako nieodbity warunek pracy historycznéj stawia, aby w każdym wypadku historyk opierał się bezpośrednio na źródłach współczesnych, na świadectwach naocznych, kładąc nacisk na staranną krytykę porównawczą tekstów. „Wyznaczono historyi urząd sądzenia przeszłości, nauczania spółczesnych dla pożytku przyszłych pokoleń: tak wysokich urzędów nie czuje się być godzien zarys niniejszy; jedno tylko pragnę tu okazać: *jak właściwie było*“ [2]). Tak pisał w najpierwszéj swéj pracy młody, niezależny i nieznany uczony. Jeśli na punkcie gruntowności i skromności wiernym pozostał téj zasadzie wytycznéj, złagodził ją jednak znacznie, gdy, powołany niebawem (1825) do wszechnicy berlińskiéj, bardziéj z okolicznościami liczyć się musiał, i gdy w stolicy heglizmu wypadło historyę obok filozofii do rydwanu polityki wprzęgnąć [3]). — Rzecz przytém ciekawa, że w młodych tych latach a epoce reakcyi religijnéj, R., pełen niepokoju, napróżno w wierze szuka oparcia, a nawet raczéj do panteizmu się skłania. Do brata, teologa, który ciężko bolał nad takim zwrotem w jego duszy, po zgonie nagłym przyjaciela pisuje listy, pełne skarg śmiałych. „Nie sądź, dodaje, że jestem chory, gdy takie mnie nachodzą wyśli; mie-

---

[1]) 25 i nast.—„Rede am neunzigsten Geburtstag 21 Dec 1885“ w Sämmtliche Verke T. LII (1888) 594.

[2]) „*wie es eigentlich gewesen*“. Gesch. roman. u. germ. Völker (ed 1885) w S. W. T. XXXIII 7.

[3]) „*Habet historia.... cum innumera alia quibus se commendet, tum id imprimis... quod sanae doctrinae politicae viam munit*“ i t. d. De historia et politices cognatione atque discrimine oratio (1836) S. W. T. XXIV 278.

wałem je zawsze przy zupełnéj świadomości". Gdzieindziéj znów zapytuje: „we wszystkich rzeczach jest Bóg, lecz daną rzecz mienić Bogiem, to bałwochwalstwo: jakże więc poczynać sobie ze Słowem?" [1]) 1827 r. wyprawiony przez uniwersytet dla studyów naukowych za granicę, osiada na czas dłuższy w Wiedniu, „gdzie miał szczęście zbliżyć się do Gentza", i często odwiedza katedrę Ś. Szeczepana. „Tutaj, pisze do Rittera, odrazu staje się wierzącym. W służbie Bożéj u katolików postrzegam niejedno, co mi trafia do przekonania. Że przy pracy będący człowiek wstępuje do kościoła, stojącego zawsze otworem, pacierz odmawia, gdy ma chwilę wolną, i daléj idzie swą drogą, że gorzą światła i patrzą ze ścian obrazy święte,—bardzo sobie w tém wszystkiém podobam. Jest poufałość jakaś w tém nabożeństwie".

Długo zatrzymały uczonego poszukiwacza archiwa weneckie, florentyńskie, rzymskie. Wszędzie skarby nietknięte znajdował po drodze, których część niebawem zużytkował w szeregu monografii [2]); dużo jeszcze zachował w tece materyałów dla rozległych badań. Jednak po pięknéj i urozmaiconéj podróży szarą wydała się za powrotem stolica nadsprejska. Była chwila, kiedy do Dorpatu na profesora chciał się przerzucić [3]). Rewolucya lipcowa w szczególny sposób przysłużyła się Rankemu, wydobywając go na szerszą widownię. Pod wpływem wypadków paryskich, począł się i w Niemczech objawiać niepokój; Heine, Gutzkow, Boerne i wielu innych, rozdmuchiwali iskrę buntowniczą w piersi „młodych Niemiec". Dla przeciwdziałania nowym prądom założono w Berlinie „Czasopismo historyczno-polityczne", które wobec opinii publicznéj miało powagą naukową osłonić zasady kongresu wiedeńskiego [4]). Rankego, który, młody i uczony zarazem, najlepiéj się nadawał do walki z młodymi a nieuczonymi przeciwnikami, postawiono na czele pisma. „Na wiosnę 1831 r. czułem się w obowiązku przyjąć udział w sporze.... przez wydawnictwo Czasopisma historyczno-politycznego. Kierunek, jaki obrałem, nie był wszakże ani rewolucyjny, ani reakcyjny". Kierunek ten był w istocie szczególny i dałby się określić jako dążność do *historycznego* trakto-

[1]) 18 Paźd. 1822, 28 Grud. 1823, 102, 119.—Był w tych czasach pod wpływem przyjaźni serdecznéj z Ritterem, późniejszym znanym historykiem filozofii. Niebawem szkoła tubińska egzegezy biblijnéj miała pójść w te ślady.

[2]) „Fürsten u. Völker von Südeuropa" 1827, „Die serbische Revolution, 1829," „Verschwörung gegen Venedig" 1831.—Do tego cyklu należą też zajmujące „Vorlesungen zur Gesch. Italien Poesie", ogłoszone dopiero 1873 r.

[3]) 6 Lut. 1828 r., 186.

[4]) Inicyatywę dał Fryderyk Perthes i minister pruski spraw zewnętrznych hr. Bernstorff.

wania rzeczy *spółczesnych*. R., jakkolwiek zajęty przygotowaniem do druku „Papieży," z zapałem oddał się pracy redakcyjnéj, i sam zapełniał dwie trzecie pisma własnemi pracami. Odczytując dziś te obszerne studya, bądź sprawozdawcze, bądź refleksyjne [1]), niepodobna opędzić się pewnemu niesmakowi. W istocie metoda ultra-historyczna traktowania zjawisk żywych ma swoje niedogodności poważne. Nieraz ci, co swobodnie oddają się prądowi chwili, lub też w linii prostéj płyną przeciw niemu, lepiéj będą w stanie kierunek prądu odczuć i określić, niż historyk obojętny, który usiłuje w poprzek go przeciąć, a który rzadziéj się może zachłyśnie, lecz niechybnie opisze uczoną linię krzywą. Tak dzisiaj postępuje sobie Taine: aby na gruncie dziejowym wydać sąd o Francyi spółczesnéj, poświęcił lat kilkanaście życia w pyle archiwalnym spędzonych, i oto w konkluzyach ostatecznych coraz daléj od rzeczywistości odbiega. Na rzeczy bliskie przez teleskop patrzéć nie należy. Młody Ranke nie miał w 1832 nauki Taine'a, a miał równe pretensye. Tym sposobem Lamennais'go zestawia z Tomaszem Münzerem—którego przecie za mniéj niebezpiecznego buntownika uważa,—a nawet z rabinami talmudycznymi! W gniewnéj, pogardliwéj ocenie „*Paroles d'un croyant*" (1835) nazywa ten piękny poemat „arcydziełem fałszu, szalonéj polityki, koranem fabryk powstańczych" [2]). Szczegółowo analizując spory doktrynerskie Mauguin'a i in., będące tylko słabym odgłosem „Umowy społecznéj", zupełnie pomija groźne zapowiedzi sprawy socyalnéj, jakie mniéj uczony Boerne czułém na głosy żywe uchem dosłyszał na przedmieściach paryskich, lub podczas lionskich rozruchów. W dodatku profesor-redaktor powoli, po części bezwiednie, zasklepiał się w swojéj roli urzędowéj. „Dawni moi przyjaciele, Varnhagen, Aleksander Humboldt, którzy zbawienie świata upatrywali w postępie rewolucyjnym, zaczęli okazywać mi chłód i niechęć", tak uskarża się następnie nie bez zdziwienia.—Wydaniem „Papieży" (1834) zdobył rozgłos europejski; w chwili sporu rządu pruskiego z Rzymem, z powodu małżeństw mieszanych, książka ta szczególnie była na dobie. Fryderyk Wilhelm IV jeszcze 1840 r. zwrócił się do Rankego w sprawie projektowanych nowych urządzeń prowincyonalnych, lecz R. wymówił się od udziału w trudnéj a obcéj mu pracy, będąc pochłonięty w tym czasie swoją „Historyą niemiecką w epoce reformacyi." Niemniéj 1841 r. obdarzony tytułem królewsko-pruskiego historyografa.

---

[1]) Zebrane w S. W. T. XLIX (1887) p, t. „Zur Geschichte Deutschlands u. Frankreichs im XIX Jhd". Inne rozrucone w S. W. T. XXIV. XL. XLIV.

[2]) S. W. T. XLIX. 307, 311.

Latem t. r. był w Paryżu, poznał się z Thiers'em, Michelet'em i innymi sławnymi kolegami po piórze. Rzutki, entuzyastyczny Thiers, rozwijał przed nim myśl „przymierza Niemiec i Francyi dla oparcia się panowaniu Anglii na morzu i przygniatającéj przewadze Rossyi na lądzie stałym.“ [1]) 1843 r. porzucił R. żywot starokawalerski, ożenił się z Klarą Graves, angielką, po kądzieli wywodzącą się od starych Percevalów, jak wielokrotnie zaznacza R.—W tym samym czasie zbliżył się do króla Fryderyka Wilhelma i pozyskał zupełne jego zaufanie, — nie bez ustępstw pewnych historyka na rzecz historyografa. Kiedy 1843 r. zwrócono się do niego od dworu z zapytaniem, czy w rozpoczętéj edycyi zbiorowéj pism Fryderyka II ogłosić także testamenty polityczne króla, R. odradził, [2]) z pobudek oczywiście naukowych. Po dniach marcowych 1848 r., w chwili powszechnego zamętu, był za pośrednictwem Manteuffla niejednokrotnie zapytywany o radę w najdrażliwszych sprawach polityki wewnętrznéj. Odpowiedzi Rankego, które dopiero po jego śmierci ukazały się w druku, pochodzą z Maja 1848 do Stycznia 1851 r. i sprowadzają się do téj jednéj zasady, aby na ustępstwach umiarkowanych burzę przeczekać, wystrzegając się przedewszystkiém Austryi, czém w nastrój dworu łacno utrafił. Śmiały jest tylko na jednym punkcie: kiedy w Październiku 1848 r. koronę cesarską, ofiarowaną Prusom przez parlament frankfurcki, radzi przyjąć bez wahania; dla przebłagania Austryi i państw południowo-niemieckich, proponuje tytuł „cesarza w Związku Niemieckim“ zamiast „cesarza Niemiec.“ [3]) Niepraktyczna rada nie znalazła w Berlinie posłuchu; krok nadto był ryzykowny.—Wszakże za dowody zaufania królewskiego odpłacił się R. szczerém przywiązaniem do osoby Fryderyka Wilhelma. Po wielu latach, kiedy nawet w Berlinie nie mogło być dwóch zdań o zmarłym królu, gorąco broni jego pamięci, i w zaślepieniu apologety nie dostrzega wyraźnych symptomatów obłąkania tam właśnie, gdzie szukał podstaw do apologii [4]).

W Październiku 1850 r. widzimy go znowu w Paryżu, poszukującego materyałów do monografii o „Francyi w XVI i XVII w.“—

---

[1]) 19 Sierp. 1841, 580. Było to w czasie naprężenia stosunków z Francyą za ces. Mikołaja.

[2]) „Gutachten“ i t. d., 669 i nast. — Aleksander Humbold, którego również się pytano, tego samego był zdania.

[3]) „Politische Denkschriften“ S. W. T. I, 593, 608,—Tor. „Zur eig. Lebensgesch.“ 74.

[4]) „Aus dem Briefwechsel Friedrich Wilhelms IV mit Bunsen“ (1873). Sodomitami, galernikami nazywa tu król liberałów; gdzieindziéj pisze: „der Liberalis-

W liście do żony opowiada, nie bez szczypty uczucia wyższości, jak „starych swoich znajomych napotkał w całkiem innym stanie, niż kiedy ich żegnał w 1843 r.“ Villemain, rozsiadły dawniéj we wspaniałym hotelu ministeryalnym, tym razem przyjmuje go w ubogiéj celi Instytutu; Mignet'a odnajduje w izdebce na czwartém piętrze; „demokratyczny Michelet“ wyniósł się aż za miasto, i późną jesienią przesiaduje w przewiewnym domku wiejskim; ślepemu Augustynowi Thierremu nielepiéj się powodzi. Są to wszystko ofiary nowego porządku rzeczy, a po części i zasad własnych,—nie budzą jednak współczucia w gościu, który wciąż szedł w górę, kiedy tamci w cień schodzili.—Zanim jeszcze ukończył obszerną pracę z dziejów francuskich, podjął R. nowe studya do „Historyi Anglii w XVI i XVII w.“ Nie była tu obcą głębsza myśl polityczna: chodziło o wykazanie w ustroju państwowym Anglii doskonalszéj formy rozwoju wewnętrznego, niż we Francyi. Fryderyk Wilhelm, któremu odczytywał ustępy z téj pracy, bardzo go do niéj zachęcał. W Marcu 1857 r. jest R. w Londynie, obraca się w najwyższém i najuczeńszém towarzystwie i ma dostęp do archiwów rządowych. Odwiedził też wówczas lorda Macaulaya, który go chłodno przyjął: „jakoś nie wydawał się być zadowolonym, że sam pragnie zająć się historyą angielską.“ Macaulay, zatopiony w dziejach ojczystych, do obcych zaglądając jedynie w formie studyów przygotowawczych, dziwić się musiał uczonemu, co całą niemal Europę obszedł z rylcem historycznym. I jeśli téj wszechstronności Rankego nie podziwiać niepodobna, wolno przecie wątpić, azali wszędzie w równéj mierze był niezbędny.

Godnym uwagi jest stosunek Rankego do króla Maksymiliana II bawarskiego, niegdy słuchacza jego w Berlinie, który go w szóstém 10-leciu, ugaszczał zwykle jesienią w willi myśliwskiéj pod Berchtesgadenem. Był to piękny stosunek młodego jeszcze monarchy z wielkim uczonym, który w kształcących rozmowach otwierał przed nim szersze widnokręgi dziejowe i do opiekowania się nauką zachęcał[1]). I tutaj jednak odzywała się niekiedy struna polityczna, nawiązana przez mistrza. Król był dla Prus usposobiony nieprzychylnie. W początkach wojny krymskiéj była chwila krytyczna a dla Prus niebezpieczna. Przymierze tajne Francyi i Austryi z d. 1 Grudnia 1854 r.,

---

mus ist gerade wie die Rückenmarksdürre..., ein Abführungsmittel verstopft... ein Stopfmittel führt ab“ i t. p. (13 Maja 1848, 463 i nast.). Zaś R. w przedmowie jest zdania, że „diese Briefe verbinden Tiefe mit Humor, sie zeugen von einer unvergleichlichen Gabe des Ausdrucks und der Sprache“ (ed. 1887, S. W. T. I).

[1]) Od 1858 r. był R. prezesem królewskiéj komisyi historycznéj w Monachium, która tak wielkie położyła zasługi dla historyi Niemiec.

zwrócone wyraźnie przeciw Rossyi, zwracało się też pośrednio przeciwko Prusom—co zwłaszcza przy ostatnich wyłuszczeniach Sybla wątpliwości nie ulega[1]). Prusy przystąpić do przymierza nie chciały; miały one dalsze na Rossyę widoki, a bliskie, zupełnie odmiennéj natury, względem Austryi. W téj trudnéj sytuacyi, kiedy w Berlinie gorące głowy domagały się rozcięcia węzła przez oświadczenie się wprost za Rossyą, raz jeszcze zwrócono się do Rankego po radę. Tym razem poradził ostrożnie i praktycznie: odmówić przystąpienia do przymierza, warując sobie ścisłą neutralność. „Jedno, dodał, jasném jest dzisiaj, że z dobréj woli Austryi nigdy nie otrząsną się Prusy z kłopotliwéj sytuacyi obecnéj“, zdanie, które odtąd stało się hasłem polityki berlińskiéj[2]), a w tém położeniu zbliżenie się Bawaryi do Austryi budziło w Berlinie żywy niepokój. R. w liście prywatnym do króla Maksymiliana ubocznie usiłuje go odwieść od przymierza Zachodniego[3]). Późniéj, gdy niebezpieczeństwo doraźne minęło, w tym samym duchu nie przestaje mu wykładać uczonych motywów dziejowych, dla jakich neutralność zbawienną jest dla Bawaryi[4]). Jemu też pisał następnie w czasie wojny francusko-austryackiéj: „za nader niebezpieczną uważam zasadę, jakoby ktokolwiek mógł być uprawniony w imię misyi dziejowéj ukrzywdzić innych.“ Wyrzeczenie, skierowane pewnie przeciw Napoleonowi III, miałby sposobność niebawem zastosować na ziemi niemieckiéj.

W miarę jak rosła powaga naukowa Rankego, uwydatniał się jednocześnie nieodparty wpływ jego roli urzędowéj na stosunek historyka do zjawisk spółczesnych. On, co niegdyś gorąco za Serbami się wstawiał, wobec dokonanego (1862 r.) przewrotu, zupełnie zimną krew traci i widzi w nim wyłącznie „wpływy angielskie i francuskoruskie, barbarzyństwo odwieczne, wrodzone wiarolomstwo, nienawiść ku cudzoziemcom i ambicye prowodyrów“[5]). Po wojnie austryackopruskiéj pisze do króla Wilhelma: „bez opieki W. K. M. i Waszego pobłogosławionego od Boga oręża, my uczeni również nie bylibyśmy mogli dzieł naszych pisywać“[6]). Myśl tę, trudną do pojęcia, jaśniéj wyłuszcza z powodu koncylium watykańskiego, w rozdziale uzupełniającym do nowego wydania „Papieży“: „nie mogę twierdzić stanow-

[1]) „Begründung d. deutsch. Reichs“ (1889) T. II 211 i nast.
[2]) „Polit. Denkschrift aus d. Zeit d. Krimkrieges“ 679.
[3]) 30 Grud. 1854, 371.
[4]) 30 Kwiet. i 29 Maja 1855, 373 i nast.
[5]) 26 Listop. 1862, 420.
[6]) 1 Stycz. 1867, 472. Poprzednio, 1865 r., otrzymał od króla szlachectwo dziedziczne.

czo, że do zaczepki ze strony Francuzów przyczyniły się pobudki religijne, lecz czy podobna przepowiedzieć, do czego-by dojść mogło, gdyby szczęście oręża było pozostało przy narodzie *katolickim*?“ [1]). Tym razem wrogiem światła jest Francuz, nie Austryak już. Jak zresztą przy innéj okazyi tłómaczy R. zgromadzonym u siebie uczniom, zwycięzstwo Prus z innego jeszcze względu przysłużyło się „nauce“, gdyż obok smoka fanatyzmu poskromiło téż — „żywioły rewolucyjne“. „Gdyby, dodaje, te żywioły były wzięły górę, nie było-by więcéj mowy ani o rozwoju żywiołów historycznych, ani nawet o ich bezstronném uświadomieniu, i Historya Powszechna w kierunku przedmiotowym stała-by się niepodobieństwem“ [2]). Śród przysłuchujących się uczniów znajdował się téż Sybel, który był-by mógł dobrze wyjaśnić, jak właśnie „żywioły rewolucyjne“ przed stu laty otworzyły dopiero drogę „historykom“ narodowym, lub jak w bieżącym wieku powołały naród włoski do życia. Zaś ze słów mistrza tak wypadło, jakoby trupy, zaścielające pola pod Königgrätzem i Sedanem po raz pierwszy użyźniły należycie niwę dziejopisarską, że na niéj piękna „*Weltgeschichte*“ mogła wyrosnąć [3]). „Odezwał się o mnie Thiers, opowiada z ukontentowaniem Ranke, *que je vois les choses présentes en historien*, co mi bardzo pochlebia, gdyż w tém właśnie pokładałem swoją ambicyę“ [4]). Jest to, jak się okazuje, komplement o dwóch końcach.

Wojna 1870 r. dużo dała do myślenia wielkiemu historykowi, Jenę pamiętał jeszcze, i w pracach swoich niejednokrotnie stykał się był z przejawami antagonizmu odwiecznego dwóch narodów, gdzie kogut galijski najczęściéj krwawą miał przewagę. W „Reformacyi“ szczegółowo opisuje zwycięstwa landsknechtów niemieckich nad rycerstwem francuskiém, w „Historyi francuskiéj“ zatrzymuje się z bólem nad spustoszeniem krajów nadreńskich za Ludwika, ukazuje Worms starożytne, Heidelberg, Spirę oddaną na pastwę żołdactwu, Alzacyę zabraną do Francyi. Ogłosił listy księżny Elżbiety Karoliny, córki elektora Karola Ludwika, wydanéj za księcia Filipa Orleańskiego, brata Ludwika XIV, w których szlachetna pani, pośród wrogów narodu swego na dworze wersalskim, opłakuje ruinę ojczystéj ziemi Palatynatu. Obrazy te musiały stanąć w pamięci Rankemu,

---

[1]) „Die röm. Päpste“ S. W. T. XXXIX, 207 (ed. 1889).

[2]) „Rede am neunzig. Geburtst“ S. W. T. LII, 597.

[3]) W Kwietniu 1880 r. rozpoczął podjętą na wielką skalę „Historyę Powszechną.“ Z ostatnich prac wymienić należy obszerne artykuły o Fryderyku II i Fryderyku Wilhelmie IV (1878, do Allgem. deutsche Biographie), sucho nieco studya o „Tragedyach Seneki“ (1882), i niektóre inne zebrane w S. W. T. LI i LII.

[4]) 15 Sierpnia 1855 r., 376.

kiedy w Listopadzie 1870 r. spotkał się z Thiers'em, wyczerpanym, zgnębionym, wracającym z bezskutecznéj podróży do Petersburga. Odwiedza go w hotelu, i zajmujący dyalog, jaki się między nimi wywiązał, swoim zwyczajem, pod świeżém wrażeniem spisuje w dzienniku. Niemiec wspominał „gościnność duchową“, jakiéj zawsze we Francyi doświadczał, upewniał, że nienawiści narodowéj Niemcy ku Francuzom nie żywią, „na Boga, nalegał, zgódźcie się na pokój najrychléj, póki trzymacie się jeszcze w Paryżu“. „Przeważało podczas tych gawęd uczucie, że można jednocześnie być przyjacielem i wrogiem“. Wszakże nie dał dowodu taktu, gdy w takiéj chwili czyni dotkliwą uwagę „zawodową“, że historyk konsulatu i cesarstwa „nie jest bez winy w wyniesieniu Napoleona III i wzmożeniu się ducha szowinizmu“. Na zapytanie Thiers'a, z kim obecnie, po upadku cesarstwa, prowadzoną jest wojna, odpowiada, zręcznie raczéj niż trafnie: „z polityką Ludwika XIV“. Niespodzianą dosyć jest konkluzya, jaką do dziennika zapisuje po tych rozmowach: „wyniosłem ostatecznie wrażenie, że ustąpienie Alzacyi dało-by się może uskutecznić, lecz nie Metzu. Dla pierwszéj bowiem może narodowość stanowić pobudkę, kiedy Metz zawsze z narodowości i języka był francuskim. Rana, którą-by tym sposobem zadano, byłaby podwójną“ [1])

1871 r., przyciśnięty wiekiem, zaniechał wykładów na uniwersytecie berlińskim, gdzie w ciągu lat czterdziestu niezmordowanéj działalności profesorskiéj wykształcił takich uczniów, jak Roepell, Giesebrecht, Duncker, Vaitz, Sybel i wielu innych. Zwrócił odtąd całą uwagę na wydawnictwo zbiorowe swych pism, oraz „Historyę Powszechną“, w któréj dziewięćdziesięcioletni starzec po raz ostatni okazał niezrównaną śmiałość umysłu, a mając do czynienia z historyą starożytną, okazał się znowu znakomitym uczonym, wolnym od wpływów postronnych. Nowy zwrot rzeczy w państwie niemieckiém nie ze wszystkiém trafił mu do przekonania. Stary człowiek skarżył się nieraz w cichości, choć historyograf dziękował i pochwalał tylko. W „rozmyślaniach sylwestrowych 1872“ zapisuje do dziennika: „wrażenie ogólne u przyjaciół moich jest bolesne; w gruncie rzeczy, wszystko, na czém polegamy, idzie na marne“. Niesmak ten—który zresztą usiłuje przed sobą samym tłómaczyć—wywołany był przedewszystkiém przez sojusz kanclerza ze stronnictwem narodowo-liberalném [2]). Jednak wobec sporu z kościołem staje R. po stronie rządu. Życzy sobie protestu całéj Europy przeciw koncylium watykańskiemu: „dla Anglii winien stanowić pobudkę anglikanizm, dla Austryi wymagania

[1]) 8—11 Listop. 1870 r., i nast.

[2]) 514, 597. Późniéj, w 1879 r. przyklaskuje zerwaniu z liberałami, 632.

konstytucyjne, dla Rossyi—stosunek względem Polski, dla Francyi—stałe zasady galikańskie, dla Włoch wreszcie idea jedności narodowéj.“ Do głębi porusza go wzrost demokracyi socyalnéj i zamachy na osobę cesarza Wilhelma. Dziwne z tego powodu nasuwają mu się uwagi. „Właściwie, pisze po zamachu Nobilinga, nigdy niemiecka korona cesarska nie przynosiła szczęścia. Wielkie domy, saski, salicki, Hohenstaufenów, przy niéj zgubę znalazły. Pierwszy Austryak, który ją umocnić zamierzył, życiem to przypłacił [1]). Ludwik bawarski umarł odstąpiony od wszystkich; dla luksemburczyków chwila, kiedy dzierżyli koronę, była początkiem upadku.... Nawet Karol V w końcu ulédz musiał. Szczęśliwym nie był żaden, żaden nie zdobył sobie sympatyi.“ A daléj wyznanie uczonego, który najlepiéj może przeniknął ducha dawnych Niemiec cesarskich; „że król pruski, książę siły militarnéj, urosłéj w gruncie rzeczy w sprzeczności do przedstawiciela cesarstwa, sam władzę w ręce ujął, nie było mu to właściwie po drodze“.

Przyjacielem Polaków nie był nigdy. Podniesiono w swoim czasie stronność pod względem „Dwunastu ksiąg historyi pruskiéj“ [2]). Szczególna słabość dla osoby Fryderyka II, którego nawet wiersze francuskie pochwalał [3]), uwarunkowała pogląd Rankego na dzieje rozbiorowe. O wiele późniéj, z powodu zamachów berlińskich i analogicznych gdzieindziéj objawów, Polakom przypisuje autorstwo moralne zbrodni. „Przypominam sobie, że o téj nauce zaszłyszałem po raz pierwszy w Paryżu, zdaje się około 1839 r., jako o filozofii polskiéj; sławny był tam naówczas jako prorok Towiański;“ zaś dalsze ślady téj „nauki“ odnajduje 1848 r. w Berlinie i Wiedniu, 1863 r. za kordonem [4]). Łatwiéj chyba przyszło-by samego mistrza Andrzeja wyprowadzić od mistycyzmu niemieckiego pani Krüdener, niż Hödla od Towiańskiego. Zresztą niechęć Rankego wypływała z uprzedzenia ogólniejszéj natury“ [5]).

---

[1]) Albrecht I.

[2]) Np. o stosunku lennym Brandeburgii. „Zwölf Bücher“ S. W. T. XXV. 116 - 125.

[3]) „Die grossen Mächte“ (pisane 1833 r.) S. W. T. XXIV, 24. *Curiosum* istotnie stanowi okropna francuzczyzna Rankego, jakkolwiek członka paryskiéj Akademii nauk mor. i pol.; np. 407 i nast.

[4]) 8 Kwiet. 1879, 628 i nast. O pierwszym podziale taki wygłasza pogląd: „*Preussen und Oesterreich geriethen hierdurch in eine verwandte Stellung; sie volzogen beide zunächst eine civilisatorische Mission. Das wilde Gebahren der polnischen Conföderation machte eine Beschränkung ihrer Freiheit in den Augen der Humanität wünschenswerth*“. Die deutsch. Mächte u. d. Fürstenbund w S. W. T. XXXI, 15.

[5]) „*Das Leben des menschlichen Geschlechts liegt heutzutage in den Völkern roma-*

Przy czytaniu zapisek autobiograficznych Rankego narzuca się mimowoli zestawienie go z Thiers'em. Nie ze wszystkiém wypada ono na korzyść historyka niemieckiego. „Poeci, muzycy, matematycy, powiada gdzieś R., mogą być młodzi, historyk winien się postarzéć". Thiers jest uosobieniem zasady wręcz przeciwnéj. Pozostał on młodym pod siwizną, kiedy Ranke trzydziestoletni już się wydaje starym. Cenniejszym jest nieporównanie plon naukowy Niemca; Francuz najprzód do narodu swego, potém do uczonych przemówił. Ten stosunek względem siebie dwóch pisarzów jest może stosunkiem dwóch charakterów narodowych [1]).

Szymon Askenazy.

---

nischen und germanischen Staunnes und denen, die sich ihnen angeschlossen, assimilirt haben." Serbien u. die Türkei im XIX Jhd. (ed. 1897) S. W. T. XLIII, 518.

[1]) Wydanie Pamiętników, jak i całéj spuścizny po Rankem cechuje układ umiejętny i staranność skrupulatna, właściwa uczonemu wydawcy. Jeśli w korespondencyi tak rozległéj i urozmaiconéj są nieuniknione luki, to nie z winy wydawcy, który część tylko listów politycznych miał przed sobą w oryginałach. Oczekiwana druga edycya Pamiętników przyniesie zapewne pożądane uzupełnienia.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Miesiąc Lipiec roku bieżącego zapisał się w historyi, dzięki okolicznościom, jakie towarzyszyły podróży eskadry francuskiej pod wodzą vice-admirała Gervais do Kronsztadu. Po drodze eskadra zatrzymywała się w Danii i w Szwecyi, gdzie podejmowano ją bardzo serdecznie; atoli oczy całéj Europy zwróciły się na nią dopiero w chwili, kiedy rozległy się głośne okrzyki powitania nad Newą. Na trzeci dzień po przybyciu eskadry zaszczycił ją zwiedzeniem Najjaśniejszy Pan wraz z Najjaśniejszą Panią, w orszaku Książąt i Księżniczek Rodziny Panującéj. Tegoż dnia odbyło się na statku Cesarskim śniadanie, na którém obecni byli oficerowie eskadry francuskiéj. W dniu 28 Lipca dany był dla nich w Peterhofie obiad Dworski. Najjaśniejszy Pan wniósł toast „na cześć Prezydenta Rzeczypospolitéj francuskiéj, a w szczególności eskadry admirała Gervais“, toast, po którym zabrzmiały dźwięki Marsylianki. Prócz tego Najjaśniejszy Pan raczył wysłać do Prezydenta Rzeczypospolitéj depeszę gratulacyjną z wyrażeniem zadowolenia, jakie Mu sprawia obecność eskadry francuskiéj w Kronsztadzie, będąca „dowodem sympatyi, jakie łączą Francyę z Rossyą.“ Na depeszę tę Prezydent Carnot odpowiedział telegramem dziękczynnym, stwierdzając również, że obecność eskadry francuskiéj w Kronsztadzie i okazałe jéj przyjęcie jest dowodem „sympatyi, jakie łączą Rossyę z Francyą.“ Dodajmy do tego, że ludność Petersburga i jego okolic, idąc za wskazówką, daną przez sfery Najwyższe, entuzyastycznie na każdym kroku witała gości przez cały czas ich pobytu, oraz że we Francyi przyjęcia krosztadzkie odbiły

się echem głębokiego wzruszenia, które znalazło wyraz w artykułach pism i telegramach, wymienionych przez municypalność Paryża, Cherbourga i innych miast z prezydentem rady miejskiéj Petersburga, a będziemy mieli szkic obrazu tego pamiętnego zdarzenia. Europa z natężoną uwagą przysłuchiwała się odgłosom, przychodzącym z nad Newy. Kolumny dzienników pełne były zarówno opisów zewnętrznéj strony przyjęcia, jak rozpraw nad jego politycznem znaczeniem; te ostatnie zresztą dotychczas nie ustały, lecz ciągną się daléj nieprzerwaném pasmem.

Było ich dużo i nie możemy ich tutaj regestrować szczegółowo. Wogóle stawiano sobie pytanie: czy Rossya i Francya zawarły lub zawrą przymierze, i jak się na dalszym rozwoju stosunków politycznych odbije ich zbliżenie. Dzienniki półurzędowe wszystkich krajów, z Niemcami i Austryą włącznie, w zawarcie sojuszu nie wierzą. Podziela tę niewiarę i reszta prasy, i nawet *Times*, pomimo iż korespondent jego petersburski niewiadomo zkąd wydobył wiadomość, że admirał Gervais przywiózł z sobą projekt pisany związku i przedstawił go do zbadania ministrom spraw zagranicznych, wojny i marynarki. Odsuwając jednak myśl o prawdopodobieństwie przymierza, prasa wszystkich krajów również jednomyślnie zgadza się, że ta wymiana serdecznych zapewnień przyjaźni między dwoma rządami i dwoma narodami, do któréj dał okazyę pobyt eskadry francuskiéj w Kronsztadzie, ma wielką polityczną doniosłość.

Jakoż ma ją niezawodnie. Wydarzenia kronsztadzkie nastąpiły w parę tygodni po odnowieniu potrójnego przymierza. Jakkolwiek podróż eskadry ułożona była między dwoma rządami wcześniéj, bo już w Maju, niemniéj przyjęcie jéj zmieniło się w odpowiedź pod adresem sprzymierzonych. Rossya i Francya zadokumentowały swoją solidarność polityczną. I dawniéj już wprawdzie było wiadome, że Rossya i Francya grawitują ku sobie. Łączyło je przedewszystkiém to, że przymierze potrójne było skierowane w równéj mierze przeciwko jednéj i drugiéj. Zarówno w dyplomatycznéj, jak w orężnéj walce z niém, Rossya osobno i Francya osobno byłyby zawsze słabsze. Z konieczności już tedy logicznéj musiały się oglądać na siebie w nadziei, że jedna znajdzie w potędze drugiéj ten niedobór sił, którego sama wydobyć nie może. Oba państwa miały interes w krzyżowaniu planów trójprzymierza; każde z nich powinno było dbać, aby drugie było potężne i aby mu się ze strony sprzymierzonych nie stała krzywda. Atoli w okresie czasu trwania trójprzymierza aż do chwili obecnéj, Rossya i Francya były dla siebie wzajemnie tylko rezerwoarami sił zapasowych na widoku. Liczyły na spożytkowanie się wzajemne z czasem i, idąc każda swoją drogą, ale w jednym kie-

runku, obserwowały się. O współdziałaniu, opartém na układzie pisanym, nie było mowy. Składały się na to różne przyczyny. Przedewszystkiém nielad wewnętrzny we Francyi. Przymierze niemiecko-austryackie zastało ją w okresie zaciętéj walki respubliki ze stronnictwami monarchicznemi, które za Mac-Mahona bliskie już były zwycięztwa. Prezydentura Grevy'ego, pełna zmian gabinetowych, zakończyła się pamiętnym skandalicznym procesem Wilsona i dymisyą. Potém nastąpił Boulanger i koalicya stronnictw wywrotowych, która wstrząsnęła ścianami Rzeczypospolitéj tak potężnie, że, zdawało się, nie ustoją. W ciągu całego tego czasu nie była pewna życia forma rządu, nie było też pewne dnia ani godziny żadne ministeryum. Wskutek układu stronnictw w parlamencie, radykaliści, przyłączając się do głosów opozycyi monarchicznéj, mogli byli, ile razy im się podobało, obalić gabinet. Z możności téj korzystali do syta. Dopiero z upadkiem bulanżyzmu stosunki zmieniły się na lepsze. Monarchiści, przegrawszy tę batalię, w którą włożyli cały zasób pozostałéj im jeszcze energii, przestali być dla rzeczypospolitéj niebezpiecznymi. Przeciwnicy jéj zaczęli się z nią godzić, uważając ją za zło nie do usunięcia. Wszczął się ruch, dążący do zmiany opozycyi monarchicznéj w zachowawczo-konstytucyjną. Dygnitarze kościoła, aż dotąd przeciwni respublice, jeden po drugim ogłaszali się za respublikanów, w czém działali zgodnie z wolą papieża. Spokój ustalił się w umysłach, trwałość w rządach. Nietylko nikt się już nie obawia o losy konstytucyi, ale i żywot ministeryów zaczął być dłuższym i pewniejszym. Na tle tego wszystkiego zaś uwydatniła się postać prezydenta Carnot'a, jako męża, z godnością i taktem reprezentującego kraj, otoczonego szacunkiem i sympatyą współobywateli.

Otóż dopiero po téj szczęśliwéj przemianie, po tém wyjściu, jeśli nie z anarchii, to w każdym razie z wielkiéj niepewności stosunków wewnętrznych, Francya stała się czynnikiem, który mógł być zdaleka uwzględniany przy kombinacyach aliansowych gabinetu petersburskiego. Ta przemiana jednakże jest bardzo świeżéj daty. Jéj nowość tłómaczy nam w przeważnéj części, dlaczego Francya i Rossya, choć oddawna grawitowały do siebie pod naciskiem potrzeb równowagi europejskiéj, dopiero w ostatnich czasach naprawdę się zbliżyły.

Były prócz tego i inne przyczyny, różnéj wartości i miary. Przytoczymy jedną z nich. Rossya, niepewna, jak wszyscy do niedawnych czasów, przyszłości rzeczypospolitéj, utrzymywała, pomimo trójprzymierza, jak najpoprawniejsze stosunki z Niemcami. Książę Bismarck okazywał jéj zawsze wiele uprzejmości, a jednocześnie udawał obojętnego dla interesów austryackich na Wschodzie, gdzie Niemcy

same znowu jakoby własnych swoich interesów wcale nie miały. Można było przez czas jakiś wierzyć dobrym chęciom rządu niemieckiego. Prócz tego zaś, gdy Rossya wreszcie przekonała się, że Niemcy, pomimo zachowywania pozorów, w rzeczywistości popierają na Wschodzie interesa jéj interesom przeciwne, musiały jednakże pozostać dla dyplomacyi petersburskiéj te „dobre chęci“ Niemiec, ta ich sąsiedzka uprzejmość i skłonność do przyjaznego pożycia rzeczą nie bez wartości, świadczącą, że Niemcy wysoko szacują potęgę Rossyi, i że się z nią bardzo liczą. Między obu państwami unosiła się myśl o możliwości politycznego zbliżenia wskutek jakichś ustępstw, które jedno od drugiego uzyska. Niemcy myśl tę podsycały, bez wewnętrznego przekonania, ale żeby Rossyę trzymać od Francyi zdaleka. Rossya, także w ostatnich czasach już bez wiary, chowała przecież myśl tę długo w odwodzie, témbardziéj, że Francya nie była *alians-fähig*. Z kilkuletniego trwania takiéj myśli wytworzyła się pewna suma przekonań, nadziei, uprzedzeń i tym podobnych czynników, dość upartych i do przezwyciężenia niełatwych, a składających się razem na psychiczną już czysto zawadę do postępów zbliżenia między Rossyą i Francyą. Na osłabienie jéj także potrzeba było czasu.

W chwili odnawiania trójprzymierza, która na parę tygodni zaledwie poprzedziła wydarzenia kronsztadzkie, wszystkie te zawady materyalne i psychiczne już nie istniały. Francya odzyskała równowagę wewnętrzną, Rossya zdaje sobie sprawę, że ważniejszém jest dla niéj zbliżenie z Francyą nad pozory dobrych z Niemcami stosunków. Dyplomaci w Paryżu i Petersburgu wiedzieli niezawodnie zawczasu, że trójprzymierze będzie odnowione, a może i to także, że nowina o tém zostanie światu podana do wiadomości w wigilię wylądowania cesarza Wilhelma w Anglii. I oni tedy weszli w porozumienie. W Maju r. b. postanowiona została podróż eskadry francuskiéj do Kronsztadu. Dla umiarkowania efektu, ułożono się, że eskadra odwiedzi najprzód Kopenhagę i Stokholm, w powrocie zaś porty angielskie. *Figaro* paryski podaje, jako rewelacyę dyplomatyczną, że podróż ta i jéj warunki przyjęte zostały jedynie jako znak zewnętrzny, za pomocą którego Europa powinna się była dowiedzieć o zbliżeniu dwóch państw, obejmującém warunki, tylko wtajemniczonym dyplomatom wiadome. Żeby to zrozumieć, nie potrzeba było figarowskich rewelacyi. Przytoczone powyżéj szczegóły przyjęć kronsztadzkich dowodzą aż nadto wyraźnie, że między obu państwami nastąpiło poufne, na uprzedniém porozumieniu oparte zbliżenie, i że ułożyły się one o to, aby zbliżenie owo w uroczysty sposób wobec Europy zamanifestować. Brak przymierza nie odejmuje zgoła doniosłości ani zbliżeniu, ani téj manifestacyi. W dziejach nietylko przy-

mierza są faktami. Skoro rząd Rossyi solennie ogłosił przyjaźń, łączącą go z Francyą, i skoro uczuciom społeczeństwa pozwolił zwrócić się swobodnie w tym kierunku, dowód to oczywisty, że całą swoją przyszłą politykę oprzéć postanowił na współdziałaniu z Francyą, w przeciwieństwie do pamiętnego z czasów trójcesarskiego przymierza współdziałania z Niemcami. To wystarcza, aby ze słownika politycznego Europy wykreślone zostały na chwilę obecną dwa pojęcia, odpowiadające dwom prądom politycznym: przyjaźń russko-niemiecka i pojednanie niemiecko-francuskie. Bieg wypadków uczynił z tych pojęć puste dźwięki. Stało się to bez przymierza Francyi z Rossyą, lecz w następstwie trwania i odnowienia sojuszu potrójnego, oraz związków z niém Anglii. Manifestacye kronsztadzkie nie wywołały faktu, lecz tylko potwierdziły jawnie, że się dokonał. Na tém właśnie polega ich doniosłość, i ztąd to wypływa, że sprawiły tak wielkie wrażenie w stolicach trzech państw sprzymierzonych, pomimo upowszechnionego tam przekonania, że Rossya i Francya nie zawarły formalnego traktatu.

Jakie będą tego nowego położenia następstwa? Opinia publiczna instynktownie odczuwa, że poważne. Nie mamy pretensyi do formowania horoskopów przyszłości; w ogólnych zarysach wolno przewidywać, że gdy Francya i Rossya będą odtąd szukały w porozumieniu nie z Niemcami, ale z sobą podstawy dla politycznych i dyplomatycznych działań, Niemcy ze swéj strony tém mocniéj i jawniéj zsolidaryzują się z interesami Austryi i Anglii na Wschodzie. Hekuba księcia Bismarcka także niezawodnie wykreślona zostanie ze słownika. Dwa niezgodne obozy staną naprzeciwko sobie wyraźnie w pozycyach obronnych. Epoka bismarkowskich „dwóch żelaz w ogniu“ zostaje zamkniętą. Zygzakowate dotąd linie celów politycznych wyprostują się. Wzmoże się po obu stronach świadomość dążeń, a może i pochopność do czynów. Tylko że zarazem urość może i niebezpieczeństwo poruszania wszelkich kwestyi spornych z zakresu wielkiéj polityki. Jest jedno państwo, któremu to bardziéj niż innym na rękę i które pragnęło-by utrwalenia jak największego zastoju — to Anglia, bezpieczna przy wzajemném ubezwładnieniu się wszystkich innych politycznych kolosów i pragnąca zyskać na czasie dla umocnienia się nad Nilem. Czy jednak i owe kolosy, dźwigające na swych barkach ciężar zbrojnego pokoju, będą tego samego zdania, czy osądzą, że bezpieczniéj jest czekać cierpliwie niewiadomego jutra, choćby wpośród zastoju, niż rzucić się w wir walki orężnéj, któréj skutek zawsze niepewny, to jest tajemnicą przyszłości.

W niezmierzonéj powodzi zjawisk i kwestyi społecznych wybitne miejsce zajęła w ostatnich czasach sprawa szkolna, która zaprzątnęła całą Europę i rozgorączkowała umysły, żywiéj odczuwające losy przyszłych pokoleń. Minęły już te czasy, gdy naukę uważano za zbytek, dostępny tylko dla tych, którzy rozporządzają odpowiedniemi środkami materyalnemi. Przeciwnie, nawet tam, gdzie panował największy konserwatyzm pod tym względem, zrozumiano, że pozostawianie w wiecznym mroku mas całych, jest ciężką i niczém niepowetowaną krzywdą społeczeństwa. Nie dość jednak stworzyć szkoły, zaopatrzyć je w nauczycieli i uczniów. Trzeba udoskonalić samo uczenie i ułatwić zdobywanie nauki, nieobciążonéj balastem niepotrzebnym. W tym właśnie kierunku powionął silny prąd we wszystkich niemal państwach europejskich i wywołał zmiany mniéj lub więcéj radykalne. Prąd ten jest tém ciekawszy, że tu i owdzie wieje z najwyższych szczytów nawy państwowéj. Znane są w tym kierunku dążenia monarchy niemieckiego, którego ogólny plan przekształcenia szkół, aczkolwiek nie zawsze wiąże się ściśle z wymaganiami praktyki, i nie dałby się z nią pogodzić we wszystkich punktach, — wyciśnie jednak silne piętno na szkolnictwie niemieckiém w kierunku dodatnim. Pomijamy tu tchnące przesadą pobudki patryotyczne, wymagające zastąpienia przedmiotów klasycznych niemczyzną; przedewszystkiém ważnym względem jest to, iż bodziec pochodzi z wysoka, musi więc, po wywołaniu nieuniknionéj wrzawy i oporu ze strony rutynistów, zrodzić szereg zmian na korzyść młodzieży szkolnéj. Liczne a uderzające fakty dowiodły, iż dzisiejszy system szkolny wogóle jest formą wadliwą, nietylko pod względem zdobywania wiedzy, tudzież nadużywania sił fizycznych i wyczerpywania energii duchowéj, ale nadto — pod względem zużytkowywania zdolności jednostek na rzecz dobra ogólnego. Nie trzeba dowodzić, że przy dotychczasowym porządku rzeczy, zarówno szkoły średnie, jak i uniwersytety, obok ludzi prawdziwie pożytecznych i rozwiniętych umysłowo, dają znaczny procent umysłów jałowych, bez względu na dyplomy chlubne. Gdy przeciwnie- coraz liczniéj wypływają na wierzch i zajmują wybitne stanowiska wśród ogółu tacy, którzy bez systematycznego wyuczenia się objętego w ramki programów szeregu przedmiotów, potrafili odczuć każde tętno życia społecznego i posiedli zdolność jasnego oceniania wszelkich potrzeb jego i zjawisk. Nie mogło to ujść uwagi reformatorów, projektodawców i publicystów głębiéj zaglądających w potrzeby życiowe. Tu i owdzie dają się słyszéć głosy, przemawiające za potrzebą zaznajamiania młodzieży szkolnéj z życiem rzeczywistém, ażeby wyrobić szeregi ludzi na usługi dobra publicznego, uprzedzających życzenia ogółu, nie zaś, jak dotąd, sta-

wających bezwiednie na przeszkodzie tym życzeniom. Jaką atoli drogą dało-by się osiągnąć to zespolenie nauki teoretycznéj z praktyką życiową, trudno z góry orzéc stanowczo i podać jakąś radę zbawienną wobec tego, iż częstokroć przerobienie jednego ogniwa pociągało-by za sobą potrzebę zmiany całego łańcucha. Nie idzie za tém, iżby zaniechać wszelkich usiłowań w tym kierunku. Przeciwnie—robi się dziś wiele, nawet bardzo wiele, w porównaniu z ubiegłemi lat dziesiątkami, i niewątpliwie będą téj pracy w niedalekiéj przyszłości owoce chociaż częściowo dojrzałe. Oczekiwane są one nawet w Anglii, bardzo ciężko się rozstającéj z urządzeniami przeszłości. Najsilniéj tam konserwatyzm utkwił w instytucyach szkolnych, gdzie jeszcze niedawno myśl o ich świeckości poczytywaną była niemal za herezyę, i pomimo to w rozwoju szkół angielskich dają się zaznaczyć nagłe przełomy. Pierwszy z nich datuje się od lat dwudziestu i polega na wprowadzeniu obowiązkowéj nauki elementarnéj. Nie zadowoliło to jednak stronnictwa liberalnego, które odczuwało potrzebę uprzystępnienia nauki bardziéj niż ogół. Przeciwnie, znaczna jego część, reprezentowana przez wyższe warstwy społeczne, była i jest stanowczo przeciwna wszelkim reformom w tym zakresie. Zdawało się, iż walka z ich oporem będzie bardzo trudną i długą, tymczasem w roku zeszłym z ust lorda Salisburego rozniosła się wieść o zamiarze przyjęcia przez państwo znacznéj części ciężaru, ponoszonego przez ogół na rzecz oświaty; wkrótce zaś potém ministrowie Smith i Goschen oficyalnie zapowiedzieli projekt bezpłatności szkółek elementarnych i—przeznaczenie na ich rzecz z kasy państwowéj 2-ch milionów fst. Zrobiło to wielkie wrażenie na opinii publicznéj, oczekiwano zmian wielce radykalnych, które pchnęły-by szkolnictwo na zupełnie nowe tory. Tymczasem z ogłoszonego billu w dniu 8 Lipca świat się dowiedział, iż zapowiadana reforma jest właściwie półśrodkiem, bardzo jednakże ważnym; wróży on bowiem dalsze reformy w przyszłości. Wedle obwieszczonego projektu, państwo przyjmuje na się obowiązek płacenia szkołom od każdego ucznia, liczącego więcéj niż 5 lat wieku i mniéj niż 14 — po 10 szylingów rocznie. Taki zasiłek, aczkolwiek skromny, będzie miał wielkie znaczenie dla warstw ubogich, zmuszonych płacić tygodniowo po 3 pensy od dziecka. Wedle twierdzenia wice-prezesa rady oświaty, Wilhelma Hart-Dyke, pomoc państwowa obejmie 80% szkółek. To już nie bagatela! Zaledwie zdołano obwieścić projekt téj ulgi, ozwały się ze wszech stron głosy krytyczne, między któremi zasługują na uwagę poważne zdania rzeczoznawców. Przedewszystkiém mają oni za złe to, iż, dając pomoc materyalną, zupełnie pominięto stronę wychowawczą, któréj reforma należy do spraw najpilniejszych w Anglii, gdzie jako zabytek

archaiczny pozostała dotąd znaczna liczba szkółek, założonych przez różnorodne sekty religijne. Wykładana jest tam nauka w sposób zadający gwałt wszelkim zasadom pedagogicznym. Pomijamy inne zarzuty, których roztrząsanie na tém miejscu nie naszą jest rzeczą. Chodziło nam tylko o zaznaczenie prądu, dążącego do uprzystępnienia oświaty całym masom, przez państwo aprobowanego. Pomoc z ramienia rządu, chociaż połowiczna, jest już faktem niesłychanie ważnym.

Ruch w kierunku reform szkolnych objawił się także w ostatnich czasach w Cesarstwie, gdzie usankcyonowanie przed kilku tygodniami szkółek „czytania i pisania“ po wsiach daje początek jednolitéj reorganizacyi oświaty ludowéj.

O wiele szybszy jednak rozwój można wróżyć szkołom fachowym, o których zakładanie kołaczą usilnie liczne przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe, odczuwające potrzebę uzdolnionych pracowników, których wiedza specyalna, zużytkowana w praktyce, może zwiększyć dochody jednostek i towarzystw pracodawczych. Jak wiadomo, od chwili wydania przepisów o przekształceniu dawnych i zakładaniu nowych szkół w kierunku praktycznym, sfery właściwe dopomagają w tym względzie inicyatywie prywatnéj; dzięki temu będziemy mieli w roku bieżącym szkołę ogrodniczą p. Zawady w Częstochowie. Od chwili zamknięcia takiéj szkoły w Warszawie, potrzeba jéj dawała się silnie odczuwać, zwłaszcza, że w ostatnich czasach coraz bardziéj budzi się śród mieszkańców wsi zamiłowanie do racyonalnego ogrodnictwa nie w znaczeniu sportowém, lecz — pożytku materyalnego. W szeregu projektowanych szkół specyalnych położono nacisk na potrzebę założenia w stolicy wyższéj Akademii handlowéj z katedrą języków wschodnich, z gwarancyą wszelkich ułatwień i ulg dla jéj wychowańców. Poczucie potrzeby wykwalifikowania znacznego zastępu ludzi w tym kierunku powstało zupełnie naturalnie. Daleki Wschód uchodzi dziś, i całkiem słusznie, za niwę złotodajną, na któréj walczą o lepsze państwa europejskie. W miarę wzrastania téj walki, rodzi się konieczność obeznania się dokładnego nietylko z rynkami tamtejszemi, ale z naturą, upodobaniami, zwyczajami i wymaganiami mieszkańców. Do tego potrzeba nie aferzystów, zwyczajnych agentów, ale ludzi z wyższém wykształceniem, specyalném i ogólném, którzyby potrafili pociągnąć za sobą handel europejski i zalać nim rynki azyatyckie. Przyczyni się do tego żądana Akademia, dopomoże również w części wystawa środkowo azyatycka w Moskwie, która sprytniejszych kupców pouczy, jaki mają gust i wymagania półdzicy azyaci, a zatém, jaką drogą ich samodział da się wyprzéć z ich własnych rynków krajowych wyrobami fabrycznemi przemysłowców russkich. Tym sposobem pierwotna technika dalekiego Wschodu popisem

w Europie bezwiednie zgotowała dla siebie zagładę w niedalekiéj przyszłości, a raczéj przyczyniła się poniekąd do przyśpieszenia téj nieuniknionéj chwili.

Obok popisów wystawowych z dziedziny techniki przemysłowo-handlowéj, coraz częściéj dziś są urządzane tego rodzaju przeglądy zdobyczy naukowych. Z charakterem tych ostatnich, ale w związku z dziedziną poprzednią pozostaje wystawa elektryczna we Frankfurcie nad Menem. Jest to święcenie uroczystości wiedzy, która zdołała ujarzmić najpotężniejszą siłę przyrody i zastosować ją do wybitnych gałęzi pracy ludzkiéj. Jeżeli para wywołała znaczny przewrót w dziedzinie techniki i wpłynęła na zupełne przekształcenie podstaw przemysłu wielkiego, to elektryczność w niedalekiéj przyszłości zmieni z gruntu pracę maszynową i prawie zupełnie usunie ręczną w olbrzymich warsztatach wytwórczości. Wiadomo, jak wielkie ma znaczenie w rozwoju techniki po-za zdwojeniem siły motorów — oszczędność czasu. Ludzie, jak gdyby pod hasłem krótkotrwałości swego istnienia, starają się pracować z gorączkową szybkością, spekulują na czasie, jak przekupień na najdrobniejszym przedmiocie handlu. Aby towar nie leżał zadługo w portach, aby komunikacya nie ucierpiała na parogodzinnéj zwłoce skutkiem przerwania, odbywa się ładowanie statków, naprawa mostów, robota ziemna w nocy przy oświetleniu elektrycznem. Szybkie porozumiewanie się na znacznéj przestrzeni jest dziś już tak niezbędne w codziennem życiu ludzkiém, że, gdyby jego naraz skutkiem jakiéjś katastrofy zabrakło, cały świat-by zbankrutował. Doskonałość poszła jeszcze daléj, bo oto wynaleziono aparat elektryczny, za pomocą którego można z głównéj giełdy wysyłać jednocześnie szereg depesz jednobrzmiących. Tak więc w niezmiernie przyśpieszonym biegu życie ludzkie we wszystkich punktach tętni elektrycznością, nie zwalniając ruchu na jedno mgnienie. Szczęśliwi wybrańcy losu mogą teraz oglądać nad Menem cały dorobek wysiłku ludzkiego na tém polu, podziwiać udoskonalone fonografy, grafofony, oglądać graficzne przedstawienie połączeń wszystkich części świata, przenoszenie siły elektrycznéj na większą przestrzeń i wogóle objąć całokształt rozwoju elektrotechniki od jéj kolebki do chwili obecnéj.

Skromniejsze miejsce zajmuje, ale pod względem znaczenia naukowego nie ustępuje powyższéj, wystawa przyrodniczo-lekarska w Krakowie, wraz ze zjazdem naszych lekarzy i przyrodników, którzy, jak głoszą sprawozdania, licznie się zgromadzili w podwawelskim grodzie. Nowością jest wcielenie do kongresu sekcyi psychologicznéj, w któréj wzięło udział sporo specyalistów z kilkunastu referatami ze wszyst-

kich działów psychologii. Zjazd taki jest znamieniem czasu, świadectwem ciągłego rozwoju nauki, która dziś już doszła do takiéj fazy, że odosobniona praca jednostek nie wystarcza. Kadry pracowników we wszelkich gałęziach wiedzy czują potrzebę peryodycznego porozumiewania się z sobą, wyjaśniania i rozwijania badań wspólnemi siłami. Dlatego też kongresy i zjazdy są dziś na porządku dziennym. Rzecz inna, czy odpowiadają one w zupełności celowi, czy chwilowe zetknięcie się ludzi, którzy w przeciągu paru dni nie zdążyli poznać ani swych zdolności, ani poglądów, wystarcza dla zupełnego wykonania programów z góry nakreślonych. Ale przecież nigdy odrazu się nie dochodzi do doskonałości zupełnéj. Zjazdy naukowe w takiéj formie, jak dziś, datują się od niedawna. Nie można zatém wymagać pozbycia się braków, które doświadczenie w tym kierunku usunąć tylko może. Témbardziéj powinniśmy być pobłażliwi dla usterek zjazdu naszych przyrodników i lekarzy, którzy dopiero rozpoczynają swą działalność gromadną. Tymczasem usłyszeliśmy już sporo zarzutów, mniéj lub więcéj ostrych, czynionych przez specyalistów i niespecyalistów. Mogą one być o tyle tylko pożyteczne, o ile służyć będą za wskazówki na przyszłość. A więc uczestnicy zjazdu powinni zwrócić uwagę np. na to, że prawie jednoczesne odbywanie posiedzeń i odczytów kilku sekcyi jest ze szkodą dla nich wszystkich pospołu. Należało przedłużyć zjazd o parę dni na to, iżby dać możność uczestniczenia grupie specyalistów w roztrząsaniu wszelkich odrośli wiedzy przyrodniczo-lekarskiéj, co niewątpliwie było-by z większą korzyścią dla nauki. O ile zarzuty nie mają na względzie sprostowania błędów, smutne robią wrażenie, gdyż się przebija w nich charakterystyczny odcień koteryjności, od któréj nawet przedstawiciele poważnéj nauki nie są wolni. Urządzona z okazyi zjazdu wystawa przyrodniczo-lekarska w Krakowie, obudziła szerokie zainteresowanie śród ogółu tak dalece, że nawet z głuchéj prowincyi zgłosili się rzemieślnicy z przedmiotami ku pomocy lekarskiéj; między innymi stolarz „z zapadłéj krainy, dokąd nawet koléj żelazna nie dochodzi“ — jak głosi jeden z korespondentów — wykonał własnego pomysłu stołek do badań ginekologicznych; inny—ławkę hygieniczną dla szkoły. Podobno najobficiéj był reprezentowany dział wynalazków naszych wraz z obrazem rozwoju historycznego w tym kierunku. Szkoda, iż brak tam było jednego przedmiotu, który obmyślił i wykonał świeżo w Warszawie p. Kazimierz Pietkiewicz. Jest to nowy termostat, czyli przyrząd do hodowli i rozwoju bakteryi. Polega on na wielkiém ułatwieniu i prostocie w użyciu. Zastosowany głównie do nafty, może być niezależnie od tego ogrzewany wszelkim innym materyałem. Dla regulacyi nadmiar ciepła odpływa rurą boczną. Czułość

przyrządu jest tak wielka, że wystarcza podwyższenie temperatury o niecały stopień, ażeby ogrzewanie zatamować zupełnie. Dotąd podobne przedmioty wyrabiano za granicą w zastosowaniu tylko do gazu, co obok kosztowności pociągało za sobą wielką niewygodę i dawało możność poświęcania się badaniom bakteryologicznym tylko wybranym, to jest lekarzom, mieszkającym w większych miastach. Obecnie, dzięki wynalazkowi p. P., dział tych badań niezmiernie ważnych będzie uprzystępniony dla ogółu lekarzy. Godną jest uwagi jeszcze i ta okoliczność, że wyrobem owych termostatów zajmie się jedna z fabryk warszawskich. Wracając do działu naukowego wystawy krakowskiéj, musimy, jako świadectwo wielkiego rozwoju nauki, zaznaczyć sposób sławnego profesora Teichmana przechowywania okazów zoologicznych i preparatów anatomicznych. Uczony ten, który nie brał dotychczas udziału w wystawach krajowych, po trzydziestu latach przechowania, przedstawia żaby, ryby, jaszczurki i węże, leżące na stole bez ochrony szklanéj, bez spirytusu lub innego płynu konserwującego; okazy zachowują nietylko barwę i kształty, ale gibkość zupełną. Niejeden z czytelników wziąłby to za bajkę, gdyby opowiadanie o tém nie pochodziło z ust specyalisty, d-ra M. S. „Można dzisiaj — są słowa jego w *Kuryerze Codziennym* — po 30-tu latach przechowania poruszać nogą lub skrzydłem chrabąszcza, bez obawy uszkodzenia go. W przekrojonéj rybie widać zachowane, naturalnie ułożone wnętrzności, a wszystko bezwonne, dające się brać w rękę. Węża przed 30-tu laty złapanego owinąć można około palca, a w dotknięciu i z wejrzenia jest całkiem świeży. Nie dość tego: mózgi ludzkie, przed 30-tu laty zachowane, dzisiaj mogą się znaléźć w toalecie najdrażliwszéj nerwowo damy, bezwonne i lekkie jak puch, wyglądają naturalnie, jak dzisiaj z czaszki wyjęte, a w ręce robią wrażenie masy jak hubka.“

Takie są cuda nauki! Uczyniono już wiele w jéj zakresie na korzyść rodu ludzkiego, ale jest to wszystko nieznaczną drobinką jeszcze wobec charłactwa szeroko rozwiniętego, z którém walka jest trudną, bo polega na potrzebie zmiany wielu warunków życiowych bardzo złożonych. Jeżeli więc nauka lekarska nie zdołała nas ochronić od cierpień różnorodnych, od niedołęztwa i zwyrodnienia fizycznego, nie miejmy do niéj pretensyi. Jest ona tylko środkiem wykonawczym przy warunkach przyjaznych. Starajmy się więc przedewszystkiém stworzyć te warunki, które w wielu razach nie przekraczają granic możności ludzkiéj. Wiadomo, iż podścieliskiem wszelkiéj niemocy jest brak hygieny, który spostrzegamy na każdym kroku, od kolebki do mogiły. Niéma jéj ani w szkołach, ani w biurach, ani nawet w domu.

Wprowadzenie zaś jéj wszędzie nie może być dziełem nietylko jednego roku, ale nawet jednego dziesiątka lat. Możemy atoli zaznaczyć objaw pocieszający, iż w ostatnich czasach na stronę hygieniczną życia ludzkiego coraz baczniejsza jest zwracana uwaga. Pracują nad tém nietylko jednostki, ale ciała zbiorowe, grupy prywatne oraz instytucye administracyjne lekarskie. Ogłaszają one środki, podają wnioski zbawienne, rzeczą zaś innych instytucyi jest wcielać je w czyn. Kto wie, czy to ostatnie nie jest najważniejszém. Na mocy stosownych danych wydział administracyjno-lekarski wskazał już wiele braków, kładąc na nich silny nacisk, jak np. zgubne warunki urządzeń biurowych, rujnujących zdrowie pracowników, na kominy w budynkach parterowych śród gmachów kilkopiętrowych. Jest to zdaniem departamentu lekarskiego jedną z przyczyn rozwoju chorób piersiowych w miastach. Ta sama instytucya zajmuje się obecnie sprawą utworzenia kolonii dla obłąkanych, tudzież — rozciągnięcia bacznego nadzoru nad prywatnemi domami dla chorych tego rodzaju. Z tegoż źródła prawdopodobnie wyszła myśl utworzenia w roku przyszłym nowych posad lekarzy sanitarnych na kolejach żelaznych. Czynniki przeciwzdrowotne tak się roją w obecnych warunkach życia ludzkiego, jak drobnoustroje w kropli wody, badanéj pod mikroskopem. Gdybyśmy spojrzeli przez podobny drobnowidz na owe warunki istnienia swego, przerażenie nasze nie miało-by granic. Oszczędzamy sobie téj przykrości, ale nie możemy się odwrócić od tego, co się daje spostrzegać gołém okiem, co się na każdym kroku spotyka. Do rzędu rażących objawów należy zanik fizyczny, który najbardziéj się odbił na rasie żydowskiéj. Stwierdzają to dane porównawcze z różnych państw, dotyczące młodzieży popisowéj. W Rossyi musiano nawet wydać oddzielne przepisy, zastosowujące inną miarę dla żydów przy poborze do wojska; okazało się bowiem, że zawielki procent było niezdatnych z powodu nierozwiniętych dostatecznie organów wewnętrznych, wpływających na wąskość klatki piersiowéj. Tak straszna wątłość fizyczna, zdaniem dobrze w téj sprawie poinformowanego *Izraelity*, wynika z następujących przyczyn: Wielce szkodliwy dla zdrowia sposób wychowywania dziatwy płci męskiéj, trzymanie jéj przez cały okres dziecięctwa w dusznych o zabójczéj atmosferze chederach, skąd przeważnie młodzież wynosi, obok wykrzywień umysłowo-moralnych, zarody chorób różnych, przeważnie płucnych. Daléj: zbyt wczesne żenienie młodzieży, niedostatecznie pod względem fizycznym rozwiniętéj. Ubóstwo, brak stałego sposobu do życia, skazujący na bezustanną gonitwę za zarobkiem, przy zaniedbywaniu wszelkich innych obowiązków domowych i wychowawczych, z wyjątkiem rytualnych. Nędzne odżywianie dzieci, wyrastanie ich

w najszkodliwszych warunkach otoczenia domowego, wśród niechlujstwa i zatruwających zdrowie wyziewów. Brak, prócz rutynicznéj wiedzy religijnéj, wszelkiéj oświaty, wszelkiéj znajomości hygieny. Jeżeli się znalazły jednostki zasobne, dające swym współwyznawcom środki materyalne do walki ekonomicznéj,—dlaczego dotąd nie zwróciły one uwagi na tę stronę warunków bytu swego plemienia; dlaczego się nie postarają o wzorowe urządzenie chederów i wogóle środki zaszczepiania hygieny śród ciemnych i ubogich mas ludności żydowskiéj? Wiadomo, jak fanatycznie są wpajane przez mełamedów wszelkie zasady rytualne i jak one wsiąkają w duszę i krew młodzieży. Dlaczegoż jéj przewodnicy nie położą nacisku na jedno jeszcze ważne przykazanie hebrajskie: *Weniszmartem le-nafszosechem*, t. j. „abyście zdrowie swe pielęgnowali i szanowali.“ O ile warunki materyalne byłyby w zgodzie z hygieną, o tyle charłactwo przez jéj pielęgnowanie dałoby się usunąć. Jest to atoli kwestya długiego szeregu lat, tymczasem zaś wywiązała się sprawa pilniejsza, którą popierają swą kasą niewyczerpaną Rotschild, Hirsch i inni. Wzrost emigracyi żydowskiéj z Rossyi pobudził tych kapitalistów do zakupu gruntów dla współwyznawców na drugiéj półkuli dla kolonizacyi. Obecnie zaś baron Hirsch, spostrzegłszy znaczny przypływ żydów z Rossyi do Galicyi, przeznacza podobno ośm milionów franków na zakupywanie większych dóbr galicyjskich, a następnie na parcelowanie i osadzanie emigrantów russkich. Wiadomość ta podobno przeraziła wszystkie sfery miejscowe; rozlegają się liczne głosy, wołające na trwogę, ostrzegające przed zgubą kraju, która może nastąpić w razie urzeczywistnienia nowego projektu. Wogóle nawet władza nie może poradzić z napływem emigrantów żydowskich. Rząd przedsięwziął środki w celu przeciwdziałania osiedlaniu się żydów russkich na terytoryum galicyjskiém, to téż oni nie osiadają, lecz, gnani ciągle, wędrują z miasteczka do miasteczka, nigdzie miejsca nie zagrzewając i nic nie robiąc. Rzecz prosta, iż włóczęga taka do niczego dobrego nie doprowadzi i nie wyjdzie na korzyść ani ludności rdzennéj, ani napływowéj. Baron Hirsch i inni bogaci wpływowi żydzi agitują w Wiedniu za kolonizacyą. Ta właśnie okoliczność najbardziéj zaniepokoiła opinię publiczną w Galicyi i niewątpliwie stanie się czynnikiem, wzmacniającym antysemityzm, i bez tego już wielce rozwinięty, czego dowodem były głośne wypadki w Kołomyi, Słobodzie Rungórskiéj i Śniatynie. Dają się nawet słyszéć wróżby, że w razie usankcyonowania nowéj ofiary Hirscha, ludność galicyjska może do reszty stracić cierpliwość i wywołać wypadki, których wszystkie miliony hojnego ofiarodawcy nie zdołały-by okupić.

Nie usypia także emigracya ludu z Królestwa Polskiego. Stała się ona już kwestyą ciągłą, jak żydowska, i przedstawia niewyczerpane źródło faktów coraz nowych, dzięki wyszukiwaniu ich tu na miejscu i w Brazylii. Materyał z téj ostatniéj zasilał przez pół roku nasze pisma, dzięki Dygasińskiemu; obecnie to samo się dzieje z listami ks. Chełmickiego i relacyą p. Glinki, a na przyszły rok może się doczekamy od wyprawy p. Siemiradzkiego nowych szczegółów. Ostatecznie przyjdziemy do tych samych wniosków, które już wypowiedzieliśmy na mocy sprawozdań świadków naocznych „pickła brazylijskiego“ — nędzę, niezaradność chłopa polskiego, nieprzyjazne warunki klimatu, wyzysk spekulantów i przedsiębiorców miejscowych. Zdaje się, że już do innéj konkluzyi nie doprowadzą nas nowe sprawdzania o doli chłopa naszego za oceanem. Zbytecznem jest dowodzić, że wyprawa ks. Chełmickiego najpłodniejsze owoce przyniosła, bo przyczyniła się do rozsiewania żywego słowa śród „Tomaszów niewiernych“ przez tych, którzy na własnéj skórze odczuli dotkliwie to piekło, nazywane zdaleka rajem. Rezultatem namawiania do wychodztwa są obecnie sprawy sądowe, wytaczane podżegaczom i wymierzane na nich surowe kary. Jednocześnie wydano oficyalne rozporządzenie, dotyczące paszportów emigracyjnych, czyli udzielania świadectw bezpłatnych, które, jak objaśnia *Warszawski Dniewnik*, służą na to, ażeby „nie stawiać obywateli kraju tutejszego w konieczności opuszczania ojczyzny potajemnie, posługiwania się do tego rozmaitemi nielegalnemi środkami i stawania się przy tém często ofiarami eksploatacyi żydowskiéj.“ „Jeżeli śród włościan i robotników istnieje nieprzeparty popęd do wychodztwa — mówi daléj owo pismo — to lepiéj utworzyć ku temu legalny upust, z tym jednak warunkiem, iżby zastosowanie nowych lepszych dróg do porzucenia ojczyzny nie doprowadziło do wzmożenia emigracyi. W tym celu, dla zapobieżenia wychodztwu osób, niemających dostatecznych środków na przejazd do Ameryki lub gdzieindziéj, a pozostawiających w kraju rodziny i majątek nieruchomy, wydano stosowne przepisy, których główniejsze punkty, ze względu na ich znaczenie, podajemy w streszczeniu: Dla włościan i robotników, tudzież rozmaitego rodzaju obywateli miejskich i wiejskich „prostéj klasy“, należy sporządzać świadectwa kwalifikacyjne w ciągu dni 10-ciu od daty podania prośby. Mogą oni otrzymywać świadectwa takie jedynie pod warunkiem sprzedania swojego majątku nieruchomego przed opuszczeniem kraju. Od takich osób, udających się do Ameryki, nie należy wymagać składania świadectw rządów zagranicznych, w celu zezwolenia na zaliczenie ich do poddanych tamtejszych. Żądać należy od każdego z przesiedlających się złożenia 75 rs. na każdego pełnoletniego i 50 rs. na niepełno-

letniego. Pieniądze te wnoszą naczelnicy powiatu jako depozyta do kas miejscowych i zwracają osobom, które je złożyły, przy wręczaniu świadectw emigracyjnych. Wręczenie tych dowodów oraz depozytów odbywać się będzie w tych zarządach celnych, przez które wychodźcy życzą sobie opuścić ojczyznę. Jeżeli po upływie trzech miesięcy od chwili wydania pozwolenia nie opuszczą ojczyzny, tracą prawo do tego pozwolenia. Przy podawaniu próśb i udzielaniu świadectw, wogóle ma być zastosowany pośpiech niezwykły. Środki powyższe, zdaniem *Warszawskiego Dniewnika*, nie mogą wzmocnić ruchu emigracyjnego. „Chyba tylko ulegalizują one to, co przedtém dokonywało się w drodze nielegalnéj i zmniejszą liczbę osób, samowolnie porzucających ojczyznę.“ Ciekawe są w téj sprawie uwagi gazety *Nowoje Wremia*: „Prawo, pozwalające na emigracyę tylko z upoważnienia generał-gubernatora i uwalniające emigrantów od wyrabiania świadectw sturublowych, przyczyni się niezawodnie do uregulowania ruchu wychodźczego; niéma zaś żadnéj potrzeby stawiania sztucznych tam odpływowi z Polski proletaryatu wiejskiego i robotniczego. Zdaniem osób kompetentnych, ruch emigracyjny wewnątrz kraju trwa ciągle w dość znacznych rozmiarach; natomiast liczba wypadków przejścia granicy zmalała znacznie, odkąd agentura żeglugi parowéj w Bremie zaniechała bezpłatnego przewozu wychodźców i odkąd pograniczne władze pruskie nie przepuszczają już emigrantów bez wszelkich formalności.“ W dalszym ciągu gazeta powyższa, oceniając wyprawę ks. Chełmickiego i p. Glinki, utrzymuje, iż było-by praktyczniéj nie podejmować dalekiéj podróży, lecz środki na ten cel przeznaczone obrócić na wsparcie w kraju biednych emigrantów, przybyłych z powrotem, drogą albo zasiłków pieniężnych, albo wyszukania pracy.

Nie świetną jest sytuacya włościan, w guberniach nadwołżańskich, (pomimo czarnoziemu) i innych środkowych. Dwuletni nieurodzaj odbił się zabójczo na interesach ludu tamtejszego, obecny zaś rok także nic lepszego wróżyć nie może. W wielu miejscowościach zabrakło zupełnie zboża na zasiewy i na wyżywienie, jeszcze w początkach wiosny ceny ogromnie się podniosły, a widmo głodu zajrzało w oczy tysiącom. Jednocześnie na większych rynkach i w miastach portowych leżą nietknięte znaczne zapasy zboża, w próżném oczekiwaniu nabywców zagranicznych. Zwróciło to uwagę sfer właściwych, które zarządziły odpowiednie środki dla uprzystępnienia dowozu zboża do miejscowości, zagrożonych głodem. W tym celu, po odbyciu narad z przedstawicielami kolejowymi, ogłoszono szereg przepisów nadzwyczajnych, dotyczących zniżenia opłaty za przewóz pro-

duktów zbożowych, w stosunku $^1/_{200}$ kop. od puda i wiorsty za transport wszelkich gatunków, z wyjątkiem oleistych, od wszystkich stacyi kolei russkich, dla pożywienia i obsiewania pól, za środki, udzielane przez ziemstwa w dwunastu guberniach środkowych. Zniżono opłatę o połowę do wszystkich stacyi wewnętrznych od następujących portów i punktów pogranicznych: Petersburg, Rewel, Ryga, Libawa, Wierzbołów, Grajewo, Mława, Aleksandrów, Granica, Radziwiłłów, Wołoczyska, Ungeni, Reni, Odessa, Sewastopol, Geniczesk, Maryampol, Taganrog, Rostow, Noworossyjsk, oraz stacye: Rybińsk, Jarosław, Kostroma, Przystań Aleksandrowska (kol. Łozowsko-Sewastopolska) i Warszawa. Zniżono także znacznie ($^1/_{100}$ i $^1/_{80}$ kop. od puda i wiorsty) taryfę za przewóz zboża ze stacyi kolei rumuńskich, na terytoryum kolei południowo-zachodnich. Zniżenie to będzie również zastosowane do tych miejscowości, które mogą być zagrożone brakiem zboża na przyszłość. Ogłoszono nadto szereg innych ulg; zużytkowano kapitał żywnościowy w celu nabywania odpowiednich zapasów zboża na zasiew i na żywność; zastosowano środki administracyjne dla ułatwienia sprzedaży zboża i usunięcia spekulacyi szkodliwéj. Wreszcie zaprojektowano ułatwienie kredytu na spłatę powinności podatkowych. Uczyniono zatém bardzo wiele na korzyść ludności głodnéj; chodzi teraz tylko o wykonanie odpowiednie tych rozporządzeń, od czego właśnie zależy głównie poprawienie bytu chwilowo zagrożonych. Nadto zniżenie taryfy ma jeszcze inną dodatnią stronę. W Królestwie Polskiém, w roku bieżącym, urodzaj jest dobry z bardzo niewielkiemi wyjątkami; do obrębu zaś taryf zniżonych zaliczono: Granicę, Sosnowice, Warszawę, Mławę i Aleksandrów, t. j. punkty, w których się zwykle nagromadzają znaczne zapasy zboża. Otwierają się więc dla naszych rolników bardzo korzystne miejsca zbytu wewetnątrz państwa, z pominięciem zagranicy, pobierającéj od wytwórców tutejszych znaczny procent, który teraz pozostanie w ich kieszeniach. Należy tylko strzedz się spekulantów, którzy, przy zaniedbaniu stosownych środków ostrożności, najlepszy interes mogliby zrobić.

Jednocześnie z ulgami powyższemi ogłoszono zmiany taryf celnych, mających doniosłe znaczenie ekonomiczne dla całego państwa. Od dawna rzesze kupców i przemysłowców rozgorączkowane były oczekiwaniem zmiany; niecierpliwsi zasypywali ustawodawców tysiącami próśb o cła zakazowe rozmaitych przedmiotów, i byli pewni skutku swych starań. Innéj jednak zasady trzymała się komisya, opracowująca zmiany taryfowe. Powołała ona do udziału w robotach liczne instytucye i ludzi prywatnych, zebrała obfity materyał porów-

nawczy, i mając ugrupowany całokształt położenia przemysłu i handlu, przystąpiła z wielką ostrożnością do roboty. W opracowaniu nowéj zasady taryfy miano na względzie dobro wytwórczości krajowéj; przyjęto pod uwagę nie tylko wytwory fabryczne, lecz także produkty surowe, przedmioty kopalniane i t. d.; w wielu razach tam, gdzie przemysł stoi na trwalszych podstawach, nie wprowadzono w cłach zmian żadnych, a natomiast zniżono je do takiego poziomu, jaki istniał przed zeszłoroczną podwyżką dwudziestoprocentową. Przeciętna wysokość cła, ustanowionego w poprzedniéj taryfie, obliczona jest ogółem na 27% wartości towarów przywozowych. Przy podwyższaniu skali w Sierpniu r. z., procent ten wzrósł do 31%, obecnie zaś—do 32%. Tak więc w stosunku do taryfy tymczasowéj, ogłoszonéj w roku zeszłym, podwyżka ogólna wynosi w przybliżeniu zaledwie 1%. Pominięto więc tutaj zupełnie względy fiskalne, dochód bowiem celny nie tylko się nie zwiększy, lecz, przeciwnie, jest prawdopodobieństwo zmniejszenia się jego, z powodu ograniczenia dowozu wielu towarów, co musi nastąpić jako wynik ceł ochronnych. W wielu razach działano przezornie, t. j. postanowiono zwiększać cła stopniowo od takich przedmiotów, któremi wytwórcy krajowi muszą się posługiwać przez pewien czas z za granicy, gdyż w przeciwnym razie, zanim środki ochronne pobudzą przedsiębiorczość wewnętrzną, pewne gałęzie przemysłu mogłyby bardzo ucierpieć, wskutek nagłego ograniczenia dowozu z za granicy i braku odpowiedniéj ilości przedmiotów potrzebnych do fabrykacyi w kraju. Ostrożność całkiem słuszna. Nagłe bowiem przecięcie dowozu takich przedmiotów, bez których przemysł krajowy obyć się nie może, było-by rzeczą nazbyt ryzykowną tam, gdzie na wszechstronną samodzielność rachować jeszcze nie można. Zwróćmy uwagę na to, że, wskutek posługiwania się zagranicą przez długi szereg lat, pozostały dotąd w uśpieniu pewne kierunki przedsiębiorczości, a zatém nie miały sposobności wyrobić się pewne siły fachowe. Wobec takiego stanu rzeczy, jakież były-by rezultaty wprowadzenia ceł zakazowych, lub bezwzględnie protekcyjnych? Wzbraniając dowozu produktów, trzeba było-by jednocześnie dać szeroki upust dla przypływu fachowców zagranicznych, którzy-by rozwinęli zaniedbane dotąd pomocnicze gałęzie produkcyi i przekazali krajowcom swą naukę i doświadczenie. Oczywiście taki najazd fachowców wyrządził-by większą szkodę krajowi, niż swobodny dowóz pół-fabrykatów i przedmiotów surowych. Pod względem samego układu, nowa taryfa odznacza się wielką praktycznością, ugrupowaniem przedmiotów w sposób przystępny, ułatwiający szybkie obeznanie się z przedmiotem nawet ludziom, nie bardzo biegłym w téj sprawie.

Warszawa pod względem udogodnień i estetyki usiłuje dorównać większym miastom zachodnim. Mamy już wodociągi i kanalizacyę (wprawdzie jeszcze nieskończoną po 10-ciu latach), tramwaye miejskie za obce kapitały i skromne podmiejskie za własne; będziemy mieli bulwary nad Wisłą z szeregiem kamienic o tanich mieszkaniach i także za obce kapitały. P. Devars bowiem uwziął się na dobre i swoje pertraktacye przyprowadził do skutku. Termin trwania koncesyi oznaczono na lat 45: w ciągu pierwszych lat czterech przedsiębiorcy muszą wybudować bulwary, w ciągu zaś następnych pięciu przeprowadzić i wybrukować ulice, urządzić chodniki, wodociągi, kanalizacyę, oświetlenie; następnie w ciągu ośmnastu obowiązani są wznieść około 120 kamienic, i wreszcie w ostatnim okresie ośmnastoletnim korzystać mają z dochodów nieruchomości, wolnych od podatków miejskich. Po wyekspirowaniu koncesyi, ulice i bulwary przechodzą na własność miasta. Na rzecz przedsiębiorców zarząd miasta obowiązuje się sam ściągać z mieszkańców opłatę za wodę i użytkowanie kanałów. Wreszcie oświetlenie ulic, dostarczanie wody, tudzież odpływ ścieków, wykonane będą kosztem miasta. Ustępuje ono przedsiębiorcom na ich zupełną własność wszystkie place, obejmujące w przybliżeniu 640,000 łokci kwadratowych. Jak widzimy, przedstawiciel kapitalistów francuskich po długich targach wyjednał świetne warunki, dając im i sobie źródło znacznych zysków. Zdaje się, że jeszcze długo będziemy mieszkańcami ubogiéj krainy dla nas, a złotodajnéj dla obcokrajowców. Pod względem estetycznym, wkrótce Warszawa się wzbogaci zupełnie odświeżonym i przerobionym według najnowszych wymagań Teatrem Wielkim, kosztem przeszło sześciukroć stu tysięcy. Sala widzów zyska na przestronności i zwiększonéj liczbie miejsc. Oto, jak się przedstawia wnętrze gmachu teatralnego według opisu *Warszawskiego Dziennika*: Sala widzów ogniotrwała: żelazne kolumny podtrzymują kopulasty sufit z żelaznych krokwi, pokrytych żelazną siatką, obwiedzioną masą cementową systemu Moniera, bardzo upowszechnioną w ostatnich czasach za granicą. Wszystkie sufity w kurytarzach sklepione, umocowane na żelaznych krokwiach; parapety wszystkich lóż i galeryi żelazne ażurowe. Sufit nad salą widzów będzie przyozdobiony malowidłami architektonicznemi. Scenę oddziela od sali widzów proscenium, zakończone u góry czterema kutemi belkami po 1 metrze wysokości i $3^1/_4$ stopy szerokości. Belki te podtrzymują kopułę w sali widzów, sufit w proscenium a nadto dwie z nich służą za podporę przegrody, oddzielającéj poddasze nad salą widzów od poddasza nad sceną. Cały mechanizm sceniczny jest żelazny. Wszystkie części ruchome będą podnoszone za pomocą sześciu pras hydraulicznych. Z tyłu sceny w nowém do-

budowaniu mieści się obszerna sala baletowa, mogąca w razie potrzeby służyć za przedłużenie sceny, np. w razie zagłębienia perspektywy. Nad tą salą znajduje się szkoła baletu, nad nią zaś — warsztaty dekoracyjne. Przestrzeń pod sceną, rozdzielona na trzy piętra, ma 40 stóp głębokości od podłogi sceny do pomostu, na którym ustawiono prasy hydrauliczne. Cały teatr wraz z garderobami będzie oświetlony dwoma tysiącami lamp elektrycznych żarowych. W tym celu ustawiono w osobnym budynku trzy nieeksplodujące kotły parowe, każdy o sile 90-ciu koni, trzy parowe i trzy dynamoelektryczne machiny, każda o sile 500 Amperów (jednostka miary elektryczności). Dym z kotłów parowych odchodzi podziemnym kanałem do rury wysokiéj na 140 stóp, wewnątrz gmachu teatralnego. Kotły te służyć będą do dostarczania pary na ogrzewanie całego teatru. Zasługuje jeszcze na uwagę doskonałe urządzenie wentylatorów, dostarczających obficie powietrza świeżego i odprowadzających zużyte. W tym celu urządzone są dwa szerokie podziemne kanały, do których powietrze tłoczy wentylator, poruszany machiną dynamo-elektryczną o sile 13 koni parowych. Zbiorniki mogą dostarczać teatrowi około 12,500,000 stóp sześciennych świeżego powietrza na godzinę, czyli 1,600 na osobę przy zapełnionéj sali; osobne są urządzenia, odprowadzające powietrze zużyte. Pomijamy wiele innych udogodnień ważnych dla publiczności. Teatr będzie otwarty 12 Września. Przybędzie Warszawie wkrótce jeszcze jeden gmach, zbudowany według najnowszych wymagań — nowy dworzec kolei Wiedeńskiéj. W tym celu ogłoszony konkurs architektoniczny niedawno rozstrzygnięto, przyznając trzy nagrody projektom pp.: Goldberga, Hussa i Kozłowskiego. Dotąd wszelako żadnego z tych planów nie przyjęto stanowczo, natomiast zalety wszystkich trzech mają być połączone w jedną całość, z któréj powstanie ostateczny plan gmachu. Jednocześnie poruszono projekt budowy centralnego dworca dla wszystkich kolei warszawskich.

Jak zwykle, charakterystyczne wrzawy i protesty z powodu konkursów powtórzyły się także obecnie na szpaltach pism naszych. Z pewnością nie odbije się głośném echem konkurs Towarzystwa muzycznego na opracowanie polskich pieśni ludowych. Mają być one na głos pojedyńczy z akompaniamentem fortepianu, albo na chór mieszany z takim samym akompaniamentem lub orkiestrowym. Każdy z ubiegających się powinien przedstawić najmniéj trzy pieśni, tematy zaś wolno czerpać ze zbioru pieśni ludowych: Kolberga, Lipińskiego, Glogera i innych. Mozolna i najmniéj rozgłośna była praca tych ludzi, którzy całe swe życie strawili na polu ludoznawstwa. Niewiel-

kiém również uznaniem cieszy się w naszém społeczeństwie poważny kwartalnik „Wisła“, poświęcony téj dziedzinie. „Odwołujemy się do ogółu naszego z zapytaniem, czy życzy sobie dalszego wydawnictwa „Wisły?“ Czy uznaje potrzebę dalszego jéj istnienia? Czy zechce poprzéć czynem to uznanie? Od tego bowiem zależéć będzie nietylko dalszy rozwój, ale i istnienie czasopisma naszego.“ Tak przemówiła do publiczności redakcya czasopisma, rozpoczynającego piąty rok istnienia. W zeszycie okazowym streściła ona działalność swoją z lat ubiegłych, przedstawiającą się bardzo dodatnio i sympatycznie. Pomimo jednak ciekawych a mozolnych i źródłowych prac, pomimo urozmaicenia i bogactwa tekstu, wreszcie starannego wydawnictwa i uznania krytyki, pismo to w połowie nie zwraca wyłożonych na nie kosztów. Żywo staje nam w pamięci podobna odezwa przed paru laty redakcyi „do światłego ogółu“ również zasługującego na poparcie poważnego pisma w zakresie przyrodniczym: „Wszechświata.“ Na odezwę tę ogół nie pozostał głuchym; liczba abonentów wzrosła i obecnie redakcya, acz z wielkim trudem, prowadzi daléj swą ciężką pracę wielce pożyteczną. Oby i tym razem odezwa „Wisły“ nie przebrzmiała daremnie! Smutno pomyśléć, że wogóle nasze wydawnictwa poważne nie mogą rachować na pomoc ogółu i, jeżeli pomimo to istnieją, to tylko zawdzięczają swój żywot albo jednostkom zasobnym, albo chętnie spieszącéj z pomocą Kasie im. Mianowskiego, rozporządzającéj stosunkowo szczupłemi środkami. Instytucya ta zaczęła już dziesiąty rok istnienia, wydane zaś niedawno dziewiąte jéj sprawozdanie niepocieszające wykazuje rezultaty. Od trzech lat liczba członków ciągle się zmniejsza, do chwili obecnéj ubyło już ich 120-tu. Miałże-by nasz ogół inteligentny tak dalece zobojętnieć? Bo przecież trudno przypuścić, iżby zubożał do tego stopnia, że się nie może zdobyć na składki pięcio-rublowe. Prawda, że się od czasu do czasu dają słyszéć zarzuty, iż instytucya zanadto jest skorą do udzielania pomocy, że popiera mierne lub zupełnie zbyteczne prace. Ale ci nieliczni malkontenci chyba nie wpłynęli na zniechęcenie szerszych kół, témbardziéj, że sami nie mieli tego na myśli. Chodziło im tylko o to, iżby Kasa była oględniejszą w szafowaniu pomocy, iżby się starała o popieranie istotnie wartościowych prac. Uwagi te byłyby właściwe wtedy tylko, gdyby istotnie rzeczy doskonałe pomijano. Tymczasem tak nie jest. Wszelkie najpoważniejsze prace otrzymywały zawsze chętną pomoc, skoro się tylko uciekano do niéj. Każda praca poparta środkami Kasy nie może być arcydziełem; pośród rzeczy miernych są wydawnictwa cenne i pożyteczne. Szkoda tylko, że niektóre przedsięwzięte prace posuwają się bardzo powoli, a nawet uległy przerwie. „Biblioteka filozoficzna“ Struvego wychodzi niesystematycznie, z prze-

rwami. Nie lepiéj z wydawnictwem dzieł matematycznych, rozpoczętych przez prof. Baranieckiego, które, nie mówiąc już o ich pożytku, miały w znacznéj części powodzenie, co się u nas bardzo rzadko zdarza z dziełami poważnemi. Po prof. Baranieckim kontynuowane przez p. Czajewicza, wróżyły zrazu wielką ruchliwość; ale od roku 1886 nastąpiła ospałość jakaś i, z wyjątkiem cenionéj mechaniki prof. Frankego, wydanéj w r. 1889, nic się dotąd nie ukazało. Na przyszłość sprawozdanie zapowiada wydawnictwo trygonometryi, opracowywanéj przez p. Czajewicza. Na korzyść Kasy można jeszcze zaznaczyć, iż z jéj pomocy, bądź ułatwiającéj studya naukowe, bądź wydawnictwa prac, korzystali nasi uczeni we wszystkich gałęziach wiedzy. Między innymi bardziéj znani: Bujwid, Dawid, Nusbaum, Natkowski, Karłowicz, Ochorowicz, Chlebowski, Kramsztyk i t. d.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Nieznany przekład niemiecki Klonowicza: *Equitis Poloni in Jesuitas Actio prima.*

Wiadomą jest rzeczą, że Klonowicz w r. 1590 napisał bezimiennie „Equitis Poloni in Jesuitas actio prima.“ W swoim czasie wykazałem, że w tymże roku na pamflet ten odpisali bezimiennie: (Dr Laus Belga) „Nobilis Poloni pro Societatis Jesu Clericis Oratio prima. In ficti equitis Poloni in Jesuitas actionem primam.“ 1590, na 7 arkuszach kart 56 in IV-to, bez miejsca druku. Odpowiedź ta w tymże roku wydana in 8-vo, stron 110 w Ingolstadt w drukarni Wolfganga Eder. Również w tymże roku ukazała się odpowiedź na Actio Klonowicza pod tytułem: „Spongia, qua absterguntur convicia et maledicta equitis Poloni contra Jesuitas.“ Jak z anagramatu „Sanis recta salus“ widać, autorem był Stanislaus Resca. Trzecia odpowiedź tegoż roku wydana nosi tytuł: „Martini Siscovii, Canonici Cracoviensis, Illustrissimi Petri Miscovii, Episcopi Cracoviensis Cancellarii Pro religiosissimis Societatis Jesu Patribus Contra ficti equitis Poloni actionem primam oratio. Crac. in offic. Lazari 1590.“ Wszystkie te dziełka znajdują się w bibliotece hr. Działyńskich w Kórniku. Lubo Wielewicki pisze, że ów „fictus eques“ nie odważył się napisać Oskarżenia drugiego, to jednak Klonowicza „Actio prima“ wyszła powtórnie r. 1591. Tenże Wielewicki dodaje, że w kilka lat później ukazała się „Actio prima“ w polskim przekładzie pod tytułem „Konter-

fekt Jezuitów.“ Na ów Konterfekt napisał odpowiedź Marcin Łaszcz (Lascius): „Judicium albo Rozsądek księdza Mikołaja Issiory, Proboszcza Ośmiańskiego w W. X. Litew. o Konterfekcie Jezuitów z Equesa łacińskiego pod maszkarą Prawdzica na polski ięzyk przeczynionym w Wilnie u Daniela Lanciciusa Roku Pańskiego 1594.“ Że Mikołaj Issiora pseudonymem za Łaszcza, świadczy Wielewicki; a tytuł książki wzięty z Maciejowskiego Lit. Pol. III, p. 364.

W bibliotece miejskiéj w Gdańsku w Collectanea pod znakiem: II. A, q, 87, znalazłem dosłowny przekład niemiecki rzeczonéj Actio I Klonowicza in IV-to, o którym dotąd w literaturach nie wspominano, a na który zwracam uwagę specyalistów. Tytuł przekładu następny: „Shwarm des heiligen Römischen Bienenkorbs | Das ist | Ausztlug eblicher gros | sen, schedlichen, vor weinig jaren erwach | sener, und normals unerfarnen Wespen, Hurnüssen, | Fledermeusen, welche nicht allein gantz Europam, sondern auch | die newerfundene Land und Inseln eingenomen, und mit jhrem | schedlichen geschmeisz unerhörter massen erfült und gleichsam, | wie ein Sindflut überschwemmet— haben. | Darvor | Eine Statliche, ernstliche und auszführliche | warnung eines polnischen katholischen Rit | ters, im verschinen 91 jar gethon an die Hochlöb | lichste Senatores und Ratsherren in voller Rats | versamlung der Kron. Poln. Aus dem Latin in hochteutsch der Kirchen Christi und | gemeinen Vaterland zu gutem, trewlich versetzet | Durch | Nicolaum Pistandrum Neofaniensem. Anno 1592.— Że owéj „Actio prima“ nie wypowiedziano w Senacie, jest rzeczą wiadomą; niewiadomo zaś, kto kryje się pod pseudonymem niemieckiego tłómacza. *A. Mierzyński.*

— *Korzeniowski Joseph. Pauli Aemilii Giovannini.* „Relatione di Polonia.“ Cracoviae 1891.

— *Ulanowski Bolesław.* „O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynek w Staniątkach“ z 5-ma tablicami litografowanemi. Kraków, 1891.

— *Marcin Sas.* „Przyczynek do krytyki tekstu Andrzeja Krzyckiego. Kraków, 1891.

— *Karol Kautzky.* „Narodowość i jéj początki.“ Warszawa, druk Józefa Jeżyńskiego. 1891, str. 52.

— *Dr. Aleksander Skórski.* „Jan Śniadecki wobec współczesnéj metafizyki niemieckiéj i dzisiejszych dążeń filozoficznych.“

— *Herbert Spencer.* „Systemat filozofii syntetycznéj.“ Instytucye kościelne, stanowiące część VI-tą „Zasad Socyologii.“ Z oryginału przełożył J. K. Potocki. Warszawa. 1891. Wydawnictwo „Głosu,“ str. 151.

— *Heilpern M.* „Nauka o ziemi, słońcu i gwiazdach, czyli o budowie świata, jego początku i końcu.“ Wykład popularny zasad kosmografii i kosmogonii dla samouków z 28 drzeworytami i tablicą. Warszawa 1891.

— *Dembiński Bronisław.* „Rzym i Europa przed rozpoczęciem trzeciego okresu Soboru Trydenckiego.“ Część I. Wydanie Akademii Umiejętności. Kraków 1891, str. 264.

Autor skreślił w tém dziele obraz chwili dziejowéj, kiedy rewolucya religijna ogarnęła już północ i szerzyć się poczęła w południowych Niemczech, które wraz z Francyą dążą jednak do przywrócenia jedności kościoła. Jako sprężyna polityczna działa tutaj Pius IV, okazujący się nader zręcznym dyplomatą, gdyż pomimo sprzecznych dążności potrafił sobór w Trydencie zgromadzić.

— *Aleks. Rembowski.* „Kazimierz Wodzicki jako myśliwy, napisał... Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

Autor skreślił sylwetkę literacką znanego i popularnego ornitologa i gospodarza rolnego w Galicyi.

— *Danielewicz Bolesław.* „Korzyść wyrównanych temperatur Warszawy“ z jedną tablicą. 1891.

— *Gryff Szymon.* „Uprawa pszenicy na gruntach gliniastych wilgotnych“, napisał... 1891.

— *Walery Eljasz.* „Illustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnicy, z 45-ma illustracyami, z 2-ma planami i mapą Tatr. Kraków, 1891.

— *Kołaczkowski dr. Józef.* „Szczawnica, zdrojowisko i stacya klimatyczna z zakładem wodoleczniczym w Galicyi.“ Przewodnik dla lekarzy i podręcznik dla chorych, skreślił... Kraków, 1891.

— *Łapiński Stanisław Jan.* „Przewodnik po Ciechocinku, jego historya i zasoby lecznicze z dodaniem szczegółowego planu całéj osady“ pod redakcyą... Włocławek, 1891.

— *Modwey dr Aleks.* „Księdza Kneippa wodoleczenie, w stosunku do hydroterapii fizyologicznie uzasadnionéj“, napisał... Lwów, 1891.

szedł towar oryentalny na morze niemieckie do Flandryi. Niemcy przez długi czas nabywali tu wszystko, czego im potrzeba było z dalekiego Wschodu, bo hanzeatycka agencya w Nowogrodzie nie utrzymywała składu; norymberscy kupcy mieli ze Lwowem żywe relacye, jak to wypływa z handlowych zapisków XIV w. i z obliczeń wag, między któremi figuruje osobno waga lwowska (*zu der Leynburk*[1]) — a bywały nawet chwile, kiedy Włochy ograniczone były do przewozowego szlaku, który na Lwów prowadził[2]). Przed gwałtownym wywrotem, spowodowanym rozlewającą się nagle powodzią ottomańską, rynek lwowski musiał być dziwnie rojném i różnobarwném targowiskiem kupców wszelkiéj narodowości, pierwszym wielkim bazarem najdalszego Wschodu dla Europy, bazarem, na którym nie brakło niczego, co mógł tylko dać tajemniczy jeszcze wówczas świat wschodzącego słońca, nie wyjmując nawet niewolnic i niewolników.

Co się tylko gromadziło na cypryjskiém targowisku: wino, bawełna, balsamy, korzenie, kadzidła, drogocenne złote i jedwabne tkaniny, co tylko szło na Trapezunt z produktów najdalszego Wschodu, z Persyi, Indyi, Chin, jak materye kosztowne dla kościołów i domów monarszych, jedwab, drogie kamienie, perły, korale, kość słoniowa, kobierce i t. p.—znajdowało się na składzie w emporyum lwowskiém. Nawet haniebna strona genueńskiego handlu, ów export niewolników do handlowych respublik włoskich, który długo stale był prowadzony[3]), opierał się niekiedy o Lwów, jak tego pozostały ślady w najstarszych aktach miejskich. Król Kazimierz Jagiellończyk nadaje w r. 1466 mieszkańcom Kaffy (*consules, provisores et cives de Kaffa*) swobodę dowozu i przewozu towarów i uwolnienie od cła, wyjmuje z pod tego uwolnienia jeden tylko rodzaj towaru — niewolników, za których Kaffeńczycy mają płacić po jednym złotym cła od głowy[4]), w r. 1472 mieszczanin lwowski, Łukasz Lindner, kwituje Włocha z Bergamo, nazwiskiem Russeto, i jego spólnika, Franciszka de Papia, ze 100 złotych węgierskich, wypożyczonych im na utrzymanie niewolnic we Lwowie[5]), a akta radzieckie z roku 1473 przechowały nam wielce ciekawą ugodę

[1]) Dr. Wilhelm Heyd, Geschichte des Levantehandels im Mittelalter, Stuttgart 1879 II str. 719.

[2]) Roncinotto Aloigi. Viaggi alla Tana str. 107 w cyt. Heyda: ....al tempo antiche tutte le spezie non andavano nel mar rosso; erano condotte a Citracan città posta nel mare Caspio e di li venivano inPolonia e poi in Allemagna e a quelli tempi l'Italia conveniva a fornirsi per via di terra.

[3]) Heyd, l. c. II str. 180 i 548.

[4]) Acta Consul. z roku 1456, pag. 127, 128.

[5]) Acta Consul. z roku 1472, pag. 247.

zawartą przed urzędem konsularnym między Genueńczykiem Lomellino a owemi właśnie niewolnicami, przywiezionemi do Lwowa przez Russeta.

Świetności handlowéj Lwowa i dobrobytu jego mieszczaństwa z téj epoki możemy chyba domyślać się z wielkiego upadku, z nagłości, z jaką najbogatsze rodziny od razu ujrzały się w niedostatku a prawie w nędzy. Przesilenie zaczęło się od zdobycia Konstantynopola, od zniszczenia całéj organizacyi dotychczasowéj lewantyńskiego handlu, i jeszcze przed ostatecznym ciosem, t. j. przed zajęciem Kaffy, Kilii i Białogrodu, powaliło handel i dobrobyt Lwowa. Nietylko ustał ruch kupiecki w samém mieście, ale nadto mieszczanie lwowscy postradali towary swoje olbrzymiéj niekiedy wartości, które albo były w drodze na zwycięskim szlaku półksiężyca, albo leżały na składach w którejś z miejscowości, zajętych przez Turków. W saméj Kaffie skonfiskowano obcym kupcom, między którymi źródła wymieniają wyraźnie Polaków i Rusinów, za 250,000 dukatów towaru[1]), ogrom wartości na owe czasy, a prawie wątpić nie można, że ci Polacy i Rusini to w przeważnéj części kupcy lwowscy. Już przedtém pozabierali Turcy składy kosztownych towarów, należących do lwowskich kupców, w Galacie i na innych ważnych stacyach handlowego szlaku — padał więc cios za ciosem na mieszczaństwo tak bogatego przedtém grodu. Ruinę kupców lwowskich kreślą nam wymownie listy arcybiskupa lwowskiego, Grzegorza z Sanoka, który z wielkiém współczuciem patrzy na to nagłe zubożenie i gorąco wstawia się za miastem u króla. W listach z r. 1472 do króla Kazimierza Jagiellończyka, do Zbigniewa Oleśnickiego i do jakiegoś Lwowianina, widocznie mieszczańskiego syna, który dobił się wysokiego stanowiska, którego adoptowała teraz inna wielce dostojna miacierz, *alia nobilissima, ditissima et ubertissima*, arcybiskup mówi o oplakanym stanie miasta Lwowa, o nagłym od dwóch lat jego upadku. Mieszczanin z bogacza stał się niemal żebrakiem, pozbawionym został nagle obfitego mienia; najznakomitsi patrycyusze potracili towary „największéj wagi i ceny“, przenoszące wartością swoją sumę 30,000 zł., na Wołoszczyźnie i w Galacie, jak n. p. Cornberg, Zyndryk, Abrek, Miklasz i inni. Ludzie wczoraj jeszcze bogaci, dziś wyciągają dłoń za chlebem lub w szpitalach czekają z upragnieniem śmierci[2]).

Było to przesilenie fatalne, zamknęło się ono ruiną całego jednego pokolenia, którego najwybitniejsze rody, jak Stechery, Czedlice,

[1]) Heyd. l. c. II str. 403.

[2]) Akta grodzkie i ziemskie. Tom IX. Lwów 1883 nr. LXXVI do VIII 105 — 109.

Sommersteiny, Goldbergi, Eisenhitle, Kleppery, Cornbergi, Wasserbroty itp. żyły długo w tradycyi mieszczaństwa lwowskiego, jak o tém świadczą pisma Alembeka i Zimorowicza, a nawet echem dalekiém swoich nazwisk sięgają i w nasze czasy, zachowawszy się w nazwach wsi podelwowskich: Zamarstynów, Kleparów i Kulparków [1]).

Mimo to wszystko, nie przestał przecież Lwów być ważnym punktem w geografii handlowéj, i gdyby mu były tylko sprzyjały stosunki wewnętrzne, mógł-by był utrzymać się na stanowisku wielkiego targowiska o europejskiém znaczeniu. Miał po temu jeszcze znaczne warunki: korzyści położenia, utrwaloną tradycyę handlową pośrednictwa między Wschodem a Zachodem, wielkie obszary zbytu dokoła, przywiléj składowy, a w końcu, co może wiele równie znaczyło, miał ludność o wysokim talencie kupieckim, i że tak powiemy, o wrodzonéj, rasowéj obrotności. Każdy z mieszczan lwowskich był genialnym kupcem — wszystko, co mogło mu dawać rękojmię powodzenia: doświadczenie, rozum, odwagę, energiczną chęć zysku, umiejętność szansy i cyfry, wszystko to posiadał w wysokim stopniu. Miał w sobie jeszcze wiele z tych przymiotów zdobywczych i odkrywczych, które tak wysoko postawiły pod względem cywilizacyjnym stan kupiecki XV i XVI wieku — a jeden z rzeczników lwowskich, broniąc w procesie swego klienta, kupca, Wilhelma Allandta, niedarmo powiada, że „kupiecki człowiek *currit per mare, per saxa, per ignes, pauperiem fugiens*....[2])."

Wystarcza choćby pobieżne przewertowanie aktów miejskich, a przedewszyskiém ławniczych, aby się przekonać, że jeszcze do końca XVI w. Lwów jest stacyą handlową pierwszego rzędu. Ze sporów o niedotrzymanie t. zw. sztychów, to jest zawartych wzajemnie tranzakcyi handlowych, wyłaniają się postacie kupców, pełnych niezrównanéj ruchliwości i energii. Aichingerowie, Hanlowie, Zaydlicowie, Szolcowie, Korniaktowie — wszystko to jeszcze rasowi przedsiębiorcy i kupcy na szeroką miarę. Obrót ze Wschodem jeszcze tak żywy i pełny, że akta sądowe robią niekiedy wrażenie, jakby spisywane były na jakim wielkim targu Lewantu; przed ławnikami stawają całe szeregi Greków i Turków, mowa jeszcze ciągle o okrętach, o assekuracyach morskich, o przekazach ze wszystkich znaczniejszych portów lewantyńskich na rynek lwowski.

Charakterystyczne bywają „sztychy", czyli tranzakcye zamienne; rzucają one wiele światła na rodzaj i rozmiar lwowskiego obrotu.

---

[1]) Pierwotnie: Sommersteinhof, Klepperhof, Goldberghof.

[2]) Inducta Judicii Civ. z r. 1567 pag. 1293.

Mało jest specyalizmu w handlu lwowskim; wszyscy handlują wszystkiém. Towar płaci się towarem—rzadsze są układy o gotówkę. Jan Zaydlic, jeden z najruchliwszych kupców lwowskich, któremu nie ustępują chyba tylko bracia Aichingerowie, bierze np. od tureckich kupców Hadżi Hassana i Hadżi Hali Dalilona z Aleppu indygo (*colores turcicas*) a daje w zamian 37 postawów sukna zwanego „gierzynek“; Szymon Hanel bierze od kupca krakowskiego Stefana Hallera klejnoty i drogie kamienie, a ma je w Turcyi i na Wołoszczyźnie zamienić na małmazyę i woły; „racz Waszmość wiedzieć—pisze Hallerowi w r. 1567 — że za ten szmaragd nie chcą dać więcéj jedno 500 talarów, a za nożenki 200; szkoda tym ludziom co więcéj wozić i takowy *abentaier* miéć z nimi; abowiem chcą miéć na poły darmo“.... Tenże sam Hanel kupuje w r. 1554 od „bizantyńskiego“ kupca Antoniego de Albori 800 półsztuczek muchairów, a za to „ma mu postawić 1,200 wozów żelaza ziemskiego, dobrego, bez kruchu, tak jako bieg jest“; Jan Blasser wyprawia się w r. 1582 do Suczawy i sprzedaje hospodarowi wołoskiemu „alsbant“ z szmaragdami i perłami za 500 talarów, różę dyamentową, klejnot z szafirem i t. d. a bierze w zapłacie same towary a głównie woły. Dwaj żydzi lwowscy biorą od Chaima Kohena z Konstantynopola sześć kuf małmazyi, 60 kamieni ryżu i centnar korzeni (*cassiae*), a płacą mu pięćdziesięciu funtami bursztynu; Ormianin Krysztof, „tłumacz Jego Król. Mości“, bierze od Chaskiela Judowego syna 75 kuf małmazyi, a daje mu w zamian cynę, sukno lońskie, gdańskie i karazye[1]). Konstanty Korniakt bierze od kupca lwowskiego Anglika, Wilhelma Bogera, sukna angielskie i holenderskie, a płaci mu tysiącem kamieni ałunu i kilkuset łasztami żyta i pszenicy miary gdańskiéj, licząc łaszt żyta po 40 zł., łaszt pszenicy po 55 zł.[2]) Erazm Haz, rajca i mieszczanin lwowski, robi „sztych“ z kupcem tureckim, a oblata téj tranzakcyi z r. 1559 w aktach radzieckich już dlatego zasługuje na dosłowne przytoczenie, że należy do najważniejszych zapisków w polskim języku. Wyznawa w nim Haz „za się i za swoje potomki, iżem kupił od urodzonego pana Mustafa Czelebi, dworzanina i sprawcy Jego Mości Cesarza Tureckiego, najprzód 300 litr jedwabiu burskiego za 1,600 tachrów beczkich (bieckich?), które zowią czwalinki. *Item* kupiłem 11 kip czamletu i insze towary, czego suma czyni 3,255 zł. i pół złotego, za którą sumę mam Jego Mości dać, gdy szczęśliwie z Moskwy do Lwo-

[1]) Inducta Judicii Civilis tom XI pag. 234, 1584; XIV p. 746; XVI p. 892; XI pag. 1522; XII p. 84.

[2]) Inducta Jud. Civ. tom XVII pag. 606.

wa przyjedzie, noże czeskie i noże beczkie (bieckie?). Czeskie noże mam dać 1,000 po zł. 20, a beczkie noże gatunkowe mam dać po 42 zł., aże do zupełnéj zapłaty sumy wyżéj opisanéj“ [1]). Jak towar kupuje się przeważnie tylko towarem, tak też i długi, zaciągnięte w gotówce, płaci się najczęściéj towarem, i to niekiedy bardzo oryginalnego rodzaju; Jan Syxt n. p. przed sądem ławniczym ofiaruje się w r. 1579 zapłacić Konstantemu Korniaktowi resztę długu szyszakami (*galeis alias* sturmhaubami *pronunc ad usum bellicum maxime necessariis*); niejaki Tomasz Birkowski, kuśnierz, uiszcza się z długu kołdrami tureckiemi, reumbarbarum, trzystu turkusami, farbą turecką, dryakwią, czarnemi piórami, cytwarem i piżmem; a pewien złotniczek płaci dług proszkiem do farbowania koni (*pulveribus pro colorisandis equis*).

Tranzakcye handlowe jeszcze pod koniec XVI wieku bywają bardzo znaczne, opiewają na sumy stosunkowo bardzo wysokie. Jeżeli Michał Hanel n. p. robi w r. 1559 ze szlachtą okoliczną tranzakcye na tysiące złotych, jak n. p. z kasztelanową bełską Barbarą Dzieduszycką na 1,000 zł., z Marcinem Zborowskim na blisko 1,500 zł., jeżeli Jan Zaydlic winien z jednego interesu mieszczaninowi krakowskiemu Stanisławowi Gielhornowi około 3,000 zł. [2]), a Zebald Aichinger Gdańszczaninowi Szolcowi od jednego „sztychu“ około 7,000 zł.; to znaczy to już bardzo wiele w czasach, kiedy złoty miał wartość tak wysoką, iż trzy złote wystarczało, aby kupić najsporszego, t. zw. czabańskiego wołu [3]). Tymczasem tranzakcye, jak powyższe, należą do mniejszych, a jeszcze w ostatnim roku XVI stulecia, jeden kupiec lwowski, Ormianin, Zacharyasz Iwaszkiewicz, zawiera tranzakcyę na towary wschodnie w sumie przeszło 12,000 czerwonych złotych [4]) i wystawia cyfry na dziesiątki tysięcy talarów z pełnym walorem kredytowym.

Głównemi artykułami lwowskiego obrotu handlowego były z towarów dowozowych i przewozowych, tkaniny i korzenie wschodnie, wina greckie, żelazo, cyna, sukna. Wschodni towar w mniejszéj części tylko zostawał w Polsce, większa część szła na Zachód, zkąd znowu sprowadzano tamtejsze wyroby, dla których kupcy lwow-

---

[1]) Acta Consul. z. r. 1559 pag. 1326. Kipa i litr oznacza wagę; jedwab burski tyle co bruski: z Brussy; tacher tyle co tuzin; czamlet materya wełniana t. zw. kamlotowa, z włoskiego *ciambelotto*.

[2]) Inducta Jud. Civ. t. XIV p. 78; IX p. 632, 669; XII p. 87; IX p. 437.

[3]) Ibidem, tom XX pag. 167. Wół przed r. 1550 kupuje się za kopę, za półtora grzywny; w r. 1552 za 3 złote, później za 4 złote bez grosza; w roku 1560 kosztuje już 6 zł. w roku 1625 złotych 40.

[4]) Ibidem, tom XXI pag. 1864.

scy mieli szerokie pole zbytu, sięgające dalekiego Wschodu. Z krajowych produktów: zboże, drzewo, miód wosk, ryby, bydło, futra, łoje, stanowiły bogaty dział handlu wywozowego. Mało natomiast spotykamy artykułów przemysłu miejscowego, które-by stanowiły przedmiot wywozu o znaczniejszych rozmiarach. Niektóre rękodzieła lwowskie znachodziły wprawdzie korzystne pole zbytu na półwyspie bałkańskim, jak np. złotnictwo, miecznictwo i t. p., atoli o hurtownym wywozie nie było mowy. Wyjątek może stanowiły sukna polskie, które, obok niemieckich, szląskich, angielskich, holenderskich, wywożono w znacznych partyach na półwysep bałkański, jak n. p. sukno kościeńskie, bieckie, chęcińskie, wolborskie, wschowskie i t. p. Całkiem doraźnie i jakby przypadkowo wystrzelał jakiś lokalny przemysł i urastał w produkcyę na wywóz, jak n. p. czapnictwo. Był czas, kiedy Lwów zaopatrywał w czapki całe księstwa naddunajskie, w czém spółubiegał się z nim Kraków. Lwowski czapnik Dymitr obowiązuje się w r. 1557, w zamian za 10 kuf malmazyi, dostarczyć Michajłowi Korniaktowi 3,000 czapek „roboty swojéj własnéj wedle próby“. Michał Hanel wywozi w r. 1559 na Wołoszczyznę raz 6 fas czapek, późniéj znowu 800[1]); wysyła także do Stambułu Jarosz Wedelski (Wittemberger) 200 „czapek lwowskich“.

Między krajowemi produktami, któremi Lwów prowadził handel na większą skalę, pierwsze miejsce może należy się suszonym i solonym rybom, raz dlatego, że handel rybami miał cechę prawie międzynarodową, powtóre, że był najstarożytniejszą we Lwowie gałęzią miejscowego przemysłu. Sławny był Lwów w Polsce i za granicą ze swoich ryb, a tak troskliwie czuwano nad utrzymaniem dobréj reputacyi tego wywozowego artykułu, że władze miejskie zaprowadziły nawet urzędową cechę na beczki z rybami, wywożone ze Lwowa, rodzaj marki ochronnéj, która zapobiegać miała wprowadzeniu na targ ryb lichéj jakości pod kłamaną firmą Lwowa. Każdy znaczniejszy kupiec wybijał nadto na beczkach swoją własną markę domową, t. zw. *gmerk*, a tym sposobem ryby lwowskie stały pod tak ścisłą kontrolą, jakiéj nie znały do końca XVI sulecia nawet wyroby złotnicze. Handel rybami sięgał najdalszéj przeszłości; była to spuścizna najświetniejszéj handlowéj epoki Lwowa, epoki kolonii genueńskich i weneckich na morzu Czarném i Azowskiém. Wówczas-to Lwów był główną stacyą handlu ryb, prowadzonego na największą skalę przez genueńskie kolonie, jak n. p. przez Tanę (dzisiejszy Azów), która

[1]) Ind. Jud. Civ. tom XVIII pag. 860 i tom IX pag. 400. Za 100 czapek płacono 14–15 zł.

rozsyłała po całéj Europie kawior i ryby z Azowskiego i Kaspijskiego morza. Po upadku Tany i Kaffy, kupiectwo lwowskie usiłowało zastąpić ryby azowskie, kaspijskie i dońskie artykułem domowym; gospodarstwo rybne stało się obfitém źródłem zysku dla ziemian, bo kupcy lwowscy wydzierżawiali stawy lub zakupywali spusty po cenach stosunkowo bardzo wysokich. W aktach miejskich zachowały się bardzo liczne ślady tranzakcyi między mieszczaństwem lwowskiém a szlachtą najodleglejszych nawet od Lwowa okolic. Na inném miejscu zestawiliśmy szereg takich tranzakcyi[1]), tu nadmienimy tylko, że znaczniejszymi hurtownikami w handlu rybnym w XVI wieku byli kupcy lwowscy: Mikołaj Kramarz, Jan Fuchs, Piotr Celar, Walentyn Augustynowicz, Mateusz Hydek, Andrzéj Jelonek, Józef Kraizer, Zebald Worcel, Stanisław Gładysz i t. p., w XVII zaś Szolcowie, Domagalicze i Szarfenbergerowie czyli Ostrogórscy. Wśród niezliczonéj ilości stawów ówczesnych, oddanych późniéj pod rolną uprawę, spotykamy najczęściéj stawy: złoczowski, szczerzecki, zaleski, borecki nad Wrzeszycą, kurowicki, łojanowiecki, januszopolski, czerniatyński, czernichowski, malczycki, buski i t. p. Potworzyły się w kraju także drugorzędne stacye rybne, niejako filie lwowskie, jak n. p. w Busku, Jaworowie, Łucku i t. p., które zasilały gotowym już towarem centralne targowiska stolicy ruskiéj.

Zboże, popiół i woły niemniéj ważnym są artykułem handlu lwowskiego. Wywozem zbożowym w drugiéj połowie XVI w. trudnią się przeważnie dwaj kupcy lwowscy: Zebald Aichinger i Stanisław Szembek, w drugim zaś rzędzie cała kolonia Anglików, osiadłych we Lwowie na prawie miejskiém, jak Tomasz Gorny, Wilhelm Allandt, Jan Whigt, Wilhelm Babington, Jan Pontis, Ryszard Hudson i Wilhelm Moore. Za pierwszorzędnego specyalistę w handlu zbożowym uchodzi zawsze Stanisław Szembek, jego-to sąd ławniczy przyzywa jako rzeczoznawcę w sporach, w których zachodzi potrzeba fachowych informacyi. W r. 1588 w procesie między Konstantym Korniaktem a Janem Whigtem Szembek daje ciekawe wyjaśnienia o terminach zbożowych gdańskich, a mianowicie o t. zw. w handlowym języku lwowskim „fryorze“ (*Früjahr*) „Zeznawam—mówi Szembek—że fryor między kupcy, to się rozumie, że w Gdańsku bywa za pierwszą wodą spuszczanie statków i trwa do Wielkanocy aż do soboty świątecznéj, i póki on fryor nie wynijdzie, tedy wolno ono zboże odbierać kupcowi, kiedy zechce, wolno téż i nie odbierać dotąd, póki sobota

[1]) W. Łoziński. Leopolitana. Kwartalnik Historyczny. Rocznik IV. Lwów 1890. Zeszyt III str. 443. Tamże przytoczone są źródła.

nie przyjdzie. A gdzie-by więc zboża kupiec przed oną świąteczną sobotą nie wystawił i z oném zbożem przed sobotą do Gdańska nie przybył świąteczną, tedy już po onéj sobocie fryor wychodzi i wolno więc bywa kontraktu dodzierżéć i nie dodzierżéć, a tam dopiero protestacye przeciw sobie czynią“ [1]). Rachunek zbożowy Szembeka z jednym tylko kupcem angielskim i w jednym tylko roku wynosi 5,000 talarów, a miał pewnie więcéj odbiorców téj saméj miary. Dostawa Zebalda Aichingera do Gdańska jednemu tylko kupcowi wynosiła przeszło 6,500 zł., a obejmowała kilkaset łasztów żyta, każdy łaszt miarą gdańską po 23 zł., a „żyto ma być świeże, chędogie, plenne“ [2]). Jednym z największych odbiorców na zboże we Lwowie jest w owym czasie kupiec londyński, Ryszard Stapper, którego agentem we Lwowie był Jan Pontis. Kiedy Pontis umiera, wynosi jeszcze pozostałość z rachunków ze Stapperem 15,000 talarów [3]).

Popioły, obok materyału okrętowego, jedyny produkt wywozowy, którego dostarczały wówczas wielkie obszary leśne, znajdowały chętnych kupców w mieszczanach lwowskich, którzy odstawiali je do Gdańska w wielkich ilościach. Przedsiębiorcy lwowscy utrzymywali t. zw. „budy“ w puszczach bukowińskich i krajowych, wypalając w nich popioły, a sumy, płacone za to właścicielom, chociaż nie wynagradzały ani w części wartości zużytego materyału, dochodziły znacznéj wysokości. Wypalał tak lasy Zebald Aichinger, najruchliwszy z przedsiębiorców lwowskich, który handlował wszystkiém i ze wszystkimi, wypalali je późniéj już w pierwszych latach XVII-go stulecia Aleksander Ubaldini i Maciéj Hayder, który samemu wojewodzie czernichowskiemu, Marcinowi Kalinowskiemu, płaci około 15,000 zł. za 179 beczek potaszu, „gdańskiéj wagi sziffuntów 1023, każdy sziffunt po 14 zł.“ [4]), a Piotrowi Heinrichowi w Gdańsku dostawia tego artykułu za sumę 13,923 zł. Ormianie lwowscy: Grzegorz Muratowicz i Awedyk Polibowski, wypalają jeszcze w r. 1629 w puszczach wojewody podolskiego Adama Sanguszki 700 łasztów popiołu [5]).

Bardzo znaczne tranzakcye spotykamy w handlu wołami, woskiem i miodem. Woły zakupywano przeważnie na Wołoszczyźnie na eksport zagraniczny; Jan Zaydlic w r. 1559 bierze od mieszczanina krakowskiego, Stanisława Gielhorna, przeszło 2800 zł. za jeden

---

[1]) Inducta Jud. Civ., tom XVIII, pag. 728.
[2]) Ibidem, tom IX, pag. 437.
[3]) Ind. Jud. Civ., tom XXI, pag. 1024.
[4]) Księga rachunkowa Macieja Haydera. Arch. m. Lwowa. Oddz. IX. A. 348.
[5]) Acta Consul. z r. 1629, pag. 946.

transport wołów [1]); Stancel Szolc kupuje w r. 1581 u hospodara wołoskiego 1800 wołów na jarmarku śniatyńskim [2]). Wosk jest specyalnie lwowskim artykułem wywozu, w tym samym stopniu, co ryby. Władza miejska czuwa nad jego przyrządzaniem, bierze pod ścisłą kontrolę gotowy już towar i zaopatruje go w urzędową markę z herbownym lewkiem. Wosk lwowski rozchodzi się po całéj Europie, dociera do Anglii i Hiszpanii, a dzięki czujności magistratu, który bardzo surowo przestrzega, aby artykuł ten nie stracił dobréj sławy za granicą, utrzymuje się daleko dłużéj w handlu międzynarodowym, niż ryby. Wosk dobry nazywał się „wysytkowy“, podlejszy, który potrzebował oczyszczenia „woskobójniowy“. Towar nieczysty konfiskowano i palono na czterech rogach rynku, fałszerza dotkliwie karano. Kiedy około r. 1600 żyd pewien, pozostający pod możną opieką Szczęsnego Herburta, przychwycony został na gorącym uczynku, jak probował przemycić ze Lwowa wosk pod fałszowaną cechą, magnat, choć nierad uznający władzę magistratu, na argument rajcy Bartłomieja Uberowicza: „jak wiele na tém nietylko miastu, ale i Koronie wszystkiéj zależy, aby ten towar bez przysady do obcych krajów wychodził“, nietylko nie upierał się przy żądaniu uwolnienia winowajcy, ale zezwalał „aby go powiesić, nową szubienicę nań postawiwszy“ [3]). W aktach pełno jest śladów tranzakcyi na wosk, opiewających na wysokie sumy; kupiec krakowski, Stanisław Gielhorn, bierze go we Lwowie około r. 1560 w pozycyach po 1000 zł. i znacznie wyżéj; lwowski patrycusz, Jarosz Zapała, utrzymuje wielkie składy tego towaru, a jeszcze w r. 1637, a więc w czasie, kiedy już handel ryb zaczyna chylić się ku upadkowi, jedna tranzakcya między Włochem Giulio Attavanti, a Bernatem Bernatowiczem obejmuje przeszło 3500 kamieni wosku w cenie 68,000 zł. [4]). Miody przaśne lub sycone eksportują się ze Lwowa w bardzo znacznych pozycyach, a na warzeniu miodów mieszczanie dorabiają się fortun. Paweł Kupcowicz wywozi w r. 1594 sto beczek miodu przaśnego; Aleksander Ubaldini płaci podkomorzemu podolskiemu, Marcinowi na Husiatynie, Kalinowskiemu, i jego żonie Helenie z Korca, około 30,000 zł. za produkta, w których jedną z główniejszych pozycyi zajmują miody [5]).

Wywóz futer i skór stanowił pokaźną rubrykę w handlu lwowskim; osobliwie wyprawne już skóry łosie bardzo poszukiwanym by-

---

[1]) Ind. Jud. Civ., tom IX, p. 87.
[2]) Ind. Jud. Civ., tom XIV. p. 1180.
[3]) Ind. Jud. Civ., tom XXII, pag. 24—26.
[4]) Acta Consul. z r. 1637, p. 630.
[5]) Acta Consul, z r. 1634, p. 198.

ły artykułem w kraju i za granicą. Z futer krajowych idą na Gdańsk za granicę głównie wilki i rysie; wilki nawet po bardzo wysokiéj cenie: Jan Dyll z Wrocławia płaci za nie we Lwowie w r. 1576 po 5 zł. od sztuki [1]). Jarosz Wedelski, kupiec lwowski, wywozi w roku 1588 na Wschód 30,000 popielic. Największy atoli obrót bywał w kosztownych futrach pozakrajowych, a przedewszystkiém w sobolach. Z bardzo licznych zapisków w aktach widać, że Lwów utrzymywał zawsze składy soboli i zaopatrywał w nie najdalsze kraje Europy. Sobole sprzedawały się na *soroki*, t. j. na partye o 40 sztukach, a sorok taki płacił się w drugiéj połowie XVI wieku po 400 zł., jeśli nie był złożony z samych sztuk wyborowych, po 600 — 700 zł. i wyżéj, jeżeli sobole były t. zw. główne, to znaczy najprzedniejsze. W latach 1550—1560 trzéj kupcy lwowscy zajmują się głównie wywozem soboli: Piotr Panczman, który dostarcza ich Toruniowi i Gdańskowi, Jan Zaydlic, który wysyła je w komis do Wenecyi, i Zebald Aichinger, którego sobole idą na jego własny „nakład, *abentayer* i pożytek“ aż do Antwerpii [2]).

Najważniejszym, najbogatszym i najwyżéj rozwiniętym w handlu lwowskim był dział towarów wschodnich. Tkaniny, kobierce, safiany, korzenie, owoce, wina greckie były głównemi artykułami tego handlu; znaczną rolę odgrywał jednak także dowóz zbytkowéj broni, kosztownych rzędów, a poniekąd i koni. Jeszcze w r. 1577 niektórzy mieszczanie lwowscy trudnią się handlem tureckich koni; kupiec Sebastyan Zieliński utrzymuje na Wschodzie osobnego agenta, niejakiego Bonarka, który zakupuje konie na jego rachunek, a konie te nabywają następnie magnaci polscy, jak np. książę Wiśniowiecki, który płaci za dropiastego konia 200 zł., za drugiego cisawego 100 zł. [3]). O handlu karawanowym, który przeważnie spoczywał w ręku Ormian lwowskich, gdzieindziéj obszerniejsze daliśmy wiadomości, — na tém miejscu wspomnieć należy nam obszerniéj o jednym z najwalniejszych artykułów handlu lwowskiego: o winach greckich, sycylijskich, kanaryjskich, hiszpańskich, obejmowanych ogólną nazwą małmazyi. Była to specyalność lwowska — Lwów był jednym wielkim składem małmazyi. Ztąd-to rozchodzi się ten ulubiony napój po całéj Polsce i po sąsiednich jéj krajach, a kto żyje we Lwowie, kupiec, lekarz, aptekarz, czy rzemieślnik, handluje malmazyą lub szynkuje małmazyę. Można-by powiedzieć, że na tym-to wielkim strumieniu małmazyi, który się ustawicznie przelewa do Lwowa, spłynęła doń ta liczna bar-

[1]) Iud. Jud. Civ., t. XIII, p. 343.
[2]) Ibidem, t. VII p. 422, t. XII, p. 553, t. IX p. 595.
[3]) Ibidem, t. XIII, p. 760.

dzo kolonia Greków i lewantyńskich Włochów, która utonęła później w ludności miejscowéj. Akta lwowskiego sądu ławniczego z drugiéj połowy XVI wieku wyglądają nieraz tak, jak gdyby spisywane były w jakiémś portowém mieście Lewantu: na ratuszu lwowskim stawają kapitanowie okrętów handlowych, odczytują się dokumenta greckie i włoskie, rozsądzają się spory nietylko między cudzoziemcami a kupcami lwowskimi, ale między Grekami a Grekami, między Turkami a Turkami, którzy bardzo ochotnie poddają się pod wyrok ławników lwowskich, przenosząc lwowskie sądownictwo nad sprawiedliwość domową. Tak np. rozgrywa się na ratuszu lwowskim w r. 1581 spór między Grekiem Sawą z Trapezuntu a Ali Balim Janczarzynem Sułtańskim, w r. 1587 między Panasem Simonem i Janakisem z jednéj strony, a Jerzym Melachrinosem i Leonem Warszami z drugiéj strony o 200 kuf małmazyi w cenie 10,200 talarów [1]).

Było wiele gatunków małmazyi, a według nich różniła się także cena kufy. Pospolitsze wina greckie obejmowano mianem ogólnem małmazyi, do przedniejszych południowych win należały muszkatel, ipsyma, alikant, latyka i kocyfał [2]). Najtańszego wina kufa kosztowała w hurtownym handlu 30 talarów, za przedniejsze płacono po 50—60 talarów od kufy. Zazwyczaj zakupione na miejscu wina szły okrętami do Kilii i dopiero w cztery miesiące po wylądowaniu ich tamże płacił nabywca we Lwowie połowę ceny, a drugą połowę w trzy miesiące później. Układy terminowe tego rodzaju powtarzają się często w aktach, a za model ich służyć może poniekąd „targ“ z r. 1570 między Rabbi Jakóbem Sydis, a Rochem de Grigis, przezwiskiem Morlachi, na 230 kuf małmazyi, „które są na dwóch okręciech, a kufa każda po 30 talarów, każdy talar po 40 asprów, które kufy mają być na fortunę p. Rocha na miejsce aż do Kilii prowadzone aż na brzeg ziemie. A zapłata za to picie ma być we Lwowie, połowica we cztery miesiące od tego dnia, kiedy kufy z okrętu w Kilii na ziemię położą, a druga połowica na drugie trzy miesiące“ [3]).

Nie zawsze przecież spuszczano się przy wysyłce małmazyi „na fortunę“, jak to uczyniono przy powyższym „targu“. Transport małmazyi był bardzo trudny; groziły jéj mnogie niebezpieczeństwa i od klimatu, i od ludzi. Patronowie okrętów, Mikołaj Patrichis i Augustyn Balastrero, awizując lwowskim kupcom transport 70 kuf muszka-

[1]) Ind. Jud. Civ., t. XVI, p. 1140—2.

[2]) Małmazya tyle co Malvasia; alikant wino hiszpańskie, nazwano od miasta Alicante; *ipsyma*, prawdopodobnie syrakuzańskie od doliny Ipsica; *latyka* sycylijskie od miasta Licata. Nazwy *kocyfał* objaśnić nie umiemy.

[3]) Ind. Jud. Civ., t. XII, p. 94.

telu, które się „mają ruszyć“ do Jas a daléj do Lwowa, dodają: „Panie Boże, racz ich prowadzić we szczęściu, we zdrowiu“ [1]). Małmazya przychodziła często zepsuta do Lwowa, jak o tém świadczą ustawiczne wizye urzędowe, częściéj padała łupem burzy na morzu, a nieuczciwych furmanów na lądzie, lub stawała się ofiarą groźniejszych jeszcze może celników. Są ślady w aktach, że już wówczas assekurowano towary, a głównie małmazyę. W r. 1588 w procesie między Jerzym Barbarigo, a Prokopem Syropopulo, którego proteguje wielki Jan Zamoyski, pisząc za nim do rajców lwowskich jako za swoim „kupcem i mieszczaninem zamoyskim“, produkują strony przed ławnikami układ towarzyski, spisany „na rynku w Retymie“. Wyprawiono wówczas około 300 kuf latyki do Kilii, a ztamtąd do Lwowa i zastrzeżono w ugodzie, „aby uczyniono assekuracyę w Wenecyi, która assekuracya ma być zapłacona ze spólnéj sumy“ [2]).

Głównym agentem dla małmazyi, limoni i innych artykułów wschodnich był w Konstantynopolu Antonio Perroni, którego awiza spotykają się oblatowane w aktach ławniczych. „Wiedźcie o tém — opiewa takie awizo z r. 1597 do Ormian lwowskich, braci Iwaszkiewiczów—iże przybył okręt na imię Leona do Tenedu z Zante, w którym były sobole, sukna i kitaje nasze, za co Pan Bóg niech będzie pochwalony“ [3]). W Wenecyi komissyonerem głównym dla Lwowa był około tego czasu Juan Archerius. Wielką rolę odgrywa także w lwowskim handlu małmazyą i limoniami Pierro Galanti, przebywający na przemian to we Lwowie, to w Konstantynopolu [4]). W samym Lwowie agentem zamiejscowych firm dla małmazyi jest Feliks de Besticis, dla Krakowa największymi odbiorcami są aż do r. 1600 bracia Giulio i Lucca del Pace [5]), norymberscy kupcy mają we Lwowie swego agenta Sebastyana von Schwindenbach. Ze stale osiadłych kupców lwowskich największe pozycye małmazyi sprowadza Augustyn Aichinger, a dostawcami jego są Lewantyńczyk Kasper Corno i Konstanty Korniakt, który-to ostatni na małmazyi i bawełnie dobija się fortuny, nim go dzierżawa ceł zrobi milionowym panem i poswata z polskimi magnatami.

Około roku 1587 lwowski handel małmazyą doznaje wielkiéj klęski. Żyd konstantynopolitański, Mardochaj Kohen, otrzymuje od sułta-

[1]) Ind. Jud. Civ., t. XIII, p. 682.
[2]) Ibidem, t. XVII, p. 32—35.
[3]) Ibidem, t. XX, p. 763.
[4]) Ibidem, t. XX, p. 419. Beczka limonii (cytryn), sprzedawała się po 36 czerwonych złotych.
[5]) Ind. Jud. Civ., t. XXI, p. 503.

na monopol na wywóz małmazyi do Polski, a cała rzesza agentów, pośredników i drobnych kupców traci chleb odrazu [1]). Mardochaj zakłada we Lwowie faktoryę dla całéj Polski, a kierownictwo jéj oddaje swemu bratu, Mosze de Mosze Kohenowi, ktory z pewnością nie przesadza, jeżeli pisze do Mardochaja: „że Lwowianie żywo-by nas zjedli“. Faktoryi téj nie bardzo dobrze się wiodło, miała ona do walczenia z powszechną nienawiścią; małmazya żyda-monopolisty była licha. Wielcy kupcy lwowscy, a osobliwie Korniakt, podrywali zresztą monopol przez wyjednywanie sobie za pomocą listów królewskich i instancyi posłów polskich u Wysokiéj Porty jednorazowych licencyi na wielkie partye małmazyi; a szef monopolistycznéj faktoryi lwowskiéj, Mosze, coraz żałośniejsze listy wyprawiał do Mardochaja, który zresztą sam finansowo zależał od Lewantyńca, Don Dawida Passis. „Pisał mi pan Dawid —tak opiewa list, pisany w r. 1587 ze Lwowa przez Moszego do Mardochaja — że wam daje, czego wam potrzeba, i tylko byście chcieli, da wam tak wiele, żebyście mogli dokupić aże do 600 kuf małmazyi, a ja widzę, że wy na to mało dbacie, ale bierzecie pieniądze po 60 od sta, a co więcéj: małmazye przychodzą źle warunkowane i przez złe posłańce i odbytu niemasz we Lwowie. Ja nie dbam nic, abowiem mam nadzieję w Bogu; kiedy będę miał suknię w czém chodzić, a sztukę chleba, tedy o nikogo nie dbam, abowiem wiem, co się dzieje w świecie; wszędy się pożywię, a na koniec pojadę do Jerozolimy na mieszkanie. Wszyscy, ileście ich mieli, przyjaciele wasi, są wam teraz nieprzyjaciołmi dla tego traktu (t. j. monopolu), który teraz macie, i radzi-by was zgładzili, i radzi-by was złupili, i kamienie na was wołają, i kiedybych nie miał *favores* i łaski Pana Kanclerzowéj i że mnie tak sobie poważa, nie jako kupca, ale jako najprzedniejszego w domu, i przed wszystkimi tedy każe mi siedzieć, i kiedy-by nie widzieli po nas téj łaski, którą mamy, Lwowianie żywo-by nas zjedli. Szwagier wasz przedaje tu małmazye smrodliwe po 90 zł. na trzy miesiące czasu, a po 83 za gotowe, a nie stoją za 50 zł. Ci psi nasi (żydzi lwowscy) pukają się z zazdrości i siła złego mówią o mnie, ale to wszystko na nich przyschnie“ [2]).

Mosze de Mosze Kohen jest typem żyda Franka na lwowskim bruku, a takich tureckich żydów było tu bardzo dużo aż do połowy XVII wieku. Domyślił się już czytelnik, że kanclerzem, którego łaską Mosze tak się chwali przed bratem, jest Jan Zamoyski, który miał pewną słabość do Lewantyńców, czyli Franków, i rad był zachęcić ich do osiedlania się w Zamościu. Mosze w liście swoim do brata

[1]) Ibidem, t. XVII, p. 1, 2.
[2]) Ind. Jud. Civ., t. XVI, p. 1177.

powiada daléj, że Zamoyski chce „obsadzić swoje nowe miasto, które barzo będzie lepsze aniżeli Lwów, abowiem jest pośród Królestwa i jest w pięknem położeniu, i cztery mile od portu, który bieży do Warszawy i do Gdańska, i miejsca tu dostać można na budowanie domów, i pola do tego dostatek darmo, a we Lwowie to barzo drogo, i chce (kanclerz), aby ówdzie osadzili się żydowie Frankowie, a tych domasznych (żydów) nie chce, a mieszczanie mają przywilejów, co chcą, i Pan jest tak dobry człowiek, że i kamienie się garną do niego, a cóż ludzie. A mnie pokazuje łaskę i dał mi miejsce, abym zbudował jeden dom, który mnie będzie kosztował 400 zł. i może stanąć barzo cudny, a jeśli przedam dobrze małmazyę, tedy go pewnie zbuduję... A jeśliże-by tam byli, którzy-by się chcieli osadzić w Zamościu, tedy będą mieli plac i wszelakie wolności, co zechcą, nietylko z naszych, ale każdy turecki człowiek“ [1]).

Nie wiemy, czy Mosze de Mosze osiadł w Zamościu, ale to pewna, że wielu jego kompatryotów, Franków, chrześcian i żydów, osiadło stale lub na dłuższy czas we Lwowie. W ostatnich latach XVI wieku Lwów roi się od Franków, ruchliwych, sprytnych, awanturniczych, którzy ożywiają handel miejscowy, ale w surowe i uczciwe obyczaje kupiectwa lwowskiego, wychowanego w szkole niemieckiéj, wnoszą zuchwałe ryzyko, szarlataneryę i lichwę. Frankowie biorą i płacą bajeczne odsetki; już Mosze de Mosze wyrzuca bratu w przytoczonym liście, że płaci 60 od sta, a w aktach ławniczych znajdujemy zapiski, z których wypływa, że niektórzy Lewantyńcy płacili 50% od czterech miesięcy, a więc 150%. Do najruchliwszych Franków należeli we Lwowie w ostatnich latach XVI-go stulecia, oprócz przytoczonych już mimochodem u góry, Antonio Perdicari, Antonio Catacallo, Stefan Kiriaki, Cosma Salvago de Campis, Laskari Traioti i t. d. Wysokość procentu, jaką zaprowadzili w kredycie miejscowym, tłómaczy zresztą sama poniekąd natura handlu nawskróś zamiennego, który dawał niekiedy olbrzymie zyski, ale nastręczał także wielkie trudności w ich zlikwidowaniu. Nie zawsze towar, uzyskany z Zachodu drogą „sztychów“ zamiennych, dał się przedać za gotówkę na Wschodzie — zawodziła pod tym względem często nawet pewna zazwyczaj Wołoszczyzna, a już w r. 1576 skarżą się mieszczanie lwowscy, że złoto i srebro wychodzi do Turcyi i do Włoch, zkąd nie wraca, i że za lwowski towar, wywożony na Wschód, nie płyną pieniądze [2]).

[1]) Ind. Jud. Civ., t. XVI, p. 1177.
[2]) Fascykuł 218 arch. miejskiego, nr. 6.

Nasuwa się mimowoli pytanie, jak Lwów, zapchany towarami, pozbywał się swoich hurtownych zasobów, o ile nie szły do księztw naddunajskich i na dalszy Wschód za złoto, lub w zamian za takie artykuły, których handlowa łatwość na Zachodzie równała się prawie gotówce? Po-za polem zbytu za granicą, posiadał Lwów ogromny obszar konsumcyi w tych ziemiach polskich, których był naturalną stolicą, ale wyobrażamy sobie, że brak uregulowanéj organizacyi handlowéj musiał często sprowadzać przykry zastój i stwarzać chwile, w których emporyum lwowskie dusiło się w napiętrzonych zapasach. Najwalniejszym środkiem cyrkulacyi handlowéj w obrębie kraju były niewątpliwie jarmarki, a były one bardzo liczne, bardzo znaczne i odbywały się niekiedy po miasteczkach, dziś tak głuchych i lichych, że z trudnością tylko wyobrazić je sobie możemy, jako chwilowe stacye obrotu, w których przedawały się najkosztowniejsze towary i robiły się tranzakcye na wysokie sumy. Że jarmarki śniatyński, kołomyjski, kamieniecki, jarosławski, przemyski, halicki, tarnopolski, o których ciągle czytamy w aktach, mogły być bardzo ludne i świetne, i dziś uwierzyć łatwo; nietrudno także wyobrazić sobie większy obrót jarmarczny w Bełzie, Rohatynie, Buczaczu, Trembowli, Jazłowcu, Złoczowie, Ostrogu; ale że jarmarki chodorowski, bobrecki, pomorzański, kuropatnicki, buski, barski, gołogórski, podhajecki, załoziecki, satanowski, kołaczkowski i t. p., jeszcze około roku 1580 wielce ważną odgrywały rolę w handlu i były znakomitemi stacyami zbytu, a były niemi rzeczywiście, to dziś mogło-by się wydawać niemal zagadką, a było przecież rzeczą naturalną, usprawiedliwioną nietylko lokalnemi warunkami, ale i całą organizacyą zbytu, i ktoby odtworzył sobie ówczesną siéć szlaków i szlaczków handlowych wewnątrz kraju, przekonał-by się, że wszystkie te zapadłe dziś miasteczka były w niéj niejako węzłami.

Z tych kilku dorywczych szczegółów o zasobach i środkach lwowskiego handlu i o obrotności lwowskiego mieszczaństwa wynika, że, mimo tak ciężkiéj katastrofy, jaką był przewrót na Wschodzie, dokonany zwycięskim pochodem ottomańskich zdobywców, pozostało Lwowowi dosyć warunków dobrobytu, a nawet świetnego rozwoju. Jeszcze umiano handlować, jeszcze było czém i było z kim handlować; przerwane nagle szlaki kupieckie ucierały się napowrót, zamknięte początkowo obszary zbytu otwierały się powoli; stolica ruska miała niewątpliwie przyszłość przed sobą. Dlaczego ta przyszłość okazała się tak małą, tak krótką, dlaczego, niestety, świetność Lwowa i jego patrycyatu robi zawsze takie wrażenie, jak gdyby była albo ostatnim odbłyskiem szczęśliwéj przeszłości, która już nigdy nie wróci, albo piękną obietnicą czegoś, co nigdy się nie spełni—tego ogólnemi przy-

czynami tłómaczyć nie będziemy, bo te ogólne przyczyny, jednakie dla wszystkich miast w Polsce, zbyt dobrze są znane. Wiemy, dlaczego nasze miasta upadły i dlaczego wraz z niemi i Lwów upaść musiał; tylko że we Lwowie, obok takich ogólnych przyczyn, jak polityka społeczna i handlowa sfer rządzących Rzecząpospolitą, zachodziły jeszcze i inne, wyjątkowe i lokalne, a za najfatalniejszą z nich uważać-by można właśnie to, co było zaszczytem Lwowa i jego nieszczęściem, jego bogactwem i jego zgubą zarazem: położenie geograficzne i charakter granicznéj twierdzy, osadzonéj w „paszczęce tatarskiéj“, narażonéj na ustawiczne trwogi, kontrybucye, napady i oblężenia.

Nie ulega dla nas także wątpieniu, że te wszystkie przeszkody i uciążliwości, które tamowały rozwój miast naszych i ich handlu, dawały się czuć daleko dotkliwiéj Lwowowi, niż jakiemukolwiek innemu miastu w Koronie, a to właśnie z tego powodu, że leżał niejako po-za sferą lub na samym krańcu sfery publicznego ładu w państwie, które tak niedostateczną miało zawsze sieć administracyjną, że istniał wśród obszarów o małém ustaleniu społeczném, w otoczeniu niejako dzikszém, niepewniejszém, a tém samém przystępniejszém wszelkiéj samowoli. Weźmy np. ów nieszczęsny chaos i ucisk celny, tak zgubny dla całego przemysłu w Polsce, lub ów w najwyższym stopniu leniwy, niepewny i kosztowny wymiar sprawiedliwości — obie te klęski srodze dojmowały handlowi lwowskiemu. Mieszczanie lwowscy uwolnieni byli wprawdzie od opłat celnych, a przywiléj ten w XVI wieku jeszcze miał walor rzeczywisty; ale nim towar stał się własnością lwowskiego kupca, przebywać musiał niekiedy przez taki szereg rabunków celnych, że przychodził na miejsce dwakroć droższy. Nikt się nie zdoła zoryentować w tym chaosie; gdzie się ruszyć, jakaś rogatka, jakieś myto, jakiś przewóz, jakaś komora lub pokątny przykomorek szlachecki, o którym daremnie-byś szukał jakiéj uchwały w konstytucyach sejmowych. Dodajmy do tego najfantastyczniejszą taryfę, a właściwie brak wszelkich stałych norm taryfowych — w praktyce przynajmniéj — a w końcu zdzierstwo i samowolę dzierżawców celnych, a będziemy mieli pojęcie o téj nieznośnéj zaiste pladze!

Przykłady, wyjęte z zapisków w aktach miejskich, najlepszą będą ilustracyą tych opłakanych stosunków celnych. Z Wołoszczyzny idzie do Lwowa w r. 1564 transport wyziny i wosku, i oto, jakie przebywa koleje: W Kamieńcu zabiera celnik 3 kamienie wyziny, a od 47 wołów, które wiozły towar, po groszu; w Oryninie szlachcic Piasecki tytułem cła zatrzymuje sobie dwa połcie i dwa kawałce a od każdego wołu bierze po groszu; w Skale biorą celnicy trzy

połcie wyziny i dwa talary tytułem każdego trzeciego kamienia wagi (*ratione tertii lapidis usionis*), a nadto po pół grosza od wołu; w Suchostawie, włości pana Potockiego, dwa kamienie wosku, a tytułem trzeciego kamienia wagi talar i 6 groszy; w Trembowli bierze egzaktor myta kamień wyziny, 3 talary i 5 groszy, a nadto myto od wozów i po pół grosza od wołu; w Dobrczy na drodze kamienieckiéj wybierają żydzi dzierżawcy tytułem cła kołomyjskiego i halickiego, w obecności faktora p. wojewody ruskiego, około 10 kamieni wyziny, myto od wozów i po pół grosza od wołu; w Gołogórach każą sobie mytnicy wydać kamień wyziny, dukat i myto od wozów; jakiś szlachcic Halka we włości swojéj bierze półtrzecia połcia i dwa kawałce wyziny, co znaczy 6 kamieni; w Glinianach biorą celnicy 3 kamienie i po pół grosza od wołu; we Lwowie nareszcie na zamku zabierają trzy kamienie i bezmian wyziny tytułem targowego, ale i tu jeszcze nie koniec, bo celnik królewski każe sobie zapłacić według wartości wyziny od każdéj kopy po półtora grosza a od każdego wołu po groszu! [1]) Cóż się dopiero dziać musiało z tak ponętnym towarem, jak małmazya, skoro cło pobierano *in natura!* Z transportu małmazyi, wiezionéj tegoż roku z Jas do Lwowa, zabiera sobie tytułem cła p. starosta Jakób Pretficz jedną kufę, w Kuropatnikach tenże sam p. Pretficz znowuż kufę, a szlachcic Kuropatnicki trzecią kufę. [2])

Rozwlekłość i kosztowność sądownictwa, jedna z dalszych a ważnych przyczyn, dla których obrót handlowy tracił swą łatwość, a kredyt okrywać się musiał pancerzem najuciążliwszych ostrożności i opierać się na zastawie, jako jedynéj niezawodnéj rękojmi, nie była klęską lokalną, zwłaszcza we Lwowie, którego skabinat długo słynął z rozumu i uczciwości — ciężyła ona na wszystkich centrach handlowych polskich. Niczego się tak nie obawiano we Lwowie, jak „labiryntów prawnych“, po których bez końca wodziła nieszczęśliwych klientów swoich niewyczerpana w kruczkach palestra miejska, owa rzesza rzeczników, praktyków, kauzydyków, prolokutorów i jak ich jeszcze nie nazywano. Apelacye do sądów zadwornych nie miały końca i wymagały najczęściéj dalekich podróży; terminy, wizye, komisye, relacye wlokły się nieskończonym szeregiem tak, że procesy trwały nieraz po kilkanaście lat; ekscypowanie się z pod jurysdykcyi miejskiéj tytułem serwitoryatu królewskiego lub magnackiego tamowało lub niekiedy udaremniało nawet całą procedurę, glejty królewskie i moratorya przerywały proces, kiedy już był bliski rozstrzygnięcia, i odbierały wierzycielowi możliwość satysfakcyi. U dworu

[1]) Ind. Jud. Civ. tom XI, p. 50.
[2]) Ind. Jud. Civ. p. 1518.

wydawano lekkomyślnie listy i tytuły ochronne; lada nieuczciwy dłużnik, jeśli się umiał zawinąć, zyskiwał *salvum conductum* lub *litteras moratorias* na niepłacenie długów. W drugiéj połowie XVI wieku coraz gorzéj dzieje się pod tym względem; mieszczanie lwowscy w suplice swojéj przeciw rajcom, podanéj do króla w r. 1576, między najważniejszemi swemi żałobami kładą skargę na leniwy i kosztowny wymiar sprawiedliwości; podnoszą, że wyrok *in actione accessoria* kosztuje 14 zł. i przytaczają na przykład mieszczanina Danieckiego, który w sprawie o dwa grosze zapłacił 10 grzywien kosztów. [1])

Równie jaskrawych przykładów dałoby się wiele przytoczyć z aktów ławniczych. Proces konsulów z rodziną patrycyuszowską Hanlów o posiadanie Hołoska i Brzuchowic trwa sześć lat, a imieniem miasta dwaj ławnicy siedm razy jeżdżą na terminy u sądów królewskich, po razu do Lublina, do Wilna, do Krakowa, po dwa razy do Piotrkowa i Warszawy. Za takie podróże liczono po groszu za każdego chłopa i konia od mili, a że obaj ławnicy mieli z sobą sześciu pachołków i 8 koni, więc za jedną milę liczyli 16 groszy. Droga do Wilna kosztowała tym sposobem tam i nazad 100 zł. i 26 groszy, do Piotrkowa 64 zł., do Lublina 32 zł. i t. d. — razem policzono Hanlom około 1000 zł. za same podróże na terminy [2]), a cóż dopiero musiał wynosić rachunek innych kosztów prawnych! Mieszczanin Jan Bąk, który przez sześć lat toczył proces o spadek, robi w r. 1556 likwidacyę kosztów, która da nam wyobrażenie, co znaczyły „labirynty prawne.“ „Cztery kommissye, 30 relacyi grodzkich, od których dałem po 7 zł., a drugie są, co mnie kosztują 15 zł. Drogęm uczynił za te sześć lat do Wilna ośm razy, do Piotrkowa dróg cztery, do Krakowa dróg też cztery, do Knyszyna dwie drodze. W Wilnie mi dwa konie zdechły, u Turobina we wsi koń, w Lublinie koń, w Sandomierzu koń, we Lwowie koń po tych drogach. Za tych sześć lat sześć koni mi zdechło. Appellacya jedna do Krakowa, druga appellacya do Wilna. *Ad prosequendam appellacionem* pozywałem strony pięć razy, do Knyszyna raz, do Wilna trzy razy, do Krakowa raz. Dowodów *ad prosequendam appellacionem* 30 bez jednego, aktów kompromissarskich cztery. Musiałem zawodzić pany komisarze do Krakowa, do Lwowa, jeździłem do nich po pieczęcie na innotescencyą, jeździłem do Chełma do biskupa, do p. Odnowskiego, wojewody krakowskiego, do Lwowa, do wojewody podolskiego na Podole,

[1]) Supplika cechów na Rajce, fascykuł archiwum miejskiego, 218 № 5.
[2]) Inducta Jud. Civ. z r. 1580, tom XIV pag. 529—532.

do pana krakowskiego do Osieka i t. p.“ [1]) Żyd poznański, Markus Majer, wygrawszy proces z Janem Zaydlicem o sukna, które tymczasem mole zupełnie zjadły wraz z cyrografami na 800 zł., liczy sobie za podróże na terminy przed sąd królewski do Poznania, do Warszawy, do Lublina, do Torunia, i to wszędzie po kilka razy, za utrzymywanie faktorów, plenipotentów i prokuratorów, za omieszkanie jarmarków i t. p. przeszło 9000 zł, to jest niemal dziewięć razy tyle, ile wynosiła wartość przedmiotu spornego, i jeszcze w końcu dodaje: „A nakłady i wydatki prawne, to panowie raczcie oszacować sami według akt i według dekretu!“ Proces ten trwał od r. 1564 do 1580, a więc całych lat szesnaście! [2]) Najwyższe koszta procesowe, jakie nam się zdarzyło spotkać, naliczył sobie przeciw Ormianinowi lwowskiemu, Jerzemu Iwaszkiewiczowi, kupiec angorski Dymitr Moschejowicz. Wynosiły one bisko 18,000 talarów, a przedmiotem sporu była suma 3,500 zł. [3])

Za upadaniem handlu szedł upadek dobrobytu a wraz z dobrobytem obniżał się poziom siły, samoistności i godności stanu mieszczańskiego. Były atoli we Lwowie także powody czysto lokalne, które tłómaczą, dlaczego ustrój gminny, tak pełen warunków żywotności, tak świetny w pewnych momentach swego bytu, z taką godnością stanu i z takim bogatym zasobem cywilizacyjnéj i społecznéj siły reprezentowany przez wybitniejszych swych członków, patrycyuszów i mieszczan, że przypominał municypalną wielkość miast niemieckich, a przynajmniéj zdawał się posiadać wszystko to w plennym zawiązku, co tamte miasta doprowadziło do takiéj potęgi ekonomicznéj i moralnéj — dlaczego ustrój ten gminny psuł się i marniał także przez siebie i w samym sobie, niezawiśle od przyczyn zewnętrznych. Powodem takim była organizacya miejskiego rządu, od pierwszéj połowy XVI wieku nawskróś arystokratyczna, oddająca władzę w ręce małego grona ludzi, jakby osobnéj jakiejś kasty uprzywilejowanéj, z wykluczeniem całego mieszczaństwa od bezpośredniego udziału w rządzie i administracyi. Lwów stał pod władzą dwunastu „panów“, bo tak pokrótce a bardzo charakterystycznie nazywano rajców; był to rodzaj *signorii* najarystokratyczniejszych miejskich republik włoskich. Rajcy byli dożywotni, a w razie śmierci lub ustąpienia uzupełniali się sami, wyborem swoim własnym, bez pytania gminy. Wpływało to zgubnie na publiczne życie gminy, któréj pień, jakby

[1]) Ibidem, tom XII, pag. 808.

[2]) Ibidem, t. XIV pag. 529—532.

[3]) Inducta Jud. Civ. tom XXII p. 911—913. Ten Moschejowicz wywoził Polski do Stambułu czerw.

odcięty od korony, nie urastał już organicznie aż do szczytu, przygnębiało najsprawiedliwszą ambicyę stanu, który nie mógł już sobą samym reprezentować tego, co przecież miało być wyrazem jego zbiorowéj woli i siły. Było to nadużycie, które się datowało od rządów starościńskich wojewody krakowskiego Ottona z Chodczy, i to zapewne już od komisyi królewskiéj w r. 1519, a przybrało cechę prawowitéj instytucyi mocą dekretu królewskiego z r. 1541.

Mieszczaństwo nie mogło się nigdy pogodzić z takim stanem rzeczy, buntowało się ustawicznie przeciw systemowi, który na rzecz małego grona patrycyuszów wykluczał je od rządów „rzeczypospolitéj.“ Do krzywdy moralnéj przybywały i krzywdy materyalne: wysokość ciężarów miejskich i ich rozkład zależały jedynie od absolutnych „panów“, dochody miasta wyłącznie w ich były ręku. To też od r. 1519 wre prawie nieustannie walka między „pospolitym człowiekiem“ a „panami“, między „rzecząpospolitą“ a władzą konsularną; toczy się przed królem spór zacięty, który ustaje chwilami, ale nie kończy się prawie nigdy. Po długiéj przerwie podnosi go Jan Zaydlic, jeden z najwybitniejszych mieszczan i kupców lwowskich, stając w r. 1576 na czele ruchu; wznowi go w r. 1602 Jan Alembek, a gdy i ten trybun żarliwy „napije się z rożka“, jak sam się o innych wyraża, t. j. gdy sam zasiądzie między rajcami, podejmą go w r. 1622 Bartłomiéj Chmiel i Walenty Istykowicz, rozpocznie na nowo w 1634 imieniem gminy Wojciech Ostrogórski.

W trzydzieści kilka lat po prawném usankcyonowaniu arystokratycznéj i dożywotniéj władzy radzieckiéj dają się już bardzo dotkliwie uczuwać miastu skutki takiego ustroju rządów municypalnych. Cechy lwowskie zanoszą w przytoczonym już roku 1576 skargę do króla, w któréj kreślą opłakany obraz administracyi miejskiéj i ucisku mieszczan. Rachunki z dochodów miasta, nie poddane żadnéj kontroli, są fałszywe, około 10,000 zł. uważać należy jako *male distributa*. Handel zaniedbany; mandaty królewskie w poniewierce. Rajcy protegują tylko służalczych mieszczan, ścigają niezawisłych; zniszczyli najdroższy skarb Rzeczypospolitéj: miłość wzajemną mieszczaństwa. Wszyscy konsulowie krewni są między sobą, jedna prawie familia rządzi miastem. Jeden brat jest rajcą, drugi ławnikiem. Burmistrzem jest Wolf Szolc, jeden syn jego dzierży berło wójtowskie, inni synowie są ławnikami, zięciowie jego są rajcami, resztę urzędów zajmują konkurenci o córki... [1]) Bezwątpienia w obrazie tym jest wiele przesady, jak w każdym akcie procesowym tego rodzaju, ale w tém, co cechy mówią o samowoli rajców, o ich bucie, o lekceważ-

[1]) Supplika cechów na Rajce Fascykuł arch. 218 № 6.

żeniu „pospolitego człowieka“ dużo jest także prawdy. Mamy z tego właśnie roku relacyę woźnego zamkowego, spisaną na świadectwo procesującym się z rajcami mieszczanom, a zachowaną w kopii także w archiwum miejskiém [1]). Nic wyrazistszego nad ten obrazek z ratusza lwowskiego w XVI stuleciu. Pełen barwy swojego czasu, uchwycony z dramatyczną werwą, ujmujący swoją jarą a muskularną polszczyzną, akt ten daleko lepiéj skreśli czytelnikowi sytuacyę, stworzoną przez absolutyzm dożywotnich rajców, niżbyśmy to własnemi słowy uczynić zdołali. Oto, co nam opowiada w relacyi swojéj woźny Hrycko:

...„Jako dnia wczorajszego, to jest we wtorek po św. Bartłomieju, będąc na ratuszu ze wszystkiém pospólstwem miasta Lwowa za obesłaniem i obwieszczeniem sławetnego Jakóba Moraszka, burmistrza na ten czas lwowskiego, a to strony szosu, żeby pospólstwo dało na *coronatiam*, na wesele i na pierścień Króla Jmci — świadczyło się uczciwe pospólstwo miasta Lwowa, iż panowie Rajcy lwowscy chcą od nich tego szosu na Króla Jmci, który, powiedzieli, że go dali na ten czas, gdy Król JM. ze Lwowa wyjechał, a panowie Rajcy, jadąc do Krakowa, przysięgę Królowi JM. oddawać, wzięli z sobą szos, a k'temu jeszcze sowity. Tam, gdy pospólstwo weszli na ratusz przed pany Rajcy, miasto odpowiedzi albo przywitania łaskawie, wyrwał się Mistrz Szymon rajca imieniem wszystkiéj Rady Lwowskiéj, wyciągnąwszy rękę, groził, mówiąc:

— Bodaj was zabito, niecnotliwi chłopi! Czekamy was przez cztery godziny! Kat was wie, co tam rozmawiacie!

A pospolity człowiek, słysząc uszczypliwe słowa, tak rzekli:

— Żeśmy wam tego nie zasłużyli; sąśmy ludzie cnotliwi a wam we wszem równi. Nie dlatego siedzicie na urzędzie, abyście nam mieli łajać albo sromocić, ale dla sprawiedliwości a porządku dobrego.

Naczął potém wójt mówić, od pospólstwa tak mówiąc:

— Łaskawi Panowie! Uczciwe pospólstwo miasta tego dało Wasz Mościom powiedzieć, że tego szosu dać nie chcą, dlatego, że go już dali.

Krzyknęło potém pospólstwo, mówiąc: iżeśmy ubodzy ludzie dali półpięta szosu a jeszcze daleko rok. K'temu drabskiego zostało dwieście grzywien. Już ci nam te szosy i drabskie stanęły kością w gardle; już między nami wiele jest ubogich ludzi, mieszczan cnotliwych, którzy musieliśmy się pozastawiać na imienie braciéj, żeśmy też prawie przy niczém nie pozostali. A to wszystko dla wielkich i niezno-

[1]) Fascykuł 218 № 3.

śnych podatków miejskich nigdy niesłychanych, któreśmy wam zawsze musieli dawać z płaczem i z wielkiém narzekaniem, gdyście jedno kazali.

A burmistrz, powstawszy, uderzył ręką w stół i rzekł do tego, co mówił od pospólstwa:

— Łżesz chłopie! wołasz, by podwojski!

Potém rzekło wszystko pospólstwo, iże tak jest dalibóg, jako ten mówi!

Rzekł burmistrz drugi raz:

— To łżecie wszyscy jako psy, zdrajcy, krzywoprzysięscy!

Pospólstwo rzekło: Żeśmy u was gorsi, niźli miejscy słudzy.

Rajcy rzekli:

— Więcéj jednemu miejskiemu słudze wierzymy, niż wam mieszczanom dziesięciu.

Pospólstwo rzekło:

— Żal się Panie Boże na was tego. Zatém my pojedziem do Króla Jegomości, a powiemy, za co nas sobie macie, pospolitą rzecz.

A za tym z pośrodku Rady jeden rzekł:

— Targacie się na nas, na pany swe własne, ale by nam kamienic zbyć, będziemy się o to starać, że wam kilku gardło dać! Łgarzeście wszyscy, połgaliście się i przecież wy nam musicie dać, jako panom waszym, szos po niewoli.

A w tym uniwersał ukazali Kr. J. M., mówiąc:

— Uporniści nam chłopi; niemasz to między wami jedno trzy cechy królewskie, a wyście chłopi naszy, radzieccy; wszystkie insze cechy my z wami obrócimy, jako będziemy chciéć.

Zatym pospólstwo rzekło:

— A my pojedziemy do Króla Jmci, dowiemy się tego, jeśliśmy wasi chłopi poddani, albo Króla JM., i insze krzywdy i dolegliwości i zniszczenie nasze Królowi JM. opowiemy i o ratunek prosić będziemy.

Rzekli potém:

— Jedźcież chocia do dyabła, nie wygracie u Króla na nas nic. Ale wam tak mówimy poprzeczkę ciszéj: za cień jednego z nas nie stoi was dziesięć.

Co pospólstwo z wielkim żalem tę zelżywość odniosło na sobie a skromnie upominali się u panów Radziec, aby im wielkierz, to jest porządek opisany starodawny miasta Lwowa (pokazano), przez którego u panów Radziec zatrzymanie i w swéj klubie niezachowanie wielki nieporządek w obeściu i w używaniu miasta tego dzieje się, zaczym ubodzy ludzie niszczeją i ubożeją, albowiem kto możniejszy, ten więcéj miasta używa, a to wszystko dlatego, że panowie Rajcy

według wielkierza miasta tego porządku czynić nie chcą, stąd-że ubodzy ludzie mało albo nic miasta nie używają, bo się im nie zejdzie dla możniejszych. Wszakoż na podatki wszystkie miejskie, jako pan, tak ubogi zarówno, rad nie rad pociągać musi. Tego wielkierza panowie Rajcy pospolitemu człowiekowi nie chcieli ani chcą ukazać, ani porządku wedle wielkierza zatajonego uczynić, jakoby każdy zarówno mógł używać miasta tego.

I rzekło potym pospólstwo do panów Radziec:

— Gdy jaki podatek chcecie mieć, wnet nas obsyłacie, na który gdybyśmy nie zezwolili z dobrej woli, tedy musimy radzi nie radzi, bo nas z ratusza puścić nie chcecie. Jeszczeście nam też z pierwszych szosów liczby nie czynili, a teraz znowu z fukaniem, z łajaniem, ze sromoceniem, przymuszając nas ubogich ludzi znędzonych, składać każecie.

A Mistrz Szymon rajca tak powiedział:

— My się wam sprawować nie powinni z tego, gdzieśmy te szose obrócili albo podzieli. Są ci, przed którymi czynimy liczbę, którym to jest zwierzono. Nie będziecie wy radzić; utrzemy wam tych rogów, i domyślimy się z wami czego inszego, nie dacie li z dobrą wolą tego szosu.

A pospolity człowiek powiedział, że nam jest do tego, abyśmy wiedzieli, gdzie co podziewacie, bo my ubodzy, szose i inszych podatków wiele a prawie niezliczonych każdy z ubóstwa swego składamy, a iż to słyszymy, że kamienice swe na nas i na gardła nasze, mszcząc się nad nami, przedawać chcecie, gdziebyśmy szosu nie chcieli dać, któryśmy już dali sowity, tedy nam nielża, jedno to Królowi JM. żałośnie a z płaczem opowiedzieć, że nas ubogich ludzi, gdy do was przychodzimy na ratusz za obwieszczeniem pana Burmistrzowém, na nas, sobie równe sąsiady a poddane Króla JM., fukacie, łajecie, sromocicie, czego się Panie Boże pożal na was. Widząc i dobrze słysząc pospolity człowiek upór panów Radziec lwowskich, ustępując i folgując *indemnitati illorum*, musieli pozwolić składać szos, świadcząc się przerzeczonemu woźnemu i szlachcie na pany Rajce Lwowskie, że nie doszło jeszcze daleko roku wzięli z nas ubogich pospólstwa półpięta szosów, zapomniawszy tego, znowu się na szos składać musiem, na *coronatiam*, na pierścień i na wszystkie odprawy *ad fiscum Mtis Regiae*, to nam opowiadając, iż muszą Królowi JM. dać; dawaliśmy, co u nich nie nowina nas przymuszać, bo sobie windykują *dominium hacreditarium*, powiadając: myśmy tu panowie a wy chłopi nasi, i kiedy jednokolwiek chcą a zamyślą, tedy z nas dwoje albo troje szos biorą wedlug upodobania swego, a przecie nas od wszelakich krzywd, od szkodników nie bronią, a my niebożęta ubo-

dzy ciągnąć się i nakładać musimy, jako tego roku *sub hoc tempore interregni* nieznośną strażą we dnie i w nocy ustawicznie na sobie nosiliśmy i wielkie nakłady czynili, trzymając do tego jeszcze draby i sami osobami swoimi straż trzymać *ad factiones consulum cum nobilitate* musieli. A gdzieby kto nie chciał, tedy panowie Rajcy nieznośne winy bez lutości wedle myśli swéj zdzierali a nas ubogie poddane Króla JM. dręczą, nędzą i ku ubóstwu przywodzą...“

Mieszczaństwo w akcyi swojéj, wytoczonéj przed królem, domagało się, aby dożywotność i sposób uzupełniania się rajców były zniesione, aby rajców było nie dwunastu ale tylko sześciu, skoro ich sześciu tylko kolejno rezyduje, i aby cała gmina wybierała bezpośrednio z pomiędzy siebie tak rajców, jak urzędników miasta. Król Stefan nie przychylił się do tego żądania mieszczaństwa i nie zniósł przywileju rajców, ale dekretem malborskim z r. 1577 stworzył instytucyę t. zw. Czterdziestu Mężów, ciało niejako parlamentarne i nadzorcze, złożone po równéj połowie z kupców i rzemieślników, które miało zapewnić szerokim kołom mieszczaństwa pewien udział w administracyi miasta i ukrócić samowolę rajców, poddając ich pod kontrolę całéj niejako gminy. Dekret ten nie uspokoił mieszczan, a instytucya Czterdziestu Mężów niebardzo okazała się skuteczną wobec absolutnéj władzy radzieckiéj. Odtąd wojna domowa nie ustawała we Lwowie. A ów „starodawny porządek miasta Lwowa“, ów wilkirz tajemniczy i zatajony, którego „panowie rajcy pospolitemu człowiekowi nie chcieli ani chcą pokazać“, a który kryć miał w sobie cud ozdrowienia i szczęśliwości, pozostał w imaginacyi lwowskiego ludu zakopaną zdradliwie cnotą i prawdą mieszczańskiego stanu, talizmanem, wydartym mu przez niedobrych braci, skarbem, strzeżonym przez konsularne smoki. Nikt nie widział tego wilkirza, ale każdy weń mocno wierzył; długo pozostał on legendą i marzeniem „pospolitego człowieka“ we Lwowie.

Władysław Łoziński.

IRENA.[1]

Konkurent Ireny przez dłuższy czas nie odwiedzał Mirska. Uczynił to umyślnie, chcąc przez oddalenie dać sposobność Irenie do powzięcia, w spokoju i nie pod naciskiem, ostatecznego postanowienia. Kochał ją i niecierpliwił się. Przybył w chwili pierwszéj walki Ireny z uczuciem, któremu niebacznie, i jakby dobrowolnie zesłabnąwszy, zawładnąć sobą pozwoliła. Była jak człowiek, który kołyszącéj go rozkosznie łódce unieść się pozwolił z biegiem cicho płynącéj fali i obejrzał się nagle, że go prąd niesie ku przepaści. Cierpiała, a jednak zacinała się wewnętrznie w swéj dumie. Przeczuwała ból Jana i prawie zazdrościła ubogim dziewczętom, które miały prawo słuchać głosu serca. Czemu ona nie mogła w téj chwili opuścić dusznego salonu, pobiedz za smutnie rozmyślającym Janem, wziąć jego ramienia i pójść z nim gdzie oczy poniosą. Ale nie mogła, nie! Uczucie jéj wyrywało się za nim, buntowało się przeciwko woli i rozsądkowi, nie przemogło jednak dumnéj zaciętości. Wchodzącego do salonu Eugeniusza przyjęła uśmiechem i uprzejmém słowem; wmawiała sobie, że z jego przyjazdu jest zadowolona, mówiła z nim z jakąś gorączkową żywością, chcąc nią zagłuszyć wewnętrzne cierpienie. Wśród tych wysiłków, co chwila przed jéj okiem przemykał cień Jana, z tęsknotą wpatrującego się w drzwi werandy, przez które zwykle do ogrodu wchodziła. Ale odtrącała widzenie. Wypytywała Eugeniusza

[1]) Zob. Zeszyt 8 Tomu III z r. b.

jak spędzał czas w ostatnich tygodniach, opowiadała o muzykalném opętaniu towarzystwa w Mirsku, o nagłéj zmianie projektów Amelii, która już do morza nie jechała, o systematyczném zdobywaniu na nowo przez Plewaczka biegłości w zesztywniałych palcach, o wieczornych muzykalnych ucztach, których podobno zaczynali się już bać sąsiedzi. Ciągle miała na ustach nazwisko Jana i sprawozdanie o cudnym tenorze mieszczącym się w jego krtani, bała się jednak okazać zmieszaną, bała się, by bijące mocniéj serce na samą myśl o tém opowiadaniu nie wydało jéj, tamując jéj oddech. Była ożywiona, pełna łaskawości dla Eugeniusza, nakazała sobie okazanie mu zadowolenia, prawie radości z jego przyjazdu. Im mocniéj pragnęła znaleźć się przy boku Jana i spojrzéć w jego oczy, tém więcéj dowodów przychylności dawała Eugeniuszowi. Doszła do celu wprędce. Zdołała napełnić go nadzieją, radością, pewnością odniesionego nakoniec zwycięztwa; ale im on więcéj rósł w zaufanie do przyszłości, tém ją głębszy ogarniał smutek i zniechęcenie. Męczyła się, nużyła, w końcu opadły w niéj sztucznie podniecone siły. Znudzenie, niesmak, niepokój zastąpiły łatwość, z jaką przed chwilą grała komedyę wesołości i uprzejmości. Co ona tu robiła w tym salonie, przy tym obcym człowieku, który jéj się wydał uciążliwym, natrętnym i którego chciałaby była widzieć o sto mil od siebie? Oglądała się za jakiémś wydarzeniem, któreby z niéj zdjęło konieczność téj rozmowy, któreby jéj pozwoliło uciec z téj zabijającéj atmosfery.

Amelia wróciła z Peronellim ze spaceru i zdjęła z niéj trochę ciężaru. Zaraz poczęła Eugeniuszowi opowiadać o swojém odkryciu, o podsłuchaniu przypadkowém głosu, który się okazał być tenorem ogromnéj skali...

— Ten młody człowiek zastanowił mię odrazu niezmiernie swoją powierzchownością — rzekł Eugeniusz. — Jeżeli pani potrafi uczynić z niego śpiewaka, to publiczność, patrząc na niego, nie będzie się dziwiła, że Elwiry, Ofelie, Margerity, Halki umierają z miłości. Ale, zdaje mi się, że on się kształcił na malarza?

— Dotąd uważa malarstwo za powołanie swoje. Ulega tylko mojéj zachciance, śpiewając dwie godziny dziennie, ale mam nadzieję, że go czarodziejstwo muzyki i teatru w swoje sidła złapie. Obiecałam mu, że gdziekolwiek będzie miał miejsce jego pierwszy występ, ja się na nim znajdę z maëstrem. Pierwszy wieniec, jaki otrzyma, musi być ode mnie!

— Nie znam więcéj nieokiełznanego galopu, jak ten, którym leci fantazya pięknych kobiet — ozwał się Peronelli. — Pani Amelia już dziś fetuje tryumfy tego chłopca, który jeszcze gamy porządnie zaśpiewać nie umie.

— Popiszemy się nim dziś przed panem — zawołała Amelia — maëstro jest strasznie wymagający... Prawda, że gamy i tryle nie są specyalnością mojego tenora, ale zobaczy pan, że pieśni jego już dziś słucha się ze wzruszeniem.

— Wymyślcie państwo jaką włoską etykietę dla tego towaru polskiego...

— Wielewicz? Nie, to nie jest tak źle... Mógłby być nawet *le comte Wielewicz*. Francuzi nie rozumieją innego polaka, jak hrabiego... możemy im w tym względzie dogodzić...

— Coś mi ten chłopiec nie wygląda na to, by chciał się stroić w uzurpowany tytuł — rzekł Eugeniusz.

— Natura obsypała go darami — zawołała Amelia — ale zdaje mi się, że dała mu także sporą dozę ambicyi... Nie będzie on tak bardzo przebierał w środkach dla zaspokojenia jéj... Bądź co bądź, płynie w nim krew nie hetmańska.

Irena, zagłębiona w fotel, milcząca, coraz mniéj oprzéć się mogła uczuciu osamotnienia i tęsknoty. Rozmowa tocząca się wydawała jéj się banalną; torturowała ją myśl, że jéj miejsce było gdzieindziéj; czuła, że chęć ucieczki co chwila mogła się stać silniejszą niż wola. Rozsądek ukazywał jéj jeszcze całą niedorzeczność miłości dla Jana, ale już poczynała mówić sobie, że przecie to były tylko rozmowy, dotyczące przedmiotów obojętnych, tylko wspólne spacery... że przyznawano się tylko do przyjaźni i prawdopodobnie Jan ani przypuszczał, że był kochanym. Co komu szkodzić może kilka dni tak mało wymagającego szczęścia?.. Z jego wyjazdem skończy się wszystko... tymczasem, tymczasem...

Eugeniusz poprosił, by mu dano usłyszéć zdumiewający głos, odkryty przez Amelię. Posłano po Jana, lecz nie znaleziono go nigdzie. Zjawił się dopiero przy wieczornéj herbacie. Od śpiewu wymówił się bólem głowy i zaraz opuścił towarzystwo.

— Szczęśliwy! — myślała Irena — przynajmniéj téj bezecnéj komedyi spokoju i ożywienia towarzyskiego grać nie potrzebuje. Może głowę ująć w dłonie i twarzy swéj pozwolić na wyrażenie tego, co duszę przepełnia... może nie krasić ust uśmiechem i nie wygładzać czoła fałdującego się od troski... Czy on wie, że myśl moja poszła za nim? Czy się domyśla, że ja cierpię?

Amelia była w jednéj ze swych chwil nerwowego ożywienia, które ją czyniło pełną werwy i powabu w rozmowie. Peronelli, w którym ogień podniecała lada iskra, dopomagał jéj do utrzymania się w tym nastroju przez cały wieczór. Eugeniusz wciągniętym przez nich został. Toczyła się więc wkoło Ireny jedna z tych rzadkich towarzyskich pogadanek, przy których zapomina się o ubiegającym

czasie. Dla niéj jednak czas wlókł się niemilosiernie. I ciągle to uczucie niewoli, uwięzi, którą-by się zerwać pragnęło, próżni, od któréj chciało-by się uciec i biedz otworzywszy ramiona... Bo wiedziała, że coś na nią czekało, do czego spieszyć jéj się było trzeba, i tylko jakaś niemilosierna konieczność trzymała ją przykutą... Żeby choć była mogła krzyknąć z bólu, rzucić się na ziemię z jękiem, a nie siedzieć z uśmiechem na ustach w wygodnym fotelu! Co ci ludzie mówili wkoło niéj, dlaczego się śmieli? Czy to ona może jest nieprzytomna i obłędowi jakiemuś panować nad sobą pozwala? Dlaczego sen, który ją do takiego szczęścia kołysał, prześnił się nagle? Co to było, i dlaczego żegnać się z tém było trzeba? Nie rozumiała ani siebie, ani innych, wiedziała tylko, że coś strasznego, coś nieuniknionego zawieszone było nad nią. Czy ten wieczór nigdy się nie skończy?

Skończył się wreszcie. Irena cicho ze swego pokoju się wymknęła i długo chodziła po ogrodzie, chłodząc głowę powiewami nocy.

Nazajutrz ze snu wstał wraz z nią wypoczęty zdrowy rozsądek i wola, któréj upadkom wczorajszym się dziwila. Przeciąć, przeciąć od razu to, czemu prawa do życia przyznać nie można; zwalczyć szał! Wszystko, co się chce uczynić, można, gdy się chce silnie!

Opancerzona w tę pewność, wyszła z uśmiechem, przygotowanym dla Eugeniusza. Rozmawiała z nim przy śniadaniu, potém zaproponowała sama spacer do lasu, a propozycyę tę podała głośno przy śniadaniu, by ją słyszał Jan. Jakieś znajdowała dzikie zadowolenie w czynieniu sobie i jemu jak największéj boleści. Spacer sam na sam z Eugeniuszem był zupełnie zbyteczną męką, ale pragnęła ją sobie zadać; z jakimś namiętnym zapałem rzucała się ku téj próbie, wszystkie jéj gorycze pragnąc wychylić duszkiem. Wesołość jéj była wprawdzie trochę nienaturalna, raziła ona jednak jednego tylko Jana. Chłopiec, zrzucony nagle z nieba, w którém mu przebywać było dotąd wolno, czuł się zranionym i zrozpaczonym. Jego wymowne oczy co chwila ku Irenie posyłały bolesną skargę, pytały: „dlaczego?“ z głębokim smutkiem i jakimś dziecinnym przestrachem. Irena raczéj czuła ich wymowę, niż ją spostrzegała. Parę razy w przelocie uchwyciła spojrzenie, a to potém ciążyło na niéj, przenikało ją do głębi duszy, prawie jéj ból fizyczny zadawało... Broniła się przed wrażeniem, przeciągając nutę wesołości i uprzejmości dla Eugeniusza, który znowu zapytywał siebie: „Co jest téj kobiecie?“ Prawie mu się narzucała, pochylając ku niemu piękną głowę i patrząc na niego zalotnie. Zkąd jéj się wzięła zalotność? Eugeniusz pierwszy raz spostrzegał ją w niéj i było mu przykro. Po co zalotność z człowiekiem, który kocha i chce wraz z sercem dać swoje nazwisko?

Jan tymczasem przemyśliwał o ucieczce z Mirska. Wszak Irena dawała mu wyraźnie poznać, że był tu zbytecznym, pragnęła go się pozbyć... Projekta wyjazdu snując w swéj głowie i znajdując w nich broń przeciwko swéj boleści, a przynajmniéj jéj zagłuszenie, Jan wyszedł do ogrodu. Wkrótce ujrzał przechodzącą koło siebie parę spacerujących. Wysoka postać Ireny, z parasolką rozpiętą nad głową, prawie się o niego otarła, nawet mu nie rzuciwszy spojrzenia. Intuicyjnie odczuł, że z myślą o nim rzuciła w powietrze nutę wesołego śmiechu i słowa zwrócone ku towarzyszowi, którego ramienia się trzymała:

— Więc w Zabłoniu można przed pałacem urządzić prawdziwy gaj cytrynowy, jeżeli tyle i tak starych cytryn posiada cieplarnia? Można mieć iluzyę, że się jest we Włoszech, gdyby nie te szkaradne drewniane skrzynie — więzienie biednych roślin! Człowiek szczęśliwszy... ma swobodę czynów, kroków, postępków... idzie, gdzie go woła jego własna przyjemność i zadowolenie... odtrąca to, co mu natrętne i niemiłe...

— To co natrętne i niemiłe usunie się samo z drogi! — zawołał w duchu Jan. — Gorycz zalewała mu duszę; przez chwilę mu się zdawało, że nienawidzi Ireny, téj wielkiéj pani, téj arystokratki, która przyciągała po to tylko, by się pobawić chwilę—a potém odtrącić... jedném dumném spojrzeniem zaprzeczyć wszystkiemu, co mówiły usta i oczy! Zabawka chybiła celu, bo rana zadana nie głęboka!.. Ot już na miejsce miłości przyszła pogarda i nienawiść — potém... krok tylko jeden do obojętności!

Oczy Jana rzucały błyski gniewne za oddalającą się parą.

— Niech tych dwoje szablonowych towarzyskich manekinów idzie w jedną drogę ogrodową, zanim wspólnéj drogi życia nie obiorą! Nie zazdroszczę im! Dziękuję losowi, że jestem ubogi, że nie mam nic prócz téj przyszłości, jaką sobie sam zdobędę... dobrze, że mnie rodzice moi nie obarczyli tym balastem, który się nazywa urodzeniem, majątkiem, tradycyami, stosunkami rodzinnemi i towarzyskiemi! Jestem wolny i pluję ci w twarz pogardą, pani z próżnością i dumą, ale bez serca! Dla mnie jest miłość kobiety z ludu, która się z uczuciem swém nie droży... oddaje je i siebie całą, nie pytając, czy jéj ukochany może jéj dać nad głowę cienie stuletnich drzew cytrynowych, które wystawi w lecie przed pałac, do którego ją zaprowadził... Moja biedna Fornaryna! Pisze listy bez ortografii — ale kocha! Błogosławiony brak ortografii, błogosławiony brak stylu! Ta mówi wszystkiemi językami, wszędzie była, wszystko wie, wszystko umie, ale nie jest prawdziwą kobietą, bo nie kocha! Jak ja mogłem przełożyć ją nad Fornarynę!

Przy tym wykrzykniku Jan poczuł, że powiedział jakieś bluźnierstwo. Fornaryna majaczyła mu gdzieś daleko, jak rzecz obca, której już nie rozumiał. Nienawiść wszakże do Ireny wzrastała w nim. Upajał się tą trucizną, chciał się zemścić! Wyszukiwał sposobów zemsty, uciekając w pole przed godziną lekcyi, do której pewno wezwanym zostanie! Zmęczył się szybkim chodem i po godzinie usiadł pod polną gruszą, która gęstym liściem szumiała na miedzy. Twarz ukrył w dłoniach i zapłakał. Po złych uczuciach zemsty i nienawiści przyszła nagle reakcya. Rozżalił się nad sobą i nad nią, którą we własnéj duszy znieważył. Jak śmiał, jak śmiał! Ona miała prawo uczynić z nim wszystko, co chciała, bo to była jego pani, która mogła się zagniewać za to, że ją czcił, że ją ubóstwiał!

Łkanie, które z trudem wyszło z męskiéj piersi, szybki chód po upale, wewnętrzna walka, zmęczyły go. Poczuł, że jeszcze nie był odzyskał wszystkich sił swoich... że był też chorym moralnie. Cierpiał i zazdrościł polnéj myszy, która się ukryła pod ziemią, gdzie ją spojrzenie niczyje dosięgnąć nie mogło. Powolnym krokiem wrócił ku domowi. U furtki ogrodowéj spotkał Cesię. Trzymała ona w ręku ogromny wieniec bławatów, dar jednéj ze swoich wiejskich przyjaciółek.

Cesia dostrzegła odrazu smutek i przygnębienie na twarzy Jana. Zapragnęła wesołém słówkiem go rozerwać.

— Niech sobie pan wyobrazi, że to wieniec laurowy — zawołała, podnosząc do góry bławaty — że ja jestem geniuszem sławy, który wieniec ten kładzie na skronie wielkiego malarza!

Wieńce laurowe! myślał o nich dawniéj z takiém upojeniem... Teraz wydało mu się, że o nie nie dbał, że mu były obojętne... Nic już go na świecie nie obchodziło, wszystkie dawne marzenia nie miały dla niego znaczenia.

— Muszę zbiega odprowadzić do domu — mówiła Cesia, biorąc ramię Jana. — Amelka oburzona, Peronelli od zmysłów odchodzi... Robiono obławę w parku, nawet w lesie, i zdołano tylko wytropić Irenkę z panem Eugeniuszem. Człowieka, który ma głos tenorowy, nic nie jest w stanie zastąpić Amelce... Musi mi coś dać do skarbonki za to, że jéj go odprowadzam.

— Nie wiem, czy ta jedna lekcya wiele dla mojéj przyszłości uczyni... Mam zamiar wyjechać jutro.

— Co, znowu nam się pan buntuje? Tak panu spieszno nas opuścić?

— Panienko Cesiu, proszę mnie nie łajać... proszę mię o niewdzięczność nie posądzać... Wyjeżdżam z żalem, ale wyjechać muszę... I moim rodzicom coś się też z moich wakacyi należy. Potém

cały rok widzieć ich nie będę. — Panienka Cesia taka dobra... uwierzy, że muszę jechać... uwierzy w moją wdzięczność dla wszystkich tu w Mirsku...

Cesia spojrzała ze współczuciem.

— Wierzę — rzekła z prostotą. — Rozumiem też, że pan tęskni do rodziców... Będzie to tylko straszny zawód dla Amelki. Ona taka nerwowa... tak wszystko odczuwa silnie... Peronelli jéj obiecał, że za tydzień zacznie się pan uczyć duetu z „Romea i Julii...“ Ja jeszcze nikomu o tym wyjeździe nie powiem... może panu przyjdzie lepsze natchnienie.

Znowu szukano Jana z rozkazu pani Boliwiny. Poszedł niechętnie, z przymusem poddał się kaprysom wymagającego maëstra.

Irena cały dzień wytrwała w swéj roli. Zapytana przez Eugeniusza o stanowczą odpowiedź, przyrzekła wkrótce zawiadomić go o swéj decyzyi. Była dla niego uprzejma, uprzedzająca nawet; upajała się własném męczeństwem. Przy obiedzie dopiero ujrzała Jana, który na jéj widok przypomniał sobie zniewagę wyrządzoną; na nowo począł nienawidzieć i pogardzać, co wyraziły jego oczy. Poczuła, że gniew jego i obojętność były dla niéj zbyt wielką katuszą. Powoli upadała coraz więcéj na duchu, coraz więcéj sił do udawania jéj brakło. Wieczorem, gdy się ściemniło zupełnie, wyszła, szukając Jana w ogrodzie. Serce jéj było tak pełne bólu, tęsknoty i miłości, że i światowe jéj ambicye, i duma, leżały w prochu.

Nie potrzebowała szukać go długo. Był blisko werandy, jak gdyby oczekiwał. Uczuła się bardzo onieśmieloną i tak zalęknioną, jak mała dziewczynka. Jan począł się zwolna oddalać, jak gdyby natrętnym być nie chciał.

— Panie Janie! — zawołała głosem miękkim i pokornym — może pan pójdzie ze mną... obejdziemy raz ogród wkoło.

W jednéj chwili zapomniał obrazy, nienawiści, pogardy... Stanął obok niéj, cały drżący ze wzruszenia. Oboje byli niezmiernie onieśmieleni i szczęśliwi zarazem. Szli koło siebie, milcząc i milczenia przerwać nie usiłując. Irena oddychała pełną piersią. Opadł z jéj ramion przymus, który je od dwóch dni przygniatał, ustąpiła ciężka nuda i niesmak. Było jéj dobrze i tak słodko, jak bywało dawniéj przy boku młodzieńca. Zapomniała o dusznéj atmosferze towarzyskiéj salonu, o Eugeniuszu, wielkim świecie, zapomniała o wszystkiém. Pochwycił ją znowu, omotał i uniósł na obłoku piękny sen, któremu się od kilku tygodni oddawała. Doszedłszy pod lipy, gdzie w ostatnich czasach malowała, usiadła na ławce, zmęczona prędkim chodem i czując brak oddechu z powodu przyśpieszonego tętna.

— Siądźmy na chwilę — rzekła — tak się, nie wiem czém, zmęczyłam...

Głos jéj miał dźwięki słodkie, pokorne; Jan odczuł go w głębi duszy. Nie usiadł, lecz ukląkł obok ławki, na któréj siedziała Irena.

— Żegnałem się z ogrodem — ozwał się cicho — chciałem jechać jutro... na zawsze porzucić tu wszystko...

— O, nie, nie! — szeptała Irena.

— Miałem wyjechać tak rano, by tylko panią Solską pożegnać w kościele... Tyle się nacierpiałem przez te dwa dni... żeby pani wiedziała... tych dni nie zapomnę w życiu... myślałem, że pani chce, bym wyjechał, bym z jéj drogi ustąpił.

— Nie, nie! — zawołała Irena — zostań dziecię, zostań!

Przy tych słowach, wzięła nagle w obie ręce głowę klęczącego chłopca i na jego ustach złożyła pocałunek.

Nim jeszcze zdołał zrozumiéć, co się stało, Irena zerwała się z ławki, krzyknęła jakby z bólu, wyprostowała się i nagle zmienionym, twardym, dumnym głosem zawołała:

— Jedź jutro! jedź, i niech cię moje oczy nie oglądają więcéj!

Po tych słowach pobiegła ku domowi, zostawiając Jana oszołomionego i niewytrzeźwionego jeszcze z upojenia, jakiém go jéj pocałunek napełnił.

Biegła tak śpiesznie, że jéj aż oddechu brakło, ale pragnęła uciec od tego szaleństwa, które ją tam na chwilę ogarnęło, pragnęła mu co najprędzéj zadać kłam głośny. Ten chłopiec, którego ona wśród cieniów nocy w ogrodzie całowała, to był o całe lat 12 młodszy od niéj przybłęda, bez majątku, bez stosunków, bez urodzenia, nawet bez fachu!.. może podrzędny śpiewak w przyszłości... może malarz tuzinkowy! I ona, Irena Solska, która odrzuciła najpierwsze partye, miała-by skończyć jak awanturnica... miała-by pójść za jakiegoś lichego śpiewaka, za bezwąsego młodzika... miała-by się okryć śmiesznością przed towarzystwem...

Przystanęła na chwilę na werandzie, by jéj przyśpieszony oddech mógł wyrównać się trochę, potém weszła do salonu. Stanęła wyprostowana przed matką i spokojnym, choć twardym głosem ozwała się dobitnie:

— Muszę ci, mamo, powiedziéć, że hrabia Eugeniusz Dobroróg oświadczył się dziś o moją rękę i że ja oświadczenie się jego przyjmuję, jeżeli ty, mamo, nie masz nic przeciwko temu!

Zrobiło się wśród obecnych zamieszanie. Nikt się nie spodziewał takiego wystąpienia Ireny. Eugeniusz zerwał się zdziwiony i szczęśliwy, pani Solska rozpłakała się, Amelia zbladła i była bliską zemdlenia, Peronelli zbliżył się z życzeniami.

— Moje dziecię, moje dziecię — mówiła wśród łez pani Solska — dawno pragnęłam... niech Bóg daje ci szczęście...

Irena była dziwnie podniecona i jakby w gorączce. Gdyby to było możebném, chciała-by była zaraz iść do ołtarza.

Zawołano Cesi, panny Józefy, cały dom był wstrząśnięty wiadomością... Któryś z lokai słyszał przemówienie Ireny i za chwilę wszędzie powtarzano sobie nowinę.

Irena doznała chwilowego ukojenia. Już przecie był koniec niepewnościom, niepokojom, targom z sobą samą! Stała się rzecz niecofniona, która mrzonki i mary zepchnie w cień! Życie stawało przed nią, dyktując jéj wyraźnie dalsze postępki, wyznaczając obowiązki. Przeszłość była minionym snem, w którym zatrze się téż i wstyd tego jedynego pocałunku, danego ustom męskim...

Irena mimowoli zakrywała dłonią oczy, gdy myślała o tém zapomnieniu się, o tym braku godności kobiecéj!.. Dobrze, że takie pocałunki nie zostawiają na ustach wiecznego piętna i że nikt nigdy się nie dowie...

Policzki jéj płonęły nienaturalnym rumieńcem, oczy błyszczały ogniem gorączkowym. Nie dziwiono się temu, wszak w tym dniu postanowiła o własnéj przyszłości.

W nocy gorączka się zwiększyła, nazajutrz lekarz skonstatował influenzę.

Jan nie widział już Ireny. Nie wyjechał cichaczem, jak to miał zamiar uczynić poprzednio. O świcie posłał do stacyi najętego chłopca z telegramem do rodziców, żądającym telegraficznego wezwania do powrotu. Wezwanie to odebrawszy około południa, osłonił się niém przed uprzejmością pani Solskiéj, przed natarczywością Amelii, tracącéj nadzieję duetów śpiewanych z tenorem. Wyjechał na wieczorny pociąg.

Jednéj tylko Cesi oszukać nie zdołał. Intuicyjnie domyśliła się ona, że jakaś poważna, miejscowa przyczyna wypędzała Jana, że jego bladość przy wyjeździe inny miała powód, niż żal przy rozłączaniu się z Mirskiem. Zauważyła, że nie wspomniał Ireny i wyrazów pożegnalnych złożyć jéj nie kazał. Domyślność Cesi podniecała nie ciekawość kobieca, ale dobroć, pragnąca pocieszyć każdy ból, każdą troskę. Czy czasem od Ireny nie doznał obrazy? Jéj duma, oschłość i nieprzystępność powróciły w ostatnich dniach. Może jego miłość własna się o nie otarła i przyprawiła go o cierpienie.

Cesia prawie nie odstępowała Ireny, choć choroba nie przedstawiała najmniejszego niebezpieczeństwa. Była na usługi starszéj siostry, chodziła cichutko, odgadywała życzenia. W nocy niepostrzeżenie i bez szelestu zjawiała się, jak cień, obok łóżka choréj. Było ciągle

trochę gorączki, Irena przyznawała jednak, że mogłaby nawet wstać, gdyby nie nieprzeparte lenistwo.

W istocie przygniatało ją jakieś brzemię.

— Może to ręka losu — mówiła do Cesi, uśmiechając się spieczonemi od gorączki ustami.

Szumiało jéj w głowie i pulsa jéj uderzały podnieconém tętnem. Przejmowała ją jakaś trwoga niewytłómaczona — strach przed chwilą, w któréj będzie musiała zdrowa powstać z łóżka i gdy ją życie pochwyci w swoje tryby.

— Pan Eugeniusz krąży tu ciągle koło twoich pokoi. Bardzo jest niespokojny...

Irena nie odpowiedziała. Pomyślała, że krążył koło niéj od roku jak kruk, dopóki nareszcie...

Dreszcz wstrząsnął jéj ciało.

— Amelka kazała cię przeprosić, że cię nie odwiedza... boi się influenzy nie dla siebie, lecz dla Wacia...

— Ty jedna nie boisz się niczego, moja ty siostro miłosierdzia!

— Przy tobie nie jestem siostrą *miłosierdzia*, ale siostrą *miłości* — odparła Cesia, pieszcząc rękę Ireny.

— Czemu ja nie mogę być taką, jak ty? — zawołała Irena gorączkowo.

— O, Irenko!

— Takiéj jak ty istocie nie potrzeba nic od życia... nie potrzeba jéj ani dostatku, ani komfortu, ani wykwintu... nie potrzeba nic dla jéj miłości własnéj, ani dla jéj dumy... nie potrzeba jéj też nic od ludzi... byle się znalazł ktoś do wspomożenia... a tacy zawsze się znajdą... szczęśliwaś, Cesiu!

— Prawda, taka szczęśliwa, taka szczęśliwa!.. Teraz szczególniéj...

— Dlaczego teraz?

— Bo ty mię teraz więcéj lubisz... dawniéj mię nie lubiłaś...

Irena bawiła się jasnym warkoczem siedzącéj przy łóżku Cesi. Rozplatała go i gładziła.

— Taka doprawdy jestem leniwa — mówiła — żem wdzięczna téj influenzy, która mię trzyma w łóżku... Z tobą dobrze mi rozmawiać, ale tam, z nimi... w salonie...

Jak ona teraz będzie rozmawiać z Eugeniuszem? Co sobie teraz będą mówili, oni, którzy za parę miesięcy znajdą się sami, we dwoje, połączeni na zawsze?.. Jak się to mówi do takiego człowieka?

— Opowiedz mi co, Cesiu, bo mię takie jakieś niemiłe myśli prześladują...

Cesia pomyślała chwilę, szukając w pamięci czegoś wesołego.

— Uśmiałam się dziś z Jędrzeja — rzekła z uśmiechem. — Nie pozbył się on swego bzika na punkcie powołania duchownego pana Wielewicza. Naprzód utrzymuje, że żaden obraz jeszcze mu takich pacierzy z pod samych żeber nie wyciągał, jak Ś-ty Dominik, że samo malarstwo nic by tu nie znaczyło, tylko trza było łaski od samego Boga... że to Pan Bóg kieruje tém wszystkiém... Albo ten Włoch, pono z samego Rzymu... juści czy to nie zrządzenie Boże, że on uczy śpiewać pana Wielewicza? Nie na co innego to, jeno na to, żeby wyciągał przed ołtarzem w kościele... Takem mu tam coś o tém napomknął, a on na to śmieje się i powiada: zapraszam Jędrzeja na moje prymicye. Przyjadę odbyć je w tutejszym parafialnym kościele.

Irenie nagle przed oczyma stanął kościół i ołtarz, przybrany kwiatami, stary proboszcz i para klęcząca przed nim: ona sama w welonie na głowie i Eugeniusz z bukietem u boku.

Zatrzęsła się cała i oczy przysłoniła ręką.

— Co ci jest?—zawołała niespokojnie Cesia.

— Takie mi brzydkie mary gorączka stawia przed oczy! — odparła Irena.

Dopiero trzeciego dnia Irena podniosła się z łóżka. Zaczęło się dla niéj życie udawania, wewnętrznéj walki, godzin strasznéj rozpaczy i tęsknoty, z których niczyjemu sercu zwierzyć się nie mogła. Umiała panować nad sobą, jednakże nierówność jéj usposobienia, smutek często rozlany na jéj twarzy, nie mogły ujść uwagi otaczających. Wśród domowego grona zdawała się nieraz roztargnioną i tak w myślach pogrążoną, że nie zwracała wcale uwagi na to, co się wkoło niéj działo. Myśl wyłączna pochwyciła była jéj umysł w swoje niemiłosierne kleszcze. Irena wiedziała teraz, co to noce, w których spragniona spoczynku myśl ani na chwilę przez sen ukojoną nie została, co to otwarcie na wschód słońca oczu, od których przez noc całą nie odstąpiła jawa... Była zwalczona, pokonana i tylko siłą woli trzeźwiła się i przymus sobie narzucała. Każdy z otaczających tłómaczył sobie jéj usposobienie na swój sposób. Zubecki zdawał się złośliwie zadowolony. Przeczuwał, że Irena cierpiała, i to go napełniało rozkoszą.

— Ja ci powiem—mówił do siostry — po prostu zawróciła sobie głowę tym młodym dudkiem, z którym tu cackaliście się tyle czasu... tym malarzem i śpiewakiem...

Śmiał się złośliwie, błyskając krwawą powieką. Sam miał swój frazes za wymysł własnéj fantazyi, którym chciał dogryźć siostrze, i ani się domyślał, że jego wynalazek mieścił w sobie prawdę.

— Ha, ha, ha! to się tak często zdarza, że taki młodzik zakocha się w czerdziestoletniéj kobiecie, a czterdziestoletnie właśnie za takimi gołowąsami przepadają! starym pannom szczególniéj w to graj!

— Już ci Irena z drogi ustępuje, mój bracie—odparła pani Solska, któréj anielska cierpliwość tym razem zachwianą została.—Przestanie być starą panną, a czterdziestoletnią będzie dopiero za lat siedem.

— To są takie rodziny—mówił Zubecki, uszczęśliwiony, że siostrę swą zdołał rozgniewać — takie domy, którym się nie szczęści... wisi nad niemi jakiś los niedobry... Ta, Amelia, ma życie złamane, Irena téż szczęśliwa nie będzie...

— Sewerynie!

— Przecież jam temu nie winien i nic im złego nie zrobiłem, ani życzę, ale widzę... Cesia téż z coraz więcéj przewróconą głową.

— Nie męcz mię, nie męcz mię! — zawołała pani Solska—zmiłuj się, jaką ty masz przyjemność w dręczeniu wszystkich?

Dni dla Ireny wlokły się teraz nieskończenie. Ślub jéj miał się odbyć za pół roku, matka przypominała jéj o konieczności robienia wyprawy, ale ona odkładała to na późniéj.

— Będzie dość czasu!

Całemi godzinami zamykała się w swym pokoju, lub błądziła po oddalonych zaroślach parku sama ze swoją myślą, ze swém cierpieniem. Bywała czasem usposobiona dziecinnie i zabobonnie. Wychodziła na skraj parku, gdzie się zaczynały pola, i obrócona twarzą w stronę Warszawy, gdzie się znajdował prawdopodobnie Jan, wytężała ku niemu myśl i uczucie i przez przestrzenie rzucała mu gorący, namiętny nakaz, by myślał o niéj... by tęsknił tak, jak ona, i by się przynajmniéj ich myśli zbiegły.

— Kochaj mię, kochaj!—wołała z dziecinném przeświadczeniem, że skoro mogą być hypnotyzmy i suggestye, więc takie namiętne pragnienie, taka wytężona myśl mogła téż mieć potęgę i siłę rozkazu.

Potém uśmiechała się boleśnie z własnéj zabobonności. Zresztą gdyby nawet taka tajemnicza siła istniała i uczucie mogło przedzierać przestrzenie, jak lecący piorun, to ona powinna była wołać: „nie kochaj, zapomnij!“ Wszak sama odrzuciła miłość Jana, sama wyciągnęła rękę po pierścionek zaręczynowy innego. Po co ją miał kochać ten, którego odtrąciła? Co jéj z jego miłości przyjść mogło? A jednak myśl, że o niéj zapomniał, że nią pogardzał, była jéj nieznośną. Pragnęła, by kochał, by cierpiał, jak ona!

Chwilami prawdziwe położenie przedstawiało jéj się jasno. Ona dała temu chłopcu ostatnią, gorącą, i była pewną, że nieuleczalną

miłość swego życia. On... Boże! on miał lat 21, a przed nim stał jeszcze cały świat wrażeń, używań, prac, walk, namiętności, miłości...

Przy takim obrazie cierpienie jéj wzrastało jeszcze. Jakaś szalona zazdrość przenikała jéj serce. Zazdrośna była o tę całą przyszłość młodzieńca, o wszystkie radości, jakie mu w życiu przyjdą nie od niéj, o wszystkie kobiety, które kochać, malować i na które patrzéć będzie. Serce w niéj zamierało na myśl, że ona w jego życiu była tylko przelotném wrażeniem, snem wakacyjnym, marzeniem jednéj wiosny!

Bywały chwile, w których wymówione nazwisko jego było-by ją zabolało; inne znowu, w których ją paliła żądza mówienia o nim. Niekiedy doznawała ulgi pewnéj, gdy przy ogólnéj o nim rozmowie mogła zawołać w duszy: „Lubicie go i wspominacie życzliwie, ale w gruncie jest on wam niczém, gdy dla mnie jest wszystkiém, wszystkiém, wszystkiém!

Raz, po obiedzie, Peronelli z Amelią odkryli ją w parku, usiedli obok niéj i wciągnęli do rozmowy.

— Bardzo nowy przedmiot obrabiamy z maëstrem—mówiła śmiejąc się Amelia—zgadnij!.. mówiliśmy o miłości.

— Przedmiot nie nowy i bardzo niedorzeczny—rzekła Irena.

— Kobiety północne — ozwał się Peronelli — nie mają téj czci, tego ukorzenia się przed miłością, którém przejęte są kobiety na południu.

— To dowód, że na północy jesteśmy trzeźwiejsze, rozsądniejsze i że o tyle więcéj czci mamy dla obowiązku, o ile jéj mamy mniéj dla miłości...

— O, nie, nie! proszę sobie nie palić kadzideł... to tylko dowodzi, żeście na północy zimniejsze, że nie umiecie kochać, żeście siły tego uczucia nie zaznały i macie prawo nie wyznaczać mu w życiu roli pierwszorzędnéj.

— A maëstro twierdzi, że mu się taka pierwszorzędna rola należy?

— Nie mówię, że mu się należy, ale że ją zajmuje. Twierdząc to, wcale nie wyrażam tu osobistych moich uczuć, pozostawiam je zupełnie na stronie. Dowodów szukam tylko w faktach, które mię otaczały. Kraj tutejszy znam mało i o nim mówić nie będę, ale myślą przebiegam kraje i ludzi, których znam. Ileż-to razy zdarzyło mi się widzieć życia złamane, śmierci, samobójstwa, obłędy, spowodowane przez miłość, ile spraw różnych, faktów doniosłych, których była tajemną przyczyną! Zdarzało mi się widzieć, jak z dziecka czyniła nagle kobietę, z tchórzliwego chłopca—bohatera. Bywałem téż przejęty podziwem, grozą i niepokojem na widok niektórych dramatów,

które czytałem na twarzach ludzkich. Widziałem zmieniającą się duszę ludzką, którą uczucie najsilniejsze ze wszystkich urabiało, jakgdyby była z wosku. Pomyślcie panie, co to za potęga, która ze skąpca czyni rozrzutnika, z pracowitego człowieka — próżniaka, lub przeciwnie... Pamiętam, że płakałem raz na pogrzebie dwojga ludzi, którzy na spółkę mieli zaledwie lat piędziesiąt. Dawałem im obojgu lekcye i, niestety, u mnie się poznali. Stanęły między nimi przeszkody, więc w jednéj szklance przygotowali truciznę i każde z nich pół szklanki napoju śmiertelnego wypiło. A byli młodzi, pełni sił, pełni życia i ochoty do niego, obsypani darami losu, bogaci... bo panie wiedzą, że tylko bogaci ludzie brać u mnie lekcye mogą.

— Szczęśliwi, szczęśliwi ludzie!—zawołała nagle Irena z widocznem wzruszeniem.— Ci mieli odwagę wyznać swoją miłość głośno, przed całym światem... Woleli śmierć, niż gorsze od śmierci rozłączenie!

Peronelli i Amelia spojrzeli ze zdziwieniem. Ta ostatnia pomyślała, że jéj siostra wpadała znowu w egzaltowane marzenia o ukochanym rycerzu. Teraz marzenia takie były conajmniéj spóźnione.

— Tak, woleli śmierć, niż rozłączenie—mówił Peronelli.—Panna pochodziła z arystokratycznego, dumnego rodu, a młody człowiek był synem milionowego fabrykanta maszyn. Rodzice panny oświadczyli, że związek córki z synem dorobkowicza wpędził-by ich do grobu...

— Wie maëstro, dlaczego ja miłością pogardzam?—zawołała zapalając się i wybuchając Amelia. — Oto dlatego, że jéj siła nie jest bynajmniéj dowodem jéj trwałości. Ogień podłożony pod garść słomy! Takich dwoje, którzy żyć bez siebie nie mogą, potém się kłócą, z czasem nienawidzą i pierścionek, który każde z nich ma na palcu, staje się im ogniwem ciężkich kajdan. Dźwigają je przez całe życie dlatego, że mieli chwilę szczęścia i szału.

— Tak—odrzekł krótko Peronelli.

— Okropne jest to *tak*, które maëstro krótko i węzłowato wypowiedział, jak wyrok nieodwołalny! Przecie są tacy, co zawsze odczuwają szczęście pożycia wspólnego! — rzekła Irena.

— Przyzwyczajają się do siebie, do wspólnego mienia, wspólnych interesów, wspólnych dzieci... noszą to samo brzemię... mają to samo nazwisko, ten sam dach... Czasem, bardzo rzadko, gdy się dobiorą, zawiązuje się między nimi przyjaźń prawdziwa i gorąca. Zdarza się to, jak się zdarza, że w cieplarni zakwitnie nagle raz w sto lat agava.

— Maëstro!—zawołała Amelia—takich rzeczy nie mówi się narzeczonéj!

— Każda myśli, że tą, raz w sto lat kwitnącą agavą, będzie właśnie ona...

Irena była zamyślona i smutna.

— Na czém szczególniéj, wedle zdania pana, zasadza się owo dobranie się, które daje szczęście?

Peronelli śmiał się.

— Czy to można wiedzieć?—odrzekł wreszcie—czasem leży ono w saméj różnicy charakterów. Tego nigdy odgadnąć, nigdy przewidzieć nie można. Kochane bywają złe, a nienawidzone dobre, uwielbiane brzydkie, a opuszczone piękne...

— Muszą jednak być zasady kardynalne?

— A są. Dwa ubóstwa sprowadzają zwykle nędzę... Zbyt wielka różnica wieku bywa matką niewierności...

— Co maëstro nazywa zbyt wielką różnicą?

— Mąż od żony może, powinien być starszy o lat dziesięć.

— A żona od męża?

Włoch śmiał się znowu.

— Jakto, starszą od męża? A, nie pani, w żadnym kraju takie małżeństwa nie bywają szczęśliwe.

— Słyszałam o parze, w któréj żona była starsza od męża o lat dwanaście.

Ognisty rumieniec okrył przy tych słowach twarz Ireny. Oczekiwała odpowiedzi, niespokojnie patrząc na nauczyciela śpiewu, jakgdyby przygotowywała się do usłyszenia wyroku.

— Ha, ha, ha! to ja od razu pani powiem historyę tych ludzi! Gdy żona doszła do lat 40-tu, a mąż miał ich dopiero 26, począł on coraz rzadziéj w domu przebywać, w końcu zaś był w nim gościem. Złe języki mówią, że nietylko flirtuje on z innemi, ale nawet stara się o piękną pannę X. w nadziei otrzymania rozwodu.

Irena poczuła jakby osobistą obrazę. Podniosła dumnie głowę i wyzywająco rzekła:

— Jest to bardzo piękna kobieta!

— Starość nie ma żadnych względów dla pięknych kobiet, w czém się różni od nas, zwykłych śmiertelników. Ta piękna kobieta, zaręczam pani, ma wprawiane zęby i służąca co rano wyrywa jéj siwe włosy.

— Nie ma siwych włosów, ani wprawianych zębów!

— No, to jest chuda jak szkielet, albo nieforemnie otyła... a może wzrok traci lub głuchnie?

Irena zamyślona patrzała ku ziemi. Gorycz całą falą napłynęła do jéj serca.

— Nie wiem, czy jest otyła, czy chuda. Ale tam jest taka okoliczność, że ona jest bogata, urodzona w domu skoligaconym z najpierwszemi w kraju rodzinami, a on ubogi syn ludu. To zmienia nieco stosunek!

Patrzała w twarz Włocha dumnie i wyzywająco.

— To nic a nic nie wpływa na naturalny bieg rzeczy. Prędzéj lub późniéj ta pani pożałuje niedorzecznego kroku, chyba...

— Chyba co?

— Chyba, że ożeniono się z nią jedynie dla jéj pieniędzy, że je ona trzyma w swych ręku, a mąż jéj należy do rzędu tych podłych istot, które zdolne są kochać jedynie dobrobyt i używanie.

Irena czuła się tém mocniéj osobiście dotkniętą i obrażoną, im wyraźniéj przeczuwała, że w słowach Peronellego było wiele prawdy. Duma jéj stanęła w płomieniach. Piękna panna nie mogła zgodzić się z tą prawdą, że ona ulegała zwykłemu prawu na równi z innemi kobietami. Ona miała-by być kiedykolwiek opuszczoną! Jan, gdyby został jéj mężem, miałby spoglądać na młodsze kobiety! Młodość, to był taki skarb, takie bogactwo, takie dobro, że nic w świecie przeciwstawioném mu być nie mogło? Więc gdyby ona chciała wybrać Jana, znaleźli-by się może tacy, co-by powiedzieli, że to on popełnił mezalians, że to on uczynił szaleństwo?

Czarne brwi zbiegły się nad czołem Ireny.

— Tak—rzekła sobie w duszy—pójdę za Eugeniusza! Będę nosiła nazwisko historyczne, będę mieszkała w starym rodzinnym zamku i nikt nie ośmieli się powiedzieć, że on mi zrobił łaskę, żeniąc się ze mną! Zapomnę o tamtym, bo wszystkich strat zapomina się w końcu, a gdy mu kiedy każę malować swój portret, dam mu poznać jednem wejrzeniem, iż nie życzę sobie, by pamiętał o tém, że raz w życiu w domu mojéj matki spędził trzy miesiące.

Ten dumny poryw przyniósł Irenie trochę ulgi. Chciała coś czynić i mówiła sobie, że człowiek, który czegoś pragnie, zupełnie nieszczęśliwym być nie może. Poszła pomówić z matką o wyjeździe do Warszawy po wyprawę.

— Trzeba nareszcie o tém pomyśleć — rzekła i naznaczyć termin wyjazdu. Mamy nie będę męczyć, ani odrywać ztąd, gdzie mamie żyć najprzyjemniéj. Da mi mama tylko pannę Józefę. Amelki o towarzyszenie mi prosić nie mogę. Byłaby mi tylko ciężarem i kłopotem. Zresztą ma ona teraz swoje lekcye śpiewu, które ją utrzymują w bardzo pomyślnym stanie nerwów. Jeżeli mama zgodzi się na to, to wyjadę za tydzień.

Poczęła gorączkowo przygotowywać wszystko, robić spisy potrzebnych sprawunków, ale im więcéj zbliżał się termin wyjazdu, tém

większe ogarniało ją zniechęcenie i rozpacz. Po co jéj były te wszystkie graty, które mogą mieć znaczenie tylko dla ludzi szczęśliwych? W każdéj sukni będzie równie biedna, równie godna litości!

Wszystko, co dawniéj ceniła, coraz bardziéj bladło w jéj oczach. I co w gruncie mogło przyjść człowiekowi z historycznego nazwiska, gdy go nie nosi mężczyzna ukochany? Co mogą dać dostatki, gdy się ma duszę pełną tęsknoty? Czém są wysokie komnaty, pełne przepychu, gdy myśl ustawicznie gdzieindziéj przebywa?

Eugeniusz był dla niéj pełen niezrównanéj dobroci. Mówił sobie, że skoro żoną jego zostać się zgodziła, potrafi on zjednać ją sobie powoli. Nie narzucał się, był wyrozumiały, cierpliwy i łagodny. Wszystko jednak drażniło Irenę, nawet jego wspaniałomyślne zachowanie się. Powtarzała sobie, że powinna była być dla niego dobrą, bo on nic nie był winien temu, że ona, kochając innego, jego żoną zostać się zgodziła. Chwilami jednak niecierpliwość brała górę. Stawała się dla narzeczonego sztywną, zimną, imponującą, a nawet szyderczą.

Ze wszystkich osób otaczających Cesia najmniéj ją męczyła swém towarzystwem. Irena szukała go nawet czasem. Intuicya i dobroć dziewczęcia przeczuwały cierpienie siostry i umiały nigdy, żadném słowem, ran jéj nie drażnić. Cesia nie wspominała o bliskiém jéj małżeństwie, ani o niczém, co miało z niém związek, choć nie umiała-by była wytłómaczyć, dlaczego przedmiotu tego unikała.

Amelia żyła teraz nowym projektem, podsuniętym jéj przez Peronellego: chciała na zimę przenieść się do Wiednia, gdzie miała-by więcéj rozrywki, szersze życie i pierwszych lekarzy na zawołanie dla siebie i Wacia. Już w Październiku miała dokonać przenosin. Teraz dopiero przekonywała się najdokładniéj, że wieś nie była stworzona dla niéj. Była dobra dla ludzi, mających pracę, obowiązki. Ale istota samotna, z wiecznie chorém dzieckiem, powinna szukać zbiorowiska ludzkiego... ukryć się w niém, jak pojedyńcze drzewo w gęstym lesie, żeby jéj było bezpieczniéj, zaciszniéj i raźniéj. Wiedeń tyle ma dobréj muzyki! Amelia nie rozumiała, jak mogła przez lat tyle poprzestawać na słuchaniu własnego tylko śpiewu. Dla największéj artystki, zostawionéj saméj sobie, musi przyjść zniechęcenie i cofnięcie się wstecz. Jéj została tylko ta jedna przyjemność, ta jedna namiętność — muzyka. Cieszyła się też na myśl wyplatania figla Boliwie. On wszystkie swoje baterye, tu, w koło niéj, ustawił, a ona umknie mu do Wiednia!

Peronelli zapewniał ją, że w tém mieście znajdzie najprzyjemniejsze kółko polskie i międzynarodowe artystyczne. Amelia poczuła nagle, w całéj pełni, tlejące w niéj dawno niezadowolenie z oto-

czenia, w jakiém żyła. Kochała tych ludzi, ale się czuła powołaną do innéj egzystencyi, czuła się wyższą od nich artystycznemi pragnieniami i jakby stworzoną do innych przeznaczeń. Bezczynność, osamotnienie serdeczne, rozdraźnienie nerwowe, złożyły w jéj duszy wiele niezaspokojonych pragnień, które teraz widziały ucieczkę w zmianie dotychczasowego życia. Chwyciła się myśli mieszkania w Wiedniu, jak chory, nie znajdujący lekarstwa w medycynie, chwyta się znachorów, jasnowidzących i guseł. Wstąpiła w nią jakaś ufność w nowe szczęście, w niespodziewane zdarzenie życiowe, w jakąś rolę, którą jeszcze na tym świecie odegrać miała. Chciała miéć w wielkiéj stolicy salon — taki salon wedle dawnych tradycyi towarzystwa francuskiego, w którym-by kwestye literackie i artystyczne znajdowały dopełnienie w wykwintnym smaku, w wyrafinowaniu wielkoświatowém, w subtelności arystokratycznych filtrów. Marzyła o tém, że potrafi skupić wkoło siebie to wszystko, co było kwiatem towarzystwa i jego śmietanką.

Kilkanaście lat zmarnowanego życia dopominać się nagle zaczęło zadosyćuczynienia. Amelia co dzień zmieniała termin wyjazdu, przyspieszając go. Pilno jej było do nowego otoczenia, które w jéj marzeniach przybierało oblicze samego szczęścia. Peronelli, który ją zawsze bardzo admirował, a miał niegdyś podobno dla niéj żywsze uczucie, utwierdzał ją w marzeniach. Amelii wyrosły nagle nowe skrzydła, które rozwijała, zrywając się do lotu zjakimś młodzieńczym zapałem i żywością.

Gdy nakoniec Irena z Józefą wyjeżdzać miały po wyprawę, Amelia oświadczyła, że się z siostrą musi pożegnać na długo, bo prawdopodobnie wyjedzie do Wiednia przed powrotem Ireny.

— Jeszcze przyspieszyłaś termin wyjazdu?—zawołała Irena.

— Tak, moja droga. Nie dziw się, że mi pilno. Odkryłam z pomocą poczciwego maëstra właściwą i jedyną dla siebie drogę... nowe życie wstąpiło we mnie. Ile ja lat zmarnowałam na żalach, strachach, płonnéj nienawiści dla Boliwy! Teraz przestanę o nim myśléć, przestanie on istniéć dla mnie. Będę leczyć i wychowywać Wacia, jak będę mogła, najlepiéj, i stworzę sobie téż coś dla siebie. Będę miała swoje cele i zajęcia, stanę się centrem jakiegoś kółka, coś będę znaczyć... Tu nie żyłam, wegetowałam tylko... Człowiek musi przecie coś w życiu robić... Często leżałam w łóżku, nie będąc wcale chorą... po prostu dlatego, że mi się wstać i ubrać nie chciało, że mię nic nie wołało, nic nie wzywało, żem była umarłą moralnie. Teraz zmartwychwstanę. Otoczy mię świat sztuki, któréj chcę być mecenasem... Zazdrościłam Cesi, że ją zajmują chłopi, dzieci wiejskie, czułam jednak i wiedziałam, że to życie nie dla mnie, że ja w niém

zapełnienia egzystencyi-bym nie znalazła... Ale otóż i ja odkryłam świat dla siebie i tylko boleję, dziwię się, pojąć nie mogę, że się to wcześniéj nie stało! Jak ja tu mogłam wysiedzieć lat tyle!... stracić lat tyle!.. miałam tu jeszcze ciebie... teraz, gdy ty Mirsk opuścisz!.. Komu ja tu zresztą jestem potrzebna? Nikomu! Panu Boliwie, by mię miał blisko i mógł dręczyć na wszystkie sposoby!... Mamie zostanie Cesia, panna Józefa... zresztą, mogę tu zawsze na parę letnich miesięcy przyjechać. Połowę czasu spędzę u mamy, połowę u ciebie.

— Daj Boże, by ci tam było tak dobrze, jak sobie obiecujesz — rzekła Irena. — Jedź do Wiednia, kiedy tam widzisz nadzieję więcéj zapełnionego życia... Gdybyś przejeżdżała przez Warszawę, nie zatrzymując się, telegrafuj naprzód do mnie, a przyjadę na stacyę dla pożegnania cię.

— Prawda! to myśl wyborna! Zobaczymy się więc jeszcze w Warszawie! Będziesz stać w mieszkaniu ciotki Drahomirskiéj?

— Naturalnie. Nienawidzę hotelu!

Irena chciała uciec od wszystkiego, co jéj przypominało krótki sen szczęścia i miłości, chciała sprobować, czy wśród innego otoczenia umysłu jéj nie porzuci, wpijająca się weń coraz głębiéj, myśl wyłączna. Była coraz smutniejsza i z coraz większą rozpaczą oglądała się wkoło za ratunkiem. Z niepokojem, z trwogą, szukała w teraźniejszém swém życiu, w przyszłości, zbawienia, a choćby spokoju i rezygnacyi. Znajdowała tylko zwątpienie, tylko zupełny brak nadziei. Myślała często, że może lżéj-by jéj było, gdyby sobie mogła powiedzieć, że skoro żoną Jana nie będzie, zostanie sama, jak dotąd, goniąc przez resztę życia marę jednego snu złotego... Ale nie mogła zerwać z Eugeniuszem... nie mogła zadać kłamu dawnym swym ideałom i dążeniom!

Służący, zostawiony dla pilnowania mieszkania pani Drahomirskiéj, otworzył je przed Ireną i jéj towarzyszką. Panie zainstalowały się. Irena miała iluzyę, że w zamęcie rozlicznych obstalunków i zakupów, tyczących się wyprawy, utopi swój smutek i tęsknotę; zaraz wszakże się przekonała, że są myśli, które nietylko opanowują umysł, ale z przed oczu zabierają wszelki interes życiowy, zasłaniają i niweczą wszystko wkoło. Skończyło się na tém, że cały trud wzięła na siebie Józefa. Stara panna krzątała się i sił swych nie żałowała, zastępując w czynnościach Irenę, która ani odwagi, ani ochoty do działania nie miała. Godzinami całemi siedziała ona z przymknię-

temi oczami, zasunięta w fotel, w pokoju, gdzie story były pozapuszczane. W Mirsku jeszcze ją do panowania nad sobą zmuszało liczne otoczenie; przyzwyczajenia codzienne dawały jéj życiu pewną utartą formę zewnętrzną, która była rodzajem hamulca moralnego. W Warszawie, zdawszy obstalunki na Józefę, zatopiła się cała w rozmyślaniu i tęsknocie, codzień, bez końca, obchodząc błędne koło tych samych wspomnień, tych samych walk, szukając bez wytchnienia ratunku i męcząc się bezskutecznemi wysiłkami.

Józefa znała jéj wyniosły, samowolny charakter i od dzieciństwa zaznaczający się wstręt do wszelkich rad, do wszelkich uwag. Milczała, z trwogą obserwując stan przygnębienia i apatyi, w który jéj towarzyszka zapadała coraz bardziéj.

Jednego dnia, w nieobecności Józefy, Irena zerwała się nagle żywo z fotelu, włożyła na siebie okrycie i kapelusz, i spiesznie, jakby zwłoka była jéj niepodobna, przebyła trzy serye wschodów, dzielących ją od mieszkania na czwartém piętrze. Zatrzymała się dopiero u drzwi, gdzie na przybitéj karcie napisane było: „Wielewicz, rządca domu“. Serce jéj biło młotem w piersi, w głowie szumiało, jakby popełniła coś zakazanego i zdrożnego. Przez chwilę miała zamiar odejść od drzwi i wrócić do siebie, nie zapukawszy do nich; znalazła się w niéj jednak jakaś wola, jakby nie z jéj umysłu wypływająca, która rękę jéj do klamki podniosła. Dzwonka nie było wcale. Głos jakiś wewnątrz zawołał: *Kto tam?* drzwi się otworzyły i niemłoda kobieta, nędznie ubrana, stanęła w progu.

Ujrzawszy Irenę, piękną, wysoką i imponującą panią, z postawą królowéj, zakłopotana i zapłoniona zapytała o przyczynę odwiedzin. Drzwi przymykała, jakby się wstydziła własnéj swéj osoby i biednego mieszkania.

— Powiedziano mi— ozwała się Irena— że tu można oddać bieliznę do szycia.

— Tak—odparła kobieta, drzwi otwierając—moje córki szyją... niech pani będzie łaskawa...

Irena weszła i rumieniec wstydu okrył jéj policzki. Ona kochała syna téj kobiety, z zapracowanemi, zgrubiałemi, posiekanemi rękami, z suknią zaplamioną i podartą, z włosami siwemi w nieładzie..!. Ona tęskniła i pędziła noce bezsenne dla dziecka téj nędzy i tego nieładu!

Mieszkanie składało się z dwóch pokoików, z których pierwszy był kuchnią, drugi pracownią szyjących dziewcząt. W pierwszym był cały możliwy nieład i brud kuchni nieporządnéj, w drugim całe możliwe zamieszanie nieporządnéj szwalni. Przez otwarte drzwi Irena widziała pełno skrawków płótna i perkalu na podłodze, zwoje jakichś

nieposkładanych materyałów na stole... Wykwintnéj pannie aż się duszno robiło w tym brudzie i nieładzie.

— Chciałabym oddać do szycia koszule... mieszkam w tym domu... byłoby mi wygodnie...

— Czy może u pani Drahomirskiéj?... może panna Solska?

— Tak, Irena Solska.

W chwili gdy piękna panna wymawiała swe nazwisko, jak błyskawicą przeciągnęła przed jéj oczami cała historya jéj miłości dla Jana, któréj koniec, pocałunek dany jego ustom, zabolał ją na nowo, jak ukąszenie węża.

— Ach — zawołała Wielewiczowa — wiedziałam od męża... podawał do księgi meldunkowéj... takem chciała podziękować za Jasia! Tak mu tam było dobrze!.. tak sobie chwalił w listach!.. Już prawie na nim nic choroby znać nie było, jak wrócił... Niech Bóg państwu nagrodzi!

— Gdzież teraz jest pan Jan? — zapytała Irena głosem, którego dźwięk ją samą zadziwił, bo urywał się w gardle i miał chrapliwe tony.

— Pojechał do Krakowa... doktor powiada, że nie może znieść petersburskiego klimatu... to właśnie list od niego.

Wielewiczowa podawała list syna Irenie.

— Chwała Bogu, że mu dobrze — rzekła zimno Irena. — Czy będę mogła dziś oddać bieliznę?

Z drugiego pokoju słychać było odgłos maszyny do szycia.

— Maniu, Helenko! — zawołała kobieta.

Na progu ukazała się dziewczyna z cerą chorobliwie bladą. Rysy jéj były podobne do rysów Jana, blednica wszakże wdzięk i młodość w niéj zabijała. Na nieporządnie włożoną suknię, zarzuciła jakąś chustkę, mającą osłonić plamy i brak guzików.

Zaczęto oglądać fasony, układać się o cenę. Irena tylko powierzchnią umysłu oddawała się sprawie koszul; w głębi jéj duszy była burza. Żądza zobaczenia rodziny Jana trawiła ją już od dni kilku; teraz, gdy była wśród téj rodziny, czuła niezmierne upokorzenie, wywołane nieładem, który ją otaczał, atmosferą pospolitości i nędzy, wiejącą od osób i kątów. Co mogło być wspólnego między nią a tymi ludźmi?

Podano jéj krzesło, na którém siadając, doznała obawy mimowolnéj zbrudzenia swéj sukni; rozkładano przed nią uszytą bieliznę, bufki, zakładki, opowiadano o obstalunkach już wykonanych. Ona śledziła na twarzy bladéj dziewczyny podobieństwa jéj z Janem, a gdy nakoniec opuścić miała ubogie mieszkanie, duma jéj, upokorze-

nie i wstyd rozpłynęły się naraz w nagle i niewiadomo zkąd przychodzącém rozrzewnieniu. Gdyby była posłuchała chwilowego pragnienia, byla-by się schyliła do ręki siwéj kobiety, która była matką Jana.

Wyprowadzono ją z tysiącami grzeczności i komplimentów, dziękowano jeszcze za gościnność, daną choremu chłopcu, tysiące błogosławieństw zlewano na głowę jéj matki i ciotki.

Irena schodziła prędko, uciekając ze swem wzruszeniem. Znosiła z tego poddasza tłum myśli i jak gdyby żywiéj podniecone wspomnienie Jana.

— Więc i to można-by było znieść, kochając?— myślała rozgorączkowana — nawet tę nędzę jego rodziny, nawet jéj pospolitość?... i miéć nawet ochotę całowania téj spracowanéj ręki dlatego, że otaczała staraniem jego dzieciństwo. I takie poddasze może lepsze z ukochanym, niż... niż...

Stanął jéj w myśli Eugeniusz i jego pałac. Wstrząsnęła się ze wstrętem i strachem. W mieszkaniu zastała Józefę, ciężko spracowaną bieganiem po sklepach. Stara panna chciała jéj zdać ralacyę ze swych czynności.

— O nie, nie,—rzekła Irena— nic nie chcę wiedzieć ani o kołdrach, ani o bieliźnie! Niech pani urządza to, jak chce. Proszę tylko o jaką robotę dla ubogich panien, mieszkających w tym domu. Są to siostry Wielewicza... trzeba im dać jakiś zarobek... wcale nieźle szyją bieliznę.

Irena poczęła się teraz interesować jednym tylko szczegółem swéj wyprawy: bielizną, daną do szycia Wielewiczównom. Znała je już obie, i Helenkę, i Manię. Spotykała je czasem na ulicy, dziwiąc się, że tak przyzwoicie i modnie bywały ubrane, one, które przy robocie w domu znajdowała zaniedbanemi do najwyższego stopnia. Pod pozorem doglądania roboty, chodziła marzyć wśród téj rodziny i słuchać imienia Jana, powtarzanego bezustanku. Matka kochała widocznie syna nad wszystko i myślała o nim ciągle, bo co chwila do niego wracała. Irena słuchała o jego zdolnościach nadzwyczajnych, którym dziwili się wszyscy, o jego szczęściu do ludzi, nawet o jego konceptach i słówkach, gdy był małém dzieckiem. Musiała sobie teraz nakazywać wstrzymywanie się od odwiedzania mieszkania Wielewiczów i przesiadywania w niém za długo. To, co było w niéj dumą, oburzało się i czuło się wstydem okryte; to, co było miłością i tęsknotą, znajdowało ulgę wśród ludzi, którzy ubóstwiali Jana. Sama będąc, czerwieniła się czasem na myśl, że chodziła tam pod kłamliwym pozorem, że ona, która mogła przebywać wśród ludzi wykwintnych i bogatych, szukała towarzystwa szwaczek! Dowiedziała się, że He-

lenka i Mania pragnęły zarobku szczególniéj dla wspomagania brata. Poczęła przemyśliwać, jakim sposobem ona mogła-by przyjść z pomocą Janowi, nie dotykając jego miłości własnéj. Gdyby mogła oddać mu wszystko, co posiadała, obsypać go dostatkiem!

Walka w jéj sercu nie ustawała. Chwilami czuła się dawną, dumną panią, na myśl o mieszkaniu czwartego piętra, o spadzistych, zadeptanych wschodach, prowadzących do niego, o pospolitości jego mieszkanek, o ich podrzędném stanowisku; to znowu ogarniał ją szał rozpaczy, który pochłaniał wszystkie te względy, a znajdowanie się przy boku Jana stawiał jéj jako jedyne szczęście. Czasem obejmowało ją odrętwienie boleści. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy, dlaczego cierpiała, czuła tylko dojmujące, rozdzierające uczucie próżni i poniesionéj niepowetowanéj straty. Bywały chwile, w których zapominała, gdzie była, jakie na niéj ciążyły obowiązki. Wiedziała tylko, że trzeba jéj było odzyskać coś ukochanego, bez czego żyć było jéj niepodobieństwem. Niepokój myśli udzielał się wtedy jéj ciału. Chciała-by była gdzieś biedz, jakgdyby uciekać pragnęła od pożaru, obejmującego wszystkie władze jéj duszy, jakgdyby schronić się gdzieś chciała przed uznaniem téj strasznéj prawdy, że Jan zapełniał dla niéj świat cały.

Niepokój, trawiący ją, odbierający sen jéj powiekom, odbił się na jéj zdrowiu. Czuła się osłabioną, i staniki, ciasne niegdyś, panna służąca musiała zaszywać, bo na jéj pani wisiéć się zdawały.

Pewnego dnia Józefa zmusiła prawie Irenę, by poszła przymierzać obstalowane suknie. W magazynie żądano koniecznie jéj przybycia.

Poddała się konieczności z tą bezmierną obojętnością, którą dają zewnętrznym okolicznościom ludzie, żyjący myślą wyłączną. Uderzyło ją jednak zadziwienie krawczyni, nie mogącéj się wstrzymać od głośnego wykrzyknika. Jak to się mogło stać? Staniki były robione podług miary, a wyglądały jakby przeznaczone dla innéj osoby! Musiała tu zajść chyba jakaś pomyłka!

Irena spojrzała w lustro i uderzoną została zmianą, zaszłą w swéj postaci. Po przez mgły, które dla umysłu jéj zasłaniały wszystko, co nie było jéj miłością, wpłynęło jéj do duszy pewne zadowolenie. Wiedziała, zkąd jéj przyszło to uderzające wychudzenie, i fanatyzm, mieszczący się w każdéj wielkiéj miłości, sprawił, że z jakiémś rozrzewnioném ukontentowaniem zaznaczyła siłę uczucia, które jéj nieco zbyt okazałą postać uczyniło w przeciągu miesiąca powiewną, prawie chudą. Wydało jéj się w téj chwili, że ta wielka zmiana zewnętrzna stanowiła jakby świadectwo jéj bólu, jakby sankcyę dla nieprzepartego uczucia, z którém walka była niemożliwa.

Krawczyni upinała na jéj figurze stanik, a ona z dumą patrzała na wysmukłość swych kształtów. Więc ona w gruncie stała po stronie swéj miłości, skoro z zadowoleniem patrzała na zabijane przez nią siły swe i zdrowie! Więc choć z nią walczyła, jednak w gruncie ją kochała! Kochała męczarnię własną?

— Cierpienie jest jedynym węzłem, który mię z nim łączy—myślała rozrzewniona.

Gdy przyszła koléj na przymierzenie sukni ślubnéj, zabrakło jéj siły. Podniósł się nagle w całéj jéj istocie bunt przeciwko gwałtowi, który sobie zadać chciała. Wyobraziła sobie objęcia Eugeniusza, w które po zdjęciu téj sukni paść miała, i wzdrygnęła się ze wstrętu i strachu. Nie potrzebowała udawać zmęczenia uniemożebniającego jéj przymierzenie welonu i wianka. Była rozdrażniona, łzy cisnęły jéj się do oczu, drżała jak w febrze. Józefa conajprędzéj zabrała ją do domu.

Gdy ją ujrzała nieco uspokojoną, postanowiła z nią pomówić.

— Moja Irenko — rzekła — wiem, że nie lubisz, gdy się ktokolwiek w twoje czynności wtrąca; wiem, że rady najżyczliwszych są ci niemile, że cię gniewają i drażnią; jednak ja muszę albo się z tobą szczerze rozmówić, albo matkę twą tu wezwać. Wejdź w moje położenie...

Irena podniosła na Józefę wzrok, świadczący, że na wpół tylko rozumiała, czego od niéj chciano, wzrok ludzi cierpiących.

— Jesteś albo chora, albo bardzo nieszczęśliwa— mówiła Józefa —trzeba, byś się udała do lekarza lub powzięła postanowienie, ratujące cię od moralnego cierpienia.

Irena zrozumiała wreszcie, o co chodziło.

— Niech pani zostawi rzeczy, jak są — odparła dawnym swym dumnym tonem.—Uczynię, co uznam za stosowne i najlepsze dla siebie... Zawiadomienie mamy nic-by mi nie pomogło, a ją-by zmartwiło i zatrwożyło. Jestem silna... zwalczę chorobę... proszę się o mnie nie bać.

— Teraz, gdy suknie przymierzone, zostaw mię tu z wyprawą, którą i tak zajmuję się sama. Wracaj do Mirska.

Irena przecząco pokiwała głową.

— Jeżeli panią męczy mój widok, niech mię pani tu zostawi samą.

— Ah, Irenko, jak ty mię nic nie znasz! Nie chodzi o mnie, chodzi o ciebie... Ale może masz słuszność... mój wyjazd zmusił-by cię do czynności... miała-byś zajęcie, bez którego człowiek szczęśliwym być nie może.

— Niech pani czyni, jak chce. Wiem tylko, że ja teraz do Mirska nie wrócę. Zaczekam na powrót ciotki Drahomirskiéj.

Eugeniusz, który na swe listy do Ireny nie odbierał odpowiedzi, przyjechał do Warszawy. I jego uderzyła zmiana, zaszła w jéj powierzchowności. Przypisał chorobie jéj dziwaczne obejście się z sobą. Bawił krótko, nie chcąc być natrętnym. I on cierpiał i czuł się jakby zbłąkanym. Wyrafinowana delikatność nakazywała mu zostawienie jak największéj swobody swéj narzeczonéj; duma męska burzyła się w nim, domagając się wyjaśnienia nienormalnego położenia.

— Niech pani pamięta — rzekł Irenie przy pożegnaniu — że pani nie jest związana niczém... wszystkie nasze zobowiązania jeszcze zerwane być mogą. Niech moje cierpienie i zawód nie idą w rachubę... W moim wieku nie odbudowuje się już szczęścia, nie odbudowuje się nadziei... I ja ich nie odbuduję, ale cierpienie znieść potrafię... zniosę i brak szczęścia, i brak miłości... Nie zniósłbym tylko, by pani cierpiała z mego powodu.

— Patrafię się odwołać do szlachetności pana, jeżeli, nareszcie zrozumiawszy siebie, będę potrzebowała przebaczenia — odparła Irena — teraz proszę tylko o trochę cierpliwości...

Pożegnali się po przyjacielsku, oboje czując ulgę przy rozstaniu.

— Jak dobrze na niego nie patrzéć! — myślała Irena, gdy usłyszała turkot oddalającéj się dorożki. — Przebyłam tę mękę i mam znowu spokój na dni kilka!

Chwilową ulgę, któréj doznała po wyjeździe Eugeniusza, nazwała spokojem. Uczucie to stawało się teraz zupełnie nieznaném jéj duszy. Zabierała je rozpacz, zabierała je tęsknota, zabierała je fala dawnych uczuć dumy i pychy, powracająca chwilami, jak nałóg, który, choć już w duszy nie ma korzeni, trzyma się jeszcze pamięci i wyobraźni.

Amelia, przyspieszając ciągle termin wyjazdu, telegrafowała do siostry, by na nią oczekiwała o godzinie oznaczonéj na dworcu kolei wiedeńskiéj. Przybyła w istocie z niezliczoną ilością kufrów i pak, z lokajem, panną służącą, Waciem i Noiretem. Miała wypieczone przez zmęczenie rumieńce, oczy błyszczące nerwowo, ożywienie gorączkowe, siłę i odwagę, podnieconą jakimś sztucznym zapałem. W pierwszéj zaraz chwili oświadczyła Irenie, że o życiu, o zdrowiu, o szczęściu człowieka stanowi to, w jaki sposób potrafi on sobie urządzić egzystencyę. Amelia, znękana, nieszczęśliwa w Mirsku, czuła, że w Wiedniu rozpocznie żywot, utkany z saméj pomyślności. Mówiła dużo

i tylko o sobie, jakgdyby innych spraw prócz własnych nie przypuszczała na świecie. Nie zapytała nawet ani o projekta, ani o czynności Ireny. Dopiero gdy po drugim dzwonku Irena stanęła przed spuszczoném oknem wagonu, Amelia spostrzegła się, że jéj siostra bardzo zmizerniała. Pani Boliwina, zdając się myślą wybiegać naprzód, po drodze, którą przebywać miała, wychylona przez okno, spoglądała na dwie smugi błyszczących szyn, jakby zahypnotyzowana biegiem ich w nieskończoność. Jakieś marzenie unosiło jéj wzrok i myśl. Ocucił ją trzeci dzwonek. Drgnęła i spojrzała na siostrę, przypomniawszy sobie, że ją ostatecznie pożegnać miała. Szukała w swéj oszołomionéj głowie czułego słowa dla Ireny, gdy uderzoną została bladością i przeciągniętą twarzą siostry.

— Irenko! — zawołała— ty wyglądasz, jak suchotnica!.. Co się z tobą dzieje?..

Pociąg ruszył, Irena uśmiechnęła się smutnie.

Co się z tobą dzieje?

Zapytanie to, rzucone zadziwionym i przestraszonym głosem Amelli, brzmiało w uszach Ireny. Zadała je sobie na nowo, wróciwszy do domu i stanąwszy przed lustrem. Przymierzając suknie, była zadowolna z wyszczuplałéj swéj postaci, teraz, badając twarz swoją, uderzoną została nietyle zmianą rysów, ile zmianą wyrazu. Z twarzy téj przeciągniętéj wyglądało coś ostrego, coś surowego, jakaś wyrazistość, zacierająca wdzięk młodości. Irena zadrżała. Może jéj już przychodziły zmarszczki?

Z niewymownym smutkiem usiadła przed toaletą i poczęła się sobie drobiazgowo przyglądać. Zmarszczek nie było, ale jakby wyznaczone na nie miejsca, widniejące już przy bardzo bystrém badaniu. I zawsze ten wyraz surowości i powagi, którego nawet uśmiech nie zacierał!

Pewna siebie, dumna Irena, po raz pierwszy zadrżała przed widmem starości. W samo serce uderzyła ją groza wobec przeświadczenia, że i na niéj, jak na wszystkiém, co żyje, ciąży los nieubłagany, nie dający się niczém odsunąć. Była piękną, najpiękniejszą zawsze i wszędzie, gdzie się obróciła, wiedziała, że zaćmić jeszcze może wszystkie kobiety wkoło siebie; ale sama obserwowała na własnéj twarzy początek téj tajemniczéj, ciemnéj pracy zniszczenia, któréj nic powstrzymać nie może, jak lekarz obserwuje niedostrzegalny dla innych początek nieuleczalnéj choroby. Gniew, duma, bunt, zerwały się w jéj sercu, jako odpowiedź na świadectwo wzroku, doświadczenia i rozsądku. Ona-by miała, jak inni ludzie... Nie, to być nie mogło!.. sama tworzyła sobie niepokojące mary!

Do cierpienia jéj dotychczasowego wsączyło się wszakże kilka kropel goryczy. Pomimo gniewnego oburzenia na myśl, że wdzięku jéj cudnéj twarzy mogłaby dotknąć starość swemi niszczącemi palcami, powątpiewanie zakradło się do jéj duszy, i zaczajone czekało sposobności, by się rzucić na jéj zbolałe serce. Opanowała ją ochota szukania pomiędzy ludźmi zaprzeczenia dla zwątpienia swego. Stała się naraz żądną wejrzeń pochlebnych, żądną zachwytów.

Ból jéj, niepokój i miłość, łaknące dotąd tylko spokoju i w samotności szukające pociechy, zapragnęły teraz tryumfów miłości własnéj. Józefa, patrząca na nią ze strachem, ujrzała w niéj naraz nową formę rozpaczy, smutniejszą niż poprzednia. Irena, ubierająca się w ostatnich czasach z przyzwyczajenia jedynie, przywdziewająca dwa razy dziennie automatycznie srój, podawany sobie przez służącą, zaświetniała nagle toaletą wykwintną, obmyślaną, wykończoną. Godzinami całemi przed zwierciadłem w ubieralni przesiadywała.

Czasem zadawalniała się uznaniem własném. Wtedy, wystrojona i uczesana prześlicznie, zapadała w smutek, i w samotności tęsknotę swą i udrękę zwalczyć usiłowała. Czasem szukała spojrzeń ludzkich. Szła lub jechała z Józefą do jednego z miejsc zgromadzających publiczność pod wieczór, i tam zbierała pełną dłonią zachwyt przechodniów. Przeprowadzano ją wzrokiem, dopytywano się, kto to mógł być. Czasem spotykała znajomych, i stawała się, jak dawniéj, jak zwykle, punktem środkowym towarzystwa.

Zbierała teraz te wszystkie hołdy, jak skąpiec, prowadząc ich rachunek, gromadząc je w pamięci, strojąc się w nie, rozdając nawet zalotne uśmiechy, to wszystko, by zabić w sobie tę straszną wątpliwość, która ją dręczyła: Czy nie była jedną z tych wywiędłych starych panien, na które nikt nie patrzy?

Wracając ze spaceru, szła, jak stała, w kapeluszu i rękawiczkach, zajrzeć do lustra i przekonać się, jak wyglądała rozgrzana spacerem i poczuciem tylu na swéj drodze wzbudzonych zachwytów. Czasem wydawała się sobie błyszcząca młodością w spojrzeniu, cerze, uśmiechu, czasem z za sztucznego podniecenia wyglądało zmęczenie, smutek, brak nadziei i owa surowość wyrazu, którą od niedawna dopiero spostrzegła na swojém obliczu. Nikt jednak, prócz niéj saméj, zmiany téj nie zauważył z pewnością! Tyle przecie zbierała komplementów, tyle hołdów, tyle zachwytów! Tak, nie raziło-by nikogo, gdyby stanęła obok pięknego chłopca, którego wejrzenie, uśmiech, postać całą, miała ciągle przed oczami. Piękniejszéj kobiety od niéj niełatwo-by znalazł!

Gniewem i upokorzeniem napełniało ją czasem zadziwienie, z jakiém zaznaczano, że wyglądała zawsze prześlicznie. Temu lat dziesięć zdziwienia podobnego nikt jéj nie okazywał, zachowanie wdzięków było więc w jéj wieku czemś anormalném i, jako takie, zwracało uwagę znajomych.

Już teraz często roiła, jakby nie była dumną dziedziczką, lecz skromną dziewczyną, marzącą o miłości i szczęściu. Nie miała zamiaru szukać Jana, i w chwilach rozsądku była pewną, że go szukać nie będzie; lecz wśród bezsenności nocnéj, wśród ciszy, przerywanéj tylko odgłosem toczących się po bruku dorożek, myśl jéj bywała porwaną przez gorączkę wyobraźni, napadającą często podczas bezsenności umysły najspokojniejsze. Marzyła o życiu zupełnego zaparcia się siebie przy boku Jana. Potrafiła-by dla niego być wszystkiém: kochanką, żoną, przyjacielem.... Na siebie wzięła-by wszystkie trudy, wszystkie niepokoje i przykrości życia, majątkiem i stosunkami otworzyła-by swojemu artyście wszystkie bramy, wszystkie najciaśniejsze koła.... była-by mu natchnieniem, pomocą, zachętą! Potrafiła-by popozostać młodą dla niego. Nie pozwoliła-by sobie utyć ani osiwieć, a w życie i otoczenie swoje umiała-by włożyć tyle elegancyi, dystynkcyi, wdzięku, powabu, piękna i świeżości, że przy rysach i postawie, jakie jéj dała natura.... Nie małą wyższość nad innemi ma kobieta, która może sobie pozwolić na hafty, koronki i na te tysiączne ozdoby w stroju, otoczeniu, umeblowaniu, bieliźnie, które są połową uroku, jaki roztacza. Czegóż nie potrafiła-by taka, która obok tego wszystkiego, obok zmysłu artystycznego, miała-by jeszcze wolę ku jednemu celowi wytężoną, gorącą chęć złożenia wszystkiego u nóg jednego człowieka, i opętania tak jego serca wszystkiemi sieciami, jakie ręka kobieca związać umie, by to serce na zawsze swojém uczynić. Umiała-by ona podpatrzéć wszystkie jego gusta, podsłuchać wszystkie jego marzenia, stworzyć wkoło niego raj, z którego-by mu się na żadne poszukiwania wyjść nie chciało.

Marzenia jéj schodziły czasem do drobiazgów. Ona własną ręką utrzymywała-by porządek w jego pracowni, własną ręką...

Gdy się wytrzeźwiła z gorączkowego podniecenia, marzenia jéj wydawały się jéj dzieciństwem, stanowiły jednak wypoczynek od udręki i jakby jasny promień słoneczny wśród ciemności, w których błądziła. Powoli z wrażeniami temi oswajać się poczęła. Odnosiła do nich czasem niektóre fakta i wydarzenia życiowe. Wśród jawy najrozsądniejszych rozmyślań, nagle, bez żadnego przejścia, przychodził jéj projekt, dotyczący téj przyszłości, będącéj snem tylko, tak, jak gdyby miała się stać rzeczywistością. Raz naprzykład, pod-

czas ubierania się, znajdowała się w chwili największego zwątpienia i rozpaczy. Mówiła sobie, że nie mogła zerwać z przeszłością, że trzeba jéj było postąpić w myśl dawnych ideałów, że musiała Eugeniuszowi dotrzymać słowa, że nie mogła wejść w tę rodzinę pospolitą, brudną, ubogą... Miała oczy spuszczone, i wogóle nie wiedziała, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Nagle, bezwiednie podniosła oczy, ujrzała się w lustrze i myśl jak błyskawica przemknęła przez jéj głowę: On, jako malarz, pewno lubi uczesanie spokojne, do greckich wzorów zbliżone, tak więc czesać się będę, gdy...

Nieraz myśl szalona, jakby żywcem wyjęta z jéj nocnych marzeń, wplątywała się złotą nitką w najtrzeźwiejsze jéj zamysły. Nie zdawała sobie sprawy, w jakiéj mierze szał złudnych marzeń zagarniał powoli jéj rozsądek, jéj wolę, jéj siłę. Zaczynała już i na jawie, już i w godzinach zupełnéj trzeźwości, roić możliwość szczęścia. Bywały chwile, w których ubóstwo i praca przy boku Jana wydawały jéj się rajem, w których dumna królowa salonów, najpiękniejsza w Polsce kobieta, mówiła sobie rozgorączkowana bezsennością: Niech będę porzuconą, opuszczoną, zapomnianą, ale niech mam szczęścia rok, miesiąc, godzinę! Niech potém przecierpię wszystkie katusze wypędzonych z nieba, ale niech mam przynajmniéj nieba wspomnienie!

Z początku widok nędzy i nieporządku Wielewiczów trzeźwił ją i wspomagał w walce z szaloną nadzieją; powoli jednak słuchanie z ust matki uwielbień dla Jana, opowiadań o Janie, stało się jéj nałogiem. Wiedziała teraz jego adres w Krakowie, znała szczegóły jego życia, jego biedy. Bo on tam cierpiał biedę. Znosił ją wesoło, żartował w listach z niedostatku, z improwizowanych swych obiadów, ze swych głodów wilczych, ale czynił to może dla uspokojenia rodziny. Koszule mu się darły, wystrzępione kołnierzyki piłowały mu tak szyję, iż się bał, że w końcu dojdzie do zupełnéj dekapitacyi; odzienie trzymało się na prawach siły dośrodkowéj; dziury swych butów musiał pokrywać dumą spojrzenia i wspaniałością postawy. Musiał koniecznie mieć oblicze księcia, by nikt nawet przypuścić nie mógł owych dziur w obuwiu.

Irenę raził trochę ton roztrzepany listów młodzieńca, i ta szczęśliwość i siła młodości, któréj ani głód, ani nędzne odzienie zmódz nie mogły, któréj nie zachwiała odepchnięta miłość. Wolała-by go czuć smutnym, zrozpaczonym, stęsknionym. Czasem przy czytaniu jego listu doświadczała formalnéj obrazy. Duma jéj podnosiła się wtedy w całéj sile; pragnęła pogardzać człowiekiem, który śmiał nie cierpieć i nie rozpaczać, będąc przez nią odtrąconym. Obraza rozpływała się powoli w tęsknocie i rzewności, nałóg ciągnął znowu Irenę

na czwarte piętro, którego śmieszne mieszkanki pyszniły się, jak pawie, z wizyt wielkiéj pani.

Pewnego dnia przyszedł od Jana list dziwny, którego ani matka, ani siostry zrozumieć nie mogły. Drożyły się z pokazaniem go Irenie, i dopiero na jéj wyraźne i powtórne żądanie dały go jéj. Irena zrozumiała od razu. Widocznie matka lub któraś z sióstr doniosła Janowi, że Irena była w Warszawie, że przychodziła do ich mieszkania, że się o niego pytała, że czytywała jego listy. Młodzieniec napisał tym razem żółcią. Mówił ogólnikowo o nędzy serc kobiecych, cytował mickiewiczowskie: „kobieto, puchu marny!“, dodawał w końcu, że minęły czasy Gustawów i Werterów, że dzisiaj marnemu puchowi, oślepionemu złotem i pustą wewnątrz bańką honorów, płaci się obojętnością! że dzisiaj nie szuka się ulgi w samobójstwie, ale w zapomnieniu.... w zupełném zapomnieniu! Zapomniało serce, zapomniały oczy, choć kształt zewnętrzny był cudny, zapomniały usta, choć miały dany sobie pocałunek. Jest to prześniony sen, po którym nie zostało nic, prócz doświadczenia, mogącego w następstwie uchronić od podobnych pomyłek.

Twarz Ireny powlokła się ognistym rumieńcem przy czytaniu tego listu, położyła go wszakże z udaną obojętnością, z ruchem ramion mówiącym, że i ona nic nie rozumiała. Głosu w téj chwili wydobyć nie mogła; serce jéj biło w piersi młotem.

— Jest gniewny, rozdrażniony, obrażony, pełen goryczy, więc kocha!

Ta myśl szalała w jéj głowie.

— Kocha, udaje tylko wesołość i swobodę, ale w gruncie cierpi i tęskni!

Z myślą tą Irena uciekła z mieszkania Wielewiczów. Potrzebowała być sama, w samotności przyjść do równowagi. Na dole czekał na nią list Amelii. Rzuciła go na stół i dopiero wieczorem przeczytała.

Pani Boliwina zachwycona była Wiedniem. Odchorowała przez dni parę podróż swą i zmęczenie, ale była już rozlokowana, miała mieszkanie w najpiękniejszéj części miasta i, dzięki Peronellomu, poznała już kilka osób bardzo miłych. Noiret okazał się być jedynym do rozpakowywania, urządzenia mieszkania, ustawiania mebli. Z jego pomocą wszystko poszło jak z płatka. Wacio tylko tęskni za Mirskiem, nie może oswoić się z miastem i ze zdrowiem jego niedobrze. Jest wszakże pod opieką znakomitego lekarza dzieciunego, Trewiga, który zapewnia, że dzieci podlegają nostalgii.

„Gdybyś mię widziała tu w Wiedniu—pisała Amelia—nie poznała-byś twojéj niedołężnéj siostry. Ruszam się, słońcu spoglądam w same oczy, mam odwagę do życia i zdaje mi się, że w końcu przestanę nienawidzieć pana Boliwę. Wystarczy mi dla niego pogarda. Wyroby złotnicze są tu bez porównania piękniejsze, niż w Warszawie, większy téż wybór modeli i fasonów wszelkiego rodzaju, szkoda, że już zapewne wyprawa twoja skompletowana. Przyjechała-byś do mnie, i razem wybierały-byśmy, co jest najpiękniejsze i co się najlepszym gustem odznacza“.

— Amelce tam dobrze—rzekła Irena, oddając list Józefie—chwała Bogu, że jéj przynajmniéj jest dobrze.

Nazajutrz rano weszła rozgorączkowana do jadalnego pokoju, gdzie Józefa czekała na nią przy samowarze.

— Gdyby nie to, że na pasport czekać muszę—ozwała się—tobym dziś jeszcze wyjechała do Wiednia.

— Do Wiednia?

— Tak, pojadę do Amelki i razem obejrzymy te biżuterye, te modele i fasony, o których wspomina. Pani trudzić nie będę... wezmę tylko Emilię.... napiszę do mamy, że jadę ... Zatrzymam się parę dni w Krakowie....

Józefa spojrzała zdziwiona na Irenę.

— Pan Eugeniusz ma w tych dniach tu przyjechać.

— Pani go tu przyjmie... powie mu pani, że cała moja wycieczka zajmie mi zaledwie dwa tygodnie.

Po śniadaniu, Helenka Wielewiczówna, która z dniem każdym coraz bledszą się stawała, przyszła z bielizną uszytą dla Ireny. Została wynagrodzoną tak hojnie, jak dotąd nikt pracy jéj nie wynagradzał. Dziewczyna, uradowana sumą, o jakiéj nie marzyła, zawołała, że uszyje zaraz parę koszul dla brata i pośle mu je w prezencie.

— Będę w tych dniach w Krakowie — rzekła Irena — mogę zabrać pakiecik i odesłać przez posłańca.

— Pani będzie w Krakowie! Mój Boże, może pani Jasia zobaczy!

— Proszę mi tu przynieść pakiet z adresem... to bardzo mała rzecz... odeślę chętnie...

— Pani już taka dobra, że doprawdy!.. napiszemy list... może i ojciec napisze... Jesteśmy o niego niespokojni... Ojciec mówi, że musiał się tam zakochać, bo bardzo głupi list przysłał.

Od chwili nagle i jakby natchnieniowo powziętego postanowienia podróży do Wiednia z parodniowym pobytem w Krakowie, Irena była w dziwném podnieceniu. Nie przemyśliwała, co czyni, jak się weźmie

do rzeczy, wiedziała tylko, że Jana chce i musi zobaczyć. Resztę rzucała na falę wypadków i czekała. Nie zeznawała przed sobą, że jakaś nieokreślona nadzieja zajęła w jéj sercu miejsce rozpaczy. Rozpacza ten tylko, kto niczego nie oczekuje.

Służąca jéj, Emilia, od kilku dni miała wszystko gotowe do wyjazdu dla swéj pani. W parę godzin po odebraniu pasportu, obie były już na dworcu kolei wiedeńskiéj.

(Dokończenie nastąpi).

Zofia Kowerska.

NONKONFORMIZM.

Organa prasy codziennéj na stałym lądzie, zajmując uwagę swych czytelników wewnętrznemi sprawami Anglii, spełniają dzisiaj swój obowiązek bez porównania umiejętniéj, jaśniéj i – dodać należy — sumienniéj, aniżeli mogły, lub chciały to czynić przed bardzo jeszcze niedawnemi laty. Ale natłok tych spraw, częste w nich zawiłości i niespodziane zwroty, zmuszają dziennikarstwo do poprzestawania na spisie codziennym wiadomości i sądów o faktach dokonanych; omawiając szczegółowe pozycye brytańskich kwestyi społecznych, publicysta, któremu wypada liczyć się przedewszystkiém z poziomem ciekawości swych czytelników, nie jest w stanie kierować ich wzroku ku onym szerszym, choć mniéj widzialnym polom i głębszym źródłom narodowego życia Anglii, które sprowadzają wzrost i zasilają rozwój nowych potrzeb socyalnych. Braku tego nie wypełnią tak zw. feljetony zagranicznych korespondentów; pominąwszy bowiem, iż feljetony te i dziennikarskie „kroniki“ bywają pisane zazwyczaj tak, by wpadały w oczy, chciwe nowin i nowinek, by zajmowały czytelnika tém, co *on* zowie aktualnością faktów — są jeszcze dwie ważne okoliczności, uniemożliwiające dziennikarzom pracę doraźną około zapoznawania szerszych kół publiczności z prądami społecznemi w Angli: naprzód — ani literatura powieściowa, ani dramat nie jest w Anglii tém, czém jest powieść i sztuka sceniczna w innych krajach, t. j. wyrazem szczerym bytu, usposobienia i dążności Angli-

ków; powieść jest jeszcze sentymentalna, dramatu narodowego niéma dziś wcale, a sztuka sceniczna, jeżeli ma znaleźć powodzenie, musi być farsą, czarodziejskiém widowiskiem, lub, w najlepszym razie, ckliwym melodramatem, pełnym szowinizmu dla całoskładu wszech rzeczy narodowych. Powtóre — dziejowa całość konstytucyjna w gospodarstwie Anglii polityczno-społeczném nakłada na cudzoziemców, badaczy jéj życia, nieco twardy obowiązek posiadania takiéj znajomości jéj dziejów wewnętrznych, przynajmniéj porewolucyjnych (od r. 1649), jaka jedynie może dać klucze do ścisłego rozumienia poszczególnych problematów dzisiejszych i sposobów na nie. I niestety, mniemam, że znajomość książkowa częściowo tylko przydać się może: dziejopisarze, choćby się i mogli wyzuć ze stronniczości, nie mogą nie ulegać potężnemu wpływowi faktów dokonanych, którym w opowiadaniach swych muszą torować drogę do krytyki czytelnika....

Sądzę, że z poznawaniem charakteru obcego społeczeństwa ma się mniejwięcéj tak samo, jak ze znajomością obcego nam osobiście człowieka, z którym utrzymujemy ciągłe i pilne stosunki listowe: Komuż z nas nie przytrafiło się, że, kiedyśmy się zetknęli z długoletnim naszym korespondentem, charakter jego uderzył nas od razu wręcz inaczéj, aniżeliśmy go sobie utworzyli w wyobraźni, z mnóstwa pochwyconych w korespondencyi rysów? Odnośnie do Angli i Anglików, ileż-to pojęć zmienia swe formy, gdy się człowiek poczyna zżywać z tym krajem i jego ludem—a ileż potrzeba obalić sądów teoretycznych i nowe przyjąć z musu i konieczności wyobrażenia? Zupełnie tak samo, jak się cudzoziemiec przekonywa w Londynie, że tak osławiona mgła nad Tamizą, nie tylko nie należy do codzienności, lecz jest klęską wypadkową, od któréj wolne są trzy pory roku, a czasem i czwarta; tak też owa okrzyczana „ekscentryczność“, czy „oryginalność“ krajowców nabiera zupełnie innéj, wysoko poważnéj cechy: najlepszych zalet narodowego charakteru. By tylko potrącić o kwestye polityczne: nie znam jednego wykształconego Polaka, który-by, po dłuższym tu pobycie, nie zmienił z gruntu swych poglądów na kwestyę irlanzką. Nie chcę bynajmniéj powiedzieć, że nowy pogląd nie jest stronniczo angielskim-torysowskim, lub, jak dziś wypada nazwać: „gładstońskim“—lecz nie jest on z pewnością takim, jakim był, zanim go zmodyfikowało studyum na miejscu....

Czasopismo, nie krępowane szczupłym rozmiarem szpalt dziennikarskich i parciem telegramów, a przeznaczone dla czytelników o spokojniéjszém i dlatego.... trzeźwiejszém tempie ciekawości, widzi słusznie zadanie swe w wypełnianiu tych braków, o jakich wspomnieliśmy. Jego zaś współpracownik zagraniczny, mający zdawać sprawę z ruchu umysłowego i społecznego w obcym narodzie, czuje potrzebę za-

znaczyć od czasu do czasu charakter i dążności bieżących prądów społecznych, potrącić często o ewolucye w życiu towarzyskiém, by dać czytelnikom wyraźne tło, na którém myślą i działają już to żywe, już też fikcyjne osobniki. Nie ma współpracownik pretensyi do stawania w charakterze publicznego mentora, lecz, jeśli wogóle ma coś do powiedzenia, to owo coś może posiadać wartość, choćby dla bardzo szczupłego grona czytających.

Dziś atoli rozszerzają się codzień koła, ciekawe wszech rzeczy angielskich, bo sam całoskład Anglii społeczny (jeśli nie powiemy słowa o politycznym) zachodzi rączo na tory, mające widnieć daleko nowemi słupami ludzkiéj cywilizacyi i kultury. Tak przynajmniéj sądzą Anglicy... Prawodawstwo wewnętrzne konserwatywnego torysowskiego rządu zaznaczyło się temi czasy cechą, w któréj sama tradycya torysowska nie rozeznaje zachowawczego pierwiastku takiego, w jakim dotychczas uważała magnetyczną igłę swojego kompasu. Członkowie gabinetu, którzy przed laty pięciu byli rozgłośnymi przeciwnikami pewnych reform, projektowanych przez liberalną opozycyę, dzisiaj sami wnieśli i przeprowadzili te reformy. Minister Akers-Douglas objeżdżał cały kraj w r. 1886-tym z jedyną deklaracyą, iż stronnictwo jego nie zdejmie nigdy odpowiedzialności za wykształcenie i wychowanie dzieci, że koledzy jego nie zgodzą się nigdy na upaństwowienie oświaty... ten sam minister wniósł i przeprowadził prawo bezpłatnéj oświaty, idące bez porównania daléj w socyalistycznym kierunku, aniżeli tego żądał obóz liberalno-radykalny! Radykalista John Bright wystąpił na kongresie związków roboczych w r. 1885-tym w obronie zagrożonéj swobody chlebodawców, uznał ich prawo do szukania najtańszych robotników; konserwatywny minister Gorst zapewniał przed kilku miesiącami, że obóz zachowawczy, uznając legalność czynnéj kombinacyi związków robotniczych, uznaje tém samém legalność ich żądania, by pracodawcy nie ważyli się brać robotników poza-związkowych. Wiadomo, iż w drażliwéj kwestyi przymusowego ograniczenia pijaństwa torysi obstawali zawsze za korporacyjną swobodą wsi i miast; kiedy atoli obóz liberalny przyobiecał zaprowadzić swego czasu przymusowe zamknięcie szynków w niedziele, a właścicielom onych wyznaczyć odpowiednią indemnizacyę—torysi wyrzekli się swego hasła i wnieśli projekt ustawy (tymczasowo dla Walii), zakazującéj sprzedaży trunków gorących w niedzielę, bez wszelkiéj dla dystylatorów i szynków indemnizacyi! Wspominam najgłośniejsze przykłady téj taktyki, polegającéj, według zdania Beaconsfielda, na ....skradaniu odzieży radykałów, gdy ci się kąpią w opozycyi. Przytoczę jeszcze tylko przykład najświeższy: Przed siedmiu laty, kiedy p. Gladstone wierzył tylko w skuteczność

polityki koercyjnéj względem Irlandyi, ówczesny jego kolega i koryfeusz skrajnego radykalizmu, Józef Chamberlain, był zwolennikiem takiéj decentralizacyi administracyjnéj na wyśpie, która-by oddała rządy prowincyonalne radom pojedyńczych hrabstw, obieranym przez lud. Projekt ten wydawał się torysom gorszym od wznowienia parlamentu dublińskiego.... Dzisiaj p. Balfour, odpowiedzialny minister torysowski, zapowiada (w Plymouth, 10-go Sierpnia), że najpierwszą kwestyą następnéj sesyi parlamentarnéj będzie utworzenie rad hrabskich w Irlandyi—podług już wypracowanego bilu rządowego!

W przeróżnych zapowiedziach i obietnicach nie da się prześcignąć stronnictwo opozycyjne. Obiecuje ono Irlandyi samorząd kompletny i wyrzeka się wszelkiéj angielskiéj kontroli nad sądownictwem i policyą; obiecuje Anglii i Szkocyi utworzenie rad gminnych, odpowiedzialnych tylko wobec swych wyborców za administracyę spraw lokalnych; ponieważ torysi obdarzyli już kraj elementarną oświatą bezpłatną—więc opozycya obiecuje karmić bezpłatnie w szkołach dzieci ubogie i otworzyć drogi do bezpłatnych kursów uniwersyteckich, handlowych i agronomicznych; robotnicy fabryczni mają wysyłać swych reprezentantów do izby niższéj—dlatego zaprowadzoną ma być opłata posłów na wzór zagraniczny. Przedewszystkiém zaś, nastąpić ma kasata anglikańskiego kościoła, jako instytucyi państwowéj.

W torysowskiém skradaniu szat liberalnych jest sporo tak zwanéj „niemoralności politycznéj“ — jest jéj tyleż, lub daleko więcéj w taktyce liberalnéj opozycyi, łudzącéj naród obietnicami, do wykonania niepodobnemi. Lecz pytać można: gdzież jest i jakimże jest wogóle ten pierwowzór „politycznéj moralności“ w nieodzownem, naturalném i pożytecznem współzawodnictwie stronnictw parlamentarnych? Rdzeniem wszelkiéj „niemoralności politycznej“ jest żądza władzy - niekoniecznie ambicya niska, szukająca dostojeństw, wysokiéj pensyi i szelestu prasowéj reklamy—lecz owa, wrodzona człowiekowi, zwłaszcza człowiekowi uzdolnionemu, krewkość i niecierpliwość, rwąca się do czynu, przygotowanego myślą i troską szlachetną, choć może błędną, może nie dość głęboką i bystrą, może zaślepioną wpływami, a nigdy nie doskonałą. Któż dziś jednak przestał już być do tyla ziemską istotą, by sądził o dobrém *ex omni parte*, o złém — *a quovis defectu*?

Ambicya polityczna, lub powiem raczéj: parlamentarna, ma w Anglii nierównie więcéj jeszcze szlachetnych pierwiastków, aniżeli w innych krajach. Być członkiem parlamentu, t. j. izby gmin, jest tutaj jeszcze najwyższą dystynkcyą społeczną—tak wielką, że w początku tego miesiąca jeden z sędziwych członków izby lordów, hr. De Mauley, wniósł projekt takiéj reformy początkowéj w dziedzicznem ciele

prawodawczém, jakaby zniosła niewybieralność parów do izby niższéj. Synowie i spadkobiercy najwyższych rodzin krajowych sposobią się na wszechnicach do prac parlamentarnych; opuściwszy ławy szkolne, zostają sekretarzami bezpłatnymi, a ciężko pracującymi, posłów zdolnych i wybitnych; stawiają swe kandydatury poselskie wcześnie, nieraz pięć i sześć lat przed czasem, w okręgach, z których potrzebami zaznajamiają się sumiennie i pracowicie. Poseł angielski musi być zamożnym człowiekiem, bo nigdzie kampanie wyborcze nie kosztują sum tak wysokich, bo musi mieszkać w stolicy, najczęściéj z rodziną, dziewięć do dziesięciu miesięcy, musi porzucić swój zawód, swe obowiązki lub ulubione zajęcie, czy wreszcie przyjemności życia swobodnego, nie otrzymując za to ani pensyi, ani żadnych już dziś przywilejów. Nakoniec, poseł angielski musi pracować.... i to bardzo ciężko nieraz, tak w izbie, jak i w komisyach; jego wakacyami rozporządza stały jego komitet wyborczy, patrzący wciąż w przyszłość stronnictwa, zakreślający mu plan nieskończonych „adresów“ do wyborców—a nawet chwile, wolne w stolicy od posiedzeń, zabierają posłowi delegaci do jego okręgu, redaktorzy i reporterzy pism prowincyonalnych i t. p.

Ambicya parlamentarna w takich warunkach jest rzadko *niską* [1]). Jest ona za to tém czynniejszą, zapobiegliwszą i.... że użyje tutejszego wyrażenia sportowego, niesłychanie *handicapped*, obsaczoną i opętaną zbyt wielu obowiązkami. Najgłówniéjszym z tych jest, oczywiście, obowiązek względem własnego stronnictwa, baczność na położenie jego na — *the interest of the party*. I ten-to właśnie „interes“ jest igłą magnetyczną, nadającą kierunek względnéj moralności stronnictwa. Że zaś dzisiaj, w chwili bieżącéj, niéma rdzennéj różnicy w programach stronnictw angielskich, zwłaszcza w programach prawodawstwa domowego (dla Anglii i Szkocyi) — mimo nad wyraz zaciętego antagonizmu obozów... że między temi obozami niéma ani jednéj kwestyi zasadniczo spornéj, a rozgranicza je tylko tradycya i ambicya, oraz rodzaj wabików wyborczych; że, jedném słowem, obozy parlamentarne są dziś rywalizującymi z sobą akcyonaryuszami, licytującymi jedne i te same przed narodem towary, choć różnym stylem i sposobem.... że tak jest, to jest dla tego, ponieważ interesy wszystkich stronnictw angielskich i szkockich oparły się wreszcie o jeden czynnik życia narodowego w Brytanii, czynnik potwornie potężny i nabierający codzień więcéj potęgi. Czynnikiem tym jest — sekciarstwo.

---

[1]) Ustęp poprzedni nie odnosi się oczywiście do parlamentarnéj organizacyi Irlandczyków od roku 1876—90.

Biorąc cyfry okrągłe, wiemy, że na 30 milionów ludności w Anglii, Walii i Szkocyi, jest katolików przeszło 6 milionów, anglikanów blizko 9 milionów; niecały milion mieszkańców zalicza się do niechrześcian, a 14 milionów przysądza statystyka sekciarstwu. Jemu to (i, właściwie mówiąc, katolikom także) przysługuje nazwa „nonkonformistów“, powstała za czasów Karola I, a oznacza tych poddanych państwa, którzy stoją poza obrębem państwowego, anglikańskiego Kościoła, których duchowni nie podlegają jurysdykcyi biskupów, nie mają prawnéj hierarchii, nie otrzymują święceń i nie mogą się nazywać kapłanami (*clergymen*). Nie tu miejsce — i zapewne niéma potrzeby — przypominać dziejowe powstanie i rozwój brytańskiego sekciarstwa.... od Wycliffa do Penna i Foxa, do Wesleya i do „generała Bootha“. Nonkonformizm taki, jakim go dziś widzimy, jest daleko prawdziwiéj dzieckiem rewolucyi i Cromwellowskich parlamentów, aniżeli epoki religijnéj reformacyi w Europie, w ciągu któréj istniał już wprawdzie, lecz ulegał surowszemu od katolicyzmu uciskowi państwowemu. Osobne wypadło-by poświęcić mu studyum, gdyby się chciało rozpatrzyć wszechstronnie jego podwaliny etyczne i uzasadnić byt i rozwój jego w ciele narodowém. Że charakter rasy anglo-saskiéj, nie znoszący zawisłości, wierny dogmatowi *self-helpu*, sprzyja szczególnie wytworzeniu religijnego hartu, tego dowodzi liczba istniejących i bezustannie powstających sekt wszędzie, gdzie widzimy téj rasy ludy i kolonie, a gdzież ich dziś niéma? Ze stanowiska, z którego chcemy przypatrzyć się nonkonformizmowi, mało nas obchodzi (bodaj czy nie tyle, ile jego samego...) konglomerat jego doktryn religijnych, dający się streścić w jednym wyrazie: opozycyi, opozycyi przeciwko wszelkiéj hierarchii, w każdym, jakimbądź, ustroju widzialnym zbiorowéj myśli ludzkiéj. Rzecz godna uwagi, że kilkadziesiąt sekt brytańskich, z których każda propaguje żarliwie na swoją stronę, żyje z sobą zgodnie, utrzymuje pewne z sobą stosunki religijnéj przyjaźni i pomocy, a walczy zacięcie i fanatycznie tylko przeciw dwom Kościołom: anglikańskiemu, z powodu jego państwowego i hierarchicznego charakteru, i rzymskiemu, z powodu śpiesznego jego rozrostu w obydwóch królestwach. I tu téż miejsce przypomnieć, że zarówno Kościół katolicki i nonkonformizm rozbierają między siebie codzień odpadki od anglikanizmu. Ten zaś, podzielony sam w sobie na konserwatystów (*High-Church*) i liberałów (*Low-Church*), rozpada się w „niższym kościele“ między sekty, a „wyższym kościołem“ zbliża się coraz wyraźniéj, przez t. zw. „praktyki rytualistyczne“, do Rzymu.

Do zdumiewającego rozwoju sekciarstwa przyczynia się ogromnie anachronizm, dający Kościołowi państwowemu niezmierne fundusze,

parlamentarne zapomogi, prowizye od średniowiecznych legatów i fundacyi, a nadto dziesięciny. Opinia publiczna zżyma się i sarka, iż naród płacić musi grube podatki na to, by obadwaj prymasi mieli po 25 tysięcy fst. rocznéj pensyi, z pałacami, utrzymywanemi kosztem państwa, ażeby biskupi pobierali pensye, wyższe od ministeryalnych, i zasiadali *ex officio* w izbie lordów.... Kiedy daleko liczniejsi nonkonformiści opłacają swych pastorów z własnych danin i nie mają prawnéj reprezentacyi, mającéj stawiać czoło, gdzie należy, parlamentarnym lordom duchownym. Słabnący liczebnie anglikanizm gromadzi bezużytecznie, lub szkodliwie, dochody z olbrzymich kapitałów i kościelnéj gleby, świątynie jego stoją pustkami; nonkonformizm, opłacający to podatkami, wielkie musi czynić ofiary, by rosnącéj liczbie jego adherentów nie zabrakło domów modlitwy. Krajowa swoboda nauczania poruczyła oświatę warstw niższych religijnemu prozelityzmowi: anglikanie mają swe subwencyonowane z zapisów i dziesięcin szkoły parafialne, mają swe bursy w zakładach wyższych, swe stypendya na wszechnicach, a wszystkie kolegia Oxfordu i prawie wszystkie w Cambrige są w ręku anglikanów, są rozpłodnikami idei hegemonii kulturnéj państwa, podczas kiedy nonkonformizm nastarczyć nie może szkół i instytutów dla swojéj młodzieży i dla niéj łoży dzień za dniem składkowe ofiary. „Nam się należy wasze miejsce! — woła sekciarstwo — bośmy dwakroć od was silniejsi i własną mocą pochłaniamy was codzień“.

Nadeszły, jedna za drugą (1831, 1857, 1867, 1885) reformy wyborcze. Ostatnia z nich powołała do życia politycznego *dwa miliony* głosów.... z łona warstw najniższych, gdzie nonkonformizm działał najskuteczniej, gdzie, za pomocą hasła wstrzemięźliwości, stworzył lub powiększył dobrobyt. Po roku 1885-tym rośnie w izbie gmin liczba reprezentantów nonkonformizmu, pod nazwą „partyi wstrzemięźliwości“, lub „independentów“. Wybory uzupełniające ostatnich miesięcy, rzekomo dokonane pod irlandzkiém hasłem, były prawie bez wyjątku zwycięzstwem nonkonformizmu. Stoi on z natury swéj przy obozie liberalno-radykalnym, od którego może oczekiwać najwięcéj, który mu obiecywał, przed rozwojem kwestyi irlandzkiéj, zniesienie anglikanizmu i izby lordów, a dziś mu oświadcza uroczyście, iż byle tylko mógł tę nieszczęsną załagodzić kwestyę irlandzką, to bezzwłocznie zajmie się sprawami nonkonformizmu, sprawami „ludowemi“, potrzebami „większości“—„narodowemi interesami“.

W obec takiéj, tak czynnéj i tak nawet (w rozwoju dobrobytu warstw niższych) zasłużonéj potęgi, stronnictwo konserwatywne bezczynném i obojętném być nie może. Polityką ostrożnych ustępstw pracuje gabinet torysowski około... nie zjednania sobie téj potęgi—

bo o tém mowy być nie może—lecz uśmierzenia zbytniéj zawziętości jéj pastorów. W tym celu, gabinet, oparty w Anglii na silném ramieniu katolików, zawdzięczający wynik nie jednych wyborów r. 1886 księciu Norfolku, gabinet, którego członkiem i ministrem spraw wewnętrznych jest katolik, p. Matthews, sprzeciwiał się usunięciu ostatnich pozostałości rozpasanego i barbarzyńskiego fanatyzmu antykatolickiego: prawa, odpychającego katolickich poddanych królowéj od *woolsack*'u lorda kanclerza i od wice królewskiego tronu Irlandyi. W tym samym celu wyznaczył gabinet komisyę ankiety w sprawach robotniczych, a minister Gorst wystąpił ze znaną deklaracyą—boć warstwy robocze są całkiem opanowane przez nonkonformizm. Najważniejszém i najmniéj spodziewaném ustępstwem w tym kierunku jest przeprowadzona ustawa szkolna, wyrównywająca różnice finansowe między wszystkiemi wyznaniami. Czyż zresztą stronnictwo torysowskie nie zawdzięcza nonkonformistom więcéj, niż im kiedykolwiek spłacić będzie w stanie? Któż obalił Parnella? Kto wbił ów fatalny klin w solidarne przez lat jedenaście ciało Irlandzkie i rozdarł na strzępy jedność irlandzkich dążeń i akcyi? Kto wyparł irlandzko-liberalną obstrukcyę z parlamentu i rozwiązał rządowi ręce w Westminsterze i Dublinie? Kto, nadewszystko, pomógł rządowi do udowodnienia czynami, że rozumne prawodawstwo, reforma sosunków agrarnych na „siostrzanéj wyspie“ uspokoją kraj daleko prędzéj, skuteczniéj i trwaléj, aniżeli utopijne obietnice tego, czego naród angielski nie da nigdy, „pod karą samobójstwa“? Wiemy, że, po rozwodowym wyroku, irlandzkie koło poselskie ponowiło wybór Parnella na swego naczelnika jednogłośnie; że p. Gladstone oświadczył, iż „nie ma prawa dawać rad i wskazówek w wewnętrznych sprawach koła“; wiemy, że milczała katolicka hierarchia w Irlandyi... a milczała uderzająco długo. Kto pierwszy podniósł głos? Nonkonformiści. Czy z oburzenia religijnego? A któż dziś popiera poselską kandydaturę Karola Dilkego, którego brudy prywatne świat cały wprawiały w osłupienie? Przecież tylko jedynie i wyłącznie nonkonformiści! Oni-to obrali najpotężniéjszego strategika parlamentarnego, jakiego Irlandya miała kiedykolwiek, bo za nim szło ciągle zwycięztwo i już świtał dzień, kiedy.... „papieżnictwo“ miało rządzić w jednem brytańskiém królestwie. Zniewolony naciskiem sekciarstwa, p. Gladstone napisał słynny list do Justyna Mac-Carthego — biskupi irlandcy wtedy téż dopiero odsądzili Parnella od czci i sławy. W świetle tych wypadków i ich naczelnych przyczyn należy sądzić o tak fałszywie i opacznie pojmowanéj wziętości, jakiéj rzekomo używa kwestya irlandzka w angielskich warstwach ludowych! Przed laty 10-ciu pisałem na tém samém miejscu, że Irlandya jest, niestety, i długo będzie piłką, podrzucaną przez

brytańskie stronnictwa w ciągłym sporcie, w ciągłéj grze o swoje własne interesy; dziś przekonania nie zmieniam, owszem, utwierdziło mnie w niém doświadczenie. Ale... mimo wielkiéj pokusy, zejdę z irlandzkiego terenu.

Spędziłem kilka ostatnich tygodni w południowych okolicach hrabstwa Hampshire. Te i środkowe strony Anglii, nie posiadające znacznych ognisk fabrycznych, obwody rolnicze i pastewne, nie są zalane propagandą sekciarską tak dalece, jak np. „Czarny Kraj“ Yorkshire'u, hrabstwa północno-zachodnie, niemal cały Lancashire, Walia i Kornwalia—owe kuźnie, kopalnie, warsztaty i rękodzielnicze ścieki Królestwa. W Sussex, Hampshire, Dorsetshire i Wiltshire — przed laty 40-stu rzadkiemi były zbory nonkonformistów, rzadszemi kościoły katolickie; dzisiaj każda tam mieścina posiada owe zbory, w każdéj wiosce jest choć jeden „dom modlitwy“ – a przy nim szkoła sekciarska, bezpłatna, dla ubogich dzieci. Osiedlone tu sekty nie mają tak wybitnéj cechy religijnéj, jaką się odznaczają na zachodzie, północy, w Szkocyi i w północnéj Irlandyi stare kongregacye metodystów, wesleyanów, kwakrów i babtystów,—mają one cechę polityczno-socyalnéj religijności... a ta nadobfitajo w pierwiastki groźne dla dotychczasowego całoskładu państwa, pierwiastki rozkładowe. Wynająłem letnie pomieszkanie w domu zamożnego fermera, prowadzącego gospodarstwo pastewne na 560-ciu akrach, za które płaci niespełna tysiąc funtów st. dzierżawy. Przeszedł on już szósty krzyżyk wieku, a do lat 37-miu był anglikaninem; później „nie był niczém“, jak mawia, bo go zraziły kościelne dziesięciny i to, że rektorem parafii został młodszy syn landlorda, utraciwszy poprzednio całą część swego majątku. Fermer chciał dać jak najlepsze wykształcenie synom za możliwie najtańszą cenę, więc jednego wysłał do sekciarskiego instytutu chirurgicznego w Leeds, drugiego umieścił w takimże zakładzie wychowawczym w Chester. Synowie pojednali ojca z religijnością w ten sposób, że należy on dziś do t. zw. „independentów“, że jest nawet „dyakonem“ swéj kongregacyi, założonéj w sąsiedniém miasteczku przed 12-tu laty, liczącéj około 700 dusz „konneksyi“.

W jedném z naszych pism codziennych opisałem oną „konneksyę“ z jéj stron komicznych. Tutaj powiem o niéj zdań kilka, mogących dać pojęcie o istocie i rodzaju działalności nonkonformizmu. Przedewszystkiém, kiedym zapytał fermera, do jakiéj należy sekty, odpowiedział mi mniéj więcéj temi słowy:

— *Well sir*, nic nas nie obchodzi nazwa naszéj „perswazyi“. *We are The Lord's independent worshippers*, a tu cześć niezależna polega na tém, że każdy z nas tłómaczy sobie Pismo według światła, które jest w nim.

— Jednakże łączycie się w „kongregacye“, macie zbory i swoich duchownych,—wtrąciłem.

— Bo Pan zalecił wspólne modlitwy, bo przykład nasz zwołuje innych i wspólnych sił trzeba na zwalczenie złego.

Odpowiedź ta i wynikła z niéj rozmowa skłoniły mnie do kilkakrotnego zwiedzenia zboru w czasie nabożeństw. Główne z nich odbywają się w niedzielę, *on Sabboth Day*—trzy razy: rano dla odczytania stosownych ustępów z biblii i odśpiewania nieskończonych hymnów i pieśni; po południu – dla katechizmu; wieczorem—dla pieśni i kazań. Katechizm, najzupełniéj ogołocony z wszelkiéj nauki dogmatycznéj i sakramentalnéj (boć sekta nie ma ani teologicznych dogmatów, ani sakramentalnych pojęć), ma na celu wpojenie zasad, które, przy całéj swéj humanitarności, są nawskróś materyalistycznemi. Rzeczy nadprzyrodzone wszystkie, w jaknajszerszym zakresie, przewyższają tak dalece umysłową i duchową możność człowieczą, że... wyrobiwszy sobie o nich mizerny sąd wierzącego w pokorze chrześcianina, należy pozostawić je Bogu i być szczerze i głęboko przekonanym, że, jeżeli się wiedzie żywot uczciwy, to się *jest* zbawionym. Wszystkie pieśni i hymny wyrażają radość dusz, już i nieodwołalnie zbawionych; wszystkie modlitwy wołają: „Panie zbaw mnie *codzień*, bo ja tego nie potrafię, a pomóż mi w sprawach tego świata, bym nie miał troski i mógł Cię sławić z wdzięcznością!“ Chodzi więc o to, jakiém być ma życie uczciwe — *the honest life?* Katechizm independentów daje pod tym względem niektóre wskazówki; obok komentarzy nad Dekalogiem, zawiera „instrukcye“, dające się streścić w ten sposób: Obowiązkiem każdego człowieka jest praca, praca produkcyjna, pożyteczna dla całego społeczeństwa; celem pracy jest zdobycie dobrobytu indywidualnego, następnie społecznego, bo... *poverty leads to sin*, ubóstwo wiedzie do grzechu! Kto się już dorobił, „niech nie ustaje w pracy, bo winien wspierać mniéj pomyślną pracę biedniejszych i unikać niepotrzebnego spoczynku, zmiękczającego obyczaje, kuszącego umysł do rzeczy fikcyjnych, w których niéma światła i ducha Bożego“ [1]).

Tyle katechizm o „życiu uczciwém“. W kazaniach, stanowiących najgłówniejszą część nabożeństw i życia religijnego nonkonformistów, słuchamy komentarzy nad temi instrukcyami. Pastor każe z obowiązku każdéj niedzieli; obok niego każą „dyakoni“ i wybitniejsi członkowie „konneksyi“, a wszystka wymowa bije w anglikanizm

[1]) Przytaczam najczęściéj z dziełka: *The Christian Instructor*, wydanego przez nauczycieli duchownéj szkoły w Homerton (1887).

i katolicyzm, jako „w stare drożdże zepsucia“, jako w instytucye tego świata, służące żądzom ludzkim, oparte na zmysłowéj ułudzie i t. d.

Niepotrzebnie-bym zachodził w szczegóły. Czytelnik zapyta może: Jaka jest więc różnica pomiędzy sekciarską odpadłością kościoła państwowego, a kwakrami, czyli, by im dać nazwę właściwą: „stowarzyszeniem przyjaciół“. Różnica jest ogromna: kwakrowie nie pozostawiają Bogu troski o ich zbawienie, przeciwnie, nie dopuszczając zasług Odkupienia, składają na ludzkość cały ciężar odpowiedzialności za jéj zbawienie własnemi siłami; w ciągłéj pracy widzą ciągłą o zbawienie modlitwę; w dobroczynności—skuteczną ku zbawieniu pomoc. Kwakrowie słyną z sumienności, pracowitości, dobroczynności, jak słyną z charakterystycznéj i łatwo zrozumiałéj melancholii usposobienia. Wiadomo, że wśród nich wszystko, co jest „fikcyjném“, uważa się za przeszkodę w pracy około zbawienia, że więc nie śpiewają, nie zdobią izb obrazami, ani kwiatami, że ubierają się jak najskromniéj i gardzą towarzyskiemi formami, że prawdy trzymają się ściśle nawet w przemowie, nie używając nigdy warazów: pan, *you*, *gentleman* i t. p. Indepedenci, poleciwszy Niebu kłopot o duszę, przekonani o swém bezpieczeństwie pozagrobowém, pracują, aby im było dobrze, lepiéj i jeszcze lepiéj. Oni téż brzydzą się fikcyą, lecz o tyle tylko, o ile ona „zmiękcza obyczaje“. Horacyuszowskie: *Ingenuas didicisse artes emollit mores*— pojmują w znaczeniu grubo zmysłowém, dlatego wyższą muzykę potępiają w swoich zborach, a w salonach uważają ją wprawdzie inaczéj, lecz dla artystów mają uczucie politowania, jeżeli nie wprost wzgardy; dzieciom swym każą się zapatrywać na muzykę, jako na „wiedzę“, która według J. Mill Stuarta wyjdzie z katalogu ludzkich nabytków, skoro tylko wyczerpią się możliwe kombinacye dźwięków. Nadewszystko, muzyka jest nieprodukcyjna, nieprodukcyjne jest malarstwo, jak i rzeźbiarstwo, poezya jest fałszem, powieść jest—szatańskim wymysłem... i t. d. Mój fermer nie pozwolił córkom swym bawić się lalkami, synom zabronił czytać Robinsona i Gulliwera; widząc dzieci wiejskie, jeżdżące „konno na kijach“, strofuje i karci je... w swym charakterze „dyakona konneksyi“. Mniéj pomyślną pracę biedniejszych (naturalnie swych współwyznawców tylko) wspiera w ten sposób, że łoży na szkołę, na publiczne odczyty, na zakładanie nonkonformistowskich klubów, gazet, na kasę *zasługujących* biednych i chorych. Nakoniec, o ile kwakier jest *nicomal zawsze* człowiekiem o sercu szerokiém, wielkodusznym umyśle, miłém i szczerém obejściu, o tyle sekciarz niezależny, a zwłaszcza człowiek „*partyi* (!) wstrzemięźliwości“ jest najczęściéj obłudnikiem skończonym, do tego stopnia, że sam się łudzi najchętniéj i najskuteczniéj, jest człowiekiem dziwnie ścieśnionych pojęć, grubo uprzedzonym do

wszech rzeczy, nie leżących w promieniu sekciarskiego ekskluzywizmu. Dopełniającym rysem jest w nim — górująca namiętność prozelityzmu. Niéma błahéj myśli w potocznéj rozmowie, której-by nie nawiązywał do swego kłębka religiantyzmu, niéma czynności, któréjby nie omawiał ze swego punktu widzenia—a zawsze w tym samym duchu, w jakim się modli rano i wieczorem: „Jestem dziś zbawiony, dzięki Panu; dzięki Panu, iż nie jestem, jako inni“... rozumie się jako ci wszyscy, którzy nie należą do „konneksyi“.

Łatwo być podejrzanym o przesadę... W angielskiém sekciarstwie przeważa bezwątpienia nonkonformizm „konneksyjny“, a nietylko przeważa! Rośnie on z dnia na dzień i pochłania szybko wszystkie te sekty, które powstały i powstają z gruntu społecznego raczéj, aniżeli religijnego; rozpiera się nonkonformizm wśród warstw średnio-niższych, ogarnia prawie całą społeczność drobno-przemysłową i handlową, całe rzemieślnictwo—i wkracza coraz śmieléj między ludność rolniczą. Gdyby szło o wyznaniowe rozgatunkowanie Anglików i Szkotów w stosunku do mienia i socyalnéj pozycyi osobników, śmiało i prawdziwie powiedzieć-by należało, że: arystokracya, plutokracya, stare obywatelstwo ziemskie (*gentry*) i korporacye uniwersyteckie w Oxfordzie i w Cambridge są otwarcie anglikańskiemi — z uwzględnieniem, oczywiście, odcienia zachowawczego lub liberalnego; warstwy urzędnicze, zawodowe i handlowe rozdzielają się pomiędzy niewiele sekt czysto religijnych, starych, jak metodystów, wesleyanów i po części kwakrów; najniższy motłoch, o ile nie ginie w bezprzykładnéj po za Anglią i kilku Stanami wschodnio-północnéj Ameryki nędzy materyalnéj, w zbrodni i pijaństwie, o tyle zwiększa szeregi „armii zbawienia“. Katolicyzm w Anglii kwitnie przedewszystkiém w warstwach arystokratycznych i wśród bogatych ziemian; we wszystkich innych nieznaczne robi postępy, a między klasą roboczą, o tyle tylko zdobywa sobie gruntu, o ile mu wychodźcy irlandzcy i cudzoziemscy dają sposobności. Reszta narodu, graniczącą w swém położeniu materyalném z nieustalonym, niezabezpieczonym dobrobytem z jednéj strony, a z drugiéj dotykająca mas „najciemniejszéj Anglii“ generała Bootha, uległa propagandzie polityczno i społeczno-religijnéj sekt niezależnych... niezależnych od wszelkiego kodeksu dogmatycznego.

W społecznym całoskładzie nonkonformizm jest więc z natury swéj olbrzymiém ciałem malkontentów; w narodowym ustroju politycznym jest on — radykalistyczną potęgą. Otrzymawszy przywileje wyborcze i parlamentarne, potęga ta zaciążyła straszliwie na sprawach Anglii wewnętrznych i zagranicznych.

Nonkonformizm jest respublikańskim, nie będąc rewolucyjnym w ścisłém tego słowa znaczeniu; żąda dziś zagłady Kościoła państwowego i wszelkich przywilejów dziedzicznych, zniesienia izby lordów i majoratu, domaga się ponownéj reformy wyborczéj w myśl aksyomatu: *one man, one vote*; chce parlamentów trzyletnich i opłaty posłów; projektuje niezależne rządy gminne i żąda, by wszystkie stopnie oświaty były przystępne bezpłatnie wszystkim krajowcom. Ponieważ tron nie ma obsolutnych prerogatyw żadnych, nonkonformiści obojętni są na tytuł nominalnego szefa państwa, ale zapowiadają zniesienie historycznych urzędów dworskich i apanażów koronnych (dochodów z księztw Walii i Lankasteru), a dotacye rodziny monarszéj ograniczają do sumy najskromniejszéj. Odnośnie do spraw kolonialnych i zagranicznych, nonkonformizm zajmuje bardzo wyraźne stanowisko, potępiając głośno, co nazywa: *expansive and expensive politics*, polityką kosztowną rozszerzenia wpływów W. Brytanii. A nadto, Egipt jest dla sekciarstwa obrzydliwém gniazdem giełdziarzy; południowa Afryka—krajem awanturników, demoralizujących ludność tubylczą; Indye—ziemią, z któréj wyjdzie zemsta za grabież i chciwość kompanii kapitalistów. Nonkonformizm wita z radością każdy krok panamerykanizmu w Kanadzie; przepowiada bliskie zerwanie się ostatnich węzłów, łączących konfederacyę australską z państwem zwierzchniczém. Nonkonformizm, gdyby to było możliwém, zerwał-by wszelkie stosunki z gabinetami i ludami Europy... prócz handlowych; w jego-to łonie panuje lodowata obojętność na sprawy zagraniczne i, zaprawdę, osłupiająca nieznajomość wszech interesów dyplomatycznych, i potrzeb, i aspiracyi zbiorowych, po za „srebrnym pasem“ wód brytańskich.

Nonkonformizmowi, w ten sposób opisanemu, brak jeszcze zapewne niejakiéj wypukłości. Nadać ją może dosadnie tylko wszechstronne rozpatrzenie się w kwestyach lokalnych, jakie podejmuje, i w charakterze wybitnych jego działaczy. Nie należy atoli tracić z uwagi, że sekciarstwo, jako konglomerat ciał religijnych („konneksyi“) nie ma agentów reprezentacyjnych, lub ich ma, z konieczności, niewielu. Pochodzi to ztąd, że nonkonformizm nie posiada widzialnéj organizacyi, a rządy jego po gminach są oligarchijne. Duchowny *minister* jest o tyle tylko człowiekiem znaczenia, o ile posiada dwa warunki: wymowę i taktowną uległość gminie. Właściwie mówiąc, minister nie potrzebuje zawodowego wykształcenia, bo, jak wiemy, sekciarstwo obchodzi się najwygodniéj bez dogmatyki i metafizyki. Jednakże istnieją liczne zakłady przygotowawcze do tego arcytrudnego powołania, a wśród nich najsłynniejszym jest instytut w Homerton. Gmina, potrzebująca duchownego dla swego zboru, ogłasza wakans, spra-

sza kandydatów i tego wybiera, który się jéj wydaje najtęższym w języku, najgwałtowniejszym wrogiem anglikanizmu i... obiecującym najwięcéj uległości dla gminy, t. j. dla przedstawiającego się komitetu dyakonów. Ci dyakoni, obrani przez gminę z pomiędzy najzamożniejszych, administrują dochodami zboru, płacą duchownemu stałą pensyę, krytykują jego kazania, kontrolują jego stosunki towarzyskie... wreszcie odprawiają go z kwitkiem, skoro tylko kazania przestaną wypełniać płatne krzesła w domu modlitwy, lub jeśli miejscowe komeraże oskarżą go o jedną z tysiąca parafialnych ułomności. Kto chce miéć pojęcie o helotyzmie sekciarskich ministrów w Anglii, niech przeczyta seryę powieści pani Oliphant, p. t. *The Cronicles of Carlingford*, zwłaszcza: *Salem Capel*. Podejrzanym jest minister z wychowaniem wytwornem, z zamiłowaniem do studyów niesekciarskich; wyklętym jest, jeśli przestaje z obywatelstwem (*gentry*), jeśli żona jego chce uchodzić za *lady*. Nieżonaty minister jest najnieszczęśliwszą istotą, bo czyhają nań młodsze i starsze nonkonformistki, a biada mu, jeśli nie potrafi walczyć przeciwko wiatrakom ich sideł, intryg i mściwych plotek!

Są ludzie wybitni w tego rodzaju „duchowieństwie“, ci jednakże słyną przeważnie jako moraliści, mniéj zaś jako polemicy. Najznakomitszym z nich jest leżący obecnie w śmiertelnéj chorobie Karol Spurgeon; najsłynniejszym kaznodzieją jest Józef Parker (w Londynie). Ale nonkonformizm nie byłby tém, czém jest, gdyby wytwarzał filozofów, homiletyków i moralistów; wszakże agnostyk Bradlaugh był filarem independentyzmu w parlamencie i kraju, a Karol Dilke jemu tylko zawdzięczy powrót do izby po najbliższych wyborach! Nie! nonkonformizm grubo materyalistyczny jest dlatego potęgą, bo z jego to łona powstają bezustannie organizacye społeczno-polityczne. Jego wiejskie i małomiejskie kluby kierują opinią publiczną, wyprowadzają na widownią lokalną odpowiednich menerów, szerzą swą propagandę purytańsko-radykalną w miejscowych gazetach, a słuchają jednego tylko głosu: organizacyi i klubów centralnych swéj „konneksyi“. Wielkim augurem independentyzmu jest William Schnadhorst, prezes unii radykalnéj, mającéj siedzibę swą w Birmingham; generalną kwaterą parlamentarnych członków unii jest londyński „klub narodowo-liberalny“, założony w r. 1885-tym. Do posłów, reprezentujących nonkonformizm, otwarcie i poniekąd oficyalnie należą: Labouchère, szef partyi skrajnych radykalistów, Broadhurst, Stansfeld, Storey, Cobb, Picton, Pickersgill, słynny adwokat sir Karol Russell i kilku innych, mniéj głośnych. Każda miejscowość w W. Brytanii i w północnéj Irlandyi ma swój nonkonformistowski organ prasowy — a w konserwatywnym Londynie najgłośniejszemi są: *Daily News*, *Pall-Mall-Ga-*

zette i *Star* z pism codziennych, zaś *National Reformer*, *Reynold's Newspaper*, *People* i *Noncorformist World*—z tygodniowych.

Źle się wywiązałem ze swego zadania, jeżeli czytelnik wniesie z tego wszystkiego, że działalność nonkonformizmu ma swój doniosły pierwiastek zachowawczy. Musi go przecież posiadać w znacznéj mierze, boć on wypływa z saméj purytańskiéj religijności. Dekalog jest kodeksem sekciarza w życiu prywatném i publiczném. Tém się tłómaczy, że olbrzymie bezrobocia, z których najmniejsze sprowadziło-by w innych krajach krwawe zatargi (by tylko przypomnieć Fourmières!), tutaj trwają bez porównania dłużéj, odbywają się spokojnie, z trzeźwą zaciętością stron obydwóch, bez interwencyi policyjnéj i wojskowéj; kończą się pod wpływem rozjemczym, obustronnemi ustępstwami. Były w Londynie niemal krwawe rozruchy, lecz spowodowała je charakterystycznie drobna tu garstka t. zw. „socyalno-demokratów", z pomocą motłochu i zaułkowéj dziczy kosmopolitycznéj. Rzemieślnik angielski i szkocki jest nonkonformistą, stara się być uczciwym człowiekiem, a ulg materyalnych oczekuje cierpliwie z parlamentu, gdzie zwycięztwo jego „konneksyi" już świta... Dowodzą tego ostatnie ustępstwa obozu torysowskiego.

Na tém tle religijno-społeczném dziwnie się rysuje wielka sylwetka męża, stojącego na czele liberalno-radykalnego obozu! Panu Gladstone'owi było widać przeznaczoném, że w pewnych życia i karyery swéj peryodach stawać się będzie najpotężniejszym burzycielem swych własnych słupów kresowych. Rówieśnicy młodzieńczych lat jego w Eton i w Oxfordzie przepowiadali mu dostojeństwo prymasa Wszech Anglii, wielkie powagi wszechnicy widziały w młodym torysie przyszłą podporę tronu i stronnictwa. W dziesiątym roku służby parlamentarnéj, Gladstone przeszedł do stronnictwa whigów... a istotną sprężyną tego ówcześnie tak rozgłośnego zwrotu było oburzenie posła z powodu oportunistycznéj taktyki sir Roberta Peela w prawodawstwie, dotyczącém ceł zbożowych. Pamiętając o tém, przypomnijmy sobie, iż w tych samych latach był Gladstone (i pozostał nim aż do r. 1872) najgorliwszym i jednym z najznakomitszych mecenasów Kościoła państwowego w Anglii, Walii i Szkocyi; że aż do r. 1883 nonkonformiści prowadzili z nim zaciętą polemikę, zakończoną słynnym jego artykułem: „Kościół i Państwo" (*Nineteenth Century*, Listopad, 1883), w którym powoływał swych antagonistów do wspólnéj obrony angielskiego protestantyzmu przed „najazdem Watykanu"... Któż zaś nie wie, że od lat młodzieńczych do 75-go roku życia był Gladstone najwymowniejszym w izbie obrońcą parlamentarnéj jedności anglo-irlandzkiéj, że akcyę homerulerów napiętnował w r. 1884-tym słynném zdaniem o... „opryszkach, dążących poprzez

rabunek do rozćwiertowania imperyum"; że w ostatniém pięcioleciu swych rządów przeprowadził dwie srogie ustawy wyjątkowe dla Irlandyi, i że wespół z swym parlamentarnym namiestnikiem, sir W. Harcourtem, naśmiewał się—trzy miesiące przed swem „nawróceniem się do homerule'u—z torysów, jednających sobie głosy irlandzkie, „smażących się w sosie parnellowskim"—*stewing in Parnelite juice!* Dzisiaj próżno-by szukać męża stanu, który zaszedł daléj w oportunizmie! Dzisiaj ma Irlandya w Gladstonie najwięcéj obiecującego i najpotężniejszego sprzymierzeńca, a Kościół anglikański... zdeklarowanego wroga w parlamencie [1]), zapowiadającego jego zniesienie natychmiastowe w baptystowskiéj Walii i w prezbyteryańskiéj Szkocyi, opierającego całą siłę swego obozu na angielskim nonkonformizmie, ulegającego mu w sposób przykro skwapliwy i pokorny!..

Kameleonowych tych zmian w przekonaniach „wielkiego starca" nie podobna żadną miarą tłómaczyć niską ambicyą, gorączkową żądzą władzy. Starzec jest istotnie zbyt „wielkim" i był nim całe życie, by w zgrzybiałym wieku chylić się mógł po dotykalne korzyści pierwszego w kraju stanowiska. W analizie jego charakteru uderza nas wprawdzie, obok głębokiéj religijności, namiętna i ciągła żądza władzy, lecz uzasadnić ją wypada temi czynnikami szlachetnemi, czy téż indyosynkrazyami, o których wspomniałem ogólnikowo na wstępie téj pracy. Oto, co czytam w najświeższéj biografii Gladstone'a [2]): „Od lat młodzieńczych był świadomy swych wysokich dążeń i wielkich zdolności. Pragnął usilnie przysługiwać się swemu pokoleniu, a wiedział, iż miał ku temu wcale niespolite talenta. Ażeby zdolności te i przymioty otrzymały swobodne pole, posiadaczowi ich było koniecznem znaleźć się na stanowisku poważném — przywództwa i kierownictwa. I tak się stało, że ambicya jest częścią jego religijności; bo ambicya nie znaczy w nim nic innego, jak stanowczą determinacyę posiadania takiéj urzędowéj kontroli nad państwową maszyną, która-by mu pozwoliła spełnić zadanie przeznaczenia w opatrznościowym porządku i wywiązywać się — na jak najszerszą skalę i wśród najlepszych sposobności — z tego, co on uważa za obowiązek swój względem Boga i człowieka".

Nie wątpię ani na chwilę, że ten sąd biografa wyda się kolosalnym sofizmatem religijnego Anglika. Gdyby przyszło zapuścić krytyczną analizę w umysł i tego biografa, i jego bohatera, i w całą umysło-

---

[1]) W życiu prywatném jest on, jak wiadomo, najprzykładniejszym anglikaninem.

[2]) The Right Hon. W. E. Gladstone. By George W. E. Russell (Sampson Low and Co., London 1891).

wość jego społeczeństwa, możebyśmy znaleźli gdzieś na dnie ruchome piaski wszech-sofistycznéj natury... Lecz i temu niepodobna zaprzeczyć, że na tych piaskach tyle i takich powstało budowli, iż sami ich architekci albo zapomnieli o nich, lub je uznali za grunt w tym świecie najodpowiedniejszy. Na takich samych piaskach stoi angielski nonkonformizm, a nie wiemy, w jakim stosunku jest on świadom tego; owszem, domyślamy się, że, doszedłszy do ogromnéj potęgi, zaważył nią skutecznie na swém pierwotném podścielisku.

Na tém dziś poprzestaję. Czytelnik pism codziennych zrozumie teraz może łatwiéj istotne zagadnienia w wewnętrznėm gospodarstwie Anglii, jéj rzeczywiste prądy i siły polityczne, stanowisko jéj parlamentarnych obozów. Czas krótki rozdziela to położenie dzisiejsze od wielkiéj kampanii wyborczéj, mającéj otworzyć w Westminsterze nową erę konstytucyjnego rozwoju W. Brytanii. Izba niższa ma być, i zapewne będzie w saméj rzeczy: *the House of Commons*—Izbą Gmin.

Edmund S. Naganowski.

GWIAZDY ZMIENNE

i nowe ich teorye.

I.

Niebo jest dla nas symbolem spokoju, ale spokój ten pozornym jest tylko. Nie wszystkie bowiem gwiazdy jednostajnie zawsze świecą,—znaczna liczba tych słońc dalekich posiada blask zmienny, płoną one już to słabiéj, już silniéj, zdradzając tą niejednostajnością swego blasku, że i wśród niezmierzonych przestrzeni niebieskich ruch i życie wre również potężnie, jak w naszym układzie słonecznym. Niekiedy zaś, jakby objaw gwałtownego a tajemniczego przewrotu, ukazuje się na sklepieniu nowa, zagadkowa gwiazda, i ginie znów w ciemnéj otchłani, z któréj się wynurzyła. Śród wszystkich zjawisk wszechświata najwspanialszém może i najpotężniejszém jest właśnie to powstawanie nowych słońc, wobec których ziemia nasza nieznacznym jest drobiazgiem. I w dawnych tedy, przedteleskopowych czasach, gdy o obszarach świata i o wielkości gwiazd nader skromne miano pojęcie, ukazywanie się nowych tych świateł, jako widoczny objaw tajemniczéj siły tworzenia z niczego, wywoływało zdumienie i przestrach, a zdarzenia te zapisywano w rocznikach narodowych.

Wypadek taki wywarł nawet silny wpływ na rozwój astronomii; jeżeli bowiem rzetelne jest świadectwo Pliniusza, to ukazanie się nowéj gwiazdy w r. 125 przed Chr. skłonić miało Hipparcha, którego nieledwie ojcem astronomii nazwać można, do spisania pierwszego

katalogu gwiazd, a to w tym celu, by następni obserwatorowie mogli się przekonać, czy nietylko nowe gwiazdy się tworzą, ale czy i dawne giną, i czy posiadają one jaki ruch własny. Gwiazda Hipparcha jest najdawniejszym tego rodzaju tworem, o którym wieść nas doszła. W wiekach średnich znajdujemy wzmianki o chwilowych gwiazdach u pisarzy chrześciańskich i arabskich, ale najobszerniejszy ich wykaz przechowali nam Chińczycy, którzy z niezmordowaną wytrwałością notowali wszelkie niespodziane na niebie zjawiska, jak nowe gwiazdy, komety, kule ogniste, i od początku naszéj ery aż do schyłku niemal wieków średnich pozostawili nam najpewniejsze i najbogatsze co do téj rzeczy materyały. Możność korzystania z nich zawdzięczamy encyklopedyi chińskiéj Matuanlina, ułożonéj około r. 1300 po Chr., a przełożonéj przez Edwarda Biota, syna znakomitego fizyka, Jana Chrzciciela Biota.

Zarówno wszakże europejskie, jak i chińskie kroniki istotnéj korzyści nauce nie oddają, a to z powodu niedokładnego oznaczenia położeń tych nowych brył niebieskich; niewiele ściśléj przechowano i daty tych objawów, co utrudnia zestawienie różnych źródeł. Nie brak zresztą w tych wieściach i przesady średniowiecznéj; tak np. astronomowie arabscy z czasów kalifa Almamuna wspominają o gwieździe, która w pierwszéj połowie dziewiątego stulecia błyszczéć miała tak silnie, jak księżyc w czasie pierwszéj kwadry, a osobliwsza jeszcze jest wzmianka chińska o gwieździe w wieku szesnastym, tak wielkiéj, jak słońce! W ogólności jednak ukazywanie się gwiazd nowych jest zjawiskiem dosyć rzadkiem, bo z czasów przedteleskopowych, według źródeł europejskich, znamy tylko siedm takich dostatecznie pewnych przypadków, a doliczyć się ich można szesnastu, gdy dodamy do tego spisy chińskie.

Żadna wszakże z tych „nowoutworzonych“ gwiazd nie pozostała na firmamencie; po pewnym czasie, po kilku miesiącach w ogólności, każda gasła. Ale gasła może tylko dla oka nieuzbrojonego, teleskop zapewne dozwalałby dostrzegać ją dłużéj; może téż zniknięcie jéj było tylko pozorne, może każda z owych gwiazd nowych była tylko rozpłomienioną na chwilę drobną gwiazdką, która znów do skromnego swego wróciła stanu i dotąd na niebie miejsce swoje zajmuje. Potężne dzisiejsze narzędzia mogłyby zapewne wątpliwość tę rozstrzygnąć, gdyby dawni obserwatorowie byli w możności pozostawienia nam dokładnych danych o położeniu ciał niebieskich. W katalogu Ptolemeusza wszakże błędy dochodzą 10 minut w łuku, to jest stanowią niemal trzecią część tarczy księżyca, a najznakomitszy z obserwatorów przedteleskopowych, Tycho Brahe, zdołał dokładność w oznaczaniu miejsca gwiazdy posunąć zaledwo tak daleko, że błędy

jego wynoszą jedną lub dwie minuty. Dziś katalogi gwiazd wtedy dopiero nazywamy dokładnemi, gdy błędy nie przewyższają jednéj sekundy, lubo w wyjątkowych razach ścisłość tę posunąć można aż do 0.1 sekundy.

Otóż gwiazdy drobne, od dziesiątéj wielkości i słabsze, teleskopom tylko dostępne, tak obficie są po niebie rozrzucone, że niepodobna rozstrzygnąć, czy drobna jakaś gwiazdka, któréj położenie różni się o kilka minut od miejsca, na którém ukazała się niegdyś pewna gwiazda nowa, jest z nią identyczna, czy téż przedstawia odrębną bryłę niebieską.

Pierwszą dokładną obserwacyę zjawiska nowéj gwiazdy zawdzięczamy dopiero sławnemu przeciwnikowi Kopernika, Tychonowi. „Gdym wrócił ze swych podróży po Niemczech—opowiada on w swych Progymnasmata — bawiłem w dawnym klasztorze Herritzwodt, u mego wuja, Steno Bille, a pracownię swą chemiczną opuszczałem dopiero wieczorem. Pewnego wieczora—11 Listopada 1572 r.—gdy zwróciłem wzrok na dobrze mi znane sklepienie niebieskie, dostrzegłem ze zdumieniem, którego opowiedzieć nie zdołam, w pobliżu zenitu, w konstelacyi Kasyopei (znany gwiazdozbiór w północnéj okolicy nieba, łatwy do rozpoznania z postaci przypominającéj głoskę W), promienistą gwiazdę niewidzianéj jeszcze wielkości. Żywo wstrząśnięty tém zjawiskiem, nie wierzyłem własnym zmysłom. Aby się przekonać, że nie ulegam złudzeniu, i by zebrać świadectwa osób innych, wezwałem swych robotników z pracowni i rozpytywałem wszystkich przejeżdżających wieśniaków, czy podobnie, jak ja, widzą nagle rozpłomienioną gwiazdę. Następnie dowiedziałem się, że w Niemczech furmani i inne pospólstwo dopiero zwrócili uwagę astronomów na to wielkie zjawisko na niebie, co wtedy wznowiło zwykłe drwiny z ludzi uczonych, jak to ma miejsce i przy ukazywaniu się poprzednio niezapowiedzianych komet. Nowa gwiazda nie posiadała ogona, ani téż nie była otoczona obłokiem, zupełnie podobna do innych gwiazd stałych, ale iskrzyła się silniéj jeszcze, aniżeli gwiazdy pierwszéj wielkości. Blaskiem górowała nad Syryuszem, nad Lirą i nad Jowiszem. Porównać można ją było jedynie do Wenery, gdy przypada najbliżéj ziemi, gdy tylko czwarta jéj część jest oświetlona. Ludzie, obdarzeni bystrym wzrokiem, dostrzegali podczas pogody nową gwiazdę za dnia, nawet w godzinach południowych. W porze nocnéj, przy niebie zachmurzoném, gdy wszystkie inne gwiazdy były zakryte, widziano ją kilkakrotnie wskróś chmur niezbyt grubych. Odległości od innych gwiazd Kasyopei, które w ciągu całego następnego roku starannie mierzyłem, przekonały mnie o jéj zupełnéj nieruchomości. Już jednak w Grudniu 1572 r. blask jéj począł słabnąć, gwiazda stała się równą

Jowiszowi; w r. 1573 świeciła już słabiéj aniżeli Jowisz. Następne oceny fotometryczne wykazały, że w Lutym i Marcu dorównywała gwiazdom pierwszego rzędu, w Kwietniu i Maju gwiazdom drugiego, w Lipcu i Sierpniu trzeciego, w Październiku i Listopadzie czwartego rzędu. Przejście od stopnia piątego do szóstego miało miejsce od Grudnia 1573 do Lutego 1574 r. Podczas następnego miesiąca nowa gwiazda znikła bez śladu dla oka, świeciła zaś na niebie przez siedmnaście miesięcy."

Widzimy więc, że blask gwiazdy malał stopniowo; w jaki sposób poprzednio się wzmagał, nie wiemy, przyjąć wszakże można z pewnością, że nastąpił dosyć nagle, inaczéj bowiem gwiazda byłaby niewątpliwie przed epoką najwyższéj swéj jasności dostrzeżoną. Tycho zanotował téż i zmiany barwy, jakim ona ulegała: z początku, przez dwa miesiące, gdy gwiazda błyszczała tak silnie, jak Wenus, była białą, następnie stała się żółtą, potém czerwoną, na wiosnę porównywał ją Tycho do Marsa, a daléj do Betejgezy w Oryonie i Aldebarana. W Maju odzyskała w sposób uderzający barwę białą, w Styczniu 1574 r. stała się jakby zamgloną i migotała silnie aż do swego zaniku.

W ostatnich czasach odszukał d'Arrest, w niewielkiéj odległości jednéj minuty od miejsca wskazanego przez Tychona, drobną gwiazdkę jedenastéj wielkości; ze względów wszakże wyżéj przytoczonych, niepodobna wyrzéc z pewnością, czy jest to ów gość niebieski z r. 1572.

Z tą gwiazdą Tychonową złączono w osobliwy sposób legendę, o któréj w ostatnich czasach znowu dosyć prawiono, należy więc nam tu o niéj wspomnieć. W r. mianowicie 1264, według pewnéj notatki kronikarskiéj, błyszczéć miała jasna gwiazda między Cefeuszem a Kasyopeą, w téjże saméj zatém okolicy nieba, co i gwiazda Tychonowa; a tenże sam kronikarz przytacza mniéj jeszcze pewną wiadomość, że w téjże stronie ukazała się gwiazda w r. 945. Opierając się więc na tych niejasnych i pobieżnych wzmiankach, zestawiono je z obserwacyą Tychona i przypuszczono, że są to objawy jednéj i téjże saméj gwiazdy, która się ukazuje mniéj więcéj co lat 300 do 320. Licząc zaś okresy te wstecz, natrafiono na początek ery chrześciańskiéj, wywnioskowano więc, że taż sama gwiazda świeciła i w owym czasie, że była to słynna gwiazda betleemska. Rozumowanie takie wystarczyć może zapewne tylko dla ludzi niezbyt wybrednych w wyborze argumentów; różne jednak pisma zapowiadały na rok bieżący powrót téj „gwiazdy betleemskiéj", teraz bowiem upływa właśnie lat 319 od obserwacyi Tychona, to jest okres takiż sam, jaki oddziela dwa przypuszczalne zjawienia się téj gwiazdy w r. 945 i 1264.

Dotąd na urzeczywistnienie się téj zapowiedzi czekamy napróżno, nieraz zapewne jednak jeszcze przyjdzie się nam z legendą tą spotkać w pismach codziennych.

Jak Tycho, tak wkrótce potém i genialny jego następca w obserwatoryum praskiém miał sposobność obserwowania nowéj gwiazdy. Gwiazda ta, związana z nazwiskiem Keplera, została wszakże po raz pierwszy dostrzeżona nie przez tego wielkiego astronoma, ale przez ucznia jego, Jana Brunowskiego, dnia 10 Października 1604. Wydała mu się większą od wszystkich gwiazd pierwszéj wielkości, jaśniejszą niż Jowisz i Saturn, ale słabszą niż Wenera. Inny obserwator, Herlicius, twierdził, że widział ją już 27 Września. Świetnością nie dorównywała gwieździe Tychonowéj, za dnia nie zdołano jéj nigdy dojrzéć, iskrzyła się wszakże daleko silniéj, czém wzbudzała podziw dostrzegaczy. Gdy była blisko poziomu, iskrzenie jéj połączone było z żywemi barwami; gdy wznosiła się wyżéj, a wpływ atmosfery dostrzeżeń nie mącił, była biała. W początkach Stycznia błyszczała jaśniéj niż Antares, gwiazda pierwszéj wielkości w gwiazdozbiorze Niedźwiadka, nie tak wszakże silnie jak Arktur w Wolarzu, który obok Wegi w Lirze jest najświetniejszą gwiazdą północnéj półkuli nieba. W końcu Marca opisuje ją już Kepler jako gwiazdę trzeciéj wielkości, od Listopada 1605 do Lutego 1606 była niewidzialną z powodu sąsiedztwa słońca, w początkach zaś Marca znikła bez śladu. Obecnie znajdujemy gwiazdkę 11—12 wielkości, odległą aż o trzy minuty od miejsca, zajętego przez gwiazdę Keplera, wątpliwość przeto co do identyczności jest tu większa jeszcze, aniżeli w przypadku poprzednim.

W wieku siedmnastym miały zresztą miejsce trzy jeszcze podobne zdarzenia niebieskie; nowe te gwiazdy nie przechodziły wszakże trzeciéj wielkości i ogólnéj uwagi nie zwróciły. Następnie, przez półtorasta z górą lat nie dostrzeżono podobnego zakłócenia ładu niebieskiego, dopiero w r. 1848 ukazała się gwiazdka szóstéj, a w r. 1860 siódméj wielkości. Ale najważniejszém tego rodzaju zjawiskiem w naszém stuleciu, a które z różnych względów za epokowe uważać można, jest zjawienie się gwiazdy drugiéj wielkości w gwiazdozbiorze Korony północnéj, w Maju 1866 r. Dorównywała ona jasnością „Perle“, najświetniejszéj gwieździe téj konstelacyi, która się łatwo od sąsiedztwa swego wyróżnia kołową swą postacią. Kto pierwszy nową tę gwiazdę dojrzał, rzecz to nierozstrzygnięta; w sporze wszakże o drobne to pierwszeństwo idzie nie o nazwisko przypadkowego obserwatora, ale o zbadanie, czy gwiazda nagle w pełnym się blasku wynurzyła, czy też światło jéj przez kilka dni stopniowo się wzmagało. Schmidt w Atenach, który właśnie tę okolicę nieba dla innych

celów przeglądał, zapewnia, że 12 Maja przed godziną 10 wieczorem nie było w tém miejscu gwiazdy nawet 4-éj wielkości, a tegoż samego jeszcze wieczora dostrzegło ją przynajmniéj pięciu astronomów jako gwiazdę 2 éj wielkości. Prawdopodobnie więc ukazała się nagle w pełnéj okazałości, poczém bladła szybko; już po dwu dniach zeszła do trzeciéj, po czterech do czwartéj, a 19 Maja była już ledwie szóstéj wielkości, zstąpiła zatém do rzędu gwiazd najsłabszych, okiem nieuzbrojoném jeszcze widzialnych, i ukryła się przed wzrokiem, nie wspartym potęgą lunet.

Ukazanie się téj gwiazdy chwilowéj nazwaliśmy zdarzeniem epokowém, ona bowiem dopiero nauczyła przekonywająco, jak trzeba rozumieć to tworzenie się nowych słońc. Gdyby wystąpiła w czasach dawnych, przedteleskopowych, trzeba-by ją było uważać za utwór nowy, który z otchłani nieba równie tajemniczo wystąpił, jak w niéj się rozwiał; zjawiła się wszakże w czasach wysoko już posuniętéj znajomości nieba, w czasach, gdy posiadamy spisy gwiazd, nietylko gołém okiem widzialnych, ale i drobniejszych, których istnienie pozostało-by na zawsze dla nas tajemniczém, gdyby wzrokowi naszemu w pomoc nie przybył teleskop. Na zasadzie zaś tych spisów możemy dziś ze wszelką pewnością powiedzieć, że „nowa“ ta gwiazda zgoła nie była nową, zapisaną już bowiem była w olbrzymim katalogu Argelandra i błyszczała statecznie na niebie, jako gwiazda 9—10 wielkości, zbyt zatém drobna, by ją oko nieuzbrojone dojrzéć zdołało. Nie rozwiała się téż w nicość, lecz wróciła tylko do pierwotnego, skromnego swego stanu, i znów jako gwiazda 9-éj wielkości pozostała na swojém miejscu. Nie jest to więc słońce nowe, przez jakąś igraszkę przyrody na czas krótki do życia powołane, ale tylko słońce, na chwilę rozjaśnione, rozpłomienione.

W dziesięć lat późniéj powtórzyło się podobne zjawisko. W r. 1876 mianowicie dnia 24 Listopada, dostrzegł Schmidt nową gwiazdę w gwiazdozbiorze Łabędzia na drodze mlecznéj. W chwili ukazania się swego była 3-éj wielkości, w początkach 1877 r. była już dla oka nieuzbrojonego niedostępną, a obecnie widzianą być może przez najsilniejsze tylko teleskopy. I przed zabłyśnięciem swém chwilowém była ona niewątpliwie gwiazdką również drobną, niezaznaczoną w katalogach; najobszerniejszy bowiem spis Argelandra obejmuje jedynie gwiazdy 9-éj a niewszystkie już 10 wielkości. Jakkolwiek przeto wypadek ten nie tak dobitne, jak poprzedni, rzuca światło na sprawę tych zjawisk niebieskich, niemniéj wszakże nikt już dziś nie wątpi, że ułudne powstawanie gwiazd nowych polega jedynie na wzmaganiu się blasku gwiazdek, stale na niebie błyszczących.

Pewność tę zawdzięczamy zarówno teleskopowi, który rozszerzył granice świata, wzrokowi naszemu dostępnego, jak i dokładnym narzędziom mierniczym, pozwalającym oznaczać położenie ciał niebieskich z nieznaną dawniéj ścisłością. Nietylko jednak teleskop w pomoc nam tu przybył; ukazanie się dwu tych gwiazd, w Koronie północnéj i w Łabędziu, miało miejsce już za czasów spektroskopu, który pozwala nam czytać w rozszczepionym promieniu światła i o naturze ciała niebieskiego bezpieczne wnioski wysnuwać. Spektroskop nietylko potwierdził, co nam teleskop wskazał, ale odsłonił nadto, jak zobaczymy, źródło blasku tych gwiazd nagle rozplomienionych.

Najnowsze wreszcie tego rodzaju zjawisko nastąpiło w r. 1885, lubo w warunkach nieco odmiennych, była to bowiem gwiazda rozżarzona nagle na tle mgławicy. Mgławice, jak wiadomo, są to utwory obłokowate, mające wejrzenie jakby odrywków drogi mlecznéj, rozrzucone po całém niebie, ale widzialne jedynie przez silne teleskopy. Kilka z nich tylko dojrzéć można słabo okiem nieuzbrojoném w czasie nocy ciemnych i pogodnych, a do tych najokazalszych utworów tego rodzaju należy rozległa mgławica w gwiazdozbiorze Andromedy, gdzie właśnie ukazała się gwiazda, o któréj teraz mówimy. Dostrzegł ją Hartwig w Dorpacie dnia 31 Sierpnia 1885 r. w pobliżu tak zwanego jądra mgławicy, to jest jéj części środkowéj, najbardziéj skupionéj i najświetniejszéj; jak się wszakże okazało następnie, widziano ją już d. 19 Sierpnia około północy. Nie była to zresztą gwiazda jasna, w chwili największego swego blasku doszła zaledwie 6.5-éj wielkości, osiągnęła zatém ten jedynie stopień jasności, jaki posiadają najsłabsze, gołém jeszcze okiem widzialne gwiazdy. W kilka dni późniéj osłabła już do 8-éj, w połowie Października do 11-éj wielkości, a wreszcie wróciła mgławica do zwykłego swego wejrzenia, nowa zaś gwiazda znikła. Barwa jéj, z początku pomarańczowa lub czerwonawa, przeszła następnie w niebieskawą, a daléj w białą. Ukazanie się téj gwiazdy na tle wielkiéj mgławicy Andromedy nasuwało domysł, że jest ona z tą mgławicą związana fizycznie, że jest jakby objawem jéj zgęszczenia; według wszakże badań Trouvelot'a, oraz Hasselberga, przypuszczenie to okazało się nieuzasadnioném. Nowa bowiem gwiazda przedstawiała zarysy wyraźne, niezamglone, znajdowała się zatém prawdopodobnie bliżéj nas, aniżeli mgławica, i tylko na jéj tło się rzucała.

Gwiazda z r. 1885 zamyka dotychczasowe dzieje gwiazd nowych; rozchodziły się wprawdzie w ostatnich latach kilkakrotnie wieści o ukazaniu się gwiazdy w téj lub owéj okolicy nieba, były to wszakże spostrzeżenia błędne, zbyt pośpiesznie przez autorów rozgłaszane.

II.

Właściwe gwiazdy zmienne nie mają dziejów tak dawnych, bo w szesnastym wieku nic jeszcze o nich nie wiedziano. W r. 1596 dopiero, 13 Sierpnia, dostrzegł proboszcz Dawid Fabricius, uczeń Tychona, w gwiazdozbiorze Wieloryba, gwiazdę drugiéj wielkości, któréj nigdy nie widział i która w katalogach nie była zaznaczona. W Październiku tegoż roku gwiazda znikła, a Fabricius nazwał ją „gwiazdą cudowną“ (Mira Ceti). W r. 1603 dostrzegł w témże samém miejscu w gwiazdozbiorze Wieloryba gwiazdę czwartéj wielkości i na kartach, które wydał, oznaczył ją głoską *o* (*o*-mikron). W sześć lat późniéj zobaczył znowu Fabricius swą gwiazdę i obserwował ją przez miesiąc, nie domyślając się, że ulega ona zmienności peryodycznéj. Następnie jednak o osobliwéj téj gwieździe nie słyszano, aż w r. 1638 dostrzegł ją znów Holwerda; była wtedy jaśniejszą od gwiazd trzeciéj wielkości, ale wkrótce zaczęła słabnąć, a w lecie 1639 r. już jéj Holwerda widzieć nie mógł. W Listopadzie tegoż roku wynurzyła się znowu, a odtąd nie ulegało już wątpieniu, że istnieją gwiazdy, świecące blaskiem zmiennym, już słabiéj, już silniéj. „Cudowna wieloryba“ żywo zaciekawiała astronomów dawniejszych i nowszych, a z obfitego materyału dostrzeżeń oznaczono, że okres jéj zmienności wynosi 331 dni i 8 godzin; przez większą część tego okresu pozostaje dla oka nieuzbrojonego niewidzialną, ale i w ciągu czasu, gdy jest widzialną, jasność jéj nie jest jednaką, niekiedy bowiem dochodzi do 2-éj, a niekiedy do 4-éj tylko wielkości; Argelander sądzi nawet, że z tym krótkim okresem wiąże się inny jeszcze, obejmujący 88 lat. Przy najświetniejszym swym blasku jest żółtą, przy słabym czerwoną.

„Cudowna“ ta gwiazda niedługo pozostała jedyną w swym rodzaju, w témże samém bowiem siedmnastém stuleciu odkryto trzy jeszcze inne gwiazdy zmienne, a najważniejszą z nich jest β Perseusza czyli Algol, mieszcząca się w głowie Meduzy. Jako gwiazda bardzo jasna, znana była ona oczywiście oddawna, dopiero jednak w r. 1669 poznał Montanari, że błyszczy ona niejednostajnie; zmiennością swą wszakże wyróżnia się zupełnie od poprzedniéj, cechuje ją bowiem uderzająca prawidłowość. Pospolicie jest Algol gwiazdą drugiéj wielkości i jasność tę zachowuje przez 2 dni i 13 godzin, następnie słabnie przez $3^1/_2$ godziny i dochodzi do czwartéj wielkości; w tym stanie pozostaje zaledwie przez 7 lub 8 minut, poczém równie szybko wraca do swego maximum. Cały wogóle okres obejmuje 2 dni, 20 godzin, 48.9 minut, a że w ciągu tego czasu właściwa zmien-

ność trwa tylko przez siedm godzin, tłómaczy to, że tak długo ukrywać się mogła przed bacznym wzrokiem astronomów.

Dopiero, gdy w końcu zeszłego wieku znajomość nieba stała się pełniejszą, pomnożyła się i liczba znanych gwiazd zmiennych, tak, że dotąd naliczono ich z górą 150, a ilość ta wzrasta niemal corocznie. Wielu astronomów nie skąpiło pracy na oznaczenie epoki najsilniejszego i najsłabszego ich światła, długości okresu, obszaru téj zmienności i całego wreszcie przebiegu tego zjawiska, a za radą Argelandra zgodzono się gwiazdy zmienne oznaczać wielkiemi głoskami łacińskiemi, począwszy od R, umieszczanemi przed nazwą gwiazdozbiorów, w których się gwiazdy te znajdują. Spis gwiazd zmiennych sporządzili astronomowie Winnecke i Schoenfeld, co do nieba zaś południowego, najwięcéj wiadomości zebrał Gould.

W długim tym spisie napotykamy znaczną rozmaitość, zarówno co do długości okresu i stopnia zmienności, jako téż i co do prawidłowości jéj przebiegu. Wogóle jednak dają się gwiazdy te podzielić na dwie grupy, których najwybitniejszemi przedstawicielkami są właśnie dwie najdawniéj odkryte i wspomniane wyżéj gwiazdy zmienne. Grupa pierwsza obejmuje gwiazdy, zachowujące się jak Algol, to jest okazujące zmienność regularną, w któréj wszystkie szczegóły powtarzają się zawsze jednakowo. Do grupy téj należy niemal połowa wszystkich gwiazd zmiennych; najkrótszy okres dwudniowy posiada S Wagi, ale większa ich część odbywa swe przeobrażenia w ciągu czasu dłuższego, wynoszącego około 300 dni, jak np. R Kruka, o okresie 319-dniowym, odkryta przez Karlińskiego w r. 1867, nawet w najsilniejszym swym blasku niewidzialna gołém okiem. Na uwagę zasługuje między innemi β Liry, która przy peryodzie 12-dniowym posiada dwa maxima i dwa minima, co zresztą okazują i inne, lubo nie tak wyraźnie. Zauważono téż, że w ogólności przyrost światła przechodzi znacznie prędzéj, aniżeli ubytek jego, i że w stanie największości lub najmniejszości gwiazda przedstawia blask prawie stateczny.

Niektóre z gwiazd zmiennych o krótkim bardzo okresie, a między niemi właśnie Algol, stanowią dział odrębny, cechujący się tém, że czas zmienności ogranicza się do kilku godzin zaledwie, przez dłuższy zaś daleko ciąg czasu są one stateczne. Cały okres zmienności gwiazdy T Cefeusza, odkrytéj przez Ceraskiego 1880 r., wynosi zaledwie trzy godziny niespełna.

Nazwaliśmy gwiazdy powyższe prawidłowo zmiennemi; prawidłowości téj nie można wszakże brać w znaczeniu ścisłém, bo trwanie okresu u wszystkich ulega pewnéj chwiejności, ale niejednostajność ta jest nieznaczną wobec zupełnéj nieregularności drugiéj grupy

gwiazd nieprawidłowo zmiennych; o wielu z nich wiadomo zaledwie, że blask ich nie jest stateczny, szczegóły wszakże tego przeobrażenia zgoła są nieznane.

Do najosobliwszych należy gwiazda η Okrętu Argo na półkuli południowéj nieba; w czasach dawniejszych notowali ją różni astronomowie, zwiedzający strony południowe, jako gwiazdę czwartéj, drugiéj lub pierwszéj wielkości. Za pobytu J. Herschla w Ziemi Przylądkowéj świeciła pierwotnie jako gwiazda 1—2 wielkości, w r. 1837 wzmogła się tak dalece, że zaledwie dwie gwiazdy na całém niebie przewyższały ją swym blaskiem; następnie zmalała, ale w r. 1843 powiększyła szybko swój blask tak, że dorównała niemal Syryuszowi. Od tego czasu słabła bezustannie, zeszła do 7-éj wielkości i ukryła się zupełnie przed wzrokiem nieuzbrojonym.

Gdyby wypadek ten zaszedł za czasów przedteleskopowych, mielibyśmy legendę o gwieździe wygasłéj, podobnie jak za następnym przyrostem blasku mogła-by się stać gwiazdą nową; stanowi ona przeto jakby przejście od właściwych gwiazd nowych do zmiennych. Żadna z tych ostatnich nie góruje nad nią blaskiem, gdy dochodzi najświetniejszego swego stanu, niektóre jednak przewyższają ją obszarem zmienności.

Widzimy, że ogólnych cech gwiazd zmiennych trudno się dopatrzyć. Zwrócono uwagę na to, że w sąsiedztwie drogi mlecznéj przytrafiają się one częściéj, aniżeli w oddalonych od niéj stronach nieba; przypisać to wszakże zapewne należy temu, że w téj okolicy gwiazdy są w ogólności najobficiéj rozrzucone. Ważniejszą okolicznością jest to, że znaczna większość zmiennych posiada barwę czerwoną, któréj powodem prawdopodobnie wspólna przyczyna. Algol tylko i inne z téjże grupy gwiazdy świecą światłem żółtém lub żółtawo-białém.

Niewątpliwie też daleko więcéj jest na niebie gwiazd zmiennych, aniżeli ich dotąd znamy, a Gould sądzi nawet, że należało-by tu zaliczyć może przeważną ilość ciał niebieskich, tylko że u wielu chwiejność blasku bardzo jest nieznaczną.

W każdym razie na polu tém dużo jeszcze do zrobienia pozostaje, a że obserwacya gwiazd zmiennych do łatwiejszych prac astronomicznych należy, stanowić może stosowne zajęcie nietylko dla astronomów z powołania, ale i dla amatorów astronomii. Idzie tu przedewszystkiém o jak najdokładniejsze porównanie jasności obserwowanéj gwiazdy z sąsiedniemi, a niewiele od niéj różniącemi się natężeniem światła. Pisma astronomiczne często podają wskazówki, ułatwiające prowadzenie tych dostrzeżeń.

III.

Zawiłe i różnorodne objawy, jakie zmienność gwiazd przedstawia, nie dozwalają nam objąć całego ogółu tych zjawisk jedną, wspólną teoryą, dlatego też astronomowie zestawiają wszystkie gwiazdy zmienne w pięć następnych kategoryi:

1) Gwiazdy nowe, czyli czasowe, jak gwiazda Tychona, albo gwiazdy z r. 1866 i 1876.

2) Gwiazdy o znacznych i nieprawidłowych zmianach blasku, o okresach kilkomiesięcznych lub kilkoletnich, jak „cudowna“ Wieloryba.

3) Gwiazdy o zmienności słabéj, któréj przebieg jest nam wogólności nieznany, jak np. α Oriona.

4) Gwiazdy jednostajnie zmienne, o okresach krótkich, jak β Liry.

5) Zmienne o okresie również krótkim i prawidłowym, ale wyróżniające się tém, że sama zmiana, to jest słabnięcie i przyrost blasku, ogranicza się do kilku godzin zaledwie.

Każda z tych grup stanowi dla nas jakby oddzielną zagadkę, a dla ich rozwiązania odwołać się musimy do analogii. Analogia bowiem, zestawiając i łącząc zjawiska odległe, dzielną nieraz pomoc badaniu naukowemu daje; ona-to przenosi myśl Newtona od jabłka spadającego do księżyca biegnącego koło ziemi, obok zjawisk światła nastręcza uwadze fizyka bardziéj dotykalne objawy głosu, wiedzie nas w ogólności od rzeczy znanych do nieznanych. Nieraz nadużywana, gdy się nią posługujemy jako drogą dowodzenia, nieocenioną jest zawsze, gdy myśl badacza na właściwe tory prowadzi.

W zadaniu, które nas teraz zajmuje, zjawiska analogiczne przedstawiają się nam w naszym układzie słonecznym, i sama bowiem bryła słoneczna, i krążące dokoła niéj planety, również pewne zmienności blasku okazują. Bryły te zaś są nam lepiéj znane, aniżeli owe słońca odległe, są bardziéj dostępne teleskopowi i spektroskopowi, — są one od nas oddalone na miliony tylko, a nie na tryliony mil.

Najlepiéj znaną przyczyną, wywołującą zmienność blasku w naszym układzie słonecznym, są niewątpliwie zaćmienia. Gdy między słońcem a ziemią przesuwa się księżyc, powstrzymuje on promienie naszéj gwiazdy dziennéj i światło jéj osłabia lub przytłumia zupełnie. Zaćmienia więc mogą również dawać powód do zmniejszania się blasku gwiazdy, gdy przyjmiemy, że dokoła niéj krąży ciemny towarzysz, zakrywający ją w stałych odstępach czasu i sprowadzający tym sposobem częściowe jéj zaćmienie.

Inne źródło chwiejności światła słonecznego przedstawia nam rozwój plam na słońcu. Na nieszczęście, bardzo nam jeszcze daleko do dokładnéj ich znajomości, jak wogóle do teoryi, która-by należycie obejmowała cały ustrój słońca i wszystkie na powierzchni jego zachodzące objawy; jakiekolwiek jednak o ich naturze miéć będziemy pojęcie, — czy to będą chmury, unoszące się nad jaśniejącą powierzchnią jądra słonecznego (Kirchhoff), czy stygnące i krzepnące na ognisto płynnéj bryle żużle (Zöllner), czy masy par, wyrzucane z wnętrza słońca i rozlewające się nad fotosferą (Secchi), czy wiry, ściągające do głębi słońca zimniejsze materye z górnych jego stref i sprawiające przez to przytłumienie jego światła i ciepła (Faye, Langley), czy zagłębienia fotosfery, których przyciemnienie tłómaczy się pochłanianiem promieni przez wypełniające ją pary i gazy (Young), czy jakiekolwiek zresztą inne o istocie ich pojęcie mamy; to zawsze pojmujemy, że epoce największéj obfitości plam odpowiada najsłabsza jasność słońca, a największy blask jego przypada na chwilę najmniejszego ich rozwoju. Chwiejność ta światła słonecznego jest wprawdzie tak nieznaczna, że dostrzédz jéj nie możemy, ale w każdym razie zgodzić się musimy na taką zależność jasności słońca od rozwoju plam, chybaby silniejszy rozwój światła w epoce ich nawiększéj obfitości wynagradzał ubytek, przez nie wywołany. Powiększenie się zaś to blasku słonecznego może być następstwem wzmożonéj działalności procesów słonecznych, w czasie bowiem silniejszego rozprzestrzeniania się plam, częstszemi są téż i wyskoki czyli protuberancye, niewątpliwie wybuchy warstw głębszych, rozjaśniające górne, ciemniejsze okolice słońca, choć na ogólną jasność słońca mają one wpływ również nieznaczny, jak i plamy, z któremi w ścisłéj zostają zależności.

Dla przedmiotu, który nas tu zajmuje, szczególnéj jest wagi, że staranne obserwacye w ciągu zeszłego i bieżącego stulecia wykazały niewątpliwą peryodyczność plam słonecznych. Przez dwa lub trzy lata są one większe i częstsze, następnie maleją i w sześć lub siedm lat dochodzą swego minimum; przerwy te nie są zupełnie stateczne, ale w każdym razie czas ich przyrostu trwa krócéj znacznie, aniżeli ich słabnięcia, przeciąg zaś całego okresu wynosi średnio lat $11^1/_9$, oprócz czego, zdaje się, że przyjąć należy i okres dłuższy, 55-letni.

Innego jeszcze rodzaju zmienność przedstawia nam w układzie słonecznym Japet, ostatni z księżyców Saturna. Blask jego ulega nader stałemu i znacznemu wzmaganiu się i słabnięciu; gdy znajduje się na zachód swéj planety jest jasny, tak, że należy do najjaśniejszych z pomiędzy ośmiu satelitów Saturna i daje się dostrzedz przy

pomocy słabéj nawet lunety; gdy natomiast ma położenie wschodnie, jest znacznie słabszy i wymaga silnéj już lunety. Dla wytłómaczenia osobliwéj téj rozmaitości blasku odwołać się wypada do dwu przypuszczeń: raz, że jedna strona tego księżyca jest jasna a druga ciemna, czyli raczéj, posiada daleko mniejszą zdolność odbijania światła, powtóre zaś, że podobnie, jak to ma miejsce z naszym księżycem, czas obiegu Japeta dokoła planety schodzi się z czasem obrotu dokoła osi, czyli, że ku swéj planecie zawsze jedną zwraca się stroną. Podobne zresztą zmiany światła okazują i księżyce Jowisza, w szczególności zaś czwarty.

Wogóle tedy w naszym układzie słonecznym napotykamy cztery źródła zmienności blasku: — zaćmienia, obroty brył niejednostajnego z różnych stron swoich blasku, prawdopodobne zaciemnienie przez rozwój plam i możliwe rozjaśnienie przez wybuchy protuberancyi.

IV.

Przytoczyliśmy tu zjawiska, w układzie słonecznym zachodzące, dla wyjaśnienia bowiem zmienności gwiazd odwołano się w ogólności do tychże samych czterech powodów.

Co się przedewszystkiém zaćmień tyczy, to tą tylko drogą wytłómaczyć można zmienność gwiazd, należących do grupy algolowéj. Secchi badał widmo Algola w różnych stopniach jego jasności i nie zdołał w naturze światła najmniejszéj wykryć różnicy; jeżeli fakt ten zestawimy z tym szczegółem charakterystycznym, że cały przebieg jego zmienności ogranicza się do kilku zaledwie godzin, pojmiemy łatwo, że niejednostajność blasku téj gwiazdy da się najlepiéj wytłómaczyć, gdy przyjmiemy, że dokoła niéj krąży ciemny towarzysz, zakrywający ją w stałych odstępach czasu i sprowadzający tym sposobem częściowe jéj zaćmienie. Rozumie się, że towarzysz ten ciemny, aby w takiéj od nas odległości wywoływać mógł zaćmienie gwiazdy, musiałby w stosunku do taméj gwiazdy posiadać wielkość bez porównania znaczniejszą, niż planety słoneczne względem swéj gwiazdy naczelnéj; przypuszczenie to wszakże nie może przedstawiać trudności istotnych, odkąd wiemy, że z Syryuszem związana jest ciemna gwiazda, przewidywana przez Bessla, obliczona przez Petersa, a dostrzeżona nakoniec przez Clarka w Styczniu 1862 r.; ciemność tę zresztą w znaczeniu tylko względném rozumiéć tu należy, według Auwersa bowiem, towarzysz Syryusza, przy masie dwa razy od niego mniejszéj, świeci przeszło 5000 razy słabiéj. Podobnegoż rodzaju gwiazdą podwójną jest prawdopodobnie i Procyon. Tego właśnie rodzaju ma

być i towarzysz Algola; aby zaś zaćmienia te zdarzać się mogły, droga téj ciemnéj gwiazdy przechodzić winna przez linię, od nas do niéj wiodącą. Pickering nawet zadał sobie pracę obliczenia drogi téj podwójnéj gwiazdy zmiennéj, — wywody te były najzupełniéj hypotetyczne, inną wszakże drogą, jak zobaczymy niżéj, nauka domysł ten w świetny sposób potwierdziła.

Inne gwiazdy, również prawidłowo zmienne, należące do czwartéj grupy, według zestawienia Pickeringa, nie dają się już wytłómaczyć przez przypuszczenie krążących dokoła nich ciemnych satelitów. Do tego przypadku odnieść się daje hypoteza, pomyślana jeszcze w wieku siedmnastym, obrotu gwiazd niejednakowo ze wszech stron jasnych; gwiazda taka, obracając się dokoła osi, przedstawia nam już to świetniejszą, już ciemniejszą swą stronę, zkąd wypływa zmienność peryodyczna o okresach krótkich. Hypotezę tę najdokładniéj rozwinął również Pickering: przypuszczając, że gwiazda po różnych swych stronach niejednakiéj jest jasności, że daléj, posiada postać elipsoidalną, i przyjmując oś jéj najkrótszą za oś obrotu, wyprowadził wzory, okazujące dostateczną zgodność z prawami zmienności kilku gwiazd, jak β Liry, δ Cefeusza i innych; tą drogą, przypuszczenie to, dawniéj luźne, nabrało pewnego prawdopodobieństwa.

Co do innych, nie tak prawidłowo zmiennych gwiazd, analogia ze zjawiskami słonecznemi nasuwa łatwo hypotezę plam, rozwijających się silniéj w więcéj lub mniéj statecznych odstępach czasu. W 1667 r. tłómaczył już tą drogą Bouillaud zmienność „cudownéj“ Wieloryba, a nie można powiedzieć, iżby od tego czasu rzecz ta ściśléj uzasadnioną została. Jedynie tylko analiza spektralna mogła-by nas nauczyć, czy światło tych gwiazd ulega zmianom tylko ilościowym, czy też widmo w różnych ich stanach zgoła odmienne przedstawia cechy; badania te wszakże wymagają dłuższego czasu od tego, jaki upłynął od początku badań spektralnych. Hypoteza plam znajduje silne poparcie w téj okoliczności, że przejście od najsłabszego do najsilniejszego blasku dokonywa się w ogólności prędzéj, aniżeli słabnięcie światła; tenże sam szczegół przedstawia nam rozwój plam na słońcu, a chociaż wytłómaczyć go nie umiemy, to zawsze prawdopodobną jest tu wspólność przyczyny. Wyobraźmy sobie słońce przeniesione na odległość choćby najbliższéj gwiazdy, a przedstawi się nam jako gwiazdka niezbyt jasna, słabo zmienna o okresie jedenastoletnim; okres rozwoju plam mógłby się przedstawić w okresie jéj zmienności, bylebyśmy uchwycić mogli drobne różnice jéj blasku. A ileż-to może świeci gwiazd na niebie, na których rozwijające się plamy wywołują zmiany, ale tak nieznaczne, że ich dotąd dostrzédz nie zdołano.

W przedmiocie tylko gwiazd nowych oddał nam spektroskop ważniejsze usługi. Jakkolwiek w czasach, gdy nauka posługiwała się już tym przyrządem, trzy tylko ukazały się gwiazdy nowe, wyniki badań są tu niewątpliwe. Widmo gwiazdy z r. 1866 rozpatrywał Huggins i dopatrzył w niém jakby kombinacyę dwu widm, — na tle bowiem zwyklego widma absorbcyjnego, jakie okazuje słońce i przeważna część innych gwiazd, wybijało się kilka linii jasnych, których położenie wskazywało wyraźnie, że stanowiły one widmo płonącego wodoru. Analogia więc do protuberancyi słonecznych łatwo się tu narzuca i śmiało przyjąć możemy, że na gwieździe téj nastąpił wybuch płonącego wodoru, wybuch tak olbrzymi, że powierzchnię téj słabo świecącéj gwiazdy nagle rozpalił i rozjaśnił. Potężnemi więc tylko rozmiarami góruje zjawisko to nad zwykłemi objawami słonecznemi, a w miarę jak nikły ślady tego niepojętego zaburzenia, gwiazda bladła i wróciła nakoniec do zwykłego swego skromnego blasku.

Wspaniałość tego olbrzymiego zjawiska grozą nas przejmuje. Wyobraźmy sobie planetę, krążącą dokoła słońca, które się tak dalece rozpłomienia, że jasność jego stokrotnie się wzmaga; przypuśćmy, że na planecie téj, jak na drobnéj naszéj ziemi, w całéj pełni kwitło życie organiczne, a pojmiemy, że jedna chwila takiego niesłychanego podniecenia żaru sprowadza nieuniknioną zagładę bytu. Ale i gwiazdy w szczuplejszym zakresie zmienne stanowią także słońca o bardzo niejednostajnéj temperaturze, a czy pod wpływem ich promieni życie rozwijać się i utrzymywać może, jest rzeczą więcéj niż wątpliwą. Nie każde z tych słońc olbrzymich, które nam się gwiazdkami tylko wydają, rozlewa dokoła siebie tak dobroczynne światło i ciepło, jak nasza gwiazda dzienna. Nikt dziś zapewne utrzymywać nie zechce, aby nasza tylko ziemia była siedliskiem życia i działalności, ale podobnież twierdzić nie możemy, aby każda planeta była zamieszkaną, aby promieniami każdego słońca życie się karmiło.

Nie możemy téż w tém miejscu pominąć uwagi, że jakkolwiek światło szybkim jest gońcem, bo na sekundę 42,000 mil ubiega, przybywa jednak do nas od gwiazd po latach i po stuleciach całych zaledwie. Nie widzimy nigdy nieba jakiém jest, ale jakiém było, — każdą zaś gwiazdę w innéj epoce, zależnie od jéj odległości. Widok, jaki nam niebo w każdéj chwili przedstawia, mówi Arago, opowiada nam zamierzchłe dzieje gwiazd. Gdy ukazanie się gwiazdy nowéj donosi nam o strasznéj katastrofie, jakiéj gwiazda ta uległa, był to już wypadek dawno miniony. Gwiazda Korony północnéj z r. 1866 dawno już wróciła do normalnego swego stanu, gdy o gwałtownem na niéj zaburzeniu wieść nas dopiero doszła.

Pojmujemy jednak, przeczuwamy raczéj, że olbrzymie owe przeobrażenia gwiazd, które się nam w ich zmienności ujawniają, nie mają zapewne charakteru jakiejś przypadkowości, nie są to wyjątkowe zdarzenia; tak powszechne i rozległe przewroty ściśle łączyć się muszą z ogólnemi warunkami bytu i rozwoju światów. Z tego stanowiska rozpatrzył je mianowicie Ritter, który do objawów kosmicznych szczęśliwie umiał stosować zasady mechanicznéj teoryi ciepła.

Wywody Rittera wiążą się z zasadami kosmogonii Laplace'a, która wyprowadza bryłę słoneczną i inne światy ze skupienia pierwotnéj mgławicy. Jakkolwiek daleko w pewnéj bryle słonecznéj posunął się proces tego skupiania, cząsteczki jéj substancyi, pierwotnie gazowéj, zostają pod współdziałaniem dwu równoważących się sił: ciążenia, które je usiłuje sprowadzić do środka, i ciepła, które dążeniu temu przeciwdziała. Ciepło, które się skutkiem tego skupiania wytwarza, w każdéj chwili wystarcza właśnie do zrównoważenia siły ciężkości. Proces ten zagęszczania się masy gazowéj kiedyś skończyć się musi; gwiazda stygnie przez promieniowanie, ale ciążenie nie wytwarza już nowego zasobu ciepła. Powierzchnia jéj pokrywa się żuzlami, skorupą; słońce zastyga i przebiega drogę, po któréj wyprzedziły ją drobniejsze planety, którą przebyła i ziemia nasza w stopniowym swym rozwoju.

W przestrzeniach niebieskich snuć się może mnóstwo gwiazd nawpół lub zupełnie wygasłych, a rozpłomienienie takiego słońca zamarłego stanowi dla mieszkańców światów dalekich zjawisko nowéj gwiazdy. Rozpłomienienie zaś takiéj bryły wygasłéj nastąpić może, gdy na nią inne ciało niebieskie spada. Z różnych bowiem względów przyjąć możemy, że przestrzeń światowa wypełniona jest pewnym środkiem, eterem, który ciałom niebieskim stawia w biegu ich opór. Z powodu oporu tego planeta zwalnia szybkość swego biegu, ulega silniéj przyciąganiu swego słońca, okrąża je drogą coraz bliższą, spada na nie nakoniec, łącząc się znów z bryłą, od któréj się pierwotnie oddzieliła. Jeżeli budowa naszego układu słonecznego wydaje się nam niezachwianą, to dlatego tylko, że obserwacye nasze obejmują okres niesłychanie krótki.

Przyjąwszy raz możliwość takiego uderzenia się dwu brył niebieskich, pojmujemy łatwo, jak nowe słońce do życia powołaném zostaje. Ruch całych mas przechodzi w ruch najdrobniejszych ich cząstek, uderzenie wytwarza ciepło, na grobie dawnych światów nowy płomień się wzbudza. Wskutek niesłychanego rozwoju ciepła zrywa się równowaga, utrzymująca objętość gwiazdy, a olbrzymie masy oddalają się od środka; przy takim rozroście temperatura wewnętrzna zniża się i dochodzi kresu, gdy się znów ustala równowaga między

ciążeniem a działaniem ciepła. Ruch cząstek wszakże tu się nie zatrzymuje, z powodu bowiem bezwładności masa słoneczna posuwa się daléj, a temperatura jéj daléj słabnie. Ale wtedy ciążenie odzyskuje swą władzę, osłabia i znosi ruch rozbieżny, masa zatrzymuje się, aby biegiem, najpierw przyśpieszonym a następnie opóźnionym, znów odwrót swój rozpocząć, a po peryodzie skupiania znów rozszerzanie następuje. Jest to jakby olbrzymi ruch wahadłowy, wywołany przez rozpętane żywioły, co długo uśpione, w starym, zaskorupiałym kryły się świecie. W rytmicznym tym ruchu temperatura tworzącego się słońca wzmaga się i słabnie naprzemian, rozjaśnia się ono i zaciemnia kolejno, a my dostrzegamy gwiazdę zmienną.

Gwałtowne te zmiany światła znamionują więc tylko młodzieńczy okres bytu gwiazdy; w miarę, jak daléj skupienie jéj postępuje, kołysania stają się słabszemi, a drobna jéj zmienność ledwie dopatrzyć się daje.

Prawdopodobieństwo rozległéj téj i śmiałéj hypotezy moglibyśmy ocenić jedynie przez zgodność jéj z faktami zaobserwowanemi. Ritter wyprowadza wprawdzie twierdzenia, okazujące zależność okresu zmienności gwiazdy od jéj gęstości; gęstość wszakże różnych gwiazd jest zgoła nieznana, nie mamy tedy możności potwierdzenia wywodów jego i zestawienia ich z rezultatami obserwacyi. Hypoteza ta pozostaje przeto jedynie ciekawym przykładem, jak teorya mechaniczna ciepła zastosować się daje do olbrzymich objawów kosmologicznych, do ostatecznych zagadnień bytu wszechświata.

V.

Aby więc zdać sobie sprawę z objawów zmienności gwiazd, przebywać musieliśmy wyłącznie w dziedzinie hypotez, — odkrycia najnowsze pozwalają nam wszakże przejść na pewniejszy grunt faktów, należycie stwierdzonych.

Widzieliśmy, że dla wyjaśnienia osobliwych zmian blasku gwiazdy Algol trzeba było przyjąć, że obiega ją ciemny towarzysz, który ją w pewnych odstępach czasu przysłania. Otóż domysł ten stał się rzeczywistością,—hypotetyczny, przypuszczalny towarzysz Algola został istotnie odkryty, znamy dziś jego wymiary, jego drogę, stosunki jego względem gwiazdy głównéj. Gdzież więc jest ten teleskop olbrzymi, gdzież są te szkła potężne, co dozwoliły wzrokowi astronoma przedrzéć się przez niezmierzoną przestrzeń wszechświata i ukazały mu tę ciemną bryłę w blasku słońca dalekiego tak dokładnie, że mógł wszystkie szczegóły jego biegu odczytać? Nie — nie posiadamy

przyrządu tak potężnego i nigdy go zapewne posiadać nie będziemy,— towarzysz Algola został odkryty, choć daléj pozostaje niedostrzeżonym, choć go wzrok ludzki, nawet „szklanemi skrzydłami“ zbrojny, nigdy zobaczyć nie zdoła. Odkrycie to zawdzięczamy analizie spektralnéj, która badaniom astronomicznym nowe drogi utorowała. Metodę więc, która do tak wspaniałego rezultatu doprowadziła, wypada nam tu bliżéj wyjaśnić, co znów zmusza nas do potrącenia o analogię, jaka zachodzi między objawami światła i dźwięku.

Wedle pojęć powszechnie dziś przyjmowanych, uzasadnionych zresztą całym ogółem zjawisk znanych, światło, podobnie jak głos, jest objawem drgania. Jak struna brzmiąca pozostaje w ciągłém drganiu, które się nawet dostrzédz daje, tak téż cząstki ciała świecącego ulegają żywemu niesłychanie ruchowi, dla nas wprawdzie niewidzialnemu, co się wszakże dostatecznie tém po prostu tłómaczy, że ani drobnych tych cząstek, ani odstępów między niemi nie widzimy. Dopóki drgania struny są bardzo powolne, nie sprawiają wrażenia głosu; przy 30-tu drganiach na sekundę, słyszymy ton bardzo niski, który się podwyższa w miarę, jak szybkość drgań wzrasta; przy 5000 drgań następuje kres tonów używanych w muzyce, a przy 40000 drgań na sekundę przestajemy je słyszéć. Jest to granica drgań głosowych, a wysokość tonu jedynie od szybkości ich zależy.

Zupełnie tak samo, z pominięciem jedynie różnic drugorzędnych, zachowują się i ciała świecące. Dopóki liczba ta nie przechodzi 200, 300, 400 trylionów (400 z dwunastu zerami) na sekundę, ciało nie świeci, ruch ten wszakże zdradza się wysyłaniem promieni ciepła; gdy szybkość wzrasta, gdy dochodzi 430 trylionów drgań na sekundę, ciało zaczyna świecić barwą czerwoną; w miarę zaś, jak częstość drgań rośnie daléj jeszcze, do promieni czerwonych przybywają żółte, zielone, niebieskie, przy 800 trylionach fioletowe. Tu zachodzi kres promieni widzialnych, a szybsze jeszcze drgania objawiają istnienie swe działaniami jedynie chemicznemi. Podobnie przeto jak ton, tak i barwa podwyższa się w miarę wzrostu szybkości drgań: wysokość, powiedzieć można, jest barwą dźwięku, tak samo, jak barwę nazwać można wysokością światła, rozumiejąc wysokość tę w kierunku od czerwieni do fioletu.

Wyobraźmy sobie teraz, że struna brzmiąca nie pozostaje w spoczynku, ale ku nam się zbliża. Drgania jéj następują w jednakich odstępach czasu, odległość jednak między nią a nami zmienia się ustawicznie, drgania doblegają tedy częściéj do ucha naszego, a ztąd w ciągu sekundy uderza ucho nasze większa ich liczba; jakkolwiek więc struna wydaje ton statecznie jednaki, słyszymy ton wyższy. Ton więc ciała brzmiącego podwyższa się, gdy się ono ku nam zbliża, a dla

téj saméj przyczyny ton ciała oddalającego się będzie się zniżał. Toż samo zjawisko zachodzi oczywiście i wtedy, gdy ciało to pozostaje w spoczynku, a słuchacz do niego się zbliża, lub od niego oddala.

Na zasadę tę zwrócił uwagę pierwszy Doppler w r. 1842, a dla potwierdzenia jéj słuszności przeprowadził Buys-Ballot szereg doświadczeń na drodze żelaznéj między Utrechtem a Maarsen. Obserwator, nieruchomo na drodze stojący, słyszał ton trąby sygnałowéj, umieszczonéj na lokomotywie przebiegającego pociągu; albo téż, przeciwnie, obserwator znajdował się na pociągu, podczas, gdy trębacz obok toru drogi żelaznéj ton jednostajny wygrywał. Pomimo szumu szybko biegnącéj lokomotywy, można było zauważyć podwyższanie się tonu, gdy odległość między słuchaczem a źródłem głosu malała; gdy natomiast odległość ta wzrastała, następowało zniżanie się tonu.

Szybkość głosu w zwykłéj temperaturze wynosi 340 metrów na sekundę; dajmy, że pociąg biegnie z szybkością 14 metrów, zatém z prędkością, która stanowi $^1/_{24}$ prędkości głosu. Gdy przeto źródło dźwięku zbliża się ku słuchaczowi, wywołane przez nie drgania dobiegają do ucha o $^1/_{24}$ częściéj, na każde 24 drgań przybywa jedno, częstość drgań wzrasta w stosunku 24 : 25; przestanek taki muzyka nazywa półtonem małym, — ton więc podwyższa się o półton mały. Gdy znowu pociąg, unoszący źródło głosu, od słuchacza się oddala z tąż samą szybkością, ton zniża się o półton mały. Gdy więc maszynista, na lokomotywie będący, słyszy ton *c*, dróżnik słyszy ton *cis* w czasie zbliżania się, ton *ces* przy oddalaniu się od niego pociągu. Gdy lokomotywa ze świstem koło nas przebiega, zauważyć można łatwo wyraźne zniżenie się tonu w chwili, gdy zbliżający się pociąg oddalać się od nas zaczyna. Spadek wysokości tonu jest znaczniejszy, gdy znajdujemy się sami na pociągu, podczas gdy lokomotywa pociągu biegnącego w stronę przeciwną świst wydaje. Przy szybkości pociągów, jakąśmy wyżéj za przykład obrali, przeskok wysokości wyniósłby cały ton.

Po tém, cośmy wyżéj powiedzieli o analogii objawów światła i głosu, barwy i wysokości, wnieść możemy bezpośrednio, że zasada Dopplera da się słowo w słowo odnieść do ciał świecących. Gdy więc ciało świecące zbliża się ku nam z dostateczną szybkością, barwy jego podwyższają się, to jest przesuwają w stronę fioletu; gdy się od nas oddala, barwy zniżają się, to jest przechodzą w stronę czerwieni. Dla obserwacyi téj należało-by promienie badanéj gwiazdy rozszczepić, za pośrednictwem pryzmatu lub raczéj spektroskopu, na barwne widmo, bezpośrednia wszakże obserwacya barw nie zdołałaby nam okazać zmian, o których tu mówimy. Choćby się bowiem

czerwień zamieniła na barwę żółtą, to znów promienie ciemne, cieplikowe, szybciéj oko uderzając, stałyby się widocznemi, wywoływały-by w oku naszém wrażenie czerwieni; podobnie na drugim końcu widma barwa fioletowa stałaby się niewidzialną, ale promienie błękitne wywierały-by wrażenie fioletowych; w ogólnéj tedy barwie ciała nie zachodziła-by żadna zmiana.

Ale tu właśnie analiza spektralna w pomoc nam przychodzi; przesunięcie się bowiem barw zdradzi się natychmiast zmianą w położeniu linii ciemnych, przerzynających widmo. Gdy gwiazda ku nam się zbliża, linia np. D w jéj widmie, znajdująca się w warunkach zwykłych w barwie żółtéj, z powodu zmiany odcienia téj barwy wyda się nam przesuniętą w stronę fioletu; gdy gwiazda się oddala, linia ta znajdzie się przemieszczoną w stronę czerwieni.

Jakkolwiek wszakże w zasadzie metoda ta jest prosta, w przeprowadzeniu przedstawia znaczne trudności już dlatego, że szybkość własna gwiazd nader jest drobna w porównaniu z szybkością światła, że zatém podwyższenie się barw, czyli raczéj przesuwanie się linii ciemnych jest bardzo nieznaczne i da się ocenić jedynie za pośrednictwem spektroskopów potężnie rozszczepiających, dających widmo nader długie, i przy pomocy nader dokładnych przyrządów miernicczych, pozwalających oznaczać drobne ułamki milimetra. W każdym razie drogą tą zbadano dotąd ruch stu gwiazd przeszło, z których jedne się ku nam zbliżają, inne zaś usuwają, jakkolwiek na pozór wydają się nam nieruchomo osadzonemi w przestrzeni.

Nas jednak teraz obchodzi tylko Algol. Otóż dwaj znakomici astrofizycy obserwatoryum potsdamskiego, prof. Vogel i Scheiner, z przesuwania się linii ciemnych w widmie téj gwiazdy poznali, że w okresie, poprzedzającym minimum jéj blasku, oddala się ona od naszego słońca, po téj zaś najmniejszości do niego się zbliża. Okazuje więc to niewątpliwie, że Algol krąży po zamkniętéj drodze, a czas jego obiegu zgadza się z okresem zmienności jego światła. Musi on zatém być gwiazdą podwójną, co znaczy, że posiada ciemnego towarzysza, który się wraz z gwiazdą główną dokoła wspólnego środka ciężkości porusza. W taki więc sposób dawny domysł zyskał zupełne potwierdzenie.

Z dostrzeżeń tych oceniono nadto, że Algol biegnie po swéj drodze z szybkością 5.7 mil geograficznych na sekundę; a ztąd w związku z przebiegiem zmienności światła można było drogę tę oznaczyć. Okazało się mianowicie, że średnica gwiazdy głównéj wynosi 169000, słabszéj 132000 mil; są to więc, jak widzimy, gwiazdy niewiele mniejsze od naszego słońca, chociaż mu znacznie ustępują pod względem ciężaru, czyli raczéj swéj masy, czynią one bowiem tylko $^4/_9$ i $^2/_9$ ma-

sy słońca. Ciemny towarzysz Algola biegnie po swéj drodze z szybkością 12 mil na sekundę, odległość środków obu brył wynosi zaledwie 700,000 mil, jest zatém 28 razy przeszło mniejsza, aniżeli odległość ziemi od słońca. Planeta nawet najbliższa słońca, Merkury, przypada względem swéj bryły naczelnéj 12 razy daléj, aniżeli obie składowe części téj gwiazdy podwójnéj. Są one zatém tak bliskie siebie, że i przy pomocy dziesięciokrotnie silniejszych przyrządów, aniżeli dzisiejsze olbrzymie refraktory, i choćby nadto towarzysz był gwiazdą jasną, nie można-by ich było rozdzielić.

Odkrycie więc to stanowi niewątpliwie istotny tryumf astronomii i daje wymowny dowód dokładności nowych jéj metod.

VI.

Widzieliśmy, że teorye gwiazd zmiennych wiążą się bezpośrednio z tém, co wiemy o objawach w sąsiedztwie naszém, w układzie słonecznym zachodzących; im lepiéj przeto objawy te poznajemy, tém téż dokładniéj rozumiéć możemy przyczyny, zmienność gwiazd wywołujące; na nowych odkryciach, w układzie słonecznym dokonanych, snuć możemy nowe analogie o dalekich bryłach słonecznych.

Otóż dwa lata ostatnie przyniosły nam wiadomości zgoła niespodziane o dwu planetach, najbliższych słońca: o Merkurym i o Wenerze. Opierając się na dawnych dostrzeżeniach, przyjmowano dotąd ze wszelką pewnością, że planety te wirują dokoła swych osi z prędkością takąż samą prawie, jak nasza ziemia, że doba na obu tych bryłach planetarnych trwa mniéj więcéj 24 godziny, a ztąd wyprowadzono wnioski, że warunki fizyczne tych światów zbliżone są bardzo do ziemskich. Tymczasem, zasłużony badacz meteorytów i Marsa, astronom medyolański Schiaparelli, poświęciwszy od lat kilku uwagę swą Merkuremu, doszedł do wniosków zgoła odrębnych. Merkury, mianowicie, wiruje czyli obraca się dokoła swéj osi bynajmniéj nie jak ziemia, ale jak księżyc. Jak towarzysz nasz obiega drogę swą wokoło ziemi, zwracając ku niéj zawsze tęż samą stronę i téż same plamy, tak téż Merkury, tocząc się po swéj drodze dokoła słońca, przedstawia mu zawsze tęż samą półkulę swéj powierzchni. Zachowanie się to księżyca, jak wiemy, ztąd pochodzi, że kończy on swój obrót osiowy w tymże samym czasie, co i obieg dokoła ziemi; gdy dokoła swéj osi obróci się o kąt pewien, obiegnie dokoła ziemi kąt jednakiéj wielkości, skąd właśnie wypływa, że ku nam statecznie jednę i tęż samą swą stronę zwraca. Tak samo zatém dzieje się i z Merkurym: wykonywa on swój obrót osiowy w ciągu tegoż samego zupełnie czasu,

co i obieg dokoła słońca, doba jego wyrównywa jego rokowi, czyli trwa bez mała 88 dni naszych.

Zachodzi jeszcze i dalsza jedna analogia między obu temi bryłami. Obrót ich osiowy jest mianowicie zupełnie jednostajny, gdy tymczasem obieg dokoła środka ciążenia dokonywa się po drodze eliptycznéj; ruch ich zatém jest szybszy, gdy się znajdują w punktach bliższych ogniska swego ruchu, zwalnia się zaś, gdy po wydłużonéj swéj drodze od niego się oddalają. Stąd to pochodzi, że dostrzegamy z ziemi wąskie pasy po jednym i drugim brzegu ukrytéj dla nas strony księżyca. Podobnaż więc libracya, czyli ważenie się, występuje i na Merkurym, ale że eliptyczność, czyli raczéj mimośród jego drogi jest cztery razy większy, aniżeli drogi księżyca, ztąd i ważenie się to jest tam silniejsze; pasy jego powierzchni, które kolejno do słońca się zwracają i od niego odwracają, są tam znacznie szersze, aniżeli na księżycu.

Księżyc nasz wszakże, zwracając ku ziemi stale jedną swą stronę, wysuwa kolejno ku słońcu wszystkie swe okolice, a dzień i noc trwają tam po czternaście dni naszych. Inaczéj zaś zupełnie dzieje się na Merkurym. Tam jedna zawsze tylko półkula widzi słońce, druga — z wyjątkiém wąskich pasów, o których była mowa, jest od niego wiecznie odwrócona. Jedna bez przerwy i wytchnienia wystawiona jest na jasność oślepiającą i na żar dziesięciokrotnie silniejszy, aniżeli upały naszych okolic zwrotnikowych; druga pogrążona jest w nocy najczarniejszéj i w zimnie, właściwém przestrzeni światowéj, o którém mrozy nawet stron podbiegunowych dać nie mogą wyobrażenia. Sprzeczności te łagodzi może nieco wpływ atmosfery, która ciepło słoneczne tak po powierzchni planety rozprowadza, że osłabia nieco nadzwyczajny nadmiar żaru i chłodu, ale w każdym razie widzimy, że warunki fizyczne świata tego są zupełnie odrębne od naszéj bryły ziemskiéj.

Dziwić się zaiste można, że tak długo utrzymywały się błędne pojęcia o obrocie osiowym Merkurego, to wszakże tłómaczy się dostatecznie trudnością obserwacyi téj planety; Kopernik na łożu śmierci utyskiwał, że nigdy jéj nie widział. Ponieważ opisuje ona szczupły jedynie okrąg dokoła słońca, nie oddala się na niebie nigdy dosyć daleko od jaśniejącéj bryły słonecznéj, by mogła być rozpatrywana przy pełnéj ciemności nocy. Poszczęścić się przeto mogą rzadko tylko obserwacye podczas zorzy, przed wschodem lub po zachodzie słońca; planeta wtedy znajduje się zawsze blisko poziomu i tak silnie poddana jest niepokojowi i zmiennemu załamywaniu światła w dolnych warstwach powietrza, że przedstawia najczęściéj w lunecie to niepewne i iskrzące wejrzenie, które się nazywa migotaniem. Schiaparelli

przekonał się jednak, że można planetę obserwować i przy pełnym blasku dziennym, w obecności zawsze bliskiego słońca i przez atmosferę zawsze rozjaśnioną, a przy wytrwałéj cierpliwości mógł powierzchnię planety widzieć dokładnie przeszło 150 razy i otrzymał zadawalniające rysunki plam, na powierzchni téj występujących. Położenie zaś właśnie tych plam wykazało mu, że czas obrotu osiowego planety schodzi się z jéj obiegiem rocznym, gdy nieliczne i niedostateczne obserwacye dawne, prowadzone przy pomocy teleskopów niedokładnych, wydały rezultaty tak dalece błędne.

Nietylko wszakże co do Merkurego, ale i co do bliższéj nas Wenery wiadomości nasze również były dotąd niedokładne. Przyjmowano dotąd w ogólności, że czas obrotu Wenery również niewiele odstępuje od 24 godzin; Schiaparelli wszakże, na podstawie zarówno krytycznego rozbioru spostrzeżeń dawnych, jak i własnych pewnych obserwacyi, wnosi, że plamy na powierzchni Wenery zachowują położenie prawie niezmienne względem linii, oddzielającéj część przez słońce oświeconą od części ciemnéj jéj tarczy; wypływa ztąd, że obrót planety identyczny jest z ruchem téj linii, który odbywa się dokoła osi prostopadłéj do drogi planety i w ciągu okresu równego czasowi obiegu planety dokoła słońca, t. j. w ciągu 224.7 dni. Przypuszcza jednak Schiaparelli, że może zgodność ta nie jest zupełna, tak, że obrót osiowy Wenery od czasu jéj obiegu dokoła słońca odstępować może o kilka tygodni mniéj lub więcéj; w ogólności wszakże czas obrotu osiowego nie jest krótszy nad sześć, ani dłuższy nad dziewięć miesięcy. Rzecz ta wymaga więc dalszych jeszcze badań.

Że księżyc nasz, odkąd pamięć ludzka sięga, zawsze ku nam tęż samą połowę zwraca, świadczą i dowody historyczne, a jedno dzieło Plutarcha ma tytuł: „O twarzy, jaką na tarczy księżyca widzimy“. Zgodność obrotu osiowego i obiegu dokoła ziemi wydawała się igraszką natury, uważano to za osobliwość, naszemu tylko towarzyszowi właściwą. Poznano jednak, że i księżyce Jowisza ku centralnéj swéj planecie zawsze tęż samą stronę zwracają; jest to rzecz przynajmniéj prawdopodobna co do trzech pierwszych, co do czwartego zaś niewątpliwie stwierdzoną przez Auwersa i Engelmanna. Ten-że sam fakt dawniéj już wykrył William Herschell co do Japeta, ósmego i najdalszego księżyca Saturna.—Dowiadujemy się obecnie, że tak samo zachowują się i planety najbliższe słońca.

Objawy to zatém nie tak bynajmniéj wyjątkowe, ale owszem powszechne w przyrodzie. Dokumenty więc te przyłączyć należy do świadectw, niezbędnych przy badaniu kosmogonii ciał niebieskich; w szczególności zaś, w związku z opowiedzianemi tu odkryciami, tyczącemi się gwiazdy Algol, upoważniają do nowych poglądów na istotę

gwiazd zmiennych. Poglądy takie rozwinął zwłaszcza dokładnie p. Wilsing, należy nam przyjrzéć się jeszcze tedy tym wywodom teoretycznym.

VII.

Olbrzymiego, w porównaniu z planetami słonecznemi, towarzyszsza gwiazdy Algol nazwaliśmy ciemnym; nie możemy jednak twierdzić stanowczo, by gwiazda ta w saméj rzeczy zupełnie była ciemna,— znaczy to tylko, że świeci nierównie słabiéj, aniżeli sam Algol. Widzieliśmy wyżéj, że cały okres zmienności téj gwiazdy rozpada się na dwie części: w ciągu pierwszéj części okresu zachowuje ona blask stateczny, istotna zaś zmienność światła przypada na część drugą, trwającą zaledwie kilka godzin. Obserwacye gwiazdy podczas jéj stateczności nie wykazały żadnéj zmiany, któraby przechodziła 0.02 stopnia wielkości, co jest już granicą ścisłości, z jaką jasność gwiazd oceniamy; wnieść ztąd można, że jeżeli towarzysz wysyła światło, blask jego nie może przechodzić $^1/_{50}$ światła gwiazdy głównéj, inaczéj bowiem i zakrycie gwiazdy ciemniejszéj przez jaśniejszą wywoływać-by również musiało pewien ubytek światła. Jeden z obserwatorów ogłosił wprawdzie niedawno, że ubytetk taki rzeczywiście dostrzegł, wiadomość ta wszakże wymaga potwierdzenia; gdyby się okazała rzetelną, można-by na téj zasadzie i jasność gwiazdy ciemniejszéj oznaczyć.

W każdym zaś razie towarzysz ten wysyła i promienie odbite, ulegać więc musi fazom czyli odmianom, na wzór naszego księżyca; rachunek wszakże uczy, że okoliczność ta zmienności światła całego systemu powodem być nie może, choć-by nawet ciemna ta gwiazda posiadała jak najznaczniejszą zdolność odbijania światła. Pod wpływem daléj przyciągania towarzysza swego, gwiazda główna odstępować musi od postaci kulistéj, już to słabiéj, już silniéj, a to stosownie do tego, czy przekształceniu takiemu ulega tylko atmosfera, czy téż i właściwe jądro gwiazdy, ale i ta zmiana postaci również na zmiany blasku Algola wpływać nie może.

Właściwa zatém zmienność jest następstwem jedynie przyćmienia gwiazdy jaśniejszéj przez ciemniejszą, co zachodzi w sposób taki, jak zaćmienie obrączkowe słońca, przy którém połączenie centralne księżyca trwa tylko kilka minut. Rachunek jednak niezupełnie tu odpowiada dostrzeżeniom; dla osiągnięcia przeto zgodności przyjmuje Wilsing, że skrajna strefa Algola świeci słabiéj aniżeli część środkowa, w stosunku prawie 4:3; przypuszczenie to zaś uzasadnić można

tém, że według Vogla podobnie dzieje się i z naszém słońcem. Dla wyjaśnienia wreszcie pewnéj drobnéj niesymetryczności, jaką dostrzeżono w blasku światła przed i po jego minimum, przyjmuje tenże autor, że droga towarzysza nie jest kołowa, ale eliptyczna, o mimośrodzie 0.11, co stanowi wartość pośrednią między wydłużeniami dróg ziemi i Wenery. W ten więc sposób wszystkie szczegóły zmienności téj ciekawéj gwiazdy podwójnéj dają się wyjaśnić przez zasady, które i dla słońca przyjmujemy.

Powodzenie to ośmielić nas może do dalszych, choć więcéj hypotetycznych wniosków; sprobujmy odcyfrować przyszłe losy gwiazdy, któréj stan obecny tak dobrze poznaliśmy.

Kosmogonja dzisiejsza, ogólnemi prawami przyrody uzasadniona, wykazuje, że gwiazdy, starzejąc się, stygną, a w miarę zniżania się temperatury atmosfery ich gęstnieją i silniéj pochłaniają, zatrzymują promienie światła. Pod wpływem przyciągania towarzysza na powierzchni Algola zachodzą przypływy atmosferyczne, a ztąd zwrócona ku nam strona Algola pokryta być może naprzemian już to bardzo wysoką, już niską atmosferą, która tedy, stosownie do swéj rozległości, przez pochłanianie promieni rozmaicie nam światło przytłumiać może. Choćby w atmosferze takiéj pochłanianie było dwieście razy słabsze, aniżeli w ziemskiéj naszéj atmosferze, jużby blask gwiazdy okazywać musiał znaczną chwiejność, a to niezależnie od zmiany blasku, pochodzącéj z zakrywania gwiazdy przez ciemnego towarzysza. Stosunki takie nie zachodzą jeszcze na Algolu, ale zdradza je teleskop u gwiazd zmiennych, które, według charakteru widma swego, należą do klasy trzeciéj gwiazd stałych, albo, mówiąc w ogólności, do gwiazd czerwonych. W rozległych i gęstych atmosferach gwiazd takich panuje prawdopodobnie temperatura tak niska, że wytwarzać się już mogą związki chemiczne, wywołujące znaczne pochłanianie; pomiędzy zaś temi gwiazdami czerwonemi, jak wspominaliśmy wyżéj, znajduje się znaczna liczba zmiennych, o okresach krótszych lub dłuższych,— w wielu więc razach przyczyną zmienności tych gwiazd być mogą olbrzymie przypływy i odpływy atmosferyczne, wywoływane przez krążące dokoła nich bryły.

Nie jest to zresztą hypoteza nowa, rozwinął ją już dawniéj Klinkerfues, nie miała jednak powodzenia, uważano bowiem za rzecz nieprawdopodobną, żeby istnieć mogły gwiazdy podwójne, tak bliskie, by czas ich obiegu wynosił rok niespełna, albo kilka dni zaledwie. Zarzut ten wszakże upada, skoro wiemy, że Algol stanowi układ gwiazdy podwójnéj o obiegu trwającym nie więcéj nad kilkadziesiąt godzin. Chwiejność zaś blasku takiéj gwiazdy zmiennéj stawać się może zna-

czniejszą jeszcze, gdy towarzysz dąży po drodze silnie eliptycznéj; wtedy bowiem może niekiedy do gwiazdy głównéj bardzo się blisko przysuwać, a w takich razach, działaniem wzmożonego przyciągania, wywołać może nawet z wnętrza gwiazdy głównej wybuchy znacznych ilości gazów gorących, przewyższających znacznie rozżarzeniem swojém zwykłą temperaturę jéj powierzchni. Wybuchy więc te rozjaśniać mogą powierzchnię gwiazdy tak silnie, że gwiazda słaba i oku nieuzbrojonemu niedostępna staje się nagle widoczną i ukazuje się nagle jako gwiazda nowa. Gwiazdy nowe z r. 1866 i 1877 przedstawiały w widmie swém linie jasne, zdradzające takie wybuchy gazów; przypuszczać więc można, że tu zaszły właśnie zjawiska, o jakich mowa, — przyciąganie wywarte przez towarzysza gwiazdy wystarczało do wywołania tak potężnych wybuchów mas rozpalonych z wnętrza tych brył.

W ogólności wszakże objawy te nie dochodzą potęgi tak straszliwéj, zmienność gwiazdy zależy tylko, jak powiedzieliśmy, od przypływów i odpływów atmosferycznych. Fala mianowicie przypływu, zwrócona ku towarzyszowi gwiazdy, z powodu silnego pochłaniania promieni, sprowadza najmniejszość blasku; jeżeli więc przypuszczalny towarzysz gwiazdy „cudownéj Wieloryba“, należącéj właśnie do trzeciego typu gwiazd, przypada na linii łączącéj gwiazdę tę z ziemią, przedstawia się nam ona w najmniejszości swego blasku; gdy zaś, po obieżeniu czwartéj części swéj drogi, towarzysz ten znajduje się po boku gwiazdy głównéj, widzimy ją w maximum jéj jasności. Różne zresztą szczegóły drugorzędne, różne objawy, zakłócające przebieg zjawiska, dają się również w sposób naturalny, bez zbytniego naciągania, hypotezą tą wyjaśnić.

Jeżeli wszakże zgadzamy się, że na gwiazdach tych zachodzą bezustannie przypływy i odpływy mas atmosferycznych, to prowadzą nas one do dalszych jeszcze wniosków, gdy zestawimy je z przypływami i odpływami wód morskich na ziemi. Gdy planeta nasza dokoła swéj osi wiruje od zachodu ku wschodowi, fale przypływu, utrzymywane przyciąganiem księżyca, posuwają się w stronę przeciwną od wschodu ku zachodowi; ziemia przeto ustawicznie wiruje wewnątrz téj masy ciekłéj, jakby w pierścieniu, a powstające z tąd tarcie stawia jéj opór i wywołuje wzbudzanie się ciepła, co znów nastąpić może jedynie nakładem energii obrotu ziemi około jéj osi. Dopóki więc przypływy i odpływy oceaniczne istnieć będą, szybkość obrotu ziemi ustawicznie zmniejszać się musi, czyli, innemi słowy, powiększać się będzie długość doby. Jakkolwiek wniosek ten wydaje się osobliwym, potwierdziły go niewątpliwie obserwacye bardzo dokładne, przyrost

bowiem długości dnia wyczytano w pozornem przyśpieszeniu biegu księżyca. Wpływ ten księżyca na naszą ziemię jest wprawdzie bardzo drobny, a pochodzące ztąd zwalnianie biegu ziemi wywołuje według rachunków Adamsa, przedłużenie się doby o godzinę zaledwie w ciągu 16,000 lat, natomiast wszakże potężne być musiało podobne oddziaływanie ziemi na księżyc. W czasach, gdy zakrzepły nasz towarzysz pokryty był wodą, albo raczéj, gdy jeszcze ognisto-płynną masę tworzył, po stronie ku ziemi zwróconéj podnosić się musiały olbrzymie i burzliwe fale przypływu, które szybkość jego ruchu obrotowego osłabiały i zwalniały, aż wreszcie księżyc w walce téj uległ zupełnie i zwrócił ku nam statecznie jedną i-tęż samą swą stronę; odtąd bowiem fala przypływu przestała go dokoła okrążać i nie tamowała już daléj jego obrotu osiowego. Tak się tłómaczy zagadka, dla czego blady towarzysz ziemi jedną wiecznie twarzą na nas spogląda, a toż samo i dla téjże saméj przyczyny dzieje się, jak widzieliśmy, i z księżycami innych planet układu słonecznego. Ale temuż samemu losowi ulegają i planety same pod wpływem słońca. Merkury i Wenus już teraz jedną swą stroną ku słońcu zawisły, a w dalekiéj, niedojrzanéj wzrokiem ludzkim przyszłości, toż samo nieuniknione przeznaczenie oczekuje i ziemię naszą.

Skoro więc objawy te tak powszechne są w naszym układzie słonecznym, działać też muszą i na dalekich od nas gwiazdach, tam zwłaszcza, gdzie oddziaływające na siebie bryły są tak ku sobie zbliżone, jak obie gwiazdy, stanowiące układ Algola. U wielu więc takich gwiazd podwójnych obrót osiowy gwiazdy jaśniejszéj mógł już tak dalece uledz zwolnieniu, że wyrównywa czasowi obiegu ciemnego towarzysza, albo raczéj czasowi obiegu obu części składowych około wspólnego środka ciężkości, na gwiazdach więc takich przypływ atmosfery utrzymuje się już niezmiennie po jednéj ich stronie. Badania zaś widmowe uczą, że atmosfery gwiazd trzeciego typu są co do swych własności zbliżone do plam słonecznych, tam zatém ciemne miejsca istnieją już niezmiennie w jednéj okolicy, gdy druga strona gwiazdy, wolna od przypływu, osłoniona atmosferą mniéj rozległą, świeci blaskiem jaśniejszym. Obrót przeto osiowy gwiazdy, w warunkach takich zostającéj, będzie powodem jéj zmienności; jest to również hypoteza dawniejsza, o któréj mówiliśmy wyżéj, a która tym sposobem zyskuje uzasadnienie ściślejsze.

Różne dawne hypotezy, przyjmowane dla wyjaśnienia zmienności gwiazd — zaćmienia, plamy, wybuchy, rozmaita jasność różnych okolic gwiazdy—nie przedstawiały żadnéj między sobą łączności; wi-

dzimy, jak na podstawie rozważań Wilsinga dają się one sprowadzić do jednéj zasady ogólnéj.

Przedstawiliśmy tu splot faktów i hypotez w historycznym ich rozwoju. Postęp nauki polega zarówno na coraz obfitszym zasobie coraz lepiéj poznanych faktów, jak i na doborze hypotez, które coraz ściślejszym cementem w jedną je całość spajają.

Stanisław Kramsztyk.

ŹRÓDŁA
do dziejów literatury i oświaty polskiéj.

III.

Sępa Szarzyńskiego wiersze nieznane.

Kogo Bogowie miłują, ten młodo umiera—mówi tragik grecki— i rzeczywiście, gdy pogromce świata lub geniusze sztuki w kwiecie sił i wieku giną, oszczędza im los dobrotliwy niechybnych zawodów w walce z zawiścią, głupotą i złością, w pasowaniu się z niemocą własnego ciała i ducha, w usuwaniu coraz nowych przeszkód; takich nie skazano na schodzenie ze szczytów, tacy nie ujrzą szczelin w sklepieniu, które wydźwignęli, sami siebie nie będą powtarzali.

Lecz umiera młodo i ten, kogo los prześladuje. Pilny pracownik wschodził powoli a z trudem, każdy krok do celu — nowego wysiłku wymagał, przebył już stopnie najniższe, wtém wpół drogi musiał ustać. Do takich, licznych niestety, ofiar losu należy i *Mikołaj Sęp Szarzyński*. Współcześni zapewniają nas, że gdyby był doszedł lat swych, byłby z niego poeta znamienity polski, zowiąc go po Janie Kochanowskim przedniejszym w polskim wierszu. Ale los nietylko poetę, lecz i dzieła nawet prześladował: własny brat nie mógł się ich dopytać, i tylko obawiając się, aby i ta trocha (co przy nim była), jako

inszych wiele, nie zginęła, wydał w dwadzieścia lat po zgonie Mikołaja (1581) wiązankę wierszy, dawszy je do przejrzenia osobie duchownéj (r. 1601).

Spuścizna po Szarzyńskim, jakkolwiek szczupła, wcale nie przeczy wysokiemu mniemaniu współczesnych. Zawiera ona wprawdzie tylko drobne poezye, parafrazy kilku psalmów, pieśni treści nabożnéj i etycznéj, nagrobki poległym znajomym i krewnym, wiersze na cześć króla, — razem czterdzieści kilka polskich a kilka łacińskich utworów; ale poznajemy w nich zaprawienie się na najlepszych wzorach klasycznych i na Kochanowskim: język energiczny odbija od powodzi słów spółczesnych wierszokletów, myśli piękne a poważne, wyrazy pełne miłości, cnoty i Boga. Czy Szarzyński i w jakiéj większéj całości sił probował, nie wiemy; o czémś podobném, gdyby istniało, mógłby był brat przecież choć z pamięci lub słychu coś wspomnieć; o przyszłych torach jego twórczości również trudno wyrokować: jak Kochanowski psalmy, mógł on kiedyś inne części pisma św. w polską ująć parafrazę, albo może był-by wrażał w umysły przepisy mądrości i cnoty.

Nie wdając się w domysły, pozostaje nam śledzić rozwój tego talentu, badać to, co go poetą zrobiło, i spojrzeć, jakie stopnie przechodził; upoważnia nas do tego odnalezienie nowéj wiązanki wierszy, rzucającéj światło na jego początki.

Jak Jana Kochanowskiego, jak owego Anonima, z którym w poprzednim szkicu zapoznaliśmy czytelnika, tak i Szarzyńskiego miłość zrobiła poetą. Nie zaczął on więc pisać, jak Klonowic lub Szymonowic, „zmarszczywszy czoło nad wierszem *uczonym*“, ani jak Stryjkowski lub Paprocki, przeplatając prozę kronikarską nadętemi rymami; nie chwycił on za pióro ani w oburzeniu na przywary współczesnych, ani też w nastroju religijnym. Miłość, którą młodzieniec odczuwał, nie cudzoziemska, dla jakiéjś czarującéj a zwodniczéj Włoszki, ale swojska, dla Zosi, Anusi i Kasi dworów szlacheckich, wylała się w wiersze; niemi-to nieśmiały usiłował zdobywać, jeżeli nie serce, toć jakiś znak przychylności u swych bogdanek; ale uczucie samą zmiennością przedmiotów, ku którym skierowane, pokazuje nam, że nie było zbyt silne, przygniatające, choć poeta raz aż samobójstwem pogroził. W drukowanym zbiorku mieliśmy tylko jeden wiersz miłosny, ostatni, pieśń ku nadobnéj pannie, któréj gwoli „serce mię boli“, chociaż sam redaktor zbiorku mógł ich mieć więcéj, ale jako duchowny, przy drażliwości ówczesnéj cenzury, dla któréj tyle wierszy polskich z rękopisów nigdy na jaw nie wyszło, umieścił może, by nie gorszyć, ten jeden, a znalazł on łaskę w oczach jego dla grubéj warstwy różu i bielidła mitologicznego, przypominającego

księdzu czasy poetyki i lawy szkolnéj. Ale i poeta sam zarzucił późniéj miłostki, zwrócił myśli ku niebu i śpiewał o sobie:

A ja, co daléj, lepiéj cień głęboki
Błędów mych widzę . . . . . .
I z płaczem ganię młodości méj skoki.

Lecz i wtedy jeszcze, przed owym zwrotem moralnym, przyśpieszonym może jakiémś przeczuciem rychłego zgonu, nie sama miłość zapełniała karty poety. Wcześnie już zwraca się on chętnie ku myślom poważnym; parafrazuje psalm, pisze nagrobki i wychwala w nich cnotę kobiety a męztwo bohatera; przestrzega, by dla przypodobania się wszystkim nie puszczać się prawdy i dobra; poeta-szlachcic, piszący późniéj wiersze pochwalne na herby, uczy, że nie herbami, nie pochodzeniem, ale własnemi sprawami szczycić się należy; kreśli w wierszach etycznych wszechwładzę miłości i fortuny, ale zarazem to, czém człowiek ich jarzma ujść potrafi.

Otóż taki zbiorek, obejmujący trzydzieści i jeden wierszy, znajduje się w rękopisie, z któregośmy i owego Anonima wydobyli. Powiedzieliśmy w poprzedzającym szkicu, że na str. 1—146 rękopisu, pisanych jedną ręką, mieszczą się pieśni i fraszki Anonima, Sobótki Kochanowskiego i kilka fraszek — może tego samego Anonima, ale nieco odmiennych od poprzedzających, bo wziętych z wzorów obcych, lub wymieniających nazwiska osób, czego w owych nie było. Od str. 147 do 162 następuje nowy, pisany całkiem inną ręką, zeszyt wierszy bezimiennych, jak wnioskujemy, Szarzyńskiego. Z wierszy tych bowiem № 5, 9, 12, 14 i 16 powtarzają się w wydaniu Muczkowskiego (na str. 54, 67, 41, 35, 16) choć w innéj redakcyi: wcześniejsza w rękopisie, przerobienie w druku. Porównywając obie, widzimy, jak starannie Szarzyński tworzył; z pierwszego rzutu niezadowolony, wracał do pracy, ogładzał formę, pogłębiał, wzbogacał i urozmaicał treść, rozszerzał i skracał — a tém samém już wyróżniał się z tłumu ówczesnych rymopisów, takich, jak Stryjkowski, Paprocki i tylu a tylu innych, dla których przestroga Horacego o owém powolném dojrzewaniu płodu zdaje się nigdy nie istniała. Tą artystyczną pracą, tém gładzeniem i pilowaniem, staje Szarzyński tuż obok Kochanowskiego, bo i ten, jak dziś wiemy, takiż trud wierszom poświęcał, tak samo je przetapiał i przekształcał. Ze współczesnych możemy obok tych obu jeszcze jednego, acz nie poetę z powołania, wymienić, *Krzysztofa Warszewickiego*: napisawszy i wydawszy Wenecyę, po latach zupełnie ją poprawił i przelał; fikcya bowiem, jakoby ktoś inny, nie on, był pierwotnym autorem Wenecyi, niczém usprawiedliwić się nie da.

Wszystkich odmian jednéj i drugiéj redakcyi wyliczać nie myślimy; wystarczy dla wykazania pracy i postępu Szarzyńskiego przytoczyć jeden wiersz.

„Pieśń IV. O Cnocie Szlacheckiéj“ (Muczk. str. 35), w rękopisie (№ 14) zatytułowana „Do jednego Panięcia“ po strofie drugiéj podaje następną:

Cną sławę wszystkę domu swego gubi
Ten, co się tylko samym herbem chlubi
I dziadów swoich ważnemi sprawami,
Sam zaniedbawszy chodzić ich drogami.

Poeta ją późniéj odrzucił, za to w strofie 8 (druk. 7) pierwotny tekst:

A ty w cenie
Chcesz-li być, porzuć nikczemne zabawy,
A we wszem przodków swych naśladuj sprawy,

zmienił tak:

Przeto w cenie
Kto chce być, porzuć nikczemne zabawy,
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy.

Druga strofa w druku pomylona: „tych (t. j. nauk) kiedy nie staje (w druku: dostaje), Szlachetne plemię szpecą złe zwyczaje.“

Z innych wierszy rękopisu wymieńmy najpierw te, które do znanych treścią i formą najbliżéj przystają. I tak przed owym wierszem „Do jednego panięcia“ czytamy następny:

Do jednego.

Głupie i próżno swą głowę psujesz,
Jeśli-że gwałtem w tém usiłujesz,
Byś się podobał we wszem każdemu:
Pan, co mógł wszystko, nie zdołał temu.
Nic to, iżeś jest u tanich tani;
Przestawaj na tém, że cię nie gani
Choć mały poczet ludu bacznego.
Więc ty dla zdania gminu prostego
Masz puścić cnoty zabawę świętą
I tém ubłagać zazdrość przeklętą?

Takie zapatrywanie się odpowiada zupełnie zasadom Szarzyńskiego, jakie z innych wierszy znamy. Formą przypominają inne dwa wiersze ów Napis na statuę, albo na obraz śmierci:

Córa to grzechowa, Wszystko, co się rodzi,
Świat skazić gotowa, Bądź po ziemi chodzi i t. d.

(Muczk. 5). Pierwszy z nich (№ 1):

Statuta Kupidynowe.

Dziecię jest, ale Król swego stanu,
Nie będzie wcale Pan to jest panu.
Ten, kto go wzgardzi. Ptacy, zwierz, ryby,
Bogowie hardzi Wszyscy bez chyby
Skakać musieli Służą mu zawżdy.
Tam, gdzie nie chcieli. A człowiek każdy
Kiedy on raczył, Ten go zepsuje,
Wnet-li zabaczył Gdy nie próżnuje.

Środek ten przeciw miłości podał już Owidiusz, którego Szarzyński pilnie wertował; powtarza go on nieraz w księgach „De remediis Amoris“, np.:

Otia si tollas, periere Cupidinis arcus
Contemptaeque iacent et sine luce faces [1]);

formę zaś naśladował może poeta z wiersza (Kochanowskiego) o zdrowiu. Drugi z nich (№ 8):

Statuta Fortuny.

Pani to wszystkiego. Co go Wenus pali.
Sprawa świata tego I on też ją chwali,
Jéj jest poruczona; Co z swéj pracy żywie
Fortuna rzeczona. Z potem i ściśliwie.
Nic bez niéj syn Maje, [2]) I ów ją rad widzi,
Co mu dary daje Co z niéj w rzeczy szydzi.
Człowiek zyskiem żywy. Bo ta mądrą radę,
Mars rozlać krew chciwy Gdy chce zmieni w zwadę.
U niéj w ręku stoi. Ta z króla nędznika,
I ten się jéj boi, Króla z niewolnika

[1]) „Próżnowanie gdy ujmiesz, zginął łuk Kupidyna i wzgardzone a zgasłe leżą jego pochodnie.“ Na innem miejscu mówi o Egiście, którego próżnowanie do zgwałcenia ślubów małżeńskich popchnęło i i.

[2]) Merkury.

Uczyni, gdy raczy.
A tego nie baczy,
Komu da swe dary.
W któréj (?) żadnéj wiary
Nie zachowywuje.
Tak ona żartuje.
W saméj niestałości
Trwa bez odmienności,
Tu i owdzie błądzić,
Nierządnie świat rządzić.
W tém się mniejszą czuje,
Iże ustępuje
Uporczywéj cnocie;
Z tą zawsze w kłopocie.

Jeszcze jeden wierszyk etyczny (№ 7):

Niech się złe serce czuje.
Bóg złości nie lubi
A im dłużéj folguje,
Tym srodzéj zagubi.

Między nagrobki, jakie mamy w druku np. dla Starzechowskich, lub dla wojewodziny Sandomierskiéj, należy № 30:

Epitaphium albo napis na grób P. Annie Stawskiéj.

By młodość wdzięczną, piękną, uczciwą ochotę,
Świętą czystość, wspaniałą stateczność i cnotę
Śmierć łakoma krwi ludzkiéj w słusznéj wadze miała,
Dłużéj-by Anna Stawska na tym świecie trwała,
Któréj panieńskie ciało tu jest pochowane;
Cna dusza na miejsce szła, świętym zgotowane.
Tak nam każe jéj wiara i stałe ufanie
Wierzyć, które tu miała w Tobie, Chryste Panie!

Wiersz uwydatnia dobrze znaną religijność Szarzyńskiego. Kochanowski podobnych zwrotów nie używał.

Ale po większéj części są to wiersze miłosne, z jakich w druku dotąd tylko jeden (Zaprzęż nie tygry, nie lwice, Cyprydo, w złoty wóz i t. d., Muczk. 73) znaliśmy. Erotyki Szarzyńskiego nie różnią się od erotyków polskich szesnastego i siedmnastego wieku; uczucie i wyraz jego tylko konwencyonalne: wypada złożyć hołd wierszowany damie serca; przystraja się go więc w rozmaite koncepta, antytezy i podobne retoryczne błyskotki, a kiedy własna wena nie domaga, zapożycza się u mitologii, opowiada w formie przestrogi o Europie, chcąc od podróży odwodzić, o Narcyzie, chcąc wskazać, jak się mści wzgarda miłości, a zaślepienie w sobie i t. d. Na przedmiot hołdu zsypuje się rozrzutną ręką wszystkie uroki, talenta i cnoty; co o Lidyi Kochanowski zapewnia: „Klejnot ten (jabłko złote w sadzie Parysa) należy tobie, A żadna jeszcze nie wstała, Któraćby go odjąć miała“, to samo powtórzył Szarzyński o swojéj lubéj:

Która, bez waszéj Trojańskiéj niezgody,
Rychléj-by klejnot odniosła piękności
A bez zazdrości.

Tém mniéj za to rysów indywidualnych, tém trudniéj śledzić akcyę romansu, lub badać falowanie i głębię uczucia; musimy się zadawalniać zdawkowym patosem miłosnym, gładko utoczonym wierszem, nadobnym obrazkiem lub zwrotem. U późniejszych wzmaga się ten brak indywidualności; między nimi wyróżni się jedyny Andrzéj Morsztyn, z którego liryków niekłamany żar zmysłowy wybucha. Ale Szarzyński obok Kochanowskiego i Anonima jeden z wcześniejszych pisarzy erotycznych polskich; z jego tedy wierszy zbierzemy jeszcze niektóre charakterystyczne rysy; poznamy, że miłość jego odmienna od uczucia, jakiém Jan ku wietrznicy włoskiéj pałał, od nieco statecznéj i poważnéj miłości Anonima, zakończonéj może małżeństwem; nie miłość to, lecz raczéj miłostki, które nam Szarzyńskiego z wyższych sfer, w jakicheśmy go dotąd wyłącznie widzieli, na ziemi, między nadobném a nawet lekkiém towarzystwem, osadzają, a dowodzą, że i on człowiek szesnastego stulecia, że i jemu żylka rubasznéj swywoli nigdy obcą nie była.

Pierwszy cykl wierszy miłosnych (№ 2, 3, 4, 6, 10, a prawdopodobnie i 11) poświęcony Zosi. Osoba to sfer wyższych; szczęście obdarzyło ją wszystkiém, czego ludzie pragnąć mogą; poeta więc, czując się niższym, mniéj śmiały i ani marzy, by ona mu wzajemnością odpłaciła; mimo to kocha, bo „komuż to kiedy, iż go miłowano, wadziło“ pyta niemal temiż słowy, jakiemi Filina do Wilhelma Meistra się zwraca: „und wenn ich dich lieb habe, was geht's dich an.“ Rozwiązanie tego romansu zdaje się było wcale prozaiczne: rozstali się, nie widzieli więcéj i zapomnieli, chociaż się poeta zaklinał, że szczęśliwym nie będzie, póki jéj znowu nie obaczy. Rozstanie to było może w związku z przykrością lub zawodem, jakiego ukochana istota doznała; poeta starał się ją wtedy pocieszyć. Przytoczymy teraz te wiersze, może domyślniejszy czytelnik jeszcze inne szczegóły wysnuje.

Kolęda do Zosi.

Na początku nowego roku każdy daje
Przyjacielowi dary, jakich mu dostaje.
Ja też, iż nie mam nad cię nic milszego sobie,
Myślałem, coby za dar godny posłać tobie.
Nie dostawa mi złota zdradę mnożącego,
Ani ziarn drogich piasku morza Czerwonego;
Lecz acz bym miał, pewnie wiem, żeć tego nie trzeba,
Dał ci tego dostatek on hojny Pan z nieba.

Dałbym ci serce moje, ale nic cudzego
Nie chcę dać; tyś jest panem, nie ja, serca mego.
Z wiarą uprzejmą trudno mam się popisować,
Bo ta już musi z sercem pospołu hołdować.
Owo zgoła ledwie wiem, coć by dać. Bo mojem
Co może być, ponieważ sam nie jestem swoim?
Niezgaszone płomienie miłości, te swemi,
Którycheś mi nie wzięła, mogę zwać własnemi.
I tych ci po kolędzie dawam, po kolędzie,
Proszę niech ten lekki dar wzgardzony nie będzie;
A jeśli-że go zgardzisz, to ja pewnie muszę,
Lada dzień po kolędzie Bogu posłać duszę.

Równemi konceptami odznaczają się wiersze 3 i 6 nazwane: „Fraszka do Zosi"; trzeci wyróżnia się mniéj zwykłą budową: dwunastozgłoskowy wiersz dzielony średniówką na pięć i siedm zgłosek.

Bądź mi oczkami pozwalasz łaskawemi,
Bądź mi oczkami odmawiasz groźnemi,
Równie mię tracisz: nadzieją wątpliwego
Męczysz, a groźbą mię trapisz lękliwego.
Nadzieja, kiedy wejrzysz na mię łaskawie,
Serce i wszystkie wnętrzności pali prawie;
Bojaźń, kiedy mi oczko twoje pogrozi,
Zimnem strętwialém serce me nędzne mrozi.
Owo ja smutny cierpię gwałt nieskończony,
Między nadzieją a strachem postawiony.
Dzień mię nie widzi od frasunku wolnego,
I noc spokojna nie zna mię spokojnego.
O nadewszystkie sroższy okrutne bogi,
Kupido! jakoż ja mam pozoyć téj trwogi,
Gdyż równie srodze, chcąc człowieka zepsować,
Tracisz, jako gdy chcesz łaskawie ratować.

Słuchaj, gdy nie chcesz baczyć, co się ze mną dzieje,
A nie mórz w mojém sercu do końca nadzieje:
Albo łzami gęstemi wszystek się oblewam,
Albo serdeczne ognie wzdychaniem odkrywam.
Ognie, któreby w popiół dawno mię spaliły,
Gdyby mię łzy wilgotne często nie kropiły,
Które tak często (?) płyną, żeby już me ciało,
By go ogień nie suszył, wodą być musiało.

Owo nigdy się o to nie przestają wadzić:
Ciężki płacz, srogi płomień, kto mię z nich ma zgładzić.
W tém rozterku co cierpię, chciéj uważyć sobie!
Lecz jeślić i to trudno, powiem ja sam tobie.
Żywot mię zaś opuścił, śmierć się mię wziąć boi,
Sama żałośna miłość przy mnie stale stoi,
I ta tylko dla tego, aby mię męczyła;
Mniemałaś, aby z cnoty przy mnie się bawiła?
Otóż słyszysz, tych czasów co się ze mną dzieje.
O nader srogie serce, co się z tego śmieje!
Ty jeśli mię nie myślisz na wieki zepsować,
Uczyń, coć nie zaszkodzi: dopuść się miłować.

Myśl słów ostatnich powtarza się w poprzedzającym (4) wierszu, pełnym skargi jeszcze rzewliwszéj, którą tylko mitologia wstępu psuje:

Frasunek.

Nigdy takowych mąk nie ucierpiało,
Jeśli-że było serce, co pałało
Płomieniem wściekłym dla możnéj Junony,
Władającego gromem pana żony,
Jakież nieszczęsne serce me używa.
Fortuna miłość, co z nadzieją bywa!
Ale piekielne ciężkości przechodzi,
Gdy z nią wątpliwość bojaźliwa chodzi.
Cóż ja mam czynić, w taką miłość wdany?
Kto tak szkodliwe może zleczyć rany,
Gdy o nich nie wie ten, co zleczyć może?
Lecz acz-by wiedział, snadź ci nie pomoże.
Nie wierzę temu, w tak ciele nadobném
I ku przedniejszym aniołom podobném
By się okrutność sroga znaléźć miała.
Łaskawe duchy szle Bóg w piękne ciała.
Komuż to kiedy, i° go miłowano,
Wadziło? Komuż za miłość lajano?
I mnie téż nie to szkodzi, że miłuję,
Ale iż taję miłość moję, czuję.
By mi wątpienie płocho dozwoliło
Oznajmić, wierzę, żeby odmieniło
Twarz swą nieszczęście, tak mi tamte tuszą
Sprawy wdzięczności pełne, co mię suszą.

Próżno nadzieję przywabić się kusi
Tém rozważaniem; już widzę, że musi
Iść na wytrwaną z ciężkościami temi.
Wszak trudne rzeczy bywają łatwemi,
Gdy szczęście raczy. Albo tedy moje
Serce milczeniem zwalczy niepokoje,
Albo, jak działo prochem przesadzone,
Tak ono żalem będzie rozrzucone.

We wstępie wspomniał poeta o Ixionie, który, płonąc miłością ku Junonie, uściskał obłok i, wpleciony na koło w Hadesie, za śmiałość pokutuje. Myśl o duchu łaskawym w pięknem ciele ogólna, por. np. u Kochanowskiego: „im kto cudniejszy, tém niejako być musi Bogu podobniejszy“, na innem miescu: „bo nie lada Bóg jako swych darów rozdawa, temu łaskawszy, komu co nad ludzi dawa... dar boży tedy gładkość a dar znamienity i t. p.“ Wiersz dwudziesty zdaje się w odpisie zepsutym, związek wymagał-by zwrotu „ale iż tajną miłość moję czuję“ lub podobne; „iść na wytrwaną“ znaczy pasować się. Następuje № 10:

Do Zosi.

Nie psuj niepotrzebnemi łzami wdzięcznych oczy;
Nic to, że się obrotne koło czasem toczy
Fortuny niespokojnéj nie wedle twéj woli.
Nie nędza to w społecznéj być z światem niewoli.
Człowieka tak szczęsnego na świecie nie było,
Którego-by nieszczęście w niczém nie ruszyło.
Niebieskich to duchów stan. U nas tu na ziemi
Wesołe się mieszają sprawy z troskliwemi.
Na to pomnąc, frasunkiem nie psuj głowy sobie;
Przyrodzenie fortuny, nie gniew szkodzi tobie;
Lecz jak przyjacielowi, tak téż jéj rozumiéj:
Prócz frasunku postępki takie znosić umiéj.
Strzeż się, by cię fortuna niewdzięczną nie znała,
Która cię z młodości twéj prawie piastowała
I tak ci wiele dobra saméj użyczyła,
Na którém-by przestało ludzi szczęściu siła.
A téż nie wiem, zkąd żałość ta na cię przychodzi,
Wszak się twemu staraniu wedle myśli wodzi.
Przestań jeno, gdy tak chce mieć fortuna, na tém,
A to, czego ty żądasz, przyjdzie snadnie za tém.

Czego rok nie mógł sprawić, to godzina sprawi,
A dłużéj trwa to, co się z większą pracą stawi.
Co też wiesz, jeśli temu szczęście nie folguje:
Aby wdzięczniejsze było, lekko postępuje.

W wierszu kilka reminiscencyi klasycznych np. z Encidy: „unum solamen miseris socios habuisse malorum“, pociecha nędzarzom, spólników mieć nieszczęść (por. w. 4); wyraźniejsza: „attulit punctum quod non speratur in anno“, chwila przyniosła, czego i przez rok się nie spodziewano (por. w. 21). W rękopisie następuje bez przedziału i osobnego napisu wiersz, który jeszcze do tego cyklu odnosimy:

Będę się zawsze dziwował twojéj piękności,
Nie szkodzi wiernéj dalekość miłości;
Bo gdzie ciałem nie mogę być, tam myślą będę,
A pierwéj siebie, niż ciebie, zabędę,
A dotąd się serce me smęcić nie przestanie,
Aż cię oglądam, me wdzięczne kochanie!

Rozłąka położyła koniec miłości bez wzajemności, bez widoków, ale niedługo próżnowały wyobraźnia i serce; nasunęły się aż dwa przedmioty, godne, by im hołdy składano, i widzimy poetę roztargnionego, niezdecydowanego, przynajmniéj w wierszu (№ 19):

Fraszka o Kasi i o Anusi.

Kasia z Anusią, wdzięcznych i pięknych oboje,
Jednakiemi płomieńmi trapią serce moje.
Obyczaje w obudwu, godne pochwalenia,
Też wielką są przyczyną mego udręczenia.
A gdy czasem pospołu wedla siebie siedzą,
Na którą pilniéj patrzać, oczy me nie wiedzą.
Anusia zda mi się być piękniejszą nad Kasię,
Kasia zda mi się piękniejszą nad Anusię zasię.
Tamta nad tę a ta też nad tamtę wdzięczniejsza,
W rozmowie ja nie wiem, która przyjemniejsza.
To jedno wiem, że obie bez miary miłuję,
Jak to może być, nie wiem, ale miłość czuję.

Ale po za tym wierszem nic na takie roztargnienie nie wskazuje; zdaje się, że poeta wyłącznie jednemu uczuciu oddany. Jeszcze mniéj wiary godne, co on o chwalebnych obyczajach swych bogdanek wspomina; Kasia przynajmniéj, prócz męża, chyba kilku kochała, między nimi młodego Pawełka (Pasia), z czego się poeta (№ 22) śmieje:

O Kasi i o Pasiu fraszka.

Kasia me kochanie, Pasia nadobnego,
Który ledwie doszedł roku piętnastego,
(Sama także młoda) serdecznie miłuje
A jawnie mu miłość swoję pokazuje,
Dary, całowanki, słowy i postawą;
Nie wiem, by mężowi była tak łaskawą.
A jam się spodziewał, by to przez to było,
Iż zawżdy podobne podobnemu miło,
Albo przez to, że nań mąż łaskaw, i ona
Łaskawą być musi, jako zgodna żona...

Końca téj swywolnéj fraszki przytoczyć nie możemy. Ale Pawełek, to tylko zabaweczka. Kasia jeszcze innego naprawdę kochała i doznała zawodu; przestrzegał ją poeta, na zmienność mężczyzn wskazywał, swoję stałość wychwalał, a po zawodzie hołdował chętnie téj, nad którą się miłość zemściła, tusząc sobie, że tém prędzéj jego wysłucha. Cały stosunek arcy nie budujący, włoskie raczéj, niż polskie przypomina strony; najciekawsza przytém rola poety, który w XVI wieku, kiedy wszystko i wszystkich chwalono, mniéj się liczył ze słowami, a prawdę tak lekko brał, żebyśmy go dziś obłudnym nazwali, kiedy on tylko naiwny; i on mógł-by o sobie, co Kochanowski w podobnéj sytuacyi, powiedzieć: „Chwaliłem jéj niegodne chwały obyczaje, Więc mi téż mą nieprawdę fałszem dziś oddaje.“ Ale wysłuchajmyż jego samego.

Pierwszy z wierszy „Do Kasi“ (№ 17) objawia gorącą miłość poety, który niewysłuchany uschnie, jak usechł Narcyz; tu opowiada o przejściach téj miłości w samym sobie i przestrzega zarazem Kasię, bo w Narcyzie obojętność dla innych skaraną została; z Owidyusza to, z poety miłości, w którym młodzieniec się pilnie rozczytywał, z trzeciéj księgi Przemian przerobił on powieść o Narcyzie w pieśń liryczną, zachowując tok oryginału, powtarzając nawet wiernie kilka z jego motywów:

Jako lód taje przezroczysty z lekka,
Kiedy go ogień zagrzewa zdaleka,
Tak ja na twarz twą na każdą godzinę
Patrzam a ginę.
Patrzam a ginę z wielkiego frasunku,
A jeśli nie dasz łaskawie ratunku,
Nielitościwą tobie wiecznie słynąć
Przyjdzie, mnie zginąć.

W co mię nieszczęście okrutne wprawiło!
Śmierć tuż, gdy patrzam na to co mi miło,
Śmierć tuż, gdybych cię najmniéj spuścił z oczy,
Za mną się toczy.
Gdzież on mój umysł, który płomień taki
Aż nazbyt sobie miał za ladajaki?
O próżne dumy! Nie my sobą sami,
Bóg rządzi [1]) nami.
Tak najpiękniejszéj Narcysus urody,
Gdy się chciał napić, nachyliwszy, wody,
Jak we zwierciedle, choć nie tego żądał,
Twarz swą oglądał.
Nie widał przed tém oblicza swojego,
Przeto, mniemając kogo być inszego
Pod wodą, swéj się piękności zdziwował,
I rozmiłował.
Patrza a patrza, a im patrza pilniéj,
Tym w jego sercu sroga miłość silniéj
Cieniem a wodą — kto się nie zadziwi? —
Płomienie żywi.
Chwalę, Kupido, strzały twe w téj mierze,
Niechaj za przykład każdy sobie bierze,
Że ty na tego, co prze piękność hardy,
Masz munsztuk twardy.
Zgardzał ten ninfy, co się mu kłaniały;
Prze jego hardość, chodząc między skały,
Stwardziała Echo, powtarzać gotowa
Człowiecze słowa.
A gdy tak patrzał na swoję twarz chciwie,
Już poczuł miłość; wzdycha żałośliwie,
Już się rozmawiać z swym cieniem nie wstydzi,
A Wenus szydzi.
„Któż kolwiek jesteś, rzeczo, co mieszkanie
„Masz pod tą wodą, usłysz me żądanie:
„Niech wolno będzie dotknąć się twojego
„Ciała ślicznego.
„Co cię wsadziło, dziecię najpiękniejsze,
„W tę wodę? wynidź do mnie! czy mocniejsze
„Przyczyny bronią i tak wolą twoję
„Psują, jak moję?

[1]) W rękopisie: radzi.

„Ach! widzę twojéj chęci ku mnie znamię:
„Dokąd ja patrzam na cię, patrzasz na mię;
„Mówię: usta twe snadź odpowiadają,
„Bo się ruchają.
„Płaczesz, gdy płaczę; gdy żałośnie wzdycham,
„Wzdychasz; śmiejesz się, gdy się ja uśmiécham;
„Chcę cię obłapić, ręce twe rozciągasz
„I mnie téż siągasz.
„Chcę cię całować, wnet usta chętliwe
„Sam mi podawasz, jedno zazdrośliwe
„Nam tego wody, co nas rozdzielają,
„Nie dopuszczają.
„Mała rzecz wielkie nam psuje rozkoszy.
„Niechże twe źródła przeklęte rozproszy,
„Bezecna wodo! słońce gorącemi
„Promieńmi swemi."
Tak siedział, z swoim cieniem rozmawiając
A wszelką pomoc żywota zgardzając.
Usechł z tęsknice; potém jego ciało
Kwiatem się stało.

W następnym wierszu (№ 18) sytuacya i myśli niezmienione: poeta błaga o wysłuchanie, o litość, tym razem nie wybiegając w dziedzinę mitologii:

Im pilniéj na twoje oblicze nadobne
Patrzam i na oczy twe gwiazdom podobne,
Tém mię srodzéj palą płomienie miłości:
Dla Boga, daj ratunk, ginę w téj ciężkości.

O wdzięczne stworzenie, pani urodziwa,
Bacz to, że dla ciebie serce me omdléwa,
Cierpiąc niewymowny żal i doległości:
Dla Boga, daj ratunk, ginę w téj ciężkości.

Ustawne wzdychanie, słowa niezmyślone
I smętnemi łzami lice pokropione
Niechaj cię przywiodą ku słusznéj litości:
Dla Boga, daj ratunk, ginę w téj ciężkości.

Co za zysk ztąd weźmiesz, że zginę dla ciebie,
Który cię miłuję bardziéj niż sam siebie,
I twojéj się wdzięcznéj dziwuję piękności:
Dla Boga, daj ratunk, ginę w téj ciężkości.

Żywot, szczęście i śmierć, i nieszczęście moje
Dzierży w swojéj władzy możne serce twoje.
Co ty będziesz chciała, to się ze mną stanie:
Dla Boga, daj ratunk, me wdzięczne kochanie.

Szczegóły, o których wyżéj wspomnieliśmy, czerpiemy z wiersza „Do Kasi“ (№ 20):

Szczęśliwy to, po kim ty wzdychasz tak tęskliwie;
Nadeń człowiek szczęśliwszy na świecie nie żywie;
Szczęśliwszy jest niźli on, co niebo dla niego
Wzgardzała Wenus, matka Kupida łucznego [1]).
Niech się mu i z méj strony wszystko k myśli wodzi,
Którykolwiek jest i kędyżkolwiek jedno chodzi,
Niechaj jego nieszczęście ciebie nie frasuje,
Bo twój wszelaki frasunek moje serce psuje.
Lecz ja, czego nie mogę sam mieć, życzę tobie:
Abyś bacznie radziła w téj przygodzie sobie;
Strzeż się wielkiéj żałości za pociechę małą:
Piękność męska [2]) hardą jest i zawsze niestałą.
A ja, moje kochanie! raduję się temu,
Że mię panu fortuna w moc dała takiemu,
Który świadom, jak srogi żal i utrapienie
Nieznośne mają w sobie miłości płomienie.
Rychléj zawsze głodnemu głodny wyrozumie;
Kto był nędzny, nad nędznym zlitować się umie.
I ty, gdyżeś, co miłość tęskliwa doznała,
Tuszę, że wzgląd na moję ciężkość będziesz miała.

Ale rezygnacya nie wiele pomaga, Kasia niczem nie daje się wzruszyć; ponawia więc poeta skargi i wyrzuty, lecz, jakby za daleko zaszedł, zapewnia, że na tém poprzestanie, że niedyskretnym nie będzie, w wierszu „Do Kasi“ (№ 23):

Jeśli władną co nami błądzących gwiazd siły,
Wierzę, że złośne niebem aspekty rządziły,
Gdym najpierwéj obaczył tę twoję urodę,
Dla któréj ja dobrą myśl stracił i swobodę.
Me żałośne wzdychanie i oczy płaczliwe,
Które by ubłagały i jędze złośliwe,
Bladość, trudnéj miłości farbę przyzwoitą,
Jawnie widzisz i żałość z frasunkiem obfitą.

---

[1]). Mowa o Adonisie; łuczny t. j. celny.
[2]) W rękopisie: mieszka.

A wżdy, okrutna pani! ani łaskawego
Słowa do mnie nie rzeczesz i cieszysz się z tego,
Że ja dla ciebie ginę mękami srogiemi:
Okrutniejszy nie żyje zwierz nad cię na ziemi.
Wszystkę moję uprzejmość [1]) i posługi znaczne
Uporczywie wzgardziło twe serce niebaczne.
Lecz jeśli jest na niebie co sprawiedliwości,
Srogiéj pomsty nie ujdziesz dla téj niewdzięczności.
Ja swéj krzywdy wzdychaniem i łzami smętnemi
Mścić się będę, nie mszcząc się sposoby inszemi.
Obacz moję cierpliwość: wolę zginąć w grobie,
Niżliby co szkodziło z méj przyczyny tobie.

Mimo to zagniewała się Kasia na niewinnego, może że jéj zbytnią okazywał attencyę; stara się więc ją przebłagać, powtarza jednostajne skargi i zaklęcia, a przykrasza je groźbą samobójstwa z miłości, o którém wprawdzie nic u współczesnych, za to tém więcéj w swoim Owidyuszu się doczytał (№ 24):

Mam nadzieję, że się nade mną zlitujesz,
Bacząc, że się na mię niewinnie frasujesz.
A jeśli gniew trzymać będziesz uporczywie,
Przysięgam przez miłość, która we mnie żywie,
Dla wielkiéj żałości żywota się zbawię.
Żem ci nic nie winien, świadkiem swą śmierć stawię.
Wżdy téż wtenczas rzeczesz: dla gniewu mojego
Niewinniem straciła sługę uprzejmego.
Ale ta twa żałość już za me nie stanie,
Przeto porzuć w czas gniew, usłysz me żądanie.
Nie okazuj mi tak niełaskawéj twarzy,
Prze którą żal srogi serce moje żarzy.
Nieznośnéj żałości i ciężkiéj tęsknice
Żałośne łzy, które kropią smętne lice,
I gęste wzdychania jawny znak dawają.
Choć bym słowa nie rzekł, tak na cię wołają:
Przecz okrutnie męczysz tego, coć w twém prawie;
Nie przystoić srogość, zlituj się łaskawie.

Wiersz przedostatni w rękopisie zepsuty, wyraz między „coć“ i „prawie“ źle czytelny.

W wierszu „Frasunek“ (№ 25) zdaje się poeta, ukoiwszy nadmierne żale, z rezygnacyą na zmienność losu: „burze nie srożeją

[1]) t. j. szczerość; słowo zmieniło znaczenie

ciągle, zaświeci jeszcze i słońce.“ Charakterystyczny początek małoruski, z którego widać, że poeta wzrósł na Czerwonéj Rusi, że się śpiewom ludowym przysłuchiwał. On dał pierwszy przykład; o wiele późniéj i inni, skuszeni rzewnością melodyi, prostotą wyrazu, sielskością pojęć, własne dumy z ruska zabarwiali lub całkiem po rusku tworzyli. Podobny polsko-ruski wiersz znachodzimy np. w zbiorku „Wesoła Ochota przy dobréj myśli i t. d.“ 1647 r. (Pod lipoju stojała, Z mileńkim rozmawiała. Rusaja kosa, czornyje oczy, Komu się dostać macie i t. d.); całe ruskie dumy czętsze po rękopisach ośmnastego wieku, obok lirycznych nawet i historyczne, np. „Duma o Sawie“ (sławnym kozaku, ojcu Barszczanina Calińskiego).

Terpiż hołowońko do szczasnoj hodyny!
Wszak tobie fortuny ciężkie nie nowiny.
Przetrwałaś już wiele, przetrwaj-że już i to,
Aż Bóg żal weselem nagrodzi sowito.

Były téż te czasy, gdy był śmiech nie drogi
I żadne wesela nie psowały trwogi;
Były téż te czasy, kiedy tania była
Żałość, lecz me serce nadzieja cieszyła.

Nadzieja cieszyła, która i dziś cieszy,
Mówiąc: za nieszczęściem tuż się szczęście spieszy.
Prędko grom przechodzi, prędko i błyskanie;
I twój żal przeminie prędzéj nad mniemanie.

Albo ten, który cię niewinnie frasuje,
Widząc twą stateczność, gniew swój pohamuje;
Albo, chce-li w nim trwać, Bóg cię wyswobodzi
A zkąd inąd twój żal weselem nagrodzi.

Wierz „Frasunek do Kasi“ (№ 26) waryacya na temat Katulla „Odi et amo“ (Nienawidzę i kocham):

Niewymowne trapienie cierpi serce moje:
Miłość w niem z nienawiścią srogie toczą boje.
Która go opanuje, ja nie mogę wiedzieć;
Ale mniemam, że się w niém miłości osiedzieć.

Radbym, aby nienawiść tę wojnę wygrała;
Ale się na mię miłość mocnie zgotowała;
Ma przy sobie nadzieję, ma i oczy chciwe,
Które czynią, iże jéj serce jest życzliwe.

Przy nienawiści rozum i wstyd słuszny stoi,
Które mówią, że dłużéj cierpieć nie przystoi;

Okrutność jéj winując, [1]) wzgardzić rozkazują;
Lecz oczy służyć radzą, piękność pokazują.
Żywot mi i bez ciebie, i z tobą niemiły;
Godna twarz miłości, gniew sprawy zasłużyły.
Cóż rzec? albo ja tobie nie będę hołdował;
Muszę-li, tedy będę nieszczęście miłował.
Prze twą szlachetną piękność, co mię srodze pali,
Którą już miléj niźli Boga serce chwali,
Proszę niechaj łaskawie serce twe zezwoli,
Bym cię z chęci miłował a nie po niewoli.

Czy mu się Kasia nareszcie łaskawszą zdała, czy się czém inném ośmielił, pocałował ją, ale co mu za to wycierpiéć przyszło, opowiada w wierszu „Fraszka do Kasi“ (№ 27):

Całowałem cię gwałtem, me wdzięczne kochanie,
I cukrem mi się zdało ono całowanie.
Alem tego przypłacił, bo całą godzinę
Cierpiałem mękę ciężką za tak lekką winę.
Ani na sprawowanie [2]), ani na me prośby
Nie chciał przestać twój język łajania i groźby
I z takąś czczycą [3]) usta wdzięczne ucierała,
Jakoby na nie straszna trucizna paść miała.
Co to jest, że przystoi każda rzecz pięknemu.
I gniew twój przydał sercu miłości mojemu.
A tak mię utrapiło to two frasowanie,
Że mi się żółcią zdało ono całowanie.
Lecz gdy tak karzesz chciwą miłość, obiecuję,
Że cię gwałtem już drugi raz nie pocałuję.

W ostatnim wierszu „Do Kasi“ (№ 29) cieszy się poeta, że się Kasia dała przeblagać, że mu z sobą mówić i na się patrzéć pozwala; zaczyna od porównania:

Jako się raduje żeglarz utrapiony
Godzinie téj, w którą ustawa szalony
Wiatr, co wielkie morze burzył, i straszliwe,
Chmury odkrywają słońce pożądliwe:
Tak się ja téż téj to godzinie raduję,
W którą dokończenie przeciwko mnie czuję

[1]) W rękopisie: wynuycsz.
[2]) Usprawiedliwianie się.
[3]) z takim niesmakiem.

Twych gniewów, o moje jedyne kochanie!
O nadobna pani! me wdzięczne staranie!
Już zaś we mnie znowu nadzieja ożyła;
Wątpliwość umarła, która mię trapiła,
I przywróciło się wesele prawdziwe;
Żal z frasunkiem zginął i myśli tęskliwe.
Już mi na twarz twoję nadobną nie bronisz
Patrzać i mówić już ze mną się nie chronisz.
Niestetyż! toć jeszcze niedostawa wiele,
Abym to już mógł rzéc: szczęśliwem ja, śmiele.
Przemożna bogini na ziemi, na niebie,
Wenus, tego ja dziś pożądam od ciebie,
Abyś nas twym ogniem paliła społecznie
A szkodliwa zwada niech przepadnie wiecznie!

Tą prośbą do Wenery kończą się wiersze do Kasi, poeta od celu jeszcze daleki i nie wiemy, czy go osiągnął. Ale podczas gdy wierszy miłośnych do Zosi nie przeplatały wiersze do innéj piękności, ciąg wierszów do Kasi przerywają wiersze, w których poeta i Anusi hołduje; i to jedna z tych piękności, z któremi go nic więcéj nie łączyło, tylko podziwianie z daleka, miłość platoniczna i żale niewysłuchane. Z pierwszego wiersza „Do Anusi“ (№ 15) możnaby było coś więcéj wnosić:

Anusiu, byś mię tém chciała darować,
Żeby mi oczy twe wdzięczne całować
Wolno do woli, lub usta nadobne
I róży farbą rumianéj podobne;
Całowałbym cię razów sto tysięcy,
Nie przestawając, więc zaś trzykroć więcéj.
Więc tysiąc, więc zaś, więc dwa, więc zaś wtóry:
Trzeba tak liczbę mylić, aby który
Człowiek nie urzekł, wiedząc, że tak wiele
Tych całowanków. Bo cudze wesele
Rodzi jad ciężki w sercu zazdrośnego;
Ten potém z miejsca wypadłszy swojego
Srodze człowieka szczęsnego zaraża,
Czém wszystkie jego rozkoszy przekaża.

Ale już następny wiersz „Do Anusi“ (№ 21) poucza nas dokładnie, że Anusia dla poety takąż Kasią, że tylko dla niego nie użyta, ale téż, że go nigdy nie łudziła:

Siebie muszę, nie ciebie, w téj mierze winować:
Trudno tobie obłudność zdradną przypisować.
Dawałaś znać i mową, i postawą twoją,
Żeś gardziła stateczną uprzejmością moją.
Baczyłem ja to wszystko, ale me baczenie
Obłędliwa nadzieja miała w podłéj cenie
I niebacznym afektem rozum mój wiązała,
Że mi się twa niewdzięczność uprzejmością zdała.
Tuszyłem ja, żeś miała k mojéj powolności
Serce twoje nakłonić; a to nie srogości
Przyczytałem, iżem nic nie znał łaskawego,
Mówiąc: co od wstydliwéj pożądać inszego.
Alem teraz doświadczył, iże mnie samemu
Nieużyte twe serce. Przeto co rzéc temu,
Jedno się o to starać, aby miejsce miała
Gdzie indziéj ma powolność, z któréj się ty śmiała.
Śmiałaś się, lecz się boję, abyś nie płakała,
Bo coby sprawiedliwa Nemezis działała,
Która zawsze takową odmierza każdemu
Miarą, jakową mierzył kto przedtém drugiemu.

Nagle następuje zmiana: nieużyta dotąd Anusia staje się łaskawszą, i jakby ona miała być tą, która (miasto Kasi) „żal weselem nagrodzi“, obiecuje poecie szczęście, z upragnieniem czeka on w wierszu „Do Anusi“ (№ 28):

Moja nadobna dzieweczko, moje kochanie!
Kiedy wżdy nam tak szczęśliwy on dzień nastanie,
W który skutku swego dójdą twe obietnice,
A moje serce pozbędzie srogiéj tęsknice.
Twoja najwdzięczniejsza piękność snadnie sprawuje,
Że me serce w téj miłości nic nie styskuje,
A twe sprawy, w których niemasz nic obłudności,
Czynią, że ja ufam tobie prócz wątpliwości.
Ufam tobie, lecz ciężkiemu to udręczeniu
Równa się być u nadzieje w długiém ćwiczeniu.
Bowiem bojaźń zawsze przy niéj źle praktykuje,
Mówiąc: często pewne rzeczy odwłoka psuje.
Przeto proszę, nie odwlaczaj, folguj pogodzie,
Zagródź drogę czyhającéj na nas przygodzie.
Niech nie będzie me o tobie próżne mniemanie,
Moja nadobna dzieweczko, moje kochanie!

Jednak obietnica może i ziszczoną nie została. Przynajmniéj w ostatnim wierszu „Fraszka do Anusi“ (№ 31) usprawiedliwia poeta swe łzy i westchnienia przykładem nimf i bogów:

Jeśli oczu hamować swoich nie umiały
Leśnych krynic boginie, aby nie płakały,
Gdy baczyły przy studni Narcyza pięknego
A on umarł prze miłość oblicza swojego;
Jeśli nieśmiertnym stanom żałość rozkazuje,
Gdy niebaczna fortuna co niesłusznie psuje;
Jakoż ja mam hamować, by na lice moje
Z oczu smutnych żałośne nie płynęły zdroje!
Jako serce powściągać, aby nie wzdychało,
I od ciężkiéj żałości omdlewać nie miało!

Na tym, prawdopodobnie niedokończonym wierszu, w którym wzmianka o Narcyzie przypomina nam wiersz i powieść o nim do Kasi, urywa ów zeszyt. W rękopisie następuje potém kilka luźnych kawałków odmiennéj ręki, ale może wskazujących, że rękopis gdzieś na ziemi ruskiéj składano, bo oprócz łacińskich wierszy pochwalnych na kaznodzieję i teologa Sokołowskiego i epigramów na orła polskiego i lilie francuskie, czytamy tam pobożny traktacik, dedykowany z Przemyśla Mikołajowi Firlejowi, dowcipy szkolne z dosłownego tłómaczenia nazw (*veni in cognicionem... ambulavimus invenerunt vos* - przyszedłem do Przemyśla... poszliśmy na śliwy i t. d.); wiersz łaciński heroiczny Jana Wierzejskiego do wojewody podolskiego Mikołaja Mieleckiego z powodu wyprawy jego wołoskiéj r. 1572.

Chociaż, jak wspomnieliśmy, nazwiska autora tych wierszy nie wyrażono, liczne jednak cechy wskazują niechybnie na Szarzyńskiego: niewątpliwy wiek rękopisu; jednolitość zeszytu, występująca już w pisowni, dziwnéj a rzadkiéj, którejśmy w naszéj transkrypcyi zachować nie mogli; przeplatanie wierszami, o których wiemy z druku, że są Szarzyńskiego, ale w formie poprzedzającéj ostatnią redakcyę, pochodzącéj więc z autentycznego rękopisu; pojedyńcze właściwości języka i stylu, powtarzające się we wszystkich — to są pewne wskazówki. Wyżéj już scharakteryzowaliśmy w krótkości, co nam te wiersze o Szarzyńskim samym dopowiadają; teraz zwrócimy uwagę czytelnika jeszcze na jedną okoliczność.

Poezyę erotyczną polską szesnastego wieku zastępował do niedawna jedyny Jan Kochanowski: między nim a Morsztynami, Hieronimem i Andrzejem, była przerwa lat kilkudziesięciu. Wierszami miłośnemi Anonima i Szarzyńskiego zapełniamy tę lukę; możemy teraz przypuszczać, że niemal każdy z poetów polskich — wierszokletów

wykluczamy — zaczynał od podobnych wierszy; po Górnickim nawet kilka znaleźliśmy; a może i między owemi dziwnemi tekstami, któremi Rej za młodu zarzucał dworzan i panięta, były wiersze podobnéj treści. Z wieku piętnastego mamy wprawdzie tylko luźne wierszyki i dwa listy prozą, nieraz rymami przeplataną: musiało być ich o wiele więcéj, ale gorszono się niemi i niszczono je, bo nawet ocalałe są przekreślone.

Więc i ta gałąź literatury nie była kiedyś tak niepłodną, jakby się dla braku pomników zdawać mogło: jak dziś, tak i przed stuleciami, młody poeta na tém polu najczęściéj talent odkrywał i zaprawiał się do lotu. Ale powaga wieku nie dopuszczała popisywać się błahym hołdem, składanym kobiecie, i przebrane erotyki wyjątkowo do druku się dostały, jak np. Kochanowskiego; największa ich część, w nielicznych krążąca odpisach, z czasem ginęła na zawsze. Co się zachowało, wiersze Kochanowskiego, Anonima i Szarzyńskiego, wystarcza, byśmy powzięli pojęcie o treści i formach, jakie w tego rodzaju twórczości popłacały.

A. Brückner.

PERCY SHELLEY.

1. Królowa Mab.

Głęboki znawca Shelleya, John Todhunter [1]), trafnie go nazwał poetą przewrotu w przeciwstawieniu do Byrona, który był tylko poetą buntu. Piętnując rozpanoszoną w świecie obłudę, twórca Don Juana niejednokrotnie dawał wyraz wątpliwościom swoim co do słuszności i prawdy wszystkiego tego, co ludzie uważali za święte, ale nie ośmielał się jednak burzyć podwalin społeczeństwa. Shelley tymczasem ani się wahał zerwać z całym dorobkiem przeszłości; obdarzony nadludzką fantazyą, zwiedzał on nieznane Byronowi krainy i, oczarowany tém szczęściem wiecznem i wiosną, którą tchnęły nieskończone błękitne zaziemskie przestworza, wracał do życia po to, aby burzyć to co, krępowało swobodny jego polot ku owym wyżynom słonecznym, tłumiło wrodzoną mu tęsknotę do miłości bez granic i końca.

---

[1]) *A study of Shelley* (London 1880). Najnowszą i najbardziej wyczerpującą pracą o Shelleyu jest dwutomowe dzieło prof. Edw. Dowdena (London 1881). Po-za tém zasługują na uwagę, z życiorysów: dzieła pani H. Druskowitz (Berlin 1884) treściwe, bezstronne, ale suche; Feliksa Rabbe (Paris 1887); Symondsa w *English Men of letters*. W. M Rossettiego w przedmowie do krytycznego wydania poezyi Shellyea. Z portretów literackich najtrafniejszy J. Darmestetera w *Essais de littérature Anglaise* (Paris 1883); wreszcie zasługują na uwagę studya Brandesa w IV tomie *Prądów literatury XIX w.*; Edw. Schuri w Revue d. d. m. 1877 t. I, i J. Sarrazin'a w *Renaissance de la poésie Anglaise* (Paris 1889).

Nakształt podzwrotnikowéj roślinności, wybujała w duszy Shelleya, rozrosła się i ogarnęła go fantazya. Rozmiłowany w rozkoszach marzenia, przypomina on w tym względzie Chateaubriand'a, który niejednokrotnie wyrażał swój wstręt do życia i, stroniąc od rzeczywistości, pogrążał się w topielach snów; ale Shelley poszedł daléj, pociąg swój starał się uzasadnić naukowo, poświęcając całą rozprawę na wykazanie pierwszeństwa w umyśle ludzkim téj władzy, która była dla niego źródłem najwznioślejszych rozkoszy rozum — dowodził poeta — widzi tylko różnice, wówczas, gdy wyobraźnia chwyta podobieństwa; wyobraźnia prowadzi do syntezy i buduje, rozum nie sięga po za analizę; czém dusza względem ciała, czém rzecz sama względem swojego cienia, tém wyobraźnia względem rozumu. Tworząc tysiące nowych kombinacyi myśli, wyobraźnia budzi i rozszerza umysł, rozszerzając, uszlachetnia i uzacnia. Źródłem moralności jest miłość, istotę zaś miłości stanowi umiejętność rozstania się z naszém własném jestestwem, a wcielania się w piękno myśli i czynów, które naszemi nie są; człowiek dobry powinien umieć wejść w stan duszy każdego, przejąć się radościami i smutkami całego rodu ludzkiego, a pierwszym tego warunkiem, oraz źródłem, jest wyobraźnia rozległa i silna. Wyrazem jéj jest poezya; popychając duszę ludzką w kierunku miłości, poezya zawiera w sobie jakiś boski pierwiastek, jest nietylko korzeniem, ale i kwiatem myśli wszystkich, mieści w sobie środek a zarazem i obwód wiedzy ludzkiéj, obejmuje wszelką umiejętność: jest przypomnieniem najlepszych i najszczęśliwszych chwil, najlepszych i najszczęśliwszych umysłów, jest nawiedzeniem duszy ludzkiéj przez bóstwo. Tylko Bóg i poeta — słusznie powiedział Tasso—zasługują na nazwę twórców.

Wspólne mając z Chateaubriand'em tło duszy, Shelley różnił się od niego pod względem kierunku fantazyi. Chateaubriand najbliższym był ziemi, marzenia jego bowiem były w silnym stopniu zabarwione zmysłowością. Zrażony do świata i do ludzi, kochał naturę, ale dlatego tylko, że czystość jéj, świeżość, spokój i majestat, przypominały im owe czarowne krainy marzeń, których cud napróżno usiłowali odmalować w mowie ludzkiéj. Kraje te równie dobrze znał Shelley, lubił on w towarzystwie melancholicznéj wróżki przerzynać na powiewnéj łódce fale oceanu [1]); zapuściwszy się ztamtąd aż w podbiegunowe sfery, lubił przekraczać granice ziemi, wstępować w nowe, niedostępne śmiertelnym, obszary, płynąć po cichych, błękitnych kryształach, wśród wysp kwiecistych, wśród gór napowietrznych, lśniących barwami słońca i tęcz, lubił tam zasypiać

[1]) Por. „Laon i Cythna". P. I.

w zaczarowanych, sennemi melodyami rozbrzmiałych, nie z marmurów i kruszczów, lecz z różanych powiewów jutrzenki i blado-srebrzystych odblasków księżyca zbudowanych, pałacach; ale nadewszystko miłował on naturę, duszą całą, miłością kochanka,—szczęśliwego kochanka. Jak kochanek, widział on w niéj odbicie najlepszéj, najszczytniejszéj cząstki ducha własnego, szukał odgłosu tęsknot i porywów swoich; wdzięczna zaś kochanka ogarniała go wonném objęciem, rozkrywała mu tajnie i cuda swoje; szczęśliwy, tchnieniem jéj upojony, tonął poeta w zachwycie niebiańskim, już nie ziemską tylko, widomą i dotykalną naturę, nie kwiaty i drzewa, nie rzeki i morza, nie góry i skały, nie błękity nawet gwiazdami usiane, ale miłością swoją obejmował cały ogrom wszechstworzenia, na skrzydłach płomiennych wichrów szybował po eterze, wichry były mu lirą i rozwiewały po wszechświecie jego myśli miłosne; okiem, potęgą miłości uzbrojoném, przenikał on wnętrza ciał niebieskich, dostrzegał ruchy ich, wsłuchywał się w uroczystą muzykę wirujących planet i słońc, potém z wyżyn miłosnych zstępował na ziemię, a melodye słoneczne wciąż brzmiały mu i rozmarzały, i zachwycony poeta pragnął myśli, uczucia i dążenia ludzkie dostroić do akordu z ową cudowną symfonią wszechświata.

Tak szerokiéj i namiętnéj, a zarazem tak szczęśliwéj miłości natury nie znał żaden inny poeta, dlatego-to tęsknota, tak nierozerwalnie związana z uczuciem natury, występuje u niego stosunkowo dość słabo; bo czegoż miał tęsknić, kiedy mógł z nią porozumiewać się w mowie najdźwięczniejszéj na świecie, a niepojętéj dla ogółu ludzi, kiedy w gorących oddechach wiatrów, w lubieżnym szmerze fal słyszał tak wyraźne, a tak słodkie i tkliwe wyrzuty kochanki, że błąkał się jeszcze wśród ludzi, że nie spieszył w objęciach jéj u źródła wszechbytu zlać się z nią w dźwięk jeden i prześnić wieczność.

Ale wszystkich współzawodników swoich na kwiecistych stepach fantazyi Shelley nieskończenie przerastał sercem. Shelley nie znał równowagi, żył w wiecznéj ekstazie, a serce miał szerokie, obejmujące zarówno cierpienia i zawody pnącéj się do światła i prawdy ludzkości, jak powszednie smutki i łzy jednostek; nietylko twórczość jego, ale i życie jest jedném pasmem uniesień serca, ogarniętego współczuciem dla niedoli ludzkiéj, a na grobowcu jego zostały wyryte proste, lecz głębokie słowa: „cor cordium“ serce serc, określające istotę jego ducha. Gdy kto inny żalił się, że trudno mu było przywyknąć do życia i „codzień krainę mar rzuciwszy cudną, powrócić między gady i nie syknąć“: Shelley, doznawszy od ludzi nierównie więcéj przykrości i zawodów, nie wygłosił nigdy podobnéj skargi, bohaterowie jego kochali nawet nieprzyjaciół swoich; Shelley,

kochał ludzi „jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec“, choć widział słabości ich i złość, choć cierpiał nad niemi, ale z niepokojem kochającego serca starał się wynaléźć w naturze człowieka jakieś szlachetne popędy, a wynalazłszy, z lubością zatrzymywał na nich wzrok swój, z zaślepieniem przyjaciela i kochanka podnosił ich wartość i siłę, i sam, jak tchnienie gór czysty, a gorący, jak słońce, według siebie gotów o innych sądzić, zapalał się wiarą w Prometeuszowską potęgę dobréj woli ludzkiéj. Z tego usposobienia poety brały początek optymistyczne złudzenia jego filozofii, któréj podstawę stanowiła wiara w dobroć natury ludzkiéj i wynikającą ztąd łatwość i bliskość zwycięztwa światła nad ciemnością. Ale czyste i gorące, pełne miłości bliźniego, serce Shelleya, objawiło się ze szczególną siłą w stosunku poety względem jego ideałów niewieścich. Gdy Chateaubriand, a nieraz i Byron, skłonni byli uważać miłość za kaprys błahy, a nie za rzecz poważną i wielką, przejęci zaś potęgą swoją, widzieli w kobietach bierne tylko, nieme i pełne bałwochwalczego zachwytu dla kochanków swoich niewolnice, zatopione w nich i na świecie szerokim zdolne dojrzéć to tylko, co ci im łaskawie wskazać raczyli; Shelley żądał od nich nie biernego zrozumienia i zachwytu, lecz samodzielności myśli, gorącości uczuć, zapału dla prawdy i dobra, żądzy czynów; nie towarzyszkę i wielbicielkę tylko chciał miéć w kobiecie, ale gwiazdę przewodnią; polotem myśli swojéj chciał ją natchnąć i rozskrzydlić, aby rozskrzydlona i jaśniejąca mogła go za sobą prowadzić w błękity, aby znużonego i omdlewającego mogła nakarmić i napoić ze skarbnicy tych uczuć i poświęceń, téj umiejętności kochania i cierpienia, które poeta w niéj czcił i wywyższał, pełen wiary w potęgę społecznego wpływu kobiety, zapalony szermierz sprawy jéj usamowolnienia.

Pomimo jednak zespolenia w duszy Shelleya olbrzymiéj fantazyi z olbrzymiém uczuciem nie zapędził się on nigdy na manowcach mistycyzmu tak daleko, jak mistrze nasi. Wprawdzie ideały jego sięgały tak daleko i wysoko, że nie było podobieństwa marzyć o urzeczywistnieniu ich: w człowieku widział Shelley anioła, i na téj kruchéj, choć pełnej wdzięku podstawie, budował wiarę we wszechmoc jego pięknych, czystych, boskich uniesień i dążeń; ale téż ztąd wytryskiwały, jak zobaczymy, nihilistyczne zapędy jego filozofii. Wychodząc z mistycznego założenia, była ona zawsze niepraktyczną, a często fałszywą; dodać wszakże należy, że przytomność umysłu umiał jednak poeta o tyle zachować, iż mar rozgorączkowanéj wyobraźni nie brał nigdy za prawdę, za podszepty ducha boskiego. Zapewne równoczesne wybujanie i natężenie dwóch odmiennych potęg ducha, chroniąc poetę od zbyt jednostronnych za-

pędów, podtrzymywało w nim w znacznéj mierze tę względną równowagę umysłu; głównem jednak jéj źródłem był wrodzony mu zapał do nauki, wiara w jéj potęgę, wynikająca ztąd ostrożność i sumienność w badaniu, wreszcie ten właściwy całéj filozofii angielskiéj popęd pozytywistyczny, uważający doświadczenie zmysłowe za jedyne źródło poznania, a indukcyę za nieomylną drogę do wiedzy. Z myślicieli, tak niepodobni do siebie, boski Plato i Tomasz Bacon, byli mistrzami i ulubieńcami poety; pierwszy odpowiadał idealnym żądzom fantazyi jego i serca, drugi dążeniom do ścisłości w badaniu. Te dwa sprzeczne popędy wiecznie walczyły ze sobą w duszy Shelleya i, chociaż prąd marzeń i uczuć sprowadzał go nieraz z téj prostéj drogi, którą iść zamierzał, i udaremniał starania o ścisłość; jednak nie zdołał nigdy zdobyć sobie téj przewagi, która tak zgubnie dała się we znaki mesyanistom naszym, owszem, niejednokrotnie równoważył raczéj negacyjne skłonności rozumu. Młody poeta zaczął od zuchwałéj negacyi Boga, nieśmiertelności duszy i wolności woli, nie mogąc sobie żadnego z tych twierdzeń dotykalnie udowodnić; ale na wnioski te wzdrygała się jednak dusza jego: rozkochany w marzeniach, pragnął uwierzyć, że ułudna fata morgana fantazyi stanie się kiedyś dla niego rzeczywistością, jeśli nie w tém życiu, to w zagrobowém; potęga znowu uczucia wywoływała równomierne natężenie energii, więc duszą całą umiejąc kochać i chcieć, nie mógł przypuścić, aby miał być dowolną igraszką jakichś sił ślepych, aby grób miał przerwać pasmo myśli jego, uczuć, marzeń, pragnień, polotów. Jęk serca, stęsknionego do nieskończoności, wybuchał grzmotną, donośną, fantastyczną melodyą, zagłuszającą ponure wątpienia rozumu; z ateizmu przerzucał się poeta w panteizm, ale to zaśnięcie na łonie natury nie mogło go również zaspokoić,—im daléj, tém bliższym był wiary w indywidualną nieśmiertelność, nawet w indywidualnego Boga; ukochany głos zmarłego Keatsa wołał go do siebie, i „na łodzi swego ducha“, po przez ciemności i otchłanie bytu, pędził poeta w dal zaświatową, pewny, że duch przyjaciela, świecący mu pod marzącą postacią gwiazdy, zaprowadzi go do przystani królestwa wiecznéj miłości.

Płomienie uczuć i polot fantazyi czynią Shelleya jednym z największych liryków na świecie; natura, ludzkość, miłość — te trzy tony zlewają się w twórczości jego w cudowną harmonię, cześć zaś i zapał dla nauki, oraz stałe dążenie do ścisłości myśli, broniąc go od chorobliwéj rozbujałości, nadają całéj jego poezyi szerokie, filozoficzne tło.

W poetycznéj przedmowie do „Rokoszu Islamu“ Shelley przypomina tę chwilę, gdy dusza jego pierwszy raz ocknęła się z uśpienia: „Był to świeży poranek majowy; kroczyłem samotnie po lśniącéj się trawie i plakałem, nie wiedząc dlaczego, aż nagle ze szkoły pobliskiéj doleciały mię krzyki, będące, niestety, odgłosem świata, pełnego boleści, okrutnéj walki wrogów. Złożyłem wtedy ręce, spojrzałem wkoło: nie było obok mnie nikogo, kto-by mógł szydzić z moich łez rzęsistych, ciepłą strugą roszących ziemię, słońcém wyzłoconą. Więc śmiało zawołałem: „chcę być wolnym, sprawiedliwym, mądrym i łagodnym, jeśli mi siły na to starczą moje; bo dość mi już patrzéć, jak samolubstwo wraz z siłą wciąż gnębią i gnębią bezkarnie“. I łzy się moje wtedy wstrzymały, serce ucichło, stałem się łagodnym, odważnym“. Nie mając silnéj pięści i twardych mięśni, niezbędnych do zdobycia wśród towarzyszy zabaw dziecinnych powagi i uszanowania dla siebie, Shelley był wiecznie ofiarą uświęconych tradycyą, lecz barbarzyńskich obyczajów, a raczéj bezprawi, panujących w szkołach angielskich; wskutek tego tém silniéj rozwijała się w tkliwém jego sercu nadmierna wrażliwość na prześladowania, tém namiętniejszą płonął nienawiścią do prawa mocniejszego, że zaś ono występowało nawet nieraz osłonione powagą administracyi kościelnej, więc przedewszystkiém przeciwko jej zwrócił młody Shelley cały zapał swego oburzenia, a zwalczał ją z wrodzoną mu naiwną wiarą w potęgę słowa i w dobrą naturę ludzi, którzy najłatwiéj dają się przekonać o błędności drogi, jaką kroczą, jeśli ta droga rzeczywiście jest błędną, i odrazu porzucają ją, aby wstąpić na nowe, lepsze tory. Będąc studentem w Oxfordzie, poeta pożerał dzieła Bacona, Hume'a, Locke'go, oraz materyalistów francuskich XVIII wieku; przejmował się niemi, wątpliwości zaś swoje religijne i polityczno-społeczne wyrażał w listach, które posyłał do wszystkich ówczesnych znakomitości angielskich, prosząc je o zbijanie zarzutów, przeciwko którym sam nie mógł znaléźć dowodów. Wreszcie wydał broszurę p. t. „O konieczności ateizmu“, posłał ją Wysokiéj radzie biskupów, przekonany, że wywoła ona przewrót w pojęciach i życiu religijném Anglii. Stało się jednak inaczéj: władze uniwersyteckie wykreśliły młodego zapaleńca z liczby uczniów, ojciec zaś, baron Tymoteusz Shelley, zerwał wszelkie stosunki z synem. Zrozpaczony poeta udał się do Londynu, gdzie żył wyłącznie z tych szczupłych zasiłków, których mu dostarczały siostry, uczące się tam na pensyi. Odwiedzając je, Shelley zapoznał się z gronem ich towarzyszek, pomiędzy któremi jął gorliwie apostołować krańcowe swoje teorye. Jedna ze słuchaczek, 16-letnia, ładna, jasnowłosa, pusta, żywa, ale skłonna do melancholii, Harrietta Westbrook, stała się zapaloną wielbicielką

młodego reformatora; pod wpływem namiętnych jego wycieczek przeciwko wszelkiéj przemocy, wyobraziła sobie, że jest tyranizowaną przez ojca własnego, zmuszającego ją do nauk na pensyi; zaczęła ubolewać nad swoim losem okrutnym, pociąg jéj do Shelleya przeszedł wkrótce w gwałtowną miłość, oświadczyła, że zanadto cierpi, aby mogła nadal znosić władzę ojca i że z nim tylko żyć może. Niedoświadczony i naiwny Shelley przejął się jéj nieszczęściem i, nie żywiąc do niéj innego uczucia, jak zwykłą sympatyę, poczytał jednak sobie za obowiązek porwać dziewczynę i wziąć z nią ślub potajemny. Działo się to w r. 1811, poeta liczył zaledwie 19 lat! (ur. w r. 1792). Młoda para pędziła odtąd życie wędrowne; dochody miała niewielkie, ale wystarczające, obaj bowiem ojcowie—Percego i Harrietty, pomimo wielkiego zrazu oburzenia, dali się wkrótce trochę ułagodzić i przesyłali nowożeńcom jakieś stałe kwoty pieniężne. W początku następnego roku Shelley udał się wraz z Harriettą do Irlandyi; pragnął on jedynie sprowadzić przewrot moralny w sercach Irlandczyków, zapalić je miłością cnoty, wierzył zaś, że słowa jego wydadzą plon obfity i że, natchniona niemi i odrodzona, Irlandya, stanie wtedy u kresu swoich dążeń. Pragnąc iść do celu tylko drogą miłości, Shelley uważał zburzenie administracyi kościelnéj za nieodzowny i pierwszy warunek postępu ku lepszemu. Nic dziwnego, że w katolickiéj Irlandyi spotkał go zawód: słuchano go obojętnie, gdy wskazywał pracę nad doskonaleniem się wewnętrznem, jako jedyną drogę do celu; wygwizdano zaś, gdy począł wysławiać wolnomyślność religijną. Rozczarowany poeta wrócił do Anglii, ponieważ zaś zdrowie miał wówczas tak słabe, że zagrożono go suchotami, więc w oczekiwaniu bliskiéj śmierci począł z podwojoną gorliwością pracować nad „Królową Mab“, utworem, w którym pragnął przekazać przyjaciołom kwiat myśli swoich i uczuć, ująć w całokształt młodzieńczą, gorącą, ale niedojrzałą filozofię swoją. „Królowa Mab“ wyszła w 1813 r.

Wysoki, szczupły, bez zarostu na twarzy, o włosach bujnych, ciemnych i wijących się w kędziory, z niepochwytnie pięknym, seraficznym wyrazem w ustach i oczach dużych i spokojnych, pełen dziecięcéj prostoty, szczerości, niewinności i zapału w obejściu, lekki i cichy w ruchach, niepostrzeżenie, jak cień wchodzący i znikający zpośród grona współbiesiadników,— „przychodzi i odchodzi jak duch, a nikt nie wie skąd i dokąd“, powiedziała o nim pani Williams w rozmowie Trelowneyem. Shelley, o ile był wysmukły, o tyle wątły, pierś miał wąską, siły nie odpowiadały wybujałemu wzrostowi; chodząc, chylił się z lekka ku ziemi; wyrósł, jak młoda brzoza, ale też i chwiał się za lada podmuchem. Jak wszystkie podobne organizmy, łatwo podlegał znużeniu i senności, znajdował upodobanie w nawpółświado-

mém marzącém drzemaniu, w odrętwiałości „półsnu, pół-istnienia“; całém jestestwem umiał odczuć on tę „roskosz niemocy“ i tę „niemoc roskoszy“, znaną nam z marzeń Konopnickiéj. Jedném słowem, z całego fizycznego ustroju Shelleya wynikł jego pociąg do panteizmu i panteistycznych marzeń na łonie natury, a pociąg ten i nastrój stanowią tło „Królowéj Mab“.

Treść poematu polega na tém, że dobroczynna wróżka, Królowa Mab, przebywająca w nadchmurnym, zaczarowanym zamku, porywa tam ze sobą pogrążoną we śnie uroczą Janthę, aby rozsnuć przed nią i wytłómaczyć przeszłość, teraźniejszość i przyszłość rodu ludzkiego. Srebrna mgła przewidzeń ogarnia rozpalony mózg poety, puszcza on wodze fantazyi i szlakiem napowietrznym goni za wróżką i Janthą: wichrolotne rumaki unoszą je w perlistym, rozsrebrzonym i iskrzącym się rydwanie, gdzie ponad śnieżne wierzchołki i obłoki, w górę, w nieskończonność, ślady błyskawiczne i dźwięki radośne wzburzonych warstw eteru znaczą ich pęd skrzydlaty; przekroczyły już granice przestrzeni, dostępnych oku ludzkiemu, kula ziemska wydaje się ztamtąd słabém, ledwie migocącém światełkiem, i tu, wśród huku gwiazd i słońc, toczących się po szlakach odwiecznych, poeta czuje się w swoim żywiole, zachwytu przepełnia go szał roskoszą i szczęściem: „Duchu natury! tu, w tych nieskończonych przestworzach światów, przed których ogromem zachwieje się fantazya w chwili lotu najzuchwalszego, — tu twoja prawdziwa świątynia! Jednak każdy listek drobny, drżący pod tchnieniem zefiru, jest równie tobą, o Duchu, ożywiony; każdy robaczek najnędzniejszy, pełzający wśród grobów i tuczący się trupami, niemniéj w istnieniu twojém uczestniczy“. Wobec tego ogromu natury, wobec téj potęgi i bujnéj rozmaitości życia, które kipi w każdym najskrytszym jéj zakątku, jak nędznym wydaje się poecie człowiek, z całym światem swoich marnych, powszednich krzątanin i zabiegów! „O jakże jest zuchwałą — woła — pycha ludzka! ja mówię tobie, że żyjące atomy te, dla których bezgranicznym światem jest trawka ta znikoma, co wybuja nad rankiem, a wieczorem ginie, że niewidzialne te istotki, zamieszkujące najdrobniejsze cząstki atmosfery, jak człowiek, myślą, czują, żyją, a wstręty i skłonności ich stwarzają, jak w świecie ludzkim, prawa, które rządzą niemi“.

Ten duch natury, rozlany we wszechświecie, ogarniający i pochłaniający całość bytu, przypomina Boga Spinozy, tę odwieczną, jednę i jedyną substancyę, wobec któréj nie może się ostać żaden byt samoistny. Jak dla Spinozy, tak dla Shelleya, cały świat widzialny jest tylko jedną z niezliczonych modyfikacyi odwiecznéj substancyi. Przed nią, przed wszechgromem bytu, padają obaj w bezbrzeżnym zachwycie. „Niemasz w tobie żadnego uczucia, żadnéj myśli ludzkiéj“,

woła Shelley; — przełóżmy zaś ten okrzyk podziwu na język filozofii, a dowiemy się, że owo bóstwo, substancya, czy duch natury, nie da się ująć w żadne określenie, każde bowiem ograniczało-by nieskończoną jego treść, tylko za pomocą przeczących orzeczeń ograniczony umysł nasz może zbliżyć się do pojmowania istoty przedwiecznéj, możemy wypowiedzieć, czém ona nie jest, lecz czém jest, tego nie zdoła wyrazić żadna mowa. Ale wówczas, gdy Spinoza uważa za szczyt nietylko szczęśliwości, ale nawet cnoty, pogrążenie się i zatopienie w swém bóstwie,—w sercu Shelleya płonie miłość ludzi, więc nie może go zaspokoić żadna bierna kontemplacya; marzenia panteistyczne upajają go, ale nie usypiają; zapatrzony w nieskończoność, czuje, jak się odźwierciedla ona w sercu jego, jak rozszerza i ożywia je, jak wraz z nią wiosna uczuć i pragnień rozlewa się po całém jestestwie poety. Chociaż, w porównaniu z niezmierzonością „ducha natury“, wszelkie istnienie, w oczach ludzkich odrębne, tak ginie i roztapia się, że znikają różnice pomiędzy światem myśli i usiłowań ludzkich, a życiem atomów, zapełniających kropelkę wody; jednak poeta czuje się synem ziemi, zapuściwszy się w otchłań bytu, nie pozostaje tam, jak Spinoza, ale, znalazłszy zdrój natchnień, czerpie ztamtąd świeże siły do życia i niesie na ziemię radosną nowinę, uszczęśliwiając dusze ludzkie tą myślą słoneczną, którą wyczytał u źródła bytu. Wobec światów, które zwiedzał, świat ludzki wydaje mu się nietylko drobnym, ale nędznym i pożałowania godnym, zło w nim panuje, stanowi on rozdźwięk w harmonii natury; ale poeta naprawi ten rozdźwięk, wykorzeni zło z oblicza ziemi: „Spójrz daléj tam, na ziemię! żniwa złote rodzą się; słońce niestrudzone wraz ze światłem rozlewa życie; owoce, kwiaty, drzewa rosną w górę, gdy pora im nadejdzie; wszystko szepce o pokoju, miłości i harmonii! Wszechświat cichym, ale wymownym głosem natury objawia, że w dziale szczęścia i miłości uczestniczą wszystkie stworzenia... prócz jednego dezertera; tym jest człowiek! on jeden wyrabia żelazo, niszczące pokój, pieści węże, które gryzą mu serce“. Ale chcąc wytępić zło, trzeba wynaleźć jego źródło: „Natura — woła poeta — o, nie! Kapłani i mężowie stanu stłumili w zarodku pączkujący kwiat ducha ludzkiego“. Lecz w duszach księży kto posiał nasienie złego? Tu młody poeta wikła się w sprzecznościach. Duch natury, który wyposażył każdego robaczka, pełzającego w prochu „rozumem, myślą i miłością“, nie mógł, zdaniem poety, zwalić na barki człowieka tylko całego ogromu występków, klęsk i niewoli; ale „najmniejszy atom zawiera w sobie światy miłości i nienawiści i ztąd biorą początek dobro i zło, prawda i kłamstwo“. Jakże jednak, odrzucając, zgodnie z panteistyczną filozofią Spinozy i Shelleya, wolną wolę ludzką, pogodzić twierdzenie

poety, że złe ma źródło swoje gdzieindziéj, niż w duchu natury, z istnieniem tego ducha, który wszystko obejmuje i pochłania, którego wypływem jest wszechświat cały? Ze sprzeczności téj Shelley nie umiał wybrnąć aż do końca życia. Bądź co bądź, ponieważ złe, nie pochodząc od ducha natury, jest objawem przypadkowym, więc da się z łatwością usunąć, skoro miłość weźmie w duszy ludzkiéj górę nad nienawiścią, a prawda nad fałszem. Księża są stróżami złego porządku na świecie, w jaki zaś sposób on się ustalił, nad tém poeta mało się zastanawia, stwierdza tylko fakt i wyprowadza ztąd wniosek, że dość księżom odjąć ich władzę i zrzucić więzy, a wszystko piękne w duszy ludzkiej wybuja i rozkwitnie, ziemia przekształci się w raj. Głosząc jednak naukę tak niebezpieczną i krańcową, Shelley pozostaje nieubłaganym wrogiem żelaza i krwi, miłość zaś i cnotę uważa za jedyny skuteczny oręż w walce o światło.

Sam pełen współczucia dla niedoli ludzkiéj, rozszczęśliwionéj miłością wolnéj i nieskończonéj natury, chciał ziemię całą nasycić tą radością, która rozrywała mu serce, chciał kazać zapomnieć ludziom o wszystkiém, co smuci ich, gnębi i przykuwa myśl do ziemi.

Zatrzymały nas dłużéj namiętne, ale wcale nie gorszące, bo naiwne, z najlepszych chęci płynące, wycieczki poety przeciwko religii, ponieważ w nich najżywiéj się objawił jego dziecinny optymizm, pochodzący ze skojarzenia olbrzymiéj fantazyi z potęgą uczucia; natomiast nie tak krańcowo i mniéj wyraźnie zaznacza się osoba Shelleya w ustępach, poświęconych biadaniom nad politycznym i społecznym ustrojem ludzkości: poeta wyraźnie wypowiada, że ideał równości nie da się nigdy osiągnąć na świecie, ponieważ nie istnieje ona w stanie natury; nie będąc jednak zdolni urzeczywistnić jéj, starajmy się przynajmniéj zbliżyć do równości, zmierzajmy do sprawiedliwszego podziału pomiędzy ludźmi tak saméj pracy umysłowéj i fizycznéj, jak téż jéj owoców.

Ale przeciwko małżeństwu występuje poeta z takąż samą namiętnością, jak przeciw religii: „Miłość więdnie pod przymusem — woła on w jednym z przypisków — swoboda stanowi istotny jéj warunek; miłość nie znosi ani posłuszeństwa, ani zazdrości lub strachu; ona tam staje się najczystszą, najdoskonalszą i najpełniejszą, gdzie wyznawcy jéj trwają we wzajemném do siebie zaufaniu, równości i serdeczném oddaniu się". Przymusowe pożycie dwóch istot, które przestały się kochać, jest najniegodniejszym gwałtem, źródłem fałszu w stosunku ich do siebie i do dzieci, których charaktery wykrzywia w zarodku. Wraz ze zniesieniem małżeństwa zniknie pierworodne jego dziecko—prostytucya; wraz ze zniknięciem prostytucyi położy się tama zwyrodnieniu moralnemu, chorobom i upadaniu sił fizycznych i umysłowych.

Ludzkość, według poety, coraz bardziéj przejmuje się myślą, że szczęście jest jedynym jéj celem na ziemi i że dobrém jest to tylko, co do tego szczęścia prowadzi. Myśl ta, owładnąwszy nauką, stanowi już punkt wyjścia dla etyki. Z myślą, zwróconą w tę przyszłość, poeta nie przestaje nawoływać do pracy nad moralném odrodzeniem siebie samych, potępiając natomiast wszelkie krwawe, nienawiścią i zemstą natchnione, przewroty. Nadzwyczaj jaskrawe, ale urocze światło na wielkie serce Shelleya rzuca pogląd jego na istotę i kierunek téj pracy, na środek, za pomocą którego złe z duszy ludzkiéj może być wyrwane z korzeniem. „Na wszystko, co jest świętego w uczuciach naszych dla ludzkości,—wołał on w jednym z przypisków — zaklinam tych wszystkich, którzy kochają prawdę i szczęście, aby zrobili na sobie samych poważną próbę zastosowania systemu wegeteryańskiego“. Kochając naturę, poeta kochał życie, pragnął pielęgnować je i krzewić we wszystkich objawach i postaciach, pragnął tą radością, którą przepełniały go miłośne obcowania z kochanką-naturą, obdzielić nietylko ludzi, ale wszystkie żyjące stworzenia. Serce jego wzdrygało się na samą myśl o mordowaniu bezbronnych zwierząt w celu zadowolenia brudnych potrzeb ludzkich, i—wierny swemu uczuciu—Shelley żywił się wyłącznie owocami, chlebem i wodą, głęboko przekonany, że wraz ze wstrzymaniem się od mięsnych pokarmów znikną wszystkie niemal choroby, pustoszące życie ludzkie, w sercu zaś ludzkiém, wolném od pożądań krwiożerczych, zakwitną miłość i cnota.

Shelley liczył 21 lat, wydając „Królową Mab“. Cały poemat świadczy o wybujałym idealiźmie, o gorącém sercu, ale zarazem o zupełnéj niedojrzałości myśli poety, który, według siebie sądząc o innych, widzi w ludziach samych tylko aniołów, wprawdzie nieco zbrukanych, lecz całą duszą pragnących poprawy. Zapatrując się na filozofię Shelleya, jako na wypływ tego zasadniczego w nim przeświadczenia, nie potrzebujemy jéj krytykować, rzecz bowiem jasna, że dla aniołów wszelkie więzy są zbyteczne i że Shelley był ściśle konsekwentny, głosząc swoje burzycielskie poglądy. Co się zaś tyczy formy, to znajdą się ustępy piękne, te mianowicie, w których, dając wolę fantazyi, poeta opisuje napowietrzne wędrówki Królowéj Mab i Janthy, lub przyszły raj na ziemi, ale całość grzeszy dydaktyzmem. Jedném słowem: utwór wartości szczególnéj nie posiada i zrozumiał to sam autor, sprzeciwiając się powtórnemu jego wydaniu. Dziś doniosłość jego polega tylko na tém, że nigdy potém poeta nie wyrażał poglądów swoich na świat i na życie w sposób tak namiętny i krańcowy. Shelley wychodził z tego samego, co Byron, negacyjnego stanowiska względem rzeczywistości; gdy Byron stawiał tylko znaki zapytania,

Shelley stawiał jako podwaliny życia ludzkiego tylko naukę; myśli téj wprawdzie nie wypowiedział nigdzie wyraźnie, ale była ona logiczną konsekwencyą jego idealnych mrzonek. Potém doświadczenia życiowe znacznie osłabiły bezwzględny idealizm Shelleya, ale tło myśli i nastrój ducha pozostały te same.

2. Marzenia miłośne.

Czar duszy Shelleya najżywiéj się odbił nie w tych utworach, w których, poruszając ogólnoludzkie zagadnienia, starał się skreślić ideały przyszłości, mające zastąpić wstrząśnięty ciosami Byronowskiéj ironii i chylący się, jak mniemał, do upadku stary porządek rzeczy— nie; światło i ciepło, bijące z postaci Shelleya, zstępują w dusze nasze przez te jego utwory, w których, znękany przeciwnościami, odwracał się od rozczarowań pracy społecznéj, aby zamarzyć o szczęściu osobistém. W przedmowie do „Rozalindy i Heleny“, jednego z poematów téj drugiéj kategoryi, Shelley oświadczał, że nie miał wcale zamiaru pobudzić czytelników do głębokich rozmyślań, ale chciałby tylko wzniecić w ich sercach „pewną idealną melancholię, usposobiającą do przyjmowania wrażeń ważniejszych“. Na chęci téj poeta nie zawiódł się: w niedokończonym poemacie, z którego pozostało tylko parę ułamków, przedstawił on, w osobie księcia Atanazego, młodzieńca, który przed czasem posiwiał i zwiądł wskutek trosk rozlicznych, trudów i wędrówek. Smutek zagospodarzył w jego duszy, nakształt węża obwił się naokoło serca, szarpał je i wygryzał, rozlewał się ztamtąd i krążył po żyłach, rozpalał nieszczęsnego piekłem bólów i pędził z kraju do kraju. Ale skądże pochodził ten smutek tajemny? żadna zbrodnia nie ciężyła na duszy młodzieńca; były mu obcemi próżność, żądza sławy, chciwość, zazdrość i nienawiść; nie znał żadnych poziomych żądz ludzkich; serce jego nie mogło zrozumiéć złego, tylko dziwne jakieś zmartwienie i litość ogarniały go na widok występku i zbrodni. Czysty, rozumny, sprawiedliwy i skromny, stąpał on po ziemi, przepełniony miłością i pragnieniem dobra i piękna, a jednak... tęsknego tułacza nie opuszczał nigdy smutek głęboki, ciemny, nie znajdujący odgłosu w niczyjéj duszy... Jedni mieli go za waryata, ale inni twierdzili, że wspomnienia z życia, które poprzedziło jego urodzenie, przeistoczyły mu wygnanie ziemskie w otchłań bólów piekielnych. W tym księciu Atanazym, w którego sercu złe budziło tylko litość, każdy pozna Shelleya: za wysoko wybujały jego marzenia, aby je mogła doścignąć pozioma myśl ludzka; dlatego

to jedni, a tych była niezmierna większość, uważali poetę za waryata, za obmierzłego Bogu, a szkodliwego ludziom bezbożnika i potępieńca, inni zaś, ci nieliczni, którzy zdołali zajrzéć w niezgłębione błękity jego serca, wyczytali w niém platońskie wspomnienia i tęsknoty. Ten nastrój ducha księcia Atanazego, te wspomnienia i tęsknoty najsilniéj się odbiły zarówno w „Rozalindzie i Helenie“, jak we wcześniejszym „Alastorze“, jak w równoczesnych i późniejszych: „Julianie i Maddalo“, „Mimozie“, „Epipsychidionie“, „Adonaisie“ i tych wszystkich innych utworach, których treść stanowi marzenie o szczęściu osobistém. Ztąd-to nieprzeparty urok utworów tych; rozskrzydlają one myśl naszą, każąc jéj gonić za tym mknącym w obłoki i ginącym w błękitach i jasnościach serafinem poezyi, budzą w nas żal, żeśmy nie znali go i nie kochali za życia i że podobnych do niego nie spotykamy naokoło siebie... — jedném słowem, wywołują tę uroczą, rzewną, „idealną melancholię, usposabiającą do przyjmowania wrażeń ważniejszych“.

Nie jedne tylko zgłębiania nędzy życia wyryły piętno smutku na marzeniach Shelleya; poeta upadał pod ciężarem cierpień, któremi los obdarzył go sowiciéj, niźli bardzo wielu ze współzawodników jego na polu poezyi. Bez głębszéj sympatyi i bez namysłu, pod wpływem chwilowego uniesienia, poślubił on Harriettę; żywa i figlarna, choć skłonna do melancholii, mogła go ona rozweselać w pierwszych chwilach pożycia, ale, lekkomyślna i powierzchowna, nie była zdolna wznieść się na te wyżyny myśli, wśród których zwykł przebywać jéj małżonek; tymczasem Shelley, nie uznany i pomiatany w świecie, lecz czuły i tkliwy, tém bardziéj wskutek tego potrzebował znaleźć w żonie — przynajmniéj zrozumienie i współczucie. Harrietta nie umiała mu dać ani jednego, ani drugiego, więc rozbrat musiał nastąpić. Wiosną 1814 r. Shelley poznał bladą, ciemnowłosą, marzącą, Mary Godwin; liczyła zaledwie lat 16, ale umysł miała nad wiek rozwinięty, lotną fantazyę i widoczne zarodki talentu literackiego, który we dwa lata późniéj miał już rozkwitnąć i objawić się w pięknéj powieści „Frankenstein.“ Od pierwszego wejrzenia Shelley i Mary poczuli się związanymi ze sobą węzłem namiętnéj miłości. Mary była córką Roberta Godwina, myśliciela i publicysty, spokrewnionego z Rousseau pod względem kierunku myśli, i Maryi Wollstonecraft, jednéj z pierwszych i gorących przedstawicielek w literaturze sprawy równouprawnienia kobiet. Wychowana przeto w pojęciach skrajnie wolnomyślnych, nie widziała w związku Shelleya z Harriettą żadnéj dla siebie przeszkody; ale Shelley pasował się ze sobą, uczucie jednak wybuchnęło w nim tak nagle, a opanowało go tak gwałtownie, że walka pozostała bezskuteczną, pozbawiła go ona zdrowia, sił i

świeżości umysłu, oczy zabiegły mu krwią, podlegał nieustannym atakom nerwowym, znajdując ulgę tylko w zażywaniu opium; wreszcie, nie mogąc znieść dłużéj piekła niepewności, opuścił Harriettę i w Lipcu tegoż 1814 roku wyruszył z Mary do Szwajcaryi. W czyich oczach gwałtowne uczucie do Mary i brak spójni z Harriettą nie usprawiedliwią Shelleya, niech ten przypomni, że poeta nie był, przynajmniéj w tym wypadku, w sprzeczności z samym sobą, skoro w „Królowéj Mab“, w chwili, gdy był jeszcze szczęśliwym małżonkiem Harrietty, wysławiał wolną miłość, a małżeństwo uważał za jedno z głównych źródeł nieszczęść, trapiących ludzkość. Harrietta, wedle jednych jeszcze przed rozstaniem się z mężem, wedle drugich natychmiast po niém, zawiązała stosunek z oficerem, więc nad losem swoim cierpiała nie wiele; Shelley zaś, pomimo szczupłych środków swoich, stale zasilał ją pieniędzmi i usiłował, ale napróżno, stanąć z nią na stopie przyjacielskiéj. Po dwóch latach szczęśliwego pożycia z Mary, na głowę poety spadły jedno po drugiém dwa nieszczęścia, które mu zatruły resztę życia: w Listopadzie r. 1816 Harrietta, opuszczona przez kochanka, a poniewierana przez nikczemnego ojca, odebrała sobie życie, w Marcu zaś roku następnego, Shelley, na mocy wyroku sądowego, pozbawiony został, jako człowiek zgubnych zasad i złego życia, opieki nad dziećmi z pierwszego małżeństwa. Złamany poeta znalazł pociechę we współczuciu szczupłego grona przyjaciół i we własném sercu, które kazało mu szukać lekarstwa na ból w niesieniu pomocy cierpiącym. Zamieszkawszy w miasteczku Marlowe, Shelley stał się dobroczyńcą okolicy, podobnie jak Byron, gdy przebywał w Rawennie; ale, mając znacznie mniejsze środki i nie mogąc przeto tak hojnie szafować pieniędzmi, Shelley przewyższał Byrona zapałem swoim, oddaniem się, miłosierdziem. Wywiadywał się, wyszukiwał, zawierał stosunki osobiste, przejmował się współczuciem, niósł słowa pociechy cierpiącym; gdy zapanowała epidemia oczna, poeta, odwiedzając i pielęgnując chorych biedaków, nabawił się sam téj choroby, która pozostała odtąd w jego organizmie, wracając i napastując go kilkakrotnie. Jak bez namysłu zwykł był iść poeta za popędem serca, nie obawiając się tak odstraszającéj zwykłych śmiertelników śmieszności, świadczy drobny, ale wymowny fakt, że przyszedł raz bosy do sąsiada, ponieważ oddał obuwie biednéj jakiéjś babie, którą spotkał w drodze. Ale Shelley nie mógł pozostawać w Anglii; znienawidzony i wytykany, jako ateusz, narażał się na niebezpieczeństwo, że odbiorą mu resztę dzieci pod pozorem ochrony ich od zarazy moralnéj, którą rozsiewał ich ojciec,—więc w początku r. 1818 wraz z żoną i dziećmi opuścił na zawsze ojczyznę i przeniósł się do Włoch. Ale los go i tam prześladował wszelkiemi sposobami: z wyjątkiem najmłodszego synka,

stracił tam wszystkie dzieci, nienawiść zaś narodu ścigała go na każdém miejscu; gdy na poczcie w Pizie, pytając o listy, wymienił nazwisko swoje, stojący obok niego oficer angielski zawołał: „więc to ten przeklęty ateusz Shelley!“ i pięścią powalił go na ziemię. Znienawidzony przez Anglię Byron miał tę pociechę, że sława jego rosła, że znała go Europa, jako wielkiego poetę; tymczasem dzieła Shelleya rozchodziły się zaledwie w kilku lub kilkudziesięciu egzemplarzach. Krytyka albo milczała o nim, albo wyszydzała i potępiała z obrzydliwą zapamiętałością: ogłaszano go to za człowieka bez czci i wiary, samoluba, rozpustnika i kazirodcę, to za waryata lub idyotę; dzieła jego miały być „mieszaniną niedorzeczności, trzpiotarstwa, nędzoty i pedanteryi“, grzeszyły zupełnym brakiem sensu. Shelley był zrazu obojętny, ale te ciągłe napaści, połączone nadto z brakiem zrozumienia i zachęty ze strony najbliższych, najprzyjaźniéj usposobionych i najrozumniejszych, jak Byron lub Keats, pozbawiły go wreszcie wiary w siły własne. Dziś uważany za największego po Szekspirze poetę Anglii, Shelley cieszył się wtedy, gdy go ktoś porównał z Moorem; przejęty czcią dla geniuszu Byrona, melancholicznie wyrażał się w jednym z listów swoich, że za długo żył w blizkości wielkiego poety, blask słońca zagasił nędznego robaczka świecącego. Sumując nieszczęścia i zawody Shelleya zarówno w życiu domowém, jak publiczném, — odebranie jednych dzieci, śmierć drugich, ścigające go we dnie i w nocy widmo Harrietty, któréj samobójstwa czuł się pośrednią przyczyną, nienawiść ku niemu społeczeństwa tak powszechną i namiętną, że równéj nie doznał w naszym wieku żaden inny poeta lub myśliciel, wreszcie niezrozumienie, umyślną obojętność lub pogardliwe i pełne złości traktowanie dzieł jego przez krytykę i ogół, tém boleśniejsze dla poety, że wierzył w potęgę słowa, że wszystko, co pisał, pisał krwią duszy, że, tworząc, nie myślał o zadowolnieniu marnych estetycznych wymagań lub kaprysów ludzi, ale, natchniony miłością i żądzą uszczęśliwienia, pragnął im wskazać drogę prawdy i szczęścia, — sumując to wszystko, musimy wyznać, że trzeba było posiadać nadludzki hart ducha, aby pod ciężarem takich ciosów nie upaść i nie zwątpić.

Nic dziwnego, że cierniste koleje życia poety zabarwiły smutkiem wszystkie jego utwory; znękany daremną pracą dla dobra ludzi, nieraz pragnął on zapomnieć o zawodach i bólach życia publicznego, a zasnąć w objęciach kochanki. Mary rozumiała go, ceniła i kochała, Shelley odpłacał się jéj w pierwszych chwilach namiętną miłością, potém miłość ta przeszła w przywiązanie głębokie i trwałe, które nie mogło jednak nakarmić rozbujałéj jego fantazyi. „Niektórzy z nas — wyraził się kiedyś Shelley — kochali w jednem z poprze-

dnich istnień Antygonę i nie mogą znaleźć zadowolnienia w żadnym innym związku śmiertelnym.“ Tą tęsknotą do zaświatowéj Antygony tchnie już Alastor, napisany w r. 1815, więc zaledwo w rok po zawarciu ślubnego związku z Mary; pod względem formy stanowi on duży krok naprzód w porównaniu z „Królową Mab“, pod względem zaś treści jest zapowiedzią szeregu następnych poematów. Wiedza nie daje szczęścia, miłość nie istnieje na świecie, więc tylko zapomnienie o sobie a praca i poświęcenie dla ogółu mogą w pewnéj mierze zaspokoić pragnienia idealniejszych umysłów — oto idea utworu; — myśl tę wypowiada poeta w przedmowie, ale w poemacie występuje ona mniéj wyraźnie: dzieckiem karmił się Alastor srebrzystemi rojeniami fantazyi, potém umiał odczuć i zrozumieć wszystko, co wielkie, piękne i szlachetne, kochał naturę, wśród ciszy nocnéj zamieniał z nią dziwne wyrazy i pieszczoty, aż pocałunki i łzy miłosne napełniły go czarem, przed którym prysnęły tajemnice kochanki-natury; szczęśliwy młodzieniec poczuł wtedy, jak pieśń jego brzmiała zgodnie z szelestem lasów, z szumem fal morskich, z powiewem wiatrów, ze złączonemi hymny dnia i nocy i z biciem serca ludzkiego. Ale radość ta nie starczyła mu na długo; jakaś tęsknota, z któréj nie zdawał sobie sprawy, pędziła go w kraje nieznane, błąkał się samotny po wonnych ogrodach, po pustyniach i ruinach Wschodu, aż, dotarłszy do cudownéj krainy Kaszmiru, zasnął w tajemniczém jakiemś zaciszu; we śnie ukazała mu się postać kobiety, jaśniejącéj całym czarem marzeń poety, z miłością spoglądała nań i z tęsknotą namiętną wyciągała ku niemu obnażone ramię, już miał z nią ginąć w uścisku, gdy sen pierzchnął... Poeta obudził się z zachwytu, — był ranek, światło białe a zimne, w oddali zachodu tonął blednący księżyc, naokoło iskrzące się wierzchołki gór i lasy milczące, — żałość ścisnęła mu serce, „jak orzeł, owity zielonym węża pierścieniem, żar jadu uczuwszy w piersi, we wściekłym boleści szale i dniem i nocą po pustkowiach goni powietrza, i w ślepym rozpędzie, śród burz, śród ciszy, roztrąca obłoki; tak też poetę porwało świetlane snu jego widmo: przy zimnych samotnéj i cichéj nocy odblaskach, stromemi biegł parowami i bagnisk gęstwiną“, biegł, nie wiedząc dokąd, pędził po morzach i lądach, szarpała go tęsknota, aż znalazł wreszcie, gdzieś wśród gór Kaukazu, jakiś zakątek ukryty, kolebkę natury, a grób swój własny; tam padł znużony i obezwładniony, dłoń wychudłą oparł na szorstkim pniu starego świerku, głowę położył na głazie, owitym zwojami bluszczu, ostatnie tętna życia ulatywały na skrzydłach powolnych, potok myśli płynął cicho, bezboleśnie; usnęli kaci jego—nadzieja i rozpacz,—niby szelesty wiatrów, owiewały go obrazy przeszłości; tak skonał cicho, z uśmiechem na

ustach. Tu Shelley zapomina o tém, co mówił w przedmowie; pełen sympatyi dla marzyciela swojego, wciela się on w płacz ziemi osierociałéj po nim: „uleciałeś — woła — jak tchnienie przejrzyste, ubrane w promienie złotéj jutrzenki, zniknąłeś, ty mężny, łagodny i piękny, ty dziecię wdzięku i geniuszu!“ — Czysty, marzący, nadziemski Alastor jest prototypem wszystkich następnych bohaterów Shelleya; niéma potrzeby dowodzić, jak zasadniczo różni się on od Byronowskich korsarzy, którzy wprawili w podziw i zachwyt ówczesną Europę.

Alastora pisał Shelley przed samobójstwem Harrietty i przed odebraniem mu dzieci. Potém, pod ciężarem spadających nań ciosów, cień zwątpienia coraz bardziéj mroczył zapatrywania się poety na pociechy, płynące z pracy społecznéj. W „strofach, napisanych koło Neapolu w chwili upadku ducha“ (1818) poeta żalił się, że nie ma serca, które-by zachwyty jego dzieliło, że w rozmyślaniach nie umie znajdować téj rozkoszy, którą tylu mędrców znalazło, że szczęścia nie widzi przed sobą, ani nadziei; ale słońce lśni tak promiennie, tak rączo pląsają fale, takie gorąco, i jasność, i wonie w powietrzu, że sama rozpacz łagodną się staje, łagodną, jak wiatry i wody; położyć się chciał-by, jak dziecko znużone, wypłakać swe życie bolesne i czekać aż śmierć po niego przyleci, i czuć, jak twarz stygnąć mu będzie w tém ciepłém powietrzu, i usłyszéć, jak morze szmer wytchnie ostatni swój nad konającym mózgiem poety. Ten smutek tęskny przenika „Rozalindę i Helenę“, napisaną w tym samym roku. Lionel, nowy bohater Shelleya, wyszlachetniał w porównaniu do Alastora, ale téż zesmutniał. Miłość i życie, jak bliźnięta, rosły i zespoliły się w duszy jego; poszedł on między ludzi, aby stanąć w obronie słabszego; jego słowa potężne „umiały, jak muzyka, czarować tłumy i odpierać ten potok marzeń burzliwych, który śmiertelni zwą prawdą i rozsądkiem, lecz który zemstą jest tylko, strachem i pychą“. Ale siła złego przemogła, Lionela wygnano z ojczyzny; gdy wrócił, uwięziono i turturowano. Zawody złamały serce Lionela, umysł mu się zaciemnił i zabłąkał. Nieszczęsnego ukochała i przytuliła Helena, objęcia jéj zamknęły przed nim ten świat, który go bólem tylko nakarmił; biedny marzyciel odzyskał jasność myśli i spokój, lecz tylko po to, żeby duszę swą roztopić w miłości, a zapomnieć o świecie i o ludziach, którzy go zawiedli. Cały opis namiętnych roztkliwień wzajemnych Lionela i Heleny tchnie jakąś nieskończenie żałosną tęsknotą do nirwany miłosnéj. Miłość dlatego darzy spokojem i szczęściem, że wiąże się z myślą o śmierci, a myśl o śmierci z obrazem wiecznego snu i cichych marzeń w tym śnie: „Miłość, gdy kształty dwa złączy w uścisku; sen, gdy odsłoni nam czarną noc życia; myśl, gdy przenika mgliste końce świata; pieśń, gdy ją śpiewa istota kochana—czyż nie jest to wszystko śmierci obrazem?

W „Julianie i Maddalo“ nastrój Shelleya stał się jeszcze smutniejszym: gdy Lionela rzeczywiste cierpienia i zawody doprowadziły do chwilowego pomieszania umysłu,—tutaj poeta zastanawia się, czy samo myślenie i marzenie o szczęściu na ziemi nie dowodzi obłąkania albo przynajmniéj rozstroju ducha. W poemacie tym Shelley chciał przedstawić siebie w stosunku do Byrona: Maddalo-Byron to człowiek genialny, mógłby stać się zbawcą swego narodu, gdyby nadmierna pycha nie pozbawiła go równowagi. Zapatrywał się w światło własnego ducha i to zapatrzenie się oślepiło jego orli umysł; porównywając siebie do ogółu, przejął się wyższością swoją i doszedł do przekonania o nicości całego rodzaju ludzkiego; pełen ambicyi, nie robił jednak nic, nie widział bowiem przed sobą godnéj siebie widowni działania. Jego dowodzenia, nacechowane szyderstwem i zwątpieniem, usiłuje zbić Julian-Shelley, wierzący w potęgę dobréj woli ludzkiej; rozumuje on mniéj więcéj w ten sposób: gdybym miał człowieka za tę bierną istotę, za jaką ty go masz, tobym nawet przestał uważać religię za tak wielkie zło. Ale gdzież są piękno, miłość, prawda, których szukamy, jeśli nie w naszych własnych umysłach? Wszak mamy wolę i możemy zapewnić przewagę naszym szlachetnym popędom; mamy rozum, który uczy, gdzie jest prawdziwe dobro; więc czyż nie zdołamy rozbić prędzéj czy późniéj tych szklanych kajdan, wiążących nas ze złém“. Zamiast odpowiedzi Maddalo wiezie go do szpitala waryatów, tam wysłuchuje długie i rzewne skargi jednego z tych nieszczęśliwych: jak Julian-Shelley, żył on niegdyś marzeniami, nadzieją, wyobraził potém, że w objęciach kochanki posiędzie całe szczęście, które ziemia dać może; zawiedziony, zwaryował. Ten biedak ma być niezbitym dowodem, w mniemaniu Maddalo, że wszelkie marzenie o szczęściu prowadzi do obłąkania. Shelley nie posuwa swego pesymizmu tak daleko, pozostawia jednak kwestyę w zawieszeniu; Julian bowiem nie zaprzecza więcéj przyjacielowi swojemu, myśl jego i serce są pochłonięte litością dla obłąkanego biedaka, w którym widzi podobieństwo do siebie. To milczenie Juliana świadczy, bądź co bądź, o wahaniu się myśli poety: waryat, to Shelley-Alastor, marzyciel, żyjący pragnieniem szczęścia osobistego; Julian zaś to Shelley cały, marzyciel i myśliciel zarazem; z zestawienia tych obu portretów Shelleya zdaje się wypływać ta myśl poety, że rozwaga tamuje zapędy wyobraźni i serca: w razie niepowodzeń ona podnieca ducha, ona uczy, że z niemożliwości osiągnięcia szczęścia dzisiaj nie wynika, aby ono nigdy osiągniętém być nie mogło, i że zawody nie zwalniają nas od obowiązku pracy dla dobra społecznego. Że myśli téj Shelley nie wypowiedział wyraźnie, świadczy to o głębokim smutku, który go wówczas przepełniał; poeta jakby chciał dać do zrozumienia, że może Maddalo miał słuszność.

Ale im bardziéj pochylał się poeta pod brzmieniem bólu, im stawał się skłonniejszym do zwątpienia i rozpaczy, tém namiętniéj oddawał się marzeniom o miłości wielkiéj, bezbrzeżnéj, która-by zdołała pochłonąć go i oderwać od ziemi. Wyrazem tego nastroju jest „Mimoza“ (1820), kwiat poezyi Shelleya, kwiatom poświęcony i wonną mową kwiatów napisany poemat. Ogród, w tym ogrodzie kwiaty, budzące się pod ciepłém tchnieniem wiosny; wśród kwiatów, jak Ewa w Edenie, Piękna Pani ogrodu, do Gracyi podobna, jasna, wonna, łagodna; na odgłos jéj kroków drżą kwiaty z roskoszy, bo czują, jak pod dotknięciem białéj dłoni téj Pięknéj Pani miłosne tchnienie jéj duszy przeniknie, rozleje się po nich; po krótkich radościach wiosny i lata smutek jesieni i mroźne powiewy zbliżającéj się zimy, śmierć i pogrzeb Pięknéj Pani, potém powolne, płaczące konanie kwiatów— oto treść poematu.—Wspólnie radując się i karmiąc promieniami słońca, kwitną w tym ogrodzie zrazu pierwiosnki i fiołki, potém narcyzy i tulipany, konwalie, hyacynty, róże, lilie, jaśminy i tuberozy, najmilsze z kwiatów pachnących. Jak skarby fantazyi, tak téż odcienie miłości poety do natury były nieprzebrane w bogactwie swojém, więc dla oddania wdzięku i woni kwiatu każdego umiał on wynajdować co raz to nowe tony i barwy, ale z najgorętszą sympatyą wzrok poety spoczął na mimozie, bo mimoza, to obraz Shelleya: skromna, nie upaja ona wonią, ani olśniewa barwą, ale od korzonka do liści przejęta i drżąca miłością, wchłania ona w siebie woń wszystką,' i światło, i piękno ogrodu, sama stęskniona do piękna, którego nie posiada. Oddechy kwiatów, wiatrów powiewy, błyszczące żuczki skrzydlate, rosy mglista powłoka, było to wszystko dla niéj brzmieniem, pełném słodyczy; z nadejściem zmroku, gdy zwierzęta, ptaki i owady tonęły w cichym oceanie snu, mimoza, pierwsza z roślin, otrzymywała pocałunek nocy i zamykała się, omdlewając z roskoszy; gdy Piękna Pani ogrodu umarła, mimoza pierwsza poczuła dźwięk śpiewu pogrzebowego i kroki powolne, ciężkie, tych, co trumnę nieśli; gdy smętne kwiaty snem śmierci zasnęły, osierocona płakała mimoza biedna, a łzy jéj, w szron mroźny zmienione, wyziębiły wątłe jéj kształty.... Ale czyż śmierć i nicość mają zabrać to wszystko, co miłe i piękne? Nie.

Ten miły ogród, ta Piękna Pani,
Te wonie słodkie i kształty
Urocze nie zaginęły wcale;
To tylko my się zmieniamy,

Bo dla miłości, piękna i szczęścia
Ni śmierci niemasz, ni zmiany,—
Ich moc przekracza mrok zmysłów naszych,
Przed światłem każdém ślepnących.

W tém cudownem zakończeniu znalazły wyraz nietyle przekonania, ile tęsknoty filozoficzne Shelleya. Chociaż poeta pragnął być ścisłym i trzeźwym, jak Bacon, jednak fantazyę jego nierównie silniéj pociągał Boski Plato z nauką o świecie idei, którego odblaskiem jest nasz świat zmysłowy, ale nastrojowi nieraz zdawał się lepiéj jeszcze odpowiadać Berkeley, najbardziéj krańcowy i najkonsekwentniejszy z idealistów. Niéma świata zmysłowego — twierdził on — prócz myśli i woli niéma nic we wszechświecie; Bóg, najdoskonalsza myśl i wola, stworzył podobne do siebie istoty, nadał im idee, stanowią one podstawę i treść ich życia, ale rzeczywistego bytu nie mają, są w Bogu tylko, jako pierwowzory, i w myśli ludzkiéj, jako odbicia tych pierwowzorów.—Więc świat ten fałszu, głupstwa i walki—poetyzował Shelley Berkeleya—jest tylko pozorem czegoś, a my cieniami snu; ale po-za tém wielkiém złudzeniem istnieje Bóg, istnieje „Miłość, Piękno i Szczęście“ nieskończone i wiecznotrwałe, a ogród i jego czarowna Pani to odblask téj Miłości i Piękna, i Szczęścia, to promień, złocący stęsknioną duszę poety.

Mimoza może być uważana jako zapowiedź i wstęp do „Epipsychidiona“. Czarowna Pani była duszą ogrodu; dla kwiatów—mówi poeta—była tém, czém Bóg dla gwiazd. Ale nie w każdéj chwili mogła być obecną wśród miłych sercu jéj mieszkańców ogródka i poić je ciepłem i jasnością swoją; więc tęskna mimoza, spragniona jéj pieszczot, łaknąca miłości, czerpała ją wszędzie, gdzie ją znaléźć mogła, gdzie ją wlały kochające spojrzenia lub dotknięcia miłéj czarodziejki,— w trawkach i kwiatach, w rosie, w przestworzu. Podobnie téż Shelley: w którémś poprzedniém, zaświatowém istnieniu ukochał on Antygonę; potém jéj szukał na ziemi; zeszła ku niemu we śnie, w postaci kochanki Alastora, a biedny młodzieniec gonił za nią po morzach i lądach, aż umarł z tęsknoty;—potém objawiła mu się w rojeniach fantazyi, jako czarowna Pani ogrodu, ale, gdy jesień nadeszła, zasnęła snem śmierci.... Więc, nadaremnie szukając w tym świecie złudzeń owéj zaziemskiéj Antygony, bądźmy jak ta mimoza, zapatrzona w czarodziejkę ogrodu, a umiejąca wyssać miłość z kwiatów i z rosy. Z tych krain, gdzie Miłość wieczna, Piękno i Szczęście panują, niewidzialna zstępuje Antygona i w miłe jéj oku postacie ziemskie wlewa swe tchnienie miłosne, nadaje im odblask z zaświata, i każda ze szczęśliwych wybranek bogini inaczéj odbija to Piękno wieczne, którego Antygona, kochanka Alastora, i piękna Pani ogrodu, były niedoścignym w tém życiu obrazem, każda darzy poetę nowym kielichem rozkoszy, jest przypomnieniem szczęścia, którego zaznał w przedziemskiém istnieniu, daje przedsmak tego, które nastąpi kiedyś.

Szczęście jest celem człowieka, miłość największém szczęściem: jak obłok w słońcu, tak poeta chciał-by zaginąć i roztopić się w miłości; ale ponieważ taką miłością nie zdoła go objąć żadna ziemska istota, więc karmić się temi okruszynami miłości, które one są zdolne dać, brać ją wszędzie, gdzie się da znaleźć — taką jest idea „Epipsychidiona“. Na pozór nie nowa, niemoralna, płytka i przypominająca poetyczny komunał o trójcy miłości, kobiet i wina; tylko ci wszyscy, którzy tę trójcę wynosili, nie brali rzeczy na seryo, powodowali się bądź duchem sprzeczności, chcąc opinię ogółu podrażnić, bądź nudą lub zniechęceniem,—zawsze kaprysem. Ale jakże inaczéj ma się rzecz z Shelleyem. Najpierw w miłości jego nie gra roli ani wino, ani nawet kobiety,—to ostatnie wyda się dziwném na pozór,—ale poeta tak je odarł ze krwi, z kości i mięśni, tak je oblał jasnością słońca, srebrem księżyca, szkarłatami jutrzenki, wonią kwiatów, tak je rozdźwięczył muzyką wiatrów i fal, że blaskiem tym, i wonią, i muzyką rozanielone, tracą wszelkie pokrewieństwo z istotami śmiertelnemi, podobne do cudownéj Beatryczy z „Przedświtu“ Krasińskiego.

W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitném tle przestrzeni
Całaś srebrna, wniebowzięta.

Z tych słów wieje duch Shelleya, mogą być zastosowane do każdéj jego kochanki; cały ten ustęp: „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem“, i eteryczne widzenia „Przedświtu“ mógł-by Shelley podpisać równie dobrze, jak Krasiński.—Drugą znamienną cechą erotycznéj teoryi Shelleya jest przejęcie się nią samego poety: wygłasza ją, nie jako żart lub kaprys, ale z namaszczeniem kapłana: „Twój duch we mnie mówi—zwraca się Shelley do Emilii Viviani, pięknéj, nieszczęśliwéj i poetycznéj Włoszki, któréj poświęcił „Epipsychidiona“, rozgorzawszy do niéj chwilowém platoniczném uczuciem—twój duch każe mi oświecić światłem latarni morskiéj te skały, o które rozbijało się tyle serc wzniosłych“. Tą skałą ma być kierująca życiem ludzkiém zasada, według któréj każdy powinien sobie wybrać z tłumu towarzyszkę lub towarzysza i z tą jedną, jedyną istotą przebyć życie, nie patrząc na inne, chociaż-by rozumne były i piękne. „Miłość prawdziwa—ciągnie daléj poeta—tém się odróżnia od złota i gliny, że, gdy ją dzielimy, nie znika. Podobną jest miłość do rozumu, który tém większe zdobywa sobie światło, im więcéj prawd poznaje;—podobną jest do światła wyobraźni, które z ziemi i z nieba, z głębi fantazyi ludzkiéj i z tysiąca pryzm i zwierciadeł wyciąga promienie chwalebne, któremi zalewa wszechświat, zabijając robaka fałszu....“ „O, jakże jest ciasném to serce, które kocha, ten mózg, który poznaje, to życie, któ-

re ogarnia, ten duch, który tworzy jeden przedmiot, jeden kształt i w kształcie tym buduje sobie grób na wieczność całą....“ ...„złe różni się od dobrego, nędza od szczęścia, spodlenie od szlachetności, wszystko, co nieczyste lub kruche, od tego, co czyste i trwałe, w tém, że rozdrabniając cierpienia, można je stopniowo zmniejszać, aż zupełnie zanikną; ale jeśli rozkosz dzielimy, miłość lub myśl, to cząstka każda przewyższa całość i, póki znaleźć się może jedna niepodzielona odrobina, nie wiemy, ilebyśmy sobie mogli zdobyć rozkoszy, lub oszczędzić smutku. Prawda ta jest tém źródłem głębokiém, w którém mędrcy czerpali światło nadziei.“

Wiemy już, że Shelley nie umiał cofać się i że, niczém nieulękniony, stawał do walki z opinią świata. Chciał widzieć zniesioném małżeństwo; jednak, zanim puścił w świat te dziwne myśli, zawarte w „Epipsychidionie“, wahał się i tracił tę zwykłą sobie wyzywającą śmiałość. Świadczy o tém przerobiony z Dantego, a umieszczony w nagłówku przedmowy sonet, w którym poeta wyrażał obawę swą, że przez wielu czytelników nie zostanie zrozumianą pieśń jego, tak „urwisty“ jest przedmiot, który porusza. Poemat sam wydał on bezimiennie, oświadczając w przedmowie, że napisany został przez młodzieńca, niedawno zmarłego we Florencyi, i dodając nieco daléj, że utwór ten niezrozumianym będzie dla całéj klasy ludzi, z powodu braku wspólnego im i autorowi organu do pojmowania tych idei, któremi się zajmuje.—Uwaga bardzo słuszna: trzeba zgłębić serce Shelleya i dotrzeć do tych tęsknych lilii, które tam rosły na dnie, aby, oceniając „Epipsychidiona“, nie dać się uwieść fałszywym pozorom. Co-by w ustach innego było dumną przechwałką, dowodem rozpusty i zużycia, to samo, wypowiedziane przez Shelleya, świadczy o miłosnéj platonicznéj tęsknocie, którą, jak mimoza, przejęty był od korzonka do liścia; podobny do tych aniołów pokutujących, o których mówią podania ludowe, Shelley szukał w każdéj mieszkance ziemi odblasku téj światłości wiekuistéj, którą się niegdyś w swojéj zaziemskiéj ojczyźnie nasycał, a znalazłszy, poił się nią, jak pszczoła sokiem kwiatów; głosząc uniwersalizm wolnéj miłości, pamiętajmy, że był czułym i wiernym małżonkiem swojéj Mary Godwin. „Nie mogę dać ci tego, co ludzie zwą miłością; lecz czy nie przyjmiesz modlitwy, którą serce wznosi ku Niebu i któréj Niebo nie odrzuca, tęsknoty robaczka do gwiazdy, nocy do ranka, oddania się czemuś nieskończonemu, oddalonemu od sfery smutków naszych?“

Te pełne wdzięku słowa dają pojęcie o platońskiém tle uczuć Shelleya; znajdują się w jednéj z poezyi, poświęconych Pani Williams, która w sercu poety zastąpiła Emilię Viviani. Czém *Don Juan* w twórczości Byrona i bajronistów, tém u Shelleya *Epipsychidion*,

niby też Don Juan, ale wyszlachetniony i rozjaśniony, wolny od zmysłowości, a marzący o platonicznych uczuciach.

3. Filozofia.

Ciężkie, nieraz rozpaczliwe okoliczności życia Shelleya, zabarwiwszy odcieniem nieutulonego smutku i tęsknoty te najsubtelniejsze jego wylewy, w których otworzył nam głąb swojego serca, odzwierciedliły się w podobny sposób na jego marzeniach społecznych: wiara „Królowéj Mab“ w potęgę dobréj woli ludzkiéj i w przyszły tryumf prawdy występuje wprawdzie w poemacie „Laon i Cythna“ (1817) i w dramacie lirycznym „Prometeusz rozpętany“ (1820), ale ma skrzydła znacznie obcięte; poeta nie traci nadziei w zwycięztwo światła, ale zwycięztwo to nie jest ani tak bliskie, ani tak łatwe, jak mu się niegdyś zdawało. — W tych obu utworach krytycy Shelleya zwykli upatrywać ogromny krok naprzód pod względem dojrzałości i wykończenia w porównaniu do „Królowéj Mab“, — twierdzenie najsłuszniejsze, o ile tyczy się formy, ale co do treści, to zakres, tło i kierunek myśli poety pozostają zawsze te same, zesłabł tylko i pobladł jego młodzieńczy optymizm. Przewaga dobrych czynników w naturze ludzkiéj nad złemi, — oto zasadniczy dogmat Shelleya, którego konsekwencye wyprowadził w „Królowéj Mab“ z natarczywą i zuchwałą śmiałością; nie mógł jednak poeta zaprzeczyć, że zle istnieje, nie umiejąc zaś pogodzić istnienia złego z nieskończoném dobrem i pięknem ducha natury, którego świat jest wypływem, starał się tę sprzeczność uchylić, twierdząc, że zło jest objawem przypadkowym i krótkotrwałym. Teraz, pod wpływem bolesnych zawodów życiowych, poeta rzucił tę błogą myśl młodości, zło zdało mu się czemś istotném, potężném, trudném do przełamania, przez to samo w pojęciu poety o świecie zaostrzyła się sprzeczność, z któréj nie umiał wybrnąć w „Królowéj Mab“; teraz uchylił on tę sprzeczność w sposób stanowczy, ale poetyczny i plastyczny raczéj, niż wytrzymujący krytykę ze stanowiska monistycznych dążeń filozofii, wszechświat wyobraził jako widownię odwiecznéj walki dwóch potęg, które wyprowadził w obu dziełach swoich w mistycznéj postaci zrazu węża i orła, potém Prometeusza i Zeusa. Że na myśl tę poeta wpadł wcześniéj jeszcze, o tém świadczy napisany w r. 1815, wspaniały, pełny polotu, „Hymn do Piękna Duchowego“, tém bowiem mianem ochrzcił on pierwiastek dobrego we wszechświecie. Ale jak się Shelley sam zapatrywał na to rozwiązanie swoje, — czy nadawał mu znaczenie głębsze i uważał za filozoficzne uzasadnienie, czy tylko widział w niém wytwór fantazyi

i wdzięczny temat do poezyi, — na to, wobec braku cokolwiek wyraźniejszych objaśnień ze strony poety, stanowczéj odpowiedzi dać nie umiem, chociaż prawdopodobniejszém wydaje się drugie.

Laon i Cythna[1]) składa się z dwunastu pieśni: w pierwszéj, stanowiącéj symboliczny wstęp do całości, poeta, gdzieś na brzegiem morza pogrążony w dumaniu, widzi nad sobą, wysoko, w błękitach, orła walczącego z wężem, który opasał go i dusi żelaznym pierścieniem swoim. Wąż skusił pierwszych rodziców w raju i zbuntował ich przeciwko Bogu, wąż przeto jest wedle pojęć kościelnych obrazem szatana, więc właśnie dlatego, wbrew uczuciom naszym, nietylko religijnym, ale estetycznym, poeta w walce téj robi węża wyobrazicielem pierwiastku dobrego. Trzeba domyślać się, że pod postacią kobiety, która zwyciężonego w morzu przytuliła, rozumiał Shelley pierwiastek światła we wszechświecie, to Piękno Duchowe, do którego rok przed tém wznosił cudowny hymn, wówczas, gdy wąż w téj pieśni, Laon w następnych, potém Prometeusz, były to różne wcielenia tego Światła i Piękna na ziemi. Łódka przypływa do pełnéj cudów zaświatowéj świątyni duchów, którą poeta umiał ubrać we wszystkie kwiaty fantazyi swojéj; tam owa postać kobieca rozwiewa się we mgłę, znika wąż, natomiast zjawiają się promienne postacie Laona i Cythny, którzy z bolesnych wędrówek po ziemi wrócili tam, aby zakosztować spokoju i szczęścia. Laon opowiada poecie dzieje swoje, które zajmują następne 11 pieśni.

Laon i Cythna rodzą się i wychowują w Argolidzie. Robiąc bohaterów swoich Grekami, Shelley kierował się uwielbieniem dla przeszłości greckiéj, które już wtedy w nim się rozwinęło, a im daléj, tém bardziéj miało się utrwalać; poemat jednak jest całkiem pozbawiony kolorytu miejsca, w cierpieniach zaś i walkach Laona i Cythny niéma prawie nic, coby przypominało walki świata chrześciańskiego z muzułmańskim. Pogląd Shelleya na wzajemny stosunek mężczyzny i kobiety, myśl jego o szlachetnym wpływie, jaki kobieta wywrzéć może i musi, nietylko w kółku rodzinném, ale i na szerokiéj widowni życia społecznego, wreszcie wypływające ztąd krańcowe przeciwieństwo pomiędzy nim a Byronem w zapatrywaniu się na stanowisko i znaczenie kobiet, nie uwidoczniły się nigdy i nigdzie tak wyraźnie, jak w opisie wzajemnych stosunków Laona i Cythny: gdy bowiem Laon potęgą myśli i orlim lotem pragnień budzi i zapala duszę Cythny, ta swoim niegasnącym nigdy zapałem, niewzruszoną nigdy wiarą i nadzieją, nietylko

[1]) Poemat ten został zatytułowany przez Shelleya w powtórném wydaniu „Rokosz Islamu".

podtrzymuje kochanka, ale czynnie dopomaga mu na ciernistéj drodze ich życia, które składa się z przemijających rozkoszy, a częstych i długotrwałych rozczarowań i boleści. Już w trzeciéj pieśni młodziutką Cythnę porywają do haremu, Laon stara się ją bronić, ale napróżno, zostaje wrzucony do lochu. W pieśni czwartéj uwalnia go tajemniczy pustelnik i opowiada, że w „Złotym Grodzie“ władza tyranów wstrząsnęła się w posadach swoich pod ciosami natchnionych słów nieznanéj niewiasty, w któréj Laon domyśla się Cythny. Ponieważ krwawa walka pomiędzy dwoma obozami zdaje się być nieuniknioną, więc Laon śpieszy, aby módz pogodzić waśniących się; ale walka wszczęła się, zanim zdołał przybyć i rozpocząć działanie. Bohater nasz, ranny od pierwszéj chwili, znajduje jednak dość siły w sobie, aby w imię miłości przemówić do walczących; słowa jego działają cudownie, zasłona spada z oczu nieprzejednanych dotąd wrogów, łączą się we wspólném pragnieniu szczęścia. Laon zaś z Cythną znajdują samotne schronienie w ruinie jakiejś na skale nadmorskiéj. Następne trzy pieśni są opisem samotnéj i pełnéj melancholicznego uroku idylli miłosnéj naszych kochanków, w czasie któréj Cythna opowiada koleje swoje od chwili, gdy porwaną została do haremu; — najznamienniejsze miejsce w opowiadaniu tém zajmują mowy, któremi Cythna sprawiła przewrót w umysłach majtków, wiozących ją do Złotego Grodu, a następnie samych mieszkańców tego miasta. W pieśni X poeta opuszcza kochanków.

Oto szkielet poematu. Rzecz mogła-by być przeniesioną w czasy rzymskie, greckie, assyryjskie, chociaż-by staro-meksykańskie, jeśli mnichów hiszpańskich nazwać kapłanami Jowisza czy Baala. Nic miejscowego, plastycznego, trącącego prawdą życia. Jedném słowem, treść zanadto jest oderwaną od życia, aby mogła zająć, a błąd ten dał-by się wybaczyć autorowi przez wzgląd na porywający idealizm jego ducha, który przebija się wszędzie, gdyby umiał rzecz swoją zamknąć w obrębie 2—3 pieśni, jak to zwykł był czynić Byron. Wadliwą całość okupują szczegóły, przedewszystkiém niektóre mowy Laona i Cythny, tchnące najczystszym liryzmem, a malujące nastrój ducha poety; — potém ustępy fantastyczne, ale nie wszystkie, nie zawsze bowiem umie poeta utrzymać w cuglach fantazyę swoją, — znajdują się w poemacie Shelleya szczegóły, których niepodobna zrozumiéć.

Pod względem filozofii poemat ten, jak powiedziałem, pozostaje w ścisłym związku z „Królową Mab“; cała różnica polega na tém, że poeta, przypisując Złemu większą niż dawniéj potęgę, wyprowadza ztąd dwa wnioski, pozornie raczéj, niż rzeczywiście, zmieniające dawną postać jego nauki, najpierw: nie umiejąc monistycznie wytłómaczyć ustroju wszechświata, przywołuje on na pomoc dualizm, ale kie-

ruje się w tym względzie nie tyle głosem rozumu i przekonaniem, ile popędem fantazyi; — powtóre: urzeczywistnienie raju na ziemi odkłada na nieograniczone, dalekie czasy; bohaterowie jego tryumfują tylko raz w życiu i na bardzo krótko, potém złe bierze górę, umierają oni śmiercią męczeńską; ale ideały swoje kochają tak gorąco, potęga ich ekstazy jest tak wielką, że umieją się przenieść po-za krańce czasu, męczarni swoich nie czują, zapatrzeni w przyszłą szczęśliwość rodu ludzkiego, śmierć staje im się lekką i radosną. Ponura zima zapanowała nad światem, ale wiosna wieczna zstąpiła w ich serca; w głębiach tych serc nurtują łagodne prądy z myśli słonecznych i kwiatów dopiero co rozpuszczonych (I-zy 25), więc czegóż im się smucić. „Myśli nasze i czyny — pociesza Cythna kochanka swojego—nasze życie i miłość, szczęście nasze, wszystko, czém byliśmy, żyć będzie wiecznie i nie przestanie jaśnieć i natchnień ludziom udzielać, gdy już nas nie będzie“ (IX).

W „Królowéj Mab“ i w „Laonie“ Shelley staje na tém samém stanowisku: żyć tak, aby żyć i kochać stanowiło jedno (VIII, 12),—oto ideał jego; ale aby ideał ten mógł się stać rzeczywistością, aby „miłość, któréj nikt nie zdoła utrzymać na łańcuchu, mogła, jak światło, zapełnić ziemię“, (VIII 16) trzeba zerwać potrójne więzy, gnębiące ducha ludzkiego. Poemat swój nazwał Shelley „widzeniem wieku XIX“ o tyle słusznie, zdaniem pani Matyldy Blind i pani Heleny Druskowitz, że wprowadził nowy typ niewieści: kobietę, walczącą o prawa swoje i biorącą równy z mężczyzną udział w walce o światło i prawdę.

Wreszcie szczegółem charakterystycznym w tym poemacie Shelleya jest kult Grecyi; świadczy on o pogańskim nastroju ducha poety, objawia się zaś nietylko w wyborze miejsca działania oraz narodowości bohaterów, ale w niektórych ustępach, najsilniéj zaś w końcu V pieśni. Czytając ten opis, doznajemy takiego samego wrażenia, jak patrząc na „Frynę“ Siemiradzkiego: i tu, i tam te same błękity, gorące blaski słońca południowego, swobodna a szlachetna zmysłowość, radości życia, nie myślącego o jutrze. Shelley chciał-by rozlać po sercach ludzkich i na twarzach to wesele ducha, które znalazła pogańska Grecya, tu na ziemi szczęścia szukać, gdyż ziemskie szczęście jest celem człowieka. Ten pogański nastrój Shelleya zdaje się być w sprzeczności z marzycielskiém, lubującém się w zaświatowych wędrówkach usposobieniem poety; przypomnijmy jednak, że Shelley nie karmił się samemi tylko marzeniami,—miał on serce gorętsze, w rozumowaniach zaś swoich pragnął zachować ścisłość uczonego, więc choć z zamiłowaniem kreślił pośmiertną szczęśliwość Laona i Cythny w zaświatowéj świątyni duchów, ale te rozkoszne sny swoje o szczęściu wiecznem uważał za

płonną tylko, choć miłą, grę fantazyi. W usta Cythny włożył on następujące słowa: „Nie może rozum poznać, czego zmysły nie czują, albo czgo myśl niezdolna pojąć; w tym świecie same bóle tylko, zawody, trwogi i smutki. Nie wiemy, skądeśmy przyszli, ani jak żyjemy, co za potęga niema może życie roślinom nadać, gwiazdom lub zwierzętom, lub wreszcie samym myślom naszym.... Zbliż się więc do mnie.... Związę się z tobą łańcuchem, którego zerwać nie zdołam; zbyt wielkie kotłują we mnie myśli i zbyt żywe, aby się zmieścić w jednéj piersi mogły.“ (IX, 33). Jak Cythna, tak też Shelley rozwiazywał zagadkę istnienia: szukajmy szczęścia na ziemi. Poeta płonął zbyt wielką litością dla nędzy ludzkiéj, aby mógł znaleźć pociechę w bezpodstawném, zdaniem jego, marzeniu o szczęśliwości pośmiertnéj; ztąd jego cześć dla sztuki, nauki i życia Grecyi starożytnéj.

W przedmowie do „Laona“ Shelley oświadczył, że nie miał zamiaru ująć poglądów swoich w systematyczną całość, ale pragnął za pomocą eterycznych obrazów fantazyi, subtelnéj gry namiętności ludzkich, wdzięku mowy miarowéj, jedném słowem, wszystkiego tego, co stanowi istotę poezyi, wzbudzić stosowne uczucia, aby czytelnik, podziwiając piękno prawdziwéj cnoty, mógł rozwinąć w sobie tę wiarę etyczną i polityczną, do jakiéj doszły niektóre najwznioślejsze umysły ludzkie. Naturalnie Laon nikogo nie zachęcił do krańcowéj filozofii Shelleya, ale cel poety został dopięty w ten sposób, że każdy, posiadający odrobinę uczucia, czytelnik, zapłonie sympatyą do gorącéj duszy wieszcza, która się odźwierciedliła tak plastycznie w niepodobnych do urzeczywistnienia pomysłach Laona, — każdy poczuje na sobie czyste, orzeźwiające, wiosenne powiewy téj „wiecznéj wiosny“, która królowała w sercu Shelleya.

„Prometeusz rozpętany“ wyszedł w r. 1818. Shelley pracował nad nim przeszło dwa lata i uważał go za najlepsze i najgłębiéj pomyślane z dzieł swoich, za rzecz trwałą, wzniosłą i zdolną wytrzymać wszelkie próby czasu. I w rzeczy saméj potęga liryzmu i niedościgły polot fantazyi — te dwa znamienne rysy twórczości Shelleya — nie uwidocznily się z taką siłą w żadnym innym z jego utworów; dodajmy zaś do tego tę, właściwą jemu, czarowną muzykę wiersza, którą doprowadził tu do szczytu doskonałości, a pojmiemy źródło uroku „Prometeusza“ na krytykę współczesną, która zgodnie go ogłosiła za najbardziéj wykończony wyraz zarówno filozofii, jak poetyckiego kunsztu Shelleya. Wyrok niezupełnie słuszny: obok zalet uderzają w „Prometeuszu“ liczne a wielkie wady. W „Laonie“ poeta, nie umiejąc zapanować nad wyobraźnią, kreślił nieraz ustępy zawile i ciemne, jak senne marzenia, ustępy te jednak zajmowały miejsce uboczne, ginęły w toku opowiadania, — streszczając „Laona“, nie po-

trzebowałem dotknąć żadnego z nich; w „Prometeuszu“ zaś już nietylko ustępy, ale samo przeprowadzenie myśli poety grzeszy nieraz ciemnością: każda występująca tam postać ma coś wyobrażać, być wcieleniem jakiejś potęgi natury, czy jakiegoś oderwanego pojęcia,— ale czego mianowicie, tego poeta nie tłómaczy, pozostawiając obszerne pole domysłom krytyków; jedném słowem: „Prometeusz“ nie jest dziełem, napisaném dla ogółu, ale tylko dla tych rzadkich miłośników poezyi, którzy albo mają cierpliwość pokilkakrotnie odczytywać i zastanawiać się nad znaczeniem każdego ustępu albo, nie patrząc na całość, umieją zachwycać się nad niezrównaném pięknem szczegółów.

Walka Prometeusza z Zeusem stanowi treść dramatu. Jakim sposobem przyszło do tego, że Złe, którego wyobrażeniem jest właśnie Zeus, zapanowało nad światem, na to poeta nie umie dać odpowiedzi jasnéj [1]), dość, że wraz ze zwycięztwem Zeusa zwaliły się na ludzkość głód, choroba, niezgoda, wojny, wreszcie śmierć; aż ulitował się dobry tytan, Prometeusz, i wzbudził zastępy nadziei, śpiących w czarownych zwojach kwiatów elizejskich, aby „tęczowemi skrzydły przysłonić mogły widmo śmierci“, zesłał miłość, dał mowę, a „mowa stworzyła z siebie myśl — miarę wszechświata. Wtedy nauka trąciła o trony ziemi i nieba, zatrzęsły się one, lecz, niestety, nie upadły.“ Ale za to wszystko Prometeusz przykuty został przez mściwego Boga do skały, a sęp szarpie mu serce. Płaczą nad nim Pantea i Jona, nimfy-Oceanidy, mające, zdaniem niektórych krytyków, wyobrażać Wiarę i Nadzieję, ale najrzewniéj płacze Ziemia, matka Tytana; Shelley lubował się w przedstawianiu harmonii pomiędzy stanem natury a myślami i czynami człowieka, i właśnie skarga Ziemi jest jednym z najpiękniejszych wyrazów tego upodobania poety:

Jam jest matka twoja Ziemia,
Po któréj żyłach kamiennych, aż w krańce
Ostatnich włókien najwyższego drzewa,
Co gronem listków potrząsa w powietrzu,
Przebiegła rozkosz, jak krew w żywém ciele,
Gdy ty z jéj łona, we mgle majestatu
Powstałeś, duchu rozkoszy niebieskiéj,
A na dźwięk głosu twego mdłe jéj syny
Podniosły czoła z prochu pohańbienia,
A nasz Pogromca bledną! — nim piorunem,
Niosącym zemstę, przykuł cię do skały.

[1]) Por. Akt. II, sc. 4.

O! wtedy... widzisz to światów miliony,
Co tu naokół toczą się i płoną:
Ich ludy były świadkami, jak zszarzał
W bezmiarach nieba mój okrąg świetlisty. [1])

Prometeusz nietylko znosi dumnie i spokojnie cierpienie swoje: „jam królem nad sobą, bo wirom walk i boleściom ducha rozkazuję“, ale nawet przebacza wrogom swoim. Niegdyś, w chwili, gdy Zeus przykuwał go do skały, tytan rzucił na niego przekleństwo, które przechowała ziemia i wszystkie współczujące Prometeuszowi żywioły, jako proroctwo przyszłego upadku pogromcy bogów i ludzi; — teraz tych słów swoich, wyrzeczonych w szale gniewu i rozpaczy, żałuje dobry tytan: „matko! żal mi słów moich... Byłem zaślepiony. Bodaj nie znała cierpień żadna istność żywa.“ Ten hart tytana, w którego sercu króluje spokój, jak w słońcu światło, doprowadza Zeusa do wściekłości, więc śle na niego szeregi furyi; stajemy się świadkami przesilenia bólów męczennika, chwili, gdy dochodzą do szczytu swego; ale zrazu stawia on im mężnie czoło: „nie o tém myślę, co czynicie, ale, co, czyniąc źle, cierpieć musicie.“ Lecz nowe lecą szeregi ich. „Siostro — woła Jona — ja słyszę tam grzmot nowych skrzydeł!“ „Potężne góry drgają pod ich hukiem — woła Pantea — drga też powietrze, a cień ich w pośrodku mych piór mrok spuszcza czarniejszy od nocy.“ Straszne narzędzia tortury niosą ze sobą te nowe furye, bo wydzierają one jęk z piersi mężnego tytana. „O siostro — woła znowu Jona — co za jęk złowieszczo głuchy wybucha z serca dobrego tytana, jak wichry, gdy rozedrą morskie głębie, a zwierz dosłyszy to wycie z pieczary. Czy śmiałaś patrzeć, jak go wróg katuje?“ „Podwakroć, ale już więcéj nie będę.“ „I cóż widziałaś?“ „Widok rozpaczliwy: młodzieńca z cichém, cierpliwém obliczem, przygwożdżonego do krzyża.“ Ten widok jest szczytem męki tytana: „O spędź z oblicza — woła on — ten mrok osłupienia!

Zawrzyj zsiniałe usta, aby z twojéj
Ciernieм zranionéj skroni krew nie trysła,
Ach, ona miesza się z twojemi łzami!
Utkwij źrenice w spokoju i śmierci,
Aby pod spazmem twym krzyż się nie zatrząsł,
Wychudłe palce we krwi nie pływały.
Duchu! imienia twego nie wymówię,
Bo dziś się stało złorzeczeniem. Widzę
Mężów mądrości, wzniosłości i prawdy,
Znienawidzonych przez swe niewolniki
Za to, że tobie podobni.“ [2])

[1]) Ten oraz wszystkie inne ustępy z „Prometeusza“ przytaczam według przekładu F. Jezierskiego.

[2]) Według Jezierskiego.

Zniknęły geniusze ducha ludzkiego, ale dobrego tytana rozpromieniły one błogiem marzeniem; siostry-oceanidy, Pantea i Jona, przeczuwają bliskość jego wyzwolenia, ale ponieważ trzecia siostra, Azya, wzdycha gdzieś w dalekim Kaszmirze, smutnéj krainie swego wygnania, więc do niéj śpieszy Pantea, aby zwiastować radosną nowinę. Azya jest tą istotą, którą Prometeusz nadewszystko ukochał. Krytycy Shelleya twierdzą dość jednomyślnie, że ma ona być uosobieniem pierwiastku światła we wszechświecie, który poeta uwielbiał pod nazwą Piękna duchowego; radość i szczęście o tyle spływają na ziemię, o ile ludzkość zdoła przeniknąć się owém Pięknem, ztąd związek miłosny Azyi z tytanem—dobrym geniuszem ludzkości, dlatego-to zniknęła ona z widowni ziemi i usycha z tęsknoty w jakiéjś zapadłéj dolinie przez cały czas męki Prometeusza, a tryumfu Złego. Azya — dodajmy od siebie — przypomina ową tajemniczą postać niewieścią z I pieśni „Laona“, tulącą do siebie zakrwawionego węża i niosącą go do „świątyni duchów“; więc stosunek Azyi do Prometeusza jest stosunkiem myśli do woli, która myśl tę w czyn wprowadza—idei do każdego z wcieleń téj idei, idea bowiem objawiać się może wielokrotnie i w różnych kształtach, stosownie do miejsca i do czasu swego objawienia się. W jednem z pism Shelleya (Essay on Christianity) znajdujemy następujące słowa: „jest Potęga, która okrąża nas, jak atmosfera zawieszoną w niéj lirę nieruchomą, która tchnieniem swojém porusza milczące struny woli naszéj.“ Otóż Azya jest tą potęgą, Prometeusz—lirą, spółdziałanie zaś obu czynników niezbędném jest do wydania stosownego dźwięku. — Cudownem jest spotkanie obu sióstr: „ukochana moja i najśliczniejsza — woła Azya — o ty, która nosisz cień owéj duszy, przez którą żyję, jakże późno przyszłaś! Już słońce weszło nad morzem, serce me usychało z tęsknoty, nim eter poczuł leniwe twe skrzydła.“ Pantea opowiada siostrze swój sen, zwiastujący bliską godzinę zwycięztwa tytana: noc lazurowa rozpromieniła się blaskiem jego chwały, miłość, jak para ognista, biła z całéj jego postaci, „głos jego był tą muzyką, co wprawia w omdlenie mózg, odurzony wonnością rozkoszy“; nawskróś owiała ją siłą swoją roztapiającą błoga jakaś atmosfera, jak palący eter porannego słońca, zanim wypije wędrowne obłoki rosy... — Lecz przeszło widzenie i, jak wyziewy, gdy słońce opadnie, znów się gromadzą, skraplając na sosnach, tak się istność jéj skropliła na tle nocy; ale promienie myśli wracały powoli z rozsypki i, budząc się z zachwytu, Pantea słyszała dolatujący z oddali, melodyjny, konający głos tytana, wzywającego Azyę. [1])

[1]) Por. Jezierski.

Gdy Pantea to opowiada, Azya, wpatrzona w nią, a pogrążona w ekstazie, widzi w oczach siostry odblask ukochanego tytana, tymczasem jakieś głosy tajemnicze wołają zewsząd „za mną, za mną, za nami“; te słowa Pantea i Azya widzą wyryte na trawkach i kwiatach, na gęstych, leniwych, białorunych obłokach, które pasterzwicher pędzi po górach, słowa te szepcą sosny, śpiewają przepaści i skały: za nami, za nami! aż głos nasz do gór, gdzie piętrzy się bór, do pieczar, przepaści zamami. Za głosem tym pędzą siostry, doprowadza je do jaskini Demogorgona, zkąd „paruje wyroczny wyziew, a ludzie go piją... i zwą to odurzające wino żywota prawdą, cnotą, miłością, geniuszem i szczęściem.“ Już ze słów tych, włożonych w usta Pantei, wynika, że Demogorgon jest jakąś istotą wyższą; pani Shelley, najkompetentniejsza tłómaczka myśli swego męża, nazywa Demogorgona „pierwotną Władzą świata“, inni krytycy (np. Druskowitz) odwieczną sprawiedliwością, ponieważ Demogorgon właśnie sprowadza zwycięztwo dobrego tytana nad Zeusem. W „Prometeuszu“, równie jak w „Laonie i Cythnie“ Schelley wystawia dwie potęgi, dwa pierwiastki — dobry i zły — walczące z sobą o panowanie nad światem; w „Laonie“ nad temi dwiema potęgami rozciąga się Potęga Najwyższa, którą Shelley określa po neoplatońsku, t. j. negacyjnie, jako źródło myśli i życia, nie mogące ani myśleć, ani żyć, bo wyższe od myśli i od życia. Zdawało-by się, że tą Potęgą, tym Bogiem, albo, według Shelleya, tym Duchem natury, który natchnął poetę do skreślenia najsilniejszych ustępów „Królowéj Mab“, jest właśnie Demogorgon. Ale nie. Na szereg pytań Azyi, tyczących się początku świata i panowania nad nim, odpowiedź Demogorgona brzmi niezmiennie „Bóg.“ Więc nie jest on Bogiem. Ale w takim razie niéma podobieństwa zrozumiéć, po co poeta wprowadza to stopniowanie potęg: Bóg czy Duch natury na czele, potém Demogorgon, potém dopiero Dobre i Złe! Bądź co bądź, to wprowadzenie na scenę istoty, jeśli nie bezwzględnie najwyższéj, to najwyższéj po Bogu, niemiło razi nasze uczucia estetyczne, a wrażenie to staje się tém przykrzejszém, że ów zastępca Boga niemożliwie kompromituje się, wdając się w metafizyczne roztrząsania z Azyą o źródle złego i nie umiejąc zadowolnić jéj ciekawości. Chciało-by się wyrzucić cały ten ustęp, ale niepodobna, zanadto ściśle jest związany z punktem kulminacyjnym dramatu, z rozpętaniem Prometeusza: na rydwanie, który jeden z duchów godzin powozi, wyrusza Demogorgon na Olimp i tam, z pomocą dopiero co narodzonego syna Zeusa i Tetydy, zrzuca z Olimpu króla bogów. Ten syn Zeusa daje nowe pole domysłom krytyków, wyobraża jakoby przemoc; ten sojusz przemocy z odwieczną Sprawiedliwością w celu pokonania Złego, ma być głębokim

bardzo pomysłem. Niech i tak będzie. Szczęśliwi, żeśmy wybrnęli nareszcie z téj matni, z tém większą rozkoszą czytamy cudowną pieśń tryumfu, wyrywającą się z przepełnionéj szczęściem duszy rozpętanego przez Herkulesa tytana; Shelley jest znowu w swoim żywiole, staje się niewyczerpanym w malowaniu radości natury. Przeobraziła się najpierw Azya, z łona jéj wybłysła „miłość, nakształt rozpalonéj atmosfery słonecznéj, napełniającéj żywy świat“, opromieniła ona ziemię i niebo, głębie oceanu i wieczny mrok pieczar i wszystko, co w nich mieszka; po starém, wyschniętém, lodowém ciele matki-Ziemi krąży płyn nieśmiertelnéj młodości, jéj świeży oddech, jak woń fiołków w gąszczu zielsk dzikich, rozlewa wokoło, śród skał i borów, pogodne światło i rumiane, jędrne, lecz słodkie, powietrze. Aby tém żywiéj oddać przeistoczenie ziemi, poeta wprowadza nową postać, ducha Ziemi, dziecię, owoc związku Prometeusza z Azyą. Dziecię to ma być przewodnikiem ziemi, ma oprowadzać ją po szlakach niebieskich, aby planety i gwiazdy mogły podziwiać i uwielbiać światło, piękno i radość przeobrażonéj rodzicielki tytana, — teraz opowiada Prometeuszowi tryumfy jego idei w świecie ludzkim: „wszystko na ziemi otrząsło z siebie złą naturę, — ludzie obok ludzi krążą spokojnie, jak duchy. Na żadném ludzkiém czole niemasz więcéj napisu: trwoga, samolubstwo, duma, nienawiść bratnia, albo samowzgarda, — kobiety piękne są, dobre i swobodne, jak te niebiosa, co na wielką ziemię zsyłają światło ożywcze i rosę, wdzięczne, czyste, promienne, nietknięte brudną skazą zalotnictwa, głoszące słowa mądrości, któréj dawniéj pojąć nie umiały, pełne uczuć, na myśl o których drżały przedtém, zmienione w to wszystko, czém być nie śmiały, a czém będąc teraz, w niebo zmieniły ziemię. Wszechświat cały odczuł radość ziemi, rzadki, nieujęty eter i słońce, osłona wszechbytu, dawno postacie swoje przemieniły, jak gdyby miłości duch, w nich roztopiony, otulił kulę świata swém objęciem. — Ale czyż nowe te pokolenia ludzkie, sprawiedliwe, mądre i szlachetne, wolne są od namiętności? o nie! wolne są od zbrodni i cierpień, które dlatego tylko istniały, że wola ludzka tworzyła je lub znosiła, ale nie są wolne od trafu, zmiany, lub śmierci; są to jedyne więzy, bez nich duch ludzki wzbiłby się nad gwiazdy niedostępnych niebios, których szczyt ginie w mrokach bezmiaru.“ [1])

Na tém miał się kończyć dramat, potém Shelley dodał akt IV. Nie ma on ścisłego związku z trzema poprzedniemi. Jest hymnem radości nad zwycięztwem Prometeusza, który śpiewa przyroda, doskonałym wyrazem tego, właściwego jednemu tylko Shelleyowi, kosmicz-

[1]) Opowiadanie ducha ziemi streściłem słowami przekładu F. Jezierskiego.

nego uczucia natury. Helena Druskowitz wyraziła się bardzo trafnie, że szał radości dosięga tu wysokości prawie przerażającéj. W rzeczy saméj, żaden poeta nie dochodził nigdy do takich krańców ekstazy, żaden naród, żaden wiek, żadna literatura nie da podobnego przykładu zespolenia nadchmurnego lotu fantazyi ze szczęśliwością, rozrywającą duszę. Przeszłość cała wydaje się Shelleyowi jedném pasmem boleści, ale, na szczęście, nie wrócą one więcéj. Zjawiają się bowiem mroczne jakieś postacie i cienie: „my duchy pchniętych za świat zmarłych Godzin przeszłości, oto niesiemy Czas do grobu wieczności.“ Odgłosy ich śpiewu budzą śpiące Panteę i Jonę, ale zanim ocknęły się oceanidy, już się rozwiały złowrogie cienie Przeszłości, ukazują się natomiast duchy godzin i geniusze ducha ludzkiego; pierwsze są uosobieniem tego wiekuistego szczęścia, które ogarnęło ziemię, oswobodzoną od panowania Złego, drugie—potęgi ludzkiéj, dla któréj po zwycięztwie Prometeusza przestały istnieć wszelkie tamy lub granice. Pantea i Jona wsłuchują się w następujące po sobie ich śpiewy.

Tymczasem znikają duchy godzin i geniusze ducha ludzkiego, aby dać miejsce ziemi i księżycowi. Następuje ich dyalog miłosny, który omijam, żadne bowiem tłómaczenie lub streszczenie nie może o nim dać pojęcia; zaznaczam tylko, że miłość poety dla rodu ludzkiego i szczęście jego na myśl o możliwości przyszłego urzeczywistnienia pragnień Prometeuszowych, wprawiają go w taki szał, że przestaje on marzyć, jak dawniéj, o tém, by ziemię dostroić do akordu z cudowną symfonią toczących się po odwiecznych szlakach słońc i planet, ale, naodwrót, chce, by radości ziemi znalazły echo we wszechświecie, by rozbrzmiał on tym hymnem tryumfu, który wybucha z wnętrza rozszczęśliwionéj ziemi, przenika zmarzłą skorupę księżyca, tchnie w nią ciepło, miłość i woń, ubiera w zieleń i kwiaty. „Ach wszystkie słońca — woła księżyc — chór gwiazd, bez końca zlewają w ciebie moc, czar i życie. I sferę twoją w promienność stroją, a ty moją, moją, moją.“

Polot fantazyi, zapał uczuć, muzyka wiersza — to wszystko podniesione w „Prometeuszu“ do szczytu potęgi, odurza i upaja czytelnika, nic więc dziwnego, że krytyka, zmagnetyzowana tym potrójnym czarem, ogłosiła dramat Shelleya za arcydzieło nietylko formy, lecz treści. Twierdzenie w tym ostatnim względzie o tyle przesadne, że, co do myśli, „Prometeusz“ nie znamionuje postępu w porównaniu z „Laonem i Cythną“: i tu, i tam dwie potęgi toczą ze sobą bój o niepodzielną władzę nad światem, ale Złe góruje, Laon i Cythna giną na stosie, Prometeusza przykuto do skały; lecz kiedyś, w jakiéjś dalekiéj i nieokreślonéj przyszłości, Prometeuszowe trudy, walki i cierpienia wydadzą plon, Zeus zostanie strącony w przepaść zatracenia,

ziemia będzie rajem. Ale jakim sposobem powstało, rozwinęło się i rozwielmożniło Złe, nie mające przecie nic wspólnego z tą Najwyższą Istotą, odwieczną Sprawiedliwością, z tym Duchem natury, którego świat jest wypływem czy dziełem, — na pytanie to, postawione w „Królowéj Mab“, nie dają odpowiedzi ani „Laon i Cythna“, ani „Prometeusz“, wprowadzenie zaś w tym ostatnim utworze w osobie Demogorgona jakiegoś niezrozumiałego i niepotrzebnego pośrednika pomiędzy Bogiem a światem, nie wyjaśnia, ale raczéj zaciemnia myśl poety. Wreszcie, co się tyczy filozofii społecznéj Shelleya, to wszystkie trzy dzieła: „Królowa Mab“, „Laon i Cythna“ i „Prometeusz rozpętany“ — zajmują ten sam nihilistyczny posterunek, głosząc konieczność zrzucenia potrójnych więzów: religii, państwa i małżeństwa, jako pierwszy krok ku udoskonaleniu i uszczęśliwieniu ludzkości.

Żaden z wielbicieli Shelleya nie wyraził się o „Prometeuszu“ z takim zachwytem, jak W. M. Rossetti [1]); zdaniem jego, to dzieło Shelleya staje wyraźnie i niezaprzeczenie na szczycie całéj poezyi nowoczesnéj. Wyrok ten trafia mi do przekonania, ale tylko w pewnéj mierze, bo co do treści, to filozofia „Prometeusza“ stoi poniżéj krytyki dla tych samych przyczyn, co „Królowa Mab.“ Nadziemskość Shelleya nie pozwoliła mu spojrzéć trzeźwém okiem na rzeczywistość: fantazya bowiem zaniosła go zbyt wysoko, a „serce serc“ zakryło mu przewrotne popędy natury ludzkiéj; ale że właśnie w „Prometeusza“ włożył on duszę swoją, że pisał go całą krwią serca i całym ogniem fantazyi, i że w nim przeto najwyraziściéj i najżywiéj odzwierciedliła się urocza postać poety,—więc z tego względu przyznajemy słuszność wyrokowi Rosettiego. Dzięki „nadziemskości“ swojéj, postać Shelleya należy do najbardziéj pociągających w dziejach literatury, a przecież urok poezyi polega na tém, że daje nam odetchnąć powietrzem innem, niźli to, którém żyjemy.

4. Ostatnie chwile.

Marzenia o szczęściu ludzkości wprawiały Shelleya w zachwyt; pod czarem takich zachwytów stworzył „Prometeusza“, ale zachwyt nie mógł być stałym gościem w sercu poety, który od świata doznał saméj tylko nienawiści lub wzgardy. Smutek, który zabarwił „Laona i Cythnę“, wyrył też piętno swoje na „Prometeuszu“, poeta bowiem, chcąc skreślić przyszły raj ziemski, ale widząc przepaść przedzielającą różowe jutro od tego świata, który go otaczał, odwrócił się od smętnéj rzeczywistości, a wkroczył w sferę mytu, jakby chcąc przez to dać do zrozumienia, że urzeczywistnienie ideałów ludzkości jest

jeszcze bardzo i bardzo dalekie. Ale czy po nocy, która roztoczyła teraz ciężkie skrzydła swoje nad ziemią, słońce napewno zaświeci? czy widać od strony świtu jakie ślady jutrzenki? niestety, nie. Poeta za dużo krzywd cierpiał od losu, aby mógł w każdéj chwili życia znaléźć w marzeniach Prometeuszowych pociechę i pokarm dla siebie; to ziemskie szczęście ludzkości, którego tak namiętnie pragnął, wydawało mu się nieraz czczą marą, lecz, nie umiejąc zwątpić o możliwości szczęścia wogóle, szukał go wtedy w zagrobowém istnieniu. Ale bóle i roskosze, które Ziemia daje, zanadto silnie przykuwały Shelleya do siebie, aby mógł głębiéj zastanowić się i wytworzyć sobie jakkolwiekbądź określone pojęcia o życiu przyszłém; w młodości skłaniał się nawet do odrzucenia wiary w osobową nieśmiertelność, lecz skłonność ta była krótkotrwałym objawem niechęci ku panującym pojęciom religijnym, — poeta zbyt silnie czuł, zbyt głęboko i zupełnie wchłaniał w siebie te roskosze wszystkie, które myśl, marzenie, miłość dać mogą, zbyt się upajał wtedy poczuciem potęgi swojéj, aby mógł uwierzyć, że kiedykolwiek czuć przestanie. Myśl o szczęściu wiązała się dla niego z myślą o wieczności tego szczęścia, więc ze wstrętem śmierci i nicości. Prometeusz roztrząsł z kwiatów elizejskich i rozsiał pomiędzy ludźmi tęczowe myśli, aby mogły zasłonić widmo śmierci, najstraszniejszéj z klęsk, które Zeus zesłał na świat; potém, po rozpętaniu dobrego tytana, ziemia wołała w uniesieniu radości, że odtąd śmierć będzie dla człowieka ostatnim uściskiem natury, podobnym do uścisku matki, która szepce do dziecka: „nie opuszczaj mię więcéj.“ Ciemne to są słowa, ale, kreśląc je, poeta zapewne marzył, że wraz ze zwycięztwem dobréj woli ludzkiéj i z tryumfem światła, śmierć, która przerażała dotąd tajemniczością swoją, przestanie budzić zgrozę w duszach ludzkich, wszechpotężna bowiem myśl człowieka zedrze zasłonę z zaświata i przekona się, iż śmierć jest tylko ściślejszém zjednoczeniem z duchem natury, więc dalszym ciągiem i uzupełnieniem rozkoszy ziemskich. — Jeszcze w r. 1815, w jednym z niedokończonych swoich szkiców filozoficznych poeta pisał te słowa, pełne znaczenia: „Krzyczące niedorzeczności filozofii gminu we wszystkiém, co się tyczy ducha i materyi, jéj zgubne następstwa w dziedzinie moralności, jéj gruby dogmatyzm co do początku wszechrzeczy, wcześnie doprowadziły mię do materyalizmu. Systemat ten pociąga umysły młode i płytkie. Pozwala wyznawcom swoim gadać, a uwalnia ich od myślenia. Wkrótce jednak zraziłem się do takiego sposobu pojmowania rzeczy. Człowiek to istota pełna żądz wysokich, patrząca przed siebie i za sobą, z myślami błądzącemi po wieczności; odrzuca on wszelki sojusz z tém, co mija i ginie; nie umie wyobrazić unicestwienia siebie samego; żyje tylko w przeszłości i przyszłości;

nie jest tém, czém zdaje się być, lecz tém, czém był i czém będzie. Nie wiem, jakiém jest jego istotne i ostateczne przeznaczenie, lecz, bądź co bądź, żyje w nim duch, jest nienawiść nicości.“ — W r. 1821, więc w rok po „Prometeuszu“, Shelley, przejęty żalem nad śmiercią Keatsa, skreślił cudowną elegię, w któréj, pod nazwą Adonaisa, opłakał zmarłego przyjaciela, przedstawiając lament natury po wieszczu, który ozdobą jéj był i chlubą. Ale nie — w końcu pocieszał siebie Shelley—on nie umarł, on nie śpi, on się właśnie obudził ze snu życia, on wzleciał po-nad mrok nocy życia naszego, on żyje, on jest, to śmierć umarła, nie on; on stanowi jedno z naturą, słychać głos jego w jękach piorunów, w śpiewach miłych ptasząt nocnych, w całéj muzyce natury; czuć obecność jego w jasnościach i w mroku, w roślinach i w głazach; on cząstką stał się Piękna, które tu nam na ziemi w boską słów harmonię wcielał. Jak w II pieśni „Child Harolda“ głosy zmarłych przyjaciół wołały Byrona do siebie, w kraje światła i miłości, tak tutaj Adonais wzywa Shelleya; więc po co się cofać, o serce moje? Nadzieje twoje uleciały przed tobą, ze wszystkiém się rozstały, co z tego świata; pozostaje ci jedno—ulecieć. Tak miło uśmiecha się niebo, wiatr ci nad uchem szeleści! To Adonais cię woła! O! spiesz więc do niego! Niech życie nie dzieli tego, co śmierć na wieki zjednoczy.

Ale najlepsze pojęcie o tém pragnieniu nieskończoności, które im daléj, tém silniéj ogarniało poetę, daje zdarzenie, opowiedziane przez Trelowneya. [1]) Miało ono miejsce koło Pizy, w Casa Mogui, nad morzem, gdzie z wiosną 1822 roku zamieszkali Shelleyowie i Edward Williams wraz z dziećmi i żoną, do któréj Shelley żywił głębszą sympatyę. Wieczór był pogodny i ciepły; poeta przypłynął do willi Williamsów i namówił siedzącą na piasku nadbrzeżnym Joannę do wspólnéj przejażdżki; zaufawszy niedoświadczonemu żeglarzowi, weszła ona do czółna wraz z dwojgiem dzieci, przekonana, że Shelley płynąć będzie wzdłuż brzegu. Ale gdzie tam! poeta tryumfalnie — mówi Trelowney — puścił się w dal. Morze było spokojne, ale niepokój ogarnął Joannę; kilkakrotnie przemawiała do Shelleya, lecz poeta milczał; cisza, szerokie morze, obecność téj, która była dla niego przypomnieniem krajów platońskich, pogrążyły marzyciela w ekstazie; łagodne, drzemiące szelesty fal wabiły go w przepaściste objęcia topieli... nagle rozpogodziło mu się czoło, twarz zajaśniała, jak gdyby myśl słoneczna wstąpiła mu w duszę: „Joanno — zawołał radośnie — rozwiążmy teraz wspólnie wielką tajemnicę.“ Poeta onieprzytomniał z ekstazy, Joanna z przerażenia, a czółno mknęło w dal... Sporo

[1]) „Records o. Shelley, Byron and the author.“ Lon. 1828.

czasu upłynęło, zanim Joanna zdołała obudzić marzyciela z zachwytu, przemówić do niego w imię rozsądku i nakłonić do skierowania czółna napowrót. Jeszcze nie dopłynęli do brzegu, a Joanna zeskoczyła do wody, aby prędzéj stanąć na lądzie. Gdy mąż jéj ten pośpiech wymawiał: „Jakże mogłam czekać? — zawołała — nie wiesz, z jakiego niebezpieczeństwa wymknęłam się. Rozwiązać wielką tajemnicę!.. Ależ on sam jest największą z tajemnic! Możemy sobie wyobrazić, co mogą zrobić inni ludzie, bo mają wspólną z nami naturę; ale on, — niepodobna przeczuć do czego jest zdolny! Szuka tego, od czego wszyscy uciekamy — śmierci!“

Ten spacer, ta ekstaza, były jakby przeczuciem tego, co miało wkrótce nastąpić. „Wielka tajemnica“ została rozwiązaną. Tegoż lata wyruszył Shelley do Pizy i do Livorno, w celu widzenia się z dopiero co przybyłym z Anglii serdecznym przyjacielem, Leigh Huntem, i pośredniczenia w układach jego z Byronem co do pisma, które wspólnie mieli wydawać. Doprowadziwszy sprawę do pożądanego skutku, Shelley w świetnym humorze opuścił wraz z Williamsem Livorno w poniedziałek 8 Lipca 1822 r. po południu. Nie ujrzano ich więcéj na tym świecie. Wyruszyli na małéj łodzi żaglowéj, należącéj do Williamsa; morze było zlekka wzburzone; ku wieczorowi powstał silny wiatr, mogli więc znaléźć śmierć w falach; ale są téż poszlaki, że zostali zamordowani: wieźli z sobą dość sporą sumę pieniędzy, widziano zaś dwie łodzie włoskie, wypływające z portu prawie jednocześnie i w tym samym kierunku; przed kilkunastu laty jakoby marynarz jakiś włoski wyznał przed śmiercią, że był jednym z morderców Shelleya. Po paru tygodniach niepokoju, rozpaczy i próżnych poszukiwań ze strony obu żon i przyjaciół, ciała ich zostały znalezione na brzegu, wyrzucone przez morze i zmienione do niepoznania. Prawo toskańskie nakazywało je spalić,—był to środek ostrożności przeciwko zarazie. Byron, Leigh Hunt i Trelowney skorzystali z tego, aby urządzić im wspaniały starogrecki pogrzeb. Dzień był skwarny, cichy; nad ciałem Shelleya płomień wzbił się wysoko, nad płomieniem latał skowronek, jakby goniec z tamtego świata, serce pozostało nietknięte, Trelowney wyjął je z ogniska. Urnę, zawierającą popioły, złożono na cmentarzu protestanckim w Rzymie, niedaleko grobu Keatsa.

M. Zdziechowski.

I.

Spokojność.

Zbudzić się, zerwać, uchylić firanek,
Wyjrzéć w kwietniowy, błękitny poranek,
Gdzie tylko wierzby kwitnące się złocą
I tylko brzozy białym pniem migocą,
A na toń niebios, wiosenną i bladą,
Fioletową siéć gałązek kładą...
Obejść kasztany, których pąki lśniące
Nowemi soki łowią chciwie słońce
I główki śmiało w przestrzeń prą błękitną,
Czując, że jutro w śnieżną kiść zakwitną...
Chodzić po słońcu — powoli — jak we śnie,
Wokoło sadu, gdzie kwitną czereśnie,
U węgła domu przystanąć — posłuchać,
Bo już gołębie zaczynają gruchać
I wilga gwiżdże w południe nad sadem,
Gdy owad w trawie goni się z owadem.
A w wieczór, kiedy gwiazdy wyjdą z toni
Błękitnéj, słowik pieśń swą pierwszą dzwoni,
Dziwiąc się smukłéj księżycowéj łodzi,
Co z białym żaglem na ocean wschodzi.
Słuchać téj pieśni, która pierś rozpiera
Ogromnéj ziemi i w niebie zamiera,

Ginąć w téj woni sadów i w błękicie,
Pić to wokoło budzące się życie
I czuć z wszechświatem, nie pragnąc dla siebie
Serca na ziemi, ni gwiazdy na niebie,
Nic nie zamarzyć, nie kochać, nie żądać,
W przeszłość się tęskném okiem nie oglądać,
Ani nie czekać, czy z tą nową wiosną
Z mogił zaklęsłych niezabudki wzrosną,
I ufać tylko, że gdy płomyk zgaśnie,
Serce na wieczność — jak na zimę — zaśnie.

II.

Odwołanie.

Szczęściu nie ufam, bo od tego słońca
Wiem, że cień pada, chłodny cień bez końca;
Nie śnię o sławie: łzami się opłaca;
I dumy nie chcę: w gorycz się obraca;
Szału nie wzywam, bo mię nie zagłuszy;
Piosnki nie czekam: nie odpowie duszy...
Lecz, choć się dotąd znaczy dla mnie łzami,
Miłości pragnę i myślę chwilami,
Że jeszcze kiedyś, naraz, niespodzianie,
Przede mną cicha i radosna stanie...
W jakiéjś nieznanéj, niewidzianéj stronie,
Gdy z wody wstają mgły, a z kwiatów wonie
I szary wieczór pada na rozłogi,
Spotkam ją nagle, gdzieś, na skręcie drogi.

A zanim w sercu wzejdzie i zakwitnie,
Będzie na niebie jasno i błękitnie
I miesiąc rzuci już na białe ściany
Pierwszy swój promyk złoty i różany.
A nim nas blaskiem jaskrawym otoczy,
Zaczniemy mówić, nie patrząc się w oczy.
Gdy w górze mleczna droga się zabieli,
Będę już prosić miłośniéj i śmieléj.
Północ roziskrza w niebie i w źrenicach
Gwiazdy, ja usta położę na licach...
Gdy Venus wzniesie pochodnię czerwoną,
Niech pierś upadnie mi na pierś spragnioną...

A niechaj potém — bo czar będzie krótki —
Jak czarne ptactwo zimą, przyjdą smutki
I gniazd szukają w samotności mojéj.
Bo mię ta chwila wesprze i ukoi,
Bo miłość duszę na boleść uświęci,
Bo da mi władzę roskosz snuć z pamięci,
Bo mi na wargi, jak zesłaniec Boży,
Żarzący węgiel natchnienia położy.

III.

Nawpół prozą.

Jusqu'au rêve de faire un nid
L'on s'aventure.
Sully Prudhomme.

Chciałbym mieć kiedy jaki domek mały,
Domek przedmiejski, z wielkim dachem, biały.

Rosły-by rzędem na ulicy drzewa,
Lipy i brzozy, w których szczygieł śpiewa,
Rosłyby blisko, ażebym, okienko
Otwarłszy, liści mógł dostawać ręką,
Abym, wiosenną zbudziwszy się nocą,
Słyszał, jak wróble ruchawe świegocą,
Aby mi słowik, gość rzadki i czczony,
Z wieczora w maju sypał szklanne tony.

I w sieni na tle czerwonéj kotary
Stawiłbym odlew jakiéj rzeźby starej,
Jakie florenckie popiersie kobiety,
Lub Maryę Pannę u świętéj Elżbiety
Andrzeja della Robbia.
Żadnych gratów,
Chińszczyzn, figurek saskich... Dużo kwiatów,
Sztychów i w ciemno obitym salonie,
Gdzie, jak z kadzielnic bladych, płyną wonie
Mistyczne z hyacyntów, jeden wielki
Obraz. Wieczorem ostatnie kropelki
Światła, gdy ciemność chłonie zorzę krasną,
Na złocie ramy płonią się i gasną —
A przez tę ramę patrzy się w daleką
Jakąś krainę, gdzie błękitną rzeką,
Wśród wzgórz sinawych, ciche wody cieką.

Tam za kwiatami byłby jeszcze kątek
Dla rozmów cichych, marzeń i pamiątek.
Tam, w szczerych zwierzeń bezpowrotnéj chwili,
Jak się płacząca wierzba do wód chyli,
Dusza w przezroczu duszy się przegląda.
I tam niczego serce nie pożąda,
Chyba muzyki; więc gdy śnieg przytłumi
Gwar ulic, wicher po kominach szumi,
Ażeby trwogę rozpędzić i ciszę,
Niech kto położy ręce na klawisze

I niech popłynie, jak rzeka wezbrana
Łzami, do słów Heinego pieśń Schumanna,
Pieśń o wędrowcu, co lądy i morze
Przebiegł, a szczęścia napotkać nie może,
Chopin'a *prélude* siódmy, jaki zwinny
Menuet Haydna, lekki i dziecinny,
Lub, gdy niebiańskich ukojeń się szuka,
Arya z Rinalda i Orfeusz Glucka.

I dużo ciszy, pracy i spokoju...
Porozrzucane kartki po pokoju,
Na półkach książki — najwięcéj poetów —
Pod infoliami zaczętych sonetów
Trochę: najlepsze te, co się nie kończą,
Jedno warg rymem, gdy się cicho złączą...,
Na ścianie jasnéj dookoła wszyscy,
Którzy mi drodzy bywali i bliscy,
I choć ich dawno, dawno tutaj niéma,
Wciąż błogosławią pracy méj oczyma.

I trochę wiary w siebie, trochę siły,
By módz obronić taki kątek miły,
Trochę nadziei i otuchy męskiéj,
Że burze przejdą, że przetrwa się klęski.
I oczu jakich zaufanych dwoje,
Oczu kobiecych, jasnych jako zdroje,
Oczu, co lśnią się urocze — i moje,
I im świat więcéj szarpie i zazdrości,
Tém więcéj wiary mają i miłości.

Miłość, co dzieciom ziemi się uśmiécha
Wszystkim, nie będzież nigdy dla mnie cicha?
Nim się pod grobu ciężki głaz położę,
Nigdyż spokoju nie mam zaznać, Boże?

Kiedy zielone morze się uklada
W wieczór, mew szarych ciągną głośne stada

I w wielkiém niebie ponad wielką falą
Do swych ustroni śpieszą się i żalą,
Że im daleko, skarżąc się w swéj mowie.

I jako huczna piana na ostrowie,
Rośnie mi smutek w godzinę powrotów,
Gdy ponad głową usłyszę szum lotów,
A duch się pyta: do jakiego brzegu
Pójdzie poszukać, jak mewy, noclegu.

Berlin.

D-r K. M. Górski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Jedynym wypadkiem politycznym, który ze szpalt dziennikarskich dostanie się na karty historyi, było w ciągu kilku ostatnich tygodni zawarcie umowy między rządem russkim a Wysoką Portą w sprawie wolnego przejazdu statków russkiéj floty ochotniczéj przez Dardanelle. Wiadomość o tym fakcie zelektryzowała w okamgnieniu publicystykę europejską, usypiającą wśród ciszy letniéj i w braku innego tematu roztrząsającą już od miesiąca pytanie, co miały oznaczać serdeczności, okazywane admirałowi Gervais i innym marynarzom francuskim podczas ich pobytu w Anglii.

Wieść o tém, co zaszło w Konstantynopolu, silne sprawiła wrażenie, a spotęgowało się ono, gdy w ślad za nią nadszedł telegram, donoszący o dymisyi wielkiego wezyra. Europa dowiedziała się nagle, że podczas gdy uwaga jéj zwróconą była gdzieindziéj, w stolicy państwa ottomańskiego odegrał się ważny dramat. Dotychczasowy przebieg sprawy wschodniéj wyrobił już oddawna w umysłach przekonanie, że żaden z jéj epizodów nie jest bez znaczenia dla ogółu interesów, z tą sprawą związanych; cała zaś sprawa wschodnia tak ściśle łączy się z układem sił politycznych w Europie, że nie można się dziwić wstrząśnieniu, które przebiega sfery polityczne wszystkich krajów, ile razy na półwyspie bałkańskim istniejący porządek rzeczy ważniejszéj ulegnie zmianie.

Państwa zachodnie zaskoczone zostały tém, co zaszło, nagléj i niespodziewaniéj, niż lat temu szesnaście powstaniem w Hercegowinie, lub w dziesięć lat późniéj rewolucyą w Filippopolu. Świat cały, spodziewając się w przyszłości jakiejś wielkiéj burzy, któréj zapowiedź widzi w nieustannych uzbrojeniach, a pamiętając, jak doniosłe następstwa wynikały nieraz na Wschodzie z niepozornych początków, stał się nader wrażliwym na wszystkie doniesienia z nad Bosforu, na które nie był przygotowanym. Obecne poruszenie w prasie niemieckiéj i angielskiéj jest téj wrażliwości dowodem.

Sprawa przejazdu przez cieśniny posiada już swą odrębną tradycyę. Prawo swobodnego przepływania z wód Archipelagu na morze Czarne uważaném było zawsze za nader cenną zdobycz przez wszystkie państwa, czuwające troskliwie nad rozpadającym się organizmem Turcyi. Otwarte dla statków russkich wskutek traktatu adryanopolskiego, zamknęły się cieśniny czarnomorskie w r. 1841-ym dla flot wszystkich mocarstw, ażeby się podczas wojny Krymskiéj otworzyć dla okrętów państw sprzymierzonych, a po traktacie paryskim zamknąć znowu na czas długi. Otwarcie lub zamknięcie téj drogi morskiéj stanowiło zawsze ważną chwilę w dziejach Wschodu.

Przyjrzawszy się rzeczom z bliska, przyznać trzeba, iż zgodzenie się Turcyi na prozozycye p. Nelidowa większe ma znaczenie, jako objaw panujących dziś nad Bosforem prądów, niż przez bezpośrednie następstwa, jakie ztąd na falach morza Czarnego i nad jego brzegami wynikną. Traktaty, pozwalające Turcyi zamknąć cieśniny dla wszelkich statków wojennych, pozwalały sułtanowi odstępować od tego ogólnego prawidła, ile razy uzna to za potrzebne. Nie naruszając w niczém tych postanowień, daje obecnie sułtan pozwolenie na przejazd pewnych statków pod ściśle określonemi warunkami. Gdyby Turcya poprzestała na tém i nie posunęła się daléj w kierunku, który jéj polityka przybierać zaczyna, mocarstwa zachodnie nie miały-by powodu do okazywania zbyt wielkiego niepokoju. Po upadku Kiamila baszy, a objęciu steru rządów przez mało znanego Dżewada, nie wydaje się atoli prawdopodobném, iżby sprawy stanęły tam, gdzie je Kiamil zostawił. O tém, co w dalszym ciągu nastąpi, nie wiedzą dziś może nawet p. White i lord Salisbury, ale obaj ci mężowie stanu czują doskonale, że wypadki przestaną iść według ich woli. Umowa z Rossyą i upadek Kiamila są to fakta, mówiące głośno o upadku wpływów angielskich w Stambule.

Fakta te dostarczyły zarazem publicystom europejskim odpowiedzi na pytanie, przytoczone powyżéj, a tyczące się stosunków między Francyą i Anglią. Jeżeli ktokolwiek był skłonnym do przeceniania

objawów gościnności, jakiemi marynarzy francuskich darzono w Anglii, ostatnie wypadki musiały go przekonać o błędzie. Dosyć jest porównać głosy półurzędowéj prasy francuskiéj z głosami dzienników, wyrażających opinię rządu angielskiego, by nabrać pewności, że o ściślejszém porozumieniu między temi państwami niéma mowy. W Paryżu powitano radośnie ostatnie wypadki na Wschodzie i przyznano zupełną słuszność sułtanowi, który odbiera nawet w łamach pism francuskich szczodre pochwały za to, czego dokonał. Półurzędowe dzienniki londyńskie widzą natomiast w postępowaniu Abdul Hamida zamach na równowagę europejską i biadają głośno nad losem Turcyi, przepowiadając jéj smutną dolę, jeżeli i nadal nie będzie się stosowała do rad i wskazówek ambasady angielskiéj. Im bardziéj zaszachowaną czuje się Anglia nad Bosforem, tém silniéj łączyć się musi z państwami, stanowiącemi trójprzymierze; te same atoli wypadki, które skłaniają W. Brytanię do szukania przyjaźni Austryi i Niemiec, utrwalają Francyę w jéj polityce, wrogiéj dla wszystkiego, co się łączy z Berlinem, a każda energiczniejsza akcya rządu russkiego na Wschodzie przyjętą będzie w Paryżu, jako upragniona zapowiedź wielkich wypadków na arenie świata. Przesilenie ministeryalne w Konstantynopolu odsłoniło zasadniczą różnicę między polityką Francyi i Anglii. Ugrupowanie mocarstw dawno nie przedstawiało się tak wyraźnie, jak dzisiaj.

Konferencye polityczne, które się odbywały między hr. Kalnokym a jen. Caprivim podczas zjazdu cesarza niemieckiego z cesarzem austryackim w Schwarzenau, musiały w znacznéj części być poświęcone położeniu politycznemu w Turcyi. Dla ocenienia polityki państw sprzymierzonych ważném jest pytanie, czy poglądy obu ministrów są w téj mierze jednakowe i czy jen. Caprivi nie podziela do pewnego stopnia zapatrywań ks. Bismarcka, wyrażonych kilkakrotnie w parlamencie, a obecnie powtórzonych znowu w przybocznym organie Żelaznego Księcia. Ks. Bismarck lubił zawsze przybierać ton oziębłéj obojętności, gdy mu wypadało mówić o losach ziem bałkańskich; tym samym tonem przemawia dziś dziennik, służący mu wiernie od czasu jego dymisyi. Inaczéj zapatruje się na Turcyę i jéj sąsiadów dyplomacya austryacka, dla któréj sprawy wschodnie bez porównania większe mają znaczenie, niż dla polityków berlińskich. Przyszłe postępowanie Austryi, a nawet przyszłe koleje tego państwa zależnemi są od tego, czy obaj sprzymierzeńcy jednakowo zapatrują się na wszystkie przewidywane wypadki; — głęboka tajemnica, okrywająca wnętrze gabinetów ministeryalnych, uniemożliwia wszelkie w tym względzie rozumowania i domysły.

Gazeta Warszawska wystąpiła z artykułem ze wszech miar zasługującym na uwagę, témbardziéj, że poruszona w nim sprawa jest na dobie i dotyczy wielce drażliwego przedmiotu — godności prasy. „Mniejsza o to, że (dziennikarze) zaprzątają czytelników błahostkami, skoro jednocześnie nie pomijają spraw ważnych; gorsza to, że dla łatwego przypodobania się niewybrednym gustom, stają się echem kryminalistyki i wszelkiego skandalu; jeszcze gorsza, że sprawy niezmiernie zawiłe i drażliwe, dotykające całych warstw, traktują zapalczywie, nie przebierając pomiędzy winnym a niewinnym, pomiędzy prawdą a potwarzą. Co zaś jest smutniejsze dla nas, jako dziennikarzy, to posługiwanie się słowem drukowaném do miotania obelg i rzucania podejrzeń na jednostki, do wywlekania szczegółów z życia prywatnego, które powinno pozostać nietykalném dla publicysty, a obojętném dla czytelników. Tego rodzaju nadużycie słowa drukowanego pozwala wręcz wątpić o uczciwości pióra... Sprawa publiczna poszła w kąt, walka wre o osoby; ostatecznie wszyscy zapominają „o co chodziło, i sprowadza się wszystko do wymysłów karczemnych.“ Tyle dosadniejszych uwag *Gazety Warszawskiéj*. To, co powiedziała, daje miarę, jak dalece zaszli wyławiacze skandalów na pokarm dla czytelników. Być może, iż jakaś nieliczna garstka jałowych próżniaczych umysłów chciwie połyka taką strawę, ale po jéj spożyciu nawet ci niewybredni ze wstrętem się odwrócą i stracą resztki szacunku (jeżeli posiadają jeszcze) dla „przodowników opinii publicznéj.“ Podszywający się pod to godło zapaśnicy toczą obecnie walkę, która, ze względu na swój charakter, siłę i dobór wyrażeń, stosowniejszą była-by na ulicy, na targowisku albo w szynkowni, przed gawiedzią pijaną, lub chciwą widoku burdy, niż na szpaltach pism, wobec czytelników spokojnych, niepodnieconych. Przechodzień uliczny, albo gość szynkowy, jeżeli się przygląda takim zapasom, to tylko przelotnie. Czytelnik ciągle jest narażony na oglądanie tych igrzysk, czy chce, czy nie chce. Szuka potrzebnych dla siebie informacyi, a znajduje wywleczone sprawki jakiéjś lichéj jednostki, albo potarganą sławę osoby prywatnéj, która w niczém nie zawiniła; chce się oderwać od trosk codziennych, dowiedzieć się coś o życiu społeczném, a znajduje wymyślania od *szubrawców*, *idyotów* i t. d. Nie jest to walka gladyatorów, ani nawet kogutów, lecz najpospolitsza w świecie burda, od któréj przechodzień zmyka na drugą stronę ulicy i przyśpiesza kroku. Awanturnicy tego ostatniego rodzaju rozprawiają się z sobą na pierwszém lepszém miejscu, nie pytając, czy wolno lub nie, wyładowują swe namiętności gdzie się zdarzy, w chwili największego ich wezbrania; ale mają przynajmniéj tę wyższość nad szermierzami dziennikarskimi, że nie zwołują tłumów po to, aby ich bójki podziwiano, nie

rozlepiają afiszów z wymienieniem uczestników tego widowiska, nie czubią się w imię zasad i zwykle idą do kozy za zakłócenie spokoju publicznego. Inaczéj się dzieje w prasie. Przyciągnięci usilnemi zabiegami i obietnicami, czytelnicy, *muszą* słuchać wymyślań, obelg i nie widzą nawet środka przywrócenia porządku, co im przysługuje, gdy się znajdą mimowolnymi świadkami awantury ulicznéj. Niewątpliwie są tacy, którym smakuje ta ostra przyprawa do mdłéj i często powtarzanéj treści.

Możemy przynajmniéj tém się pocieszyć, że względnie mniéj bywa u nas, niż za granicą, procesów prasowych, może dlatego, że tu ploteczki i skandaliki mają charakter partykularny, gdy za granicą płyną szeroko i bryzgają nietylko na jednostki znane i popularne, ale na całe instytucye, i to nie kroplami pojedyńczemi, lecz strugami brudu. Zupełnie inny charakter posiadają procesy prasowe w W. Ks. Poznańskiém. Gdy w Warszawie (z wyjątkiem spraw, wywołanych przez pieniactwo osób słusznie napiętnowanych), oskarżenie wynika z powodu wglądania reporteryi w życie i czyny prywatne,—tam występują w obronie wprawdzie najczęściéj jednostki, ale oskarżone o lekceważenie obowiązków publicznych. Przed paru tygodniami sąd ziemiański w Toruniu rozstrzygnął dwie charakterystyczne sprawy, wytoczone redaktorowi *Przyjaciela*, p. Ignacemu Danielewskiemu, za artykuły o obrazę. W pierwszéj szło o jednego z wyborców, który nie chciał się stawić do głosowania i podobno ukrył się w chwili, gdy furmanka po niego zajechała. W drugiéj sprawie wystąpił z akcyą nauczyciel katolicki z Romian pod Lubawą. Pismo zrobiło mu ciężki zarzut, iż wcale po polsku nie umie i skutkiem tego lud z nim rozmawia „jak gęś z kobyłą.“ Sąd w obu razach oskarżonego uniewinnił.

Ogół nasz intelligentny posiada dziwne fantazye i kaprysy: czasem spieszy z pomocą pożytecznym instytucyom publicznym, czasem zaś pozwala im zamierać z braku środków, pomimo wołania o pomoc. Wytłómaczyć to w części można różnorodnością poziomu umysłowego, a zatém i stopni rozwoju poczucia pewnych potrzeb społecznych. W jednych uświadomienie ich tkwi silniéj, w drugich zaledwie się budzi, w innych jeszcze — niéma dla niego wcale miejsca. Atoli zupełną jest zagadką obojętność pewnéj klasy ludzi, jednakowo przygotowanéj do praktyki życiowéj, z jednakowemi podstawami wiedzy wyższéj, a mimo to głuchéj na wołanie instytucyi, pokrewnéj z jéj gałęzią uzdolnienia. Jeszcze w Marcu r. b. *Gazeta Sądowa* ogłosiła konkurs na najlepszy artykuł z prawa cywilnego i karnego, nie krępując au-

torów żadnemi prawie warunkami, lecz pozostawiając im zupełną swobodę w wyborze tematu, „aby dać tym sposobem możność każdemu pisania w kwestyi najlepiéj mu znanéj.“ Nawet skromne życzenie, iżby w artykułach uwzględniane były najnowsze wyniki wiedzy, nie stanowiło warunku koniecznego. Któżby wątpił o powodzeniu konkursu przy tak szczupłych wymaganiach i wobec tego, że sama Warszawa posiada paręset prawników ruchliwych i zdolnych? Tymczasem co za rezultat nieoczekiwany! Pomimo przedłużenia terminu do 1-go Sierpnia, nadesłano *jeden tylko* artykuł! „Czyżby rzeczywiście zapanowała w szeregach prawniczych taka niechęć do poważnéj pracy, taka apatya i obojętność względem swego organu?“ — pyta zawiedziona redakcya. Zjazdy specyalne były dowodem, że prawnicy galicyjscy o wiele są ruchliwsi i pracowitsi od tutejszych. „Trudno jednak było przewidzieć, że nawet tam, gdzie się nie wymaga ani napisania dzieła, ani nawet obszerniejszego studyum, lecz wyłącznie artykułu na temat dowolnie wybrany, natrafimy na taką obojętność. Po prostu nie możemy uwierzyć, aby to był objaw zupełnéj niechęci do pisania o rzeczach poważniejszych, specyalnych, raczéj chcemy sądzić, że albo czas był nieodpowiedni, albo termin za krótki, albo inne chwilowe przeszkody stały na zawadzie.“ Tak się pocieszając, redakcya znowu przedłuża termin konkursu do 1 Października i zapewnia, że tym razem odwłoka będzie już ostatnią. Okazuje się, że napisanie artykułu poważniejszego jest dla człowieka z przygotowaniem uniwersyteckiém rzeczą o wiele trudniejszą, niż dla pensyonarki lub piątoklasisty spłodzenie nowelki; bo gdy *Gazeta Sądowa* nad *jednym* artykułem biada, sędziów konkursowych *Ziarna* obdarzono piekielną pracą — przeczytania 83 wypracowań w formie powiastkowéj. Pozostanie zagadką, jakim sposobem organ prawniczy może istnieć, skoro z braku dobrych artykułów musiał się chwycić ostateczności — konkursu, i — nic nie zyskał? Ztąd można wnosić, że pismo to zasilają z obowiązku wyłącznie członkowie redakcyi. Jednocześnie daje się zauważyć wielce znamienny objaw: na szpaltach pism „od wszystkiego“ widzimy artykuły specyalne i niespecyalne, pisane popularnie i żywo przez prawników, w ich zaś organie — suche referaty, jak gdyby z urzędu umieszczane. Dowodzi to, że prawnicy nasi nie lubią się zasklepiać w swoim fachu, że się wolą stykać ze wszystkiemi gałęziami życia społecznego i umysłowego i brać w nich udział, nie wyłączając nawet sztuki. Świadczy to zarazem o niechęci do szperania i tworzenia źródłowych prac z zakresu nauki prawniczéj. Podczas gdy za granicą nie próżnują na tém polu, u nas leży ono odłogiem i jeżeli się pojawi od czasu do czasu jakie dziełko, jest ono najczęściéj owocem pracy prawników galicyjskich.

Po wprowadzeniu reformy adwokatury, której już projekt całkowicie opracowano, zajdą dość znaczne zmiany w położeniu téj klasy pracowników, głównie zaś — aplikantów, czyli tak zwanych „kandydatów do posad sądowych.“ Przepisy, skracając do lat czterech termin dla praktycznego przygotowania się do obowiązków adwokata przysięgłego, jednocześnie działalność téj kategoryi obrońców krępują silniéj niż dotąd. Do kar, wyznaczanych przez radę adwokatom przysięgłym za wykroczenia przeciwko obowiązkom, dodano naganę z karą pieniężną od 25 do 500 rs., jeżeli zaś dana suma nie będzie złożona w ciągu miesiąca, rada może zawiesić adwokata w czynnościach, aż do chwili uiszczenia kary. Fundusze powstałe z tego źródła obracane będą na specyalne cele, według wskazówek ministra sprawiedliwości. Pociągnięcie adwokata do odpowiedzialności kryminalnéj lub pozostawienie go pod śledztwem za jakiekolwiek wykroczenie nie tamuje postępowania dyscyplinarnego za ten postępek. Adwokata przysięgłego, który dwukrotnie ulegał zawieszeniu w swych czynnościach, za trzecim razem rada wykreśla, jeżeli występek był ten sam, a od czasowego zawieszenia czynności upłynęło nie więcéj, jak lat dziesięć. W razie nieprawidłowych czynności adwokata przysięgłego, inicyatywa do wystąpienia z dyscyplinarném dochodzeniem przysługuje, oprócz rady, ministrowi sprawiedliwości i starszemu prezesowi izby sądowéj. Każdy adwokat przysięgły obowiązany jest prowadzić spis powierżonych sobie spraw z notowaniem otrzymanego za nie wynagrodzenia, tudzież ze sprawozdaniem rachunkowém z sum, pobranych od klientów. Takie są w główniejszych zarysach obostrzenia. Co do zakresu kompetencyi, wprowadzono również zmiany: np. w okręgach, posiadających dostateczną liczbę adwokatów przysięgłych, strony procesujące się mogą powierzać sprawy cywilne, sądzone w tych okręgach, tylko adwokatom przysięgłym, z wyjątkiem podlegających sądowi pokoju. W senacie ustne objaśnienia w sprawach sądzonych w kasacyi wnosić wolno jedynie adwokatom przysięgłym. Upoważnienia do prowadzenia spraw w uproszczonym porządku proceduralnym, zajęcia się wykonaniem decyzyi sądowych, wprowadzenia w posiadanie, wreszcie — wykonania pewnych poleceń sądowych, mogą być wydawane osobom prywatnym, posiadającym jednakże prawo do adwokatury przysięgłéj. Wogóle w nowym projekcie przebija się dążność do ograniczeń osób prywatnych w prowadzeniu spraw sądowych, a natomiast — chęć nadania szerszych pod tym względem praw adwokatom przysięgłym. Ważne są także punkta, dotyczące korporacyi. Radzie adwokatów przysięgłych przysługuje prawo nieprzyjęcia do swego grona kandydata, lub wykluczenia członka, w razie, jeżeli jego zajęcia prywatne, czynności przemysłowe

lub handlowe, nie licują ze stanowiskiem adwokata przysięgłego. Przestrzeganą jest zasada, że liczba osób wyznania niechrześciańskiego, jako kandydatów do korporacyi, nie może przewyższać 10% ogólnéj liczby adwokatów przysięgłych danego okręgu. Rady zawiązują się w okręgach izb sądowych, liczących 50-ciu adwokatów przysięgłych i jeżeli w mieście z siedzibą izby sądowéj mieszka przynajmniéj 20-tu takich adwokatów. W okręgach izby sądowéj warszawskiéj i tyfliskiéj rady nie będą powoływane do życia. Osoby wyznań niechrześciańskich nie mogą piastować godności prezesa, wice-prezesa i członków rady. Jeżeli w jakiémkolwiek mieście, gdzie niéma izby sądowéj, przebywa stale najmniéj 10-ciu adwokatów przysięgłych, rada może pozwolić im na wybranie ze swego grona oddziału rady przy miejscowym sądzie okręgowym. Przepisy, dotyczące aplikantów sądowych, mają na względzie usunięcie nienormalnych warunków i ustalenie bytu téj kategoryi pracowników, wreszcie wyrobienie dobrych cywilistów, którzy-by podnieśli powagę sądownictwa. Obowiązująca dotąd organizacya sądowa wskazywała tych ludzi, jako kandydatów na sędziów śledczych, wice-prokuratorów i t. d. W nadziei szybkiego zdobycia wygodnéj karyery, podawało się na aplikantów mnóstwo młodzieży z wykształceniem uniwersyteckiém w zakresie prawa. W rzeczywistości jednak większość jéj doznawała zawodu. Korzystniejsze bowiem posady powierzano przeważnie sekretarzom lub podsekretarzom sądów i prokuratorów. Cierpliwsi kandydaci przez długi czas pozostawali na stanowiskach podrzędniejszych, oczekując czegoś lepszego, znaczna zaś liczba przechodziła na pole obrończe. Zwróciły na to uwagę wyższe sfery, szczególnie gdy taki odwrót kandydatów uszczuplił etat pożytecznych pracowników sądowych. W tym celu ministeryum sprawiedliwości opracowało nowe przepisy, które mają wkrótce wejść w życie. Dzielą one aplikantów na etatowych i nadetatowych. Ostatni, chcąc przejść do kategoryi pierwszych, muszą „pilnie pracować“ najmniéj pół roku pod kierunkiem członka cywilnego wydziału sądu, następnie tyleż w biurze prokuratora i wreszcie najmniéj rok u sędziego śledczego. Aplikanci nadetatowi egzaminowani będą szczegółowo przez komisye specyalne, które powstaną przy izbach sądowych. Wymagania będą bardzo surowe: gruntowna znajomość prawa cywilnego i karnego, praktyki kasacyjnéj, procedury śledczéj, ustaw o włościanach i instytucyach włościańskich i t. d. Niewątpliwie instytucye sądowe pozyskają tą drogą pożytecznych i biegłych pracowników; liczba ich wszakże zapewne się nie zwiększy bardzo wobec środków surowych, zwłaszcza, że obok ogromu przedmiotów, nieraz zawiłych, a wymagających gruntownego wystudyowania, aplikanci mają zazwyczaj dużo pracy biurowéj.

O wiele donioślejszemi dla ogółu będą przepisy, tamujące działalność lichwiarską. Plaga ta rozrosła się szeroko i opasała wszystkie warstwy społeczeństwa, dręczy nietylko chłopa, szlachcica, urzędnika, ale nawet rentierów, którzy muszą drogo opłacać rozpoczynanie okresu życia „samodzielnego“ swych synów. Dotąd stosowanie środków doraźnych niewiele przyniosło pomyślnych owoców. Tyle tylko, że tonącym podawano rękę po to, aby po krótkiéj przerwie znowu zaczęli tonąć. Ratowano w ten sposób u nas niedawno urzędników znanéj instytucyi; w ostatnich zaś czasach przedsięwzięto środki ratunku ludności ubogiéj w Warszawie od lichwy lombardowéj. W tym celu, (według doniesień *Kuryera Warszawskiego*) „dla obudzenia zniżkowéj konkurencyi w lombardach prywatnych“, zaprojektowano założenie kilku filii lombardu miejskiego w różnych dzielnicach. Pobierając najwyżéj 1½% miesięcznie, mogą one odciągnąć warstwy ubogie od prywatnych fanciarni, wyzyskujących niemiłosiernie. Dla łatwiejszych operacyi i wprowadzenia zamiaru w czyn ryczałtowo, ma być wyjednana 4% pożyczka rządowa. Nie wiemy, czy tylko zwrócono uwagę na jedną okoliczność: że lombardy prywatne, pobierając lichwiarski procent, szacują przedmioty o wiele wyżéj, niż miejski, i to właśnie jest bardzo ważnym czynnikiem przyciągającym. Nowy zatém środek nie osiągnie całkowicie pożądanego celu. Zresztą wszelkie ułatwianie kredytu póty będzie w znacznéj mierze wysiłkiem zmarnowanym, dopóki rozpanoszona lichwa nie zostanie ujętą w silne ograniczenia. Ostatecznie opracowany nowy projekt ministeryalny każe przypuszczać, iż to wkrótce nastąpi. Na mocy tych przepisów, władze administracyjne będą miały prawo usuwać lichwiarzy z miejsca ich stałego zamieszkania i oddawać pod nadzór policyjny do lat trzech. Jeżeli pożyczka na wysoki procent dana była przez wierzyciela świadomie, w warunkach niezmiernie ciężkich dla dłużnika, winny podlega karze więzienia od czterech do szesnastu miesięcy. W razie ukrycia wysokości procentów za pomocą włączenia ich do sumy, wykazanéj na dokumencie, lub w inny jaki sposób, lichwiarz podlega karze więzienia do 1½ roku. Jeżeli, mając w liczbie swych dłużników niepełnoletnich, lub prawnie niezdolnych do zawierania takich tranzakcyi, będzie ich nakłaniał do podpisywania wekslów na procent lichwiarski, podlega karze oddania do rot aresztanckich po pozbawieniu wszelkich praw stanu lub zesłaniu do bliższych miejscowości Syberyi. Za procent nielichwiarski uważany będzie nieprzewyższający dziesiątéj części kapitału. Oto jest szkic projektu kampanii administracyjnéj przeciwko lichwie. Naturalnie, o zupełném zgładzeniu wielogłowego potwora marzyć nie można. Ustaną tylko operacye lichwiarskie *krzyczące;* zwykłe zaś, które wobec ciężkich warunków dłużnika są dla niego

„dobrodziejstwem“, pozostaną nadal w ukryciu, z tą tylko różnicą, iż wierzyciele starać się będą unikać drogi sądowéj, mogącéj wyciągnąć na jaw tajemnice umowy, niebezpiecznéj dla pożyczającego. Z tą nieodłączną towarzyszką biedy ludzkiéj prawodawstwa wszystkich państw miały i mają do czynienia od chwili zjawienia się kapitałów w rękach spekulantów, a więc jeszcze w dobie pierwszych kroków handlu greckiego. W Galicyi, gdzie lichwa wżarła się we wszystkie warstwy społeczne, gdzie od lat dawnych sieje zniszczenie i nędzę, od r. 1874 kołatano o przedsięwzięcie środków ratunkowych i w lat parę potém uzyskano zatwierdzenie przepisów „przeciwko nieuczciwemu postępowaniu przy operacyach kredytowych.“ Na mocy tego prawa lichwiarz ulegał aresztowi od 1 do 6 miesięcy i nadto karze pieniężnéj od 100 do 1000 florenów. Przy rozciągnięciu następnie prawa na inne prowincye austryackie, środki i kary przeciwko operacyom lichwiarskim jeszcze bardziéj obostrzono w niektórych razach. W Rossyi z chwilą wydania przepisów, znoszących prawną stopę procentową, powstała myśl o konieczności ustanowienia środków przeciwko lichwie (r. 1879). Odtąd projekty ulegały rozmaitym zmianom i oto wkrótce będą już ostatecznie przyobleczone w ciało prawodawcze. Tym sposobem cała Europa otoczyła lichwę prześladowaniem karném, oprócz jednéj tylko Anglii, gdzie pod tym względem panują wyjątkowe stosunki pieniężne, obfitość kapitałów, a zatém i kredyt niezmiernie łatwy na lekkich warunkach. Ofiarą lichwy mogą być tam tylko ludzie, nie przedstawiający żadnéj rękojmi. Zresztą prawodawstwo poczyniło pewne ograniczenia ogólne, które utrudniają wytwarzanie się procederu lichwiarskiego. Jakeśmy powyżéj widzieli, nowe przepisy w Rossyi oznaczają na lichwiarzy karę więzienia i zesłania, najwyżéj na półtora roku. P. Antoni Okolski, który w r. 1887 umieścił w *Bibliotece Warszawskiéj* obszerną i bardzo cenną rozprawę p. t. „Kwestya lichwy w obecném prawodawstwie“, uważa za najodpowiedniejszą karę pieniężną: „Dla lichwiarza, który naraża się dla miłości pieniędzy na tyle nieraz trudów i mozołów, na utratę dobrego imienia i pogardę społeczeństwa, krótkotrwały areszt i więzienie jest niczém. Poczuje on karę wtedy tylko, kiedy utraci to, co najbardziéj ukochał w świecie, — pieniądze.“

W Królestwie Polskiém najdotkliwiéj odczuwa lud jarzmo lichwy na swych barkach. Szczególnie w ostatnich czasach rozwinęła się ona znacznie, z chwilą pogorszenia bytu wogóle stanu rolnego i produkcyi fabrycznéj. Co gorsza, że ten proceder uprawiają chłopi wzbogaceni, zamieniając właścicieli gruntów na parobków i korzystając z ich plonów w procencie. Taka lichwa działa zabójczo, i temu, kto

się w nią umotał, nie pozwala nigdy się wydobyć. Coraz częściéj słyszymy o takich przykładach. Lud zamożniejszy zjada swych braci uboższych i panoszy się na ich ojcowiznie, wytwarzając liczne szeregi bezrolnych. Iluż-to takich sprytnych skorzystało z ruchu emigracyjnego! Nie mało do takiego stanu rzeczy przyczyniło się rozdrabnianie gruntów włościańskich na działki niemożliwie małe, nie pozwalające wyżywić się ich posiadaczom. Prawodawstwo postanowiło zapobiédz temu nadal, ogłaszając świeżo zatwierdzone przepisy o wywłaszczeniu, oddawaniu w zastaw lub dzierżawę gruntów włościańskich, tudzież o parcelowaniu osad w Królestwie Polskiém. *De jure* jeszcze od r. 1864 istniało zastrzeżenie w Ukazie Najwyższym, iż osady uwłaszczone nie mogą być nabywane lub brane w zastaw przez nikogo innego, jak tylko przez włościan. Oznaczono również *minimum* podziału osad włościańskich na sześć morgów. W większości wypadków obchodzono jednak te przepisy aż do chwili obecnéj. W rezultacie tego z 42,344 drobnych osad, nadanych włościanom bezrolnym (przeważnie w dobrach rządowych i poduchownych), zostało po trzynastu latach 32,000, czyli znikało w drobnych działkach około 800 rocznie. Z obliczeń p. Anuczyna, pochodzących z przed kilkunastu lat, dowiadujemy się, iż na jedno gospodarstwo przypadało przeciętnie $12^1/_2$ morgów; w kilka zaś lat późniéj (według obliczeń p. Buczyńskiego), przeciętna cyfra wynosiła już tylko 10 morgów. Rozdrabnianie to idzie daléj, dzięki utrwalonemu śród ludu zwyczajowi obdarzania ziemią, tudzież inwentarzem, każdego dorosłego członka rodziny płci męskiéj. Nowe przepisy, w celu ochrony na przyszłość gruntów włościańskich, oznaczają tylko trzy kategorye osób, mających prawo nabywać je, brać w zastaw lub dzierżawić. Do pierwszéj należą włościanie i mieszczanie rolnicy z Królestwa Polskiego, zapisani do tabel likwidacyjnych i nadań, tudzież ich zstępni potomkowie; do drugiéj—także mieszkańcy Królestwa Polskiego, którzy mogą być uznani za włościan lub mieszczan rolników, zajmujący się uprawą ziemi i innemi w bezpośrednim z nią związku robotami. Do trzeciéj — osoby urodzone w Cesarstwie, należące do stanu włościańskiego. Wszelkie tranzakcye skrępowano formalnościami dowodowemi, które ułatwią sprawdzenie, kto nabywa, dzierżawi lub bierze w zastaw grunta włościańskie. Co do dzielenia, może się ono odbywać z warunkiem, aby przestrzeń gruntu przy zagrodzie właściciela nie miała mniéj, jak sześć morgów nowopolskich. Takie same muszą być rozmiary cząstek nabywcy, samych przez się, lub w połączeniu z jego poprzednią własnością. Żydom bezwarunkowo zabroniono nabywać, brać w zastaw, dzierżawić grunta włościańskie, lub wreszcie zarządzać i korzystać w inny sposób z własności włościańskiéj. Nowe

przepisy wprawią w ogromny kłopot wielu przemysłowców, którzy w ciągu lat całych korzystali z gruntów chłopskich za pośrednictwem kupna lub długoletniéj dzierżawy, pobudowali na nich fabryki i całe osady fabryczne. Na takich gruntach powstało mnóztwo zakładów, szczególnie w Sosnowicach, w okolicach Będzina, Łodzi i Zgierza. Wiele gałęzi przemysłu zrosło się tam ściśle z miejscowością, tak dalece, że po oderwaniu od nich musiały-by zlikwidować zupełnie interesa. To też nowe prawo pozwala korzystać z tych gruntów jeszcze w ciągu lat 20, od chwili wydania przepisów. Musimy zwrócić uwagę na to, iż świeżo ogłoszone prawo bierze w ochronę wyłącznie grunta uwłaszczone. Tymczasem p. Simonienko w swojéj „Statystyce porównawczéj Królestwa Polskiego, Galicyi i W. Ks. Poznańskiego“ wykazuje, że po r. 1864 własność włościańska w Królestwie Polskiém zwiększyła się niespełna o *dwa miliony* morgów i 267,000 osad, a zatém prawie o trzecią część poprzednich obszarów. Nadto ożywiony w ostatnich czasach ruch parcelacyjny musiał jeszcze bardziéj zwiększyć ogólną sumę posiadłości włościańskiéj, nabytéj drogą zwykłych tranzakcyi cywilnych. Ta więc olbrzymia przestrzeń jest usunięta z pod wszelkiéj ochrony prawnéj. Posiadacze zatém gruntów, nie pochodzących z uwłaszczenia, nie przestaną nadal oddawać w zastaw za długi, spełniać rolę wiecznych parobków u swych wierzycieli, rozdrabniać, sprzedawać, słowem — wyzuwać się z mienia i powiększać szeregi najemników. Miejmy wszakże nadzieję, że z czasem prawodawstwo zwróci uwagę i na tę kategoryę posiadłości włościańskiéj.

Niewątpliwie położenie większości ludu w Królestwie jest ciężkie, w Galicyi atoli nazwać je można opłakaném. Bieda tamtejsza stała się już przysłowiową, któréj sławę rozniósł po świecie p. Szczepanowski. Pomimo klęsk elementarnych i ekonomicznych, pomimo pognębienia, lud ten jednakże wydaje zdolne i wybitne jednostki, krzątające się gorliwie około dobra swych współbraci. Zwraca obecnie uwagę powszechną Jan Potoczek, poseł do koła polskiego, rzecznik włościan galicyjskich. Dzięki wrodzonéj intelligencyi i sprytowi, potrafił on zająć z pożytkiem obecne stanowisko i, przy usilnéj pracy, rozszerzył widnokrąg swéj wiedzy, dużo czytał, jeszcze więcéj słuchał, a myśl jego nie ustawała w pracy mozolnéj; surowy umysł z wysiłkiem przetrawiał i kombinował to, co dla człowieka, nawet że średniem wykształceniem, stanowiło-by zabawkę. Tak idąc po omacku, zdołał wykształcić się do tego stopnia, że dziś wypowiada trzeźwy i logiczny sąd, jasno pojmuje położenie ludu, umie przedstawić jego potrzeby i kołatać o nie. Zanim doczekał się zaszczytu poselstwa, brał czynny udział w sprawach gminnych, zakładał kółka rolnicze, na zgromadzeniach włościańskich rej wodził. Dziś jest w rozkwicie

sił i energii, liczy bowiem zaledwie 34 lata wieku. Ciekawe są jego uwagi o stanie obecnym włościan galicyjskich, wypowiedziane korespondentowi „Kraju“: Głównym powodem biedy i niemocy gospodarczéj ludu w Galicyi zachodniéj, zdaniem jego, jest ciemnota i pijaństwo. Grunta nie są złe; można-by na gorszych gospodarować i lepszy byt materyalny wykołatać. Obok powyższych stron ujemnych, ważne ma jeszcze znaczenie brak odpowiedniego przeciwdziałania. „Duchowieństwo mogło-by bardzo skutecznie zwalczać pijaństwo. Gdzieniegdzie robi to ono z dobrym skutkiem. Lecz wogóle, niestety, za mało lub też wcale księża nie występują przeciwko temu nałogowi“... Przyczyną złego była, wedle zdania Potoczka, ta okoliczność, że kolatorami kościołów są posiadacze większéj własności ziemskiéj, a więc właściciele propinacyi, a nawet tu i owdzie księża je posiadali. Należy wszakże to już do przeszłości. „Po zniesieniu propinacyi ustał interes osobisty, zaś duchowieństwo energiczniéj występuje z kazalnicy przeciwko pijaństwu“. Tępieniu nałogu dopomaga poniekąd także podrożenie wódki, z powodu podwyższenia podatku. Zupełnie inne tam, niż w Królestwie Polskiém, sprowadza skutki rozdrabnianie gruntów, co poseł chłopski uważa nawet za pożyteczne. „Nie sądzę (słowa jego), żeby rozdzielanie miało się przyczyniać do ubóztwa włościan. Jeden sprzedaje, drugi kupuje. Przy niepodzielności gruntów kupowali-by gospodarstwa większe tylko żydzi, podczas kiedy teraz, przy rozkawałkowywaniu ziemi, kupują mniejsze parcele także włościanie“. Dowodzi to tylko, że i w Galicyi przydała-by się także ochrona, jak u nas, ale rozciągnięta na ogół gruntów włościańskich i ściśléj przestrzegana, niż ustawa przeciętna o lichwie i pijaństwie. Pomimo jednéj i drugiéj, lud galicyjski płaci po 24 — 48% i rozpaja się gorzałką. Nastąpił atoli pewien zwrot ku lepszemu. Dobrobyt i oświata podnoszą się potrosze; lud zaczyna lepiéj gospodarować, lepiéj się przyodziewać i prenumerować pisemka. Potoczek kładzie wielki nacisk na potrzebę szerzenia oświaty i praktycznéj nauki rolnictwa, tudzież zmiany sądownictwa. Przy teraźniejszém postępowaniu sądowém, trzeba długie lata czekać, zanim się proces rozstrzygnie. To jest właśnie dzisiaj źródłem pieniactwa i wyzysku pokątnych doradców. Chłop ma liczne termina, traci dużo czasu i pieniędzy, wałęsa się i pije. Ustne postępowanie sądowe było-by, zdaniem Potoczka, dla ludu najpożądańszém. W tym względzie podawał już on w kole polskiém swój wniosek, na który się zgodzono. „Może z tego co będzie“ — powiada poseł chłopski, jak gdyby nie wierząc w skuteczność swoich zabiegów.

Przed paru tygodniami rolnicy z gub. Kaliskiéj dali smutne świadectwo o swoim stanie materyalnym prośbą zbiorową, opatrzo-

ną 72 podpisami, do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie. Żalą się oni, iż, pomimo wszelkiego wysiłku pracy i oszczędności, czeka ich bliska chwila zupełnéj ruiny i wywłaszczenia; że klęska, spadająca na rolnictwo od lat kilku, zamknięcie granicy dla wywozu bydła, cło na zboże, brak komunikacyi kolejowéj, wychodztwo ludu i t. d., doprowadziły do tego, iż zyski z gospodarstwa nie pokrywają ciężarów. Spodziewaną konwersyę listów zastawnych ziemianie uważają za spóźnioną. Proszą więc o ratunek *natychmiastowy* i *całkowity*, gdyż w przeciwnym razie połowa majątków ziemskich przejdzie wkrótce na własność Towarzystwa Kredytowego. Prośba ta jest wierną ilustracyą artykułu p. Blocha, drukowanego w „Bibliotece Warszawskiéj“. Skutek łatwo można było przewidzieć. Na zasadzie 18 art. postanowienia b. Rady Administracyjnéj w Królestwie Polskiém, podanie zwrócono rolnikom z wyjaśnieniem, że Komitet Towarzystwa nie jest mocen udawać się do władz rządowych w interesach, leżących po-za zakresem przez ustawę wskazanym, że pomoc, objęta granicami téjże ustawy, była już z powodu klęsk w latach ostatnich zastosowaną „przez udzielenie obszernych ulg“. Obecnie Komitet obiecuje nową pomoc za pośrednictwem konwersyi listów zastawnych na niższe procentowe, co w razie urzeczywistnienia wpłynie na zniżenie wysokości rat, które obarczają stowarzyszonych.

Prawie jednocześnie z tym projektem ukazała się broszurka p. Ksawerego Radziszewskiego. Autor podaje projekt dokonania konwersyi i wypuszczenia „losów rolnych“, które, będąc pomocą doraźną, mają podźwignąć ziemian. Jakkolwiek projekt przepełniony jest dziwactwami, zasługuje wszelako na uwagę ze względu na to, że obudził ogromne zainteresowanie w kołach ziemiańskich i wywołał szeroką dyskusyę w prasie. Podajemy więc tutaj osnowę jego. Autor dowodzi, że ustanowiony procent 5% od listów zastawnych wpłynął ujemnie na gospodarstwo wiejskie, gdyż kapitały cofnęły się od udziału w pracy ekonomicznéj, znajdując bez ryzyka tak znaczne oprocentowanie w listach najpewniejszych. Dlatego też radzi listy zastawne Tow. Kred. Ziem. zamienić na niższe procentowe, mniéj niż 4%, tak, aby od nich odwrócić kapitały większe i jednocześnie uczynić je ponętnemi dla drobnych. Dla zachęty do nabywania tych listów, autor proponuje ustanowienie przy nich pewnych premiów, na wzór istniejących we Francyi listów ziemskich. Forma konwersyi następująca: pięcioprocentowe listy zastawne zamienić na trzyprocentowe, o typie stałym po rs. 200 i z dodaniem co rok przy losowaniu amortyzacyjném dziewięciu premiów: jedną wygra-

ną rs. 200,000, dwie każda po rs. 100,000 i sześć po rs. 25,000. Razem wszystkie rs. 550,000, czyli $^1/_2$% rocznie od 110 milionów rubli listów zastawnych. Amortyzacyę oznaczyć na 1%, przez co wszystkie listy zastawne w ciągu 44 lat były-by umorzone. Zdaniem projektodawcy, taka konwersya była-by najmniéj kosztowną, skoro kurs emisyjny *pari* zdaje się być niewątpliwym i nie będzie dopłat, jak przy konwersyi na 4%, a ztąd dłużnik odrazu miał-by znaczną ulgę w wypłatach. Żadna emisya nowych obligacyi na zaspokojenie różnicy konwersyjnéj nie była-by potrzebną, bo tego rodzaju konwersya pociągnie za sobą tylko prowizyę banków, na pokrycie czego służyć-by mogła różnica wysokości rezerwy. Polega ona na tém, że podług ustawy rezerwa równać się winna dwóm półrocznym ratom, płaconym przez dłużników. Te dwie raty, przy płaconych dotychczas 5% plus 1%=6%, czyniły rs. 6,600,000, lecz przy płaceniu 3% plus $^1/_2$% (premia) plus 1% (na amortyzacyę) = 4$^1/_2$%, wysokość rezerwy statutowéj zmniejszyła-by się do rs. 4,950,000, a więc powstała ztąd różnica posłużyć-by mogła na koszta konwersyi bez uciekania się do nowego zadłużenia przez obligacye, których około 7 milionów wypadałoby wypuścić dla uiszczenia bankom dopłaty zamiennéj przy zniżce oprocentowania. Wedle obliczeń p. R., każdy ze stowarzyszonych ziemian w następstwie konwersyi miałby o 25% zmniejszone raty. Ale nie koniec na tém. Ponieważ wielu ziemian jest dziś w tak ciężkiém położeniu, że potrzebuje pomocy doraźnéj, należy więc z nią pośpieszyć w sposób następujący: Skoro obecny dług na listy ziemskie kosztuje dłużnika 6%, a po konwersyi ma go kosztować tylko 4$^1/_2$%, to, według obliczeń p. R., pozostaje dłużnikowi w zysku 1$^1/_2$% od sumy zaciągniętego długu corocznie. Te $^1/_2$ od sta zysku każdego dłużnika uczynią od 110 milionów ogólnego długu w listach rocznie rs. 165,000, ta zaś kwota, dodawana przez lat 20, uczyni 33 miliony rubli, czyli 30% wysokości całego długu stowarzyszonych. Ponieważ suma ta w powyższym okresie wpłynie niewątpliwie z rat, spłacanych jak dotąd, przeto p. R. proponuje zmobilizować ją i obrócić na pomoc stowarzyszonym. Przypuszcza on, że Towarzystwo Kredytowe Ziemskie mogło-by wyjednać na ten jeden raz pozwolenie wystawienia 110,000 sztuk czeków obiegowych po rs. 300 każdy, wycofanych z obiegu po $^1/_{20}$ co rok za pomocą wpływu stałego tych rs. 1,650,000, które przyniesie zbywający 1$^1/_2$%, t. j. zysk odłużenia na konwersyi. Suma najwyższa czeków uczyniła-by 33 miliony i była-by oddana stowarzyszonym w stosunku 30% ich długu. Autor powołuje się na takie czeki, wypuszczone w Niemczech i Włoszech przez banki prywatne z pozwoleniem władzy, mające zapewniony obieg publiczny. Nie wdajemy się w drobiazgowe wyliczenia p. R., lecz zaznaczamy ich wyniki: Po latach

20-tu wszyscy stowarzyszeni, pomimo wypuszczenia czeków, płacili-by już tylko $4^1/_2\%$, t. j. $3^1/_2$ na procent i 1 na amortyzacyę, bo tyle potrzeba było-by na listy skonwertowane, czeki bowiem wszystkie byłyby już z obiegu wycofane i spłacone. Oto w ogólnych zarysach pomysł p. Radziszewskiego, jako dźwignia rolnictwa. Rzeczą jest specyalistów ocenić drobiazgowo ten projekt. My zaś, z obowiązku kronikarskiego, podaliśmy czytelnikom jego osnowę. Rzeczoznawcy odmówili mu wszelkiéj wartości i podstawy realnéj; w rezultacie zaś autor w znacznéj części ziemian, którzy się bliżéj pomysłowi nie przyjrzeli, rozbudził chorobliwe nadzieje ratunku obietnicą manny niebieskiéj i wywołał rozgoryczenie względem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które nie chce przyłożyć ręki do rojeń, spłodzonych w dobréj wierze i przy gorących chęciach ratowania rolników.

Szkoda, że nie mamy swego Hirscha. Byłby on od razu zrealizował projekt pana Radziszewskiego i, bez oczekiwania lat kilkudziesięciu na rezultat konwersyi, wszystkie długi stowarzyszonych zamknął by w swojéj księdze rachunkowéj. Możnowładca żydowski nie zasypia sprawy i trzeba przyznać, że prowadzi ją gorliwie. Nie dawno wysłał do Rossyi swego delegata, p. White'a, dla zbadania stanu i uzdolnienia kolonizacyjnego żydów. Oto są jego spostrzeżenia z podróży. „Określając liczbę żydów w państwie russkiém na 5,000,000 i przypuszczając, że ci, których widziałem, mogą służyć jako wzór pozostałych, sądzę, iż znajdzie się obecnie więcéj niż 20% zdolnych pod względem fizycznym do zniesienia trudów, związanych z przesiedleniem do innych krajów. Wogóle żydzi, w Rossyi zamieszkali, słabsi są od Rossyan. Nie znam kraju, w którym mieszkańcy miast nie byli-by silniejsi od tych wątłych, wynędzniałych ludzi". W jednéj tylko gub. Charkowskiéj delegat widział żydów zdrowych, zajmujących się wyłącznie rolnictwem. Jest ich ze 30,000, jak zapewniają właściciele ziemscy. Prócz rolników, około 300,000 mężczyzn pracuje w miastach. W jednym tylko Berdyczowie jest 10,000 rzemieślników. Wszyscy zdatni są na kolonistów. Zdaniem p. White'a, dwie okoliczności równoważą fizyczną słabość żydów: 1) ich nadzwyczaj nerwowy temperament, który często naraża ich na zarzut tchórzostwa, lecz pozwala znosić niewygody znacznie dłużéj od narodów silniejszych muskułami; 2) ich niezwykle pod niektóremi względami surowa moralność, oparta na umiarkowaniu potrzeb. Żyd z niewielkiemi wyjątkami mało pije i pali, jest wzorowym ojcem rodziny, ma wstręt do cynizmu i bluźnierstwa, znosi cierpliwie przeciwności i wytrwale pracuje. Wady zaś nie należą do liczby tych, które-by na powodzenie kolonizacyi nieko-

rzystny wpływ wywrzeć mogły. „Żydzi, o ile znaleźli się w Rossyi w warunkach zmuszających do rolnictwa, prowadzili je z powodzeniem. Trzeba ich tylko osiedlić na stepach, jak to uczynił cesarz Mikołaj, który im pozwolił zająć gub. Chersońską“. Słuszną delegat czyni uwagę, iż pierwsza partya powinna się składać z ludzi wyborowych co do zdolności i siły, aby powodzenie ich usiłowań w zupełności było zabezpieczone. Pierwsze niepowodzenie pociągnęło-by za sobą dalsze. White proponuje urządzenie w Petersburgu komitetu centralnego z rozgałęzieniem w wielu innych punktach, głównie miastach prowincyonalnych, w celu wyboru ludzi do emigracyi, rozdziału funduszów i pośredniczenia w stosunkach z władzami. Jeden tylko pomysł delegata szwankuje. Radzi on Hirschowi zakładanie w Rossyi szkół rolniczo-rzemiosłowych, dla przygotowania kandydatów na kolonistów. W związku z emigracyą pozostaje projekt wykupu kolonii żydowskich w Rossyi sposobem następującym: Niewielka liczba rodzin, prowadzących gospodarstwo osobiście i zadawialniająco, nadto przywiązanych do ziemi, pozostanie na miejscu, a ich schedy połączone będą w jedną kolonię stałą. Wybrańcom tym wolno będzie zatrzymać cały inwentarz, żywy i martwy. Mienie reszty kolonistów wykupywane będzie przez rząd i oddawane rolnikom na warunkach uprzywilejowanych. Po przyprowadzeniu takich kolonii do należytego stanu, nowi koloniści spłacać będą skarbowi wartość mienia. Gospodarujący niezdarnie będą musieli zapisywać się do stanu pierwotnego i ustępować z roli.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— Na posiedzeniu Wydziału filologicznego Akademii umiejętności, odbytém w dniu 4 Lipca r. b., pod przewodnictwem Prof. Morawskiego, Dr. J. Karłowicz, Członek-korespondent Akademii, podał treść swéj pracy p. t. „*O skracaniu się z przodu polskich nazw, miejscowości i ludzi*“.

Autor zamierzył rozwinąć i poprzéć nowemi przykładami krótkie wskazówki, zawarte w rozdziale VI rozprawy jego „O imionach własnych polskich, miejsc i ludzi“, umieszczonéj w t. V (1885) „Pamiętnika fizyograficznego“, oraz w artykule „Skaleczone nazwiska polskie“, drukowanym w „Wiśle“ IV, 979–981 (1890).

Po wstępie, dotykającym skracania wogóle najużywańszych w mowie poetycznéj wyrazów w różnych językach, autor mówi o badaniu słowrodu nazw, miejsc i ludzi polskich wogóle, w szczególności o téj jego części, która się zajmuje skracaniem imion własnych z przodu; podaje przykłady tego procesu z języków słowiańskich i niesłowiańskich i zastanawia się nad ważnemi kategoryami skracania, mianowicie: nad odrzuceniem z przodu: 1) jednéj zgłoski, złożonéj z jednéj lub dwu samogłosek i 2) jednéj zgłoski lub dwu, złożonych z samogłosek i spółgłosek. Po przykładach na obie te kategorye z języków obcych, przechodzi potém Dr. Karłowicz do polskich, poprzedzając szczegółowe nad niemi zastanowienie się dwiema uwagami metodycznemi: najprzód o stopniowaniu w przejściu imion ludzkich na nazwy miej-

scowości, i odwrotnie, przyczém należy zwrócić uwagę, że niektóre ogniwa pośredniczące mogą nie istnieć w rzeczywistości, gdyż i tu język nie zużywa całego swego olbrzymiego zasobu, nastręczającego mu się w mnogości form możebnych; powtóre, o tak zwanych konkurencyach, czyli o wielowykładności nazwisk, miejsc i ludzi.

Że w nazwach zachodziło skracanie jedno i dwuzgłoskowe z przodu, na to istnieją dowody historyczne, posiadając zaś takie świadectwa skracania się z przodu nazw miejscowych, a zatém i rodowych, mamy prawo rozciągać zasadę skracania się i na takie nazwiska dzisiejsze, które widocznie są owocem onego i inaczéj z trudnością etymologicznie wyjaśnić-by się dawały.

W dyskusyi zabierali głos prof. Morawski i autor.

Następnie Dr. Tretiak zdawał sprawę z poszukiwań swych w bibliotekach wielkopolskich i w Warszawie. Poszukiwania sprawozdawcy w bibliotekach poznańskich i w warszawskiéj bibliotece głównéj ograniczyły się do rękopiśmiennych zabytków literatury naszéj XVIII wieku i z rzadka tylko i przypadkowo zabiegały w jedną stronę do XVII wieku, w drugą do początków XIX w.

1) Do XVII w. odnoszą się drobne utwory poetyckie mało znanych poetów tego wieku: Sam. Przypkowskiego i Daniela Nahorowskiego; „Ziemianin“, przez Jakóba Poniatowskiego, krótki opis wzorowego gospodarza XVII wieku, pięknym, jędrnym stylem napisany; wiele mów imiennych i bezimiennych przy uroczystościach weselnych; humorystyczna „Instrukcya od stanu panieńskiego, podana Ich Mć Panom posłom na sejm warszawski 1641“ i niektóre inne, charakteryzujące obyczajowość polską XVII w.

2) Do końca XVII lub początku XVIII-go w. odnosi się zbiór satyrycznych wierszy: „O pannach“, „O mężatkach“, „O starych damach“, „O damach w pospolitości“, „O tych co się żenić mają albo już żenią“, „O osobach prawem bawiących się“ i wiele innych. I poezya, i zewnętrzna postać manuskryptu tchną życiem małego dworku. Wiersz płynny, przeważnie stroficzny; strofy kończą się najczęściéj przysłowiem, do treści zastosowaném.

3) Do czasów saskich i Stan. Leszczyńskiego odnoszą się: „Relacya śmiesznéj komedyi“, humorystoczno-allegoryczny opis elekcyi Augusta III; „Dyskurs elektów korony polskiéj“, wiersz w obronie praw Leszczyńskiego, pisany jeszcze, jak z treści widać, przed upadkiem Króla Stanisława; „Melancholia w teraźniejszych okolicznościach“, wcale udatny i nie pozbawiony istotnéj melancholii wiersz, wywołany, jak się zdaje, upadkiem Gdańska; „Ciekawe zachwycenie“, wiersz dobrze charakteryzujący poziom umysłowy i poetycki uczniów saskich; wreszcie „Głos wolny, wolność ubezpieczający Leszczyńskie-

go“, w redakcyi tak dalece odmiennéj od tekstu drukowanego, że niéma prawie w całym rękopiśmie jednego ustępu tak samo zredagowanego, jak w książce drukowanej,—jakkolwiek pod względem treści te dwa teksty nie wiele różnią się od siebie. „Głos wolny“, w téj redakcyi Dr. Tretiak znalazł aż w czterech egzemplarzach, co dowodzi niemałego jego rozpowszechnienia. Ta nieznana dotąd redakcya „Głosu wolnego“, redakcya pierwotna, wcześniejsza od tekstu drukowanego, posłużyła D-rowi Tretiakowi do odkrycia ważnego szczegółu historyczno-literackiego, a mianowicie, że „Głos wolny“, wbrew wyraźnéj dacie, położonéj na tytułowéj karcie, i wbrew przedmowie, napisany był nie podczas bezkrólewia po Auguście II, ale w kilka lat późniéj, a wydrukowany po raz pierwszy dopiero w 1749 r., a więc w szesnaście lat po owém bezkrólewiu.

4) Do początków panowania Stanisława Augusta odnieść należy satyrę: „Na swawolę naszych żołnierzy i okrucieństwa“, napisaną według wszelkiego prawdopodobieństwa przez zapomnianego poetę XVIII w., Gracyana Piotrowskiego. Następnie „List Maryi Brühlowéj“, siostry Szczęsnego Potockiego, do matki, opisujący obszernie, naiwnie, a barwnie koronacyę królewską. Daléj następuje długi szereg prozaicznych i poetycznych utworów, wywołanych konfederacyą Barską, a więc prozą pisane: „List do województw, ziem, powiatów i t. d.“, charakterystyczne wezwanie do stanu rycerskiego, aby się wiązał w konfederacyę; „Postać dobrego konfederata w okolicznościach teraźniejszych“, rzecz napisana poważnie i rozsądnie; „Głos ważnéj rady do N. Króla Jeg. 1768“; „Widzi mi się: sposób ekstraordynaryjny powstania z upadku Rzeczypospolitéj 1770“, rzecz napisana w duchu reform Konarskiego, ale z dziwacznym pomysłem ustanowienia dwóch królów, jednego obieralnego, drugiego dziedzicznego. „Dyskurs polityczny, próżnowanie zdobiący“ z r. 1768, rozmowa kadeta szkoły rycerskiéj z konwiktorem kolegium pijarskiego, krytyka nowego kierunku wychowania, a zarazem polityki królewskiéj, dążąca do wykazania, że celem konfederacyi musi być detronizacya Stanisława Augusta; „Respons Konfederata, czyli myśli na myśli faworyta dworskiego“; „Rezolucya dana od J. Pani Kossakowskiéj, Kaszt. Bracł., na propozycye od dworu warszawskiego, przez nią przełożone 1796“, rzecz ukazująca nam Kasztelanową Bracławską w roli pośredniczki między dworem a Konfederacyą; „Konfederacyi chłopskiéj znaleziony projekt na rynku w Tarczynie“ 1767 (w dwóch odpisach), ciekawy objaw demagogicznych podmuchów, poprzedzających rzeź humańską. Prócz tego wspomnieć należy o rozmaitych proroctwach współczesnych i dodać, że w przeglądanych przez D-ra Tretiaka zbiorach rękopisów znajduje się obfity materyał do historyi konfederacyi

barskiéj w listach, dyaryuszach, manifestach, uniwersałach i t. p. dokumentach współczesnych, a wreszcie obszerna praca historyczna o konfederacyi barskiéj z pierwszéj połowy tego wieku, p. t. „Wiadomości o konfederacyi barskiéj na podstawie źródeł drukowanych i pisanych“.

5) Utwory poetyczne, odnoszące się do czasów konfederacyi barskiéj, Dr. Tretiak znalazł następujące: rozmaite pieśni konfederackie: „Pacierz konfederacki“ (obelżywe wiersze na Króla); „Pieśń o zacnym kawalerze Imć Panu Kraszewskim“; „Sen na jawie“ z okazyi śmierci trzech senatorów polskich i dygnitarza litewskiego, 1770; „Rozmowa Szumnickiego z Nabożnickim“; „Respons na wiersz p. Kossakowskiego“, wiersz przeciwko Królowi, ważny z tego względu, że wywołał odprawę, drukowaną, p. t. „Wieśniak do poety dziennego“, utwór świetnego pióra, który tylko Trembeckiemu przypisać można, a który bez znajomości owego responsu nie jest dostatecznie zrozumiały; bardzo piękny „Nagrobek Imć Panu Sawie“;— wreszcie sporo paszkwilów czy satyr, w formie dyalogu, na Króla, Podoskiego, Młodziejowskiego i innych.

6) Do czasów po pierwszym rozbiorze odnosi się: „Suplika od sukcesorów Gonty i Żelezniaka“, gorzka, niepoślednim piórem napisana satyra na marszałka Ponińskiego, a po części na Króla.

Do czasów sejmu czteroletniego—wiersze: „Mąż i żona“, bajka politycznéj treści; „Do X. Łuskiny“; „Do ex-wojewody ruskiego“, „Wiersz na odpowiedź J. Króla Marszałkom, winszującym Nowego Roku“; „Adjutant młody i Kawalerzysta w karecie z ostrogami“; „Zbiór wierszy“, satyryczne portrety wybitnych osób politycznych i t. d.

Współczesna walka między strojem polskim a francuskim wyraziła się w licznym szeregu ulotnych wierszy, z których jedne występowały przeciw francuskiéj modzie, inne w obronie fraka. Tu należą: „Wiersz do krajczyca Potockiego“; „Na pochwałę kontusza“; „Polak modny“,—wszystkie, o ile sprawozdawcy wiadomo, nie drukowane. Wpływ ówczesnéj literatury francuskiéj, rozwiązléj i antireligijnéj, objawia się w stosunkowo bardzo nielicznych utworach: „Nauka od księży ludziom dawana dla zbawienia“; „Wiersze piękne i długie niech będą dla ciebie“.

Do czasów Targowicy odnosi się bardzo zajmujący, nie wydany dotąd, ustęp z „Pamiętnika Chrząszczewskiego“, z którego korzystał już Dr. Rolle.

7) Do XIX w. należy kopia raportu Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego o *Konradzie Wallenrodzie* Mickiewicza z r. 1828, obszerna krytyka poematu ze stanowiska politycznego i moralnego.

Dr. St. Windakiewicz odczytał rozprawę p. t. *Admetus rex, tragedya polska z końca XVI lub początku XVII w.*

Autor, przeglądając rękopisy Biblioteki Jagiellońskiéj, odnoszące się do historyi teatru w Polsce, natrafił wśród sztuczek popularnych na tragedyę polską w duchu klasycznym, p. t. *Admetus rex.* Tragedya ta godna jest uwagi z tego względu, iż powstała z urywku tłómaczenia Alcesty przez Kochanowskiego, pomyślana została na tle jego poglądów i wystudyowana na podstawie jego poezyi. Autor podał treść tego zajmującego utworu i przytoczył oryginalniejsze ustępy, a następnie, wykazawszy, w jaki sposób zużytkowany został fragment Kochanowskiego i które mianowicie poglądy i uczucia od czarnoleskiego poety zostały zapożyczone, rozstrzyga pytanie o właściwym stosunku tego utworu do Kochanowskiego. Na podstawie dokładnego porównania tekstu z dziełami poety da się wykazać, iż w skład Admeta weszło 26 utworów Kochanowskiego, t. j. 13 pieśni, 5 trenów, 5 fragmentów i 3 epigramy nagrobkowe. Zestawienie tych miejsc jest właściwém naukowém kryteryum do uznania Admeta za kopię. Oprócz tego, autor wyłuszcza względy psychologiczne i artystyczne, które nas utwierdzają w przekonaniu, iż „Admetus Rex“ jest reprodukcyą,—wszakże nadzwyczaj zręczną.

— *Adam Darowski.* „Pamiętniki Józefa Kossakowskiego, biskupa inflanckiego“, wydał... Warszawa, 1891. Gebethner i Wolff.

Obejmują okres od 1738—1788. Nader wiele ciekawego materyału do wyświetlenia konfederacyi Targowickiéj, w któréj zarówno biskup inflancki, jak i brat jego, hetman wielki koronny, żywy udział wzięli. Oprócz charakterystyki osoby biskupa, pamiętniki ułatwiają poznanie takich osobistości, jak biskup Ignacy Massalski, podskarbi Ant. Tyzenhauz i in.

— *Giovannini Pauli Aemilii.* „Relazione di Polonia 1565.“ Edidit Joseph Korzeniowski. Cracoviae 1891.

— *Emil Faguet.* „Politiques et moralistes du dix-neuvième siècle.“ Première série. Paris, 1891.

W dziełku niniejszém, tonem bardzo spokojnym i objektywnym, autor wypowiedział pogląd swój na moralne i polityczne doktryny naszego wieku, o ile one były w związku z wybitnemi osobistościami, reprezentującemi je. Jest to poniekąd charakterystyka i biografia przedstawicieli rozmaitych doktryn. Kolejno więc w pracy niniejszéj przesuwają się postacie takich pisarzy, jak: de Maistre, de Bonald, pani Staël i mężów politycznych, jak: Benjamin Constans, Royer Collard, Guizot i in.

— *Meyet Leopold.* „Kilka słów o szkołach zawodowych w Zakopaném“ z rysunkami C. B. Jankowskiego. Warszawa 1891.

Autor w sposób spokojny i objektywny wyłożył w krótkości historyę powstania i rozkwitu szkoły koronkarskiéj i szkoły snycerskiéj w Zakopaném, oraz zwrócił uwagę na używanie w powyższych szkołach motywów ludowych w rysunkach, co mogło-by z czasem nadać zupełnie odrębne cechy produkcyom artystycznym i wytworzyć styl „zakopański.“ Rysunki Jankowskiego rozmaitych sprzętów i wyrobów koronkarskich ułatwiają pochwycenie główniejszych rysów tego stylu.

— *John Stuart Blackie.* „O wychowaniu samego siebie.“ Z 23-go wydania oryginału przełożył J. K. Potocki. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa... str. 112.

Celem téj książki — powiada przedmowa — jest nauczanie czytelników, iżby nie powierzali siebie komuś innemu lub przypadkowi, iżby ujęli we własne ręce ster swojego życia. Idzie tu jedynie o wykształcenie, wychowanie i ukształtowanie samego siebie. Autor mówi tu o wychowaniu umysłowém, fizyczném i moralném, udzielając wszędzie czytelnikowi rad, z których można poznać wytrawny, spokojny i rozważny umysł doświadczonego pedagoga, udzielającego swoich wskazówek bez pedanteryi i oschłości.

— *Dr Med. E. Meynert.* „Głupota mody.“ Odczyt. Przekład z niemieckiego. Warszawa. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki, 1892 str. 41.

Autor zastanawia się pokrótce nad rozmaitemi wymaganiami t. zw. „mody“, ocenia je pobieżnie z punktu hygieny i fizyologii, o ile one są pożyteczne lub szkodliwe dla zdrowia. Mówi więc o fryzurze, o noszeniu sztucznych lub cudzych włosów, o gorsecie i t. p., wykazując o ile, np. gorset, zmienia naturalny układ niektórych organów wewnętrznych ze szkodą całego organizmu.

— *Cenar Edmund.* „Gry gimnastyczne młodzieży szkolnéj. Gry, walki, mocowania, zapasy, zawody, igrzyska i korowody.“ Zebrał... z 12-ma tablicami. Lwów 1891.

— *Wasercug Dawid dr.* „Objawy oczne przy zaburzeniach układu nerwowego, oraz wartość ich przy rozpoznawaniu siedliska i natury chorób mózgowych“, napisał..., z rysunkami schematycznemi. Warszawa, 1891.

— *Koral A.* „O zaburzeniach płciowych u dzieci“, napisał... Warszawa, 1891.

— *Józef Zielczak.* „Co robić, gdy kto zachoruje?“ Warszawa, 1891.

— *Kneipp Sebastyan.* „Tak żyć potrzeba. Wskazówki i rady dla zdrowych i chorych, pouczające, jak żyć rozumnie należy i leczyć się metodą odpowiednią naturze.“ Przełożył J. A. Łukaszewicz. Kempten. 1891.

— *Marya z Seredyńskich Jakubowska.* „Z pobytu w Bośnii. Wrażenia, obrazki i szkice.“ Bytom. Nakładem autorki. 1891.

— *J. Bohdanowicz inżynier.* „Podręcznik fotografii dla amatorów.“ Z rysunkami w tekście. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891, str. 124.

Autor, wychodząc z tego założenia, że fotografia, zrobiwszy obecnie ogromne postępy, znalazła zastosowanie w badaniach naukowych i wynalazkach przemysłowych, napisał podręcznik, streszczający teorye oraz praktyczne metody otrzymywania negatywów i pozytywów na warstwach emulsyjno-żelatynowych i albuminowych. W dziełku niniejszém opisane są najnowsze aparaty fotograficzne i wyliczone główne typy objektywów, oraz ich konstrukcya.

— *K. J. S. Portius.* „Przewodnik gry szachowéj. Z niemieckiego przełożył Stanisław Tomaszewski. Wydanie drugie przejrzane, poprawione, uzupełnione. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1891, str. 222.

— *Zofia Kowerska.* „Rózia“, powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891, str. 405.

— *Ostoja.* „Powieści prawdziwe“ (*Druga żona, W gniazdku, Wachlarz, Widmo, Na stacyi, Żal, Wróg, Panna Berta*). Warszawa, 1891.

— *Klemens Junosza.* „Wybór Pism.“ Tom III. („Słup“, „Dzieci Pana Radcy“, „Pani z pieskiem“, „Złote jabłko“, „Wojtek Węcior“, „Muzykanci“, „Niekosztowna kuracya“, „Lekcya tańca“). Warszawa, 1891.

— *Józef Tokarzewicz-Hodi.* „Pan Głuchy Gawel“ powieść osnuta na tle wypadków wojennych „roku strasznego.“ Petersburg, 1891.

— *Esteja.* „Mój testament.“ „Mea.“ „W sercu garbuska.“ Kraków. Nakład Gebethnera i S-ki. 1891, str. 348.

— *Matuszewski Ignacy.* „Królowa śniegu.“ Bajka dla młodzieży. Według Andersena opracował... Warszawa, 1891.

— *Marion Crawford.* „Sant' Ilario", powieść, przekład z angielskiego M. Faleńskiéj. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891, str. 248.

— *Vrchlicki Jarosław.* „Uszy Midasa" komedya w 3 aktach, w przekładzie Miriama. Kraków 1891. Nakładem Redakcyi „Świata."

— „Kalendarz Myśliwski ilustrowany na rok 1892."

— „Wisły" Tom V zawiera: „Ludzie i kwiaty nad Niemnem" przez Elizę Orzeszkową; „Kilka słów o szkołach zawodowych w Zakopanem" p. Leop. Meyeta; „Dyngus i śmigus" przez J. Karłowicza; „Wieś Komarowicze w pow. Mozyrskim" przez C. Jeleńską; „Wróżby z kichania" przez L. S. Korotyńskiego; „Historya swastyki" przez Michała Żmigrodzkiego; „Przesądy złodziejskie" przez A. Wiśniewskiego; „Rozwój etnologii nowoczesnéj" przez Tomasza Achelisa; „Uzupełnienia do artykułu: Motywy ludowe w balladzie Mickiewicza „Lilie" przez Henryka Biegeleisena; „Za ziemią łużycką", notatki z wędrówek po Łużycach, przez Adolfa Cernego.

— „Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filoozoficznego Akademii umiejętności w Krakowie." Tom XXV zawiera: D-ra Witolda Rubczyńskiego „O stałych czynnikach w rozwoju duchowym człowieka"; Profesora D-ra L. Darguna „O źródłach prawa miast polskich w wieku XVI." II. „O źródłach porządku sądowego spraw miejskich Prawa magdeburskiego" przez Bartłomieja Groickiego; D-ra Władysława Ostrożyńskiego: „Ostatni projekt reformy prawa i procesu karnego w Polsce"; D-ra Stanisława Szachowskiego: „Rzecz o symonii."

— „Kwartalnika historycznego" Zeszyt III zawiera między innemi następujące prace: „Xawery Liske" zarys biograficzny, przez Oswalda Balzera, Wincentego Zakrzewskiego, Ludwika Finkla, Ludwika Ćwiklińskiego, Henryka Sawczyńskiego i Zdzisława Hodyńskiego; „Pierwsze wieki kościoła polskiego" przez Stanisława Łagunę; „Sprawy wołoskie w Polsce do r. 1412, przez Aleksandra Czołowskiego; „Miscellanea" przez Oswalda Balzera i Franciszka Piekosińskiego; „Przegląd literatury zagranicznéj" przez Ludwika Finkla.

DYSKUSSYA.

W styczniowym Zeszycie za rok bieżący Biblioteki Warszawskiéj D-r Antoni J. umieścił artykuł pod tytułem: Geneza „Maryi“ Malczewskiego.

Ile ma w sobie prawdy historycznéj fantastyczny utwór Malczewskiego, a zatem, jak dalece jest trafną owa geneza d-ra Antoniego, sądzić nie będę i nie w tym celu biorę za pióro.

W artykule wspomnionym d-r Antoni J. wyprowadza na scenę publiczną dziada mój żony, ś. p. Antoniego Chrząszczewskiego, znanego w literaturze naszéj tłómacza kroniki Pawła Piaseckiego (Kraków, 1870) [1]), autora Pamiętników [2]) i wielu innych utworów literackich; przypisuje mu wpływ stanowczy na twórcę „Maryi,“ z którym Antoni Chrząszczewski za życia nigdy nawet się nie spotkał; na poparcie tego dowolnego twierdzenia, przeinacza przytoczone przez siebie źródła [3]), w końcu, wbrew własnym słowom [4]), nazywając dziada naszego wędrownym

---

[1]) Chronica gestorum in Europa singulariorum recentiorum ad. a. 1636.

[2]) Pamiętniki te w części tylko wydane przez Kraszewskiego przy pamiętnikach Ochockiego. Oryginał Pamiętników, jak słusznie utrzymuje Kraszewski, znajduje się przy zbiorach Konstantego Świdzińskiego. K. Podwysocki mógł mieć kopię; treść bowiem pamiętników nader ciekawa obudziła żywe zajęcie wielu ludzi wykształconych, do których liczby należał i Herman Hołowiński, zostający w najserdeczniejszych, przyjacielskich stosunkach z dziadem naszym, jak o tém świadczy ich korespondencya. Sam dziad nasz mógł Hołowińskiemu udzielić kopii własnoręcznie przepisanéj; ta po śmierci Hołowińskiego mogła się dostać w ręce zięcia jego, Konstantego Podwysockiego.

[3]) Ramoty Detiuka str. 19, 20 i 23.

[4]) „Antoni Chrząszczewski był skromny bardzo“ (str. 43 Bibl. War. za Styczeń 1891 r.), „miał sty— dosadny, nazywa rzeczy po imieniu, nie obwijając w pa-

rezydentem, włóczęgą, nałogowym pijakiem i t. d., uwłacza pamięci człowieka, którego prawdomówność, niepodległość zdania, obok nadzwyczajnej skromności, trzeźwości i zamiłowania ogniska domowego, ogólnie były znane: szlachetna, o pięknych, sympatycznych rysach postać tego starca († 1851) dotąd jeszcze tkwi żywo w naszéj pamięci i sercu, dotąd jeszcze żyją ludzie, co go osobiście znali.

Taką, niczém nie dającą się tłómaczyć, nieoględnością d-r Antoni J. dotknął boleśnie całą rodzinę ś. p. Antoniego Chrząszczewskiego, składającą się z trzech żyjących jeszcze córek [1]) i licznych wnuków i prawnuków.

W imieniu więc prawdy i sprawiedliwości, uprzejmie proszę Szanowną Redakcyę Biblioteki Warszawskiéj o umieszczenie w najbliższym zeszycie swego pisma następnego sprostowania historycznych błędów i krzywdzących zdań o ś. p. Antonim Chrząszczewskim, przez d-ra Antoniego J. umieszczonych we wzmiankowanéj Genezie „Maryi“ Malczewskiego.

Nim jednak takowe wykażę przez proste zestawienie źródeł rzeczywistych i cytat z onych d-ra Ant. J., niech mi wolno będzie umieścić tu kilka biograficznych szczegółów, zaczerpniętych z dokumentów familijnych rodziny Chrząszczewskich.

Ojciec Antoniego Chrząszczewskiego, Józef, po opuszczeniu Kujaw w połowie zeszłego wieku, nie na wezwanie Potockiego, jak mylnie twierdzi d-r A. J. [2]), lecz pod wpływem ogólnego ciążenia szlachty polskiéj ku wschodnim kresom Rzeczypospolitéj, osiadł najprzód na Wołyniu, w okolicach m. Horowa, we wsi Pieczychwosty. Tu właśnie, jak o tém świadczy metryka chrztu, znajdująca się w mych ręku, dnia 6 czerwca r. 1770 przyszedł na świat czwarty z kolei syn [3]), Antoni, Robert, Felicyan trzech imion, przyszły autor Pamiętników. Po przeniesieniu się z Wołynia [4]) na Ukrainę roku 1782, Józef dzierżawił w Humańszczyźnie kolejno Bezpieczną i Zielony Róg, w tym ostatnim życia dokonał r. 1807 i tam pogrzebany.

Dwaj najstarsi synowie, Józef-Franciszek i Jan, pożenili się na Wołyniu z Cyryniankami, siostrami Eleonory z Cyrynów Malczewskiej, Franciszek z Józfą, (miał z nią jedną tylko córkę Helenę, za Kossakowskim, która otrzymała w posa-

---

pierki“ (str. 44), „nie biegły w sztuce dworactwa“ (str. 45), „ofiarowanych sobie trzech posad przez konfederacyę Targowicką nie przyjął“ (str. 46), „dla satelitów Szczęsnego nie był również łaskawy“ (str. 47).

[1]) Helena Chrząszczewska, Marya z Chrząszczewskich Wasilkowska i Brygida Chrząszczewska.

[2]) Biblioteka Warsz. Styczeń 1891 r. str. 44.

[3]) Starsze rodzeństwo Antoniego: Franciszek, sekretarz Potockich w Krystynopolu, potém sekretarz konfederacyi Targowickiej, w końcu sędzia ziemski w Żwinogrodzko-Humańskim powiecie; Jan, Ignacy, Ludwika za Dyzmą Tomaszewskim, Domicella za Karolem Sierakowskim i Eucebia za Kazimierzem Tomaszewskim.

[4]) Nie z Warszawy, jak twierdzi d-r Antoni J. Porównać str. 262, 263 i 297 Wyciągi z Pamiętników Antoniego Chrząszczewskiego, wydane przez Kraszewskiego 1857 r. przy Pam. Ochockiego, ze str. 44 (Biblioteka Warszawska styczeń 1891 r.).

gu wieś Loszki, na pograniczu Wołynia z Galicyą), Jan — z Anielą; z tego ostatniego małżeństwa pozostało trzy córki: Marya, Pelagia i Eleonora, i syn Adam: Eleonora, wychowana w domu swéj ciotki, marszałkowéj Malczewskiéj, słynną była z piękności, rozumu i talentu w malarstwie [1]).

Młodszy syn Józefa, Antoni, o którego nam głównie chodzi, po skończeniu szkół w Humaniu, służył do roku 1791 w kawaleryi Narodowej [2]). Ożeniwszy się z Maryą Kucharską, parę lat bawił w Warszawie [3]) i przebywał jakiś czas na Wołyniu, w domu ociemniałego generała Bobra, przy którym był lektorem i bibliotekarzem.

Po powrocie na Ukrainę, na początku bieżącego stulecia, został generalnym rachmistrzem, a potém ober-leśniczym w dobrach Potockich i obowiązek ten pełnił bez przerwy do roku 1828. Stale mieszkał we wsi Swerdłykowie, w pow. Humańskim; miał tam obszerny wygodny dom murowany wśród rozległego sadu i kilkadziesiąt morgów ornéj ziemi. Obfite plony z nadzwyczaj urodzajnéj gleby, dochód z pasieki, bydła i owiec, przy zaradności wzorowéj żony i gospodyni, przy pensyi i ordynaryi, a potém emerytura od Potockich, aż nadto wystarczały na opędzenie codziennych potrzeb skromnego i umiarkowanego życia i na wychowanie dwóch synów, Franciszka i Cezarego.

Dziad nasz, literat, w całém znaczeniu tego wyrazu, cichy, skromny, do przesady ograniczony w potrzebach, pragnął tylko ustronia i spokoju dla swych zajęć literackich — książka była mu najmilszym towarzyszem, najmniejszego nie miał usposobienia do włóczęgostwa i tułania się po cudzych kątach, trunków żadnych nie używał, „piersi staréj miodem nie rozgrzewał“ [4]). „Nędza i jéj następ-

---

[1]) Jan Sowiński w dziele o uczonych polkach mówi o niéj, że „wydarła naturze tajemnicę tworzenia kwiatów i owoców“ str. 11.

[2]) Dymisya podpisana przez Wincentego Zozuleńskiego, Porucznika Kaw. Nar., d. 23 Maja 1791 r.

[3]) Wyciągi z Pamiętn. Chrząsz., wydane przez Kraszewskiego przy Pam. Ochockiego str. 265. „Blisko lat dwóch ostatnich czteroletniego sejmu“ (u d-ra A. J.: „dwa pierwsze lata sejmu czteroletniego“ str. 46 Bibliot. War. Stycz.), przebywając w Warszawie, nie opuściłem żadnego posiedzenia sejmowego i, nasłuchawszy się zawołanych owego czasu mówców, byłem ich i czynności zgromadzenia tego najzapaleńszym stronnikiem, a zatém konfederacyi późniejszéj antagonistą. Mając w niéj szwagra (Dyzma Tomaszewski ożeniony z Ludwiką), który był sekretarzem konfederacyi jeneralnéj, a potem na posła do Holandyi mianowany został i po którym brat mój (Franciszek) na sekretarza postąpił, miałem sobie ofiarowane trzy posady... Tego wszystkiego dla ówczesnych moich przekonań nie przyjąłem.“ (U d-ra Antoniego J. str. 47 Bibl. War. Stycz. „dla źle zrozumianego patryotyzmu.“).

[4]) Chrząszczewski „pierś starą miodem rozgrzewał“ str. 47. Bibl. Warsz. A. Chrząszczewski między rokiem 1810—15 miał, według d-ra A. J., bywać często w Tarnorudzie u Malczewskich (str. 48) i tu twórca „Maryi“ miał słuchać gawędy tarego sługi Pilawitów, który wtedy zaledwie miał lat 40 (ur. 1770).

stwo nałóg“ [1]) są płodem wyobraźni d-ra Antoniego J., jak również jest nim osadzenie na starość autora Pamiętników tam daleko na krańcach Podola, aż w Saracei nad Dniestrem, gdzie go miał między 1818—1822 r. odwiedzać Detiuk. „Klepał więc biedę p. Antoni, mówi d-r A. J. [2]), na tych stepach, na wybrzeżu bezleśném starego Dniestru, rozmyślając o marnościach świata, skąd się dostał na Wołyń w wielkiéj nędzy.“ Tak twierdzi autor „Opowiadań“ — a oto co mówią fakta: Antoni Chrząszczewski w owym czasie (1818—1822) służył u Potockich [3]), po usunięciu się zaś od obowiązków (około 1828 r.) [4]), otoczony kochającą i całkowicie na usługi oddaną mu rodziną, pędził spokojny żywot w Swerdłykowie aż do roku 1847, t. j. do śmierci swéj ukochanéj żony; potem zaś przeniósł się do Międzyrzeczki, do syna swego, Cezarego, człowieka zamożnego, i tu zakończył swój żywot doczesny r. 1851, spocząwszy na cmentarzu przy kościele w Hołowanieskiem.

W Saracei, na brzegach Dniestru, nigdy noga jego nie postała, jak to, przytaczając źródła, z których czerpał d-r Antoni, zaraz wykażę.

Detiuk [5]) wyraźnie mówi: „Chrząszczewski Franciszek, niegdyś sekretarz Szczęsnego Potockiego [6]), później konfederacyi Targowickiéj, miał brata [7]), ożenionego z Cyrynianką [8]), siostrą p. Ksawerowéj Malczewskiéj. Chrząszczewscy [9]) odumarli w dzieciństwie córkę swoją Eleonorę, a ciotka Malczewska wychowała ją wraz z córką swoją.“

Ustęp ten zmieniony u d-ra A. J. [10]): „Starszy brat Chrząszczewskiego (Antoniego), oficyalista w dobrach Potockich, wreszcie sekretarz konfederacyi po wyjeździe Tomaszewskiego, ożeniony z Anielą Cyrynianką, miał z nią dwie córki:

---

[1]) Str. 48 Bibl. War. Stycz. 1891.

[2]) Str. 49, tamże.

[3]) Wyciągi z Pam. Chrząszcz., wydane przez Kraszewskiego, str. 264: „Ja, w dwudziestym roku życia ożeniony z panienką, żadnego posagu nie mającą, i sam nic nie mając, musiałem pójść w służbę i przez lat 30 ważne w ekonomii humańskiéj sprawowałem obowiązki.“ (U d-ra A. J. wyraz „ważne“ opuszczony)... „żyjąc *procul ab aula* i obowiązku mego pilnując.... żadnych o udział łaski nie czyniłem zabiegów.“

Wszystko więc to, co d-r A. J. mówi na str. 45 Bibl. War. Stycz. „Po zgonie Szczęsnego († 1805) w lat kilka oparł się (A. Chrząszcz.) w Tulczynie z liczną rodziną — bez obowiązku — służbę mu wymówiono — rozpoczął on wędrówkę, niby to szukając odpowiedniéj posady, a właściwie rolę rezydenta wędrownego odgrywał,“ jest bezzasadném.

[4]) Kwit na materyał leśny do posesyi zastawnéj, wsi Hliboczka, J. W. Podkomorzego Tyszkowskiego dnia 18 Octobra 1824 r., wydany przez Antoniego Chrząszczewskiego, ober-leśniczego lasów massalnych klucza Targowickiego.

[5]) (Str. 19 Ramoty I).

[6]) W Krystynopolu.

[7]) Jana.

[8]) Anielę.

[9]) Jan i Aniela.

[10]) Str. 45 „Geneza „Maryi“ M.“ Bibl. W. Stycz.

Pelagię i Eleonorę; rodzice ich wcześnie odumarli, sieroty więc rozebrali krewni: Eleonorę przytuliła rodzona siostra jéj matki, marszałkowa, Eleonora z Cyrynów Malczewska."

Co Detiuk mówi o bracie Franciszka, Janie, d-r Antoni J. przenosi na Franciszka i pośpiesznie go umarza, aby, jak to niezwłocznie wykażemy, wszystkie jego czynności przypisać Antoniemu.

Daléj Detiuk opowiada [1]): „Pan Franciszek (Chrząszcz.) odwiedzał u Malczewskich w Tarnorudzie swoją synowicę, tam poznałem tego szczególnego człowieka i miałem szczęście przypaść mu do serca. Niepiękna twarz, zaniedbana powierzchowność, nie mogły w patrzących na niego wywołać jakiéjś sympatyi, ale skoro p. Chrząszczewski usta otworzył w jakimby to nie było języku (bo ich biegle kilka posiadał), albo w jakim tylko wydarzyło się przedmiocie, natenczas rozjaśniało się jego oblicze, a ucho, zachwycone przedziwną jego wymową, oczarowania swego i oczom udzielało."

D-r Antoni J., umorzywszy Franciszka, zamienia go na Antoniego, który, jako żywo, nigdy w Tarnorudzie nie bywał, i tak opowiada: „Pan Antoni zaś (Chrz.) dziwny dar narratorski posiadał, jak o tém świadczy Detiuk (Ramoty str. 19). „Chrząszczewski często odwiedzał u Malczewskich swoją synowicę; tam poznałem tego szczególnego człowieka" i t. d. (Str. 46 Bibl. Warsz. za Stycz. 1891 r.).

„Polubił mię, mówi w dalszym ciągu swego opowiadania Detiuk [2]), i zniewolił (Franciszek Chrząszczewski), ażebym go odwiedził. W kilka lat ledwie potém, zwiedzając nadbrzeża Dniestru, od Raszkowa do Kahorlika, zajechałem do Saracci, gdzie mieszkał p. Chrząszczewski. Ośm dni, upłynęło jak ośm godzin, w miłém jego towarzystwie. Dniem obiegaliśmy piękne tamtejsze okolice, wieczory zajmowała przyjemna pogadanka. Najczęściéj jednak rzecz toczyła się o Szczęsnym Potockim, o Tulczynie, a ztąd i o Komorowskiéj, a to wspomnienie wywoływało na Chrząszczewskiego (Franciszka) uciskający smutek. Opowiadanie jego zawierało wiele okoliczności, opisanych dziś przez Kraszewskiego, najwięcéj jednak zgadzało się z opowiadaniem p. Rohozińskiéj. Ale i p. Chrząszczewski (Franciszek) utrzymywał i dowodził, że całą sprężyną tego okropnego dramatu była wojewodzina i cieszyła się ze śmierci Gertrudy, że wojewoda był machiną, działającą jedynie podług nastrojenia żony.

. . . . . Szczęsny kochał Gertrudę, a lubo cytują jego listy, uznające nieprawość z nią małżeństwa, on nigdy nie miał zamiaru zerwania poprzysiężonych wobec Boga ślubów. Całe życie nie mógł zapomnieć Gertrudy i nieraz w samotności łzę jéj pamięci poświęcił. Chrząszczewski (Franciszek) widział te łzy, których wdzięki i miłość Zofii otrzéć zupełnie nie zdołały. Takie było opowiadanie Chrząszczewskiego i musiało być prawdziwe, bo on kochany był od Potockiego i całą ufność jego posiadał.

---

[1]) Ramoty I, str. 19.
[2]) Ramoty I, str. 19, 20, 23.

Ustęp ten, pomieszawszy Franciszka (o lat 15 starszego od Antoniego) z Antonim, opowiadania pierwszego, przytoczone przez Detiuka, z pamiętnikami drugiego, oraz dodawszy własny wymysł o włóczęgostwie, nałogowém pijaństwie i nędzy, tak przeistacza d-r A. J. [1]): „A teraz dla dopełnienia obrazu powiedzmy o dalszych losach Chrząszczewskiego (zawsze Antoniego, który najspokojniej siedział w Swerdłykowie za Humaniem, pełniąc „ważne w ekonomii humańskiéj obowiązki.“).

„Zdaje się, że na włóczędze upłynęło mu lat kilka; nędza, a jako jéj następstwo, nałóg, wszystko to było powodem, że dawni znajomi poczęli stronić od niego, więc się przeniósł na krańce Podola, het ku Jahorlikowi, patrzącemu w strony chersońskie, mianowicie do Saracei, małéj wioseczki, rzuconéj nad Dniestrem; tu go Detiuk odwiedzał podczas swoich naukowych ekskursyi między 1818 i 1822 r., kilka dni spędził pod ubogą strzechą rozbitka, pamiętającego lepsze czasy, i znowu, jak dawniéj, prowadził z nim długie rozmowy o Szczęsnym, o Tulczynie, o Gertrudzie Komorowskiej. Oto jakby ostatni wynik tych rozmów, potwierdzający to, cośmy już wyżéj powiedzieli: Szczęsny kochał bardzo Gertrudę i t. d. Dawny sługa Pilawitów w Saracei musiał bardzo skromny żywot prowadzić, wioseczka maleńka... klepał więc biedę p. Antoni na tych stepach, na wybrzeżu bezleśném starego Dniestru, rozmyślając o marnościach świata. Ztąd się dostał na Wołyń w wielkiéj nędzy i t. d.“ [2]).

Sądzę, że tych kilka zestawień wystarczy dla wykazania, jak d-r A. J. czerpie ze źródeł, przez siebie wskazanych, i że mam prawo w imieniu całéj licznéj rodziny zapytać autora Genezy „Maryi“ Malczewskiego, zkąd powziął wiadomość, że w lat kilka po zgonie Szczęsnego Potockiego († 1805) Antoni Chrząszczewski oparł się z liczną rodziną (pierwsze dziecko, córka Euzebia, urodziło się w r. 1803) w Tulczynie bez obowiązku; że rozpoczął wędrówkę, niby to szukając odpowiedniéj posady, a właściwie w roli wędrownego rezydenta (str. 46), że był włóczęgą, nędzarzem, nałogowym pijakiem, „pierś starą miodem rozgrzewał,“ bronił zapamiętale konfederacyi Targowickiéj i Szczęsnego Potockiego, nałamując fakta [3]) i t. d. (str. 47 i 48).

Na zakończenie winienem nadmienić, iż głównie zacytowane przez d-ra Antoniego J. źródła dały mi możność stanąć w obronie prawdy i nieskazitelnego imienia ś. p. Antoniego Chrząszczewskiego; inaczéj, z obawy, aby nie być posądzonym o rzecznictwo *pro domo sua*, możebym milczał i wraz z „panami ze Lwowa“ w kółku domowém pomawiał autora Genezy „Maryi“ Malczewskiego o czerpanie

---

[1]) Str. 48 Bibl. War.

[2]) Fantazyowanie o nędzy nie może się stosować nawet do Franciszka Chrząszczewskiego, gdyż ten miał na Wołyniu wieś Loszki, którą za życia jeszcze oddał w posagu jedynéj swej córce, Helenie, zamężnéj za Kossakowskim.

[3]) Ile prawdy w tych słowach, można się dowiedzieć chociażby z Pamiętników Ant. Chrząszczewskiego, wydanych w części przez Kraszewskiego. Wilno, 1857 roku przy Pam. Ochockiego.

ze źródeł niedostępnych dla ogółu. W danym razie, chcąc być dokładnym i dogodzić „panom ze Lwowa“, dla obu stron wyszło na dobre i na największą zasługuje pochwałę.

Byłoby pożądaném, żeby i nadal d-r Antoni J. był dokładnym nietylko w samém wskazywaniu źródeł, ale też i oględnym w ich użyciu.

Piotr Markiewicz

Kandydat nauk historyczno-filologicznych.

Na zarzuty, uczynione mi przez kandydata nauk historyczno-filologicznych, pana Piotra Markiewicza, mam zaszczyt odpowiedzieć:

Najprzód, co do autentyczności pamiętników Antoniego Chrząszczewskiego, na które się powołuje w *Genezie*, a których wierny odpis składam w Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Stanowiły one własność ś. p. Hermana Hołowińskiego, właściciela Steblowa na Ukrainie; otrzymał je w spadku ś. p. Konstanty Podwysocki, ożeniony z jego jedyną córką. Po sprzedaży Steblowa, i teść, i zięć, przenieśli się na Podole, nabyli wieś Rychty pod Kamieńcem, tutaj na stałe osiedli i tutaj oba dokonali żywota, pierwszy przed 1860 r., ostatni w 1868 r. Rękopis wzmiankowany in folio, str. około 200, kreślony jest na szarym papierze, charakterem wyraźnym potoczystym; zamyka go rozdział zatytułowany: „Rządcy generalni dóbr Humańskich“— nieskończony, urwany na wyrazie „Po...“ I dalej następuje wyjaśnienie, przez samego ś. p. Podwysockiego dodane: „Pamiętniki te, niedokończone z przyczyny śmierci autora, pisane są własnoręcznie przez niego, Antoniego Chrząszczewskiego, dawniéj oficyalistę domu Potockich... Że to jest autograf, za to zaręczam, jako oczywisty świadek, gdyż się te pamiętniki pisały w moich oczach... po większej części w Steblowie, majętności p. G. Hołowińskiego“ (str. 208 załączonéj kopii). Gdyby jednak świadectwo to p. M. nie wystarczało, to mam jeszcze drugie, bardziéj przekonywające. Oto w zbiorach, po ś. p. Podwysockim pozostałych, — a korzystałem z nich nieraz, jak za życia ich właściciela, tak też po jego nieodżałowanym zgonie, - znajdowały się i inne prace Antoniego Chrząszczewskiego [1]), znajdowały się i listy własnoręczne, opatrzone jego imieniem i nazwiskiem takim samym charakterem kreślone, jak i w mowie będący pamiętnik.

Mógł Chrząszczewski, na wezwanie Swidzińskiego, wygotować takąż samą

---

[1]) Władysław Górski. O zbiorach naukowych, pozostałych po ś. p. K. Podwysockim. Kraków 1872 r. Patrz pozycye pod N. 22, 26, 27 i 45.

opowieść, o to się spierać nie będziemy, tem bardziej, że za prace swoje otrzymywał pewne wynagrodzenie, że w ten sposób ludzie zacni starali się mu dopomódz w biedzie, nie obrażając miłości własnej skołatanego nieszczęściami autora. Czy rękopis, którego kopię wierną załączam, był co do słowa identyczny z tym, z którego korzystał Kraszewski, tego powiedzieć nie jestem w stanie, dla téj prostéj przyczyny, że Kraszewski wydał nie wszystko; z tego jednak, co wydano, wnosić można, że są z małemi zmianami jednobrzmiące. A że Kraszewski wszystkiego nie wydał, na to składały się, nietylko przez niego wyszczególnione pobudki (dotykanie bolesnego i świeżego przedmiotu) [1]), ale i dwie następujące: 1) przyczyny, niezależne od wydawcy, i 2) pewnego rodzaju *dosadność* autora, nie przebierająca w wyrażeniach, nie nadających się do druku (str. 21, 31, 93, 99, 113, 134, 141, 148, 149, 167, 188, 192, a wątpię czy wszystko tu wyszczególniłem). Chcąc należycie zcharakteryzować utwór rzeczony, dodamy, że przypomina on bardzo J. D. Ochockiego [ale nie w téj odrobinie, która ujrzała światło dzienne]. Jeżeli przytoczone dowody nie wystarczą p. Markiewiczowi, to już dla ich sprawdzenia wypad nie mu go odesłać do Kórnika w Poznańskiém, gdzie się znajdują zbiory po ś. p. Podwysockim, około 1870 r. nabyte, a w ich liczbie wzmiankowana praca Chrząszczewskiego. Co do nas, jesteśmy przekonani, że kopia, załączona przy niniejszém wyjaśnieniu, jest wiernym odpisem z oryginału. Powoływać się też na nią w dalszym ciągu niniejszego skryptu niejednokrotnie będziemy.

Co do rodziny autora. Obie strony zgadzają się na to, że rodzice jego pochodzili z brzesko-kujawskiego woj.; o ojcu powiada Chrząszczewski: „przeniósł się w późnéj starości na Ukrainę r. 1780 ze swemi córkami, których mężowie w Humańszczyznie mieszkali“ (str. 115); na innem zaś miejscu: „I tak, 1782 r., gdy rodzice moi przenieśli się z Wołynia w Humańszczyznę, za korzec żyta płacono złoty polski jeden“ (s. 199). Jeszcze na innem, że rodzice jego mieszkali w powiecie Łuckim, w okolicy wsi Podbereża (s. 204). Ale znowu w opowiadaniu o Dyźmie Bończy Tomaszewskim dodaje: „R. 1780 ożenił się z siostrą moją, znaną mu dawniéj i *pokochaną w Warszawie*“ (s. 174). Otóż śmiem przypomnieć tutaj, że gdzieindziéj czytałem o zabiegach sercowych późniejszego sekretarza konfed. targ. o rękę panny Chrząszczewskiéj, a w nich wyraźną wzmiankę, że bywał często w domu rodziców bohdanki, *mieszkających w stolicy*, że za jego wstawiennictwem Potocki ich zaprosił na Ukrainę i t. d. A jedno z drugiém bardzo łatwo pogodzić: niechybnie z brzesko-kujawskiego podążył stary Chrząszczewski na Wołyń, jako dzierżawca; wypuszczały się tam podówczas w posesyę korzystną dobra exordynacyi Ostrogskiéj i samego exordynata, utracyusza, wiecznie potrzebującego pieniędzy. Po pewnym przeciągu czasu, wrócił ojciec p. Antoniego znowu do Warszawy, skąd go zwokowano na Ukrainę.

Ale są to rzeczy podrzędniejszego znaczenia, daleko nas więcéj obchodzą

---

[1]) Pamiętniki J. D. Ochockiego. Wilno 1857; t. IV, s. 222.

szczegóły, dotyczące służby Chrząszczewskiego w dobrach Potockich. Sam powiada, że do szkół uczęszczał w Humaniu (strona 10), że ostatnie dwa lata trwania sejmu czteroletniego [w notatce o *Genezie* przez omyłkę powiedziano „pierwsze dwa lata“] spędził w Warszawie (s. 118); dodamy tu, że był on podówczas stałym korespondentem p. Szczęsnego i dzień po dniu przesyłał mu sprawozdania z posiedzeń. Przed trzydziestu kilku laty, zwiedzając Tulczyńskie archiwum, miałem w ręku spory fascykuł tych listów Chrząszczewskiego, pobieżnie je przerzuciłem, uderzyła mnie treściwość i jasność niektórych referatów, przeplatanych pieprznemi, niepozbawionemi dowcipu uwagami, — niestety, nie znałem jeszcze podówczas pamiętników, a zacny archiwista, ś. p. Kowalski, naglił do dalszych oględzin, na które mi bardzo niewiele czasu ofiarował. Zapewne Chrząszczewski, mając na myśli obok innych i te zajęcia, powiada, że *ważne* [który wyraz także przez prostą pomyłkę w *Genezie* opuściliśmy] sprawował obowiązki (s. 117). Zważmyż więc daty, bo nam będą potrzebne: rozpoczął służbę w 1790, opuścił ją w 1828 r., stanowi to razem lat 38, a jednak autor podwakroć wzmiankuje w pamiętnikach o trzydziestoletniej posłudze domowi Potockich (s. 117 i 118), dla czego? bo w tym czasu okresie opuszczał ją przynajmniéj dwukrotnie. Powodów rozstania szukać przeważnie należy w zmianach, jakie zachodziły w majątku, a te znowu miały zawsze za następstwo tak zwaną „redukcyę“ oficyalistów. Uważamy za konieczne podać tu zmian owych daty. Pierwsza nastąpiła po zgonie Szczęsnego (między 1805 a 1808 r.); ogromny po nim spadek podzielony został pierwiastkowo w ten sposób kluczo: Niemirowski (10,000 dusz), Mohylowski (2,000) i Olchowacki (5,000), położone w bracławskim, mohylowskim i bałckim powiatach, nie weszły do rachunków, bo je ojciec za życia darował najstarszemu synowi, Jerzemu Szczęsnemu; resztę (144,725 dusz) rozpołowiono w ten sposób: jedną połowicę otrzymały dzieci z pierwszego małżeństwa, a więc i Szczęsny Jerzy, który mimo darowizny nie tracił prawa do spadku, drugą—Zofia Potocka i jéj męskie potomstwo. Następnie zaregestrujemy takie tylko zmiany, które dotyczyły owéj drugiéj schedy, po Szczęsnym pozostałéj, bo właśnie u spadkobierców jego Chrząszczewski znalazł posadę. Wprzód jednak wypada przypomnieć, że majątek najstarszego marszałkowicza—Jerzego „Kamerhera“, odłużony przeszedł do macochy—Zofii Potockiéj; wcześniéj jeszcze, tenże jéj pasierb, klucz Mohylowski przegrał w karty (s. 163), a w innych dobrach kmieci oczynszowanych („na obrokach“) zniewolił do pańszczyzny (klucz Bohopolski) i wszystkie obszary wypuścił w dzierżawę. Nowa tedy „redukcya oficyalistów“ nastąpiła: marszałkowa targow. zmniejszyła ich liczbę *ad minimum* w Niemirowszczyźnie, a wydzierżawiono wcześniéj włości wcale ich nie potrzebowały. Ostatnia redukcya miała miejsce po zgonie pięknéj zawsze Zofii, w 1823 r., kiedy przyszło do podziału między synów (Aleksandra, Mieczysława i Bolesława), jak spadku po niéj, tak też i ojcowizny. Przy tych zmianach, nietylko dawni słudzy spadali z „etatu“, ale pozostałym zmniejszano pensyę, w miarę tego, jak się kurczyły obszary. Jeżeli więc Antoni Chrząszczewski, jak to utrzymuje p. Markiewicz, był „generalnym rachmistrzem“, to po zgonie Szczęsnego Potockiego nim

być przestawał, z racyi zwinięcia tego urzędu; na inny, pądrzędniejszy, może się nie zgodził—i służbę opuścił. Stało się to między 1807 a 1810 r.; że służby zaraz nie znalazł, tego nas uczy współczesny dokument z okresu 1809—1812 r., mianowicie list marszałka S. Konstantynowskiego, Malczewskiego, pisany z Krzemieńca do marszałka podolskiego, Witosławskiego, w którym między innemi wiadomościami jest następująca petycya, mniéj więcéj w ten sposób sformułowana: bawi tu (w Krzemieńcu) p. Antoni Chrząszczewski, którego jaśnie wielmożny pan spotykał u mnie, gorliwy obrońca p. Szczęsnego Potockiego, „autora wiekopomnego dzieła;“ szuka on obowiązku, może co się znajdzie na Podolu, zna dokładnie rachunkowość, polecam i proszę; szukać go potrzeba w Tulczynie, gdzie stale zamieszkuje. Ztąd wniosek: *primo*, że był bez obowiązku; *secundo*, odwiedzał w Krzemieńcu swego powinowatego; *tertio*, niechybnie tam musiał spotykać młodzieniaszka, późniejszego autora „Maryi“, który pod opieką stryja właśnie uczęszczał do liceum podówczas. Tożsamość zapatrywania się na Szczęsnego, wypowiedziana w pamiętnikach Chrząszczewskiego i w poemacie nieszczęśliwego poety, tożsamość, powtarzamy, nieliczująca wcale z ówczesnemi przekonaniami ogółu, daje nam pewne prawo przypuszczania wpływu pierwszego na drugiego. Że się Chrząszczewski udał do Malczewskiego, dziwić to nie powinno; najprzód Malczewski (mówimy o marszałku) był wówczas najpopularniejszą postacią w naszych prowincyach: ogromnéj fortuny, dostępny, do wszelkich usług gotowy, a przytém powinowaty, daleki wprawdzie, ale powinowaty; związki zaś takie na początku niniejszego wieku szanowała nasza społeczność, liczyła się z niemi daleko więcéj, niźli to dzisiaj ma miejsce. Że Chrząszczewski na początku swéj służby mieszkał w Tulczynie, na to potwierdzenie w zarzutach p. Markiewicza znajdujemy: utrzymuje on, że autor pamiętników pełnił funkcye rachmistrza „generalnego“, nie mógł więc gdzieindziéj przebywać, tylko tam, gdzie się główny zarząd dóbr ześrodkowywał. Może rodzina jego zamieszkiwała w Swerdłykowie, ale on musiał być na rozkazy pana przy jego boku. O pobycie stalszym w Tulczynie w końcu 1812 i na początku 1813 r. sam p. Antoni wzmiankuje, z racyi zamierzonego rozpatrywania spuścizny literackiéj po świeżo zmarłym Trembeckim (s. 169). Ale w zarzutach p. kandydata nauk historyczno-filologicznych znajdujemy, choć nie jasne, dowody, potwierdzające i to, że przodek jego po kądzieli na czas jakiś, trwający lat kilka, opuścić musiał, czy opuścił dobrowolnie, posadę w dobrach należących do Szczęsnego Potockiego: oto na początku jest on rachmistrzem „generalnym“, a na końcu służbowej karyery „obercześniczym lasów masalnych klucza Targowickiego.“ Nie wiem, czy znaną jest dobrze czytelnikom różnica, jaka zachodzi między temi dwiema posadami? Muszę więc ją tutaj wyjaśnić choć w pobieżnym zarysie.

Rachmistrz „generalny“ w państwie Pilawitów ukraińnych stał na trzeciém, albo co najniżéj, na czwartém miejscu, w maszynie administracyjnéj, szef to biura liczącego 40 skrybentów, zajętych nieustannie rachunkiem *percepty* i *expensy*; a było co liczyć — na majątek bowiem składało się przeszło 3 miliony morgów ziemi, rozrzuconych w dwóch dzisiejszych guberniach — podolskiéj i kijowskiéj, 161,000

dusz męskich, do pańszczyzny obowiązanych, tyleż niewiast, około 20,000 czynszowników, tyleż izraelitów, wydzierżawiających przeszło 8,000 rozmaitych pozycyi [karczmy, gorzelnie, młyny, browary, stawy, sady, wypasy i t. d., i t. d.]. A wszystko to skoncentrowane w 14 miasteczkach, 375 wioskach, dające dochodu przeszło 5,000,000 zł., podzielone na 12 do 16 ogromnych kluczów, posiadających oddzielnych rachmistrzów, kolejno, w ciągu roku, w głównem biurze składających szefowi swojemu rachunki. Jakaż różnica stanowiska takiego dygnitarza z posadą choćby oberleśniczego, ale tylko jednego klucza Targowickiego; to już drobny oficyalista, i to funkcyonujący w zakresie leśnictwa, najmniéj u nas podówczas rozwiniętego, bo prawie żadnych nie przynoszącego dochodów; potasz już dawno przestaliśmy wypalać, a o fabrykach cukrowych nie było jeszcze mowy; dopiero rabownicze trzebienie lasów, przez to ostatnie spowodowane, podniosło ich wartość... Niechybnie po zwinięciu posady rachmistrza „generalnego“ usunął się, kiedy mu odpowiedniej posady nie dano; po kilku latach, został rachmistrzem, ale już tylko klucza Humańskiego — i z tą posadą rozstał się; po raz trzeci wrócił jako nadleśniczy targowicki. [Dowodów tego drugiego ustąpienia nie przytaczamy, bo to nad zamiar rozszerzyło-by ramotę, a powtóre nie ma znaczenia w kwestyi obrony] To nam tłómaczy, dlaczego autor pamiętników, nie 38, lecz 30 lat tylko służby sobie policzył; dodamy w końcu, że wyrobienie pensyi emerytalnéj, dla braku owéj ciągłości, stało się wielce mozolném.

O stanie majątkowym Chrząszczewskiego powiedzmy z kolei. Wdajemy się w drobnostki, ale, z zarzutów tłómacząc się, cały arsenał dowodów na linię bojową wyprowadzić należy. P. Markiewicz maluje nam idyliczny obrazek skromnego i szczęśliwego żywota swego protoplasty w Swerdłykowie. Otóż idylla ta, jeżeli miała miejsce, jeżeli nie zakończyła się z ostatecznem wystąpieniem Antoniego Chrząszczewskiego ze służby (1828), to niechybnie w kilka lat potém rozpierzchnąć się musiała; klucz bowiem humański należał do hr. Aleksandra Potockiego, Swerdłyków w skład tego klucza wchodził i już w 1813 r. przeszedł na własność rządu. A autor pamiętników żył jeszcze potém lat dwadzieścia. Odsuńmy to jednak na stronę, słuchajmy, co sam mówi o sobie i co przekazali nam inni, znający go osobiście. Ojciec jego stracił wszystko na dzierżawie, ożenił się z kobietą ubogą (s. 117). Życie szło oporem, niedostatek doskwierał, jak o tém wspomina w pamiętniku (s. 179); wyraźniej wszakże skarży się na niedolę, poruszając kwestyę emerytury: „Dopiero w 1828 r. przezacny Gustaw Olizar, z *samego użalenia* się nad moim stanem, z wielką trudnością ledwie wyżebrał dla mnie u Stanisława, Aleksandra i Bolesława (Potockich) lichą gracyjkę, zasługom moim wcale nieodpowiednią“ (s. 117). Gracyjka istotnie była lichą, bo wynosiła „gołych“ 300 do 500 złotych. Najjaskrawiej jednak stan jego majątkowy odmalował ś. p. Konstanty Podwysocki w dopisku do pamiętnika; wiemy już że był on układany „po większéj części w Steblowie, majętności p. Germana Hołowińskiego, który nietylko wspierał pieniężnemi datkami autora i jego liczną rodzinę, lecz nawet dawał mu niejednokrotnie sposoby wydźwignienia się z biedy znaczniejszą pomocą, ale to

nie pomagało na nieszczęście“ (s. 208). Ostatnie, niejasne wyrażenie, tłómaczył mi Podwysocki nałogiem, któremu uległ autor pamiętnika, skołatany przeciwnościami i niedostatkiem. Nie umniejszało to wcale ogólnego dla niego szacunku i sympatyi; rozbitek, godniejszy lepszego losu, jeden z niewielu, wyszedł czysty i niepokalany z pośrodka rzeszy rówieśników i kompanów, którzy się wypasli do syta na olbrzymiém cielsku tulczyńskiéj fortuny; dowodzi téj sympatyi i wstawiennictwo Olizara, i zainteresowanie się Swidzińskiego, i czynna pomoc p. Germana Hołowińskiego.

O przekonaniach Chrząszczewskiego i jego zapatrywaniu się na polityczne czynności swego chlebodawcy krótko tylko powiemy. Wyznaje on, że był gorliwym zwolennikiem owczesnéj ustawy rządowéj, ale potém żałował, że nie przyjął ofiarowanych mu przez konfederacyę targowicką urzędów, jako to: pisarza komory celnéj, porucznikostwa w huzarskiéj brygadzie Złotnickiego, wreszcie „regencyi komisyi skarbowéj“, a nie przyjął ich *dla źle zrozumianego patryotyzmu* (s. 119 i 177). Co zaś do pochwał i obrony Potockiego, tych pełno, ostatnia jest jednocześnie usprawiedliwieniem wyżéj wzmiankowanéj konfederacyi.

Zostaje jedna jeszcze kwestya — ostatnia, mianowicie pobytu w Saracei Antoniego, kiedy w niéj mieszkał nie Antoni, ale brat jego starszy, Franciszek... tutaj najzupełniéj przyznajemy się do omyłki. Na usprawiedliwienie nasze powiemy to tylko, żeśmy błędną mieli genealogię Chrząszczewskich pod ręką, w niej bowiem Franciszek nazwany Felicyanem, a Antoniemu dodano drugie imię nie Felicyana, jak być powinno, ale Franciszka, nieprawdziwy też rok jego urodzin — 1760, kiedy p. Markiewicz o lat dziesięć późniejszą datę wymienia; wreszcie tożsamość przekonań, tożsamość nieledwie wyrażeń, powtórzonych przez Detinka. Że Antoni przebywał w Saracei (inaczéj Sarakcéją zwanéj), na to posiadamy dowody, ale wypokładając je, musielibyśmy podnieść drażliwą kwestyę, dotyczącą pewnej rodziny, a tego nie pragniemy wcale, więc je pozostawiamy w ukryciu, tembardziéj, że fakt ów, dotyczący Saracei, przekonania naszego o wpływie autora pamiętników na autora „Maryi“ nie osłabia, prostuje tylko w życiu pierwszego z nich błędnie podany szczegół — do błędu się przyznają — to powinno p. Markiewiczowi wystarczyć. Może go dziwić będzie, dla czego Franciszek Chrząszczewski, posiadający wieś własną, Loszki, (?) na pograniczu Wołynia, chciał gospodarować na bezludnym stepie, o jakich 400 wiorst oddalonym od tego dziedzictwa, i to na stepie, osadzonym przez sześć dusz, do robocizny obowiązanych? Dodam więc, że dzierżawę ową maleńką ustąpił *Antoniemu, autorowi pamiętników*, jeden z jego kompanów, zbogacony na służbie w Tulczynie, bardzo więc być może, że Antoni na brata przelał swoje prawa, znalazłszy znowu w dobrach Potockich posadę. Na końcu zastrzegam się, że nie miałem zamiaru „dotykać boleśnie“ nikogo z rodziny Antoniego Chrząszczewskiego, żadnego z jéj członków nie mam zaszczytu znać osobiście. Godziło by się powiedzieć jeszcze o *źródłach, niedostępnych dla ogółu*, z których korzystam „nieoględnie“... że jednak dotyczy to mojéj osoby, więc daję pokój, z pokorą admonicyę kandydata nauk historyczno-filologicznych, pana Markiewicza, przyjmuję,

a wywzajemniając się za przestrogi, z wielką trwogą ośmielam się Mu zaproponować, by w przyszłości, występując w obronie rzekomo spotwarzonego przodka, starał się przynajmniéj przeczytać pozostałą po nim literacką spuściznę, zwłaszcza jeżeli ta [jak w naszym wypadku pamiętniki], zawiera koleje jego życia i wyznania jego wiary politycznéj.

D-r Antoni J.

Uczyniwszy zadość zasadom słuszności względem obu stron, w powyższym sporze zainteresowanych, uważamy kwestyę za zupełnie wyczerpaną i dyskussyę w téj materyi na niniejszych dwóch głosach zamykamy.

REDAKCYA.

SPROSTOWANIE.

W Zeszycie sierpniowym „Biblioteki Warszawskiej“, str. 385, w *Modlitwie podczas bitwy* Körnera, dwukrotnie zamiast: Ojcze *prze*prowadź mnie! czytać należy: Ojcze *po*prowadź mnie! — W tejże modlitwie, na str. 386, zamiast: Źródło wszech*władzy*, powinno być: Źródło wszech*dlaski*.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:
Józef Weyssenhoff.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1891.

Strona

Historya.

Obrona granic Rzeczypospolitéj od Tatarów, przez Konstantego Górskiego 93
Intryga Salomonka, kartka z dziejów Jana Mazepy, przez Adama Darowskiego 229
Napoleon a nowożytne państwo, przez Bronisława Dębińskiego . . . 369
Kupiectwo lwowskie w XVI wieku, przez Władysława Łozińskiego . 429

Kwestye społeczne, prawne, ekonomiczne i pedagogika.

Ziemia i jéj odłużenie w Królestwie Polskiém, przez Jana Blocha . . 110 i 318
Teorya a praktyka w wychowaniu, przez Romana Zawilińskiego . . 58
Nonkonformizm, przez E. Naganowskiego 486

Literatura.

Irena (powieść), przez Zofię Kowerską . . . . . 18, 259 i 454
Ballada (wiersz), przez Kazimierza Glińskiego 108
Na jeziorze (wiersz), przez Maryę Konopnicką 363
I. Spokojność. II. Odwołanie. III. Nawpół prozą (wiersze), przez D-ra K. M. Górskiego 590

Studya i szkice literackie.

Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiéj. III. Sęp Szarzyński, przez A. Brücknera 531
Meteor w piśmiennictwie niemieckiém, przez Ludwika Jenikego . . . 381
Jan Verga i jego powiastki wieśniacze, przez Zygmunta Rzyszczowskiego 172
Percy Shelley, przez M. Zdziechowskiego 553

Strona

Studya artystyczne.

Indywidualizm i przedmiotowość w sztuce. (Talent i szkoła), przez Henryka Struvego 1

Nauki przyrodnicze.

Gwiazdy zmienne i nowe ich teorye, przez Stanisława Kramsztyka . . 503

Krytyka.

H. von Wissmann. „Meine zweite Durchquerung aequatorial Afrika's, von Congo zum Zambesi, während der Jahre 1886 und 1887“ przez E. Lipnickiego 185

Pier di Nolhac e Angelo Solerti. „Il viaggio in Italia di Enrico III e le feste a Venezia Ferrara, Mantona e Torino“ przez A. Darowskiego 199

Leopold von Ranke. „Zur eigenen Lebensgeschichte“, przez Szymona Askenazego 393

Kronika zagraniczna.

Galicyjska przez U. Wyniki spisu ludności w Galicyi. — Wykształcenie elementarne i średnie. — Stanowisko posłów galicyjskich w Izbie deputowanych rady państwa. — Zamierzone utworzenie nowego ministeryum komunikacyi z profesorem Leonem Bilińskim na czele. — Poprawa w położeniu rolników w Galicyi. — Nieobecność głośnych nazwisk w sprawach publicznych. — Akcyjna spółka handlowa. — Komisya sanitarna, wyznaczona przez ministeryum spraw wewnętrznych. — Teatr letni we Lwowie 84

Paryska. Gastona Boissier „La fin du Paganisme.“ — Wiktora Hugo „Dieu“ (szósta z kolei popularna publikacya). — Wystawy: rzeźb i obrazów. — Wejście Piotra Lotti'ego do do Akademii na miejsce zmarłego Oktawiusza Feuillet'a. — Wystąpienie prasy o silniejszą reprezentacyę w Akademii. — Dwa głosy o prasie francuskiéj. — Felibrowie w poezyi i śmierć Józefa Roumanille. — „Grizeldis“ Armanda Silvestre'a i Eugeniusza Moranda . 294

Kronika miesięczna.

Lipiec. Odnowienie potrójnego przymierza. — Rozprawy budżetowe w austryackiéj radzie państwa i wystąpienie posła młodoczeskiego Waszatego. — Katastrofa pod Mönchenstein. — Przyczyny mnożących się wypadków: wadliwość strony technicznéj i wyczerpanie sił służby, przeciążonéj pracą. — Proces przeciwko fabryce stali w Bochum. — Sprawozdanie Inspektora przemysłowego p. Nawratila o smutném położeniu robotników galicyjskich. — Projektowane w Rossyi przepisy, ubezpieczające byt robotników i ich rodzin

Strona

w razie śmierci lub kalectwa. — Nowe Towarzystwo ubezpieczeń na życie „Przezorność“, organizujące się w Warszawie. — Towarzystwo wzajemnéj pomocy w Tomaszowie. — Zastosowanie w Warszawie przy robotach kanalizacyjnych nowéj formy spółek robotniczych, zwanéj „artelą.“ — Zmiana w ustawie o adwokaturze. — Projekt ustanowienia ściśle określonéj taksy za pomoc lekarską. — Zapis p. Bilińskiego na ufundowanie i wybudowanie „Domu dla nieuleczalnych we Lwowie.“ — Stałe przytułki noclegowe w Warszawie. — Giełda majątków ziemskich. — Jarmark Ś-to Jański w Warszawie. — Wskrzeszenie wystaw, urządzanych dawniéj w Warszawie przez Towarzystwo wyścigów konnych. — Jubileusze Józefa Keniga i Włodzimierza Spasowicza 202

Sierpień. Podróż eskadry francuskiéj do Kronsztadu. — Reforma szkolna na Zachodzie i w Rossyi. — Szkoła ogrodnicza p. Zawady w Częstochowie. — Wystawa elektryczna we Frankfurcie nad Menem. — Wystawa przyrodniczo-lekarska i zjazd lekarzy i naturalistów w Krakowie. — Termostat p. Kazimierza Pietkiewicza. — Reformy z dziedziny hygieny, przedsiębrane przez instytucye administracyjno lekarskie. — Emigracya żydowska i pomoc Rothschilda i Hirscha. — Emigracya ludu z Królestwa Polskiego do Brazylii i wyprawa ks. Chełmickiego. — Zniżenie taryfy za przewóz produktów zbożowych. — Zmiana taryfy celnéj. — Bulwary nad Wisłą. — Przebudowanie Teatru Wielkiego. — Konkurs Towarzystwa muzycznego. — Odezwa kwartalnika „Wisła.“ — Kasa imienia Mianowskiego 404

Wrzesień. Umowa między rządem russkim a Wysoką Portą w sprawie wolnego przejazdu statków russkiéj floty ochotniczéj przez Dardanelle. — Nadużycie drukowanego słowa w polemice dziennikarskiéj. — Sprawa przeciwko Redaktorowi *Przyjaciela* w Toruniu. — Konkurs *Gazety Sądowéj.* — Zmiana w położeniu kandydatów do posad sądowych. — Przepisy przeciwko lichwie. — Położenie ludu w Galicyi. — Poseł Jan Potoczek reprezentujący w kole polskiém interesa włościan galicyjskich. — Prośba rolników kaliskich do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. — P. Ksawerego Radziszewskiego projekt konwersyi listów zastawnych. — Kolonizacya żydów . . 596

Wiadomości bibliograficzne.

Lipiec 222
Sierpień 425
Wrzesień 613

Dyskusya.

Z powodu artykułu „Geneza Maryi Malczewskiego“ (Tom I str. 42) list p. Piotra Markiewicza i odpowiedź D-ra Antoniego J. 621

Biblioteka Śląska